This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

ALEKSANDER TYSZYŃSKI.

PISMA KRYTYCZNE

STARANIEM RODZINY OGŁOSZONE DRUKIEM,

Z PORTRETEM AUTORA I PODOBIZNĄ JEGO PODPISU.

ZEBRAŁ, UŁOŻYŁ I ZARYSEM BIOGRAFICZNO-LITERACKIM POPRZEDZIŁ

PIOTR CHMIELOWSKI.

TOM II.

PISMA OD ROKU 1866.

KRAKÓW — PETERSBURG.

1904.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I

Z WYKŁADÓW W SZKOLE GŁÓWNEJ

I.

PRELEKCYA WSTĘPNA

HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ Z R. 1866.

Długą drogę, panowie, mamy przed sobą. Mamy się obeznać z dziejami literatury, która lubo nie była jedną z najwięcej głośnych w Europie, lubo wymaga jeszcze pracy, by zrównać innym, zawsze jednak była jedną ze starszych i jedną z bogatszych. Wiek XVI był już jej wiekiem złotym. Liczba pisarzy jej do końca tylko XVIII wieku wynosiła kilka tysięcy nazwisk, cóż dopiero liczba ich pism! A przedmiotem tych pism były: i sztuka słowa i wszelkie znane ówcześnie gałęzie umiejętności i nauk.

Wyrazy te: literatura i literatura danego kraju różnie wprawdzie są pojmowane; jedni przez to brzmienie *literatura* rozumieją to wszystko, co tylko wyrażane jest pismem; inni te tylko pisma, w których odbija się silniej duch piszącego; do zakresu literatury danego kraju jedni odnoszą to tylko, co jest pisane językiem tego kraju, inni to wszystko, co jest pisane przez jego mieszkańców. Tu więc w nauce tej wstępnej wypadnie mi najprzód objaśnić: co będziemy rozumieć przez literaturę? co przez krajową? zarazem zaś: jakiej się trzymać będziemy drogi w wykładzie jej dziejów? Że zaś, powiedzmy to zgóry, drogą tą ma być tylko rozważanie kolejne utworów tej literatury w ich oderwa-

niu, tu więc ile we wstępie powiemy także: jakie ta literatura w swoim wewnętrznym przebiegu odbiła też rysy łączne? uważana zaś jako cząstka powszechnej, co otrzymała od obcych? i w czem wpłynęła na obce?

Wyraz łaciński literatura ukształconym był od wyrazu litera (głoska piśmienna), odnosić się więc musiał do tego wszystkiego, co wyrażane jest pismem, i stąd też tłumacze tego wyrazu na język polski przełożyli go na *piśmiennictwo*, *piśmienność* i t. p. Wszakże o istotnem znaczeniu wyrazu nie stanowi ani jego źródłosłów, ani jakaś teorya, ale cel, dla którego używamy wyrazów w mowie, t. j. rozumienie powszechne. Jakież dziś rozumienie powszechne przywiązuje u nas znaczenie do wyrazu literatura?

W pismach naszych z wieku XVI i nawet późniejszych, pisanych językiem polskim, nie spotykamy wcale wyrazu *literatura*, w łacińskich brano go za jedno z *nauką*, o ludziach bowiem odznaczonych naukowością, wyrażały się kroniki nasze: »*Vir rarae litteraturae*«. W tem też ogólnem znaczeniu, wyraz ten używanym był przy końcu wieku zeszłego i początkach obecnego i w pismach polskich. Dziś jednak nader upowszechnione użycie tego wyrazu tak w mowie piśmiennej jak ustnej wyrobiło mu, uważać możemy, dwa znaczenia: jedno ogólne, rozległe, a drugie ścieśnione; pierwsze, opierające się na owym źródłosłowie pierwotnym, jest jakby naukowem, i stąd też uważać można, iż wszyscy u nas bez wyjątku pisarze historyi literatury, ci nawet, którzy uprzedzali we wstępie, iż co innego rozumieją przez literaturę, a co innego przez piśmiennictwo, w wykładach przedmiotu swego mówią o wszelkiem piśmie, jak botanik, gdy ma mówić o danym kwiecie, mówi o wszystkich częściach rośliny; drugie zaś, owo ścieśnione, a które dziś jest w pojmowaniu większości, odnosi się tylko do pism, w których ów pierwiastek wyrazu *(litera, słowo)* do stopnia wyższej sztuki jest podniesionym, tak jak toż pojmowanie większości, czyli popularne, przez dany kwiat rozumie nie całość kwiatu, a tylko jego koronę.

Rozumienie to i nam więc być musi wskazówką. Do zakresu naszego przedmiotu, t. j. literatury, odnosić będziemy to wszystko, co tylko wyrażane jest pismem; pisma jednak, które odznaczone są pewną sztuką słowa w znaczeniu wyższem, uważać będziemy za literaturę (stosownie do owego rozumienia ogólnego) właściwą i mówić o nich obszerniej; o utworach zaś, w których pismo jest tylko częścią do zrozumienia myśli konieczną (jak to jest np. w pismach z gałęzi umiejętności, administracyi, polemik religijnych i t. p.), mówić będziemy tylko o tyle, o ile były one w kraju pomnożeniem użytku słowa, t. j. rozważać je tylko pod względem piśmiennej ich szaty, nie zaś gałęzi.

Pisarze nasi do wieku XVI wszyscy prawie z wyjątkiem tylko tłumaczów, autorów krótkich pieśni i może kazań, pisali językiem łacińskim; od XVI do większej części XVIII[1] w połowie po łacinie, w połowie po polsku; w tym przypadku są też właśnie ledwo nie wszystkie literatury europejskie i historycy ich różnie pojmują krajowość literatury. Naszem zdaniem, przez literaturę krajową rozumieć należy to wszystko, co wyraził literą umysł krajowy; historya przeto literatury jako historya umysłowości danego kraju, musi obejmować nie tylko to, co ten umysł wyraził językiem własnym, ale i obcym, i nawet to, co śród sfery piśmiennej z tą umysłowością krajową ma blizki związek. Do historyi literatury polskiej odnosić więc będziemy najprzód to wszystko, co było pisane językiem polskim, powtóre co było pisane przez pisarzy polskich jakimbądźkolwiek językiem, i wreszcie to wszystko nawet, co chociaż nie było pisane ani mową, ani myślą krajową, ale w kraju, i miało za przedmiot miejscowość lub umysłowość krajową, jak np. pisane w kraju kroniki, choćby przez cudzoziemców, prowadzone śród kraju polemiki religijne, choćby przez cudzoziemców i t. p.

[1] Wydawane w 7-ym dziesiątku wieku zeszłego w Warszawie *Acta litteraria* Mitzlera de Kolof, mieszczące i doniesienia o nowych pismach polskich, obejmowały jeszcze więcej tytułów łacińskich niż polskich.

W tych ramach pojmując nasz przedmiot, jakiejże będziemy się trzymać drogi w jego wykładzie?

W wykładzie naszej nauki będziemy się trzymać drogi, która jest drogą konieczną w wykładzie każdej nauki t. j. tej, która wychodzi z pamięci na główny jej cel.

Jakiż jest cel poznawania historyi literatury?

Historya literatury wogóle jest jeszcze świeżą nauką. Nauka ta nie tylko, mówiąc właściwie, nie była znaną starożytnym, ale starożytność jej nie sięga nawet za wiek XVII. Jeszcze Bakon w piśmie swem z początku owego wieku *de dignitate et augmentis scientiarum* uczyniwszy uwagę: iż »glob nasz umysłowy jak i glob ziemski ma i krainy uprawne i okolice puste«, wskazywał, jak pożądaną między innemi byłoby rzeczą, gdybyśmy obok *historyi cywilnej* krajów, mieli i *historye literatury* ich. Ta niedawność nauki może nawet dać powód mniemać, iż uprawa jej nie ma swojego celu, iż jest zbyteczną. Grecya nie znała jej, a jednak wydała okres jeden z najświetniejszych piśmiennych.

Niebytność jakiejś korzyści nie może być jednak, panowie, powodem jej potępiania. Iż np. autor Iliady mógł nie znać sztuki pisania, nie jest to wcale dowodem, iż umiejętność pisania niepotrzebną jest dla poetów; gdyby autor Iliady znał sztukę pisma, uniknąłby nie jednej wady swego poematu i tego losu, iżby mu odejmowano sławę autorstwa.

Korzyści z historyi literatury dla ogólnego naukowego rozwicia nader owszem są liczne. Gdyby historya literatury znaną była we wszystkich krajach, we wszystkich czasach, mielibyśmy nader bliższą znajomość tych wszystkich krajów, tych wszystkich czasów; ileby nam stąd przybyło objaśnień co do istotnych szczegółów bytów ich, ileby ubyło polemik i wątpliwości co do autentyczności i czasu utworów ich, źródeł dziejowych, źródeł religijnych i t. p. Historya literatury jest to z istoty swojej historya wewnętrzna kraju; jeśli jest potrzebną i ważną dla ogółu poznań

ludzkich znajomość dziejów zewnętrznych wszystkich cząstek ludzkości, tedy niemniej wewnętrznych; jedne są dopełnieniem drugich.

Historya literatury wogóle, jak w szczególności historya każdej z gałęzi jej, to jest każdej nauki, jest też to przychodzenie tej nauki do uznania się w sobie, w swych brakach, zaletach, swojej istocie i t. p. i daje jej należniejszy kierunek w dalszem rozwiciu. Mało jest jeszcze wprawdzie gałęzi nauk, które już mają swoje historye, lecz byłyby pożądane dla każdej. Rozwinięcie się przy końcu zeszłego wieku w Niemczech *historyi filozofii* było zapewne jedną z głównych przyczyn, iż i sama ta nauka (filozofia) do tak wysokiego następnie w tym kraju rozwinięcja się doszła.

Lecz nadewszystko cel uprawy historyi literatury jako nauki zawarty jest w tym ogólnym, który jest celem głównym, i celem ogólnym wszystkich; w którym też mieszczą się właśnie i owe podrzędne i z niego ciągną prawo swego wykładu.

Celem głównym wszystkich wogóle umiejętności i nauk ludzkości jest: *ukształcenie poznania ludzkiego*; podnoszenie go od znajomości ułomnych do coraz pełniejszych, do możliwego w końcu poznania prawdy.

Poznanie ogólnej prawdy może się tylko złożyć z poznania cząstkowych; stąd też waga w dziejach umysłowości każdego badania, każdej nauki, chociażby najdrobniejszej nawet na pozór, najoderwańszej; i stąd też w prostej drodze wypływa nam i to prawo, które przewodnikiem być winno w uprawie każdej.

Jeżeli głównym celem każdej nauki ludzkiej jest ukształcenie poznania ludzkiego, poznania *prawdy*, tedy najpierwszym warunkiem w uprawie każdej być winno: *kształcenie jej w prawdzie.*

Warunki te w jakiż mianowicie sposób odbić się będą mogły, będą musiały, w uprawie naszego przedmiotu? Aby przedmiot nasz t. j. historya danej literatury przedstawić

się mogła w możliwej prawdzie, sprawić to tylko mogą: co do strony *zewnętrznej*, zbieranie i zbliżanie co największej liczby szczególnych faktów, któreby dać mogły możliwą pełność obrazu; zaś co do strony *wewnętrznej*, bezstronne ich ocenianie.

Jeden ze spółczesnych nam autorów historyi literatury niemieckiej wyraził we wstępie zdanie, iż wtedy dopiero historya literatury stanie się nauką żywotną, kiedy się oswobodzić zdoła z bibliograficznych i biograficznych aggregatów. Jest to zdanie, które ma swą zasadę, lecz za którem nie będziemy iść wcale.

Przedsiębiorąc jakowąś podróż, zadanie, musimy zaczynać nie od końca, lecz od początku; chcąc postawić budowlę, trzeba zacząć od gromadzenia materyałów, od fundamentów. I nawet w każdym razie całość budowli bez obecności fundamentów nie może się obejść. Historye literatury krajów czyli ich dziejów wewnętrznych, bez bibliografii i biografii, podobne byłyby do dziejów zewnętrznych krajów bez wzmianki o żywocie ich królów, bez chronologii. W dziejach każdej literatury (że się objaśnimy praktycznie) wiele jest np. pism naukowych, pism poetycznych nader podobnego zawarcia; bez oznaczenia ścisłego dat, jakże wiedzieć możemy, które z nich było wzorem, a które naśladownictwem? bez wiadomości o wydaniach, i powtarzaniu albo niepowtarzaniu ich, jakże wiedzieć będziemy o wziętości danego pisma, o duchu czasu, o smaku wieku? i t. p. Bez szczegółów życia autorów nie ocenimy z należną prawdą ich charakteru, charakteru nawet ich pism. Jednemu np. z naszych dawnych duchownych czyniony był zarzut, iż w dziele swem o stu krajowych pisarzach[1] okazywał się zbyt stronnym dla swego stanu; po zbliżeniu jednak biograficznych i bibliograficznych dat okazało się, iż autor ten, gdy wydawał owo swe pismo, był jeszcze

[1] [Szymon Starowolski, autor dzieła p. t. »Hecatontas« tj. »setki pisarzy polskich« 1625].

wojskowym. Wprawdzie te wiadomości drobne, te szczegóły są to w historyi literatury przygotowania poprzednie, nie sam jej owoc; lecz historyk literatury ogłaszając swój owoc, winien dołączać i usprawiedliwienia, i wreszcie nie odejmować pomocy i środków dalszej uprawy następcom swoim. W wykładzie naszym starać się więc będziemy przeciwnie o możliwą, jak rzekliśmy, pełność szczególnych faktów.

Co do zdań będziemy się starali o możliwą ich dokładność i jasność, a przedewszystkiem o ten najpierwszy a tak prosty warunek każdego wykładu w prawdzie: o niepodawanie za prawdę tego, czegobyśmy sami przed sobą nie mieli za prawdę. Unikać więc będziemy, iżbyśmy się w wyrażaniu tych zdań nie unosili jaką stronnością krajową, iżbyśmy np. w ocenianiu faktów czyli to z obecności, czy z przeszłości, ćwiczeń wierszowych nie podawali za poezye, gładkich wierszy za arcydzieła, myśli rozsądnych za geniusz filozoficzny, utworów XIX-go za utwory z IX-go wieku idące; iżbyśmy dla mniemanej obrony sławy kronikarza nie tworzyli historyków, którzy nie istnieli i t. p. (literatura nasza dosyć jest nawet bogatą w zalety istotne, iżby potrzebowała sztucznych) i w ogólności celem usiłowania naszego będzie: przedstawienie w szczegółowszem niż dotąd świetle charakterystyki głównych pism naszych, poczynając od najdawniejszych. Historya literatury naszej zaczęła była od przedstawiania spisów bibliograficznych, następnie posunęła się do przedstawiania zarazem wyjątków z pism, do charakterystyki ogólnej pisarzy; charakterystyka zaś bliższa szczególnych utworów jest jeszcze mało dotąd uprawnem polem, polem do uprawiania.

Zajmowanie się szczególnemi pismami obszerniej zmusi nas do rozważania ich głównie w sobie, w odosobnieniu; jeżeli jednak w ten sposób fakta przebiegu literatury naszej przedstawiać będziemy w ich oderwaniu, jak najdalszą jest od nas myśl, iżby pomiędzy niemi nie istniała pewna wewnętrzna łączność, pewna harmonia. Śród świata

we wszystkiem jest łączność, we wszystkiem harmonia, a spoglądanie na szczegóły dane ze stanowiska tej łączności i tej harmonii jest to owszem podnoszenie właśnie pojęcia ludzkiego do jego źródła, zbliżanie do stopnia prawdy. Jeżeli więc w dalszym wykładzie będziemy mówić o faktach w ich oderwaniu, tu we wstępie musimy też dać zarys ich drogi łącznej.

Wypada tu nam, panowie, uczynić na chwilę zboczenie do innego rodzaju nauki, ale tylko na chwilę, bo też wszystkie nauki, te cząstki jednej wiedzy, jednej całości, są blizkie siebie.

Poznanie, któreśmy otrzymali w udziale, nasze poznanie ludzkie, to poznanie pośrednie w szeregu poznań. Nie jest ono najniższe, prześciga bowiem, widzimy, o wiele pojęcie zwierząt, nie jest też jednak najwyższem, albowiem jest zmiennem, wątłem, jawnie ułomnem.

To zwierzę, które bieży po roli, nie przypuszcza zapewne, iżby między tym człowiekiem, którego widziało, tym plonem, który zdeptało, tem drzewem, pod którem spoczęło, istnieć mógł jaki związek; myśl ludzka ogląda przeciwnie związki śród szczegółów ziemi; nie mówiąc już o związku wzajemnych użytków, weźmy np. zerwany na łące kwiatek, a jego *korona*, *gałązki*, *łodyga*, *soki* i t. p. to przed oczami naszemi toż prawie co postać ludzka z jej głową, ramiony, postawą, krwią w żyłach i t. p.[1]; toż widzimy w rozwiciach, a doby żywota kwiatka, jego np. *kiełek*, *rozkwitu*, *przekwitu*, to jakby doby dzieciństwa, młodości, męstwa, starości i t. p. istoty ludzkiej. Lecz z drugiej strony weźmy np. pojęcia takie jak *czasu*, dla oznaczenia początków którego brakuje nam liczby, *przestrzeni*, która najdalej brana nie może mieć granic, *złączenia woli i konieczności* i t. p., są to, widzimy, byty, które są, są konieczne i które podchodzą jawnie pod nasze pojęcie, a jednak

[1] Jakiebykolwiek skądinąd były powody tych podobieństw, wykład *porządku* nie znosi bytności faktu.

przechodzą objęcie. O ile pojęcie nasze wyższe jest nad pojęcie zwierząt, o tyle jest niższe od tego, które obejmuje te byty, które je wiedzie i tak na nie spoglądać jest zdolne, jak my np. na owoc, lubo w środku tego owocu usiadły owad, ziarnka, błonkę i tę mięsność owocu, na które spogląda, ma za jakieś oddzielne ogromy a krańce bytu.

Takie, mówiąc praktycznie, są stopnie pojęć w naturze i taka skala naszego. Zwierzę widzi we wszystkiem *zamęt*, najwyższe pojęcie *jedność*, my *podobieństwa*, harmonię. Nie możemy pojęcia naszego zrównać z owem najwyższem, bo byłoby to zmianą warunków naszej istoty; wszakże możemy wiedzieć, iż się doń przybliżamy, t. j. iż umysł nasz zbliża poznanie swoje do stopnia prawdy, jeżeli upatrzywszy cząstkę z owej jedności w ramach harmonii, przedmiot swego poznania z tą treścią złączy.

Z liczby prawd docieczonych w ten sposób przez ludzkie pojęcia, są właśnie między innemi te: iż świat nasz jest utworem jednej łącznej myśli *(Idei)*, iż jego bieg to objawianie się szczegółów tej myśli (czyli, iż bieg idei składa się z biegu szczególnych idej), że wszystkie te idee większe i mniejsze są z sobą w związku, iż rozwój ich jest następstwem praw jednych; że przeto jakie są prawa cząstkowych, takie zbiorowych, jakie zewnętrznych, takie i wewnętrznych, iż ze znanych możemy wyprowadzać wnioski o mniej nam znanych i t. p. Tak uczą nas doświadczenia codzienne, tak dociekania racyi, tak owszem, rzec to można, sama religia, wszystkie bowiem prawie nauki ewangeliczne, zwłaszcza o przedmiotach rozwicia, sa w *przyrównaniach*.

Oto więc mamy przed sobą do objaśnienia ideę życia umysłowego danego kraju czyli dzieje jego literatury; aby oznaczyć bliżej ich szczegóły, według idei skróconej, blizko nam znanej, do czegóż je przyrównamy? Dzieje te jest to coś, co miało swój przebieg, więc swe rozwicie i życie; ideę tę możemy więc bliżej objaśnić przez przyró-

wnanie do wszelkiej innej, która ma też warunki, to jest swój przebieg, swoje rozwicie.

Przebieg dziejów naszej literatury moglibyśmy więc np. przyrównać do życia *kwiatka*, a wtedy wypadałoby nam wskazywać na epokę zabłyśnienia jej kiełek, wzrostu łodygi, kwiatu i t. p., lub moglibyśmy przyrównać ją do idei przebiegu *dnia*, a wtedy wypadałoby nam wskazywać na epokę zorzy, podnoszenia się słońca, południa, zniżania się słońca i t. p.; gdy jednak literatura to całość, w treści której przemaga pierwiastek duchowy, najlepiej więc rozjaśnimy nasz przedmiot, jeśli go przyrównamy do jakiejś całości, w której przemaga także pierwiastek duchowy, a którego ramy rozwicia dobitniej nam znane; całością taką jest np. właśnie każda jednostka ludzka, i dzieje literatury danego kraju najtrafniej objaśnić możemy, jeśli je przyrównamy do rozwicia myśli w jednostce.

Jakież to mianowicie są główne doby rozwicia myśli w jednostce?

Doby te, nader dobrze każdemu z nas znane, są to najprzód: czas wyłącznej przewagi zmysłów, czyli czas niemowlęctwa; dalej okres dzieciństwa, t. j. okres, w którym cały zasób poznania jednostki składa to tylko, co posłyszała od rodziców lub innych ludzi, to jest okres *pamięci;* dalej okres młodości czyli bujania przedewszystkiem władzy *fantazyi;* następnie męski, który odznacza *rozwaga* i t. p. Doby dziejów literatury polskiej musiały się więc rozwijać również na podobieństwo tego przebiegu.

Ale oto lud polski jak każdy inny, lubo był sobą, był też zarazem cząstką ludzkości; ta ludzkość jako idea także, idea żywa, miała równie pewne doby do odznaczania, a to, co odznaczać miała jej całość, odznaczać musiały i cząstki; nim więc powiemy o przebiegu umysłowości polskiej, jako o szczególe, musimy powiedzieć pierwej, co otrzymała była od ogółu.

Początek literatury polskiej przypada na koniec XI

a początek XII wieku ery chrześcijańskiej; jakież cechy odznaczały wtedy żywot *ludzkości?*

Ta ludzkość, której ogół żywota tak się rozwija przez ludy jak lud przez jednostki, w rozwinięciu swem musiała wyrażać równie też prawa jak lud, jak jednostka. Jakoż istotnie, po niemowlęctwie, odznaczył był niegdyś najprzód żywot ludzkości (w stronie jej umysłowej) okres pamięci, czyli *podań* od pierwszych czasów, co wydało było okres religii (wyraził go Wschód), po nim nastąpił okres młodości ludzkiej bujania fantazyi, stąd zakwitnienia głównie *sztuk pięknych* (uosobiła go Grecya); następnie nadszedł był okres męski wzrosłej rozwagi, okres, który przeciąga się dotąd, a który odznaczyło w samem zaczęciu zjawione *chrześcijaństwo* (jedyna, zauważmy, z rozlicznych religij świata, która dziś obejmuje wszystkie strony świata).

Wieki, w których lud polski przyjął był to chrześcijaństwo i rozpoczął żywot swój umysłowy, wyższy i jawny, czyli swoją literaturę, były to, jak dopiero rzekliśmy, wieki średnie, wieki, których znaną powszechnie cechą był upadek światła, powszechna ciemność; takie wieki czyliż się mogły mienić wiekami wyższej rozwagi, wyższego umysłowie znaczenia niż starożytne? Przedmiot ten znowu przeto chwili wyjaśnienia wymaga.

Założyciel chrześcijaństwa, panowie, w jednej z swych nauk, tych nauk, które były zawsze prorocze, mówiąc o przyszłym losie nauki swojej, rzekł: »takci jest Królestwo Boże (t. j. owo duchowe, które zakładał), jak gdy kto rzuca nasienie w ziemię: najprzód *trawa*, potem *kłos*, potem *pełne ziarno* w kłosie i t. d.« *(Mar. IV.)* Jakoż istotnie po wieku IV, który w literaturze kościelnej zwany był złotym, nastał był właśnie ów przeciągły a smutny umysłowie czas wieków średnich, tak jak po świetnych kiełkach rośliny (trawie) następuje monotonny czas jej łodygi, doba ta daje roślinie pozór nader różny od przyszłego jej kwiatu, przyszłego ziarna, ale jednak mimo ten pozór zawsze mieści w sobie całą ich treść. Jakoż objaśniając

przedmiot praktycznie, wspomnijmy np., iż za czasów największego nawet kwitnienia umysłowości w Grecyi i Rzymie, ogół mieszkańców w tych krajach za stwórców i rządców świata uważał posągi lub licznych bogów Olimpu, i tylko niekiedy jakiś szczególny mędrzec (taki np. Sokrates, Platon, Cyceron i t. p.) dochodził i nauczał, iż jedna jest przyczyna wszystkiego, jedna siła wszechkierująca, niemateryalna, i nazywali ją *Theos*, *Deus;* tu zaś śród wieków najgrubszych nawet cieniów w chrześcijaństwie, umysł każdego prostaczka wiedział to i wyznawał, że »Bóg jest *jeden*, jest *duchem*«. Uosobienie najgłębiej posuniętych dotąd dojść racyonalnych, spółczesny nam system Hegla, ten system, który mimo swe dwuznaczności w zasadach, co do wypadku nauczał, iż najwyższością w naturze jest *Duch*, iż ten jest w swej jedności *troistym*, iż tę troistość w jedności odbija i ludzki (podobieństwem jest jego), iż człowiek po rozdzieleniu się (przez grzech), przez komunię napowrót łączy się z nim; iż przebieg dziejów ludzkości, to wyrażanie się w szczegółach Królestwa Ojca, Królestwa Syna, Królestwa Ducha i t. p.: system ten, mówimy, jest to, rzec można, wyrozumowany, to jest podniesiony do racyonalnego wykładu katechizm chrześcijański; wszelki ów więc prostaczek z wieków średnich, który znał katechizm chrześcijański, był zarazem, rzec można, Heglem na swoją skalę; cóż mówić o etyce chrześcijańskiej z samej zasady swojej (uważania ludzi za dzieci jednego ojca) tak nad pogańską wyższej, a która w najciemniejszych nawet skądinąd wiekach przypominaną była każdemu z chrześcijan już przez ambonę, już przez konfesyonał. Literatura ludu, który przyjmował chrześcijaństwo, odrazu więc stawać musiała na wysokości pewnej, dawnym nieznanej, a wszelka religijna pieśń tego ludu, wszelka przed ołtarzem homilia, wszelki obyczajowy traktat, chociaż powtarzające napozór myśli zwykłe i monotonne, w istocie jednak pod niejednym względem żywotniejsze były praktycznie, niż nawet np. traktaty (tak skądinąd obfitujące w subtelność rozumowa-

nia takie, jak Arystotelesa o obyczajach, Cycerona o obowiązkach i t. p.

Pierwsza więc cecha, którą literatura polska zaczerpnęła była z biegu życia ludzkości, była to cecha już żywotności pełna, cecha chrześcijaństwa. Pierwsze ślady chrześcijaństwa w Polsce sięgają czasów przepowiadania pierwszych apostołów słowiańskich, św. Cyrylla i Metodyusza, którzy do obrzędów chrześcijańskich wnieśli język słowiański; ale od czasu stanowczego przyjęcia chrześcijaństwa przez lud i panujących, przeważnie władającym ukazał się w Polsce obrzęd łaciński. Język łaciński był całkiem niezrozumiałym dla ludu, gdy przeto szczegóły sprawowania niektórych sakramentów, nauki, śpiewy kościelne i t. p. wymagały koniecznie tego zrozumienia, okoliczność ta, równie w Polsce jak w Czechach, wcześnie powołała następnie do uprawy język ludowy. Obowiązek stosunków z Rzymem a stąd z Włochami, gdzie już od XI. wieku kwitły zakłady naukowe; udawanie się tamże na wychowanie młodzieży polskiej i obeznawanie się bliższe w ten sposób z językiem Rzymian, który miał już literaturę bogatą i był ówcześnie językiem piśmiennym wszystkich uczonych w Europie, wpłynęły znowu jak na wczesny ruch piśmienny śród kraju, tak i na cechy prędszej dojrzałości śród tego ruchu. Wszelki też następnie wypadek, korzyść lub strata, które mnożyły lub wstrzymywały na Zachodzie uprawę umysłową, jak np. wynalazki kolejne: papieru z bawełny, ze szmat płóciennych (które zastępując kosztowne pergaminy i papyrusy tak ułatwiły krążenie rękopismów), zakładanie bibliotek, wynalazki następnie ksylografii, druku, przeniesienie się rękopismów greckich na Zachód, reformy religijne i skutki ich i t. p., wszystko to, mówimy, wpływało też bezpośrednio i na dzieje literatury polskiej, na jej żywszy lub powolniejszy ruch, jej charakter i t. p.

W takich ramach zasad i wpływów rozpoczęła i rozwijała literatura polska swoje istnienie. Jakież zarazem

szczegóły odznaczyły były wewnętrznie pierwszy jej okres? Po wieku *niemowlęctwa,* który to wiek, jak wyraża samo brzmienie tego wyrazu, nie może jeszcze należeć do literatury, nastąpił był, poczynając od wieku XII., okres obudzonego śród kraju życia umysłowego, którego charakter istotnie nie inaczej pozwala go nazwać jak okresem *pamięci.* Przez charakter jakiś okresu, tak jak człowieka, nie należy naturalnie rozumieć *wyłączności* jakowychś cech, lecz tylko ich *przemaganie;* umysł ludzki w każdym i zawsze całością jest w sobie i ma w sobie wszystkie swe władze, a tylko od przemagania cech jednych nad drugie ma nazwisko charakter jednostki. I dziecko np. ma i swe fantazye i swe morały, ale te nikną bez śladu i dlatego nie uważają się za charakterystykę stałą umysłu dziecka. Ów okres literatury polskiej, o którym mówimy, okres, który przeciągnął się od przyjęcia chrześcijaństwa do rozszerzenia życia umysłowego w kraju przez druk, w ogóle swoim nie wyłącznością jakowąś także, ale owszem rozmaitością odznaczył się był faktów piśmiennych i cech umysłowych krajowych. Ukazały się już były w nim pieśni tak religijne jak i historyczne, księgi praw, uprawa umiejętności, uprawa nauk. Założona w ciągu tego okresu Akademia Krakowska, obejmująca wydziały: teologiczny, filozoficzny, lekarski i prawny, ściągała w XV. wieku licznych słuchaczy nie tylko z kraju, ale też z Niemiec, Czech, Węgier, Danii i innych krajów. Członkowie jej liczne i różnorodne ogłaszali już prace, a liczba rękopismów tej akademii z wieku XV. ustępować ma tylko paryskiej. Wszakże jeżeli zwrócimy uwagę na rzetelne tych wszystkich produkcyj znaczenie: wewnętrzne ich bogactwo, o ile je znamy, nie odpowiadało wcale ilościowemu.

Żadne wyższej i stałej wartości pismo poetyczne, albo filozoficzne nie ukazało się w kraju przez cały ten okres. W obu działach tych były tylko tłumaczenia, naśladowania, lub nader słabe początki. Lecz obok tego ukazała się jednak wśród okresu zarazem i gałąź oryginalna, która wy-

górowała nad inne i która wydała utwory nie tylko liczne, lecz świetne i będące stałego znaczenia dotąd w literaturze, a tą była gałąź zapisująca podania krajowe, czyli gałąź *kronik*. Od kroniki z czasów Bolesława III., zwanej kroniką Galla, do Długosza, przeciągał się w kraju, bez przerwy prawie, szereg kronikarzy rozmaitością zalet odznaczonych. Każdy prawie wśród kraju, przez całą tę epokę, umysł żywszy, a tem samem odbijający więcej naturę epoki, nie co innego pisał jak kronikę. Jakoż np. autor jednej z najoryginalniejszych produkcyj tego okresu: *Kadłubek*, może nawet właściwie lepszym był poetą i filozofem niż kronikarzem, party jednak naturą wieku, myśli swe spekulacyjne i poetyczne nie w innych ukazał nam ramach, jak w ramach kroniki. Okres ten, który, jak to widzimy, był istotnie *okresem pamięci*, uważany sam w sobie odbił znowu, uważać to można, na skalę mniejszą, też doby biegu idei: Gallus i roczniki wyraziły w nim dobę pamięci, Kadłubek fantazyi, Długosz rozwagi i t. p.

Okres literatury polskiej następny, t. j. od początku XVI. do połowy XVIII. stulecia, wypływ i dziecko prac poprzedniego, ma nazwisko złotego w naszej literaturze. Kraj w nim istotnie, jak tego mamy liczne świadectwa i w pismach cudzoziemskich ówczesnych, odznaczył się był bogatą i świetną umysłowością, a wewnętrzne dowody jej bogactwem produkcyj wyraził. Utwory te, obszerne i liczne, były większej jeszcze niż w poprzednim rozmaitości: teologia, polityka, dzieje, administracya, wszelka gałąź umiejętności i nauk, foliowe nam z tego czasu wolumina przekazały. Ale był to okres młodości myśli krajowej, okres *fantazyi*, to więc, co głównie go odznaczyło, co było najwięcej oryginalnem a najliczniejszem: były to utwory *poezyi*.

Nie wszyscy wprawdzie pisarze Polski poprzedniego okresu zaliczani być mogą w okresie tym do polskiej literatury. Dawna ziemia Piastowska, Szlązk, której kronika jeszcze z wieku XV. zosta nazwisko: *Chronicon Polono-*

rum, w pismach której, a mianowicie w *Statutach biskupów wrocławskich* najpierwej się ukazały w druku wyrazy polskie (Modlitwy i Początek Ewangelii św. Jana), gdzie lud wiejski dotąd nawet mówi po polsku, ziemia ta, mówimy, w okresie tym ukazała się już z przejętą cywilizacyą niemiecką, a jakkolwiek odbijając epokę umysłowości krajowej, odznaczyła się także poezyą, poezya jej jednak, znajoma pod nazwiskiem *Szkoły szląskiej*, należy już do literatury niemieckiej, i założyciel jej Marcin *Opitz* (zapewne *Opeć* [1]), sekretarz przez lat kilka króla Władysława IV., jest uważany nawet za ojca nowej poezyi niemieckiej.

Jeżeli jednak misyą było w ten sposób umysłowości polskiej wpłynąć na uczynienie zwrotu, w niemieckiej tedy nawzajem (w tem ogólnem a łącznem rozwiciu familii ludzkiej) misyą było, uważać można, umysłowości niemieckiej, wpłynąć na rozwinienie i owszem, rzec można, na utwór literatury polskiej. Mistrz zakonu Krzyżaków, Albert Brandeburski, stawszy się przy początku XVI. wieku (w skutek sekularyzacyi i uznania wuja) dziedzicznym panem Księstwa Pruskiego (tak nazywanych u nas następnie Prus Książęcych), za jeden z celów swego długiego rządu obrał był połączenie wszystkich mieszkańców tego księstwa jednością wiary; wielka część ludności miejskiej i wiejskiej księstwa używała wtedy języka polskiego; starał się więc o upowszechnianie nauk religijnych w tym języku. W tym celu odnosił się do *Melanchtona* o nadesłanie do akademii królewieckiej teologa biegłego w języku polskim, do miast i wiosek sprowadzał kaznodziejów polskich i wreszcie nagradzał i zachęcał do uskuteczniania przekładów i ogłaszania w języku polskim: ewangelij, postylli, śpiewników i katechizmów protestanckich. Wykonanie i pierwsze ogło-

[1] Rodzina *Opeciów* z Krakowskiego znaną była z miłości zajęć piśmiennych (Baltazar Opeć). Szkoła szląska była początkiem nowego smaku i form dzisiejszych w poezyi niemieckiej, ale przerwała była pierwotne rozwicie się jej oryginalno-germańskie.

szenie drukiem przekładu na język polski *ewangelij* przez *Seklucyana* sprawiło epokę w literaturze [1].

Przekład ten powołał tak katolików jak też wyznawców sekt wszelkich do dopełniania i ogłaszania własnych. Ukazało się wnet kilka całkowitych przekładów biblii, kilkanaście różnych wyznań postylli, śpiewników, katechizmów, już nietylko w Królewcu i Gdańsku, ale wśród różnych stron kraju; ruch piśmienny nagłym krokiem się podniósł, użytek języka krajowego w uprawie wszelkich gałęzi pisma stał się powszechnym i podczas gdy młodość i żywość fantazyi wśród sfery religijnej stawała się źródłem mnożenia się i ścierania się sekt (co lubo żywe, ale przemijające tylko wydało objawy), w gałęziach czysto świeckich odznaczyła się była mianowicie i zakwitła nad inne produkcye: gałąź poezyi.

Gałąź tę pierwszy wśród kraju stworzył i najobficiej zaraz od pierwszego kroku odznaczył, urodzony i wychowany na Rusi Halickiej, ale także poparty jawnie wzorem i nauką pisarzy pruskich, *Mikołaj Rej*.

Pisma Reja raz natchnąwszy spółczesnych do nowej drogi, tak następnie zatarte zostały popularnością następców, tak same nie przystały do smaku ogółu, tak mimo swe niezwykłe zalety znikły nawet były z obiegu w kraju, że chcąc dziś wspomnieć i oprzeć się na zasłudze tego pisarza, trzeba o tej rzeczy tak dawnej mówić jakby o nowej.

Z obszerniejszych pism Reja przedrukowanem tylko było w ostatnich czasach jego *Zwierciadło*, i odtąd autor ten był stawiony wysoko przez krytykę jako pisarz prozy; gdyby jednak i wszystkie inne pisma jego były również bliżej poznane, takiż stopień a może i wyższy przyznanoby mu i w poezyi. Rej wprawdzie jak najdalszym był od tego, aby uprawiać sztukę dla sztuki, celem owszem każdego jego

[1] Poprzednie przekłady biblii w Polsce czynione tylko były dla użytku królowych i pozostawały w rękopismach.

pisma, każdego poematu, każdego nawet wiersza w poemacie był *moral;* autor ten może nawet istotnie większym był moralistą, aniżeli poetą; lecz jako za poprzedniego okresu, Kadłubek swój poetyczny talent i swe filozoficzne myślenie zmuszonym był wyrażać w formie kroniki, tak Rej, party potrzebą i charakterem swej epoki, morały swe był przymuszony ubierać w szaty poezyi. Rymotwórcza płodność tego autora była niezmierną. Z głównych oryginalnych pism jego, jakiemi były: *Żywot Józefa, Zwierzyniec, Wizerunek, Zwierciadło,* to ostatnie tylko jest prozą a wszystkie inne wierszem. Żywot Józefa i Zwierzyniec obejmują każdy po kilka tysięcy wierszy. Wizerunek ma ich 21.000. Treść każdego z poematów tych jest i oryginalna i ruchu i myśli pełna; dosyć tu będzie dla przykładu przypomnieć na treść ostatniego z nich, jako tego, który jest najmniej znanym a jest najobszerniejszym. Bohaterem poematu *Wizerunek* jest młodzian, którego trawi żądza osiągnienia doskonałości. Nie zaspakajają go rady żywych, idzie więc do kraju umarłych; tu go spotykają i po kolei uczą: różni mędrcy greccy i Zoroaster; mało zaspokojony, przechodzi w kraje powietrzne: tu go spotyka Eliasz, wiedzie do raju, wracając zaś spotyka go jeszcze Arystoteles i kończy szereg morałów. Nazwiska mędrców są nazwiskami rozdziałów czyli pieśni poematu, a odcienie ich nauk, odcieniami treści tych pieśni.

Ujrzymy kiedyś, panowie, poznając bliżej ten poemat, iż liczne wiersze jego nie ustępują nieraz gładkością i siłą wierszom najlepszych poematów naszych z wieku XVIII., treść zaś rozdziałów nieraz jest godną mistrzów, których nazwiska noszą, i lubo poemat ten wogóle nie dorównywa siłą fantazyi poematom sobie spółczesnym Ariosta i Tassa, jednak wiersz jego nader przypomina heksametry greckich niegdyś filozofów: Ksenofanesa, Parmenida, Empedokla i in., którzy także, parci wtedy naturą swego okresu, rozumowania swe zmuszeni byli wykładać w kształtach poema-

tów [1]. Pod wizerunkiem Reja, który był umieszczony przez wydawcę na czele tego poematu, z r. 1550 znajdujemy kilka wierszy łacińskich, a śród nich te wyrazy: *Noster hic est Dante:* a porównanie to nie było próżnem zasady. Rej istotnie jak Dante pierwszym był w kraju, który do obszernego poematu odważył się był użyć języka pospolitego, jak Dante odbił w swych pismach: zwyczaje, obyczaje i charaktery miejscowe swojego wieku (jego *Zwierciadło* było rzeczywistem zwierciadłem czterech wieków współczesnego mu życia ludzkiego, a *Zwierzyniec* rzeczywistym zwierzyńcem allegorycznym, t. j. widokiem najrozmaitszych spółczesnych mu indywiduów żywych: historycznych, urzędowych, prywatnych i t. p.); jak Dante, był on autorem poematu wielkich rozmiarów i w którym miejscem akcyi są kraje zaziemskie, a działaczami zmarli; dodajmy, iż jak w Komedyi Danta nuży nas monotonność obrazów, wśród których autor każdego Gwelfa osadzał w piekle a Gibellina do nieba przeznaczał, tak w Wizerunku nuży nas monotonność wielu morałów powtarzających się od początku do końca; i jak Komedyi Danta zjednały głównie popularność i życie kilka ustępów, tak też w Wizerunku jego wartością główną są ustępy. Mimo jednak tę liczbę podobieństw, los tych dwóch poematów nader był różny i dziś kolosalność imienia Dante, znanego we wszystkich literaturach Europy, nader odbija od imienia Reja, nieznanego nawet w swym kraju. Jakiż właściwie był powód takiego skutku? Powodem wyginienia w kraju pism Reja nie była ta okoliczność, iż Rej był protestantem; wiek, który nastąpił po Reju, był to owszem wiek protestantyzmowi przychylny i niejedno z pism protestantów (jak np. Bielskiego »Kronika Świata«) po kilka wydań miało; niektórzy krytycy nasi dawni (np. z prowincyi *pruskiej)* bywali protestanci, a jednak nie podnosili go; lecz »Wizerunek« Reja

[1] [Rozprawę Tyszyńskiego o tym poemacie Reja znaleźć można w »Wizerunkach polskich«].

popularności nie miał, był bowiem zapoważny i długi dla poczynającego dopiero miłować poezyę kraju, był nadto więcej filozofią, niżeli poezyą, której pożądał okres, a nadto jak z jednej strony filozoficzne zdania (jak to także kiedyś ujrzymy), jakkolwiek ubrane w cechy wyższych poglądów, niejednokrotnie były w nim z gruntu sprzeczne i nie mogące się z sobą złączyć: tak z drugiej liczne jego ustępy odziane w wiersz harmonijny i silny, tonęły tu w odmęcie wierszy rozwlekłych, prozaicznych i kalekich w budowie swojej. Reja artystyczne uczucia i rozumowe pojęcia były, rzec można, w równym stopniu rozwicia: raz on oswobodziwszy myśl swoją, jak mianował, z więzów katolicyzmu, a słowo z więzów łaciny, wypuścił był swe utwory, możnaby rzec, galopem; stąd też jednak zmuszone były następnie stanąć wśród drogi. Taki był los pism Reja, a jednak była to posągowa postać, widzimy, w zaczęciu epoki nowej i była ubraną w szaty *poezyi*.

Inne były zalety, a stąd i odmienny los spółczesnego mu prawie poety, Jana Kochanowskiego. Wyższy pierwotnem ukształceniem, piszący nie tylko językiem własnym, lecz i łacińskim, Kochanowski mniej wprawdzie w swych utworach unosił się lotem fantazyi, mniej szczegółowym był w rozwijaniu odcieni pojęć, mniej nawet rozmaity i ozdobny w szczegółach opisowych; prześcignął jednak w tem Reja, iż więcej był wykończony w produkcyach, t. j. iż te lubo drobniejszą, ale loiczną wewnętrznie i artystyczną zewnętrznie zwykle dawały całość. Wyborny w wielu przekładach (z greckiego, łacińskiego, włoskiego), wybornym też był istotnie i nieraz z gruntu oryginalnym w utworach własnych, a mianowicie pieśniach, dramacie, wierszu opisowo-dziejowym, elegiach na śmierć dziecka i t. p. Popularność też jego była wielka (sam Psałterz w ciągu lat pierwszych kilkunastu miał kilkanaście wydań), przez całe następnych lat 200 powszechność go czytała, poeci naśladowali, nad innych stawiła krytyka. Sam *Braun*, który w zdaniach swych o pisarzach polskich nie sły-

nął, jak wiadomo, z panegiryków, mówiąc o pismach Jana Kochanowskiego, wyraził: »in latino carmine eruditus et bonus, in polonico vero *eminentissimus* poeta«.

Po takich hasłach, danych przez Reja i Kochanowskiego, droga ich, t. j. droga poezyi, stała się, jak to już rzekliśmy, przeważającą w rozwiciu literatury. Odznaczyli się też wprawdzie świetnie pismami w tymże okresie, wśród innych w polityce: *Orzechowski*, *Górnicki*, *Modrzewski*, w pisaniu dziejów: *Kromer*, *Bielski*, *Stryjkowski* (pierwszy z nich był skrócicielem, drugi w części tłumaczem *Długosza*, ostatni przez połowę pisał wierszami); i w polemice religijnej: *Wujek*, *Skarga*, *Warszewicki* i wielu innych; lecz jako np. ani *Hozyuszowi*, ani *Kopernikowi*, wysokim pisarzom z tegoż okresu, nie dajemy nazwiska poetów, jakkolwiek obaj pisali poezye; tak i okresowi literatury (mówimy tu o *literaturze właściwej*) dla kilku pism dobrych i choćby nawet wybornych prozy, nie możemy nadać nazwiska od żadnej gałęzi prozy, jeżeli obok tej była gałąź górująca i liczbą produkcyj i oryginalnością ich i popularnością, a taką pośród okresu tego była, powtarzamy, poezya. Poeci w formach i treści, nieraz takiej oryginalności i takiej zalety jak: Sebastyan *Klonowicz*, Symeon *Symonowicz*, Kacper *Miaskowski*, a obok nich: Marcin *Bielski*, *Szarzyński*, *Wiśniowski*, *Zbylitowscy*, *Wieszczycki* i tylu innych; byli to wszystko spółcześni prawie Janowi Kochanowskiemu. Do tegoż okresu należą: *Jagodyński*, *Baryka*, *Rybińscy*, *Szymon Zimorowicz*, poeci strojni; a także liczny zastęp poetów piszących językiem łacińskim, poczynając od Klemensa *Janickiego* do *Sarbiewskiego*. Dykcyonarz poetów polskich Juszyńskiego, obejmujący tylko poetów do połowy XVIII wieku, wylicza 1500 nazwisk i 500 anonimów poetów, a największa ich część przypada właśnie na okres, o którym mówimy. Wierszami w tym czasie, jak dopiero rzekliśmy, nieraz nawet były pisane dzieje, wierszem nieraz prowadzone polemiki religijne, wierszem uczono filozofii, wierszem heraldyki, wierszem sztuki woj-

skowej, wierszem medycyny i t. p. Jak była niezawisłą w pomysłach, a wiążącą się w tym okresie z każdym przedmiotem, fantazya krajowa, dosyć tu wreszcie wspomnieć na ów dramat przedstawiany przez akademików krakowskich przy początku tego okresu, który nosił nazwisko: *Akademia Krakowska*. Dramat ten, jakby trylogia, dzielił się na trzy części: 1) przedstawiała historyę oświecenia w kraju przed założeniem akademii krakowskiej i obejmowała aktów VIII; 2) historyę w czasie założenia i obejmowała aktów VIII; 3) historyę po założeniu, aktów VI.

Z połową jednak XVII. wieku upadły fantastyczne i poetyczne, a inne, cechujące więcej charakter literatury, wystąpiły pierwiastki. Przykład dworu, od Batorego mówiącego makaronicznie, sposób uczenia po szkołach i akademiach (odbicie powszechnego wtedy w Europie), nie sprzyjający kształceniu smaku, nierodzenie się wreszcie talentów, były przyczyną, iż w epoce tej upadły uczucia piękna, smak się powszechny zepsuł, a naturalny wzrost myśli i życie myśli w odmiennego rodzaju musiało objawić się kształtach.

Fakta piśmienne, które odznaczyły przewagą swoją okres ten nowy, były to: ustalenie się takich lub innych owoców po religijnych sporach, zwrócenie rozwagi na umysłowe produkcye własne, czyli ukazanie się bibliografii i krytyki, zamienienie się kronik na szczegółowsze dzieje wewnętrzne, odbite w tak nazywanych dyaryuszach, pamiętnikach, herbarzach, żywotopismach i t. p., i wreszcie zastanawianie się coraz bliższe i praca nad poprawą urządzeń krajowych.

Wieki XV., XVI. i XVII., które w całej prawie Europie były głównie wiekami religijnych sporów, charakter ten swój wyraziły były i w Polsce nader dobitnie. I owszem, tolerancya, która w tym kraju zaręczoną była w w. XVI. ustawą krajową i stanowiła nawet jeden z artykułów *paktów konwentów* dla obieranych królów, sprawiła była, iż literatura, polemik tych dotycząca, jakkolwiek w swych

produkcyach przechodnia, była tu jednak bogatszą jeszcze aniżeli gdzieindziej, nie tylko bowiem protestanci, reformowani, ale też ścigani w całej Europie sakramentarze, unitaryści i socynianie znajdowali tu i przytułek i nawet swobodne pole do ogłaszania swych nauk. Założona w Rakowie przez socynianów szkoła liczyła do 1000 uczniów, a Raków i Pińczów, gdzie się głównie ogłaszały ich pisma w dwóch językach, miały w Europie nazwisko Aten aryańskich. Różne te sekty, wyznania, wiodły tu walkę żarliwą nie tylko z katolicyzmem, lecz między sobą; każde z wyznań ogłaszało przytem swe dzieje, swoje nauki, żywoty swych mistrzów i t. p. i literatura w przedmiocie tym ukazała śród kraju do 1000 produkcyj. Gdy skutkiem tych z całą swobodą prowadzonych sporów stał się następnie w większej części kraju powrót do jedności pierwotnej (który to powrót stał się był nawet następnie powodem do smutnych ucisków przez uformowane większości), wyrazem religijnego kierunku w obecnej epoce były dzieła teologów i kaznodziejów z XVII. wieku, w znacznej liczbie z talentem i nawet bez spółczesnych im makaronizmów piszących, wyrazem zaś opinij przeciwnych pozostał foliowy zbiór rozpraw, wydany już w r. 1656 za granicami kraju p. n.: *Bibliotheca Fratrum Polonorum.*

Bibliografia i krytyka, które w pierwszej epoce naszej literatury były prawie nieznane, w obecnej bogatą już reprezentacyę znalazły. Krytyka za epoki pierwszej była u nas tylko odbiciem martwych przez się reguł scholastyki. Ogłaszane pod okiem Akademii w Krakowie traktaty estetyczne ograniczały się do nauki pisania listów; wykłady poezyi do zdań o składni, wyrazach i t. p. Uczony akademik krakowski Dombrówka, pisząc obszerny komentarz do Kroniki Winc. Kadłubka, zastanawiał się i rozróżniał pilnie, jaka jest tej kroniki *causa materialis*, jaka *causa finalis* (*materia circa quam* i *finis propter quem*), w komentowaniu jednak następnie przytaczanych przez nią szczegółów, tych nawet, które były jawnie bajeczne, myślał tylko o objaśnia-

niu znaczenia ich, nie o ich rozbiorze. W epoce drugiej spotykamy już nieraz zdania o talencie, znaczeniu, geniuszu danych pisarzy, mianowicie poetów; dziejopisarze Stryjkowski, Sarnicki i inni mówią owszem wyraźnie co chwila o *krytyce*, a w wywodach swych o przodkach krajowych i szczegółach dziejów pierwotnych są erudycyi pełni; właściwie jednak krytyka i sztuki i dziejów w całej tej epoce (stosownie do jej wewnętrznej natury) była raczej *fantazyą* jak krytyką. W tej trzeciej jednak, za hasłem danem przez Warszewickiego, a za nim Starowolskiego, pracownicy tacy jak *Hoppiusz*, *Załuski*, *Jabłonowski*, *Janocki*, *Lengnich* i wielu innych stworzyli i świetnie dźwignęli śród kraju gałąź bibliograficzną; a krytykę, już tego nazwiska godniejszą, co do dziejów odznaczyli: w środku okresu *Braun*, przy końcu *Naruszewicz*, co do sztuki: w środku okresu *Konarski*, przy końcu: *Piramowicz*, *Dmóchowski* i inni. Krytyka tych pisarzy wychodziła wprawdzie wyłącznie z przeważających podówczas zasad sądu materyalnego, była już jednak, lubo w tych ramach, rzeczywistą *rozwagą*.

Co do dziejów, miejsce kronik, określających ogólne wypadki zewnętrzne, zajęły w tym okresie dyaryusze czyli dzienniki i pamiętniki osób mających udział w wypadkach, a które do strony dziejów ogólnej dodawały szczegółową, wewnętrzną. Dzienniki i pamiętniki pisali w tej epoce ledwo nie wszyscy, którzy tylko zdolni byli do sztuki pisania, począwszy od hetmanów i mężów stanu (jak *Żółkiewski*, *Chodkiewicz*, *Tyszkiewicz*, *Radziwiłłowie*, *Chrapowicki*, *Wydżga*, *Zawisza* i t. p.), do prostych towarzyszów broni i ziemian jak *Maskiewicz*, *Jemiołowski*, *Jerlicz*, *Pasek*, *Obuchowicz*, *Cedrowski* i inni bez liczby, których notatki i pisma lub już są drukowane w pamiętnikach i innych zbiorach, lub jeszcze w rękopismach zostają. Autorowie *Herbarzy* (śród nich głównie *Niesiecki)* dodali także w epoce tej kopalnię do szczegółów wewnętrznych dziejowych.

Wszyscy też inni główni pisarze okresu byli to *moraliści*, wołający już o poprawę obyczajów krajowych (jak

Opaliński, *Fredro* Maksymilian, *Lubomirski* i t. p.), już sposobu rządu i ustaw, począwszy od pisma Starowolskiego *Reformacya*, do pism *Konarskiego* łacińskich, króla *Leszczyńskiego* francuskich, i późniejszych statystów.

Okres ten był to, mówimy, okres wzrosłej rozwagi, wszelka cząstka całości umysłowej musiała tu więc już w sposób taki lub inny odbijać tę cechę, jakoż i poezya mimo zejście swe na plan drugi i trzeci nie mogła w nim nie ukazywać swoich reprezentantów, a cechy sobie właściwej. Religijność i historyczność były źródłem obfitych poetycznych produkcyj pod piórem *Kochowskiego* i *Twardowskiego;* ale smak wieku odznaczał ich rytmy cechą nie zaręczającą im trwania, a wierszom gładszym kazał w rękopismach spoczywać. Koniec tego okresu a zarazem tego całego piśmiennego, o którym mówimy, jakby powtarzając żywot łabędzia, odznaczył się także śpiewem. Poeci, którzy go wyrazili (poeci dworu Stanisława Augusta), byli to poeci szczególnej gracyi, wszakże te więzy rytmu i myśli, których stosownie do ducha wieku w utworach swych przestrzegali, sprawiły, iż żaden z nich nie stał się mistrzem szkoły nawet w swym kraju i wiek ich nie uważa się wcale za wiek poezyi.

Te były rysy wewnętrzne główne przebiegu naszej literatury dawnej; czyliż i jakie wywarła ona wpływy na dzieje ogólnej?

Szczegóły literatury polskiej, prac jej pisarzy, nie tylko wywierały wpływ na bieg umysłowości krajowej, ale też razem i europejskiej, już przez to samo, że większość ich była pisaną w ogólnym europejskim języku i ogłaszaną była w różnych miastach Europy. Wszystkie prawie głównych pisarzy krajowych utwory pisane językiem łacińskim, nawet o dziejach i literaturze krajowej, ogłaszane były nie w kraju, ale za granicami kraju, a mianowicie w miastach: *Bazylei*, *Kolonii*, *Rzymie*, *Paryżu*, *Wiedniu*, *Amsterdamie* i t. p.; tam były drukowane, tam miały odbyt, tam się powtarzały wydania ich. Co do za-

sługi, jedne z tych pism przynosiły materyał nowy a żywy do swych gałęzi, inne ozdobę ich stałą, inne wreszcie sprawiały nawet epokę w umiejętnościach.

Tak jeszcze w wieku XIII. *Vitellio* z Krakowa (Ciołek), wydaniem swych ksiąg X o optyce stał się ojcem tej nauki w Europie. Kronika cesarzy i papieży *Marcina Polaka* z tegoż wieku uważać się może za jeden z najdawniejszych przykładów pisania historyi powszechnej w chrześcijaństwie (wielu ją uważa za pierwszy). Kazania tegoż *Marcina Polaka* i *Mikołaja z Błonia* były to pierwsze, które wydrukowano w Europie po wynalazku druku. Z Akademii krakowskiej wyszły były pierwsze pomysły za wieków nowych kraniologii i fizyognomiki *(Jan z Głogowy)*, pierwszy projekt reformy kalendarza przesłany do Rzymu *(Marcin z Olkusza)*, pięcioletni jej uczeń *(Kopernik)* sprawił epokę w umiejętności gwiazdarskiej. Wpłynęli też na ogólny postęp w swoich gałęziach Michał *Sędziwoj* pismami o chemii, *Struś* nauką o pulsie i t. p. Teologiczne traktaty *Hozyusza*, *Kromera* i innych miały po kilkanaście wydań i tłumaczone były (równie jak innych ich spółkrajowców z w. XVI.) na wszystkie prawie języki europejskie. Abraham *Bzowski* miał płacę i pomieszczenie na Watykanie dla pisania ogólnych dziejów kościoła i wydał ich tomów kilkanaście.

Poeci *Janicki*, *Dantyszek*, *Symonowicz*, *Sarbiewski* za swe poezye łacińskie wieńczeni byli przez papieży lub przez cesarzy. Zaś pisma o urządzeniu kraju, prawach i t. p. pisarzy takich jak *Ostroróg*, *Orzechowski*, *Modrzewski*, *Goślicki*, *Warszewicki* i tylu innych, jakkolwiek odnoszone do urządzeń kraju własnego, rozszerzały w Europie nowe dla niej wyobrażenia, które tam dopiero w wieków kilka zastosowanie mieć miały.

Ruch umysłowy w Polsce musiał też z powodu jej położenia wywierać wpływ na Europę wschodnią. Pierwsze w świecie książki słowiańskie, które się ukazały w druku, były to wydrukowane przez Fiola w Krakowie przy końcu

XV. wieku *Ośmiohłaśnik* i *Czasosłowiec*. Z polskiego tłumaczono książki na ruski już w wieku XVI, a historycy literatury ruskiej wzmiankują, iż na wzór polskich zakładane były na całej Rusi szkoły i naśladowanym był zwyczaj mówienia kazań.

Kończąc to przemówienie wstępne, nie możemy tu jeszcze nie dodać koniecznej uwagi. Wszystko, co dotąd mówiliśmy, stosuje się do treści literatury polskiej dawnej, czyli do ukończenia się jej z wiekiem XVIII. Wiek ten zakończywszy jej koło, t. j. w oddzielnych warunkach jej przebieg, nie stał się jednak ostatecznem jej zakończeniem. Oryginalne następnie losy sprawców tej literatury wpłynęły nawet na oryginalność literatury. W wykładzie naszym zajmować się głównie będziemy ową literaturą dawną, zawód bowiem pisarzy nowych, a stąd i charakterystyka ich nie są jeszcze po większej części skończone, nie przeszły próby czasu, a nadto treść ich jako spółczesnych, każdemu prawie z zajęć domowych jest znaną. Z tego jednak, co nam wypadnie wspomnieć, ujrzymy, iż nasza piśmienność nowa nie tylko nie ustępuje z wielu względów dawnej, ale nie z jednej strony jest nawet bogatszą. Bogatszą jest np. rozszerzeniem ram, bogatszą ilością piszących, a mianowicie bogatszą jest przez to, iż się w niej nie przestają rodzić talenta żywe, których siła słowa i myśli wyższą jest przytem o ogólną wysokość trzech wieków. W gałęziach mianowicie poezyi i filozofii mamy z ostatnich czasów pisarzy, którym być może i sam bieg czasu nie odbierze pierwszych stopni w tych ich gałęziach.

Mówiliśmy już o harmonii śród świata. Uważaliśmy, iż jakie prawa rozwija okres, takie i podokres; jeżeli teraz ten cały ogólny okres, o którym tu była mowa, zamiast zwężać, zechcemy przeciwnie rozciągnąć, jeżeli np. literaturę polską uważać będziemy za pewną jakąś rozwijającą się całość roślinną z niedokończonem rozwiciem, tedy może wypadnie nam owszem uznać, iż ów skądinąd tak bogaty piśmiennie wiek jej XVI., i który nazywaliśmy złotym, był

to właściwie dopiero wiek zabłyskania jej świetnych kiełek, a że czas kwiatu jej przypada raczej na nasze czasy.

Pracujmy więc, panowie, i pilnie — uczmy się miłować, co piękne, obierać, co trudne; a może torem dawnym i torem ciągłym potrafimy i dalej dodawać kamyki żywotne, do wznoszonego przez ludzkość gmachu wiedzy i piękna. Jedną z drobnych pomocy w tej drodze, niech też nam będzie zajmowanie się naszym przedmiotem.

II.

O PISARZACH HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

Wypada mi najprzód powtórzyć, co powiedziałem przy początku 1-szej prelekcyi, że długą drogę mamy przed sobą, t. j. mamy do poznawania literaturę, która już chronologicznie nawet nader jest zamożną. Nim zatem przystąpimy do zamierzonego poznawania bliższego jej faktów, t. j. jej utworów, powiemy tu najpierw o tych pomocach, które już są poczynione na tej drodze, czyli o pismach, które się już zajmowały tym przedmiotem, lub jaśniej, mamy tu mówić o pisarzach historyi literatury polskiej.

Nie mamy tu mówić właściwie o źródłach literatury polskiej (lubo nazwisko to nadawanem bywa niekiedy temu przedmiotowi); do źródeł bowiem literatury należą tylko: biblioteki, księgi, rękopisma itp.; ale mamy mówić o pismach, które się poświęcały spisywaniu tych źródeł i służą jako pomoc w odszukaniu ich lub użyciu. Znajomość ich ułatwi każdemu z panów możność zajmowania się samym tym przedmiotem, lub nauczy, gdzie szukać należy pomocy podręcznych dla posiadania i skróconego widoku tego, o czem tu w ciągu wykładu naszego będziemy mówić obszerniej, lub też ułatwi także odszukiwanie środków do większego udokładnienia kiedyś tego przedmiotu.

Nie mamy tu jednak także mówić o *wszystkich* pismach, które obejmować mogą podobne źródła; liczba pism

takich prawie jest nieskończona. Każda prawie krajowa kronika, żywoty szczególnych osób, dzieje klasztorów, zakładów naukowych, dzieje krzewienia się różnych wyznań, dysputy religijne, piśmienne: te i podobne tym pisma mieszczą mnóstwo pomocy, faktów, należących do obrazu i historyi literatury; — ale mamy tu tylko mówić o pismach, które z zadania swego zajmowały się przebiegiem literatury krajowej.

Pierwsza epoka historyi naszej literatury nie przekazała nam żadnej pomocy ogólnej do znajomości siebie; zaledwie w jednej lub drugiej kronice, w jednym lub drugim żywocie natrafiamy na wzmianki o pismach danej osoby; ale nie mamy, a przynajmniej nie znamy dotąd, żadnego nawet spisu roczników, kronik lub rękopismów jakiegoś zbioru, np. rękopismów Akademii krakowskiej itp., któryby był sporządzony w owej epoce.

Epoka jagiellońska, tak bogata w produkcye piśmienne i w pismach której częściej się już spotykają o faktach piśmiennych wzmianki, nie przekazała nam także żadnej pomocy do poznania ogółu zajęć, pism i ogłoszeń. Dowiadujemy się np. dzisiaj dopiero z historyi literatury czeskiej i rosyjskiej o istnących w nich z wieku XVI przekładach z języka polskiego [1] pism, o których bytności sami u siebie nie wiedzieliśmy. Gorliwość bibliograficzna, obudzona u nas w wieku dopiero XVIII, po tylu klęskach krajowych, pożarach, wojnach, niedostateczną snadź była już do odszukania i zgromadzenia wszystkiego, co było pisanem i ogłaszanem w kraju.

Pierwszem źródłem, prawie nieznacznem, z którego miał następnie rozpłynąć się głośny strumień; iskierką, z której wybuchnąć miał dalej kiedyś płomień poszukiwań i zajęć bibliograficznych; pierwszem, słowem, pismem, z którego, jak z ziarna, miał się kiedyś rozrość i podrość kłos

[1] W literaturze czeskiej istnie przekład komedyj Terencyusza z wieku XVI, dokonany z polskiego. Richter w Historyi medycyny w Rosyi wspomina o piśmie z wieku XVI, tłumaczonem z polskiego.

bibliografii, a następnie historyi literatury, było to szczupłe dziełko ogłoszone w r. 1601 w Rzymie przez kanonika *Krzysztofa Warszewickiego*[1], p. n. »Reges, sancti, bellatores et scriptores Poloniae« (Królowie, święci, rycerze i pisarze polscy). Pisemko to mieć musiało odbyt, bo wydanie jego powtórzone było następnie 1629 w Poznaniu, a edycyi tej drugiej już Załuski nie mógł znaleźć do swej biblioteki; dziś zaś znajome jest tylko z tradycyi; nie wiemy, iżby je posiadała jaka biblioteka, i żaden dzisiejszy historyk literatury ani bibliograf, poczynając od Bentkowskiego, nie widział tego pisemka; — że jednak edycya poznańska istniała, jest pewnem, bo według niej pisał o niem Braun.

Jaka właściwie była treść tego pisemka, z pewnością nie możemy też wiedzieć; spotykamy tu i ówdzie przytaczane zdania Warszewickiego, być może więc, z tego pisma[2]. *Hoppius* w »Schediasma litterarium« wspomniawszy

---

[1] Warszewickich dwóch było pisarzy: Stanisław jezuita i Krzysztof kanonik krakowski. Krzysztof był autorem licznych dzieł treści historycznej, politycznej i teologicznej, ogłaszanych od roku 1580 do 1604 wyłącznie prawie w języku łacińskim (Paradoxa de sectis in religione christiana. Orationes turcicae. De morte et immortalitate animae. De optimo statu libertatis i t. p.).

[2] [Tak można było mówić w r. 1866. Teodor Wierzbowski w monografii: »Krzysztof Warszewicki i jego dzieła«, Warsz. 1887, opisał szczegółowo tę książeczkę str. 266—271. Widzimy stąd, że od str. 3—11 Warszewicki wyliczył w swem dziełku książąt i królów polskich od Mieszka I. do Zygmunta III włącznie, dodając, ile lat każdy żył i panował. Od str. 11—17 podał 46 imion świętych i błogosławionych. Od str. 17—20 wypisał 39 nazwisk wojowników. Wreszcie od str. 21—23 wymienił 27 nazwisk pisarzy w następnym porządku: »Vincentius Cadlubco ex Episc. Cracoviensi monachus factus Historiam polonicam scripsit. Basco historiam scripsit 1370 sub Casimiro magno rege. Dlugoschus sive Longinus... historiam scripsit 1470, Miechovita Can. Crac. hist. scripsit 1492. Joannes Laskus Archiepisc. gnesn. Statutorum regni scriptor, vixit 1521. Decius hist. scrips. 1536. Bernardus Vapovius 1535 histor. M. Cromerus hist. scrip. 1550. Joannes Novicampianus 1556 gymnasiarcha crac. Stanislaus Hosius cardinalis excellentis. et sanctis. 1577. Stanislaus Rescius abbas Jendriov. mortuus 1600. Stanislaus Orichovius 1562. Andreas Patricius, episc. Vendensis 1586. Stanislaus Socolovius, 1592. Jacobus Gor-

z pochwałą »Hecatontas«, dodaje: »non minus memoratu digni sunt Christ. Warsevicii: Reges, Sancti, Bellatores et Scriptores, Romae 1601 in lucem emissi«. Najprędzej jednak tak z tego, co o niem mówi Starowolski, jako też Braun i Załuski, wnieść trzeba, iż było to zaledwie samo wyliczenie nazwisk. Braun pismu temu poświęcił wprawdzie osobny artykuł, ale wyraża w nim, iż go zawiódł równie tytuł książki jak znakomitość autora i że pismo to przy wymienieniu nazwisk pisarzy, nie wymienia nawet wszystkich ich pism i ich dat. To też prawie mówi i Załuski, który w nieocenionym swoim poemacie bibliograficznym, wierszem białym pisanym (o którym niżej) tak mówi o tem dziełku Warszewickiego:

> Warszewicki Christophor, kanonik krakowski,
> Wydał ci Reges, Sancti, Bellatores, także
> Scriptores Polonici; rozumiałby tu kto,
> Że znajdzie opisanie życia cnych Polaków
> W tej dziwnie rzadkiej książce; lecz *prima aprilis*,
> Same tylko imiona gołe — sto trzydzieści.

Liczba wymienionych w tym piśmie pisarzy nie musiała być znaczna, bo same już imiona królów, hetmanów, przytem błogosławionych, musiały dochodzić do liczby stu; że jednak nie były wyłącznie imiona gołe, poświadcza już zarzut Brauna, iż lub wcale nie wspomina pism lub bardzo

---

scius 1584. Joannes Herbestus. Petrus Scarga Soc. Jes. vivit. Stanislaus Varsevicius 1590. Stanislaus Carncovius Archiep. gnes. vivit. Joannes Zamoscius Cancellarius regni et belli dux summus, vivit. Demetrius Solicovius Archiep. Leopol. vivit. Bartholomaeus Goslicius episc. posn. vivit. Hieronymus Povodovius C. C. vivit. Petrus Lilia S. Theologiae Doctor. Pater Andrianus Soc. Jesu. vivit. Augustinus Rotundus advocatus vilnensis mortuus anno 1579. Joannes Herbertus Castellanus sanocensis, Statutorum et historiarum scriptor mortuus 1578«. Z tego bardzo ułomnego, niedbałego i stronnego spisu, w którym pominięto najznakomitsze nazwiska: Kopernika, Reja, Kochanowskiego, Modrzewskiego, itd, łatwo można nabrać przekonania, że jak całe dziełko, tak i ustęp o pisarzach polskich nie posiada żadnej innej wartości, prócz tej, że zapoczątkowało naszą bibliografię, jak to słusznie utrzymywał Tyszyński].

mało (»nullis aut paucissimis additis eorum scriptis«). Okoliczność wszakże, iż było rozchwytywane, dowodzi już jego użytku, głównym zaś było to, iż pobudziło bezpośrednio innych do naśladowań, poprawek siebie i w ten sposób nową wydało gałąź.

Jakoż przed powtórzeniem jeszcze przedruku pisemka Warszewickiego w Poznaniu, młody i gorliwy rzeczy krajowej miłośnik (który następnie był autorem około 50 dzieł tak w języku łacińskim, jak polskim po największej części o rzeczach krajowych), *Starowolski Szymon*, aby pomnożyć i sławę kraju u świata i podnieść swoją, poprawą tak słynnego pisarza, jakim był Krzysztof Warszewicki, napisał dzieło »Scriptorum polonicorum Hecatontas seu centum illustrium Poloniae scriptorum elogia et vitae«, tj. »Pochwały i życie pisarzy polskich«; a dzieło to w r. 1625 wydane we Frankfurcie, w lat parę t. j. 1627 po raz drugi było wydane w Wenecyi.

W przedmowie do dzieła tego zwraca właśnie Starowolski najprzód uwagę na dzieło Warszewickiego: »Reges, Sancti, Scriptores« etc. i na jego niedostateczność, zwłaszcza co do oddziału pisarzy; wyraża dalej, iż liczba pisarzy w kraju jego nie jest nawet sto, ale nader większa, tak że znać wszystkich nie mógł dla rozrzuconych dzieł, iż wiele pism marnieje w rękopismach, — w bibliotekach klasztorów i szlachty toczona jest przez szczury, iż liczba wielkich erudytów była zawsze i jest dzisiaj w Polsce; lecz że zamierzył pisać tylko o tych, których pismom (jak sądził) sądzoną jest wieczność (»quibus aeternitatis genius affuit«).

»Hecatontas« Starowolskiego było już istotnie pismem postępnem w rodzaju swoim wobec pisemka Warszewickiego; nie tylko pomnożona tu liczba pisarzy, ale przy nazwisku każdego dodane i wymienienie pism i zdania o nich. Mimo nazwiska »Hecatontas« rejestr pisarzy, dołączony do tego pisma, obejmuje liczbę 173, lubo nie o wszystkich szczegółowsza jest mowa w książce.

Czynionym jest zwykle *Starowolskiemu* zarzut, iż wszystkich autorów, o których pisze, chwali przesadnie; zarzut ten niezupełnie jest słusznym; zdania owszem Starowolskiego o dziełach autorów, o których pisze, są najczęściej roztropne i umiarkowane; przy końcu artykułu każdego kładzione są zwykle na pochwałę osób *panegiryki* kilkowierszowe, które zwyczajem owego wieku a swego gatunku, powinny były oddychać pewną nadętością poetyczną, lecz które były ręki nie autora książki, ale trzeciej (najwięcej *Żórawskiego*); gdy zaś nadto pierwszym wydawcą pisma tego we Frankfurcie był nie sam Starowolski, ale *Jakób de Zetler*, być może więc, iż panegiryki te były wyjednanymi przez tegoż wydawcę. Same zdania o pismach były owszem zwykle umiarkowane raczej, niż przesadne; tak np. o talencie *Birkowskiego* mówi tylko: »w *prozie* i wierszu *dobry*, lecz w pobożności i skromności daleko lepszy«; w zdaniach zaś pochwały wyższej odwoływał się zwykle do opinii powszechnej; o *Klonowiczu* np. tak się wyraża: »tak bowiem z przyrodzenia był ukształcony do tworzenia wierszy, iż kiedy się nawet mową potoczną (tj. po polsku) chciał wyrazić, taką nieraz energię i wysłowienie w nim okazywał, że *zdaniem wielu*, nie świeżego wieku i nie zimnego powietrza naszego, lecz raczej owych starożytnych i samego Owidyusza, objawił dowcip«. Do braków jednak istotnych w tych życiorysach policzyć można to najprzód, iż autor w nich wielu pisarzy zupełnej zasługi zupełnie pominął, tak np. niema wzmianki nawet o *Reju* (co nawet nie było skutkiem tego, iż był protestantem, umieszczeni są bowiem, lubo protestanci: *Trzecieski*, *Sarnicki* i i.), niema życiorysu *Kadłubka*, wzmianka zaś jest tylko o nim w rejestrze i to z dodaniem imienia *Jan*, nie *Wincenty*; w życiu autorów nie wymieniane są lata urodzenia i śmierci, nie wymieniane wszystkie ich pisma, nieraz nawet jak np. gdy mówi o *Solikowskim*, *Trzecieskim*, wzmiankowane są te, które były wagi mniejszej, a przemilczane ważniejsze; nie wymienia nawet, czyli

wzmiankowane przezeń pisma były rękopismami czy ogłoszone drukiem, a mówiąc o drukowanych, nie podaje roku wydania i t. p.

Poprawne było w części wydanie drugie (weneckie), ale ponowione wydanie w r. 1734 we Wrocławiu jest według pierwszego wydania.

Tegoż autora dzieło: *De claris oratoribus Sarmatiae* 1628, *Flor:* jako obejmujące wiadomość o mówcach zarówno w słowie, jak piśmie, należy więcej do historyi sztuki, jak hist. literatury. Mówi np. o *Kmicie, Karnkowskim* i wogóle o wszystkich prawie *arcybiskupach* i *biskupach*, zasiadających za czasów autora w sejmie, jako mających *głos* w radzie.

Z kolei jako na ważną do bibliografii, a razem i do *Hist. Literatury* krajowej; pomoc z owego czasu wskazać wypada na pismo *Hoppiusa*, wydane w r. 1707 w Gdańsku (przedrukowane następnie przy 1-szym tomie Długosza) p. n. »Samuelis Joachimi Hoppii *De scriptoribus Historiae Poloniae Schediasma litterarium*, tj. niby naprędce uczyniony spis literacki historyków polskich. Chociaż pismo to mówi tylko o pisarzach z gałęzi historyi, i nie umieszcza zdań własnych o pismach, które przytacza, chociaż nie mówi o pisarzach, którzy pisali po polsku, a i w samej gałęzi historycznej już tę ma niedostateczność, że za najdawniejszego dziejopisa krajowego podaje Kadłubka; – uważane jednak w tych granicach, z których autor wychodził, dzieło to jest dziełem szczególnej dokładności, pracowitości i usługi bibliograficznej. Autor mówi tu osobno o *geografach*, *chorografach*, *podróżopisarzach*, *genealogikach*, *żywotopisarzach*, pisarzach *historycznych* osobno każdej prowincyi; przy wzmiance dzieł umieszcza dokładnie rok i miejsce wydania, a ilość wykazanych dzieł tak jest tu obfita, iż podobno dotąd dokładniejszego w tej rzeczy spisu nie mamy. Ciekawe są też i nauczające wzmiankowane tu przez autora wskazówki źródeł, z których czerpał.

W innym rodzaju okazało zalety i w innym rodzaju pomoc do historyi literatury krajowej przynosiło wydane

w kilkanaście lat po Hoppiuszu przez bibliofila pruskiego *Brauna* dzieło p. n. »Zdanie o zaletach i wadach pisarzy polskich i pruskich, drukiem ogłoszonych i nieogłoszonych«. (De scriptorum Poloniae et Prussiae typis impressorum et manuscriptorum virtutibus et vitiis Judicium. *Colonia* (właściwie Elbląg) *1723*. (Drugie wydanie 1739 w Gdańsku i z tego tytuł przytoczyliśmy; według *Bentkowskiego* tytuł ten na innych egzemplarzach jest *Bibliotheca Brauniana)*.

Pismo to Brauna było pierwsze w naszej literaturze, które objawiło szczegółowsze krytyczne zdania o pisarzach krajowych. Miłośnik książek i właściciel zamożnej biblioteki, *Braun* z powołania nie był uczonym, — całe on życie spędził na pełnieniu urzędów publicznych, a osiadłszy przy schyłku życia na wsi, ogłosił pism kilka, a między innemi i to, które mu najwięcej głośności dało tj., zdanie o wszystkich tych dziełach, kfóre się w bibliotece jego znajdowały. Umieszczony tu rozbiór pisarzy lub pism 93 polskich i 60-u pruskich (tj. prusko-polskich, pisanych już po łacinie, już po polsku, już po niemiecku).

Już sam podział tego dzieła wskazuje, iż autor nie miał żadnego systematu myśli naukowej. O pismach różnego zawarcia autor pisze ani porządkiem chronologicznym, ani koleją gałęzi, ale rozdziały jego mówią 1) o książkach in folio, 2) in 4-to 3) in 8-vo — porządek, który dla czytelnika ciągłego sprawia zamęt naukowy, a dla chcącego się podręcznie zaradzić (przy braku zwłaszcza rejestru) czyni niepodobnem odszukanie przedmiotu.

Ostre i uszczypliwe zdania, które tu autor we wszystkich rozbiorach książek rozrzucił, wywołały były opinię, iż był nieprzyjacielem tego wszystkiego, co polskie, i że pismo jego było raczej zbiorem ironij, niż krytyką. Tak jednak nie jest. Braun nie tylko nie był nieprzyjacielem, ale był owszem wyraźnie miłośnikiem polskiej literatury, skoro zajętym będąc służbą cywilną, nie mając żadnego obowiązku oddawania się czytelnictwu, tyle jednak polskich książek przeczytał, tyle ich zebrał i zajął się szczegółowszem

o nich pisaniem. W zdaniach jego przemaga zapewne wyraźnie stronność prowincyonalna: przeciw pismom, które poniżały Prusaków, napastowały zbyt protestantyzm, silniej występował; — wogólności jednak czytanie tych zdań daje nam raczej widzieć jeden z tych umysłów, które czując, że są równej wartości z tymi, które się cieszą sławą piśmienną, a widząc, iż same jej nie mają, okazują stąd pewien stopień zgryźliwości i satyryczności w sądach o wszelkiem piśmie, raczej niż chęć umyślną szkodzenia literaturze. Jakoż taż ostrość sądu jest i w zdaniach autora o pisarzach pruskich; nie znajdując tylko tylu ich pochwał, mniej miał pola do okazania dowcipu, ile w sądzie o polskich, o których właśnie tyle przesadnych panegiryków umieściło było pismo Starowolskiego. Ile nawet wnieść można z przedmowy, ta już niedostateczność bibliograficzna, już przesada panegiryczna *Hecatontas* były głównym powodem i bodźcem autorowi do ogłoszenia jego *Judicium.*

Sąd Brauna, lubo wypowiadany ostro, bez ogródki i z pewnym sarkazmem, zwykle jest trafny; jakkolwiek istotnie, widocznie przemagającą jest strona chęci nagany; nieraz tu pisarze wyższej zasługi (jak np. *Heidensztein* i inni) lekko tylko i bez wskazania właściwych im zalet pomijani; — w innych razach za wyłącznie opierane te zdania na samym stylu autora; — niektórym pisarzom (do jakich np. należą *Stryjkowski, Orzechowski, Górnicki, Kochanowski,* Jakób *Sobieski, Długosz, Warszewicki, Kromer* i i.) daje autor i pochwały dobitne, lecz też o każdym prawie tak jak np. o *Kromerze* przytoczywszy zdanie, iż miany jest za słońce, pośpiesza też wnet wykazywać, iż, jak mówi, i »na słońcu są plamy«.

To niezmęczone walczenie z zasługą pisarzy okazuje tu jednak zarazem niełacność tej oppozycyi, zamożność napastowanego przedmiotu; i pismo to Brauna obok wielu trafnych swych uwag, zwłaszcza w przedmiocie historycznym, bogaciej nawet jeszcze przedstawia obraz literatury, o której mówi, niż wykrzykniki pochwalne.

Spółcześnie z *Braunem* ogłaszało wielu innych pisarzy pruskich pisma, obejmujące szczegóły i rozjaśnieaia do historyi literatury polskiej, mianowicie *Lengnich* w piśmie wydawanem w języku niemieckim p. n.: »Polnische Bibliothek« 1718 tom 2. i Jakób *Woit* w którego dziele: »De incrementis studiorum per Polonos et Prussos«, w oddziale IV-tym mającym napis: *De Polonorum Prussorumque litterarum cultura* wyliczeni są koleją gałęzi znajomsi *teologowie, historycy, filozofowie, poeci, mówcy, matematycy, lekarze* i *prawnicy* itp., a pisma te i te ostre zdania pobudziły działalność krajową do bliższego poznawania swych bogactw umysłowych, co przedewszystkiem powiodło do gromadzenia ich w jedno; nie znalazł się wtedy nikt, któryby na powierzchowne nieraz i wyraźnie stronne napady *Brauna* szczegółowie odpowiedział, oddawano mu tylko połajania w ogólnych wyrazach, a ogłaszaniem spisów wszelkich pism literatury krajowej starano się wykazywać, iż małą tylko znał cząstkę tej literatury, o której pisał.

Ruch ten, który był wydał nader korzystną dla znajomości literatury krajowej czynność, a który się mianowicie wyraził w gromadzeniu bibliotek, wydał też kikanaście pism, które się stały skarbcami ówczesnej bibliografii krajowej, a przez to i źródłami do obrazu literatury; — wspomnimy tu tylko o główniejszych, które wydali: *Józef, Jędrzej Załuski, Jabłonowski, Janocki.*

Józef Jędrzej *Załuski* był założycielem najbogatszej biblioteki krajowej (bo mieszczącej do 300.000 woluminów).

Do ogłoszonych zaś prac tegoż autora w przedmiocie *Hist. literatury* należą:

1) *Programma litterarium* 1731. *Warszaw.* (mimo tytuł łaciński pisane po polsku; przekład łaciński wyszedł w Gdańsku 1743).

W piśmie tem autor opowiedziawszy o swych zamiarach piśmiennych, uprasza publicznie o nadsyłanie mu pomocy, uprzedzając zaś zarazem o tem, co już ma, wylicza materyały historyczne, ktore posiada w rękopismach. Wy-

mienia tu (razem z nazwiskami autorów) *60* rękopismów łacińskich i *58* polskich.

2) *Conspectus novae collectionis legum ecclesiasticarum Poloniae etc 1744 Varsav.*

W dziele tem wymieniono między innemi 673 tytułów: druków i rękopismów w przedmiocie kościoła polskiego.

3) *Bibliotheca poetarum polonorum, qui patrio sermone scripserunt*, Vars. 1752.

Umieszczeni tu najprzód *tłumacze*, potem poezye *anonimów* i *pseudonimów* i wreszcie poeci polscy porządkiem abecadłowym; sam to jednak spis imion poetów i dzieł ich, bez żadnych zdań o nich i bliższych treści.

Najważniejsze zaś pisma autora są:

4) *Magna Bibliotheca Polona Universalis*, — dzieło to, mające obejmować 10 tomów in folio, jest jednak dotąd w rękopiśmie, i wspominamy o niem tylko dlatego, iżby przyszli miłośnicy historyi literatury wiedzieli, gdzie źródeł szukać. Tomy 1-szy i 2-gi obejmować mają tak dzieła drukowane, jak i rękopisma traktujące o Polsce; 4-ry następne obejmują wszystkich autorów polskich, litewskich, pruskich, inflanckich, kurlandzkich; tom 7-my szląskich, 8-my zawiera *Index*, 9-ty o rękopismach tak zebranych, jak widzianych, albo słyszanych przez autora, 10t-y skrócenie całości.

5) *Polska w obszernych wiadomościach skrócona;* tu należy mianowicie część 2-ga tego dzieła, które ma napis: »Historya Polska Literacka«; część tę znamy, bo wydaną została z rękopismu w r. 1832 przez Józefa *Muczkowskiego*.

Jak całe dzieło, tak i ta część pisaną tu jest wierszem białym. Autor pisał to dzieło, zostając daleko od kraju. Poezya, jak ktoś wyraził z poetów, jest to jasnowidzenie uśpionych namiętności, jest to przypominanie się tego, co niegdyś czyniło najwięcej wrażenia na umyśle marzącego i wyrażanie tego sztuką słowa. Załuskiego najmilsze wspomnienia najwięcej oczywiście obracały się około bibliografii i stąd powstał ten szczególny poemat głównie biblio-

graficzny; z drugiej strony uważać można, iż forma ta wierszowa była też jedyną możliwą formą do kreślenia przedmiotu; autor nie mając pod ręką swojej biblioteki, nie mógł kłaść ani dat, ani dokładnych tytułów pism, o których miał wspominać, a forma wierszowa uwolniła go od tego obowiązku.

Treścią właściwą tego pisma, czyli poematu jest wyliczanie autorów i pism ich, a wyliczanie to idzie w następnej kolei i przedmiotach: 1) Pisarze, którzy Polskę opisywali. 2) Kollekcye różnych pism o Polsce. 3) Historycy. 4) Autorowie piszący o Polsce językiem obcym: francuskim, włoskim, hollenderskim i innemi. 5) Autorowie polscy prawni. 6) O poselstwach piszący. 7) Kollektorowie listów. 8) Autorowie pism satyrycznych przeciw Polsce. 9) Autorowie o historyi naturalnej w Polsce. 10) O familiach i herbach rycerstwa. 11) O życiu znakomitych Polaków. 12) O Polakach wierszopisach łacińskich. 13) O wierszopiskach polskich. (Tu mowa tylko o Zofii *Korbiniance* piszącej po łacinie i *Drużbackiej*).

Co do szczegółów wykonania, poemat ten uważać należy, nie jako dokładne i systematyczne wyliczenie pism i autorów, ale raczej jako igranie fantazyi unoszącej się do różnych znajomych mu szczegółów bibliograficznych i z bibliografią krajową związek mających; a fantazya osobistości tak czynnej w tej rzeczy, jak była Załuskiego, dała nam bogaty i w swoim rodzaju jedyny w tem jego piśmie materyał do historyi literatury; to bowiem, co tej historyi zbywa na dokładności w oznaczeniu napisów książek, lat i miejsca wydania ich itp.; obficie jest zastąpione przez tysiące drobnych szczegółów o życiu autorów, historyi tworzenia się pism, historyi wydań, losów różnych bibliotek, szczególnych dzieł itp., których napróżnobyśmy gdzieindziej szukali. Nie trzeba dodawać, iż w guście wieku w rzeczy biografij najwięcej wzmianek o familii własnej autora.

Wiersz autora jest to wiersz nasz 13-to-zgłoskowy ze średniówką zwykłą na 7-ej, tylko bez rymów; do miary tej, którą był sobie upodobał, autor przywiązywał tyle

wagi, iż wolał nawet łamać wymowę powszechną, iż np. wyrazy *wojewoda, jezuita, Stanisław*, wolał pisać: *wojwoda, jezujta, Stańsław*, byle tylko wiersz ów zachować.

Dla przykładu tak toku opowiadania autora jako też przeplatania się w niem rozmaitości szczegółów, przytaczamy tu parę wyimków. W oddziale o historykach np. mówi autor między innemi:

Pan *Linde* pod imieniem polonizowanem
Lipińskiego [1], wydał też swe *Sicilimenta*
Ad epistolas Andreae Załuski, gdzie broni
Gdańszczan (których terrarum Prussiae Regiae,
Praeses: mój stryj), a słusznie gani i ostrzega.
Od roku tedy jeden, siedem, jedenaście (co znaczy od r. 1711 [2])
To jest śmierci mojego stryja, żadnej polskiej
Nie mamy historyi w języku łacińskim.

Widzimy stąd, że *Lipiński* był właściwie *Linde*, iż od 1711 nie było już nic pisane po łacinie z historyi, przynajmniej za czasów *Załuskiego*.

W ostatniej edycyi (Kroniki Bielskiego) dołożone dzieje
Polskie Zygmunta Króla, które pisał Bernard
Wapowski, dziad stryjenki mej, kantor krakowski,
Po łacinie, a Bielski przełożył po polsku.
Tę jam dał Franciszkowi w druk *Bohomolcowi*,
Kochanemu jezujcie, co przedtem u mego
Był brata teologiem, potem sekretarzem
Prowincyi nadwornej, dziś prefekt drukarni.

(Szczegóły do biografii Bohomolca nowe)

. . . . . .

Ksiądz, kochany przyjaciel, Karol *Wyrwicz*, prefekt
Collegium nobilium w Warszawie, dołożył
Z Kniaziewiczem przydatek, aż do tego czasu [3].

---

[1] Pismo to było: Gratiani Severini *Lipiński* nobilis Pruteni etc... sicilimenta quaedam (jakby dodatki do wydanych *Załuskiego* listów).

[2] Cytacye dat są literami 1-n, 7-m znaczy 1700.

[3] »Kronika« Bielskiego z doprowadzeniem do Augusta III 1764.

(Wszystko to szczegóły biograficzne i bibliograficzne, których nie znajdujemy w żadnej historyi literatury).

Solignac, mój przyjaciel, króla Stanisława
Sekretarz, za namową moją i z mych książek
Zebrał i wydał tomów 5 swej Historyi;
Ma kontynuacyę aż do naszych czasów,
Miałem w ręku, czytałem i t. d.

Mamy tę historyę po polsku wydaną
Przez księży bezimiennych, tłumaczy, pijarów,
A ci że są dociekłem: *Syruć*, *Pokubiatta*.
Wydał ją po niemiecku Karol Frydryk *Pauli*,
Profesor publicznego prawa w Halli.

W innym rodzaju szczegóły bibliograficzne są np. o bibliotece *Brauna*:

Braun Dawid, konsyliasz w Elbląg brandeburski,
Wydał katalog naszych autorów i pisma
Ich surową roztrząsnął krytyką. Ale ten
Mniej przyjazny ojczyźnie naszej autor, godzien
Sam cenzury, albowiem parcyalnie sądzi,
Ganiąc bez ekscepcyi wszystkich, zły oszczerca.
Chciał bratu memu przedać swoją kollekcyą
Wzmiankowanyeh tu książek, lecz gdy *ad trutinam*
Przyszło, prócz rękopismów jam wszystkie był zebrał.
Więc je Sułkowski kupił, królewski faworyt,
I z profitem ustąpił drezdeńskiej księgarni.

Zwróciłem mianowicie dlatego bliższą uwagę na tę produkcyę, iż nasi historycy literatury pomijali ją dotąd i wszystkie prawie te szczegóły biografii i bibliografii, które np. tu poznaliśmy, nie znajdują się w ich dziełach.

Zdań o pisarzach i pismach nie wyraził Załuski; raz tylko (i uważać to należy za epizod poematu), podniecony tem, iż pisarz francuski *Mercier* mówiąc o Sarbiewskim, nazwał go tylko *Pater Casimirus*, autor w odpowiedzi mu nie tylko się podniósł do wyrażenia zdania o tym poecie, lecz też swój wiersz nierymowy zamienił na rymowy,

który tu jednak tak jest pod piórem jego gładkim i płynnym, jak wiersz nierymowy.

Autor tu mówi:

Kaźmierzów mamy w Polsce może sto tysięcy,
Sarbiewski arcysławny jeden, a nie więcéj.
Można porównać tego miodopłynną człeka
Wielkiego wenę z ulem dębu, skąd miód ścieka.
Poczuła to północna Ursa w owym czasie,
Stanęła przy tym ulu na polskim Parnasie;
Urban 8-y, ony papież z domu Barberini,
Z herbowemi pszczółkami tego ula czyni
Blizkim się...
Chęć Urbana 8-go, poety, była,
Ze laurem teologa swego uwieńczyła.
A Władysław zaś IV-ty (gdy go doktorował
Załuski Łukasz) swoim pierścieniem dorował
Nadwornego swojego kaznodzieję, w pracy
Niestrudzonego nigdy... A co więc Horacy
U Augusta Rzymskiego był, jak niesie sława,
To Maciej u Urbana był i Władysława.

Wierszem podobnie rymowym, i równie gładkim, kończy Załuski, mówiąc o poezyach Drużbackiej i o tem, że był ich wydawcą.

Spółczesny Józefowi Jędrzejowi Załuskiemu, Józef Aleks. *Jabłonowski*, miłośnik gorliwy nauk nie tylko krajowych, lecz wogóle europejskich (założone przezeń w roku 1774 w Lipsku *Towarzystwo literackie*, którego obowiązkiem jest trzy zagadnienia co rok do konkursu podawać: z *dziejów, matematyki* i *ekonomii politycznej*, dotąd czynnie istnieje); sam autor trzynastu pism w języku już łacińskim, już polskim, treści historycznej i heraldycznej, jest też autorem dzieła, które się odnosi do naszego przedmiotu, a które wydane w r. 1752 we Lwowie ma napis: »Museum Polonum seu Collectio in Regno Poloniae et M. D. Lituaniae scriptorum editorum et edendorum« (Muzeum Polskie czyli zbiór rękopismów wydanych i wydać się mających w Koronie i W. Księstwie Litewskiem).

Główną zaletą tego pisma jest przedmowa autora, krótko, ale wymownie napisana i oddychająca zamiłowaniem wogóle nauk. Można powiedzieć, że to był 1-szy rys hist. liter., którą uważa za rodzaj metempsychozy, bo dusza pisma wiecznie w ciało innych istot przechodzi. Umieszcza w niej jednak aut. na początku tradycyę wyraźnie bajeczną i której w żadnem innem piśmie nie znajdujemy, iż jakoby *Bolesław Chrobry* w czasie jednej z wypraw wojennych nakazał znieść wszystkie z kraju rękopismy, a gdy mu ich przyniesiono *niezmierną mnogość*, zrobił z nich wszystkich ofiarę bogom, mówiąc, że »ze zbyt *zapalonych pisarzy* bywają zwykle zbyt zimni wojownicy« [1]. Nadmienia ona, iż po bibliotekach i klasztorach mnóstwo ksiąg i rękopismów krajowych wyginęło przez pożary i wojny. O wieku Jagiellońskim, a mianowicie o stuleciu od r. 1550 do 1650 wyraża, iż *saeculum fuit florentissimum, ut Romae sub Augusto. Typi non quiescebant illo tempore, unusquisque aemulabatur et praecellere alium curabat.* Miłość Muz, mówi tu między innemi, trwała cały czas rządów Zygm. I., Zygm. Aug., Henryka, Stefana, Zygm. III. i Władysława IV.; wojny odtąd przegnały Muzy, ale dziś, dodaje autor, po powróconym i utwierdzonym pokoju nasz wiek stara się podnieść, okazując zewsząd równych prawie owemu wiekowi bohaterów i mężów.

W tejże przedmowie autor świadczy, jak czytanie Starowolskiego zachęcało wszystkich do robienia poszukiwań i dopełnień, powstaje na stronność i ostrość Brauna,

---

[1] Traditur, in fulcrum sensus mei, res digna notatu, de Boleslai Chrobri, qui totus arti bellicae operam navando et se in castris in Russiae regione commorando; sub specie videndi manuscripta et legendi, congeri omnia in simul iussit; apparuit ei multitudo scriptorum et incontinenter ex eis Bellonae sacrificium et hostiam fecit, ad authores habitu discursu, quaerulando, quod nimis ardore litterarum ducti, modici in suo exercitu numerabantur heroes, quod Reipublicae plus conducebat defensio propria quam laudatio. Fortia, quae agemus, inquit, extranei mirabuntur et posteris tradent«.

dodając złośliwie, iż ten tylko pisarz wyszedł z chwałą, który miał szczęście nie dostać się do biblioteki Brauniańskiej.

Co do samego pisma, jest to tylko ułożony porządkiem abecadłowym spis wszystkich pisarzy polskich z wymienieniem ich dzieł. Kilkanaście zaś stronic pierwszych wymienia dzieła bezimienne.

O dziele tem można powiedzieć, iż było zbyt pańskie, to jest, iż pisane z pamięci (jak to wyraża sam autor) bez zaglądania pilnego do źródeł, bez odczytania może, ma wiele niedokładności i omyłek; nieraz tu dwie różne osoby (jak np. Łaski arcybiskup i Łaski dyssydent) wzięte za jedną, jedna znowu (jak *Acernus* i *Klonowicz*) za różne dwie, jedno nazwisko po dwakroć położone *(Ancuta* i *Annovitz). Michał Kanclerz*, którego Gallus nazwał swym spółpracownikiem, nazwany *historykiem*, który poprzedził Galla itp.

Zdań o pismach niema tu żadnych, daty nie zawsze i nawet nie wyrażono, czy mowa jest o rękopismach, czy o drukach; tytuły dzieł wszystkich po łacinie.

Mimo omyłki i niedokładności, pismo to używane obok z drugiemi, ma zawsze swoje znaczenie i wartość. Załuski uwiedziony zapewne podobieństwem uprawianych przedmiotów) nie wahał się nawet jego zasługę sobie przypisać [1].

Kiedy zaś tak mecenasi i możni (mianowicie Załuski i Jabłonowski) olbrzymio dźwigali pomoce i zachęty do nauk i sami zajmowali się niemi fantastycznie, sługa ich *Janocki* (z familii niemieckiej *Jacnisch)*, w tymże ulu-

[1] Mówiąc w owym swym poemacie o *Katalogach swych bibliograficzych*, tak się wyraził:

»Wojwoda Nowogrodzki, książę Jabłonowski,
Wydał z tych katalogów mój *excerpt* z tytułem
Tym: *Museum Polonum* i mnie dedykował.
Podoba mi się dzieło, tytuł jeszcze bardziej«.

Zdaje się jednak, iż gdyby to Muzeum było przetworzeniem *excerptu*, tedy z jednej strony nie miałoby tych rażących omyłek, jakie mieści, a z drugiej *Jabłonowski* dedykując go właśnie *Załuskiemu*, nie zaniedbałby wspomnieć o tem.

bionym od nich, t. j. bibliografijnym pracując kierunku, zostawił pełne pracowitości w tym oddziale prace.

12-cie jest pism ogłoszonych Janockiego już w języku niemieckim, już łacińskim, o literaturze mu spółczesnej polskiej, a mianowicie o bogatych jej źródłach, znajdujących się w Bibliotece Załuskiego (którą zawiadywał lat 30); zdań o pisarzach w tych pismach lub niema, lub (we wzmiankach mianowicie o spółczesnych) oddychają wyraźnie przesadą w pochwałach; ale każde z tych pism odznacza dokładność bibliograficzna, t. j. wierne wymienianie wszystkich dzieł przytaczanych autorów, ich napisy, lata i miejsce druku, wydania i t. p.

Ciekawe bibliograficzne szczegóły o spółczesności mieści mianowicie jego *Polonia litterata nostri temporis*, tj. wiadomość o pisarzach i dziełach polskich między rokiem 1750 i 1756. Wiele tu np. nieznanych skądinąd szczegółów o spółczesnych poematach bohaterskich, sztukach dramatycznych, o pismach Maryi Leszczyńskiej po polsku i francusku i t. p., których równie nie znajdujemy w żadnej historyi literatury; historycy literatury, nawet Bentkowski, zdaje się, iż przestawali tylko na *Janocianach*, uznając je za całkowity zbiór, i nie zważali na ich tytuł *illustrium* (tylko). Ogólnej tedy i najgłówniejszej wartości pismem jego jest: *Janociana sive clarorum atque illustrium Poloniae auctorum maecenatumque memoriae miscella.* T. 3, t. I. r. 1776, t. II. 1779, t. III. 1819, wyd. Lindego.

Jest to wiadomość o najgłówniejszych, według autora, pisarzach polskich. Pisarze umieszczeni tu porządkiem abecadłowym, z objaśnieniem szczegółów ich życia i wymienieniem pism każdego już drukowanych, już w rękopiśmie zostających.

Tom I. obejmuje nazwisk 115, t. II. 162, t. III. 184, razem 461.

Nie jest to jednak wcale spis wszystkich autorów, znanych Janockiemu, lecz, jak wyraził, *clarorum et illustrium*, tak jak opis jego Rękopismów Biblioteki Załuskich

(*Specimen Catalogi Codicum mscriptrum Bibiothecae Zaluscianae, 1752, Drezno)* obejmuje tylko opis 500 rękopismów, a miała ich Biblioteka kilka tysięcy. — Dla przykładu przytaczamy zdanie Janockiego o Drużbackiej (po łacinie): »Elżbieta Kowalska, nader sławna poetka polska. Krążą w wielu rękach jej poemata (w rękopiśmie), Historya Daniela, Życie św. Magdaleny i t. p.; w najnowszym czasie napisała ona wiersz *O czterech porach roku* z taką czystością i strojnością słowa, iż zdaniem najpoważniejszych sędziów nic niema równie wykwintnego i zachwycającego w całej poezyi polskiej« *(ut censorum in litteris gravissimorum iudicio nihil habeatur mundius nec magis candidum apud Polonos)*.

Od Janockiego do pierwszych dziesiątków w. XIX. nie ukazało się w kraju pismo, któreby ogólny i dokładniejszy obraz historyi literatury polskiej, chociażby tylko pod względem bibliograficznym, przedstawiało.

Dawali tylko w tym czasie krótkie wiadomości o tej literaturze już spółczesnej, już dawnej, w języku niemieckim: *Mizler de Kolof* w *Acta litteraria* i *Warschauer Bibliothek* 1754, *Steiner* w *Polnische Bibliothek* 1787—1788, *Kausch* w *Nachrichten über Polen* 1793 i inni; w języku francuskim: *Duclos* w *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne* 1778, *Murray* w *De l'état des études, des lettres et de moeurs en Pologne*, 1800.

Pismo *Duclosa* jest też, można uważać, pierwszem, które nosi tytuł *historyi literatury;* autor miał zamiar oczywiście uczynić je obszerniejszem, mówiąc bowiem na str. 547 o zasługach zakonu pijarów, powiada: »jak to ujrzymy lepiej, kiedy się będzie mówić o poezyi i wymowie«; tom zaś wydany zajmuje się tylko pisarzami *geografii* i *historyi naturalnej.* Jest to pismo, które niepowierzchownie przedmiot swój traktuje; przytoczeni tu są i po kolei rozbierani, zaczynając od *Stelli* i *Stryjkowskiego*, wszyscy pisarze, którzy pisali o geografii, historyi naturalnej i obyczajach polskich, a każdego z tych pisarzy przytoczony życiorys,

nazwiska pism, ich zalety i wady i już krótsza, już dłuższa treść; liczne tu wypisy z dzieł: *Starowolskiego*, *Kromera*, *Krasińskiego* (Polonia), *Święcickiego* (opis Mazowsza), *Opalińskiego* (Polonia defensa), *Sarnickiego*, Bernarda *Connor*, jego kontynuatora *Savage* i innych, najobszerniejsze zaś z *Beauplana* i *Historyi Naturalnej (Historia naturalis curiosa regni Poloniae) Rzączyńskiego* (kart 100). Wykład nadto tak w stylu, jak uwagach odznacza owa jasność, gracya i dowcip, które są zwykle cechą pisarzy francuskich. Śród zdań bezstronnych i umiarkowanych, szczególny tu jednak spotyka się jakby wybryk przeciw sławie Kromera. Autor mówiąc o piśmie jego *De situ Poloniae*, twierdzi, iż Kromer połowę tylko prawdy powiedział, kładąc ten napis, miał bowiem pisać nie tylko o Polsce, ale i o sobie, iż opisuje w niem, co znaczył na dworze króla Zygmunta, co na dworze ces. Ferdynanda, jak jeździł 4-ma końmi ze świtą i t. p.; streszczając następnie zasługę Kromera, określa ją znanemi słowami Woltera: »il compilait, compilait, compilait« i daje do zrozumienia w końcu, iż korzystać ze wszystkich pisarzy nie daje to wcale prawa, aby być stawionym nad wszystkich. W tem, co tu mówi Duclos, była i część prawdy, lecz sąd wyprowadzony z jednego pisma nie mógł także być rozciąganym do zdania o pismach tegoż autora wszystkich.

Niejakie pomnożenia do dziejów literatury polskiej spotykały się tylko w spisywanych i wydawanych dziejach zakonów szczególnych, jak np. *Benedyktynów* p. Jabłońskiego, *Jezuitów* p. Rostowskiego, Allegamba, Jurahy, *Franciszkanów* p. Makomaskiego, *Dominikanów* p. Siejkowskiego, następnie *Pijarów* p. Bielskiego i t. p.

Różne zdania i przytoczenia pisarzy gałęzi poetycznej, *Sztuka Rymotwórcza* Dmóchowskiego, *Rozprawa o Rymotwórcach* Krasickiego i t. p., przynosiły tylko krótkie wiadomości do oddziału historyi poezyi krajowej. Zwrot do nowego okresu uprawy historyi literatury krajowej zapowiedziała wydana w r. 1806 Kazimierza Chromińskiego Lu-

blinianina *Rozprawa o literaturze polskiej*, a mianowicie z wieku Zygmuntów (wydrukowana w 4-ch n-rach *Dziennika Wileńskiego* z owego roku i osobno tamże ogłoszona). Rozprawa ta tem się stała dla nowej epoki uprawy literatury, czem było dla owej pierwszej, o której mówiliśmy, pismo Warszewickiego. W czasie, kiedy żadne podręczne pismo nie nauczało o ubiegłych dziejach literatury i sądzono powszechnie, że kilku poetów i kilku kronikarzy stanowiło jej całość, rozprawa Chromińskiego, która była skądinąd suchem tylko wyliczeniem nazwisk i pism literatury z czasów Zygmuntów, lecz wyliczeniem dokładnem a i nader bogatem, była istotnem zdziwieniem dla czytelników i obudziła powszechną chęć postępowania dalej na tej drodze.

W tymże czasie wydane tamże dziełko o 300 stronicach p. n.: »Myśli o pismach polskich« (r. 1801, 1806, z podpisem *A. Dantiscus*, lecz będące w istocie dziełem poważnej ręki [1]), dziełko, które mimo zamożność uwag o pismach i pisarzach polskich, z powodu pomieszania przedmiotów i lekkiego dotykania oddzielnych gałęzi, uważać wypada za należące raczej do pism poświęconych krytyce, nie zaś historyi literatury, dziełko owo, mówimy, wyraziło także między innemi to zdanie, iż »zobowiązałby sobie spółkrajowców ten, coby przyjął na się pracę wydania historyi krytycznej literatury polskiej«.

»O najdawniejszych dziejopisach polskich«, rozprawa 1811 Prażmowskiego, obejmowała tylko wiadomość krytyczną o Kadłubku i Dzierzwie.

W tymże też czasie (r. 1810) wydaną była w Krakowie rozprawa Józefa Sołtykiewicza pod nap.: »O stanie

[1] Incognito to zdradził następnie Ossoliński, który przypisując dwa ostatnie tomy pisma swego *Wiadomości historyczno-krytyczne* Czartoryskiemu, feldmarszałkowi wojsk austryackich, tak się w tem przypisaniu wyraził: »odkładałem (moją ofiarę W. Ks. Mci) aż do pory wygotowania niniejszego życiopisma *Stan. Orzechowskiego*, którego pierwszy W. Ks. Mć w swoich *Myślach o pisarzach polskich* prawdziwie oceniłeś«.

Akademii krakowskiej«, a dodane do tej rozprawy przypisy (pięć razy jej obszerność przewyższające) objęły i przypomniały także ogrom szczegółów o pracach i zasługach członków tej akademii w XVIII. wieku.

Zjawiska te i kierunki były powodem, że istniejące wtedy w Warszawie Towarzystwo do ksiąg elementarnych uznało było potrzebę napisania dla szkół departamentowych dziełka, któreby zaznajamiało młodzież z rysem historyi literatury krajowej i do wykonania tej pracy wezwało profesora historyi i bibliotekarza ówczesnego liceum w Warszawie, Feliksa Bentkowskiego. Bentkowski, gorliwy miłośnik przedmiotu, do pracy tej należnie ukształcony, wykonaniem jej zajął się nie dorywczo i powierzchownie. Czując on, iż przed skreśleniem powierzonego mu obrazu wewnętrznie, należało go pierwej poznać zewnętrznie, rozpoczął pracę od poznania najprzód i zbliżenia ilości istnących szczegółów tej literatury, której historyą miał pisać, czyli uprawą, spisaniem jej bibliografii; gdy zaś ta praca przyniosła obszerny i z siebie już nauczający budynek, ogłosił ją najprzód publicznie, aby się, jak mówił, przysłuchać sądom o niej; pracą tą było pismo wydane p. n.: »Historya literatury polskiej wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych«. T. 2, 1814, Warszawa. Pismo to sprawiło istotną epokę w uprawie historyi naszej literatury. Miało się ono, rzec z pewnej strony można, do rozprawki Chromińskiego tak, jak *Hecatontas* do *Scriptores* Warszewickiego z różnicą tylko wieku i epoki. Jak Hecatontas stało się ono pobudką do dopełnień, poprawek, do obudzenia gorliwych miłośników w zbieraniu i określaniu ksiąg i do wydania nowej gałęzi piśmiennej śród epoki. Różnica jednak skądinąd w wewnętrznem zawarciu obu tych pism była niezmierna. Bentkowski bowiem w piśmie swem objął całość literatury do czasów sobie spółczesnych we wszystkich jej częściach i całość tę w dokładnym i drobiazgowym spisie bibliograficznym a w ramach systematycznych przedstawił. Zawarcie »Historyi Liter. Pols.« Bentkowskiego

jest następne. Dzieło to składa się z tomów 2, każdy zaś tom obejmuje części 2. Tom I. po przypisaniu i przedmowie najprzód obejmuje *Wiadomość o dziełach do historyi literatury polskiej potrzebnych i ich pisarzach.* Następnie zaczynająca się część I. mówi o *stanie nauk w kraju w ogólności*, a między innemi o dziejach *szkół*, *bibliotek*, *drukarni* i *towarzystw naukowych* w kraju, tu też odniesiona wiadomość o najdawniejszych pomnikach języka polskiego, oraz o pisarzach w języku polskim piszących, gramatykach tego języka i słownikach. Część II. nosi napis: *Nauki nadobne* i mówi: 1) O *poezyi*, a tu z kolei o *lirycznej*, *dydaktycznej*, *heroicznej* i *dramatycznej* według podziału ówczesnych poetyk. 2) O *wymowie*, a tu w rozdziale *krasomówstwa* po wyliczeniu mówców wzorowych, wyliczone zbiory mów rozmaitych i tłumaczenia mówców klasycznych, następnie zaś w rozdziale 2-gim — dzieła o *naukach wyzwolonych w ogólności* i w *szczególności.* Część III. p. n.: *Umiejętności* mówi po kolei o *filozofii* już *teoretycznej*, już *praktycznej*, o *polityce* i wszelkich jej poddziałach, o *matematyce*, *naukach przyrodzonych*, *medycynie*, *teologii* i *filologii.* Część IV. ma napis: *Nauki historyczne* i mówi: 1) o naukach pomocniczych historyi, jako geografii, statystyce, 2) o źródłach historyi polskiej, zbiorach historyków, kronikarzach, kompendyach i t. p., 3) o historyi powszechnej i różnych państw pojedyńczych.

W tych ramach, to jest koleją tych przedmiotów wyliczeni tu są wszyscy pisarze, lub raczej wszystkie pisma tak w języku polskim, łacińskim, jakoteż i innych w Polsce wydawane, z wyszczególnieniem dokładnem każdego tytułu, roku i miejsca druku, liczby wydań, z dodaniem niejednokrotnie wzmianki o szczegółach życia wzmiankowanych pisarzy i zdań o ich zasłudze.

Bentkowski, widzimy, nie trzymał się ani porządku abecadłowego, jakiego był użył Janocki, ani chronologicznego, jakiego się trzymali inni biografowie, ale przedstawił całość literatury w obrazie jej gałęzi. System ten

jak każdy, ma wprawdzie właściwe sobie niedogodności, ale ma też i właściwą sobie korzyść, naucza bowiem, co mianowicie jest do uczynienia lub w czem była i jaka zachęta w każdej gałęzi, i oprócz historyi ogólnej literatury, daje zarazem kilka szczególnych historyi jej gałęzi.

W wykładzie Bentkowskiego znaczną też była powaga i umiejętność ręki, a pracowitość w pierwszem zebraniu i zbliżeniu tak licznych i rozrzuconych szczegółów, dokładność w ich oznaczaniu, dały temu pismu jego znakomite znaczenie piśmienne.

Stanowisko autora w zapatrywaniu się na dzieła sztuki, a mianowicie poezyi, na dzieje, na same umiejętności, jest tu już zapewne w wielu szczegółach nader odmiennem od dzisiejszego; lat 50, które upłynęły od daty jego wydania, a które były poświęcone odszukiwaniu po tylu bibliotekach, archiwach i t. p., nie wzmiankowanych przezeń pism, powiększyły dziś ilość znanych może o kilkakroć; wiadomości też o życiorysach autorów, o historyi zakładów naukowych, najdawniejszych zabytkach drukowych, rękopiśmiennych i t. p. znaczny odbiły postęp. A jednakowo mimo to ta »Historya Liter. Pols.« Bentkowskiego nie przestaje dotąd być księgą wartości pełną. Umieszczone w niej zdania o pismach, tak treści naukowej jak poetycznej, są to dla nas historyczne pamiątki estetycznych lub naukowych przekonań epoki swojej, a wyrażane z umiarkowaniem, ze smakiem, nie w jednym szczególe i dziś nawet mogłyby być powtórzone. Bibliograficzną zaś stroną, t. j. wyliczeniem pism i pisarzy wszystkich gałęzi do początku wieku XIX. z dokładnem poszczególnieniem wszystkich pism każdego pisarza, a w oznaczaniu pism, ich tytułów, roku druku i miejsca, liczby wydań i t. p., Historya ta celuje dotąd wszystkie historye literatury do naszych czasów.

Krok, który postawił był tem pismem Bentkowski w gałęzi swojej, krok, który z niczego, t. j. z rozrzuconych, zapomnianych a w części i nigdy prawie nieznanych szczegółów, złożył i ukazał bogatą całość, krok ten, mówimy,

ile dokonany przez indywiduum bez poprzednich ułatwień, w czasie niedługim, postawiony był, można rzec, kolosalnie; autor jego nie mógł się jednak nigdy uskarżać na upojenie pochwałami, i owszem, zamiast medalu, który wybito wtedy *Lindemu* i *Kopczyńskiemu* (za słownik i za gramatykę), spotkały go wnet wtedy i spotykały następnie wyłącznie do naszych czasów tylko zarzuty i prawie szyderstwa.

Czynienie dopełnień do postawionego już tak pracowicie kroku, do podanych ram, fundamentów, było łatwem, każdy jednak, który mógł uczynić to dopełnienie, który w bibliotece własnej albo sąsiedniej znalazł pisemko, którego napis nie znajdował się w »Historyi Liter.« Bentk., miał się już za człowieka wyższej od niego zasługi; jedni więc z urąganiem mówić zaczęli o bibliograficznej dokładności jego Historyi, inni nie doczytawszy do końca napisu książki, szydzili, iż bibliograficzny spis podał za historyę literatury, inni, iż dawał zdania niesłuszne, inni, iż nie dawał zdań żadnych, a tylko powtarzał cudze, inni, że mówił tylko o drukach, nie rękopismach [1] i t. p.

W literaturze, uprawianej od tylu wieków, uprawianej w niektórych z tych wieków nader obficie i której biblioteki rozrzucone były w stronach tak rozlicznych, pierwszy krok postawiony przez człowieka pojedyńczego dla przedstawienia całości jej, nie mógł być naturalnie zupełnym, nie mógł naturalnie przedstawić pracy wyczerpanej. Sam autor wyznawał w przedmowie, iż oprócz pomocy z ksiąg tych bibliograficznych, które we wstępie wyliczył, korzystał tylko z bibliotek warszawskich i to nie wszystkich, tj. oprócz biblioteki *Liceum* z *Misyonarskiej*, *Pijarów* i *Kwiatkowskiego*, dopełnienia więc mogły być czynione i licznie; jak jednak krok uczyniony przez Bentkowskiego nie był łatwnym do powtórzenia, dowodem już jest to, iż mimo obudzone powszechnie przez jego »Literaturę« zajęcie się

[1] Tytuł wszakże był: *Hist. Lit. Pols. w spisie dzieł drukiem ogłoszonych.*

tym przedmiotem, mimo poświęcanie się tylu osób jego uprawie, mimo przełamanie przezeń pierwszych lodów i utorowanie już drogi i pomimo zarazem tylu wołań na potrzebę, a brak w kraju dokładnej historyi literatury, od Bentkowskiego jednak do Wiszniewskiego, a zatem przez lat 23, nikt się nie odważył[1] na stawianie tego nowego budynku; ukazywały się tylko już nader krótkie *kompendya*[2], już dopełnianie czysto bibliograficzne, już wreszcie opracowywanie części szczególnych. Dwa te ostatnie oddziały wydały wszakże publikacye rzetelnej wartości i wysokiej zasługi.

Główne bibliograficzne dopełnienia poczynili mianowicie: *Chłędowski* z bibliotek lwowskich; ogłosił je w broszurze p. t.: »A. T. Chłędowskiego: Spis dzieł polskich, opuszczonych lub źle oznaczonych w Bentkowskiego Hist. Liter. Polskiej«, Lwów, 1818 r.; z wileńskich zaś J. Gwalbert *Styczyński*, ogłosiwszy je w kilkunastu numerach pisma *Dziennik Wileński* (od 1818—1822 r.) w artykułach pod napisem: »Dodatki do historyi literatury polskiej«, oraz bibliotekarz b. uniwers. wileńskiego, Ludwik *Sobolewski*, których część weszła następnie do publikacyi Adama Jochera p. n.: »Obraz historyczno-bibliograficzny«, o którym niżej, część zaś dotąd w rękopiśmie zostaje. Dzieła, odszukane i zamieszczone w tych dodatkach, należą wprawdzie po największej części do pism wartości 2 i 3 rzędu lub żadnej, zawsze jednak ogólna ilość przewyższyła może o kilkakroć ilość wzmiankowanych u Bentkowskiego.

Co do dopełnień i opracowań gałęzi szczególnych,

---

[1] [Mówił tak Tyszyński, nie mogąc znać krytycznej hist. lit. pols. Kaz. Brodzińskiego, z której wielkie ustępy wydrukowano dopiero w r. 1873—5 w poznańskiem zbiorowem wydaniu jego »Pism«].

[2] Tak np. krótki *Rys historyi i literatury polskiej Szumskiego*, 1807, który jest prawie tylko wyciągiem z pism *Krasickiego* i *Dmóchowskiego* i nader wyższej wartości *Rys. hist. liter. pols.* Zygm. *Bartoszewicza*, Wilno, 1828, w którym autor korzystał już z pism *Bentkowskiego* i jego najbliższych następców.

obszerne w tym czasie przyczynki poczynili pismami swemi: *Juszyński* do gałęzi poezyi, *Gołębiowski* do gałęzi historyi, *Jocher* do gałęzi teologii i filozofii; w rękopiśmie tenże pomieniony Juszyński miał zostawić spis ascetów, a Jacek Mieroszewski — polityków.

Praca Juszyńskiego nosi napis: »Dykcyonarz poetów polskich przez ks. Hieronima Juszyńskiego«. T. 2, 1820 r. Ks. Hier. Juszyński (przy końcu życia oficyał kielecki) w młodych latach był pomocnikiem i towarzyszem prac i poszukiwań bibliograficzno-historycznych Czackiego. Zamiarem Czackiego było ułożyć i wydać dokładną historyę liter. polsk. Juszyńskiemu powierzył więc wypracowanie gałęzi poetycznej. Juszyński zajął się wypełnieniem tego zadania z całą gorliwością i starannością, ale celem jego nie było kreślenie obrazu krytycznego przebiegu poezyi polskiej, ale tylko przyniesienie bibliograficznej pomocy dla przyszłego w tym przedmiocie historyka; w piśmie swem nie tylko więc nie mówi o poetach sobie spółczesnych, ale nie wzmiankuje nawet poetów z końca wieku XVIII-go, »jako, mówi, powszechnie znanych«; zebrał zaś nazwiska poetów lub poezyi od najdawniejszych czasów do połowy XVIII. wieku i spisał je porządkiem abecadłowym; (przy wyliczeniu poematów bezimiennych abecadłowość zastosowana tu do napisów tych poematów). Spotyka się tu nazwisk poetów około 1500, a poematów bezimiennych 500; wogóle więc do 2000 poetów. Wiadomości bibliograficzne o każdym z poematów tych są dokładne, t. j. dokładnie wymienione tytuły, miejsca druku i rok, niekiedy zaś umieszczane i zdania o nich, tak właśnie, jak to jest w Bentkowskim. W szczególny sposób przedmowa położona tu w zakończeniu 2-go tomu i określony w niej cały przebieg poezyi polskiej jasno i pracowicie, ale wyłącznie prawie pod względem bibliograficznym.

Dzieło *Gołębiowskiego* Łukasza, ogłoszone w r. 1826 ma napis: »O dziejopisach polskich, ich duchu, zaletach i wadach«. Dział historyczny Bentkowskiego rozszerzony

w tem piśmie do 200 nazwisk, a traktat pisany jest z krytyką, czerpaną z dzieł Naruszewicza, Czackiego, Lelewela, Ossolińskiego i in.

Publikacya Adama *Jochera* ma napis: »Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce z pism Janockiego, Bentkowskiego, Sobolewskiego, Ossolińskiego, Jana Winc. i Jerz. Samuela Bandtków, wystawiony przez Adama Jochera«. Wilno, 1840—1857 r. Tom. 3.

Obraz ten, którego wydanie zbiegło się z ogłoszeniem »Hist. Lit.« Wiszniewskiego, był jakby dokończeniem epoki głównie bibliograficznej. Celem było tej publikacyi przedstawić najpełniejszy, jaki mógł być w tym czasie, rejestr bibliograficzny pism należących do historyi literatury polskiej, a to koleją gałęzi jak u Bentkowskiego. Z XIII-tu jednak oddziałów, czyli gałęzi, które ukazać się miały, wydane zostały (nie wiemy wcale dlaczego) tylko trzy, t. j.: *Filozofia*, *Teologia* i oddział tak nazwany: *Nauki razem wzięte* (t. j. publikacye dotyczące zbiorowych przedmiotów).

W kolei przedstawiania pism panuje w tym obrazie szczególny zamęt chronologiczny, wydawca bowiem zaczynając od wieku XVI., przechodzi tu nieraz wprost do XIX., potem cofa się, i znowu wraca; zdania o pismach nie są kładzione nigdzie, wiele też stronic i kart poświęconych jest opisom broszurek wartości żadnej, jak np. o odbytych egzaminach w szkołach powiatowych (obejmuje to po kart kilka) itp.; — zakres bibliografii nie rozciąga się do spisywania afiszów teatralnych, biletów wizytowych i t. p. i dosyć było raz wspomnieć, iż każda szkoła miała zwyczaj drukować wiadomości o swoich popisach. Mimo to jednak wiadomości bibliograficzne w tej publikacyi co do gałęzi pomienionych, t. j. teologii i filozofii, najobfitsze mamy w tym obrazie, a tom I. poprzedza też zajmująca rozprawa o stanie nauk filozoficznych śród kraju.

Jedną wreszcie z najgłówniejszych publikacyj, przynoszących pomoc do znajomości historyi literatury dawnej w tym czasie, była praca i publikacya Józefa Maksymil.

Ossolińskiego p. n.: »Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej«. Kraków, tomów 4, 1819—1822. Zrobił był już tę uwagę Załuski w »Programie Liter.«, że książęta naszego Kościoła byli też książętami literatury polsk. w gałęzi dziejowej (Mateusz, Kadłubek – biskupi krakowscy, Bogufał poznański, Długosz lwowski, Kromer warmiński, Piasecki przemyski i t. p.); można uważać, że w odwet widoku w innych krajach, gdzie zajmowano się pracą umysłową tylko z potrzeby, w naszym kraju we wszystkich gałęziach umysłowości widzimy pracowników z urodzenia zamożnych, a oddających się pióru tylko z upodobania, natchnienia i t. p. Począwszy od poetów: Reja i Kochanowskiego, dziedziców wiosek, śród pisarzy różnych oddziałów literatury znajdujemy imiona najpierwszych rodzin krajowych. Zamojski, Żółkiewski, Radziwiłłowie, Fredro, Opaliński, Załuscy, Jabłonowscy i in. byli to autorowie znakomitszych produkcyj naszej literatury. W ostatnich latach wieku zeszłego, pierwszymi spółcześnie dziejowymi erudytami byli hrabiowie: Jan Potocki i Czacki. Do liczby tego rodzaju pracowników należał właśnie i Józef Maks. Ossoliński; zwracamy uwagę na te szczegóły, stają się one bowiem niekiedy źródłem niesłusznych sądów. Zamożność pracującego budzi zwykle w sądzie powszechnym domysł o zajmowaniu się powierzchownem, pracy wpółzaniedbanej i t. p.; praca i książka obecna Ossolińskiego wskazuje jednak dobitnie i na te korzyści, które ma pracujący zamożny, jeśli pracuje z rzeczywistego zamiłowania przedmiotu, po poprzedniem usposobieniu należnem i t. p. Zamożny jest panem swojego czasu i panem skuteczniejszych środków w badaniu, jakich nie ma ten, który nie jest zamożny. Jakoż co uczynili np. Jan Potocki i Czacki dla dziejów krajowych zewnętrznych, to Ossoliński dla dziejów literatury. Założyciel biblioteki, jednej z najzamożniejszych w dawne pisma krajowe (dziś »imienia Ossolińskich we Lwowie«), J. M. Ossoliński był też właśnie autorem owych 4 tomów »Wiadomości historyczno-krytycznych«, o których mówimy.

Wiadomości te nie tylko dodały świat nowy do »Historyi Liter«. Bentkowskiego, ale też położyły kamień do budowy rzetelnej historyi liter. przez ocenianie krytyczne wzmiankowanych w tych wiadomościach pism, które autor miał czas nie tylko widzieć, ale i czytać, odczytywać, oceniać i sąd ten swój szczegółowie, niezawiśle i nieraz tu wymownie wyraził. Badania swe przedstawił tu autor w szeregu i kształcie *biografij* autorów, w których obok szczegółów pism i dzieje życia pisarzy przedstawiają też tu rysy bogate, w wielkiej części ze źródeł niedostępnych dla ogółu czytelników czerpane [1].

Tom I. składają tu następne żywotopisma, czyli artykuły: *Bardziński* Stan., *Bielski* Marcin, *Bielski* Joachim, *Birkowski* Fabian, *Bzowski* Abraham, *Ciołek* Erazm, *Gad* de Ouciu, *Górski* Stanisł., *Lubomlczyk* Seweryn, *Lwowczyk* Łukasz, *Marcin* Polak, *Melchior* z Mościsk, *Moskorzewski* Hieronim, *Moskorzewski* Jędrzej, *Okolski* Szymon, *Wapowski* Bernard, *Warszewicki* Stanisł., *Wolfzner* Oktawian.

Tom 2-gi: *Ochin* Bernardyn, *Goślicki* Wawrzyniec, *Piasecki* Paweł, *Royzius* Piotr, *Szneberger*, *Dorohostajski*, *Kadłubek*.

Tomy 3-ci i 4-ty poświęcone są szczegółom życia i rozbiorowi pism wyłącznie *Orzechowskiego*.

Kiedy w ten sposób opracowanie szczególnych gałęzi i wogóle szczegółów należących do dziejów piśmiennych polskich posuniętem zostało, ukazał się wreszcie pisarz, który na nową skalę i z nowych wychodząc zasad, rozpoczął stawianie na polu uprawy gałęzi hist. liter. nowej budowy. Dzieło to, które, stawione na tę obszerną skalę, miało objąć

---

[1] *Wiszniewski* mówiąc o *źródłach* do historyi lit. pols., o tej pracy Ossolińskiego tak się wyraził: »Styl twardy, przenośnie rozwlekłe osłaniają *nicość* tej książki, z której żadne światełko nie wymknęło się«. Przyczyna tego zdania Wiszniewskiego jest rzeczywistą zagadką, w pracy bowiem swojej nieraz następnie na *Ossolińskiego* powołuje się, a nawet ledwie nie co karta w zdaniach, mianowicie o pismach jak np. o *Kadłubku*, *Marcinie Polaku*, *Gad de Ouciu* i in. go powtarza.

całość przebiegu literatury do dni spółczesnych, rozpoczął w r. 1840 profesor historyi w uniw. Jagiellońskim, *Michał Wiszniewski*, i pracy tej wydanych zostało tomów obszernych IX. Praca ta dochodzi jednak tylko do połowy XVII. stulecia. Dlaczego dalszego prowadzenia jej autor zaprzestał, wiedzieć nie można, zdaje się bowiem, że ani brak środków, ani brak swobodnego czasu nie stanęły i nie stoją mu na przeszkodzie. Przerwa ta jednak stała się z wielką stratą dla literatury krajowej i z żalem jej miłośników.

»Historya Liter. Pols.« Wiszniewskiego opowiada przedmiot swój nie koleją gałęzi jak Bentkowskiego, ale koleją epok, a treść jej wydanych tomów IX-ciu jest w szczególności następna:

Tom I. Po »Wstępie«, obejmującym skreślenie ogólnej charakterystyki epok literatury i źródeł historyi literatury polskiej (razem str. 164), opowiada dzieje liter. polsk. z epoki 1-szej, t. j. przedchrześcijańskiej i początek epoki od r. 965 do 1400, czyli do założenia Akademii krakowskiej, wyliczając po kolei to wszystko, co ze śladów poezyi, wymowy, sztuk i różnych umiejętności z owych wieków przechować się dało (obejmuje str. 450).

Tom II. (str. 488) obejmuje dokończenie obrazu epoki 2-giej, a mianowicie mówi szczegółowie o kronikarzach i księgach prawodawczych z owej epoki.

Tom III. (str. 512) obejmuje początek epoki 3-ciej od r. 1400 do 1506, a mianowicie opowiada o filozofii, filologii, poezyi i wymowie tak polskiej, jak i łacińsko-polskiej z tej epoki.

Tom IV. (str. 482) mówi o kronikarzach i dziełach ze sfery umiejętności epoki 3-ciej, oraz szczegółowie o szkołach, bibliotekach i dziejach Akademii krakowskiej w tejże epoce.

Tom V. (str. 368) obejmuje dokończenie epoki 3-ciej i mówi o teologii, prawie kościelnem, prawodawstwie cywilnem i sztukach pięknych w tej epoce.

Wszystkie następne tomy »Hist. Liter.« odnoszą się

do epoki 4-tej, zwanej złotą, a która według podziału autora ciągnie się od r. 1506 do r. 1650; w szczególności zaś:

Tom VI. (str. 624) mówi o filologii, poezyi polsko-łacińskiej, polskiej kościelnej, przekładach z greckiego, łacińskiego i Pisma św. w tej epoce.

Tom VII. (str. 592) o poetach i dziejopisarzach epoki 4ej.

Tom VIII. (str. 502) dokończenie literatury historycznej i literatury kościelnej różnych wyznań w tej epoce.

Tom IX. (str. 585) dokończenie literatury teologicznej, literaturę prawną, filozoficzną, lekarską i nauk przyrodzonych.

Tomy tej »Historyi Literatury« od I. do VII. włącznie wydawane były przez autora w przeciągach rocznych, tj. od r. 1840—1845 (w r. 1840 wyszło dwa tomy). Następnie tom VIII. w r. 1851, a IX. w r. 1857 wydane zostały z rękopismów autora przez p. Aleks. Przeździeckiego. Do IX. tych tomów dodany nadto został jako tom X. alfabetyczny spis autorów wymienionych w IX. tomach, ułożony przez redaktora tomu IX. (p. T. Żebrawskiego).

Treść »Historyi Liter. Pols.« Wiszniewskiego nie może prawie iść w porównanie z treścią »Hist. Lit.« Bentkowskiego, tak obszerniejsze widoki, ramy i same zasoby bibliograficzne do składu jej weszły. Autor tu nie przestaje na wymienianiu samych pism, ale dołącza i ocenienie każdego prawie pisarza, każdego pisma, nie tylko wymienia taki, lub inny fakt z dziejów oświecenia, nauki lub sztuki krajowej, ale wykazuje zarazem i jego stosunek do jego europejskiej gałęzi. W skład szczegółów weszły nadto dodatki, odkrycia i wogóle owoce wszystkich prac owych, o których wspominaliśmy, w ciągu lat blizko 30-tu. Wprowadzona tu nadto w obraz nie tylko literatura drukowa, ale i rękopiśmienna, o ile ją aut. mógł znać, mając dostęp do tak zamożnej w rękopisma z epoki przeddrukowej biblioteki, jaką jest Akademii krakowskiej.

Wszakże czyniąc te porównania, wypada dodać, że jeżeli »Hist. Lit.« Bentkowskiego zajmując się prawie wyłącznie bibliografią, pod względem kreślenia literackiego

obrazu epok, oraz gałęzi mówiła za mało, tedy »Hist. Lit.« Wiszniewskiego wkraczając w rozległe ustępy, wychodzi niejednokrotnie zadaleko za granice literatury polskiej, t. j. swego przedmiotu. Obszerne wiadomości autora a chęć być jasnym, są powodem, iż aut. mając mówić o danym przedmiocie (a w hist. lit. jest ich różność), czyni zwykle ustęp o tym przedmiocie, ten zaś ustęp w rozwinieniu swem staje się dalej źródłem nowego ustępu, tak, iż treść tych ustępów wychodzi nieraz zupełnie za granice przedmiotu książki. Tak np. obszerne określenie wpływu na oświecenie w Europie przeniesienia się rękopismów z Grecyi na zachód samo przez się już było ustępem, lecz ustęp ten zrodził nadto inny obszerniejszy, t. j opisujący wojny Turków z Grekami, stąd szczegóły szturmu do Konstantynopola i t. p., co wszystko po kilkadziesiąt kart obejmuje. Historya wynalezienia druku, odkrycia Ameryki i określenie stanu filozofii w Europie w wiekach średnich, także zajmują niewłaściwie za liczne karty, mnożąc obszerność i tak już obszernej, według ram sobie założonych, pracy. »Hist. lit.« Bentk. ma nadto tę wyższość, iż obejmuje całość zamierzonego obrazu, t. j. iż doprowadziła swój przedmiot do lat spółczesnych, »Hist. Lit.« zaś Wiszniewskiego doprowadzoną jest tylko do połowy wieku XVII. Pisma też niektórych pisarzy z większą dokładnością bibliografijną u Bentkowskiego są wyliczane.

Taka jest jeszcze niedostateczność i takie są ujemności »Hist. Lit.« Wiszniewskiego, pismo to jednak i w samych tych ujemnościach jest bogate i mimo swoją niepełność nie przestaje być okresowem w tej gałęzi, o której mówimy.

Drugim z tegoż czasu pisarzem równie, rzec można, wielkiej, lubo w odmienny sposób, zasługi na polu uprawy historyi liter. polskiej jest p. Kazimierz Wład. *Wojcicki.*

Pierwszym krokiem zasługi p. Wojcickiego było, iż literaturę naszą powiększył o nową gałąź, wniósł bowiem do niej część jej dotąd w ustach ludu będącą i lubo od

dawna zapewne śród kraju istnącą, ale nikomu w literaturze nieznaną, t. j. gałąź pieśni i powieści ludowych.

Jakoż jeszcze przed laty 30 było to mniemaniem powszechnem, nawet w krajach słowiańskich ogłaszanem, że śród plemion słowiańskich jeden tylko lud wiejski polski nie ma ani pieśni, ani powieści. Zebrane i wydane przez p. Wojcickiego w r. 1836 »Pieśni Białochrobatów«, t. 2, i 1837 »Klechdy Starożytne« nie tylko okazały, że jest inaczej, ale stając się wzorem, poparciem do nowych dalszych następnie poszukiwań i zbiorów, wpłynęły na wykazanie, iż owszem śpiew wiejski w różnych prowincyach Polski jest to kopalnia poetyczna nader bogata.

Długi następnie szereg publikacyj autora głównie wpłynął na rozjaśnienie naszej literatury dawnej, dając ją poznać już nie tylko (jak to było dotąd) bibliograficznie, ale z żywej treści tych pism, których egzemplarze drukowe były najrzadsze, lub które zostawały dotąd w rękopismach, a to już ogłaszając je w ich całości, już ich treść i wyjątki, już wreszcie dając poznać te liczne szczegóły bytu dawnego wewnętrznego kraju, które się dały zaczerpnąć z owych pism.

Publikacye te p. Wojcickiego, mówiąc koleją chronologiczną, były:

W r. 1840 pismo mające napis: »Stare gawędy i obrazy« tomów 4.

W r. 1841 »Teatr starożytny«. »Historya Literatury« Bentkowskiego, mówiąc w oddziale poezyi o literaturze dramatycznej polskiej, ani się zdawała domyślać bytu tych szczegółów, które tu autor przedstawił o dawnym dramacie polskim, mianowicie z wieku Zygmuntów. Bentkowski staje się dokładnym bibliograficznie tylko od Konarskiego.

W r. 1842 »Zarysy domowe«. T. 4.

W r. 1843 »Obrazy starodawne«.

W tymże 1843 »Biblioteka starożytna«. T. VI.

W r. 1856 »Archiwum domowe«.

Mieszczą też materyały do historyi literatury tegoż

autora: »Zyciorysy znakomitych ludzi«, 1851, t. 2, »Cmentarz Powązkowski«, 1858, t. 3, gdzie spotykają się liczne szczegóły o życiu i pismach pisarzy naszych, na tym cmentarzu leżących.

I wreszcie bezpośrednio do gałęzi, o której mówimy, należy dzieło tegoż autora: »Historya Literatury Polskiej w zarysach«, 1843. Tom. 3. Wydanie 2-gie, r. 1859—1861. Tomów 4.

W piśmie tem autor wymienia głównych pisarzy polskich koleją chronologijną, zaczynając od pisarzy z wieku XVI. do najnowszych, wzmiankuje ich życiorysy i z bibliograficzną dokładnością pisma przez nich wydane, zarazem zaś załącza prawie przy każdym wyjątki z tych pism.

Wykonaniu tego utworu niejedno zapewne moglibyśmy zarzucić; pomijając bowiem ten szczegół, że autor za pisarzy należących do literatury polskiej uważa tych tylko, którzy pisali po polsku, a tem obraz jej (i co do czasu zaczęcia i co do charakterystyki epok) więcej niż o połowę uszczuplił, w przedstawieniu samych piszących po polsku nie jest wszędzie należnie dokładnym. Tom I., który z założenia miał mówić o pierwszych epokach literatury, cały prawie mówi o czemś innem, jak o tych epokach. Połowa jego zajętą jest wypisami z poezyj obcych, oraz ze zbioru pieśni i powieści gminnych, których treść w części największej nie mieści żadnego powodu do odnoszenia ich do epok dawnych; tem zaś mniej przyczyniają się do objaśnienia owych epok wypisy z różnego rodzaju poezyj nam spółczesnych, które pod tytułem »Dodatków« zajmują obszerną część tomu. Co do przytaczanych wyjątków w tomach następnych, nie znajdujemy wszędzie wierności i jedności obrazu; tak przy jednych pisarzach znajdujemy wyjątki na ujmę ich autorów (jak np. pieśni religijne Reja, nie dające wcale widzieć jego talentu); przy jednych za obszerne, przy drugich żadne i t. p. (tak np. z Modrzewskiego przytoczono, chociaż w przekładzie, kart kilkadziesiąt; z Kromera (który także miał spółczesnego tłumacza),

Paprockiego, i w. in., *nic;* przy Krasickim umieszczone są wszystkie prawie jego satyry, lubo dosyć było dla charakterystyki — jednej; przy Trembeckim nic; o Zaleskim dwa artykuły, z pisarzy niektórych wiersza i prozy wartości średniej po kart kilkadziesiąt; o pisarzach takiej znakomitości jak Libelt, takiej wartości jak Tomasz i Józef Massalscy i t. p., niema nawet wzmianki i t. p. A jednak mimo te ujemności a raczej niedokładności, »Historya Literatury Polskiej« Wojcickiego jest jedną z najpełniejszych i najzasłużeńszych publikacyj w swojej gałęzi; przedstawia nam ona całość rozwicia literatury języka polskiego od początków jej do czasów najnowszych, a skreśleniem i zbliżeniem owych wyjątków stawia przed oczy żywy i zajmujący obraz kształcenia się i zmieniania w kolei kilku wieków prozy i wiersza polskiego.

Do liczby autorów, którzy obraz naszej literatury dawnej rozszerzyli przez badania źródłowe należy wreszcie nader znakomity badacz szczegółów naszej przeszłości krajowej i w części ogólnej słowiańskiej, p. Wacław Aleks. *Maciejowski;* pierwsze główne badania tego autora były zwrócone do szczegółów, dotyczących pierwotnego prawodawstwa polskiego i wogóle plemion słowiańskich [1], następnie do najpierwszych pomników oświecenia tych plemion [2], dalej do wszelkich wewnętrznych szczegółów dawnego bytu miejscowego [3] i wreszcie do wyszukiwania wszelkich zabytków będących piśmiennem odbiciem owego bytu, czyli szczegółów piśmiennictwa krajowego; owoce zaś tych ostatnich badań, należące wprost do przedmiotu naszego, ukazał w dziele, wydanem w latach 1851 i 1852 p. n.: »Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830«. T. 3. Warszawa.

[1] *Historya prawodawstw słowiańskich.* T. 4, wyd. 1. 1832. Warsz.

[2] *Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian.* T. 2, 1839, Peters.

[3] *Polska do połowy XVII. wieku.* 1842. Warsz.

Ponieważ ramy, w których autor rozwinął w tem dziele swój obraz piśmiennictwa, są trochę niejasne, przeto wskazujemy tu szczegółowiej na treść i podziały tych tomów, a to przy pomocy wskazówek, przez samego autora czynionych.

W Przedmowie do tomu I. autor objaśnia, iż w przeglądzie całości literatury polskiej odróżniać będzie 3 *zwroty*. Za 1-szy uważa literaturę *ludową*, t. j. tę, którą sam lud wiejski tworzy bez pisma, za 2-gi liter. *narodową*, t. j. tę, którą tworzy naród czyli ukształceńsza część ludu przez pismo, i za 3-ci wreszcie literaturę *ludowo-narodową*, t. j. połączenie się literatury narodowej z żywiołem ludowej. Następnie w treści tomu (który obejmuje stronic 813, a w Dodatku str. 403, wogóle str. 1216), opowiada szczegółowie o faktach, odnoszących się do zwrotu 1-go, czyli o pieśniach i powieściach ludu polskiego, zwrotu 2-go, czyli o najdawniejszych zabytkach piśmiennictwa polskiego i zwrotu 3-go, czyli o znakomitszych pisarzach polskich po polsku piszących do r. 1650.

Treść tomu II. podzieloną jest na 5 *obrotów*, które, zdaniem autora, uwydatniły się w owych *zwrotach*. Obrót 1-szy mówi głównie o szkołach i naukowości w dawnej Polsce, 2-gi o stopniowem rozwijaniu się i kształceniu języka i stylu polskiego, 3-ci o pieśni czyli poezyi polskiej do wieku XVII., 4-ty o prozie duchownej i świeckiej, 5-ty wreszcie o wpływach literatury i historykach literatury do czasów najnowszych. Tom ten obejmuje str. 986.

Tom III. wreszcie poświęcony jest dopełnieniom do tomów poprzednich, czyli przeglądowi pisarzów, jak wyraża autor, podrzędnych, tak bezimiennych, jak i imiennych. Tom ten obejmuje str. 877; kończą zaś ten tom i całą publikacyę trzy abecadłowe rejestry do jej całości, stronic XXIV.

Jest to arcysłuszna uwaga autora, iż odrębną odróżniają się cechą literatura, która jest w ustach ludu wiejskiego, czyli ludowa; literatura, którą tworzy ukształcona

klasa narodu, czerpiąc zasady jej z ogólnej naukowości, co nazwał aut. literaturą narodową, i że wreszcie odmienną ma cechę połączenie obu tych treści, t. j. według nazwania autora, literatura ludowo-narodowa. Wszakże wykład ten nie dał jasnego obrazu biegu naszej literatury już najprzód przez to, iż język nasz przez ten przymiotnik *narodowy* oznacza własność, która się odnosi do wszystkich klas danego narodu, nie zaś do ogółu ludzkości, jak to wyraża autor, i że zatem przez wyraz ten *narodowy* rozumiemy w praktyce właśnie to samo wyobrażenie, które autor nazwał ludowo-narodowem. Powtóre zaciemnia wykład obrazu użycie przez autora do rozwijania go nazwiska *zwrotów*. Przez zwrot bowiem rozumiemy koniec jakiegoś kierunku i zaczęcie nowego; tymczasem przedmioty zwrotów autora są to przedmioty (w treści samego wykładu) nie kolejno po sobie następujące, ale równolegle z sobą rozwijające się i przez przeciąg wszystkich epok obok istnące. Tak np. w kreśleniu obrazu zwrotu 1-go autor przytacza wiele pieśni ludu, które są użyte ze zbiorów XIX. wieku i być mogą utworem tegoż; niektóre z nich, jak np. pieśń o wyprawie króla Jana pod Wiedeń w żadnym razie nie może być starsza nad wiek XVII., tymczasem cofa się autor następnie do literatury XIII. i XII. wieku i zowie to zwrotem 2-gim (zwrotem od swojej przyszłości). Lecz nadewszystko po trzecie wykład według tego podziału nie wyjaśnił obrazu przez to, iż aut. pod obraz literatury ludowo-narodowej, t. j. zapewne jaśniej mówiąc, wiejsko szlacheckiej, podciągnął wszystkich głównych pisarzy naszych z wieku XVI. i XVII., kiedy tymczasem prócz dwóch autorów sielanek i jeszcze może czyjego przygodnego wierszyka, w żadnem z pism tych autorów nic nie widzimy spólnego z żywiołami tych szczegółów literatury, o których autor mówił pod zwrotem 1-szym.

Jeżeli zaś pośród wykładu niejasnem zostaje dla czytelnika, co autor rozumiał przez *zwroty*, tem mniej jasnem, co przez *obroty*, t. j. dlaczego tak zajmujące skądinąd bada-

nia o szczegółach stanu nauk, szkół, lingwistyki i t. p., dotyczące 1-szej epoki naszej literatury, mają tu nazwisko *obrotów* i mają być jakoby poddziałami owych zwrotów? Nader niejasno przytem są położone i wykazane różnice między pisarzami 1-go i 2-go rzędu, t. j. odniesionymi do t. III., tak iż wogóle ramy, w których przedstawił autor swoje badania, stanowią istotny zamęt, i gdyby nie dołączone abecadłowe spisy, pismo jego nie mogłoby mieć nawet podręcznego użytku dla czytelnika. Poszukiwania jednak, które autor w czasie układu tego pisma czynił osobiście w różnych bibliotekach, a między innemi w petersburskich i poznańskich, powiększyły o krocie tytułów obraz literatury polskiej. Wszystkich tych pism autor przytacza nie tylko napisy, ale już krótsze, już dłuższe wzmianki o treści ich lub wartości. Wykład cały odznaczają nadto bogate wiadomości i szczegóły biografijne, bibliografijne i dotyczące wogóle dziejów oświecenia śród kraju. W Dodatkach wreszcie są nadto umieszczone najdawniejsze zabytki piśmienne polskie z podobiznami i inne liczne wyjątki z najrzadszych pism. A wszystkie te względy czynią tę publikacyę p. Maciejowskiego istotnym skarbcem i jednym z głównych materyałów dla każdego na polu historyi literatury krajowej pracownika. Dodać wreszcie wypada, iż pismo to więcej umieściło poglądów krytycznych na pisma i pisarzy naszej literatury dawnej niż inne; co zaś do pełności skreślonego obrazu, »Piśmien.« p. M., jak »Historya Literatury« Wiszniewskiego, zatrzymało się na połowie XVII. wieku, a nadto nie obejmuje pisarzy polskich po łacinie piszących.

Pisarze, o których mówiliśmy dotąd: Bentkowski, Sobolewski (Jocher), Juszyński, Ossoliński, Wiszniewski, Maciejowski, Wojcicki, kreślili, jak to widzimy, historyę literatury polskiej lub jej gałęzi ze źródeł, t. j. czyniąc poszukiwania jej szczegółów po bibliotekach, archiwach i t. p. Obok nich mieliśmy też pisarzy, którzy wykładali hist. lit. korzystając już z prac tych źródłowych, i którzy dawali

albo skrócone z nich wyciągi czyli kompendya, albo też szykowali zebrane szczegóły, odziewając je w systematyczny układ, w nowy krytyczny pogląd i t. p.

Tu mianowicie należy:

1. »Rys dziejów piśmiennictwa polskiego« ułożył Lesław Łukaszewicz, Kraków 1836. W układzie tym i wykładzie autor wziął za wzór *Pischona:* »Leitfaden zur Geschichte der deutschen Literatur«.

Pismo to w pierwszem swojem wydaniu i kilku następnych mówiło tylko o autorach, którzy pisali po polsku. Jasny jednak, systematyczny i lubo w ciasnych ramach obejmujący główne rysy swego przedmiotu wykład; trafny i umiarkowany sąd (tak o epokach, gałęziach, jako też o pisarzach lub pismach), objęcie w wykładzie całości dziejów doprowadzonych do czasów autora, uczyniły to pismo poczytniejszem i popularniejszem nad inne swojej gałęzi. Ponawianie wydań tego pisarza przeciąga się dotąd z coraz nowymi dodatkami i dopełnieniami i zawsze pod imieniem autora, jakkolwiek zmarłego już przed kilkunastu laty. Wydanie mianowicie z r. 1859 przez dodanie literatury polsko-łacińskiej i biografij pisarzy, powiększyło poprzednią treść dziełka o kilkakroć. Dziełko to jest dotąd najpopularniejsze i mimo swe drobne usterki (obfituje w nie mianowicie wydanie z r. 1866; vid. rozbiór Estreichera w Bibliot. War.) ze względu na swą w głównych zarysach tak *bibliograficzną*, jak i *biograficzną* dokładność i pełność rzeczywiście najlepszym dotąd może być przewodnikiem dla chcących obeznać się z rysami piśmiennictwa polskiego, tak krajowców jak cudzoziemców. Dziełko to, które w 1-em wydaniu miało zaledwie stronic 90, w ostatniem ma 900; przerabiali je po kolei w Krakowie: *Kalinka*, *Radwański*, w Warszawie *Rogalski*, *Czarkowski*, w Poznaniu *Kiliński* (kanonik) i inni.

2. »Literatura Polska w rozwinięciu historycznem«, pismo Jana Majorkiewicza (r. 1847 — przedruk w ogólnym zbiorze pism Majorkiewicza r. 1851), opowiedziało także całość literatury polskiej w skróceniu, z pominię-

ciem wprawdzie bibliografii i biografii, ale z zastosowaniem jak do całości, tak i do szczegółów sądu filozoficznego. Autor ten także podzielił całość przebiegu literatury na zwroty (zwroty jednak istotne, nierównoległe kierunkiem, a nazwanie to naśladował właśnie P. Maciej., jak sam wyraził), a różne ich kierunki uważając za odpowiednie zwykłej historyi pojęcia ludzkiego, starał się dowieść, iż cechą 1-ej epoki literatury polskiej, która obejmowała przeciąg od wieku XII-go do początku XVIII-go, było *badanie wiary*, cechą epoki 2-ej czyli zwrotu 2-go od połowy XVII-go do połowy XVIII-go powstawanie na rozum, 3-go czyli epoki od połowy XVIII-o wieku do dni naszych: wszechstronność tj. i niewiara i wiara i racyonalność.

Młody autor wydając tę książkę, dał jej był kilka napisów, a mianowicie: »Historya, Literatura i Krytyka«, »Literatura Polska w rozwinięciu historycznem«, »Pomysły do dziejów piśmiennictwa polskiego« i »Zarys obrazu historycznego liter. polskiej«. Jak myśl autora nie mogła się ustalić w oznaczeniu istotnego znaczenia swej pracy, tak też w szczegółach tej pracy, tj. w poglądzie na wewnętrzną całość literatury, także znaczne są nieustalone poglądy umysłu młodego. Autor ten myślał i pisał w czasie, kiedy właśnie w literaturze naszej przez odbicie dążenia i treści sąsiedniej nam literatury niemieckiej, wprowadzoną i rozbieraną była kwestya co do stosunku wiary i wiedzy, o przewagach jednej nad drugie, o ich wzajemnym boju, albo łączeniu się i t. p. Przekonanie (tak słuszne skądinąd), iż między pierwiastkami tymi powinna być zgodność, tj. iż obowiązkiem człowieka są: zarazem i wiara i rozum, czyli wiara rozumna, było założeniem, treścią i celem każdego pisma autora, a we wszelkiem rozwiciu i treści, do rozmyślania wziętej, widział i starał się wykazywać walkę pierwiastków tych. Walkę tę, czyli widok tych szczegółów koniecznych umysłowości, starał się więc oglądać i wykazywać i w historyi literatury polskiej.

Iż w historyi myślenia każdego kraju powtarzać się

i odbijać musi na większą skalę, historya myślenia każdej jednostki, jest to pewna; ale upatrzenie czyli przypuszczenie rodzaju zwrotów przez autora było fałszywem już przez to, iż fałszywym był pogląd i na historyę myśli jednostki; myśl ludzka nie zaczyna się od *badania wiary*, ale od *wiary;* tymczasem do fałszywie pomyślanego systemu, usiłował autor naginać fakta, przedstawienie ich stać się więc musiało fałszywem. Autor chcąc koniecznie oglądać w 1-szej epoce naszej umysłowości *badanie wiary*, w 2-ej *powstawanie* na rozum itp., pisarzy i ich dzieła, nie poznawszy ich nawet dobrze (jak to sam wyznawał), chwalił, potępiał lub charakteryzował ze stanowiska powziętego przez siebie pomysłu *a priori*. Praca ta nie może się więc uważać za wierny obraz literatury, ma jednak zawsze zaletę pierwszej filozoficzno-krytycznej pracy o całości literatury polskiej, a w przejściach swoich wyraziła też niejedną myśl trafną i wyższą [1]).

3. »Dzieje Literatury w Polsce od pierwiastkowych do naszych czasów, pokrótce opowiedział *Ludwik Kondratowicz*«, 1850—1852 t. 2. Jest to także skrócenie i wyciąg prac z owych pisarzy źródłowych, o których mówiliśmy, ale w rodzaju innym. Gdyby obdarzony talentem pióra autor tego pisma doprowadził był swoją pracę tak, jak był zamierzył, do czasów sobie spółczesnych, byłaby to najlepsza historya literatury naszej do popularnego czytania. W wykonaniu jej autor nie miał wprawdzie na celu przeprowadzenia jakiegoś filozoficznego poglądu, rozwijania szczególnego systematu, ale odbite w niej bezstronne i praktyczne zamiłowanie przedmiotu; wykład jego jasny i trafny a przytem i piękność pióra, nadawały temu pismu wartość rzetelną. Autor ten pełen gracyi w poezyach swoich, w użyciu prozy umiał ją wprawdzie powstrzymywać w granicach należnych, tj. nie unosząc się ani fantazyą, ani de-

[1] [Obszerniejszą ocenę dzieła Majorkiewicza dał Tysz. w »Rozbiorach i Krytykach« t. II. str. 233—272].

klamacyą; ów jednak czuły smak, który mu przewodniczył w budowie wiersza, nie opuszczał go i w budowie okresów prozy, w kreśleniu zarysów epok, czynieniu sądów i t. p. Uważając literaturę polską, jak każdą literaturę, za cząstkę ogólnego rozwicia kraju, a zatem jako związaną z jego rozwiciem zewnętrznem, kreślenie jej epok poprzedza tu autor wszędzie kreśleniem najprzód tego zewnętrznego rozwicia czyli dziejów zewnętrznych, opowiada potem o głównych faktach wewnętrznych epoki, tj. wymienia główne jej pisma z trafnym o nich sądem i zarazem przytacza wyjątki z pism poetycznych (do łacińskich dołączając przekład swój własny). Żałować należy, iż pismo to tak jak historye pp. Wiszniewskiego i Maciejowskiego, aut. doprowadził także tylko do połowy XVII-go wieku czyli (według podziału, który uczynił) do epoki *Wazów*.

4. »Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego zebrał M. Ł.«. (Maksym. Łyszkowski, 1855 Warsz.). Jest to krótki, ale szczegółowy i trafny obraz całości przebiegu literatury polskiej. Pismo to odznaczyło się mianowicie tem, iż autor dołączył w nim wiadomość o wszystkich prawie spółczesnych pisarzach do r. 1855 (tj daty wydania książki) przynajmniej warszawskich, oraz iż dołączył obszerniejsze, w ramach przez siebie obranych, zdania o wielu już własne, już obce, które podzielał. Zarzucićby można tylko temu pismu brak pewnej symetryi. O jednym i drugim pisarzu mówi się tu kart kilka, co ile na kompendyum całości literatury jest za wiele, o innych zaś równej i wyższej wartości nic prawie; pisemek małej wartości przytacza niekiedy długą i szczegółową treść, a znakomitszych tylko napis; kilkanaście kart zajmuje tu między innemi powtórzona z r. 1835 rozprawa *Nowa epoka poezyi polskiej;* rozprawa ta w swoim czasie miała wartość, lecz, ile pisana na lat koło 30 przed pismem autora, mówi już wcale nie o nowej epoce, a stąd niewłaściwe już tylko wyrażała zdania o żyjących.

5. »Obrazek dziejów literatury polskiej« przez Adama

Porój (Chodyńskiego) 1858 Kalisz. Dziełko to nie obejmuje więcej jak str. 180, jest rzeczywistym obrazkiem przedstawiającym krótko, ale dosyć wiernie rysy każdej epoki literatury polskiej, od najdawniejszych do nam spółczesnej.

6. *Juliana Bartoszewicza* »Historya Literatury Polskiej, potocznym sposobem opowiedziana«, Warsz. 1861.

Ze wszystkich pism obejmujących całość naszej literatury jest to pismo najwięcej mieszczące krytyki. Pisma, zwłaszcza należące do gałęzi historycznej i poetycznej, trafnym zwykle sądem tu odznaczone. Żałować tylko można, że autor wziąwszy za przedmiot treść tak poważną, jak sąd o pisarzach i pismach, i zwracając ją, jak sam wyraził, głównie do młodych umysłów, dozwolił tu sobie zarazem i bujania fantazyi, która wiele zdań nacechowała już przesadą, już skrzywionym poglądem, zwłaszcza iż te mają nieraz na celu ujęcie najrzetelniejszych zasług. Obraz nadto ostatniej epoki, ile na pismo krytyczne a zalet wyższych, za wielki w wykładzie ma zamęt i w zdaniach dorywczość. Całe to pismo, iżby mieć mogło użytek odpowiedni swojej (z tylu względów) wartości, wymagałoby przyłożenia powtórnej ręki przez autora i nowego wydania.

Prócz tych pism, w których historya literatury polskiej była celem głównym, przedmiot ten nieraz też stanowił w wielu pismach treść już dodatkową, już ustępową; wspomnimy tu o kilku główniejszych:

Euzebiusza *Słowackiego* (ojca *Juliusza)* rozprawa uwieńczona, napisana do konkursu o katedrę literatury polskiej w uniwers. wileńskim p. n. »O sztuce dobrego pisania w języku polskim«, umieszczona w kilku numerach w »Dzienniku Wileńskim« z r. 1815, a następnie wydana w zbiorze pism tego autora (»Dzieła Euz. Słowackiego T. IV. Wilno 1824—1826), ma wiele trafnych uwag o języku i stylu naszych prozaików i rymotwórców od wieku XVI do XIX, koleją wymienianych.

Traktat drukowany p. n. »Historya Literatury Polskiej, wykładana w Akademii Duchownej Wileńskiej w r. 1838«

przez *Leona Borowskiego* w »Album Literackiem«, wydanem w Warszawie w r. 1848) jest także właściwie wykładem tylko uczonych studyów nad językiem i stylem kilku pisarzy naszych z wieku Zygmuntów.

Przy wydaniu z r. 1853 »Dziejów Polski«, które stryj synowcom opowiedział, dodany został »Rys dziejów literatury polskiej«, przez autora tego wydania L. R. *(Rogalskiego)*. Takiż »Rys« skreślił Fr. Sal. *Dmóchowski* i umieścił przy wydanych (w r. 1865) »Wypisach« ze znakomitszych pisarzy dla użytku szkolnego.

Prócz tych obrazów już dłuższych już krótszych ogólnej literatury polskiej dodać tu wypada, iż otrzymaliśmy jeszcze w ostatnich czasach i kilka monografij czyli historyj szczególnych gałęzi, które są ułatwieniem pracy, torowaną drogą dla przyszłego historyka literatury.

Należą tu mianowicie:

Ludwika *Gąsiorowskiego* »Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiej w Polsce« 1839—1854. T. III. Zebrane tu łącznie wiadomości o pisarzach i pismach polskich w przedmiocie lekarskim od początku liter. polskiej do czasów obecnych.

Tłumacza »Historyi Filozofii w zarysie« *Schweglera*, dodatek do tegoż przekładu p. n. »Filozofia w Polsce«.

W zarysie tym autor tego przekładu i dodatku *F. K.* (Krupiński) pierwszy zbliżył i określił treść pism naszych z gałęzi filozofii (tak teoretycznej, jak i praktycznej), zaczynając od najdawniejszych do sobie spółczesnych, a łącząc ich ocenienie. Dodać tu wszakże trzeba, iż wadą tej pracy jest, że autor w krytyce swojej obok ocenień (t. j. najczęściej nagany) zasad obcych, nie objaśnił i nie daje zrozumieć nawet, jakich się sam trzyma, i dlaczego? (szczegółowiej tu przytoczone i rozbierane zasady już teoretyczne, już praktyczne, pisarzy dawnych: scholastyczne, Jana z Głogowy, Grzegorza z Sanoka, Modrzewskiego, Patrycego i i.; z nowszych Wrońskiego, Szaniawskiego, Kołłątaja, Staszica, Jana Śniadeckiego i i. i wszystkich nam spółczesnych).

I wreszcie wspomnę monografię pracowitszą nad inne, albowiem obejmującą obszerną gałąź od pierwszych czasów historyi kraju, a którą jest: Karola *Mecherzyńskiego* »Historya Wymowy w Polsce«, Kraków 1858. Tomów 3.

Autor oznaczył w tem piśmie 5-ć epok »Wymowy w Polsce« tj. 1) Od czasów najdawniejszych do wygaśnienia rodu Piastów. 2) Od Piastów do Zygmunta I-go, 3) Od początku XVI-go do początku XVII-go wieku. 4) Od środka XVII-go do środka XVIII-go. 5) Od połowy XVIII do połowy XIX, — i opowiada, jak w każdej z tych epok rozwijały się 4-y rodzaje wymowy tj. *radna* czyli sejmowa, *sądowa* czyli obrończa, *religijna* czyli kaznodziejska i *przygodna* tj. w różnych innych okolicznościach życia zdarzana.

Praca to bardzo zasłużona; mało tu bowiem było samych poszukiwań bibliograficznych, ale koniecznem było dla wyszukania źródeł czytanie i odczytywanie uważne ledwo nie wszystkich pism tak w polskim, jak łacińskim języku w kraju ogłaszanych, jako to: *Kronik*, *Żywotów*, *Herbarzów*, *Dyaryuszów sejmowych*, *Poezyj* i t. p. i wyszukiwanie spotykanych w nich wzmianek o tem, iż ktoś miał mowę, iż był człowiekiem wymownym i t. p.

W kreśleniu okresów autor opowiada najpierwej o ogólnym losie wymowy w każdym z tych okresów, a następnie wylicza wszystkich *mówców*. Trzy tomy dotąd wydane nie obejmują jeszcze wprawdzie zapowiedzianej przez autora całości, doprowadziły już jednak przedmiot do epoki IV-tej.

Zarysy literatury polskiej znajdują się też w historyach ogólnej Literatury Słowian, jako to w »Geschichte der slavischen Sprache und Literatur« Szafarzyka 1826; »Histoire de la littérature slave« Eichhoffa 1840; w prelekcyach o »Literaturze Słowiańskiej« w »Collége de France« Mickiewicza, 1841—1844, także w historyach »Literatury Powszechnej jak np. w Wachlera Versuch einer allgemeinen Geschichte der Litteratur 1793, w »Litteraturgeschichte« Teod. Mundta, 1844 i t. p.

W pismach *Szafarzyka* i *Wachlera* obrazy literatury

polskiej składają się z samych dat bibliograficznych i w części biograficznych, drobiazgowych i wiernych.

Obraz literatury polskiej w prelekcyach Mickiewicza jest to zbiór rzutów myśli o główniejszych pisarzach i pismach tej literatury, — myśli, równie nieraz genialnej krytycznie jak poetycznie.

Jak obraz literat. polskiej w «Hist. Lit. Słow.« *Eichhoffa* jest pobieżnym i małowiernym, dosyć jest wspomnieć, iż w piśmie tem, wydanem w r. 1840, za najgłówniejszych poetów spółczesnych położeni zostali *Osiński* i *Górski* (zap. *Gorecki*). Że *Mundt* w »Litteraturgeschichte« za głównych poetów czeskich podał *Szafarzyka* i *Palackiego* (znanych erudytów historyków), to prędzej wybaczonem być może, bo *Mundt* pisał w swem tak znakomitem skądinąd w wielu szczegółach dziele o literaturze wszystkich wieków dawnych i nowych i wszystkich krajów świata tak zachodnich, jak wschodnich i wreszcie *Palacki* i *Szafarzyk* za lat młodszych rzeczywiście zajmowali się poezyą; lecz że *Eichhoff* obrawszy za treść swej pracy przedmiot specyalny i epoki krótkie, z takiem przygotowaniem do ich kreślenia przystąpił, to jest trudniejszem do wytłumaczenia. Wzmianki o poezyi polskiej w »Litteraturgeschichte« *Mundta* są przeważnie charakterystyki dosyć trafnej, znaczno, że autor pisał tu o przedmiocie, o którym nie tylko zasłyszał, ale który sam poznał.

Takie już mamy pomoce dla poznania naszej historyi literatury. Widzimy, iż uczyniono już wiele i bardzo wiele dla tego poznania. Bogaty przedmiot miał licznych i najrozmaitszych zadań pracowników. Ci z niezmęczoną wytrwałością kopali niwę, ci poświęcali się poznawaniu szczegółów wykopalisk, — ci w różny sposób przedstawiali już całość tych wykopalisk, już ich szczególne rodzaje itp. Poznając zaś to, poznaliśmy też zarazem, co jeszcze do uczynienia zostaje na tejże drodze, lub mówiąc jaśniej: jakie, pomimo wielkie zalety, są jeszcze braki albo części ujemne w ogłoszonych dotąd historyach naszej literatury.

Z pism największej zasługi widzimy, iż np. Hist. Lit. *Bentkowskiego*, mimo swą wielką wartość bibliograficzną, ma stosownie do swego zadania prawie wyłącznie treść tylko bibliograficzną, która nadto, dla licznych poszukiwań i odkryć przez ostatnich lat kilkadziesiąt, jest niedostateczną.

Historya Literatury *Wiszniewskiego* i *Maciejowskiego*, doprowadzone są tylko do wieku XVII; podobnie i z talentem wykonany z nich wyciąg *Kondratowicza*.

Hist. Lit. *Wojcickiego* nie obejmuje połowy literatury krajowej, nie dotykając łacińsko-polskiej.

Hist. Lit. *Bartoszewicza* nie ma części bibliograficznej i zbyt nadto obfituje w fantazye w sądach.

Najlepszym podręcznym zbiorkiem dla poznania dziej. liter. są więc, jak to już wspominaliśmy:

»Dzieje Piśmiennictwa« wydawane pod nazwiskiem *Lesława Łukaszewicza;* mają one największą pełność bibliograficzną i biograficzną, a odznaczają się porządkiem wykładu i sądem umiarkowanym. Zbiorek ten jednak krótki i nie jest także wolny od nader licznych usterków tak w określeniach, jak sądach.

W jakichże ramach i jakiej treści prace byłyby pożądane dla nas w uprawie dalszej?

Pożądanem byłoby nader i nie mamy jeszcze pisma, któreby obejmowało pełność chociażby tylko bibliograficzną naszej historyi literatury (tj. poczerpniętą z całości pism wszelkich. *Janockiego*, *Hoppiusa*, *Załuskiego*, *Bentkowskiego*, *Sobolewskiego*, *Jochera* i innych, o których pracach i dodatkach czynionych do bibliografii polskiej wspominaliśmy [1].

2) Ułożenie obrazu, któryby w treści głównej obejmował krytycznie, a popularnie skreślone rysy literatury, tak polskiej, jak i łacińsko-polskiej we wszystkich gałęziach z każdej epoki, a zarazem w przypiskach lub dodatkach mieścił i bibliograficzne wskazówki.

---

[1] [Wiadomo, że tę szczerbę wypełnia znakomicie »Bibliografia Polska« Karola Estreichera, dotychczas w całości jeszcze nie ukończona].

Samo zaś z siebie jest jasnem, iż 3) potrzebna jest jeszcze taka coraz ulepszona Historya Literatury, któraby i zwiększyć mogła obraz przez nowe odkrycia bibliograficzne lub poznawanie bliższe rękopismów (których liczba w archiwach i w bibliotekach publicznych i prywatnych jest nieskończona) i rozszerzyć go przez coraz bliższe poznawanie i ocenianie pism (chociażby znakomitszych tylko), bibliograficznie tylko dotąd wzmiankowanych.

1866.

* * *

III.

KRONIKA GALLA.

Najdawniejszem, obszernem dziełem piśmiennictwa naszego, o którego autentyczności żadna nie zachodzi wątpliwość, jest Kronika z czasów Bolesława III-go, nazywana *Kroniką Galla*, a przez wielu *Marcina Galla*.

W ogólności jednak pism przeddrukowych, chociażby i autentycznych, historya nie jest wolną od pewnych wątpliwości; o czas ukazania się pisma, autorstwo i szczegóły treści (które przez kopistów tak łatwo zacierane i zmieniane być mogły) nieraz się polemiki toczą; losowi temu uległy właśnie i wszystkie prawie główne kroniki nasze przeddrukowe, a w ich liczbie i Kronika Galla.

Jakiż właściwie był czas napisania tej Kroniki? Kto mianowicie autorem jej był? Jaka była krajowość tego dwuznacznego w brzmieniu autora? Czas ukazania się Kroniki Galla z pewnością może być oznaczony; spór, obudzony co do lat kilku, nie jest żadnym sporem, t. j. zbyt małej jest wagi. Jakkolwiek bowiem autentyk autora dawno zaginął, a najdawniejsza kroniki tej kopia jest dopiero z wieku XV., sama atoli treść pisma dostatecznie objaśnia i jego czas. Autor tej Kroniki przypisał ją kilku biskupom polskim, a mianowicie: »Summo pontifici (t. j. arcybisku-

powi) M., Simoni, Paulo, Mauro, Syroslao Deo dignis et venerandis Pontificibus Poloniae regionis, nec non etiam cooperatori suo venerabili cancellario *Michaeli* coeptique laboris opifici«, a wszystkie te imiona (jak widzieć to można z Żywotów biskupów Długosza) przy początku XII. wieku były imionami jednoczesnych biskupów polskich (arcybiskupem był *Marcin*, *Szymon* biskupem mazowieckim, *Paweł* kujawskim, *Maurus* krakowskim, *Żyrosław* wrocławskim). Ponieważ śmierć Pawła nastąpiła w r. 1110, wnosili więc niektórzy, że i Kronika nie może być późniejszą, uważać jednak można, że w przypisaniu ostatniej, t. j. 3-ej księgi nie znajduje się już imienia Pawła, że zaś ostatnim wypadkiem, opisanym w Kronice, jest poddanie się miasta Nakła (który to fakt, według Długosza, miał miejsce w r. 1120), ten więc być musiał i rok dokończenia Kroniki. (Dla zachowania w pamięci daty tej pierwszej Kroniki, dosyć jest wspomnieć na trzykroć dającą się widzieć w dacie liczbę 1-szą, t. j. *1110—1119)*. Wspomina też nieraz autor Kroniki Bolesława, jako osobiście sobie znanego. W ks. 3-ciej np. mówiąc o pokucie, którą czynił po swym postępku przeciwko bratu, pisze: »Vidimus enim talem virum, tantum principem, tam deliciosum juvenem etc«, czyniącego surową pokutę.

Jakież było właściwe imię autora tej Kroniki? Jaka krajowość jego? Dla rozwiązania tego pytania, lub raczej dla przedstawienia stanu sporu w tej rzeczy, wypada nam wspomnieć o historyi ukazania się tej Kroniki.

Kronika, którą dziś zowiemy powszechnie Kroniką Galla, która w wieku swego nastania, t. j. XII., była wykładaną po szkołach (sam autor czyni o tem wzmiankę w przypisaniu do ks. 3-ciej), tak była następnie zatarta popularnością Kroniki Kadłubka, a w wiekach następnych Miechowity, Kromera i innych, iż wiadomość o niej znikła prawie śród kraju i nie ukazywała się nawet w czynionych do wieku XVIII. zbiorach historyków polskich *(Pistoryusza*, *Sommersberga* i t. p.).

Historya pierwszego ukazania się tej Kroniki była następna: W pierwszej połowie XVIII-go wieku, kiedy wydanie zbioru *Sommersberga* pobudziło do szperań po bibliotekach, pierwszy Stan. Grabowski, biskup warmiński, znalazł w Bibliotece Heilsberskiej kodeks dawnych kronik w r. 1426 spisany (do Piotra Szamotulskiego, kasztel. poznańskiego niegdyś należący) i ogłoszenie rękopismu tego drukiem poruczył *Lengnichowi.* W kodeksie tym znajdowała się kronika z napisem Kroniki Kadłubka; jej kontynuacya do r. 1288; roczniki od r. 899 do 1329; Kronika bezimienna wypadków od r. 1330—1424; oraz ta, o której mowa; że zaś na czele tej kroniki (jak objaśnia w przedmowie Lengnich) starożytną ręką, ale późniejszą od tej, która sporządziła kopię, było wyrażono: *Gallus hanc historiam scripsit monachus ut opinor aliquis, ut ex proemiis conicere licet, qui Boleslai tertii tempore vixit,* t. j. historyę tę pisał niejaki Gallus (Francuz), który był zakonnikiem i żył za czasów Bolesława III., jak to widać z kontekstu; Długosz zaś po dwakroć wspominał w swej Historyi kronikę niejakiego *Marcina Gallika;* wniósł przeto Lengnich, iż była to właśnie owa wzmiankowana przez Długosza kronika i dawszy jej napis *Kroniki Marcina Galla,* razem z całym owym kodeksem w r. 1749 wydał w Gdańsku. Tytuł tej publikacyi jest: *Vincentius Kadlubko* et *Martinus Gallus* Scriptores Historiae Polonae vetustissimi (przedruk w zbiorze *Mitzlera).* Uczoność i powaga Lengnicha były powodem, iż odtąd kronika ta powszechnie Kroniką Marcina Galla była nazywaną; nazywali ją tak bibliografowie, historycy (nawet Naruszewicz), nazwał ją tak i J. Winc. Bandtke, który z polecenia *Tow. Przyj. Nauk* porównawszy kodeksa Gnieźn. i Heilsb., wydał jej tekst w Warszawie r. 1824 p. t.: *Martini Galli Chronicon.*

Czyli jednak istotnie przezwisko autora Kroniki było Gallus, a imię Marcin, jest to tylko domysłem. Napis położony na kopii heilsberskiej obejmował wyraźnie tylko wnioski wyciągnięte ze słów i treści Kroniki, a mianowicie

wstępów i epilogów. Znalazł się bowiem następnie drugi kodeks tej Kroniki, który miał być pisany w wieku XIV. lub XV. dla Biblioteki metropolitalnej gnieźnieńskiej, a stamtąd przeszedł do Biblioteki Akademii Zamojskiej (następnie do Poryckiej i Puławskiej). (Nb. Kodeks heilsberski darował Grabowski Załuskiemu, gnieźnieński przeszedł do bibl. Czackiego; oba w końcu przeszły do petersburskiej, i według nich wydał Bandtke w r. 1824 *Martini Galli Chronicon).* W rpśmie heilsb. dodano: *Iste Boleslaus cognominatus est Krzywousty*, qui post bellum quod habuit cum Henrico Caesare, postea cum Bohemis, Pomeranis et Ruthenis multa bella prospere gessit atque gloriosus triumphavit, ale kończy się nie wzięciem Nakła, ale odwrotem Henryka (stąd Lengnich mówi, że do r. 1109, t. j. że brakuje 11-stu §§., które są w rpśmie gnieźnieńskim) i inne ma różnice w podziałach §§ i tekście; oba rękopisma papierowe bez przestanków, gnieźn. zdaje się być starszy, bo ma i arkusze pergaminowe. W zbiorze Sommersberga, t. 1, §. 2, *Chronicon Principum Poloniae cum eorum Gestis* zdają się być *przerobieniem* Kroniki Galla.

Iż Długosz wzmiankował dawnego kronikarza, *Marcina Gallika,* nie jest dowodem, iż był to autor Kroniki przez Lengnicha wydanej, owszem sprawdzając bliżej cytacyę Długosza, okazuje się jasno, iż wspominał nie o tej kronice, dwakroć bowiem wspomina wprawdzie Marcina Gallika, ale oba razy powołuje się nań na dowód, iż *Lesco*, zabity w potyczce z Karolem, nie byt to *Lech* (Dług., Hist. Pols., edyc. lips. I. l. 6, 1. 36 i 65), a kronika, o której mówimy, nie tylko nie mieści tego twierdzenia, ale i nie mówi nawet o czasach przedpopielowych.

Więcej powodu jest w zatrzymaniu mu nazwiska, albo przydomku *Gallus:* wspominają bowiem kronikę »niejakiego« Galla Herburt, Kromer, Sarnicki, Bielski i in., czy jednak odwołanie się Bielskiego było do tejże Kroniki, jest wątpliwość; wspomniawszy bowiem ten kronikarz, iż pisarz niemiecki *Mutius* twierdzi, iż Polacy na *Psiem polu* nie byli

zwycięzcami, dodaje: »ale to pewniejsze, co nasz Gallus pisze« [1]; w Kronice zaś wydanej przez Lengnicha nie znajduje się wzmianka o Psiem polu. Paprocki zaś w Herbach Rycerstwa przytoczywszy wiersz na śmierć Bolesława I., znajdujący się w tej Kronice, powiada, iż wziął go z Kroniki niejakiego *Anonima*. Wzmianki jednak Kromera i innych do tej a nie innej Kroniki odnosić się zdają, pierwszy bowiem wyraźnie mówi, iż Gallus ów żyjąc za czasów Bolesława III., wydał dzieje jego i królów przodków jego we 3 księgach. Wszyscy ci jednak pisarze do przezwiska Gallus nie dodają imienia Marcina. Z pisarzy nam spółczesnych, np. Kownacki, czynili uwagę, iż *Gallus* ów mógł właściwie mieć nazwisko *Kurek* i że tylko nazywany był *Gallus*, tak jak Ciołek *Vitellio*. Bielowski sądził, iż miał nazwanie od zakonu *św. Galla*, którego był członkiem i stąd przekładając na polskie, zowie go *Gaweł*. Wszakże członkowie zakonni nie przybierają imion od swego założyciela i nie każdy np. członek zakonu św. Franciszka ma imię Franciszek.

Nie wiemy więc właściwie imienia i nazwiska tego kronikarza, i jeżeli zowiemy go sami Gallus, to tylko dlatego, iż głos większości oznaczał go tem nazwaniem. Jakaż jednak przynajmniej była jego krajowość? Niewątpliwem to być się zdaje, iż głos tradycyi miał go za *Francuza* i że dlatego nazywanym był właśnie *Gallus*, t. j., iż tem nazwaniem oznaczaną była jego krajowość, nie jego nazwisko. W ten sposób bowiem może się też tylko wytłumaczyć sprzeczność w wyrażeniach Kromera. *Herburt* przy wydaniu Długosza i Kadłubka zarzucał Kromerowi, iż za najdawniejszego dziejopisa Polski uważał Kadłubka i dodaje, że dawniejszym był Gallus. Kromer istotnie w ks. VII. mówi, że pierwszy, który z Polaków historyę polską

[1] Tenże *Gallusa* miał wyraźnie za cudzoziemca, mówiąc bowiem w ks. I. o trybucie mniemanym Polski, wyraża: »Uczynilby był wzmiankę jaką tego *nasz* kronikarz *Francuz*, co *tego czasu* był«. (*Bielski*, Miecz. II)

pisał (regni primus Polonorum gentis suae historiam conscripit), był Kadłubek; jeżeli więc z drugiej strony w końcu ks. III. i na początku IV. mówi, iż *Gallus quidam*, który o Bolesławie i dawniejszych królach napisał ksiąg III., nie wspomina o wyprawach Konrada i bracie Mieczysława, dowodem jest tylko, iż nie miał go za dziejopisa *polskiego*. Herburt mianował go *Gallus anonymus*, Sarnicki wspominając o nim, wyrażał się: *Gallum quemdam*. Simmler miał go za Niemca, Lengnich za Francuza, Janocki za cudzoziemca niewiadomego pochodzenia. Za naszych czasów najpowszechniej miany był i jest za Francuza; Bandtke jednak Jerzy Samuel miał go za Niemca, Kownacki za bezimiennego Polaka, Jan Wincenty Bandtke także za Polaka, mającego imię i przezwisko *Martinus Gallus*.

Cóż nam mówią szczegóły świadectw piśmiennych albo podania o życiu tego kronikarza? Jedynem prawie źródłem o życiu tego kronikarza jest ów przypisek, t. j. ów nadpis, który był położony na rękopisie heilsberskim Kroniki, a który wyżej przytoczyliśmy. Nadpis ten mówi, iż kronikę tę pisał niejaki Francuz, który był zakonnikiem i żył za czasów Bolesława III., jak to widać z *kontekstu*, t. j. treści książki, przypisań, epilogów i t. p. Ten, który kładł adnotacyę, tyle tylko, zdaje się, wiedział, co każdy czytelnik tej kroniki, tradycyjnie tylko, t. j. nazwał go Gallus na wzór innych kronikarzy, którzy także we wniosku tym opierali się może na kontekście, bo żaden nie wspomniał bliżej o szczegółach jego życia (jak to czyniono o Kadłubku i innych historykach). Cóż widać z owego kontekstu? Kronika cała jest pisana piórem autora, którego, zdaje się, najszczerzej obchodzi szczęście i dobra sława kraju, o którym pisze; w dedykacyi na czele Kroniki do kapłanów polskich zdaje się mówić jako do swych spółkrajowców, mówiąc bowiem o Polsce, wyraża się wyrazami *Patriae nostrae* (Przyjmijcie, mówi, to dziełko ad laudem principum et *patriae nostrae* exaratum).

Lecz znowu w przypisaniu księgi ostatniej użyte wy-

rażenia zdają się ukazywać, iż był cudzoziemcem, przychodniem, tak bowiem między innemi pisze: »Nie dlategom ja, bracia najmilsi, pracę swoją przedsięwziął, bym przez nią chluby szukał, lub abym tułacz i cudzoziemiec pomiędzy wami chciał wznosić rodaków i ojczyznę... lecz abym próżnowania uniknął, nałogu pisania nie stracił i abym darmo chleba polskiego nie jadł«. (W tekście: Primum omnium vos scire volo, fratres carissimi, quod non ideo tantum opus coepi, ut per hoc fimbrias meae pusillanimitatis dilatarem, vel ut patriam vel perentes meos exul apud vos et peregrinus exaltarem... sed ut otium evitarem, et dictandi consuetudinen conservarem et ne frustra panem Poloniae manducarem).

Pierwsza część tych wyrażeń jest wprawdzie dwuznaczna i daje pole do dowodów na obie strony; najprzód bowiem sam tekst ich nie w każdym rękopiśmie jest jednakowy; w rękopiśmie zamiast *exul apud vos et peregrinus*, znajduje się tylko *exul apud peregrinos*, jakoby *oddalony i śród obcych*. Autor Kroniki przy początku mówi, iż pisze ją na *Górze św. Grzegorza*, Kownacki utrzymuje, iż oznacza to *klasztor benedyktynów* na górze *Monte Celio*, a z tych słów i czynionych następnie przez autora przyrównań do Tybru, wnosząc, że pisał ją w Rzymie, powyższe słowa dedykacyi tak wyraził: »Nie dlategom, najmilsi bracia, przedsięwziął tak wielkie dzieło, żebym w *oddaleniu* mojem ojczyznę i rodaków *pomiędzy cudzoziemcami* wysławiał« etc. Jakoż istotnie jeżeli wyrazy *ut patriam et parentes meos exaltarem* odnosiły się do pisma autora (a trudno to inaczej uważać), tedy byłoby to nawet jawne wyznanie, iż kraj i ludzie, o których pisał, uważał za *patriam* i *parentes*. Wszakże w tym razie trudne jest znowu do wytłumaczenia to wyrażenie: *abym chleba polskiego darmo nie jadł* (naśladowanie sposobu wyrażenia św. Pawła). Kownacki mówi, iż aut. wyraził to w rodzaju przysłowia, które znaczy to tylko: »abym darmo chleba nie jadł na ziemi«. Toż zdaje się rozumieć Bandtke, uważając tylko,

iż wyraz *exul* oznacza *zakonnik*, czyli oddalonego od świata. Inne liczne wzmianki autora tak w dedykacyi, jak w treści, o Polsce, są dwuznaczne, t. j. zdają się one raczej wszędzie mówić o kraju tym jako o ziemi swych protektorów, nie zaś własnej, ale wyrażenia podobne i w kronikarzach bezspornie polskich znajdujemy, a wypływają one z powodu stawienia się autora na stanowisku bezstronnem, oraz pisania językiem obcym i nieraz śród obcych albo dla obcych. Zwrócimy tu jednak uwagę jeszcze na szczegół samej treści, na który nie zwracano uwagi. W ks. II. (§. 5, IV.) przystępując autor do powieści o Prusach mówi: »nie będzie to niewłaściwe, jeżeli dodamy, cośmy się o zaludnieniu tego kraju dowiedzieli z *tradycyi przodków* (ex relatione maiorum)«. Prusy były ziemią sąsiednią Polsce, nie Gallii, przodkowie więc, od których mógł się dowiedzieć autor, być musieli z Polski, nie Galii; dwuznaczności ich jednakże się ujmie, jeżeli wyrażenie *ex relat. mai.* oznaczać będzie »dawnych kronikarzy«.

Taki jest stan kwestyi co do rodowitości *Galla;* ze stanu tego, a mianowicie ze względu na tradycyę niektórzy też wnoszą, iż przybylcami do kraju byli jego rodzice, on zaś kraj, w którym pisał, uważał już za ojczyznę. Większość jednak, jak rzekłem, uważa go za cudzoziemca i znajduje stąd owszem chlubę, iż cudzoziemiec tyle świetnych świadectw o męstwie i zaletach kraju przedstawił.

W każdym jednak razie tak ze względu na przedmiot, szczegóły, miejsce publikacyi i wreszcie tę okoliczność, iż autor duchownych polskich za swych spółpracowników uznaje, dzieło to nie może się uważać za należące do innej literatury jak do polskiej; poznajmy więc teraz bliżej jego zawarcie, a znajomość ta może i na kwestyę ocenienia rodowitości autora ze swej strony faktów dostarczy.

Kronika Galla co do zewnętrznych jej ram podzieloną jest na 3 księgi, każda z tych na paragrafy, mające oddzielne napisy. Przed każdą księgą znajduje się dedyka-

cya czyli *listy przypiśne*, a także *epilog*. Cała Kronika (w obu znalezionych rękopismach) pisana jest jednym ciągiem i bez przestanków, gdy jednak w wielu miejscach, a nawet najczęściej w czytaniu dawały się uczuwać rymy kładzione przez autora czyli to dla odznaczenia okresów, czy przez pociąg do poetyczności, Bandtke przeto przy pomocy Bentkowskiego Feliksa całą Kronikę na rytmy zwykle rymowane podzielił i w tej formie ją wydał. Rytmy te miary są nader rozmaitej i zapewne nie wchodziły w konieczne ramy autora, zastanawiają jednak w tej dykcyi autora rytm epilogów i pieśni krajowych, które autor w ciągu pisma przytacza; wszystkie one mają ramę trocheicznego heksametru, t. j. miarę, która właściwą jest tylko pieśniom ludu krakowskiego, a której u innych kronikarzy naszych ani u kronikarzy innych krajów, jakkolwiek nieraz rytmami piszących, wcale nie znajdujemy. (Historycy zaś literatury zowią tę miarę *leoninami*, ale niesłusznie. Nazwisko leoninów stosowano tylko bowiem, z powodu użycia tej formy, jak się twierdzi, przez jakiegoś poetę imieniem Leon, niektórzy twierdzą Leona papieża, do pentametrów i heksametrów miary rzymskiej, w których zgłoska środkowa rymowała z końcówką, nie zaś do owej miary, o której mówimy). Okoliczność ta zdaje się przemawiać za rodowitością polską autora, a w każdym razie za bardzo blizkiem z nią obeznaniem się i między innemi z samemi pieśniami ludu tutejszego.

Co do treści, przytoczymy tu najprzód główne miejsca z *listów dedykacyjnych*, dla własnego porównania każdego, gdyż, jak rzekliśmy, są one jedynem źródłem dla poznania biografii autora i historyi nastania jego Kroniki.

List przypiśny do księgi 1-szej zaczyna się, jak to już w części wspomnieliśmy, od tych słów:

»My z łaski bożej najwyższemu kapłanowi, tudzież Symonowi, Pawłowi, Maurowi i Żyrosławowi, biskupom wielebnym i zasłużonym kapłanom krainy polskiej, jak nie-

mniej Michałowi kanclerzowi, spółpracownikowi swemu [1], piszący na górze św. Grzegorza« etc., zaś niżej:

»Nadaremniebym, wielebni ojcowie, ciężar ten podejmował na moje barki, gdyby mię wasza pomoc nie wspierała. Ale żeglarz i małą łódką może płynąć bezpiecznie pomiędzy wały, jeśli mu przewodniczy biegły sternik.

»Nie odważałbym się wystawiać na rozbicie, gdybyście, przewielebni ojcowie, nie użyczyli steru swojego łódce mojej. Nieświadomy drogi, nie potrafiłbym wynijść z zarosłej puszczy, gdyby uprzejmość wasza nie raczyła mi przeciąć pewnych wrębów.

»Tak znakomitych przewodników pokrzepiony pomocą, wytrwawszy burze wiatrów, skieruję szczęśliwie do portu i śmiało pociemku nawet w nieznaną mi puszczę się drogę«.

»Za właściwe uznaję takich mężów imiona wciągnąć w osnowę tej niby kroniki (quasi Chronicam scribens); za waszego to bowiem czasu Bolesław III. uświetnił kraj swój wiekopomnymi, sławnymi czynami, z których lubo wiele znakomitych, jako w oczach waszych zdziałanych, pomijam, nie zapominam jednak niektóre z nich podać pamięci potomnych.

»Nie chcąc zaś się wydawać napuszonym próżnością, zamiast własnego nazwiska wasze imiona na czele pisma tego umyśliłem położyć, ażeby przeto wszystko, co zaszczytnego i chwalebnego dziełko to obejmować może, sławie książąt ojczyzny tej przypisanem zostało; a ta łaska Ducha św., która was pasterzami trzody Pańskiej uczyniła, niech też wzbudzi w umyśle waszym radę o nagrodzie zasłużonemu«.

---

[1] Kownacki wyraz *cooperatori* Michaeli tłumaczył: swemu przełożonemu, przypuściwszy, że Michał ten był przełożonym zakonu benedyktynów w Rzymie, którego autor był jakoby członkiem. Usprawiedliwienie się tłumacza, że jakoby wyr. *cooperator* pochodzi nie od *opus*, ale od *operior* i znaczyć może łaskawcę, protektora, jest zdaniem z wielu względów dziwacznem

Tale suggerat consilium vestrae menti
Quo princeps digna det munera promerenti
Unde vobis honor sibique gloria proferenti.

List przypiśny do księgi III. zwrócony jest tylko do biskupa krainy polskiej Pawła i Michała kanclerza spółpracownika.

Autor między innemi wyraża w nim:

»Ponieważ zapęd poruszonego umysłu więcej częstokroć przedsiębierze, niżeli tępa wymowa wysłowić zdoła, przeto gorliwość moja niech zastąpi miejsce wymowy, o której brak nie można obwiniać piszącego tylko *na rozkaz* (nam cum facit quis, *quod petunt*, non iuste fit querela).

»Ażeby się nie zdało, że przemilczamy pamiątkę tak znakomitych mężów i tak świątobliwych kapłanów, ogłaszamy waszą sławę, przelewając niejako krople ze zdroju do nurtów Tybru«, — i w końcu:

»Lecz czegóż niemy zapędzam się mówić o mówcach, albo jak ów mały chłopczyna rzucam wędkę w bezdenność. Raczcie, wielebni ojcowie, nieumiejętnemu przebaczyć, raczcie przyjąć to dziełko niedołężnego pióra dla sławy książąt i ojczyzny naszej wykonane (ad laudem principum et patriae *nostrae pueriliter* exaratum)«.

Ostatnia księga przypisaną jest wielebnym kapelanom królewskim i wszystkim zacnym kapłanom mieszkającym w Polsce (jak to właśnie przytoczyliśmy wyżej w części); tak tu autor między innemi pisze:

»Nie dlategom przedsięwziął tak wielkie dzieło, ażebym przez to chluby tylko szukał, lub żebym oddalony ojczyznę i rodaków przed wami i cudzoziemcami wystawiał, lecz abym jakąś korzyść dla *miejsca mojej profesyi* (ad locum meae professionis reportarem) przyniósł... próżniactwa uniknął, od pisania nie odwykł i chleba polskiego darmo nie jadł.

»Przyjmcież więc tę raczej waszą własność niż moją, oceniajcie kruszec, nie złotnika.

»Jeżeli mi zarzucicie, że niegodny takiego zaszczytu porywam się na tak wielkie przedsięwzięcie, odpowiem, iż nie Ewangelię, ale o wojnach królów i wodzów piszę.

»Świątobliwych mężów cuda i dobre uczynki uwielbiają, a królowie i panowie ziemscy szczęśliwym bojem i zwycięstwami wzbijają się nad innych. Ogłaszanie w kościołach żywotów i męczeństw Świętych zagrzewało serca wiernych do pobożności: rycerskie czyny i zwycięstwa królów i wodzów, w *szkołach* i *pałacach* opowiadane, serca rycerzów zapalają do waleczności. Pasterze Kościoła obowiązani szukać duchownego pożytku wiernych; dziejów opowiadacze honor, sławę ojczyzny i chwałę doczesną rozszerzać usiłują.

»Naostatek niechaj to sprawi gorliwość wasza o sprawę Boga i Polski, ażeby nieprzyjaźń czyja lub zawiść tej jakiejkolwiek chluby mojej, nie uchyliła mi nagrody za pracę tak wielką; nie godzi się bowiem i nie przystoi, ażeby podżeganiem pewnych osób, zapłata pracy robotnikowi odjętą była« (alluzya do słów św. Pawła: »godzien jest robotnik zapłaty swojej«).

Z przytoczeń tych dowiadujemy się i widzimy jeszcze i to, że autor musiał być duchownym, do duchownych bowiem zwracając się, mówi: najmilsi bracia, i mówi o swej *profesyi*, duchowej pracy wymagającej, której chce sprawić korzyść pracą swą. Z przytoczeń tych widzimy, iż do napisania był wezwany, skąd dalej wnosić trzeba, iż były powody, które do tego skłoniły, t. j. iż musiał już pierwej z nauki swojej a zapewne i z pisma dać się poznać, mówi bowiem, iż pisze, aby nałogu do pisania nie stracił; iż kronika jego obudziła zazdrosnych i oszczerców, odczytywaną więc była w kraju i na dworze królewskim, co stwierdzają jeszcze owe słowa »w szkołach i pałacach«. Ze wzmianek zaś o odczytywaniu pism w szkołach i pałacach uczyniono nawet wniosek, iż historye jego (1-sze księgi) odczytywane już były w szkołach i pałacach, wykładane na język kra-

jowy (dla dworu i uczniów), co potwierdzać się zdają słowa *vestro interprete recitandum* [1].

Wnoszą także niektórzy z tych słów, iż był autor kapelanem królewskim, a także ze słów w epilogu do ks. 3-ciej, gdzie mówi, iż od czasu napisania ks. 2-giej wiele ziem przebył, iż podróżował w tym czasie do Jerozolimy; lecz słowa te zdają się właściwie tylko być allegoryą stosowaną do ziem i krajów w 1-ej księdze wzmiankowanych; nie było to po podróży, bo w ks. 1-ej nie wspomniał nawet jeszcze o Bolesł. III., głównym celu pisma swego, więc nie odpoczywałby tak długo. Te bowiem są słowa epilogu:

Non est mirum a labore si parum quievimus,
Tempus erat quiescendi... tot terras transivimus.
Neque coeptum iter bene cognitum habuimus,
Sed per illos qui noverunt paulatim inquisivimus.
Exurgamus iam de somno, iam satis dormivimus
Et addamus, si quid nimis ignorantes diximus.

(Nic dziwnego, że po pracy chwilę odpoczęliśmy,
Pora była chwilę spocząć... tyle ziem przebiegliśmy.
Ni też drogę rozpoczętą dobrze znaną mieliśmy,
Lecz ją przez tych, którzy znali, powoli poznaliśmy.
Więc przebudźmy się już ze snu, dosyć już drzemaliśmy,
I poprawmy, jeśli nazbyt co mylnego rzekliśmy).

Przez drogę nader jasno rozumie tu zajęcie się pracą kroniki, w której nie mógł iść i postępował tylko z pomocą przewodników.

---

[1] Constat ergo his superius approbatis
Rebus gestis polonorum principum recitatis,
Constat quoque vestro iudicio confirmandum
Praesens opus *vestro interprete* recitandum.

Wypada to z owych przez was pochwalonych
Dziejów książąt polskich opowiedzianych,
Wypada z mającego się waszym sądem
I *wykładem* ocenić dalszego ciągu tego dzieła.

Kownacki przełożył: »dowodem tego przykłady książąt z dziejów Polski dopiero przytoczone i które dalej pod wyrok wasz poddając, opisywać będę«, opuścił *vestro interprete*. Lelew. mówi, iż był *przekł. polski*.

Kronika Galla podzieloną jest na 3 księgi, z których 1-sza mówi o królach i książętach polskich do urodzenia Bolesława III., 2-ga o czasach dzieciństwa Bolesława i pierwszych jego czynach, 3-cia głównie o wojnie z cesarzem Henrykiem i opisuje wzięcie Nakła, które kończy Kronikę czyli r. 1120; (w rękopiśmie heilsb., w którym brakuje XI. paragr. ostatnich, a na to miejsce dodanych jest kilka wierszy zakończenia, zaczynających się od słów: »Iste Boleslaus *cognominatus est Krzywousty*«, sama Kronika kończy się na odwrocie cesarza Henryka, a stąd Lengnich oznaczał, iż kończy się na r. 1109).

Po *liście przypiśnym* przed księgą 1-szą następuje epilog, czyli właściwiej prolog, w którym autor miarą krótkich wierszyków opisuje przyjście na świat Bolesława, wskutek ślubu przez bezpłodną dotąd Judytę, żonę Władysława (Hermana) uczynionego, t. j. posłanej zakonnikom św. Egidyusza w Prowancyi postaci tego świętego ulanej ze złota [1]. Po prologu następuje przedmowa (Prohemium), w której autor opisuje granice Polski, całej ziemi słowiańskiej, a następnie określa cechy wewnętrzne kraju (niejasno tu wprawdzie, czy stosuje to wogóle do ziemi słowiańskiej, czy wyłącznie do Polski, co jednak skądinąd w końcu na jedno wychodzi). W opisaniu granic Polski wzmiankuje tu między innemi, iż na północ jej nad morzem znajdują się trzy *ferocissimae nationes:* Selencia (Szleswig?), Pomerania et Prussia, z którymi książę Polski ciągle walczy w celu nawrócenia ich do chrześcijaństwa; o cechach wewnętrznych kraju mówi, iż powietrze ma zdrowe, role żyzne, lasy miodem płynące, wody ryb pełne, a następnie iż w nim:

Milites bellicosi, rustici laboriosi,
Equi durabiles, boves arabiles,
Vaccae lactosae, oves lanosae,

[1] Relatum est parentibus,
Successore carentibus,
Conflent auri congeriem
In humanam effigiem.

poczem zwraca się do głównej treści swego zadania i mówi, iż niem jest: pisać o Polsce, a mianowicie o księciu Bolesławie, i z powodu jego, godniejsze pamięci czyny przodków jego wyliczyć.

Księga 1-sza zaczyna się od słów: »Był w mieście Gnieźnie książę imieniem Popiel« (przypomina to biblijne: »Był mąż w ziemi Hus, któremu imię było Job«). Książę ten nie udzielił gościnności dwom podróżnym, którzy ją następnie znaleźli w domu ubogiego rolnika, mieszkającego w sąsiedztwie księcia — Piasta, za co też temu ostatniemu w cudowny sposób pomnożyli napoje i jadła, postrzygli syna i dali mu imię *Ziemowit*, t. j. rycerza ziemi. Ziemowit ten istotnie, po wygaśnieniu wkrótce rodziny Popiela (według powieści ludzi starych, przez szczury pożartej), był powołany na tron i rozszerzył granice państwa. Po nim panował *Leszek*, po nim *Ziemiomysł*, a syn tego, *Mieczysław* przez figurę misyi swojej ślepo narodzony i niewidomy do lat 7-miu, wstąpiwszy na tron, z całym krajem chrzest przyjął.

W tem zaczęciu Kroniki, obejmującem rozdziałów czyli §§. 4, które jest najdawniejszą tradycyą piśmienną o pierwotnych dziejach Polski, co do przedmiotu naszego zauważyć między innemi można, iż w kilku miejscach widać tu wyraźnie w autorze znajomość języka polskiego. Tekst bowiem najprzód tak zaczyna: »Erat namque in civitate *Gneznensi*, quae *nidus* interpretatur slavonice, dux nomine Popel«. Mówiąc o pomnożeniu mięsiwa wyraża: »Unde decem situlae, slavonice *cebri*, mirabile dictu, memorantur adimpleri«. Postrzygłszy zaś syna: »eique *Semowith* vocabulum, ex *presagio futurorum*, indiderunt«. Nazwali go *Ziemowit*, przepowiadając w ten sposób jego przyszłość (iż będzie *ziemi witem)*, oczywiście *rycerzem (Dregowit, Swantewit*, święty rycerz, i dla nas zarazem wykład znaczenia *wit)*. Widzimy też, iż wspominana tu jest co chwila tradycya w wyrażeniach: *fertur, memorantur, narrant* etiam *seniores antiqui* (o myszach) i t. p., jasnem zaś

jest, iż obok tradycyi ustnej, musiała istnieć i piśmienna, wspomniawszy bowiem, iż pominie te szczegóły, które już dawność przyćmiła, już błąd i bałwochwalstwo zeszpeciły, przystępuje do tych, które już *wierna pamięć* przechowała (quae *fidelis recordatio* meminit), że zaś mówi to przed zaczęciem powieści o *Ziemowicie*, t. j. o czasie, który na lat 200 poprzedzał czas pisania Kroniki, oczywiście więc musiał się opierać na jakichś świadectwach pismem poręczonych, nie zaś tylko opowiadaniem spółczesnem. Zastanawia też, iż autor mówiąc o początku dziejów kraju, mianuje go tylko *Civitas Gneznensis*, a nie używa nazwiska Polski, chociaż za jego czasów Gniezno nie było stolicą Polski; i to więc wnosić każe, iż przytaczać musiał słowa tradycyi *piśmiennej*, nie zaś spółczesnej.

W dalszym ciągu poświęca księga Mieczysławowi §. 1, a następcy jego, Bolesławowi I. — 15. W tej powieści o rządach Bolesława I. zastanawiającem to jest, iż autor mimo wiek materyalny, chcąc określić wielkość tego władcy (zowie go bowiem nie chrobry, ale *magnus)*, nie tyle obszernie tu mówi o jego czynach wojennych, ile pokojowych. Wprawdzie i niektóre czyny wojenne określał tu szczegółowo (a wyliczanie w tych określeniach, ile z którego miasta wychodziło pancernych, ile z puklerzami, wskazuje także na opieranie się na źródłach piśmiennych), lecz nader obszerniej mówi o szczegółach sprawiedliwości, administracyi i różnych zaletach moralnych tego króla. »Temi to, mówi między innemi, cnotami, t. j. sprawiedliwością, słusznością, bogobojnością i miłością powodował się król Bolesław. Tak roztropnie królestwo i Rzptą sprawował, a lubo licznemi cnotami i przymiotami zajaśniał w świecie, szczególniej jednakże trzema temi cnotami: sprawiedliwością, słusznością i pobożnością wzniósł się do najwyższego wielkości szczytu«. W dowód przytacza tu autor między innemi kilka wyroków króla, szczegóły szczęśliwości wewnętrznej kraju za jego rządów, jego opiekę nad rolnikiem i t. p., i opisawszy wkońcu żal kraju po jego zgonie (gdzie

między innemi wspomina, iż wszystkie pieśni umilkły), dołącza hymn własny na jego śmierć, być może naśladowanie rzeczywistego wiersza, bo naśladuje rytm pieśni gminnej:

> Omnis aetas, omnis sexus, omnis ordo currite,
> Boleslai regis funus condolentes servite,

i wreszcie dołącza proroctwa Bolesława I. na łożu śmierci o swych potomkach, śród których, jak na iskrzący rubin, wskazuje na Bolesława III. (video etiam de longinquo de lumbis meis procedere quasi carbunculum emicantem) [1].

Wspomniawszy następnie krótko o Mieczysławie II., synie Bolesława I., obszerniej mówi o synie tegoż: *Kazimierzu I.*, pierwszym królu uczonym, gdyż, jak mówi, w dzieciństwie na naukę do klasztoru był oddany, obszerniej zaś jeszcze o Bolesławie II., stryju swego bohatera i starał się zmniejszyć jego zbrodnię. Wspomina jeszcze o krótkim rządzie syna tegoż Mieczysława III., młodzieńcu, który zszedł rychło ze świata (opisując żałobę kraju po nim, mówi: iż wieśniacy rzucali rolę, pasterze trzodę, *artifices studium*, co Kown. tłumaczy: *żaki naukę*, lecz prędzej mogło wyrażać: »rzemieślnicy warsztat«), — opowiada objęcie rządów przez brata Bolesława (Śmiałego), *Władysława*, poślubienie przezeń *Judyty*, córki króla czeskiego, przytacza treść listu tegoż do zakonników św. Egidyusza, przesyłając dary ślubowane, a wzmianką o narodzeniu się syna (bohatera Kroniki) kończy księgę.

Księga II-ga mówi o czasach dzieciństwa i czasach pierwszej młodości Bolesława. W zaczęciu wyraża autor, iż »nie przystało zaniedbać i ojca tak znakomitego syna« opowiada o wyprawach jego przeciw Pomorzanom, o powodzeniach jakkolwiek i klęskami nieraz przeplatanych. Przystępując do kreślenia czasów dzieciństwa swego bo-

[1] Proroctwo to w niektórych odpisach nie znajduje się, oczywiście jednak było *opuszczone*, nie zaś *dopisane*, zapisywać je bowiem mógł tylko ten, którego celem pisma był sam Bolesław, i niejakie przypochlebienie mu.

hatera, opowiada, jako ten dzieckiem jeszcze, raz zabił oszczepem dzika, odparłszy jednocześnie drugim żołnierza, który mu chciał przeszkodzić; drugą razą niedźwiedzia; jak nie mógł jeszcze o własnych siłach wsiąść na koń ani z niego zsiadać, a już nieraz bez wiedzy ojca na wyprawy wyjeżdżał, jako dowódca; jak skoro doszedł do lat, pasowanym był na rycerza i posłyszał proroctwo o przyszłych swych czynach i t. p.; opowiada dalej o ucisku kraju przez namiestnika królewskiego *Sieciecha*, o buntach starszego nieprawego) syna Władysława, *Zbigniewa*, i o działaniu wzajemnem braci przeciw *Sieciechowi*, o wyjednaniu wreszcie u ojca usunienia go; kreśli ponowienie buntu Zbigniewa, śmierć Władysława, wstąpienie na tron Bolesława i jego liczne a szczęśliwe walki przeciw Pomorzanom i Czechom, mianowicie zaś wzięcie Białogrodu, Kołobrzega, dotarcie do morza itp. *Epilog* (właściwie Prolog) do ks. III-ej uprzedza, iż tu ma mówić o zwycięstwach na Pomorzan, wtargnieniach i odwrocie cesarza Henryka, króla czeskiego, protekcyi Węgier itp., dodając w końcu to, co już było we wstępie, że mnóstwo jednak szczegółów będzie pominiętych, zwłaszcza o uwięzieniach, kajdanach wiecznych, gdyż pisze dzieje raczej dla chwały, jak czernienia ludzi:

Non est tempus quanta fecit enarrandi singula,
Qui noverunt, qui senserunt carceres et vincula,
Nos ad laudes, non ad fraudes damus haec munuscula.

Księgę III zaczyna od opisania przemagającej napaści Pomorzan w dzień Ś go Wawrzyńca na oddział księcia wtedy właśnie, kiedy były zanoszone modły do tego świętego i wołano:

Martyr Laurenti,
Populo vim tolle furenti.

i tak określa skutek tego czynu:

»Z pomiędzy chrześcijan (tj. Polaków) mało co walecznych rycerzy padało, lecz z 90.000 pogan, ledwo 10.000

uszło. Bogiem się świadczę, za którego wsparciem, i ś-ym Wawrzyńcem, za którego modlitwą, zdarzyło się to zwycięstwo. Patrzący na to wydziwić się nie mogli, że mniej niż 10.000 żołnierzy tak wielką rzeź tak prędko uskutecznili; sami nawet Pomorzanie przyznają, że podług ich rachunku 27.000 padło i wielu na bagnach nie mogąc się przebić, zginęło«. Przystępując do opowiedzenia wejścia Henryka cesarza, autor przytacza najprzód list tegoż do Bolesława i odpowiedź Bolesława Henrykowi, następnie określa walki, oblężenie Głogowa, dalsze bitwy i kończy przytoczeniem śpiewu wojska Henrykowego na pochwałę Bolesława i powtórną korespondencyą monarchów przy odwrocie Henryka. Księgę kończą wojny z Czechami protegującymi Zbigniewa, ujęcie Zbigniewa, zezwolenie na powrót jego do kraju i za poduszczeniem dworzan zezwolenie na odjęcie mu życia, opis wielkiej pokuty Bolesława, nowa wyprawa na Pomorzan i poddanie się Nakła.

Takie są szczegóły tej Kroniki *Galla*, która najczęściej zwaną była »Chronica Polonorum«, a której dosyć właściwie *Kownacki* dał tytuł: »Historya Bolesława III-go«; już z samej tej treści mógł zapewne każdy zrozumieć w części jej główną charakterystykę. Pomijamy, o ile z treści tej kroniki rozjaśniają się szczegóły np. takie, czy z dynastyi Piastowskiej 1-szym rządcą kraju był Piast, czy dopiero syn jego? jaki był pierwotny stosunek Polski do Niemiec? czy Kazimierz I-szy był mnichem? itd. te bowiem i tym podobne kwestye należą do dziejów zewnętrznych, a przeto nie do naszego przedmiotu. Co zaś do przedmiotu naszego tj. charakterystyki literackiej dzieła, wnioski główne po jego poznaniu wypadają nam takie:

Autor kroniki tej tem mianowicie odróżnił się od spółczesnych sobie kronikarzy niemieckich, iż nie był jedynie annalistą tj. rocznikarzem, rok w rok zdarzane wypadki bez żadnej ich charakterystyki i związku z sobą spisującym; od spółczesnych zaś sobie słowiańskich — pewnym stopniem wyższej naukowości i poetyczności. Od poprze-

dnika swego, Dytmara, wyższym jest jasnością i porządkiem w opowiadaniu. Kronika jego nie mieści tego zamętu, tego przeskakiwania od szczegółów do szczegółów różnorodnych, jak Dytmara. I w ogólności z toku opowiadania swego, najwięcej jest podobnym do 1-go co do czasu i wartości z dawnych kronikarzy francuskich, *Grzegorza z Tours*, i niższym jest tylko od niego granicami pisma i mniejszą dramatycznością. Jak widzieliśmy, Gallus przystępując do kreślenia swego przedmiotu, objął go niby w pewną całość, i całość tę w porządnych i z pewnej strony w artystycznych nawet ramach przedstawił. Autor, mówimy, uczonym był na swój wiek, już bowiem samo pisanie językiem łacińskim, a tem więcej metrami, było stopniem wyższej nauki, zdolności, znał przytem Pismo św., pisarzy rzymskich, zwłaszcza historyków i t. d. mianowicie w liście przypiśnym do Ks. III-ej dowiódł swych wiadomości z historyi powszechnej. Niektóre mowy, które umieścił (np. Zbigniewa do Wrocławian przeciw Sieciechowi) zarywają dosłownie na mowy z Sallustyusza [1]). W opowiadaniu swem autor nie miał jeszcze zwyczaju, jak i spółcześni jego, czynienia cytacyj tj. wskazówki źródeł, z których czerpał; ze szczegółów jednak opowiadania widać, iż się opierał na urzędowych dyplomatycznych aktach (jak wnieść to można z owych przytaczań kontyngensów wojskowych, z korespondencyi monarchów, która, ile stosująca się do spółczesnych, a tak wysoko spółcześnie stojących osób, nie mogła być inną, jak autentyczną, itp.).

W opowiadaniu swem jest wprawdzie Gallus przedewszystkiem prostym i jasnym, opowiadanie to nie jest jednak próżne i ruchu dramatycznego, i jest nawet blizkiem poetyczności, nie samym rytmem. Przed określeniem bitwy przytacza nieraz autor mowy wodzów do wojska, bitwy te kreśli niekiedy malowniczo, przechodzi nawet w zakres

[1] U *Galla*: »Ni vestrae fidei, cives« etc. u *Sallustyusza*: »Ni virtus fidesque vestra« etc.

czystej poezyi i obok toków rytmicznych przytacza, jak to widzieliśmy, *pieśni* i *elegie* dziejowe. Dla przykładu malowności i ruchu w opisach bitew przytoczymy tu wyjątek z opisu szturmu Głogowa przez rycerzy Henryka.

»Tłuką więc, mówi autor, zamek ze wszystkich stron; niezmierny wrzask z obojej strony powstaje. Niemcy biją do zamku, Polacy go bronią; z obu stron ogromne rzucają pociski. Sypią kusze, lecą na powietrze pociski i strzały przebijają tarcze, rozcinają pancerze, łupią przyłbice, wywracają się zabici, ustępują ranni, których miejsce zdrowi zajmują. Niemcy naciągają kusze, Polacy działa i kusze; Niemcy rzucają strzały, Polacy *bełty* (pociski, *Catholicon*); Niemcy proce z kamieniami, Polacy kamienie młyńskie z ostrokołami; Niemcy pokryci balami podkopywać mury usiłowali, Polacy zarzewie i wodę wrzącą na nich nieustannie miotali; Niemcy tarany żelazne pod wieże podwłóczyli, Polacy zaś rzucali kręgi stalą nabite; Niemcy leźli po drabinach, Polacy chwytali ich na widła i na powietrzu zawieszonych trzymali«.

(Igitur undique castrum appetitur,
Et utrimque clamor ingens atollitur,
Theutonici castrum impetunt,
Poloni se defendunt, undique tormerta moles emittunt, balistae crepant, iacula, sagittae per aera volant, clipei perforantur, loricae penetrantur, galeae quassantur, mortui corruunt, vulnerati cedunt, eorum loco sani succedunt. Theuthonici balistas intorquebant, Poloni tormenta cum balistis. Theutonici sagittas, Poloni iacula cum sagittis. Theutonici fundas cum lapidibus rotabant, Poloni lapides molares cum sudibus praeacutis. Theutonici trabibus protecti, murum subreptabant, Poloni vero ignem comburentem, aquamque ferventem illis pro balneo temperabant. Theutonici arietes ferreos turribus subducebant, Poloni vero rotas calibe stellatas de superius evolvebant. Theutonici scalis erectis superius ascendebant, Poloni cum uncis affixos ferreis eos in aera suspendebant).

Charaktery tak królów, tak i głównych figur panowania Władysława i Bolesława, jako *Sieciecha*, *Zbigniewa*, *Skarbimira* i innych, krótko, ale jasno i dobitnie są określone; charakter zaś bohatera kroniki, Bolesława, zarazem, rzec można, iż artystycznie jest przedstawiony. Cała kronika jest rodzajem bohaterskiego poematu, którego bohaterem głównym jest Bolesław; przyjście na świat jego wyjednane cudownie, w prologu skreślone; proroctwo wielkiego króla o jego przyjściu, czyny jego dzieciństwa, bohaterstwo całego życia, to bohaterstwo, którego placem i przedmiotem są wszystkie sąsiednie kraje i o ciu narodów, dają całość poetyczną i świetną, a z tej strony, rzec można, oryginalnością odznaczoną, iż z wyjątkiem jasnych do odróżnienia dodatków, szczegóły stanowią nie zmyślenia, ale istotne i wierne fakta historyczne. Ta szata prawdy zachowała też nam i kolor wieku. Bolesław jest to przed nami obraz dobitny rycerza chrześcijańskiego, wszakże nie rycerza, jak go pojmujemy w dzisiejszych czasach, tj walczącego duchownie i z poświęceniem, ale bohatera chrześcijańskiego swojego wieku; rycerz ten wprawdzie jest pełnym wiary, przed potyczką przyjmuje on zwykle eucharystyę, gotuje się do niej postem, ale cel główny jego działania, — tępienie pogan winnych albo niewinnych. Nie powabne, ale przykre nam dziś owszem czynią w części wrażenie, te ciągłe najazdy ziemi *pomorskiej* i *pruskiej*, bez żadnych, jak się zdaje, powodów i roznoszenie po tych ziemiach pożogi i mordów, lecz było to według wyobrażeń wieku zaletą i otrzymuje co chwila poklask kronikarza.

Gallus w określeniu powodów takiego albo innego skutku bitwy jest zwykle religijnym, powodzenie albo niepowodzenie przypisywał jakiemuś uczczeniu albo pogwałceniu prawa religijnego; »nie dziw, mówi, że gwałcąc podobnie dzień uroczysty, zostali pokonani«; lub: »nie dziw, że po przygotowaniu się tak postem i pokutą, zwyciężyli«; nie możemy zapewne zarzucać, że historyk historyę stara się opowiadcć historyozoficznie, tj. wyprowadzać fakta ze

wnętrzne z przyczyn wewnętrznych; ale owe oklaski dla mordów i gwałtów jedynie jako popis męstwa na poganach dokonywanego, o tyle tylko uchodzą, o ile kolorem są wieku. »Dla wielu innych (bierzemy tu przykład jeden z wielu), mówi np. autor, dosyć było tyle dokazać zimową porą, lecz dla Bolesława nie było nic trudnego, gdy pomnożenie *dobra* i *sławy* królestwa upatrywał. Wkroczył *więc* do pruskiej ziemi, *szukając wojny*, której gdy nie spotkał (tj. iż mieszkańcy się nie bronili), wznieciwszy *pożogi*, *zagarnąwszy wielką zdobycz i jeńców*, *powrócił*«.

Powiedzieliśmy, iż jedną z zalet autora jest wierność obrazów, mimo poetyczności *prawd*; widać to ze świadectwa innych spółczesnych i widać mianowicie, iż autor w kreśleniu swego bohatera nie taił jego wad, jego niepowodzeń, skoro te miejsce miały; jakkolwiek umiał to zarazem wyrażać w sposób, iż nie psuło to efektu kreślonego ogólnego obrazu.

Charakterystycznem np. jest to raczej, a niezbyt ujemnem, kiedy np. autor zmuszony był kreślić, jak Bolesław wezwawszy możnych i pospólstwo, aby im przedstawić, ile cierpiał od wojewody Sieciecha: »mówiąc, rozpłakał się jak dziecko« (»sicut puer cum lacrimis enarravit«) i dodaje, iż starszy brat jego Zbigniew był wymowniejszym od niego.

Dowcipnie artystycznem jest, kiedy autor opisując szturm do *Kołobrzega*, zmuszonym był dodać, iż tylko przedmieścia tego miasta były wzięte i musiano uskutecznić odwrót, zamiast wzmiankowaniem niepowodzenia, kończy owszem rozdział piosnką pochwalną, na cześć Bolesława i jego wojska, iż dotarło do brzegów morskich, gdzie nie dochodzili ich przodkowie. Piosnka ta, próżna skądinąd wszelkiej poezyi, ożywiona jest jednak pewną malownością i oryginalnością swej wyszukanej treści.

Pisces salsos et fetentes apportabant alii,
Palpitantes et recentes nunc apportant filii,
Civitates invadebant patres nostri primitus,
Hi procellas non verentur neque maris sonitus.

Agitabant patres nostri turos, apros, capreas,
Hi venantur monstra maris et opes aequoreas.

Ryby cuchłe i solone przywozili dawni,
Dziś żyjące i drgające przywożą synowie.
Zamki, miasta zdobywali nasze ojce tylko,
Ci nie boją się ni fali, ani ryków morskich.
Na jelenie, dzikie tury, ojce polowali,
Ci polują na potwory i na skarby morskie.

Autor nie przemilczał o wieści (którą mógł jednak opuścić, gdyż, jak widać ze świadectw innych, istniały dwie wersye), obwiniającej Bolesława o sprawę śmierci brata, ale zrównoważył to oskarżenie opisem wielkiej pokuty, któremu kilka rozdziałów końcowych kroniki poświęcił. Mimo skłonności poetyczne autora, powtarzamy, iż nader łacno można odróżnić, co w powieści jego jest upiększeniem; i wszystkie rysy, które określa, mianowicie główne, są rysami zdjętymi z natury.

Historya Bolesława III-go, w późniejszych kronikach (autor nie śmiał go nazwać jeszcze Krzywoustym lub może nie upowszechniło się jeszcze było to przezwisko) była piórem poprawniejszem i szykowniej opisana; postać ta jednak w owych kronikach obok postaci jej w kronikach Galla (i Kadłubka), tak się wydaje, jak upiększone sztuką portrety żywej postaci przy samej tej żywej postaci.

Kronika Galla była więc, słowem, nie dziełem ręki machinalnej, suchego pojęcia, ale już dziełem sztuki; lecz mimo upodobanie i skłonność autora do poezyi, okoliczność ta, iż zmyślenie łatwo w niej daje się odróżnić od twierdzenia historycznego, sprawia, iż jedną z głównych jej charakterystyk, jest owszem prawdomówność. Taż kronika musi się raczej uważać za dzieło, którego przemagającą cechą jest nie *fantazya*, ale raczej *prawda* i *historyczność*, i uważamy ją owszem za jedno z głównych świadectw źródłowych do dziejów z końca XI-go i początku XII-go stulecia.

Co do zdań o tej kronice:

Starowolski i Braun nie znali jej. Z wydawców, Len-

gnich drukując ją, wyraził tylko, iż jest najdawniejszą z kronik krajowych. Kownacki ocenił ją tylko pod względem zewnętrznym. Bandtke wyraził, iż autor jej prześciga swych następców, *nauką*, *sądem* i *żywością* myśli« (procellit posteriores *eruditione* haud parva, *iudicio* et *candida* mente«). (Ujrzymy przy rozbiorze kroniki Kadłubka, iż zdanie to Bandtkego nie było uzasadnione). Ze zdań historyków, zwrócimy tu tylko uwagę na to, które wyraził Lelewel, iż w treści Galla *wojny, administracya, handel*, życie *prywatne, sądownictwo, kościół*, stosunki z sąsiadami, mnóstwo słowem szczegółów dziejowych, obficiej niż u innych«, z tem ostrzeżeniem, iż głównie tu zważać trzeba na wyrazy: *obficiej niż u innych;* gdyż i handel i życie prywatne i sądownictwo i kościół, zaledwie są gdzieniegdzie przygodnie wzmiankowane i nie należą do rzetelnej charakterystyki kroniki. Z historyków literatury, którzy pisali o Gallu, tylko pp. *Wiszniewski* i *Bartoszewicz* wyrazili się o nim obszerniej i z siebie. Wiszniewskiemu dała ona powód do powiedzenia wielu uwag i szczegółów ciekawych, ale ogólnej charakterystyki jej nie skreślił; p. Bartoszewicz w zdaniu swem naśladował sąd Lelewela tj. każdą wzmiankę w kronice rachując do jej charakteru, tylko to zdaniem naszem nie przyczyniło się do jej jasności. Tak np. mówi ten autor o Gallu: »dzieło jego jest kroniką państwa, w której nie tylko jest dzień bitwy, ale niemal godzina, w której bitwa nastawała lub kończyła się«; z twierdzenia tego wnosićby można, iż kronika Galla mogłaby być wielką pomocą chronologiczną, tymczasem jest przeciwnie; o dniach bitwy wspomniał tylko Gallus z pobudek religijnych; chociaż więc wiemy o dniach, ale nie wiemy, w którym roku te przypadały; jedną bowiem jest nawet z cech stałych (cechą naturalnie ujemną kroniki tej), iż nie dotyka nigdy chronologii, a to nie tylko z czasów dawno minionych, ale i spółczesnych autorowi. Podobnie mówi między innemi p. Bartoszewicz o Gallu: »surowo ocenia wszystkich, nawet biskupów i królów«; zdanie to także nie jest charakterystyczne; Gallus owszem oce-

nia królów nader nie surowo np. o *Gnuśnym*, o *Władysławie*, nie mówi wcale tak ujemnie, jak jego następcy, i nawet Bolesława II-go starał się usprawiedliwić wyrażając, iż jakkolwiek »występkiem jest morderstwo, ale morderstwo zdrajcy umniejsza winę«; zdaje się, że właśnie to obwinienie ś-go *Stanisł.* biskupa było powodem zdania p. Bartoszewicza, iż surowym jest dla biskupów; wszakże jak zdanie o talencie, *rycerstwie*, tak i o *zacności charakteru* człowieka (jego świętości) najtrafniej i ostatecznie rozsądza zawsze zdanie ogólne powszechne, czyli *vox populi*; nie władza duchowna lub świecka przyznała była ów stopień świętości Stanisławowi bisk. krak., ale vox populi krajowy domagał się przez dwa wieki od stolicy apostolskiej tego uznania. Gallus, bawiący przy familii królewskiej, powtórzył tylko to obwinienie, które przytaczał na swe usprawiedliwienie sam król (dla zdrady kazałby więzić i sądzić, a nie zabijałby sam), lecz dla większego uniewinnienia tegoż, nie zaniedbałby zapewne zebrać dowodów, gdyby je miał (zwłaszcza, że gdy kanonizacya miejsca jeszcze nie miała i prawo kościelne temu się wcale nie sprzeciwiało). Autor więc we wzmiance o św. Stanisławie okazał się tylko obrońcą króla, a nie sprawiedliwym i surowym sędzią dla biskupów, coby jego powieść miało charakteryzować.

Zdanie jednak p. *Bartoszewicza* o *Gallu*, dodać tu trzeba, treściwsze jest niż w jakiejkolwiek innej historyi literatury.

Dodajmy wreszcie co do wydań:

Lengnicha w Gdańsku 1749. *Mitzlera* powtórzenie w tomie III »Zbioru historyków polskich«. *Bandtkego* 1824. Najlepsze *Bielowskiego* w »Pomnikach dziejów polskich«, porównane z rękopismem kroniki, znalezionym w r. 1847 w bibliotece *Zamojskich* [1].

1866.

[1] [Najnowsze wydanie wyszło we Lwowie 1901 r. staraniem L. Finkla i S. Kętrzyńskiego. Przekład polski Zyg. Komarnickiego wyszedł w Warszawie 1873].

IV.

KRONIKA WINCENTEGO KADŁUBKA.

Drugim z kolei obszernym zabytkiem najdawniejszej epoki naszego piśmiennictwa jest *Kronika Wincentego Kadłubka.*

Sława tego zabytku szczególnemu uległa losowi. Utwór ten świetnej myśli, świetnej fantazyi, który w sposób tak wyjątkowy odbił się od umysłowych produkcyj swojego czasu, który śmiało liczony być może za jedną z wyższych ozdób swojego wieku, miany był — i jest prawie powszechnie dotąd — za utwór jakiegoś tylko kalectwa myśli, bezlogiczności, a zarazem (w szczególny sposób) nie jest miany za utwór swego autora. Z czterech ksiąg, które składają Kronikę Kadłubka, czwarta tylko uważaną jest za dzieło Kadłubka, trzy zaś pierwsze za dzieło poprzednika jego na stolicy biskupiej: *Mateusza.*

Że *Mateusz,* biskup krakowski, w połowie XII. wieku żyjący, mógł być autorem jakiego pisma, jakiej kroniki, temu (ile w przedmiocie dotyczącym czasu i wieku, z których rękopisma z pewnością nie wszystkie nas doszły) ani chcemy, ani możemy zaprzeczać; ale, że z jednej strony całość Kroniki Wincentego Kadłubka utworem jest jednej myśli, jednej ręki, i że z drugiej, gdybyśmy nawet trzy pierwsze jej księgi uznać mogli za utwór innego pisarza,

tedy pisarzem tym nie mógł być ów biskup *Mateusz*, o tem nas przekona najlepiej samo proste a bliższe poznanie treści tej Kroniki, którą właśnie zająć się mamy.

Poznajmyż najprzód jej losy bibliograficzne. Kronika, o której mówimy, od czasu ukazania się swego w wieku XIII-ym do końca XVIII-go, przez wszystkich prawie naszych historyków i kronikarzy (mówimy *historyków*, nie zaś *bibliografów* i t. p.), za utwór jednej ręki w swojej całości, a utwór biskupa krakowskiego *Wincentego* bezspornie była mianą. Najpierwszą wzmiankę ma o niej Kronika *Baszki*; historyk ten XIII-go wieku (kustosz poznański), mówiąc w prologu do swego dzieła o źródłach, z których korzystał, wyraża między innemi: »o początku książąt i królów polskich i dziełach ich, *mianowicie* przewielebny biskup krakowski *Wincenty* i inni pisali« (*originem regum et principum Poloniae praecipue Reverendus Pater Dominus Vincentius Episcopus Cracoviensis et ceteri descripserunt.* — U. *Sommersb. II. 18*). Słowa te pisał (jak to widać i z samego uszanowania w wyrażeniu) spółczesny, wskazując zaś na Kadłubka, jako na *głównego* z pisarzy, którzy o *początku* książąt i królów polskich pisali, tem samem uznaje go za autora całości kroniki. *Długosz* (historyk XV. wieku) dwa razy w *Historyi Polskiej* swojej wspomniał Kadłubka, raz z powodu nominacyi go na biskupa, drugi raz z powodu śmierci, a w obu razach nadmienia, iż był autorem sławnej kroniki polskiej i, jak dodaje przy drugiej wzmiance, »kroniki zaczynającej się od słów: *Tres tribus de causis*«, a więc od początku (*Dług.* pod r. 1230). *Kallimach* (pisarz z tegoż XV-go wieku) przytacza w życiu Grzegorza z Sanoka krytykę tegoż I-szej księgi Kadłubka; obaj więc nie uważali jej za dzieło ręki trzeciej. *Miechowita*, historyk z końca XV-go wieku, mówi, że Kadłubek w *pierwszych trzech księgach* wiele z rzeczy obcych (»nodose et involute plura de exteris *in primis libris*«) opisał. I Kromer, wspomniawszy (w ks. VII.) o uczonym i pobożnym mężu Kadłubku, dodaje, iż *pierwszy* z Polaków (primus Polonorum)

dzieje kraju swojego pisał. Marcin Bielski w *Kronice Polskiej* mówiąc, między innemi, o córce Krakusa Wandzie i Rytygierze, wyraża: »pisze Vincentius Kadłubek, że go poraziła« (mowa o tem jest w księdze *pierwszej* Kadłubka). Podobnie *Sarnicki* w *Annalach* swych mówiąc o *Krakusie*, objaśnia: »*Ut ait Vincentius*« i t. p. Uczeni znawcy z początku wieku XVIII-go historyków i historyi polskiej, *Hoppiusz* i *Braun*, także jednego tylko Kadłubka za autora kroniki imię jego noszącej mieli, a ostatni z nich szydził z tych, którzy myśleli inaczej. Już bowiem w owym czasie niektórzy z bibliografów i krytyków zaczęli byli podnosić wersyą, iż pierwsze trzy księgi Kadłubka właściwie nie były jego ręki, ale biskupa Mateusza, a wersya ta miała następny początek. Uczony akademik krakowski *Jan Dombrówka* (współczesny Grzegorza z Sanoka i Kallimacha), pisząc komentarz do kroniki Kadłubka, nadmienił, iż na jednej z jej kopij widział następny napis: *Chronica de gestis Principum Poloniae, quam lector sciat esse editam a Mattheo, quondam Cracoviensi Episcopo, in qua per modum dialogi, colloquendo cum Joanne Archiepiscopo Gnesnensi, tres libros ediderunt, quartam autem addidit Vincentius Cracoviensis Episcopus*, t. j.: »Kronika o czynach książąt polskich, która *niech wie czytelnik*, iż była *wydana* przez Mateusza, niegdyś biskupa krakowskiego, w której w sposobie rozmowy z Janem arcybiskupem gnieźnieńskim, trzy księgi *wydali*, czwartą zaś dodał Wincenty biskup krakowski«. Komentarz ten Dombrówki wydrukowany był następnie w wieku XVII-tym razem z kroniką Wincentego; jakkolwiek więc *kronika* ta, jak we wszystkich prawie jej odpisach (których liczba jest do 40), tak i we wszystkich jej wydaniach drukowych nazywaną była kroniką Wincentego, niektórzy jednak z *historyków-monografów*, jak *Hartknoch*, *Nakielski*, *Rzepnicki*, i *bibliografów* (którym przybywało nazwisko), pochwycili tę wersyę, i, jak np. *Załuski* (w *Programma literarium*), *Jabłonowski* (w *Museum polonum*), pierwszego z powyższych interlokutorów za au-

tora pierwszych trzech ksiąg Wincentego uznawali. Przy końcu zeszłego i obecnego wieku oświadczali się chętnie za wersyą tą historycy erudyci: *Jan Potocki* i *Czacki;* lecz wahających się krytyków pociągnął wreszcie stanowczo Joachim *Lelewel* rozprawką, wydaną w r. 1811 (w Wilnie i Warszawie), pod napisem: *O Mateuszu herbu Cholewa.* W rozprawce tej młody autor, występując pierwszy raz na pole badań historyczno krytycznych, na którem tak kiedyś miał błyszczeć, a zamierzywszy dowieść, iż te ironie, które owoczesny krytyk niemiecki *Szlecer* zwracał do Kadłubka, stosować się tylko mogły do Mateusza, nie do Kadłubka, rozwinął był taką znajomość źródeł dziejowych i zdatność na tem polu krytyczną, iż przypuszczenie, które w niej uczynił, uznane zostało za pewnik i odtąd wszyscy prawie bez wyjątku historycy nasi, a zwłaszcza historycy literatury, poczynając od Bentkowskiego do ostatniego wydania Łukaszewicza, za dzieło Kadłubka uważają tylko Kroniki jego księgę IV-tą, a Mateusza biskupa za kronikarza [1].

Iż rozprawa ta Lelewela taki wydała skutek, dziwić się tylko można, wszystko bowiem, co tu krytyk w niej mówił, co wykazywał, dowodziło raczej, iż to, co służyło za źródła pomocne do pierwszych 3-ch ksiąg Kroniki Kadłubka (*Justyn, Biblia,* Prawo *rzymskie,* Prawo *kanoniczne* i t. p.), źródłem było i 4-tej, i że przeciwnie liczne fakta, wymieniane w księgach poprzednich, jak np. wyprawa Po-

[1] Za wyłącznem autorstwem Kadłubka przemawiał jednak w r. 1811 *Prażmowski*, a obecnie krótko, ale dobitnie za temże oświadczyli się zdaniem ostatni wydawcy tekstów Kadłubka: *Przeździecki, Mułkowski* i wogóle wszyscy najnowsi historycy-krytycy. Najbardziej wyczerpującą w tym względzie pracą jest znakomita rozprawa *Henryka Zeissberg* obecnie profesora historyi w uniwersytecie wiedeńskim), p. n.: *Vincentius Kadlubek, Bischof von Krakau, und seine Chronik Polens*, Wien 1869, gdzie jest wzmianka i o dowodach obecnej rozprawy (str. 77, 80). W dziełku tem podzielał też autor, lubo bez wzmianki o tem, pogląd obecnej rozprawki i na znaczenie pisarskie Wincentego Kadłubka. [Wzmianka o Zeissbergu jest dodatkiem do wydania książkowego tej rozprawki w »Wizerunkach polskich«].

laków do Prus z r. 1170, śmierć Bolesława Kędzierzawego w r. 1173, cytowane w księdze 1-ej listy Aleksandra Wielkiego, wyjęte (jak wyjaśnia Dombrówka) z dzieła: *Vita Alexandri Magni de proeliis*, które się ukazało w Europie dopiero w r. 1170; — były to fakta, które nie mogły być znane biskupowi Mateuszowi, jako zmarłemu w r. 1165; dodać też trzeba, iż wniosku swego głównego sam autor rozprawy nie wyraził był wcale stanowczo, lecz dał raczej tylko do zrozumienia, iż był jego życzeniem; tak bowiem (co do tego wniosku) mówi w ciągu rozprawy: »*długośmy się sami ważyli* między rozmaitemi zdaniami, nimeśmy nakoniec ośmielili się *więcej* na stronę Mateusza skłonić« (str. 163). Jedynym zaś powodem krytycznym do zatrzymania się przy tym wniosku, był tylko, jak się zdaje, autorowi wzgląd na to, iż umysł tak roztropny, jak Kadłubka, nie mógł być twórcą tych bajek, o których opowiada ks. 1-sza, a także wzgląd na ów nadpis, o którym donosił Dombrówka.

Jakiż był jednak właściwie powód owego nadpisu? Wnet ujrzymy ze słów własnych Kadłubka, iż Kronikę swoją pisał z rozkazu i że »dla przykładu żyjących miał wskrzeszać i opowiadać czyny przodków z *pomroku niewiadomości wydobyte*«. W wykonaniu takiego rozkazu wypadło więc autorowi pisać nie tylko o spółczesności, na którą patrzył (objęła ją księga IV-ta), ale i o tej przeszłości, której sam nie znał, a którą określać musiał z tradycyi i świadectw obcych. Autor, miłośnik prawdy, jakże w tem miał postąpić? Wypadałoby mu albo pisać historyę dalekiej i późniejszej przeszłości ze wskazywaniem źródeł, albo też, po poprzedniem zaradzeniu się i przejęciu się ich duchem, pisać powieść własną, dowolną (jak to np. uczynił Liwiusz, pisząc o czasach pierwotnych historyi rzymskiej); lecz cytowanie źródeł nie było jeszcze w zwyczaju historyków naszych, nawet w XV. wieku, a odpowiedzialności za szczegóły dawne nie chciał brać na siebie; cóż więc w tym razie uczynił? Oto wyraża, iż był jakoby świad-

kiem rozmowy dwóch ludzi, »obu w latach podeszłych, obu poważnych«, którzy rozmawiali o przeszłości, i dyalogu tego użył za formę opowiadania dziejów krajowych do czasów sobie spółczesnych (to jest do końca ks. 3-ciej). Zachowanie tej formy sprawiło, iż z jednej strony historyk mógł nie pominąć żadnego szczegółu, który istniał jeszcze w tradycyi, czyli to piśmiennej, czy ustnej; z drugiej zaś, iż stawał się nieodpowiedzialnym zupełnie za rodzaj tych szczegółów. Popularność, powszechny użytek, a stąd mnożenie się odpisów tej kroniki w wieku XIII., XIV. i XV. były powodem, iż nieraz według humoru, stopnia nauki i wyobrażeń przepisywaczy, odpisy te w nader różnych ukazywały się kształtach; w jednych owe rozmowy 3-ech pierwszych ksiąg przeciągały się jeszcze i w 4-tej [1]; w innych rozmowy zamieniono na *listy*, w innych na powieść ciągłą, z wyrzutnią rozumowań i ozdób; (z takiego-to właśnie egzemplarza Kroniki, wydania *Lengnicha*, poznał i sądził Kadłubka *Szlecer*); najdawniejsze jednak z odpisów mają dyalogową formę, i że ta była pierwotną, sam prolog ostrzega. Formę tę miał rzeczywiście i ów rękopism, o którego wyjątkowym nadpisie wspomina Dombrówka; że zaś ten nadpis był tylko dowolnym pomysłem jakiegoś komentatora, tego dowodem już sama treść jego. Tytuł pisma, jak to wiemy, wyraża zawsze, że »jest to dzieło tego a tego«; nadpis zaś ów powiada: »*niech wie czytelnik*, że jest to dzieło tego a tego«, i dodaje, że jest to dzieło *Mateusza*, a dalej że »i Mateusza *i* Jana« *(editum, ediderunt)*. Tytuł więc ten było to tylko raczej wyrażenie dobrej wiary komentatora i razem ostrzeżenie zgóry czytelnika, iż pierwsze trzy księgi kroniki były dyalogiem. Najlepiej mógł ocenić wartość tego nadpisu sam Dombrówka, nie uwierzył mu jednak, gdy całość Kroniki za utwór Kadłubkowy

[1] W odpisie wiedeńskim Kroniki Kadłubka, który opisał *Bandtke* (Ossol. II, 598), dyalog przeciąga się na pierwszych kartach księgi IV., co istotnie mogło być i w pierwotworze, jako w opisie dziejów przypadających na czas jeszcze dzieciństwa Kadłubka.

wszędzie uznaje, a wniosek tylko dodał: iż *być może* Mateusz i Jan byli autorami Kroniki »in *edendo*«, a Wincenty »*quoad formam in redigendo*«. Cóż to jednak jest pisanie dziejów przeszłości? Historya dziejów przeszłości nie jest to romans, ale powtórzenie tradycyi, czyli to piśmiennej, czyli ustnej; autor tej historyi może się tylko odróżnić od swych poprzedników *układem, wykładem, stylem;* jeżeli więc Kadłubek treści, przekazanej przez dawnych, nadał własny układ i wykład (był autorem *in redigendo*), tedy Kronika jego nie za czyje inne może być uważana dzieło, jak jego własne. Dodajmy nadto raz jeszcze, iż gdyby nawet był jakiś oddzielny autor pierwszych trzech ksiąg Kroniki Kadłubka, tedy autorem tym nie mógłby być biskup Mateusz, nikt bowiem od *Platona* nie kładzie siebie za interlokutora w swym dyalogu [1], a nadto, jak to już widzieliśmy i jeszcze ujrzymy, księgi te pierwsze mieszczą fakta, które nie mogły być znane biskupowi Mateuszowi.

Tak więc tę Kronikę, która nosiła zawsze i nosi nazwisko Kroniki *Wincentego* (Kadłubka), poczytujemy za łączny a wyłączny utwór Kadłubka i mamy się z kolei przypatrzyć bliżej jej treści i jej charakterystyce.

Lecz oto powiedzieliśmy właśnie, że Kroniki tej w różnych formach istnieją odpisy; powinniśmy więc jeszcze objaśnić, według jakiego mianowicie wydania, oraz dlaczego, poznawać ją głównie będziemy. Wydań drukowych Kroniki Kadłubka mieliśmy dotąd 7. Pierwsze dwa, tj. z roku 1612 *dobromilskie* i z r. 1712 *lipskie*, były wydaniem z rękopismu biblioteki Redygierowskiej wrocławskiej, pochodzącego z wieku XV-go. (Pierwsze trzy księgi są tu w formie listów i dodany komentarz Dombrówki). Drugie dwa, to jest *gdańskie* z roku 1749 i powtórzenie tegoż z r. 1769, pisane jednym ciągiem bez podziału nawet na księgi, z wy-

[1] Wyjątki od reguły tej w historyi *Literatury Powszechnej* tak są rzadkie i tak przeciwne istocie rzeczy (forma bowiem dyalogu używaną jest właśnie dla usunięcia swej osobistości), iż poczytujemy je za wyjątki idące raczej od kopistów lub wydawców, nie samych autorów.

rzutniami i odmianami, okazały się nawet właściwie Kroniką *Dzierżwy;* 5-te z r. 1824 *warszawskie*, z rękopismu na pergaminie, idącego z wieku XIV-go (część 1-sza, to jest pierwsze trzy księgi w formie tu dyalogu); 6-te *krakowskie* z r. 1862 z rękopismu z wieku XIII. (odkrytego w r. 1851 w bibliotece wiedeńskiej); 7-me *krakowskie* także, z r. 1864, z przytoczeniem waryantów różnych rękopismów Kroniki, a mianowicie z 8 kodeksów, znajdujących się w bibliotece Akademii Krakowskiej, przez A. Mułkowskiego.

Z odpisów tych najwięcej poszlak starożytności ma ów niedawno odkryty wiedeński, z pewnością bowiem wnieść można, iż jest z XIII-go wieku i zaledwo nie samemu Kadłubkowi spółczesnym. Rękopism ten, własnością niegdyś Leibniza będący, a przez Aleksandra Przeździeckiego w r. 1851 po raz pierwszy odkryty[1], kosztem tegoż w r. 1862

[1] Za głęboką starożytnością tego rękopismu przemawiają mianowicie następne względy: 1) iż jest pergaminowy, nie papierowy; 2) iż charakter jego pisma i ortografia zdaniem biegłych paleografów, którzy widzieli ten rękopism, między innymi *Pertza* (wyjaśnia to wydawca w przedmowie do str. 22), z pewnością za należące do XIII. lub XIV. wieku zostały uznane; 3) (a ten dowód do oznaczenia bliżej czasu rękopismu jest głównym), iż na marginesach jego znajdują się dopiski późniejszej ręki, robiące alluzye do rzeczy sobie spółczesnych, a wyraźnie do czasu podziału Polski na księstwa pod synami Krzywoustego odnoszących się, jak to np. w słowach: »Uwaga o haniebnych swyczajach *książąt*, które do *dziś dnia* zachowują«; str. 179: »Tu uważaj, że to samo do *dziś dnia* Polacy robią; jeżeli im się nie podoba król, to innego obierają« (przykładów jednak takich obiorów od czasów Łokietka już nigdy nie było; obierano tylko królów po dobrowolnych abdykacyach). »Uważ zdradę zamiaru i to przez brata, co się i *dziś* dzieje«, str. 110. »Przeciw Czechom, którzy z dawien dawna panów swych zabijają, co się i dziś dzieje«, str. 126 (alluzya wyraźna do zamordowania króla Wacława w Ołomuńcu w r. 1306). »Uważ tu zdradę Węgrów, jaką *do dziś* dnia zachowują«, str. 137 (w r. 1300 niespodziany napad Węgrów na Miechów). Ponieważ takie i tym podobne dopiski (obszerniej na nie zwraca uwagę wydawca) są z pierwszych lat wieku XIV-go, rękopism więc sam być musi z XIII. Przy końcu rękopismu dodano, iż przepisywał go Mikołaj, kanonik poznański (scripta per manum *Nicolai* posnanensis canonici). Mikołaj ten był najprędzej tym, którego Baszko w Kronice swej wspomina pod r.

z dodaniem przekładu polskiego[1], nader starannie został wydany; według tego więc tekstu i tego przekładu czynić będziemy głównie uwagi i przytoczenia, mając naturalnie na względzie w tych przytoczeniach i tekst i ostatnie (Mułkowskiego) wydanie.

Całość Kroniki Wincentego Kadłubka składa się z ks. 4-ech i wstępu do nich. Główną cechą, która odznacza tę Kronikę, cechą, która odróżnia autora jej silnie, i dodajmy, nader znakomicie (pod względem bogactwa umysłowego) od współczesnych mu kronikarzy i annalistów, jest: iż się w niej okazuje nie tylko *opowiadaczem* dziejowych faktów, lecz też zarazem *poetą* i *moralistą*. Kadłubek był uczonym

---

1268 jako już biskupa poznańskiego, a kodeks raczyński pod r. 1257 jako kanonika; być może więc, iż przepisywał go właśnie dla swego ówczesnego biskupa (miłośnika czytelnictwa i zbioru ksiąg, jak świadczy tenże Baszko) *Boguchwała* (um. 1253), i rękopism ten był może właśnie tym, z którego Baszko wypisał tyle do swej kroniki.

[1] Przełożenie tekstu Kadłubka nie było łatwem zadaniem. *Kownacki*, który wytłumaczył *Galla* i *Baszkę*, nie odważył się na Kadłubka przekład; *Czajkowski* i *Ossoliński* tłumaczyli tylko urywki. Przekład obecny tłumaczów krakowskich (pp. A. Józefczyka i M. Studzińskiego) nie jest wprawdzie wszędzie równie dokładnym. Nie mówimy tu o miejscach, które z powodu ciemności składni, dowolnych wyrazów i t. p. są dwuznaczne; ale o miejscach, których znaczenie jest jasnem. To wyrażenie np przy początku ks. II., tak jasne, a tak wyższej zalety, gdy uniewinniając się, iż czynił częste zwroty do dziejów całego świata, autor mówi, iż: »podobieństwo jest matką wypadków świata, *quia identitas est mater societatis*« str. 33; tłumacze przełożyli: »ponieważ tożsamość jest matką *powinowactwa myśli*«. Wyrażenie na str. 1 o Alcybiadzie: iż nie lubił bywać na widowiskach »*ne fascini reciperet in se periculum*« (aby niebezpieczeństwa olśniewania innych uniknął), tłumacze przełożyli: »by nie popadł w niebezpieczeństwo, jakie zwykło grozić tym, którzy swymi przymiotami wielką ufność u ludzi zyskali«, a przełożonych w ten sposób okresów liczba jest znaczna. W przekładzie wiersza do arcybiskupa Piotra (ks. IV) tłumacze zapomnieli zupełnie o objawionej we wstępie zasadzie, iż nie będą modernizować autora, ale go dosłownie tłumaczyć. Mimo to jednak, w nader większej liczbie przypadków, i rzec można, w ogóle tłumaczenia, ów odznaczony dumą, poezyą, a niekiedy i niejaką przesadą styl Kadłubkowy, trafnie i z pewnym nawet talentem jest tu odbity.

na wiek swój, i ilekroć wypadało mu skreślić jakiś fakt więcej szczególny z dziejów krajowych, wspominał zaraz i zbliżał podobne fakta z dziejów powszechnych i ze zbliżeń tych ogólną historyozoficzną uwagę wyciągał; w sposobie zaś kreślenia, ile sam obdarzony myślą wyższą, znajdował: iż do efektu, wrażenia, niedostatecznem jest samo wymienienie wypadku, lecz iż być winno wzmocnione szatą fantazyi. Szatę tę wyrażał mianowicie najczęściej w formie porównań. Kadłubek był arcymistrzem w wyrażaniu porównań; prawie każde z tych jego porównań (których, jak to ujrzymy, kładł nieraz kilka obok) odznaczały nowość pomysłu, głębokość upatrzonych podobieństw, a razem szczególna trafność i jasność. Śmiały i, rzec można, zuchwały w używaniu brzmień i form języka, którym pisał (łaciny), był takimże i w zgięciach myśli wewnętrznej. *Erudycya* dziejowa, świetna *fantazya, myślenie* spekulacyjne, to są cechy, które odznaczają stale każdą nie tylko kartę, ale zaledwie nie każdy opis, każdy okres Kroniki Kadłubka.

Dla objaśnienia, przytoczymy tu prawie cały wstęp, czyli prolog jego do Kroniki. Prolog ten jest niezaprzeczoną przez nikogo własnością Kadłubka; zaznajomi nas on nie tylko z temi cechami myśli jego, o których dopiero rzekliśmy, i które odznaczają właściwość jego umysłu, lecz zarazem z powodem i celem, a nawet i granicami samej Kroniki.

Celem autora było wyrazić tylko w tej przedmowie, iż otrzymał rozkaz królewski pisania Kroniki, iż zna wagę tego poruczenia, i że go nie jest godnym. Cechy i bogactwo umysłu Kadłubka były powodem, iż proste te myśli w następny oryginalny, a zarazem tak świetny sposób wyraził.

»Trzej byli, którzy z trzech różnych powodów nienawidzili teatralnych widowisk. Pierwszy nazywał się Kodrus, drugi Alcybiades, trzeci Dyogenes. Kodrus dlatego, iż był ubogi i w podartych łachmanach, drugi, iż uderzającej urody, trzeci, że i czystością obyczajów znamienity i by-

strością umysłu hojnie obdarzony. Pierwszy, aby ubóstwa, i tak już samo przez się wzgardliwego, na pośmiewisko wszystkich nie wystawił; drugi, aby niebezpieczeństwa z olśniewania innych uniknął; trzeci, by niepokalanej i wzniosłej mądrości nie wydał trefnisiom na ohydę.

»Wprawdzie niepowabna oschłość i pewna jałowość tych stronic niepokoju Alcybiadesa we mnie nie rodzi, przesadnem albowiem jest lękać się olśniewania; a nie mający urody, nie ma powodu lękać się, by uznania jej nie utracił, — lecz i Dyogenesa, jakkolwiek boskie, nie kieruje nami zdanie, albowiem mądrość i jednej kropelki swej łaski na nas nie zlała. Kodrusa tylko, Kodrusa trwożymy się obrazem, bo nędzota nasza wystawiona na rozliczne czyhających zasadzki, a nawet podartej nie ma opony, by wstyd własny zasłonić. Albowiem nie w kole dziewic, pośród muz swawolić, lecz przy stolicy świetnego senatu stanąć mamy; nakazano nam nie przyciemnione bagniste sitowie, lecz złote ojczyzny filary; nie gliniane lalki, lecz ojców naszych żywe postacie z łona zapomnienia wydobyć i z starożytnej słoniowej kości wyrzeźbić, co mówię? bożego światła świeczniki w królewskim kazano zawiesić nam pałacu, a śród tego wojennym zagrzać zgiełkiem.

»Lecz inna jest, gdy w dorywczym poglądzie z pewnej chęci okazania się, lub gdy z chciwości zysku co się przedsięweźmie, a inna, gdy nakazująca zmusza konieczność. Nie powoduje mną bowiem żądza pisania, ani mnie podnieca chciwość rozgłosu, ani podżega zapamiętała namiętność korzyści, bym po tylokrotnych przygodach na morzu, po tylekroć zaledwo uratowanem rozbiciu prac, znów miał pragnąć w tych samych wirach na rozbicie się narażać. Nie, chybabym podobny osłu, którego podniebieniu lepiej smakuje oset niż sałata, uwiódł się bezrozumny słodyczą ckliwą; lecz niemożliwem jest od słusznego uchylać się rozkazu.

»Zrozumiał to bardzo dobrze najdzielniejszy z królów, że wszystko, co wielkie i zacne, w przykładach przodków,

jak gdyby w zwierciadłach, zwykło się odbijać; pewniejszą jest ta droga, której przewodnikiem jest światło, i powabniejsza obyczajów postać, którą powabna piękność przykładów poprzedzi. Chcąc więc przodków zacność zostawić potomności w spuściźnie, złożył na trzcinę łomliwą, na podporę z sitowia, na pigmejczyka karłowate barki ciężar olbrzymi, zapewne nie w innem przekonaniu, *jak, że połysk złota i blask drogich kamieni w ręku niewprawnego rzemieślnika równie nie błednieje, jak nie czernieją gwiazdy, chociaż Etyop czarnymi wskazuje je palcami*, i że wreszcie nie jest to zatrudnienie subtelnego artysty ze rdzy oczyszczać żelazo, lub ze żuzli złoto. Skoro więc nierozsądnemby było na nieunikniony zżymać się ciężar, starać się będę według sił mu sprostać, byle mnie nie opuściła życzliwość tych, którzyby i rozpoczęcie tej drogi łaskawem witali sercem i potknięciom a upadkowi na przepaścistej nie dziwili się ścieżce. A gdy życzliwość ich towarzyszyć mi będzie, i ciężar lżejszym się stanie i mozół trudem mi się nie wyda. O to nareszcie jeszcze prosić mi wypada, by nie wszyscy o naszej pracy wyrokowali, lecz wyłącznie ci, których umysłu zdolność i świetność dobrego wychowania zaleca, tudzież by się nikt do nagany nie kwapił, dokąd wszystkiego dokładnie nie zważy, *nikt bowiem smaku imbieru nie dojdzie, dokąd go nie zżuje*, nikomu też nie godzi się sądzić o rzeczy, dopóki się w niej nie rozpatrzy«.

W prologu tym, oprócz poznajomienia się z charakterem pióra Kadłubka (który, jak to ujrzymy, tak jest podobnym do charakteru całej Kroniki), uderzają nas między innemi jeszcze, iż autor wyraża tu jasno, że nie dzieje tylko *spółczesne*, ale wzory *przodków* kreślić i z łona *niepamięci* (de sinu oblivionis de ebore antiquissimo) wydobywać je, otrzymał rozkaz; iż Kronika ta nie jest pierwszą pracą jego dziejową, albowiem w tych samych wirach nieraz się już na rozbicie narażał; iż ścigają go *czyhających zasadzki*, wreszcie ta prośba autora, iżby go nie sądzono, nie przetrawiwszy wprzód sądu.

Księga pierwsza zaczyna się od słów następnych, które objaśniają istnienie śród kraju tradycyi od dawnych czasów i formę, którą autor ma wziąć do jej opowiadania.

»*Zaczyna się księga pierwsza.*

»Była, była niegdyś w tym kraju dzielność i cnota [1], którą ojcowie nie pismem, lecz lśniącymi promieńmi czynów, jakby światła niebieskie wsławili; których świetność, jakkolwiek *pomroką niewiadomości* pokryta, dziwnym wszelako lśni blaskiem, który burzom tylu wieków przyćmić się nie dał. Przypominam sobie rozmowę dwóch mężów znakomitych, których wspomnienie tem poważniejsze, im świetniej powaga ich żyje. I tak rozmawiali *Jan* i *Mateusz*, obaj podeszli, obaj w zdaniu poważni, o początku, rozwoju i teraźniejszym stanie naszej rzeczypospolitej.

»Tak więc, rzekł Jan, powiedz mi, proszę, mój Mateuszu, od kogo wywodzić będziemy urządzeń naszych początek? My bowiem dzisiejsi jesteśmy i nic o zgrzybiałej przeszłości naszej nie wiemy«.

Mateusz odpowiada [2]: »Wszak wiesz, że u starożytnych mądrości nam szukać, a z latami roztropność przychodzi; ja zaś w tym względzie dzieckiem się wyznaję, bo nawet nie wiem, czy była jaka przeszłość przed tą teraźniejszością. Co wszakże z *wiarogodnego opowiadania przodków* mi wiadomo, nie zamilczę.

»Opowiadał więc pewien człowiek podeszły, że niegdyś w tych stronach« i t. d.

Zwrócić tu między innemi wypada uwagę, iż autor w tem zaczęciu, jak i w prologu, mówi znowu o zamiarze

[1] Na wzór Cycerońskiego: »Fuit, fuit quondam«. *Małkowski* słusznie czyni uwagę, że waryant w rękopismach: *Fuit, fuit*, najwięcej odpowiada właściwemu stylowi Kadłubka.

[2] W wydaniu krakowskiem z r. 1862, według którego uczyniony i przekład polski, *Janowi* odpowiada tu *Jan*, i tym sposobem przez cały ciąg dalszy, kolej interlokutorów przewrócona; omyłka ta mianowicie dobitnie się czuje, gdy następnie (str. 137) Jan mówi do *Mateusza*: ... »był bowiem w tym samym kościele *gnieźnieńskim*, któremu *przewodniczysz*« etc.

wydobywania czynów przykrytych *pomroką* (więc dawnych), iż Mateuszowi i Janowi nadaje tu nazwisko ludzi poważnych, znakomitych, i których powaga świetnie żyje; autorami słów takich nie mogli więc być oni sami.

Interlokutorowie opowiadają następnie w ciągu tej pierwszej księgi historyę kraju od najdawniejszych czasów do Piasta.

Wspomniawszy najprzód o najpierwszym rządcy i organizatorze kraju, imieniem *Grachus (Krakus)* i córce jego *Wandzie* (której wzrok czarował wojsko nieprzyjacielskie), mówią następnie między innemi o *Leszku I.*, który nazwisko to miał otrzymać od *lisiej* sztuki, którą zwiódł nieprzyjaciół (ubierając krzaki za żołnierze), dalej o *Leszku II.*, podobnie tak zwanym od fortelu, którym pierwszy dobiegł do mety w wyścigach o koronę; o *Leszku III.*, który rozdzielił kraj między 20-tu synów, i wreszcie o *Pompiliuszu*, jego wnuku, który z namowy żony struwszy stryjów, dla zagarnięcia ich dzielnic, sam następnie z rodzeństwem został zagryzionym przez szczury.

W opowiadaniu tem niema wzmianki o chronologii; gdy jednak powieść zaczyna się od czasu najścia Gallów na Italię (Brennus) i wschód Europy, komentatorowie Kadłubka dodali słusznie, iż było to na lat kilkaset przed erą chrześcijańską. Przeciąg ten czasu był świadkiem kilku główniejszych zdarzeń na południo-wschodzie Europy, i tradycya nie pominęła ich. Tak mówi właśnie najprzód o owem najściu *Gallów* (które było powodem, iż się strona poddała Grachowi), dalej o wojnach Leszków z *Aleksandrem IV.* i wreszcie o *Juliuszu Cezarze*, który córkę swą Julię miał wydać za Leszka III., szukając przymierza z nim i dając mu za posag Bawaryę, którą, skoro następnie (z powodu opozycyi senatu rzymskiego) odebrał, Leszek odesłał żonę, zatrzymawszy tylko syna jej, Pompiliusza i t. p.

Ta to księga i szczegóły jej były głównem nieszczęściem dla sławy Kadłubka; zarzucono mu z powodu jej treści zupełną niewiadomość dziejową, brak logiki i wre-

szcie fałszerstwo jawne, wiele bowiem jej szczegółów jest powtórzeniem prawie dosłownem z historyka *Troga*. Zarzuty te były jednak niesłuszne. Iż przed Kadłubkiem istniała w kraju pewna tradycya i pewne jej spisy, o tem nie można wątpić. Kadłubek nie wspomina wprawdzie o żadnej przed nim istniejącej kronice, lecz było to głównie dlatego, iż nie było wtedy modą, zwyczajem, wymieniać źródła. Z pewnością np. istniała już wtedy kronika Galla, a jeżeli rękopismy tej kroniki, mimo zatarcia sławy jej przez następne, dotąd krążą po kraju, tem pewniej musiało to być za czasu Kadłubka, gdy jej uczono po szkołach, gdy był zwyczaj chowania kronik w skarbcu królewskim [1], a w zbiorze źródeł musiał mieć zapewne Kadłubek pomoc królewską, gdy z jego rozkazu pisał. Jak więc nie wspomniał kroniki Galla, podobnie musiał pomijać i inne, z których korzystał; przygodnie nieraz jednak wspomina o istniejących już przed nim pismach; tak mówiąc np. o dzieciństwie Kazimierza, wyraża: iż różnie mówią o tem historye, (de quo diverso modo series texitur historiae); przy początku zaś ks. IV. uniewinnia się z powtórzeń źródeł, dodając, iż jego zadaniem było rozpierzchłe kłosy w jeden wiązać snop: nostri sudoris est spicas licet sparsas, unam in massam (messem) colligere.

Znalazłszy Kadłubek w kraju istniejące tradycye, równie piśmienne jak ustne, nie mógł pominąć ich, czuł jednak zapewne sam nielogiczność niektórych, skoro powtarzając, starał się je uniewinniać. Tak na wzmiankę przez *Mateusza* o Gallach, Jan dodaje: »*nihil hic fictum, nihil dissimulatum*« etc., »nic niema w tem zmyślonego, nic udanego, mówi albowiem *Trogus*« etc.; zaś przy wzmiance o Aleksandrze W. i jego listach, tenże Jan: »*Rzecz dziwna*, a przecież wiary godna; istnieje bowiem księga listów Ale-

[1] Bulla Innocentego IV. z r. 1250, z okoliczności zamierzonej kanonizacyi *św. Stanisława*, mówiła między innemi w instrukcyi: »przejrzysz pilnie księgę roczników i księgę kronik z archiwum księcia polskiego wydaną« *(in archivo Ducis Poloniae editam)*. Dług., pag. 715.

ksandra, a w nich« etc.; mówiąc o twierdzeniu, iż Leszek pokonał Krassa i kazał mu lać złoto w gardło, iż poślubił Julię, córkę Juliusza Cezara, dodaje objaśniając: »panował on bowiem (Leszek) nad Partami, Getami i innymi zapartańskimi narodami« (t. j. nad krajami, do których historycy rzymscy odnosili te fakta). Kadłubek, słowem, nie tylko sam nie tworzył tradycyi, ale nie powtarzał bezmyślnie tych szczegółów, które był przymuszony powtarzać; ponieważ wymienił sam *Troga*, przeto nie myślał słów jego potajemnie przywłaszczać, a powtarzać je nadto miał za obowiązek, gdyż ludy owe południowe, o których historyk ten pisał, uznał był oczywiście za przodków kraju [1]. Położenie wreszcie powieści całej w usta trzecie w każdym razie oswabadza tu zupełnie samego Kadłubka od zarzutów.

Księga II. opowiada początek dziejowej dynastyi Piastowskiej od Ziemowita do Bolesława III. Przy początku jej, autor powtórnie uniewinnia się z faktów poprzedniej, a mianowicie z tego, iż zmuszonym był do przytaczania licznych szczegółów z dziejów obcych, a uniewinnia się głównie tą filozoficzną uwagą, iż »podobieństwo jest matką dziejów«, i że zbliżanie faktów podobnych przyczynia się do oświecenia umysłu.

---

[1] W artykule, z okoliczności dzieła pana Maciejowskiego: *Pierwotne dzieje Polski* umieszczonym w Bibliotece Warszawskiej z r. 1848, zwróciwszy uwagę, iż według kronik naszych i spół-plemiennych, nie Polanie przezwani zostali Lachami, lecz Polanami Lachowie, i że ci ostatni nie z Zachodu przyszli, ale z Południa, dodaliśmy byli właśnie uwagę, iz za wieków dawnych przodkowie nasi »w biodrach swych ojców« ukrywać się musieli w jednym z ludów Południa, a mianowicie wśród Getów, którzy i wojny toczyli z Aleksandrem Wielkim, i jeden z królów ich poślubił był Julię, córkę Augusta, a drugi użył był tegoż fortelu wojennego jak Leszek, że przeto podobieństwa w opowiadaniu o owych czasach historyków dawnych i naszych muszą być skutkiem nie naśladowania i przepisywania się wzajemnego, ale jedności tradycyi. Tęż uwagę rozwinął świetnie p. *August Bielowski* w dziele: »Wstęp krytyczny do dziejów Polski« r. 1850, wykazując, że cała księga I. powieści Mateusza (Kadłubka) odnosi się do Geto-Daków.

Początek dynastyi, t. j. obiór *Ziemowita* (pobłogosławionego niegdyś w domu ojca, w czasie postrzyżyn przez cudownych podróżnych, wygnanych z zamku Popiela) [1], opowiada zgodnie z tradycyą u Galla. Kreśli następnie panowanie Leszka IV., Ziemiomysła, Mieczysława, Bolesława I., Mieczysława II., Kazimierza I., jego dwóch synów i wreszcie Bolesława III., do osądzenia Zbigniewa.

Księga III. obejmuje dalszy ciąg panowania Bolesława III. i rządy synów jego do śmierci Bolesława IV. (Kędzierzawego).

W zaczęciu księgi tej autor raz jeszcze, a z właściwą sobie wymową oryginalną, uniewinnia się z niedokładności swej pracy, a w zakończeniu jej kończąc rozmowę interlokutorów, oświadcza, iż go morzy już sen i że nie pozostaje mu, jak poprosiwszy gości o przebaczenie za *błędy* i *niedorzeczności*, pójść z Bogiem spać; a tu się nastręcza pytanie, czy mógłby wydawca (t. j. ten, który według Dombrówki byłby tylko autorem *in redigendo*) przepraszać za *błędy* i *niedorzeczności (errata, inepliae)* swych interlokutorów, gdyby rzeczywiście nie był sam autorem ich słów?

Księga IV., której forma jest już nie dyalogiem, ale powieścią ciągłą, opowiada rządy Mieczysława III., Kazimierza II. i Leszka, do obioru Władysława (Laskonogiego), syna Mieczysława. Przy początku tej księgi autor, dalej ciągnąc swą allegoryę, którą zakończył księgę III., wyraża, iż był ktoś, który podsłuchaną rozmowę spisał. Przytaczamy tu to zaczęcie, tak dla objaśnienia początku i rodzaju pracy, jak zakończenia kwestyi autorstwa własnemi słowami Kadłubka.

»*Zaczyna się księga czwarta.*

»Był zaś tam (w czasie rozmowy) obecny pewny domownik, mający kałamarz z piórem i ucierający palącą

[1] Ci, którzy literalnie wierzą w tradycye księgi I-ej, nie mieszają tego Popiela niegościnnego z *Pompiliuszem*, synem córki Cezara, lecz sądzą, że między jednym i drugim ginie tradycya kilku wieków, tak jak np. między dziejami Noego i Abrahama.

się szczypę. Ten pod warunkiem ścisłym rękojmi *zapisywał wszystkie na biesiadę przeznaczone* wydatki. Naczelnik biesiadujących, zobaczywszy dokładniej jego rachunki, rzekł: wybornie, oszczędny szafarzu; kiedy tak przebiegłym byłeś w twoich wydatkach i nie dozwalasz, aby z pieniędzy ci przeznaczonych co zginęło, lub poszło w zapomnienie, okoliczności i skarb wymagają w obecnej chwili, aby włożyć na ciebie urząd skarbnika (historyka); jedynym i najwyższym państwa tego będziesz skarbnikiem... Zadrżał ów domownik, przerażony rozkazem królewskim, dlatego poprzysięgał się, iż nie jest zdolnym do takiego urzędu i szukał różnych powodów do uwolnienia się od tego obowiązku. Nareszcie rzekł: jestem w wielkim kłopocie, a nie mam przy tej sposobności żadnego zamiaru, aby łaskę królewską utracić; albowiem z jednej strony prawda rodzi nienawiść, z drugiej zaś oburzenie zagraża karą. *Któż bowiem proszę gołą nogą najżonego ostu dotykać się nie boi!* Niech tylko uwiódłszy się przychylnością lub bojaźnią, cokolwiek z powierzonych mi pieniędzy potajemnie wezmę, a pewnie nie uniknę piętna za skradzione pieniądze (zatajenie faktów). Lecz inny jest obowiązek *oracza*, inny *żniwiarza;* ściernikiem niech się zajmuje oracz, naszej zaś pracy zadaniem jest: *rozrzucone kłosy* w jeden *zbiór* łączyć«.

Tak więc Kronika Wincentego już w samym swoim zewnętrznym składzie przedstawia, widzimy, spojoną całość i utwór jednej ręki.

Mamy teraz z kolei poznać bliżej charakter jej, a poznanie to nie pociągnie bynajmniej zaprzeczenia tej prawdzie.

O głównych rysach tego charakteru powiedzieliśmy już i mamy tu tylko ujrzeć rozjaśnienie. Charakter wewnętrzny Kroniki Kadłubka nader się różni od Kroniki Galla, a różnicę tę mianowicie stanowi owa jej, o której wzmiankowaliśmy: filozoficzność i poetyczność.

I Kronika Galla wprawdzie miała poetyczne pierwiastki, lecz pierwiastki te tkwiły raczej, jak to widzieliśmy, w jej stronie zewnętrznej, a nie wewnętrznej. Kro-

nika ta miała często rymowane okresy i przytacza rytmiczne śpiewki, ale poezya wewnętrzna nader w niej rzadka. Kronika Kadłubka, kładąc na bok znajdujący się w księdze IV. długi poetyczny *Dyalog* z okoliczności śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, który jest oddzielną poezyą, oraz kilka dystychów i wierszyków, w których przemagającym charakterem jest gra wyrazów, nie ma wcale w dykcyi swej tej ciągłej rytmiczności, która jest u Galla, ale każde tu określenie, zdanie, ledwie nie każdy okres, odznacza istotna poezya myśli, t. j. myśl wyższa, fantastyczną formą oddana. Opowiadanie Kadłubka nie ma tego prostego i jasnego ciągu, jaki jest w Kronice Galla; historya królów do Bolesława III. mało ma rocznikarskich szczegółów; charakterystyka jednak każdego skreślona tu dobitnie i trafnie, lubo krótkiemi słowami, i żaden z główniejszych wypadków krajowych nie pominięty. Owo rozumowanie i poetyczność, które odznaczają głównie bieg pióra autora, wyrażają się mianowicie dobitnie przy każdej wzmiance o jakimś większej wagi fakcie dziejowym, większej wagi postaci, a podnietą do tego podlotu, do tych wyrażeń jest zwykle wzgląd jakiś obyczajowy. Wtrąćmy tu uwagę nawiasem, iż takie przedstawienie morału albo obrazu, z podniesieniem go do stopnia wyższej fantazyi, wyższego myślenia, przemawia istotnie rozleglej do pojęć i staje się w skutku dobitniejszem i trwalszem; im jest trudniejszą sztuka, tem wyższą zaleta, i dykcya Kadłubka winnaby raczej z tej strony zyskiwać nie zarzuty przesady i nadętości, jak to jest dotąd, a raczej poklask.

W księdze I., począwszy od Krakusa i jego synów, prócz innych licznych zwrotów, natchnęły mianowicie żywiej autora zbrodnia Popiela i następnie fakt jego zgonu. Podniecanie męża przez żonę do tego czynu może się uważać (na przestrogę) za wzór wymowy obłudnej, a rodzaj zgonu powiódł do wzmianek o podobnych faktach w dziejach powszechnych i przestróg co do słabości ludzkiej dla płci drugiej.

W księdze II. wyniesienie na tron syna *rolnika* (Ziemowita) i założenie przezeń nowej dynastyi powiodło równie autora jużto do wskazań podobnych faktów w dziejach powszechnych, już do rozumowania o zacności, która istnieje raczej w cnocie, niż w rodzie, do przestróg w tym względzie i t. p. Przytaczamy tu ten ustęp, który, jak wszystkie, obfituje także mianowicie (przypominamy) w trafność porównań.

»Nie jest to, mówi tu autor, drobnem, jeżeli śród ludzkich rzeczy pomiatamy tem, co jest drobne. *Często bowiem z pomiędzy dzikich krzewów wzniosły dźwiga się cedr, nieraz kryją się perły między ziarnkami piasku, pod popiołem najmocniej tli siła iskier,* a wielkoduszność szlachetna niezawsze mieszka w miastach najeżonych wieżami, ani też pomija zupełnie ubogich chaty, często bowiem uszlachetnia się różdżka, a przez nią winorośl, *źródło, które ugasiło pragnienie, szlachetnem staje się źródłem*«. Po przytoczeniu przykładów podniesienia na tron ze stanu nizkiego *Saula, Jeroboama, Gordyasza* w Persyi, autor mówi dalej: »*Agatokles*, syn garncarza, postacią i pięknością okazały, nastąpił na tronie po Dyonizyuszu, królu sycylijskim. Tak samo król Azyi *Aristonikus*, zrodzony z córki lutnistki, pokonał w bitwie Rzymian. Wszakże i *Abdalonimuszowi* ktoś wyrzucał, że się zwykł trudnić podbieraniem studzien i podlewaniem ogrodów, a jednak od Aleksandra został królem Sydonu postanowiony. Tenże Aleksander Ptolemeusza z prostego żołnierza na króla wyniósł. Wreszcie Rzymianie takich królów mieli, za których się rumienią!... Napróżno więc, dodaje autor, odrodni między nami chełpią się z cienia wysokiego pochodzenia, *napróżno z olbrzyma zrodzony karzełek pyszni się z wielkości olbrzymiego rodu. Wszakże i na różowym krzaku wyrasta i róża i cierń kolczasty.* Nie wiesz, *że z tej samej winorośli i wino i ocet, i że z tej samej żyły złoto i szych? Wszakże plewka zawiera się w ziarnie, a ziarno w plewce*«.

Prócz zwrotów filozoficznych i poetycznych, przepla-

tają też opowiadanie autora zwroty i rozumowania prawne; niemało jest takich w Kronice, i jest też w tem miejscu właśnie z powodu postrzyżyn.

Jan, po wysłuchaniu powyższej rozmowy Mateusza, potwierdza ją dodaniem i własnych uwag, lecz czyni zarzut mówiąc: »Postrzyżyny są zwyczajem pogańskim, dlaczegóż powyższym cudem zdają się być uświęcone? i czemuż obecnie (za czasów Kadłubka) nie tylko nie są wzbronione, lecz nieraz ślubowane«?

Mateusz w odpowiedzi zwraca się do prawa rzymskiego, czyniąc uwagę, że i to, lubo pogańskie, obowiązuje; mamyż, mówi, uważać np. adopcyę, za godną wzgardy dlatego, że obrzęd ten poczęło i zrodziło pogaństwo? Tego rodzaju są także: kupno, wydzierżawienie, zastaw niewolnika i inne układy w dobrej wierze«.

Mówiąc o Bolesławie Chrobrym, autor, podobnie jak Gallus, nie tyle się zajmuje kreśleniem jego zwycięstw, czynów wojennych, jak raczej przymiotami jego duszy, i te tylko były mu źródłem uwag filozoficznych.

»Chwaliłeś, mówi tu *Jan*, zalety owego męża (wewnętrzne), wszystko bowiem, co obcą lśni wartością, obcem jest. Wszystkie dobra doczesne nie są nasze. Tylko owe klejnoty za swoje uważam, które powstają w skarbach naszego serca«. Nie opuszczając kwestyi, autor przytacza jeszcze powieść o filozofie, który widząc, iż gościa jego zgorszyło liche jego mieszkanie, oświadczył mu, iż nie jest to jego własne, i zaprosił go następnie do wspaniałego (jakoby jego własnego, a właściwie pożyczonego). Gdy zaś następnie gość (niby każdy człowiek przy śmierci, wychodzący z pożyczonego mieszkania), ze wszystkich szat obdarty, został wyrzucony z pałacu, obelgami obsypany, batami ocięty; wtenczas mu się otworzyły oczy i poznał, dodaje autor, że »wszystko jest cudze, prócz ducha i czasu, czego posiadanie natura nam przekazała«.

Przystępując do wzmianki o zbrodniczym czynie Bolesława II (Śmiałego) po poprzednich zwycięstwach, autor mówi:

»*Odtąd szlachetna oliwa w dziką, a miód zamienił się w piołun.* Bolesław bowiem, sfolgowawszy sobie w upodobaniu cnoty, wojnę od nieprzyjaciół na swoich przeniósł. Napominamy przez świątobliwego biskupa krakowskiego, w zaciętsze popadł szaleństwo, boć *drzewa pogięte łatwiej się złamać, niż sprostować dadzą*«. Brak skruchy w Bolesławie przy śmierci, natchnął cnotliwego autora do następnych poetycznych wykrzyknień: »Lecz oby od Saula przynajmniej był się nauczył, *jak obłąkanych dźwięk lutni wylecza.* Oby jego sercem w swem własnem przyjemność wyraźniej poczuł... Chcesz, by nieprawość zmazaną została? wyjaw występki, świadki winy. *W zamkniętej powłoce przechowuje się trucizna, z otwartej uchodzi*«.

Po określeniu rządów Bolesława II i króla jego brata, przechodzi do Bolesława III, do szczegółów, które obszernie już opisywał Gallus. Porównanie sposobu określania tych samych szczegółów najlepiej objaśni różnicę i charakter pisma Kadłubka. Bolesław III, który był głównym bohaterem Kroniki Galla, jest też nim rzeczywiście i w Kronice Kadłubka (lubo może więcej słów uwielbienia odbiera *Kazimierz* jego syn). O wszystkich prawie głównych czynach tego książęcia, o których wspomniał Gallus, wspomina i Kadłubek; są jednak szczegóły, które są u Galla, a które pominął Kadłubek, są znowu inne w Kadłubku, które nie znajdują się w Gallu. Oznaczając najogólniej różnicę, rzec można, iż opowiadanie Galla więcej ma kronikarskich szczegółów, więcej jest, jak dopiero rzekliśmy, jasne i proste, zaś Kadłubka więcej ma efektu, wymowy i myśli.

Dla objaśnienia przytoczymy tu parę przykładów.

Obie kroniki, wspominając o pierwszym buncie *Zbigniewa* (syna nieprawego *Władysława*, a starszego brata *Bolesława*), umieszczają listy, którymi malkontenci, zbiegli z kraju z powodu nadużyć namiestnika królewskiego *Siecieccha*, skłonili *Magnusa* (rządcę *Wrocławia*) do ogłoszenia się za (zbiegłym także) Zbigniewem. Oto jest ten list w Kronice Galla:

»Magnusowi, wrocławskiemu staroście.

»My wprawdzie, jakożkolwiek wygnanie nasze razem ze Zbigniewem znosimy, lecz nad tobą, starosto Magnusie, dla którego nazwisko starosty jest tylko ozdobą a nie honorem, litośnie ubolewamy; masz bowiem tylko trudy honoru, a nie sam honor, gdy służąc Sieciechowi, sam rządzić nie śmiesz; ale jeżeli chcesz zrzucić z karku swego jarzmo, śpiesz się młodzieńca, którego śród siebie mamy, przyjąć pod swoją tarczę«.

List ten za krótki na rzeczywisty, i wydający się raczej jak urywek lub wyciąg, u Kadłubka ukazuje się znowu przybrany we wszelkie szczegóły właściwe ogólnemu stylowi kroniki: i tak między innemi określa przed starostą: Sieciecha, a następnie bezsilność rządów Władysława-starca i Bolesława-dziecka:

...»Nikomu, wyraża ten list, nie tajno, jak drapieżne swe szpony sęp ów żarłoczny (Sieciech) w najgłębsze zapuścił wnętrzności, jak gdyby ssał pierś matki, *a nie mogąc z niej dobyć mleka, krew z niej wyciskał!*... I czemże jest pod nim wszelki rząd? co dzieje się z wszelką godnością?... kto nauczył papugę po swojemu śpiewać? kto rachubą o wszystkie nauczył się kusić urzędy?... Mistrz chytry i przebiegły rozdawca Sieciech, który urzędy najwyższe, wszystkie stopnie godności i wszystkie stopni odcienie, w rachubę zamienił. Że zaś (dodaje pismo, robiąc alluzyą do rządców kraju) karmicielką szaleństwa jest wiek podeszły, a do wszystkiego niedołężna nieudolność dziecięcia ośmiela, więc ani król, ani królewska dziecina takiemu nie sprosta ciężarowi, bo żaden ani rozumem, ani siłą, zdolnym i nie jest i być się nie zdaje. *Wszakże ani pień zestarzały, przejęty wskróś spróchnieniem, słupem przy rusztowaniu się nie wzniesie, ani podeprze upadającej budowli gałązka mastyksu*«. W końcu zaś wniosek: »Takiego więc wyszukać i uprosić trzeba i takiego tylko życzyć sobie można, coby i śród nieszczęścia mógł być pociechą, i sławy chwiejącej się podporą. Za sprawcę tak wielkiego szczęścia siebie, Magnu-

sie, uważaj, jeżeli się przychylnym ku nam skłonisz umysłem, jeżeli pierworodnego syna królewskiego do tego zamiaru pozyskasz. Jeżeli go chcesz dokładnie poznać, badaj najwierniejsze świadectwa piękności ciała i cnoty, które w nim tak mile się łączą, iż trudno oznaczyć, czyli w nim piękność cnotę, czy cnota piękność przewyższa«? Oba te listy, powtarzamy, nie są zapewne powtórzeniem autentyku, jeżeli ten nawet istniał[1]; jeden jest jakby skróceniem, drugi znowu odziany w jawną amplifikacyę; dobitnie jednak odznaczają właściwość obu autorów.

W opisie dzieciństwa Bolesława, nie znajdujemy w Kadłubku (jak to widzieliśmy w Gallu) ani powieści o zabiciu przezeń dzika, niedźwiedzia, ani o pasowaniu na rycerza, proroctwach o dziecku i t. p. Niema i słowa o związkach czynnych Zbigniewa i Bolesława przeciwko ojcu, dla wyjednania usunięcia Sieciecha, i krótko tylko rzeczono, iż Bolesław »zdołał Sieciecha usunąć«. Dobitniej jednak maluje Kadłubek niewdzięczność Zbigniewa, kreśląc: jak otrzymawszy przebaczenie od ojca, gdy ten był na łożu śmierci, »wpadł radośnie na zamek z grajkami i kuglarzami«; i znowu jakby dla tem większego kontrastu, tak kreśli przywiązanie Bolesława: »niemniej miłością synowską ku ojcu pałał, jak o dobru ojczyzny myślał, tak dalece bowiem ojca i cnotę miłował, że imię jego na złotej płycie wyryć kazał, którą na złotym łańcuchu na szyi powiesił, by ją zawsze niby w obecności ojca, jako jarzmo synowskiej karności, jako znak czci ojcu przynależnej, jako ochronę od występków i straż cnót mógł ze sobą nosić; płyta bowiem często mu przypominała: tak mów, jak gdyby ojciec zawsze słyszał, tak czyń, jak gdyby ojciec zawsze widział. Z taką tedy do niego przywiązał się czcią, iż się zdawało, że nie ojca, ale bóstwo uwielbia; a miłość ta nawet wtedy trwała, gdy wyrok nieugięty zamknął ojcu powieki, którego, jak mówią, lat pięć w żałobie opłakiwał«.

[1] Późniejsze kroniki wspominają tylko o liście samego Zbigniewa do Magnusa.

Kadłubek, równie jak inni spółcześni mu kronikarze (nie annaliści), zbyt prędko w opowiadaniu przechodzi z przedmiotu w przedmiot, tak, iż trudno nieraz uchwycić nici opowiadania; lecz jeżeli u innych (np. nieraz u tegoż *Galla*, *Dytmara*, i t. p.) kronika *śpieszy* dla opowiadania czynów wojennych, u Kadłubka dzieje się to dla umieszczenia uwag moralnych, rozwinienia wymowy i t. p. Tak np. (w ks. II) autor, nie określiwszy nawet szczegółów ujęcia Zbigniewa, przystępuje odrazu do umieszczenia wymownych aktów jego oskarżenia i jego obrony; nie wspomniawszy nawet o zaszłej śmierci Władysława (całą wzmianką o śmierci tej jest wzmianka o owej płycie), przystępuje do szczegółów rządu Bolesława.

W opisie pierwszego czynu wojennego Bolesława, już jako króla, to jest zajęcia *Białogrodu* (na Pomorzu), w opisie następnie *oblężenia Głogowa* i t. p., wszędzie takiż stosunek do siebie kronikarzy, jak w owych listach. Zajęcie *Białogrodu* Gallus tak opisuje:

»Zgromadziwszy wojsko, z licznym wyborem wdarł się w sam środek ziemi pogańskiej (pomorskiej), podstąpiwszy pod miasto stołeczne i piękne, Białogród zwane (urbs nomine *Alba*), z trzecizną prawie wojska; tegoż samego dnia zsiadłszy z konia, samą siłą, bez machin i narzędzi (do dobywania miast używanych) cudownym sposobem opanował to możne i ludne miasto; powiadają nawet, że sam naprzód poszedł i pierwszy wdarł się na warownie. Z miasta niezmierną zdobycz zabrawszy, warownię jego z ziemią zrównał«.

Kadłubek:

»Kiedy największe pomorskie miasta jedne zdobył, a drugie się poddały, Białogrodzianie oprzeć się starali. Tych w mieście najznakomitszem, w środkowym punkcie Pomorza zamkniętych obległ, a oblężonym dwie tarcze pokazał, jedną białą, drugą czerwoną, i zapytał: którą wybieracie? na to odpowiedzieli: »białą, bo ta schlebia świetnością pokoju, tamta strasznym krwi rozlewem grozi«, na co

on: »dobrze, jeżeli chcecie, by białą została, niechaj bezkrwawem zalśni się poddaniem, jeżeli zaś nie, to niech na niej inne imię wypisze krew, by się nie białą, lecz krwawą nazwała«. Ci zaś z zaciętszym jeszcze odrzekli uporem: »owszem niechaj się i białą i krwawą nazywa, by ją białą głosiło nasze zwycięstwo, krwawą zaś śmierć twoich«. Na to odrzekł Bolesław: »do licha! więc jeszcze nam grożą? *Śmieję się, że kret bystrowidza, ślimak tygrysa, chrząszcz orła do boju wyzywa,* ale rozstrzyga broń, a nie słowa«. Napadem więc wszystkich wyprzedził, a w nagłym zastępie wały przeskoczył... ani go nie przestrasza nieprzyjaciół mnogość, ani szczęk broni, ani siła pocisków, ani kamieni grad; pierwszy zapory bram kruszy, pierwszy do miasta wpada, tyletysiączne zastępy jedne mieczem ściele, drugie do ucieczki zmusza. Nareszcie wszyscy, jakoby jakąś grozą wielkości przejęci, rzuciwszy broń, na kolana padli, prosząc o przebaczenie dzieciom; błagają za ich, nie swojem ocaleniem; mówią, że są warci raczej śmierci krzyżowej, nie przebaczenia, a chociaż wyrok przedniejszych odrzekł: że ani wiekowi ani płci przebaczyć nie trzeba, wszelako łagodność królewska wszystkim przebacza, wszystkich ocala«.

Zdawałoby się, że lepiej szczegóły zajęcia Białogrodu mógł wiedzieć spółczesny Gallus, niż Kadłubek; wszakże opowiada je w sposób niepewny, mówiąc »dicunt«; a tę powiastkę o tarczach ma i spółczesny Baszko, i kroniki pomorskie i opiewa ten fakt starożytna piosnka pomorska [1].

Mówiąc o podstąpieniu pod Głogów cesarza Henryka, Gallus pisze, iż Bolesław, odebrawszy od Głogowian wiadomość, iż od czasu otrzymania odpowiedzi od niego co do potwierdzenia przymierza, wydali Henrykowi zakładników, odpisał im, iż »lepiej i uczciwiej zginąć im wszystkim, niż poddać miasto«; u Kadłubka zaś wyrażono: «na to im odpisał Bolesław: »*nic gnuśniejszego nad trutnia, nic łago-*

[1] Piosnkę tę z *Pommersche Provinzial-Blätter* Haken'a umieścił w przekładzie polskim p. Maciejowski w *Piśmiennictwie polskiem*, I, 165.

dniejszego nad robaczka miodonośnego; lecz obaj ten od ula, ten od gniazda odpędzają trzmiele; raczej więc utracić zakładników, niż miasto«.

W miejscu korespondencyi z Henrykiem i piosnki w obozie Henryka o wyższości Bolesława, u Galla; u Kadłubka *bitwa na Psiem polu*, będąca ostateczną porażką Niemców.

Opisanie szturmu Głogowa nie ma w Kadłubku tej malowniczości i ruchu, jak u Galla, lecz w miejsce tego obrazu, złożonego (jak to widzieliśmy) z wyrażeń tak powszechnych w poematach bohaterskich, w innych razach kreślenie bitw u Kadłubka ma więcej wyższej i oryginalniejszej poetyczności. Takim np. jest opis śród jednej z bitew zemsty Bolesława, której żadna dostojność śród nieprzyjaciół (jednostkom których nadaje tu autor nazwiska różnych drogich kamieni) nie zdołała uniknąć, a który kończy temi wyrazami: »Tak mściwy miecz z jednej strony rozwartą pochłania paszczą, a z drugiej płomień wszystko chłonący zmienia w perzynę, *bo strumienia, gdy pędzi, nie zatamujesz pierzem,* ani miecza, gdy się rozwściekli, nie przebłagasz«.

Takim też jest opis owej rozpacznej obrony, gdy się znalazł Bolesław otoczony od Węgrów, którzy wezwawszy go na pomoc, zwrócili się zdradliwie przeciwko niemu; obrony, w której dokazywał mianowicie sławny miecz jego *Żóraw*. Przytaczamy tu opis tej walki:

»Pędzą ku sobie rozstawione szyki i roty groźne rotom. Z dwóch stron na Bolesława naciera nieprzyjaciel, ten z przodu, ten z tyłu. Nuże, męże, zawołał, do dzielnej bitwy zmusza nas nieprzyjaciel dzielnie walczący; czasami jeden rozproszył tysiąc, a dwóch dziesięć tysięcy; i wydobywszy miecz z pochwy, żórawiem zwany, rzekł: umie nasz żóraw obfitsze krwi strumienie z żelaznych wydobywać barków i osuszać. A więc ani szaty pancerz, ani skóry popierśnik, ani siatki stal, ani hełmu miecz nie obroni; na nic się nie przydaje potęga dowcipu, na nic dowcip potęgi;

podobnie jak owa iskra wszystko ogarnia, a kogo tylko i ilu jednym pociągnie zamachem, rzecz trudna do uwierzenia, *nie przecina, ale przelatuje, tak, że niejednego sądziłbyś nietkniętym, aż albo od własnego ciężaru, albo od uderzenia innych na przeciwną pada stronę.* Słyszałbyś, jak zabitych głowy nie wiem co strasznego w kółko się kręcąc bełkotały; zląkłbyś się, widząc, jak wiele tułowiów z odciętemi głowami w przybranym poprzód ruchu pędziło; widziałbyś, jak niemała liczba kalek na pół rozpłatanych, więcej w ściśnieniu zadaje ran, niż w bitwie. Długo tak jeszcze Bolesław walczył, gdy zaś koń jego z trudu czy ran padał, nie z mniejszym zapałem pieszo walczył i pokonywał... nakoniec nie zwyciężony, lecz zwyciężając strudzony, położywszy tyle tysięcy, z boju ustępuje; a jeden z rolników, podając mu swego konia, rzekł: »pomnij o mnie, panie, gdy do swego królestwa powrócisz«. Te ostatnie słowa, przeniesione z Pisma Ś-go do kroniki, rażą zapewne, ile w kronice; lecz ile w dziele sztuki, winne być sądzone ze stanowiska swego wieku i celu. Przejmowanie się silne przez pisarzy wieków średnich wiarą chrześcijańską i oczytanie w Piśmie podawało im nieraz pod pióra wyrażenia tegoż Pisma, skoro im wypadało wyrazić podobną myśl; wyrażenie myśli w podobnej szacie zyskiwało zapewne ich zdaniem więcej powagi. Kadłubek nieraz to czynił; tak np., kończąc opisanie bitwy na *Psiem polu,* wyraził się słowami pieśni Mojżesza: »tak chwalebnie uwielbiony został Pan, *konia i jeźdźca w morze wrzucił*«; mówiąc o Bolesławie rosnącym wyraził: »oto on postawiony na zgubę wielu, a *serce twoje,* Sieciechu, *miecz przeszyje*«. Podobnie i powtórzenie powyższych słów Dyzmy na krzyżu było tylko w opisie autora wyrażeniem wiary owego rolnika: iż Bolesław, opuszczając pole bitwy, równie potężnym jak pierwej wróci do siebie.

Sądzimy, że te kilka wyjątków zaznajomiły dostatecznie każdego w sposób praktyczny z charakterem myśli i dykcyi Kadłubka, to jest pierwszych trzech ksiąg jego

kroniki; przytoczymy tu teraz kilka z ostatniej, a obok poznania bliżej jej treści, ujrzymy także, iż charakter jej w niczem się od poprzednich nie różni. Nie możemy tu jednak nie zwrócić uwagi jeszcze na jedno z miejsc z księgi III, zdradzające tak jasno rękę jej właściwego autora. Autor ten, mówiąc tu o testamencie Bolesława III i rozpisaniu przezeń królestwa między trzech synów, dodaje: iż gdy mu nadmieniono o 4-tym (Kazimierzu), rzekł: »w źrenicy oka widzę z tej łzy cztery strumienie płynące i przeciwnemi uderzające falami; z tych niektóre w najgwałtowniejszym wylewie nagle wysychają, a *z naczynia złotego źródło pełne woni wytryska* i owych strumieni koryta drogimi kamieniami aż pod wierzch zapełnia«. Te poetyczne słowa, w usta konającego włożone, są wyraźną alluzyą autora do Kazimierza Sprawiedliwego, który połączył pod jeden sprawiedliwy zarząd dzielnice braci; nie mógł więc słów tych pisać Mateusz, który skończywszy żywot na lat dwanaście przed wstąpieniem na tron Kazimierza (1177 r.), nie mógł nawet przeczuwać jego rządów.

Księga IV, jako określająca dzieje autorowi spółczesne, więcej naturalnie szczegółów mieści praktycznych w opisie każdego wypadku (jak właśnie i ostatnia Długosza), dowodząc i z tej strony, iż pisał ją świadek naoczny, który o sprawach poprzednich pisał z tradycyi; lecz co do głównych rysów zewnętrznego i wewnętrznego wykładu widzimy tu podobieństwo zupełne. Nie mówiąc już o tejże samej oryginalności łaciny autora (na którą zwracało uwagę tylu), widzimy tu tę samą metodę opowiadania, która nie tyle jest zajętą kreśleniem harmonijnego *powieściowego ciągu*, ile raczej *charakterystyki* główniejszych osób i czynów; takie też tu co chwila uwagi spekulacyjne w opisach, taż trafność i tenże natłok porównań i t. p.

Tak np., opowiadając autor, jak biskup krakowski *Giełko*, chcąc zwrócić uwagę Mieczysława (Starego), ile kraj cierpi z powodu ucisku jego urzędników, wprowadził przed króla niewiastę allegoryczną, która wyliczała swoje

cierpienia, dodaje: »*ale daremnie gałązka oliwna zaszczepia się na kamieniu, a najlżejsze dotknięcie do wrzodu rozdrażnia go tylko.* Król większą tylko jeszcze powziął nienawiść ku biskupowi«.

Kiedy nareszcie uciski Mieczysława do niezniesienia stały się, a panowie zebrani złożyli radę, aby na miejsce jego wezwać kogoś innego, mowa za Kazimierzem w naradzie tej, którą autor włożył w usta jednego z panów, obok wiernej zapewne treści, pełna jest i owych wyrażeń, tak właściwych samemu autorowi pierwszych ksiąg kroniki.

Przytaczamy tu dla przykładu kilka ustępów.

»Wtedy, mówi autor (t. j. w czasie narady nad smutnem położeniem kraju) rzekł pewien z mężów najznakomitszy:

»Jest niedaleko stąd *pewna oliwa* między drzewami owocowemi szlachetniejszego szczepu, i najprzyjemniejsze konary rozciągająca, blaskiem wiecznym jaśniejąca, z której nie tyle olej spływa, jak raczej *balsam* w szerokich strumieniach, której zapach wszystkim jest znany, a przecież nikt o nim nie wie; wszystkim jest obcy, a przecież szacowniejszy nad wszystkie drogie kamienie. Albowiem sądzę, że nie jest wam tajną rzeczą, jak wielkie są Kazimierza przymioty i sława cnót jego. Bo o zewnętrznych ozdobach jego ciała mówić nic nie wypada, które swym wdziękiem, niby promieniami słońca, oczy widzów mamią. Wzrok jego ujmujący, odznaczający się pewnym urokiem wspaniałym, mowa zawsze skromna, jednak pięknymi dowcipami okraszona. Komuż zaś taką niedościgłych rzeczy przenikłość rozumu, tak bogate skarby serca, albo natura dała albo łaska udzieliła? Nie wiadomo, czy w nim natura łaskę przewyższa, czy łaska naturę. Cokolwiek bowiem odnosi się do sprawiedliwości wrodzonej lub prawnej, do umiarkowania, waleczności i roztropności, to wyraża nie tylko w mowie, lecz pokazuje także i w czynach. Często on, zapominając o swojej godności, wchodzi w towarzystwa najniższej klasy ludzi i podnosi je nie z lekkomyślności, lecz

z miłości do cnoty. Już od dzieciństwa jego szczodrobliwość nie miała granic, gdyż nie jest to jego zwyczajem jak wielu, aby tylko pragnął nabyć skarbów, lub siedział na nabytych, »*lecz nakształt rzeki Tagu, im obficiej płynie, tem więcej złotego piasku na brzeg wyrzuca*«. Mowa przytacza dalej szczególne dowody cierpliwości księcia, przebaczenia uraz, uniewinnia z biesiad, zwraca uwagę, iż go zawsze otacza orszak uczonych ludzi, jak sam uczony, i kończy wnioskiem, iżby go błagać o przyjęcie opieki nad krajem — a z polecenia tego przytoczymy tu jeszcze następne oryginalne rysy filozoficzne: »Dziwna zaiste w mężu dzielnym nie tylko niezachwiana cierpliwość, lecz także osobliwa roztropność... A skąd się to wzięły te córy wszystkich cnót? ten cały ich orszak? *Cierpliwość*, która jest córą *męstwa*, nosi też z sobą część *słabości*, część *trudu*, część *obelg*. Tę zobaczywszy *roztropność*, cóż niesiesz, rzecze, córo? na to owa, stękając pod ciężarem: przyśpiesz, o matko, rzecze, zdejmij ciężar znękanej, siostra twoja *odwaga* kazała do ciebie ciężar przynieść. Na co roztropność rzekła: znane mej siostry (odwagi) słodycze, znane zwykłe dary rozkazują, abyśmy jej służyli; z tobą, o *cierpliwości*, cierpimy razem. Trzymaj więc na chwilę, zrobię to, czego żąda. Surowe potem bryły (słabości, trudu, obelgi) kładzie do pieca pragnień, dmie, gotuje, probuje, rozkłada na cząstki, i dziwną sztuką złote wyrabia ozdoby. Za sprawą więc *roztropności*, z odrzuconego *nieszczęść* materyału tworzą się znakomite zalety«.

Następny opis w tejże księdze zbliżających się wojsk halickich i walka ich z Kazimierzem wyraźnie jest utworem tejże fantazyi i myśli, jak opis owej walki Bolesławowej, który przytoczyliśmy.

»Zdaje mi się, że widzę las najeżonych włóczni, ów połysk broni, uszykowane szeregi hufców; tak skromny, tak spokojny pochód wojska, iż *zdaje się, że bez ruchu postępują*, ile razy na obóz oblegających pocichu chcą napaść«. I niżej: »Kazimierz lotem błyskawicy przebiega,

i niezwyciężony ani zwycięstwem znużony, nakształt skały huczące bałwany jedne przyjmuje, drugie odbija«.

Opisanie odwagi młodego *Leszka* (Białego) pełne jest owych, pismu tylko Kadłubka właściwych, porównań, których już poznaliśmy tyle.

»Zgromadzają się, pisze kronikarz, zastępy wojsk, i użalają się nie na samego króla, ale na jego wiek, jako do wojny jeszcze niezdolny... Lecz młodzieniec prawie ze łzami w oczach: »przebóg, rzecze, panowie, czy mię niewiastą być między sobą uradziliście, a nie królem? wyznaję, że jestem niezdatny do walki, ale też i *włócznie niektóre podczas bitwy stoją utkwione i nic walczą;* przecież w obecności książąt waleczniej się żołnierze potykają«... »Wszyscy się cieszą, że tyle męskiego ducha okazuje młodzieniec. Dziwią się niektórzy, że na kwitnącym dopiero i *tak małym kłosie dojrzałości znajdują się ziarna.* Osłupieli, że *orzech, jeszcze skorupą nie okryty, już dojrzały smak ziarna w sobie zamyka.* Ale *pszczółki* w wodzu swoim *nie wieku, lecz słodyczy* upatrują«.

W używaniu porównań autor tak jest bogaty, że opiera je nawet jakby na erudycyi pewnej, t. j. na wyrażaniu odcieni myśli odcieniami gatunków jednego przedmiotu. Wspominaliśmy, że w księdze III, w opisie walki Bolesława z nieprzyjaciółmi, różne odcienie ich osobistości oznaczał przyrównaniem do świata kruszców. »Przewyższa, pisał tam autor, *opal* karbunkuł, a *karbunkuł* przedniejszy od topazu, a *topaz* łzawy woła: cóż ty nędzny *onyksie,* cóż ty biedny *ametyście,* jęczysz między *brylantami?* wszak widzisz, komu to i jak wielkim nie przepuszczają«.

W tej zaś księdze widzimy w podobny sposób użyte i wzięte porównania ze świata *ryb.*

Mówiąc o jakowymś podstępie Podlasian (*Polexiani*), który nie zapobiegł jednak ich zniszczeniu, autor opowiada ten szczegół w następny sposób.

»Tak samo *kiełby,* chcąc króla swego *jelca* zgubić, dla żarłoczności giną. Albowiem prawie zniszczeni żarłoczno-

ścią jelca, jego samego usiłują zniweczyć, proszą: *sumów* o radę i pomoc. Sumy odpowiadają, że pod podobnem także jęczą jarzmem, *szczupaka* bowiem obrały sobie za króla... Tymczasem *wieloryb*, zdobyczy chciwy, zapędza się wraz z bałwanami na suchy piasek. Lecz z powodu nazad odbijających się bałwanów nie mógł tak wielki potwór sił swoich na lądzie rozwinąć, i dlatego od małych napadnięty i zabity został... Albowiem kiełby i sumy nie są szczuplejsze oh najmniejszych gadów, a szczupak i jelec nie są więksi od wieloryba. Tam więc niezmierną liczbę obydwóch zebrawszy, proszą królów na zgromadzenie, a opierających się napadami drażnią. A więc szczupak, jako zuchwalszy, wchodzi wewnątrz, jelec zaś powrót odcina; tak słaba ilość rybek częścią od żarłocznego szczupaka, częścią od jelca została połknięta. Również głupi był wymysł Podlasian, jak prostota kiełbów«.

Nie mówimy tu bliżej o szczegółach kroniki Kadłubka pod względem historycznym; jak uprzedziliśmy bowiem we wstępie, obowiązkiem jest naszym zostawać w ramach swego głównego przedmiotu, a zatem oceniać pisma, nie tyle ze stanowiska ich gałęzi, jak raczej pod względem ogólnych ich cech piśmiennych (ze stanowiska, jak się mówi »literackiego«); powiemy tylko, iż jeżeli w określeniu czasów przed-Bolesławowych (Bolesława III) autor ten, jak już nadmieniliśmy, dawał tylko dobitne charakterystyki faktów głównych, tak w kreśleniu dziejów sobie spółczesnych, kreśleniu charakterów i stosunków synów Bolesławowych, jest też dobitnym malarzem faktów szczególnych, i kronika jego była i jest głównem źródłem dziejowem do owych czasów. Nie można zaprzeczyć, że i tu, jak w opowiadaniu poprzednim, prosta nić powieściowa nie jest zaletą autora; że każdy owszem główniejszy wypadek daje nam zwykle widok raczej bujania *rozwagi*, bujania *fantazyi*, niż jasny *obraz*; wszakże raz mając w pamięci tę metodę, ten rodzaj pióra autora, i z tego stanowiska na to, co kreśli, patrząc, każdy dojdzie i owej nici, i wyznać musi, że jeżeli ten utwór Ka-

dłubka nie jest to może utwór najwyborniejszego historyka, zawsze jednak nader to znakomity utwór ludzkiego umysłu.

Sławie autora najwięcej zaszkodziły niewierne wydania kroniki (Szlecer np. poznał ją i sądził z wydania Lengnicha, gdzie usunięte były wszystkie ozdoby jej, a forma dyalogu zamieniona na opowiadanie własne autora), a stąd obwinianie go o własny jakoby pomysł tych szczegółów tradycyi, którą tylko był zmuszony powtarzać; dodać trzeba, iż drugim powodem do krzywdzących umysł autora obwinień, była też i zewnętrzna szata pisma jego, t. j. łacina i styl, któremi pisał.

Objawianie się i kształcenie piśmiennictw różnych ludów Europy za wieków nowych miało miejsce najpierwej w języku Rzymian; to używanie języka obcego do wydania sobie właściwych myśli powiodło było w wielu razach do używania i obracania, jak brzmień, tak i składni owego języka, w nader dowolnych zgięciach; ludy, które miały ten język w użyciu ustnem, zamieniły go nawet na różne oddzielne dyalekty, te zaś, które go używały tylko w piśmie, pozostawiły cechy tej dowolności swojej w utworach pisma. Pamiątką tej swobody i tej metody w używaniu łaciny jest u nas głównie właśnie kronika Kadłubka. Prócz używania dziwnie niektórych wyrazów stosownie do mody ogólnej wieku, Kadłubek nieraz końcówkami ich, na wzór krajowego języka, obracał nader dowolnie, szykował je w dziwny sposób, tworzył nowe już allegorycznie, już z dźwięków źródło-słowowych [1], tak, że łacina jego, w porównaniu z tą, której używali pisarze rzymscy, którą pisano następnie w kraju, musiała być uważaną za dziką i barbarzyńską, i za takież kazała poczytywać i myśli, których była wyrazem. Słusznie to jednak zauważył i trafnie wyraził Ossoliński: »iż ramy języka łacińskiego za ciasne były dla odcieni fantazyi Kadłubka«.

[1] Na wyrazy podobne wskazywał *Braun;* wypisał ich wiele *Muł-kowski* przy swojem wydaniu kroniki.

Kronika »Mistrza Wincentego« była wprawdzie, jak się zdaje, nader cenioną przez pierwsze trzy wieki, lecz źródłem tego powodzenia były nie jej wyższe nad wiek zalety, jak raczej to: iż była najobszerniejszem pismem krajowem o dziejach kraju piszącem, i najwięcej oryginalnem (w kronice *Baszka* całe opisy i frazesy wprost z kroniki Kadłubka są przeniesione). Jakoż mnożyły się jej odpisy i komentarze; w odpisach tych jednak, oraz jej przerabianiach, zwykle to, co stanowiło jej ozdobę i cechę główną, było usuwane. Długosz donosząc, iż za jego czasów nader była czytana, dodaje, iż jednak jej autorowi zarzucano powszechnie »*zbytek słów* i zajmowanie się więcej obcemi jak swojemi dziejami« (»carpitur a *quam plurimis* quod *verbosus* fuit, alienarum historiarum diligens, propriarum negligentior scriptor«). *Grzegorz* z *Sanoka*, jak wzmiankuje Kallimach w jego życiu, miał mówić o Kadłubku, iż »był nieukiem w dziejach i samochwalcą płochym«. Z tegoż wieku *Piotr* z *Bnina*, biskup przemyski, z powodu kroniki Kadłubka tak się miał wyrazić: »Wniosłem, mówi on, iż nie każdemu jest wolno porywać się do pisania historyi, o czem mię przekonała kronika Wincentego.., bo lubo, że w szlachetnym, ale ubogim domu urodzony i wychowany, duszą i rozumem nad rzeczy zwyczajne i powszednie nigdy się podnieść nie mógł (!) i dlatego drobnostki, a nawet nikczemne rzeczy go zajmują. A jeśli mu co wyższego nieco się nadarzy, zaraz to za nadzwyczajne u siebie poczytuje, nie może się nadziwić i nad tem obszernie rozwodzi się... stąd pochodzi, iż w opowiadaniu zaraz na początku staje jakby odrętwiał, to znowu jako ślepy idąc zawadzi, a niekiedy zwyciężony upada. A że nie w senacie z obywatelami, nie z długiego steru doświadczenia, ale w domu, wedle prawideł o mądrościach i innych cnotach nawykł rozprawiać, albo żadnych nie przytacza narad (?), albo błahe (?), a przyczyny tego, co się stało, albo wcale niedokładnie, albo obojętnie pomija, a nierzadko i zupełnie przeciwną naznacza. Nakoniec co się tyczy mów, których

cała ważność od opowiedzianych poprzednio rzeczy zawisła, ile żadnego w nich nie mający doświadczenia ani wyobrażenia (!!), kładzie je bez żadnego przygotowania albo wzmianki o tem, co pierwej zaszło [1], a stąd z rozumowania żadnej siły, ze zdań żadnego przekonania nie zyskuje. I dlatego ani uwagi czytelnika nie zaostrza, ani myśli nie objaśnia. Cała więc tu siła, ruch rzeczy i wymowy, który historyi tchu i życia przydaje, wzniecając uczucia strachu, litości i gniewu, leży martwy i bez ducha« [2]. Ile tu słów, tyle fałszów; mścił się niemi, jak się zdaje, możnowładca w liście do możnowładcy za rozumowania i wykroczenia w kronice przeciw możnowładztwu.

Zdania jednak nieprzychylne Kadłubkowi wkrótce zaczęły się upowszechniać tem łatwiej, iż przyjaciół kronik jako kronik zbyt obficiej zaspakajały pisma historyków nowych krajowych, takich jak: *Długosz, Miechowita, Wapowski, Kromer, Bielski* i t. p. Od XV wieku już nie powstawały nowe odpisy kroniki Kadłubka, a ogłoszenie jej drukiem (i to z rękopismu pełnego błędów) po raz pierwszy dopiero w XVII wieku się ukazało. *Starowolski* nie umieścił nawet Kadłubka w swem *Hecatontas;* w spisie pisarzy polskich (przy dziele tem umieszczonym) nazwał go *Janem,* a z tego, co mówi o jego piśmie w dziele: »*De claris oratoribus Sarmatiae*«, znać także, iż go był jeszcze nawet nie czytał. *Hoppiusz* powtórzył tylko zdanie *Herburta:* iż »twardym i nieumiejętnym stylem rzeczy polskie raczej notował, jak opisywał«; *Braun* trzy tylko zdania z całej kroniki pochwaliwszy, powiada, iż: »reszta nie warta czytania« (a z tego jak i z reszty zdań wnieśćby można, że przejrzawszy łatwiejszych do zrozumienia stron kilka, istotnie i sam reszty

[1] Jestto alluzya do oskarżenia i obrony Zbigniewa, rzeczywiście przytoczonych prawie bez prologu, ale mowy te są wzorem w rodzaju swoim.

[2] Przekład M. *Wiszniewskiego.* Zdanie to *Piotra z Bnina* znajduje się w liście *Macieja Drzewieckiego* do senatora weneckiego *Mauroceni*, przytoczonym przez Kallimacha w dziele: *de Venet. tentat. contra Turcas.*

nie czytał). Trafniej się wyraził *Soligna*c, mówiąc, iż »nie zbywało mu na dowcipie, iż owszem miał go za wiele« *(il ne manquait pas d'esprit, il en avait même de trop)*.

Ze zdań nowych przytoczymy *Lelewela*, które też było zdaniem Czackiego, i prawie wszystkich, czerpiących z nich *historyków literatury*: »Wyszukane zwroty, rozumowania, sentencye, maksymy, dykteryjki, przypowiastki, erudycya« (szczegóły rzeczywiście istniejące, wpływające jednak nie na niekorzyść kompozycyi). *Wiszniewski*, uczyniwszy uwagę, iż styl pierwszych 3-ch ksiąg tak podobny do 4-ej, iż trudno go odróżnić, oraz, iż określenie charakteru Mieczysława Starego jest Tacytowskie, dodaje (niczem jednak nie usprawiedliwiając zdania swego) uwagę, iż pierwsze księgi pod względem krytyki i kunsztu historycznego są daleko niższe. *Bielowski*: »*Gawła* (Galla) opisy są po większej części proste; Mateusza *upstrzone* erudycyą i *mędrkowaniem* popsute«.

Jeden tylko z pisarzy nowych a erudytów, *Ossoliński* (w dziele swem: »*Wiadomości historyczno-krytyczne*,« w artykule: *Wincenty Kadłubek)* okazał się nie tylko obrońcą, ale chwalcą i wielbicielem Kadłubka. Autor ten nie śmiał wprawdzie, czy nie chciał zaprzeczać Mateuszowi autorstwa, za sławą jednak pióra Kadłubka silnie i umiejętnie przemówił; a cokolwiek tu mówił, stosował to wyraźnie do całości kroniki. »Pełno, mówi między innemi, pełno *w tem dziele* ruchu i życia; krząta się co żywo autor, nastręcza pochopu do uwag, przekłada własne, tłumaczy zwyczaje, bierze pod sąd sprawy i czyny, wchodzi w rady, roztrząsa wypadki, czerpie z duchownych i świeckich nauk«... Pomimo »grubą mgłę złego smaku, nieoświecenia, niezrozumiałego języka ...przebija w nim dowcip własnym ogniem żarzący się, bystry, przenikający, do tego obficie uposażony nauką, okrzesany życia publicznego ćwiczeniem, udoskonalony ludzi i świata znajomością, wtarty w główne i ważne sprawy«. Jest to, widzimy, zdanie przeciwne zupełnie zdaniu Piotra z Bnina; zdanie arystokraty także, ale

który swym artykułem dowiódł, iż był wcale nie powierzchownym znawcą przedmiotu, o którym sądził, a przeto właściwego sędziego.

Grzegorz z Tours, najdawniejszy historyk francuski, w przedmowie do kroniki swej, którą pisał stylem prostym i jasnym, jakby tłumacząc się z tego, wyraził: *philosophantem rhetorem intelligunt pauci, loquentem rusticum multi,* t. j. rozumującego retora mało kto rozumie, mówiącego po prostu każdy; jakoż istotnie popularność obszernej kroniki jego przeciągała się we Francyi przez wszystkie wieki do obecnego; a kronika filozofującego Kadłubka same tylko zamiast poklasków ściągała na siebie napaście. A jednak jest to dzieło, jak to poznaliśmy właśnie, tak pełne myśli, fantazyi, nauki i razem życia, iż liczoneby być winno za zaszczyt, nie tylko literatury krajowej, lecz europejskiej wogóle, zwłaszcza w wieku, w którym pisane. Wiek XIII, w którym pisał Kadłubek, był to wiek, w którym i poetyczna fantazya i spekulacyjne myślenie świetne już błyski wydały; w tym to już wieku zabłysły takie umysłowości słońca, jak *Dante* w poezyi, *św. Tomasz z Akwinu* w myśleniu spekulacyjnem. Skądinąd jednak był to wiek jeden z najciemniejszych w Europie, zwłaszcza na całym jej Wschodzie. Leibniz czyni uwagę, iż w literaturze niemieckiej wieki XIII i XIV były wiekami takiego upadku umysłowego, iż w porównaniu z nimi wiek X mógł nazwać się złotym. Blask utworu Kadłubka tem więc świetniejszy. Utwór jego, jeżeli nie słońcem, tedy był jednak bez zaprzeczenia jedną z iskrzących gwiazd, które na nocnem tle owego starego wieku zaświeciły [1].

1866

[1] *Wincenty Kadłubek*, syn *Bogusława*, »filius *Gottlobonis*« (skąd, jak wnoszą niektórzy, powstało i przezwisko jego Kadłubek), urodził się w Karwowie niedaleko Stopnicy, w r. 1208 został proboszczem Panny Maryi w Sandomierzu, roku 1212 biskupem krakowskim. Roku 1218 rzucił świat i wstąpił do zakonu cystersów w Jędrzejowie, gdzie też umarł w roku 1223, w poczet błogosławionych (następnie) policzony. Ossoliński domyśla

się, iż, równie jak ś. *Stanisław* i biskup *Iwo* (następca Kadłubka), kończył nauki w Paryżu. Jakoż istotnie tytuł *magistra*, który mu nadawano, także przytoczenie w ciagu kroniki słów: »jak mówią w pewnym kraju *Scire tu moras*« (znane francuskie: *Sire, tu mourras*), potwierdzają to przypuszczenie. Niema pewności, kiedy pisał kronikę; jedni sądzą, że wydanie jej utorowało mu drogę do biskupstwa; inni, że korzystając z chwil wolnych w zakonie cystersów. Powszechnem jest podanie, że pisał ją z polecenia *Kazimierza Sprawiedliwego*, co potwierdza i wyrażenie jego w prologu o książęciu, który mu pisać kazał: »Najdzielniejszy z królów« (»strenuissimus principum«) i wzmianka nieraz w kronice o Kazimierzu, jako żyjącym (»Najjaśniejszy Pan rozkazał« i t. p.). Pisał ją więc nie tylko nie w zakonie, lecz może nie będąc nawet jeszcze duchownym, Kazimierz bowiem umarł 1193 r. Kronika Kadłubka wyraźnie niejednocześnie była pisaną. Pochwała i usilność zmniejszenia win Mieczysława Starego, przy początku księgi IV-ej, w kontraście są z ostrem kreśleniem następnie tejże postaci; uniesienie poetyczne w pochwałach Kazimierza z opisaniem prawie obojętnem nagłej jego śmierci i t. p. Czasy po Kazimierzu dopisywane być mogły daleko później, może nawet w klasztorze. W ogólności, dla ułatwienia pamięci daty naszych dwóch najdawniejszych zabytków piśmiennych, możnaby zwrócić uwagę na niejaką kabalistykę w liczbach. Jeżeli bowiem w dacie *pierwszego* zabytku (kroniki Galla) widzieliśmy po trzykroć powtórzoną cyfrę 1 (r. 1110—1119), tedy w dacie *drugiego* po trzykroć może figurować cyfra 2, t. j. iż był pisanym w przybliżeniu do r. 1222. Wyrażenie Kadłubka w prologu, iż nie chciałby po raz drugi w tych samych wirach na rozbicie się narażać, mówi jasno, iż oprócz kroniki autorem był i innych pism historycznych, a nazwanie ich utworu: *rozbicie się*, było oczywiście tylko skromnością, gdy stały się były owszem powodem do powołania go na urząd kronikarza państwa. Podanie nie przechowało jednak ani nazwiska tych pism.

II

Z CZASOPISM, OD ROKU 1866

I.

DWIE ŚWITEZIANKI,

CZYLI RZUT OKA NA OSTATNI OKRES POEZYI POLSKIEJ.

Arystoteles filozof-empiryk, który pierwszy dokładniej niż ktokolwiek przed nim zbierał, rozważał i drobiazgowie określał wszelkie szczegóły świata, a wnioski swe (jak tego właśnie żądają i spółcześni nam empirycy) opierał na *doświadczeniu rozumnem;* w traktacie o »Monarchii« czyni uwagę, iż geniusz w ludziach zależy od rodzaju powietrza, którem oddychają, »dlatego też, dodaje, nie widzimy wcale geniuszów ani w zimnej Europie, ani w skwarnej Afryce, dlatego też wydała ich tyle szczęśliwa Grecya«. To zdanie Arystotelesa i w kilkanaście jeszcze wieków po nim mogło się uważać jako gruntowne; istotnie bowiem, prawie do końca XVI. wieku ciepłe tylko kraje Europy (dawny Rzym, Włochy, Hiszpania i t. p.) wydawały talenta twórcze. Trzy jednak wieki ostatnie zaprzeczyły stanowczo mniemanej prawdzie. Północ Europy w tym czasie (dosyć tu wspomnieć na geniusze naukowe i poetyczne Anglii) równie przynajmniej okazała się zdolną do wydawania talentów twórczych jak i południe. Wniosek więc, iż nie rodzaj powietrza, lecz raczej jakieś powody duchowe, jakieś prędzej wewnętrzne prawa życia i rozwijania się plemion są przyczyną zabłyskania w nich liczbą geniuszów w nade-

szłym czasie. Prawa te nie prędko jeszcze zapewne bliżej poznane i ściślej oznaczone zostaną, a tem więcej nie mogły być znane i oznaczone w czasach ubiegłych; dlatego też nie dziwimy się wcale, jeżeli każdy z tych krajów, które już zakwitnęły dobą umysłowości swojej (jak Francya, Anglia, Niemcy), w wigilią tej doby wątpiły jeszcze, aby ta kiedy nastąpić mogła; dlatego też tem więcej nie możemy się dziwić, iż jeszcze przed pół wiekiem nikt u nas nie mógł wcale pomyśleć i wróżyć, iżby ta poezya krajowa, która już tak bogatą była trzema wiekami utworów, nieraz tak obszernej skali i takich zalet, mogła jeszcze podnieść się o krok wyżej, wydać nowe i żywsze barwą talenta, i nawet okres, który już nie tylko pośród miejscowej, ale i śród ogólnej poezyi ludzkiej miał krok zaznaczyć. A jednak tak stało się. Niedawniej jak przed pół wiekiem ukazały się u nas śród poetycznej sfery młode natchnienia twórcze, niezawiśle piszące; i lubo śpiewać zrazu zaczęły o uczuciu tylko, każdemu młodemu poecie zbyt znanem, o jednostkowej miłości, to jednak ten ciasny zakres, to jednostkowe uczucie tak się wnet rozszerzonem ujrzało przez podniesienie go do miłości plemiennej, i dalej: całej ludzkości, a dźwięki tego śpiewania tak odznaczone zostały nowością treści i form, i liczbą śpiewaków, iż ten odcień i krok w rozwiciu domowej poezyi stał się też wyrażeniem zwrotu i śród ogólnej, a mianowicie uosobieniem na polu fantazyi owego *uczucia-uczuć* (spółmiłości wzajemnej), które podrosła ludzkość w różny dziś sposób i w różnych kształtach i na innych polach objawia.

Okres ten naszej poezyi, o którym mówimy, a na którego fakta i rysy główne właśnie wnet wskazać mamy, rozpoczął się, rozwinął i zakończył przed oczami naszemi. Nie chcemy przesądzać dni przyszłych i dziejów tej naszej poezyi; być może, iż na jej polu niejeden się jeszcze ukaże i błyśnie nowy utwór talentu, może jeszcze niejeden nowy talent; lecz zdaniem naszem będą to tylko jakby odbicia kół kończących żywe pierwotne kręgi wzruszonej wody,

blaski promieni słońca po jego zajściu, lub wreszcie może to będą kroki jakiegoś nowego z odmienną barwą okresu; ale ów żywy i świetny, a z ową sobie właściwą cechą już zdał się skończyć. Zaczęty w r. 1822, ukończył się w roku 1862; wszystkie główne utwory poetów naszych, nawet jeszcze żyjących, przed tym lub w tym ostatnim roku były wydane. W roku owym wydany też został ogólny zbiór głównych poetów okresu [1].

Rozpatrując się w głównych utworach oraz szczegółach tej poetycznej epoki, uderzyło nas, iż dwa należące do niej utwory, z których jeden był jakby ziarnem okresu rośliny, a drugi przypadł na czas jej kwiatu (i był jakby czasem formacyi ziarnek śród kwiatu, tych ziarnek, które ma jeszcze następnie objąć głowa owocu i reszta bytu rośliny), jedno nazwisko noszą; iż jeden z nich był jakby rozpoczęciem śpiewów, których głównym pierwiastkiem miał być element miłości, drugi zaś nastąpił po rozwinieniu i rozkwitnieniu jej różnych stopni; że oba odbiciem są tego uczucia w jego stopniu najniższym, albowiem nie pojedyńczej nawet miłości, lecz pustej; słowem tak są podobne do siebie, jak w świecie materyalnym ziarno źródłowe rośliny do ziarna wypadkowego; i że właśnie (jak to jest w ziarnach) z prostoty widoku obu niktby nie odgadł, iż pierwsze mieściło już w sobie zaród tych wysnuć się z niego mianych błysków i kwiatów, a w drugiem, iż tyle się ich skupiło i zwęziło. Te dwa utwory są to dwie *Świtezianki*. Pierwsza: ballada Mickiewicza, wydana jeszcze przed wyjściem pierwszego zbioru jego poezyj (w Dzienniku Wileńskim z roku 1822 za wrzesień); druga: Świtezianka, fantazya dramatyczna przez L. Siemieńskiego z r. 1843.

Mamy tu głównie rzec o charakterze poetycznym okresu naszej poezyi od roku 1822 do 1862; lecz nim powiemy o kwiatach, powiedzmy pierwej o ziarnkach; przytoczmy i przypomnijmy tu najprzód, jaka to jest treść tych

[1] [W »Bibliotece pisarzy polskich« Brockhausa w Lipsku].

utworków; przypomnienie to więcej może jasnemi uczyni inne uwagi.

ŚWITEZIANKA.

Ballada z r. 1822, Adama Mickiewicza.

Treść i wiersz tego utworu prawie powszechnie są znane, nawet na pamięć umiane, dla porządku więc tylko, czyli przedmiotowego zbliżenia z ciągiem dalszym, przypominamy tu ją w kilku słowach.

Młody chłopiec poprzysięga miłość młodej dziewczynie, ale gdy wraca ze schadzki brzegiem Świtezi, z wód jeziora ukazuje mu się cudniejsza piękność i wabi go. Młody chłopiec stara się bronić ponęcie, ale ułuda wzrasta; rzuca się ku łudzącej, a przybliżony poznaje w niej właśnie toż dziewczę, któremu przysiągł. Przepaść wodna chłonie krzywoprzysięzcę, a cień jego z cieniem dziewicy błądzą dotąd nad brzegami Świtezi.

ŚWITEZIANKA.

Fantazya dramatyczna z r. 1843, Lucyana Siemieńskiego.

Treść tego poetycznego utworu, wydanego w r. 1843, tak jest różną od wszystkich ówczesnej naszej poezyi, a talent jego autora (którego wyrazem, między innemi, jest równie w utworach wiersza jak prozy: *gracya)* tak mało jest tu znany; z drugiej zaś strony, rozszerzenie w ramach fantazyi treści dawnej ballady tak nam się widzi zręcznem i trafnem, iż pozwolimy tu sobie nie tylko na przytoczenie tej treści, ale dla tem jaśniejszego jej określenia na obszerniejsze przytoczenie i jej szczegółów.

Fantazyę »Świteziankę« składają: *Prolog* i *Scen XIV.*

Prolog. Okolica romantyczna Świtezi. Noc i księżyc. Z jednej strony jezioro a z drugiej zamek na górze. Nad jeziorem dziewczyna Marylka i panicz. Panicz wyznaje dziewczynie, iż nie jest prostym myśliwym; że zamek, który przed nimi, to zamek jego ojca; że książę jego oj-

ciec, stosownie do mody, wyprawia go w obce kraje na lat trzy: wzywa jednak gwiazdy i piekła i zaklina się na nie, że pozostanie jej wiernym i że ją poślubi. Dziewczyna nie wierzy, płacze, daje mu wreszcie na pamiątkę pęk niezabudek, prosząc, aby po każdej zdradzie zrywał po jednej; wyrywa się jego uściskom, ucieka nad jezioro i znika.

Mija lat trzy. *Scena* w pałacu księcia. Książę, uszczęśliwiony z powrotu z zagranicy syna *Janusza,* zrzeka się nań majątku i na przyjęcie jego wyprawia bal maskowy. Książę Janusz, przesycony światem, chodzi znudzony, ale uderza go widok spotkanej kształtnej dziewczyny i zatrzymuje ją. Dziewczyna pyta go, czyli też nosił kiedy niezabudki przy piersiach, i czy zna to jezioro, które widać z okna? Janusz odpowiada, iż te pytania przypominają mu jakąś przykrą scenę i aby wspomnienie to zatrzeć, proponuje jej taniec. Dziewczyna znika.

Scena nowa. Wchodzi maska kształtna i świetna, książę Janusz poznaje w niej niespodzianie jedną ze znajomości swych z podróży i z zachwyceniem ją wita. Donna Antonia nie wierzy zachwyceniu, ale książę Janusz jej nie opuszcza i przypomina szczegóły ich poznania; to przypomnienie jest dla damy dowodem siły uczucia, a dla czytelnika zaznajomieniem z charakterem i dziejami kochanka dziewczyny.

Między innemi woła on tu:

. . . . . Jak czas leci!
Będzie rok temu, pamiętam, w Wenecji
W świętego Marka kościele, o mroku
Chodzę jak błędny, a czucia w natłoku
Nigdzie nie mogą wylać się, zawisnąć.
Szalony! chciałem choć posąg przycisnąć
Pierwszy lepszy do serca — byłbym ożył.
Dość, żem całunek, patrz, ot taki złożył (całuje ją)
Jakiemuś Doży. Gdy wtem... za kolumną
Spojrzę, ktoś klęczy schylony nad trumną:
Kobieca postać w kirze — by Kanowy
Dłutem wykute rysy ślicznej głowy
W promyku się kąpały, co z szyb padał;

Obraz ten jakżeż w duszy mi zagadał!
Toś ty, Antonio, była! Próżnom potem
Szukał za tobą wszędzie, sypał złotem,
By ślad twój odkryć, wiedzieć choćby imię —
Traf niespodziany! spotykam cię w Rzymie
Na balu, pomnisz, u Ambasadora.
Wszystko gasiłaś owego wieczora
Wdziękiem, dowcipem; jak słońce na niebie,
Świat obracałaś cały wkoło siebie!
A teraz znowu, tu... w krainie naszéj.
Czy ty Sylf jaki? czy ciebie lot ptaszy
Przeniósł przez Alpy, śniegi, o mil tyle?...

Tu łączy nowy wyraz miłości, zaklęcia miłości, lecz Donna Antonia nie dowierza zawsze i mówi:

— Książę każdą tak kochasz?

Janusz.

. . . . . O! być może...
Kocham brunetkę, lecz w jasnym kolorze
Gustuję także . . . . . .
Lubię ogień ócz czarnych, błękit jasnych,
Zapału nie zamykam w sferach ciasnych —
Róża uśmiecha mi się, lilia wabi...
I tyż to zdradą nazwiesz? Przywidzenie!
Wszystkie te cuda, wierz mi, w jednej cenię.
Tyś jest tą jedną.

Antonia na to: iż jeśli chce dowieść, iż słowa jego są prawdą, winien ją poślubić i to dziś jeszcze. Książę *Janusz* zwraca uwagę, iż więzy to zbytek, chce zwlekać, ale w końcu przystaje. Donna Antonia odchodzi przywdziać szaty godowe.

Janusz zostawszy sam, po chwili:

Teraz się żeń, braciszku — z kim? nie wiedzieć.
Awanturnica, z za świata gdzieś Włoszka,
Widziałem ją w Wenecyi, w Rzymie troszka,
Zczarowała mnie, prawda, trudno taić...

i nakazuje gody.

Scena nowa. Przybliża się maska czarna i przypomina się księciu, iż jest jego znajomą z Walencyi. Janusz przy-

pomina sobie istotnie ten urok, którym go niegdyś otaczała, lecz oświadcza, iż już wkrótce się żeni; maska okazuje mu pierścień, który jej dał z oświadczeniem, iż jeśli kiedy zapragnie, by ją poślubił, dosyć mu go ukazać. Janusz broni się, lecz wreszcie przystaje na ślub; maska wychodzi ubrać się w szaty godowe.

Wchodzi maska nowa, *Joasia*, magazynierka z Paryża, i rozkłada towary ślubne. Janusz przypomina te dnie, gdy za nią szalał, przytacza wiersze, które był do niej ułożył. Joasia odpowiada, iż ją poezye wcale nie bawią, bo ojciec jej tyran zmusza ją zaślubić koczkodana, i jeżeli chce ją ratować, niech go zastąpi. Janusz zgadza się chętnie, Joasia wymyka się, aby zaraz wrócić.

Wchodzi *Fani*, przedmiot najdłuższej admiracyi Janusza, dziś zakonnica; galanteryjna rozmowa ma tu więc nowy odcień.

Janusz.

Skądże przybywasz aniele?

Fani.

. . . . . z klasztoru.
Rok się modliłam, a rok przepłakała.

— Łzy dziewcząt to jak rosa na kwiatki — odpowiada Janusz niby z uśmiechem.

Fani.

A toż nie rozpacz, Januszu, gdy u mnie
W piersi wciąż kipi pożar pod popiołem?
Gdy zawsze jedna myśl wisi nad czołem,
Jak ta zasłona? śmierć zasłonę zdziera,
Ale myśl taka nigdy nie umiera.
Jam tę myśl grzeszną truła, jak robaka,
Modlitwami, postami, moc jej taka,
Że nie zgorzałaby i w ogniach stosu
Jak salamandra. Jam z wyroków losu
Przykuta do cię. Cóż choć piekłem straszą?
I mnież to straszyć potępieniem za to,
Że Bóg mieć nie chce za klasztorną kratą
Serca, gdzie tylko ty jeden panujesz?
Więc bierz, co twoje...

Janusz z uniesieniem przyjmuje rękę i nagli, aby co prędzej zmieniła ubiór:

Zrzuć te żałoby, te kwefy i strojem
Zabłyśnij świetnym, a przy sercu mojem
Gdy wejdziesz na bal, wszystko zgasisz sobą,
Rywalki zbledną, młódź padnie przed tobą
I okrzyk pójdzie: »żona, żona księcia!«
Aż tak być piękną!... to impertynencja!

Janusz (który zostaje zawsze pod wpływem ostatniego wrażenia) pozostawszy sam, wyznaje, iż ta ostatnia był to i jest główny jego ideał, i rozumując, tak mówi:

Krzyczą na mnie, żem wietrznik! jaka bredni a!
U mnie... znajomość kobiet nie poślednia,
Do każdej mówię z czuciem, z ślepą wiarą,
Przyjdzie inna i pierwsza zda się marą,
Zimnym szkieletem. Wina w tem przyrody.
Czemu nie rozdzieliła równo skarb urody,
Czemu wydała tyle a tyle odcieni!...

Tu wchodzi murzyn i oddaje mu bilet z podpisem: *Zulma, królowa Palmiry.*

Janusz.

Puścić!
O, farsa znów karnawałowa!
Gdzieżby tam ona? wprawdziem znał tę panię,
Kiedym z Rzewuskim [1] jeździł po Libanie.
Zaszła tam mała intryga w haremie...
Już od tych kobiet uciec mi pod ziemię!

Ten ostatni urok na balu rozwija się w takim dyalogu:

Królowa wchodząc:

Z pustyń, gdzie słońce pali nas ustawnie,
Gdzie wiatr, koń, Arab, żyją pobratani,
Zielona palma na stepie sułtani,
Stamtąd przyciąga moja karawana.

[1] [Z Wacławem Rzewuskim, emirem, któremu Mickiewicz poświęcił »Farysa«].

Jak owa niegdyś Saba rozkochana,
Rzuciłam namiot, stada klaczy śnieżnych,
Chłodną krynicę na stepach bezbrzeżnych:
Wszystko dla ciebie...
Długom się biła po morzach i lądach
Goniąc za tobą na moich wielbłądach,
Więcej od roku... nawet przez gazety
Kazałam wszędzie zapytywać, gdzie ty?
Szczęściem w Hamburgu dostałam języka.
To, co ci mówię, wszystko prawda szczera.
Pożar miłości nie łatwo zamiera
U córek słońca! Kto go raz obudzi,
Niechże go wzajemnością lub krwią studzi.

Janusz do siebie:

Z nią, widzę, nie przelewki, gardłem straszy,
Zapewne nie jednemu łeb już zdjęła baszy...

Wyznaje więc otwarcie, że już czterem przyrzekł, iż je poślubi, ale *królowa* na to:

Czterem? bardzo skromnie.
U nas naprzykład pan jak ty bogaty,
Gdy stu żon nie ma, jeszcze nie żonaty.

Janusz oświadcza wdzięczność i każe zaprzęgać powóz do Arabii, ale królowa odchodząc oświadcza, że nie potrzebny powóz, bo już płynie po Świtezi jej okręt, który go zabierze i którym aż do Palmiry trafi.

Janusz zostawszy sam.

Co? co? Świteziem do Arabii? brawo!
Z tem wszystkiem trzeba jechać. Traf nad trafy,
Awans na króla... w kąt książęta, grafy;
Ja król nad owym rajem, kędy Ewa...
Kędy się romans najpierwszy odgrywał...

Chwyta gitarę i śpiewa miłosną, namiętną piosnkę.

Witaj, ziemio czarów, snów!
Pierworodna Boga córo!...

Sto odalisk czeka tam,
I rzezańców czuwa dwieście:
Georgianki! do mnie! pieśćcie!
Na was sto, ja tylko sam.
Hej majtkowie! nuż do żagli,
Leć, okręcie, naglej, nagléj!

Gdy kończy śpiew, daje się słyszeć zgiełk, rozruch; pokojowiec wpada z przestrachem i wchodząc woła:

. . . . . Ej! dla Boga,
Pan się cieszy, gdy wszyscy w takim strachu;
Większa połowa gości już na dachu.
Stary książę się modli. Spójrz pan w okno:
Ujrzysz, jak szczyty topól w wodzie mokną.

Janusz otwierając okno:

Prawda... widok wspaniały! W Neapolu
Taki sam miałem... te góry w półkolu,
Tam znowu drzewa by maszty w zatoce,
Tylko noc insza!... O, niemasz, jak noce
Włoskie!

Scena ostatnia. Książę na kolanach; lud, mężczyźni i damy w przerażeniu przed wodą, która ma ich pochłonąć, postrzegają płynący okręt, i poczytując go za cud zesłany na ich wybawienie, tłoczą się, aby nań wejść, ale ks. Janusz odtrąca wszystkich, nawet ojca (który go przeklina) i oświadcza, że to królowa Palmiry po niego przybyła. Okręt odbija. Pozostali czekają co chwila śmierci, ale śmierć nie przybywa; wody, które ogarnęły zamek, nie mokre i wnet ustępują, a na ich miejsce ukazuje się rybak i opowiada dziwy, które widział. Opowiada, iż na wodach nagle wezbranych ukazał się dziwnej struktury statek.

Na pokładzie...
Stał nasz panicz, i z panną jakąś, w zwadzie
Być musieli, bo panicz tak się zżymał,
Nawet nóż czy pistolet w ręku trzymał
I groził. Panna miała skry w źrenicy
I śmiech na ustach, rzekła: »do łożnicy

Chodź, mężu! zaprzysiągłeś!«... Ręką skinie,
Aż okręt zaraz porwały głębinie
Z wszystkiem: majtkami, żaglami, masztami!

...A narzeczona księcia uszłaż zdrowa? *(zapytuje ktoś).*

Rybak.

Piękna mi narzeczona, niech Bóg chowa
Od takiej nas każdego!

Ktoś.

Przecież z ganka
Widziałem ją: Królowa!

Rybak z przerażeniem:

Świtezianka!

Taki jest ten niedługi, lecz pod względem poezyi i wdzięku istotnie czarodziejski utworek, który był jakby zaznaczeniem końca *rozrostu* uczucia, które miało odznaczyć głównie ostatni nasz okres poezyi.

Fantazya ta odpowiedziała w lat 20 balladzie z temże nazwiskiem, i jeszcze raz powtarzamy, tak ma się do niej, jak moment wypadkowych ziaren w życiu rośliny do ziarna-źródła. W formie podobnych ziarnek w naturze obok blysku jest też pewna suchość i martwość; wypadek jednak tak się ma do pierwiastku, jak mnogość do jednostki. Formą tego wypadkowego ziarna w roślinie poezyi była więc już nie *ballada*, lecz *dramat*, — bohaterem nie przeniewierca serca jednego, lecz tłumu, — zdrajca nie mimowolny, lecz wietrznik, wietrznik nawet rozmyślny, rozumujący. Treść balladki była tylko rodzajem morału, przestrogą dla młodych; treść fantazyi jest też nadto skreśleniem typu, charakteru wietrzników, a skreślenie to przez szczęśliwie pomyślane ramy (przedzierzgnienie się nimfy w rywalki różnorodne) ukazało nam dawnych Fircyków, Szarmanckich i t. p. w szacie romantyczności, różnostronną zwrotność tych charakterów w krótkim obrazie łącznym, i dało nam słowem dramatyczno-fantastyczny obrazek równie w swoim rodzaju mistrzowski, jak była w swoim balladka.

Tak się ma ta fantazya do swego źródła; jak zaś ma

się do samego okresu, to okaże nam zamierzony właśnie rzut oka na charakter i szczegóły jego.

Nie mamy tu bynajmniej zamiaru dawania zupełnego obrazu tego przeminionego okresu. Przedmiot to zbyt bogaty i samo wyliczenie zjawionych w nim poetów z talentem, utworów ich i chociaż krótkiej charakterystyki znakomitszych, złożyłoby książkę; chcemy zaś tylko przynajmniej wskazać na niektórych ze sprawców głównych i na niektóre z tych rysów, które jawnie odznaczyły jego oryginalność.

Poezya polska od XVI. wieku bogatą już była w nader liczne i nieraz obszerne utwory. Kolorem ich wtedy był prawie wyłącznie *dydaktyzm*, niekiedy *liryzm* (zwłaszcza religijny) i *opisowość*, a w drugiej połowie wieku XVII. głównie *historyczność*. Po upadku (w tej drugiej połowie XVII. wieku) smaku poetycznego, pamięć o tej poezyi znikła była prawie wśród kraju; a po wskrzeszeniu następnie smaku (w połowie XVIII. wieku), za przedmiot jej było też wzięte obszerniej i *serce* ludzkie, to serce, którego słabości, zdaje się, iż się wstydzili dawni poeci nasi i jeśli jej ulegali, ukrywali się pod maską wiejskich jednostek (Sielanki).

Te jednak pierwsze śpiewy o sercu ludzkiem nie przedstawiły się w naszej poezyi zbyt idealnie.

Okres poezyi polskiej z końca wieku zeszłego (z czasów Stanisława Augusta) stworzyli byli wyłącznie poeci miasta, natchnienie miasta, a to miasto odbijało głównie natchnienie oddanego zabawom dworu; w stronie więc swej wybitnej, oryginalnej, a odznaczonej talentem, miał on głównie za wyraz: galanteryę tylko i satyryczność (epopeje komiczne, dramata komiczne, satyry, satyryczne bajki itp.).

Początek naszego stulecia, który tchnął bojami po świecie, stworzył był też i w naszej poezyi poetów-żołnierzy; poetów śpiewających niekiedy wdzięcznie, których śpiew nie wzniósł się był jednak nigdy do utworów poezyi głębszej.

Wiek pokoju, który po wojnach nastąpił, stał się był

zrazu jakby ciszą i w kraju poezyi; był to, że tak rzec można, czas jakby spoczynku sennego, pokoju nocy, tej jednak nocy, która poprzedza gwar pieśni, mających nagle zabrzmieć wśród pól i lasów.

Gwar ten świeży rozpoczął się właśnie z owym 1822 r. Literatura nasza przed rokiem 1822 nie miała oryginalnych poetów. Niemcewicz za Stanisława Augusta, na chwilę genialny komik, w wierszu poważnej treści był tylko wierszopisem tkliwym i gładkim. Brodziński silnym był tylko w prozie, a wyjątkowy śród poezyi jego obrazek *Wiesław* był raczej echem szkół dawnych, nie twórcą nowej. Smak estetyczny śród kraju kształcił się wprawdzie i wzrastał, lecz celem kształcenia się natchnień, celem upodobań powszechnych (któremi kierują wzory, nie teorye) były głównie: piękna struktura wiersza, jego rozsądek i gładkość; berło poetów-mistrzów trzymali tylko tłumacze. Okres ten był jednak zapewne z pewnej strony postępnym nad wiek Stanisława, w miejsce epopei komicznych, dramatów komicznych, przedmiotem zamiłowania stały się były wtedy raczej epopeje bohaterskie, wyższych lotów tragedye i t. p. wiersz przekładów dochodził nieraz istotnie jakby rzeźbiarskiej piękności.

Te przedmioty i taka szata uznane właśnie zostały za szczyt piękności w poezyi, ideał do naśladowań, gdy nagle w roku owym 1822, w stronie kraju i w miejscu, z których (mimo rymotwórcze duchy Kołakowskich, Krajewskich, Ejsmontów, Bartoszewskich, poetów z XVI. wieku i innych) właściwie mówiąc, nie ukazywały się nigdy i nie nadlatały kwiaty poezyi, wyszedł zbiorek, który równie wewnętrznie jak i zewnętrznie ukazał się w zupełnym kontraście z modą spółczesną, a losem którego jednak było: sprawić okres na polu, na które przyszedł.

Zbiorkiem tym były dwa małe tomiki poezyj *Adama Mickiewicza*.

Jeżeli prawdą to jest, iż nieraz trzeba lat długich, nieraz aż śmierci poety, iżby ten był ocenionym, uznanym,

to jednak los Mickiewicza sprawdził też, iż podobne następstwo koniecznością wcale nie bywa, iż owszem zdarzają się równie i wprost przeciwne wyjątki. Obdarzony on talentem twórczym, gwałtownie twórczym, lubo jak w owym utworze pierwszym, tak i w tych, które następnie wydawał, nie umiał być wcale hołdownikiem mody, czyimkolwiekbądź naśladowcą, i nawet sam swoim — lubo każdy nowy krok jego krokiem był zawsze z gruntu nowym, od poprzedniego odmiennym — mimo to jednak nie tylko użalić się nigdy nie mógł, iżby zrozumianym nie został, ale owszem, za każdym z tych kroków spotykał go tłum wielbicieli, chór naśladowców; za każdym, jak ów pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia[1] o Warszawie, mógł rzec o pokoleniach słuchaczy: »nie ja do miasta, ale miasto przyszło do mnie«. Taki miał los ostatni jego poemat, wydany w roku 1834, taki i jego ów pierwszy zbiorek.

Cóż było praktycznem źródłem podobnych skutków i jakie były wewnętrzne i zewnętrzne cechy tego poety?

Zawód Adama Mickiewicza jest już skończony, i owszem w miarę tego zwiększonego ruchu, jakim dzisiaj świat bieży, rzec można, iż przeszła już po nim potomność, nie jedna potomność, i możemy go już oceniać bezstronnie.

Mickiewicz w historyach naszej literatury jeszcze za życia nazywanym był nie tylko twórcą nowego okresu w dziejach naszej poezyi, lecz nowego okresu literatury, i słusznie; istotnie bowiem jego utwory stawały się nieraz źródłem natchnień nie tylko dla naszych pisarzy wiersza, ale i prozy; lubo jednak pisał i sam równie mową wiązaną jak niewiązaną, i owszem dłuższą nawet część swego piśmiennego zawodu pisał wyłącznie prozą, dar ten jednak, którym celował głównie, dar, który był jego właściwością i odznaczeniem głównem, był dar poezyi; wkraczał on w pismach swych prozą już na pola historyi, już krytyki,

[1] [Gerard Maurycy Witowski, feljetonista »Gazety Warszawskiej« 1816—1820 r.].

już teologii, w każdej z gałęzi tych rzucał myśli świeże i świetne, właściwie jednak był on tylko historykiem-poetą, krytykiem-poetą, teologiem-poetą, to jest wyłącznie, a przynajmniej głównie poetą.

Przemagającym charakterem we wszystkich pismach Mickiewicza była więc fantazya, a w utworach, które należały wyłącznie do pola fantazyi, czyli w poezyi, przemagającym pierwiastkiem było: idealizowanie głównie *wewnętrza* swego, czyli *subjektywność*. Mickiewicz podobnie jak Byron o czemkolwiek chciał śpiewać, we wszystkiem, co poetycznie tworzył, kreślił głównie uczucia swe własne, swe pasye własne; dlatego też lubo pisał i historyczne powieści i dramata, właściwie nie był on ani historycznym poetą, ani pisarzem dramatów; jego poemata historyczne o tyle były poemata, o ile przedstawiały treść nie dziejów, ale duszy poety, jego dramata błyszczały tylko monologiem, nie dyalogiem.

Poezyj Mickiewicza, tak jak Byrona, główną podstawą, mówimy, była subjektywność, ale pośpieszmy dodać, iż treść i rodzaj tych dwóch subjektywności były z sobą wprost różne. Jeżeli pierwiastkiem głównym uczuć i kreśleń Byrona były: sarkazm, egoizm, dzikość, nienawiść świata; Mickiewicz ile razy w swym wierszu zbaczał na pole podobne i przechodził w sarkazm, nienawiść, przechodził w prozę; żywiołem i pierwiastkiem subjektywności jego była przeciwnie *miłość*. Żywioł ten był właściwie źródłem, kolorem i słowem pierwiastkiem głównym wszystkich jego poezyj i wogóle wszystkich głównych pism jego. Przedstawił on i rozwijał różne jej zwroty i stopnie od jednostkowej do ogólnej ludzkiej. Pierwsza była początkiem, ta więc odznaczyła przeważnie i nawet odznaczyła wyłącznie treść i ogólny charakter jego pierwszego zbiorku.

Mickiewicz, kiedy pisał swe pierwsze poezye, był pod jej silnym wpływem; ona pierwsza popchnęła go była do poezyi, to jest do rzeczywistej poezyi, i ją stworzyła. Dobra gwiazda tego poety tak chciała, iżby przy pierwszym

podroście fantazyi młodej, poznał piękność i tę ukochał całą siłą uczucia; i dobra ta gwiazda jego (mówimy tu bez wszelkiej ironii) tak chciała, iżby piękność ta poślubiła wkrótce innego. Wzajemność mogła obudzić przesyt, i poeta pisał już *Świteziankę*, na przestrogę drugim i sobie; zdrada i zawód obudziły w nim i wydały były przeciwnie: żal, zawiść, rozpacz, dumę, chęć sławy, i słowem dwa całe tomiki poezyj, gdzie wszystko prawie od początku do końca pod różną nazwą, w ramach różnego przedmiotu oddycha jedną miłością, i jest jakby epopeją miłości, miłości jednostkowej i idealnej. Tomiki te mieściły wprawdzie i historyczną powieść z dawnych dziejów litewskich, *Grażynę*, ale w powieści tej ani z obyczajów, zwyczajów, religii, ani z nuty i słów wcale nie było widać dawnej historyczności litewskiej; mogła ona równie była ujść za staroburgundzką jak starolitewską[1] i poemat ten nie budził nawet innego spółczucia jak dla bohaterki poematu.

Miłość była charakterem ogólnym poezyj zbiorku, pierwiastek ten (to jest miłość serc obcych) był też źródłem i użytych w nich form i samej dykcyi. Formą poezyi Mickiewicza nigdy prawie nie były *samolubne* formy elegii, żalów, lub oderwane liryki, ody, pieśni i t. p.; ale formą tą było: przemawianie do uczuć ludzkich widokiem serc ludzkich, kreślenie swych uczuć, pasyj przez usta postaci obcych, w obrazach powieści, formą, słowem, była subjektywność epiczna.

Tenże żywioł był twórcą i nowej dykcyi; wiersz autora nie był to szereg słów górnych, rytmów gładko strzyżonych i t. p., jak tego wymagała moda spółczesna, ale wiersz jego złożyły tu, jak i następnie zawsze składały, słowa mowy potocznej, składni potocznej, rytm rozmaity, swobodny, język, słowem, nie chłodnego namysłu, lecz serca, a poetyczność któremu nadawały tylko uczucie i obraz.

Treść więc, słowem, pierwszego zbiorku poezyj Mickie-

[1] Koloryt dawnej Litwy ukazało nam dopiero *Anafielas*.

wicza prawie wyłącznie była erotyczną, złożyły ją mianowicie nieznane przedtem poezyi polskiej *ballady, romanse*, najobszerniej zaś utwór szczególnego pomysłu, szczególnych ram, który nigdzie w poezyi nie miał dla siebie wzoru, a który tu uosobieniem był głównem przewodniego uczucia autora — poema *Dziady*.

Cóż to jest ten jeden z głównych utworów autora, to poema *Dziady?*

Serce istotnych poetów we wszystkich wiekach i krajach zwykle jest religijnem, kraj fantazyi unosi do wszechcałości, do świata *ducha;* tem więcej więc musiało takiem być to, którego pierwiastkiem głównym był nie egoizm (jak u Byrona, który też od tej ogólnej reguły był wyjątkiem), lecz miłość. Mickiewicz był religijnym, czuł to przynajmniej, że nim być powinien; ukształcony nadto nauką umysł poety czuł i to także, iż aby wydany utwór miał ogólniejsze i wyższe znaczenie niż obraz pojedyńczej słabości, winien był mieć ogólniejsze ramy, cel jakiś żywotności ogólnej, i to wydało *Dziady*. Na Litwie i Rusi, gdzie autor pisał, u ludu wszelkiego obrządku jest zwyczaj, iż jesienią po *Dniu Zaduszuym* obchodzą po chatach *Dziady*, t. j. uczty wieczorne, którym towarzyszą śpiewy i modły za zmarłych w tych chatach przodków. Modły za zmarłych są to modły za dusze, czasowe potępienie cierpiące; autor więc, który swój utwór chciał widzieć raczej dydaktycznym niż erotycznym, przedsięwziął w nim skreślić obraz tych ludzkich słabości lub przestępstw, które się sprzeciwiają bezpośredniemu następstwu nagrody wiecznej, a pociągają karę. Wieńcem tych obrazów słabości miało być, stosownie do ówczesnego stanu duszy autora, potępienie za miłość nieprawą i dlatego to obraz ten miał stanowić zakończenie poematu, czyli jego część IV., i część ta wykończoną i umieszczoną tu została nawet przed I. Przypominamy tu dwoma słowy jej treść: Młody Gustaw [1], który

[1] *Gustaw* było to imię bohatera głośnego podówczas romansu pani Krüdener: *Walerya*, w którym ten życie sobie z miłości odbiera. Pierw-

na widok przedmiotu swojej miłości, ślubującego drugiemu, życie sobie odjął, z grzechem na sumieniu morderstwa siebie i pocałunku obcej narzeczonej, skazanym został na błądzenie po śmierci i powtarzanie co rok męczarni ostatnich uczuć i czynu, którym je mniemał zakończyć. Potrzebował on ratunku i modłów; w dzień *Dziadów* wstępuje więc do domu księdza, który zakazywał obrządku Dziadów i kreśli mu swe cierpienia. Kreślenie to, które opowiada przebieg, zwroty, odcienie przeżytej idealnej miłości, kreślenie, któremu towarzyszy stan kreślącego wpół przytomny, wpół obłąkany, tak odpowiedni uczuciu kreślonemu — kreślenie to dało tu arcydziełko w rodzaju swoim — a arcydziełko śmiało to dodać można nie tylko śród poezyi krajowej, lecz i ogólnej. W historyi poezyi ogólnej trzy mianowicie utwory uważają się za arcydzieła kreśleń miłości: Enejdy księga IV., Romeo i Julia Szekspira i Sonety Petrarki; za czwarty, a poprzednie prześcigający, liczyć można tę IV. część *Dziadów*. Wirgiliusz i Szekspir dali tylko kreślenia miłości materyalnej, namiętnej; liryka idealna Petrarki słabnie znowu przed erotyczną dramatycznością *Dziadów*.

Mickiewicz kiedy kreślił tego utworu szczegóły główne, nie myślał zapewne ani o tem, co poetycznie tworzy, ani o sądzie świata; miał przed sobą jedno tylko silne uczucie, o jedno mu szło tylko przyznanie, i to jedno stało się właśnie źródłem zupełnej oryginalności utworu, jego wziętości i skutków, o jakich nie myślał. Tak właśnie przed trzema wiekami Jan Kochanowski, nie myśląc o sławie światowej, porzuciwszy i język uczony i wzniosłe przedmioty (Liryki), a pragnąc tylko koić swą żałość, zaczął był śpiewać mową domową i na nutę domową, uczucie nader powszednie, każdemu z kmiotków znane: żałość ojcowską; przy każdem wskrzeszeniu uczucia zapisywał tren nowy, i napisał w ten sposób ów swój arcy-utworek (*Treny*).

-szy wiersz. IV-ej części Dziadów zaczyna się właśnie od obrazu *Dzie-* [illegible] ten romans, aż do zgaśnienia świecy.

który stał się wyjątkowym utworkiem śród ówczesnej poezyi własnej i obcej, i który następnie przez całe lat 200 wszyscy prawie główni poeci kraju usiłowali naśladować i usiłowali napróżno.

Nad utworem tym Mickiewicza zatrzymaliśmy się tu przydłużej, a nawet najdłużej, nie jako nad najwznioślejszym z jego utworów, lecz jako nad tym, który zdolnym był sprawić okres w poezyi domowej, stał się jednym z kamyków świetnych w ogólnej, i który wreszcie odbiciem był tego stopnia i tego rodzaju uczucia miłości, który Mickiewicz najżywiej i najwykończeniej był wyśpiewał.

Uczucie to jednostkowej miłości podniósł następnie Mickiewicz w dalszych utworach do obszerniejszej, plemiennej: rzucał jej liczne rysy i silne rysy (z prozy, widzieć niektóre miejsca kursu literatury *słowiańskiej*), lecz, jak uważaliśmy już, nigdy się nie stał właściwie poetą historycznym. Jego »Konrad Wallenrod« mniej jeszcze przedstawieniem był Litwy dawnej, niż poprzednia »Grażyna«; tu, jak w »Dziadach«, główny urok powieści, jak się już rzekło wyżej, dały sceny z duszy poety. Ogłoszona następnie nowa część głównego poematu w zbiorku, bohaterem której uczynił już nie potępieńca, albo ofiarę miłości indywidualnej, ale plemiennej, dała nam całość, która sprawdziła, iż klasyczny Horacyusz miał pewną racyę, kiedy powiedział, iż »poezya iść powinna z ukołysanych już uczuć«. Całość ta, która napisaną była na przełomie fantazyi autora z jej szczytu ku pochylaniu się, odbija i najwyższe jej podniesienia i jej upadki. W miejscach czystej miłości i religijnych uczuć są cechy pierwsze (dosyć tu wspomnieć na zaczynający poemat ów głos *anielski*, który opłakując przewidywane upadki lubego mu dziecka, dał nam lirykę pierwszej poetycznej piękności wewnętrznie i zewnętrznie), lecz tam, gdzie natchnienie poety, zamiast z miłości, wychodziło z uczuć silnie odmiennych, tam zrodziło, lub przy podniesieniu myśli do niebios, sceny sarkań i wyzywań

bluźnierczych Stwórcy [1], lub przy zstąpieniu na ziemię: paszkwil lub prozę [2].

Kiedy Mickiewicz pisał ostatni swój i najdłuższy poetyczny utwór *Pan Tadeusz*, jego *młodzieńcza* fantazya i epoka najwyższego jej wzlotu były już przy swym końcu. Stąd też utwór ten równie wewnętrznie jak i zewnętrznie nader odmienny jest od wszystkich jego poprzednich. Subjektywność, która tak silnie wszystkie je odznaczała, znikła tu prawie i sama dykcya zewnętrzna, czyli wiersz gładki, uczuciowy, roztropny, nieraz dowcipny, lecz bez tej wyższej, która była tajemnicą autora, sztuki, w porównaniu z dawnymi jego, mógł się już tylko nazwać prozą rymowaną. Ten upadek *fantazyi* nie był jednak bynajmniej upadkiem *umysłu* autora, jego twórczości. Co tu ubyło z liryki, zastąpionem zostało obficie pędzlem przedmiotowości. Zakochany we wspomnieniach z lat młodych, autor mógł tu przesadzić w uczuciu swej domowej miłości, gdy kreśląc kłótnie, zajazdy i liczne charaktery ujemne, nadawszy nawet poematowi napis: »ostatni zajazd«, w wezwaniu do strony rodzinnej wyraził, iż ma kreślić »piękność jej w całej ozdobie« [3]; wszakże nie można zaprzeczyć, iż w tych obrazkach swych skreślił tak dobitnie i trafnie najrozmaitsze charaktery miejscowe, sytuacye czasowe, tak wszechstronnie, malownie szczegóły miejscowej natury, iż dziwić się nie można, iż i ta jego kompozycya stała się kompozycyą-wzorem, i śród krajowej poezyi równie w wierszu,

[1] *Witwicki* dowcipnie uważa, iż na wyrażone tu owo wyzywanie Stwórcy o wyższość, »spróbujmy się na rozumy«, Bóg raczył jakby odpowiedzieć poecie; niebawem bowiem wysłał doń Towiańskiego, a rozum poety i przed tym się ukorzył.

[2] *Słowacki* za umieszczony tu obraz jego ojczyma *(Doktor)* chciał żądać ręcznego zadość uczynienia od autora (list jego ówczesny do matki u Małeckiego).

[3] W pięknym przekładzie na język rosyjski tego poematu (przez Mikołaja Berga) znajdujemy wyrażenie to pominięte lub raczej trafnie zamienione, co jednak nie sprawia bynajmniej ujmy dla poematu.

jak w prozie wydała całą gałąź utworów oryginalnych: *Gawęd. Opowiadań*[1] i t. p.

Po napisaniu »Pana Tadeusza« twórczość umysłu Mickiewicza co do szaty swej przeszła w prozę stanowczo. Mickiewicz pisał i ogłaszał swe pisma jeszcze przez lat 20; w pismach tych był historykiem, krytykiem, teologiem, w każdem z nich ciskał nieraz rzuty myśli genialnej, był niezawisłym w sądzie, był wszędzie sobą, przemagającym nawet pierwiastkiem w nich, jak to już uważaliśmy, był żywioł poetyczny, ale do właściwej poezyi więcej nie wrócił.

Wogóle zaś głównym, ostatnim, rzec można, i zarazem najoryginalniejszym wypadkiem, owocem tej żywej fantazyi, tej wzniosłej myśli i tego kochającego serca było: podniesienie tego pierwiastku-miłości, który go kiedyś pierwszy był natchnął, do nowej trzeciej potęgi. Pierwiastek ten tkwił w nim za żywo i za obszernie, iżby zaspokojonym się widział przy zwrocie do jednej duszy, jednego zaścianka, kraju: miłość tę podniósł autor do miłości ludzkości całej. Uwierzył on, opowiadał i przepowiadał przyjście dla całej ludzkości wieku nowego, epoki z gruntu nowej, śród której wszelka nienawiść i gniewy ustaną, boje plemion i krajów znikną, a zamieszkają i zakwitną śród wszystkich — pokój i zgoda.

Wieku tego autor w żadnym rymowym utworze swym

[1] Za surowo, ale z trafnem uczuciem tego, w czem leżało przemaganie poezyi w *P. Tadeuszu*, wyraził się sam autor. W jednym z listów jego, pisanych z Paryża w r. 1834 w lutym do A. E. O., znajdujemy między innemi takie wyrazy: »Wczoraj skończyłem Tadeusza. Pieśni ogromnych 12. Wiele mierności, wiele też dobrego. Co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone naszego kraju i naszych obyczajów domowych«; w tymże też liście dodawał: »Duch poetycki zrywa mnie gdzieindziej. z *Dziadów* chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania«. To natchnienie i taka chęć były już jednak oczywiście tylko chwilową ułudą; po roku bowiem 1833 nie otrzymaliśmy już żadnego dopełnienia Dziadów. Znaleziona i ogłoszona część I. Dziadów nosi nader wyraźnie cechę tej żywej i tej odrębnej fantazyi pierwotnej poety, która przypadała na czas jego pierwszego zbiorku.

nie wyśpiewał, lecz w innych przepowiadał dobitnie i, jak to było z każdym jego pomysłem, stworzył szkołę wyznawców i naśladowców. Znaleźli się oni i ukazali nie tylko na polu poezyi, lecz też na polu filozofii, ekonomii, kreślenia dziejów (nie tylko nawet, wtrąćmy, wśród kraju autora), zaś w gałęzi, o której tu głównie mówimy, śród której właściwie się zrodził, w krajowej poezyi, pochwycił go i rozwijał tłum śpiewaków natchnionych, poetów-wieszczów, którzy jako nie mający gdzieindziej wzoru podobnych śpiewów, z treści i z formy z gruntu oryginalną gałąź w poezyi wydali. Wspomnijmy tu szczegółowiej o dwóch przynajmniej głównych, którzy równie wprawdzie, jak i sam mistrz, żywot swój i śpiew młodo skończyli, ale cały ten swój żywot śpiewowi, i śpiewowi tylko wyłącznie, poświęcili. Mówimy to o autorze *Irydyona*[1] i *J. Słowackim.*

Ideał ów, do którego natchnieniem był doszedł i który przepowiadał Mickiewicz, był zapewne zbyt odskakującym od współczesności i oczekiwanym tylko mógł być w odległej i nader odległej przyszłości; śpiewacy owego wieku tymczasem nie mogli się całkiem odjąć od spółczesnego, od uczucia losów swych jednostkowych i t. p. i nuta pieśni ich nieraz przyoblekała się w gorzkość, w barwę, w wielkim kontraście ze śpiewanym ideałem będącą; gdy jednak nie nienawiść lub zawiść, a tylko miłość żywotnem może być ziarnem na wszelkich polach, mówiąc więc o poezyi tylko wyższej, rzetelnej, nie dotykamy tu prawie owych odbić kontrastu.

Autor Irydyona w rozmaitych kształtach i zwrotach, już słowami wiersza już prozy, w formach już powieści, już dramatów, już (co najczęściej) w nowych i sobie właściwych krojach liryki, opowiadał, stosował, rozwijał i w tysiączne odcienie roztaczał pomysły mistrza, ową wróżbę i owe mające przyjść rysy nowego wieku; był on, rzec

[1] Autor *Irydyona* i innych na żadnem z swych pism nie wyrażał swego nazwiska.

można, jakby śpiewakiem nowej Apokalipsy na tle nowej zapowiedzianej »Nowiny dobrej«. Silną stroną jego talentu była nie tyle poezya słowa, ile poezya myśli; siłę tę wyraził na wszystkich polach, których dotykał; zaś arcydziełkiem jego na polu, o którem tu głównie mówimy (i zarazem być może jego ogólnem) jest liryka rytmem śpiewana, a mająca wyłącznie za przedmiot nadzieję i rysy główne owego przyszłego wieku; treść której nie nazwał jednak ani słońcem, ani nawet porankiem nowego okresu, ale dopiero *Brzaskiem* [»Przedświtem«].

Liryka autora tego poematu jak we wszystkich jego utworach wogóle, tak mianowicie w tym szczególe, wiele ma cech podobieństwa do pieśni proroków hebrajskich: tenże nieraz pewien zamęt w obrazach, wołaniach, tenże kolor wyłącznie liryczny; ten także obok słów żalu, nadziei, brak zwykle wszelkich słów gniewu, obelg, zawiści osobistych i t. p. Piękna dusza tego poety, jakkolwiek wyrażająca niekiedy odbicia i wrażenia uczuć czasowych, unosiła się jednak najczęściej i przebywała z wielką przewagą w owym wyłącznie marzonym wieku i stąd znajdowała się nieraz w sporze ze spółczesnymi. Autor uwierzył był wprawdzie silnie w istnienie społeczności przewodniej ku owemu wiekowi, w pewien społeczności wzór (i oznaczał ją nazwiskami: Anioł, Archanioł, Święta i t. p.), który się miał objawić, i tem się nie różnił od szkoły, ale się różnił tem, iż kiedy inni wskazując na rozwicie dziejowe, poklaskiwali w nich wszelkim krokom gwałtu i krwi, takim np., jakie się objawiły były we Francyi przy końcu wieku zeszłego, poeta śpiewał głośno w swych *Pieśniach* [»Psalmach przyszłości«], iż człowiek, który był powstał tam z końcem zeszłego stulecia, nie był to jeszcze wcale »*człowiek* swobodny«, ale »*zwierzę* swobody«, i ostrzegając swój ideał przewodni od zwrotu do kroków podobnych, nie wahał się wołać np. w jednej z swych *Trzech Pieśni* [»Psalmów«]:

Strzeż się złudzeń, o ma Święta,
A otacza cię ich wiele:
Wszystkie świata chcą zwierzęta
W zwierzę zmienić cię, Aniele!

Dlatego też w owym poemacie *(Brzask)*, lubo w nim śpiewał głównie wiek ów przyszły, wiek oddalony, przy zwrocie do obecnego żądał w nim także życia głównie duchową treścią, zadawalania się ideałem, poezyą nową.

»Patrz (mówi tu do duchowej siostry, do Beatrycy nowej, której poświęcał poemat), patrz na tę nową arfę nowego składu, nowych rozmiarów; jej struny z błękitu i światła, ich drganie to dźwięk w nieskończoność; jej szrubami słońce i gwiazdy: harfa to samych uczuć, miłości i ideałów«.

Po tych strunach *Duch* przelata,
Na tych strunach Duch przegrywa,
I w tej pieśni Duch spoczywa,
Ta pieśń: *zgodą, ciszą świata.*
Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo: jeden kraj.

Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu:
Daj mi teraz marzyć, daj.
Wszystko ludzkie znika, ginie,
Prysła ziemskich chwil zawiłość;
Myśl już pląsa w tej krainie,
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość.

To obecność — zwrot zaś w poemacie do jego celu głównego, do owego wieku przyszłości, tak brzmi między innemi:

I widziałem Archanioła *(ów ideał przewodni)*
Postać w bieli i purpurze.

W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone duchów grona;
Już nie mogą w dole zostać.

Już się wzięły pod ramiona,
Pojednane, połączone,
Wzbić się muszą tam, gdzie ona.

. . . . . .

I ujrzałem *wszechświat cały*,
Jak myśl jedną, która płonie
Skier milionem w jednem łonie.
Ach! widziałem bożej chwały
Wszechprzytomny kształt bez końca,
Komet, planet wiry, kręgi,
Nad wstęgami gwiazd, gwiazd wstęgi,
Nad słońcami jeszcze słońca.
Wszędzie światów tak jak kwiatów
W lazurowym tym ogrojcu;
I przez świata oceany
Jeden życia dźwięk rozlany:
Pieśń wszechgrzmiąca, wszechjedyna
Niebieskiego świata Syna,
O Niebieskim Bogu Ojcu.

Słowacki zrazu był przyjacielem autora Irydyona, podobny mu z upodobania w poezyi, z oddawania się wyłącznie poezyi, był z nim jednak wielkim kontrastem w nucie swych pieśni. Jeżeli w gruncie serca śpiewaka *brzasku*, tkwiła miłość dla samych swych nieprzyjaciół, Słowackiego serce i śpiewy gorzały, można rzec, nienawiścią dla samych przyjaciół. Obdarzony siłą ironii, chwytał za nią co chwila, śmiał się z wszystkich, z wszystkiego; i w jednym z poematów swoich, półpsychicznym, półhistorycznym, w którym skądinąd najwięcej może rozsypał kwiatów i myśli i słowa *(Beniowski)*, oraz w niejednym dramacie, zdaje się, iż wziął był za temat wszystko, co czcili ci przyjaciele, co kraj: osoby, czyny, wypadki śpiewać na nutę szyderstwa, okrywać szyderstwem. Dotknięty w owych *Trzech pieśniach* jakiemś słowem autora ich, może właśnie ustępem, na który wskazaliśmy, jako zwróconym do partyi, której sprzyjał więcej, napisał do tegoż autora wiersz, który w czasie swym nader był głośnym (lubo może z powodów

ujemnych), a w którym pożegnał przyjaźń i na nutę zupełnie odmiennych zasad zaśpiewał [1].

Ta niezgodność nie trwała jednak długo. Słowacki, którego historya pieśni w trzech różnych rozwiązała się dobach, w ostatniej zbliżył się wiele, może nawet zupełnie do zasad, przeciw którym wychodził, i przyjaźń z autorem *Psalmów* znowu wróciła.

Pozostanie to zagadką na zawsze, w czem tkwiła ta skryta moc i ten pociąg, któremi (w czasie, o którym mówimy) autor *Biesiady*, autor tak niewielkich zdolności piśmiennych i przynoszący naukę duchową tak mało nową, zdołał był, począwszy od mistrza, tyle umysłów tak wysokich zalet, takiej różności zasad, a serc tyle dumnych, olśnić, zadziwić, podbić, i jedną ich wspólną nauką duchową na czas jakiś zjednoczyć. Był to fakt jednak, a w liczbie tych umysłów złączonych znalazł się i Słowacki. Zstąpił on z tronu pychy z innymi, uderzył przed nowym mistrzem czołem, i od zwrotów do materyalizmu i ironii przeszedł w ekstazę.

Słowacki w pierwszym okresie swych natchnień (do wydania początku *trylogii* [Kordyana]) dawał wprawdzie utwory ram dłuższych o wierszu paradnym, ale treści zimnej, naśladowanej. Od trylogii i Balladyny dał szereg utworów oryginalnych i poetycznych, które jednak nazbyt właśnie odznaczał ów sarkazm lub materyalizm — w ostatnim zaś tym zwrocie obok bogactwa słowa, poezyi słowa, odznaczył też treść ich wewnętrzną dogmatyzm duchowy.

---

[1] W wierszu tym (»do autora trzech Psalmów«), zaczynającym się od słów:

Według ciebie, mój szlachcicu!

poeta zarzucał między innemi ich autorowi, iż siedząc przy ciepłym kominku, wszystkich miał za podobnie siedzących, że zbyt szafował porównaniami, branemi z Mickiewicza.

I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem i t. p.

Słowacki zostawił wiele powieści i wiele dramatów, należących do każdej z tych epok, a jakkolwiek, jak Byron w żadnym z nich nie dał ani arcydzieła powieści, ani arcydzieła dramatu; to jednak przyczyną tego nie była jak u Byrona wyłączna subjektywność, ale przeciwnie zbytnie oddawanie się szczegółom objektywnym z zapominaniem na mechanizm utworów.

Słowacki nie dał nam ani genialnych powieści, ani genialnych dramatów; dał jednak genialne ustępy powieści i genialne sceny w dramatach.

Tu dosyć będzie wspomnieć na ostatni z tych zwrotów, jako głównie oryginalny i będący ostatnim kwiatem myśli i fantazyi autora. Do okresu tego należą mianowicie z dramatów: *Sen srebrny Salomei* i *Wieszcz-kapłan* [Ksiądz Marek], z powieści: *Król-duch*.

Owo unoszenie się w wiek przyszły, wiek ów pokoju ducha, miłości w duchu, — wiara w jego nadejście, stały tu się, widzimy, uznaniem także natchnionem szydercy-materyalisty. Wyrażała się ta treść natchnienia w różnych odcieniach i zwrotach, a nieraz i bezpośredniem, jawnem była wyznaniem.

Ów *Wieszcz-kapłan* np., który poprzednio w »Beniowskim« kreślony był na nutę ironii, w dramacie z tego okresu przedstawiony jako rzetelnie natchniony, i w swych lirycznych wołaniach, czyniąc alluzyą do owego przyszłego wieku, tak się np. wyraża:

. . . bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki,
Bogu i ziemi na chwałę
Poczęło się *dziecko małe* (owa idea)
Które będzie żyło wieki.
Kto jest ono (dodaje), nie powiem,
Ale że tu jest to dziećcię,
To wiedzą nawet ptaszęta
Świergocące na błękicie.

O tem wie i on, jako prorok, i tak określa się (terminami swej szkoły duchowej):

Bo zaprawdę jestem w lidze
Z duchami i ze świętemi;
A chociaż nizki na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją,
I kończą się gdzieś w bezkońcach,
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, meteorach, słońcach,
Za słońcami, w słońcu Ducha.

Arcydziełem Słowackiego z tej epoki jest jego poemat szczególnie bogaty i w myśl i w obrazy, jakkolwiek w swym skutku chłodny, jako z serca niegdyś egoisty idący. Za bohatera poematu tego obrany został przez autora Duch-duchów, Duch-rządca ludzi i dziejów, czyli *Król-Duch*. Ten Król-Duch, jak się okazuje w końcu, to *Duch miłości;* wszakże nie przemówił z pozoru słowami miłości; rozumiejąc sam siebie, nie troszczył się, aby być zrozumianym od innych i oblekł się w obrazy i słowa szczególnej ciemności. Czyli to było skutkiem tego powodu, że spółcześnie ze śpiewem tych naszych poetów, o których mówimy, na pierwszy plan wystąpiły były w kraju i po świecie nauki spekulacyjne i odtrąciły były utwory fantazyi na drugi plan, czyli iż mieliśmy poetów żadnym innym zawodem niezajętych, a oddających się, rzec można, po dniach i nocach poetycznemu rozmyślaniu, czyli z obu tych przyczyn razem, lub z jakiej trzeciej, dosyć, iż było to faktem, że mieliśmy w owym czasie całą szkołę poetów ciemno-piszących. Do takich należał między innymi, nie w jednym swym utworze wierszem i prozą i autor Trzech Psalmów, a jakby kwiatem maniery tej błysnął właśnie w owym poemacie swoim Słowacki.

Czy ciemność ta była skutkiem bezloiczności, pomieszanych władz umysłowych, czy tylko jakiejś loiczności odrębnej?

Ciemność myśli zdarza się i zdarza się nieraz na polu spekulacyjnem, począwszy od Platona do pism filozofów niemieckich z ostatniej epoki; jeśli bowiem myślący

filozof, oddany rozbiorowi, rozwadze prawd umysłowych, przechodzi w procederze swej myśli od pojęć do pojęć, od wniosków do wniosków i dochodząc do pewnego wypadku, kreśli tylko wypadek bez objaśnienia owego procederu: frazes albo frazesy, które wtedy wyraża, mogą być bardzo jasne dla jego własnego pojęcia, ale dla czytelnika muszą być bardzo ciemne; stają się owszem wkrótce takimi i dla samego autora, i wiadoma jest powieść z życia Kanta, który na zapytanie, co znaczy jeden z jego frazesów w któremś z pism jego, po odczytaniu miał odrzec szczerze, iż należało go o to zapytywać w kilka dni po wydaniu. Skutek taki, który się nieraz zdarzał śród sfery dociekań, zdarzał się właśnie śród sfery poezyi i w utworach poetów naszych; oddani oni wyłącznie tworzeniu obrazów, przechodząc w procederze swojej fantazyi z obrazu do obrazu, od myśli do myśli, i w końcu bez objaśnienia tej drogi, czyli tych obrazów i myśli poprzednich, kreśląc tylko wypadki, tworzyli wyrażenia, strofy i poemata całe, tak zawikłanej całości i szczegółów, iż niejednokrotnie, jak szczegóły, tak nawet i sama całość, zaledwo nie przez samych tylko autorów rozumiane być mogły. Wypadkiem takiego skutku, takiego procederu był też właśnie *Król-Duch*. Iż poemat ten nie był tylko fantastyczną zabawką myśli i na żart z czytelników kreśloną łamigłówką, dowodem tego jest stosunkowa loiczność strof pojedyńczych i dowodem jest mianowicie ta okoliczność, iż mimo nader zimne przyjęcie ogłoszonych ustępów tego poematu, autor jednak całą prawie resztę swojego życia poświęcił na ich prowadzenie dalsze (jak widzieć to można z ogłoszonego po śmierci autora obszernego dalszego ciągu i objaśnień wydawcy). — Stylu tego i takiej maniery pisma bynajmniej nie uwielbiamy [1] i obojętność w tym razie na zdanie czytelników,

[1] Jeden z reprezentantów tej szkoły ciemności, poeta *Cyprvan Norwid*, broniąc tej metody, czyli tego faktu w poezyi Słowackiego, wyraził zdanie: iż gdy prawda i życie są ciemne, przeto i obraz, jeżeli jest

egoizmowi chyba przypisać możemy; nie idzie jednak z tego, aby tak piszący poeta nie był poetą, iżby jego poezya nie była poezyą przez to tylko, iż rozumianą być nie może bez komentarza. *Król-Duch* we wszystkich swych szczegółach i odcieniach nie jest zapewne i dotąd nam jasny; znając wszakże zasady szkoły autora, jest on nam jasny o tyle, iż możemy rozumieć główną myśl jego, główny cel. Autor śpiewu, widzieć to można, wierzy (razem ze szkołą) w rodzaj metempsychozy, wierzy w harmonią epok, czasów, rozwojów, w istnienie pewnych podobieństw, tak w rozwiciu całości i cząstek, jakoteż tych między sobą i t. p. Król-Duch (bohater poematu) istnieć więc i wyrażać się może i musi i w jednej i w drugiej jednostce ludzkiej, mieścić go może taki wódz, taki wieszcz (do jednostek takich autor zalicza i siebie), taki rządca, jak jednostka, tak naród, tak jakaś cząstka ludzkości, okres ludzkości i t. p. Pojęcia te czynią zapewne jawny zamęt, gdy bowiem poeta mówi np. w poemacie: »ja«, nie jest łatwo odgadnąć, czyli to mówi o sobie, o kraju, o jakiejś epoce ludzkiej, o samym duchu i t. p.; gdy kreśli jakiś wypadek, wyraża uwagę, jest to zawsze prawie zagadką, o czem mówi, do kogo je odnosi? Mimo to wszystko jednak dosyć to jasne, iż jeżeli treścią poematu jest opowiadanie różnych dróg *Króla-Ducha* śród dziejów ludzkich, to znowu iż celem zarazem jest: wieszczenie i wyznawanie wieku, w którym ma na-

istotnie z prawdy i życia, musi być ciemnym. (Prawda, mówi, obejmuje życie, jest więc nie jasna, bo obejmuje rzecz ciemną, gdybym odjął prawdzie życie, odjąłbym to, co ją sprawdza, ale byłaby jasnym fałszem. *Odez. o Słowack.).* Nie zajmujemy się tu tą razą rozbiorem tej kwestyi, zwracamy tylko uwagę, iż twierdzenie to jest kontrastem z twierdzeniem tych, którzy na polu spekulacyi są zdania, iż przeciwnie prawdziwem kryteryum prawdy jest jasność, iż ci poeci, których głos powszechny uznał za poetów pierwszego rzędu, wszyscy mieli przymiot jasności, i wreszcie, że hieroglif, chociażby mieścił myśl najszczytniejszą, ma dla historyi i dla postępu myśli człowieka znaczenie żadne. Jakoż i wszystkie, widzimy, poezye Cypryana Norwida, mimo swe rzetelne zalety, z żalem dla sztuki, tenże los właśnie mają.

stąpić jego wygrana. Iż duch ten jest to duch *miłości* [1], jest duch *chrześcijaństwa*, objaśnia to najlepiej samo zakończenie tego ustępu, który autor sam jeszcze za życia był ogłosił i według którego najprędzej możemy go sądzić.

Ogłoszony ten przez autora ustęp poematu opowiada jeden z okresów dziejów Króla-ducha, a treścią pieśni są wyłącznie obrazy mordów i krwi: *Cierpienia moje* (tj. Ducha), jak wyraża autor w zaczęciu. Tak bowiem jak brylant, nim się stanie owym kosztownym brylantem, w pierwszej epoce bytu być musi kamieniem ciemnym; tak równie każda idea, każdy bieg, każdy utwór, nim wzrosną, nim się rozjaśnią, muszą pierwej przebyć swe doby ujemne; taki los jest też losem rozwoju świata: ci więc, którzy przedstawiają w tym losie swe doby, straszą czynami, ale zaletą tych czynów, iż przyśpieszają czas kwiatu, epokę lepszą.

Takim np. był wiek Popielów (który właśnie jest głównie treścią ustępu) w kraju Popielów, nim przyszedł Mieczysław, takim był cały wiek dawny, nim przyszło chrześcijaństwo i t. p.; ale zakończy to wszystko z czasem wiek ducha, królestwo ducha. Autor więc kończąc ustęp, żegna epokę krwawą, która minęła, niby (zarazem) cały wiek starożytny, ową pierwszą formę dziejową, i tak się wyraża:

Śpijże, mój *kształcie pierwszy* z ducha zdjęty!
Świecący w dali jak księżyc na nowiu,
Upiorny, za krew wylaną przeklęty!
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! .. jak na *dyamenty*,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszej natury, z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun odziane.

Lecz *ja* na tobie nogę postawiłem,
I szedłem dalej, a jużem był *Boży!*

[1] *Popiel*, bohater ogłoszonych pieśni, morderca rodu, wyraża tu między innemi:

Okropne ze mnie na wiatr wyjdą cienie,
Wszechmiłość zmyta w krwi...

(Przy wzmiance tej o chrześcijaństwie, pożycza też autor wyrażeń z proroctw chrześcijańskich).

Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem!
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg zasłon swych uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

W tak ciemne, w tak jednak oryginalne i poetyczne obrazy i słowa ubrała się była poezya nasza w okresie, o którym mówimy. Nie tylko jednak, powtórzmy, ci dwaj lub trzej poeci, o których tu obszerniej wspomnieliśmy, lecz nader jeszcze liczny zastęp talentów i szczególnych talentów, wyraził, odznaczył ten okres.

Czyniąc najogólniejszy podział i rozdzielając rodzaje tych talentów już na te, treścią fantazyi i utworów których była przeważnie przedmiotowość dziejowa, już znowu przeważnie sama fantazya, dosyć tu wspomnieć śród pierwszych na imiona i zasługi poetów takich, jakimi byli lub są (poczynając od początku okresu): *Malczewski* i jego *Marya*, poemat, który, jeżeli nie mylimy się, miał już do 30 wydań, *Goszczyński* i jego *Zamek kaniowski*, *Olizarowski* i jego *Zawerucha*, *Odyniec* i jego *Barbara*, *Kondratowicz* i jego *Dramata* i *Gawędy*, autor *Mohorta* i jego *Pachołę hetmańskie*, i wreszcie *Koźmian* (poeta opozycyi w okresie) i jego *Czarniecki* (dwa te ostatnie poemata, należące do dwóch odmiennych szkół poetycznych, tak bogate w zalety kontrastów, a najobszerniejsze w okresie, oczekują i nader zasługują na studya oddzielne).

Z odznaczonych bogactwem treści *Fantazyj*, dosyć tu będzie wspomnieć na fantazye tak szczególne z lotu i z nuty, jak autora *Ducha od stepu*, fantazye autora *Lirenki*, i wreszcie na śpiewane tak licznie i z takiem bogactwem myśli na nutę liry owych wieszczów starych, liryki wieszczki młodej, która w nich już nie tylko udział serc ludzkich oraz dzieł ludzkich (sztuki), ale i samej natury

niemej (od *kamieni* do *ogniów*, od *kwiatów* do *gwiazd*) w owem przyszłem przerodzeniu duchowem opiewała.

Tak jest bogatym ten okres, a o ilużto jeszcze poetycznych talentach i rzetelnych talentach nie wspomnieliśmy nawet [1].

Ten okres poezyi naszej jest też krokiem, jak to uważaliśmy już, i śród ogólnej.

Krok ten, co do strony zewnętrznej, jest we wniesieniu do śpiewu ludzkiego, nowego postępnego narzędzia śpiewu, języka, języka, który jest najbogatszym w różność odcieni dźwięków [2], w swobodę składni i zwrotów, — i w utworze nowych form poetycznych; co do strony wewnętrznej, w wyśpiewaniu owej idei nowej, idei *miłości wszechludzkiej* i nadziei czasów z jej treścią. Bo też i przystało było takiej poezyi, której śpiewacy wychodząc z oddzielnych i nieprzyjaznych niegdyś miejscowości dawnych, jedną mową śpiewali, iżby się stała uosobieniem i wyrażeniem głównem takiej idei.

W zakończeniu tem, wśród innych jego utworów, ogłoszoną też została i owa, tak różna od wszystkich innych treścią swoją, fantazya, o której najobszerniej tu powiedzieliśmy, a która ukazawszy się niegdyś u kresu wybujania idei głównej (miłości), fatalizm ten, czyli sądzoną kolej przebiegom idei i rzeczy ludzkich, dobitnie nam przypomniała. W fantazyi tej, lubo pomyślanej i napisanej wśród rozkwitu idei miłości, nie widać wcale (jak to widzieliśmy) ani miłości ludzkości, ani miłości plemiennej, ani

[1] Bogactwo to widne jest nawet i śród talentów chybionych, to jest takich, którym dane było spisać i pozostawić fantazye odziane tylko w treść osobistą zagadkową (odgadywanie znaczenia której jest dla czytelnika obojętnem); takiemi były np. wcale nie bez poetycznych rzutów pisane: »*Dzieje Wacława*« *Garczyńskiego*, »*Jordan*« *Sowy*, »*Lesław*« *Zmorskiego* i t. p.

[2] Wiadomo, iż narzecza słowiańskie dwakroć bogatsze są w dźwięki od romańskich i od germańskich przez możność modyfikowania dźwięków każdej spółgłoski; nasze dodaje przytem kilka sobie tylko właściwych, jak samogłoski nosowe, dźwięk wyrażany przez *dz* z odcieniami itp.

nawet jednostkowej miłości, a tylko miłość pustą i wietrzną, z nazwiska już tylko miłość; raczej nawet jakiś pośmiech z miłości. W śpiewaku tej fantazyi widać ducha poety i istotnego poety, który szedł za losami, słowami i obrazami śpiewaków okresu; lecz który widząc wokoło kontrast z ideą ich, przeszedł był do sfery ironii, i na jej nutę zaśpiewał. Ironia tem dobitniejsza była, iż śpiew jego nosił nazwisko śpiewu, który był wydał ten okres.

Taki był stosunek fantazyi *Świtezianka,* do »Świtezianki« ballady.

Takie rysy główne okresu poezyi naszej od r. 1822 do r. 1862.

I taką była w nim mianowicie owa gradacya idei głównej okresu — pierwiastku miłości; gradacya, której wybujanie główne i rozkwit (od IV-tej części *Dziadów* do *Przedświtu)* objęły właśnie były — dwie Świtezianki.

1870.

II.

PRZEGLĄD
MONOGRAFIJ HISTORYCZNO-LITERACKICH

I.

(Stanisław Orzechowski i wpływ jego na rzeczpospolitą wobec reformacyi XVI wieku. Rzecz historyczna. Napisał Ludwik Kubala Dr. filozofii. Lwów. 1870).

Stanisław Orzechowski był jednym z najobfitszych pisarzy jednego z najbogatszych okresów naszej literatury, to jest drugiej połowy XVI wieku; — był on, lubo (jak się wyrażał o sobie) *gente Ruthenus,* jednym z najpierwszych, którzy zaczęli pisać w kraju w przedmiotach poważniejszych narzeczem polskiem; jako pisarz łaciński celował on piórem tak świetnem, iż pisma jego spółcześnie stawiane były za wzory w krajach europejskich, — jako szermierz w spółczesnych krajowych kwestyach religijnych i politycznych, nie miał sobie równego pod względem siły słowa i gorliwości, i był jednym z najbardziej wpływowych na dalsze przekonania krajowe w obu tych kierunkach. Postać ta, tak znacząca i świetna, nie dziw, że nieraz już stawała się u nas przedmiotem obszerniejszych studyów; dosyć tu wspomnieć na pracę tak poważnego pisarza, jakim był Józ. Maks. Ossoliński, a który całe obszerne dwa tomy swych *Wiadomości historyczno-krytycznych* (3-ci i 4-ty) jednemu Orzechowskiemu poświęcił. Obecnie otrzymaliśmy w tym przedmiocie studyum nowe nieznanego nam dotąd pióra p. Ludwika Kubali. Jest to studyum stosunkowo nie

obszerne, ale treściwe i nie niegodne także swego przedmiotu. Aby wartość i wnioski, wyrażone w tem dziełku, stały się jaśniejsze, przypomnijmy tu najprzód czytelnikom sami, kim mianowicie był i jakim się nam przedstawił w treści pism swoich Orzechowski?

Stanisław Orzechowski (urodzony w r. 1513 w okolicach Przemyśla) był synem ziemianina herbu Oksza i córki księdza ruskiego. Ojciec jego (ojciec zarazem kilkorga dzieci) przeznaczył go był do stanu duchownego i obyczajem wieku jeszcze dla dziecka wyjednał był u przyjaciela swego, arcybiskupa Starzechowskiego, kanonię przemyską. Stan duchowny w owym czasie mógł zjednać byt dostatni i główne krajowe godności, i ojciec dla uzdatnienia syna do godnego przebycia tego zawodu wysłał go dla ukształcenia się za granicę. Kształcił się Orzechowski w Niemczech lat 5, we Włoszech 11; w Niemczech a mianowicie w Wittembergu (gdzie bawiło z nim wtedy wielu spółkrajowców, a między innymi *St. Warszewicki, Tomicki, Ostrorogowie, Górkowie*) zaprzyjaźniony z Marcinem Lutrem, Melanchtonem i innymi reformatorami wieku, nabył od nich zamiłowania w kartach Pisma Ś., niezawisłości w sądzie, energii w słowie; we Włoszech (bawiąc po kolei w Wenecyi, Bononii, Padwie i w Rzymie) znajomości literatury klasycznej i wprawy w świetne władanie językiem Rzymian. Wróciwszy do kraju, stosownie do woli ojca przyjął święcenie i objął kanonię. Ale obok zdatności i bogactw duchowych, odziedziczył był Orzechowski w równie silnym stopniu i pasye zmysłowe; począł więc naprzód gorszyć otwartem rozpustnem życiem i wnet występować słowem i pismem przeciw wymaganemu w kościele łacińskim bezżeństwu księży. Strofowany przez właściwego biskupa (Dziaduski) i następnie powoływany przed sąd, przybył w r. 1550 na sejm w Piotrkowie i tu przedstawił wniosek o udzielenie ogólnego dozwolenia w kraju żenienia się księżom; — wniosek ten został bez skutku, w roku przeto następnym (to jest w 8 od wyświęcenia a 38 życia) złożył godności duchowne i poślu-

biwszy szlachciankę, Magdalenę Chełmską, osiadł w ojczystej wiosce, Żurawicach. Za postępek ten biskup Dziaduski rzucił nań klątwę i małżeństwo za nieważne obwołał; Orzechowski od decyzyi tej odwołał się do prymasa (Dzierżgowski), ale bez skutku, sprawę swoją wniósł więc na sejm, sejm zaś (do składu którego wchodzili i dygnitarze duchowni), dopuściwszy go do złożenia wyznania wiary, po wysłuchaniu tegoż klątwę cofnął, wyrzeczenie co do małżeństwa zawiesił na rok, pozwalając mu przez ten czas wystarania się potwierdzenia małżeństwa u stolicy apostolskiej. Potwierdzenia tego, mimo wymowne traktaty i listy do papieży, nie otrzymał Orzechowski ani w ciągu roku, ani nigdy potem; jakkolwiek bowiem celibat księży w kościele katolickim dogmatem nie jest (czego jawnym dowodem jest dozwolone w nim posiadanie żon kapłanom w obrządkach wschodnich), ale obok dyscypliny obowiązkowej zachodniej dogmatem było zawsze, iż śluby małżeńskie nie mogą być czynione po złożonym ślubie czystości lub wyświęceniu; tłumaczenie się przeto Orzechowskiego, iż arcybiskup Starzechowski nie wymagał od niego ślubu czystości przy wyświęcaniu, nie było uwzględnionem. Wszakże Orzechowski w trakcie tej sprawy nie tylko był zajęty obroną własną, ale też walczył gorliwie i silnie w obronie kościoła katolickiego, przeciw coraz liczniejszym i coraz czynniejszym w kraju różnowiercom; jego walki uczone i walki wymowne kazały go oszczędzać, stolica apostolska w rzeczy apelacyi Orzechowskiego nic więc nie wyrzekała, a władze krajowe (prymas Przerębski) oczekiwanie na to wyrzeczenie do nieokreślonego czasu przedłużyły. Orzechowski przez ten czas bawił na wsi i tylko jako ziemianin zajmował się ogólnemi sprawami kraju. W niedługim czasie, w 15 już jednak roku pożycia, a oczekując zawsze wyrzeczenia co do jego prawności, umarła Magdalena Chełmska, i w tymże roku (1566) umarł i Orzechowski.

Orzechowski umarł w Żurawicach, prawie w niedo-

statku, otoczony licznem potomstwem; spodziewane urzędy i dygnitarstwa minęły go, godność jednak, do której był doszedł i którą przewyższył był może innych spółczesnych w kraju, była to powaga jego pism. Od powrotu do kraju do śmierci, myśl i pióro Orzechowskiego nie znały wypoczynku. Liczba znanych pism jego dochodzi do 40. Żaden wprawdzie z utworów tych nie dał nam jakiejś wykończonej albo na większą skalę całości, były to wszystko prawie pisma okolicznościowe, nakreślane z powodu kwestyj spółczesnych, w celach spółczesnych, ale wymowa pióra, żywość słowa i nieraz nowość pomysłów, które były ich cechą, nadawały im nawet niejednokrotnie wartość okresową w gałęziach ich.

Czas, w którym pisał Orzechowski, był to wiek XVI, w którym myślenie ludzkie doszło było do swego ogólnego podrostu, i skutek ten objawiało i w utworach ducha i w dociekaniach. Do dociekań tych należały między innemi: ocenianie umysłem nowych wiar ludzkich i urządzeń społecznych, — i w tychto właśnie kierunkach myśl Orzechowskiego głównie była upodobała. Wróciwszy on do kraju, nowe tu a gdzieindziej nieznane żywioły do badań tych znalazł. Kraj ten jego był to kraj, któremu sądzonem było być ledwo nie we wszystkiem oryginalnym. Oryginalną była jego formacya, oryginalnem trwanie, oryginalną być miała śmierć, życie pośmiertne i t. p. Zajęcie się szczegółami tego kraju musiało więc i poświęcone im pisma odziać w pewną odrębność. W rzeczy wiary znalazł tu mianowicie autor chrześcijaństwo, jak w innych krajach, i znalazł liczne umysły, żądające reformy w wierze tak jak gdzieindziej, ale znalazł tu nadto (czego nie widział gdzieindziej) w połowie kraju chrześcijaństwo stojące niewzruszenie przy wierze dawnej, ale mające odmienny obrząd, niż na Zachodzie. W rzeczy stosunków społecznych znalazł tu monarchę i poddanych jak wszędzie, ale stosunek władzy tego monarchy do poddanych i stosunek poddanych do monarchy był tu zupełnie różny, niż gdziekolwiekindziej (ówcze-

sny parlament w Anglii nie był sam jeszcze tem, czem się miał stać wiekiem później, Henryk VIII był panem nie tylko głosu, ale i życia jego członków); te przeto różne względy, jak były źródłem takich, nie innych rodzajów pism, tak też następnie takiego nie innego ich koloru pod piórem Orzechowskiego. Dzieła ważniejszej treści, ktore wyszły były z pod pióra tego autora, były mianowicie następne. Z pism, w których przemagały więcej względy polityczne:

Fidelis subditus (Wierny poddany), pismo, którem Orzechowski przybywszy do Krakowa w sprawie kapituły przemyskiej z biskupem Tarło (poprzednikiem Dziaduskiego), pierwszy raz dał się był poznać królowi i krajowi. *Turcyki* czyli mowy pisane na wzór Filipik Demostenesa, a powołujące do wojny przeciwko Turkom. *Mowa na pogrzebie* Zygmunta I. (oba te pisma pokilkakrotnie przedrukowywane były w Europie). *Annales* czyli Roczniki opisujące cztery pierwsze lata panowania Zygmunta Augusta. *Rozmowa* albo *dyalog* około egzekucyej korony polskiej, pismo podane na sejm z roku 1562, zastosowane do rozbieranych kwestyj. *Quincunx*, pismo podane na sejm z r. 1564, — i *Policya* czyli księgi o urządzeniu kraju na wzór Arystotelesowych, dzieło, które uważał Orzechowski za swój testament.

Trzy te ostatnie pisma pisał Orzechowski po polsku; pisma, w których znowu przemagał wzgląd religijny, pisane były wszystkie po łacinie, a do główniejszych z nich należą następne:

De coelibatu contra Siricium, pismo przesłane przez autora papieżowi Juliuszowi III wraz z listem do niego. *Repudium Romae* czyli Rozbrat z Rzymem, pismo, którego wydrukowanie wstrzymał był autor na wdanie się prymasa Uchańskiego. *Chimaera* czyli o zgubnej sekcie Stankara, pismo przypisane Zygmuntowi Augustowi, a następnie przesłane przez autora na Sobór Trydencki. *Fricius* czyli o powadze stolicy apostolskiej przeciw Modrzew

skiemu. *Confessio Fidei Catholicae*, pismo na 3 lata przed śmiercią Orzechowskiego drukowane w Kolonii.

Co do charakterystyki zewnętrznej tych pism, dosyć tu będzie przytoczyć zdanie ostrego dla wszystkich pisarzy polskich Brauna, który ją tak określił: *certe, habuit iste vir innatam et acquisitam industria potentissimam vim dicendi* (zaiste, miał ten człowiek wrodzoną i przez sztukę nabytą ogromną potęgę słowa). Co do treści wewnętrznej, powiedzieliśmy już, jakie ich było tło ogólne, dodać zaś tu naprzód wypada, że jak na ich powód, tak i na ich kolor, wpływały przedewszystkiem cechy charakteru autora, których przeważną stroną były: duma, gwałtowność, namiętność i t. p.

Powodem tej dumy autora, jak to zaledwo nie co chwila widzieć można, pod jego piórem były: herb jego dziedziczny Oksza, przywileje szlacheckie, którym, jak wierzył, nie było równych na świecie, nauka, którą był nabył, oraz ten talent pióra, który posiadł. Dla Orzechowskiego, gdy pisał, nic nie znaczyły ani czyjaś władza ziemska, ani czyjaś duchowna, ani czyjeś naukowe zalety; tam więc nawet, gdzie widział jakowąś wyższość, gdzie miał potrzebę błagania, starał się wznosić siebie nad swe stanowisko, poniżać ową wyższość i t. p.

Jakoż szczegół ten był powodem, iż lubo np. królowi Zygmuntowi Augustowi poświęcał swe pisma, co chwila jednak przypominał mu jego powinność i przywileje własne. W piśmie »Wierny Poddany«, którem się temu młodemu królowi po raz pierwszy właśnie chciał dać poznać, przypomina mu, iż w kraju, którym rządzi, nie królestwo jest dla króla, ale król dla królestwa; iż trwoni lata gorsząco, co zjedna mu pośmiech u swoich a wzgardę u obcych; »żyjesz tu, mówi między innemi, rozkosznie w Krakowie, jak niegdyś Ludwik w Budzie; taką też będziesz miał i powagę u swoich, jak niegdyś Ludwik w Budzie«. Pisząc »Turcyki« wiedział, że pisał przeciw woli Zygmunta, który pragnął raczej przymierza, niż wojny z Turcyą.

W »Rocznikach« (przypisanych także królowi) wyśmiewał miękkie wychowanie królewskie, szydził z swych protektorów (Kmity) i t. p. W listach, pisanych w swej sprawie do papieżów: Juliusza III, Pawła IV i i., więcej groźbą, jak prośbą domagał się potwierdzenia swego małżeństwa. Kiedy surowy nuncyusz Lipoman przybył do Polski, mając zlecenie wejrzeć w sprawę Orzechowskiego, Orzechowski w podanem do niego piśmie z rozpaczą błagał o uprawnienie jego małżeństwa i jego potomstwa, i z taką między innemi skruchą się wyraził: »Nie wyjeżdżaj mi tu ze swojem rzymskiem bożyszczem, musiała mu jakaś ćma wszechmocności mózg zamieszać, jeżeli sobie roi, że tak łatwo może udzielić daru wstrzemięźliwości jak wyrzec słowo: nie żeń się«.

Gwałtowność ta charakteru była też właśnie powodem, że nie otrzymując żądanej odpowiedzi z Rzymu, gotował się nawet do rozbratu z Rzymem i wygotował owo *Repudium Romae*.

Jak jednak mimo ujemne obrazy króla i paszkwile na króla, Orzechowski był zawsze z winnymi względami dla niego i skądinąd z głęboką czcią (czego dowodzi i ostatnia jego dedykacya »Policyi«); tak było i z rzeczywistym jego stosunkiem do stolicy apostolskiej.

Rzeczywiste stanowisko autora w kwestyi religijnej było następne: Orzechowski podzielił był zupełnie słyszaną w Wittembergu zasadę, iż należy czcić Pismo Ś. i do jego wykładu stosować sąd *osobisty*, ale ten jego sąd osobisty do innych go powiódł wniosków, niż reformatorów zachodnich. Orzechowski nie dzielił najprzód owego reformatorów zdania, iż z obrządków chrześcijańskich winno być odrzuconem to wszystko, co nie jest zaleconem przez Pismo; zasadę tę wyśmiewał nawet wyraźnie, np. w jednem z najpierwszych pism swoich p. n. *Za pogrzebem Zygmunta Jagiellona*, gdzie zwracając słowa do niejakiego S. Q. który wieczerzając z nim w dzień pogrzebu, wyśmiewał z owej zasady: światła, kadzidła i śpiewy słyszane przy obrzędzie, mówi między innemi: a więc i to, żeś ty wczoraj wiecze-

rzał ze mną u posła Ferdynandowego, żeśmy wczoraj szli za pogrzebem, bajką jest także, bo o tem w Piśmie nie stoi«; — i powtóre (a było to główne) Orzechowski był zdania, że skoro się przyjmuje Pismo, tedy wypadało nieodbicie przyjąć i te następstwa, które wypływają z Pisma, a mianowicie tę hierarchię, która oznaczoną została słowami Chrystusa potrzykroć powtórzonemi do Piotra: «Paś (tj. strzeż i kieruj) owce moje«. Powagę tej władzy Orzechowski uznawał zawsze, nawet w *Repudium Romae*. Zrazu tylko (tj. w pierwszych swych pismach) inne jej przyznawał granice, nie wierzył w jej wszystkie decyzye i nawet wyżej niekiedy zdawał się stawiać instytucye cywilne. W *Repudium Romae* groził odstępstwem, jeżeliby Rzym nie sprawował się tak, jak nań przystało. W liście do Juliusza III przechwalając się, jakiego kraju jest mieszkańcem, zwracał uwagę, iż w każdym razie decyzya jego, przesłana królowi, nie byłaby jeszcze ostateczną. »Król, pan nasz (wyraża tu między innemi), nie jest mocen uczynić, co chce, nie rzecze mi natychmiast, skoro tylko palcem na niego skiniesz, lub przed oczy mu migniesz swoim rybackim pierścieniem: Stanisławie Orzechowski! Juliusz papież chce, każe, ażebyś szedł na wygnanie, idźże. Upewniam cię, król nie może chcieć co ty, i choćby chciał, nie może przeciwko mnie postąpić według swej woli, bez sejmu«. Ale z następstwem czasu, z biegiem licznych polemik, gorliwość dla tej władzy i bezwarunkowa cześć dla niej stopniowo w nim rosły, twierdził o tem i pisał, i dnia jednego zapaliwszy się w sporze o ten przedmiot z Modrzewskim na obiedzie u prymasa Uchańskiego w Wolborzu, wybiegłszy wezwał go na drzwiach katedry o odwołanie twierdzeń przeciwnych, — i wydrukował wkrótce jedno z najgłówniejszych swych pism *Fricius*, w którym między innemi i własne swe w tym przedmiocie błędy wyznawał i odwoływał[1].

[1] Przytaczamy tu to miejsce z traktatu, które da też poznać czytelnikom i ten stopień ironii i złośliwości osobistych, do jakich się ucie-

Z polemik religijnych, które prowadził Orzechowski, najdłuższą i najzawziętszą ta była, którą wiódł ze *Stankarem*. Reformator ten, prześladowany w Europie przez stronników nawet Kalwina i Lutra, tu w Dubiecku znalazł był opiekę Stadnickich, a liczna młodzież szlachecka zbiegała się tu słuchać jego nauki. Orzechowski wyzwał go był najprzód na dysputę do Warszawy, następnie ścigał listownie, i wreszcie napisał ów sławny traktat »Chimerę«, którą, jak rzekliśmy, przypisał królowi, przesłał na sobór, a o której akademik J. Górski wyraził się: że jeżeli Orzechowski w innych swych pismach przewyższał wszystkich, w tem piśmie przewyższył sam siebie. Traktat ten »Chimera« miał nie tylko treść religijną, ale i polityczną; Orzechowski po raz pierwszy w nim, z właściwą sobie wymową, system swój religijno-polityczny wyłożył.

Jakaż mianowicie była treść tej »Chimery«? Napis »Chimera« oznacza tu sektę Stankara, która tak pustoszyła kraj, jak niegdyś owa starożytna Chimera, siebie zaś przedstawia tu autor jako Bellerofona, który zabił Chimerę. Traktat ten ma dwie różne części: pierwsza jest religijną wyłącznie, opisuje w niej autor zasady i historyą sekty Stankara, oraz swoje zwycięstwo; druga, która wypływa

---

kał Orzechowski i jakich używał w sporach. »O gdybyś kiedykolwiek, Modrzewski — mówi tu między innemi autor — *w ślad mego upamiętania się* wstąpił i rzuciwszy się pod stopy Piotra, bijąc się w piersi zawołał: »Ojcze Święty«! zgrzeszyłem przeciwko tobie i niebu; urodzony w twojej owczarni, odbiegłem od ciebie, mojego pasterza; nie mogąc uległością twojej nauce wzbić się nad wszystkich, szukałem innego żywiołu mojej dumie. Łechtały mię po uszach babskie poszepty: oto mi głowa, oto człowiek nad ludzi! nie tak wierzy jak ksiądz! Nie urodziłem się szlachcicem, nie posiadam dostatków, nie posiadam głębokiej nauki; ledwiem przeszedł przez gramatykę, o retorykę trochęm się otarł, filozofii anim liznął; podłego gniazda pisklę, chudak, nieuk, goły, bez wszelkiego znaczenia, postanowiłem dźwignąć się nad mój los, choćby i czynem Herostrata. »*(Przekład Ossolińskiego)*. Orzechowski, jak tu widzimy, dla oznaczenia stopnia naukowej zasługi odwoływał się i do herbu. Tak też i nieraz czynił. O *Hozyuszu*, *Kromerze* (np. w liście do Dudycza) wyraził: iż »ci synowie mieszczan nie mogą nawet świadczyć przeciwko niemu«.

z pierwszej, jest w części i teoryą polityczną; skreśliwszy autor królowi zgubność nauki Stankara, starał się dalej dowieść, iż obowiązkiem jego jest właśnie wyniszczać różnowierstwo, i w tym celu zastanawia się i umieszcza wywód: czem król chrześcijański różni się od pogańskich? a czem król polski od innych chrześcijańskich? Autor przypomina tu mianowicie na tę odpowiedź, którą udzielił był Chrystus uczniom, zapytującym, kto z nich jest większy? a w której wyraził, iż »nie tak będzie pomiędzy wami, jako u pogan, ale ktoby się między wami zdał być większy, niech będzie jako sługa«, i zwróciwszy uwagę, iż takim właśnie powinien być król chrześcijański [1], i że tak właśnie pojął tę zasadę pierwszy kraj jego, wnosi: iż pierwszym obowiązkiem Zygmunta Augusta jest czuwać nad dobrem kraju, strzedz wiary jego, ścigać jej przeciwników i t. p.

»Chimera« oddaną była na soborze do opinii jezuitów *Lainez* i *Bobadilla*, a Hozyusz doniósł autorowi, iż z przyjemnością przez członków soboru była czytaną; zasady jej zaczął odtąd autor rozszerzać i opowiadać i w języku krajowym, a między innemi wyłożył je z zastosowaniem praktycznem w piśmie *Rozmowa czyli dyalog około egzekucyej, korony polskiej* (rozdziałów VII), który za najpełniejszy i najcharakterystyczniejszy z politycznych traktatów jego poczytujemy.

Cóż znaczył ten *Dyalog około egzekucyji?* W r. 1562 zbierał się sejm w Piotrkowie, w którym iść miało głównie o egzekucyę i sposób egzekucyi praw dawnych, a mianowicie statutu Aleksandra z r. 1507 o rozdawaniu starostw. Orzechowski wygotował rozbierające te kwestye pismo i podał je na sejm, lecz cel ten podał mu był zarazem pretekst do rozwinięcia swych postrzeżeń i myśli o należnym rządzie krajowym, o obowiązkach króla, urzędów, o sto-

[1] In barbaris — mówi tu w tekscie autor — caput regni rex, placitum regis lex; et in ecclesia Christi contra sunt omnia; in barbaris dominantur reges, in christianitate ministrant, ibi reges sunt domini, hic servi servorum Christi.

sunku władz cywilnych do władz duchownych i t. p. Do wykładu tego użył autor formy Platona i stąd *Dyalog*. Dyalog ten czyli rozmowę prowadzą tu zebrani jakoby na gęś Marcinową Ewangelik, Papieżnik i Gospodarz (tj. sam Orzechowski). Już sam ten skład dyalogu objaśnia jego charakter; tytuł zapowiada politykę a nazwiska interlokutorów oznaczają odcienie wyznań religijnych. Stanowisko Orzechowskiego, kiedy ten traktat pisał, było już, jako dziś nazywają (lubo nader niesłusznie) *ultramontańskie*. Autor mówi tu między innemi o początku władzy królewskiej i o jej stosunku do władz duchownych i znajduje, iż ta władza królewska o tyle tylko jest władzą, o tyle ma powagi, o ile mu jej udzieliła duchowna. Orzechowski mówi tu prawie tak: Bóg nie rzekł ani do Piasta ani do Jagiellona, ty będziesz królem, ale rzekł tylko do Piotra: »paś moje owce«. Król Zygmunt o tyle więc tylko ma władzę, o ile mu jej udzielił prymas. Wyrazem (wykłada tu autor) należytego składu państwa jest trójkąt t. j. figura trzyramienna, której jedno ramię ma być nazwane *Król*, drugie *Ołtarz*, trzecie *Kapłan*. Król winien bronić ołtarza, więc ścigać reformatorów i nowowierców. Tak żarliwy obrońca swobód, jak Orzechowski, w kwestyi wiary trzymał się jednak wprost przeciwnej zasady. Stosując do przedmiotu tj. do kwestyi *tolerancyi* zasady ewangeliczne, pomijał on te nauki, które się tam do przedmiotu tego bezpośrednio odnosiły np. kiedy na domaganie się uczniów, aby spalić miasto niewierne, Chrystus rzekł: »nie wiecie, jakiego ducha jesteście«, lub też owo wyrażenie paraboli, do którego miał odwoływać się Zygmunt August, strofowany o tolerancyę: »dopuśćcie obojgu rość«; lecz nałamując znaczenie tekstów wołał: »powroza na kacerza trzeba, nie pisma, bo i Pan Jezus *biczykiem* przepędzał tych, którzy *kupczyli* w kościele jego« i następnie konieczność nietolerancyi wykładał w tym Dyalogu skądinąd z wymową, która przypominała wymowę jego pism łacińskich. »Pomazując — mówi tu autor — papież (tj. prymas) króla olejem św., koronę na

głowę jego kładąc, miecz i sceptrum jemu dając, nie mówił mu tak: Sigismunde Auguste, tym mieczem, któryć daję w ręce, wziąwszy go z ołtarza, broń tego kościoła, w któ rym Luter, albo Kalwin, albo Stankar, albo Lizmanin zwodząc lud uczyli, ale tak mówił: tego ty, królu, kościoła broń, w którym ja jestem pasterzem. Ludzie bezecni i skądinąd wygnani przyszli, nie bojąc się króla i prawa naszego, nabudowali nam rozlicznych ołtarzów; mamy ołtarze: aryańskie, mamy nestoryańskie, mamy mahometańskie, których jeśli król nie wykorzeni na tym sejmie piotrkowskim przez egzekucyą, upadkiem swoim zapłaci«. Orzechowski był zdania, iż nie było na świecie kraju tak wybornego składu politycznego, jak była Polska, lecz że przeznaczone jej było zginąć z powodu *tolerancyi* (Orzechowski mylił się, upadek kraju rozpoczął się był bowiem następnie przeciwnie z powodu nietolerancyi). Raz zaś uznawszy, iż obowiązkiem było króla bronić wiary, wnosił stąd autor, iż król w tym celu powinien mieć bogactwa wielkie; rozbiera więc dalej kwestyę bogactwa kraju, obrony kraju, i w szczególności te, które miały być w tych przedmiotach traktowane na sejmie. Łączenie wszystkich tych kwestyj z duchem chrześcijańskim było zapewne powodem, iż zasady Orzechowskiego w tym dyalogu, w sposób wyjątkowy prezentowały się tu na chwilę inaczej, niż w innych jego pismach. Autor nie tylko zapomniał tu na swój herb, ale nawet na różność stanów, a stany miejski i wiejski zaledwo nie za stany równej wagi ze szlacheckim uznawał. Mówi tu nawet wyraźnie, iż pięć stanów, które składają Królestwo Polskie, winny też mieć równy udział i w radzie o niem. »Mamy tedy — mówi tu — pięciorakowe ludzie, którzy Polskiego Królestwa używają: król, duchowny, ziemianin, handlownik, kmieć, a gdyż ci wszyscy Korony Polskiej używają, są powinni o niej radzić... (Rozdz. VII) i dalej: »Nic ona (Rzplita) nie pyta: chłopli, szlachcicli, comesli, królewicli jej pomógł, na uczynku przestawa, na ród się nie ogląda« i jakby spowiadając się z swych da-

wnych w tej rzeczy błędów, dodaje: »Oto jest teraz w Trydencie Concilium wielkie i sławne. Jest tam w tem mieście zjazd ze wszystkiej okolicy świata tego: jest tam dziś rada o wszystkich państwach i królestwach chrześcijańskich. Nie pytają tam (jednak), któregoś ty jest rodu albo herbu, ale któregoś ty jest rozumu? Słyszycie Stanisława Hozyusza, biskupa i kardynała, prezydentem być Concilii. Ten się nie w pałacu królewskim w Krakowie rodził, ani w Tarnowie, ani na Tęczynie, a wżdy widzicie, jako usiadł wysoko prze dzielność rozumu oświeconego swego«; gdy zaś następnie na wysokie zalecenie pism Hozyusza i Kromera, Ewangelik powiada, że jednak słyszał ludzi, którzy wyżej jeszcze stawią Orzechowskiego, Orzechowski odpowiada: »a toć prawdziwie o sobie powiem, żem nie jest godzien wtenczas świeczki ku czytaniu dzierżeć, kiedy Hozyusz czyta albo Kromerus pisze... oni nie herbem w Norymbergu rytym, ale rozumem oświeconym i też dzielnością swą własną szlachectwa swego dowodzą«.

W piśmie, które podał na sejm następny (1564) p. n. *Quincunx*, ideał dobrze urządzonego kraju wykłada już nie jak trójkąt, ale jako figurę mającą pięć boków (jest to jedno ze znaczeń napisu *Quincunx*); do trzech pierwiastków kraju: król, ołtarz i kapłan, dodane tu jeszcze *wiara* i *kościół*; to pomnożenie jednorodnych i prawie jednoznacznych pierwiastków, więcej jednak zaćmiło, niż rozjaśniło wykład i pismo to więcej jest zajmujące z powodu licznych swych wzmianek o mówcach, pisarzach i pismach, niż nauk swych politycznych. Przeciwnie ostatnie pismo Orzechowskiego *Policya*, którego nie wydrukował wprawdzie autor, lecz które był przygotował do druku (wydrukowane dopiero w roku 1859 wraz z *Ziemianinem*), zajmuje nas tylko z powodu zasad swych politycznych, a w zasadach tych wrócił tu autor znowu do wyobrażeń swych dawnych o stanach, o których był w dyalogu na chwilę (może tylko z powodu szczegółów owego Concilium) odstąpił. Orzechowski, który w »Turcykach« pisał: »samiście jedni na

świecie całym prawdziwie wolni... *wszyscy* w wolności, jak godności równi«, — w »Policyi« dowiódł, iż tę równość i wolność do drobnej tylko części kraju odnosił. Mówi on tu obszernie i co chwila do zasady tej wraca, że władze cywilne w kraju są wypływem duchownych i że tym we wszystkiem ulegać powinny, zarazem jednak powtarza także co chwila, że całość kraju składają tylko król, duchowni i szlachta, a iż stany miejski i wiejski za istotne nawet stany krajowe uważane być nie mogą, i dowodzeniom tego całe nawet rozdziały poświęca. »Policya nasza, mówi tu między innemi, ku cnocie wszystko swe wiodąc królestwo, na tych staniech zacnych (król, kapłan, rycerz) jak na słupiech swych wybornych postawiła Polskę, a onym, którzy grosz groszem gonią, albo łokciem mierzą, albo kwartą szynkują, albo rzemiosła robią, albo pługiem u drugiego zniewoleni są, takowe miejsce w królestwie polskiem zostawiła, co w domu gospodarza miewają słudzy, bo tym wszystkim nad cnotę zysk smakuje bardziej, którego gdyby tylko doszli, ważą się wszystkiego, lubo dobrego, lubo złego. A gdzie takowa chciwość jest zysku, tam też jest chciwość i fałszu, bo to tego zawsze się dzierży. Nadto jeszcze ci wszyscy, jako około niższych rzeczy chodzą, tak też i nizkie myśli mają; to bacząc *Policya* (konstytucya) nasza odłączyła od zacności swej oracze, rzemieślniki, kupce, a przy kapłanie, królu i rycerstwie polskiem wszystka została«. Dziwić się naturalnie można, dlaczego, jeżeli mierzenie kwartą uważane było za hańbę, nie uważało się jednak za tę mierzenie korcem albo wiadrem, i dlaczego wywijanie orężem a nawet zabicie poddanego (jak to się miało zdarzyć samemu Orzechowskiemu) za cnotliwsze uważać się miało, niż praca około rzemiosł, praca, która jednak według samego Pisma miała być właśnie niegdyś zajęciem się pierwszych założycieli chrześcijaństwa. Wyobrażenia podobne były to wprawdzie wyobrażenia prawie powszechne wieku, ale dola krajowa chciała, iżby tu, silniejszą popierane wymową, trwalszą wiarę i trwalszy skutek wywarły.

Rozumowania podobne o hańbie rzemiosł powtarzano u nas nieraz prawie dosłownie (czytać np. *Reformacyą* Starowolskiego).

W ogólności więc, gorące zamiłowanie swobód, lecz odnoszenie ich tylko do szlachty, gorąca wiara i gorliwość w katolicyzmie, lecz posunienie ich do nietolerancyi, to jest główny charakter pism, rozumowań i działań Orzechowskiego, charakter, który też był udzielił głównej barwy i wszystkim prawie innym, a nader licznym pisarzom, w kraju polityce poświęconym, a który dopiero podany na sejm elekcyjny *Głos* Leszczyńskiego, a bardziej rozwijające go pisma *Konarskiego* w inną drogę popchnęły.

Takiej to osobistości i takiego znaczenia pisarzowi poświęcone jest dzieło p. Kubali, którego napis przywiedliśmy. Treścią tego pisma nie jest traktat o dziełach Orzechowskiego pod względem bibliograficznym, ani też szczegółowy rozbiór ich treści, ale, jak o tem ostrzega sam napis, przedmiotem tym jest: oznaczenie i ocenienie »wpływu tego pisarza na kraj, wobec reformacyi«. Zwięźle, ale i obrazowie i wiernie wywiązał się tu autor ze swego zadania. Krótko, ale z bogactwem szczegółów skreślony tu obraz religijny kraju w połowie wieku XVI. Żywo i trafnie narysowana wobec tego ruchu postać Orzechowskiego, jego rysy życia, jego działalność, jak równie obrazy osób, z któremi miał związki i które wywierały wpływ większy na kraj ówcześnie, jak np. Zygmunta Augusta, prymasa Uchańskiego, Frycza Modrzewskiego i t. p. Co do wniosków głównych, tj. co do oznaczenia religijnych celów Orzechowskiego, autor jest naprzód zdania, iż głównym z tych celów było połączenie dwóch kościołów chrześcijańskich, które znajdował w kraju, w jeden, to jest, że kościół zachodni winien był według niego przejąć od kościoła wschodniego kielich i małżeństwo księży; zaś wschodni od zachodniego jego hierarchię. Co do stosunku Orzechowskiego do reformacyi zachodniej, autor uważa, iż on mimo odcienie zwrotów, stał zawsze od początku do końca przy ka-

tolicyzmie, i że pisma jego były właśnie głównem źródłem tego kierunku, który jezuici (zastosowawszy jego zasady do swych wykładów) krajowi następnie nadali. Za Zygmunta Augusta i Batorego, kraj polski z wielką żywością zajmował się reformacyą, każda sekta, wymowniej opowiadana, znajdowała tu posłuch i protektorów; wszystkie prawie bogatsze i znakomitsze rodziny kraju, nie tylko dawały przytułek nauczycielom nowości, ale budowały dla nich świątynie, zakładały szkoły, łożyły nakłady na ich pisma i t. p. w końcu tego czasu zaledwo już nie 10-ta tylko część szlachty całego kraju była katolicką. Cóż było powodem następnie i tak powszechnej i silnej w lat kilkadziesiąt reakcyi? Autor tu słusznie uważa, iż niedostatecznem jest twierdzić, że powodem tego była gorliwość Zygmunta III i jezuici; i pobożność bowiem Zygmunta III (który był z domu protestanckiego) i sympatya dla jezuitów były już skutkiem a nie powodem zmienionego w kraju kierunku. Któż — zapytuje autor — zmusił odszczepionych panów polskich przyjmować jezuitów, stawiać dla nich kościoły, powierzać im wychowanie dzieci?« i t. p., i wnosi, iż pierwszy do tego popęd dały właśnie pisma Orzechowskiego; autor sądzi też, iż Orzechowski był wcieleniem i uosobieniem rysów głównego charakteru szlachty polskiej, a pisma jego przez oparcie tych rysów na tle religijnem najwięcej się przyczyniły do rozszerzenia ich i utrwalenia.

Nie na każde zapewne zdanie, wyrażone w tej książce p. Kubali, moglibyśmy się zgodzić i nie bezbłędne tu są wszystkie twierdzenia; — tak np. na str. 8 wspominając autor o piśmie Orzechowskiego *Fidelis subditus,* powiada: iż była to pierwsza broszurka polityczna w kraju naszym, a może i w całej Europie, — w kraju naszym na długo pierwej i nawet od wieku bywały już tego rodzaju broszurki, dosyć jest wspomnieć na sławny pamiętnik Jana *Ostroroga* o potrzebie reformy administracyjnej w kraju (*Monumentum pro Comitiis etc.*), podany na sejm z roku 1459, — traktat z r. 1507 *De reformatione Regni* (autorem

którego miał być według Janockiego *Zaborowski*, według Broscyusza *Czepel*) i t. p. Jako na dowód wpływu i licznych wydań pism Orzechowskiego, autor zwraca mianowicie uwagę na jedenaście wydań pisma jego *Idea apocalyptica*, ale Idea apocalyptica ukazała się była naprzód bezimiennie, a objaśnienie Broscyusza i dowody Ossolińskiego (IV, 500) dostatecznie wskazały, iż było to pismo Solikowskiego, nie Orzechowskiego. Nie powtórzylibyśmy z autorem, iż Orzechowski był powodem w kraju podwójnego kierunku religijnego, zwrot bowiem ku reformacyi żywym już był w Polsce przed rozpoczęciem jeszcze przezeń kłótni z duchowieństwem (1550) i mieliśmy już niejedno pismo, przedtem ten zwrot powściągające, jak np. *Mateusza z Kościany: Cohortatio ecclesiarum sarmaticarum etc.* z roku 1543 i t. p. Nie powtórzylibyśmy także z autorem z okoliczności »Turcyk«, iż pisanie ich było skutkiem podmuchu polityki rzymskiej, chcącej odwracać umysły od reformacyi, — »Turcyki« pisał Orzechowski nie skutkiem bojaźni reformacyi, ale bojaźni Solimana, który zająwszy wtedy Budę i Węgry, z kolei przybliżał się do Polski, bezpośredniej podówczas sąsiadki Węgier. Co do twierdzenia autora o podobieństwie zasad Orzechowskiego do zasad dawnej szlachty polskiej, moglibyśmy żądać wsparcia go jakimiś dowodami lub wskazówkami, i żądalibyśmy mianowicie dowodów, iż nauka jezuitów w ich szkołach była rzeczywiście (jak to autor twierdzi) odbiciem zasad Orzechowskiego, a które, jak to widzieliśmy, były religijno-demokratyczne. Pomijając wszakże te szczegóły, musimy przyznać: iż wszystkie prawie spostrzeżenia i wnioski p. Kubali w tem jego dziełku są trafne, i że autor jak w nakreślaniu obrazów dziejowych, tak i w rozumowaniach stoi wszędzie na stanowisku i spółczesnych badań i wyobrażeń.

Po tem, cośmy tu przytoczyli wyżej z charakterystyki Orzechowskiego i jego pism, jasne też będą czytelnikowi i szczególne twierdzenia dziełka p. Kubali o tym pisarzu,

których tu kilka dla objaśnienia zalet tego dziełka wypisujemy.

»Odkąd, mówi autor, wieki zstąpiły na naszą ziemię, nie było instytucyi, któraby tak wielką siłę zdobyła, któraby tyle korzyści dla ludzkości przyniosła (jak kościół chrześcijański), — nikt się więc dziwić nie będzie, że kiedyś żył człowiek, który bardziej kochał kościół niż siebie, a kochając namiętnie swoją Rzeczpospolitą, pomieszał, połączył ją w sercu i głowie swej z kościołem«. »Jego walka z różnowiercami i system teokratyczny, wprowadzony (następnie) przez jezuitów w szkołę i państwo, zostawiły do dziś dnia ślady w naszem społeczeństwie«.

»Cała część systemu Orzechowskiego, która określa stosunek kościoła do władzy świeckiej (to jest jego supremacyę), jest doktryną katolicką, która wzięła życie jeszcze przed czasami św. Bonifacego i Karola W., ale ta część systemu, która dotyczy Rzeczypospolitej, jest zupełnie nową«. »Szlachcic systemu Orzechowskiego będzie stronnikiem wolnej elekcyi, obioru Piasta, przeciwnikiem wolności miast, żydów, sołtysów i kozaków, wrogiem nobilitacyi, wojska chłopskiego, stronnikiem *liberum veto*, nie dozwoli egzekucyi nowych praw, będzie osłabiał władzę królewską, a nierząd będzie jego wewnętrzną polityką z nazwiskiem wolności«. »Orzechowski, dodaje autor, nie myślał zapewne, iż jego zasady teokratyczne będą przeprowadzać jezuici siłą świeckiego ramienia, on, u którego pojęcie wolności stało wyżej, jak król i ojczyzna, nie myślał o tem, że popularne jego myśli i frazesa przedrukowane mało nie po wszystkich pismach, głoszone po kraju, po sejmach, po sejmikach, przejdą w krew i duszę szlachecką i poprowadzą kraj do anarchii« (103). Co do tych uwag dodać jednak należy, iż ściśle mówiąc, tylko ostatnia z nich jest trafną, to jest, iż Orzechowski nie myślał, iżby zasady jego miały poprowadzić do anarchii, że bowiem w rzeczy nietolerancyi dopominał się działania ramienia świeckiego, to widzieliśmy z własnych słów jego, — a że miał nadzieję i chciał,

aby zasady jego przeszły w przekonania szlacheckie, dowodem tego jest, że właśnie każde prawie swe pismo podawał na zbierające się sejmy (i chwalił się naprzykład w *Quincunxie*, iż jego *Dyalog* na poprzednim sejmie i w kraju był rozchwytany i poraz drugi odbijany). Przeciwnie za zupełnie trafne poczytujemy uwagi, odnoszące się do ogólnego znaczenia Orzechowskiego w naszej literaturze. Orzechowski pisał o prawie, pisał z wymową, — w Rocznikach skreślił trafny obraz dziejów krajowych, wszakże, uważa p. Kubala, autor ten nie był właściwie ani historykiem, ani mówcą, ani prawnikiem, lecz pisma jego mają największy walor jako broszury okolicznościowe. »Orzechowski, mówi p. K., był publicystą, był ojcem publicystów krajowych, ojcem najbogatszego działu naszego piśmiennictwa«. »W pismach jego uosobiła się była Rzeczpospolita polska z XVI. wieku, i Orzechowski stał się był przez nie ojcem XVII. wieku naszego kraju«.

Historya literatury naszej postąpiłaby pięknie, gdyby otrzymywała częściej monografie podobne tym, jak obecna p. Kubali.

1870.

2.

Studya nad literaturą polską XVII. i XVIII. wieku do czasów panowania Stanisława Augusta I. — Hieronim Wespazyan z Kochowa Kochowski, przez Adama Rzążewskiego, Magistra nauk. Hist. Fil. b. Szk. Głównej Warszawskiej. 1871. Warszawa.

Nad zaniedbaną, a tak jednak bogatą w szczegóły literaturą naszą z końca XVII. i początku XVIII. wieku, powolnie, ale coraz więcej przybywa nam studyów. Przed lat dziesiątkiem czytaliśmy po dwakroć zajmujące studya nad *Morsztynami* Mecherzyńskiego i Małeckiego, nad *Opalińskim* Szajnochy, w tych ostatnich latach o *Wacławie Potockim* przez Bełcikowskiego, Nabielaka i in., o *Janockim* przez Estreichera, o *Załuskim* i innych z notat Bartoszewicza itp. Dziełko obecne o życiu i pismach Wespazyana

Kochowskiego odnosi się też właśnie do tego czasu. — Praca ta, powiedzmy to zgóry, jest to studyum i pracowicie i zdolnie wykonane. — Ramy dziełka nie obejmują wprawdzie więcej jak str. 148, lecz w miarę prac, przedmiotowi temu dotąd poświęcanych, mogą się nazwać nader obszerne. — Treść pisma rozwiniętą jest w oddziałach 5-ciu. W 1-szym (od str. 1 do 34) opowiada nam autor żywot Wespazyana Kochowskiego, 2-gi obejmuje wyliczenie pism jego (34—48); 3-ci rozbiór jego poezyj polskich (48—127), 4-ty pism jego łacińskich treści drobniejszej, i wreszcie 5-ty: jego kroniki czyli Klimakterów. Szczegóły bliższe tej treści są: życiorys Kochowskiego w oddziale 1-ym poprzedza autor wywodem rodu Kochowskich, a wywód ten, oprócz wiadomości z herbarzów, wzbogaconym tu jest szczegółami czerpanymi z akt trybunału lubelskiego, metryki koronnej i innych. Samo życie autora, opowiadane zwykle w historyach literatury na stronicy lub półstronicy, tu rozszerzone zostało do kart kilkunastu przez zbliżenie, ocenienie i poszykowanie własnych wzmianek Kochowskiego o sobie, w jego pismach wierszem i prozą rozrzuconych. Wyliczenie pism Kochowskiego w oddziale 2-gim jest przytoczeniem wiernem tytułów i wydań 15-tu dzieł tego autora drukiem ogłoszonych, oraz zebraniem wiadomości o mających się jeszcze ukrywać kilku rękopismach. W wyliczeniu tem własnością pana Rzążewskiego jest domysł (usprawiedliwiany krytycznie), iż wzmiankowane przez Kochowskiego w Klimakterach dzieło jego p. n.: *Rubus incombustus*, dotąd nikomu nieznane, jest niczem innem jak łacińskim tytułem jego poematu religijnego *Ogród Panieński*. Oddział 3-ci, poświęcony rozbiorowi poezyj polskich, jest najobszerniejszy i stanowi główną charakterystykę dziełka; o każdem z poetycznych wydań Kochowskiego mówi tu autor oddzielnie, i dając poznać treść, kreśli ich charakter; mówi więc najprzód o *Lirykach*, czyli o wierszach zawartych w pierwszym zbiorku poetycznym Kochowskiego, wydanym p. n.: *Niepróżnujące próżnowanie*, następnie o *Fra-*

szkach, o *poematach historycznych* i wreszcie o *religijnych*. Rozbiór liryk zajmuje największą część oddziału. Zdaniem p. Rzążewskiego, Kochowski w utworach tych poetycznych chciał być naśladowcą głównego rzymskiego liryka, Horacyusza, nader jednak odmienny duchem, przejmował tylko formę, a i w tej formie dawał tylko parodye liryk Horacyuszowych. Treść liryk Kochowskiego była najczęściej historyczną, t. j. spółczesnym wypadkom krajowym poświęconą, »dwie trzecie, uważa autor, są treści wyłącznie historycznej«, inne są religijnej, i wreszcie, liczne także, obyczajowej. Charakteryzując bliżej tę treść, p. Rz. uważa, iż głównymi motywami Kochowskiego w lirykach jego były: duch religijny i poczucie powinności obywatelskiej; lecz że te barwy, które byćby powinny dodatnie, psute są zwykle przez ówczesne wady krajowe, t. j. barwa religijna nietolerancyą, zaś historyczna mylną chełpliwością ze swobód, oraz oglądaniem kraju w jednej tylko klasie krajowej, t. j. szlachcie; autor poczytuje mianowicie za wadę: przypisywanie przez Kochowskiego swojemu krajowi misyi bronienia chrześcijaństwa od niechrześcijan (Tatarów i Turków), »z tej bowiem u niego identyfikacyi (uważa) uczucia miłości ku Bogu z miłością dla kraju powstało chorobliwe pojęcie o przodownictwie jednego narodu, w następnej epoce tak szeroko rozwijane«. Co do obyczajowych, tych cechą, według autora, jest: towarzyskość, gościnność, oraz erotyczność, erotyczność jednak nie platoniczna, ale na wzór Jana Kochanowskiego i jego następców wyłącznie praktyczna.

Przechodząc do szczegółowszych uwag, lub raczej do wypadków postrzeżeń, p. Rz. dochodzi do wniosku i czyni to założenie: iż właściwie Kochowski nie rozumiał, co jest poezya, gdyż sądził, iż jest ona tylko »jako środek, który nie dozwala czynom ludzkim zaginąć w niepamięci, i tym sposobem cel, jaki naznaczano dawniej kronikarstwu, na poezyę przenosi«. »Wiek XVII., dodaje, stracił dawne klasycznych zasad pojęcie, zaszczepione przez Kochanow-

skiego, stracił tradycye dawnej szkoły, a nie umiał sobie utworzyć nowych; stąd wynikło, że poezya nie stała już podówczas na równi ze wszelkimi objawami życia, ale formowała jakiś oddzielny grodzik, w miejscu dział i okopów, najeżony imionami starych bogów Grecyi i Rzymu« (str. 71). »Poeta, wzięty we dwa ognie przez spółczesne pojęcia narodu i zasady szkoły, nie miał odwagi przeważyć się stanowczo na jedną lub drugą stronę, kroczył jak spętany, gmatwał się i plątał w ciemnych labiryntach wyrażeń, niezrozumiałych dla spółczesnych[1], a tembardziej dla potomnych« (72). To wada wieku; zaś osobista poety była: »brak estetycznego poczucia, brak widny nieraz w wyborze przedmiotu i w zbyt realnem, bez wdzięku przedstawianiu go«. Co do strony zewnętrznej utworów, autor uważa, iż zaletą formy Kochowskiego jest wielka rozmaitość rytmiczna, wpadająca nawet nieraz w »nutę ludową«, i kończąc rzecz o lirykach, mówi: »Atoli mimo tych wszystkich wad, stawiających go (Kochows.) na równi z Twardowskim i Gawińskim, w lirykach jego przebija już przedświt nowych poetycznych pojęć, nowego zwrotu i celów, przedświt, który zagłuszony następnie naśladownictwem francuskich wzorów, z wulkaniczną siłą wybucha dopiero na początku XIX. wieku«. Od stronicy 75 do 88 zajmuje się autor treścią *Fraszek*, czyli *Epigramatów*, których liczba u Kochowskiego jest około 800; wykazuje tu pracowicie wielu z nich pochodzenie obce i zwraca uwagę na dowcip

[1] Przytaczamy te zdania jako w swym ogóle trafne; czy jednak wyrażenia Kochowskiego nie były istotnie rozumiane przez spółczesnych, jak autor tu mówi, na to nie mamy świadectwa, — dlatego trafniej, zdaniem naszem, wyraził się w podobnej właśnie okoliczności, albowiem w studyach także nad Kochowskim, o poetach ówczesnych Siemieński, gdy rzekł: iż poeci ci byli to ludzie wpływu na swoje czasy, którego jednak dziś nie rozumiemy; »potomność — dodaje tu krytyk-poeta — nie znająca ich a chcąca poznać, podnosi ciężkie wieka kamiennych trumien i ciekawie przypatruje się resztkom stroju i rycerskich przyborów, których nawet nazwać nie umie«. Wyrażenia powyższe p. Rząż. są nawet oczywiście naśladowaniem tego miejsca w *Siemieńskim*.

rzetelny wielu oryginalnych. Mówiąc następnie o poematach historycznych, do jakich liczyć się mogą pisane oktawami na wzór Tassa: *Kamień świadectwa,* poświęcony Jerzemu Lubomirskiemu (tytuł całkowity tego wiersza jest: »Kamień świadectwa niewinności wielkiego senatora«), oraz *Dzieło Boskie* (t. j. o wyprawie Jana III. pod Wiedeń), autor zarzuca pierwszemu, iż lubo z zadania miał być opisowym, jest tylko liryką, jakkolwiek liryką, nacechowaną siłą uczuć i przekonań swej partyi; zaś drugiemu, iż mając tak bogate zadanie, jest tylko opowiadaniem kronikarskiem, któremu użyte pomoce z mitologii poezyi nie dodały. Z kolei charakteryzuje poemata religijne oddzielnie wydawane, i uczyniwszy uwagę, iż wiek XVII. był to u nas wiek, który zbyt zmysłowo pojmował i tłumaczył prawdy chrześcijańskie, iż poezya ówczesna »będąc służebnicą czasu, nieraz ubliżała pobożnie Bogu chrześcijańskiemu«, dodaje, iż właśnie takiej poezyi wyrazem są i poemata religijne Kochowskiego, t. j. *Ogród panieński,* poemat podzielony na 16-cie *kwater,* a złożony z 1818 dwuwierszów, z których każdy poświęcony jest czci jakiegoś poetycznie upatrzonego przymiotu N. Panny; *Różaniec* podzielony na *Tajemnice,* a obejmujący do 2400 wierszy różnych miar, oraz *Chrystus cierpiący,* poemat mający do 6.000 wierszy; charakteryzując bliżej dwa pierwsze autor mówi: »o religijnej wzniosłości w poematach tych mowy już być nie mogło, ale nie mają one nawet jasności i prostoty, któreby mogły uczynić utwory te pieśnią ludu i bractw różańcowych«; z okoliczności zaś ostatniego, który jest opisaniem historyi męki Chrystusowej, szeregiem krótkich muzykalnych wierszy, wyraża: »trudne i dla największego artysty niebezpieczne zadanie, występować do emulacyi z prostemi a tak wymownemi słowami Ewangelii, — opisy te u Kochowskiego przeciwnie cechują: niesmak, trywialność, szkaradа, a do pomocy posługuje erudycya mitologiczna i z historyi starożytnej«. I wreszcie zwraca tu autor szczegółowszą uwagę na utwór Kochowskiego, o którym nie wzmian-

kowały nawet dotąd historye literatury, t. j. jego: *Psalmodye*. Psalmodya ta (tytuł jej dosłowny był: *Trybut należytej wdzięczności* etc., albo: Psalmodya polska za dobrodziejstwa boskie dziękująca, przez jednę najlichszą kreaturę roku Pańskiego 1693 napisana) jest to zbiór 36 psalmów, prozą biblijną i wyrażeniami wziętemi z psalmów Dawidowych napisanych, a różne szczegóły dziejów kraju (od dawnych do spółczesnych Kochowskiemu) określających. Iż utwór ten był ręki Kochowskiego, wspomniał o tem przygodnie sam autor w swym 3-cim Klimakterze; na treść zaś tego utworu pierwszy, ile wiemy, zwrócił bliższą uwagę Siemieński, wskazując zarazem, iż nazwać się on może prototypem pism treści podobnej i podobnież stylem biblijnym pisanych, niektórych nam spółczesnych poetów, jak: Brodzińskiego, Mickiewicza i t. p. Myśl tę p. Rz. w części bliżej rozwinął i podobieństwo utworów wskazaniem bliższem na psalm VII. Kochowskiego więcej usprawiedliwił, a lubo nie podzielił główniejszych wniosków, na wyjątkową jednak wartość tego, jednego z najpóźniejszych utworów Kochowskiego, dobitnie wskazał. »Są, wyraża tu autor, wyjątkowe natury, które w chwilach starości żywiej jeszcze puszczają w ruch... kółka umysłowej organizacyi, i rozwijają twórczość, jakiej nie okazali przez cały ciąg swojego żywota. Do takich osobistości należał i Kochowski. Zamknięty w ustroniu swej cichej wioski, na lat kilka przed śmiercią wskrzesił on pamiątkę dawnego psalmisty i wysłał do Boga hymn, zanucony w imieniu swojem i swojego kraju. Nigdzie w jego utworach nie znajdujemy takiej uroczystości, takiej powagi i namaszczonego natchnienia, jakie spotykamy w Psalmodyi«. — Po wyrażeniu zdań o utworach szczególnych, o ogólnej zasłudze Kochowskiego jako poety, autor we wniosku tak mówi: »Myśli, ognia, zapału, spotkasz w nim co krok wiele, więcej nawet, aniżeli w naszych poetach złotego wieku, ale nie umie on zapanować nad tymi darami. Tamtym (którzy tworzyli chłodniej) natchnienie jest sługą, Kochowski zaś jest sługą natchnienia.

Oni nigdy nie sięgnęli w takie szlaki jak Kochowski w Psalmodyi, ale zato Kochowski nie doszedł nigdy do takiej artystycznej perfekcyi, jaką się odznaczają Kochanowskiego pieśni«. Mówiąc w oddziale 4 ym o drobniejszych pismach łacińskich Kochowskiego, pisma te, a mianowicie: *Munus civile*, w którem Kochowski dawał lekcye rządzenia nowoobranemu królowi Michałowi, *Praeliminare salve*, panegiryk na przybycie arcyksiężniczki Eleonory, narzeczonej tegoż króla, i *Hypomnena Reginarum Poloniae*, czyli opisanie panegirycznymi wierszykami królowych polskich od Dąbrówki do Eleonory, — autor wogóle uważa za panegiryczne, i objaśnia, iż wartość tych wszystkich utworów, mianowicie pod względem poetycznym, jest prawie żadna. Mówiąc wreszcie o Kochowskim jako o historyku, t. j. o jego kronice rzeczy spółczesnych, wydawanej tomami, obejmującymi po lat 7, i stąd noszącej tytuł: *Klimakterów*, autor wylicza jej zalety, jej cechy i dodaje, iż jednak »palmę pisania dziejów za owe czasy przyznać należy nie Kochowskiemu, lecz Piaseckiemu«, iż nie ma Kochowski »tego racyonalnego poglądu i pragmatyzmu jak Piasecki«.

Takie są główne rysy studyum p. Rzążewskiego nad Wespazyanem Kochowskim. Studyów nad naszymi pisarzami dawnymi w ogólności nie mamy wiele, z tych zaś, które są, jedne, uważać można, zajmowały się albo przeważnie samą bilbliografią i biografią danych pisarzy (jak np. Wiadomości historyczno krytyczne Ossolińskiego), albo prawie wyłącznie ocenianiem ich pism (jak np. *Wizerunki pisarzy* przez Siemieńskiego); monografia obecna, jak to widzimy, jest połączeniem obu tych charakterów — jest to studyum z zadania swego zarazem i historyczne i estetyczne. Wykład treści nie jest tu nigdzie pobieżny i powierzchowny, autor owszem starał się być wszędzie i krytycznym i przedmiot swój możliwie wyczerpującym. Wprawdzie z podniesienia tych licznych wzmianek, które Kochowski rozrzucił o sobie w swych pismach, jako w Klimakterach, przedmowach, nawet w Psalmodyi, a nade-

wszystko w licznych swych lirykach, życiorys jego mógłby się jeszcze znacznie rozszerzyć, a to, co p. Rząż. mówi w studyum o pismach jego łacińskich, jest stosunkowo za szczupłe; zawsze jednak i obraz Kochowskiego w życiorysie dobitniejszym tu jest niż gdzieindziej, i co się mówi o każdem z pism tego autora, dostatecznem jest dla wyobrażenia o ich treści i charakterze. I owszem, jeżelibyśmy wykonaniu tej pracy przez p. Rząż. zarzut jaki uczynić mieli, tedy przedmiotem jego musiałyby być: ani szczupłość treści, ani brak krytyki, ale przeciwnie, pewien, że tak rzec można, jej zbytek. Staranność o ciągłość krytyki, różnorodność zdań objawianych (czerpanych mianowicie z różnorodnych a licznych poetycznych przytoczeń), dają tu nam nieraz w ciągu rozprawy albo próżność spostrzeżeń, lub pewną sprzeczność w uwagach; a stąd idzie: iż krok autora krytyczny jest jeszcze niepewnym, a jego ogólne wnioski lub założenia nieraz nawet jawnie są mylne. Dla objaśnienia przytoczymy tu parę pierwszych lepszych przykładów, wziętych już z samego zaczęcia życiorysu, już z estetycznych sądów. W zaczęciu biografii Kochowskiego p. Rząż. poprawia powszechnie przyjętą datę urodzenia tego autora, podawaną na 1633 r., i dowodzi, iż ten urodzić się musiał wcześniej, a mianowicie w r. 1630. Kochowski wydając w roku 1698 swój pierwszy Klimakter wspomina, iż ma lat 65, czas urodzenia jego musiał więc i musi być oznaczanym na rok 1633. P. Rząż. zwracając jednak uwagę, iż Kochowski przy wzmiance w kronice o wypadkach z r. 1643 wyraża, iż »było to za mojej pamięci«, iż z tychże Klimakterów uczynić można domysł, iż stryjeczny brat jego Aleksander musiał się rodzić w r. 1630, iż wreszcie Kochowski pisząc wiersz na śmierć Władysława IV. w r. 1648, nie mógł go pisać w 15-tym roku życia, wnosi, iż musiał się rodzić nie w r. 1633, lecz znacznie wcześniej, a mianowicie w r. 1630 (str. 7), i że wyrażenie jego przy Klimakterach, że ma lat 65, dowodzi tylko, iż między napisaniem tych słów a wydrukowaniem,

z powodu cenzury duchownej i innych, musiała być przerwa więcej niż roku. Rozumowania te p. Rząż. jakkolwiek napozór krytyczne, są właściwie takiemi tylko pozornie. Pamięć ludzka sięga zwykle 4-go i 5-go roku swojego życia, Kochowski wspominając w kronice o tem, co było wiadomem w jego roku życia 10-tym (1643), jakże się miał inaczej wyrazić, jak: że było to już za jego pamięci? Dlaczego przypuszczalny rok urodzenia brata jego Aleksandra 1630 ma się uważać za rok urodzenia i Wespazyana, kiedy o jednoletniem urodzeniu tych braci nigdzie wzmianki niema, zupełnie nie rozumiemy. Wiersz Kochowskiego na śmierć Władysława, jak widać z treści, rzeczywiście pisanym był przed elekcyą jeszcze nowego króla, ale rok nie jest to przeciąg zbyt krótki, elekcya Jana Kazimierza nastąpiła dopiero w miesiącu październiku 1648 r.; gdyby więc Wespazyan Kochowski rodził się w styczniu 1633 r., pisząc wiersz, miałby już rok blizko 17-ty, i wiersz ten, złożony po większej części z wyrażeń szkolnych, nie byłby żadną nadzwyczajnością w roku życia 16-tym. Dodajmy wreszcie, iż rok wydania kroniki 1698 — *podpisany* też jest i pod przedmową autora, a przeto, iż tenże był rok i wydrukowania tej kroniki i rękopismu.

Mianując następnie wioskę, w której się rodził Kochowski, nazwiskiem *Gaj*, autor szydzi z tych biografów, którzy ją nazywali *Dąbrowa*, przytaczając bowiem na str. 9-tej z liryki Kochowskiego: *Na rozjeznem*, między innymi te wiersze:

Do *gęstej* w sośnie, co blizko rośnie,
Możesz pójść *dąbrowy;*

dodaje w przypisku: »ta dąbrowa, oznaczająca lasek, nie więcej, była przyczyną, iż nieuważnie czytający Kochowskiego liryki każą mu rodzić się we wsi zwanej Dąbrowa«. Dlaczego autor wnosi, iż ci, którzy za miejsce urodzenia podawali Dąbrowę, opierali się na powyższym wierszyku, nie wiemy; wniosek o tem nazwisku wioski jeżeli był wy-

ciągany z poezyj Kochowskiego, tedy z pewnością ni z tego wierszyka: *Na rozjezdzie*, a zwłaszcza nie z przy toczonych wyrazów (bo mowa tu jest wyraźnie nie o fol warku, ale o *gęstej* dąbrowie), ale z liryki Kochowskieg *Gniazdo ojczyste*, w której poeta wzmiankując, iż Kochow scy mieli dawniej nazwisko *Sarnów*, i że ta familia mie szka w sąsiedztwie, wyraża:

> Ta z nich dotychczas ma sąsiad (sąsiadów) *Dąbrowa*,
> Choć dla dzielnicy piszą się z Kochowa.

Kochowski rodził się w okolicy gór Śto-Krzyskich wzmiankujący o jego życiu nie podawali zrazu nazwisk wioski, w której się rodził, następnie zaczęto ją mianować już Gajem, już Dąbrową, a tej ostatniej nomenklatury trzy mali się między innymi ostatnio o nim piszący: *Siemieńsk* w Wizerunkach, i dobry znawca gubernii radomskiej *So bieszczański* w Encyklopedyi powszechnej. Pierwszy, ile wiemy, Ambroży Grabowski, podając w *Starożytnościach polskich* (1840) kilka szczegółów autentycznych o rodzinie Kochowskich, wioskę rodzinną Wespazyana nazwał *Gajem* za nim poszli wydawcy Rysu piśmiennictwa Lesława Łukaszewicza, poszedł i p. Rzążewski. P. Rząż. miał prawo zupełne wioskę rodzinną Kochowskiego Wespazyana nazywać *Gajem*, w wierszu bowiem tego poety: *Pożegnanie na rozjezdzie* z powodu działu majątku [1], i przenoszenia się pod Kraków do *Goleniów*, czytamy między innemi:

> I takli w maju, *ojczysty Gaju*,
> Z ciebie rumacya...

a lubo to wyrażenie: ojczysty nie koniecznie oznacza rodzinny, Kochowski bowiem następnie i Goleniowy nazywał

[1] Kochowski nie w jednej liryce swej wyrażał użalanie się na ten podział, który miał miejsce nie »przez wzgląd na wdowę«, jak objaśnia p. Rząż., ale że przy działach przy *fundum* zostawał najmłodszy; objaśnia to i łaciński jego wierszyk *do braci*, w którym między innemi pisze:

> Rem paternam cum divido,
> Haec *iuniori* cessere...

swoją wioską ojczystą (»scripsi Golenioviis rure meo *paterno*«, Klimakt.), w dalszej jednak apostrofie do tegoż Gaju w tymże wierszyku czytamy:

> Tu *ojciec z dziady*, krewnych gromady,
> I mali wnukowie,
> Dzieciństwa doszli, etc.; —

ale mając prawo nazywać Gajem, nie miał prawa szydzić z tych, którzy ją nazywali *Dąbrową;* w wierszu bowiem: *Gniazdo ojczyste,* nie mamy wzmianki o Gaju, a Dąbrowa, jak widzieliśmy, figuruje tu wyraźnie w znaczeniu wioski. Wnieść zaś raczej wypada, że obszerna wioska poety, okolica (gdzie się wychowały »krewnych gromady«), podwójnie była nazywaną i *Dąbrową* i *Gajem,* a mogło to być tem naturalniej, iż w dawnym języku polskim wyraz: dąbrowa nic innego nie oznaczał, jak *gaj dębowy* (v. Linde).

Takie zboczenia krytyczne, mimo w gruncie pewną krytyczność, widzimy na większą skalę i w zdaniach o talencie poetycznym Kochowskiego. P. Rzążewski za główną charakterystykę i główną wadę Kochowskiego poczytał, jak widzieliśmy, iż autor ten nie odróżniał poezyi od historyi, i miał ją tylko za rymowe opowiadanie wypadków dziejowych. »Zapatrywanie się Kochowskiego na poezyą, wyraża tu dosłownie, nie było właściwe, ale owszem błędne. Poezyę uważa Kochowski jako środek, nie dozwalający ważnym czynom ludzkim zaginąć w krainie niepamięci. Cel, jaki naznaczano dawniej kronikarstwu, on na poezyę przenosi, a pojęcie to nadaje wkońcu poezyi zupełnie mnemoniczne znaczenie (str. 67). Z takiego to błędnego stanowiska wynikają i rozmaite wady Kochowskiego jako poety«. To zdanie służyło autorowi za podstawę do dalszych o talencie Kochowskiego, a jednak z gruntu jest błędnem. Zakresu poezyi od historyi być może iż nie rozróżniał poprzednik Kochowskiego, Sam. Twardowski, który spółczesną kronikę (»Wojny kozackie i szwedzkie«) pisał wierszem; lecz Kochowski, który miał takież upodobania

jak Twardowski (i któremu dank przed sobą, jako starszemu, dawał), dowiódł dobitnie, iż odróżniał istotę obu gałęzi, gdy wypadki dziejowe opisywał w oddzielnej kronice prozą (Klimaktery), a w poezyach umieszczał tylko stosowane do szczególnych wypadków liryki, t. j. poezye, które mieściły nie ścisły obraz, ale fantazyowanie uczuć i myśli z powodu wypadków. Sam p. Rząż. mówiąc o poemacie: *Kamień świadectwa,* zarzucał mu, iż był raczej liryką samą, nie historyą. Kochowski, jako uczony i uczoności przyjaciel, wyżej zapewne cenił naukę, niżeli fantazyę; stąd też czas, który poświęcał pisaniu poezyi, za »próżnowanie niepróżnujące« uważał, wszakże pojmował on dobrze istotę poezyi i poczytywał ją nie za odbicie wypadków zewnętrznych, lecz za wypływ konieczności wewnętrznej, natchnienia, które, jak wyrażał: »jako ogień, w gabinetach umysłu rozpala się«. »Próżno, mówi w *Epodon* do liryk, zatrudnia mnie pług, ciągłe gospodarstwo, muza liryczna (»Erato«) męczy mnie i we śnie i na jawie«, i dodaje:

Jest Bóg i w poetach,
Jest *ogień z nieba* dany ich duszy,
Wieszczem *natchnieniem*, co mózgi puszy
W ziemskich gabinetach.

P. Rząż. dla potwierdzenia swego założenia dodaje, iż z tak mylnie pojętej przez Kochowskiego zasady poezyi wypływają i wszystkie jej wady, jako to: uciekanie się do *mitologii,* frazesów *filozoficznych,* brak poczucia estetycznego i t. p.; lecz właśnie to rozwinienie zasady objaśnia jej mylność: dlaczegoby bowiem uciekanie się do mitologii (allegoryi), do spekulacyi i t. p. miało być skutkiem nieodróżniania poezyi od historyi, jest to wcale niejasnem.

Zdania autora z powodu poematów religijnych w wielu miejscach są trafne; słusznem np. jest to, iż w wieku, w którym pisał Kochowski, »wiara coraz mniej na czynie a coraz więcej na słowach i ascetycznej kontemplacyi była oparta«, że poezye jego były odbiciem takiej natury wieku

i t. p., wszakże czynionym przez autora zarzutom wiekowi XVII. o przesadę w praktykowaniu chrześcijaństwa, można także zarzucić nieraz przesadę. Jedną np. z cech pierwotnego chrześcijaństwa był obowiązek szerzenia i przepowiadania go, jedną z zasad nauki tej od jej początku było: iż obowiązkiem jest ludzkim podźwiganie natury swej, obciążonej jawną jakąś karą, przez umartwienia; kiedy więc autor wyraża, iż w owym wieku XVII. mylnie wierzono w kraju, iż Bóg może się ująć jakby datkiem: szerzeniem wiary, kiedy wytyka »ustawiczne w owym wieku wota, posty i umartwienia«, tedy właściwie nie jest to obwinianie wieku o przesadę w nauce chrześcijańskiej, ale samej nauki chrześcijańskiej. Jedną z cech czci religijnej od czasów świętego Wojciecha była szczególna cześć dla Bogarodzicy, cześć ta za czasów Kochowskiego silnie nadto wzniesioną została przez obronienie się Częstochowy od Szwedów; pamiątką i reprezentantką tego wzniesienia uczucia, wtedy powszechnego, pozostały nam właśnie między innemi poemata religijne autora Klimakterów; rzec można, iż niema tylu gwiazd droga mleczna, ile poetyczny umysł tego poety umiał wynaleźć i określić odcieni czci Matki Chrystusowej w owych poezyach: *Ogród panieński, Różaniec* i t. p. Gdyby autor postrzeżenia swe bliżej na przedmiot ten zwrócił, nie uczyniłby tej omyłki w swem założeniu, iż dla Kochowskiego poezyą była historya.

Najciekawszem, ile najnowszem, w rozbiorze poezyi Kochowskiego jest to, co autor mówi o ostatnim utworze tego poety: *Psalmodyi;* uważaliśmy już, iż tu zwróceniem bliższem uwagi na psalm VII. usprawiedliwił poniekąd twierdzenie swego poprzednika, że pismo to może się uważać za prototyp pism nader podobnej treści Brodzińskiego, Mickiewicza i innych; dla rzetelnej jednak charakterystyki tego utworu dodać wypada, iż Kochowski oprócz stylu trzymał się tylko w nim i tej metody autorów hebrajskich, iż wszystkie wypadki swojego kraju ze stanowiska sprawiedliwości i rządów bożych wykładał, lecz nie wdawał

się tu wcale w wieszczenia i właściwą historyozofię, — w psalmie owszem 27 mówi tu wyraźnie: »Wyroki królestw w górnym konsystorzu głęboko utajone zostają, a jakiego losu państwom spodziewać się, nikt nie zgadnie, aż fata kostkę rzucą«. Lecz mówiąc o ogólnej naukowej zasadzie dodajmy, iż ponawiane nieraz w tem studyum twierdzenie autora, że jakoby błędem było utrzymywać, iż szczególne ludy mają szczególne swe przeznaczenia, i że wyznawanie takiej nauki prowadzić musi do apatyi, do bezczynności, jest zdaniem naszem skutkiem tylko nieprzejęcia się należnego przez autora zasadami historyozofii. Jeśli bowiem ludzkość (historya) to jedność, tedy i różne jej członki, jak członki jednego ciała, muszą pełnić *różny* swój urząd; a jeśli wyrokiem czyim jest brak apatyi, jakże udziałem jego mogłaby być apatya?

Prócz tych ogólnych, i nie na jedno szczególne zdanie autora monografii moglibyśmy się nie zgodzić. Kiedy np. utrzymuje autor, iż od Kochanowskiego do Kochowskiego poeci nasi znali tylko erotyczność praktyczną, tedy musiał przepomnieć sonety Sępa, sielanki Symonowicza itp., kiedy mówi, iż w lirykach Kochowskiego był przedświt poezyi nowej, tedy żałujemy, iż nie objaśnił w czem? — Wnieść można, iż autor stosował to do Psalmodyi, nie liryk; nie zgodzilibyśmy się też co do nas (w rzeczy o pismach łacińskich) na przyznanie palmy dziejopisarstwa Piaseckiemu przed Kochowskim; szczegółowość i uczucie, czyli dusza, z jakiemi pisane są Klimaktery, daleko dobitniej i jaśniej przedstawiają nam określane dzieje i czasy, niżeli poważne i główne tylko rysy zewnętrzne określające pióro Piaseckiego i t. p.

Te główniejsze nastręczyły się nam uwagi i takie między innemi uderzyły nas ujemności przy odczytaniu obecnego traktatu o Kochowskim. Ujemności te, dodać jednak należy, zbyt drobne są w miarę stron dodatnich traktatu. Studyum obecne p. Rzążewskiego (objaśniając przez porównanie) ustąpić zapewne musi pod względem ścisłości

krytycznej studyom spółczesnym J. Przyborowskiego nad Kochanowskim, St. Węclewskiego nad Symonowiczem, — pod względem wdzięku stylu i wytrawności spostrzeżeń praktycznych, Wizerunkom [Portretom] przez Siemieńskiego; ale przeważającą jego zaletą jest to, iż, jak to już wzmiankowaliśmy, jest ono połączeniem obu tych kierunków, t. j. iż mieści i część historyczno-krytyczną, i rozbiór pism estetyczny, a wykonanie w obu tych kierunkach nie jest bez mnogich zalet. Praca obecna pana Rzążewskiego jest zasłużoną pracą, i dla przyszłego historyka literatury przygotowała cenny materyał.

1871.

3.

Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens. Zur Litteraturgeschichte des dreizehnten Jahrhunderts, von Heinrich Zeissberg.

Pod tym napisem wyszło jeszcze w r. 1869 w Wiedniu dziełko uczonego pisarza (obecnie profesora historyi w uniwersytecie wiedeńskim); dotąd jednak naszym księgarniom nieznane, najprędzej, jak się zdaje, dlatego, iż będąc po większej części wyciągiem i zestawieniem tego, co o Kadłubku pisali krajowi pisarze, przeznaczone jest raczej dla literatury zachodniej, jak naszej. Praca ta nie jest jednak próżną wcale zajęcia i wagi i dla polskiego czytelnika, już to dlatego, iż autor jej w ocenianiu kroniki Kadłubka opiera się na najkrytyczniejszem wydaniu jej tekstu (tj. porównawczem Mułkowskiego), już dlatego, iż oprócz zdań i sądów pisarzy naszych, którzy o Kadłubku pisali (jak: Lelewel, Ossoliński, Bielowski, Szajnocha i inni), zbliża sądy i zdania w tychże przedmiotach i pisarzy niemieckich jak: Szlecera, Röppela, Gutschmidta, Wattenbacha, San Marte i innych), z wyrażeniem w każdej gałęzi rozprawy i wniosków własnych.

Książka opowiada w pierwszej części żywot Kadłubka (str. 1—69), w drugiej — zawarcie kroniki, a mianowicie:

1) jej formy (str. 88—144), i 2) jej treści historycznej (144—205); pracę kończy wiadomość o rękopismach i wydaniach kroniki. Wykład w dziełku od początku do końca krytyczny, z możliwą erudycyą przedmiotu, a pomimo zadanie tak wyczerpane, natrafia się w niem nieraz na źródło nowe i spostrzeżenie nowe. Lecz co najwięcej jest miłem, a najmniej spodziewanem dla czytelnika polskiego w tej pracy, to oglądanie w ogólnym jej kolorze bezstronności w sądzie i przywracanie językiem Szlecera dobrej sławy pisarzowi, którego, jak to już sam napis wskazuje, autor uważa za osobistość, mającą znaczenie nie tylko w krajowej, ale i w ogólnej XIII wieku literaturze. Autor uprzedza wprawdzie we wstępie, iż nie ma i nie może mieć zamiaru uniewinniania Kadłubka ze wszystkich jego ujemnych stron, a idzie mu tylko o dojście do dokładniejszego zdania o tym autorze z rozbioru jego dzieła niż te, do jakich dochodziły badania dotychczasowe; wniosek jednak, do którego dochodzi i który przy końcu pracy wyraża, jest mianowicie ten, iż »sądząc ze stanowiska, wieku, w którym pisał, Kadłubek był literacko-historycznem zjawiskiem pierwszego rzędu« (*...was allerdings den Vincentius zu einer litterarisch-historischen Erscheinung ersten Ranges erhebt* str. 194). Recenzya tego dzieła, pióra Wattenbacha, znajduje się w »Heidelberger Jahrbücher« z r. 1870, posz. 10.

Dodajmy z okoliczności, iż inne pisma tegoż autora (Zeissberga), odnoszące się do historyi polskiej, o ile nam jest wiadomem, są: 1) *Miseco, der erste christliche Beherrscher der Polen* (w »Archiv für Oesterreichische Geschichte, t. 38); 2) *Ueber die Zusammenkunft Kaiser Otto's III mit Herzog Boleslaw I von Polen in Gnesen* w czasopiśmie dla gimnazyów austryackich 1868, zesz. 5); 3) *Die Kriege Kaiser Heinrich's II. mit Herzog Boleslaw I. von Polen* (w Sitzungsberichte de K. Akademie der Wissenschaften«, t. 57. zesz. 2); 4) *Die oeffentliche Meinung im XI Jahrhundert ueber Deutschlands Politik gegen Polen* (Czas. dla gimn. austr. 1868).

Co do pomienionej na początku pracy o kronice Kadłubka dodać tu można, iż autor jej tak co do ogólnego poglądu na literackie znaczenie tego kronikarza, jako też co do uważania jego kroniki, jedną ręką, nie zaś i Mateusza, pisanej, podzielił uwagi artykułu, umieszczonego w »Bibliotece Warszawskiej« z r. 1867 za maj p. n. »Kronika Wincentego Kadłubka przez Aleksandra Tyszyńskiego«, na który też pod tym ostatnim względem podwakroć się powołuje.

1872.

4.

Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza. Studyum Lucyana Siemieńskiego. 1871. Kraków.

Takie lub inne przekonania religijne w umysłach ludzkich skądże się biorą? — Odpowiedź zwykła jest: iż »z takich lub innych nauk wpajanych w umysł dziecinny«; odpowiedź ta nie jest jednak zupełnie słuszną. Jakże np. były niegdyś gorliwe i silne wyznania najpierwszych chrześcijan (wyszłych z judaizmu i poganizmu), a jednak przekonania ich były wprost przeciwne tym, jakie im były wpajane w umysł dziecinny; lub znowu np. spółczesny nam Wolter był wychowańcem jezuitów i został — Wolterem. Przekonania religijne uczniów tychże nauczycieli, dzieci tychże rodziców są zwykle różne i bywają już szczerogorliwe, już obojętne, już żadne. Przyczyna więc ostateczna tych przekonań, podobnie jak wszelkich innych, leży właściwie w jakiemś tajemnem źródle, w szyku duchowym, w jakimś przywileju szczególnym każdemu udzielanym. Gdy zaś tak jest i kiedy z drugiej strony treść religijnych przekonań, to treść głównego znaczenia dla losów ludzkich, tedy nie dziw, iż zajmującem jest śledzić i badać, jakie też były te przekonania w umysłach, o których skądinąd wiemy, iż udziałem ich było bogactwo duchowe. Książka, której napis przywiedliśmy, ma właśnie jedno z podobnych zadań,

a mianowicie: badanie i ocenienie, jakie też były istotne przekonania religijne najpierwszego z poetów naszych, Adama Mickiewicza.

Któż z nas nie zna i pism i szczegółów życia tego poety? a kto zna, nie zaprzeczy zapewne, iż przedmiot ten jest to istotnie treść do dyskusyi.

Mickiewicz był najprzód autorem Ballad i Dziadów, a w utworach tych nie tylko się był okazał pisarzem chrześcijańskim i katolicko-chrześcijańskim, lecz powoływał nawet do życia przesądy gminne; w następnych utworach i czasach głośnym był z wiersza, który odznaczyły cyniczne miotania się przeciwko Stwórcy (Improwizacya), przyjął udział w sekcie dwuznacznej (Towianizm) i wreszcie napisał był książkę z treści religijną wyłącznie, a która wniesioną została w Rzymie na »index« dzieł zakazanych.

Rzetelne religijne stanowisko tego poety jakież właściwie było?

Mickiewicz był wyznawcą chrześcijańskim i katolicko-chrześcijańskim, lecz i w katolicyzmie, jak wszędzie, różne są śród wyznawców i rodzaje i stopnie religijności.

Są np. śród katolickich wyznawców (mówimy tu *o wyznawcach)* jedni, którzy wszystkie dogmata i przepisy wyznają i pełnią literalnie; są inni, którzy i dogmata i przepisy pojmują wpół symbolicznie, ale i uznają ich prawdę i pełnią je, i są wreszcie, którzy lubo uznają w zasadzie prawdę tak jednych, jak i drugich, ale je przekraczają w praktyce już z takich lub innych powodów, albo bez naruszania ram głównych, pragną modyfikacyi.

Religijność Adama Mickiewicza do tego właśnie trzeciego odcienia religijności należała.

Charakterem tej jego religijności było, iż z jednej strony był on zawsze gorliwym i nie żenującym się wyznania swego chrześcijaninem; lecz z drugiej, iż przez cały ciąg swego życia oddany światu i porywany światem, przekonania i same nauczania swe religijne silnie zawsze daną chwilą światową odznaczał. Zawód jego piśmienny

dzielił się, jak wiadomo, na dwie epoki: wiersza i prozy, w jednej i drugiej przemagającą władzą w jego umysłowości była fantazyą, podczas jednak, gdy w epoce 1-ej (głównego królowania *fantazyi)* pierwiastek jego religijności przedstawiał się tylko w ciągłej walce ze światem, w drugiej (w którym miała wzrost i *rozwaga)* pierwiastek ten był powoływaniem gorliwem do nowych zwrotów.

W owej epoce 1-ej, poetycznej, M. opiewał był głównie i przedewszystkiem *miłość,* miłość płci, kraju, Boga, ludzkości, i t. p.; pierwiastek wprawdzie w zasadzie swojej chrześcijański, ale fatalność chciała, iżby w każdej z tych pieśni główna jej treść przedstawiała się zawsze w niejakiej sprzeczności z jego sumieniem. Miłość np. którą opiewał w pierwszych swoich poezyach, balladach, romansach, dziadach, sonetach, była to miłość osoby związanej ślubem małżeńskim z innym; w poemacie, w którym idealizował miłość kraju, sławił zdradę, obłudę, mordowanie chrześcijan przez pogan i t. p. Że ta treść i te kreślone przedmioty były w kontraście z sumieniem autora, to okazują między innemi i same szczegóły tych utworów; autor np. swych bohaterów w Dziadach z jednej strony kreślił jako potępieńców czyscowych, lecz z drugiej sam sposób kreślenia ich przewinień, ich pasyj nie okazywał wcale koloru skruchy.

Tak np. w IV części części Dziadów, której najogólniejszą treścią było opiewanie i idealizowanie pocałunku cudzej narzeczonej, sposób określania historyi wzajemnych uczuć, nie był wcale wystosowany do pogodzenia nadal małżonki z małżonkiem. Poemat ten kończy wprawdzie surowa, religijna przestroga, ale w samej przestrodze tej był jeszcze szczyt kokieteryi:

Bo słuchajcie, a zważcie u siebie,
Że wedle bożego rozkazu,
Kto za życia choć raz *był w niebie*,
Ten po śmierci nie trafi do razu.

W Wallenrodzie znowu uważać można, iż radość bohatera z wymordowania chrześcijan, deptanie krzyża, zim-

niejszemi są poetycznie niż np. kreślenie tych chwil, kiedy Walter nawracał Aldonę i tych religijnych jej uczuć, które przechowane do śmierci, tak nieporównanie wyraziły się były jeszcze w jej *Pieśni z wieży*.

W części Dziadów, której bohater szarpnął się był w swem wołaniu namiętnie przeciwko Stwórcy, do bohatera tego jego towarzysz duchowny, dla którego był ze czcią szczególną, tak mówił między innemi następnie:

»Módl się! bo straszna Pańska dotknęła cię ręka!« — słowa, któremiś obrażał majestat boży, to słowa głupstwa, a słowa głupstwa to największa męka dla ust mądrych«. Przestroga ta jednak nie zapobiegła naturalnie temu zgorszeniu, jakie czyniła ta improwizacya z owem sarkaniem i wyzywaniem Boga, a której najogólniejszym wyrazem było:

»Kłamstwo! kto ciebie nazywa miłością!«

Czasem zupełnego uspokojenia i równowagi światowych i religijnych uczuć autora zdaje się być czas kompozycyi P. Tadeusza. W całej tej kompozycyi M. nie potrącał nigdzie prawie o przedmiot religijności i nie walczył z nim, a tylko w zaczęciu wezwaniem do »Panny Świętej«! co »jasnej broni Częstochowy« i co go »dzieckiem od śmierci ratowała cudem«, poświadcza o istnieniu i przechowywaniu się w nim pierwotnej wiary rodzinnej.

Tu też nastąpiła była w życiu M. epoka wzrosłej rozwagi i jego pism prozy; — pisma te już były ze sfery historyozofii, już literatury słowiańskiej, już w prost religijnej, a autor, który był nie tylko wyznawcą, ale i najszczerszym wielbicielem kart Ewangelii i płynącej z niej władzy kościelnej, uwielbieniem tem odznaczał też dobitnie przedmioty tych pism.

W *historyozofii* M. losy szczególnych ludów porównywał do losów i prawie znaczenia Zbawcy. W wykładzie literatury słowiańskiej za miarę znaczenia i wartości szczególnych pism i pisarzy kładł ich przybliżanie się lub oddalanie od katolicyzmu, — po przejściu zaś zupełnem w dzie-

jowo-mistyczną czyli messyaniczną propagandę, w dziele ogłoszonem w języku francuskim w dwóch tomach p. n. *Kościół urzędowy i messyanizm (L'église officielle et le messianisme)*, stosunek katolickiego duchowieństwa do nauki messyanicznej określał. Książka ta, jak to już wzmiankowaliśmy, wniesioną była (może dla samej przyzwoitości) na *Index* w Rzymie; myliłby się jednak, ktoby sądził, iż szczegóły jej obejmowały jakąś naukę od dogmatycznej chrześcijańskiej odstępną czyli kacerską, książka ta była tylko namiętną i nie w jednem istotnie przesadną filipiką przeciw egoizmowi duchowieństwa katolickiego i zapominaniu przez nie na messyaniczne cele, na nutę owych surowych przestrog ewangelicznych: »Ale biada wam Doktorowie zakonni i Faryzeusze«! — jak zaś dalece autor w całem tem piśmie nie przestawał być katolikiem, dosyć tu będzie wskazać na to np. wyrażone tu w ciągu pisma zdanie: iż »dotąd najlepszą historyozofią jest Litania do Wszystkich Świętych« (tj. chronologiczne wymienianie ludzi duchem najbogatszych), lub na ów wyrzut: iż »od Piusa V. nie zasiadł już na stolicy apostolskicj żaden świątobliwy papież«, wyraz naturalnie pod piórem katolickiego pisarza mniej przyzwoity, lecz który zarazem był zupełnym hołdem dla duchowego znaczenia Piusa V. Dodajmy, iż w kilka lat po wydaniu tej książki, Mickiewicz osobiście upraszał w Rzymie o rozgrzeszenie, a Pius IX. (jak czytamy w Studyum nad Słowackim Cypr. Norwida) na tę prośbę miał odrzec: »przebaczam, mój najdroższy synu, przebaczam, z całej duszy przebaczam«.

Taką więc była rzetelna religijność Mickiewicza i jego mistyka; przekonanie o prawdzie nauk katolickich najgłębsze, ale przez poetyczną fantazyę żywą i czynną, w każdej epoce życia w różny sposób cieniowane i cechowane. Przedstawienie tej religijności i mistyki przez p. Siemieńskiego w piśmie obecnem z wielu względów jest podobnem do tego, jakie wyraziliśmy: ma ono przytem, jak to wszystko, co z pod pióra jego wychodzi, odcień stoso-

sowany społeczny, i wdzięk słowa i myśli w wykładzie, jakkolwiek niekiedy zarazem (gdyż i to się zdarza pióru tego poety — krytyka) i niezupełne wyczerpanie przedmiotu. Autor np. lubo wskazuje tu dowodnie, iż Mickiewicz z przekonania był katolikiem, nie odznacza jednak wyraźniej odcieni jego katolicyzmu i nie wzmiankuje nawet o wszystkich tych pismach (np. o owem *Église officielle*), które w życiu autora główne szczegóły mistyki jego cechowały.

Najcharakterystyczniejszą i najdobitniej przekonywającą o sile religijnego ducha Mickiewicza jest ta uwaga autora, iż poeta ten zaraz pierwszą swą pieśnią podziałał na zimno i sceptycznie usposobione pokolenie całe i że nie tylko rzetelnej poezyi, ale i samej wiary chrześcijańskiej w młodzieży mógł nazwać się wskrzesicielem. Cofając się wspomnieniem do owych czasów, których i sam był uczestnikiem i pozostał świadkiem, p. Siemieński tak tu mówi między innemi:

»Ton, w jakim się na samym wstępie odezwał Mickiewicz, był wprost przeciwny tonowi, do którego tak nas powagą swoją przyzwyczaił był książę poetów (Krasicki). Uwielbiona muza rozsądku bardzo praktyczna, treściwa, żartobliwa, dworująca dowcipem, wydała się zimną jak posąg z lodu, przy tym śpiewie słowiczym, wychodzącym z szerokiej piersi litewskiego barda. Kto raz był tknięty tym urokiem, czuł się wewnątrz zaniepokojonym i choćby jak odganiał natrętnego ducha, duch wracał, póki mu się nie poddał«.

Uczyniwszy autor trafną uwagę, iż śpiew poety był z pewnej strony dla swych prowincyj tem, czem był niegdyś Homera dla greckich (tj. w jedność wiary duchowej łączącym), tak też zarazem kreśli tę stronę wewnętrzną jego pieśni i zbudzony ku niej interes w krąg okoliczny:

»Z pól wielko i małopolskich, ze stepów ukrainnych, zwracały się umysły w strony niemeńskich borów i nasłuchiwały ich szeptów i szumów, czy nie wygadają więcej tych tajemnic serca i ducha, jakie zdawały się tam zosta-

wać pod strażą czarodzieja, na którego zaklęcie przemawiały groby, a duchy żywiołowe z głębi wód, drzew i kwiatów jawiły się na wezwanie w widomej postaci; wierzenia gminne z całą swoją cudownością zmieszały się u niego z wierzeniami kościoła i za pośrednictwem tej poezyi zbliżały ku niemu serca proste, potrzebujące wierzyć«.

W tej władzy i tym pociągu ogląda też autor zawartą odpowiedź tym, którzy (jak np. autor biografii Mickiewicza w dzienniku wiedeńskim *Postęp*) objawiają zdanie, iż cała mistyczność w pierwszych poezyach Mickiewicza była tylko udaniem i sztuką pisarską.

»Zwykły kuglarz słowa obleczonego w szatę ludowych wierzeń, odpowiada na to autor, potrafiłżeby dokonać tej przemiany w sferze duchowych usposobień, na jaką patrzyliśmy żywemi oczyma, jaka zaszła w nas samych, gdy wiosenny deszcz tej poezyi, ciepły, odradzający, odrazu spłukał nieczystości długiej zimy... Co więcej, z ust młodocianych ustąpił uśmiech sceptyczny i ten od Woltera zapożyczony dowcip, co krótko a węzłowato rozcinał każdą kwestyę tyczącą się wyższych przeznaczeń człowieka. Sama wyrachowana zręczność, sztuka posunięta najwyżej, czyżby potrafiła tyle serc otworzyć, przerzucić je w inny świat wyobrażeń, i to tak nagle«? [1].

[1] Wychodzenie przez Mickiewicza jawne z zasad chrześcijańskich dało, jak słusznie uważa p. Siemieński, pewne ciepło czuć słuchaczom, a ciepło to następnie kazało im dodatnio i ze spółczuciem przyjmować i te tegoż pióra utwory, w których kierunek ten nie był zupełnie jasnym. Tak np. w znanej a napisanej ówcześnie *Odzie do młodości*, lubo poeta czyniąc wezwanie do swych towarzyszy i wołając:

»Razem młodzi przyjaciele!«

nie objaśniał szczegółowiej celów tego wzywania, wszakże nikt nie pomyślał zapewne wtedy, iżby wykrzyknieniem tem wzywał towarzyszy swych młodych ile młodych, np. do miejsc publicznych albo na drogi publiczne, wątpliwość zaś ta mogłaby istnieć, gdyby wiadomem było, iż wychodzi z zasad materyalnych końca wieku zeszłego iub im podobnych. Powoływanie do celów zgodnych z duchem religii chrześcijańskiej nie tylko dlatego jest ciepłem, że ukazuje jako owoc: etykę chrześcijańską,

Stan duszy Mickiewicza w latach następnych autor wogóle nazywając mistyką, objaśnia: iż ta się w nim rozwinęła z czytywania pism Böhma, St. Martina i t. p. i uważa ją jako zwichnienie czasowe umysłu poety.

Co do historyozofii, a mianowicie owej myśli poety, iż nauka katolicka o śmierci Zbawcy »poniesionej dla zbawienia rodu ludzkiego« odnieść się może do dziejów jednostek społecznych, autor wyraża w tej rzeczy taką (mniej przychylną) uwagę: »gdyby ten rodzaj illuminizmu można nazwać mistyką, to sposób postępowania w tej pracy różnił się bardzo od procederu prawdziwych chrześcijańskich mistyków, którzy pokorę kładli za pierwszy warunek doskonałości... *Owa* mistyka śpiewaka Dziadów, uwinięta w kraj poezyi, ma urok niezrównany, idzie przebojem w duszę, zaprawna wonią orzeźwiającą, którą wciągasz pełnemi piersiami. U naśladowców jego, a miał ich niemało, staje się ckliwą, a często niedorzeczną jak nadużycie«.

Jest wiele prawdy w tych słowach; sądzimy wszakże co do nas, iż śród tego naszego świata harmonii, a więc nie *przypadkowości* tak w natchnieniach, jak w dziejach, pochwycenie i sposób rozwinienia owych historyozoficznych myśli (których ostatecznem wyrazem były: wiek przyszły i miłość wszechludzka) za jedną z najwyższych zalet pióra Mickiewicza i nie za *poetycznego tylko* znaczenia zabawkę poczytywać wypada.

1873.

---

która jedynie zaręczyć jest zdolną pokój i szczęście śród związków ludzkich, ale też nadto dlatego, iż jest to powoływanie do urzeczywistnienia tej idei, którą od samych jej początków prowadzi i rozwija jakaś wyjątkowa i tajna opieka Duchowa, przekraczająca w każdej epoce danej wszelkie rachuby ludzkie i wyrozumowywania. Jakoż i tej poezyi Mickiewicza następstwem było: nie zabłysnąć tylko i skonać, lecz owszem wpłynąć na pokolenie i pokolenia, i to nietylko pośród własnego kraju.

5.

Stefan Damalewicz, historyk, przełożony kanoników lateraneńskich w Kaliszu. Żywot skreślony przez Adama Chodyńskiego. 1872. Poznań.

O życiu ks. Stefana Damalewicza, dawnego biografa naszego arcybiskupów gnieźnieńskich i biskupów kujawskich, podobnie, jak o życiu tylu innych naszych pisarzy dawnych nie mieliśmy dotąd prawie żadnej wiadomości; powtarzane tylko były te krótkie szczegóły, które był podał o nim Janocki w swych »Janocianach«, a mianowicie, iż będąc teologiem arcybiskupa M. Łubieńskiego, mianowany był kanonikiem katedry włocławskiej, następnie zaś przyjąwszy regułę kanoników lateraneńskich, był ich przełożonym i zarazem proboszczem św. Mikołaja w Kaliszu, gdzie też około roku 1654 życia dokonał. W obecnym żywocie, który nam skreślił p. Chodyński, szczegóły te znacznie zostały rozszerzone, a w części zupełnie zmienione a to na zasadzie dwóch źródeł rękopiśmiennych: odkrytej niedawno w Kaliszu biografii przełożonych kanoników lateraneńskich kaliskich, skreślonej przez ostatniego ich przełożonego ks. Marszałkowskiego i kroniki klasztornej opactwa w Trzemesznie, gdzie właściwie Damalewicz dokończył życia.

Ze szczegółów nowych o życiu tegoż pisarza dowiedzieliśmy się tu więc między innemi, iż w r. 1638 po obronie rozprawy w akademii krakowskiej, otrzymał był stopień doktora teologii w tejże akademii, iż kanonikiem katedry włocławskiej był od roku 1642—1645, iż w tym ostatnim roku przyjąwszy regułę zakonną, był naprzód pomocnikiem zgrzybiałego przełożonego kanoników lateraneńskich kaliskich ks. Zubera, a po śmierci jego obrany był przełożonym i zarazem proboszczem św. Mikołaja w r. 1649, iż oprócz tych urzędów, był też oficyałem foralnego konsystorza, iż w r. 1645 uczestniczył w *Colloquium charitativum* toruńskiem, a w r. 1646 w generalnej kapitule kanoników regularnych w Ravennie, iż w ciągu swego życia

kilkakrotnie był w Rzymie i wreszcie, co najmniej było spodziewane, iż w r. 1660 przez arcyb. gniez. Leszczyńskiego złożony został z urzędów, a przytułek gościnny dało mu opactwo w Trzemesznie, gdzie jednak kilkanaście lat jeszcze przeżył, umarł bowiem dopiero w r. 1673. Do tej wiadomości o złożeniu z urzędu należy nadto parę ciekawych szczegółów. Kaliskie probostwo św. Mikołaja zostawało, jak wiadomo, pod zwierzchnictwem opata wrocławskiego, po zniemczeniu Szlązka proboszczowie ci zaczęli się wyłamywać od tego zwierzchnictwa, ale długo daremnie, stanowczego bowiem wyzwolenia dokonał dopiero proboszcz Wojciech *Wilczicz* (zm. 1674). Otóż ciekawem jest, iż złożenie z urzędu Damalewicza było właśnie skutkiem intryg tegoż Wielewicza, który natenczas był jednym z kanoników lateraneńskich kaliskich i że pierwsze zarzuty, które mu czynił, opierały się na tem, iż nie miał potwierdzenia opata wrocławskiego, które też w końcu Damalewicz musiał wyjednać. Zaś drugim, ciekawym szczegółem jest iż duchowny, który zjechał był z Gniezna dla zawiadomienia Damal. o złożeniu z urzędu, był to kanonik *Bużeński*, który następnie był autorem rozszerzonych i poprawnych biografij arcybiskupów gnieźnieńskich, które w r. 1649 wydrukował był Damalewicz.

Co do czynności literackiej Damalewicza, w żywocie obecnym znajdujemy także szczegóły nowe. Prócz dzieł bowiem tego autora, przytaczanych o Janockiego, Bentkowskiego i Jochera, jako to: *Vitae Vladislaviensium episcoporum Stephanoma, Series archiepiscorum gnesnensium, Constitutiones canonicorum regularium* i *Vita s-ti Bogumili*, p. Chodyński zaznajamia nas jeszcze z najpierwszemi publikacyami tego autora, jakiemi były z r. 1637: *Conclusiones ex Theologia morali...* ad disputandum publice propositae, i z r. 1638: *Questio Theologica de merito bonorum iusti operum* (traktat broniony przy doktoryzacyi), a także z jedynem dziełem Damalewicza, napisanem po polsku, którego dotąd nie znał żaden historyk naszej literatury,

a którem jest kazanie, miane przez Damalewicza przy wyświęceniu ks. Kęsowskiego na opata w Oliwie, noszące stosownie do mody ówczesnej allegoryczny, czyli poetyczny napis: *Róża z opatrzności boskiej nową szatą odziana.*

Napisy wszystkich tych dzieł Damalewicza przytaczane są przez p. Chodyńskiego z całą dokładnością bibliograficzną, a z dołączeniem zdań o ich treści. Zdania te, lubo krótkie, są trafne. Autor słusznie broni prace Damalewicza od przesadnych w części napaści na nie Brauna w jego *Judicium* o pisarzach polskich, nie podając jednak bynajmniej bohatera swego za geniusz, ani za talent, wyraża o nim owszem to skromne i słuszne zdanie: »Damalewicz nie należał do znakomitości dziejopisarskich wyższej zdolności, był jednak człowiekiem niepospolitej nauki, pracy wytrwałej i żelaznej, badaczem archiwów, zbieraczem materyałów na polu historyi kościoła ojczystego«.

Dla zaznajomienia czytelnika ze stylem polskim Damalewicza, autor przytoczył wyjątek z jego kazania *Róża;* z wyjątku tego w tymże celu przytoczymy wyjątek z dodaniem uwagi, iż z treści tego wnieść można, że do szczegółów charakteru ks. Damalewicza należeć musiała pewna surowość i szorstkość, która go narażała na nieprzyjaźń duchownych, a której skutki po śmierci protektora swego, arcybiskupa Łubieńskiego, dotykalnie wnet uczuł. Mowca zwracając swą mowę do nowego nominata na opactwo i przestrzegając go, iżby nie naśladował na tym urzędzie innych wielu, tak między innemi mówi: »Przypatrzcie się pilnie, jak wiele dusz opackich jako perzyn siennych w kominie się ognistym przewija, których Bóg jako siano niepotrzebne w piec ognisty na wieki wtrącił, dlatego że jako *fenum agri,* jako siano polne, nie ludziom na pożytek zbawienny kwiecie godności rozpościerali, ale na szkapy, psy i bestye pieczołowanie powinne o ubogie Chrystusowe obracali« etc.

Jest jeszcze w żywocie przytoczony z rękopismu ks. Marszałkowskiego całkowity testament ks. Damalewicza

i autor zwraca uwagę, iż Damalewicz w pisaniu go nie podzielił makaronicznej wady wieku, zdaje się nam jednak, iż jest to przekład ks. Marszałkowskiego, nie oryginał; język od początku do końca jest tu i czysty i zbyt dzisiejszy; testament ten nadto obejmuje nie dyspozycye co do ruchomości, ale jakby wyznanie wiary i usprawiedliwienie się ze swych czynności, był więc mową raczej zwróconą do Boga i do duchownych, nie zaś do świata, Damalewicz użyć tu więc musiał języka, którym wyłącznie pisywał i który zapewne uważał za bardziej religijny.

Takie jest w głównych rysach dziełko p. Chodyńskiego. Dziełko krótkie co do ram, ale i porządnie napisane i zajmujące. Opowiadanie prowadzone tu jest wszędzie jasno, dokładnie i zaokrąglone nadto w ustępy historyczne z przedmiotem związek mające. W ciągu wykładu spotykamy się tu wprawdzie nieraz z twierdzeniem, które lub było jawną omyłką, lub wymaga dowodów, iż nie było omyłką, w rodzaju np. następnych. Na str. 17 autor mówi: »*Dykcyonarz polski powszechny* podał był mylną wiadomość, że był on (Damalewicz) kanonikiem wileńskim. Błąd ten sprostował już Janocki«. Co to był za Dykcyonarz polski powszechny, który poprzedził Janockiego, a o którym żaden nasz bibliograf dotąd nie słyszał? Janocki wprawdzie w »Janocianach« pod artykułem Damalewicz, rzeczywiście czyni to sprostowanie i wzmiankuje o *słowniku powszechnym,* a to w tych słowach: »Damalewicz... Canonicus vladslaviensis, vilnensis, canonicus perperum dictus a nostri temporis praesule et literatore illustri in *Lexico universali* lingua polonica composito sub vocalulo Damalewicz«, t. j.: »Damalewicz, kanonik włocławski, mylnie nazwany kanonikiem wileńskim przez naszego znakomitego dygnitarza i autora w jego słowniku powszechnym, ułożonym w języku polskim, pod artykułem Damalewicz« — lecz jest to oczywiście wzmianka nie o czem innem, jak o *Zebraniu wiadomości potrzebnych,* które w tym czasie wydawał Krasicki porządkiem abecadłowym, a w którem pod artykułem

Damalewicz rzeczywiście czytamy: »Damalewicz, *kanclerz wileński*, napisał« etc. Zebranie wiadom. wyszło w r. 1781, zaś tom III. »Janocianów«, w którym mowa o Damal. skończonym był w r. 1782, jak to widać z objaśnienia wydawcy tego tomu (Lindego) w r. 1819.

Na str. 57 przy wzmiance, iż Damalewicz brał udział w *Colloqium Charitativum*, t. j. owym zjeździe toruńskim, na którym miano nadzieję, iż nastąpi takie zjednoczenie z protestantami, jak na brzeskim nastąpiło z kościołem wschodnim, dodaje między innemi autor: »Bracia polscy, aryanie, pomimo, że ich także zaproszono, nie zjechali«. Szkoda, że autor nie objaśnił, skąd zaczerpnął tę wiadomość; we wszystkich bowiem kronikach i wzmiankach o tym zjeździe znajdujemy owszem to objaśnienie, że aryanie nie mieli wezwania, tak jak i na zjazd sandomierski w r. 1570. W XVII. wieku nie przypuszczano, aby nawet możliwem było myśleć o jakiej zgodzie chrześcijan z aryanami, z tego zaś, co mówi biskup Piasecki na ostatnich kartach swej kroniki o tym zjeździe spółczesnym sobie, okazuje się, iż aryanie na zjazd toruński nie tylko nie byli zaproszeni, ale byli zeń wyproszeni, tak bowiem mówi: »Zjechało się liczne grono lutrów, kalwinów, a nawet z Niemiec wielu mistrzów nauki kacerskiej, ale ci wszyscy nowochrzczeńców aryańskich od społeczeństwa swojego wyłączyli«. Wezwanie to oczywiście znajdzie się chyba w tejże samej szafce, gdzie i ów *Dykcyonarz polski powszechny*.

Na str. 39 wytykając Damalewiczowi, że w swym żywocie biskupów wrocławskich idąc za Długoszem, wzmiankował o istnieniu biskupstwa kruszwickiego, z którego miało powstać włocławskie, dodaje: »Jak Długosz podaniem swojem wprowadził w błąd Damalewicza, tak ten znowu utwierdziwszy go, *spowodował*, że Paprocki w Herbach rycerstwa, Starowolski w Monumentach, Niesiecki i wielu innych tę samą powieść o biskupstwie i biskupach kruszwickich powtarzało«. Pomijamy, iż nieistnienie biskupstwa kruszwickiego, dowodzone w ostatnich czasach, nie jest jeszcze

faktem stanowczo stwierdzonym; ale jakim sposobem dzieło Damalewicza, wydane w roku 1642, mogło spowodować błąd Paprockiego w Herbach rycerstwa, które wyszły w r. 1584, to wytłumaczyć chyba może *lapsus calami.*

Ale takie i tym podobne usterki, chociaż usterki, nie należąc do przedmiotu głównego, nie znoszą wcale zasługi dziełka, które, raz to jeszcze powtórzmy, jest i zajmującym i pożądanym do dziejów literatury naszej przyczynkiem.

1873.

6.

La Poésie latine en Pologne par René Lavollée, Docteur ès lettres. Paris, 1873, str. 50.

Zawstydzają nas cudzoziemcy. Przedmiot tak z treści obszerny, w szczegóły świetne obfity, a z tylu stron zajmujący, jak uprawa poezyi łacińskiej w literaturze polskiej, nie ma dotąd u nas swej monografii. Nawet pod piórem historyków naszej literatury (których liczba skądinąd tak jest nieszczupła), gałąź ta krótko zwykle i lekko bywa zbywana. Tylko Michał Wiszniewski w swej Historyi literatury, jak w każdej innej gałęzi, tak i w tej zebrał był i przedstawił pod każdą epoką skarbiec faktów, przytaczając nie tylko nazwiska poetów po łacinie piszących i ich prace, ale też z nich wyciągi i zdania o wartości, a po nim przedmiot ten ze szczególną miłością powtórzył i nawet w części rozwinął w swych »Dziejach Literatury« Kondratowicz. Oba te jednak dzieła kończą opowiadanie swe początkiem XVII. stulecia i w obu rzecz o poezyi łacińskiej jest w rozproszeniu. Obecnie mamy przed sobą dziełko w języku francuskim, nieobszerne wprawdzie, ale napisane porządnie, i treść którego właśnie owemu przedmiotowi wyłącznie jest poświęcona. Autor tego dziełka, p. René Lavollée, przedmiot ten obrał był najprzód za treść rozprawy łacińskiej, która zjednała mu stopień doktora *ès lettres* w uniwersytecie paryskim (rozprawa ta pod napisem: *De*

poetis latino-polonis etc., drukowana w r. 1869 u Didier w Paryżu), obecnie zaś umieścił artykuł w tymże przedmiocie w n-ach z 1 lipca i 13 sierpnia r. z. w dzienniku *Le Contemporain* i tego to właśnie artykułu osobne odbicie stanowi powyższe dziełko. Dziełko to, powiedzmy to zgóry, nie jest to żadne studyum bibliograficzne, a nawet szczegółowo krytyczne nad poetami, o których mówi; jest to po największej części wyciąg tylko i zbliżenie rozproszonych wiadomości o poezyi polsko-łacińskiej z Historyi literatury polskiej Wiszniewskiego, którą też nieraz przytacza; dodane tu jednak zarazem rzeczy o Sarbiewskim, obszerniejsze ocenienia kilku poetów głównych, oraz oznaczenie stosunku ich prac do swej gałęzi, t. j. do poezyi łacińskiej w innych krajach Europy, której autor zdaje się być znawcą specyalnym.

W zaczęciu swej rozprawy p. René Lavollée wyraża, iż we Francyi trzeba dziś pewnej odwagi, aby mówić o rzeczach polskich (które, jak dodaje, z łaski dziś trochę wypadły) i o przedmiocie tak potępionym, jak są studya klasyczne; jakoż w ciągu rozprawy miał wzgląd, jak się zdaje, na jedno i drugie, jakkolwiek poświęcił rozprawę klasycyzmowi, nie omieszkał go także w końcu w części potępić; co zaś do względu pierwszego, jakkolwiek pochlebnie dla kraju, o którym miał pisać, wyraża: »iż nie jest bez interesu badać, jak owe nauki klasyczne wpłynęły na cywilizacyą jednego z pierwszych ludów w Europie« (»ce que ces études ont fait pour la civilisation de l'un des premiers peuples de l'Europe«), w rozwinieniu jednak przedmiotu nie myślał wcale o powściąganiu się w surowości sądów, i rzec prawie można, iż dziełko obecne tem jest dla poetów naszych łacińskich, czem niegdyś było *Judicium* Dawida Brauna dla historyków polskich.

Przytaczamy tu w krótkich słowach treść dziełka, z zachowaniem, po największej części, i własnych wyrażeń autora.

Miłość poezyi i pieśni była wcześnie udziałem ludu

polskiego, jak wogóle Słowian. Śpiewano tam przy weselach, i śpiewano przy pogrzebach i t. p., a pieśni te w części przechowały się dotąd, częścią wcielone zostały do kronik w przekładach łacińskich. Miłość śpiewu i pieśni rytmicznych były powszechne w kraju, wstrzymywano się tylko od nich w razie żałoby publicznej. Jakaż była wartość tych pieśni? »Jeżeli, mówi autor, mamy o tem sądzić z urywków, jakie nam przechowali kronikarze w przekładach łacińskich, wykazują one w twórcach niewiadomość i zupełny brak uczucia poetycznego; styl jest płaski, częste repetycye, tak jak we wszystkich żalach, jakie śpiewano ówcześnie w Europie całej; wiersze są twarde, mylne *(faux)* i tak niepoprawne, iż możnaby je wziąć za prozę, gdyby nie rymy po kilkakroć powtarzane« (str. 3). Dla przykładu przytacza autor w przekładzie francuskim [1] wiersz na śmierć Bolesława z Kroniki Galla. W XIII. wieku ukazały się już w Polsce przedstawienia teatralne; dawano je nawet po kościołach, co powściągnione dopiero zostało osobną bullą Inocentego III. Ogólny zwyczaj przedstawień trwał ciągle, a po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego panowie polscy przedstawić mieli allegoryczny dramat, do którego weszły radość, smutek, swoboda, sprawiedliwość i roztropność, tekst którego przechował Kadłubek w swej Kronice. Autor przytacza tu parę pierwszych strof z tego wiersza i zwróciwszy uwagę, iż główną tu zaletę stanowią antytezy słów i obrazów, dodaje: »takie dziecinady zapełniają seciny wierszy, wszystkie na jedną miarę i rymując z sobą, ale tak barbarzyńskim stylem i składnią, że zaledwie można uchwycić sens jakiś, a nieprzerwaną jest tylko nuda nieśmiertelna« (str. 8). Autor przytacza dalej przekład wiersza łacińskiego z r. 1410 o bitwie pod Grunwaldem i wzmiankuje w ogólnych zdaniach o poezyach Stanisława *Ciołka,* Adama *Świnki, Grzegorza* z Sanoka, *św. Kazimierza.*

[1] Wszystkie bez wyjątku przytoczenia w ciągu książki czynione są w przekładzie francuskim prozą.

Kotwicza, Jana z Oświecimia i in., i dodaje: »poezya polska, jak to widzimy, miała po swem nastaniu charakter z gruntu historyczny«.

Wiekiem rozwinienia i blasku poezyi łacińskiej w Polsce był wiek XVI. Rozpoczął go *Paweł z Krosna,* mistrz poezyi w akademii krakowskiej; uczniami jego byli: *Jan z Wiślicy, Krzycki, Hussovianus* i Jan z Gdańska *(Dantiscus).* Poeci ci wszyscy byli poetami niewielkiej wartości, ale zabłysnął wkrótce nad innych *Klemens Janicki.* »Poeta ten nie opiewał w swych rytmach, jak większa część spółczesnych mu poetów, mniemanych nieszczęść urojonego bohatera, ale cierpienia istotne, swoją przedwczesną starość i śmierć niechybną... stąd też poezya jego miała zbyt więcej niż innych, słowa trafnego, natchnienia wzniosłego i rzeczywistego pociągu« (str. 18). Autor przytacza obszerniejsze wyjątki z kilku elegij i dodaje: »Styl Janickiego jest płynny, chociaż niekiedy trochę pretensyonalny i ciemny, jego wiersze są trafne *(justes)* i dobrze zbudowane, i wreszcie (wyjątkowo pochlebnie dodaje autor), patrząc na tę naturalną strojność, która ich cechą, możnaby rzec, iż są dziełem nie skromnego wieśniaka polskiego, lecz patrycyusza Wenecyi i Florencyi, pełnego *rzymskiej* gracyi, słodyczy nieba *włoskiego,* a spoufalonego z poezyą przez stałe obcowanie z muzą *grecką*« (str. 21). Naśladowcami Janickiego byli: *Grzegorz z Sambora,* Andrzej *Trzycieski,* Jan *Kochanowski.* J. Kochanowski »liczony do najlepszych poetów polskich, pierwej nim zaczął pisać po polsku, pisał elegie i liryki po łacinie, w których nie bez powodzenia naśladował Tybulla i Horacego. W niektórych naśladował Petrarkę. Śpiewając miłość, nie zapominał też jednak i o kraju, który już sławił, już bronił. Tu autor wspomina między innemi i o odpowiedzi Kochanowskiego na paszkwil *Desporta* i z odpowiedzi tej (mającej napis *Gallo crocitanti)* bezstronnie najzjadliwsze miejsce przytacza[1]. »Poufałym (?) przy-

[1] Jakby przez odwet jednak autor przytacza tu zarazem w przypisku cały ów paszkwil *Desporta* ze zbioru jego poezyi. W literaturze

jacielem Kochanowskiego był *Klonowicz*, pisał on po łacinie i po polsku, już satyry na obyczaje swego kraju, już jego pochwały«. Ten ostatni przedmiot ma jego *Roxolania*, czyli śpiew pochwalny ziemi czerwonoruskiej. »Jest to pewnem, powiada autor, iż w poemacie tym wpada niejednokrotnie Klonowicz w powszedniość i błahostki, ale daleko więcej przedstawia się jako poeta zdolny i dzielny«. Przytoczona tu treść Roxolanii i ustęp o Fedorze. Poemat satyryczny *Victoria Deorum* napisał był najprzód autor po polsku (?), następnie po łacinie, »ale mimo całą staranność brak temu dziełu natchnienia poetycznego i życia; jest to tylko rodzaj scholastycznej dyssertacyi o prawem szlachectwie, pisanej stylem zimnym i ciężkim«, »Klonowicz miał umysł otwarty i łatwy, zadziwiający zapał do pracy, styl jasny i czysty, jakkolwiek wiersz jego był powolny i monotonny. Gdyby był pisał mniej, a bardziej starannie, gdyby się był nie lenił więcej ścieśniać swe myśli i ogładzać styl,

naszej paszkwil ten (poety *erotycznego*, który do Polski przybył był razem z Henrykiem Walezyuszem i razem z nim uszedł) nieraz z okoliczności poezyi Kochanowskiego był wspominany, tu jednak po raz pierwszy oglądamy go w jego całości. Wiersz ten, mający napis: *Adieu à la Pologne*, ma sześciowierszowych strof dziewięć; jest on gładki, dowcipny, cechuje go jednak wyraźnie jakaś osobistość i stronna złośliwość. Poeta między innemi tu woła: »Ludu dziki, arogancki, hardy, wietrzny i paplający, który za jedyną rozkosz masz kufel, i albo z nim chrapiesz u stołu, lub usypiasz na ziemi, nie wasze to lance i skrzydła sprawiają, żeście niezwalczeni —

(Ce ne sont pas vos grandes lances creusées
Vos peaux de loup, vos armes deguisées,
Où maint plumage et maint aisle s'étend,
Vos bras charnus ni vos traits redoutables
Lourds Polonais qui vous rend indomptables) —

ubóstwo to tylko was broni. Milsza jest Ottomanowi ciepła Kandya, a Niemcom bogata Flandrya, niż wasze ziemie«. Poeta *Desportes* nie był oczywiście wieszczem; Byczyna i Chocim dowiodły, że ani Ottomani, ani Niemcy nie myśleli bynajmniej o wzgardzie chłodnej ziemi. Lecz i w samem już wyrażeniu *indomptable* była *contradictio in adiecto;* przymiotnik »niezwalczony« pochodzi od *walka*, a walki pochodzą od chęci wygrania ich.

należałby bezwątpienia do pierwszego rzędu poetów polsko-łacińskich« (str. 30). Klonowicz i Kochanowski zyskali przy początku XVII. wieku potężnego rywala w osobie Szymona Symonowicza, który został przezwany Pindarem polskim. Dzieła jego są liczne i w wyjątkowy sposób doszły do nas wszystkie. »Nie będę, mówi autor, ani je zbyt pochwalał, ani im zbyt przyganiał, niepodobna bowiem poecie nie przyznać krasomówstwa i werwy, ale zarazem nie uczynić zarzutu, iż był ciągłym, i że tak rzec można, niepoprawnym naśladowcą«. Jego prorok *Joel* cały jest wzięty z Biblii, jego *Herkules Prodiceus* jest prawie literalnym przekładem z Ksenofonta, jego tragedya *Pentesilea* jest jakby dyktowaniem Quintusa ze Smirny i wreszcie jego *Castus Joseph* jest kompilacyą Biblii i Hipolita Eurypidesa. Wchodząc w bliższy rozbiór tej sztuki, autor przytacza scenę między *Jempsar* (żoną Putyfara) i jej *Karmicielką,* wymowną boleść tej pierwszej nad swem uczuciem i dodaje: »Dotąd same pochwały należą się Symonowiczowi, idzie on śladem Eurypidesa i jest jak on wymowny i ożywiony prawdziwym ogniem traicznym; lecz im więcej wypada nam go podziwiać, tem więcej boleć nad jego wadami. W chwili, w której zapanował nad publicznością wzruszoną i przerażoną, kiedy nie ma nikogo, któryby nie zapłakał nad uczuciem Jempsar i nie pożalił się jej losu, Jempsar zaczyna dysertacyę o początku i rozwoju miłości, i co gorzej, powtarza ową sławną filipikę przeciw kobietom, którą Eurypides lepiej natchnięty włożył w usta Hipolita, oburzonego na pasyę Fedry; jest tu już nie Fedra Eurypidesa, tak piękna nawet w swym upadku, ale Fedra Seneki płocha i wstrętna«. »Styl Symonowicza jest zwykle łatwy, ozdobny w porównania dowcipne i piękne figury, wiersze zbudowane porządnie i nader czystą łaciną, i słowem był on nie tyle poetycznie natchnionym, ile erudytą, którego styl wart nieraz więcej, niż jego idee« (str. 37).

W tym czasie, opowiada autor dalej, pisanie w Polsce rytmów łacińskich tak było powszechne i modne, iż nie

było tam prawie pisarzy jakiejkolwiek gałęzi, którzyby zarazem i rytmów łacińskich nie układali; pisali je np. między innymi: filozof *Jan z Głogowa*, astronom Mikołaj *Kopernik*, kardynał *Hozyusz;* historycy: *Kromer, Bielski, Sarnicki;* lekarze: *Oczko, Struś* i t. p. Wszakże wpośród tych wszystkich, odróżnił się i na szczegółowe zasługuje wspomnienie poeta Maciej *Sarbiewski.* »Nazywano go, mówi autor, Horacym polskim i zasługiwałby, dodaje, na to miano, gdyby Horacyusz pisał tylko ody«. Forma wierszy, styl, przedmioty (?), okazują ciągłą staranność o naśladowanie Horacego »(w hymnie do N. Panny użył np. tychże miar i strof, jak Horacy w swej odzie do Apollina i Dyany)«. Jest tradycya, iż przeczytał 60 razy Eneidę, a po 10 razy innych poetów rzymskich, a tym sposobem wcielił, rzec można, w siebie substancyę i w pewien sposób kwiat istotnego latynizmu tak dobrze, że przez elegancyą i czystość bez skazy swego stylu, przez poprawność i harmonię wersyfikacyi, zasłużył on na miejsce obok najlepszych poetów łacińskich z czasów nowych: *Sannazara, Politiana, Santeuila* i prawie na stopień śród poetów dawnych. »Nie znaleźć u niego wyrażeń wątpliwego albo przestarzałego *(surannć?)* latynizmu, niemiłych uchu brzmień, błędów iloczasu i składni. Jedyny zarzut, jakiby mu można uczynić, jest to wada spólna jego wiekowi nadużywania pieszczotliwości, wyrazów zdrobniałych, staranność o afektacyą, która każe przenosić małe sztuczki retoryki nad czystą i dojrzałą prostotę sztuki rzetelnej«. Hymnom religijnym autor zarzuca, iż ucieka się w nich poeta nieraz do fałszywych błysków i *concetti;* pochwala zaś śród nich głównie naśladowanie *Bogarodzicy* i przytacza przekład. Nad hymny religijne przenosi filozoficzne, a nad te, treści politycznej, i przytacza za przykład odę V. ks. IV. (O obronie granic przeciw Tatarom). »Ody Sarbiewskiego zdały się być ostatnim wysiłkiem i jakby śpiewem łabędzim poezyi łacińskiej w Polsce«.

Po skreśleniu w ten sposób obrazu, autor dołącza kilka

uwag ogólnych o poezyi polsko-łacińskiej i nadmienia między innemi, iż śród pisarzy polskich, jedni winszują swemu krajowi, iż zacząwszy pisać po łacinie, przeniósł odrazu do kraju cywilizacyę rzymską; drudzy zaś czynią mu z tego powodu zarzut, fakt ten bowiem przytłumił w kraju rozwinięcie w kierunku narodowym. Zdaniem autora słuszność zupełną mają pierwsi, drudzy zaś o tyle, iż panowanie łaciny, raz zaszczepiwszy cywilizacyę dawną, było zadługie, iż kraj żałować ma prawo, że tyle świetnych umysłów z XVI. i XVII. wieku uciekło się do mowy obcej, i dodaje uwagę trafną, że zarzut ten możnaby słusznie odnieść i do całej Europy. W czasach ogólnej ciemnoty, wzajemnych nienawiści i wojen, język i literatura łacińska stawała się jedynym środkiem jednoczenia krajów, tak że w końcu Europa cała stała się była jakby jedną rzecząpospolitą, córką nie tylko Rzymu nowego, lecz i dawnego. Wszakże po utwierdzeniu się stałem oświaty w ludach, język łaciński powinien był ustąpić, jak to czyni mistrz dziecka, gdy wychowaniec jego dochodzi do pełnoletności. Nieszczęściem jednak tak się nie stało. W skutek reformacyi w XVI. w. u wielu ludów język krajowy użyty został za język religijny, przez naturalną więc reakcyę ludy pozostające przy katolicyzmie tem gorliwiej przywiązanemi się stały do kultury łacińskiej. Jakoż wieki XVI. i XVII. dla poezyi łacińskiej najprzyjaźniejszymi się okazały. Poeci tym językiem piszący ukazali się nie tylko u ludów pochodzenia łacińskiego, lecz w całej ucywilizowanej Europie, aż do krain dotykających do *Ultima Thule* i prawie do bieguna. Autor wylicza głównych we wszystkich krajach z ich ocenieniem i dodaje: »Śród tych wszystkich najbardziej odznaczonymi się okazali *włoscy* i *polscy;* uzdolnieni do władania łaciną, pierwsi, wskutek spólności rasy, drudzy tradycyi świeckiej« (str. 46).

Taką jest treść dziełka p. René Lavollée. Literatura polska winna jest autorowi temu wdzięczność istotną, iż z tak bogatą jej gałęzią, jaką jest poezya łacińsko-polska,

zaznajomił we Francyi i świat uczony i przez kanał peryodycznego pisma ogólniejszą powszechność; wdzięczność zaś ta (dodajemy to z całą szczerością), tem musi być żywszą, iż autor, jak to widzieć możemy, nie tylko z brzmienia nazwiska, ale i ze szczegółów pisma, nie jest polskim krajowcem. Aby bowiem dać obraz bezstronny dziełka, o którem mówimy, wspomnieć też trzeba, iż jego zajmujące zawarcie nie jest bez swych ujemności, a do ich liczby należy: iż autor co chwila się zdradza już nieznajomością języka i literatury polskiej, już dziejów. Iż autorowi dziełka obce są elementarne szczegóły dziejów polkich, to może widzieć czytelnik prawie co kartę. Tak np. wzmiankowaną u Galla żałobę kraju po śmierci Bolesława Chrobrego zowie żałobą »po śmierci Popiela« (str. 3). Wspomina dalej o nastałym »ucisku i bezrządzie w kraju za Chrobrego« (str. 5), co miało znaczyć za Gnuśnego; dalej, iż »śmierć Kazimierza Sprawiedliwego nastąpiła w r. 1404« (str. 7), zamiast r. 1194, iż Symonowicz był sekretarzem sławnego hetmana Stefana Batorego: »Tomasza Zamoyskiego« (str. 30), iż Klonowicz w swej Roxolanii przeniósł Ruś »nad Mazowsze, Litwę, Galicyą« (str. 25) i t. p. Za dowód nieznajomości języka i literatury polskiej uważać musimy, gdy spotykamy takie omyłki w nazwiskach polskich, iż te nie mogą być odniesione na karb zecera, np. gdy nazwisko *Trzycieski* raz pisane *Trzysziewski*, drugi raz *Trzyskiewski*, oda Kochanowskiego na *Zjazd Stężycki* nazwana »Ode au congrès de *Puknicjski*« (str. 22) i t. p. Na str. 8-ej znajdujemy przekład wiersza z r. 1410, przytoczonego przez Wiszniewskiego, na bitwę pod Grunwaldem, zarazem zaś objaśnienie, iż wiersz ten Władysław Jagiełło kazał był wyryć na zamku krakowskim; wnieść można, iż to jest niezrozumienie Wiszniewskiego; wiersz ów bowiem (wierszy 50) przytoczył Wiszniewski z rękopismu znajdującego się w akademii krakowskiej; w przypisku zaś dodaje, iż według *Voigta* w tajnem archiwum królewieckiem znajduje się wierszowany napis, który Władysław Jagiełło

kazał był wyryć o porażce pod Grunwaldem na zamku. Za dowód tegoż braku bliższej znajomości języka poczytać też musimy, gdy np. autor wzmiankuje, iż Janicki był uczniem Pawła z Krosna, iż wszystkie poezye Dantyszka spalone zostały przez Gdańszczan i zaginęły i t. p. Janicki był uczniem nie akademii krakowskiej, ale padewskiej, zbiór poezyi Dantyszka (przechowany przez Hozyusza) wyszedł w r. 1764 w Lipsku, o czem wszystkiem wzmiankuje Wiszniewski, którego autor, jak wspomnieliśmy, nieraz przytacza. Jest też również dowodem nieznajomości literatury polskiej, gdy autor np. nadmienia, iż Jan Kochanowski pierwszy zaczął pisać językiem polskim, i że Sarbiewski był dlatego ostatnim poetą łacińskim, iż *odtąd* zaczęto w niej we wszystkich gałęziach pisać po polsku [1] (wiek Sarbiewskiego był owszem, jak wiadomo, wiekiem zakończenia okresu złotego literatury *polskiej*).

Co do szczegółów krytyki autora, o te nie mamy wiele pola do spierania się, jeżeli bowiem z jednej strony rozprawa p. René Lavollée nie jest to wogóle, jak już wzmiankowaliśmy, studyum bibliograficzne, lecz jest to tylko zbliżenie tych szczegółów, które są rozrzucone w historyi literatury polskiej Wiszniewskiego, z powtórzeniem przytoczonych przezeń wyjątków i zdań o pisarzach — tedy znowu w szczegółowej krytyce tych kilku poetów, których prace autor studyował w oddzielnych wydaniach (jak *Janickiego, Klonowicza, Symonowicza* i *Sarbiewskiego*), nie znajdujemy bliższych ocenień ich szczególnych utworów, albo sprawdzenia przyznawanych zalet lub wad ich sztuce rytmicznej, ale tylko ogólne, pobieżne zdania, które grunt mają we właściwym każdemu smaku. Co do zdań tych, zaprotestowalibyśmy jednak co do nas, przeciw opiniom autora o poezyi Kadłubka i poezyach Symonowicza.

---

[1] Nie znamy wzmiankowanej wyżej rozprawy autora łacińskiej, sądzimy jednak, że jeśli podobne ujemności mieści rozprawa późniejsza, tem więcej nie mogła być od nich wolną rozprawa dawniejsza.

Wspominaliśmy wyżej, iż p. René Lavollée przytoczywszy parę strof z dyalogu Kadłubka dodał uwagę, »iż takie dziecinady zapełniają seciny wierszy«, nie jest to jednak wcale wierne określenie poetycznych cech przytoczonego pisarza. Iż Kadłubek był rzetelnym poetą, iż był nawet znakomitszym poeto-filozofem, niż kronikarzem, iż była to umysłowość wyjątkowa, świetnemi tego rodzaju zaletami nad wiek swój zabłyskująca, jest to pomnik, który nawet i przez nieżyczliwych literaturze polskiej krytyków niemieckich dziś został przyznany (*Zeisberg* i inni). Jakoż i co do *dyalogu*, o którym mowa, charakterystyka, w jakiej przedstawił go autor, nie jest wcale właściwą; iż dyalog ten w niektórych szczegółach wyrażeń swoich jest ciemny, na to jest zgoda (ciemność ta była zapewne przyczyną, iż ani *Wiszniewski*, ani *Kondratowicz*, który przekładał wszystko, nie dołączyli jego przekładu, przekład zaś tłumaczy krakowskich, lubo kształtny, jest w znacznej części wolny; ale ciemność w poezyi nie jest wcale dowodem braku poezyi. P. René Lavollée idąc za omyłką powszechną naszych historyków literatury, i biorąc dyalog ów za przedstawienie teatralne, z tego zapewne stanowiska patrzał głównie na jego zawarcie, lecz punkt ten sądu był mylny. Kadłubek, który historyczne opowiadania swoje co chwila przeplatał to jakiem spekulacyjnem rozumowaniem, to wymową, to poezyą, wspomniawszy w kronice swej o wypadku tej wagi jak śmierć głównego jej bohatera, puścił wodze wzruszonej fantazyi swojej, i w lirykę szczególnych odcieni myśli i szczególnej formy ją rozwinął. Przedstawia on obraz pomieszanych *uczuć* na wieść o nagłej śmierci króla, w części zasmuconego, w części rozbawionego, w części zatrwożonego kraju, i kreśli to w dyalogu, który prowadzi *smutek, wesołość, swoboda* i t. p.; jedne z nich chcą swą boleść odznaczyć żałobą, inne zapijać kielichami, a spór ten godzi *pojednanie*, czyli (jak w innych kodeksach) *Sprawiedliwość*, uwagą, iż najlepszem uczczeniem zmarłego króla bę-

dzie połączyć się zgodą ogólną i święcić ofiary Bogu. Dyalog ten rozpoczyna *Wesołość*, mówiąc do *Smutku:*

Nie wstydzę się ja boleści, ale boleję nad wstydem
Tych, którzy łzy chcą utaić!
Smutna, oskarżam smutek, że mi moje weselne kwiaty
Na grobowe przemienił.
Był on mi więcej niż królem, ten któregom kochała, któregom przenosiła
Nad królów tysiące.

Tekst Kadłubka tak brzmi *(Jucunditas ad Moerorem):*

Non est pudor pro dolore, sed est dolor pro pudore
Niti acrimonia.
Merens queror de merore, qui de meo statim flore
Nectit tam funebria.
Eram nupta plus quam Regi, quem praefovi, quem praelegi
Regum super millia etc.

Uważać tu można, iż rytm łaciński Kadłubka nie jest podobny do rytmów starożytnych, a nawet do leoninów spółczesnych w kronikach innych krajów, ale oddycha stopą i miarą pieśni domowych wiejskich. Poeta od zabawek z dźwiękami i tu i w innych swych rytmach nie był zapewne wolny; lecz jeśli to są dziecinady, nie są to dziecinady większe, jak stopy, miary, rymy i inne pomysły sztuki zewnętrznej rytmicznej, nam spółczesnej.

Co do Szymona Symonowicza, wcale nie możemy się zgodzić, iżby umysł tego poety był biernym tylko i naśladowczym. Dla czytelnika polskiego wiadomem jest, iż był on twórcą z gruntu nowego słowa, oraz nowej treści w poezyi naszej; lecz i w jego utworach łacińskich cechą ich nie było owe »wieczne naśladownictwo«. W czemże ono np. jest widne w utworach, które mu spółcześnie pierwszy i główny rozgłos zjednały, jak *Flagellum livoris, Aelinopaean,* a o których p. René Lavollée nawet nie wzmiankuje? Iż treść dramatu *Pentesilea* wzięta jest z poematu *Kwinta Kalabra, Joela* i *Castus Joseph* z Biblii, iż w tym

ostatnim są nadto ustępy naśladowane z *Klaudyana, Eurypidesa* i in., są to szczegóły, które w utworach i najoryginalniejszych poetów się spotykają; czyż tytuł »wiecznego naśladowcy« byłby właściwym np. Rasynowi dlatego, że pisał: *Atalię, Esterę, Andromachę, Fedrę* i t. p., a w tej ostatniej żywcem niejedno wyrażenie i prawie całkowite sceny z tragedyi Eurypidesa przenosił? Nie zgodzilibyśmy się podobnie i na szczegółową krytykę scen. Autor np. przywiódłszy słowa namiętne *Jempsar* i mówiąc o uwięzieniu następnie Józefa, dodaje: dwie więc osoby obudzają litość, są tu dwie akcye, co jest przeciw regułom sztuki (»Joseph jeté dans les fers... détourne ainsi *contre les règles de l'art* de Iempsar sur lui-même toute la pitié de spectateur«) (str. 25). Możnaż kłaść za winę poecie, iż właśnie główny bohater jego, bohater, od którego imienia jest sztuka, obudza litość?

Zbliżyliśmy tu i wykazali ujemne strony broszurki, ujemne przynajmniej według nas, aby dać obraz bezstronny; wielka większość jej cech jest jednak przeciwnie na wielką zaletę książeczki. Całość poezyi łacińsko-polskiej złączona w jedność, jest nowością nawet dla czytelnika polskiego, dla obcych jest siurpryzą zapewne i pozyskanym materyałem równie dla dziejów belletrystyki, jak i dla naukowości poważnej. Wykład autora prowadzony jest z tą jasnością, harmonią, umiejętnością zainteresowania czytelnika i pewnym stopniem dowcipu, które są tak przeważną cechą i prawie wyłączną własnością, we wszystkich rodzajach utworów, pisarzy francuskich. Ożywia też wykład pamięć na różnostronność stosowań przy rozbiorze utworów. Przekłady przytaczanych wyjątków są wszędzie wierne i wdzięczne. Ogólny wniosek, jaki zdaje się wypływać ze zdań autora, iż śród utworów poetów polskich po łacinie piszących wiele było dzieł świetnej piękności, ale żadnego, któreby było genialnem, jest wnioskiem słusznym, ale wniosek ten odniesionym być winien i do całej poezyi łacińskiej wieków nowych. Poeci, tym językiem piszący, pisali nie dla

ludu, lecz erudytów; nie dla serc poetycznych, lecz dla retorów; a warunkiem pochwały tych był nie stopień dostrzeżonej różnicy w danym utworze, lecz owszem stopień bliższego podobieństwa tego utworu w słowie, składzie i treści do utworów dawnych.

1875.

III.

PRZEGLĄD
PODRĘCZNIKÓW DO HISTORYI LITERATURY.

I.

Leona Rogalskiego, Historya literatury polskiej. T. II. Warszawa, 1871. T. I. str. 585. T. II. str. 804.

Rok właśnie, jak mówiąc w tem piśmie [1] o nowych książkach, zwróciliśmy uwagę, iż mimo powszechne użalanie się na stanność w handlu księgarskim, jest jednak gałąź, która snać nie podlegała temu losowi. Z różnych miejsc otrzymaliśmy w ostatnich latach historye literatury krajowej, a wszystkie prawie własnym nakładem księgarskim. Ukazały się mianowicie były w tym czasie, już w rozmiarach większych lub mniejszych, historye literatury: w Warszawie *Lewestama,* w Poznaniu *Nehringa* i *Łukaszewicza* (wydanie nowe), w Krakowie *Rycharskiego,* we Lwowie *Felicyi Wasilewskiej* i *Kuliczkowskiego* (zaczęte) i nawet we Wrocławiu *W. Krainskiego.*

Wszystkie te prace obejmują i kreślą całość obrazu naszej literatury krajowej od jej nastania do dni obecnych. Te tak gorliwe a liczne zajęcia się przedmiotem naszej umysłowości nie mogą nie cieszyć każdego pragnącego

[1] [W »Bibl. Warszawskiej« r. 1870, t. I. 475—489 w art. p. n. »Nowe Książki«, który to artykuł, jako bibliograficzny przeważnie, częściowo tylko wszedł do niniejszego zbioru].

poznać jej przeszłość. Czy jednak mimo te prace, a zarazem i inne w tym przedmiocie dawniej podjęte, mamy już dziś dokładną historyę literatury krajowej, choćby na skalę podręczną, t. j. taką, z którejby nie znający tej literatury krajowiec lub cudzoziemiec mógł należycie ją poznać? nie możemy odpowiedzieć twierdząco.

Co do tych publikacyj najnowszych, podobne są one sobie przez to, iż miały za cel nie nowe badanie przeszłości literatury, lecz kreślenie jej treściwego obrazu z badań już poczynionych, iż wszystkie dają nam (lub zamierzają dać) obraz doprowadzony do naszych czasów, i że go kreślą (jak Wiszniewski lub Łukaszewicz) koleją epok, a w tych dają wiadomość koleją gałęzi o głównych w nich pisarzach i pismach. Żadnemu też autorowi tych prac nie można odmówić zasługi i zalet pióra, lecz pod względem ostatecznego użytku, tego nam jeszcze zawsze nie przyniosły.

Rys literatury *F. H. Lewestama* jest wyjątkiem z jego literatury powszechnej i zastosowany do tych ram; w literaturze *Nehringa* nasza bogata literatura z 3 dawniejszych wieków, tyle mająca swoich właściwości, umieszczona jest jakby przedmowa z kart kilku do obrazu późniejszej literatury. Najwięcej systematyczną i najbliżej odpowiednią celowi jest literatura *Rycharskiego*. Śród obrazu rozwiniętego w ramach, o jakich dopiero rzekliśmy, znajdujemy tu przy każdym prawie główniejszym pisarzu dawnym i nowym, notatkę o nim biografijną i notatkę bibliografijną, a poprzedza je ogólna charakterystyka tak pisarza jak jego pism. Zdania te wypisywane tu są wprawdzie po większej części żywcem, lubo bez wymienienia źródła, z pisarzy innych (jak to już prawie modą stało się u nas, począwszy od Wiszniewskiego, który także wypisywał je nieraz żywcem, bez wymienienia źródła, z Janockiego, Bentkowskiego, Sołtykowicza, Ossolińskiego, Lelewela, Daniłowicza, i innych); lecz wybór dobrze zwykle czyniony.

P. Rycharski nie posunął jednak w ten sposób w swem piśmie znajomości dawnych naszych pisarzy i ich pism

(choć są to pola zaledwo jeszcze okiem tylko dotykane i przedstawiają tak bogaty materyał do obrobienia); w uwagach zaś własnych niezawsze jest równie trafny i jasny. W zakończeniu np., które z zadania swego miało zapewne za cel być objaśnieniem skreślonego obrazu i wnioskiem z niego, autor między innemi tak mówi: »Oceanów i burz nam dość, a potrzebą naszą jest oświecenie, oświecenie i oświecenie«; ta uwaga jest zapewne i nader jasna i nader trafna; lecz kiedy kreśląc zarazem charakterystykę naszego wieku, wyraża: »zaledwie wiek XIX błyszczy nigdy nie zagasłą pochodnią oświaty«, i zaraz obok: »głównym motorem naszego XIX. wieku jest brudny egoizm i z niego wylęgły cynizm«; — czytelnik zdać sobie sprawy nie może, jak te dwie, tak przeciwne, cechy łączą się z sobą, a zwłaszcza w czem i jak wpływają na charakterystykę tej literatury, którą autor określał. Dodajmy w końcu, że jakkolwiek autor przy końcu każdej gałęzi w każdej epoce, po wymienieniu pisarzy głównych, wymienia z nazwiska i innych z tej gałęzi; ci jednak nie są wszędzie w zupełnym komplecie. Stąd w ostatecznym wniosku wypada, iż zbiorek ten, który nosi nazwisko Lesława *Łukaszewicza*, mimo swoje usterki, był dotąd zawsze najobfitszym w szczegóły i najdoskonalszym przewodnikiem do poznania naszej literatury; i ta też jest zapewne przyczyna, iż tej tylko historyi literatury powtarzały się liczne wydania.

Do liczby podręczników przybywa też właśnie i publikacya, której napis przywiedliśmy, to jest historya literatury p. Leona Rogalskiego. Jest to także *kompendyum*, ale powiedzmy to zgóry, jest to kompendyum z niejednej strony bogatsze od wszystkich innych. Odznacza je mianowicie nader bogata część biografijna pisarzy dawnych i nowych, dosyć dokładna część bibliografijna, dodanie do obrazu niektórych gałęzi niedotykanych przez innych (jak np. gałęzi wymowy), a nadewszystko nader obszerniejsze niż w innych szczegółowe charakterystyki pisarzy dawnych. Całość wykładu jest nadto odznaczoną temi zaletami pióra

jakie już dały poznać publikacye tego autora w zakresie historyi, a jakiemi są: jasność, loiczność, szykowność i obok umiarkowania pewien stopień uczucia w kreślonych obrazach lub zdaniach.

Aby dać poznać bliżej to pismo, dołączamy i krótkie jego przejrzenie. Przejrzenia tego, ile stosowanego do książki, która nam daje kompendyum, nie będziemy tu odnosić do dat i szczegółów bibliografijnych albo biografijnych, ani nawet do wyrażanych takich lub innych sądów o pisarzach i pismach; dotkniemy zaś tu tylko właściwości ogólnych książki, jej ram, sposobów wykładu, jej kolejnych rysów w okresach, wyrażając w ten sposób i kilka ogólnych uwag, które zarówno odnieść się mogą i do innych w tym przedmiocie ogłoszeń.

Obraz swój zaczyna autor, na wzór Wiszniewskiego, od wyliczenia źródeł do historyi literatury. czyli pisarzy, którzy pisali o tym przedmiocie. Jest to oddział, który nie znajduje się także w innych podręcznikach. Oddział ten najstaranniej ze wszystkich w książce jest nakreślony. Autor nie tylko przytacza tu szczegółowszą treść dzieł wymienionych, ale też i objawiane zdania o tych dziełach. W obrazie tym, może za obszernym w stosunku do dalszych ram książki, jest, wspomnijmy, między innemi ciekawy szczegół o tworzeniu się obrazu bibliograficznego Jochera, na redaktora którego (tj. materyałów pozostałych po Sobolewskim) zrazu sam autor właśnie (tj. p. Rogalski) był wzywany. Za ujemność w oddziale tym poczytane być muszą: za wielkie potępianie historyi literatury Wiszniewskiego, z której jednak autor następnie tyle korzystał, oraz to, iż od literatury Bartoszewicza nie wspomniane już żadne wydanie dalsze w tej gałęzi.

Całość dalszą, tj. obraz przebiegu literatury od jej początku do dni nam spółczesnych, kreślił autor w tych ramach, jakie od czasów L. Łukaszewicza i Wiszniewskiego stale u nas przez historyków literatury przyjęte zostały, tj. nie *alfabetem* autorów, albo koleją *gałęzi* i t. p. jak to

bywało przedtem *(Janocki, Jabłonowski, Juszyński; — Bentkowski, Jocher)*, ale koleją *okresów*. Każda z metod tych ma wyjątkową swą korzyść, lecz ma i swe ujemności; tych najmniej ma może istotnie metoda okresów, zwłaszcza jeżeli sam okres skreślonym jest koleją gałęzi; szyku tego trzymał się też właśnie i p. Rogalski przynajmniej w większej części swej pracy. Okresy, na które rozdziela swoją historyę, są wzięte z historyi Bartoszewicza, to jest mają nazwiska: *Piastowski, Jagiellonski* czyli *Długosza, Zygmuntowski* czyli złotego wieku, *Makaroniczny* i *Panegiryczny, Stanisławowski* i *Mickiewicza*, tylko do okresu IV dodał autor przymiotnik »czyli *Jezuicki*«, do ostatniego zaś: »i Lelewela«. O podziale tym czyli o oznaczonej charakterystyce obrazów zauważyćby można, iż krzywdzącem jest dla pamiątki *jagiellońskiej* odcinać od jej imienia (do niej wistocie należący głównie) okres złotego wieku, oraz, iż nader jest niewłaściwem (jakkolwiek dosyć upowszechnionem u nas) oznaczanie okresów nazwiskiem pojedyńczych pisarzy. Każdy pisarz jest tylko pisarzem jednej lub dwóch gałęzi, a okres obrazem jest wszystkich.

Obraz okresu I-go, nazwanego Piastowskim, autor zaczyna od kreślenia charakterystyki naszych *pieśni* ludu i *klechd*. Metody tej trzymał się u nas niejeden historyk literatury; poezya nasza nie ma zabytków dawnych; próżnię tę starano się więc dotaczać jużto rozumowaniami o pieśniach ludu, naznaczając im przypuszczalnie byt dawny, już opowiadaniem o poetycznych zabytkach spólplemiennych. Toż czyni i p. Rogalski. Metoda taka nie jest zdaniem naszem właściwa. Pierwszym warunkiem obrazu jest wierność. Faktem jest, że do połowy XVI wieku nie mieliśmy żadnego wyższej wartości utworu poetycznego. Rzecby można, iż u nas poezya krajowa tem dłużej przebywała swą stanność, im obficiej kiedyś i świetniej rozwinąć się miała, oraz, iż misyą umysłowości naszej było dobitnie odznaczyć to prawo, iż rozwój ludu danego jest jako rozwój jednostki. Że przeto w pierwszej swej umysłowej epoce

(dziecinnej) wyraził tylko żywiej pierwiastek wzrosłej *pamięci* (kroniki); poezyą zaś, tem dzieckiem wzrosłej *fantazyi*, za lat dopiero swych *młodych* miał zabłysnąć. Z pieśni ludu nie mamy, wyznajmy, żadnej, którąbyśmy do przedpiśmiennych czasów naszych, a nawet do Piastowskiej epoki mogli odnieść [1]. Sam p. Rogalski (powtarzając w tej rzeczy rozumowania i słowa z *Piśmiennictwa* Maciejowskiego) mówi: »Kilka naszych pieśni szlachecko-gminnych odnosi

[1] Za piosnkę, mającą może najwięcej pozoru dawności, uważaćby można tę, którą w zbiorze swym podał niegdyś za przedchrześcijańską p. Żegota *Pauli*, z powodu, iż po każdym jej wierszu wykrzyknik ma *Hej! Leluja*, co zdaniem autora przypomina nam *Lelum Polelum* i starosłowiańskie »Ha lele lele«! Nam się zdaje jednak, że owa piosnka (o złotej jabłonce) jest z liczby tych, które w różnych stronach kraju lud śpiewa w dzień Wielkanocny i w której po każdym wierszu powtarza *Aleluja*, co np. w Łużycach wymawianem jest *Haleluja!* Jakoż następna piosnka tegoż bioru (o złotym kubku), lubo ma tenże przyśpiew, jest już wyraźnie nie z czasów przedchrześcijańskich, ma bowiem między innemi i takie wiersze:

Któż ci będzie z niego (kubka złotego) napijać?
Hej! Leluja!
Sam Pan Jezus z aniołami,
Hej, Leluja!
I Marya z dziewicami
Hej, Leluja!

W bogatym, a niedawno ogłoszonym zbiorze *Pieśni szląskich* Juliana Rogera (1863), znajdujemy znowu pieśń, która z pozoru mogłaby być poczytaną za odnoszącą się do czasów Krzywoustego, tak bowiem zaczyna się:

Pod wielkim Głogowem
Wojsko stoi,
Pójdziemy na pomoc
Cesarzowi.

Lecz pieśń ta odnosić się raczej może do czasów pretendentów elekcyjnych z XVI wieku, — za Krzywoustego bowiem, tj. w wieku XII Szląsk chodził jeszcze na pomoc temuż Bolesławowi, nie Henrykowi; a nadto dalszy wiersz tejże piosnki wyraża: »Matuchno Częstochow, bądź w pomocy«! Częstochowa zaś stała się słynną dopiero z końcem XIV wieku.

się do XVI wieku, na *pochodzenie reszty piosnek żadnego niemasz dowodu*« (str. 109); dodaje wprawdzie uwagę, iż piosnki, mające treść spólną z innemi spółsłowiańskiemi, należałoby odnieść do czasu spólności; lecz kryteryum to sam znosi następnie, mówiąc: »mamy piosnkę, która dosłownie łużyckiej odpowiada, lecz piosnka ta jest nowym utworem, sięga najdalej wojny 30-letniej«. Gdy więc tak jest i gdy zbiory naszych pieśni ludu i klechd wszystkie prawie są nam spółczesne, rozumować więc o nich jest to właściwie mówić nie o produkcyach wieku I-go naszej literatury, lecz ostatniego.

Następnie przechodzi autor do naturalnego i głównego przedmiotu tego okresu, tj. do określenia kronik i przedmiot ten szykownie i wiernie według pism, które za źródła obrał (tj. według Wiszniewskiego i Bartoszewicza), opowiada. Tu musimy jednak nadmienić, iż jak w kreśleniu tego okresu, tak i następnych to autorowi głównie do zarzucenia mamy, iż nie tylko swoją krytyczność tych pisarzy i pism, o których wzmiankuje, czerpie nie z poznania tych pism, ale z tych dzieł, które za źródła swe obrał (co też naturalnie wogóle jest ujemnością wszystkich autorów kompendyów); lecz że nadto raz obrawszy kilka dzieł za swe źródła, nie troszczył się już o pomoce inne. W ostatnich latach wiele było ogłaszanych studyów i monografij w przedmiotach literatury dawnej i nowej, nawet pod bokiem autora; pismo jego nie nosi jednak najmniejszych śladów ich znajomości. Że bowiem autor np. w ocenianiu pierwszych naszych kronik Galla i Kadłubka nie wychodził z osobistego poznania i ocenienia tych kronik, to widać zaraz na pierwszych kartach. »Pierwsi kronikarze nasi *Gallus, Mateusz i Kadłubek* (mówi na str. 117) krążące jeszcze podania historyczne spisywać zaczęli« i dodaje: »najdawniejszem z *takich* podań jest to, że Lech z braćmi swymi Czechem i Rusem wyszedłszy od brzegów Dunaju« etc., tymczasem o żadnem podobnem podaniu tj. o Lechu i Czechu nie wspominają ani Gallus ani Kadłubek, lecz

znalazło się ono dopiero w niektórych odpisach kroniki wielkopolskiej, tj. Baszka.

Mówiąc więc z kolei o kronice Wincentego Kadłubka, autor ma naturalnie na wzór większej części swych poprzedników za dogmat, iż pisarz ten był tylko autorem 4-ej księgi kroniki znanej pod jego imieniem, a autorem trzech pierwszych był »Mateusz herbu Cholewa« (od obdarzania Mateusza herbem Cholewa odstąpił w drugiem wydaniu rozprawy pod tym napisem sam Lelewel, gdy wyjaśnionem zostało. że za życia tego biskupa herby nie tylko w Polsce, ale w Europie znane jeszcze nie były). Uznawać, iż inny był autor trzech pierwszych ksiąg kroniki Kadłubka a inny księgi IV, mogło być wybaczanem historykom, lecz nie powinnoby być wybaczonem historykom literatury. Język, myśl, cechy pióra Kadłubka tak były odrębne, od innych spółczesnych wyższe, a wszystkim częściom kroniki jego zarówno wspólne, iż dosyć jest obeznać się tylko z nimi bliżej, iżby stanowczo uznać, iż nie mogą pochodzić od dwóch piór różnych; jakoż najnowsi u nas badacze lub znawcy tego przedmiotu jak np. *Małkowski* (wydawca porównawczych tekstów Kadłubka), *Nehring,* w historyi literatury, najpracowitszy dziś badacz naszych pierwotnych kronik August *Mosbach,* nie chcą znać żadnego Mateusza. Sam p. Rogalski powtarzając w wywodzie swym słowa (najgorliwszego i jedynego już dziś może obrońcy wersyi o Mateuszu) Aug. Bielowskiego, wyraża między innemi: »Kodeksów kroniki Wincentowej mamy 34, Mateuszowej (którą miał wcielić Kadłubek) żadnego«. »Tekst Mateusza, w przerobieniu Wincentego, zatarł się zupełnie. Wincenty pisząc kronikę, nie jednego Mateusza miał pod ręką, ale i inne latopisy, katalogi i roczniki kościelne« (169). Kronikarz, chcący pisać o czasach, które go poprzedziły, cóż innego może uczynić, jak zbierać i porównywać świadectwa dawne i nadawać im własną redakcyę? Tak ułożona kronika Wincentego, czyjąż inną nazywać się może, jak Wincentego? Świetna fantazya, dowcip, wymowa, wyższe spe-

kulacyjne myślenie, obok historycznego malarstwa, cechują i odznaczają kronikę Kadłubka od początku do końca. Autor ten była to jedna z gwiazd wieku, utwór jego główną ozdobą pierwszego naszego okresu umysłowego, a nasi historycy literatury pracowali i jeszcze, jak widzimy, pracują nad tem, aby ją zagasić i zniszczyć [1].

Mateusz, biskup krakowski, może być wprawdzie i nawet powinien być wzmiankowany w naszej historyi literatury, jako autor »Listu do św. Bernarda« i według tradycyi autor pisanej kroniki; lecz nie może być przypisywanem to jego ręce, co jego ręki nie było. Jak *Mateusza,* tak równie dogmatycznie, na wzór większej części poprzedników, wspomina następnie p. Rogalski i *Boguchwałę,* jako autora kroniki, »którą kontynuował Baszko«. Boguchwały, jako autora kroniki, nikt u nas dawniej nie znał, nawet Długosz; utworzył go pierwszy na zasadzie dziwacznego domysłu *Sommersberg* i przyznał mu samowolnie autorstwo kroniki Baszka. Zdaje się nam, iż gdyby p. Rogalski przeczytał był przynajmniej uważnie to, co mówi o tym przedmiocie Wiszniewski, a tembardziej, gdyby znał ostatnie studyum Mosbacha *Godysław Paweł* (1867, Lwów), tedy nie przedstawiłby w swym obrazie Baszkę w takiemże jak i Kadłubka okaleczeniu.

---

[1] Wydana niegdyś przez Lengnicha pod imieniem Kadłubka kronika Dzierzwy była, przypominamy, powodem, iż go potępił Szlecer, a młody wtedy i gorliwy historyk (Lelewel) dla obrony słynnego w kraju imienia, z całym wysiłkiem erudycyi, starał się dowieść, iż pierwsze księgi kroniki Kadłubka mogły być nie ręki Kadłubka, lecz poprzednika jego, Mateusza. Kronika Dzierzwy była to istotnie kronika Kadłubka, ale z usunieniem z niej myśli spekulacyjnych, miejsc poetycznych, formy dyalogowej ksiąg pierwszych, a z dodaniem na czele genealogii Polaków od Jafeta. Takie dzieło mogło potrzebować obrony; ale odszukane następnie najdawniejsze teksty Kadłubka nie mają owej genealogii a powieść o czasach dawnych jest w nich w formie dyalogowej; w formie takiej mógł autor i przechowywać tradycyą i *nie staje się odpowiedzialnym za jej treść.* Lelewel wreszcie wniosków swych nie podawał nigdy za pewnik, tylko za *domysł* i domysł, jak objaśniał, »nieśmiały«.

W dalszym ciągu autor, po uszykowaniu należnem, mówi porządnie o annalistach w zbiorze Sommersberga i innych okresu zabytkach; przytem zadługo o *Duisburgu* i o *Wigandzie,* których pisma należą do źródeł naszych dziejów, lecz nie do naszej literatury; nie mówi zaś przeciwnie nic, nie wiemy dlaczego, o tak zajmującem z tylu względów *Vita St. Stanislai* przez spółczesnego Kadłubka Wincentego dominikana, które Bandtke przedrukował przy warszawskiej edycyi kroniki Galla, ani o kronice *Piotra,* o której wspomina Baszko, a której odpis lub przerobienie, odszukane przez Przezdzieckiego we Włoszech (w bibliotece *Chigich),* wydał krytycznie Mosbach pod napisem: »Piotr syn Włodzimierza i kronika opowiadająca dzieje Piotrowe« (1865, Ostrów).

Okres następny, nazwany okresem *Długosza,* opowiadany jest według Wiszniewskiego, a wiadomość o życiu i pismach Długosza (zaczynając od słów: »Jan Długosz«, do słów: »historyę akademii krakowskiej niedbale skreślił, nie wiedział ani o związku pruskim, ani o towarzystwie czyli bractwie Jaszczurczyków«), oraz o akademii krakowskiej, własnemi słowami Wiszniewskiego (t. IV. 229, 235, 225). Przedstawienie okresu jest w skróceniu szykownem i wiernem, czytamy tu mianowicie o pismach filozoficznych ówczesnych, o poetach polsko-łacińskich, o gramatykach, o zabytkach z owego wieku języka polskiego, o zaprowadzeniu drukarń i t. p. Nie poznajemy jednak, jaki związek wszystkie te szczegóły mają z Długoszem, którego pisma nawet w tym wieku w kraju jeszcze nie były znane, a więc w czem do charakterystyki okresu było pomocnem nazwanie go Długoszowym? W kreśleniu nieuwzględniane też tu równie badania nowe. Autor nie wątpi np. że *Zajncr* był drukarzem w Krakowie, że *Fiol* był rodem *Frank,* nie wie o zabytkach języka z owego czasu, wydanych przez Działyńskiego i innych *(Kazanie z wieku XV, Akta grodzkie poznańskie* i t. p.); o tych przybytkach piśmiennych do epoki owej, które podały tak licznie wydawane *Kodeksy, Zbiory*

akt, pierwszy tom pomników starodawnych i t. p. — mianowicie zaś dziwimy się, iż w części o poezyi niema tu wzmianki o tej tak zajmującej pieśni o *Bitwie pod Grunwaldem* przez naocznego świadka (więc z roku 1410), która jest najdawniejszym i najobszerniejszym zabytkiem naszej historycznej poezyi. Pieśń ta, umieszczona niegdyś najpierwej w tem piśmie (»Bibl. Warsz. z r. 1843), następnie w niejednej historyi literatury była lub wzmiankowana, lub przytaczana. Tylko mówiąc o *Pamiętnikach Janczara*, przytoczył tu autor tę zajmującą wersyę nową czeskiego autora *Ireczek*, iż lubo autorem tych pamiętników był Serb, lecz iż ten Serb pisał oryginalnie po polsku.

Okres następny, to jest złotego wieku, odznacza się charakterem sobie właściwym. Właściwość ta mianowicie zależy na tem, iż wszyscy główni wieku tego pisarze, to jest pisarze literatury właściwej (poezyi i historyi) mają tu swe obszerne, po kilka i więcej kart wynoszące charakterystyki. Jest to zaleta istotna; — szczegół ten każe nam tu jednak powiedzieć słowo o jednej z cech, która właściwością się stała ledwo nie wszystkich naszych historyj literatury i którą autor obecnej, rzec można, iż do swego kwiatu rozwinął. Cechą tą jest: moda powtarzania wzajemnie nietylko szczegółów mechanicznych, ale też zdań obcych i rozumowań, bez ostrzeżenia, iż wyciąg jest wyciągiem. Jakoż zacząwszy od Wiszniewskiego, który przepisywał frazesa całe z *Janockiego, Bentkowskiego, Sołtykowicza, Ossolińskiego, Lelewela, Daniłowicza* i t. p., bez wymienienia źródła, ledwie nie wszyscy następnie pisarze w tej gałęzi naśladowali ten system, nie widząc w tem żadnego występku literackiego. Zagmatwanie stąd poszło takie, iż nieraz zgadnąć nawet nie można, kto jest autorem takiego, albo takiego zdania, kto je przepisał? Przytoczyliśmy naprzykład słowa o Długoszu, które p. Rogalski żywcem przeniósł z Wiszniewskiego bez cudzysłowu, ale niezaręczylibyśmy, czyli te słowa były oryginalnie Wiszniewskiego. Nieraz dwie *historye literatury* mają tęż datę roku

(naprzykład *Bartoszewicza* i *Łukaszewicza)* i mają też same zdania dosłownie; — nie wiemy więc, czy tu wziął pierwszy z drugiego, czy drugi z pierwszego, czy też obaj z jakiegoś trzeciego źródła. Kto jest winnym, jeżeli zdanie mylne, czyja zasługa, gdy trafne? W obecnej historyi p. Rogalskiego w okresie pierwszym, całe rozdziały p. n.: *Pieśni ludu* i *Klechdy* są powtórzeniem dosłownem z »Piśmiennictwa« p. *Maciejowskiego.* W okresie drugim o Długoszu i Akademii dosłownie, jak dopiero powiedzieliśmy z Wiszniewskiego; — zaś w okresie obecnym wszystkie prawie charakterystyki pisarzy są znowu (lubo bez wymieniania źródła) dosłownie wzięte z »Piśmiennictwa polskiego« p. Maciejowskiego, który ze wszystkich historyków naszej literatury najwięcej może o wymienianych w dziele pisarzach rozmyślał i rozumował. Tak naprzykład cały artykuł o Reju zaczęty kilku wierszami z Wiszniewskiego, następnie zaczynając od słów: »sama ta okoliczność, iż przodkowie jego nie porodzili się w Polsce« do słów: »pojął zawczasu, dokąd i jak skierować należy życia nawę, by naprawić, co zepsuł«, to jest całe kart kilka, dosłownie jest z »Piśmiennictwa polskiego« (t. I., 414 - 424), tylko w nawiasie, który brzmi: »dziś austryackie gimnazya z ówczesnemi parafialnemi szkołami poniekąd porównaćby można« dodane: »jak powiada W. A. Maciejowski«. Podobnie przeniesione tu żywcem całkowite rozumowania o *Klonowiczu, Szymonowiczu, Grochowskim, Miaskowskim, Bielskim* i t. p. i nawet w miejscach, gdzie te są na głębszą, więc bardziej indywidualną nutę, jak to naprzykład w oddziale o Klonowiczu, zaczynając od słów: »lecz jakaż boleść przeszyła mu serce, gdy od ziemi spojrzawszy w górę« etc. (Maciejowski 1. 537, Rogalski 1. 402), albo o Szymonowiczu zaczynając od słów: »Jednakże, gdy jak słońce zarówno szczęśliwym, jak nieszczęśliwym przyświeca« etc. (Maciejowski 1. 537, Rogalski 1. 402) i t. p.

Nie posądzamy tu wcale autora obecnej książki o chęć dobrowolnego przywłaszczania zasługi obcej, — autor bo-

iż wyniósłszy je z pisma, gdzie wśród zamętu badań leżały martwo, przedstawił je do popularniejszego użytku.

O historykach i poetach okresu mówi p. Rogalski obszernie, czerpie tu nawet nie tylko z Maciejowskiego, lecz i z pism innych, mówi tu pierwszy prawie o poetach zbyt mało znanych, takich jak np. Szczęsny Herburt, Żabczyc i t. p. Nie powiemy jednak, iżby charakterystyka okresu była tu wyczerpaną. Prócz poezyi i dziejów, równie obficie i silnie, może nawet jeszcze obficiej i silniej, albowiem charakterystyczniej, odznaczyły były piśmienność tej epoki u nas spory religijne oraz polityka. Pisma tej treści odróżniały się tu nawet od europejskich w tejże gałęzi; religijne odróżniały się tem, iż tu się rozwijały spory nie tylko teologów katolickich i różnych odcieni protestanckich, ale też socyniańskich; polityczne, iż mówiły o stosunkach poddanych do królów, o przywilejach jednostek, w sposób, reszcie Europy jeszcze prawie nieznany; o tej literaturze jednak sporów religijnych, przywódcach różnych ich stronnictw, nie mamy tu wzmianki (nie spotykamy np. nawet nazwiska *Hozyusza,* chociaż o jego pisma dopominały się drukarnie europejskie); z polityków wymienieni trzej tylko *(Orzechowski, Warszewicki, Modrzewski),* a chociaż o dwóch ostatnich obszerniej tu, niż gdzieindziej, nie wymienieni jednak wcale tak liczni inni ówcześni, jak np. Goślicki, Zamoyski, Górnicki (dyalogi), Wereszczyński i t. p., ani nawet te tak charakterystyczne w tej rzeczy liczne broszury i broszurki epoki, których przedrukował obecnie tyle Turowski w swojej »Bibliotece«.

Okres następny, nazwany *panegirycznym* i *makaronicznym,* a nadto i *jezuickim*[1], wcale znowu odmienne ma

[1] *P. Rycharski*, który podobnie okresowi temu dał toż samo nazwisko, objaśnia w przypisku, iż wyrażenia te są nawet jednoznaczne, gdyż przymiotnik *makaroniczny* uformowany u nas został od nazwiska jezuity *Makaro*, który miał być u nas głównym sprawcą tej mody (I. 261). Twierdzenie to jednak jest błędne, naprzód bowiem autora nazwiskiem Makaro nie mieliśmy wcale, i brzmienie to *makaronizm* (od *miskulancyi*

ramy. Jeżeli w okresie poprzednim każdy nieledwie, chociażby małej wagi poeta, zyskiwał kart kilka, tu nie zajmuje tyle wiadomości o kilkunastu. O *Twardowskim,* autorze licznych, a najobszerniejszych u nas poematów historycznych, zaledwo pół karty. O Wacławie *Potockim,* autorze Syloreta, Argenidy, Wojny chocimskiej i t. p. pół karty, o Elżbiecie *Drużbackiej* pół stronicy. Brak bliższej znajomości pism wzmiankujących się i studyów spółczesnych tu najjawniej przebija. Gdyby autor, że damy tu parę przykładów, znał był przynajmniej tak zajmujące studyum o Argenidzie Nabielaka (pod napisem: *Wacław Potocki i jego Argenida),* w którem ten wykazuje, iż wielka część ustępów w »Argenidzie« była dodaną oryginalnie przez tłumacza i jest alluzyą do spraw krajowych ówczesnych, nie wyraziłby może, iż dziwić się należy, że tak nudny poemat miał aż trzy wydania; gdyby miał w ręku przynajmniej wydanie nowo odkrytych poezyj *Gawińskiego* przez Żegotę Pauli, możeby nie dopuścił się zupełnego nawet przepomnienia nazwiska tego poety; gdyby znał studyum nad *Morsztynami* (Mecherzyński), możeby nie unosił się tyle nad talentem *Zbigniewa* Morsztyna, który nie istniał, a nadewszystko nie nazywałby po dawnemu Zimorowicza, autora sielanek, *Symonem,* gdyż ten był tylko młodo zmarłym autorem *Roxolanek,* — autorem zaś sielanek był starozmarły świadek wojen kozackich, wzmiankowany w sielankach, Bartłomiej; różnicę zaś tę, którą przed kilkunastu już laty wykazał Bielowski, wszystkie nawet ostatnio wydawane historye literatury stale zachowują.

Szczupłość w obrazach poetów wynagrodził w okresie tym autor obszerniejszymi obrazami: historyków, statystyków i statystów, autorów pamiętników, naturalistów,

---

cukierniczej *maccaroni)* znane już było we Włoszech i w Europie jeszcze przed nastaniem jezuitów (porówn. *Gentha: Geschichte der macaronischen Poesie* 1829. Halle). U nas J. Kochanowski jeszcze przed rokiem 1584 pisał *carmen macaronicum,* chociaż w tym czasie ani w dziełach prozy, ani poezyi, nie bywało jeszcze makaronizmów.

mówców duchownych i świeckich i t. p. Mianowicie obrazy mówców obszerniejsze tu są, niżeli w jakiej innej historyi literatury.

Obrazy mówców wzięte po większej części dosłownie z *Historyi Wymowy w Polsce* Mecherzyńskiego, jak naprzykład o Jakóbie *Sobieskim*, Jerzym *Ossolińskim*, *Mijakowskim* i innych. Dlaczego jednak do tych *historyków*, *statystów*, *naturalistów*, *biografów* i wszystkich nawet wzmiankowanych w okresie tym przez autora *poetów* stosowaćby się mogło nazwisko *panegirystów* lub *makaronistów*, tego nie poznaje czytelnik. Gdzież były naprzykład: makaronizm lub panegiryzm w rytmach *Twardowskiego*, *Kochowskiego*, *Morsztynów*, Wacł. *Potockiego?* i t. p.

O dwóch ostatnich okresach, Stanisławowskim do roku 1822 i tak zwanym *Mickiewicza* i *Lelewela* od roku 1822, powiemy tu łącznie, są bowiem według jednej, a szczególnej formy nakreślone. Formą tą jest szereg biografij, a szereg bez wszelkiego, dodać wypada, szyku harmonijnego. W okresie Stanisławowskim jest jeszcze domyślna jakaś kolej gałęzi, — ale w ostatnim nie są umieszczone ani koleją gałęzi, ani koleją zasług, ani koleją czasu, lub jakąś inną tak, iż gdyby nie umieszczony przy końcu wykaz alfabetyczny, czytelnik nie miałby środka znalezienia tu tego lub innego autora w kreślonej epoce.

A jednak obraz okresów tych nie jest wcale zbiorem samych rysów pośpiesznych, — próżnym większej wartości. Przywykliśmy już i nie cenimy tego szczegółu, ale żadna z historyj piśmiennictw obcych (ile je znamy), nie podaje tyle szczegółów o miejscowych pisarzach spółczesnych, jak zwykły podawać nasze, a pod tym względem publikacya obecna o wiele jeszcze jest bogatsza nad poprzedniczki. W nieszczupłych ramach okresów (Stanisławowski zajmuje około 300 stronic, ostatni około 500); mamy tu zebrane i rozwijane biografie pisarzy najrozmaitszych gałęzi, różnych miejscowości, różnej zasługi, — biografie, które oprócz dokładnych dat życiorysu i biblio-

grafijnych łączą zwykle już krótsze już dłuższe charakterystyki prac wymienianych, — a to zbliżenie, kreślenie i ocenianie dają nam ożywioną, objaśniającą, a rozmaitości pełną mozajkę. Biografie te przeniesione tu są do historyi literatury w największej części dosłownie ze świeżo wydanej Encyklopedyi Powszechnej, której autor był spółpracownikiem, — nie wszystkie jednak biografie Encyklopedyi są w historyi i nawzajem są biografie w historyi, które się nie znajdują w Encyklopedyi. Charakterystyki tu wyrażane pisarzy są, mówiąc wogóle, trafne. Nie można jednak zaprzeczyć, iż ta użyta forma (uczenia przez biografie) nie jest środkiem jasności w obrazie. Forma ta daje widzieć czytelnikowi pisarzy w sobie, ale nie daje widzieć obrazu całości epoki, ani nawet obrazu i sposobu rozwicia gałęzi w epoce.

Wypada tu w końcu dodać, iż szczegóły rysów w okresach tych, a zwłaszcza śród ostatniego, zbyt jawnie dają tu widzieć swe źródło (a zarazem i jedno ze źródeł ujemności w innych okresach), a mianowicie pośpiech w układzie. Są tu w okresie omyłki, będące tak jawnie dzieckiem tego pośpiechu, iż prawie je wytykać niema potrzeby. Tu naprzykład pod napisem *Tłumacze* umieszczoną jest biografia autora, którego żadne z pism wymienionych nie jest tłumaczeniem (J. B. *Dziekoński),* — tu podciągani pod okres Stanisławowski pisarze, którzy ani jednego słowa nie napisali w tym okresie (Józef Dunin *Borkowski, Gorczyński* Adam i t. p.), inni znowu odniesieni do ostatniego okresu, chociaż nie napisali słowa po roku 1822 (jak Aleks. *Chodkiewicz)* i t. p. Łazarz *Baranowicz,* arcybiskup czernihowski, nazwany w rejestrze drukarzem. Mimo oczywisty zamiar autora umieszczenia biografij koleją gałęzi, oddziały nie mają napisów i rzeczywista kolej w okresie ostatnim idzie tak: historya, poezya, historya znowu, poezya znowu, teologowie, filozofowie, poeci znowu i t. p. Nagle jednak w połowie okresu zjawiają się nadpisy szczególnych oddziałów, jakoto: *medycyna, nauki ścisłe i przyrodzone, tłumacze, go-*

spodarstwo wiejskie i t. p., a zmiana ta w nowy sposób wykazuje żywioł pośpiechu. Szczegóły, ukazane śród tych oddziałów, tak są ułomne, że nie odpowiadają zupełnie bogatej dokładności poprzednich. Pod napisem naprzykład tłumacze, wymieniono tu tylko z całego okresu, to jest z pół wieku, pisarzy *ośmiu*, pod napisem *gospodarstwo wiejskie* czterech i t. p.; a jednak licząc naprzykład pisma, któreśmy mieli w tym czasie, odnoszące się już nie tylko do całego oddziału gospodarstwa, ale do każdej szczególnej części tego oddziału, w każdej z tych części znaleźliśmy jeszcze po kilkanaście [1].

Być może, iż celem autora było wymieniać tylko w oddziałach: pisarzy zasłużeńszych i że wzmianki o tem nie dozwolił mu tylko także uczynić pośpiech; lecz czytelnik widząc,iż w innych oddziałach naprzykład w oddziale poezyi nie został pominiętym żaden prawie poeta, wnosi, iż jest zapewne to samo w oddziałach innych, i tam musi obwiniać piśmienność o zupełne ubóstwo, gdzie przeciwnie nie było wcale ubóstwa.

Takie są, co do swego ogółu i co do swych szczegółów, główne rysy obecnej pracy p. Rogalskiego. Jak widzimy, największą ujemną jej stroną, to jest głównem źródłem spotykanych w niej ujemności, jest pośpiech. Są w niej wprawdzie uchybienia i opuszczenia i innej natury; lecz liczba ich, w miarę tej liczby przedmiotów, które autor z różnych epok i działów literatury umiał w obrazie swoim

---

[1] Przytoczymy tu np. te tylko, które się odnoszą do samego pszczolnictwa w okresie: Mikołaja Witwickiego *Pszczolnictwo krajowe* T. 2, 1829 (przełożone i na język rosyjski). Strumiłły J. *Pszczolnictwo ogrodowe* 1837. Leśniewskiego E. *Nowa metoda chowania pszczół*, i tegoż *Nauka chowu pszczół*. 1843. Szulżyńskiego *Nowy pasiecznik* 1842. Hipp. Wittowskiego: *Najnowsze pszczolnictwo*. 1853. J. Lubienieckiego *Pasieka w ulach Dzierżona*. 1856. Sikorskiego Jana: *Przewodnik do hodowli pszczół*. 1864. Żmudzińskiego Antoniego: *Wyciąg z nauki pszczolnictwa*. 1864. Ad. Mieczyńskiego: *Pszczolnictwo polskie*. 1859. Ks. Dolinowskiego: *Chów pszczół*. 1854, oraz *Zasady pszczolnictwa* zastosowane do konstrukcyi ula ramowego. 1860; wogóle, jak widzimy, dzieł 12-ście; być mogło i więcej.

zebrać, zbliżyć i poszykować, może się nazwać drobną. Uchybienia zewnętrzne łatwoby sprostowane być mogły przy lekkiej zmianie w redakcyi, a obraz sam, mimo wszelkie te uchybienia i opuszczenia, ze wszystkich znanych nam dotąd przewodników podręcznych do poznania historyi literatury polskiej, jest, wypada to przyznać, w szczegóły najbogatszy.

1871.

2.

Zarys dziejów literatury polskiej na podstawie badań najnowszych pracowników nakreślił Adam Kuliczkowski. Nakładem Karola Wilda. Lwów, 1872.

Bogactwo umysłowe jednostek, zarówno jak materyalne, uważane są przez ogół krajowy za jego zaletę spólną, bogactwo spólne; nie dziwimy się więc, że pisma, oceniające i zbliżające szczegóły tego bogactwa, lub jaśniej mówiąc, że gałąź historyi literatury jest, jak i była przedtem, jedną z najwięcej popularnych u nas gałęzi; nawet przed kilku laty (jak na to zwracaliśmy tu już kiedyś uwagę), kiedy powszechną była u nas i w literaturze i w handlu księgarskim stagnacya, nowe zarysy dziejów literatury krajowej nie przestawały się były u nas ukazywać, i to nieraz własnym nakładem księgarzy. A jednak mimo tę popularność i tę ilość publikacyj podobnej treści, żadna z nich nie odpowiedziała dotąd potrzebie powszechnej, i nowy utwór, którego napis przywiedliśmy, nie jest wcale zjawiskiem zbytecznem.

Zarys obecny dziejów literatury p. Kuliczkowskiego, od największej części utworów poprzednich tego rodzaju, odróżnia się mianowicie tem: iż najprzód jest obrazem, czyli wykładem swego przedmiotu szykownym i harmonijnym, iż przedstawia, lubo na małą skalę, treść zupełniejszą od wielu, i wreszcie, a nadewszystko tem, iż to rozwinienie przedmiotu jest kreśleniem zdań własnych, nie po-

życzanych, to jest opieraniem tych zdań na istotnej i bliższej znajomości pisarzy i pism ocenianych. Obraz dziejów literatury polskiej rozdziela p. Kuliczkowski ze względu, jak mówi, »na idee, które w niej występowały«, na następujące trzy wielkie epoki: *scholastyczną*, od początku literatury do połowy wieku XVI., *klasyczną*, od r. 1500 do r. 1820, i wreszcie od r. 1820 do naszych czasów, epokę *narodową*.

W przedstawieniu epoki pierwszej aut. mówi o pierwotnej oświacie Słowian, o pierwszych poetycznych zabytkach niektórych spółplemion, i wreszcie o kronikach, najdawniejszych zabytkach języka, oraz wieku kwitnienia akademii krakowskiej. Okres drugi klasyczny rozdziela na trzy podokresy, t. j. czas kwitnienia literatury (wiek zwany złotym), czas jej upadku (okres makaroniczny) i wreszcie okres »Stanisławowski i Ks. Warszawskiego«, który zowie w nawiasie pseudo-klasycznym. Epokę trzecią, ostatnią, aut. nie dzieli na żadne podokresy, lecz za to mówi o niej najobszerniej, jako stosunkowo najbogatszej i oczywiście najlepiej sobie znanej. Jak w całym obrazie, tak i w kreśleniu tej epoki, autor sposobem najwięcej u nas ulubionym zajmuje się częścią nie tylko bibliograficzną, lecz i biograficzną wzmiankowanych pisarzy, nieraz nawet z przewagą mniej proporcyonalną (ile w zarysie) tej ostatniej; zdania o charakterze pism i pisarzy wyprowadza z bliższej ich znajomości, i oznacza (zdaniem naszem trafnie) i ogólną charakterystykę głównie rozwiniętych śród tego okresu gałęzi, t. j. historycznej, poetycznej i filozoficznej. O gałęzi *historycznej* między innemi wyraża: iż od czasu Naruszewicza charakteryzuje ją głównie opieranie się na krytyce faktów i że stąd odznaczyło ją mianowicie bogactwo monografij i zbiorów źródeł; o *poezyi*, iż w tym okresie »ogarnia pieśń cały naród, jego wierzenia, miłoście, nadzieje«, oraz iż jest »już wielką i prostą, jak podanie ludu, to znowu pełną natchnienia, proroczą i nawet filozoficzną i mistyczną«; o *filozofii*: iż filozofia nasza (po roku 1830) wyrasta

na gruncie nowej filozofii niemieckiej, w szczytności i subtelności dosięga wyżyn swojej mistrzyni, a nawet się kusi o jej prześcignienie«. Mówiąc o poprzedniej epoce klasycznej, a mianowicie o początku obecnego stulecia, autor za główną wadę umysłowości ówczesnej kraju uznaje zbytnie przejmowanie się obczyzną (frankomanią). »Zamiłowanie obczyzny, mówi, doszło było w tym czasie prawie do bezrozumnego bałwochwalstwa: z ciała zwleczono suknie przodków, z duszy wiarę przodków, z mowy język przodków«; przeciwnie ową ostatnią epokę oznacza jako górującą nad wszelką dawną. »Dawniej, mówi, piśmiennictwo polskie, choć rozwijało się czasem bardzo świetnie, to jednak nie było tak rzeczą całego narodu, jak obecnie. Znamieniem obecnej literatury jest też jej szczególne bogactwo. Poezyę narodową wydał dopiero wiek XIX., epopeja i dramat teraz dopiero zakwitły, nadto przybyła powieść i filozofia. Każden dział piśmienniczy ma licznych pracowników, pomiędzy którymi nierzadki geniusz« (274). Wzgląd na to każe nawet autorowi (łączącemu w kreśleniu obrazu różnorodne idee) odłączyć się od pesymistów domowych, i oglądać przeciwnie nad społecznością, której umysłowość kreślił, istnienie opieki duchowej; »wystąpienie, mówi, tylu genialnych na każdem polu pracowników jest zapewne dziełem Opatrzności, bo natchnienie spływa łaską z góry i z góry pochodzi wszelka zdolność«.

W obecnym zarysie literatury otrzymaliśmy więc słowem dziełko, które jest zdolne i szczegółowiej i wcale trafnie zaznajamiać z przedmiotem swoim, tak nie znającego go dotąd krajowca, jak cudzoziemca. Mówiąc to jednak nie chcemy zarazem twierdzić, iżby ten skreślony obrazek był już i ściśle dokładnym, i był bezbłędnym. Im obszerniejszy może być danej książki użytek, tem więcej i ujemne jej strony nie powinny być omijane i zacierane, i dlatego zwrócimy tu uwagę na niektóre w obrazie tym już większego, już mniejszego nawet znaczenia omyłki lub opuszczenia.

A najprzód nie znajdujemy wcale, iżby ów podział literatury na dwie epoki, scholastyczną i klasyczną, był charakteryzującym przedmiot i trafnym. W piśmiennictwie 1-ej epoki, które do czasu założenia akademii krakowskiej składało się wyłącznie prawie z kronik, pieśni duchownych i ustawodawstwa, a zatem aż do wieku XV. cóż było scholastycznego? W głównych następnie utworach piśmiennych epoki 2-ej, jako to w *Trenach* Kochanowskiego, *Wizerunku* i *Zwierciedle* Reja, w *Victorii Deorum, Roxolanii, Worku Judaszowym* Klonowicza, w charakterystycznych utworach Górnickiego i Orzechowskiego (*Quincunx* i t. p.) cóż było klasycznego? W istocie uczynionego podziału nie znajdujemy nawet wcale odbicia tej objawionej przez autora zasady, iż »idea literatury łączy się ściśle z faktami politycznymi«. Od r. 1500 do 1820 przez ileż zmienionych faktów politycznych przechodził naród, a jednak według autora przez ten cały czas przechodził tylko w literaturze *jeden i tenże okres* klasyczny. Następnie: z przedstawienia epoki pierwszej czytelnik nie powezmie bynajmniej o jej właściwych cechach i jej cząstkowem bogactwie rzetelnego wyobrażenia.

W przedmowie aut. mówi: »dokładne rozpatrzenie się w skarbach literackich, poznanie ich nie ze słychu, ani z czyjejś wzmianki, ale z własnego rozczytywania, oto pierwsze i najgłówniejsze poznania literatury źródło«. Przestroga to bardzo słuszna i żałować wypada, iż przy skreślaniu obrazu epoki 1-ej aut. jej nie miał w pamięci. Jest modą u naszych historyków literatury, iż mówiąc o jej pierwszym okresie, mówią wiele i przytaczają wyjątki z *Pieśni Igora* i *Królodworskiego rękopisu*, czyni to i p. Kuliczkowski. Wyznajemy, iż nie rozumiemy tej mody, jestże to dla przypominania i dla dowodu, iż ludy spółplemienne były wtedy bogatszej niż nasz fantazyi? Cóż właściwie odznaczyło mianowicie u nas ów pierwszy okres? Oto przedewszystkiem wartość *Kronik* i w końcu głośność prac i wykładów w nowoutworzonej akademii krakowskiej. Aby

ocenić wartość ówczesnych naszych Kronik *Galla* i *Kadłubka* dosyć je przyrównać do ówczesnych kronik społeczesnych, np. niemieckich w zbiorze Pertza. Kronika Galla nie było to suche wyliczanie chronologiczne wypadków, lecz był to różnostronny, ożywiony obraz w danych latach danego kraju, był to poemat, w którym bohater jego, Bolesław III., ze swemi wadami, przymiotami i cechami przedstawił się jako bohater epopei, z różnicą, iż szczegółami jej była ścisła prawda dziejowa. Kronika znowu Mistrza Wincentego był to utwór, który w wykładzie swym, bogactwem spekulacyjnych uwag, wymową, poezyą, wyniósł się nad utwory wieku; ta wyjątkowość pióra charakterem jest wszystkich czterech ksiąg Kroniki i ostatecznie sprawdza jedność ich autora; na te cechy i tę wysokość *piśmienych* zalet tej kroniki wskazywali nawet w ostatnich czasach sami historycy z powołania i cudzoziemcy (jak np. Zeissberg), tem więcej więc nie powinien był ich pomijać historyk literatury. Otóż albo mylimy się bardzo, albo aut. Zarysu w tych głównych utworach epoki nie rozczytywał się wcale. Przystępując bowiem do wyliczania i charakterystyki kronik mówi: »Kronika postępuje porządkiem lat, zamykając pod datą każdego roku wszystkie ważniejsze, znane sobie zdarzenia«; tymczasem jest to właśnie stroną ujemną Kronik Galla i Kadłubka, iż jest w nich zupełny brak chronologii. Charakteryzując następnie bliżej Kronikę Galla, aut. wyraża tylko: »Wielbi Krzywoustego, dalekim jest jednak od pochlebstwa« (str. 35). O Kronice zaś Kadłubka te tylko słowa: »Kronika ta zawiera 4-ry księgi; pierwsze trzy są pióra Mateusza herbu Cholewa; Kadłubek podejmując na rozkaz Kazimierza Spraw. pracę Mateusza, napisał do niej wstęp i dołączył 4-tą księgę, ułożoną sposobem opowiadania« (str. 35). Mówiąc niżej o wieku kwitnienia akademii krakowskiej, autor wspomina tylko nazwiska niektórych akademików, bez wymieniania nawet nazwiska ich prac. Autor Zarysu przedstawieniu epoki 1-ej poświęcił stronic 40, mówi tu już o oświacie Słowian, już

dziejach krajowych, wyjątkom z Pieśni Igora i Rękopisu Królodworskiego poświęca całych kart kilka, przystąpiwszy zaś z kolei do właściwych produkcyj okresu, nie mówi o nich nic, albo tak jak nic. Dodajmy też tu z okoliczności szczegółów tego okresu jeszcze jedną uwagę. Po Kadłubku wspomina aut. o Kronice *Boguchwały* i jej kontynuacyi przez Baszkę. Długosz, który wyliczał troskliwie wszystkie zasługi wzmiankowanych przez siebie duchownych, lubo wspomina o wszystkich Boguchwałach poznańskich, nie mianuje żadnego autorem kroniki, nikt też u nas do końca XVIII. wieku nie znał żadnej Kroniki Boguchwały, a tylko Kronikę Baszki; dopiero Sommersberg znalazłszy w swym egzemplarzu Kroniki Baszki te słowa: »w tymże czasie ja Boguchwała miałem sen« etc., całą kronikę uznał za kronikę Boguchwały i pod tem nazwiskiem ją wydrukował; nie mogąc zaś wytrącić nazwiska Baszki, uznał go tylko za kontynuatora; lecz słowa powyższe o śnie znajdują się w tymże kształcie i w innych kronikach, a na kwestyę tę i wyłączne autorstwo Baszki całej kroniki zwrócił właśnie dobitną uwagę Mosbach w swej uczonej broszurze *Godysław Paweł.* Mówiąc znowu o najdawniejszym zabytku języka polskiego, Psałterzu *Floryańskim,* aut. Zarysu mówi: »*niema wątpliwości,* iż Psałterz ten był w posiadaniu Jadwigi, a następnie szedł spadkiem w rodzinie Jagiellonek do Katarzyny, żony Zygmunta« (str. 39). Twierdzenie to dziwnie brzmi obok tego objaśnienia, które przed paru laty ogłosił *Nehring* w broszurze o tym Psałterzu, iż na okładce jego znajduje się napis łaciński z r. 1557 w tych słowach: »Psałterz ten w tym roku jest własnością Bartolomeo Siess, który go nabył od kupca włoskiego«; chociażby więc istotnie ostatecznie był własnością Katarzyny, nie mógł iść nieprzerwanym spadkiem od Jadwigi. Rozprawa Mosbacha Godysław Paweł jest z r. 1867, Vincentius Kadłubek Zeissberga z r. 1869, dziełko o Psałterzu Floryańskim Nehringa z r. 1871, mniej właściwie wyraził więc w napisie p. K., iż jego Zarys »na podstawie badań najnowszych praco-

wników jest przedstawiony«. — Daleko charakterystyczniej, i owszem dokładniej, niż w jakim innym Zarysie Literatury przedstawionym jest przez autora okres drugi; więcej mianowicie niż w innych zwróconą tu została uwaga na treść łacińskich naszych poezyj, i znacznem jest, że o większej części głównych pism tu wzmiankowanych mówi aut. z własnego o nich sądu; zrobilibyśmy jednak uwagę, że w szczegółach tego przedstawienia za mało widać, a raczej prawie nie widać wpływu tak bogatego przyczynku do dziejów literatury, jak dzieło Mecherzyńskiego: *Historya wymowy*, oraz innych studyów, licznie w tych ostatnich latach czynionych nad pisarzami tej epoki; z drugiej zaś strony za mniej właściwe poczytujemy wtrącane do obrazu liczne wypisy z przekładów poezyj łacińskich Kochanowskiego, Symonowicza, Klonowicza i innych, jakkolwiek pięknego pióra Syrokomli; w Zarysie dziejów literatury, ile w zarysie, jeżeli wystarczało miejsce na przytoczenia, właściwszem byłoby przytaczanie oryginalnych wyjątków ze wzmiankowanych poetów, czytelnik bowiem obecnie zaznajamia się nie z oryginalną właściwą każdemu z nich dykcyą, lecz z dykcyą Syrokomli.

Najobszerniej i najtrafniej, powtarzamy, przedstawioną jest charakterystyka pism i pisarzy z ostatniego spółczesnego nam okresu, a jako na więcej odznaczone, wskazujemy na zdania z poetów o autorze Irydyona, z historyków o Szajnosze, z filozofów o Gołuchowskim. Pomijając jednak trafiające się autorowi małe biografijne omyłki, jako to, gdy mówi np. o tymże Gołuchowskim, że »osiadłszy w Garbaczu, oddał się wyłącznie zajęciom literackim«, gdy przeciwnie aut. ten osiadłszy w Garbaczu, oddał się wyłącznie przez lat 30 zajęciom ekonomicznym, z zaniedbaniem literackich (do filozofii wrócił dopiero w trzech ostatnich latach życia), lub iż Janocki umarł w r. 1780, kiedy ten jeszcze w r. 1782 kończył trzeci tom Janocianów, że Andrzej Śniadecki (zamiast Jan) obrany był rektorem uniwersytetu wileńskiego, że główna dramatyczna czynność Ko-

rzeniowskiego przypada na czas pobytu jego w Charkowie (gdzie nie napisał podobno żadnego dramatu), pomijając, mówimy, takie i tym podobne drobne omyłki, dodać także wypada, że i w samych charakterystykach krytycznych najnowszych pisarzy czyni aut. nieraz pomyłki, t. j. wyraża zdania, które są raczej brzmiącym frazesem, nie rzetelną charakterystyką.

Tak np. charakteryzując talent powieściowy Kraszewskiego, p. Kulicz. mówi: »*Sterne, Walter Skott, Richter, Hoffmann, Irving* byli dlań mistrzami w sztuce« (str. 360). Cechą, odróżniającą talent Sterna, był błędny humoryzm, Walter Skotta plastyczność dziejów dawnych, Hoffmanna fantastyczność, Richtera spekulacya; żadna zaś z tych cech nie jest charakterystyką powieści Kraszewskiego, których barwą jest przedmiotowość praktyczna; głównym mistrzem Kraszewskiego była i jest natura, w którą się umiał wglądać, a jeżeli przytem co do formy zapatrywał się i na jakie obce wzory, tedy bardziej na powieści twórców francuskich, nie zaś któregokolwiek z wymienionych pisarzy.

Objaśniając charakterystykę pisarzy przez porównania, autor mówi między innemi: »Michał Grabowski i Michał Czajkowski uzupełniają poniekąd szkołę ukraińską, objawiając wiele pokrewieństwa, pierwszy z Goszczyńskim, drugi z Bohdanem Zaleskim« (str. 364). Któżby sądził, iżby salonowy powieściotwórca i krytyk, Mich. Grabowski, mógł być przyrównanym do śpiewaka dzikich scen Zamku Kaniowskiego, a autor krwawych scen Kirdżalego i Wernyhory do mistycznego słowika ukraińskiego.

Dając charakterystykę prac Słowackiego, aut. między innemi mówi: »Balladyna zasługuje jako olbrzymia kreacya na szczególniejszą uwagę, poeta przedsięwziął w niej zidealizowanie legendowych podań narodu«. Wiadomo, iż treść Balladyny wziętą jest z balladki Aleks. Chodźki o siostrach i malinach, a tuzinkowa ta gminna anegdotka z któregoś zakątka Litwy nie ma i nie może mieć pod żadnym

względem pretensyi uchodzić za legendowe podanie z dziejów pierwotnych Lechii.

Na str. 294 charakteryzując wpływ poezyi Mickiewicza na poezyę krajową, p. Kuliczkowski mówi między innemi: »Najwybitniejszymi przedstawicielami jego kierunku byli: Ant. Ed. Odyniec, Stef. Witwicki, Stefan Garczyński, Antoni Gorecki, Franciszek Morawski«. Jest to szczególna uwaga. Trzej ostatni nie tylko nie byli najwybitniejszymi, ale żadnymi naśladowcami Mickiewicza; Gorecki i Morawski poprzedzili go *(Domek mojego dziadka* tego ostatniego był raczej naśladowaniem Gawęd Pola), zaś Garczyński był poetą spekulacyjnym.

W oddziele filozofii, aut. charakteryzując dzieła Trentowskiego, mówi między innemi: »*Myślini* zbudowaną jest cała w duchu Hegla« (415). Objaśnienie to nie jest wcale objaśnieniem rzetelnego charakteru tego utworu. Celem loiki Trentowskiego było owszem obalenie loiki Hegla przez postawienie wypadkowych momentów tej ostatniej (idei, wiedzy) za momenta dopiero *przeczące*. Walka ta i zasada były właśnie dyalektycznie charakterem głównym wszystkich filozoficznych pism Trentowskiego.

Co do ogólnej treści tego ostatniego okresu literatury dodajmy też, iż niektóre jego gałęzie, jak np. lekarska, rolnicza, gospodarska i t. p. (jakkolwiek dotykane w poprzednich okresach), w obecnym zupełnie są pominięte, i że jakkolwiek co do wielu szczegółów o pisarzach galicyjskich i poznańskich z lat ostatnich, Zarys p. Kuliczkowskiego jest bogatszy nad inne, tedy znowu literatura polska z ostatnich lat 10 ciu w jednem z głównych jej ognisk, w Warszawie, jej ruch i nawet główni jej w różnych gałęziach przedstawcy, zdają się być nawet nieznani autorowi.

Dziełko p. Kuliczkowskiego, powtarzamy więc, jest to kompendyum harmonijne i samoistne; mamy nadzieję, iż może go spotkać los, jaki nie spotkał dotąd żadnego dzieła o historyi liter. pols., z wyjątkiem Lesława Łukaszewicza, to jest, iż będzie miało ponawiane wydania, i dlatego też

właśnie sądziliśmy, iż może nie będzie zbytniem wyrażenie i uwag kilku powyższych, z których wypada: że jeżeli kompendyum to jest dokładne, nie jest jednak pod każdym względem dokładne, i że jakkolwiek autor jego jest pisarzem krytycznym, jest jednak tylko do pewnego stopnia krytycznym.

11 grudnia 1873. Miassota.

3.

Rys dziejów literatury polskiej podług notat Aleksandra Zdanowicza, oraz innych źródeł, opracował i do ostatnich czasów doprowadził Leonard Sowiński. Tom I—V. Wydanie Zawadzkiego. 1874—1878.

Dziewięć wieków naszej umysłowej przeszłości nie upłynęło bez śladów. I owszem, błyskały one nieraz kwiatem i światłem nawet i wtedy, kiedy na umysłowych polach nie tylko spólplemiennych, ale i dawniejszej cywilizacyi nam sąsiednich ludów (germańskich, skandynawskich) rzadko tylko dawały się widzieć kłosy; zaś wtedy, kiedy według zwykłej rachuby ludzkiej umysłowość ta po stracie swojego ciała powinna była z niem zniknąć, zabłysła owszem oryginalniej, silniej i różnostronniej i nie przestaje zjawiska tego dotąd przeciągać. Nie dziw więc, że taki fakt, taka przeszłość, nie przestają budzić swoich badaczy, swoich malarzy, a utwory ich snać nie przestają zyskiwać żywszego spółczucia, skoro się powtarzają. Jakoż mimo istnienie już kilku czy kilkunastu publikacyj, określających całość przebiegu naszej literatury, otrzymaliśmy właśnie nową, z nazwiska pomienioną, a która już samemi swemi ramami daleko zostawiła za sobą poprzednie tejże treści.

Dwu autorów figuruje na czele obecnej publikacyi (Aleks. Zdanowicz i Leonard Sowiński), lecz niewłaściwie, gdy bowiem w przedmowie do tomu IV. czytamy, iż z notat pierwszego w dwu tylko czy trzech ustępach tomu I. użytek był uczyniony, tedy spółudział ten w stosunku do

pięciu obszernych tomów jest prawie żaden, a za istotnego i odpowiedzialnego autora drugi tylko, to jest p. Leonard Sowiński uważać się musi.

Budowa historyi literatury, jak budowa historyi zewnętrznej danego kraju i jak wszelka budowa z dwu części składać się musi: kopania fundamentów i wznoszenia już na nich gmachu. Wykonanie tych zadań dwu różnych wymaga sił, różnych zdolności i spotyka się wreszcie, jak u nas, z bogactwem tej skali, iż jak dotąd nie mogła okazać się dziełem jednej ręki. Autorowie najobszerniejszych naszych historyj literatury: Wiszniewski i Maciejowski, którzy usiłowali być razem i kopaczami i budownikami, prace swe doprowadzili dopiero do połowy ścian gmachu (to jest do w. XVII), a ostatni nie dotykał nadto utworów łacińsko-polskich; tenże brak jest i w historyi literatury Wójcickiego, jakkolwiek do ostatniej epoki doprowadzonej. Autor obecnej pracy czuł dobrze oczywiście trudność swego zadania, a mając głównie na celu dojść do jej końca, czyli objęcie całości przedmiotu, oświadczył zgóry, że będzie raczej wspierać budowę swoją na wzniesionych już fundamentach, niżeli się zajmować kopaniem nowych, lub jaśniej: iż zadanie swe to jest skreślenie historyczno-krytyczne obrazu literatury polskiej ze zbliżenia tylko i wyboru prac, na tem polu już dokonanych, przedsięwziął złożyć. Trudno nawet uprzedzić o tem kategoryczniej i jaśniej, jak to uczynił autor, gdy przy końcu przedmowy swej do tomu pierwszego wyraził: »Najotwarciej uprzedzam szanownych krytyków i recenzentów, że brałem u poprzedników moich wszystko, co tylko znalazłem dobrego i nauczającego«, i tylko zarazem jako poeta, czynność tę przytoczeniem następnej dowcipnej uwagi drugiego poety (Kochowskiego) podnieść się starał: »Dlatego przecież ani tkanina pajęcza przez to jest szanowniejsza, że ją pająk z *siebie* wysnuwa, ani praca moja dlatego pośledniejsza, że ją wzorem pszczół z cudzych zapasów brałem«.

Drugi to już obraz historyi literatury otrzymujemy

z ręki poety, a ta umysłowa cecha w historykach nie okazała się niekorzystną dla przedmiotu. Zadanie podobne właściwszem nawet może jest dla poety, niżeli dla pracownika w jakiej innej gałęzi. Każdy utwór literatury i nawet wogóle piśmiennictwa, ma coś w sobie z *idealności,* a poeta jest właśnie z swej misyi zwolennikiem i przedstawcą głównym idealności. Jakoż z uczuciem i obrazowo kreślił każdą gałąź literatury w historyi swej Kondratowicz, i tylko nie odważył się dalej nad zakres założonych już fundamentów (za wiek XVII.) przestąpić. Autor obecnej pracy napotkawszy więcej ułatwień i ten zakres przekroczył i budowę swą do najbliższych nawet przed nami lat doprowadził. Całość ta jest to wprawdzie po największej części zbliżenie słów cudzych, ale ich wybór, ich szyk, ich wiązania, cała słowem fizyognomia główna i główne barwy obrazu należą już do autora. Otóż i ten utwór poety, *zbyt obszernie*szy ramami, odznaczony jest wewnętrznie tąż cechą w pewnej mierze dodatnią, jak i poprzedni. Działy zwłaszcza poezyi, historyi a w części i filozofii z uczuciem i należnem przejęciem się są tu kreślone. Pióro przytem jasne, logiczne, nieraz ozdobne, oraz smak dobry, były wszędzie budownikami obrazów.

Te są obecnego utworu zalety główne, ogólne odbicia *umysłu* poety, dodajmy jednak zgóry, że są też w nim z tegoż źródła idące i ujemności.

Słusznie albo niesłusznie, ale przypisywaną jest umysłom poetów pewna ociężałość, jaśniej mówiąc, pewne lenistwo w pracy, a cecha ta była właśnie źródłem tego następstwa, iż autor nie tylko mysli co byłoby dostatecznem), ale i całkowite zdania i słowa poprzedników swych zatrzymywał, że w pracy jego tam nawet, gdzie usiłował być nader dokładnym, nie wszystko zawsze było dokładnem, iż wziąwszy za podstawę w tej pracy kopania główne, nie korzystał i z dodatkowych (czyli z monografij), i wreszcie iż nieraz w jego sądach i zdaniach grać musiała i grała rolę [illegible]

Przebieżmy tu po kolei i wskażmy na główne rysy i na sposób redakcyi treści a uwagi te jaśniejszemi się staną.

Dzieje literatury polskiej podzielił p. Sowiński na następnych okresów pięć. Pierwszy od początków do Zygmunta I. (trochę za rozciągle, założenie bowiem akademii krakowskiej i ogłaszane prace akademików były istotną epoką); drugi do połowy wieku XVII., czyli do upadku dobrego smaku, trzeci do odrodzenia się dobrego smaku za Stanisława Augusta, czwarty do Mickiewicza i ostatni od Mickiewicza.

W epoce pierwszej nie mieliśmy żadnego obszerniejszego dzieła w języku polskim, autor więc złożył jej obraz z samych przytoczeń z zabytków *piśmiennictwa polskiego* z owego okresu. Przytoczenia te zacząwszy od psalmu 50 z wieku XIII., do wyjątku z życia Aleksandra W. z r. 1510 wzięte są przeważnie z Dodatków do I. tomu Piśmiennictwa Polskiego Maciejowskiego, korzystał jednak autor i z innych źródeł i objaśnień. Stąd też np. Psałterz Małgorzaty zwany już tu jest za Nehringem, Psałterzem Floryańskim, jest wzmianka o (odkrytej przez Przeździeckiego) modlitwie św. Wacława, o urywkach kazań, ogłoszonych przez Działyńskiego i t. p. Mówi autor i o zabytkach języka w prozie i przedmiotach świeckich, jak o przekładach praw, Pamiętnikach Janczara, nauce o pisowni Parkosza itp. Dziwimy się jednak, gdy na str. 55 wyraziwszy, że są wzmianki i o istnących w owej epoce pieśniach historycznych, dodaje: »ale z nich żadna nas nie doszła«. Wszakże w samych owych Dodatkach Maciejowskiego są wyjątki z pieśni historycznych Sandomierzanina z czasów napadów tatarskich w XIII. wieku, a w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1843 drukowaną była pieśń całkowita o bitwie pod Grunwaldem przez naocznego świadka (»We wtorek, w dzień apostolski« etc.) z r. 1410, a wzmiankę o której odniósł autor niewłaściwie do pieśni ludu. Ile w obrazie epoki nader mało dziś znanej, żałować można, iż autor czyniąc tyle przytoczeń, nie dał poznać zabytków tak oryginalnej prozy

autor mianowanie kodeksu Gnieźnieńskiego Zamoyskim, którego użył był Lelewel z powodu, iż rękopism ten był czas jakiś w bibliotece akademii zamoyskiej.

Po Gallu mówi p. Sowiński o Mateuszu i Kadłubku także wyłącznie słowami Lelewela i po staremu uważa tego ostatniego jako autora tylko czwartej księgi kroniki, jego imię noszącej. Sławę potępionego niegdyś przez Szlecera Kadłubka podniósł wysoko i zrestaurował w ostatnich czasach w literaturze niemieckiej spółziomek Szlecera: Zeissberg; uznawszy z większością historyków dzisiejszych tego pisarza za wyłącznego autora wszystkich czterech ksiąg kroniki, podniósł też i rozszerzył (zwróconą już w ostatnich czasach i w kraju) uwagę na *literacką* wartość tej kroniki (na tkwiące w niej poezyą, wymowę i filozofią) i wskazał na jej autora, jako na literacką gwiazdę nie tylko swojego kraju, lecz wieku. Autor rysu literatury wyrzekł się tej ozdoby i mylnie przytem wskazał sposób udziału w kwestyi tej Bielowskiego, mówiąc, »iż ten wbrew Lelewelowi całą kronikę przyznawał Kadłubkowi« (str. 64). Bielowski w swym *Wstępie do dziejów polskich* najgorliwiej owszem popierał zdanie Lelewela i stąd też mówił tam np.: »Wykazałem powody, dla których trzy pierwsze księgi Kroniki za dzieło Mateusza uważam« (str. 99) i dopiero w ostatnich czasach odstąpił od swego zdania, gdy przedmowę swą do wydania Kroniki Kadłubka w *Monumentach* temi słowy zakończył: »Tak więc i to, co Wincenty z siebie wysnuł, jak i owo, co od drugich przejął i po swojemu wyłożył, stało się nieodzowną *jego własnością*, jemu należy dziś tego dzieła zasługa i sam on za niedostatki winien odpowiadać« (*Monumenta*, tom II., str. 230). O tem ostatniem wydaniu autor wspomina wprawdzie, ale się oczywiście bliżej z niem nie zapoznał, tak bowiem mówi: »Kronika ta Wincentego wraz z księgami Mateusza doczekała się wzorowego wydania *wraz z przekładem* w pomnikowem dziele: *Monumenta Poloniae historica*«. Przekładu polskiego w tem wydaniu nie-

ma, a znajduje się przy wydaniu *kodeksu Wiedeńskiego* przez Przeździeckiego.

Po Kadłubku mówi p. Sowiński o *Kronice Baszki* i tu, po staremu także, kronikę tę *Kroniką Boguchwała* nazywa. Wiadomo, iż chociaż począwszy od Długosza, tylu u nas pisało o Boguchwale i o Baszce i o dawnych kronikach i tyle czyniono ich wydań, *kroniki Boguchwała* nikt jednak nie znał do wieku XVIII. Pierwszy Sommersberg zwróciwszy uwagę, iż w rękopiśmie *kroniki Baszka* pod rokiem 1249 znajdował się dopisek taki: »Tegoż czasu w noc po św. Janie ja Bogufał miałem widzenie, iż« etc., wniósł, iż cała ta kronika do tego roku była dziełem *biskupa* (co *baron* Sommersberg znajdował też oczywiście naturalniejszem) i że następnie kontynuował ją tylko kustosz Baszko i stąd też w zbiorze swoim nazwał ją *kroniką Boguchwała II.* biskupa. Nie podzielił jednak wcale następnie tego zdania tłumacz *kroniki Baszka* na język polski, Kownacki, a autor pierwszej naszej *krytycznej historyi literatury polskiej*, Wiszniewski, nie wspomniał nawet o Bogufale jako historyku, objaśniając, iż ów przypisek o »widzeniu« błąkał się i po innych kronikach z wieku XIII., dopisywany snać ręką biskupa na egzemplarzach w jego zbiorze będących; a zdanie to Wiszniewskiego świeżo podparł i rozszerzył Aug. Mosbach w swej monografii *Godysław Pasek* (1867, Lwów), zwracając tu nadto uwagę, iż autor kroniki, o której mowa, wyraża w przedmowie, iż zaczął ją pisać, »aby o przodkach *panującego dziś* króla Przemysława opowiedział«, gdy zaś król Przemysław panował od r. 1292—1296, nie mógł więc tego wyrażać Boguchwał, który zakończył życie w r. 1253, że Baszko wspominając w tej kronice o Boguchwale, wyraża tylko, iż był uczony (tak właśnie jak i Długosz), nie dodając, iżby pisał kronikę, i wreszcie iż Długosz, który tyle ustępów wciągnął z tej Kroniki do swojej, znałby i ów przypisek (gdyby ten istniał i w jego egzemplarzu), a wtedy nie podawałby tej kroniki za *kronikę Baszki*, jak to uczynił. Mógł p. Sowiński nie podzielić tych względów i nazy-

wać *kronikę Baszki kroniką Boguchwała,* jak to uczynił, idąc za spółczesną sobie tradycyą, Bielowski w ostatnim przedruku jej w *Monumentach,* ale pisząc rys jej literatury (skądinąd) krytycznie, winien był wspomnieć przynajmniej o istniejącej kwestyi i o powodach, dla których poszedł za zdaniem takiem, nie innem.

Nie wspomniał z kolei p. Sowiński o wzmiankowanej przez Baszkę spółczesnej mu *kronice Piotra* (której opis, lubo w przerobieniu, wynalazł Przeździecki, a wydał także Mosbach p. n.: *Kronika opowiadająca dzieje Piotrowe,* 1865, Ostrów), ani o rzetelnym zabytku piśmiennym biskupa Mateusza, t. j. liście jego do św. Bernarda (umieszczonym w I. tomie *Monumentów* Bielowskiego). To jednak, co mówi dalej w obrazie tej epoki, o annalistach, akademii krakowskiej, pracach akademików i t. p. jest kształtnem, treściwem, wiernem i do poznania fizyognomii literackiej czasu (ile zwłaszcza w *Rysie*) dostatecznem; nadmienimy tu tylko, iż gdy autor ani na poznanie monografij, ani nawet zdań o pracach swych poprzedników czasu nie poświęcał, naturalnie więc zatrzymywał i te powtarzane kolejno przez nich twierdzenia i wyrażenia, na których bezzasadność nieraz już wskazywano. Figurują więc tu np. wyrażenia takie, jak: »*Kadłubek opowiada,* że po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego stroskani panowie wyprawili sobie dyalog« (str. 95), chociaż Kadłubek tego wcale nie powiada, a był to tylko (podniesiony przez Maciejowskiego) niefortunny pomysł jednego z komentatorów, iż zawikłana liryka (w wielu odpisach figurująca nawet bez nadpisów interlokutorów *iucunditas, meror* i t. p.) mogła być przedmiotem wystawy scenicznej. Albo: »Grzegorz z Sanoka był to geniusz, *nad jakim wieki pracują*« (str. 76). Czemu? Bo o filozofii scholastycznej wyraził się, iż jest to »marzenie czuwających«, ale wyrażenie to belletryści wszystkich wieków i miejsc stosują do filozofii sobie spółczesnej, a takim belletrystą właśnie był Grzegorz z Sanoka, światły skądinąd humanista-filolog i historyk i t. p.

Obraz okresu II-go skreślony jest od str. 128—590. Jest to obraz kwitnienia naszej dawnej literatury i autor poprzedził go odpowiednim prologiem, który objął ogólny pogląd na ówczesny historyczny stan kraju. Pogląd ten zaczyna się mianowicie od następnych słów: »Największy majestat znaczenia, potęgi i sławy rozwinęła Polska za dwóch ostatnich królów Jagiellońskich, łącząc w wyższym niż inne państwa europejskie stopniu dwa niezbędne warunki pomyślności krajowej: siłę na zewnątrz i swobodę obywatelską wewnątrz. Rzeczpospolita urosła na ogromne państwo. Granice jej opierały się o Baltyk i o stepy dzisiejszej Noworosyi« i t. d. Słowa te jak i dalsze przez kilka stronic obejmują piękny i charakterystyczny pogląd na przedmiot, i żałować należy, iż autor nie objaśnił, iż są one dosłownym przekładem z rosyjskiego (*Obzor istorii słowianskich literatur* A. N. Pipina i W. D. Spasowicza, Petersburg, 1865, str. 372 i dal.), co w żadnym razie nie zmniejszyłoby ich efektu. Jak zaś ten prolog z *Obzoru*, tak dalszy wykład okresu wzięty jest głównie co do pisarzy polskich z *Piśmiennictwa* Maciejowskiego, zaś co do polsko-łacińskich z *Hist. Liter. Pols.* Bartoszewicza. Czerpanie z tych źródeł dokonywanem jest najczęściej w sposób taki, iż autor po opowiedzeniu w kilku słowach życia danego pisarza, wyliczenie i ocenę tak charakteru tego pisarza jak jego dzieł szczególnych powtarza literalnie słowami źródła, czyniąc tylko niekiedy już takie, już inne wyrzutnie, a dodając w to miejsce wyjątki z pism ocenianych. Dla przykładu objaśnimy tu ustęp o Klonowiczu. Ustęp ten, obejmujący kart pięć, rozciąga się od str. 324 do 334, a wszystkie prawie słowa ustępu są powtórzeniem słów *Piśmiennictwa* Maciejowskiego, wziętych z kart 531, 533, 534, 540—550 tomu I. Ustęp tylko o *Flisie* jest z Bartoszewicza. Własnością autora, oprócz wyboru słów, jest krótki życiorys poety, przytoczenia z *Worka Judaszowego* i *Roxolanii* (w przekładzie Syrokomli), a także parafraza jednego wersetu z porównania Klonowicza z Kochanow-

skim, które u obu pisarzy kończy ustęp. Werset ten u Maciejowskiego brzmi: »Kto jak Klonowicz nad swój wiek wystrzeliwszy myślą, nie trafił nią spółczesnym do smaku, ten nie żywszy w obecności, będzie żył u potomnych w wieku myśli, a kto wdziękami jak Kochanowski zyskał sobie hołdy, utraci je zestarzawszy, jak piękna twarz, którą pokryły zmarszczki«. U Sowińskiego toż krócej: »Pierwszy (Kochanowski) celował wdziękiem starzejącym się podobnie jak oblicza, drugi jaśnieje myślą wielką i prawdą niestarzejącą się nigdy«. (Z okoliczności tej wzmianki wtrąćmy, że poprzednik autora, Kondratowicz, w zdaniu swem o Klonowiczu naśladował także z Maciejowskiego porównanie tego poety z Kochanowskim, lecz wnioski w tem porównaniu czynił naodwrót, t. j. na większą korzyść Kochanowskiego).

W ten więc sposób jak o Klonowiczu przeniesione są z *Piśmiennictwa* ustępy i o wszystkich innych głównych pisarzach okresu, jak o Janie Kochanowskim, Reju, Grochowskim, Miaskowskim, Bielskim, Stryjkowskim, Skardze, Zbylitowskich i innych. Co do obioru w ten sposób źródeł okresu, t. j. Maciejowskiego i Bartoszewicza, nie możemy go uznać za nietrafny; dziwimy się jednak wogóle, iż autor raz obrawszy za główne źródło swej pracy historyków literatury, lubił się więcej opierać na źródłach krótszych, jak na obszerniejszych. Autor miał przed sobą zawsze Bartoszewicza, a nie widzimy, iżby coś zaczerpnął z Wiszniewskiego, z pisarza, którego właściwy sędzia Estreicher słusznie uważa za kolos nasz bibliograficzno-literacki, a z którego tak nowych i ciekawych szczegółów tomu VIII. i IX. żaden nawet z licznych naszych historyków literatury dotąd nie czerpał. Podobnie p. Sowiński wypisywał ustępy z kompendyum *Historyi Literatury* Mecherzyńskiego, a nie widzimy, iżby znał źródłową tego autora pracę: *Historya wymowy w Polsce,* tom III. Co do zdań o pisarzach i pismach, o tyle rzec wogóle można, że wybór ich jest trafny, że nawet o wielu pismach tych pisarzy, upowszechnionych teraz przez Bibliotekę Turowskiego, spotykamy nieraz ró-

wnie trafne a własne opisy p. Sowińskiego; dodajmy jednak, iż gdy wszystkie są wyrażane bez wymienienia źródła, a z liczby tych, które są przenoszone, są też niektóre i zupełnie wierne, autor za wszystkie równą odpowiedzialność przejmować na siebie musi. Wskażemy tu na kilka z tych ostatnich.

I wielcy poeci niekiedy drzemią, nic więc dziwnego, iż zdarzy się to i wielkim badaczom. Pisząc szczegółowie o pismach Reja, autor *Piśmiennictwa Polskiego* mówił z kolei i o wielkim poemacie jego, *Wizerunku;* jeżeli się nie mylimy, p. Maciejowski nie był dosyć cierpliwy, aby poemat ten z kilku tysięcy wierszy złożony prześlepić cały i poprzestał na dojściu do pieśni drugiej, czyli do Epikura, resztę treści dotoczywszy z imaginacyi, temi słowy ją określił: »W poemacie tym Rej przedstawił niby *walkę* człowieka z *namiętnościami,* który w końcu odwraca się od niecnót, porzuca rozpustę i ku cnocie zwraca swe kroki«. Tymczasem treść tego poematu jest całkiem odmienna. Bohaterem jego jest młodzieniec, który ma tylko jedną namiętność *poznania prawdy,* a z namiętnością tą nie tylko nie walczy, ale ją przez całe 12 pieśni zaspakaja, przechodząc po kolei w krainie zmarłych z zapytaniami, od jednego do drugiego filozofa, póki wreszcie Eliasz i Arystoteles nie zaspokoili go w zupełności. Treść tę jednak, jak poprzednio Rogalski, tak obecnie p. Sowiński z *Piśmiennictwa* literalnie powtórzył [1].

Autor *Piśmiennictwa* podobnie miewa swe sympatye i antypatye i według tych miarkował swe zdania; na te jednak nie zważał autor mówiąc np. o Hieronimie, czyli Jaroszu Moskorzowskim, głównym antagoniście Skargi, ta-

[1] Gdyby autorowi znane było studyum o *Wizerunku* [A. Tyszyńskiego], umieszczone w *Bibl. Warsz.* z r. 1867, nie tylko nie powtórzyłby zapewne tej mylnej treści, ale wiedziałby, iż ten poemat jest naśladowaniem *Zodiacus vitae* Palingena; zarazem zaś może odmienne wyraziłby zdanie o rymotwórczej zalecie Reja. [Obecnie tę rozprawę znaleźć można w »Wizerunkach polskich«].

kie (przenosząc je z *Piśmiennictwa* t. I., str. 708) wyraził zdanie: »On jeden pośród spółwierców swoich (socynianów) umiał pismami swemi nie tylko do myślenia pobudzać, lecz nadto rozkrzewić niemi i *wznieść wysoko* ducha tak poezyi, jak *wymowy* polskiej« (t. I., str. 262). Powtarzając to zdanie, autor *Rysu* mógł przecie wspomnieć, czyli o takim geniuszu wypadło mu co wzmiankować pod oddziałem poezyi albo wymowy; tymczasem zasług jego pod tymi oddziałami wcale nie znamy. Juszyński wspomina wprawdzie, iż w bibliotece Ossolińskich jest rękopism pieśni nabożnych Jarosza Moskorzowskiego i że tenże pisał parodyą pieśni III., księgi IV. *Horacyusza*, której początek taki:

Lecz wdzięczne zdroje Rakowa sławnego
I gęste gaje, co są w okrąg jego,
Obdarzę pieśni rymowych składami
I imię jego rozsławię wierszami i t. d.

Ossoliński w biografii tego pisarza wyraża, iż »styl jego tak w jego pismach polskich, jak i łacińskich, jest przycierpki i chropowaty« (t. I., str. 255); świadectwa te nie stwierdzają jednak, widzimy, bynajmniej, iż pisarz ten *wzniósł wysoko* wymowę i poezyę polską.

Co do ogólnego obrazu wieku, nadmienimy wreszcie, iż jest w nim brak (wspólny wreszcie wszystkim naszym historyom literatury) pełniejszego obrazu gałęzi, która była u nas, w stosunku do innych ówczesnych piśmiennictw, jedną z najbogatszych i dobitnie odróżniała obraz naszej literatury, mianowicie charakterystyki pism politycznych, zawartej tak w nieskończonych broszurach wierszem i prozą w języku krajowym, jak i w poważnych traktatach w tym przedmiocie w języku łacińskim; lecz na to miejsce bogatszym jest ten obraz niż u poprzedników dodaniem obrazu wymowy, a zwłaszcza dziejów kościoła i polemik religijnych, które to obrazy w części z Bartoszewicza, ale daleko obficiej z chaosu szczegółów, rozrzuconych w trzech tomach *Piśmiennictwa* Maciejowskiego zręcznie ująć, zbliżyć i poszykować autor umiał.

Przeszedłszy do okresu III-go, t. j. od połowy wieku XVII. do połowy XVIII., p. Sowiński nie miał już do użytku swego głównego źródła: *Piśmiennictwa* Maciejowskiego, przestawać więc musiał częścią na krótkich zdaniach swych poprzedników w ich historyach literatury, częścią zaś na opiniach własnych o pismach powszechniej znanych. O pisarzach tego okresu ukazywały się wprawdzie w ostatnich czasach liczne monografie, a mianowicie o ile je znamy: cztery o Wacławie Potockim, dwie o Morsztynach, dwie o Kochanowskim, o Opalińskim, Starowolskim, Janockim, Załuskim i innych; lecz te jako rozrzucone po pismach czasowych i zbiorowych, jak się zdaje, nie były nawet autorowi znane. Stąd też i zmienionego w ostatnich czasach zdania o istocie okresu autor nie podzielił bynajmniej i w prologu do jego obrazu tak go określa: »Zupełnie odmienny (od poprzedniego) przedstawia nam widok okres, do którego przystępujemy. Tutaj nie mamy na żadnem polu znakomitych talentów« (str. 591). I niżej: »Literatura tego okresu jest smutnym, ale oraz wiernym obrazem ogólnego w tej epoce znikczemnienia umysłów« (str. 608). Szczęściem jednak w szczegółowym następnie obrazie epoki autor jakby zapomniał o tych założeniach i spotykamy w ciągu wykładu takie między innemi zdania: »Morsztyn Andrzej miał *znakomity* dar do wymowy i poezyi, jest to prawdziwie natchniony poeta w uczuciowym, natchnionym liryzmie, żaden mu z dawnych nie dorównał pisarzy« (t. I., str. 661). »*Wojna Chocimska* Potockiego, prawdziwe *arcydzieło* ówczesnej literatury« (str. 635). »Miała Drużbacka *niepospolity talent* satyryczny« (str. 664). »Przed obrazami Paska bledną Kromer i Tacyt« (str. 685). »Starowolski należy do tych pisarzy, którzy zdumiewają ogromem swojej nauki« (str. 705). »Dzieło Fredry obok *głębokich* uwag i rad zaleca się czystą polszczyzną« (str. 717). »Kochowski jest prawdziwym historykiem i słusznie zaliczony być może do szeregu, w którym stoją: Długosz, Wapowski i Kromer« (str. 730) »Kobierzycki godzien jest stanąć obok Kochow-

skiego i Piaseckiego«. »Kojałowicz jest bez zaprzeczenia jednym z najlepszych historyków całego XVII. wieku« (str. 743). Podobnie o Młodzianowskim, Niesieckim i innych. Charakterystyki i inne wzmianki o tych wszystkich pisarzach w ogólności wierne są, a byłyby jeszcze wierniejsze i rozmaitsze, gdyby autor znał ich monografie. Gdyby np. znał monografią Andrzeja Morsztyna z r. 1862 (Mecherzyńskiego) nie podałby w tomie I. jego poezyi p. n.: *Lutnia* za poezye Zbigniewa, a następnie w tomie II. nie umieściłby tego mylnego objaśnienia, iż rękopism *Lutni* z oznaczeniem autorstwa Andrzeja znalezionym został »już po *wyjściu* tomu I. *Rysu*«. Gdyby znał monografie o Potockim, nie rzekłby zapewne, iż »poznano pióro jego w *Wojnie* stąd, że wiele znajduje się w niej ustępów, które później żywcem przenosił do innych pism swoich« (przenoszenie to mogłoby być i skutkiem plagiatu; dowodem autorstwa *Wojny* okazało się głównie przypisanie jej »ukochanemu synowi Janowi Lipskiemu«, który był zięciem Wacława Potockiego, a mianowicie te słowa dedykacyi: »Miłość twoja przeciwko *rodzicom twej żony* I we mnie budzi *wzajemny* afekt«); mógłby natomiast objaśnić, iż poemat ten był po największej części przekładem komentarza o *Wojnie Chocimskiej* Jakóba Sobieskiego (studyum Bełcikowskiego), a zamiast rzec o Argenidzie (za Rogalskim), iż jest to poemat »rozwlekły i nudny«, wskazałby może raczej na te liczne i zajmujące dodatki, które w nim dodał tłumacz z alluzyą do rzeczy krajowych (studyum Nabielaka); gdyby znał studya o Kochowskim, nie omieszkałby zapewne zwrócić bliższej uwagi na rozmaitość jego talentu poetycznego, a mianowicie na jego wymowne, lubo prozą biblijną *Psalmodye*, które uznane zostały (Siemieński, Rzążewski i in.) za prototyp *Posłania* Brodzińskiego i *Ksiąg* Mickiewicza; gdyby znał monografią o Opalińskim, lub ściślej ją poznał, nie wyliczałby trzech wydań jego satyr, a objaśniłby, iż było ich ośm (Szajnocha t. III., str. 209) i t. p.

Obraz tego okresu jak i poprzedniego ożywiają i obja-

śniają liczne wyjątki z wymienianych pisarzy. Żałować wszakże można, że autor nie odznaczył dobitniej czystości stylu wielu ówczesnych pisarzy (bez makaronizmów np. oprócz *wszystkich* poetów pisali nadto i prozaiści: Fredro, Starowolski, Młodzianowski i in.) i w miejsce zalicznych wypisów z Twardowskiego i Baki nie przytoczył raczej jakiego wyjątku z rozmów *Artaksesa i Ewandra* St. Lubomirskiego (o których istnieniu nie wzmiankuje nawet), wolnych także od makaronizmów i których treść na równi z tylu innemi nie była wcale dowodem »ogólnego znikczemnienia umysłów«.

Zdania o historykach, którzy wszyscy w tym okresie pisali po łacinie, o autorach *Pamiętników* i t. p. są zwięzłe, trafne, a po największej części powtórzone z Bartoszewicza.

W ustępie o cudzoziemcach, piszących o *historyi polskiej*, wspomina autor między innemi dzieło Solignaca, objaśniając, iż *Historya Polska* tego autora doprowadzoną jest do »śmierci Zygmunta Augusta«. Tak niegdyś wyraził się pierwszy Bentkowski w swojej *Historyi Literatury*, a za nim powtarzali te słowa wszyscy jego następcy, nie wyjmując Bartoszewicza, jakkolwiek historyka. W historyi to jednak Solignaca znajdujemy ową wzmiankę z Thuana, iż: dworzanie królewscy w Paryżu zarumienili się, nie umiejąc odpowiedzieć po łacinie posłom polskim, przybyłym po Walezyusza, przyczem dodaje Solignac: »Na ów wiek było to już dosyć, iż się zarumienili«. Iż wzmianka Bentkowskiego była prostą omyłką, widzieć to można z własnych słów jego zaraz dodanych, iż: »Historya Solignaca cała, t. j. do r. 1574, przełożoną została na język polski«, a stąd iż nie mogła być tylko do śmierci Zygmunta Augusta, który umarł w r. 1572. Historya Solignaca doprowadzoną była do ucieczki Walezyusza i była to długo, bo do naszych czasów, najlepsza praktyczna *Historya Polska* i nawet, ile na wiek swój, krytyczna. Bartoszewicz snać nie miał jej w ręku i stąd wyrażenie się jego o tej historyi w tych

tylko słowach: »Solignac, sekretarz Leszczyńskiego w Lotaryngii, *odważył się* na pragmatyczne dzieje narodu, które doprowadził aż do śmierci Zygmunta Augusta« (str. 399). P. Sowiński słusznie uczynił, iż zamiast powtórzenia tego zdania za Bartoszewiczem, powtórzył raczej o Solignacu właściwsze z Rogalskiego.

Charakterystyczne są i dobrze swój czas malujące wyjątki z panegiryków i kazań owego okresu. W ogólności bowiem dodać wypada, iż ów czas wielkiego upadku smaku i myśli ogólnej kraju, do którego stosować się może przytoczona wyżej charakterystyka ogólna autora, istniał istotnie, tylko że w obrazach literatury naszej nie należałoby łączyć dwu epok w jedną, a odróżniać okres Wazów i okres Sasów.

Obrazowi okresu IV-go, t. j. od połowy XVIII. wieku do Mickiewicza poświęcony jest cały tom II. I ten okres składa się właściwie z dwu różnych: w I-ym, t. j. w wieku Stanisława Augusta, królowali pisarze oryginalni (Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, Zabłocki, Karpiński, Kniaźnin i tylu innych); w drugim, t. j. w literaturze początku XIX. wieku królowali głównie tłumacze: Dmóchowski, Osiński, Feliński, Tymieniecki, Gorczyczewski, Wyszkowski i w. in. Wizerunek pisarzy wieku Stanisława Augusta jest dosyć szczegółowy, wierny i ożywiony; objaśnić jednak wypada, że najbardziej charakterystyczne zdania o pisarzach głównych: Krasickim, Naruszewiczu, Trembeckim i innych wzięte są wszystkie prawie literalnie ze Spasowicza *(Obzoru)* z dodaniem tylko licznych objaśniających przykładów, a ze złagodzeniem niekiedy zasilnych rysów tekstu, jak np. o różnostronnej a sięgającej daleko przedajności Trembeckiego itp.; zdania o historykach i innych pisarzach prozy z Bartoszewicza.

Zdania o przytoczonych poetach początku wieku naszego i pisarzach prozy są równie, obok wielu zdań własnych, najwięcej z Bartoszewicza i dodamy tu tylko, iż jeżeli autor obok powtórzeń tych zdań słusznie uczynił, pro-

testując przeciw pomiataniom Czackiego, tedy najniesłuszniej znowu powtórzył ironią, przeciw korporacyi tak zasłużonej, jak Towarzystwo Przyjaciół Nauk, ciśniętą. Bartoszewicz żartując z tego Towarzystwa, iż kontynuacyą historyi Naruszewicza poruczyło kilku osobom, wyraził: »Nikt historykiem nie będzie z natchnienia. Towarzystwo Przyjaciół Nauk *ani pojęcia nie miało* o skarbach, jakie się kryły dla naszych dziejów w rękopismach, bez poznania tych źródeł chciało mieć historyą«; trudno było wyrazić coś mniej dorzecznego. Przecież i Naruszewicz był właśnie historykiem z natchnienia (króla Stanisława), a Towarzystwo, którego prezesem był Albertrandi, właśnie dlatego zapewne, iż znało dobrze bogactwo skarbów, jakie się kryły w rękopismach, nie odważyło się tak pożądanej od kraju kontynuacyi poruczać ręce jednego Niemcewicza, który był jednym z członków Towarzystwa (autor, mimo jej małe błędy, okresowej pracy: *Dzieje Zygmunta III.)* i wydał sam jednocześnie z tych rękopismów kilka tomów *Pamiętników o dawnej Polsce.* Lelewel, jako może trochę malkontent, żartował wprawdzie także z poruczenia pisania historyi kilku osobom, kiedy jeden obraz winien być jednej ręki; Bartoszewicz myśl tę w powyższy sposób najnieszczęśliwiej rozwałkował, a p. Sowiński najniepotrzebniej ją powtórzył.

Koniec tomu II. obejmuje też prolog do epoki Mickiewicza i mówi o poecie przejścia, Brodzińskim. Prolog jako poświęcony czasowi, który był przejściem od klasyczności do romantyczności, złożony jest cały z ustępów wziętych z rozprawy Brodzińskiego o *Klasyczności i Romantyczności* i rozpraw Mickiewicza w tym przedmiocie, a to równie w ustępach, gdzie jest wyrażone: »mówi Brodziński«, jak i na kartach, gdzie nie czyni autor tego ostrzeżenia.

Tom III. najobszerniejszy, obejmujący bowiem do 800 stronic, poświęcony jest cały poezyi okresu Mickiewicza i jeszcze nie obejmuje całej, albowiem brak gałęzi dramatu i przekładów. Przedstawienie tego bogatego obrazu trochę

się zagadkowo zaczyna. Zdawałoby się, że okres, który się zowie okresem od Mickiewicza, powinienby się zaczynać od Mickiewicza, zwłaszcza po zapoznaniu się już z poetą przejścia. Tymczasem spotyka tu nas najprzód kilku nowych poetów przejścia, a mianowicie: Malczewski, Zaleski, Goszczyński, Zaborowski i Gorecki, chociaż poeci ci wszyscy ani chronologicznie, ani ze stopnia talentu nie byli przodkującymi, a dwaj ostatni należeli nawet pod każdym względem do poprzedniego okresu.

Zaczynają więc obraz Malczewski, Zaleski i Goszczyński; poezyę ich zowie autor szkołą ukraińską; cech tej szkoły i wewnętrznej łączności poetów tych nie oznacza; każdego jednak z osobna daje poznać dosyć dobitnie, mówiąc najprzód o szczegółach życia każdego, a następnie wyliczając utwory główne, dając charakterystykę i przytaczając wyjątki.

Z uwag, odznaczonych nowością oraz poglądem głębszym, przytoczymy tu następne:

O *Maryi*: »Główne założenie poety (w poemacie tym) było psychologiczne. Chciał on przedewszystkiem wystawić rozwój namiętności i skażenie ducha zacnego, omdlewającego w żelaznych szponach niedoli. Podobnie jak Byron, jest on przeważnie lirykiem. Poemat jego to karta wydarta z własnego żywota, historya własnych uczuć poety« (str. 18).

O Zaleskim: »Zaleski nierównie głębiej od Malczewskiego zajrzał w serce Ukrainy. Gdy autor *Maryi* przeczuwał tylko skarby ukryte w ziemi rodzinnej, Zaleski odgrzebał je, rozkopał kurhany odwieczne i z łona ich wydobył stosy najcenniejszych kamieni, które następnie z niedoścignioną ogładził i wykończył doskonałością. W tem poetycznem obrobieniu nie dorównał mu żaden z liryków polskich XIX. wieku« (str. 28). I niżej: »Niema ani jednego pisarza polskiego, któryby tak mało wniósł do poezyi żywiołu osobistości własnej, jak Zaleski. Można powiedzieć, iż nie panował on nad przedmiotem, lecz był względem niego w takim stosunku zależności, jak zwierciadło lub

harfa Eola, z której każde tchnienie wietrzyka wydobywa dźwięki cudowne« (str. 44). »Aby przekroczyć zaklęte wyobrażeń miejscowych koło, Zaleskiemu nie dostawało ukształcenia filozoficznego« (str. 46).

O Goszczyńskim: »Różny swem poetycznem usposobieniem od innych śpiewaków Ukrainy, Goszczyński wybrał dla swego geniuszu posępniejszą stronę jej dziejów i przyrody. Dzikie uniesienia, namiętności, boje, zdrady, morderstwa są treścią jego obrazów. W fantazyi ludowej ukochał on przedewszystkiem stronę jej dziką, ciemną, szatańską. Posiada on prawdziwie Rembrandtowski pędzel do malowania płomieni na tle mroku nocnego« (str. 49).

Tych kilka zdań powtórzyliśmy tu z dwu powodów: najprzód dlatego, iż są trafne, i powtóre, aby oddać *suum cuique;* wszystkie bowiem są literalnym przekładem słów Spasowicza (w *Obzorze* str. 463, 465 i 469).

Z kolei mówi autor, jak wspomnieliśmy, o Zaborowskim i Goreckim i wreszcie o Mickiewiczu. Ustęp o Mickiewiczu przeciąga się od str. 80—194 i godny jest poety, twórcy okresu. Życiorys poety, jako pisany po ogłoszeniu jego korespondencyi, pełniejszy jest i rozmaitszy niż w innych historyach literatury. Charakterystyka tak ogólna, jak szczególna utworów trafnie i z uczuciem kreślona. Zdania niektóre ogólne są z Siemieńskiego i Mecherzyńskiego, o *Dziadach, Grażynie* i *Wallenrodzie* z Mochnackiego, o *Panu Tadeuszu* kart kilkanaście z Zatheya Hugona, z oznaczeniem wszędzie tych źródeł. Treść *Wallenroda* zdaje się być pióra samego autora i pierwszorzędny ten poemat naszej literatury trafnie odkreśla. Ze zdań, które według nas do najwięcej charakterystycznych należą, przytoczymy tu następne: »Obok niesłychanej potęgi uczucia, zastanawia w Mickiewiczu dziwny spokój, umiarkowanie, trzeźwość duchowa. Nigdy nie widać w nim wysilenia, łamania się z formą, zamiaru sprawienia efektu« (str. 117). »Entuzyazm jego dla każdej idei wielkiej był potężny a kierowany wiarą. Wiara ta przechodziła natychmiast w tłumy. Ta potęga wpływowa

stawia go nad wszystkich poetów polskich« (str. 117). »Mickiewicz skupił w natchnieniu swojem wszystkie promienie narodowego ducha. Stąd uważamy Adama za bezwarunkowo wyższego od wszystkich późniejszych poetów« (str. 194). (Z wyjątkiem zdania od wyrazu »Entuzyazm« do »Wiara«, które jest ze Spasowicza, str. 479, wszystkie inne nie wiemy czyjego są pióra, najprędzej samego autora).

Przechodząc do trzech bezpośrednich następców Mickiewicza, przejście to autor poprzedza następną trafną uwagą: »Trzech następujących poetów (Garczyński, Krasiński, Słowacki) możnaby nazwać wieszczami *ducha*, gdyż wszyscy trzej mało mają przedmiotowości, a natomiast w każdym przeważa jedna z pierwszorzędnych potęg duchowych, w pierwszym *myśl*, w drugim *uczucie*, w trzecim *wyobraźnia*« (str. 194).

O Zygmuncie Krasińskim mówi autor od str. 201 do 279. Jest to ustęp z pewnością najciekawszy dla ogółu czytelników, mieści bowiem nie tylko życiorys poety (który już zawierały niektóre historye literatury), ale nadto i liczne wyjątki z jego utworów wierszem i prozą. Rzec nawet można, iż z wyjątkiem zdań o *Nieboskiej Komedyi*, które są powtórzone (jak to objaśnia sam autor) z prelekcyj Mickiewicza, wszystkie dalsze ustępy, jak wyjątki, tak i przejścia są pióra samego Krasińskiego. Tak: poetyczny prolog o stanie państwa Rzymskiego za Irydyona, który poprzedza treść *Irydyona*, jest właściwie dosłownem powtórzeniem przypisku samego autora Irydyona do tego dramatu, zaś tak nazwane przez autora »streszczenie filozoficznych i historyozoficznych zasad Zygmunta Krasińskiego«, zaczynające się od słów: »Duch ludzki jest bez początku i końca, bo z Pana wyszedł i do Pana dąży napowrót, a nigdy nie stopi się z Panem« i t. d., jest powtórzeniem literalnem słów jednego z interlokutorów dramatu: *Poemat Niedokończony* (który miał być pierwszym dramatem trylogii, której drugim była *Nieboska Komedya*) z wyrzutnią tylko słów drugiego interlokutora. W całym ustępie umieszczone są

treść i liczne wyjątki z utworów Krasińskiego: *Nieboska Komedya, Irydyon, Poemat Niedokończony* i in. Dosyć charakterystycznie wzmiankuje nadto autor i o innych; a objawiane zdania o tym poecie kończy następnem, które powtórzymy: »Krasińskiemu można zarzucić zbytni optymizm ducha. Zapominając o warunkach rzeczywistych tego świata, odziewał on ludzi w szaty aniołów, nie pomnąc na ich położenie i obowiązki. W duchu i treści poezyi jego jest pewna jednostronność, bo wogóle przeważnie jego poezye cechują: elegijna rzewność, oderwanie się od rzeczywistości i marzenia niedoścignione w sferach ducha, a piękność w poezyi jego zasadza się więcej na muzyczności i harmonii, niż na malowniczości obrazów«. Ułamek z *Glosy* [illegible] *Teresy*, pod względem gorących uniesień i poetycznych piękności, nie ma według autora nic sobie równego w całej nowożytnej literaturze europejskiej. *Irydyon* to »dramat genialny świata, stoi na niedościgłej wysokości«.

Ustęp o Juliuszu Słowackim rozciąga się od str. 279 do 419. Poecie temu poświęcony został ustęp najdłuższy; autor mówi obszernie o utworach tego poety pierwszej epoki, jak i o następnej od *Kordyana;* najobszerniejsze zdania poświęcone są *Maryi Stuart, Balladynie* i *Lilli Wenedzie;* zakrótko stosunkowo jest o *Beniowskim* i *Królu-Duchu*. Zdanie najwięcej charakterystyczne, bo mogące się odnieść wogóle do wszystkich utworów tego poety jest następne: »Najwięcej w pracach Słowackiego podnieść należy, iż owiewa je jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia. Jest to właśnie strona talentu Słowackiego, która go najwybitniej odróżnia od wszystkich innych poetów polskich, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi, rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Za dotknięciem jego ręki przemienia mu się

wszystko w jakiś eter powiewny«. Pod względem redakcyi objaśnić wszakże wypada, iż wszystkie umieszczone w tym ustępie rozumowania i zdania tak o dramatach, jak poematach są dosłownie przeniesione z dzieła Małeckiego: *Juliusz Słowacki,* na które też autor powołał się w przypisku, zaczynając ustęp. Zdanie dopiero przytoczone, jest u Małeckiego na str. 71 i 72. Po krótkich, ale po największej części trafnych uwagach o talencie i utworach Odyńca (najwięcej, jak sam autor objaśnia, według Siemieńskiego), Jul. Korsaka, Al. Chodźki, Gust. Zielińskiego, Józ. Borkowskiego, Witwickiego, Gosławskiego, Gaszyńskiego i Morawskiego (z niekrótkim wyjątkiem z *Domku mojego dziadka*), autor przechodzi do obszerniejszych zdań o talencie Pola. Zdaniom tym towarzyszą także obszerne wypisy; na treść ich jednak nie wszędziebyśmy się zgodzili. P. Sowiński np. między innemi mówi tu: »*Przygody Winnickiego, Senatorska Zgoda, Sejmik w Sądowej Wiszni* rażą ubóstwem treści«. Gdyby przynajmniej autor rzekł: ubóstwem poezyi, to w odniesieniu do dwu ostatnich utworów byłoby to w części trafnem, lecz treści we wszystkich dosyć, a w Sejmiku i nadto. »Krasicki, mówi dalej autor, jest tem w Senatorskiej Zgodzie, czem Panie Kochanku w Przygodach, a obaj w świetle niewłaściwem, wcale nie historycznem« (str. 467). Oba te zdania mylne. Krasicki w *Senatorskiej zgodzie* jest bohaterem głównym, o Panie Kochanku w *Przygodach* jest tylko uboczna wzmianka; że zaś pierwszy był w swoim czasie królem dowcipu, a drugi niejednokrotnie wpółidyotą, to historyczne. O *Mohorcie* powtórzone jest za Rogalskim (a najprędzej właściwie za kimś trzecim), iż jest to »wielkie słowo o *wielkim bohaterze*«.

Na zakończenie charakterystyki przytoczył autor przydłuższe a niekorzystne zdanie historyka Schmita o prelekcyach Pola we Lwowie; jaki mieć może związek ta nagana z talentem poety? Utworom Syrokomli poświęcony jest o wiele obszerniejszy ustęp, niż Polowi, a życie i charakterystyka utworów wyrażone po większej części słowy

Kraszewskiego z jego broszurki: *Władysław Syrokomla.* Dalej następują poeci: Pług, Korotyński, Jachowicz, Kraszewski, Pruszakowa, Olizarowski, Groza, Padura, Wasilewski, Lenartowicz, Hołowiński, Nabielak, Bielowski, Siemieński, Zmorski; — zbieracze pieśni ludu; — Jaśkowski, Czajkowski, Norwid, Żygliński, Kar. Baliński, Berwiński, Ujejski, Wolski, Żeligowski, Pajgert, Jabłoński Henr., Sowiński, Żmichowska, Anna Libera, Ilnicka, Faleński, Deotyma, Asnyk, Michaux, Gomulicki. Zdania o tych wszystkich poetach zdają się być po większej części własne autora, krótkie, trafne i jasne, nigdy trywialne.

W tomie IV ustęp od str. 1 do 137 poświęcony jest gałęzi dramatycznej w poezyi polskiej. Gałąź ta, tak długo najuboższa u nas w utwory oryginalne, nagle, zwłaszcza w ostatnich latach, wcale nieszczupły przedstawiła ich szereg. P. Sowiński autorom wszystkich, już krótsze już dłuższe, poświęcił wzmianki, i powtórzymy tu nazwiska wszystkich: Al. Fredro, Józ. Korzeniowski, Skarbek, Magnuszewski, Szajnocha, Szujski, Małecki, Szymanowski, Chęciński, Bogusławski, Anczyc, Drzewiecki, Przezdziecki, Korzeniowski (Apollo), Romanowski, Józefowicz-Hlebicki, Narzymski, Lubowski, Bałucki, Sakowski, Jan Fredro, Borkowski (Witold), Koziebrodzki, Sarnecki, Bliziński, Urbański, Okoński (Świętochowski Al.), Mellerowa, Faleński, Wojciechowski, Kościelski, Bełcikowski, Asnyk, Rapacki, Zaleski (Kazim.), Stachurski. Największą liczbą utworów odznaczeni, najwyżej też położonymi zostali przez autora dwaj pierwsi. Aleksander Fredro nazwanym jest »najzasłużeńszym w gałęzi swojej i sprawcą epoki«. O Korzeniowskim autor mówi: »iż winien mu teatr polski swe ożywienie i zwiększony wpływ na publiczność«. Zdania o wszystkich innych są wszędzie własne autora, krótkie, jasne i po największej części trafne: mówimy »po największej części«, niektóre bowiem (wypada nam tu wtrącić) każą przypomnieć, iż je kreślił poeta, to jest umysł, którego jedną z najwybitniejszych cech jest *fantazya.* Pióro p. Sowińskiego jest wogóle

umiarkowane i zimne, wszakże od czasu do czasu widne w niem i fantazye na różny sposób. Tak np. kiedy z poetów miernych, albo i niżej niż miernych, przytaczał po kilka kartek (Twardowski, Baka); innych, których oryginalność i talent wymagały właśnie objaśnień, całkiem prawie pomijał. Z Gaszyńskiego np. przytoczył jedną piosnkę, która nie charakteryzuje wcale talentu poety, z Gosławskiego nie przytoczył nic, z Cypr. Norwida (ciemnego poety, ale poety) nic i t. p. W życiorysach, nieraz autorowi wielkiej zasługi i dzieła okresowego poświęcił zaledwo wierszy kilka (Narbutt), a autorowi kilku życiorysów pobieżnych i który nie wydał żadnego dzieła (Grochowski) stronic kilka. Inną razą pragnąc kreślić pochwały (jak to i widzieliśmy już w części), kreślił superlatywa, w obecnym dziale miał, rzec można, paroksyzm nagany, i te także skreślił w superlatywach. Stali się jej ofiarą i tragik i komik. Historya poezyi uczy, iż teatralne deski wydać mogą talenta dramatyczne pierwszego rzędu (Szekspir, Molier), mimo to jednak fakt twórczości w jednostkach, których powołaniem jest być naśladownikami, to jest w artystach dramatycznych tak jest rzadki, iż istotną w ostatnich latach sprawił nam niespodziankę jeden z artystów naszych (Rapacki), którego utwory odznaczone zostały pewnym wyższym talentem. Zdało się nam, iż nikt nie mógł w utworach tych dosyć cenić tego (obok poetycznego talentu) pokoju i uczucia, z jakim pisany był np. *Wit-Stwosz* tej silnej werwy i barwy starodziejowej, jakiemi oddycha *Mazur-Czart* (Konrad Mazowiecki), albo małego obrazka *Figiel Stańczyka*, w którym z tak rzetelnem uczuciem skreślony monolog tegoż o obowiązku bawienia ludzi z musu. P. Sowiński jednak utwory te tak określił: »dramat Mazúr Czart *jeszcze słabszy* od poprzednich (*Wita Stwosza* i *Kopernika*). Obrazek *Figiel Stańczyka* jest *najpotworniejszą lichotą*«. (t. IV. 131). Podobnie i o innym zdatnym dramatyku (Fredrze synu): »Oprócz obrazka *Przed śniadaniem*, wszystkie inne utwory Jana Fredry rażą *najpocworniejszą* przesadą i *karykaturalnością*.

brakiem logiki i prawdopodobieństwa, konceptami płaskimi i *najzupełniejszym* brakiem oryginalności« (t. IV. 105). Co w tych zarzutach najszczególniejsze, to zarzucenie karykatury, która przecież jest żywiołem komizmu. Jakoż zarzut podobny czynił autor i Fredrze ojcu, iż przesadą karykatury *grzeszą: Cudzoziemszczyzna, Pan Jowialski,* a zarzutu tego nie potwierdziło wcale powszechne zdanie.

W oddziale *Tłumacze poetów obcych,* zamierzył autor mówić o pisarzach, którzy »*przeważnie* albo *wyłącznie* przekładami swymi należą do literatury krajowej« (130). Czytelnik spotyka tu, od Minasowicza do Żebrawskiego, kilkadziesiąt nazwisk poetów, których zaletę lub charakterystykę autor po większej części trafnie odznacza. Nie spotyka tu jednak tłumaczów najwięcej odznaczonych jak Odyńca, Sienkiewicza, a z zadziwieniem znowu widzi między innymi Bronisława Trentowskiego i Teofila Żebrawskiego, którzy bynajmniej nie przekładami należą *przeważnie* do literatury krajowej.

Oddział *Powieściopisarze* obejmuje stronic 214. Myśli wstępne wyraził autor, jak sam o tem uprzedza, według rozprawy Grabowskiego *Literatura romansu w Polsce* (trochę anachronicznie). Następnie mówi szczegółowie o autorach naszej powieści, przytaczając życiorysy głównych i wyliczając utwory każdego ze stosowną charakterystyką. Z wyjątkiem zdań o Kraszewskim, p. Marrené i o Kaczkowskim Korotyńskiego; wszystkie inne, zdaje się nam, iż są własne p. Sowińskiego i zwykle trafne. Można być wdzięcznym autorowi, że podniósł tu i tych pisarzy, którzy błysnąwszy raz lub dwa piórem odznaczonem, następnie zamilkli, i którzy przeto są pomijani zwykle w historyach literatury, jak np. Szczeniowski, Massalski. Pominięte być mogły płody całkiem poronione (jako to np. Korabia Laskowskiego), ale niesłusznie zbyt krótko i niesłusznie odprawionym został Bogucki. Jest to autor (wtrąćmy z okoliczności), który ze wszystkich powieściopisarzy naszych najwięcej miał może rzetelnie romantycznej fantazyi

i najwięcej wykończone sceny umiał malować. Jeżeli np. w *Rodinie* (głównie przez autora potępionym) wszystkie sceny powieści tej były własne a nie przeniesione z którego z pierwszorzędnych ówcześnie francuskich pisarzy (czego nie wiemy), miałby zupełne prawo tuż obok nich zająć miejsce.

Oddział *Dziejopisarstwo* obejmuje stronic 316 i jest jak jednym z najobszerniejszych, tak też i najwięcej zajmujących w okresie. Najdłuższe naturalnie otrzymali tu ustępy: najzasłużeńszy z naszych historyków-kopaczy Lelewel, i najświetniejszy z naszych historyków-budowników Szajnocha. (W ustępie o pierwszym znajdujemy zajmujący przypisek o krótkim osobistym stosunku autora z historykiem). Po nich historycy rozumujący: Moraczewski, Wróblewski, Dzieduszycki, najpraktyczniejsi: Morawski i Szujski i świetni w gałęzi pracownicy: Bielowski, Stadniccy, Wojciechowski i tylu innych. Resztę tomu zajmują historycy literatury, bibliografowie i t. p. Kończy tom krótki, ale zajmujący obraz o podróżnikach naszych w ostatnich czasach we wszystkich częściach świata.

Tom V i ostatni mówi najprzód o filozofii w Polsce. Gałęzi tej poświęconych jest stronic 118. Chociaż autor w ustępie tym zdania o filozofach naszych wyraża słowami tłumacza Szweglera (o czem z góry uprzedził), dowiódł jednak, że i sam umie czuć filozofią. Pióro tłumacza Szweglera (F. Kr.) jest to pióro i różnostronne i zdatne, ale wszędzie i zawsze przeczące i *tylko przeczące;* mimo to jednak z treścią pism i charakterem filozofów naszych tak idealnych, pozytywnych, jak i idealno-realnych, czytelnik dosyć trafnie się zaznajamia.

Dosyć szczegółowie mówi jeszcze następnie autor o prawnikach, ekonomistach, lingwistykach; przechodząc zaś w końcu do nauk ścisłych, objaśnia, iż w oddziale tym wymieni tylko wydatniejszych pisarzy i uskutecznia to nie przepominając i oddziałów takich jak Technologia, Wojskowość i t. p. Dzieło kończą: alfabet wymienionych w nim pisarzy i treść systematyczna całości.

Taka jest treść obecnego *Rysu dziejów literatury;* z przebieżenia tego mógł, sądzimy, czytelnik poznać dostatecznie całą rozmaitość i całe bogactwo szczegółów tego utworu. Pierwszy to raz oglądamy w takim komplecie i w takiem zbliżeniu wszystkich prawie pisarzy naszych, jak dawnych tak i najnowszych, pisarzy różnych prowincyj i jak najróżniejszych gałęzi, z objaśnieniem szczegółów życia każdego, ich utworów i zasług. Przy obecnym *Rysie literatury* wszystkie nasze dotychczasowe *historye literatury* muszą się wydać już blado. Wydanie to w szeregu tej treści wydań sprawi zapewne podobny okres, jaki był sprawił *Rys piśmiennictwa* Łukaszewicza w wydaniu Kilińskiego. Jak o treści dzieła, tak i sposobie redakcyi powziął, sądzimy, czytelnik z powyższego zarysu dostateczne wyobrażanie; o tej treści i o tym sposobie redakcyi dodamy tu jednak i od siebie kilka uwag.

Widzimy, iż praca obecna p. Sowińskiego złożoną jest przeważnie z słów cudzych. Taki sposób redakcyi czy może przynosić szkodę dziełu lub autorowi? Główną miarą użyteczności danego pisma jest jego treść. Jeśli jest zajmującą, uczącą, tedy dla czytelnika obojętnem jest, czy jest ono ręki takiej lub innej; nie szkodzą też słowa cudze i autorowi, jeśli ten zgóry uprzedza, iż te są cudze. Iż p. Sow. w piśmie, o którem mowa, nie chciał wcale być przywłaszczycielem zasługi cudzej, tego dowodzi najprzód już sam skromny napis, wyrażający, iż jest ono złożone z notat cudzych, przedmowa, w której dodał, iż najotwarciej uprzedza, iż będzie korzystał z prac swych poprzedników, i że »parafrazowania zdań będzie unikał« (co znaczy: iż będzie je powtarzał literalnie), i powtóre dowodzi to: iż w położonych przypiskach wskazywał najczęściej na te pisma, z których miał czerpać, i że pożyczki te czynił najwięcej od autorów żyjących, o których wiedział, iż reklamować mogą. Przywłaszczeń takich nie mogła też wymagać miłość własna autora; iż bowiem jest zdolny i sam głębiej i poetyczniej myśleć, dowodem tego inne utwory.

Mimo to słusznie jednak, sądzimy, może i powinna być zarzucona autorowi pewna nieoględność w redakcyi. P. Sow. przytaczając słowa pisarzy innych, raz wymienia źródło, z którego czerpie, a inną razą nie; czytelnik więc w pierwszym tylko razie słowa spotkane uważa za obce, i w ten sposób zostaje w błąd wprowadzony. Tak np. w T. I-ym w ustępie o Klonowiczu, o którym wzmiankowaliśmy, na str. 329, kładąc autor frazes, dodaje: »słowa są Maciejowskiego«; gdy tymczasem wszystkie słowa ustępu od str. 323 do 334 były prawie wyłącznie słowami tegoż. Podobnie w T. III. w ustępie o Słowackim na str. 343 mówi: »O poemacie *Żmija* powtórzymy dosłownie zdanie Małeckiego«, gdy tymczasem już od str. 279 prawie bez przerwy słowa tegoż Małeckiego powtarzał. Iż przy tym sposobie redakcyi słowa obce brane musiały być nieraz za słowa autora, to naturalne i na to nie jeden nawet przytoczyćby można już dowód. Tak np. w *Atenaum* z r. 1876 w zeszycie za grudzień, umieszczonym był artykuł obszerny p. n. *Poezya polska ostatniego okresu podług Rysu dz. lit. pols. L. Sowińskiego*, w którym autor tego artykułu, A. Jabłonowski, oświadczył, iż cytować w nim będzie tylko »*ipsissima verba* Sowińskiego«, a przytaczał przez kart kilkanaście tylko *ipsissima verba* Spasowicza i Małeckiego. (Były tam między innemi i te, które tu wyżej przytaczaliśmy). Toż i *Tygod. Ilustr.* w artykule o listach Słowackiego, słowa właściwie Małeckiego przytaczał jako Sowińskiego (1877, n. 68). A tymczasem myśl każda, zwłaszcza jeśli jest odznaczona spostrzeżeniem głębszem, słowem ozdobnem, i t. p. to własność równie droga dla jednostki każdej, jak wszelka materyalna. Własność zaś tę nie tylko w powyższy sposób właściciel utraca, lecz w razie powtórzenia w wydaniu nowem swych myśli, sam o plagiat może być posądzony. Sposób redakcyi takiej staje się wreszcie szkodą i dla samego autora. Autor Rysu sam jest zapewne właścicielem nie jednej odznaczonej myśli w ciągu wydania, czytelnik jednak żadnej już z nich za istotną jego własność nie śmie poczytać.

Dodajmy teraz, iż ten sposób kompilacyjny redakcyi staje się nadto łatwo źródłem i innych nieoględności, jako to: sprzeczności zdań (ile czerpanych z różnych źródeł), anachronizmów, i t. p. a ujemności tych nie uniknęła właśnie i praca obecna.

Tak np. co do *sprzeczności:* autor Rysu idąc za temi źródłami, z których czerpał na str. 65 tomu I-go, wyraził, iż autorem pierwszych trzech ksiąg kroniki Wincentego był biskup Mateusz, następnie jednak ile razy zdarzyło mu się powoływać na zdania tych ksiąg, wyraża zawsze: »jak pisze Kadłubek« (I, 98, II. 33, i t. p.). Mówiąc o charakterze epoki III. na str. 613 T. I. wyraził: przez cały ten okres nie mamy ani jednego prawie pisarza, któryby się zalecał *czystą* polszczyzną, gładkością języka i *jasnością* wysłowienia«; zaś na str. 615: »w poezyi, wymowie i wszystkich zgoła rodzajach literatury, jeden (w okresie tym) widny język, jeden styl, jedną ogólną cechą *narodowość* i *popularność*«. (Jak mogły łączyć się razem brak czystości języka i narodowość, brak jasności i popularność?) W T. II. w zdaniach o Brodzińskim czytamy: »Brodziński należał do najpracowitszych ludzi nie tylko swojego czasu i kraju, ale wszech czasów i narodowości« 477. I także: »Będąc Brodziński pasterskim tylko wieszczem, będąc pisarzem *mało wykształconym*, z czem się nie taił« etc. 466. O Krasickim: »Krasicki *żarliwym był* zwolennikiem filozofii XVIII wieku«, II, 27 i niżej, w rzeczy o bajkach, »owoc to głębokiego rozumu, światłej i *religią podniesionej* filozofii« II, 53.

Co do *anachronizmów:* w T. I. w mowie o *Pamiętnikach*, na str. 698 czytamy: »O wielu innych pamiętnikach *tylko słychać*, jak Zawiszy« (Pamiętniki te wydane już są od lat 16 stu). W T. IV. pisząc o A. Fredrze, autor mówi: »Al. Fredro pióra *jeszcze nie złożył* etc. i na tejże stronicy: Umarł Fredro w lipcu 1876 r.«

Na te małe usterki wskazujemy głównie dlatego, aby w nowem wydaniu dzieła (o którem nie wątpimy, iż kiedyś nastąpi) sprostowane być mogły; a w tym celu zano-

tujemy i innych kilka może drobniejszych jeszcze, które zapamiętaliśmy; jak np. *Szlachta czynszowa* i *Kłótnia o wiatr* nazwane są dwoma sztukami Kamińskiego, gdy były jedną; traktacik moralny Skarbka *Małe przyjemności* podany za tytuł powieści: o Wacł. Łuszczewskim, ojcu Deotymy, wyrażono, iż umarł w Czembarze, gdy właściwie po powrocie do kraju umarł w Warszawie. Biografia i ocenienie Tymona Zaborowskiego, wyrażone po dwakroć i w różny sposób (str. 47 i 437 w T. III.) i t. p. Lecz za większą i już rzetelną ujemność wskazać wypada: iż gdy jedną z największych zasług obecnej publikacyi jest zbliżenie i wzmianka o wszystkich prawie niejakiej wagi pisarzach i pismach we wszelkich gałęziach literatury krajowej i gdy we wzmiankach tych nie pominięte zostały i ulotne broszurki, jak np. *Błędy nasze w mowie ustnej i pisanej* A. Walickiego (dziełko napisane w zacnym celu i udatnie, ale w którem, jak to się dało widzieć z ogłaszanych zdań, autor podawał w znacznej części za opinią kraju opinie własne), oraz autorowie krótkich korespondencyj do pism czasowych, krótkich rozprawek z nauk przyrodniczych i t. p., a pominięci całkiem zostali autorowie dzieł obszernych i oryginalnych (co jeszcze jest u nas tak rzadkiem) i jawnie już zasłużonych, jak to np. autor Muchliński (którego *Źródłosłownik* wyrazów polskich, mających swe źródło w językach wschodnich i nawzajem, oraz traktaty o Tatarach były podstawą tylu artykułów w Encyklopedyi Powszechnej), dr. Wincenty Szyszło i dzieło jego *Przegląd dziejów przyrody* T. II, Niemimirycza Juliusza *Badania tajemnicy życia* T. III, Świerzbińskiego Rom. *Rozwój uspołecznienia rzymskiego,* Dra Levitoux *Filozofia natury*[1] i t. p.; z dawniejszych trochę: Cha-

[1] O wszystkich tych prawie pismach były już krótsze, już obszerniejsze sprawozdania w Bibl. Warsz. z ostatnich lat. P. Sow. w krótkiej przy końcu dzieła umieszczonej wzmiance o czasopismach warszawskich uczynił Bibliotece między innemi zarzut braku energii w ostatnich kilkunastu latach. Objaśnijmy jednak, iż z treści Rysu obecnego nie widać, iżby autorowi jego znane były te studya i inne liczne materyały do hi-

lupczyńskiego *Pomysły do wiedzy dziejów życia świata,* Józ. Żochowskiego *Fizyka,* Jastrzębowskiego: *Anankonomia* itp.

Za ujemność też wreszcie liczymy obecnej pracy, iż przeszkodziła sama obszerniejszemu rozpowszechnieniu się swemu przez bezpotrzebne nieraz i całkiem próżne zwiększanie swych ram.

Takim zbytkiem i nawet niewłaściwością są przy końcu T. II-go obszerne wypisy z rozprawy Brodzińskiego *O klasyczności i romantyczności,* w której zawarte zdania o duchu poezyi polskiej i jej dawane porady nie przystają zupełnie do dzisiejszych czasów. Anachroniczne jest równie powtórzenie dosłowne całej prawie przedmowy Mickiewicza z r. 1828 o krytyce spółczesnej, o których to rozprawach i myślach w nich wyrażonych, mogły być dostateczne krótkie wzmianki. Tom III-ci mógłby być bez żadnej szkody dla celu o całą połowę krótszy. Każdy z odznaczonych poetów celuje zwykle jednym lub parą rysów sobie właściwych, a dla zaznajomienia czytelkika z tą cechą do-

---

storyi literatury, które umieszczała Biblioteka w ciągu lat więcej 30; i że przeto nie mamy dowodu, iż pismo to było mu znane tak za czasów swojej energii, jak i braku energii. Że jednak znał je niekiedy autor choć może ze słyszenia, tego dowodem następny, redaktorowi tego pisma uczyniony zarzut, który musimy odeprzeć W T. III. śród obszerniejszego ustępu o zbieraczach pieśni ludu, przysłów i podań na str. 811, przy wzmiance o Al. Darowskim autor wyraził: »Al. Darowski, człowiek i pisarz wielkiej zacności, zarazem znakomity ekscentryk, humorysta, cynik potrosze, umieścił w *Bibliotece Zakładu Biblioteki Ossolińskich* i wydał osobno *Pieśń Krzysztofa Arciszewskiego*, znalezioną, jak wyraził, w starych foliantach, ale właściwie przez siebie podrobioną«, po czem dodaje: »Wojciki uwierzył temu i przedrukował ją w Bibliotece Warszawskiej«. P. Sow. dziwi się temu, że redaktor Biblioteki uwierzył w autentyczność Pieśni Arciszewskiego; my zaś dziwimy się więcej, iż p. Sow. uwierzyć mógł takiej plotce, aby człowiek »wielkiej zacności« mógł oszukiwać pismo będące organem tak poważnej instytucyi, jak Biblioteka Im. Ossolińskich, i zarazem kraj. Jeżeliby zaś ta plotka miała być prawdą, tedy żałowaćby wypadało, iż wartość pism tego pisarza (jak *Wykład Przysłów, Materyały* do życia Siestrzeńcewicza i t. p.), w których nie brakło mnóstwa cytacyj i zajmujących szczegółów, ale w których podstawą prawdy była *dobra wiara*, spaśćby musiała do zera.

statecznem byłoby przytoczenie jednego lub dwu przykładów, zwłaszcza w *Rysie* literatury. Dla charakterystyki np. satyrycznego talentu Krasickiego dostatecznem np. byłoby przytoczenie jednej satyry i jednej bajki. Autor tymczasem dołączył ledwo nie wszystkie satyry. Wypisy ze Słowackiego i Syrokomli to małe broszurki, a jednak jeżeliby szło o poznanie *szczególnych* utworów tych poetów, tedy i te byłyby niczem, a dla poznania z *ogólną* ich właściwością dostatecznemby było kart parę. W tomie V. w rzeczy o filozofii, autor poświęcił kart kilka na wypis z rozprawy M. Straszewskiego i zakończył go ironią ze stanowiska tego autora, podobnie kart kilka na wypis recenzyi Goldberga dziełka dra Struve »Synteza dwóch światów«, w której pierwsza jej część daje treść tego dziełka, a druga z nią walczy; na cóż więc takie wypisy z tymi wnioskami? jeżeli np. autor podzielił zdanie Goldberga o ujemności stanowiska »Syntezy«, pocóż wypisywać jej treść? a jeśli nie podzielił, po co wypisywać recenzyą?

To o redakcyi. Jeżeli teraz rzec mamy o najgłówniejszej stronie dzieła, któreśmy otrzymali, t. j. o jego wrażeniu czyli użyteczności, to powtórzymy tu tylko to, co rzekliśmy zgóry, a na co i w przytaczaniu treści głównie wskazywać chcieliśmy, t. j. iż ta jest dodatnią. Pisarze różnych gałęzi, różnych prowincyj i różnych czasów połączeni tu są i zbliżeni, a przedstawieni nader szczegółowo: ze stanowiska szczegółów życia, zasług i charakteru tych zasług. Zarzut tylko (jeżeliby koniecznie należało wyrazić i zarzut), zarzut, jakibyśmy uczynić mogli w tem przedstawieniu, jest ten: iż te charakterystyki i te zasługi kreślone są tylko nazbyt w odosobnieniu, w odniesieniu tylko do jednostki, o której mowa, a bez określenia stosunku jej do innych jednostek, do epoki, charakteru czasów i t. p., bez upatrywania pewnych łączności z sobą, a stąd i bez wybitniejszego odznaczenia i właściwości całej literatury. Mówiąc np. o gałęzi poezyi, autor przedstawił widok najróżniejszej fizyognomii poetów; czyliż jednak ta różność nie

miała nigdzie i jakiej łącznej podstawy?[1]. Czyliż poeci nasi oprócz wzmiankowanych zaletnych ich cech: jako np. silna obrazowość, realność, duchowość, bogactwo barw (cech, które są zaletą, ale które dzielą poeci i wszystkich innych krajów), nie mają też i cech jakichś odrębnych od wszystkich innych? Tego wszystkiego czytelnik nie widzi we wnioskach.

Ale tych cech odrębnych, sobie tylko właściwych, siebie łączących, poeci i pisarze w ogóle literatury naszej, czyliż nie mieli wcale? O naszych osobistych w tym względzie zdaniach i przekonaniach wspominaliśmy nieraz i nawet w tem piśmie, a z okoliczności tego tak świeżego i pełniejszego nad inne obrazu umysłowości naszej, nie niewłaściwem może będzie, jeżeli je tu znów powtórzymy i może jaśniej.

Czytaliśmy przed niejakimś czasem w jednem z pism słowiańskich, iż kraj nasz mimo swe nieraz nader pomyślne losy nie miał daru assymilacyi różnych plemion; historya literatury naszej jest jednak zaprzeczeniem tego twierdzenia. Widzimy z niej, iż nawet tak odmienne swem pochodzeniem pierwotnem, językiem i religią plemiona, jak np. litewskie, ormiańskie, tatarskie, germańskie i t. p., wchodzące w skład kraju, wcześnie owszem uległy były assymilacyi. Do najdawniejszych zabytków języka polskiego, sięgających wieku XIV, należy przekład ortylów magdeburskich, ktore rządząca się tem prawem ludność miast

[1] Są wprawdzie niekiedy wzmianki o jakichś ogólniejszych grupach, ale nie znajdujemy ich usprawiedliwienia. Autor np. używa nieraz wyrazu *Szkoła ukraińska*, ale czy jej cechy określa, czy je uznaje? Do szkoły tej odnoszeni tu tylko zawsze Malczewski, Zaleski, Goszczyński; dlaczegoż nie zarazem Gosławski, Olizarowski, Groza i inni? Charakterystykę ogólną szkoły tak kreśli: »Poeci, należący do tego zastępu, podzielali ogólne dążności romantyków, cudowność, fantastyczność, wiarę w duchy« 73. Gdzież są cudowność i duchy w *Maryi? Zamku Kaniowskim?* t. j. w głównych utworach szkoły?

polskich, pierwotnie *niemiecka*[1], musiała dla siebie przekładać. *Ormianie* i *Litwini* zapomniawszy własnych języków, prawa te z inicyatywy własnej już w wieku XVI. poprzekładali na język polski. *Tatarowie* w modlitwach swych alfabetem arabskim wypisywali wyrazy polskie, mieszkańcy *Rusi* halickiej, pierwej nawet od mieszkańców z nad Wisły i Warty, zaczęli pisać po polsku wierszem i prozą (»*gente Ruthenus*« Orzechowski, Falimirz, Leopolita, Rej i t. p.). Skutek taki, który naturalnie mógł być tylko wynikiem rodzaju i jedności przywilejów, przyjaźni (ekscepcyą pod każdym względem przedstawili byli tylko żydzi, lecz z własnej woli), wyrazić się też musiał dobitniej jeszcze w historyi literatury za jej wzrostem. Po zakwitnieniu np. gałęzi poezyi, pierwiastki te prowincyonalne i narodowe musiały się odróżnić i odróżniły w utworach przez rysy sobie właściwe tak w treści wewnętrznej, jak w formie zewnętrznej, składając się w ten sposób na wyjątkowe bogactwo jednej spólnej poezyi (polskiej), tak jak np. w malarstwie oddzielne szkoły: wenecka, florencka, rzymska, ukształciły były jedno ogólne włoskie. A ów pierwiastek spólny (miłość), który był źródłem tych wyjątkowych rysów poezyi kraju, powiódł dalej i do wyjątkowego w niej wypadku. Poeta, który go uosobił był głównie (Mickiewicz) i który w poetycznych utworach swoich różne zwroty i stopnie tego pierwiastku (jako miłości *jednostki*, miłości *kraju*, miłości *ludzkości*) odznaczył był wyjątkowym szczeblem śród dziejów poezyi, poeta ten skończył na zawróżeniu i opiewaniu (choć nie słowami rytmu) mającego kiedyś nastąpić ogólnego wieku miłości. Opiewanie tego oddalonego wieku, wieku ogólnego szczęścia, pokoju, miłości, oraz tej społeczności, która miała być przewodnikiem do tego celu, a którą była społeczność w jakieś idealne

[1] »*Alle die bedeutenderen Städte Gross-Polens und Klein-Polens waren damals deutsch*« powtórzył świeżo czerpiący z dobrych źródeł von der Brüggen: *Polens Auflösung*. 5.

szaty przybrana (jak niegdyś u poetów i wieszczów śpiewających *super flumina Babylonis)* własna, stało się hasłem i kolorem całej szkoły poetów, a utwory ich piętnem oryginalności śród całej poezyi ludzkości odznaczyło *(»Księgi«, Przedświt, Król-Duch, Wieszcz-Kapłan* i t. p.). Charakter ten w różnych formach, odcieniach i zwrotach przeciągały i nie przestają przeciągać krajowe liryki. (Autor Rysu nie zaprzeczy zapewne, że i *Poezye przez S.* tu należą). A ten kwiat, wydany śród gałęzi poezyi korytem *Fantazyi,* w innych gałęziach literatury był stworzony i przez *Rozwagę.* Nie idealizm, materyalizm lub pozytywizm był cechą, która odznaczyła naszych filozofów krajowych, lecz rysy mające właśnie związek z owym wypadkiem. Zacząwszy od Wrońskiego, autora *messyanizmu* i *metapolityki messyanicznej* (którego główną oryginalnością w tych pismach było wróżenie owego nowego wieku, i który w ostatniem swem piśmie, w związku z tem co chwila powtarzał: *et cognoscetis veritatem et veritas liberabit vos,* domyślić się *»ab omni malo«),* począwszy od Wrońskiego, mówimy, wszyscy nasi filozofowie odróżnili się od filozofów innych krajów tem głównie, iż najprzód nie pojmowali spoglądania na rozwój człowieka inaczej jak w łączeniu go z rozwojem ludzkości i wszelkich gałęzi rozwoju, więc piękna, ustaw, religii i t. p.; iż powtóre filozofią uznawali nie w dyalektyce, albo *nie tylko* w dyalektyce, ale głównie w jej stosowaniach, uczynkach i że wreszcie na ów mający nadejść wiek nowy, wiek szczęśliwości ogólnej wszyscy już bezpośrednio ukazywali. A cecha ta ukazała się ogólną nie tylko idealistom, heglistom, ale nawet i jawnym wyznawcom Comte'a, pozytywistom. Jakoż, że damy przykład, jeżeli transcendentalny autor *Prolegomenów do historyozofii* uczył w nich o nadejść mającym wieku wyłącznej *cnoty,* a w dziele *Modlitwa Pańska* z wniosków wyprowadzonych z jej próśb, starał się oznaczyć szczegóły owego wieku; tedy nie czego innego nauczał i pisarz, którego autor Rysu uznaje za »najznakomitszego przedstawiciela pozytywizmu w naszej litera-

turze« (V, 109), jawny wyznawca zasad Comte'a, *Supiński:* gdy np. w dziele swem *Myśl Fizyologii powszechnej* między innemi mówi: »Wydoskonalenie przyrody w pojęciu naszem jest w niej przewaga woli naszej; wydoskonalenie towarzystwa w obliczu Boga jest w niem *przewaga praw Jego*«. »Świat boży przechodzi (w przyszłości) w świat ludzki, świat ludzki staje się światem bożym«. »Chrześcijanizm stać nie zamierzył, on rozciął dwa światy na wstępie, *by je z czasem tem silniej spoił*«. (*Myśl Fizyologii powsz.* str. 304, 307). A znamy pismo, dodajmy (nie mieszczące wprawdzie w napisie brzmienia *filozofii*, ale które autor Rysu i pod tą gałęzią wymienił, co wreszcie uczyniła była np. i *Zeitschrift für Philosophie* 1874. II. 313), które obrawszy za metodę: wzgląd na różnostronny rozwój ludzkości, miało już za cel jawny i główny: wskazanie w drodze czysto *racyonalnej*[1] na rysy i konieczność nadejścia owego wieku, na który gałąź poezyi w drodze tylko *fantazyi* wskazywała. Autor *Rysu* na owe istotnie oryginalne w poezyi naszej cechy wcale nie wskazał; a w gałęzi filozofii podniósł owszem zdanie autora, który potrącił zdaniem dra Struve, iż »Synteza uniwersalna jest celem, do którego zdąża rozwój ludzkości« (V. 104).

Z tych kilku powyższych uwag i rysów, któreśmy przytoczyli, jakiż ogólny co do wartości pisma, o którem mowa, wypada wniosek?

Kilka naszych uwag ostatnich nie należy do treści pisma, a te ujemności i błędy, które wskazaliśmy w poprzednich, były wprawdzie rozmaite i liczne, lecz w ogólności wszystkie prawie *drobne*. Strona dodatnia pisma, t. j.

---

[1] Inne pismo filozoficzne niemieckie *(Philosophische Monatshefte 1874. X. 323)* uczyniło wprawdzie pismu temu zarzut, iż jest *katolickie;* właściwie jednak jest ono w każdem twierdzeniu swem od początku do końca czysto racyonalnem, a i samo w niem wyrażone twierdzenie, że katolicyzm jest prawdą, nie pierwej położonem zostało jak po uzasadnieniu go *racyonalnie*. [Mowa tu o dziele Tyszyńskiego: «Pierwsze Zasady Krytyki powszechnej»].

zbliżenie, bogatsze niż gdzieindziej dotąd, wszystkich głównych szczegółów piśmiennictwa naszego i zarazem charakterystyczne i trafne wszystkich prawie tych szczegółów ocenienie, nader przeważa w obrazie. Poeta z talentem dał nam w obecnej publikacyi obraz naszej przeszłości umysłowej, ułożony i wyłożony z talentem. Obraz to, wogóle mówiąc, i charakterystyczny i pełny. I patrząc nań przedmiotowie t. j. wyłącznie ze stanowiska użytku, jaki czytelnik z pracy tej wyciągnąć może, zaprzeczyć nie można, iż ten być musi bogatszy i rozmaitszy, niż z innych podobnej treści, i że tak autorowi jak nakładcy obecnego dzieła należeć się musi od kraju wdzięczność przeciągła.

Miassota, 1 wrzesień, 1878 r.

IV.

PRZEGLĄD PRAC HISTORYCZNYCH.

I.

Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce 1520—1572, napisał dr. Wincenty Zakrzewski. Lipsk, 1870.

Reformacya XVI. stulecia, lubo przepowiadana i krzewiona w Polsce swobodniej niżeli gdzieindziej, nie wywołała w niej była ani tych krwawych faktów, ani takich przeciągłych walk, jak w innych krajach Europy; nie było tu np. ani tych egzekucyj bez końca, jakiemi się wyniszczały wzajem (przychodzące naprzemian do steru rządu) stronnictwa religijne w Anglii, ani takich wojen hugonockich i rzezi jak we Francyi, ani takiej wojny 30-letniej jak w Niemczech; mimo to jednak skutki tej reformacyi nie mogły naturalnie nie wpłynąć dobitnie i tu na różnorodność faktów krajowych; wpływały one już na taką, lub inną politykę rządów w danych leciech, na taki i inny rodzaj ustaw sejmowych, na dzieje rodzin, fakta piśmienne itp.; bliższe poznanie historyi reformacyi w kraju wpłynęłoby przeto wiele na wyjaśnienie mianowicie przebiegu jej dziejów wewnętrznych. A jednak historyi takiej nie mieliśmy i nie mamy dotąd w naszej literaturze. Dziejopisarze nasi z wieku XVI. najwięcej z powołania duchowni (Kromer, Stryjkowski i in.) w opowiadaniach swoich albo nie doty-

kali wcale tego przedmiotu, lub dotykali go tylko przygodnie; pisarze z wieku XVII.: Lubieniecki, Przypkowski, Sandyusz i in. pisali o dziejach socynianizmu, Węgierski o życiu akatolików, Friese w początku wieku XVIII. o dziejach protestantyzmu w Polsce; ale wszystkie te prawie dzieła będąc wzbronione, nie krążyły śród kraju i nie wpłynęły następnie na obrazy u późniejszych historyków. Badaniami tej treści zajęto się u nas dopiero w niedawnych czasach. Józef Łukaszewicz ogłosił w r. 1832 i 1835 swe pracowite poszukiwania o dyssydentach w Poznaniu i o kościołach Braci czeskich w Polsce, a następnie (1842—1853) o kościele helweckim na Litwie i w Małopolsce, zaś w r. 1839 Krasiński Waleryan wydał w Londynie w języku angielskim *Szkic historyczny powstania, wzrostu i upadku protestantyzmu w Polsce* (dzieła tego wyszedł w roku następ. przekład niemiecki w skróceniu w Lipsku, przez Lindaua). Prace Łukaszewicza są jednak tylko cząstkami żądanej całości, a dzieło Krasińskiego, napisane w języku obcym, nie znane jest prawie w kraju[1]; dziełko więc Zakrzewskiego, którego napis przywiedliśmy, jest, można rzec, pierwszym dopiero krokiem śród swojej gałęzi. Nie jest to jeszcze, jak wyraża sam napis, całkowita historya reformacyi w Polsce, ale tylko jej obraz od 1520 - 1572 r. i obraz ten nadto jest nie tyle faktyczny, jak raczej dotykający tylko stosunków reformacyi do ustaw krajowych, zawsze jednak jest to już prolog, i prolog, dodajmy zgóry, krytyczny, do ogólnej u nas historyi protestantyzmu. Główne rysy, które się dają ująć ze skreślonego przez autora obrazu, są tu mianowicie następne:

Na wiek przed reformacyą Lutra poczęła się była bliżej nas i zwolenników w kraju zyskała reformacya Husa (naczelnikami ich byli mianowicie Spytek z Melsztyna, Abraham Zbąski). Przy boku króla (Władysława Jagiełły) stał wtedy gorliwy i surowy biskup krakowski, Zbigniew

[1] [Zostało ono przełożone na polski i wydane r. 1903 w Warszawie].

Oleśnicki, i wpływał na ogłoszenie ostrych praw przeciw kacerzom. Takim był edykt Władysława Jagiełły z r. 1424, zwany wieluńskim, nakazujący chwytać heretyków i sądzić jak za obrazę majestatu. W roku 1438 konstytucya nowokorczyńska ogłosiła podobnie nakaz niszczenia heretyków. W r. 1454 Kazimierz Jagiellończyk nakazał udzielanie pomocy do egzekucyj podobnych. Od roku 1519 zaczęło się przepowiadanie Lutra, a głośność tego faktu stała się powodem nowych, ścieśniających swobodę ustaw. W r. 1520 Zygmunt I. wydał dekret, nakazujący konfiskatę dóbr i wygnanie za sprowadzanie ksiąg Lutra; zakaz ten był ponowionym w roku 1522, zaś w roku 1523 nastał dekret (wzmiankuje o nim pierwszy autor i dołącza tekst z metryki koronnej), iż razem z księgami mają być paleni i głosiciele ich nauk. W roku 1540 nanowo ogłoszono kary za przyjmowanie nauk kacerskich, oraz za udawanie się na nauki do Wittemberga. Sam Zygmunt August (lubo gdy jeszcze był w. księciem, miał w swym księgozbiorze dzieła Lutra i Melanchtona) po wstąpieniu na tron, na naleganie prymasa, wydał w roku 1550 przywilej, że żadnemu odstępcy od wiary nie da miejsca w senacie, ani nada starostwa i oddzielnymi edyktami wzbraniał drukowania ksiąg heretyckich, publicznego przepowiadania herezyi itp. Lecz mimo te surowe rozkazy, groźby i oświadczenia, rozszerzający się coraz rozleglej i silniej śród kraju duch tolerancyi sprawiał to, iż wszystkie prawie te edykta i prawa zostawały literą martwą. Od czasu jak sławny statut Aleksandra z r. 1505 wyraził, iż nowe prawa nie będą mogły być inaczej stanowione, jak tylko na sejmach *nemine contradicente*, walor owych edyktów królewskich, wydawanych w przedmiotach religijnych, stał się dwuznacznym; uznawane one były za ważne w sądach duchownych, a uważane za nieistniejące w cywilnych, a stąd kwestya ta o tolerancyę albo nietolerancyę zamieniła się była na kwestyę o właściwość lub niewłaściwość jurysdykcyi szlacheckiej, kwestya, która była przedmiotem głównych zajęć, sporów

i uchwał na wszystkich nieledwo sejmach za Zygmunta Augusta. W roku 1542 Jan Łaski, synowiec prymasa, złożył probostwo gdańskie i przyjął reformę; w roku 1544 toż uczynił proboszcz koniński Lutomirski; w roku 1546 proboszcz w Niedźwiedziu, Feliks Krzyżak; postępki te nie wywołały jednak stosowania edyktów. Od r. 1545 w Krakowie Lismanini, franciszkan, spowiednik królowej Bony, dozwalał u siebie schadzek wolnomyślnym i sam do dysput zachęcał; schodzili się tu między innymi (podówczas kanonicy) Uchański, Zebrzydowski, Drzewiecki, z mieszczan Wojewódka (wydawca następnie Biblii protestanckiej), ze szlachty okolicznej: Trzycieski, Przyłuski i inni. W r. 1551 schronił się do Polski Leliusz Socino i tu bezkarnie nauczał. I owszem, takich i innych różnowierców nauki swobodnie i z powodzeniem w różnych stronach kraju były opowiadane, a opowiadający protekcye zyskiwali. Andrzej Górka w Poznaniu, Stadnicki w Dubiecku, Leszczyński Rafał w Kujawach, Oleśnicki w Pińczowie, Ostroróg Jan w W. Polsce odznaczyli się mianowicie tą protekcyą. Zakaz udawania się na nauki do Wittemberga albo gdziekolwiekbądź jeszcze na sejmie z roku 1543 był cofnięty. Zygmunt August przyjmował chętnie dedykacye sobie czynione zarówno pisarzy i nauczycieli protestanckich, jak katolickich. Naglony przez gorliwych nuncyuszów do wytępienia różnowierstwa, odpowiedział, iż boi się, aby »wykorzeniając kąkol, nie wykorzenił i pszenicy«. Mimo wydany przywilej liczba protestantów w senacie stopniowo rosła, a w izbie poselskiej posłowie katoliccy nieraz nawet znajdowali się już w mniejszości, i marszałkami sejmów obierani byli protestanci (Sieniński, Leszczyński). Na sejmie z roku 1555 jurysdykcye sądów duchownych dla szlachty zawieszone zostały do wyrzeczenia soboru powszechnego lub narodowego (co było uchyleniem *de facto* przez ten czas stosowania edyktów). Sejm następnie z roku 1562/3 jurysdykcyę tę sądów duchownych stanowczo uchylił, a sejm z roku następnego 1563/4 uchwałę tę nanowo zatwierdził.

W roku 1570 zawiązała się w Sandomierzu unia, czyli tak zwana *Zgoda sandomierska,* to jest połączenie wszystkich sekt różnowierczych w kraju (z wyjątkiem aryanów), a niewystępowanie prawa przeciw tej unii, mimo wniesienia tej kwestyi na sejm z r. 1570, było jej domniemanem potwierdzeniem. Koniec tej epoki odznaczyły dwa wielkiej wagi dla obu kierunków chrześcijaństwa postanowienia sejmowe. Na sejmie z roku 1565 uznano za obowiązujące dla kraju ustawy ukończonego soboru w Trydencie, »aby, jak wyraził podkanclerzy Myszkowski, różne rozumienie Pisma miłości między bracią nie targało«. A zebrani po śmierci Zygmunta Augusta w roku 1573 reprezentanci z wszystkich prowincyj kraju na konfederacyą w Warszawie, przestrzeganie wolności sumienia w rzeczach wiary nawzajem sobie zaręczyli.

Te są ramy i takie są główne fakta obrazu, kreślonego przez pana Zakrzewskiego w dziełku jego, o którem mowa. Za pracę tę, to jest za ten przyczynek do dziejów krajowych wewnętrznych, należy się autorowi wdzięczność istotna. Pan Zakrzewski nie tylko przedmiotu swego pierwszy dotknął w języku krajowym, ale też dotknął go z pewnej strony dokładniej niż inni, korzystał bowiem z pomocy i źródeł, w ostatnich czasach w kraju dopiero ogłoszonych a do wieku, o którym pisał, odnoszących się (jakiemi np. są *Dyaryusze sejmowe* wydania Działyńskiego, dyaryusze w *Bibliotece Krasińskich,* akta Theinera, pamiętniki domowe itp.) i dołączył do tego poszukiwania własne w archiwach rządowych. Pisząc jedynie anons, nie będziemy tu wdawać się w rozbiór szczególnych punktów, mówiąc wszakże o treści i ogólnej charakterystyce pisma, nie możemy tu nie nadmienić, iż jeżeli pan Zakrzewski raz już był obrał do przedstawienia przedmiot, który w napisie książki wyraził, tedy żałować należy, iż go w tak ciasnym, jak jest, i tem samem tak ułomnym tylko obrazie nam przedstawił. Autor naprzód z zapowiedzianego obrazu swego zgóry usunął historyę reformacyi we wschodnich i zachodnich prowin-

cyach kraju i po szczegóły w tym przedmiocie odsyła czytelnika do pism J. Łukaszewicza i niemieckich, a jednak bez poprzedniego skreślenia protestantyzmu w Gdańsku, Toruniu i jego propagacyi z Królewca, nie możemy mieć jasnego obrazu wejścia i rozszerzenia reformacyi śród kraju; tem więcej niepełny i niejasny nawet jest obraz bez szczegółów rozszerzania się protestantyzmu w Wielkiem księstwie. Autor następnie niesłusznie czas wzrostu protestantyzmu ograniczył do roku 1572; sama owa konfederacya warszawska, warująca ogólną wolność sumienia (na dochowanie której właściwie wszyscy następnie królowie, zacząwszy od Henryka, słowami: »omnia iura, *libertates, tempore interregni* statutas, manu tenebo« przysięgali) była już po r. 1572, a czas największego kwitnienia literatury i szkół aryańskich przypada dopiero na ostatnie lata XVI. i pierwsze XVII. wieku; i wreszcie obraz wzrostu protestantyzmu, który dał autor, mało pełnym jest przez to, iż nie oznacza bliżej miejsc i skali jego rozkrzewiania się, ani też jak się wybijał w głównych jednostkach kraju, w pisarzach i pismach, w polemice religijnej (sama polemika religijna wydała najmniej do 200 w tym czasie publikacyj) i t. p., na to zaś miejsce autor i mówi i rozprawia wiele o sporach szlachty z duchowieństwem na sejmach z roku 1562, 4-go, 5-go i innych, kiedy tymczasem spory te po największej części o dziesięciny i udział duchowieństwa w ciężarach krajowych należą już raczej do historyi zatargów stanu szlacheckiego *wogóle* z duchownym, nie zaś do historyi reformacyi. Nadmienimy wreszcie, iż w piśmie obecnem czytelnik nie może jasno rozpoznać stanowiska autora do swego przedmiotu; w przedmowie np. autor przedstawia się jawnie jako gorliwy stronnik protestantyzmu, mówi bowiem, iż dlatego nie pisze o jego upadku, iż »sprawia to przykrość«, w samym jednak znowu wykładzie nieraz jako jawny przeciwnik protestantyzmu wyraża się; pismo, mające charakter, powinno albo występować wyraźnie z takiego lub innego przekonania, albo też

wszędzie zarówno być bezstronnem. Te uczyniwszy zastrzeżenia, powtórzmy, że jednak zadanie swe pan Zakrzewski w dziełku tem, w tych granicach, jakie sobie zakreślił, pracowicie i umiejętnie wykonał, i że wypada go tylko prosić o rozwijanie i dalej zaczętej pracy.

1871.

2.

Stefana Franciszka Prószcza Medekszy Księga pamiętnicza, od r. 1654—1668, wydał dr. Władysław Seredyński. Nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, 1875. — Pamiętniki Marcina Matuszewicza od r. 1714—1765. Tomów 4, wydał Ad. Pawiński, 1876, Warszawa.

Zamiłowanie w życiu publicznem, potrzeba odbywania zjazdów, a na nich narad, stawienia i rozbioru wniosków, produkcyi wymowy, popierały u nas szlachtę od czasów dawnych do ksiąg i pióra. Dowodem tego pozostały nam w znacznej części druki, a w większej jeszcze rękopisma w rodzinach przechowywane: od hetmanów do prostych towarzyszów chorągwi, od senatorów i marszałków do prostych posłów i gospodarzy rolnych, każdy prawie zostaje pod wrażeniem już tego, co znaczył, już tego, co zaznał, kreślił u siebie notatki o tem, co widział, co słyszał, co sprawił i w familijnem archiwum to pozostawił. Patrząc na to, co w tym rodzaju dotąd już odszukane i ogłoszone zostało (począwszy od Pamiętnika dworzanina Zygmunta Augusta z XVI. wieku, do pamiętników z początku wieku bieżącego, ogłoszonych w Dreźnie przez Kraszewskiego), i to, co w bibliotekach rodzinnych albo w foliowych oprawnych rękopismach zbiorów amatorskich widzieć się zdarza, nieprzesadnem jest mniemać, iż może żaden z krajów w tego rodzaju zabytki nie jest tak bogatym. Nie było u nas w zwyczaju ogłaszania drukiem tych pamiętników, tylko pisane po łacinie, i dotyczące jakiegoś faktu europejskiej głośności (jak np. komentarze Jakóba Sobieskiego o Wojnie Chocimskiej, Obrona Częstochowy Kordeckiego

i t. p.) drukowane niekiedy; ale dotyczące szczegółów prywatnych, wyłącznie osobistych, lub wogóle mniej głośnych, pozostawały w archiwach. Już zaś sama ta okoliczność, iż nie były przeznaczone do druku, tem większą im nadaje dziś wartość materyału historycznego. Żaden z tych pamiętników, dzienników, z pewnością nie był kreślony dla zysku, dla pochlebstwa, dla zyskania wziętości; był zaś tylko pisany jakby przez nałóg pióra, dla zadośćuczynienia uczuciu, potrzebie wewnętrznej, co najwięcej zapewne z nadzieją, iż może kiedyś, po zgonie, szczegóły te odczyta familia, lub który sąsiad. Nic więc dziwnego, iż dzisiaj, kiedy wyszukanie i gromadzenie szczegółów do bliższego poznania ubiegłej historyczności naszej stało się tak powszechnem, kiedy z każdym rokiem otrzymujemy przedruki lub nowe zbiory różnych akt dawnych, jako sądowych, kanclerskich, nadawczych, dyaryuszów sejmowych itp., gorliwość w wyszukiwaniu i ogłaszaniu przez miłośników dziejów i tego rodzaju zabytków, o jakich mówimy, zwiększoną została: i oto lata ostatnie przyniosły nam właśnie dwie nowe, wyjątkowej wartości w rodzaju tym publikacye, których napisy wyraziliśmy, a o treści i charakterze których chcemy podać tu krótką wiadomość.

Pamiętniki Stefana Medekszy, szlachcica ziemi brzeskiej, nie obejmują więcej jak przeciąg lat 14, to jest odnoszą się do wypadków naszych dziejowych pomiędzy rokiem 1654 i 1668, zatem do czasu panowania Jana Kazimierza. Czas ten był to czas jeden z najsmutniejszych śród naszych dziejów, czas pełny burz, lecz wielkie klęski i wielkie powodzenia z owego czasu, wiele piór do kreślenia ich popierały. Oprócz poważnych kronikarzy i wielkich poematów historycznych, z pamiętników, odnoszących się do tego czasu, mamy już ogłoszone: arcybiskupa Wydżgi, Alberta Radziwiłła, Kordeckiego (Gigantomachia), Paska, Jerlicza, Jemiołowskiego, trzech Obuchowiczów, Cedrowskiego i innych. Pamiętniki jednak obecne Stefana Medekszy, złożone przeważnie ze zbioru akt różnych autorów

spółczesnych, obejmują szczegóły nieznane po większej części powyższym źródłom. Akta, objęte obecną księgą, lubo są w liczbie 160, mogą się jednak według swej treści głównej podzielić na 3 oddziały, to jest: 1) na akta odnoszące się do stanu Litwy w czasie najścia Szwedów; 2) do głównego związku, czyli konfederacyi wojsk koronnych i litewskich z powodu zaległości żołdowych i 3) do abdykacyi Jana Kazimierza. Akt wstępny, umieszczony na czele, a mający napis: *Dyaryusz prac i zasług Medekszy*, poznajamia nas z osobistością autora. Medeksza był szlachcicem miernej zamożności, a zawód jego był najpowszechniejszym zawodem ówczesnej szlachty, osiadłej a oświeceńszej. Za młodu służył wojskowo, ciesząc się głównie protekcyą i łaską hetmana polnego litewskiego i podskarbiego Wincentego Gąsiewskiego (zowie go zawsze Gosiewski); z rekomendacyi zapewne hetmana był jednym z sekretarzy króla Jana Kazimierza i bawił czasowie na dworze jego następców: Wiśniowieckiego i Sobieskiego; w Dyaryuszu prac i zasług wspomina, iż był wysłany na spotkanie arcyksiężniczki Eleonory, narzeczonej króla Michała (zapewne jako jeden z reprezentantów stanu rycerskiego, kroniki bowiem wspominają tylko Lubomirskiego), a także, iż odbył kilka legacyj do Moskwy; wróciwszy na wieś, po kilkakroć był obierany na sejmikach posłem na sejm i deputatem do trybunału, wreszcie w roku 1690 sędzią ziemskim kowieńskim, będąc już pierwej podsędkiem. Charakterystycznem jest w tym *Dyaryuszu zasług*, iż Medeksza ze wszystkich swych wzmiankowanych urzędów najwięcej wagi przywiązywał do tych, jakie miał z wyboru szlachty; przy wzmiance bowiem w r. 1677 (już za Sobieskiego) o wyborze swym na podsędka, tak w Dyaryuszu pisze: »R. 1677 obrany zgodnie jeneralnym sejmikiem bez kresek na podsędkowstwo, po otrzymanym przywileju zasiadłem, za co wieczna niech będzie Najwyższemu chwała, że mnie na urzędzie ziemskim posadzić raczył, człowieka małej fortuny, z wysług jednak moich łaską bożą wspartego«. Podobnież pod r. 1690 przy

obiorze na sęstwo. Zauważyć też można, iż w Dyaryuszu tym wzmianki o wyborach na posłów mają tu charakter wprost przeciwny tym, jakie w lat 100 zaznaczyły Pamiętniki Matuszewicza, to jest, że bywały jeszcze bezinteresowne. Czytamy tu bowiem np.: »R. 1680, dnia 3 *decembris*, na sejmiku kowieńskim przedsejmowym zostałem posłem z powiatu na sejm z JPanem Janem Wortowskim, *przerzuciwszy wielu konkurentów*, jak p. Rostowskiego i Skorupskiego, marszałkowiczów, tudzież pod ten czas *potężnego* konkurenta p. Salomona Zabiełłę« i niżej: »R. 1682 zostałem deputatem także bez kresek, lubo *adversa pars* zawzięła się była rugować, ale nie dokazali, owszem z konfuzyą wyszli«.

Dwa Dyaryusze, zaczynające po tym wstępie Pamiętnik, więcej od wszystkich następnych artykułów odnoszą się do osobistości autora, i są prawie wyłącznie treści dziennikarskiej.

Dyaryusz 1-szy, mający napis: *Dyaryusz drogi Medekszy do Moskwy* r. 1655, jest trochę zaciemny pod względem celu, dla którego odbywaną była ta droga. W piśmie autora mającem napis: *Krótkie wypisanie wszystkich legacyj moich do Moskwy*, tak mówi z przechwałką o tym celu: »W pierwszej mojej legacyi do Moskwy, *armistitium* z carem pod Wilnem uczyniwszy, wsadziłem go na Szwedów« (str. 168). Mimo całą szczeromówność i skromność autora we wszystkich innych wzmiankach, zdaje się, że w tej notatce omyliła go pamięć i że w niej miała w części udział imaginacya; u Rudawskiego (Hist. pol. VI, 5) wzmiankę o owem *armistitium* i jego skutkach znajdujemy pod rokiem następnym 1656, a za sprawcę układu położony Galiński Piotr, marszałek orszański; sam wreszcie Medeksza w Dyaryuszu prac i zasług swych pod rokiem tym mówi tylko: »W tym roku dwom posłom moskiewskim byłem z woli JPana wojewody wileńskiego *przystawcem*«. Jakoż tę tylko prawie czynność asystowania posłom i w Dyaryuszu tym widzimy. Położenie miejscowe wtedy było następne.

Karol Gustaw zajął już był Wielkopolskę i tam był za króla uznany, car Aleksy Michajłowicz Wilno, a wtedy książę Janusz Radziwiłł, wielki hetman i wojewoda wileński, z wielką partyą oddał się także pod władzę i protekcyą króla szwedzkiego. Innej polityki chciał się trzymać hetman polny Gąsiewski; chciał on, stosownie do inicyatywy posła od Moskwy, Lichorowa, traktować z carem i wyjednać wspólne działanie przeciw Szwedowi. W tym duchu dał już był ustną instrukcyą Medekszy, wysyłając go do hetmana kniazia Czerkaskiego, lecz został przyaresztowany (Dyaryusz Medekszy rozstrzyga tu tę historyczną kwestyę, kto aresztował Gąsiewskiego: Szwedzi, czy książę Janusz, tak bowiem o tym szczególe mówi: »dał znać zdrajca zdrajcy, Komorowski Radziwiłłowi, iż hetman miał odjeżdżać i aresztował go imieniem wojska Radziwiłłowskiego, mówiąc: nie możesz jako podskarbi odjeżdżać, bo wojsku względem zasług jego nie stała się satysfakcya«, str. 17). Medeksza tymczasem razem z przystawem, sobie przydanym od wojska moskiewskiego, udał się do obozu kniazia Czerkaskiego, tu zaś dowiedział się, iż poseł Fiedor Chryszczew, »bliźni carski«, z wielkim dworem udaje się do nowomianowanego wojewody wileńskiego i hetmana (był nim Paweł Sapieha, jeden z gorliwych sprawców konfederacyi tyszowieckiej), i że z woli tego wojewody ma być przystawem temuż posłowi do Wilna. Szczegóły tego Dyaryusza zajmujące są przez swe naturalne drobiazgi, opisuje tu autor te miejscowości na Litwie, które przebywał, ich stan ówczesny, wylicza codzienne prowianty, jakie otrzymywali już od władz moskiewskich, już litewskich, i wreszcie przytacza rozmowy, jakie miewał z posłami. Autor admiruje tu mianowicie roztropność i rozum, jakie okazywał poseł Chryszczew, zowie go »frant uczony« (dyplomata), i między innemi także jego przytacza słowa, które objaśniały zapewne w części i cel poselstwa (przecięcie związku ze Szwedem): »Kiedyby nie unia, którą król wystawiać, a wiarę naszą starodawną gubić począł, a o którą się Chmielnicki brać począł, nie mie-

libyście tej wojny; prawda, żeście ludzie wojenni i sławni (nawet wygrane przedtem potrzeby nasze z Turkiem wspominał); ale króla po temu nie macie i nie obiecujcie sobie z tym królem dobrego końca, ponieważ nieszczęśliwy ze swoją bratową mieszka i niepodobna, aby mu Bóg miał błogosławić. Wiem, dodał, że wielu was jest, którzy Szweda za pana mieć nie chcecie, przyczem ganił ich strój, odmianę w ubiorach, mowie i wierze, zalecając swój naród, we wszystkiem podobniejszy« (str. 22). Dyaryusz kończy się na przybyciu do Wilna. Być może, iż pewna łączność celów i zgodność instrukcyi i ta okoliczność, iż w roku następnym, z ramienia zapewne wojewody wileńskiego, Galiński wyjednywał *armistitia,* kazały autorowi i siebie uważać za jego sprawcę. O tym bowiem Galińskim wspomina i w Dyaryuszu, a to w tych słowach: »P. Galiński Piotr, marszałek orszański, przyjechał do mnie z listami od wojewody, z informacyą, chcąc wyczerpnąć coś z posła, ale trudno z morza wodę wylać, otrzymał tylko tę relacyę: Kak oczy wojewody uwidzu, rozhoworywać się budu« (str. 26).

Drugi *Dyaryusz drogi do Moskwy* w r. 1657—1658 (str. 28—166) nader jest obszerniejszym; jest to jednak dyaryusz nie tyle drogi, ile więzienia autora w Borysowie. Celem tej legacyi było oddanie *hramot* w Moskwie od hetmana Gąsiewskiego (uwolnionego już z niewoli szwedzkiej), oraz od króla duńskiego i od króla Jana Kazimierza, które mając sobie powierzone kanclerz litewski, Pac, dla bojaźni powietrza, wówczas grasującego, poruczył do łącznego oddania Medekszy. Toż jednak powietrze było powodem, iż Medeksza z rozporządzenia władz moskiewskich zatrzymany był w Borysowie i przez cztery miesiące kwarantannę tam odsiadywać musiał. W tymże czasie udawał się do Moskwy i poseł cesarski (niemiecki) Fragstein i temuż losowi uległ. Jest to bezwątpienia tenże Fragstein, którego korespondencye dyplomatyczne przytacza Walewski w swej historyi Jana Kazimierza. Powziąwszy on w swem

więzieniu wiadomość o bytności w Borysowie posłannika polskiego, pierwszy z nim zawiązał korespondencyą, a korespondencya ta, przechowana przez autora (od str. 65—103), jest najobszerniejszym ustępem Dyaryusza. Szczegóły tej korespondencyi, prowadzonej częścią cyframi (Medeksza w Pamiętniku przytacza dwa klucze: jeden, którym korespondował z hetmanem, drugi z Fragsteinem), częścią pismem polskiem (Medeksza bowiem po otrzymaniu pierwszego listu po łacinie, wyjednał od Fragsteina skuteczną zmianę temi słowy: »Scripta między nami niech polskie, a nie łacińskie idą, pilno proszę, bo w tem wielki upatruję pożytek«, str. 70), były naturalnie treści przeważnie politycznej; dowiadywano się nawzajem o wypadkach wojennych i dyplomatycznych: szwedzkich, węgierskich, brandeburskich, duńskich, a nawet angielskich, a mianowicie o ówczesnym Kromwelu, którego Medeksza nazywał drugim Chmielnickim. Dla dania jednak próbki tej korespondencyi pod względem literackim, a mianowicie jak Fragstein w swoim stylu umiał się przejąć spółczesną modą w kraju, przytoczymy tu kilka słów z treści nie ogólnej i politycznej, ale osobistej ekonomicznej korespondentów. Medeksza, który na pierwszą drogę dostał był od podskarbiego asygnacyę więcej niż na 100.000 (str. 16), w drugiej snać nie miał tej pomocy, lub, co najprędzej, wyczerpnął zapas wskutek nieprzewidzianej kilkomiesięcznej zwłoki; w jednym więc z listów zmuszonym był umieścić następne słowa: »ale muszę się znać WMpanu, żem mocno na podobne temu okazye (dostania języka) i codzienne rozchody wypróżnił worek i lubom to nie jest WMpana *meritus*, śmiem jednak upraszać o kilkadziesiąt czerwonych złotych, a kawalerskim słowem uiścić się asekuruję«. Fragstein, który także w podobnem był położeniu, odpowiedział: »Z serca radbym na *afektacyą* WMpana żądaną wygodził kopą, ale że i ja przez tak długi czas na jednem miejscu mieszkając, takoweż jako WMpan muszę podejmować *spezy*, na takiż jako i WMpan *defekt* chorować mi przychodzi. Codzień także od pana

mego wyglądam *suplementu,* który gdyby mi przyszedł« etc. (str. 81). Suplement ten (wypada dodać) musiał nadejść, wkrótce bowiem Medeksza otrzymał żądaną pomoc, którą Fragstein przysłał mu przez cyrulika ubranego po białogłowsku i z gospodynią swoją; przyczem dodaje: »namówiliśmy się przy tej okazyi z posłem w dezyderyach swoich, czegośmy i karcie zawierzać nie mogli«. Po przybyciu do Moskwy towarzysze korespondenci odmiennego doznali przyjęcia. Przyjęcie to tak opisuje Medeksza: »Zatrzymano mię przy bramie Twerskiej, gdzie stał i poseł cesarski (Fragstein), nim go spotkano, którego jednak (następnie) chorągwiami jezdnemi i pieszemi potykał cieść carski Ilia Daniłowicz Miłosławski, wóz dawano mu carski i rumaki carskiej stajni pod dworzan, a mnie trzymawszy z pół godziny na tymże miejscu, wprowadzał przystaw mój dawny do stolicy moim podróżnym powozem« (str. 116). Ta różnica stąd oczywiście pochodziła głównie, iż Fragstein reprezentował cesarza, Medeksza zaś był tylko gońcem od hetmana; przyjęcie bowiem, jakiego doznał następnie w r. 1662, gdy był posłannikiem od króla, podało mu świetniejsze szczegóły do zanotowania. Opisu tej legacyi (181—226), podjętej w celu wyjednania uwolnienia więźniów, a między nimi hetmana Gąsiewskiego, nie mieści Dyaryusz: jestto zbiór tylko akt różnych, do legacyi tej odnoszących się, listów do dygnitarzy w Moskwie i od nich, które zarówno dla obustronnych dziejów są zajmujące; w dołączonem jednak krótkiem kompendyum, przesłanem kanclerzowi, te między innemi wyrażone są wdzięczne słowa posłańca: »Mnie wszystkie przykazy, którem pomijał, z ukazu carskiego cześć czyniły, strzelając i chorągwie nakłaniając z rewerencyą wielką, na znak przyjaźni i *drużby* JKMości, dlaczego ja sam miałem w stolicy traktament nad zwyczaj innym gońcom. Więźniami siedmnastu *pożałował* mię car, częścią darowizną, a 11 towarzystwa z rozmianą« (na wymianę, str. 114).

Oddział, obejmujący szczegóły odnoszące się do związku (konfederacyi) wojsk koronnych i litewskich w celu dopo-

mnienia się żołdu (str. 226—437), jest najrozciąglejszym oddziałem pamiętnika. Związki wojskowe, skutek swobód szlacheckich i tej okoliczności, iż chorągwie wojsk czynnych składały się prawie wyłącznie ze szlachty nowozaciężnej, zaczęte za Zygmunta III, a ponawiane następnie za wszystkich królów do Augusta III, najgłówniejszą swą epokę miały za Jana Kazimierza. Część wojsk obrawszy wtedy za marszałków w Koronie Świderskiego, na Litwie Żeromskiego, zawiązała się w konfederacyą, spisała sobie ustawy i celem odebrania zaległych żołdów zajęła w administracyą własną część dóbr królewskich i duchownych; w związku tym trwała bez przerwy lat kilka. Faktem było, iż w czasie wojen, sejmy na potrzeby wojenne wotowały miliony, poborcy te kwoty ściągali i odsyłali podskarbim, ci hetmanom. Jeżeli jednak przypomnimy to, co mówi np. Jabłonowski o swych znajomych podskarbich *(Skr. bez skrup.)*, oraz na spotykane wzmianki, że hetmanowie w nagłych razach czynili zaciągi własnym kosztem, a koszta te następnie z nadesłanych sobie kwot na potrzeby wojenne zwracali, lub też za nie nowe zaciągi czynili, użalanie się pokrzywdzonych towarzyszy zasadę mieć mogło; stąd też różni różne o związkach tych objawiali zdania i różne już krótsze już dłuższe o czynnościach ich czynili wzmianki, historyka jednak swego związki dotąd nie miały; wiemy tylko kilka szczegółów o nich z Klimakterów Kochowskiego, z Pamiętników Paska, Jemiołowskiego i i. Oddział Pamiętników Medekszy, o którym mówimy, złożony z samych wyłącznie akt urzędowych związku dotyczących, jest bogatym materyałem do tej historyi, zwłaszcza co do związku na Litwie. Znajdujemy tu np. pierwsze manifestacye związku, artykuły koła rycerskiego (t. j. ustaw związku), wyliczenie szczegółowe z nazwisk wszystkich chorągwi do związku należących, korespondencye związku z kanclerzami, królem, tranzakcyą żałosną o śmierci hetmana Gąsiewskiego, kilkanaście listów, manifestacyj i innych akt związanych

z tym wypadkiem i wreszcie traktaty Mostowski i Siewski, kończące ustęp.

Artykuły koła, obejmujące punktów 29, oddychają co do dyscypliny nie tylko duchem porządku, lecz w części i surową karnością; czytamy tu między innemi: Punkt 1). Aby kościoły boże, duchowieństwo, we wszelkiej uczciwości było zachowane. 4) Na stanowiskach jako najskromniej zachować się każdy powinien, pijatyk, bankietów i wszelakich egzakcyj unikać, a na kogoby się to pokazało, szubienicą karany być ma. 10) Stan szlachecki tak męski, jako białogłowski, tak w ich domach, jak i na każdym miejscu, aby był w poszanowaniu, a ktoby się ważył słowem obraźliwym znieważyć, ma być surowo karany, a kto ręką, gardłem i t. p.« Wypisawszy jednak te artykuły, Medeksza dodał w końcu w nawiasie: »Napisali ten związek świątobliwie, ale niecnotliwie i prawie piekielnie sprawowali się i jam zrazu chwalił, ale teraz tę sprawiedliwość przekleństwem konkluduję«.

Artykuły pomienione chciały też dowieść między innemi, iż jakkolwiek źródłem związku był cel osobisty, związek jednak nie tracił z uwagi i ogólnych potrzeb krajowych, artykuł bowiem 3-ci wyrażał: »Imć panu marszałkowi naszemu z konsyliarzami dajemy moc i władzę *urgenti* Rzeczypospolitej *necessitate* wojsko kupić i o obronie Rzeczypospolitej«, a stanowcze zwycięstwo, odniesione wkrótce przez związkowych (łącznie z Czarnieckim) pod Głębokiem, dowiodło, że ten punkt bez wykonania zrazu nie był. Wszakże z treści nawet przytoczonych tu akt widzieć można, iż uskutecznione objęcie w administracyą dóbr skarbowych i duchownych, zamiłowanie w wygodach, w bezczynności, samowolności, były przyczyną następnie uchylania się tak od kończenia układów z rządem jak i spółdziałania w wyprawach; i sam Kochowski, gorliwy przyjaciel szlachty i swobód jej, stąd w części i związku, z żalem jednak usunieniu się jego głównie przypisuje, iż tyle i tak wielkich odniesionych wiktoryj, które nas od nieprzy-

jaciół na zawsze powinny były uwolnić, pozostały bez należnego skutku. Surowe ukaranie kilku związkowych, którzy wpadli w ręce królewskie, i wieści, że hetman polski i marszałek mają wydać królowi swych towarzyszy, były, jak się zdaje, głównym powodem zamordowania przez związkowych Żeromskiego i Gąsiewskiego. Szczegóły morderstwa tego ostatniego zawarte są w akcie: »Manifestacya generalna Gąsiewskiej o śmierć męża zaniesiona« i nie różnią się prawie od przytoczonych w Klimakterach przez Kochowskiego, który je zaczerpnął zapewne z tej manifestacyi. Po ujęciu głównych sprawców morderstwa, reszta związku (według Medekszy), uwolniona od tyranii swych przywódców, z łatwością skłoniła się do ugody. Z oddziału *Komput wojska JKMci W. Ks. Litewskiego* przytoczymy, iż liczba ogólna należących w tem wojsku do związku tak z prawego jak lewego skrzydła wynosiła razem 22.402 ludzi, zaś osób nie należących do związku było 22.800. Oddział ten kończy *Informacya króla* o straceniu sprawców morderstwa.

Głównym wyrazem akt, które się odnoszą do r. 1668, a kończą Pamiętnik (475—510), jest *abdykacya Jana Kazimierza*. Z akt tych, a mianowicie szczegółów sejmu styczniowego (do marca), widzieć można dobitnie, iż głównym powodem tej abdykacyi, której następnie sam król żałował, była niepowściągliwość szlachty w mnożeniu napaści. Dwa punkta, które się stały na owym sejmie głównym powodem burzy, były: niezgadzanie się króla na odprawę posłów z Warszawy (mianowicie francuskiego, podejrzewanego zawsze o knowanie przeciw swobodom), oraz na *pospolite ruszenie*, za potrzebę którego naznaczała szlachta grożącą wojnę od Turcyi, król zaś wierzył, iż żądanem jest raczej przeciwko niemu. Czytamy tu np. między innemi, iż gdy na żądanie oznaczenia dnia i miejsca na zebranie, Imć król się nie zgodził, odpowiedzieli posłowie sandomierscy i Ożga, podkom. lwowski, »że za panowania J. Kr. Mci wszystkie nieszczęśliwoście Rzptej liczymy«. Domagano się, »aby

p. podskarbi klejnoty koronne, osobliwie tablicę dyamentową od trzech milionów i szablę Stefanowską, która 40.000 talarów warta, od króla Jmci odzyskawszy, miał w skarbie Rzptej. Petrykowski pytał, czemu J. Kr. M. sądów nie miał i czemu senatorowie i izba poselska do sądów nie przywodziła J. K. Mość. A kiedy w odpowiedzi, co do odprawy posłów, król żądał przynajmniej zwłoki i rzekł: »za lat 20 panowania, dajcie mi, proszę, prolongacyą do jutra« — i na to, dodaje Med., nie pozwolono. Z obrad 7 marca (którego dnia sejm zerwano) przytoczymy tu, iż gdy król oświadczył, iż na *pospolite ruszenie* zgodzi się tylko pod warunkiem, iż się na niem żadnych rad sejmowych odbywać nie będzie, poseł Dębicki, chorąży sandomierski, odezwał się z miejsca: »niech marszałek żegna króla« (str. 481), i wreszcie mowę, którą król przy końcu tegoż zebrania powiedział: »Wszystkie moje deklaracye, Wmościom dane, albo nie były dobrze rozumiane, albo ich rozumieć nie chcieliście. Nie broniłem ja *naturalem defensionem* pospolitego ruszenia, ale chcę, żeby takie było, jakie za ojca mojego i za mnie. Podobno tęskno Wmciom, że tak długo na tym tronie siedzę, wierzcie, że i mnie drugie tyle z wami. Ja się przed Bogiem protestuję, że pospolitego ruszenia nie bronię, ale na takie, jakieście napisali sobie, pozwolić nie mogę, i jeżeli Wmciowie tą moją deklaracyą nie kontentujecie się, niech p. marszałek żegna« (str. 486). Tu wtrącić można, że jednak te opozycye gwałtowne, które niekiedy jednostki szlacheckie lubiły czynić, były snać nieraz więcej dla popularności, niż z serca i rzeczywistej niechęci dla króla. Gdzieindziej bowiem właśnie czytamy, iż jak tylko król objawił projekt abdykacyi, ciż sami tu przytoczeni Ożga i Dębicki najsilniej z powodu tego projektu żal objawiali. O Dębickim przytacza Kochowski (pod r. 1668): iż wołał, że żadną miarą król ustępować nie może, przysiągł bowiem w *pactach conventach* państwem tem opiekować się i bronić je do śmierci. O drugim zaś, pod tymże rokiem, w Pamiętnikach Paska taką znajdujemy wzmiankę: »Kiedy już

wszystkie perswazye skutku nie miały, wziął głos Ożga, podkomorzy lwowski (blizko którego ja stałem i wszystko dobrze słyszałem). Począł ów starzec bielusieńki mówić gorliwie za ojczyzną i majestatem: »Nie czyń, miłościwy królu, tej konfuzyi i nam i sobie, naszej i swojej własnej ojczyźnie, która cię wychowała i na tym osadziła tronie. Z namiś się w tej ojczyźnie urodził, z namiś wychował i lata przepędził, od nas wolnymi głosami wezwany, abyś nam panował, — nie odstępujże nas!«. Król jednak te opozycye brał literalnie, i senatorom, błagającym go *cum lacrimis,* aby odmienił zamiar, odpowiedział, według Medekszy, iż oprócz pobudek sumienia, dodało mu do tego bodźca, że na sejmikach bezkarnie i owszem z oklaskiem odzywano się przeciwko niemu, »czego od wielu odniosłem próbę, dodał, ale osobliwie od p. Dębickiego na przeszłym sejmie, który jako chciał, majestat królewski traktował, czego nikt mu nie zganił, przy krzywdzie pańskiej nikt się nie ozwał, kilka ledwo osób wyjąwszy«.

Autor tych Pamiętników, jak to widzimy z samej ich treści i faktu zbioru, był więc jednym z ludzi zdatniejszych i pracowitszych swego czasu; oddał krajowi i kilka znaczniejszych usług, — a jednak z nazwiskiem jego nie spotkaliśmy się dotąd nigdzie, ani u kronikarzy, ani w pamiętnikach spółczesnych. Podobnych jemu było zapewne niemało i współcześnie z nim i w innych epokach osobistości, jakkolwiek żadna o nich nie przechowała się wzmianka i dopiero wskrzesić się może. Nie wiedząc nic o autorze nad to, co o sobie sam mówi, nie wiemy, czyli i gdzie odbywał nauki, gdzie za młodu wogóle do świata się kształcił. Widzimy tylko, iż był zdatnym do pióra, i że to mu dało protekcyą. Z jego listów, dyaryuszów i mów widzimy, iż dobrym był prozaistą, trochę mówcą, trochę może poetą. Wiersz bowiem, na obronę Gąsiewskiego postawiony przezeń przeciw paszkwilom, zdaje się jego być ręki, — był może i trochę filozofem. W korespondencyi nawet z Fragsteinem wdawał się w sentencye, np. gdy wyraża: »Na

dziwne boskie spoglądając dzieła, nie *pojmować*, ale *zdumiewać* się im przychodzi« (str. 77). Gdzieindziej wyraża, mówiąc o wierze w *czarownice:* »skarz ich, Boże, za *gusła*« (str. 51), (większość i w sto lat później w gusła te wierzyła). Pracowity, skromny i szczeromówny, jeżeli się kiedy i przechwalał, czynił to, jak się zdaje, z przekonania i wreszcie z okoliczności nie dobrze jeszcze nam znanych, — i owszem, z różnych przygodnych wzmianek wnieść można, że w swym *Dyaryuszu zasług* więcej ich ominął, niż dodał. Nie mówił bowiem nic o nagrodach królewskich; a jednak z Dyaryusza drogi widzimy, że młodo nawet już był obdarzony starostwem. W drugim Dyaryuszu drogi te spotykamy słowa: »rzucił do mnie p. hetman (hramoty) przez umyślnego do Kiejdan, dokąd dla odebrania folwarku Dawkaju, *z łaski J. Kr. M. darowanego mi,* od wojska absentowałem« (str. 29). Styl Medekszy stosunkowo może się nazwać wolnym od od makaronizmów (na to miejsce, spotyka się wiele rosyanizmów, jak np. *zwierch tego,* dla *sowierszenia,* dla *odwiedu, pożałować, lubowla* i t. p.); że jednak cała księga złożoną jest prawie wyłącznie z akt urzędowych, studyowanych, a w tych bogactwo makaronizmów było wtedy warunkiem; ma ich przeto obficie przed sobą w księdze czytelnik, i np. w *Tranzakcyi żałosnej* dane tylko listy Gąsiewskiej i listy do Gąsiewskiej (w liczbie ich, są rąk tak znakomitych, jak Czarnieckiego, Jerzego Lubomirskiego, i innych) miłą są oazą. Za zbiór ten i familii, która go dostarczyła, i wydawcom (wydanie nastąpiło nakładem Akademii krakowskiej), należy się rzetelna wdzięczność krajowa.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza mają z pewnej strony niejakie podobieństwo i są jakby dalszym ciągiem Pamiętników Medekszy. Matuszewicz, tak jak Medeksza, szlachcicem był ziemi brzeskiej (nieraz nawet wspomina znajomego sobie podsędka kowieńskiego, Medekszę, zapewne syna Stefana); jak ten był szlachcicem zamożnym, ale fortuny średniej i jak ten zajmował tylko przez życie urzędy pośrednie i prace wyłącznie cywilne; czas zaś, od którego za-

czął pisać swe Pamiętniki, prawie początek wieku XVIII, gdy poprzednie były z końca XVII. Skądinąd jednak między zawarciem tych ksiąg pamiętniczych różnica jest znaczna. Księga Medekszy, jak największa część naszych pamiętników, ma za przedmiot przeważnie wypadki wojenne, pamiętnik zaś Matuszewicza pokojowe; księga nadto Medekszy, jak to widzieliśmy, jest zbiorem prawie wyłącznie akt różnych, a pism ręki trzeciej, zaś pamiętnik Matuszewicza jest od początku do końca opowiadaniem własnem.

Kimże był Marcin Matuszewicz i jakie są główne rysy jego opowiadania?

Marcin Matuszewicz (urodzony 1714 r.) był synem Jerzego Matuszewicza, właściciela kilku posesyj zastawnych i klienta domu Sapiehów. Protekcyi tego domu był winien, iż mając lat 17, przyjętym był do liczby *grandmuszkieterów* przy dworze Augusta II. (Pułkownikiem jego był tu Potocki, syn Wacława poety). Po zaszłej wnet śmierci króla i krótkiej a niefortunnej walce za sprawę Leszczyńskiego, porzucił zawód wojskowy, a protekcya kanclerza litewskiego, Sapiehy, dała mu urząd pisarza w grodzie brzeskim. Taż protekcya kanclerza oraz wice-kanclerza, (księcia Michała Czartoryskiego) sprawiły, iż był wkrótce obrany deputatem na trybunał litewski, a od trybunału posłem do Warszawy dla winszowania nowoobranemu krolowi (Augustowi III.) wstąpienia na tron. Mowa, którą tu króla powitał, zjednała mu krasomówczą wziętość i stosunki wysokie, i wrócił z nominacyą na urząd podstolego brzeskiego. Przez całe lat następnych 30 panowania Augusta III nie posunął się Matuszewicz w urzędzie wyżej, jak na stolnika brzeskiego, ale widzimy go przez te lata pokilkrakroć posłem na sejmy i deputatem do trybunału, a jednocześnie czynnym i gorliwym działaczem przy głowach najrozliczniejszych partyj, jakoto: Sapiehów, księcia Michała Czartoryskiego kanclerza litewskiego (następcy Sapiehy), Radziwiłła Michała hetmana litewskiego, syna jego księcia Karola wojewody wi-

leńskiego, hetmana Branickiego i wreszcie napowrót znowu księcia kanclerza.

Obowiązki, które pełnił Marcin Matuszewicz w obywatelstwie, były jeno zwykłe szlacheckie, a czynność jego polityczna, mimo gorliwość i zdatność, z powodu przenoszenia się do różnych wprost sobie przeciwnych partyj, była właściwie żadna. Lecz autor ten był autorem, zostawił ten pamiętnik, o którym mówimy, a tytuł ten uczynił go osobistością wyższego dla nas znaczenia. Zamiar spisywania swych dziejów i wrażeń, to jest swego pamiętnika, powziął był Marcin Matuszewicz w pierwszej połowie XVIII wieku i pracę tę prowadzi stale i wytrwale do r. 1764 włącznie, to jest przez lat kilkanaście. Zapisywał on w nim nie tylko wypadki swe własne, ale i swe wrażenia, to wszystko, z czem był bliżej związany. Miał on dwóch braci i kilka sióstr, szwagrów, powinowatych, tych wszystkich dzieje weszły więc równie do kart pamiętnika; uczestniczył stale w sejmikach i nieraz w sejmach, miał sprawy w trybunałach i sądził je sam; pamiętnik jego objął więc żywy obraz szczegółów owych zebrań, treści i przebiegu spraw różnych ówczesnych i t. p. Należąc do różnych partyj, kreślił jak główne cele i czynności, tak i główne figury każdej; przechodząc do partyj przeciwnych, Matuszewicz tracił osobiście (protektorowie jego bowiem potrzebując jego pióra, zdatności, nie łączyli ufności), ale zyskało przez to jego pióro, jako historyka, bo zostawiło obraz różnostronny. Kreśląc wrażenia, kreślił też to, co głównie zajmowało umysły jego spółczesnych; w obrazach pamiętnika mamy też więc i ustępy głośniejsze krajowe, z tych lat, przez które go pisał. Opowiadane tu np. widzimy po kolei wypadki i zdarzenia, między innemi takie jak o bezkrólewiu po Auguście II, przybyciu Augusta III, rządach Brühla, dyzgracyi Sułkowskiego, o pojedynku podkomorzego Poniatowskiego z wojewodą lubelskim Tarłą, tranzakcyi kolbuszowskiej w sprawie ordynacyi Ostrogskiej, walce *familii* z królem, o Franciszce Krasińskiej, inwestyturze kurlandzkiej i wreszcie

najszczegółowiej, i rzec można jakby o punkcie kulminacyjnym całego opowiadania: o ostatniej elekcyi królewskiej. Zbliżony przez stosunki z arystokracyą całą krajową, autor po kolei wspomina o dziejach głównych rodzin krajowych, jako Sapiehów, Czartoryskich, Pociejów, Wiśniowieckich, Sanguszków, Ogińskich, Kossakowskich, Małachowskich, Massalskich, Ossolińskich, Krasińskich, Przezdzieckich, Tyzenhauzów i t. p. Poeta nieraz też czyni wzmianki o osobistościach w literaturze błyszczących, jak o familii Wacława Potockiego, Drużbackiej, Konarskim, Krasińskim, Korycińskim i t. p. Treść ta cała opowiadana jest wszędzie piórem zdatnem, umysłem bezstronnym, dobrze poinformowanym, poważnym, w wypadkach własnych nieraz z całą drobiazgową szczegółowością, z uczuciem i dramatycznie. Przez to też właśnie pamiętnik ten różni się od pokojowych równie Kitowicza i Ochockiego. Ci bowiem pisząc wspomnienia w wieku swym późnym, zapisywali tylko wypadki główniejsze i efektowne, ze zdaniem o nich ze stanowiska skutków; treść zaś pamiętnika Matuszewicza mieści szczegóły, o których sam on nawet mógłby zapomnieć w lat kilka, a które tu kreśli z całą niewiedzą ich następstw, pod wpływem wrażenia chwili i t. p. Ten pamiętnik Marcina Matuszewicza jest to więc odnaleziony skarbczyk do obrazu dziejów naszych wewnętrznych z danego czasu; autor jego to jedna z rzetelnych znakomitości naszych piśmiennych. Obaczmyż bliżej, jaka była istotna charakterystyka tego autora.

Oceniając życie potoczne Marcina Matuszewicza, wypada uznać: iż charakter ten był to praktyczny charakter, najpowszechniej śród ludzi znany, największej części ludzkich jednostek spólny, to jest mający na celu wyrobienie sobie pewnego stanowiska na świecie, dobicie się do fortuny, godności; odcieniem zaś osobistym tego charakteru to było, iż Marcin Matuszewicz przedewszystkiem był trochę poetą. Bez energii wielkiego poety, miał jednak w umyśle swym cechy, które są właściwością każdego poety, to

jest pewną wyższą czułość nerwową, wrażliwość. Stąd też gdy będąc dzieckiem, oddany był najprzód do szkół jezuickich w Brześciu, uczuł był zrazu »do zakonu jezuitów wokacyą«. Gdy ojciec, aby go od tego zamiaru oderwać, wziął z sobą do Gdańska i kupił mu Lukana poetę, Matuszewicz nauczył się go na pamięć i sam zaczął pisać »dyalogi wierszem i prozą«. Gdy zaś następnie dla dalszego kształcenia się, oddał go ojciec do Warszawy, o skutku tego kroku tak pisze: »staliśmy na stancyi w kompanii z JPanem Waleryanem kasztelanem naówczas spiskim, wujem naszym, ale mając dyrektorów naszych nie bardzo *morigeros*, którzy zapijania się nie wystrzegali i nas na reduty, *alias* tańce publiczne i gry w karty z sobą brali, znaczną odmianę w dobrej ś. p. ojca mego edukacyi miałem«. Po wyjściu na świat to, co odznaczyło charakter Marcina Matuszewicza, nie była to buta tak właściwa całej ówczesnej szlachcie, a między innemi i braciom jego: pułkownikowi, a zwłaszcza Wacławowi, pochopność do szabli, rębactwa, ale owszem szczególna skłonność do łez, uległości, pokory; wyrażenia jak: »zalałem się łzami«; »padłem mu do nóg«, spotykamy ledwo nie co kart kilka przez cały ciąg Pamiętników. Inny rys dusz poetycznych, słabość dla płci pięknej, miała także przeważną rolę w życiu Matuszewicza; starał się on najprzód, lubo bez skutku, o siostrę marszałka kowieńskiego Zabiełły, Eleonorę, i dodaje: »były to najszczęśliwsze życia mojego chwile« (oczywiście więc samo idealne uczucie wystarczało mu wtedy dla szczęścia duszy), a słabość ta zmuszała go nawet nieraz następnie krzyżować główną sprężynę karyery: skarbienie łask pańskich. Fleming, jeden z filarów *familii*, której gorliwym stronnikiem był zrazu Matuszewicz, obwiniał go o przegranie swej sprawy; Matuszewicz bowiem, który miał udział w sądzie, konkurował natenczas o pannę z domu przeciwników Fleminga; co gorzej zaś, wysłany przez księcia Michała kanclerza do domu Ossolińskich, dla wyswatania panny faworytowi jego Szelucie, »poszedł, poznał Irenę i sam się oże-

nił«, a przynajmniej pragnął ożenić się i zaręczył się z panną. Krok ten wywołał nie tylko niełaskę, ale nawet zemstę kanclerza, gdy bowiem następnie Matuszewicz zaślubić miał wdowę Chełchowską (siostrę żony Zabiełły), książę kanclerz w głos opowiadał, iż ma na gruncie swym chłopkę, która się mieni rodzoną ciotką Matuszewicza, oraz iż ojciec jego jeździł z młodym Sapiehą zagranicę nie w charakterze towarzysza a pokojowca. Sprawa serca przemogła, i Marcin Matuszewicz odważyć się musiał na krok szczególnej zuchwałości, zapozwał księcia kanclerza przed trybunał litewski o potwarz. Trybunał ten, sądzony w Mińsku pod marszałkowstwem młodego księcia Karola Radziwiłła, przywrócił Matuszewiczowi honor i książę kanclerz przystąpił do kombinacyi; łaska jednak nie powróciła wcale, i Matuszewicz musiał odtąd szukać stale protekcyi partyj przeciwnych. Poetyczność nie była więc w części sprężyną zbyt dodatnią w karyerze Matuszewicza, do pewnego jednak stopnia była nią, a to przez bezpośrednią uprawę tej poetyczności. Matuszewicz był odznaczonym mówcą, a rzymski poeta Horacyusz, którego satyry od czasu do czasu »na wiersz polski eksplikował«, dostarczał mu nieskończonych tematów do przerabiania na *powinszowania, panegiryki* i inne okolicznościowe wiersze dla możnych panów, które nigdy nie pozostawały bez wdzięcznych skutków. Po śmierci Augusta III, kiedy kraj rozdzielił się stanowczo i jawnie na dwa obozy: *familii* i stronników księcia Karola i hetmana Branickiego, Matuszewicz gorliwie i czynnie stronnikiem był tych ostatnich; po ustąpieniu ich jednak z kraju, przeraził się i odważył się wrócić do partyi *familii;* krok to właśnie, który głównie ocenienia wymaga; dodajmy tu więc sąd nasz o nim, sąd nasz własny, co jednak czynimy tem chętniej, iż łączyć się on musi zarazem i z sądem o tym obrazie kraju, który nasz pamiętnik przedstawił.

Obraz kraju, który nam kreślą Pamiętniki Matuszewicza, jest właściwie przeważnie smutnym, wszakże nie można zaprzeczyć, iżby też zarazem nie mieścił i cech pewnych

dodatnich. A najprzód, obraz ten, który obejmuje lat więcej 30, jest obrazem głębokiego, prawie bez przerwy, pokoju w kraju; dotykając myślą przeszłości, nie widzimy w nim już np. tych rywalizacyj lub niepokojów z powodu prowincyj niezlanych jeszcze duchowie, jakie cechowały epokę Jagiellonów; tych wojen prawie bez przerwy, jakie były pod Elektami; nie widzimy już ani napadów, ani buntów kozackich, ani nawet związków wojskowych, które się i za Augusta II. jeszcze ponawiały. Drugim rysem dodatnim, i nader dodatnim, jest widok zamożności jednostek kraju; mamy tu powieść o dziejach kilkudziesięciu rodzin, a obok królewskiego przepychu magnackich dworów, mowa tu tylko wszędzie o ucztach, dostatkach i t. p.[1]; jedyne domowe nieszczęścia, o których się wspomina wśród Pamiętników, są to troski o powiększenie swych dóbr, swych godności; nieszczęścia takie są to właściwie nieszczęścia ludzi szczęśliwych. Stając teraz na stanowisku moralnych pożądań ówczesnych mieszkańców, uważać można, iż i te swoje zaspokojenie były zyskały. Ów ideał, który od niepamiętnych czasów był głównym ideałem jednostek kraju: swobody, równości, w mniemaniu tychże był wreszcie urzeczywistnionym. Każdy szlachcic mógł jednym swym głosem zerwać obrady, a to nie tylko na sejmach, ale i na sejmikach; każdy był elektorem swojego króla i mógł sam nim zostać; a wieści o odjęciu tych swobód, te wieści, które tak były zawichrzyły ostatnie lata rządów Jana Kazimierza i odzywały się za jego następców, przez te lata zupełnie były ucichły. A to zadowolenie moralne wspierała nawet, dodać tu można, i materyalna korzyść; gdy bowiem w wypadkach ówczesnych, mocarstwa, wiodące boje lub interesowane w przebiegu ich, opłacały ministrów i szefów gabinetów najpotężniejszych krajów; gdy niegdyś cesarz niemiecki, nim został obranym, opłacać musiał (i nie-

[1] Nawet u ludu wiejskiego za Niemnem jest dotąd znane przysłowie: *za karala Sasa, było chleba i miasa.*

raz z jawnym targiem) każdego z siedmiu elektorów; tu opłacane być musiały całe partye, wszystkie jednostki (Matuszewicz poszczególnia np., ile korzystał sam i ile pobierały jednostki inne w kraju z poselstwa francuskiego). Możnowładztwo, które do wyjątkowej w tym czasie doszło było potęgi i wyjątkowych dopuszczało się wybryków, wogóle jednak ustępowało zwykle przed demokracyą (zwłaszcza po świeżej lekcyi, jaką dały były Sapiehom Olkieniki) i nie tylko ten lub ów magmat, ale łączność magnatów, korzyli swoją wolę na sejmach, kiedy byle szlachetka krzyknął: *sisto activitatem*. Dodajmy wreszcie, że i pewny blask wyższych moralnych popędów w kraju widny jest także w obrazach Matuszewicza; wspomina on co chwila o wielkich paniach, które były przyjaciółkami nauk, zachęcały do nauk, dając tem samem polor domom magnackim; żadna też wreszcie uroczystość wówczas publiczna lub prywatna nie mogła się obejść bez rytmów, bez mów, a mów w kwiaty odzianych. Mnożyły się fundacye wspaniałych świątyń i dobroczynne i t. p. Ale te wszystkie fakta, tak napozór świetne dodatnio, wistocie były tylko blichtrem; owa np. zamożność jednostek w kraju była to tylko zamożność jednostek, nie kraju (przez brak przemysłu), i czuł to każdy, iż wszelkie inne dobro ówczesne było tylko na krótkie dzisiaj i że groźne, niszczące je jutro lada chwila ukazać się miało.

Czas pokoju, który instytucyom krajowym dozwolił się rozwinąć w duchu głównie upodobanym wśród kraju (swobody bez granic), najpiękniejsze z tych instytucyj pozmieniał w karykatury; nie tylko dwuletnie sejmy, ale też i wszystkie sejmiki: przedsejmowe, trybunalskie, ekonomiczne, mogły być i były zrywane głosem jednego i z nader niewielkim wyjątkiem nie dochodziły; liczne dobra krajowe, przeznaczone na nagrody dla wyższych zasług, urzędy udzielane przez królów za odznaczenie, sprzedawane były teraz za każdym wakansem bez żeny i jawnie przez kancelaryą królewską (Brühl) więcej dającym i owszem, od-

przedawane były sobie nawzajem przez jednostki prywatne z całą swobodą (z potrącaniem nakładów za konsens). Nie mówimy tu o przekupstwach, użyciu broni w czasie wyborów; objawy te pośród krajów, mających instytucye podobne, znane są i w tym wieku (np. przy wyborach do parlamentu w Anglii, a przy wyborach do urzędów i kongresu z literalnem podobieństwem w Ameryce Północnej); lecz wogóle samowolność, najazdy wzajemne, rzezie, należeć zaczęły tu były do wypadków prawie codziennych; nadużycia te wszystkie mogłyby tylko były powściągnąć sejmy, a sejmy nie dochodziły; owa pociecha jednostek, iż bez zezwolenia każdej z nich stanąć nie mogło żadne nowe prawo, wydała naturalnie ten skutek, iż wydanie nowych praw stało się niemożliwe, czyli inaczej, że się zatrzymały rozwój i życie krajowe. Kraj potrzebował praw nowych w swoich stosunkach wewnątrz, broni w stosunkach na zewnątrz; Rzplta jednak stała się była jak człowiek bez nóg i rąk, a dni takiego człowieka musiały być policzone. Minister wszechwładny króla myślał tylko o ilości swych zysków, zaś król, zadowolony z tytułu i dochodów z swych ekonomij, ani się troszczył, ani znał nawet, jakie są potrzeby krajowe, i zmuszony co parę lat zjeżdżać do Warszawy na sejmy, oczekiwał tylko co rychlej zerwania ich, by wracać do swych galeryj i oper. Czyliż i jakie być mogło lekarstwo na taki stan?

Na taki stan jedno tylko być mogło lekarstwo: *reforma:* reforma wychowania, reforma instytucyj i osiągnienie celu tego obrała sobie za godło (jak to widzimy właśnie w części i z Pamiętników Matuszewicza) tak zwana wówczas *familia* (t. j. książęta Czartoryscy i rodziny powinowactwem z nimi związane). I czynność ta jej odznaczyła się była skutkiem niemałym; umiała ona pozyskać zwolenników dla siebie i swych idej, już nietylko w tej lub owej prowincyi, ale we wszystkich; na sejmikach przedsejmowych i trybunalskich na całej obszerności kraju, znajdowali się i wygrywali zwykle jej partyzanci. Ale też czyn-

ność i przeciwników (a przeciwników z różnych względów) *familii* (Radziwiłłowie, Potoccy) nie była martwa. Tymczasem nastąpiła śmierć króla, a z nią i moment stanowczy. Przy wotach na sejm konwokacyjny (Matuszewicz przytacza szczegółowie nazwiska posłów ze wszystkich prowincyj), partye porachowały się. Liczba posłów, zwolenników *familii*, przewyższyła tylko głosami czterdziestu pięciu, a i jeden oponent mógł się stać zgubnym. Książę Michał razem z resztą *familii* zamyślił się wtedy i jak ów w poezyi Konrad Wallenrod, bez poezyi powiedział do siebie: »Znam ja sposób jedyny, straszliwy niestety!« i »zmuszony, chwycił się tego sposobu«. Ten sposób zależał na tem, iżby na daną chwilę zniszczyć w kraju swobodę, swobodę zdania i przy pomocy wojsk swej partyi krajowych i zakrajowych złożyć sejm jednomyślny. W tym celu zawiązała *familia* konfederacyą w Koronie i Litwie, pod godłem: zniesienie *liberum veto, aukcyą wojsk*, a przedewszystkiem, król *przyjacielem reformy*. I czynność ta uwieńczyła się skutkiem. Przeciwnicy konfederacyi: książę Karol Radziwiłł (według Pamiętników Matuszewicza, zawsze pijany i mający ten tylko programat, aby się nie stawało to, czego życzy nieprzyjaciółka jego, *familia*, i hetman Branicki, myślący o królestwie dla siebie) przymuszeni byli ustąpić z kraju przed siłą; a w Warszawie zebrał się jednomyślny sejm elekcyjny i elektem został członek *familii* i przyjaciel reformy, Stanisław August. Król ten nie jest dotąd ocenionym bezstronnie; większość historyków, zwłaszcza krajowych i nawet poważnych, ma go głównie za salonowca tylko i komedyanta; fakt jednak rzeczywisty był inny. Położenie nowego króla, który miał być zrazu, jak ten kraj, którym miał rządzić, bez nóg i rąk, być musiało jak najdrażliwsze i przeciągać się tylko mogło dyplomacyą subtelną wszechstronną; a jednak, już nawet w pierwszych latach tych nowych rządów kraj cały ujrzał się nagle zmienionym do niepoznania. Aukcya wojska nie zyskała była jednomyślności, lecz już na sejmie konwokacyjnym zniesionem było

stanowczo *liberum veto* sejmików, zniesione też zostało w części na sejmach i nie było już odtąd przykładów zrywania sejmów; rozdawnictwo urzędów i starostw wróciło nazad do króla, kupno i sprzedaże ich znikły, system wychowania zmieniony zmienił wnet obyczaje; pijane uczty i krwawe bójki w drugiej połowie wieku XVIII należały już do tradycyi (Ochocki); protekcya nauk i sztuk wnet wydała nowy świat umysłowy i król w końcu przystąpić mógł jawnie do zwołania *Stanów skonfederowanych* dla odmiany stanowczej i stałej podstaw bezrządu. Ogłoszenie niedawne *Korespondencyi Stanisława Augusta* objaśnia, że król ten własną ręką rozpisując listy do wpływowych osób wszystkich ziem kraju, wpłynął sam bezpośrednio w ten sposób na rodzaj większości ostatniego sejmu. I sejm ten, równie jak inne poprzednie, doszedł i reforma żądana stanęła. Stanisław August osiągł w ten sposób chociaż na chwilę to, o co się głośni i silni poprzednicy jego, Batory i Sobieski, nadaremnie kusili. I gdyby, dodajmy, następcą ówczesnego posła dworu berlińskiego, Lucchesini, był (że się tak wyrazimy) Lucchesini; gdyby ów list własnoręczny, który za nadejściem przewidywanych faktów, król pisał do tego dworu, nie pozostał był bez odpowiedzi należnej, król ten zamiast pozyskanego przydomku salonowca, grabarza, byłby zapewne zyskał wielkiego odnowiciela; i w każdym razie stał się nim (obok współdziałania *familii*) w porządku duchowym.

Takim był król i takiego ducha stronnictwo, które go wynieść miało, a do którego Marcin Matuszewicz, po ustąpieniu z kraju Radziwiłła i Branickiego, przystąpił. Przystąpienie to nie było zapewne zupełnie dobrowolne, rozmyślne. Uwagi Matuszewicza w Pamiętnikach nad punktami, którymi konfederacya (Czartoryskich) potępiała działania i osobę księcia Karola, dowodzą, iż przekonania jego z wielu względów były od stronnictwa odmienne; ale duchowa pokora i owe cele główne (zyski, honory) stały mu się drogą przewodnią. Jak jego mistrz Horacy, rzekł on

snać do siebie: *video meliora proboque deteriora sequor* i pojechał na sejm elekcyjny. Rysem charakteru Matuszewicza w tym razie było więc tylko odbicie myśli większości, chwiejność, niepewność, próba środków możliwych; i ostatecznie, niktby kamienia potępienia za rys ten nie mógł nań rzucić.

Dla objaśnienia jednak bliżej tak ostatnich kroków autora w skreślonych przezeń obrazach, jako też dla poznajomienia czytelnika z prostotą pióra i szczegółowością opowiadania jego, przytoczymy tu na zakończenie parę wyjątków z ostatnich kart jego Pamiętnika, a mianowicie z opisu właśnie ostatniej elekcyi.

»Już się zbliżał czas elekcyi. Brat mój Wacław porucznik przyjechał do mnie, wywiadując się, co ja myślę względem elekcyi. Odpowiedziałem, że jako wszyscy, czy to z afektu, czyli też z przymuszenia, muszą się zgadzać na stolnika litewskiego, tak i ja, ile przystąpiwszy do konfederacyi, będąc posłem i w instrukcyi mając kandydata imieniem wyrażonego, będę na niego wotował i pojadę na elekcyą. O to brat mój bardzo się na mnie rozgniewał i pojechawszy do Szerzawy, tak to aprehendował, że się aż bardzo rozchorował i na elekcyi nie był.

»Gdy przyjechałem do Warszawy i miałem stancyą *ex officio* na Pradze na konie, pojechałem przeto do stancyi Sosnowskiego, pisarza litewskiego, przyszłego marszałka sejmu *electionis*, który wymówić niepodobna z jaką mię łaską i ludzkością przyjął. U księcia Czartoryskiego kanclerza znalazłem dość łaski i poufałości. Sosnowski brał mnie z sobą i razem z nim w karecie jeździliśmy. Tak dalece widziałem się być w dobrym stanie, że nie tylko o nic nie bałem się, ale też zacząłem się starać o naszą kasztelanią brzeską.

»Zaczął się zatem sejm *electionis*. Pierwszego dnia ks. Prymas w szopie (senacie) zagaił sejm. Potem w okopach (izbie poselskiej) po podniesieniu starej laski przez Adama Czartoryskiego, wojewodzica ruskiego, marszałka sejmu kon-

wokacyjnego, poszedł *turnus* wotowania na marszałka elekcyjnego; województwa, ziemie i powiaty na kartkach *suffragia* dawali. Jednostajnym zatem głosem obranym jest Sosnowski pisarz lit. marszałkiem sejmu *electionis*. Objąwszy zatem laskę sejmową, podziękowawszy za nią, jako ustawicznie dawał mi dowody łask i przyjaźni swojej, tak do oznajmienia senatowi o elekcyi swojej nominował z okopów posłami Tyzenhauza i mnie.

»Nazajutrz około 10-ej godziny zjechali się wszyscy tak senatorowie jak i książę Prymas do szopy, jako też posłowie i województwa do okopów. Ja razem z marszałkiem sejmowym przyjechałem. Nastąpiły rekomendacye od posłów cudzoziemskich za kandydatem do korony polskiej. Najpierwsza zatem rekomendacya od nuncyusza, któremu na odpowiedź skomponowałem mowę łacińską dla łaskawego dla mnie marszałka sejmowego (potrzeba tej pomocy była też zapewne i głównem źródłem tych łask). Komponowałem mu także mowy na odpowiedź posłowi rosyjskiemu i posłowi pruskiemu, ale mi dwie ostatnie mowy gdzieś się zawieruszyły. Także komponowałem odpowiedź i dla posła kurlandzkiego. Ta wielka cnota i rzetelność była Sosnowskiego, marszałka poselskiego, iż sam to powiadał, że ja mu te mowy łacińskie komponowałem. Są te wszystkie mowy w drukowanym sejmowym Dyaryuszu.

»Na tę audyencyą nuncyusza wszystek senat zasiadał w okopach. I piękna to jest *facies Reipublicae*, widzieć cały naród w pięknym porządku, pięknie przybrany zasiadający. A że nuncyuszowi najpierwsza była dana audyencya, tedy Kaiserling, poseł imperatorowej rosyjskiej, częścią że był słaby, jakoż wprędce potem umarł, częścią, że nie chciał po nuncyuszu mieć swego wjazdu na audyencyą, tedy *in scriptis* po łacinie podał mowę swoją, rekomendując do korony Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego. Czytał tę mowę poseł sejmowy Szadurski, stolnik inflancki, a marszałek sejmowy także *in scriptis* odesłał odpowiedź swoją. Toż samo było i z królem pruskim...

»Nadjechał brat mój pułkownik z Floryanem Szujskim, strażnikiem brzeskim, na elekcyę i prosto do mojej stancyi, z łaski mi marszałka sejmowego danej, zajechał. Nie kosztowała wprawdzie mi ta stancya, ale stół dla moich przyjaciół duży trzymać musiałem. Pojechał zatem marszałek sejmowy ze wszystkimi nami Brześcianami z wizytą do stolnika litewskiego, przyszłego króla, który nas dość łaskawie przyjął. Bratu memu pułkownikowi łaskawie przypominał, jak z nim polował. Buchowiecki, pisarz ziemski, wspominał z pochlebstwem, że się król na Wołczynie w naszem województwie rodził, że go pisarz na ręku nosił. Był też w kompanii naszej Marceli Niemcewicz, który do króla przyszłego list pisał, prosząc go, aby po polsku chodził, i jeżeliby golenie głowy miało mu szkodzić, aby w swoich włosach chodził i zamiast butów polskich, aby pończochy i trzewiki nosił; wspomniał tedy stolnik litewski na ten list i mówił do Niemcewicza: »Przepraszam waćpana, że rady jego słuchać nie mogę«.

»Względem tej elekcyi takie też były okoliczności, że Poniatowski podkomorzy, brat starszy stolnika litewskiego, stał obozem za koszarami gwardyi pieszej i koronnej ku Marymontowi i miał w obozie swoim około 3.000 wojska komputowego. Kilka solennych obiadów i balów z fajerwerkami dawał na wielkich stołach pod namiotem. Było oprócz tego pełno nadwornej milicyi księcia Czartoryskiego i ich partyi w Warszawie. Konfederacye też obiedwie, koronna i litewska, naznaczywszy sobie miejsce u bernardynów złączyły się z sobą i sesye swoje razem miewały. Bieliński, marszałek w. koronny (oponent), siedział w pałacu swoim, nikt u niego nie bywał i on u nikogo. Ks. Lubomirski rozchorowawszy się obłożnie, w dobrach swoich leżał i na elekcyi nie był. Sołtyk przyjechawszy do Warszawy, stanął na Solcu, chciał tam jakichś osobliwości, aby go zapraszano (co gdy się nie stało, wyjechał). Krasiński zaś, biskup kamieniecki, siedział w Kamieńcu Podolskim, różne tam publiczne aklamacye czynił i skrypta pisał prze-

ciwko ks. Czartoryskim. Była też w Warszawie księżna Sanguszkowa, marszałkowa w. lit., z córkami i synami, mająca wielu przyjaciół, u której znaczne kompanie bywały, osobliwie z przyjaciół hetmana w. koronnego. Książęta Czartoryscy przez subordynowane osoby uczynili jej nadzieję, że przyszły król ożeni się z córką jej, księżniczką Kunegundą. Poczęła zatem księżna marszałkowa przywiązywać się do partyi ks. Czartoryskich, bale dla przyszłego króla dawała. Rezydowała też w Warszawie księżna Lubomirska, wojewodzina lubelska, i ta miewała swoje kompanie, ale i tę książęta Czartoryscy damę menażowali« *(IV. 275—279).*

Autor opisuje z kolei szczegóły sesyj prowincyonalnych, na których spisywano *desideria* do *paktów konwentów;* między innemi wzmiankuje, iż się odważył był pójść sam do proboszcza krakowskiego Imć. Ks. Krasickiego, aby w paktach nie przepomniano warunku, iżby przyszła królowa była katoliczka, następnie o generalnych sesyach sejmowych i zbliżając się do dnia rezultatu, tak opowiada:

»Gdy zaś przyszedł dzień wyjechania *in campum electoralem* na dawanie *sufragiów,* wyjechaliśmy wszyscy (Brześcianie) konno z rezydencyi Sosnowskiego i jechaliśmy porządnie w pole na miejsce dla województwa naszego wytknięte. Nie była tak ani przez połowę ludna elekcya, jak była Stanisława Leszczyńskiego w r. 1733, jednak dość pola województwa koronne i litewskie zastąpiły, osobliwie województwo sandomierskie najludniej się popisywało. Zaczął zatem ks. Prymas w kolasie pięknej, z fartuchami w górę odkrytymi, czterema końmi pięknymi z forysiem, objeżdżać województwa dla odebrania od nich sufragiów. Zaczęło się to od wpół do pierwszej i trwało prawie do nocy, a gdy się skończyły sufragia, tedy nazajutrz do szopy ogłoszona jest sesya. Gdy zatem tego dnia zebraliśmy się do szopy, tedy ks. Prymas wyszedł do okopów i po trzy razy spytał się wszystkich, jeżeli jest zgoda, aby Stanisław Poniatowski stolnik lit., jako jednomyślnie obrany, był ogłoszony królem polskim? Gdy tedy wszyscy *vivat* wołali, tedy

ks. Prymas nominowawszy Poniatowskiego stolnika lit. królem polskim i w. księciem, przydał mu imię August t. j. aby się pisał Stanisław August i zaraz tamże w okopach zaczął śpiewać *Te Deum laudamus* i wszyscy śpiewali, lubo nie wszystkich jedna ochota i intencya była. Potem ks. Prymas nominował z senatu duchownego i świeckiego senatorów do oznajmienia królowi o elekcyi jego. A gdy między innymi senatorami nominował Potockiego, wojewodę kijowskiego, tedy wojewodzie niesmaczno to było, widać na nim było pomieszanie i tylko wąsa pociągał, ale trzeba było uczynić wszystko z posłuszeństwem«.

O dniu wreszcie przysięgi i zakończenia obrzędu elekcyi tak autor wyraża:

»Przyszedł dzień przysięgi królewskiej. Zebrali się wszyscy i sam król do kościoła Ś. Jana. Tam najpierwej ks. Prymas winszował królowi nowoobranemu tronu, potem Sosnowski, marszałek sejmowy, miał głos winszujący tegoż tronu i oddał *actum electionis*. Król jak mu Pan Bóg dał dar pięknej wymowy i sposobność *ex tempore* mówienia, tam sam *ex tempore* bardzo piękny miał głos, wyznając wielką boską nad sobą prowidencyą i wielką wdzięczności pokorę; przytem wyrażał gorliwość swoją przy wierze rzymsko-katolickiej, protestacye czynił, jak pragnie prawa i wolność zachować i wszelką sprawiedliwość wypełniać. Była to mowa tak przenikająca, że rzadko kto słuchając jej nie zapłakał; objęła zatem wszystkich dobra nadzieja, że król, tak piękne talenta mający, potrafi dobrze panować, chociaż nad wszystkie spodziewanie obrany jest królem« *(IV. 282—286)*.

Co do skutku, jaki dla osobistości samego autora z przejścia jego na stronę królewską wypłynął, o tym po opisaniu elekcyi tak poszczególnia:

»Co do mojej osoby, staranie się o kasztelanią brzeską, po Abramowiczu wakującą, próżne było; gdyż lubo i Sosnowski, marszałek sejmowy, i Mostowski, wojewoda pomorski wuj, poczęli o tem namieniać i prosić ks. kanclerza, jednak to zaraz, prawie z gniewem, odrzucone było

i zdarzyło się raz, że gdy na pokojach królewskich ks. kanclerz siedział, a nas wielu około niego stało, tedy na mnie spojrzawszy, rzekł te słowa: »Pan stolnik brzeski kiedy nam dobrze, to i on dobry, ale gdyby nam źle było, on byłby najgorszy«. Począłem pokornie submitować się, że za wszystkie winy moje szukam klemencyi i że całem sercem niepowierzchownie i nieobojętnie garnę się do usług jego. Przyczynili się za mną i Sosnowski i Przezdziecki, referendarz lit. i tak znowu twarz księcia kanclerza wypogodziła się dla mnie. Gdy jednak o kasztelanii brzeskiej już myśleć nie można było i wiedziałem, że i do poselstwa (z Brzeskiego) na sejm koronacyjny destynowani byli: Sosnowski, pisarz lit., i Buchowiecki, koniuszy brzeski; więc zacząłem się starać, aby mi pozwolono być posłem z województwa płockiego, gdzie czterech na sejm miano obrać posłów. Książę kanclerz to aprobował, ale ks. wojewoda ruski (August Czartoryski) był przeciwny. Tymczasem byliśmy na pokojach i gdy ks. Radziwiłł, ordynat klecki, króla idącego z kościoła żegnał, oznajmując swój odjazd, ks. kanclerz mnie także prezentował królowi do pożegnania. Król mnie się spytał, dokąd jadę? odpowiedziałem: do domu. Potem mi zaczęli mówić Sosnowski i Przezdziecki, abym mówił królowi, że na sejmik do Płocka jadę; król z podziwieniem odpowiedział: »Do Płocka?« a ks. kanclerz odezwał się w te słowa: »Ma tam posesyą, koligacyą i kredyt«, ale król nic na to nie odpowiedziawszy, wszedł do pokoju swego. Znaczna tedy była i łaska kanclerza i królewskie nieaprobowanie« *(IV. 287)*.

Jakoż mimo udanie się do Płocka i postawienie swej kandydatury, nie został Matuszewicz obrany nawet posłem na sejm i przypomniało mu się zapewne wtedy owo bezlitośne, ale wierne przysłowie (jeśli je znał): »Maur potrzebny, niech żyje Maur! Maur już niepotrzebny, w kark Maura!« Mimo to jednak nie zraził się w swej drodze karyery i był wytrwały. Zdolność pióra do interesów ekonomicznych, prawnych, stosunkowych, jednała mu dotąd protektorów,

w nowym królu widział nadto miłośnika sztuki i drogą tej miał nadzieję go zjednać. Przełożył na wiersz polski (ze stosowną alluzyą) list Horacyusza do Augusta rzymskiego, zaczynający się od słów: *Cum tot sustineas et tanta negotia solus* (gdy tyle i takiej wagi spraw sam dźwigać musisz) i za pośrednictwem hetmanowej Branickiej (siostry królewskiej) ofiarował go królowi. I krok ten nie pozostał bez niejakiego skutku, wspomina bowiem, iż gdy następnie był raz król na obiedzie u siostry i tu go spostrzegł kłaniającego się, tedy najprzód powtórzył ów pierwszy wiersz: *Cum tot sustineas et tanta negotia solus,* a potem, dodaje, dziękował mi i chwalił te wiersze, oraz upewniał mię o łasce swojej«.

Z tych kilku wyjątków czytelnik ocenić więc może i styl Pamiętników. Matuszewicz, wtrąćmy jeszcze w tej rzeczy uwagę, uczeń szkół jezuickich, styl swój oczywiście kształcił stopniowo w przeciągu życia. Wielka jest np. różnica między tą mową, którą wypowiedział był na podziękowanie kanclerzowi Sapieże, za mianowanie go pisarzem grodzkim, a zwłaszcza tą, którą witał w r. 1740 Augusta III, tak pełną makaronizmów i nadętości, i tą, którą wypowiedział w r. 1764 na sejmie elekcyjnym. Wątpić nie można, iż ile korzystał z dzieła księdza Stanisława Konarskiego: o *Skutecznym rad sposobie* pod względem politycznym (wzmiankuje bowiem, jak było chwalone powszechnie), tak pod względem retorycznym z dziełka tegoż: *De emendandis eloquentiae vitiis,* które wyszło było w r. 1741; już bowiem w r. 1744, mówiąc w Pamiętniku o mowie niejakiego Wieszczyckiego, wyraża: »miał on tę mowę stylem jezuickim, że tak rzekę, śmiesznym« (I. 168). Pamiętnik swój Matuszewicz mógł zacząć pisać najwcześniej w r. 1751, w tym roku bowiem zaszła śmierć jego ojca, a już na pierwszych kartach wspomina o nim, jako o nieżyjącym; stąd też i styl jego w tym Pamiętniku jest prostym, naturalnym i stosunkowo nawet mało makaronicznym. Co do języka zauważyć można, iż Matuszewicz, lubo spółziomek

Medekszy, nie ma już wcale w stylu swym tych *rosyanizmów*, jakich jeszcze używał pierwszy, a o których wyżej wspomnieliśmy; że jednak niektóre dziś przez nas używane wyrazy, za czasów jego w odmiennem jeszcze znaczeniu były brane, tak np. wyraz *patryota* oznaczał ziomka (»Józef Pruszyński patryota ziemi mińskiej« i t. p.), *protestant* oponenta (»przywiozłem z Brześcia wszystkich *protestantów*«), dzisiejszy *protestant* był wyrażony *dysydent* i t. p.

Pamiętnik swój zakończył Matuszewicz solennie z końcem r. 1764 dodanym przypiskiem. Dlaczego pracę tę, którą tak starannie prowadził i tak stopniowo rozszerzał, iż ostatnie dwa lata złożyły oddzielny w obecnem wydaniu obszerny tom, przerwał z tym rokiem Matuszewicz? jest to zagadka, która i pozostać musi zagadką; wszakże i z następnych lat życia autora znanych jest szczegółów kilka. W r. 1765 był on mianowanym sędzią ziemskim; gdy zaś dawny protektor jego, książę Karol Radziwiłł, po pojednaniu się z królem wrócił do kraju i był najprzód marszałkiem konfederacyi radomskiej, a następnie marszałkiem sejmu (znanego ze smutnych ustępów) z r. 1768, sekretarzem tak tej konfederacyi, jak tego sejmu był Marcin Matuszewicz. Na tym ostatnim, jako kolega tylu osób wpływowych, wyjednał on dla siebie przyznanie nagrody w ilości 50.000 złp., a jako sekretarz, tak ten punkt wyraził: »zważając pracę i zasługi *in publico* urodzonego Marcina Matuszewicza, sędziego ziemi brzeskiej etc. summę 50.000 złp., aby mu ze skarbu koronnego wypłacona *z najpierwszych dochodów* była, naznaczamy«. W tymże roku otrzymał kasztelanią brzeską, zaś w r. 1772, jak mówią dwaj ostatni jego biografowie (Bartoszewicz w *Encyklopedyi powszechnej*, i Pamiętniki w wiadomości *O życiu i pismach Marcina Matuszewicza*), zakończył życie. Ostatni objaśnia, iż kasztelanem brzeskim od r. 1784, ukazuje się już w kalendarzykach politycznych Józef Bystry. Ta data śmierci nie jest jednak, sądzimy, stanowczo pewną. Bentkowski w *Historyi literatury* pisze: »Marcin Matuszewicz w r. 1784

wydał tłumaczenie swe Satyr Horacyusza bezimiennie« (str. 327). Po śmierci nikt swych pism nie wydaje i z drugiej strony żadne pismo pośmiertne nie bywa drukowanem bezimiennie; zdaje się więc, że Marcin Matuszewicz w r. 1784 żyć jeszcze musiał; przypominamy także, że pochwałę Marcina Matuszewicza pisał Stanisław Potocki (nie mamy tej pochwały w tej chwili pod ręką), u Potockiego pochwały, pisane o świeżo zmarłych, odnosiły się tylko do *końca* zeszłego i początku obecnego stulecia. Wypadki niespodziane krajowe z r. 1772, wypadki wywołane właściwie kilkoletnim rozlewem krwi oponentów, lecz w prostej loice obwiniające głównie głównego naczelnika kraju, mogły zapewne na czulszy umysł autora wywrzeć cios stanowczy, zrazić go do obranego stronnictwa i mogły przyśpieszyć zgon jego, ale mogły też tylko zrazić do dygnitarstwa, zwłascza gdy nowozbierający się sejm (1773—1775) musiał zatwierdzać fakta dokonane, i dygnitarstwa swojego mógł się odrzec na rzecz nowego kandydata.

Kończąc tych kilka uwag o Pamiętnikach Medekszy i Matuszewicza, nadmieniamy w końcu, iż trafne i wierne charakterystyki tych autorów i ich prac umieszczone są na czele obu pamiętników przez ich wydawców.

Luty, 1877 r Miassota.

3.

Przyczynek do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego: »Dzieje Polski w zarysie«, 1879 r.

Nigdy jeszcze różnorodne gałęzie nauki ludzkiej nie były tak starannie, bogato i śród specyalności swoich głęboko rozwijane i uprawiane, jak w czasach obecnych i nigdy też bardziej, jak dzisiaj nie czuje się braku i nie wygląda nauki specyalnej, nowej, któraby te różnorodne zdobycze, ich różnostronne kierunki, godzić, jednoczyć, w jednym obrazie oglądać i do jednego łącznego celu skłaniać umiała.

Ścieśniając się od tej ogólnej uwagi do jednej z owych naukowych gałęzi, do *dziejów*, a śród tych: do dziejów krajowych, napotykamy tu także podobny objaw. Nigdy jeszcze tyle, ile w ostatnich kilkunastu latach, nie ogłoszono u nas bogatych źródeł, pomocy, tyle zarazem obok monografij wytrawnych, rozjaśniających szczegóły naszych dziejów dawnych; ale nie spotkaliśmy dotąd odbicia się tych przyczynków w obrazie łącznym. Nic dziwnego więc, iż nakreślenie takiego obrazu, chociaż (jak ten, o którym mówimy) w zarysie, a nakreślenie właśnie przez jednego z najzasłużeńszych pracowników na owem (monograficznem) polu, tak pochopnie pochwyconem zostało, że tyle żywych sądów już wywołało. Sąd taki umieściła między innemi i *Bibliotcka Warszawska* w zeszycie za maj, pióra F. K. Wyrażone w tym sądzie jak ogólna charakterystyka dziełka, tak i szczególne twierdzenia, zdaniem naszem, są najzupełniej słuszne; gdy jednak samo to dziełko większej części czytelników *Bibliotcki* nie jest, być może, znanem i gdy nadto niektóre objawiane w niem sądy, a nawet kreślone fakta szczegółowszego objaśnienia wymagać mogą, przeto nie będzie, sądzimy, zbytniem, do wyrażonych już uwag jeszcze kilka dorzucić.

Dzieje polskie p. Michała Bobrzyńskiego jest to książka, która z zadania swego nie tyle jest poświęconą kreśleniu obrazów, jak uwag o tych dziejach. Autor jest zwolennikiem prawa i gotując się do napisania tej książki, nie tyle oczywiście rozczytywał się w kronikach, ile w *Voluminach legum*. Pogląd ten doprowadził go osobiście do pewnych wniosków, zarazem zaś i do chęci zapisania pewnych przestróg. W miejsce więc najpopularniejszego dotąd u nas podręcznika do poznania dziejów krajowych, który ma napis: »*Dzieje*, które stryj synowcom opowiedział« (i który, dodać można, nauczał młode pokolenie treściwie, różnostronnie i *ściśle bezstronnie* o faktach naszej dawnej historyi), dał nam nowy, o którym rzecby można, iż go »syno-

wiec stryjom opowiedział«, t. j. nauczający, jak odtąd o tych dawnych znanych im dziejach sądzić powinni.

Punkt, z którego p. Bobrzyński w zapatrywaniu się na swój przedmiot, t. j. na dzieje polskie wyszedł, jest to ostatni rezultat tych dziejów: upadek kraju. Autor w uwagach swoich zastanawia się głównie nad przyczynami takiego końca, kreśli je, przedstawia dobitnie i, powiedzmy to zgóry, do następnych w wykładzie swoim dochodzi wniosków:

Kraj nasz upadł, gdyż... musiał upaść, a na skutek ten złożyły się były głównie przyczyny następne: najprzód, iż za swój sztandar i ideał poczytał był wolność (»złotą wolność«); powtóre, iż nie miał u siebie nigdy silnego, absolutnego rządu i wreszcie trzecie: iż zamiast pilnować swych pierwotnych granic, a w nich dobrobytu, zbyt się rozszerzył.

Wnioskom tym, jako też wszystkim innym ogólniejszym zdaniom autora, nie mamy tu wcale zamiaru zaprzeczać, ani też je potwierdzać, a spojrzeć tylko, czyli? i o ile? sam wykład zmusza czytelnika do ich przyjęcia lub nieprzyjęcia.

Podstawą wniosków są sądy, a sądów — fakta; najpierwszym więc warunkiem podzielenia przez czytelnika wniosków jest przekonanie się, czyli te fakta, z których pierwotnie wyszły lub na których się opierają, są wierne.

Pogląd wewnętrzny p. Bobrzyńskiego na dzieje polskie objaśnia nam najprzód ogólnie podział ich na okresy. Autor do tego podziału główną oczywiście przywiązał wagę, wykłada go bowiem zaraz na wstępie, na pierwszej karcie książki, pierwej nawet, niż określił przedmiot, o którym ma mówić i przed przytoczeniem literatury tego przedmiotu.

Okresy te jakież były?

Okresy historyi polskiej były, według autora, następne: 1-szy od najdawniejszych początków państwa do połowy XIII wieku, kiedy ludność kraju była jednolitą, a król jej ojcem: okres *patryarchalny;* 2-gi od połowy XIII. wieku,

t. j. od czasu wyludnienia kraju przez Tatarów a zaludnienia przez Niemców, do końca XV. wieku: okres *patrymonialny*, gdyż w nim, według autora »królowie spokojni o swe *patrymonium*, nadawszy raz przywileje stanom krajowym, nie wtrącali się do ich spraw wewnętrznych, a tylko je bronili nazewnątrz« (str. 9); i wreszcie od początku XVI. wieku do upadku kraju, w którym według wyrażenia autora »złamano średniowieczne przywileje, a urządzono państwo nowożytne, tak zwane *prawne*« (str. 9).

Podział taki, a następnie jego sprawdzanie, powiedzmy to zgóry, nie uprzedziły nas wcale na stronę gruntowności sądów autora. Podział ten jest już błędnym z zasady; stosunek u nas bowiem wszystkich stanów kraju do panujących był jeden przez całą epokę Piastów, różnice zjawiać się zaczęły dopiero od króla Ludwika; jak przeto pod względem tych stosunków, między pierwszym powyższym okresem a połową drugiego różnicy nie było żadnej, tak znowu między dwiema połowami 2-go okresu były wielkie. Jest też błędnym według własnych sprawdzeń autora, jak wnet ujrzymy.

Od połowy XIII. wieku, mówi autor, zaczął się okres nowy, *patrymonialny*, odtąd bowiem »stosunek stanów do książąt polegał na wzajemnym kontrakcie określonym w licznych przywilejach« (str. 137). Lecz oprócz przywileju dla żydów z r. 1264, nie wiemy o żadnych innych przywilejach dla szczególnych stanów z owego czasu. Od połowy XIII. wieku istotnie zjawiały się już i doszły do naszych czasów liczne urzędowe akta i przywileje; lecz były to przywileje, nadania, udzielane dla rozlicznych jednostek, dla szczególnych klasztorów, szczególnych miast, ale nie przywileje stanów.

Iż stosunek wszystkich stanów krajowych do książąt i królów był jeden przez całą epokę Piastów i że ci książęta, królowie przez cały ów okres długi mieszali się w przywileje tych stanów, wskazać to może chociaż przelotne wspomnienie na dzieje ówczesne. »Naród polski, mówi p.

Bobrzyński, w owym okresie drugim, patrymonialnym, składał się z trzech stanów« (str. 137). Jakie to jednak były te trzy stany, według autora, tego nie wiemy. Na stronie bowiem 8 tak mówi: »Społeczeństwo polskie w okresie tym rozpadło się na *dwa* żywioły: polski i niemiecki, duchowieństwo utworzyło *stan trzeci*«; to zaś, co mówi następnie na str. 137, jest jeszcze większą zagadką: »Książęta Piastowscy, mówi tu, przeprowadzili budowę społeczeństwa, opierającą się na *trzech* odrębnie rządzących się stanach: *kościelnym, duchownym* i *świeckim*«.

Musimy tu więc mówić o stanach, jakie były wtedy w kraju *de facto* t. j: *kmiecym, miejskim, szlacheckim* i *duchownym* i o każdym z tych nadmienimy tu po kolei.

Iż stosunek *włościan* do książąt i królów takiż był w okresie pierwszym *patryarchalnym*, jak i w drugim, czyli tak zwanym przez autora *patrymonialnym* do końca XIV wieku, to widzimy z kronik, ustaw i innych świadectw z owego czasu. Zarówno np. Kazimierz Sprawiedliwy w wieku XII. (zjazd w Łęczycy), jak Kazimierz W. w wieku XIV. (statut wiślicki) rozciągali nad włościanami opiekę; zarówno skądinąd, jak widzimy z nadań, los ich szczególny był rozstrzygany w obu tych okresach samowolą władców, a nieraz w owym okresie drugim więcej się daje widzieć właściwej patryarchalności, niż w pierwszym. Tak np. w nadaniu Konrada Mazowieckiego klasztorowi czerwieńskiemu z r. 1222 (a więc w okresie 1-szym) czytamy, iż włościanie w nadanej wsi mają podlegać jurysdykcyi opata pod każdym względem *(ne alicuius obedient iudicio nisi sui abbatis, Kod. Rzyszcz.* t. I, str. 26); zaś w nadaniu Leszka Czarnego z r. 1280 (w okresie według autora drugim) książę ten rozpoznawanie dziedzictwa włościańskiego przy sobie zatrzymał *(excepta haereditaria quaestione. Cod. Tinec.* str. 47). Los włościan dopiero w drugiej połowie tego drugiego okresu, zwłaszcza z powodu ustaw Jana Olbrachta, znacznie się zmienił.

Co do *mieszczan*, Władysław Jagiełło dopiero statu-

tem z 1420 roku, a więc w drugim okresie, zniósł ich *fraternitates* (cechy), a Jan Olbracht konstytucyą z r. 1497 odjął obywatelom miast prawo nabywania dóbr ziemskich. Czy jest w tem dowód, że królowie w okresie tym nie mieszali się do spraw tego stanu?

Co do *szlachty*, zależność urzędów szlacheckich i wogóle jednostek tego stanu, od królów, takaż była w okresie 1 szym i 2-gim i takież wzajemne stosunki zależne od charakteru jednostek, nie przywilejów; takiż np. umieli i mogli czynić opór swym władcom wojewodowie z czasów Władysława Hermana i synów Krzywoustego, jak w okresie następnym z czasów Jadwigi i Jagiełły, a liczne w tym okresie udzielane przez królów przywileje szlachcie, jak koszycki, nieszawski i t. p. nie oznaczały także wcale »niewtrącania się królów« do jej spraw.

Co do *duchownych* wreszcie, i tych stosunek do królów był jeden za całej epoki Piastów, a następnie tak do spraw tego stanu, jak do trzech innych, zarówno się wtrącali królowie. Równie np. w wieku XIV, jak XI, biskupi nie wahali się uciekać do klątwy, a królowie do zemsty, i tak np. *patrymonialny* Kazimierz W. równie postąpił z wysłańcem biskupa krakowskiego (Baryczką), jak *patryarchalny* Bolesław Śmiały z samym biskupem. W połowie XV wieku Kazimierz Jagiellończyk odjął przywilej kapitułom obioru biskupów i ten tronowi przywłaszczył.

Cóż więc znaczyło owo założenie autora, iż w okresie patrymonialnym królowie nie wtrącali się do spraw wewnętrznych stanów? Odpowiedź tem trudniejsza, iż jeden z ustępów tego okresu, w samej książce autora, ma napis: »Kazimierz Jagiellończyk łamie przywileje stanów« (str. 213).

Jak okresu II-go, tak niezrozumiałe jest równie oznaczenie i okresu III. »W okresie tym, mówi p. Bobrzyński, złamano średniowieczne przywileje i urządzono państwo nowożytne, *prawne*«. Jakie to u nas okres ten złamał przywileje, nie widzimy z wykładu. *Fraternitates* miejskie, jak widzieliśmy, złamał już był Władysław Jagiełło w poprze-

dnim okresie, a w nowym przywrócił je przeciwnie Zygmunt August i trwają dotąd; co zaś do szlachty, okres ten cały rozwijał tylko, a nie łamał zdobyte przez nią w poprzednim przywileje. Na czem znowu polega owa *prawność* nowego państwa i wogóle państw nowożytnych, nie objaśnił nam równie autor. Pisarze polityczni dzisiejsi są dziś najpowszechniej zdania, że samowola królów nigdy jeszcze do takiej potęgi nie była wzrosła, jak w wiekach nowych, od czasu zwłaszcza, jak protestantyzm nauczył łączyć w ich rękach najwyższą władzę cywilną i religijną. »Jeszcze w połowie XVIII wieku (mówi Kolb w *Culturgeschichte*) ziemie i ludzie byli własnością panujących«. Państwa prawne, t. j. z określoną ustawą, powstały dopiero w naszych czasach. W Polsce, według autora, państwo prawne rozpoczął *Statut* Aleksandra z r. 1505, zastrzegający, że: »nic nowego odtąd król stanowić nie będzie, bez spólnej zgody stanów«. Ale podobny warunek mieścił i statut Kazimierza Jagiellończyka z połowy XV. wieku, zaręczający, iż król odtąd nie będzie miał prawa prowadzić wojen, »bez poprzedniej zgody prowincyj«, i podobną była jeszcze na początku XIV. wieku w Niemczech deklaracya Henryka VII, iż: »nie wydamy odtąd żadnego prawa bez poprzedniej porady naszych książąt i baronów«; państwa prawne uznaćby więc wypadało, iż zaczęły się już w wieku XV. i XIV.

W taki sposób sprawdzone zostały w książce autora jego okresy, a sądy takie nie skłaniają czytającego do przyjmowania opierających się na nich i dalszych wniosków.

Książka p. Bobrzyńskiego z zadania pobieżnie tylko miała dotykać faktów, a być za to bogatą w rozumowania, tymczasem (wtrącić tu musimy uwagę) przeciwnie się stało. Słabą stroną okazały się w książce właśnie rozumowania, a fakta, lubo w zarysie, przedstawione zostały (przynajmniej w epokach pierwszych) krytycznie i trafnie. Właściwie, obraz swój dziejów Polski podzielił, można powiedzieć, autor na dwa wielkie okresy; na okres wzrostu państwa od początków do końca wieku XV i okres upadku państwa

i pierwszy z tych *con amore* przedstawił. Jeżeli okres drugi, to jest całość dziejów krajowych od początku XVI wieku autor naznaczył jedną czarną plamą, lubo nie omieszkiwał wzmianek o świetniejszych rysach; tedy w okresie pierwszym postąpił naodwrót; kreśląc dzieje krajowe z pierwszych pięciu wieków, nie przepominał wzmiankować i rysów ujemnych, ciemnych, i te jednak wnet białą barwą powlekać umiał. Po określeniu zwycięstw trzech Bolesławów, mówił np. o klęsce podziałów, o najściach Tatarów, dodaje jednak, iż podział Polski na księstwa przyczynił się do usamowolnienia różnych części kraju od przesadnej centralizacyi, do rozwinięcia w tych częściach gospodarstw, nowych urządzeń; a spustoszenia ziem przez Tatarów były źródłem przywoływania osadników z Zachodu i przenoszenia z nimi do kraju wyższej cywilizacyi. Fakt nawet powszechnej w owym czasie przewagi Rzymu nad państwami Europy, wywołujący zwykle lament historyków, przez autora przychylnie jest wzmiankowany. W czasie tym, uważa, duchowieństwo dawne polskie, żonate, rubaszne, zastąpione zostało przez nowe przejmujące się duchem swego odrębnego powołania. Przepłynąwszy w ten sposób przez wiry, tem sympatyczniej naturalnie kreśli następnie panowanie Łokietka, Kazimierza W. i pierwszych Jagiellonów. Kazimierzowi przebacza łatwo jego rozpustne życie, jego samowolności, nawet ustępstwo Pomorza Krzyżakom (i trzeba dodać Szlązka), a głównie zwraca uwagę na jego prawodawstwo. »Wielkim, mówi autor, stał się Kazimierz dopiero przez to, że oszczędzając sił narodu od bezużytecznych wyniszczających wojen (w następnym okresie, jak to wnet ujrzymy, każdy nieledwo rok pokoju poczytywał autor za zbrodnię królom), umiał je do pracy wewnętrznej skupić i umiał w tej pracy całemu narodowi jasną pochodnią swego geniuszu i niezachwianą energią przodować«. »Mądremu zaszanowaniu i wzmocnieniu sił swoich przez Kazimierza W. zawdzięcza Polska swój pokojowy podbój Rusi

i (następnie) Litwy, a połączeniu tych trzech narodów ówczesną przewagę swą w Europie« (str. 128).

Przy wzmiance o pokoju Toruńskim z r. 1466 (dopełniającym wcielenia Prus na ich żądanie) dodaje autor uwagę: »był to najświetniejszy tryumf, jaki odniosła Polska nie już nad pogańską i barbarzyńską Litwą, ale nad cywilizowanym i wyżej w wielu względach od niej stojącym żywiołem niemieckim. Zawdzięczała to swemu ustrojowi politycznemu, który zapewniając siłę i powagę państwu, zostawiał jednostce i społeczeństwu potrzebną do rozwoju swobodę« (str. 216). Z pochwałą jeszcze mówi o rządach Olbrachta i Aleksandra, o pierwszym dlatego, że przyjacielem był Kallimacha, »spółziomka Machiawellego, dążącego do zbudowania absolutnej władzy« i że na sejmach z r. 1493 i 1496 »obmyślono dla szlachty opiekę prawa, wprowadzono ład i porządek w sądy, zniesiono krępujące jej dobrobyt dawne postanowienia« (str. 231), drugiego że podobnie na sejmach z r. 1504, 1505 i 1506 korzystając z ogólnej niechęci przeciw możnowładcom, związał się ze szlachtą (str. 238). Patrząc pod każdym względem różowo na wiek XV, autor w jego ogólnym obrazie takie też między innemi uwagi wyraził: »potęga państwa zabezpieczyła kraj od najazdów, dawała swobodę pracy, rozszerzała handlowe stosunki. Wójtowie i sołtysi, liczbą swą równający się niemal szlachcie, chronili (lud) od wszelkiego ucisku« (str. 187). »Wzorowem gospodarstwem podnoszą się nie tylko fortuny panów, ale i zamożność narodu... a kiedy idzie o dopięcie szlachetnej politycznej ambicyi, o wystawienie obronnych zamków i zbrojnych zastępów... o podjęcie kosztownego poselstwa, *możnowładca polski* z XV wieku nie waha się całej fortuny swojej postawić na kartę; ludzie prawdziwie męskiego serca, szerokiego na sprawy ogólnoeuropejskie poglądu, prawdziwie politycznego rozumu i doświadczenia... nie dziw, że rządami swoimi zapisali najświetniejsze karty naszych ojczystych dziejów« (str. 189). Bardzo to pięknie, ale nie rozumiemy zupełnie,

dlaczego autor, jak to właśnie widzieliśmy, uwielbiał króla Aleksandra, iż się łączył z przeciwnikami takiego możnowładztwa. Kontrast to taki (że wspomnimy tu jeszcze) między owem określeniem epoki patrymonialnej, iż w niej królowie urządziwszy swe patrymonium, opierali się tylko na dochodach swoich dóbr, a tą udzieloną przez autora po chwałą temuż Aleksandrowi, iż uorganizował nowe najwyższe urzędy, a między innemi: podskarbiego koronnego, który wydatki dworu królewskiego od wydatków publicznych odgraniczył (artykuł w *Ateneum* z r. 1876, t. II, str. 332, pióra autora: *Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra*). Jeżeli teraz dopiero nastało to odgraniczenie, to snać królowie przez ciąg okresu nie opierali się tylko na dochodach swoich dóbr.

Po takim pomyślnym wzroście i rozwinieniu, zdawałoby się, że musiał chociaż na czas jakiś i kwiat tej pomyślności dla dziejów kraju nastąpić, i istotnie czas ten kwiatu określają nasze kroniki z owego okresu, za niemi nasi dzisiejsi historycy, i nawet historycy cudzoziemcy, gdy czynią o czasach tych wzmiankę. Czasy rządów Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Batorego wzmiankowane są zawsze jako świetne, zwłaszcza rządy pierwszego z nich ze szczególnem odznaczeniem zawsze są określane.

Że poprzemy się pierwszem lepszem świadectwem, jakie mamy pod ręką: autor *Historyi Polskiej* w wielkim zbiorze *Historyi Powszechnej*, wydanej w wieku zeszłym po angielsku, krótką, ale dobitną dał charakterystykę panowania tego króla wyrażając: iż w ciągu 42 lat tego panowania, Rzeczpospolita odnosiła same zwycięstwa a nie zaznała żadnej klęski (t. XXXI, str. 43 wydania z r. 1780). Historyk francuzki Solignac, opisawszy w swojej *Historyi Polski* panowanie Zygmunta I, stosunkowo obszernie, poświęcił przy końcu kilka stronic jego charakterystyce i zwróciwszy w niej uwagę na tę czynność, którą się ten król bez przerwy odznaczał, na te zwycięstwa, któremi kraj wsławił, na ten stopień wewnętrznego kwitnienia, do jakiego

go podniósł; wreszcie na tę cześć powszechną, w jakiej u postronnych monarchów zostawał, dodaje w przypisku: iż *podziela* zupełnie zdanie tych, którzy wyrażają, iż gdyby Karol V, Franciszek I, Zygmunt I, nie pracowali spółcześnie, każdy z nich byłby równie godnym rządzić krajem drugiego i światem całym *(Hist. de Pol.* t. IV, str. 84). Nawet kreślący tak czarno naszą przeszłość w świeżo wydanem dziełku o upadku Polski v. Brüggen, wspomniawszy w niem o czasach *ostatnich Jagiellonów,* zowie je czasem *zewnętrznego blasku,* duchowych dążeń i t. d.[1]. Kiedy tak obcy pisarze bez najmniejszego osobistego powodu oddają sprawiedliwość i dziejom naszym z wieku XVI i panowaniu Zygmunta I: p. Bobrzyński wysila się, aby dowieść, że wiek XVI był już całym wiekiem naszego upadku i że głównym sprawcą tego upadku był Zygmunt I. Cały ustęp, poświęcony pamięci i rządom tego króla, jest to szereg samych wyrzutów.

Przypatrzmy się im, a iżby jaśniej ocenić, wspomnijmy najprzód, jakiem było panowanie Zygmunta I. według historyi. Zygmunt przybywszy z Głogowa dla objęcia tronu polskiego po bracie, nie znalazł go wcale bezpiecznym; Michał Gliński w związku z w. księciem Wasilem odrywał Litwę, wojewoda wołoski Bohdan z Wołochami i Tatarami niszczył południowe prowincye, mistrz krzyżacki (Fryderyk, a po nim Albert) odrywali Pomorze. Świetne zwycięstwa pod Orszą, pod Wiśniowcem, na Wołoszczyźnie, następnie w Prusach królewskich, i znowu nad Wołoszą pod Obertynem; czynność osobista królewska już na końcu w wyprawach, już dyplomatyczna na zjazdach sprawiły: iż jak zaraz na wstępie zakłócony pokój prędko był wrócił, tak i całe długie panowanie tego króla było czasem, rzadko tylko i na krótko przerywanego, pokoju. Czas ten pokoju

[1] Damals, im XVI Jahrhundert, hatten glückliche Kriege der letzten Jagellonen dem polnischen Staate einen äussern Glanz, hatten geistigen Strebungen etc. *Polen's Auflösung,* str. 41.

Zygmunt nie na zabawy, zbytki i bezczynność, ale staraniom o bezpieczeństwo i dobrobyt kraju poświęcał. Celem obrony kraju przeprowadził on na sejmie z r. 1512 ustawę wojskową, znakomitą, jak mówi sam autor, i urządził władzę hetmanów. Urządził finanse własne (Jan Bonar). Litwie dał (odznaczony nawet śród prawodawstwa spółczesnego) statut, wygotował podobny i dla Korony (kodeks Taszyckiego), w miarę środków czuwał nad dobrem włościan, nad dobrem miast, wzrostem oświaty. Za jego to panowania ukazały się w kraju pierwsze druki polskie, i pierwsi autorowie piszący po polsku (Marcin Bielski); liczba druków łacińskich z czasów panowania tego nas doszłych jest do 2.000 (Estreicher *Bibliografia Polska)*, a śród autorów tych publikacyj spotykamy między innymi imiona powagi i sławy takiej jak Jan z Głogowa, Jan ze Stobnicy, Michał z Wrocławia, Wapowski, Kopernik, Kromer, Hozyusz, Dantiscus, Janicki, i t. p. Panowanie to Zygmunta uświetnili wodzowie tacy jak: Tarnowski, Kamieniecki, Ostrogski, Firlej, trzej Radziwiłłowie i inni, dyplomaci jak: Krzysztof Szydłowiecki, Tomicki, Jan Łaski i t. p. Samo nieszczęśliwe dla popularności króla małżeństwo z Boną wpłynęło pod niektórymi względami (z powodu zbliżenia z Południem) na kraj dodatnio. Sam autor zapomniawszy na chwilę swego systemu, a kreśląc obraz swój przedmiotowo, wyraził między innemi: »Odrodzone we Włoszech a wprowadzone do Polski za Zygmunta Starego nauki i sztuki klasyczne podniosły cywilizacyjnie ogół społeczeństwa, nadały mu świetny polor i otoczyły dziwnym urokiem i blaskiem« (str. 260).

Mimo to wszystko jednak, p. Bobrzyński, jak rzekliśmy, usiłuje wykazać, iż Zygmunt, nie tylko nic dodatniego nie sprawił, lecz owszem to, co istotnie sprawił, była to tylko przepaść, do której kraj wleciał. Kreśleniu panowania tego króla poświęcił autor w zarysie stronic ośmnaście, a jawną stronność określa już sam nadpis tego ustępu, brzmi bowiem: *Słabe* (?) *i krótkowidzące rządy Zygmunta I.* W rozwinieniu autor półsłowem zaledwo wspomniał o niektórych

zwycięstwach króla, nic o Statucie, nic prawie o Taszyckim; usiłuje zaś wykazywać, iż król ten poniżył miasta, lud wiejski zakuł w kajdany, związał ręce starostom, a przez to i królom; iż przystawszy na oddanie domowi Habsburskiemu tronów Węgier i Czech, poniżył dom Jagielloński; iż traktatem z Albertem zhańbił swój kraj; iż wreszcie przez ustępstwo, zrobione szlachcie pode Lwowem, zaszczepił wieczną anarchię. »Monarcha ten, mówi autor, wszystkie wielkie posłannictwa, stawione Polsce przez jego własnych przodków, w ciągu czterdziestoletniego panowania od niej odsunął« (str. 248). Obaczmyż po kolei sprawdzenia.

Na str. 252 autor mówi: »Już przedtem; w końcu XV w. odebrała szlachta samoistność duchowieństwu... *teraz* (za Zygmunta I.) przyszła kolej na *miasta* i lud *wiejski*«. Dowody: »Postawiła szlachta zasadę, że kto służby wojennej nie pełni, nie ma prawa dóbr ziemskich posiadać i po kilkunastu latach uporczywej walki doprowadziła do tego, że jednych mieszczan do wysprzedania swoich dóbr zmusiła, innym do nich zamknęła przystęp«. Nabywania mieszczanom dóbr ziemskich wzbronił nie Zygmunt, lecz konstytucya z r. 1496. Cóż winien był Zygmunt I., iż brat jego (Jan Olbracht) prawo to zatwierdził, że nie było mu wolno wzbraniać egzekucyi praw istniejących? Król ten zwolnił owszem przynajmniej od tego zabronienia dwiema konstytucyami z r. 1538 miasta pruskie i Kraków *(civibus bona terrestria... liberum sit deinceps emere, Vol leg.*, wyd. Ohryz., str. I., 267). Z przykładu zaś tego korzystały następnie równocześnie i inne miasta, jak Lublin, Poznań, Wilno i t. p.

W dowód uciśnienia stanowczo włościan, autor mówi: »Zabrano się najprzód do sołtysów, tych naturalnych stróżów swobody wieśniaczej i dozwolono szlachcie skupować sołtystwa; odkąd zaś dziedzic wsi został sołtysem, nikła dla osady wieśniaczej najskuteczniejsza rękojmia jej samorządu« (str. 253). Zwrócimy tu tylko uwagę, iż prawo sprzedaży sołtystw istniało w kraju *oddawna*, i że dozwolone

już było statutem z r. 1420 Warteńskim. *Et sic dominus soluta taxa... pro se scultetiam obtinebit;* zaś dalej: »po długiej, cichej, ale strasznej walce społecznej za Zygmunta I., który się wobec niej obojętnie zachował, przykuła szlachta chłopa ostatecznie do roli, a na sejmach z r. 1520 i 1521 wymogła tryumfująca szlachta *straszne, hańbiące* ustawy, w myśl których każdy wieśniak *bez względu na swe dotychczasowe prawa* i przywileje, winien jest na *znak poddaństwa* jeden dzień w tygodniu na gruncie pańskim pracować« (str. 254). Konstytucya, o której tu autor mówi, stanowiła, iż każdy osadnik, dzierżący tak w dobrach szlacheckich, jak i królewskich łan gruntu (i naturalnie, jak to było powszechnem w osadach, łąki, pastwiska, zabudowania i użytek z lasu pańskiego na opał i budowle), winien był odrabiać za to właścicielowi dzień jeden w tygodniu, dodając jednak, iż ten obowiązek *nie stosuje się* do tych, którzy za osady płacili czynsze w pieniądzach lub zbożem, a także i do tych, którzy już przedtem nie jeden dzień, ale wiele dni w tygodniu odbywali [1]. Z tego zatem wypada, iż obowiązek ów odbywania jednego dnia w tygodniu nie był na znak poddaństwa, lecz za użytki; iż mylnem jest, co wyraża autor, iż ten był bez względu na dotychczasowe przywileje, gdy nie stosował się do czynszowników, i wreszcie, iż gdy z brzmienia prawa daje się widzieć, iż właściwie tak w dobrach prywatnych, jak i królewskich odbywali już w innych miejscach nie po dniu, ale po *wiele dni* w tygodniu, tedy prawo stanowiące, iż *odtąd* nie może być wymaganem więcej jak dzień *jeden* roboty, nie rozu-

[1] Oto jest dosłowne brzmienie tej konstytucyi: Statuimus et decernimus *perpetuo* observandum: quod omnes et singuli coloni seu kmethones... de quolibet laneo *unam diem* septimatim laborent; *demptis* his colonis qui *censu* pecuniario aut frumentario... dominis suis labores iam antea recompensarunt, et hoc proviso: quod haec constitutio non extendat se contra hos colonos qui ratione possessi agri, *plures* fortasse *dies* in septimana dominis suis et nobis laborare consueverunt. *Vol. leg.* t. I., str. 179.

miemy zupełnie, dlaczegoby się uważać miało za straszne i hańbiące? Ustawy Jana Olbrachta, a zwłaszcza z r. 1496, odnoszące jurysdykcyą włościańską wyłącznie do pana, z pewnością daleko więcej przyczyniły się do odjęcia swobody, a następnie ucisku włościan, niż ustawy Zygmunta I.

Z kolei wyrzuca autor Zygmuntowi I. nie bezczynność, lub iżby coś złego uczynił, ale to właśnie, co chciał uczynić dobrze; więc np. ową ustawę wojskową, organizacyą władzy hetmanów, oddanie pod zatwierdzenie sejmu pracowicie i umiejętnie ułożonego kodeksu i t. p. Zarzut swój formułuje autor w ten sposób, iż jakoby król Zyg. nie korzystał ze zwiększonej władzy w swym ręku przez statuta króla Aleksandra i nie miał siły do przeprowadzenia egzekucyi swych projektów i praw (na str. 237). Autor mówi: »górowało w nowem państwie ciało świeżo powstałe, sejm walny, który w ustawach z r. 1505 sam sobie ostateczne granice przepisał«. Sejm ten (zastrzegający, iż żadne odtąd nowe prawo nie może być wydane bez wspólnej zgody stanów), zdaniem autora, nie tylko dotychczasowej władzy króla *nie ograniczył* (?), ale ją owszem zwiększył, bo *podawał sposobność* przeprowadzenia na drodze legalnej wszelkich najdalej sięgających zmian w ustroju społecznym i politycznym (str. 239). Podawał *sposobność* być może, ale nie *możność*. Jeżeli król nie mógł podobnie nadać Koronie kodeksu jak Litwie, jeżeli nie mógł przeprowadzić egzekucyi ustawy wojskowej, to dlatego, iż jak stanowienie nowych praw, tak i wykład ich szczegółów nie mogły następować *sine communi consensu* panów rad i posłów (co nawet kraj pojmował w znaczeniu *nemine contradicente*), a temu winien był właśnie statut Aleksandra. Król Zygmunt uorganizował władzę hetmanów. Iż kraj odtąd stał jeszcze silnie dwa wieki, winien to głównie tej władzy, która umiała strzedz granic, począwszy od Jana Tarnowskiego do Sobieskiego. Autor jednak i tę instytucyę gorzko Zygmuntowi wyrzuca, »przez oddanie bowiem wszelkiej siły wojskowej pod władzę hetmanów, dopuścił, mówi autor, iż utracili

znaczenie starostowie grodowi, na których w wiekach XIV i XV opierały się silne rządy królów«. »Siła zbrojna, dodaje, służyła odtąd *tylko* do odpierania nieprzyjaciół zewnętrznych, a starostowie utracili egzekutywę [1]. Szczegół ten, drobny napozór w rozwoju naszym dziejowym, posiada pierwszorzędne znaczenie, a rządom Zygmunta I. daje smutne świadectwo« (str. 246). Dzieje nasze nie przedstawiają zażaleń na bezwładność starostów i owszem bardzo liczne na ich nadużycia. P. Bobrz. dla poparcia swojej uwagi wskazuje tylko na tę skuteczną pomoc, jaką otrzymał był Kazimierz Jagiellończyk od starostów przy egzekucyi dwu swych energicznych pomysłów, a mianowicie: przy ściąganiu podatków, samowolnie przez siebie nałożonych w r. 1455, i przy wygnaniu obranego przez kapitułę krakowską biskupa, dla wprowadzenia swego elekta. Ale czynność starostów w pierwszym przypadku zdaje się, iż oprócz oburzenia powszechnego nie miała innego skutku, podatek bowiem ów samowolny wnet przez sejm został zniesiony (Dług. pod r. 1456, toż i Kromer: *tametsi retractatum id decretum est)*, a odjęcie kapitułom przywileju udzielonego im oddawna przez królów wolnej elekcyi biskupów posłużyło do ujęcia powagi przywilejom królewskim. Przywłaszczenie nadto sobie przez królów tej elekcyi stawało się przy każdej nominacyi źródłem malkontencyi i zamętów, bez którychby się obchodziło, nie mówiąc już o religijnej niewłaściwości [2]. Przykłady autora nie popierałyby więc wcale jego żalu, gdyby nawet ten mógł mieć racyą.

[1] Autor znakomitej pracy: *Dzieje Polski*, Józef Szujski, w uwagach swych o obecnym *Zarysie* mówi: »Przyznamy się w pokorze ducha, że nic nie wiemy o sile zbrojnej, służącej do egzekutywy starostów, wiemy tylko o woźnych, którym dla bezpieczeństwa jeden szlachcic miał towarzyszyć«. (*Niwa*, czerwiec 1878).

[2] Nasz historyczny erudyt-biograf, Bartoszewicz, taką w przedmowie do kroniki Piaseckiego zapisał uwagę: »Od czasu, jak królowie przywłaszczyli u nas sobie prawo obierania na stolicę biskupią, kościół coraz więcej tracił ze swej powagi, bo każdy z królów chętniej nagradzał przysługi dla dworu podejmowane, jak kościelne. Dlatego to np. wszyscy

Przechodzi z kolei p. Bobrz. do zbrodni dyplomatycznych Zygmunta i czyni mu najprzód zarzut, iż nie przeszkodził zaręczynom dzieci brata Władysława z wnukami cesarza Maksymiliana. »Zygmunt, mówi autor, nie tylko na projekt ten przystał, ale zjechawszy się z Władysławem na wielki kongres do Wiednia, obecnością swoją tryumf Maksymiliana i dynastyi Habsburskiej nad Jagiellońską uświęcił« (str. 248). Przypomnijmyż bliżej ten fakt. Na tronach Węgier i Czech panowały elekcyjne dynastye, w w. XIV. i XV. zasiadały na nich domy Habsburski i Luksemburski, następnie zasiadł Jagielloński. Przy wstąpieniu na tron Polski Zygmunta, królem Węgrów był brat jego Władysław, a czeskim syn Władysława Ludwik, mający po śmierci ojca objąć oba te trony. W r. 1515 odbył się w Wiedniu zjazd cesarza, Zygmunta i Władysława, na którym postanowiono dzieci Władysława i wnuków Maksymiliana połączyć związkiem małżeńskim. Zygmunt przystał zapewne chętnie na taki układ, t. j. na związek swego synowca Ludwika z wnuczką cesarza, a siostrą przyszłego Karola V., świetny ten bowiem związek utwierdzał, a nie osłabiał dynastyę Jagiellońską. Możnaż mu czynić zarzut, iż nie był prorokiem? Iż w r. 1515 nie przewidywał, że w lat dziesięć Ludwik zginie pod Mohaczem, iż zejdzie bezpotomny, i że następnie w lat kilka stany węgierskie, a po nich czeskie obiorą królem Ferdynanda, ożenionego z siostrą Ludwika, i że tym razem dynastya Habsburska panować już będzie stale na obu tych tronach? Jeżeli przy owych układach wciśniony był i warunek (jak to utrzymywał Ferdynand), że w razie zejścia Ludwika bezpotomnie, następstwo przejdzie na szwagra jego Ferdynanda, to na taki warunek Zygmunt nie mógł ani przystawać, ani nie przystawać, jak nie miały go prawa wciskać i same strony, bo wybór nowych dynastyj zależał od stanów państw, nie od panują-

podkanclerzowie i kanclerze nasi bywali biskupami i zajęci polityką, najmniej myśleli o swych obowiązkach biskupich«.

cych. Jakoż stany węgierskie zaraz po śmierci Ludwika obrały królem swym księcia siedmiogrodzkiego Jana Zapolyę, brata pierwszej żony Zygmunta, a następnie męża córki jego i Bony: Izabelli; król ten uznany był w końcu i przez Ferdynanda i panował do śmierci. Następstwa umowy wiedeńskiej rozwinęły się zupełnie przygodnie, w czasie układów Maksymilian swatał pierwej siebie niż wnuka, a obu monarchom, Maksymilianowi i Zygmuntowi, chodziło wtedy z pewnością nie tyle o przyszłość, ile o teraźniejszość; pierwszemu o związki sąsiednie przeciw Franciszkowi I. i Turcyi, drugiemu przeciwko Moskwie (którą dotąd Maksymilian popierał) i mistrzowi Krzyżaków. I cele te osiągnięte zostały.

Autor *Zarysu* tymczasem po złożeniu na karb Zygmunta obrotu wypadków, silniej jeszcze wymawia mu następnie odstąpienie prawem lennem siostrzeńcowi swemu Albertowi Prus Książęcych. P. Bobrzyński mówi: »potrzeba jeszcze było wytrwać *krótką chwilę*, należało *wszystkich sił* użyć, a niebezpieczne gniazdo Krzyżaków byłoby samo upadło. Zygmunt dla chwilowej korzyści i miłego spokoju podpisał *hańbiący* traktat« (str. 251). Tych *wszystkich sił* używano już nieraz w walce z Prusami, tej *krótkiej chwili*, w którejby zakon sam upadł, czekano od pokoju Toruńskiego, lecz powodzenia polskie były bez przerwy krzyżowane pomocą niemiecką, cesarską i samej Stolicy apostolskiej. Obecnie (w r. 1525) z powodu przyjętego przez miasta pruskie i samego mistrza protestantyzmu, wyczekiwanie tej chwili mogło przynieść przeciwnikowi bliższą jeszcze i skuteczniejszą pomoc tak Niemiec, jak protestanckiej już Szwecyi. Zygmunt pośpieszył więc skorzystać z pierwszego powodzenia i zawarł z siostrzeńcem traktat, mocą którego Pomorze i całe Prusy zachodnie zostały już odtąd bezsporną i integralną częścią Polski, a wschodnie jej księstwem lennem, z warunkiem przejścia do Korony po wygaśnieniu dynastyi, jak świeżo (wskutek właśnie takiegoż prawa) wróciło było do Korony księstwo Zatorskie.

Iż Zygmunt wrócił tym sposobem krajowi prowincyą i pokój, a Albert złożył mu hołd na rynku krakowskim, cóż za *hańbę* można widzieć dla króla?

Wracając wkońcu do ogólnych zarzutów i kończąc nimi swą charakterystykę obranego na ofiarę monarchy, autor mówi: »Zygmunt wykoleił szlachtę z dawniejszej jej roli, oddalił od niej te wielkie cele, do których dotąd nieskończonemi ofiarami zdążała, skazał ją na bezczynność i wydał na łup możnowładztwu« (str. 257). Jakie to były te wielkie cele, dla których szlachta ponosiła ofiary, autor ich nie objaśnia, a czytelnik domyślić się nie może, jak też i tego, dlaczego dopiero Zygmunt wydał ją na łup możnowładztwu. Jeżeli dla możnej szlachty, zebranej pode Lwowem, uczynił to ustępstwo, iż jej przebaczył, to dawniejszemi były te ustępstwa, które uczynił był król Kazimierz Jagiellończyk w roku 1454 w Nieszawie i t. p. i wreszcie w obrocie owej sprawy pod Lwowem nie widziano oczywiście tryumfu panów nad królem, kiedy kraj tej wojnie ich z królem dał nazwisko *wojny kokoszej*.

»Zresztą, wnioskuje ostatecznie autor, małoduszna polityka Zygmunta Starego zapewniała wprawdzie Polsce w drugiej połowie jego panowania bezwarunkowy pokój, ale zaniedbanie wskazanego narodowi posłannictwa (?) wtrąciło go w odmęt *strasznej wewnętrznej anarchii* w tej właśnie chwili, kiedy wszystkie okoliczne państwa gorączkowo się organizowały i uzbrajały«. Spółczesny Heidenstein, kreśląc swe poważne i dokładne opowiadanie dziejów od r. 1572—1594, wyraził w zaczęciu: »Zygmunt August, ostatni potomek Jagiellońskiego rodu, zostawił po sobie królestwo w tak świetnym stanie, w jakim nigdy wprzód nie było«. Po nim nastał świetniejszy jeszcze rząd Batorego, gdzież więc ta *straszna anarchia*, w którą, według autora, wtrącił swój kraj Zygmunt I.?

Jak panowanie Zygmunta I., równie ujemnie, to jest gwałtownie ujemnie kreśli autor panowanie jego następcy i wszystkich dalszych następców do upadku kraju, a prze-

dewszystkiem czas bezkrólewia po Zygmuncie Auguście. Ten czas bezkrólewia, czyli wogóle druga połowa XVI. wieku, był to czas głównej wagi w dziejach przeszłości naszej, czas bowiem kształtowania się i wyrabiania na sposób taki nie inny, całej tej przeszłości. Nie tem się odróżniła Polska od innych ludów, iż była umiłowała swobody i miała instytucye ich duchem oddychające. Odznaczały się tą miłością swobód i miały instytucye podobne wszystkie prawie zrazu ludy Europy, słowiańskie, latyńskie, germańskie itp.; ale odróżniła się była tem, iż kiedy te wszystkie ludy z upływem czasu zapomniały były tego ideału i przeszły do wprost odmiennych instytucyj, Polska została jedną w wieku XVI., która pozostała przy tym ideale i rozwijała go nie tylko w zastosowaniach, lecz w drodze *rozwagi*. P. Bobrzyński w któremś miejscu swej książki mówi, iż takie panowanie jak Zygmunta I. »nie mogło« wydać wielkich ludzi, a takie jak Zygmunta Augusta »nie dopuszczało« ich ukazania się; geniuszów, zdaniem autora, zdolnym tylko był tworzyć »energiczny« Kazimierz Jagiellończyk i jako na dowód wskazuje między innymi na Jana Ostroroga. Autor mianowicie uwielbia *Pamiętnik Ostroroga*, podany na którymś z sejmów XV. wieku. *Pamiętnik* ten, podany i napisany oczywiście z natchnienia Kazimierza Jagiellończyka, a nacechowany grubością słów dla duchowieństwa i Stolicy apostolskiej (dla której król ten, syn Zofii Kijowskiej, nie był, jak wiadomo, ze szczególnem uszanowaniem), był odznaczony istotnie energią słowa i śmiałością względem powszechnej wtedy przewagi kościelnej. Wszakże właściwie obejmując tylko projekta lekkich reform w administracyi, ani porównywanym być może z tą wytrawnością i bogactwem dotykanych i rozbieranych szczegółów urządzeń społecznych, jakie widzimy w pisarzach politycznych z wieku Zygmuntów, a jakimi byli np. Modrzewski, Orzechowski, Górnicki, Zamoyski, Goślicki, Warszewicki i tylu bezimiennych. Treść tych pism nie była to *utopia* spółczesnego Tomasza Morus, czyli wyspa z urządzeniami

idealnemi, ale była to treść z życia praktycznego czerpana, do niego stosowana i tem uderzająca, iż mimo narzekania w nich częste na bezład, na nadużycia, na ujemności z instytucyj krajowych, wspartych na swobodach, wypływające, nikt jednak nie myślał o ich zniesieniu, a tylko o ich ulepszeniu i rozwijaniu, tak nawet, że najmniej przychylny ideałowi i wyraźnie kierujący do samowoli Krzysztof Warszewicki, traktatowi swemu, czyli dyalogowi, który porady te mieścił, nie śmiał nadać innego nazwiska jak: *de optimo statu Libertatis.*

Jakie były następstwa dla kraju tego kierunku? Następstwa w sposobie pojmowania i stosowania tego kierunku obok dodatnich, były jednak, jak wiadomo, przeważnie ujemne, a mianowicie w tem, iż do udziału w swobodach dopuszczaną była tylko jedna klasa w kraju, szlachecka, i że prawo służące każdej jednostce tej klasy wolnego na sejmach *veto* sprawiało, iż właściwie nie każda z jednostek tych była w istocie wolną; lecz przeciwnie wszyscy, nawet łącznie stawali się niewolnikami jednego: prawo to zatrzymało możność stanowienia ustaw i zatrzymało życie krajowe. P. Bobrzyński jednak prawie nie wskazuje i nie narzeka na te ujemności, na tę mylność w pojmowaniu zasady, ale na samą zasadę; nie narzeka na złe użycie i nadużycia ideału wolności, ale na sam ten ideał. Wstrzymać kraj od upadku, dać mu szczęście, kwitnienie, mógł tylko, zdaniem autora, wcześnie zaprowadzony rząd silny, rząd absolutny. Tak np. na str. 256 zarzucając politykom polskim z XVI. wieku, że nie pojmowali praw rzymskich, tak jak je pojmować należało, autor mówi: »nauka prawa rzymskiego z zasadą swoją, że panujący *stoi ponad prawem*, mogłaby wprawdzie *zbawiennie* wpłynąć na umysły szlachty, ale szlachta nie wnikała tak głęboko w naukę prawa«. W krytyce charakteru Zygmunta Augusta wyraża: »Zygmuntowi Augustowi brakło przedewszystkiem hartu moralnego, nie zdawał sobie sprawy, że szlachty polskiej do zbudowania absolutnej władzy może z łatwością użyć«

(str. 277) i niżej: »Szlachta w r. 1565 występuje z projektem, ażeby w każdym powiecie król zaprowadził swego instygatora: projekt taki w ręku *mądrego* i energicznego króla byłby się stał w jednej chwili narzędziem do zbudowania silnej, absolutnej władzy; Zygmunt nie umiał z tego korzystać« (str. 288).

Potępiwszy zasadę, a widząc, że z tej zasady kraj w XVI. wieku powszechnie wychodził, autor potępia naturalnie wszystkie bez wyjątku ówczesne wypadki, ówczesne jednostki, całą literaturę ówczesną i usprawiedliwiając swój pogląd, mówi między innemi: »Nie zmieni sądu naszego ta okoliczność, że pokoleniu temu śpiewał z Czarnegolasu Jan Kochanowski, że dla niego pisał dzieje Polski Kromer, że w jego imieniu zabierał głos Jan Zamoyski, bo *im szkodliwszemu kierunkowi* większe służą talenta, tem kierunek ten oczywiście szkodliwsze wydaje owoce. Zamoyski ogłaszał np. zdumionej szlachcie, że cały istniejący ustrój Rzplitej niedościgłym jest ideałem, który tylko w dalekiej starożytności urzeczywistnili w swej Rzplitej Rzymianie; Polska jest ideałem wolności, każda jednostka słucha władzy i króla tylko o tyle, o ile mu się przez wolną elekcyą poddała, państwo nie potrzebuje siły przymusu, bo szlachta, mająca wzniosłe cele przed sobą, tylko dla dobra kraju może i będzie występować i działać. Doktrynerzy rozsadzili i zneutralizowali zdrowe, trzeźwe pierwiastki stronnictwa dawnych posłów krajowych. Nie była to już dawna, zdrowe rady dzierżąca arystokracya, ale potworna oligarchia, która prywatę postawiła ponad dobro publiczne, która głosząc zasadę równości, zabijała nią każdy talent (?) i uczciwą ambicyę, która ciemnych tłumów używała jako taran na rozbicie rozsądku politycznego« (str. 301).

Kraj tymczasem ze swego ideału, z owego kierunku wychodził całe trzy wieki; autor więc całe te trzy wieki jedną czarną plamą oznaczył, wszystkich królów, wszystkich hetmanów, wszystkich mężów stanu, wszystkie zwycięstwa, wszystkie instytucye i t. p. Dorywczość, cecha,

która głównie odznacza cały wykład p. Bobrzyńskiego w obecnem dziełku, nigdzie też nie wyraziła się tak dobitnie, jak w kreśleniu całej tej epoki. Wnioski bez zasad, połajania bez przyczyn, sprzeczności, obrazy i zdania bez rysów i nici lolicznych, to jest charakter skreślonego przez autora zarysu całych tych trzech wieków. Dla objaśnienia przytoczymy tu po kilka własnych słów jego z kolejnych wypadków.

Jako na główne nadużycia z czasów pierwszego bezkrólewia i pierwszy płód rozuzdanej swobody, autor wskazuje na konfederacyą z r. 1573 (ogłaszającą między innemi tolerancyę wyznań i konieczność spólnej elekcyi królów przez dwie połowy państwa), oraz na *pacta conventa*, o których mówi: »*Pacta conventa*, słowo w Polsce dotychczas nieznane, jest niewątpliwie najgorszym, potwornym pierwszego bezkrólewia płodem«. Wtrąćmy jednak, iż nie objaśnił autor, co w samej tej idei paktów widział tak zdrożnem. Iż np. wszyscy nasi królowie wskutek przysięgi na *pacta conventa* starali się strzedz tolerancyi, że np. taki August II. przywrócił Polsce Kamieniec; nie mówiąc już o najpierwszych *pactach conventach*, które podał był Władysław Jagiełło, starając się o tron polski i które dotrzymał, co te pakta miały w sobie tak złego i potwornego?

Batory był wielkim królem, wypadło więc złajać sam naród choćby za jego przeszłość, tak więc zaczął autor opowiadanie o jego rządzie: »Upadł naród *dlatego, że się w bezczynnym pokoju* zamknął, musiał się podnieść z chwilą, w którejby siły swoje znowu do wielkich zadań skierował i skupił. Pojął to wybornie Batory« (str. 311). Lecz cóż? »Obłęd wolności zamącił głowy szlacheckie i uczynił z nich masę objawiającą swoją siłę w wykrętnych teoryach i szkodliwych krzykach, a niezdatną do żadnego silnego, zgodnego, samodzielnego występu« (str. 310). Jakże bez tej zgody, choćby na pobory (jak miało to miejsce po kilkakroć), król ten mógłby odbyć tyle szczęśliwych wy-

praw, dokonać tylu organizacyj trybunałów, kozaków, akademij i t. p.

Z rysów rządu Zygmunta III. za trafną uznać trzeba uwagę autora, iż rokosz Zebrzydowskiego stał się źródłem ujemnych następstw przez to, iż król mimo uśmierzenie go, zamiast cofnięcia, zatwierdził prawa anarchiczne (mowa tu jest zapewne o konstytucyach z r. 1607 i 1609 *de non praestanda obedientia).* Skądinąd jednak zagadkową jest dla nas następna charakterystyka tych rządów: »Wojna moskiewska skończyć się musiała na zajęciu kilku prowincyj, turecka na odparciu groźnego najazdu, szwedzka dłuższym rozejmem (dotąd nic złego); naród zniechęcił się do wojny i nie miał udziału w 30-letniej, była to dobrowolna, *szkodliwa bez miary* abdykacya. Z martwym kolosem przestawano się liczyć« (str. 362).

Gorzej jeszcze wypadła charakterystyka syna Zygmunta, Władysława, i jest jeszcze większą zagadkowością. Oto jej słowa: »Pokojem Polanowskim zrzekł się Władysław IV. praw swych do korony carów, Moskwa zaś odstąpiła wszelkich roszczeń swoich do ziemi siewierskiej, czernihowskiej, smoleńskiej, Estonii, Kurlandyi i Inflant. Amurat Abazę śmiercią ukarał i pokój dla Polski korzystny w r. 1634 uroczyście odnowił. Szwecya grody zajęte w Prusiech Polsce zwróciła«. Ale następna neutralność, »przynosząca Polsce (co złego?) długoletni pokój, była zarazem *ostateczną oznaką* (?) jej zupełnego nazewnątrz i wewnątrz upadku« (str. 369). »Panowanie Władysława IV. jest w dziejach Polski tem panowaniem, które *przepełniło czarę* naszej niedoli« (str. 375).

Po tem przepełnieniu czary nastały rządy Jana Kazimierza, ale charakterystyka tego króla (zapewne z powodu jego projektów burbońskich) niespodzianie przychylniej wypadła: »pan, mówi autor, mężny w boju, trzeźwy i doświadczony w radzie, energiczny w postanowieniu, nieugięty w nieszczęściu« (str. 376). (Dlaczegóż abdykował?).

Przy Sobieskim wypadło znowu połajać *naród.*

Oto są rysy tego króla (najprzód jako hetmana):

»Sobieski, poparty przez Prażmowskiego, człowieka rzadkiej stanowczości, postanowił z głupotą szlachecką raz skończyć, konfederacye siłą rozproszyć, niedołężną lalkę (Wiśniowieckiego) z tronu strącić, a księcia de Longueville na nim osadzić i swawoli położyć tamę« (str. 399). »Górował niewątpliwie Sobieski nad całem społeczeństwem, które go otaczało miłością, poświęceniem, talentem i bohaterstwem, ale to społeczeństwo zepsute i upadłe i jego ku sobie zniżało« (str. 405).

Zagadką nad zagadki jest charakterystyka następcy Sobieskiego:

»Dopiąwszy pierwszego celu, t. j. tronu polskiego, umiał też August II. *wszystkiemi siłami* zwrócić się ku dalszemu celowi, ku złamaniu samowoli polskiej, a narzuceniu Polsce silnych, jeśli można, absolutnych rządów. Na nieszczęście August nie był takim człowiekiem, hulaka i rozpustnik trwonił swoje dochody na czcze festyny i szalone orgie« (srt. 413). Cóż więc znaczyły słowa, że *umiał wszystkiemi siłami* zwrócić się ku temu celowi?

Tu następuje z kolei wewnętrzny obraz kraju epoki saskiej. Jeżeli autor tak nie żałował farb czarnych kreśląc blaski, łatwo zgadnąć, jaki być musi koloryt czasów, w których rzeczywiście większość rysów nie była białą. Autor objaśnia, iż był to już czas jawnego upadku i że głównemi hasłami owego czasu, a zarazem bezpośredniemi już sprawcami upadku kraju były: *nietolerancya, oligarchia, niewola ludu wiejskiego, rozstrój wewnętrzny* i każdą z tych cech możliwie dobitnemi słowami stara się kreślić. Zdaniem naszem autor w tym razie miał wszelkie prawo do użycia dobitnych określeń. Lekarstwo, iżby skuteczne było, musi być gorzkie; lekcya blado kreślona nie byłaby lekcyą, sztuka wreszcie bez pewnej przesady nie byłaby sztuką. Trafną jest nawet, zdaniem naszem, lubo smutną, następna uwaga, którą autor ze stanowiska wewnętrznego poglądu do owego czasu stosuje:

»Sejm pacyfikacyjny (z r. 1717 za Augusta II) jest objawem zupełnie podobnym do tego kompromisu, którym się sto lat przedtem rokosz Zebrzydowskiego zakończył. Wówczas naród i wszystkie jego stronnictwa powiedziały sobie: na co nam walczyć o przeprowadzenie formy rządu, skoro usiłowania nasze na bezowocne narażają nas trudy; wszakże ze złotą wolnością używać będziemy złotego na zewnątrz pokoju. Teraz cały naród powtórzył to samo rozumowanie i do polityki *zewnętrznej* je zastosował; na co nam starać się o utrzymanie wielkiej siły zbrojnej i dawnej politycznej nazewnątrz przewagi, skoro to nas tak drogo kosztuje; abdykujmy lepiej ze wszystkiego głosu w Europie, dajmy naszym sąsiadom gwarancyę, że zawsze pozostaniemy bezsilni i słabi, a kiedy nie będziemy nikomu groźnymi, wszyscy nas zostawią w spokoju« (str. 423). Nie rozumiemy tylko zupełnie następnego do tych uwag dodatku: »Apatya ta narodu polskiego w epoce saskiej przetrwała i po tej epoce. Historya XVIII. wieku to *jeden obraz* grubego materyalizmu pozbawiony światła«. Dwie połowy XVIII. wieku zbyt były u nas niepodobne do siebie tak pod względem wewnętrznym, jak zewnętrznym, iżby je można mianować *jednym obrazem*.

Po przedstawieniu w ten sposób rysu dziejów krajowych, kończy go autor rozdziałem mającym napis *uwagi*, t. j. zapisaniem ogólnych wniosków, które zapewne były i kluczem i głównym celem całego dzieła.

Autor w wykładzie zarysu wskazywał na główne rany narodu, o którym pisał, a w uwagach objaśniał, dlaczego mianowicie te rany zakończyły się śmiercią. »Mieliśmy, mówi autor, liczne wady, ale któryż naród ich nie miał? Każdy jednak znosił je po kolei, a u nas nie nastąpiło to nigdy«. Czemu? Oto dlatego, iż: »nie mieliśmy rządu i to jest jedna, jedyna upadku naszego przyczyna«. P. Bobrzyński na każdej karcie wskazywał jednak na wady naszego rządu, ten więc był oczywiście; ale czegóż właściwie brakło? oto usposobionych należnie rządców, na ja-

kich nie zbywało innym krajom i objaśniając to bliżej, dołącza autor dosyć ciekawą kolekcyę swych ideałów: »Tak kiedy Francya, mówi, posiadała Franciszka I. i Henryka IV., Anglia Henryka VIII. (!) i Elżbietę, Hiszpania Karola V. i Filipa II.[1], Austrya Ferdynanda (któregoto z Ferdynandów autor pozazdrościł?), Szwecya Gustawa Wazę i Karola Sudermańskiego, Rosya Iwana Groźnego; my jedni mieliśmy słabego poczciwca w Zygmuncie Starym, tchórzącego przed każdym czynem (przed Unią, czy Ketlerem?) Zygmunta Augusta, spiskującego na naszą zgubę[2] Zygmunta Wazę« i t. d. (str. 447).

Mało to jednak, że mieliśmy niedołężnych królów; nie mieliśmy nadto żadnej znakomitej jednostki w kraju przez całe ostatnie trzy wieki. »Wszystkie nasze najwybitniejsze osobistości, mówi autor, z trzech ostatnich stuleci: Tarnowski, Zamoyski, Zebrzydowski, Żółkiewski, Lubomirski, Potocki, Czartoryski, nie mówiąc o mniejszych, to ostatecznie postacie bez krwi i życia« (str. 448). Zwolennicy tych postaci cieszyć się tylko mogą, że autor wysilając się na wyszukanie zarzutów, położył tylko tak jawny kontrast z rzeczywistością; niektórym z owych postaci, jak np. Zebrzydowskiemu, Lubomirskiemu prędzejby już można zarzucić zbytek krwi.

I wreszcie kończąc swoje uwagi, autor wtrąca myśl jakby uboczną, ale szczególnie odbijającą we wnioskach ostatecznych i w książce, poświęconej z zadania rozumowemu wykładowi przebytych dziejów, czyli historyozofii. Oto wyraża i rozwija przez całą stronicę myśl, iż kraj

---

[1] Autor zapomniał oczywiście, co sam był wyraził na str. 343 o tymże królu: »Trzeba przeczytać wstrętne pismo Warszewickiego *de opt. st. lib.*, zalecające Polsce despotyzm Filipa II., aby ocenić« i t. d.

[2] Jest to oczywiście alluzya do sławnej plotki z pierwszych lat panowania tego króla, o której najtrafniej powiedział ówczesny podkanclerzy Tarnowski: »Możnaż dopuścić, iżby ktoś kopał dołki pod sobą samym?«, i która była podobną do tej, jaką o tymże królu rozszerzał w Szwecyi Karol Sudermański, iż nie był on synem króla Jana, ale podrzutkiem.

polski byłby zapewne szczęśliwym, gdyby zamiast rozpraszania swych kapitałów (?) po dalekim Wschodzie, zatrzymał się był w granicach i przy tym kształcie rządu, jaki był za Kazimierza Wielkiego (str. 450). Historya, a tem więcej historyozofia, nie znają »gdyby« i nie mamy bynajmniej prawa zaprzeczać autorowi trafności jego pomysłu, jak podobnie nie mielibyśmy prawa przeczenia, gdyby który z mieszkańców owego Wschodu, rozmyślając o swoich losach, wyraził uwagę naodwrót. Moglibyśmy rzec tylko, iż autorowie podobnych zdań uczyniliby trafnie, gdyby zamiast pisania książek o dziejach i celach dziejów, pisali je raczej o dobrobycie własnym. Myśl ta jednak otwiera zarazem, wtrąćmy, oczy czytelnikowi, a mianowicie, iż autor jej, prawoznawca, o niewłaściwą dla siebie zaczepił sferę, chcąc zostać historyozofem. Że sfera ta jest mu obcą, objaśnić to może i niejedno wyrażenie użyte w książce.

Tak np. na str. 455 autor mówi: »Nie przyszło żadnemu Polakowi aż do ostatnich lat XVI. wieku na myśl, że jakieś *wyjątkowe posłannictwo* dostało nam się w udziale«. Że jednostce w dzieciństwie nie przychodzi to na myśl, co przychodzi w wieku dojrzalszym, to bardzo naturalne. Nie tylko Polakowi, ale żadnemu członkowi ludzkości nie przychodziły podobne myśli za dzieciństwa ludzkości. Lecz dziś inaczej. Równie ziemia jak niebo, pojmuje to dzisiaj każdy, dziełem są jednej Myśli, jednej Harmonii (Mądrości). Każdy szczegół na ziemi, jak szczegół na niebie, ma swój cel, pewną czynność, jest pewnem ogniwem. Każdy atom ma swój cel, posłannictwo, jakoż tem więcej lud. Fakt to tak naturalny i jasny, że i sam autor, jak to widzieliśmy, używa nieraz tego wyrazu posłannictwo, w tem tylko myląc się, że mówił o zaprzeczaniu przez lud swemu posłannictwu; twierdzić, iż ktoś może zaprzeczyć swej misyi, jest to wyznawać, że się nie rozumie, co to jest misya. Daną misyę możemy pojmować lub nie pojmować, lecz ta spełnia się niezależnie od naszej wiedzy albo niewiedzy. Każdy przytem ma misyę *własną*, ta więc nie może być inną, jak *wyjątkową*.

Na str. 12 autor mówi: »Unosiliśmy się nad wielkimi wypadkami przeszłości, nad postaciami wielu naszych królów, hetmanów, biskupów, szanowaliśmy przedewszystkiem *tradycyę historyczną*, jaka się wyrobiła o pojedyńczych postaciach dziejowych«. Tradycya nie jest i być nie może wynikiem forsy; dziełem jest ona Woli, biegiem dziejów rządzącej; jest więc właśnie jedną ze *wskazówek* historyozoficznych.

Na str. 219: »Wydobywał się już w drugiej połowie XV. wieku brzask nowożytnych czasów, w których działalność człowieka o wiele szersze objąć miała zakresy, a myśl ludzka piąć się nawet *po za te naturalne granice, jakie jej zakreśliła Opatrzność*«. O tem, co zakreśliła Opatrzność, możemy właśnie dowiadywać się z tego dopiero, co się staje.

Na str. 430 wyrażając, iż cały wiek XVIII. miał u nas jeden obraz, czy autor nie pamiętał o drugiej jego połowie, o ustawie 3 maja? Pamiętał, ale taką z tego powodu dołączył naukę: »Niema nic błędniejszego nad to, jeżeli ktoś głośne wypadki z ostatnich chwil Rzeczypospolitej rozciąga na cały naród. Wszystkie plany i przedsięwzięcia ówczesne wychodzą tylko od *szczupłego zastępu* ludzi i upadają wszystkie, nie wyjmując konstytucyi 3 maja«.

Nie krocie Hebreów dawnych miały przymiot i dary proroków; nie krocie Greków: poezyi i filozofii; przymioty te w jednym i drugim kraju miało zaledwo po kilka jednostek, od tych jednostek jednak mianowane są całe ludy ich charakterem. Tak i w państwie roślinnem imię i zaletę rośliny oznaczają nie jej gałęzie, jej liście, ale jej *kwiat*.

Lecz co najjawniej ujmuje historyozoficzności dziełu autora, jest to zakończenie dziejów krajowych rokiem 1772. Rok ten był owszem punktem zwrotu w tych dziejach; kraj się w nim spostrzegł, przerodził, a kończąc swą misyę dawną, przed śmiercią ozwał się, że się tak wyrazimy, pieśnią łabędzią (3 maja), pieśnią pierwszą w rodzaju swoim w Europie całej (I. ustawa paryska była o rok późniejsza)

a którą Europa cała w pół wieku miała naśladować, powtórzyć. Ta pieśń i owa dawna misya zjednały mu spółczucie obszerne. Autor jednak chce mu zaprzeczyć prawa do tego współczucia, chce mu je odjąć; płacze, iż obraz dziejów, które kreślił, nie mógł być jednym z tuzinkowych.

Co do głównych lekcyj autora, jak rzekliśmy, nie roztrząsamy ich zasad; obaczmy jednak, czyli i co nam w tej rzeczy, nawet owo modne dzisiaj kryteryum: doświadczenie, może powiedzieć. Zbliżymy tu kilka faktów, biorąc jeden z dziejów naszych krajowych, drugi z ogólnych.

Okres Sasów był to zapewne z najsmutniejszych naszej historyi, cóż w nim jednak ujrzeć też można? Oto: obok stałego pokoju, obok dobrobytu jednostek, ten nadto fakt, iż na tej rozległej przestrzeni, na której w wieku XV. tyle było odmiennych gwarów i ciągłych swarów, teraz widać było przeciwnie obraz jednostek połączonych jednym wewnętrznie duchem i jedną mową. Taki skutek wydały rządy owych słabych, łagodnych, a dla wymagań prowincyonalnych ustępstwa tylko czyniących królów; kiedy tym czasem cała np. surowa i wytrwała (albowiem cztery wieki trwająca) energia Solimanów, Osmanów, nie widać wcale, iżby wydała podobny skutek na półwyspie Bałkańskim. Spojrzmy także, iż tę zasadę, za którą potępił autor nasz wiek XVI., w wieku następnym przyjął i umiejętnie rozwinął kraj inny. Na tronie tego kraju, od czasu przyjęcia tej zasady, zasiadły i zasiadają dotąd, mówiąc wyrażeniem autora, »bezsilne lalki«; krajowi temu nikt jednak nie zarzuci zapewne braku potęgi.

Na tem skończymy przyczynek.

Panu Bobrzyńskiemu literatura nasza, mimo niedawno przezeń rozpoczęte prace, winna już wiele. Winna prawoznawcze oceny, opracowania źródeł, badania i traktaty w przedmiocie dawnych ustaw krajowych. Lecz świetny na polu monografii pracownik, jest (w tem dziełku przynajmniej, o którem mówimy) żadnym historyozofem.

Miassota, 1 lipca 1879 r.

DOPISEK.

Mówiąc głównie w powyższym *Przyczynku o rozumowaniach* w Zarysie p. Bobrzyńskiego, nie dotykaliśmy prawie faktów kreślonych. Z powodu jednak pewnej nowości w przedstawieniu i podniesieniu przez krytykę jednego z tych faktów, a mianowicie małżeństwa ks. Wilhelma z Jadwigą, dotkniemy tu tego przedmiotu. Według najpewniejszego świadectwa Długosza, który był domownikiem rodziny Jagiełłów, kanonikiem krakowskim, i stąpał po świeżych śladach tego wypadku, Jadwiga i Wilhelm połączeni byli związkiem ślubnym w kościele jeszcze w małoletności, ślub ten jednak nie miał waloru jako małoletnich; panowie polscy przeto mając inne projekta, nie wpuścili przybyłego księcia na zamek, królowa w orszaku dworzan i panien służebnych widywała się z nim czas jakiś w refektarzu klasztoru franciszkanów; za zbliżeniem się jednak Władysława Jagiełły, książę zemknął, pozostawiwszy nawet swe sbarby u przyjaciela, Gniewosza. Pan Bobrzyński wypadek ten tak opisuje: »Wilhelm ujrzawszy Jadwigę na tronie, do Krakowa zjechał i *wspólnie z nią jako prawy małżonek na zamku zamieszkał.* Uroczyście ten dzień obchodzono w Krakowie, bo miasto to niemieckie rade było widzieć na tronie polskim niemieckiego księcia; śród ogólnej uciechy uwolniono nawet więźniów zamkniętych w ratuszu i zapisano to w aktach« (str. 174). Profesor Szujski w uwagach o zarysie p. Bobrzyńskiego dotknąwszy tego faktu, mówi: »Z kłopotu zapewne wydobędziemy czytelnika, przytaczając źródło, na którem opiera się twierdzenie p. Bobrzyńskiego o doszłym rzeczywiście ślubie Jadwigi i Wilhelma. Jest to zapisek księgi miejskiej krakowskiej z r. 1385, w IV tomie *Monumenta medii aevi historica,* usuwający wątpliwość«. Naszem zdaniem wątpliwość ta nie jest jeszcze jednak zupełnie usunięta. Notatka, o której tu mowa, wyraża: »Nadmienia się, iż w wigilię św. Bartłomieja po odbytem weselu królowej Pani, poleconem i proszonem było przez

tęż królowę Panią, aby wszyscy więźniowie, którzy się znajdowali wtedy w więzieniu miejskiem, byli uwolnieni«, co też i nastąpiło, a uwolnieni więźniowie wymienieni tu szczegółowo (tekst brzmi: *Notandum quod in vigilia Sancti Bartolomei post nuptiarum domine regine consummationem commissum et rogatum fuit per eandem dominam reginam, ut captivi omnes etc.).* Ślub Jagiełły z Jadwigą odbył się w dniu 17 lutego 1386 r., notatka powyższa odnosi się do dnia 23 sierpnia 1385 roku, wniósł więc p. Bobrzyński, iż uwolnienie więźniów nastąpiło z powodu przybycia do Krakowa i zamieszkania z królową księcia Wilhelma. Zwrócimy tu jednak uwagę najprzód, iż notatka nie wymienia nazwiska męża królowej, powtóre, iż mowa tu jest nie o consummatio *matrimonii,* ale *nuptiarum,* t. j. o odbytym obrzędzie ślubnym; obrząd ślubny królowej nie mógł być inny jak uroczysty, przy asystencyi głównych dygnitarzy i dopełnionym przez dygnitarzy; możnaż przypuścić, aby po tak solennym obrzędzie, mąż królowej mógł być usuniętym z zamku, iżby jednocześnie ciż dygnitarze mogli zamyślać o projekcie, iżby Jagiełło mógł jechać do poślubionej pary, a nadewszystko, iżby w kilka miesięcy po tym obrzędzie ślubnym mógł nastąpić drugi obrzęd ślubny bez wyjednania dyspensy, i iżby śladów dyspensy oraz korespondencyi o dyspensę nie było w aktach kapituły krakowskiej, a gdyby była, iżby o tem wszystkiem nie wspominał Długosz. Nam się zdaje, że powyższa notatka o uwolnieniu więźniów odnosi się do ślubu z Jagiełłą i do r. 1386, uważać bowiem można (z tego przynajmniej, co widzimy w druku), iż w utrzymaniu akt i szykowaniu foliów księgi miejskiej nie było ścisłego porządku; tak np. (na str. 18), znajdujemy notatki z r. 1370, a niżej dopiero (str. 23—27) z r. 1360; dalej podobnie (str. 34) rok jest 1371, a następnie dopiero 1370; folium, na którem jest owa notatka, należy do folium, na którem jest nadpis: *Actum sabbato ante sancti Barnabae,* a zatem około 11 czerwca, a w dniu tym nie mogło być wzmianki o tem, co się stać miało około

23 sierpnia. Jeżeli folium, o którem mowa, należy do 1386 r., trudność zostałaby tylko co do dnia i miesiąca; wszakże jeżeli przypuścić można, że obyczaje wieku dozwalały, aby z powodu *consummationis matrimonii* zawartego już przed kilku laty, uwalniano więźniów, tedy mogłoby to nastąpić i z powodu *consummationis matrimonii* zawartego przed kilku miesiącami; być mogło także, iż uroczystości i nowe położenie królowej nie pozwoliły jej pomyśleć wcześniej o więźniach, lub też, że teraz dopiero nastąpiły instancye za więźniami. W każdym razie jeżeli opowiadanie autora fundowało się tylko na tej notatce, tedy cała sielanka o radości Niemców w Krakowie była wprost wypływem fantazyi, uwolnienie bowiem więźniów nie przez Niemców, ale z instancyi królowej nastąpiło.

1879.

4.

Juliana Bartoszewicza: Historya pierwotna Polski. Tomów IV., 1878, 1879. Kraków. Tom I., str. 500; t. II., str. 522; t. III., str. 450; t. IV., str. 336.

Uprawa historycznej gałęzi w naszej literaturze stosunkowo może się dziś nazwać kwitnącą. Od lat kilku i więcej nie mamy prawie roku, prawie miesiąca, iżby się w tej gałęzi nie ukazała jakaś nowa, a odznaczona praca, praca już dotycząca przedmiotów całkiem dla czytelnika nowych, już znanych, ale opartych na źródłach nowych, krajowych i zagranicznych. Czasy mianowicie, sięgające naszych pierwszych Piastów w wieku XI., nasze stosunki do Czech w wieku XV., do Wiednia, Brandeburga, Saksonii w wiekach XVI., XVII. i XVIII., te nowe wyjaśnienia zyskały. Jednocześnie gromadzą się, objaśniają i ogłaszają materyały, pomoce i źródła z najdawniejszych akt naszych krajowych, administracyjnych, sądowych, kościelnych itp., z bibliotek i archiwów zaczerpywane. Nie przestają też ukazywać się dalej *Pomniki dziejów polskich*, oceny i rozjaśnienia roczników i kronik, korespondencye odznaczonych osobistości krajowych, dyplomatyczne i t. p.

Przy tak nagłem zyskiwaniu pomocy, przyroście źródeł, ogłaszanie prac wykończonych, wnioskowych, o tych dziejach dawnych, nie łatwem się staje. Nim obraz zamierzony, skreślony, ogłosi się drukiem, już autor musi uczuwać potrzebę dopełnień, objaśnień, nieraz sprostowań. Dzieje się to dziś jednak i w każdej innej gałęzi. Równie jak dzieje zewnętrzne, dzieje literatury, zasady ogólnego myślenia, wykład różnych gałęzi nauk przyrodniczych, systemów przyrodniczych i t. p., z dniem każdym ukazują nowe przydatki, nowe odmiany i nowa praca w każdym z tych zakresów nigdy dosyć wyczerpującą ukazać się nie może. A jednak dobrze czynią pisarze i pracownicy, iż nie zrażają się tą trudnością. Praca wszelka wykonana możliwie, ma zawsze koło swych następstw, dodatni swój skutek, a trudność owa przy ocenianiu tych prac winna być uwzględnianą.

Jakoż mamy właśnie przed sobą pracę niemałego zakresu, obejmującą bowiem cztery obszerne tomy i dotyczącą naszych ubiegłych dziejów, a której strona krytyczna i treść chociażby się i nie przedstawiały wyczerpująco wobec poglądów i zniesionych dziś faktów, o ujemność jednak z tej strony nie powinna być obwinianą, zwłaszcza, iż jakkolwiek w roku zeszłym dopiero ogłoszona, właściwie przed kilkunastu już laty była skreśloną. O czasie wykonania tej pracy mamy dokładną wiadomość z krótkiej, ale nader ciekawej przedmowy, przez wydawcę i syna autora książki na czele położonej. Dowiadujemy się mianowicie, iż autor, który był zarazem i współpracownikiem drukującej się podówczas *Encyklopedyi powszechnej*, rozpoczął ją był i wykonał w czasie poróżnienia się z wydawcą tej publikacyi, że zatem pisanie książki przypada na czas od 30 kwietnia 1863 do 20 czerwca 1865 roku [1].

[1] Objaśnienie to każe też nam zwrócić uwagę, iż biografie historyczne, które należą do najcenniejszych cząstek owej *Encyklopedyi powszechnej*, od litery K do O, czyli w przybliżeniu od tomu XIV. do XXI., nie były ręki Bartoszewicza. Powodem poróżnienia miały być: długość

Z zawarciem pracy tej, ile tak obszernej i przez jednego z najzasłużeńszych pracowników w gałęzi naszej literatury historycznej wykonanej, chcemy tu zaznajomić bliżej czytelników.

Główną treścią dzieła obecnego, jak to już objaśnia sam napis, jest *historya pierwotna Polski.* Treść podobna nieraz już stanowiła przedmiot pism naszych. Jakiż więc jest mianowicie stosunek tej pracy do innych podobnej treści i jakaż jest jej właściwość? Dzieje pierwotne kraju jest to przedmiot, od którego naturalnie musi zaczynać każdy jego historyk, jest to jednak zarazem przedmiot, który we wszystkich prawie krajach sięga za czasy spółczesnych świadectw, o treści zatem którego mogą tylko nauczać albo tradycya, albo dociekania krytyczne.

Najpierwsi kronikarze nasi, od Galla do Długosza włącznie, zapisywali tylko tradycye; ze wzrostem literatury i myśli krajowej w wieku XVI. poczęły się i dociekania krytyczne. Badania naszych historycznych pisarzy z wieku XVI. o dziejach pierwotnych narodu nie były bez erudycyi, więc pewnej krytyki; ta krytyka jednak od krytyki nam spółczesnej różniła się tem, iż za jedyne świadectwa ubiegłych dziejów poczytywała tylko pismo, czyli różnokrajowe kroniki i że przytem nie oceniała wiarogodności tych źródeł; miała zaś z pewnej strony, uważać można, tę cechę wspólności z naszą w podobnych przedmiotach, iż krytycy nie pozwalali nawet nikomu wątpić o prawdziwości swych wniosków. Z wyjątkiem Kromera, który umieściwszy w swej historyi wywód mieszkańców Polski od Sarmatów, dodał, iż przedstawia go tylko jako prawdopo-

artykułów i nieczytelność pisma. Jest to pewna, że niejaką ujemnością niektórych artykułów Bartoszewicza w *Encyklopedyi* było wciskanie niekiedy do ich treści: osobistości, polemik bieżących, niezgodnych z naturą pisma, strona jednak dodatnia w tych artykułach tak była przeważająca, a czynność ta, jak się okazało, tak do zastąpienia nie łatwą, iż nie dziwimy się, że pojednanie redakcyi z pierwotnym swym pracownikiem musiało nastąpić i że odtąd współpracownictwo to przeciągało się do końca.

dobieństwo i że chętnie podzieli i inne wnioski, jeżeli je kto gruntowniej uzasadni, wszyscy inni nie dopuszczali nawet z sobą sporu. Marcin Bielski wyraził, iż się *wydziwić nie może*, dlaczego Kromer nie chciał uznać za przodków Polski »Wandalitów, a ma je za Niemce«; Stryjkowski dumny, iż do przytaczanych przez Kromera kronik dodał znajomość kilkunastu kijowskich i litewskich latopisców, po wyliczeniu swych źródeł dodał wizerunek pięści ludzkiej w kształcie figi i podpisał następny dwuwiersz do swego przypuszczalnego krytyka:

Jeśli naprawdę stawisz twarz zmarszczoną,
Masz zysk: figurę z trzech palców tłoczoną.

A dumniejszym był jeszcze Sarnicki, iż oprócz pisarzy greckich i rzymskich, cytował nadto i wschodnich w ich tekstach, a dumę tę widzimy w ilości wniosków, jakie zapisał w rzeczy dziejów pierwotnych, a z których nie tłumaczy się nawet. Wie on np., w którym roku do Polski przybył Lech, w którym panował Krakus, w którym utopiła się Wanda, i owszem, jaki nawet był napis na jej grobowcu: (»Hic iacet in tumba, *Rosa mundi*, non *Rosamunda*«).

Taki był tylko w ogólności owoc (że już nie wspomnimy o dociekaniach i wnioskach Dębołęckiego, Kleczewskiego i innych z epoki upadku nauk) owej krytyki pierwszej w przedmiocie, o którym mowa. Przedmiotowi temu pierwszy nasz rzetelnie krytyczny historyk Naruszewicz poświęcił dwa pierwsze tomy (wydane jednak dopiero po jego śmierci). Treść ich była też taka, jaka tylko być mogła miłującego ścisłą prawdę historyka; nie był to żaden wywód własny, domyślny, ale surowe zestawienie tego wszystkiego, co znalazł w kronikach krajowych i obcych odnoszącego się do dziejów pierwotnych polskich zewnętrznych i wewnętrznych. Szczególnie gorliwą pracą, poświęconą badaniom tego przedmiotu, odznaczyli się Jan Potocki i Siestrzeńcewicz, badania ich jednak odnosiły się raczej

do badań pierwotnych dziejów wogóle Słowian, niż samej Polski. Badaniu zaś tych ostatnich poświęcili w ostatnich czasach oddzielne wypracowania trzej z najwięcej odznaczonych nauką i piórem naszych historycznych badaczy: Maciejowski, Bielowski i Szajnocha. Wnioski tych ich prac były mianowicie następne: celem dziełka pierwszego z nich, wydanego w r. 1846 p. n.: *Pierwotne dzieje Polski i Litwy,* było dowieść, iż dwie klasy ludowe, znane na zachodzie Europy pod imieniem *Lazi* i *Liti,* po przeniesieniu się w części na Wschód, stali się tu przodkami Lachów i Litwinów, tudzież, że pierwsi połączyli się tu nadto z Polanami (Bulones), znanymi już Ptolomeuszowi w wieku II. Drugi, Bielowski, wychodząc z tradycyj, przechowanych w pierwszych kronikach naszych, oraz z uwagi, iż nad Elbą wspominana była *Dacia minor,* w dziele swem pod napisem: *Wstęp do dziejów Polski* (1851 r.), starał się dowieść, iż pierwotnemi dziejami naszemi były dzieje *Illiro-Daków,* z nad Dunaju nad Wisłę przybyłych i do Elby rozciągniętych. Trzeci wreszcie, Szajnocha w dziełku: *Lechicki początek Polski* (1858) wyraził znowu wywód, iż założycielami Lechii byli założyciele wszystkich prawie państw europejskich, Normanowie, zamieszkali najprzód na Pomorzu, a następnie rozciągnieni do górnej Wisły i Odry, czego dowody pozostały w przeniesionych tu nazwach skandynawskich: Lachów *(lag,* towarzysz), Kraka, Wandy, Popielów (normańskie: Ascer, Ascherich) i t. p. Zwrócimy tu uwagę, iż wszystkie te trzech badaczy wywody odznaczone są wyjątkową w obranych przez nich przedmiotach erudycyą, lecz zarazem lekceważeniem wywodów swych poprzedników; żaden z nich nie zadaje sobie pracy nie tylko zbijania, ale nawet wzmiankowania o treści poprzednich wywodów, czy to dlatego, że czynione o gruntowności wniosków w tych pracach uwagi przez pióra trzecie znajdywali dostatecznemi, lub też, iż po zauważeniu, iż główną podstawą każdego z tych wywodów była *fantazya,* nie uznawali za stosowne z pierwiastkiem tym walczyć

rozwagą. Charakterystycznem też jest, iż główne wnioski w wywodach tych były wprost z sobą sprzeczne, t. j., iż gdy według pierwszego z pomienionych wywodów przodkowie nasi (Lachowie) przyszli do nas z Zachodu, tedy według drugiego z Południa, zaś według ostatniego z Północy. Pominiemy tu odnoszące się także do obecnego przedmiotu z napisu swojego dziełko: *Pierwsze wieki historyi polskiej*, pióra pierwszego poety naszego w r. 1868 po jego śmierci wydane, a w którem pierwsze stronic 30, dotykające właśnie przedmiotu, o którym mowa, są tylko znakomitą poezyą; ale wspomnimy jeszcze wkońcu o specyalnie historycznem badaniu z r. 1873 p. n.: *Chrobacya* T. Wojciechowskiego, odróżniającem się od poprzednich tem, iż się zwraca do szczegółów nie przeszłości obcej, ale wyłącznie domowej. Autor w badaniu tem trzyma się metody (której, nie wiemy czemu, zaprzeczył Szafarzykowi, gdyż była to właśnie metoda tego badacza) posuwania się wstecz od rzeczy pewnych, do mniej pewnych, a jakkolwiek bogactwo otrzymanych wypadków nie odpowiedziało tu wcale oryginalności i pracowitości w czynieniu wywodów, zawsze jednak doszło do wniosku, iż kilkanaście nomenklatur nadelbiańskich z wieku V. miało brzmienie słowiańskie i że do tego czasu *prawdopodobnie* i pierwotne osady chrobackie odnieść się mogą.

Otóż całkiem odmiennej natury od wszystkich wymienionych tu prac jest ta *Historya pierwotna Polski* Juliana Bartoszewicza, o której tu rzec mamy. Historya ta najpodobniejszą jest do Historyi pierwotnej Naruszewicza; nie dopuszcza ona co do faktów w kreśleniu dziejów pierwotnych żadnej fantazyi, a jest tylko zestawieniem opowiadań kronikarzy dawnych o dziejach i mieszkańcach tych miejsc, które następnie złożyły kraj polski, albo z dziejami kraju tego miały najbliższy związek. Właściwość i odrębność tej Historyi leży nie w opowiadaniu nieznanych faktów, ale w zbiorze i zbliżeniu dziejów plemion sąsiednich, zarazem zaś w dołączeniu wewnętrznego poglądu na ich ogół.

W jakichże mianowicie szczegółach rozsnuty tu obraz faktów? Na czem zależy ów pogląd? Polacy są Słowianie, i mówiąc o dziejach pierwotnych Słowian, autor wyraża się zawsze *dzieje nasze*. Ale śród tych Słowian, to jest śród plemion słowiańskich, wynikły z czasem różnice, wynikły zaś mianowicie stąd, iż południowi Słowianie ulegli w części zgreczeniu, sturczeniu, oraz wpływowi Finnów (Wołgarów, Madziarów); zachodni germanizacyi, wschodni wpływowi Waregów. Plemię polskie, środkowe i niezależne do końca, najwięcej przechowało cech Słowian pierwotnych, w przyrodzie, mowie i duchu. Duch ten objawił się mianowicie w posunieniu śród tego plemienia najdalej gminowładnego charakteru pierwotnych Słowian, a cecha ta dała też temu plemieniowi długą nad sąsiedniemi przewagę, ku czemu dopomogła i czynność chrześcijańska przez przyjęty tu obrzęd cywilizacyjny.

To jest najogólniejszy ów pogląd, ramy poglądu. Historya faktów rozwiniętą jest w księgach dziewięciu; a rysy każdej (że wspomnimy tu tylko o tych, które się odnoszą do głównego napisu książki) są mianowicie następne.

Księga I. ma napis: *Rozsiedlenie się Słowian*. Praojcami, według autora, Słowian byli Getowie i Dakowie. (Autor oczywiście nie dzielił zdania, iż były to dwie nomenklatury, grecka i rzymska, jednego ludu). Ci ostatni, poparci przez Trajana, podstąpili pod Karpaty, tu znaleźli spółbraci osiadłych już na kilka wieków przed erą chrześcijańską. Stąd pod imieniem Lechitów rozciągnęli się ku morzu i Elbie, a innym prądem z północy na południe ku Grecyi. Słowianie byli ludem rolniczym, spokojnym, a koczujące plemiona północne i wschodnie osiadały śród nich chwilowo i przenosiły się dalej. W wieku VII. oswobodzone od władców, poruszyły się i same do czynu. Napadały na Grecyę i rozpoczęły centralizacyę wewnątrz dla utworzenia wielkiego państwa. Pierwsza była pod Samonem Czechów, druga pod Świętopełkiem Morawian. W czasie tej weszło śród Słowian chrześcijaństwo z obrzędem wschodnim, lecz

za czasów jeszcze jedności kościelnej w obu obrządkach. Związek pierwszy zniszczonym został przez Karola W., drugi przez Madziarów.

Księga II, mająca napis *Zorza Polski*, mówi o dziejach ludów na ziemi późniejszej Polski oraz sąsiednich, więc o szczepach: lechickim, chrobackim, nadbużańskim, morawskim, bułgarskim, o plemionach litewskich, fińskich, narodach stepowych (Chazarowie, Pieczyngi), Waregach i Madziarach. Nazwę Lechów wyprowadza autor od *lechy*, i za lechickie uważa wszystkie plemiona Słowian, rozsiedlone od Wisły ku morzu i Elbie. Śród Lechów zamieszkiwało i plemię Polan, znane już Ptolomeuszowi w wieku II. Polanie byli narodem rolniczym i uprawiali pola. Rośli zrazu i rozwijali się, jak kwiat w ukryciu, zabłyśli potem, odznaczywszy się i szeregiem bojów i handlem. Plemiona, wtrąca tu między innemi uwagę autor, głębiej mieszkające w kotlinie nadwiślańskiej, jeżeli postąpiły na drodze uprawy pola, to tylko przez ziemie nad Wartą i Gopłem mogli się płodami swojemi przedzierać do morza. Nowy brylant, jaki w ręku swoim trzymał lud polański, nowe prawo dla tego ludu do przewodzenia braciom. Przez ich ziemie szła główna droga do wielkiego targu północnego. Bogate owe grody Arkona, Wolin, nie rosłyż dlatego, że był do nich napływ i odpływ płodów Wartą i Odrą? (str. 151). Co do nazwy Chrobacyi (a następnie i Rusi) *Czerwonej*, autor podziela zdanie tych, którzy ją wyprowadzają od wsi Czermno, Czerwno, czyli *grodów Czerwieńskich*, które na chwilę przyłączyli byli Waregowie do swoich władań. Najobszerniej mówi następnie o najściu na Słowiańszczyznę wschodnią Russów-Waregów, i rozciągnieniu przez nich do wszystkich jej części wschodnich nazwy Rusi, a także o najściu, osiedleniu się i wpływie Madziarów wśród Słowian południowo-zachodnich. Najście to i osiedlenie się zowie okresowem dla losu Słowian. Dynastya Arpadów, mówi, miała przeznaczenie obalić państwo Morawskie, aby oczyścić grunt i miejsce dla nowej centralizacyi Słowian, dla państwa

Polskiego (str. 264). »Madziarowie na południu jak klin w środku rozepchnęli Słowiaństwo. Serbowie z Bułgarami jedną tam narodowość stanowili, dzisiaj się rozeszli każdy w swoją stronę. Madziarowie przecięli tak jednym i drugim wszelkie związki z Chrobacyą« (str. 208).

Księga III, mająca napis *Wystąpienie Polski*, zaczyna od opowiadania historyi Niemiec, zwłaszcza o ich pogranicznych hrabstwach czyli *Mark-hrabstwach*, a do tych ostatnich odnosi w pewnej mierze i formującą się Polskę. Dzieje Polski zaczyna autor od Ziemowita (jak Gallus), który, będąc mianowany (według autora) przez Popiela II. wojewodą przy pomocy Myszyńców (właścicieli wsi Myszy koło Kruszwicy), strącił go z tronu i zaczął nową dynastyą, od ojca jego Piasta zwaną dynastyą Piastów. Dynastyę tę Ziemowit podbojami a wnuk jego Mieczysław przyjęciem wiary chrześcijańskiej odznaczył. Mieczysław będąc w części lennikiem cesarskim (z ziem zaodrzańskich), stałym zawsze był przyjacielem Ottona, w jego imieniu i z jego pomocą walczył z nieposłusznymi mu margrabiami, a dzielnice ich do własnej dołączył. Umierając rozdzielił kraj między syna z Dąbrówki czeskiej, Bolesława, i synów ostatniej swej żony Ody; tych Bolesław wygnawszy, został jedynowładcą.

Księga IV. poświęcona jest dziejom *Chrobrego*. O dziejach tych, zawikłanych w opowiadaniach naszych kronikarzy, rozpowiada autor nie chronologicznie, ale kategoryami, a przeto jaśniej. Mówi więc po kolei o zdobyciu Chrobacyi (Kraków), Pomorza, Czech, zapasach z Niemcami, wojnach z Rusami, wreszcie o sprawach domowych i charakterze rządów Bolesławowych. Kreśląc charakter Bolesława, autor nie tai i jego rysów ujemnych i wyraża się o tych z pewną przesadą: »Rządy jego wewnętrzne, mówi, były despotyczne, po ojcu odziedziczył *chytrość (?)*, która po waleczności, najwybitniejszym była jego rysem; odnosi też znakomite zwycięstwa *przekupstwem*. Wielkość jego charakteru kaziła gwałtowność, namiętności ducha odpowia-

dała namiętność ciała; zmieniał żony jak suknie« (t. II. str. 5—8); ale był on zarazem wielkim organizatorem. »Bolesław, mówi autor, nie był zdobywcą dla zdobyczy, był on zdobywcą oswobodzicielem tak na Zachodzie jak Wschodzie. Gromadząc tyle ludów, narodowości, pod jedno berło, zdaje się, że miał król na myśli dźwignąć cesarstwo słowiańskie wbrew niemieckiemu, rzymskiemu« (t. II. str. 10). Na południu przez Ruś sięgał aż do cesarstwa greckiego, przez Węgry zaś aż do Bułgarów i Serbów, można powiedzieć, że nawet był panem Niemiec, poselstwa jego sięgały do Danii i Anglii, gdzie na tronach siedzieli szwagier i siostrzeniec jego: Swen i Kanut Wielki. Urządził państwo wewnętrznie, a był nadto, dodaje autor, królem-misyonarzem (Pruss). Polska za jego panowania była ścieżką apostołów, więcej powiemy ścieżką świętych« (t. II. str. 10 14). W końcu dodaje autor: »Bolesław powolny cesarzowi, i słusznie (?) do cesarstwa zaliczany, miał i swoją władzę i Ottona szerzyć coraz bardziej. Mieczysław był tylko przyjacielem cesarza, Bolesław jego bratem i spółrządcą cesarstwa«.

Księga V. mówi o rządach Mieczysława II. i Kazimierza I. Mieczysław II. skreślony jak książę dzielny, lecz bez geniuszu ojca. Oryginalnie przedstawiony przywódca buntu po Mieczysławie, Masław. Śród ogólnego zamieszania, mówi autor, wyszedł był z ludu i objął dyktaturę Masław, jak drugi Piast, aby ocalić resztę cywilizacyi (porównanie, zwrócimy uwagę, tem mniej trafne, iż autor nie przypisywał Piastowi żadnych rządów). Czego nie mógł do skutku doprowadzić Bolesław Chrobry, to wychodziło z rąk Masława piękne, nieskazitelne, w swej pierwotnej czystości« (t. II. str. 335). »Ale Masław chciał się też cofnąć w pogaństwo, co było wstecznem, przegrał więc, a odnowicielem istotnym stał się przywołany i powrócony z pomocą cesarską Kazimierz. Kazimierz właściwie odbudował nie kraj, ale tylko cząstkę. Nie pomagał Słowianom zachodnim, wschodnim odstąpił grody czerwieńskie«.

Księga VI. opowiada dzieje Smiałego. Król ten był

waleczny, rycerski. Odnosił on kolejno zwycięstwa w Węgrzech, Czechach, nad Łabą, w Kijowie; lecz te obok powagi oręża żadnej innej dla kraju nie przynosiły korzyści. Zapomnienie w Kijowie (gdzie bawił lat 7) na kraj wywołało powstanie w kraju. Było to, mówi autor, powstanie w kraju ogólne, nie mające na celu łotrostwa, swawoli albo osobistej jakiej zemsty. Kmiecie opanowali w jednej chwili władzę, ziemie, a nawet żony i córki szlachty. To gmin tylko domagał się poważnie (?) równości obywatelskiej« (t. II. str. 486). Bolesław wrócił i mścił się. Znienawidzony w kraju po zabójstwie biskupa krakowskiego, który go chciał reflektować i od tyranii powściągać, chciał szukać pomocy na Węgrzech, lecz raz ustąpiwszy z kraju, zginął bez wieści.

Księga VII. mówi o rządach Władysława Hermana, VIII. — Krzywoustego. Kreśląc niedołęstwo Władysława, nazywanego od imienia wuja Hermanem, wznosi autor ze szczególnem odznaczeniem wojewodę jego Sieciecha, i mówi: »W dziejach naszych jedną z największych postaci jest wojewoda Sieciech. Sieciech doskonale zrozumiał myśl Bolesławową o jedności państwa, działał w duchu wielkich tradycyj historycznych. Podnosił lud (?), bo nie oddawał się wyłącznie szlachcie, nie dał się skrępować jak król Władysław nowym wyobrażeniom i prawom. Jego upadek oznaczał urodzenie się nowej wolności, szlacheckiej. Bolesław Krzywousty był to znakomity władca, wielki wódz w duchu Chrobrego, za wiele tylko miał chytrości (?) dla brata Zbigniewa: był dla niego wylany, serdeczny, a pozbawił w końcu rządów i życia. Przez lat 12 jedynowładztwa Bolesława, rozwijały się dalej te zasady w życiu narodowem, któreśmy już poprzednio poznali. Naród bez starej wolności żyć nie mógł; kiedy upadła gminna, tworzył inną, szlachecką. Bolesław swym charakterem wstrzymał ten rozwój wolności, ale się pomiarkował, odniósł sam nad sobą zwycięstwo i tą mądrą polityką prześcignął Chrobrego« (t. III. str. 207). »Kiedy odgłos zwycięstwa na Psiem polu pobudził i Słowian Zachodnich do powstania przeciwko Niem-

com, Krzywousty nie szedł im jednak na pomoc«. »Zwycięzca pogan na Północy (Pomorzan), nie mógł pomagać poganom na Zachodzie«. Mimo to jednak, formacya nowego kraju wśród Polan odznaczyła się silniej, niż u sąsiadów, niż wśród Niemców, niż nawet na Rusi. »Cesarstwo, mówi autor, nie zdobyło się nawet na stolicę. Z Akwisgranu (gdzie miał stolicę Karol Wielki), królowie niemieccy przenieśli się do Bawaryi, a z utworzeniem się cesarstwa w Niemczech, dynastya saska osiadła na ziemi czysto słowiańskiej, zamieszkując to w Merseburgu, to w Magdeburgu, to często znowu się przenosiła do nieludnego Quedlinburga«. To dowodzi, dodaje autor, niemocy ducha niemieckiego ku stworzeniu jedności narodowej. »Takich grodów, jakiemi były: Gniezno dla Polski, Kraków dla Chrobacyi, Płock dla Mazowsza, Praga dla Czechów, u Niemców nie było« (t. III, str. 3). (Stworzenie kilku stolic, wtrąćmy uwagę, nie było równie dowodem jedności). Podobnie w sąsiedztwie wschodniem. »Zasady rozkładu na Rusi rzucone były przez Waregów: państw swoich nie umieli skupić w jedno. Polska pod synami Krzywoustego rozpadła się, ale mimo to zachowała myśl swojej jedności. Tam za Bugiem ludy jednorodne, jednoplemienne, zbić się do siebie nie mogły, aby utworzyć jedno państwo, bo przeszkadzali im do tego Waregowie« (tom III, str. 319).

Księgę IX. i ostatnią składa cały tom czwarty. Opowiada ona o kilkudziesięciu pierwszych latach Polski w podziałach. Więc najprzód o pokuszeniach Władysława, księcia krakowskiego, do pozbawienia braci ich dzielnic, o przegranej i nastąpieniu po nim (jako najstarszego) Kędzierzawego. Poniżający pokój, zawarty przez tego z Rudobrodym w Kargowie (czyli, jak objaśnia autor, w Krzyszkowie), pokój co do formy i warunków poniżający, ale w niczem następnie nie wykonany, »był, według autora, dowodem przebiegłości Bolesława, był tryumfem nie dla cesarstwa, lecz dla Lechii« (t. IV, str. 180). Prawdziwy król połączonej Lechii zwoływał Bolesław, ile razy było potrzeba, braci

i wszystkich ziem rycerstwo na wyprawę« (t. IV, str. 190). Sławna jednak następnie jego klęska pruska (gdzie zginął i Henryk sandomierski), wyrzeczenie się Szlązka i niedbanie o Słowian zachodnich, nie mogły mu pozostawić sławnej pamięci. Po Bolesławie objął w Krakowie następstwo nie syn jego Leszek (ten został przy dzielnicy ojca na Mazowszu), lecz znowu najstarszy z pozostałych braci, Mieczysław wielkopolski. Ten, na wzór naddziada Chrobrego, pragnął złączyć dzielnice, a rządy swe odznaczyć energią i samowładztwem, ale przeciw temu ostatniemu dążeniu wywołał stanowczy protest i Kraków usunąwszy go, powołał na rządcę swego księcia sandomierskiego (dziedzica po bracie Henryku) Kazimierza.

Obiór ten przedstawia się jako zakończenie dziejów pierwotnych; ogólny zaś obraz skreślonych przez siebie dziejów Lechii, czyli Polski, autor następnemi dwoma uwagami odniesionemi już do zewnętrznych, już do wewnętrznych dziejów, zakończył:

»Lechia polska (to jest nie pomorska i zaodrzańska) wszystko z siebie, zrobiła co mogła. Rzeszy tej polskiej, mimo nawet podziały, powodziło się świetnie. Dwieście lat już przeszło żyła, rozwijała się ciągle i nie pozwoliła Niemcom ani krokiem dalej na wschód postąpić! Lechii poza Polską nic się nie udawało, uległa germanizacyi. Książęta Albert Niedźwiedź, Henryk Lew, Fryderyk Rudobrody, według piosnki ówczesnej:

Das waren drey Herren,
Die konnten die Welt verkehren.

Lechii Piastów przyszło więc tylko być niemym świadkiem jej dogorywania. Co do dziejów wewnętrznych, z okoliczności ostatniej elekcyi krakowskiej (Kazimierza) uważa autor, iż był to fakt, który nie tylko rozszerzył władzę szlachty, ale nadto przyznawał faktycznie odrębność dzielnicy od dzielnicy, Krakowianie bowiem obierali tylko władcę dla siebie. »Nieoględne postępowanie Mieczysława Starego,

mówi, popchnąwszy Krakowian do powstania, jedności zadaje ciosy. Ruch z r. 1177 był więc głęboki, zmienił stosunki Lechii. Pokazywał nową dojrzewającą w narodzie potęgę, nie rycerstwa, ale już szlachty. Nad *wolnością* patryarchalną (?) słońce zachodziło, za to rodziła się wolność nowa, żywioł szlachecki... Potęga długo wspaniała, świetna i dobroczynna« (t. IV, str. 329).

Takie są główne rysy, odniesione do Polski w czterech tomach *Pierwotnej historyi* Bartoszewicza. Te rysy nie dają jednak zupełnego wyobrażenia o bogatej treści jej ksiąg; tyleż bowiem a podobno i więcej miejsca, niż dzieje Polski, zajmują tu szczegółowie opowiadane dzieje od X. do XII. wieku, Niemiec, Czech, Węgier, księstw ruskich, oraz Słowian zachodnich, pomorskich i nadelbiańskich.

Dla oznaczenia bliżej charakteru książki, powiemy tu najprzód słowo o stronie zewnętrznej jej treści czyli wykładzie faktów, a następnie o właściwości jej głównej, o jej poglądach.

Co do faktów, czyli metody w ich wykładzie, ta, uważać można, jest takaż jak i w innych pracach Bartoszewicza. Autor ten był badaczem źródłowym, każda prawie z jego prac historycznych przynosiła nam nowość, dodatek do ogólnego obrazu dziejów. Był on zamiłowanym zwłaszcza, niezmordowanym, w zbieraniu szczegółów odnoszących się do zawodu osób historycznych. W artykułach tej kategoryi podawanych przezeń do *Encyklopedyi powszechnej,* oraz w oddzielnych publikacyach (jak: *Żywoty arcybiskupów, Znakomici mężowie polscy* i t. p.) rzucił on, rzec można, ziarna do owej gałęzi w historyi kraju, gałęzi biograficznej. A jednak i w tych wszystkich jego wykładach, obrazach, opowiadaniach, w których skądinąd był tak samodzielnym, wykład jego nie był nigdy wykładem ściśle krytycznym, to jest wykazującym źródła swych badań (chociażby w takim stopniu np. jak jest w *Żywocie Chodkiewicza,* przez Naruszewicza), ale zawsze opowiadającym, wnioskowym, wymagającym od czytelnika dobrej wiary

w zaręczenia autora. Taki wykład jest też właśnie i w jego obecnej książce. Bartoszewicz opowiada tu tylko, co poznał z obcych badań i wymaga dobrej wiary w twierdzenia.

Ile w książce mającej co do swych rysów zewnętrznych charakter *compendium*, krytyczność ta autora (przynajmniej w odniesieniu do dziejów krajowych) jest dostateczną; Bartoszewicz kroniki polskie umiał, rzec można, na pamięć, oswojony był z niemieckiemi od czasu zbioru Pertza, znał ruskie, jak widać z cytacyj, a jakkolwiek dzieło swe skreślił przed ukazaniem się nawet tomu pierwszego *Monumentów* Bielowskiego, znał jednak, jak się zdaje, wszystkie te nawet źródła, poznane w ostatnich latach, które tu weszły. Jakoż w obrazie pierwszych panowań w Polsce, nie tylko mówi według już dawniejszych sprostowań o koronacyi, małżeństwach, potomstwie Chrobrego, ale też opowiada np. o spółrządach Bezbraima po jego śmierci, z Mieczysławem II, wie o ukoronowanym synie tego ostatniego Bolesławie II, wie a nawet przytacza główne z *breve* Benedykta IV. o podniesieniu biskupstwa krakowskiego na stopień arcybiskupstwa; o małżeństwach młodszych synów Krzywoustego; mówi nie według Długosza i czerpiących z niego wszystkich historyków naszych, ale według poznanej niedawno kroniki Ortlieba (spółczesnej Krzywoustemu) i t. p. Opowiadanie prowadzi jasno a pragmatycznie, a oprócz wskazówek niekiedy źródeł, wtrąca też od czasu do czasu i niejakie objaśnienia krytyczne kwestyj spornych (o niektórych wspomnimy tu niżej). Dodać też wypada, iż w obrazach jego, jakkolwiek krótkich, szczegółowiej zwykle niż gdzieindziej dotykane są szczegóły genealogiczne głównych postaci, a także krytycznie zawsze, dotyczące hierarchii kościelnej.

Co do strony jednak wewnętrznej, ta, wyznać nam każe bezstronność, nie objawia się wszędzie w tej pracy równie dodatnio. Dzielimy w znacznej części główne poglądy autora, lecz nie możemy uznać, iżby te, które dowieść zamierzał, udowodnił. Krytyczność Juliana Bartosze-

wicza miała swe ujemności: przebijały się one już słabiej, już silniej w różnorodnych jego utworach i wyraziły się właśnie nieszczuple i w pracy obecnej. Bartoszewicz był miłośnikiem nie tylko faktów, ale i uczuć; do wykładów łączył uczucia, nawet *żar* uczuć; lecz między tym żarem uczuć a zimą faktów, nie było, że się tak wyrazimy naprędce, harmonijnego mostu, coby je spajał. Rzecby można, że ta mrówczość pracy autora, jaką poświęcał na gromadzenie faktów (słyszeliśmy, iż przy czytaniu pism historycznych, zwłaszcza źródłowych, rzucał co chwila kartki, czyli notatki do oddzielnego składu) nie dawała mu dosyć czasu do ukształcenia w myśleniu szyków logicznych i do wyrażenia się tem samem zgodnie z tem ukształceniem. Widok rozumowania tego autora był podobnym nieraz, rzec można, do widoku fal wodnych, których szczegóły przedstawiają nam już podskoki, już spadki, a więc kontrasta, więc męty, a nie dochodzą nigdy prawie do ustalenia się i do zamienienia swej treści w zwierciadło jasne.

Powiedzieliśmy już, iż głównem założeniem autora w obecnej książce było wskazać: iż plemię polskie, niezawisłe do końca, miało w udziale przechować gminowładność pierwotną, dalej ją niż gdzieindziej rozwinąć i tem stanąć wyżej nad współplemionami. Czyliż to sprawdził? Bynajmniej. Autor w wykładzie swoim rzeczy krajowych, rzec można, iż całkiem stracił z myśli swe założenie. Nie tylko od Piasta do ostatniego z Mieczysławów, o których mówi, nie widzimy żadnych gminnych urządzeń, gminnego życia śród kraju, ale autor wyraźnie nawet uczy, iż tych nie było. Byt krajowy wewnętrzny, uważa, przed czasem Piastów *musiał być* w Polsce, jak i u innych plemion słowiańskich, gminny, wiecowy; ale za »Piastów dodaje, w łonie społeczeństwa polskiego nastąpiła *stanowcza przemiana*. W podniesieniu blasku władzy, szukać trzeba i podniesienia jej tęgości. Tęga była, bo jedni po drugich następowali po sobie zdolni Piastowie. Ustawy dawne, wiece narodowe, *śladu ich nie znajdzie historyk za Piastów*« (t. I, 435).

I niżej: »rządy Bolesława Chrobrego były narzucające się, gwałtowne, *bez względu na wolności gminne*« (t. II. str. 99). »Charakter Krzywoustego wstrzymywał rozwój wolności« (t. III, str. 207) i t. p. Nie było więc gminowładztwa za Piastów, lekcya jest jasna. W miejsce tego cóż jednak się objawiło? Byt kmiecy był uciśnięty, dawna miłość swobody wyraziła się więc za podrostem dziejów w kształcie nowym, w obrazie swobody szlacheckiej. Czy autor był stronnikiem tego nowego zwrotu? czy go przenosił nad dawny? Zdałoby się, iż być nie może w tym względzie wątpliwość żadna; wyrażenia są jasne. Mówiąc np. o stanowisku epoki za Władysława Hermana, tak się między innemi wyraził: »kmiecie chcieli wolności gminnej, to jest rozpadnięcia się Polski na sto oddzielnych przedziemowitowych, przedpopielowych rzeczypospolitych, szlachta zaś wyrobiona, *światlejsza,* rozumiejąca potrzeby państwa, *zwalczała wolności gminne,* rzecz przestarzałą: szlachta była za *postępem,* kmiecie za *wstecznością*«. Jaśniej jeszcze, gdyż zarazem i poetycznie wyraził się dalej, mianując te rosnące swobody nowe »smugami światła«. »Opowiadając dzieje za Władysława Hermana, mówi, wskazywaliśmy nieraz na bardzo ważne wypadki, które nie miały znaczenia dla jednej chwili, ale ślad wyraźny, dziejowy zostawiły po sobie, niby *smugi światła* po niebie pochmurnem. Tylko te smugi światła nie nikły; zostały na polskiem niebie narodowem jak *gwiazdy.* Zniknąć nie mogły, bo były owocem pracy dwu wieków, były wyrobem stuletniej przeszło cywilizacyi chrześcijańskiej. To zasady naszego narodowego życia, na którem się oprze cała przyszłość« (t. III, str. 104). Dodaje tu autor uwagę, iż rozwojowi tych swobód pomogło samo niedołęstwo Władysława Hermana, bo nie miał siły go powstrzymać, i nie zaszkodziła dzielność jego następcy, gdyż ten wczas »pomiarkował, iż ustąpić musi i odniósł sam nad sobą zwycięstwo«.

I ta więc lekcya jest jasna, lecz oto w wykładzie dziejów, w oznaczaniu stanowiska swego w poglądach na

nie, autor, widzieliśmy, rozwijał zrazu i wielbił całkiem przeciwny kierunek. Masław np. stawionym był nad Chrobrego, iż popierał bunt *kmiecy*. Zawładanie za Śmiałego przez kmieci mieniem panów uważał za poruszenie poważne i postępowe; Sieciecha, który »poniżał szlachtę a podźwigał lud«, podał za jedną z najznakomitszych postaci w dziejach polskich. Co zaś ciemniejszemi jeszcze czyni twierdzenia, a stąd i stanowisko autora, to: iż nie objaśnił w wykładzie ani wyraźnie, ani przez alluzyą, w jakich to mianowicie faktach lub w jakich jednostkach widział owe smugi światła i gwiazdy za panowania Hermana. Gwiazdami panowania Hermana byli wszakże ów właśnie Sieciech, który poniżał szlachtę, a następnie dwaj królewicze, którzy także myśleli tylko o podniesieniu władzy własnej, a nie szlacheckiej. W czem je widział podobnie za Krzywoustego i w czem i komu ten uczynił ustępstwo? chyba, iż za wzrost swobód uważał autor bunty Skarbimira i Świętopełka, a za ustępstwo: oślepienie pierwszego i wygnanie drugiego. Za koronę wreszcie tych swobód i za bramę do przyszłych podał autor fakt, którym zakończył opowiadanie, to jest elekcyą krakowską Kazimierza. Wszakże właściwie ani zjazd panów polskich w r. 1140, dla oznaczenia stosunku władzy Władysława krakowskiego do braci podał go mianowicie dobitnie za okresowy Hofman w dziełku: *Przyczyny podziału* etc.), ani owa elekcya, nie były jeszcze wskazówką jakowejś zmiany w ustroju kraju. Takie zjazdy i takie wybory władców dla założenia, lub przeciągania dynastyi, praktykowały się podówczas we wszystkich krajach i przedtem i potem, a nie przesądzało to wcale stosunku nadal poddanych do panujących. Dosyć jest wspomnieć np., na zjazdy panów we Francyi, regulujących sukcesye następców Karola W., na częste elekcye dynastyi w Czechach, Węgrzech, Niemczech, a nawet i późniejsze w wielk. ks. moskiewskiem, co jednak nie oznaczało wcale zmiany stosunku bojarów do ich elektów. Elekcya Kazimierza nie była też wcale prototypem późniejszych

elekcyj polskich, była to bowiem także elekcya śród dynastyi i dla dynastyi. Żył wprawdzie jeszcze Mieczysław, lecz podobnie obierano nieraz wówczas np. w Niemczech za życia jednego króla, króla nowego.

Ciemnemi więc są właściwie, nie zaś jasnemi, nie tylko wywód, ale i założenie autora. Lecz oto autor zamierzał wykazywać zarazem wyższość pod oznaczonym względem plemienia swego nad plemiona zachodnie i wschodnie; obaczmyż, czy ten bliższy wykład bliżej nas nie objaśni?

Przystępując na str. 117 tomu I. do bliższego wykładu losów swego plemienia, autor *Historyi pierwotnej* tak mówi między innemi:

»Po Samonie i Morawianach trzeci (centralizacyjny) związek nastąpił lechicki. Szczep lechicki i szczep chrobacki, to dwa główne i *najszlachetniejsze* odłamy wielkiego plemienia«. Dlaczego najszlachetniejsze? W sprawie własnej *nemo est iudex*. Na pochlebny przymiotnik dla szczepu, szczep ten zapewne gotówby się zgodzić i bez dowodów; ale prócz szczepów chrobackiego i lechickiego, są i inne szczepy w słowiaństwie, i z nich każdy ma miłość swą własną, i mógłby mieć dowody na jej poparcie; czeski np. mógłby rzec, iż pierwej był Samo jak Chrobry, iż pierwej był wiek złoty literatury w Czechach jak w Polsce i t. p.

»Rozwinąwszy się w sobie, mówi autor dalej, Polska szczepi (następnie) jedność swoją już na trzeciem polu, śród trzecich ludów. W Lechii, Chrobacyi, w ziemiach, które spólnego nazwiska nie mają, a którym najazd obcych zdobywców przyswaja imię Rusi, będzie Polska, która pociągnie ku sobie i plemiona obce, nie słowiańskie. Potęga ogromna *jak świat cały* (!), nikt tak nie przedstawia słowiańszczyzny jak Polska, bo *większa połowa* (?) ziem słowiańskich zlała się z Polską« (t. I, str. 122). Prócz części Rusi żadne inne z większych plemion słowiańskich nie były w jedności z Polską, więcej ich miały Węgry, Austrya, a następnie Turcya. Te wyskoki fantastyczne, przesadne,

szkodzą tylko rozumowaniom autora, cień bowiem rzucają i na to, co jest w nich dodatniem.

Po tych jakby założeniach ogólnych, autor schodzi do sprawdzeń owych założeń szczególnych: spojrzmy więc na te.

Z sympatyą wyraża się autor książki o plemionach słowiańskich wschodnich, sąsiednich Polsce, lecz dodaje, iż rozwojowi tych plemion zaszkodził, zwichnął go i w odmienny charakter przyodział, najazd *Waregów*. Włodzimierz W. nie jest tu ani razu nazwany Włodzimierzem, ale zawsze »Konungiem Waldemarem«. »Nawet, dodaje autor, i przez następne (po Włodzimierzu) lat 200, książęta ci ruscy byli to zawsze Waregowie« (t. II, str. 411). Taki wykład jest to na pozór wykład historyozoficzny, lecz właściwie jest sprzecznością z historyozofią. Bieg historyi to rozwój, a rozwój różnorodnych ludów, czyli ludzkości, jest obrazem rozrostu, rozkładu, krzyżowania się i kojarzenia się plemion i ras. Faktem jest, iż takie krzyżowania się i kojarzenia były nawet warunkiem postępu w historyi (coś to nakształt tego prawa fizyologii, iż, jak to utrzymują gospodarze praktyczni, dla odżywienia plonu potrzebne są ziarna z obcej roli). Normanowie byli zaszczepcami we wszystkich prawie krajach europejskich nowych pokoleń i w nie następnie spływali sami. Każde też prawie państwo Europy nowej nie pierwej ukazało swój wzrost i odznaczyło swoją właściwość, aż ukształciło się pierwej z takich różnorodnych skrzyżowań. Z Burgundów np., Wizygotów, Normanów i Celtów ukształciło się było pierwotnie królestwo Franków; ze Staro-Bretonów, Gallów, Sasów i Normanów *Anglia*, Dynastya *Plantagenetów* (franko-normańska), zaczęta w lat 70 po podboju Anglii przez Wilhelma, nigdy nie była uznawaną za inną jak angielską. Nie historycznem przeto jest twierdzić, że nie tylko Włodzimierz (który objął po Ruryku władzę w lat 130), ale nawet cała jego dynastya nie była słowiańską. Na co się zdało czynić założenia, wywody, które tylko wywołać mogą

odpowiedź łatwą i tem samem tylko kompromitują. Jakoż i cały do owego zewnętrznego poglądu dodany wewnętrzny razi jawnie stronnością. Autor zarzuca Waregom to, co podnosił w Lechii; to, co wytyka Waregom, sam nieraz objaśnia, iż miało byt i w Lechii i t. p. »Największą szczerbę w słowiańskiej plemion starożytności, mówi np., wyrządził system wojenny, który zaprowadzili Waregowie. Wojną celowali, wojna była ich żywiołem« (czemże innem celowali Bolesławowie?) »Po waresku widząc rzeczy, Konung sobie te wszystkie przestronne ziemie, od Karpat do odnogi Fińskiej, przywłaszczał« (t. II, str. 383) (cóż innego, powtórzmy, czynili Samo, Świętopełk, Chrobry?) »Nie przyszedł, dodaje autor, Konung do starszyzny słowiańskiej, nie oparł się na opolach lub gminach, ale wszędzie swoje porządki stanowił« i wkrótce: »Coś podobnego czynili i Ziemowit i Mieczysław, ale w Polsce wznosiła się narodowa siła, nad Dnieprem i w krainie jezior uorganizował się najazd« (t. I, str. 464).

Najazd w pokoleniu trzeciem i czwartem nie jest już najazdem, lecz krajem, zwłaszcza jeśli najezdcy przedzierzgają się w kraj najechany. Przejęcie miejscowego języka, przyjęcie przez siebie i wprowadzenie do całego kraju religii chrześcijańskiej, nadanie mu ogólnego kodeksu *(Prawda Ruska)*, wskazują jasno, że potomkowie Ruryka, społeczność tę, do której przybyli, chcieli mieć zjednoczoną w sobie i z charakterem własnym, nie skandynawskim. Wspomniał autor o opolach i gminach, lecz te opola nasze, to przedmiot dopiero domyślny, a wieców gminnych, według autora właśnie, nie było i śladu za Piastów. Chrobry miał radę przyboczną, lecz jak wzmiankuje autor, miał ją i Włodzimierz. »Nie był, mówi, Konung samowładnym, radzić się musiał silniejszych mężów drużyny«. Przy poglądzie na Ruś w podziałach, tak rozumuje autor: »Sam rozdział posiadłości Waldemarowych, między 15-tu synów, świadczy, iż nie było tu żadnej idei państwa, jedności, a tylko system zdzierstwa. To też w tej walce bez myśli,

jaką dzieje książąt wareskich przedstawiają, jest zamęt nie do opisania, praw, pretensyj, widoków« (t. II, str. 201; t. III, str. 359). Ale na podobne obrazy, lubo patrząc z innego stanowiska, wskazuje autor i w Lechii. »Nie była to rzecz nowa dla Polski, mówi np., widzieć u siebie kilku książąt; Piastowie nieraz państwo pomiędzy synów dzielili. Niema w niczem różnicy, tak samo w Krakowie, jak w Włodzimierzu i Przemyślu, panują drobni książęta i wojują z sobą, tylko, że książęta z Piastów (jak szląscy) ciągną ku Niemcom, a książęta wołyńscy i czerwieńscy ku Waregom« (t. IV, str. 1; t. III, str. 395). Zastanawiając się w swym wykładzie końcowym nad przyczynami Polski w podziałach, autor uważał, iż przyczyną tego podziału nie byli ani Krzywousty, ani Herman, »wina tu, mówi, była wszystkich, a więc niczyja. Nieskrzepłe jeszcze były w państwie rozliczne plemienności, więc się rozpadły« (t. III, str. str. 97). Cóż więc znaczyły czynione zgóry przechwałki o jedności wewętrznej Lechii, jej instytucyach swobodnych, gdy ich nie widać? Wzmiankował autor o kwitnącym śród Lechii handlu, ale wzmiankuje o nim i śród Waregów, lubo z przekąsem. »Panowanie Waregów, mówi, odznaczyła nie tylko wojna, ale i handel. Kiedy drużyny osiadły po grodach słowiańskich, *musiały* się zająć handlem, *bo czemże zająć się miały?...*« (t. I, str. 473).

W czemże więc była wyższość Lechii za Bolesławów nad Wschodem? I na co się zdało, powtórzmy, czynić założenia, gdy te dalej nie sprawdzać się miały, tylko zaprzeczać?

Takie były dowody wobec Waregów; nie lepiej wyszły założenia i wnioski względem Niemiec. Ograniczymy się na przytoczeniu ich, własnemi słowy autora.

Na str. 443 tomie I, takie znajdujemy założenie: »Tło naszej cywilizacyi zupełnie odmienne od niemieckiego. W miejscu wojenności znajdujemy tu rolniczość, w miejscu feudalności porządek gminny, w miejscu nierówności towarzyskiej zupełną równość (?), w miejsce czci dla osobi-

stości, spólność praw i obowiązek, t. j. dążność społeczna. Demokracya nasza rozwija się zbyt wybitnie obok feudalnej arystokracyi Niemiec«.

Zaś na str. 276 tomu następnego taki jest wniosek: »Chrobry ideę władzy przyjął od cesarzów... był on reprezentantem wszystkich sił swojego państwa (nie potwierdza to wcale owej demokracyi), nie słowem, nie prawem, nie obiorem gmin, ale rzeczywistością... Urządził kasztelanów na wzór Henryka Ptasznika, przez nich to nakładał owe różnorodne i ciężkie obowiązki prawa rycerskiego, które wszystkich dotykały. Kraj tak nieprzyjazny dla wszelkiej regularnej a ogromnej władzy, przyjął prawo, które król długiem, przeszło 30-to letniem panowaniem, postawił jako zasadę rządu. Było to prawo uciążliwe i dla samego narodu i wzięte w porównaniu z prawem cesarstwa, *bo w cesarstwie* przez różne przywileje dla stanów i zawodów zaczynały się tworzyć *swobody społeczne*«.

Powtórzmy, iż nie mówimy tu wcale o gruntowności albo niegruntowności ogólnych założeń autora: przedmiot ten zostawiamy na boku, lecz wskazujemy tylko, iż jego wywody i wnioski są najczęściej w kontraście z założeniem i że w tych wywodach i wnioskach tkwi takiż zamęt, jaki tkwił i w tem założeniu ogólnem, które było prologiem do tych wywodów, a które literalnie tak brzmiało: »Polska rozwinąwszy się z Lechii przechodzi do Chrobacyi i z dwu wielkich plemion słowiańskich wyrabia się do potęgi. Nowa siła, wzbierając w potęgę, działa jednocześnie na wschód i zachód (i cóż?); zachód stawił opór i *ocalił się*, ale wschód uległ« (t. I, str. 122). Jeżeli się nie mylimy, celem autora było wyrazić się tu zupełnie przeciwnie, t. j. że zachód uległ (germanizacyi), a wschód ocalił się.

Na domyślne źródło psychiczne tych zamętów w rozumowaniach autora wskazaliśmy, wskażmy teraz na ich źródło praktyczne w obecnej pracy.

Jakże mamy bezstronnie patrzeć na obraz Polski pod względem, o jakim mowa w tej pracy?

Iż u pierwotnych Słowian przeważającem było gminowładztwo, iż rząd ten przeciągał się u nich przez długi czas ich niezawisłości, prawda to historyczna, bo na historycznych świadectwach oparta. Prokopiusz, historyk grecki z wieku VI, w którego dziele o *wojnie gockiej* pierwszy raz napotyka się wiadomość o Słowianach, mówi, iż ludy te od czasów dawnych pod rządem demokratycznym żyją (w przekładzie tego dzieła łacińskim, powszechnie w naukowości używanym, brzmi to: »Hi populi ab antiquo *in popular imperio* vitam agunt«). Helmold, Dytmar i i. mówią o odbywanych u Słowian zachodnich wiecach jeszcze w wieku XIII. Nie domysłem też jest, ale zbyt znanym faktem, iż kiedy wszystkie prawie europejskie kraje pierwotne swobody swoje zamieniły na rządy monarchiczne i absolutne, kraj polski wznosił je stale i w życiu politycznem praktycznie, i w pismach rozumowanie, i że w odniesieniu do przywilejów jednostek doprowadził je dalej, niż jakikolwiek kraj inny; lecz oto stało się to było już w czasie, kiedy kraj polski *podrósł*, t. j. przy końcu XIV wieku, a bardziej jeszcze, kiedy ze skrzyżowania się kilku ludów i ras (między innemi ruskich, litewskich, pruskich i i.) ukształcił się w *naród* z oddzielnym charakterem, z oddzielną a sobie właściwą twarzą (odkreślił ją najdobitniej w traktatach swych Orzechowski *gente Ruthenus*, a w praktyce *Jagiellońska* dynastya), ale tej odrębności, tej twarzy, nie miał jeszcze w swoich dziejach pierwotnych, w epoce, która jest przedmiotem książki, o której mówimy. Autor jej ukształcił był sobie wyobrażenie, pojęcie o znaczeniu i charakterze kraju swojego z czasów późniejszych, z tego, jakim był w wieku XVI, i chciał go widzieć takim i w wiekach, w których go jeszcze nie miał, i stąd te sprzeczności, te męty w jego rozumowaniach, w jego założeniach i wnioskach.

Toż co o kraju polskim, rozumiemy właśnie i o Słowianach wschodnich bliższych i dalszych; i ich byt podniósł z czasem i odznaczył się nową twarzą i charakterem, a na

te wpłynęły także i wpływy zachodnie i wschodnie, lecz już nie z czasu Waregów i nie Bolesławowskich.

Tak się odbiły te skazy sądu autora, ta jego ekscentryczność (z której nawet był niegdyś głośnym), śród głównych założeń i wniosków; a dodać trzeba, że odbijają się one równie w ciągu dzieła i we wszystkich innych jego zwrotach i szczegółach, jako w opowiadaniu dziejowem, w kreśleniu charakterystyk, w pierwiastku nawet tej wagi, jak religijny i t. p. Przytoczymy tu chociaż kilka wskazówek, zaczynając od tego ostatniego pierwiastku. Bartoszewicz, jeżeli się nie mylimy, z zasady był religijnym. Chrześcijaństwo a zwłaszcza chrześcijaństwo z obrządkiem, jak określał, cywilizacyjnym, za pierwiastek głównie żywotny w składzie państwa uważał; to też było powodem, że ze szczególnem upodobaniem zwracał zawsze uwagę we wszystkich wiekach na krzewienie się, rozwijanie i działanie hierarchii kościelnej, i jak rzekliśmy, obrazy jej i w pracy obecnej bogatsze są nad inne. Z uszanowaniem też w tej pracy mówi wszędzie o duchowieństwie krajowem, zwłaszcza o działaniu biskupów: nie obwinia ich wcale, np. jak to dziś prawie powszechnie się czyni, o utrwalenie podziałów po Krzywoustym, i owszem tak się wyraża w tej rzeczy: »Od Władysława Hermana stanęli biskupi przy tronie i popierają stale sprawę wolności i jedności. Kiedy polityka możnych i panów rwie Polskę, biskupi zawsze ją kupią«. A jednak i w tym przedmiocie trafiamy nieraz w ciągu dzieła na owe wyskoki sądu autora, na ekscentryczność; kreśląc np. obraz ujemnych rysów chrześcijaństwa, śród wieków średnich, autor literalnie zarzuca, iż wierzono natenczas w sprawiedliwość Boga oraz w Opatrzność. »Bóg, mówi, u *zabobonnych* był nieustającą, a do tego groźną, straszliwą *sprawiedliwością*« (t. I, str. 44). »Bóg w pojęciach owego społeczeństwa, przebywając śród niego na ziemi (gdzież indziej mógł łączyć się z człowieczeństwem?) *plątał się* do najdrobniejszych spraw domowych« (t. I, str. 412). Do podobnych wyskoków odnieść się też musi jawne ja-

kieś poufalenie się z niebem, dowolne tłumaczenie myśli sił skrytych i t. p., niewłaściwe zwłaszcza pióru historycznemu. Mówiąc np. o państwie Świętopełkowem, wyraża: »Bóg *chciał już* powołać do siebie apostoła, i jakby czekał na rozszerzenie się państwa Świętopełkowego« (t. I. str. 60). W innem miejscu zaręcza, iż: »nie *z natchnienia Ducha Ś.* Waldemar przyjął wiarę« (t. I, str. 395); mówiąc znowu o uchylaniu się Morawian od władzy biskupów niemieckich, tak się wyraża: »*sam dyabeł* natchnął Morawian nienawiścią ku chrześcijaństwu. Odtąd biskup pasawski nie może się w ich granicach pokazać, a co gorsza Morawianie chełpią się, iż mają prawo od papieża stanowić arcybiskupstwo« (t. I, str. 3); odwoływanie się do władzy i powagi papieża, czyż mogło stanowić dowód *nienawiści ku chrześcijaństwu?*

Wskażmy teraz po kilka szczegółów z innych miejsc książki, tak z miejsc, w których tkwi owa ekscentryczność, lub gdzie nastręczy się nam inna jaka uwaga.

W dalszem opowiadaniu, przystępując do zaznajomienia czytelnika z czasem zjawienia się, przezwania się i następnie rozsiedlenia się Słowian, autor wzmiankuje, iż »Tacyt, oprócz Wisły, wskazał i na inną granicę między Germanami i Sarmatami, bojaźń wzajemną«. Z tych słów możnaby wnieść, iż Tacyt w swym traktacie *O obyczajach Germanów* wspominał o Wiśle. Wisła istotnie znaną już była Rzymianom za wieku Tacyta. Pliniusz, Pomponiusz Mela (geografowie z I. i II. wieku); tenże Mela, Ptolomeusz, Agathomenes wyrażają nawet, iż Wisła oddziela Germanią od Sarmacyi; lecz oto Tacyt, który dowiódł, iż najbliżej znał Germanów i szczegółowie oznacza ich siedliska, wzmiankuje w swym traktacie o Renie, Elbie, Dunaju, morzu, a niema tu wzmianki o Wiśle; wniosek więc: iż właściwie posady Germanów nie rozciągały się po tę rzekę.

Na str. 8, nauczając, iż początkiem nazwiska Słowian było ich hasło bojowe, autor tak mówi: »W wieku VI *jedna chwila* natchnienia *stworzyła je* i rozniosła; wyraz *słowo* był niezawodnie tem hasłem«; lecz oto na stronie poprze-

dniej 7-ej, wzmiankował, iż Getowie, Wenedowie, Dakowie, »*od wieków* Słowianami się między sobą nazywali«. Któreżże z nauk tych obowiązanym jest trzymać się czytelnik?

Mówiąc z kolei o apostolstwie śród Słowian braci Cyryla i Metodyusza, autor nietrafnie objaśnia, iż »pierwszy z nich nazywanym był Strachot« (t. I, str. 78). Strachotą nazywanym był Metodyusz od *metus* strach, i opowiada, jak bracia po drodze ochrzcili księcia bułgarskiego Borysa; fakt, który dziś jest powszechnie odrzucanym przez krytykę i o którym wreszcie nie wspomina i ów żywot Metodego, który cytuje autor.

Przechodząc do przedmiotu głównego książki, t. j. do kwestyi Lechów, nazwę tę wyprowadza autor od *lechy* (wywodu tego trzymał się niegdyś Maciejowski, nim go nie zamienił na wywód od *Lazów*). Wywód taki kazałby przypuszczać, iż była to nazwa klasy pośród plemienia, a nie plemienia; nieharmonijnie z nim łączy się więc to wyrażenie, iż »*plemię* to rozciągnęło się dalej ku morzu i na zachód za Odrę«; wyraziwszy zaś to twierdzenie, autor dodaje: »rozwinęliśmy tu *pojęcie nowe*, bo szczep lechicki, według dawniejszych rozumowań, nie przechodził za Odrę. Łużyce i Pomorze nie do Lechów liczono« (t. I, str. 126). Iż pojęcie to nie było nowem, wiedzieć o tem mogą dawni czytelnicy *Bibliotcki*, na możność bowiem i konieczność takiego wniosku zwrócilismy niegdyś uwagę na jej kartach sami jeszcze w roku 1848, w uwagach nad *Dziejami pierwotnemi* Maciejowskiego (w wydaniu Wolffa p. n.: *Rozbiory* i *Krytyki* w tomie II, od str. 49 po 54), a wnioski te obszerniej jeszcze starał się następnie wyłożyć i ugruntować w osobnem dziełku *O Pomorzu Zaodrzańskiem* Dominik Szulc [1]. Bartoszewicz, pisząc swą *Historyę pierwotną*

[1] Wtrąćmy z tej okazyi, iż jak Szulc uwagi nasze, wyrażone wówczas w *Bibl. Warsz.* w dziełku *O Pomorzu Zaodrzańskiem*, 1850 r. tak wyrażone tamże o przyjściu przodków naszych ze swą tradycyą z Dacyi (*Rozb.* i *Kryt.*, t. II, str. 46—49) rozszerzył następnie Bielowski w dziele: *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*, 1852 r. Obaj ci autorowie,

w r. 1863, mógł oczywiście zapomnieć o tem, co czytał przed lat dziesiątkiem, lecz szkoda, zamiast bowiem np. wyrażenia tylko *domysłu,* iż »pomeranica lingua«, którym przemawiał Ś. Otto, *musiał to być* język polski, mógł był posłużyć się tekstem, przywiedzionym w pomienionem dziełku przez Szulca, z nowoodkrytego wtedy w klasztorze niższej Austryi życia ś. Ottona, wydanego przez Endlichera, w którym wyraźnie to brzmi, iż apostoł ten, przybywszy do Polski, tak się wyuczył *tamecznego* języka, iż trudno go było wziąć za Niemca *(O Pomorzu Zaodrzańskiem* str. 24).

Wywodząc nazwisko *Polan* gnieźnieńskich od *pola,* autor nadmienia, iż o Polanach tych wspominał już Ptolomeusz, zowiąc ich *Bulones.* Lecz o tych *Bulones* (którzy wyczytywani też byli *Sulanoi* i *Wulanoi)* Ptolomeusz wspomina jako o »*małym* narodku w *Sarmacyi*«, jeżeli więc i oznaczali Polan, odnosili się raczej do Polan *nadbużańskich,* nie zaś do plemion z lewego brzegu Wisły, a więc gnieźnieńskich; o narodach nad Wisłą były nieraz w następnych wiekach wzmianki w pismach historyków, geografów, podróżników, a nazwiska w nich Polski nie było. Nazwisko to zjawia się dopiero z końcem X. wieku. Jeszcze Dytmar, uważać można, w pierwszych rozdziałach swej *Kroniki* nazywa Mieczysława księciem Słowian i dopiero wzmiankując o przyjęciu przezeń chrześcijaństwa, zowie go po raz pierwszy *dux Poloniorum.* Polska była to jakby imię chrzestne, na chrzcie przyjęte, i (jak o tem właśnie

mimo wsparcia założeń obszerną co do dotkniętego przedmiotu erudycyą, przez przybrany w wykładach tych ton zbytniej pewności i przydawanie do historycznych faktów dobrej porcyi fantazyi, więcej się przyczynili do skompromitowania, jak potwierdzenia podzielonych przez nich założeń. Bielowski, będąc w r. 1846 w Warszawie dla szperań w bibliotekach, po dwakroć nam powtórzył naówczas, iż czeka bardzo mających być w *Bibl. Warsz* uwag *O dziejach pierwotnych.* Był on zajęty wtedy pisaniem komentarza do pieśni Igora. Zmiana przedmiotu pracy, poprzednich w tej rzeczy widoków, a nadewszystko jawne rozszerzenie napomknionego tematu, w połączeniu z owem jego oczekiwaniem, upoważniły nas, sądzimy, do wyrażenia powyższych słów.

przypomina i ta praca, o której mówimy) poszczęściło. *Rex Poloniae* pisać się wkrótce zaczął: *Nec non terrarum* Cracoviae, Sandomiriae, Masoviae, Lanciciae etc., a dalej Magnus dux Lituaniae, Russiae, Prussiae, Czernigoviae etc. Kwestyę tę dawności nazwiska, rzec można, iż dziś ostatecznie rozstrzyga tom I-szy *Monumentów*, wydanych przez Bielowskiego, t. j. najdawniejszych wzmianek odnoszących się do Polski. Widzimy tu, iż niema tu tego nazwiska przed chrztem Mieczysława.

Przechodząc do właściwej historyi polskiej, opowiadanie jej zaczyna Bartoszewicz od *Ziemowita*, i uczy, jak widzieliśmy, iż Popiel II. mianował go wojewodą, a następnie strąconym i zamordowanym był przezeń. Bartoszewicz nie wspomniał o rządach Piasta dlatego zapewne, iż uwierzył więcej kronice Galla, niż innym, późniejszym; ale jeżeli uwierzył słowom tego historyka, tedy powinien był wierzyć i szczegółom tych słów. Gallus mówi, iż syn gościnnego Piasta, Ziemowit, tak »wzrastał w cnoty, iż król królów i książę książąt na księcia go Polski z powszechnem uznaniem wywyższył, a Popiela z potomstwem jego wykorzenił«. Autor objaśnia, iż historyk przez to wyrażenie król królów rozumiał samego Popiela, który Ziemowita, zgodnie z uznaniem starszyzny (concorditer), mianował wojewodą całego kraju. Wykład taki literalnie jednak jest niemożliwym. Nie mówiąc już bowiem o przyznawaniu Ziemowitowi przez historyka cnoty i braku wszelkiej wzmianki o województwie, Popiel, który według Galla, nie był nawet królem, mógłżeby być nazwany »królem królów« a nadewszystko mógłżeby wykorzeniać z potomstwem *sam siebie?* Tekst mówi: eotenus quod *rex regum* et dux ducum eum (Semovith) Poloniae ducem concorditer *ordinavit*, et de regno Pumpil cum sobole radicitus *extirpavit* (t. I, str. 3). Jestto, ile przypominamy, jedyne miejsce w 4-ch tomach, w którem autor, dla wsparcia swego twierdzenia, powołał się na źródło; nie wypada jednak stąd wnosić, iż wszystkie jego twierdzenia tak miały się do swych źródeł,

jak niniejsze, owszem sądzimy, iż autor dlatego tylko chciał tu poprzeć twierdzenie swoje przytoczeniem źródła, iż sam mu nie dowierzał.

Całe opowiadanie dziejów polskich następnie do końca jest potoczne, jasne, wierne. Autor od czasu do czasu podnosi w niem nadto niektóre punkta sporne i te rozstrzyga.

Mówiąc np. o Dobrogniewie, żonie Kazimierza I. którą pisarze nasi podawali nieraz już tylko za bojarkę, już za córkę któregoś z książąt, autor słusznie zwraca uwagę, iż według najwiarogodniejszego i prawie spółczesnego świadka, Nestora, była ona Maryą, córką Włodzimierza W., nie wiemy tylko, czy trafnie dodał, iż imię Dobrogniewy przyjęła przy koronacyi, w czasie zmiany obrządku. Długosz wprawdzie mówi istotnie, iż przybrała ona imię Dobrogniewa, przyjmując chrzest łaciński; ale chrzest w kościele łacińskim, uczyniony nawet przez duchownego innego wyznania, nie powtarza się, a nadto uważać można, iż w świadectwie ówczesnem łacińskiem, albowiem w *Brevc* Benedykta IX. z r. 1046 do Aarona, arcybiskupa krakowskiego, t. j. za Kazimierza I. nazwaną jest ona Maryą, nie Dobrogniewą (Eiusque coniugis *Mariae. Monum.* t. I, str. 359).

W opowiadaniu i owych drobnych krytykach dalszych, autor między innemi zdaje się chcieć restaurować dobrą pamieć Ryksy i wzmiankuje, iż na zachodzie mianą była za świętą. Objaśnia znaczenie w ustach historyków naszych wyrazu *Palatinus* (iż był różnym od wojewody), wykłada właściwe brzmienie Zarnowca (Sarnowo), Kargowa (Krzyszków, za wskazówką Röpla), prostuje różne daty, jak klęski pruskiej za Kędzierzawego, ustąpienia Władysława krakowskiego z kraju, roku jego śmierci i t. p. Te wszystkie i im podobne wskazówki i sprostowania są zwykle należnie rozumowane, loiczne i pożądane, o ile nie łączy się z którem i jaki ów wyskok, a taki trafił się właśnie, wypada wspomnieć, przy jednej z najciekawszych może dla czytelnika wzmianek, t. j. o zajęciu twierdzy Brandeburga przez kogoś z Polski. W kronikach brandeburskich jest

wzmianka (kronikarzom naszym nieznana), iż niejaki słowiański książę Jaczo von Copnic zdobył był w wieku XII. twierdzę Brandeburg i przez niejaki czas nią władał. Przed kilkunastu laty uczony berliński, prof. Fryderyk Rabe w pracowitem dziełku, mającem napis: *Jaczo von Copnic Eroberer der Festung Brandenburg* starał się dowieść, iż zdobywcą tym był nie żaden książę słowiański, t. j. ze Słowian zachodnich, ale jeden z pogranicznych panów polskich, a mianowicie Jaksa z Kopanicy (Jaczo, Jacza istotnie przez kronikarza niemieckiego mogło się tylko czytać *Jaczo, Jac-za)*. Otóż do wzmianki o tym szczególe autor dodał następną szczególną uwagę: »Niemcy *aż w głowę zachodzą*, kto był ów zuchwały Jaczo, od kilkuset już lat *smażą sobie nad tem Niemcy głowę*, napisali już całą bibliotekę domysłów i wniosków« (t. IV, str. 213). Przy takiem przytoczeniu właściwiej było autorowi rzec, iż Niemcy zawstydzają nas; wszelki dowód pracowitości godnym jest naśladownictwa, nie ironii. Wyskokiem tym chciał może autor ukryć wewnętrzną uciechę; nie dziwilibyśmy się jednak, gdyby jaki uczony niemiecki, spotkawszy się z tą tyradą, wziął ją za asumpt do okrycia śmiesznością całej książki, w której ją znalazł, a może i w ogólności krytyki polskiej.

Przy tych skazach dykcyi autora, jego poglądów, nic też dziwnego, że w jego opowiadaniu, to co najwięcej ożywia historyczne opowiadanie: obrazowość, charakterystyki osób, nie były to strony silne utworu. Obrazowością w tych opowiadaniach są tylko rysy, a wyraz fizyognomij kreślonych nie miał nigdy ekspresyi jasnej. Wśród przekazanych różnorodnych rysów danej postaci ująć jedność, skreślić je tak, iżby to, co jest przeważającem w charakterystyce, pozostało wyrazem głównym, nie leżało to w sztuce autora. Bartoszewicz chwytał nieraz za pędzel, w kreśleniu fizyognomii sławy dodatniej chciał być bezstronnym, postacie o sławie ujemnej pragnął podźwigać i w wypadku dawał żadną charakterystykę. Wskażmy tu po kilka przykładów z kategoryi jednej i drugiej.

Do postaci, które chciał restaurować autor, należeli, jak to widzieliśmy, Masław i Zbigniew. O pierwszym wyraził autor, iż wyższym był nad Chrobrego, chciał bowiem porównać w prawach kmieci i szlachtę. Czyny jednak dziejowe tak tylko oceniać możemy, jak o nich świadczą dzieje. Najbliższy owych czasów Gallus wzmiankując o czynach kmieci, na czele których stanął następnie Masław, tak mówi: »Poddani powstawszy wtedy przeciw swym panom, jednych z nich w poddaństwo obrócili, drugich pozabijali« (Gallus, ks. I. str. 23). O porównaniu praw wcale więc tu mowy nie było. Nie o to tu jednak nam idzie. Przypisawszy autor Masławowi cele dodatnie (prosto z fantazyi), wyraża: »czego nie mógł doprowadzić do skutku Bolesław Chrobry, to wychodziło z rąk Masława *piękne, nieskazitelne,* w swej *tierwiastkowej czystości.* Jeżeli uspokoi się Polska pod przewodnictwem chorążego Masława, kmieć i szlachcic równymi będą i w obyczaju narodowym, jak są równymi przed królem i prawem« (t. II. str. 335). Zaś niżej: »lecz wygrał Kazimierz, bo kiedy chorąży mazowiecki *cofał się* w pogańskie czasy, królewicz postępował naprzód, jako zwiastun *cywilizacyi*« (t. II, str. 334). Co było *anti-cywilizacyą,* co było *wstecznem,* mogłoż być zarazem nazwane pięknem, nieskazitelnem, najczystszem?

Restaurując postać Zbigniewa, autor pisze: »Na Zbigniewa wiele walą... dzisiaj krytyka historyczna powraca Zbigniewowi wiele, oczyszcza go z zarzutu nieprawego urodzenia (chyba psychologicznie, nie historycznie), ludzie tu więcej winni, *mógł być* (?) innym, jakim był« (t. III, str. 123). Zaś dalej: »Zbigniew udał się go Czech, namawiając księcia Borzywoja, aby napadł na Szląsk; była to z jego strony wielka nikczemność, która się stała źródłem *wielu* następstw *podobnych.* Jaki był cel tej zdrady? krew przelewać bez potrzeby, niewinnych ludzi niszczyć było okrucieństwem« (t. III, str. 138). »Zbigniew nie upadał na duchu i w niegodziwy, jak dawniej sposób, pragnął się podźwignąć« (t. III, str. 152). Na człowieka, któremu sam jego

obrońca zmuszonym jest zarzucać *nikczemność, niegodziwość, okrucieństwa, zdrady,* cóż dziwnego, że wiele walą?

W kreśleniu zaś charakterów świetnych i którym sam nie odmawiał przymiotników wielkich dwu Bolesławów: Chrobrego i Krzywoustego, autor, rzec można, iż się z umysłu wysilał, by je ujemnie kreślić. Widzieliśmy już, jak zarzucał Chrobremu *chytrość, przekupstwo, rozpustę,* gwałtowność; »jego gwałtowość cielesna, mówi, przechodziła granice *wszelkiej przyzwoitości*« (t. II, str. 5—8). Trafniejszy malarz mógłby powyższym rysom miano dać: *dyplomacyi, słabości,* wszakże sam gwałtowny przeciwnik tego króla, Dytmar, przyznawał mu »*szlachetność* dla zwyciężonych«.

W kreśleniu znowu postaci Krzywoustego, czytamy między innemi: »Pan względem ludzi *bardzo zuchwały* i nawet *złego serca*«. »Ojciec jego kiedy kościół krakowski rozprzestrzeniał, wzbogacał, robił to z pobożności, ale Bolesław ze strachu« (t. III, str. 272, 273). Zarzucać Krzywoustemu brak męstwa, brak pobożności, było to skreślić wielki kontrast z rzeczywistością.

Na tem skończymy wzmianki o rysach, o ujemnościach, które nam po odczytaniu czterech obecnych tomów Bartoszewicza, obok przeważających znacznie rysów dodatnich, zatrzymały się w myśli. Te ujemne rysy, ekscentryczności, tworzyły może nieraz tylko nieoględność wyrażeń, tylko *lapsus calami.* Na str. 411, tomu II. czytamy tu taki przypis wydawcy: »W tem miejscu zanotował autor w nawiasie: tu dać powody z latopisców«. Oczywiście więc do pracy niniejszej nie był też jeszcze przyłożył ostatniej ręki, a w przyłożeniu tem nie jeden może z owych ujemnych rysów byłby zniknął. Gdy jednak rysy te są, nie mogliśmy dawać i kreślić obrazu *tego, co jest,* bez tych wskazówek, a stawało się to tem właściwszem, iż nie były tu te rysy zbyt rzadkie, iż odnosiły się nie tylko do wyrażeń, frazesów, lecz i do zasad głównych, do głównych wniosków, a nadto,

iż były już one zbyt znane i z ogłoszeń dawnych autora, a więc należą w części i do cech stałych jego pióra. Czytelników jednak, którzy nie znają bliżej pism Juliana Bartoszewicza, oraz publikacyi obecnej, winniśmy ostrzedz, iż te rysy ujemne, te ekscentryczności, te męty, o jakich mówiliśmy, są to tylko właściwie, jakby krople wody w odniesieniu do oceanu tych rysów i stron dodatnich, które też dzieła mieszczą. Dzieła te to materyał, wskazówki, poznanie których staje się nieodbitym warunkiem dla przyszłego historyka kraju. Autor tysiąca biografij i monografij ze źródeł własną pracą czerpanych, różnostronnych poglądów dodatnich, licznych dziełek i dzieł do wypełnienia braków historycznych zwróconych, przez wydanie obecnej książki zalet tych bynajmniej nie stracił, przez skreślenie w niej w łącznym, a wiernym obrazie dziejów plemion sąsiednich, w zasłudze tej owszem podrósł i nigdy też zapewne w gałęzi historycznej naszej literatury do pracowników pierwszego rzędu liczonym być nie przestanie.

20 kwietnia 1880 roku.

5.

Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana III. Tom I., opracował Dr. Kazimierz Waliszewski. Kraków, 1879.

Nieustająca a różnostronna czynność krakowskiej Akademii umiejętności w roku zeszłym wzbogaciła naszą literaturę historyczną trzema nader cennej treści publikacyami. Są niemi: *Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa* (od połowy XIII. do początku XVI. stulecia), *Korespondencya kardynała Hozyusza* (obejmująca przeciąg od r. 1525—1550) i wreszcie wyżej pomieniony wyciąg z archiwum francuskiego spraw zagranicznych, zawierający korespondencyę dyplomatyczną z pierwszych lat panowania Jana Sobieskiego. Każda z tych publikacyj wielką garścią dorzuca

bogatych szczegółów do obrazu naszej przeszłości; tą razą zwrócimy tu kilku słowy uwagę bliższą na treść ostatniej z nich.

Za lat trzy, to jest w r. 1883, obchodzoną być ma dwusetletnia rocznica zwycięstwa Jana III. pod Wiedniem. Akademia krakowska (jak się dowiadujemy ze wstępu do obecnego wydania), myśląc wcześnie o sposobach uczczenia tej rocznicy, powzięła między innemi zamiar ogłoszenia na ów czas korespondencyj dyplomatycznych, odnoszących się do panowania tego króla. Jakoż na przedstawienie Akademii, a za pośrednictwem księcia Władysława Czartoryskiego, jeszcze w r. 1875 były minister spraw zagranicznych, Decazes, a po nim jego następcy, zezwolili na uczynienie w tym celu użytku z archiwum spraw zagranicznych, a pracą tą, z poruczenia Akademii, zajął się jeden z członków komisyi jej historycznej, dr. Waliszewski.

Praca, którą przyjął na siebie p. Kazimierz Waliszewski, jest olbrzymią. Korespondencya dyplomatyczna francuska z czasów Jana III. obejmuje tomów 55 in folio, każdy o 400 kartach; przedruk całej był niepodobieństwem, należało więc robić wyciąg, a dla uczynienia wyciągu, co najmniej odczytać te wszystkie skrypta, skrypta zapewne nieraz nieczytelne, kreślone starem pismem, starą ortografią i w znacznej części cyframi. Praca ta jednak, jak widzimy, już w części wykonaną została, a tom obecnie wydany, obejmujący w formacie ćwiartki stronic 545, mieści korespondencyę z lat trzech, to jest od roku 1674, do początku 1678. Metoda, jakiej się trzyma w obecnem wydaniu pan Waliszewski, według nas, jest najtrafniejsza; umieścił on w tekście korespondencye, które uznał za główne, w całej ich rozciągłości, przeplatając je historycznym poglądem i objaśnieniem treści, przy końcu zaś dołączył kolejny spis wszystkich aktów, znajdujących się w archiwum ze wskazówką ich dat, numerów i treści (nie umieszczonych). Metoda ta z jednej strony daje nam widzieć przeszłość dy-

plomatyczną z jej odcieniami, a z drugiej chcącemu w danej kwestyi bliżej korzystać, ułatwia ku temu drogi.

Nie do nas może należeć sąd i ocenianie, czy i o ile wybór uczyniony w obecnym wyciągu przez dra Waliszewskiego jest trafnym, i czy jest w szczegółach wierny: sędzią w tej mierze mógłby tylko być chyba drugi znawca archiwum, o którem mowa; możemy jednak poświadczyć, iż wybór jest uczynionym szykownie, charakterystycznie, i, o ile wnieść można ze szczegółów, wiernie; obraz bowiem, który kreśli korespondencya, tyle obok dodatnich mieści i ujemnych rysów z naszej przeszłości, iż wątpić nie można, że przewodnikiem w pracy obecnej był jeden tylko przeważnie wzgląd, to jest wzgląd na prawdę.

Przyczynek, który do obrazu dziejów przeszłości dodaje taki materyał, to jest tego rodzaju korespondencya, z samej istoty swojej musi być przyczynkiem wartości nieocenionej. Raporta posłów są to, z zadania swego, raporta, dotyczące najgłówniejszych postaci i wypadków danego czasu i kraju, z którego są pisane, a są pisane przez osoby światłe, blizkiemu poznaniu i ocenianiu owych postaci i wypadków głównie poświęcone, i wyrażane z całą otwartością, swobodą, bez dopuszczania, iżby to, co się kreśli, kiedy ogłoszonem być miało. Obok tych raportów posłów, znajdują się też tu zabłąkane do archiwum z różnych powodów i pisma niektórych bohaterów głównych, jak to oprócz listów samego Ludwika XIV. do króla polskiego, do królowej, do ambasadorów, króla tego i tej królowej do króla Ludwika i t. p.

Jedynem prawie u nas poważnem dziełem źródłowem do dziejów króla Jana są listy poufało-historyczne *(Epistolae historico-familiares)*, niegdyś kanclerza Maryi Kazimiery, Jędrzeja Załuskiego (pierwsze ich tomy); z listów tych czerpał głównie historyk Coyer, a z tego, jak równie z pism i anegdot spółczesnych Sobieskiemu pisarzy: Bernarda Connor i Daleyraca wszyscy następni nasi i zagraniczni historycy. Otóż materyał, który obecnie nam przy-

był, jest nowym, poważnym, źródłowym, a modyfikuje nie pod jednym względem ustalone obrazy o charakterze i dziejach tego króla.

Przeciąg, który obejmuje tom obecny korespondencyi, jest, jak wspomnieliśmy, od roku 1674 do 1678: obejmuje więc czas elekcyi króla, jego turecko-tatarską wyprawę przedkoronacyjną, koronacyę, wyprawę po koronacyi, zakończoną pokojem w Żórawnie i wreszcie lat kilka pokoju wewnętrznego, w czasie którego przedłużała się wojna sąsiedniego elektora brandeburskiego ze Szwecyą i sąsiedniego cesarstwa z Francyą. Czyny wojenne króla Jana z czasu tych wypraw kreślone bywają wogóle jako dwuznacznej sławy, jego następne postępowanie jako zagadkowe, jego postępowanie domowe jako kierowane zawsze rozumem i wolą żony i t. p. Otóż obraz, czyli materyał, który otrzymujemy, wiele pod każdym z tych względów przynosi nam objaśnień.

Dramat zaczyna się w czasie bezkrólewia po królu Michale. Autor słusznie nie umieścił na czele aktu, który otwiera ten dramat, t. j. zawiadomienia dworu francuskiego przez prymasa Floryana Czartoryskiego o śmierci króla, bo treść jest bardzo domyślna; ale zbiór otwierają listy stronników partyi francuskiej, z niepokojem dobijające się o instrukcye. Śmierć króla nastąpiła przy końcu roku 1673, sejm elekcyjny naznaczony na dzień 3 kwietnia 1674 r., a listy ze stycznia tegoż roku użalają się, iż dotąd nie otrzymano jeszcze w Warszawie żadnej instrukcyi. Morsztyn w liście, pisanym, jak się domyśla wydawca, do p. de Pomponne (t. j. ówczesnego ministra spraw zagranicznych), objaśnia przytem szczerze, iż kandydat francuski nim tron obejmie, będzie musiał stoczyć pierwej dwie wojny: z Turkiem i domową, i przymawia się przy tem o należne mu za usługi dawne zaległości; Marya Kazimiera nie otrzymując odpowiedzi, wyprawia list po liście, i zapytuje, czy już Polska upadła tak nizko, że wielki król (Ludwik XIV.) nie dba już wcale o tron jej i swoich stronników?

Król Ludwik wcale jednak nie pogardzał tym osierociałym tronem: i owszem ogłoszona elekcya najsilniej go zajmowała. Francya prowadziła wojnę z cesarstwem i było to właśnie dla niej najżywotniejszą kwestyą chwili: kto zasiądzie na tronie polskim, stronnik Francyi, czy też cesarstwa? Za Michała, męża Eleonory (siostry cesarza), partya francuska była martwą i w Warszawie zamieszkiwał tylko rezydent francuski (p. de Baluze); teraz Ludwik XIV. wyprawiał tu nadzwyczajnego ambasadora (biskupa marsylskiego Forbin-Janson), opatrując go w obszerną i szczegółową instrukcyę i spory trzos, który miał wypłacić zalegające od lat trzech pensye stronnikom francuskim i jednać nowych. Wydawca nie umieścił wzmiankowanych w spisie listów Ludwika XIV. do królowej wdowy, stanów i senatu polskiego, prymasa, podkanclerzego i t. p., gdyż obejmowały tylko zapewne zwykłe formuły kondolencyi, życzeń, rekomendacyi ambasadora, podziękowania i t. p. Wspomina jednak, że w listach do stronników Francyi, Sobieskiego i Morsztyna, polecał na kandydata księcia neuburskiego, dziękował osobnym listem Lubomirskiemu za ofiarowane usługi i t. p., zamieścił zaś w całej rozciągłości instrukcyę udzieloną ambasadorowi (str. 7—18), a ta tłumaczyła najjaśniej zamiary króla. Było to świeżo po skompromitowaniu się Francyi przy elekcyi króla Michała; instrukcya więc zabraniała przedewszystkiem polecać na tron polski kogokolwiekbądź z familii królewskiej (króla Ludwika), a protegować tylko otwartego stronnika Francyi, księcia Neuburg (wnuka Zygmunta III.); dodawała jednak insrukcya, iż przewidywać można, że z powodów takich a takich (bardzo dobitnie wskazywanych), Polacy sami mogą życzyć Kondeusza, a w tym razie, rzecz jasna, iż obrót taki byłby najpożądańszym dla króla (stąd też może właśnie był polecany najmniej niebezpieczny kandydat) i wreszcie, iż gdyby Polacy nie życzyli Kondeusza, a obierali Piasta, i na to przystać może, ale za najkonieczniejszy obowiązek stawiło się ambasadorowi, aby nie dopuścił elekcyi

księcia Karola lotaryńskiego, zwłaszcza że obowiązkiem nowego elekta być miało poślubić królową wdowę.

Tron polski mimo trudności, jakie oczekiwały wtedy nowego króla, był przedmiotem nader licznego spółubiegania się: nie było prawie domu królewskiego w Europie, któryby nie polecał swego kandydata; między innymi był w liczbie pretendentów Wilhelm, książę Oranii (następnie król Anglii); wkrótce jednak dwie tylko pozostały kandydatury, jako mające najsilniejsze poparcie: książę Karol i książę neuburski. Sobieski, mimo świeżo odniesione zwycięstwo chocimskie, nie śpieszył do Warszawy, a znając dobrze liczbę osobistych swych nieprzyjaciół, oraz potrzebę silnej zewnątrz pomocy, zdaje się, iż nie myślał wcale o sobie, ale najszczerzej o Kondeuszu; już jednak w pierwszej depeszy przesłanej z Warszawy przez ambasadora królowi o obrocie elekcyi, biskup marsylski określiwszy w niej szczegółowo stanowiska partyi, przy końcu wyraził: »winienem wszakże wyznać WKMci, że pani marszałkowa wielka (Sobieska) oświadczyła mi stanowczo, że jeśli niepodobnem będzie zapewnić wygranej księciu neuburskiemu, ani też Jego Wysokości (Kondeuszowi), ona sądzi, że możnaby zaproponować kandydaturę jej męża«; przyczem dodał: »pan wielki marszałek jest jeszcze pod tym względem bardzo wahający się, ale pani wielka marszałkowa bardzo stanowcza *(fort ardente)*«. Znany jest prędki przebieg tej elekcyi. Przeciw księciu lotaryńskiemu była silna partya wielkiego marszałka. Poseł księcia neuburskiego był bez pieniędzy i nie życzyła go królowa wdowa. Przeciw Kondeuszowi była partya cesarska i szlachta snać powtarzała zawsze za przeszłej elekcyi tak znany (a może jeszcze od czasów Frondy przetrwał) frazes: *Non est cum Deo, qui est cum Condeo.* Świeży przytem tryumf chocimski tak był wielbiony, że pierwsze napomknienie (przez Jabłonowskiego) o ukoronowaniu zwycięzcy wywołało entuzyazm jedności, przed którym nawet opozycya Litwy (Paców) ustąpić musiała, zwłaszcza że znaczną część Litwy wcześnie już po-

ciągnął za sobą Radziwiłł (mąż Katarzyny Sobieskiej, siostry króla Jana).

Częste a długie i szczegółowe depesze tak biskupa marsylskiego, jakoteż dodanego mu wkrótce drugiego nadzwyczajnego ambasadora, margrabiego de Béthune, tak do ministra Pomponne, jak i do samego Ludwika XIV., które nastąpiły i następowały dalej bez przerwy, już po dopełnionym obiorze, są nam z jednej strony dowodem, jak żywo interesowano się wtedy na dworze francuskim tem wszystkiem, co działo się w Polsce, a z drugiej przyczynia się i do dania owych bliższych objaśnień do dziejów naszych.

Razem prawie z obiorem nowego króla rozbiegła się po Warszawie wieść zatrważająca, iż sułtan Mahomet IV., mszcząc się przegranej chocimskiej, z całą siłą swej potęgi i pomocą Tatarów zmierzał ku Polsce, iż odebrał już Chocim, zbliżał się do Lwowa, grożąc, iż zagarnie cały kraj polski po Gdańsk. Król Jan lubo przyjął obiór, nie chciał włożyć korony i złożyć swego urzędu hetmana wielkiego, dopókiby nie wypełnił obowiązków tego urzędu, to jest nie usunął nieprzyjaciela za granice kraju. Przedsięwzięcie takie z tą małą siłą, którą mógł zebrać, zdało się wprost niemożliwe; lecz taką już była ufność, którą ku sobie wzbudził, iż jak w następnych wyprawach przemagające siły Turków albo Tatarów pierzchały nieraz na samą wiadomość, iż zbliża się przeciw nim Sobieski, tak teraz nie wahali się nawet towarzyszyć królowi w wyprawie Marya Kazimiera (różna pod tym względem od Maryi Ludwiki), brat jej hr. Maligni i sam ambasador biskup marsylski na koniu. Dwie te wyprawy turecko-tatarskie, jedna przedkoronacyjna, druga następnie pokoronacyjna do zawarcia pokoju w Żórawnie, były to wyprawy, które ostatecznie oprócz pokoju nie przyniosły były dla kraju żadnej korzyści, ale które okrywały kraj, a zwłaszcza króla jego, wobec całej Europy blaskiem szczególnej chwały, a odblask tej oglądamy właśnie i w obecnej korespondencyi.

Że Ludwik XIV., jak już wspomnieliśmy, nader był

zainteresowany przebiegiem tej kampanii, że niecierpliwie wyglądał jej końca, było naturalnem. Były to, wypada przypomnieć, pierwsze lata pełnoletnich rządów tego króla. Samolubna a szczęśliwa polityka jego: zajęcie Flandryi, najazd niewinnej Holandyi, wywołały były przeciw niemu koalicyą cesarza, Hiszpanii i elektora brandeburskiego. Wojska cesarskie w liczbie 60.000 przeszły były Ren, żywotną więc teraz było kwestyą dla króla Ludwika zjednanie dla siebie przymierza króla polskiego. Instrukcye ambasadorów jasne w tym celu miały określenia, a staranność o wykonanie ich, mniejsze lub większe powodzenie w tej mierze, stanowią właśnie treść główną obecnych korespondencyj. Przeciwnikami Francyi byli cesarz i elektor brandeburski, głównym więc celem ambasadorów było wyjednanie czynnego wystąpienia króla polskiego tak przeciw jednemu, jak przeciw drugiemu. Uważać można, iż na tę ostatnią czynność król Ludwik najnatarczywiej nastawał, znajdując ją bowiem zgodną z żywotnym interesem Rzeczypospolitej, najprędzej oczywiście spodziewał się widzieć ją urzeczywistnioną. Jak był jasny i jak był logiczny pogląd tego króla na tę kwestyę, dowodem jest dotyczący jej ustęp w instrukcyi, danej ambasadorowi, marg. de Béthune. Pod dniem 14 kwietnia 1676, instrukcya ta umieszczoną jest na str. 267—273, a ustęp w niej, dotyczący tej kwestyi, tak brzmi: »Prusy stanowiły zawsze znakomitą cząstkę Królestwa Polskiego i można uważać za jedno z największych nieszczęść tej korony, które ją spotkały za Jana Kazimierza, iż konieczność zmusiła tego księcia do ustąpienia na nią zwierzchnictwa elektorowi brandeburskiemu. Jest to prawie jedyna rana, która pozostała Polsce z tej ostateczności, do której doprowadzoną była przez Karola Gustawa, i ta również, o zagojenie której iść jej winno najwięcej. Okazya ku temu zdarza się dziś najpomyślniejsza. Elektor brandeburski, zajęty wojną ze Szwecyą, nie będzie mógł biedz na pomoc Prusom bez narażenia się na stratę Pomorza, marchii brandeburskiej i reszty

swoich krain w cesarstwie, a król polski mógłby rozpocząć kampanię z nadzieją tem pewniejszego skutku, iż kraj cały z niecierpliwością znosi stratę tak pięknej prowincyi« (str. 269). I dotykanie tej kwestyi snać było nader miłe królowi francuskiemu, w raportach bowiem obu ambasadorów po kilkakroć spotykamy wtrącane z różnych okoliczności wzmianki (które tem więcej nie są bez interesu i dla nas), że i sami mieszkańcy Prus gotowi byli dopomódz najchętniej do przejścia z pod uciskających ich rządów elektora pod rządy królewskie. Przytoczymy tu parę z tych wzmianek słowami tekstu: »La Prusse Electorale et la Livonie (pisze biskup marsylski w *Pamiętniku* przesłanym Ludwikowi XIV. pod d. 1 czerwca 1674 r.), sont dans une disposition de se soulever et dans un grand désir de retourner sous le gouvernement de la Pologne, *surtout la Prusse* où l'on se plaint hautement de l'oppression« (str. 64) i w innej depeszy: »Car il est tres certain que la Prusse Ducale n'attend que l'occasion de se soulever et quand Votre Majesté voudra, il n'y a rien de si facile que d'en chasser l' Electeur de Brandebourg et d'en obliger la Pologne sous la domination de la quelle les Prussiens souhaitent impatiemment de retourner« (str. 91). Podobnie na str. 159, 171, 446 i in. Pogląd, wyrażony wyżej w ustępie, obcy ambasadorowie nie przestawali komunikować królowi polskiemu zaraz od swego przybycia i już pod dniem 11 czerwca 1675 roku zawarty został w Jaworowie traktat tajemny, podpisany z jednej strony przez króla Jana, z drugiej przez obu ambasadorów, mocą którego król Jan obowiązywał się po ukończeniu wojny z Turcyą rozpocząć kroki przeciw elektorowi, zaś Ludwik XIV. od dnia rozpoczęcia kampanii dodawać ze swej strony na koszta jej po 100.000 dukatów na każde półrocze. (Traktat ten umieszczony w całości na str. 210). Dywersya od strony Węgier również nader pożądaną była Ludwikowi XIV.; podanie Węgrom pomocy polskiej co najmniej zmusiłoby wojska cesarskie do powrotu z nad Renu. Jakoż dowiadujemy

się z korespondencyi ciekawego szczegółu, że Stanisł. Herakl. Lubomirski (znany w literaturze naszej z przydomku Salomona polskiego) zakomunikował ambasadorowi francuskiemu, że otrzymał z Węgier wezwanie do zajęcia tronu węgierskiego, i że gotów to uskutecznić w razie, gdyby miał zaręczoną pomoc od Ludwika XIV. Ludwik XIV. odpisał, iż nie ufa w skuteczność projektu Lubomirskiego, polecał jednak ambasadorowi nie zrażać go, a zarazem zachęcać do podobnego projektu króla Jana. Król Jan i tego nie odmawiał. Równie więc i w tej kwestyi, jak brandeburskiej, szło przedewszystkiem o zawarcie pokoju z Turkiem. I stąd też dojściem tego pokoju do skutku tyleż się interesowała Francya, jak Polska.

Raporta ambasadorów z czasu tych kampanij były wysyłane więc, jak wyrzekliśmy, częste i szczegółowe; z tych, które są umieszczone, nie dowiadujemy się wprawdzie o przebiegu wypadków, wielu szczegółów nowych, dlatego zapewne, iż, jak objaśnia wydawca, depesze w tym czasie były bardzo często zatrzymywane przez elektora brandeburskiego, tak, iż np. o owem sławnem zwycięstwie króla Jana pod Lwowem (z d. 24 sierpnia 1675 r.), o którem spółczesny historyk Bernard Connor w swej *History of Poland* (1698) wyraził, iż było może najznakomitszem ze znanych w jakimbądź wieku, dowiedziano się w Paryżu dopiero przez Anglią. Jakie jednak było ostateczne wrażenie z tych wypraw, objaśnić może parę wyjątków z korespondencyi, które tu powtórzymy równie słowami tekstu.

Ludwik XIV. pod dniem 7 lutego 1675 r. pisał do ambasadora: »Monsieur l'Evêque de Marseille! La lettre que vous m'avez écrite le 4 du mois *continue* à me faire voir *les progrès* du Roi de Pologne qui ne pouvaient recevoir un accroissement plus notable que par la soumission de Dorosenko qui acheve de lui assurer la conquête de l'Ukraïne. L'on ne peut sans doute regarder *les succès si grands* et si *surprénans* qu'il a remportés dans la fin de cette campagne que comme le pas qui le mène à une

paix avantageuse avec le Turc« (str. 189). Zaś w liście pisanym przez tegoż pod dniem 15 lipca (o różnych kombinacyach politycznych), znajdujemy między innemi takie zdanie: »Ja craindrais de tirer peu de fruit de toutes ces mésures, à moins que la paix faite, *un Roi Puissant comme le Roi de Pologne*, se mit lui-même à la tête d'une ligue contre l'Empereur« (str. 227). Po zawartym traktacie w Żórawnie margrabia de Béthune pisał z obozu żórawińskiego, w którym i sam się znajdował, pod dniem 26 października 1676 r. do Ludwika XIV. te słowa: »Votre Majesté verra par le plan de camps que je lui envoie et par la relation ci-jointe combien le danger était grand pour le Roi de Pologne lequel par *sa seule fermeté* et par *l'extrême valeur de ses troupes* après avoir soutenu trois septemaines (tygodnie) l'effort de prés de trois cent mille hommes, a enfin obligé ses ennemis à descendre à des conditions de paix raisonables« (str. 311). P. de Pomponne w odpowiedzi ambasadorowi wyraził, iż trudno mu nawet uwierzyć w szczegóły i dodał: »Vous jugez aisément combien de telles choses nous paraissent ici peu praticables et combien ils élèvent encore l'opinion que nous avons du Roi de Pologne« (str. 314). Powtórzymy tu jeszcze również słowami tekstu zdania, jakie znajdujemy w obecnej korespondencyi o samym pozorze ówczesnego wojska polskiego; korespondencye te dla obrazu naszej przeszłości mają niejeden rys smutny (jak np. o przedajności, o niezgodach jednostek i t. p.), nie przepomnijmy więc i tego, co się w niej z drugiej strony spotyka pochlebniejszego dla kraju. Margrabia de Béthune w jednej z depesz swych pisał: »Le roi de Pologne vit hier une partie de ses troupes et assurément *rien n'est plus beau* et plus en état de servir *que les dragons, les hussards, et la cavalerie polonaise*« (str. 153). Podobnie biskup marsylski w raporcie do samego króla: »L'infanterie ukraïnienne... jointe à la cavalerie polonaise *qui est la meilleure du monde*, pourra etc. (str. 174). Mu-

siał biskup bardzo być pewnym tego zdania, kiedy się je ośmielał wyrażać przed Ludwikiem XIV.

Po zawartym pokoju z Turcyą, nalegania ambasadorów na wykonanie traktatu Jaworowskiego i uskutecznienie dawnych obietnic stały się jeszcze natarczywsze; król Jan nie ośmielał się jednak występować jawnie przeciw cesarzowi i elektorowi, zobowiązania się więc dopełniane były pośrednio. Ochotnicy polscy pod przewodnictwem Hieronima Lubomirskiego udali się byli do Węgier, a powodzenia ich były głośne i dla podania pomocy Francyi dostateczne; dla działania zaś przeciw elektorowi zawarty został pod dniem 21 sierpnia 1677 r. traktat tajemny ze Szwecyą, mocą którego król polski obowiązał się do udzielenia pomocy Szwecyi ilością 6 do 7.000 wojsk, pieniędzmi i ułatwieniem przejścia armii szwedzkiej przez terytoryum Rzeczypospolitej, zaś Szwecya obowiązała się po zajęciu Prus książęcych zwrócić je po skończonej wojnie królowi polskiemu. Ludwik XIV. był poręczycielem traktatu (tekst umieszczony na str. 424).

Takie są ramy tych rysów, które nam przynosi wydana korespondencya pod względem politycznym; wspomnijmy teraz o tych, jakie dodaje do obrazu głównego bohatera korespondencyi, króla Jana. Wydawca, który w umieszczonym do obecnego wydania wstępie wyraził trafny i odznaczony pogląd na charakter historyczny krajowej epoki, do której się odnosi korespondencya, wyraził też i trafną charakterystykę tego króla, kiedy rzekł, iż »obok objawiającej się nie tylko na polu bitwy energii, wszystkie przymioty znakomitego sternika i niepospolitego gracza politycznego jego są przymiotami«; wszakże nie podzielamy zupełnie uwagi kończącej wstęp, a wyrażającej żal, iż »stosunek tego króla do autokraty wersalskiego polegał od początku do końca na ledwo że nie z wazalstwem graniczącej zależności«. Nie wiemy naturalnie, jaki, co do swych szczegółów, przedstawią nam obraz dalsze tomy korespondencyi; w tym dalszym ciągu jednak ma właśnie nastąpić

epoka wyprawy do Wiednia, a w tej Jan III. jak najdalszym się oczywiście okazał od przypisanego mu wazalstwa; ale i w obecnej korespondencyi, jeżeli odrzucimy dwuznaczne kwestye pieniężne (o czem niżej), nie Jan III. względem Ludwika XIV., ale przeciwnie Ludwik XIV. względem Jana III. okazuje się od początku do końca nadskakującym, starającym się o względy i czyniącym ustępstwa żądane.

Ambasador Forbin-Janson miał snać instrukcyę jednania sobie wszelkimi możliwymi środkami względów Jana III., kiedy sam autor wspomina, iż ten zdawał się więcej pełnić interesa króla polskiego, jak własnego; w wyznaczeniu drugiego ambasadora tem więcej dawała się widzieć chęć Ludwika XIV. przypodobania się Sobieskiemu, na urząd ten bowiem został obrany mąż rodzonej siostry królowej (margrabia de Béthune); cała wreszcie treść dalszej korespondencyi jest odbiciem zabiegów, starań Ludwika o wyjednanie zawarcia traktatów: pruskiego, szwedzkiego i przystąpienia do ich wykonania. Przeciwnie, ze strony króla Jana ani zapobiegliwości, ani tem więcej wazalskiego uniżania się wcale nie widać. Kiedy przesyłając Janowi III. order Ducha św. Ludwik XIV. żądał, aby to doręczenie nastąpiło solennie, w czasie koronacyi (dla okazania przed sąsiadami blizkiego związku królów), król Jan przeciwnie dopełnił go najprywatniej w Żółkwi; kiedy po pewnym czasie odwołując pierwszego ambasadora, naglił go ponawianymi rozkazami o śpieszny wyjazd, król Jan przeciwnie nie chciał go uwolnić i zwłóczył długo, nie udzielając mu audyencyi pożegnalnej. Stosownie do życzeń Ludwika, zawarł był wprawdzie Jan III. traktaty w Jaworowie i szwedzki — do wykonania ich jednak nie tylko nie przystępował, ale nawet (jak objaśniali ambasadorowie), nie okazywał chęci do przystąpienia. Listy wreszcie króla Jana do Ludwika, które znajdujemy w korespondencyi, zaczynające się od Monsieur mon Frère, są wszystkie krótkie, poważne; jakie zaś bywały Ludwika do króla Jana, przy-

toczymy tu dla przykładu ten, który był pisany przed zamierzoną koronacyą. Nie jest to wcale list pana do swego wazala. Przytaczamy tu prawie cały, z zachowaniem i ówczesnej pisowni:

»Trèz-hault, trèz-excellent et trèz-puissant Prince, notre trèz-cher et trèz-aimé bon frère et cousin. Si nous avons vëu Vostre Eslevation sur le throsne avec toute la joye, que vous deviez attendre de nostre amitié, nous ne pouvous apprendre sans un extresme plaisir que vous soyez sur le point de recevoir avec les cérémonies accoustumées la mésme couronne, qui vous a esté déférée par le consentement et l' applaudissement unanime de tous les peuples, qui vous sont soumis. Cette occasion qui va achever de faire esclater en vostre personne les marques, le plus glorieuses du rang sy eslevé où votre vertue, vos grandes qualités, et tant d'importans services rendus non moin à la chrestiente entière qu'à vostre Patrie, vous ou faict monter, nous en ouvre une bien favorable de vous temoigner de nouveau par cette lettre, combien nous sommes sensibles à tout ce qui vous touche, l'interest que nous prendrons tous jours à votre gloire et le soing que nous apporterons à affermir de plus en plus l'alliance, qui nous unit. Mais dans ces sentimens, que nous inspire l'amitié, que nous avons pour vous, celle que nous avons tous jours eue sy particulière pour nostre très chère et très aimée *soeur* la Reyne de Pologne votre Espouze faict voir avec mésme satisfaction qu'elle soit avec vous sur le point d'éstre couronnée. Elle a desjá l'avantage de porter sur le throsne avec des qualités dignes d'un sy haut rang la distinction d'une naissance illustre dans nostre Royaume, et qui luy faict conter dans sa race divers officiers de notre Couronne, mais nous sommes bien aise qu'elle en tire un nouveau du tesmoignage, que nous vous donnons, que nostre éstime est tel pour elle, que nous la régardons avec la mesme consideration, et la mesme affection que sy elle estait *notre fille*... Sur ce nous prions Dieu qu'il vous ayt,

Trèz-Hault, Trèz-Excellent, et Frèz-Puissant Prince, nostre très-cher et très aimé bon frère et cousin, en sa sainte et digne garde. — Escrit à Saint-Gérmain en Laye, le neuf jour de Novembre 1674«.

Z korespondencyi obecnej dowiadujemy się wprawdzie, iż toczyła się kwestya o używanie tytułu *Majesté* i że poseł polski w Paryżu, Załuski, pod dniem 4 września 1674 upraszał ministra Pomponne o poparcie uczynionego już pod tym względem przedstawienia do króla Ludwika, z wyjaśnieniem, iż tytułu tego używają, pisząc do króla, cesarz, król hiszpański i wszyscy inni monarchowie (str. 262). Etykieta była to główna słabość i wielkość Ludwika Wielkiego. Etykieta zaraz po objęciu władzy poróżniła go była z papieżem, z Hiszpanią; nie wiemy, czy odstępując od wzoru swych poprzedników, używał następnie do elekcyjnego króla należnego mu tytułu; zdaje się jednak, iż żądaniu temu, przynajmniej w prywatnej decyzyi, stało się zadość, obaj bowiem ambasadorowie, uważać można, w raportach swych, przesyłanych tak ministrowi, jak i do samego Ludwika XIV., przy wzmiankach o królu polskim, wyrażają się zawsze: »Sa Majesté Polonaise«, albo prosto »Sa Majesté«, a formę tę zachowywaną widzimy i przy publicznych obrzędach; jakoż po odbytej np. przez króla Jana w dniu 18 lutego 1676 r. koronacyi, biskup marsylski w te między innemi przemówił do niego słowa: »Sire, j'ai ordre du Roi mon Maistre de temoigner à *Votre Majesté* la part sensille qu'il prend à la gloire de Votre couronnement... Sire, tous les princes de la terre regardent aujourd'hui *Votre Majesté* au milieu de la gloire qui l'environne« (str. 252).

Jest także powszechnie powtarzana przez historyków wieść, że Marya Kazimiera powziąwszy w owym czasie zamiar odwiedzenia Francyi, powstrzymała się następnie od tej podróży, będąc uprzedzoną, że królowa elekcyjna nie będzie mogła odbierać w Paryżu tych honorów, jakie się zachowują dla królowej dziedzicznej; objaśnia wszakże

wydawca, iż szczegółu tego z korespondencyi dyplomatycznej nigdzie nie widać i że chociaż istotnie było interesem dworu francuskiego, aby Marya Kazimiera nie oddalała się od boku męża, o którego liczne decyzye chodziło w tym czasie, to jednak wnosi także, iż środek do tego był użyty jedynie skuteczny u Maryi Kazimiery, t. j. jakaś kombinacya pieniężna.

Nie w charakterze wazala, ale równego przedstawia się nam zawsze król Jan w stosunku do króla Ludwika, a jeżeli poważnym i energicznym daje się tu widzieć na zewnątrz, tem więcej widzimy go też takim i w domu. Listy obu ambasadorów, pisywane do swych zwierzchników, były to listy urzędowe, sekretne, a jednak widać z nich, jak zostawali zawsze pod urokiem majestatu i powagi Sobieskiego. Słowa ich były pełne admiracyi dla jego męstwa, dla jego osoby, dla każdej jego czynności. Żądania jego bywały dla nich nie prośbą, nie rekomendacyą, ale rozkazem. Margrabia de Béthune np. w liście do ministra Pomponne z dnia 14 lutego 1677 r. tak pisał: »A Varsovie je trouvai *un ordre* de Roi de Pologne de me rendre incessamment a Joulkief... et ensuite une lettre par où il *m'ordonnait* de voir M. Paëtz (Pac)« (str. 352). Po przybyciu pierwszem do Warszawy tenże tak króla określał: »On ne peut assurément trouver dans un même prince tant de *grandes qualités*. Je vous peut dire qu'il est universel« (str. 110). Niektóre korespondencye (jak to zaraz wspomnimy), przedstawiały go nawet jako przedmiot bojaźni powszechnej, jako tyrana, ale i w jednej z korespondencyj samego margrabiego Béthune czytamy np. taką wzmiankę: »Wieść o intrygach posłów cesarskiego i elektorskiego (o powstrzymanie sejmu od ratyfikacyi traktatu szwedzkiego), tak rozgniewała króla, iż posłał do pierwszego rządcy swej kancelaryi z oznajmieniem, iż cofnie wypłatę pensyi siostrze cesarskiej, a posłowi brandeburskiemu Overbekowi zapowiedział, iż jeśli się sprawdzi, że jest autorem tych pism

buntowniczych, o które jest obwiniany, rozkaże go aresztować, bez względu na nic« (str. 355).

Nawet powszechna opinia o stosunku króla Jana do żony uledz musi pewnej modyfikacyi. Król ten, który się nie bał Turka, zdaniem dotąd powszechnem, tracił całą odwagę przed małżonką, jej rozumem i wolą rządził się tylko. Jeden z historyków naszych pisał: »Mówią o sławnych miłościach Hery i Leandra, Abelarda i Heloizy, Laury i Petrarki, ale znamy jedną tylko *historyczną*, szaloną, przechodzącą wszystko na świecie miłość, to miłość Jana Sobieskiego do Marysieńki. Lata, obozy, służba ku ojczyźnie, tego uczucia w nim nie stłumiły, nie umiarkowały. Obywatel niknął zawsze w Sobieskim przed kochankiem«. Korespondencya obecna nie potwierdza w zupełności tego obrazu. Marya Kazimiera, która w listach swych mianowała zawsze męża: »król, mój pan« (Roi Monseigneur), widzieć można, iż nieraz zmuszoną bywała słuchać go mimo woli, iż nieraz wcale nie bywała pewną jego miłości, iż przychodziło nawet nieraz między małżonkami do poróżnień stanowczych. Ciekawe mianowicie pod tym względem szczegóły mieszczą listy jednego z półurzędowych korespondentów, znajdujące się w zbiorze obecnym, pana de Baluze. Pan de Baluze był to, jak wspominaliśmy, rezydent francuski przy dworze króla Michała. Dziś malkontent, a stąd pessymista, w listach do dawnego zwierzchnika swego, ministra Pomponne, starał się zrazu dawać do zrozumienia, iż jako znający od dawna kraj i jego język, byłby użyteczniejszym królowi, niż jego następcy; gdy jednak to skutku nie miało, usiłował to wszystko, co posłowie kreślili biało, malować czarno; w listach jego mogła więc być niejedna stronność, przesada, wszakże i w każdej bajce, jak się to słusznie powtarza, bywa zawsze i jakaś część prawdy, a listy p. Baluze snać nie były uważane za bajki, skoro, jak to widzimy, zachowane zostały w archiwum państwa. Listy te, zwracając się z natury swojej więcej do szczegółów prywatnych, jak urzędowych,

a dotykając dworu, zwracały się tem samem do stosunków prywatnych króla, stanowiska królowej, kreśliły ich charakter, ich stosunki wzajemne i t. p.; bywały one, być może, nieraz odbiciem plotek, lecz widzieć można, jaki kolor miewały te plotki. Przytoczymy z nich kilka wyjątków.

W liście z dnia 27 września 1675 r., w czasie pierwszej kampanii przedelekcyjnej, p. Baluze tak pisał między innemi: »Król polski zawsze jest w najgorszym humorze. Wyjechał on ze Lwowa wbrew zdaniu wszystkich *i nie zważając na łzy* i przedstawienia królowej. Nikt nie śmie mu się sprzeciwiać, bo wszystkich łaje bez różnicy«. Następnie w jednej z swych korespondencyj z Warszawy pisze te słowa: »Zazdrość królowej pochodzi z dwu źródeł: z miłości króla i miłości władzy; nie więzi już ona króla przez pierwszą, a druga umyka jej z rąk. Stosunki wzajemne ich królewskich mości bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Siostra królewska (Katarz. Radziwiłłowa) nienawidzi śmiertelnie królowej, a ta z swej strony sądzi, iż ją złapała odkrywszy, iż lubi się *rozrywać*« etc. Zaś w liście z dnia 5 czerwca 1676 roku obszerniej pisze o tem wszystkiem, w tych słowach między innemi: »Król ma sobie za prawidło nie czynić tego, czego chce królowa; objawia głośno, że każdy, mając interes, ma się udawać wprost do niego, a nie do królowej, albo do kogobądź. Królowa wie o tem i widzi, że się już nie udają do niej. Co najmniej, zdolne to jest wywołać melancholię. Jedna z jej pokojówek opowiada, że ostatni jej wybuch był gwałtowniejszy nad inne, i że jeżeli tak dalej potrwa, nie wytrzyma. Napróżno królowa pani cztery godziny co dnia trawi przy toalecie i do wszelkich ucieka się środków, aby się przypodobać królowi: on nią gardzi i poniewiera okrutnie. Jest też on takim dla wszystkich, to też wszyscy go nienawidzą i poczytują za tyrana i dzikie zwierzę. Jego chciwość i jego zły humor są bezprzykładne. Bierze on obu rękoma, nie daje nic i bije lub rozkazuje obijać za rzecz najmniejszą; stąd też nie ma nigdy nikogo w jego

komnacie prócz 8-miu do 10-ciu małych chłopców, Kozaczków, Wołoszynów i Tatarczuków. Sądzą tu powszechnie, że jego królewska mość radby bardzo owdowieć, aby następnie zostać szwagrem cesarskim, oszczędziłoby mu to 200.000 dukatów rocznie, które teraz wypłaca Eleonorze« (str. 263).

Były to szczegóły, powtarzamy, może trochę przesadne, nie musiały być jednak całkiem bezzasadne, znajdują bowiem w części potwierdzenie i w listach szwagra królowej, margrabiego de Béthune. Ambasador ten, pisząc jeszcze pod dniem 12 sierpnia 1674 r. do króla, a wspominając o Maryi Kazimierze, wyraził między innemi: »Nie jest ona zawsze panią umysłu swego męża, jednak...« etc. A w liście z d. 14 listopada 1677 r. do p. de Pomponne: »Przybywszy do Gdańska, dowiedziałem się, że królowa polska *nader się poróżniła* z mężem *(estait extresmement brouillée avec son mary)*. Chociaż królowa jest osobą nader oświeconą, jest ona kobietą, panią, i z urodzenia zawistna i zazdrosna« etc. (str. 351). Wyrażenia o gwałtownym humorze króla w depeszach p. de Baluze bardzo często się spotykają, jak np. w liście z dnia 30 kwietnia 1677 r.: »L'humeur du Roi de Pologne est severe et emporté sans exemple; tout tremble, personne n'ose lui parler« (str. 386). Podobnie pod d. 21 maja tegoż roku: »L'humeur du Roi de Pologne empire tellement, que tout le monde en tremble; la violence succede à l'emportement«.

Cóż było powodem głównym owych zajść pary królewskiej? P. de Baluze objaśnił, że ze strony królewskiej był wstręt, ze strony królowej zazdrość. Margr. de Béthune także wzmiankuje o zazdrości; patrząc jednak na długą następną i zdaje się najszczerszą zgodę małżonków (listy króla, Załuski), a z drugiej strony na główne źródło wszystkich czynności i namiętności Maryi Kazimiery, zdaje się, że jak źródłem stanowczego poróżnienia się jej z siostrą (margrabiną B.), tak i powodem jej zajść z mężem być musiały jakieś porachunki pieniężne. Jan III. nim wstąpił na

tron, a przynajmniej nim pojął Maryę Kazimierę, był rozrzutnym. Szajnocha wykrył, że ciążyły na nim nawet trzy wyroki sądowe, skazujące go na banicyą za niewypłacalność. Małżonka nauczyła go namiętności przeciwnej, oszczędności i zbiorów. Kasę osobną miał król, osobną królowa, przy zwiększanych na tronie źródłach dochodów i źródłach wpływów, kolizye mogły nastąpić łatwo, a namiętność wieść musiała do namiętności. Sobieska, będąc jeszcze wielką marszałkową, pobierała od rządu francuskiego pensyę, równie jak inni rządu tego stronnicy (Jabłonowski, Morsztyn, Pac i in.), nie chciała jej odstąpić, i owszem dopominała się o nią i teraz, gdy była królową. Dobra sława Maryi Kazimiery w jej stosunku pieniężnym do dworu francuskiego, według dzisiejszych wyobrażeń naszych, wcale nie była czystą. Być może, iż mąż jej, co do tego stosunku, wpoprzek z nią stawał, być może, iż chciał w nim mieć udział. Lecz ta kwestya datków od obcych rządów, praktykująca się w kraju od kilku wieków, a wyjaśniająca się dzisiaj, zbyt jest dziwaczna i smutna, iżbyśmy przy dotknieniu jej kilku zarazem słów i uwag bliższych nie poświęcili.

W kronikach, pamiętnikach i innych źródłach, znajdywaliśmy wprawdzie nieraz wzmianki o przedajności i przekupstwie partyj, zwłaszcza w czasie bezkrólewia i elekcyi, te jednak, jako ogólne, mniej były rażące; lecz oto rozjaśnianie dziejów w ostatnich czasach z czerpaniem szczegółów z ministeryów spraw zagranicznych, z korespondencyi ambasadorów, a mianowicie: rosyjskich z końca ostatniego stulecia, cesarskich z czasów elekcyi w wieku XVI. i obecnie francuskich, powykrywało całe imienne listy osób płatnych. Wiele wprawdzie zapewne odnieść się musi do sumienia samych ambasadorów, dla których te potrzeby i konieczności ofiar, o których donosili, mogły zapewne bywać źródłem i korzyści ich własnych. Kiedy np. margrabia de Béthune w jednej ze swych korespondencyj, o których tu mówimy, tłumaczy się, iż dla prze-

szkodzenia, aby sejm nie był przewleczony do Zielonych Świąt, zmuszony był ofiarować trzem członkom po dukatów 600, a stolnikowi koronnemu, który rozporządzał 50 ciu głosami 1.000 duk., kto zaręczy, iż nie zaspokajał z tego źródła i własnych potrzeb, na które co chwila użalał się w tychże raportach. Raz wyraziwszy: *la nation étant accoutumée comme elle est à prendre des gratifications de qui elle peut en avoir* (str. 124), frazesem tym zastawił się jak kwitem od wszelkiej odpowiedzialności za rachunki, które kłaść życzył. Lecz nie przecząc możności nadużyć, niepodobna zaprzeczyć i faktom, którymi były jawne działania partyzantów. Okazuje się z tych, iż jak nie było prawie w kraju magnata i dygnitarza, którzyby w ciągu trzech wieków nie pobierali już stałych pensyj, już darów jednorazowych, od obcych rządów, tak z drugiej i prawie żadnego szlachetki, któryby nie korzystał już z większych, już mniejszych datków. Obraz taki istotnie był wyjątkowym w *historyi powszechnej*, a był on skutkiem wyjątkowych śród kraju urządzeń. W kwestyach elekcyi króla, pokoju i wojny, w każdej owszem większej wagi politycznej, wyrzekał u nas sejm, czyli reprezentacya szlachty krajowej. Ambasadorowie obcych rządów w tych wszystkich kwestyach udawali się nie do króla, nie do kanclerza (ministra), ale miewali posłuchanie i czekali decyzyi od sejmu. Każdy możniejszy szlachcic w każdej sprawie mógł znaczną przynosić pomoc, a każdy bez wyjątku mógł szkodzić (samem zerwaniem sejmu). Pensye, prezenta, przejednania i t. p., które w innych krajach zwracały się tylko do najsilniejszych ministrów, tu spadały kolejno, ledwo nie na każdego ze szlachty. Stąd też wziątków podobnych nie tylko nikt nie żenował się w kraju, lecz owszem przechwalał się nimi.

Trafną jest pod tym względem uwaga wydawcy obecnej pracy: »Od króla przez sejm, od sejmu przez *liberum veto* niepodległym uczyniony, był on (t. j. każdy szlachcic) królikiem udzielnym. Kondotyerem był w gruncie rzeczy

politycznym, ale do tych najemnych stosunków nie przywiązywał żadnego sromu. Zaszczycały go one owszem w jego rozumieniu, podnosząc go do stanowiska *potencyi politycznej« (Wstęp)*. Jakie były następstwa dla kraju upowszechnienia takich zwyczajów, takich poglądów, okazały to fakta. Dlaczegoż np. w latach, o których mówimy, nie doszedł był do skutku traktat przeciw elektorowi? Oto, iż, jak objaśniał Sobieski ambasadorom, większość senatu składała się ze stronników cesarza i pobierających płacę od elektora. Interes własny łatwo kazał zapominać na krajowy, kazał oceniać ten ostatni z własnego, a więc fałszywego stanowiska, psuł punkt widzenia jednostek, a jakie stąd ostatecznie wyniknąć musiały skutki, to objaśniło ostatnie rozwiązanie. Wszakże potępiając najsilniej stronę ujemną tego stanu rzeczy, równie silnie zarazem wypada zaprzeczyć, iżby ten stan był jakąś stanowczą plamą charakteru narodowego, iżby go poniżał wobec innych. Łaknienie zysku i nagród jest to rys nader znany i jest spólny wszystkim jednostkom ludzkim. Jeżeli nie widzimy przykładu, iżby w innych krajach prywatne jednostki przyjmowały datki od obcych rządów, to dlatego, iż nie widzimy zarazem, iżby w tych wszystkich krajach obce rządy dawały co prywatnym jednostkom. Wiemy przeciwnie o pobieraniu przez ministrów najpotężniejszych krajów w czasie wielkiego znaczenia wojen, pensyj obcych. Znane są równie przekupstwa elektorów niemieckich przy obiorze cesarzy; jawne np. targi każdego z nich przy obiorze Karola V., a Ludwik XIV. nie gorszył się zapewne, gdy wysyłając do Polski biskupa marsylskiego, musiał go zaopatrzyć w trzos, dla zjednywania marszałków i hetmanów, gdy świeżo podając się sam do elekcyi cesarskiej (1658 r. po Ferdynandzie III.) miał już zjednanego dla siebie złotem palatyna Renu i wogóle trzech elektorów.

Instytucye podobne naszym wywoływały też i w innych krajach podobne skutki. Wydawca obecnego zbioru dotykając tej kwestyi, przypomina we wstępie iż »w An-

glii Karol II. i Jakób II. byli pensyonarzami Ludwika XIV.; a przesiadujący w Londynie ministrowie francuscy jawnie rozporządzali większością w obu izbach; przytacza też zdania Macaulaya i Buckla, iż królowi Wilhelmowi (księciu Oranii) »z trudnością byłoby przyszło między krajowcami znaleźć jednego męża, na którymby mógł polegać, iż nie zaprzeda więcej ofiarującemu powierzonych mu interesów« (str. 20).

Górnicki w »Dziejach Korony polskiej« wspomina, iż gdy raz królowa Bona rozgniewana o coś na Zebrzydowskiego zawołała: »Ty, ty, który biskupstwo kupiłeś«, ten odrzekł: »bo było *sprzedawane*«. Marya Kazimiera (naśladowniczka we względzie sprzedaży urzędów Maryi Ludwiki, swej niegdyś pani), rzekła do Małachowskiego, biskupa chełmińskiego: »Księże biskupie, załóżmy się, że będziesz biskupem krakowskim«. Zakład stanął o 50.000 talarów. W kilka dni Małachowski otrzymał nominacyę, a królowa wygrany zakład. U Brühla była taksa na wszystkie urzędy i starostwa i ogłaszały się targi. Włosi, Francuzi, Niemcy, bezpośrednio nauczali nas przedajności, będąc przedajni sami. Charakter narodowy popsutym się stawał, lecz tylko w pewnej mierze. Dzieje nasze, w przeciągu kilku wieków, składały się prawie wyłącznie z szeregu bitew, obrony fortec, a niema śladu, iżby która bitwa, która forteca była kupiona złotem. Złoto cesarskie i złoto francuskie nie zapobiegło, aby na królów nie byli obierani ci, dla których imienia kraj miał wdzięczność lub podziw, chociaż ci nic nie dawali (Wiśniowiecki, Sobieski, dawniej Batory), nie zapobiegło, iżby do skutku nie dochodziły obrady, nawet za ostatnich dni kraju i t. p. Klęską jednak było spaczenie wyobrażeń moralnych, sądu jednostek, jednostek równie w zagrodach, jak i na tronie: fakta to także. Marcin Matuszewicz, szlachcic drobny, wzmiankując w swych Pamiętnikach, iż dostał był datek od jakiegoś agenta ambasady francuskiej, iżby stać przy partyi Zabiełły, dodaje: »Niektórzy takie wziątki poczytują za zbrodnię, cóż za zbro-

dnia, jeżeli biorę nagrodę od kogoś za usługi, które mu oddaję, a które narażają mię nawet skądinąd na straty?«. Tak słowo w słowo rozumowała właśnie i Marya Kazimiera. W archiwum francuskiem przechował się jeden z jej listów (przedstawiony przez marg. de Béthune jako anneks), który obejmuje właśnie to jej ciekawe rozumowanie i którego treść tu powtórzymy. Marya Kazimiera, jak dopiero wspomnieliśmy, będąc marszałkową wielką, pobierała pensyę francuską 20.000 fr. W roku 1677 szło mocno Francyi o zawarcie traktatu szwedzkiego, wyżej wzmiankowanego; margrabia de Béthune wziął więc, dla przypomnienia się, za pretekst dzień imienin królowej i w wigilią, t. j. 14 sierpnia, przesłał jej piękny prezent, dołączając do tegoż i całkowitą pensyę roczną 20.000. Jakżeż mu podziękowała królowa? Ambasador zaraz nazajutrz otrzymał od niej liścik, w którym zgóry dziękowała mu z gracyą za pamięć i prezent, lecz dalej zwróciwszy uwagę, iż suma, którą otrzymała, jest w dukatach, według kursu, jaki mają w Paryżu, więc właściwie jest mniejszą o kilkaset franków i że stanowi zaległość z jednego roku, nie trzech, dodała: »iż widzi się zmuszoną odesłać i otrzymaną pensyę i dyplom na pensyę, gdyż byłoby dla niej *wstydem* (cóż?), gdyby się kiedy dowiedział świat i małżonek, pan jej, iż będąc królową, przyjęła pensyę, która i dla wielkiej marszałkowej nie była wielką, i to jeszcze w zmniejszonym walorze«. W końcu dodała jednak, że mimo to uczucia jej dla dworu francuskiego zostają niezmienne, i prosi ambasadora, aby przyszedł przekonać się o tem osobiście, a czekać go będzie z traktatem szwedzkim w ręku. Ambasador zrozumiał list; za obaczeniem się, jak objaśnia w raporcie, królowa dołączyła wyrzuty, jak niewdzięcznym jest rząd francuski, gdy ona dla interesów jego naraziła siebie i los swych dzieci na nienawiść partyi. W rezultacie więc otrzymała dwuletnią pensyę z poprawką według kursu, a traktat szwedzki został podpisany.

Powiedzieliśmy, iż zdaniem naszem poróżnienie się

pary królewskiej najprędzej mogło być z powodu rachunków wzajemnych; była to bowiem jedyna namiętność Maryi Kazimiery, a wyrażenia margrabiego de Béthune o zazdrości są ciemne, i gdy miesza do tego i siostrę królowej i brata i biskupa marsylskiego, tedy wnieść można, iż mowa tu jest o zazdrości w korzyściach, nie osób. Zdaje się jednak także, że co do stosunku kasy żony do dworu francuskiego, król podzielił następnie jej punkt widzenia, a jakkolwiek zwyczaj prezentów między monarchami trwa w części w różny sposób i dotąd, jednak z punktu widzenia dzisiejszego król Jan niezawsze całkiem był bezwinnym, np. gdy razem z królową przesyłał osobny memoryał, wyliczający przysługi, jakie uczynił dworowi francuskiemu (str. 469). Interesa podobne nieraz się spotykają w korespondencyi; i to właśnie było może powodem, iż wydawca widział w nim rodzaj wazalstwa. Sobieski jednak, jakkolwiek miłośnik zbiorów, pewnem jest, iż dobrze wyżej kładł zawsze miłość kraju nad miłość zbiorów. Jakichże nie skąpił prezentów dla Tatarów i Turków! A jak w początkach elekcyi wielkie ofiary cesarskie nie odwróciły go od partyi francuskiej, którą uważał za korzystniejszą dla kraju, tak następnie wielkie ofiary francuskie (przez posła Vitry, szczegóły czego poznamy zapewne bliżej z następnych tomów) nie odwróciły go od przymierza z cesarzem, gdy raz je za korzystne dla kraju uznał. Nie widzimy więc, powtórzmy raz jeszcze, w obrazie, który otrzymaliśmy, obrazu wazalstwa, i owszem przedstawia się on nam jako kierowany ręką możnego króla, samodzielnie i świetnie. »Donosicie mi, pisał z jawną radością Ludwik XIV. pod d. 17 grudnia 1676 r. do margrabiego de Béthune, że król polski trwa stale w obietnicy wykonywania traktatu naszego, że nie dał się zachwiać przez ofiary, które mu czynią cesarz i elektor, zaręczając mu powrócenie trzech województw inflanckich« (str. 346). Francya, Cesarstwo, Brandeburg, Dania i Szwecya dobijały się, jak widzimy, w tym czasie o przyjaźń i przymierze z królem Polski; były to

zapewne ostatnie już czasy blasku, ale jednak istotnego jeszcze blasku w jej dziejach. Znikł on stanowczo dopiero od Augusta II.

Takie są główne rysy, które wydana obecnie korespondencya podaje do pierwszych lat panowania Sobieskiego pod względem polityki; mieści ona naturalnie i inne liczne szczegóły, pośrednio tylko do polityki należące, a które nie mogą nie zajmować. Do takich np. odnieść się może drażliwość Jana III. z powodu nieudzielenia przez Innocentego XI. godności kardynalskiej biskupowi marsylskiemu, pomimo kilkakrotne przedstawienia królewskie, i dobitne w końcu jej wyrażenie w liście do kardynała Orsini (str. 235—239); (dodajmy tu, że przy końcu panowania swego Jan III. oglądał 4-rech kardynałów z swej ręki, i w swym kraju; byli nimi: tenże biskup marsylski, teść królewski margrabia d'Arquien, Denhoff i Radziejowski); sprawa kawalera Brisacier, której autor obszerny ustęp poświęca; kawalera tego, dla którego Jan III. na instancyę Maryi Teresy chciał wyjednać tytuł *duca*, a którego Ludwik XIV. wydalił z kraju, pisarze francuscy (Coyer, Salvandi), podają domyślnie za syna naturalnego króla Jana; autor zaś (i sądzimy zasadniej, tak z powodu urazy Ludwika, jak i *inicyatywy* idącej od jego żony) za faworyta Maryi Teresy; projekt traktatu handlowego z Polską ciekawy z powodu wyliczenia licznych produktów polskich, które, zdaniem ambasadora, staćby się wtedy były mogły przedmiotem handlu zamiennego (str. 318) i t. p.

Wydawca obecnej publikacyi, p. Kazimierz Waliszewski, jest jednym z reprezentantów młodej naszej szkoły historycznej. Przyjaciel dokładności faktów, pracowitości, przyjaciel tej przeszłości, której dotyka, jest też zarazem nieprzyjacielem optymizmu w kreśleniu jej. Im bardziej były świetne te chwile, o których miał w swej pracy wzmiankować, tem więcej lękał się szkodliwego ich wpływu na wyobraźnię, stąd mówi między innemi: »Takie na wielką miarę zakrojone postacie, jak niedawno Czarniecki, jak teraz So-

bieski, zawsze wyjątkowo się przedstawiają. Ich zaś pojawienie się w epoce, w której napróżnobyśmy szukali podobnych u wielu sąsiadów, to najczystsze źródło ówczesnej chwały naszej, ale także źródło dzisiejszych najszkodliwszych iluzyj. Jednostkami są te postacie, i to jednostkami wyjątkowemi tylko«, — a nadto dodaje: »Naród poza dynastyą (monarchą) był tu tylko piramidą monstrualną kilkunastu milionów chłopstwa, pracującego dla kilkukroć stu tysięcy szlachty, hołdującej kilku dziesiątkom magnatów, nie hołdujących pospolicie niczemu, jak tylko własnemu interesowi«. Obraz to naturalnie przesadny, lecz z wielu względów wierny, a lekcya, lubo gorzka, z wdzięcznością słuchać się może, skoro autor oddaje też zarazem *suum cuique*.

Z zajęciem wyglądamy ukazania się dalszych tomów *Archiwum*, t. j. zaczętej *Korespondencyi* [1], a to tem więcej, iż z jednej strony zawarty wkrótce traktat w Nimwedze, który przywrócił pokój Francyi, a z drugiej przymierze króla Jana z cesarzem Leopoldem, wpłynąć musiały z gruntu na zmianę charakteru stosunków obu dworów.

1880.

[1] [Dwa dalsze tomy tego wydawnictwa wyszły dopiero po śmierci Tyszyńskiego, 2-gi w r. 1881, 3-ci w r. 1884].

V.

DARWINIZM I POZYTYWIZM

W TREŚCI PISM NASZYCH.

(Materyalizm wobec nauki, przez dr. Stefana Pawlickiego. 1870, Kraków. — Prawo postępu, studyum przyrodniczo-społeczne przez Ludwika Masłowskiego. 1872. Kraków. — Przegląd dziejów przyrody. Studya filozoficzne, przez dr. Wincentego Szyszłło. T. 2. 1872, Warszawa).

Darwinizm i pozytywizm, te dwa brzmienia pierwszej głośności w spółczesnym nam naukowym świecie, nie są bez echa i w naszej literaturze. Jaka jest rzeczywista wartość tych systematów? na to jest odpowiedzią w części już samo to ich następstwo — głośność. Jak pojmowane są u nas? i jaki, zdaniem naszem, powinienby być na nie pogląd właściwy? na to właśnie chcemy tu wskazać.

Darwinizm i pozytywizm (mówimy tu naturalnie nie o pozytywizmie Schellinga, ale szkoły A. Comte'a) równie u nas, jak wszędzie, zyskały w ciągu tych lat ostatnich i wyznawców i przeciwników. Wyznania te i napaści przedstawiają się też i u nas jak wszędzie w różnych odcieniach; nieraz ślepogromiące lub ślepowielbiące, ukazują się też niekiedy i w szacie rozumowanych poglądów. W liczbie tych, trzy mianowicie wybijają się dobitnie różne kierunki: jeden, który potępia bezwzględnie darwinizm i pozytywizm, a razem z nimi i wszelkie badania materyalne, drugi, który przeciwnie uwielbia darwinizm i pozytywizm, a potępia bezwzględnie wszelkie badania duchowe; trzeci wreszcie,

który uwielbia zarówno darwinizm i pozytywizm, jak i duchowe prawdy, i wnosi: iż postęp istotny zależy na połączeniu i pogodzeniu jednych i drugich.

Trzy pisma, których napisy wyżej przywiedliśmy, są właśnie wyrazem i odbiciem tych trzech kierunków i w tejże właśnie kolei; dwa pierwsze są to traktaty w części pobieżne i ogłoszone jako odbicia osobne z pism czasowych, trzecie jest publikacyą oddzielną i wypracowanem dziełem w gałęzi swojej; wszystkie trzy mają jednak tę spólność, iż zdania swe wyrażają jasno, dobitnie i z wyrozumowaniem swych zasad.

Przytoczymy tu po kolei w skróceniu treść tych pism. Przytoczenie to poznajomi właśnie czytelnika z treścią głównych kwestyj przedmiotu; dodane zaś następnie zdania o każdem będą też wyrażeniem wniosków i o przedmiocie samym.

Materyalizm wobec nauki jest to traktat niezbyt obszerny, podzielony na paragrafów czyli rozdziałów VIII, a w tych granicach autor, lubo treściwie, lecz wiernie wzmiankuje o głównych wypadkach spółczesnej przyrodniczej umiejętności i na czynione przez nią zarzuty pojęciom duchowym wyraża odpowiedź.

§ 1. Z początkiem XIX wieku w nauce europejskiej zakwitnął był idealizm. Hegel i jego szkoła panowały najwyżej i rażące światło rzucały; lecz nagle, lat temu 30 światła owe pogasły, nastała ciemność, a drobne gwiazdy, które zastąpiły te światła chwilowe, błyszczą, »ale jak w nocy bez księżyca nie oświecają ziemi«. Te drobne gwiazdy są to dzisiejsi (1870) materyaliści niemieccy, a mianowicie stojący na ich czele: *Moleschott, Karol Vogt, Büchner, Locwenthal* i inni. Głównym winowajcą i sprawcą takiego skutku jest Hegel sam, t. j. jego zasady, które loicznie rozwijane wydały podobny skutek. Materyaliści: Ludwik *Feuerbach,* który w końcu wyznał, iż oślica Balaama była mędrszą, niż głębocy filozofowie, jego mistrzowie, i że jedynym istotnym Bogiem jest ludzkość; Max

Stirner, który dowodził, iż i Feuerbach był bałwochwalcą, bo wierzy w ludzkość, i Arnold *Ruge*, który i ateuszów uznał za bałwochwalców, bo wierzą w system, byli to zrazu Hegliści, najgorliwsi wyznawcy Hegla. Materyaliści dzisiejsi to uczniowie uczniów. »Ostatniem słowem, mówi p. Pawlicki, spółczesnego nam materyalizmu jest główne dzieło Büchnera: *Siła i Materya*. Autor ten usuwając wszelkie nauki i wyobrażenia duchowe, za jedyną istnącą prawdę przyjmuje« byt odwiecznej materyi, która w odwiecznym będąc ruchu wydała świat ten i wszystko na nim«. »Ale, aby ocenić wartość podobnych zasad materyalistów, dosyć jest, uważa autor, porównać ich twierdzenia, z rezultatami ich nauki«.

§ 2. wykłada system kosmogonii według Laplace'a i wychodzącą z niego teoryę Büchnera. »Byt jest ciągłą przemianą materyi: co być nie może zniszczonem, nie mogło też nigdy być poczętem czyli stworzonem«, ale nauka istotna, zapytuje autor, czyliż może podobnie twierdzić? Aby twierdzić, iż materya nie miała początku, trzeba najprzód wiedzieć, co jest materya? a cóż jest istotnie materya? Gdybyśmy nie mieli ani zmysłu widzenia, ani dotykania, a tylko zmysł słuchu, tedy sądzilibyśmy, że materya jest to tylko zbiór tonów, a jednak tak nie jest. Źródłem utworów i zjawisk świata, uczy Büchner, jest i jest tylko wyłącznie *ruch* i jego następstwa. Ruch wydaje pierwiastki czyli *siły*, takie jak światłość, elektryczność, magnetyzm, ciepło i t. p. Jak materya nie ginie, tak i siła, ale z jednej przechodzi w drugą. Moleschott wykazywał, jak z ciepła idzie elektryczność, z elektryczności magnetyzm i t. p. I materya i ruch tak nie miały początku, jak mieć nie będą końca. Ale *nauka*, uważa autor, nie ma prawa twierdzić, iż ruch nie miał początku; »nauka zna tylko materyę w ruchu i o niej twierdzi z wszelką pewnością, iż sama sobie ruchu tego nadać nie mogła«; a nadto nauka twierdzi, iż fakta ruchu wydają w końcu ustanie ruchu (czyli wieczny pokój), jak to przedstawia w skróceniu a w dowodzie pra-

ktycznym granit; co więc może mieć koniec, mogło mieć i początek.

§ 3. Materyalizm odrzucając Stwórcę, dopuszcza powstanie istot, albo przez samorodztwo, albo przez wyniesienie się ich stopniowe z jednego gatunku; autor w paragrafie tym rozbiera kwestyę samorodztwa i wykazuje, iż to jest ułudą i że ci nawet, którzy ogłosili fakt otrzymanego samorodztwa (jak np. *Cohn* z Wrocławia, *Cieńkowski* i inni), po bliższem doświadczeniu odwołali swoje twierdzenia.

§ 4. wykłada teoryę Darwina; »jest to — mówi autor — fabrykant angielski, w którym jest wiele szlachetnego i wiele lichego metalu«. Darwin zająwszy się wykładem przyczyn rożności gatunków zwierzęcych, wyłożył pierwszy trafnie i z nawałem erudycyi zoologicznej, iż przyczynami temi są: *walka o byt* i *wybór naturalny;* wskutek tych przyczyn zwycięstwo zostaje przy przebieglejszych; słabsze indywidua giną, silniejsze wydają nowe potomstwo, które odbijając cechy tej przebiegłości, okazuje się też i z odcieniami zewnętrznej zmiany. Wnioski te (uważa autor) są prawdziwe, ale następuje strona słaba. Darwin udowodnił tylko możliwość zmiany ras jednego gatunku, a zakonkludował, iż ukształcać się i wyradzać podobnie mogły gatunki z gatunków, iż owszem należy wnieść, iż te wszystkie gatunki istot, jakie widzimy, wyszły z kilku typów pierwotnych, a najprawdopodobniej i te kilka z jednego. Darwin wyraził wprawdzie w swem dziele (głoszącem tę teoryę), iż ów pierwszy gatunek wyszedł z rąk Stwórcy, i swej teoryi rozwoju nie rozciągnął do ludzi, ale materyaliści pochwyciwszy ją, dodali wniosek: iż z ostatnich rozwojów zwierzęcych wyszedł i człowiek, i że podobnie jak w utworze dalszych rodzajów, tak i najpierwszego niepotrzebnie jest dopuszczany udział Stwórcy.

§ 5. Teorya Darwina najskwapliwiej została pochwycona i najpracowiciej rozszerzana w Niemczech. Mianowicie Büchner i Karol Vogt z taktyką, »w której, mówi autor,

nie wiedzieć co więcej podziwiać, czy *savoir faire* szarlatanów, czy wytrwałość sekciarzy, rozpowszechniali i dziś jeszcze rozpowszechniają tę cudacką teoryę«, i »poważną togą wielkich uczonych, chcą zakryć swe zużyte, wyszarzane, komedyanckie odzienie« (63). Autor mówi następnie o tem powtarzanem twierdzeniu przez materyalistów, iż różne cechy zwierząt nie dlatego istnieją, iżby je Stwórca miał przeznaczyć dla pewnych celów, lecz że wyrobiły je same; przypomina powszechnie uznawane dowody istnienia Stwórcy, wtrąca myśl, iż gdyby nawet nowe dowody poparły hipotezę Darwina, jest to jedno, »bo dla potęgi i mądrości Stwórcy również było łatwo stworzyć każdy rodzaj z osobna, jak kilka typów, i nakreślić prawa dalszych rozwinień«, i zwróciwszy wreszcie uwagę na pełne zawsze czci dla Boga i religii pisma wielkich uczonych: Keplera, Newtona, Pascala, Leibnitza, dodaje: »teraz na miejsce owych mężów pracy i modlitwy stają szarlatani bez zasad, bez nauki, bez dobrej wiary« i »szydząc z tego, przed czem wielcy mistrzowie schylali czoła, prawią o ukrytych zamiarach materyi... o misternem powstawaniu istot z odwiecznego łona natury, o idei, która rozwój światów popycha do postępów w nieskończoności. Szalbierze!« (str. 80).

§ 6. zajmuje się kwestyą duszy. Niektórzy naturaliści dzisiejsi nawet z najznakomitszych, jak *Liebig, Claude Bernard, Wagner* i inni uznają jej pobyt samodzielny, ale większość uważa ją jako własność ciała i nierozłączność od ciała, »najprzedniejszym albowiem przedmiotem duszy jest myślenie, a myślenie jest niemożliwe bez mózgu i bez fosforu w mózgu«. Autor odpierając ten zarzut, zwraca uwagę, iż jakkolwiek zaprzeczyć nie można, że dusza z wielu względów zależy od ciała, ale i to jest faktem, że ciało zależy od duszy; radość, boleść, gniew i t. p. wybijają się na twarzy człowieka. Materyalne wywody o myśli są tylko wielką hipotezą. Moleschott wyrzekł sławne zdanie: »bez fosforu niema myśli«; a Liebig uczynił wskutek tego uwagę, iż w takim razie kości ludzkie, zawierające 400 razy wię-

cej fosforu, niż mózg, powinnyby 400 razy więcej wydzielić myśli«. Za dowód odrębności duszy od ciała stawia też autor ten wzgląd, że każdy z nas czuje się zawsze tym samym i zachowuje swą pamięć, lubo zdaniem fizyologów wszystkie cząsteczki ciała człowieka peryodycznie się odmieniają. Na zarzut, iż treść myślenia jest tylko odbiciem naszych wrażeń zmysłowych, autor między innemi odpowiada: »jakże z tym systemem wytłumaczyć w mózgu abstrakcye oderwane od wrażeń zmysłowych? jakiż zmysł potrafiłby wywołać w mózgu *zaprzeczenie?* Czy widziano, aby w zwierciedle przedmioty odbijały co innego, jak siebie samych?

§ 7. rozważa człowieka w dziejach. Autor uważa, iż materyalistyczna nauka ciągłego postępu w dziejach jest bezzasadną, iż mianowicie taką jest teorya Buckla, który wychodzi z zasady, iż prawdziwym postępem jest tylko postęp wiedzy; postęp wiedzy był nieraz w kontraście z postępem moralności; wiek np. Peryklesa w Grecyi, Augusta w Rzymie, kwitnące wiedzą, były zarazem wiekami upadku moralnego tych narodów; a w dziejach nam spółczesnych, jeżeli spojrzymy na stosunek chrześcijan do ludów amerykańskich, ujrzymy, iż »podczas, gdy pod panowaniem racyonalnej, matematycznej, Boga i serca pozbawionej oświaty w Północnej Ameryce, ani jedno plemię się nie ostało, pod berłem katolickiej, niby tak okrutnej Hiszpanii, ani jedno nie wyginęło«.

W § 8 i ostatnim autor zbiera pokrótce wypadki, do których doszedł spółczesny nam materyalizm, wskazując, iż jest, między innemi, zaprzeczeniem jawnem i w nowej potędze wszelkiej religii, wszelkiej moralności. Deputowany miasta Hamburga *Marr* w roku 1848 wołał głośno: »wiara w Boga osobistego, żywego, jest główną przyczyną naszej nędzy społecznej«, a *Stirner:* »niech umiera naród, niech umierają wszystkie ludy, byle człowiek wyzuty z wszelkich więzów, oswobodzony od ostatnich widziadeł religii, odzyskał całą swą niezależność«. »I jakaż to będzie niezależność«?

zapytuje autor: niezależność odyńca tułającego się po lesie i gorzej nawet, bo człowiek wyzuty z człowieczeństwa spada niżej od zwierzęcia. Wspomniany wyżej Arnold *Ruge* woła: »Francya gubi się przez religię, nawet Wolteryanie są jeszcze katolikami; w teoryi nie mogą się oni obejść bez Boga, a w praktyce wszystkie ich mowy i myśli są pełne poświęcenia, ofiary, wielkoduszności, tych zabytków starego ascetyzmu«. Po przytoczeniu takich i tym podobnych zdań, autor z uczuciem wyraża: iż »zmuszony obcować z podobnymi, nieraz zapytywał sam siebie: czyliż to jeszcze są ludzie, co piszą podobne rzeczy? i czyli to już nie jest pewną realizacyą doktryny materyalistów, która gdy człowieka ze zwierząt wyprowadza, daje mu w tym samym czasie, uczucia i dążności zwierzęce«? i kończąc dodaje: »Takie rzeczy drukują teraz bezkarnie w Niemczech, mówią w parlamentach, wykładają w uniwersytetach, a młodzież nasza śpieszy tam po naukę. Jak niegdyś pogańscy książęta słowiańcy zapisywali się w poddaństwo cesarzowi niemieckiemu, od którego oswobodził ich dopiero chrystyanizm, tak na odwrót dzisiejsza młodzież polska, pozbywszy się katolickiej wiary, zaprzedaje się w niewolę niemieckim ateuszom«.

Prawo postępu, dziełko mało obszerniejsze od poprzedniego (str. 250) i które lubo nie czyni o niem wzmianki, miało oczywiście służyć mu za odpowiedź, wychodzi z zasad i celów wprost odwrotnych. Napisane przez tłumacza *Schöpfungsgeschichte* Haeckla, jednego z najuczeńszych dzisiaj naturalistów, a zarazem jednego z najotwartszych materyalistów, jest naturalnie odbiciem i streszczeniem zasad swojego mistrza. Postęp istniał oddawna w rozwijaniu się ludzkiem i domyślano się bytu jego, ale dopiero August Comte oznaczył z dokładnością, jakie są jego prawa ogólne, a Darwin, w jaki sposób w szczególności on się uiszcza. Pierwsze wyobrażenia ludzkości były przenoszeniem do świata tych pojęć, jakie ma człowiek o sobie, i przypisywanie każdej dostrzeżonej sile znaczenia bożego; pojęcia

te były nadto nader dalekie od dopuszczania łańcucha przyczyn i skutków w stawających się faktach, stąd udziałem pierwotnej ludzkości były: fetyszyzm, politeizm i wiara w fatum. Wyobrażeniem następnie postępnem i najwięcej postępnem w owej pierwszej epoce był *monoteizm*. Filozofia monoteistów (rozwinęła się ona następnie głównie w wiekach średnich) była postępną, »przypuszczała już bowiem pewną stałość w objawach przyrody, które zależą według niej od przedwiecznie zakreślonych praw Wszechmocnego Stwórcy« (17). »Aczkolwiek samo założenie postawione było a priori, a wnioski nie podlegały sprawdzeniom krytyki... filozofię monoteiczną (Bossuet) uważać musimy, jako jeden z najwznioślejszych szczebli w badaniu objawów społecznych; spotykamy się bowiem tutaj po pierwszy raz z ideą loiczności w uszykowaniu faktów dziejowych, zależnych od prawa zgóry im naznaczonego« (19). Ale monoteiści objaśniając loicznie przeszłość, nie umieli objaśniać reform i mieli je za dzieło czarta; miejsce ich zastąpili więc filozofowie postępni, *metafizyczni*. Nowi ci filozofowie krytyczni dobrze objaśnili czas reform, ale nie rozumieli dziejów starożytnych i średniowiecznych, »uważając te ostatnie za czasy wielkiej ciemnoty i barbarzyństwa« (31). »Historyozofia rewolucyjna (t. j. owa nowa metafizyczna), nie umiejąca widzieć postępu w monoteizmie, przepełniona nienawiścią i pogardą dla wieków średnich, nie miała także żadnej wartości i musiała upaść z braku podstaw do bytu« (32). Całą zaletą jej było, iż lubo nie odkryła prawa postępu, ale uznała jego byt, prawa przyczynowości. »Prawo psychiczne rozwoju ludzkości odnalazł wreszcie August *Comte*«, »Wykazał on mianowicie, że wszystkie objawy zewnętrzne świata rozpadają się na sześć odrębnych kategoryj, rządzonych przez osobne i stałe prawa przyrodnicze, temi zaś są: matematyczna, astronomiczna, fizyczna, chemiczna, biologiczna i społeczna« »wrąbmy tu uwagę, iż liczba tych kategoryj tak tu jest jawnie dowolna jak tu, kategoryj loicznych Kanta, stąd też sami wyznawcy szkoły mieli za

twe poczynili reformy) i dla każdej z nich istnieje oddzielna nauka abstrakcyjna (matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia, socyologia); »odszukać prawo psychiczne, na mocy którego ludzkość badałaby odnośne przedmioty tych kategoryj, równoważyłoby się z odnalezieniem prawa rządzącego rozwojem ludzkości, z wykryciem *prawa postępu*«. »Pracy tej, dodaje autor, podjął się także Comte i wykonał ją w mistrzowski sposób«; doszedł on: »iż umysł ludzki w badaniu swem dąży od objawów najbardziej ogólnych do najwięcej szczegółowych i wytwarza najprzód pojęcia najprostsze, przechodząc mimowoli do coraz więcej złożonych« (75). Gradacya ta (objaśniał ją najszczegółowiej główny zwolennik Comta, *Littré*) wybiła się właśnie w uprawie powyższych nauk w kolei, jak są przytoczone«. Takie jest prawo psychiczne rozwoju naszego ducha, a z uznania tego wypada, iż wszystkie nasze pojęcia, a przeto i pojęcia społeczne, któremi się rządzą towarzystwa ludzkie, przechodzą trzy kolejne stany: stan *teologiczny*, stan *metafizyczny* i stan *pozytywny*. Dwie bowiem są drogi czyli sposoby, którymi tłumaczymy zjawiska świata: *podmiotowy*, który zależy na tem, iż te wyobrażenia, które mamy o sobie, przenosimy i do wykładu świata, i *przedmiotowy*, kiedy dane zewnętrzne zjawiska badamy w sobie, w ich oddzielnych własnościach. Droga podmiotowa rozpada się na dwie formy: *teologiczną*, gdy człowiek za źródło bytu poczytuje podobne sobie istoty, lub jedną *podobną sobie* istotę wszystkiem rządzącą i wszystko tworzącą, i *spekulacyjną*, gdy na miejscu tych bóstw do ludzi podobnych stawi czynność innych ukrytych sił. Lecz oto zdobywane *doświadczeniem* fakta okazują niedostateczność tej metody, przekonywają nas bowiem stopniami, iż to tylko jest pewnem, o czem przekona samo doświadczenie, a przeto, iż jedynie pewną i ostateczną drogą do poznawania prawdy czyli wykładu zjawisk jest droga *przedmiotowa*, czyli na doświadczeniu czerpanem z faktów świata oparta, iż taka tylko metoda jest *pozytywną*. Filozofia *teologiczna* przewodniczyła pierwszym

urządzeniom społecznym, *metafizyka* była przejściem, nie śmiejąc zerwać z teologią; filozofia *pozytywna,* będąc formą najwyższą spekulacyj ludzkich, stanie się podstawą wszystkich ostatecznych urządzeń społecznych« (205).

Takie prawo postępu wykrył i oznaczył *Comte;* jak jednak wykonywa się ono w rozwiciu natury i w życiu społecznem, nie wiedział; objaśnił to dopiero Darwin swoją teoryą *walki o byt* i *wyboru naturalnego,* którą ostatecznie zastosowali do człowieka: fizyologicznie Ernest Haeckel, socyalnie Herbert Spencer.

Przegląd dziejów przyrody dra Szyszłło jest książką innych rozmiarów i innego właściwie zadania, jak dwie powyższe. Jeżeli tamte mówią tylko o zasadach lub celach nauki, a o treść nauk zaczepiają tylko przygodnie, obecna przeciwnie zajmuje się wykładem samej nauki, a o ogólne zasady i cele nauk potrąca jakby tylko przygodnie. Tytuł książki ma jednak, jak to widzimy, i drugi napis: *Studya filozoficzne,* i autor objaśnia najprzód w przedmowie, dlaczego za przedmiot tych studyów obrał właśnie nauki przyrodzone.

»Uczucie, rozum i doświadczenie, mówi, to są trzy stopnie (jest to, widzimy, gradacya Comte'a) historycznego rozwoju wiedzy«; pierwszy z nich dał początek teologii, drugi filozofii, trzeci naukom doświadczalnym. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, gdyby można zespolić te trzy kierunki, lecz, dodaje wnet autor, być to nie może; ludzkość strudzona pracą bezowocną porzuciła dwie pierwsze drogi, i uznała, że ratunek jest tylko w ostatniej. »Dzisiaj dopiero zrozumiano, że chcąc wznosić świątynię wiedzy, nie od szczytu, ale od fundamentów począć trzeba«. »Ludzie dziś opuścili górne krainy dawnych swych myśli i marzeń, poznania Boga, nieśmiertelności własnej i pierwotnych przyczyn« (opuszczanie jakiebądźkolwiek jestże zaletą? sam autor, jak to niżej ujrzymy, tak właściwie nie sądzi); celem ich jest przedewszystkiem: »poznać najbliższe przyczyny zjawisk ogólnych przyrody«. Tej drogi chce się więc trzy-

mać i autor, i pragnąc tylko mówić o faktach ściśle naukowych, przedstawia *Przegląd dziejów przyrody.*

O szczegółach tej książki wyrazimy tu niżej zdanie ze względu jedynie na tę cząstkę jej treści, do której odnosi się napis: *studya filozoficzne;* że jednak zdanie o książce łączyć się musi i z charakterystyką ogółu książki i w niej mieć źródło, i gdy właśnie książka ta jest bezpośrednim wypływem darwinizmu i pozytywizmu, o których tu mowa, przytaczamy tu przeto zarazem (jakkolwiek ze stanowiska tylko wypadków) i wybitniejsze szczegóły jej treści głównej. — Całość książki złożoną jest z rozdziałów XII.

Rozdział I. ma napis: *Rozwój nauk przyrodniczych.* Właściwie jest to rzut oka na umysły żywiej i niezawiślej rozmyślające w przeciągu wieków w różnych kierunkach, a z których to rozmyślań największy, zdaniem autora, zebrały w końcu owoc nauki przyrodzone. We wzmiance o spółczesnym stanie tych nauk, za stanowczo tu może usunieni całkiem uczeni germańscy i inni; autor ma jednak słuszność, gdy mówi, iż »jakąkolwiek umiejętność z dziedziny nauk przyrodzonych uważać będziemy, zawsze we Francyi dopatrzyć musimy jej twórcy lub odnowiciela«. Takimi byli istotnie w końcu zeszłego lub na początku obecnego wieku w różnych gałęziach tych nauk (zoologii, botanice, anatomii, astronomii, fizyce, mineralogii i chemii) *Cuvier, Jussieu, Bichât, Laplace, Haüy, Lavoisier* i wreszcie (w zoologii także) *Jan Lamarck,* bezpośredni poprzednik Darwina.

Rozdział II. *Samorodztwo.* Początkiem dziejów przyrody musi być naturalnie rozbiór kwestyj dotyczących powstawania przyrody, a z tych rozbiera tu autor najprzód kwestyę samorodztwa, t. j. powstawania istot organicznych samych przez się, czyli z nieorganizmów. Teorya ta, utworzona przy schyłku wieku zeszłego (Treviranus, Oken) i dziś jeszcze ma stronników we Francyi (Pouchet, Joly i inni), w Niemczech (Schafhausen, Büchner i inni), we Włoszech, Anglii i Ameryce. Doświadczenia nie stwierdziły jej jednak

i wrócić należy do zasady, że *omne vivum ex ovo (vivo?)* czyli że wszystko żyjące z żyjącego. Teorye filozoficzne bytu, uważa kończąc ten rozdział autor, dadzą się sprowadzić do trzech głównych zasad, t. j. do dopuszczania jednego pierwiastku bytu czyli monizmu (od szkoły Jońskiej do Haeckla), dualizmu (Kant, Schelling) i tryalizmu (Hegel, Libelt, Trentowski), i dodając wnioskowe zdanie własne, wyraża: »w obecnym stanie naszej biologicznej wiedzy, naukowy pogląd na początek bytu nie może być inny jak monistyczny, zupełnie go jednak inaczej pojmujemy od Haeckla, uznającego tylko mechaniczne przyczyny i całkiem negującego istnienie pierwotnej przyczyny... Monistyczny pogląd polega, według nas, na uznaniu przyczyn wyłącznie *celowych* w ogólnym ustroju całego wszechświata, na uznaniu jednej głównej przyczyny wszechbytu«.

Rozdział III. *Siła i materya.* Aby się zbliżyć do oznaczenia owej pierwotnej przyczyny, autor rozbiera z kolei obudzane i rozwijane dziś kwestye *o sile i materyi.* Czy materya może istnieć i zmianom podlegać bez działania na nią odrębnej siły? Czy może istnieć siła bez pierwiastku materyi w sobie? Czy też materya i siła to spólność? W starożytności oddzielano siłę od materyi (pogląd, który się stawał źródłem dopuszczania bóstw); zwrot uczynił dopiero Newton, uważając siłę jako materyę nieważką. Szkoła jego uznała za siły zjawiska takie jak światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm. »Materyalność sił nie da się jednak pogodzić z dzisiejszem pojęciem siły jako przyczyny«; światło, ciepło, magnetyzm i t. p., to różne objawy gry ruchu atomów oraz materyi eterycznej. (»August Comte odrzucał wprawdzie byt pierwiastku eteru, ale dziś nikt już nie wątpi w jego istnienie«). W naturze nic się nie tworzy i nic nie ginie, tylko przerabia się. Tak jest we względzie materyi, tak i we względzie siły; »siła mechaniczna czyli praca wydaje ciepło, a ciepło pracę«. Siła również jak i materya przerabia się tylko, lecz nie może być ani stworzoną, ani zniszczoną, i »podziwiać musimy, wtrąca tu au-

tor uwagę, mądrość Salomona, który wyrzekł: *Bóg śmierci nie uczynił... stworzył bowiem, aby było wszystko... i niemasz w niem jadu zatracenia*«. »Iż siła i materya są nieśmiertelne, iż są z sobą złączone i oddzielnie istnieć nie mogą, jest to pewnik, jaki zdobyła nauka naszego wieku«; »poniżającem jednak — dodaje autor — jest to twierdzenie Büchnera, iż tylko ludzie ciasnych pojęć sądzą, iż świat jest dziełem Stwórcy; powszechność praw przyrody, która świadczy o jedności materyi i siły (eteru i ruchu), świadczy zarazem i o *Inteligencyi Najwyższej,* która jest przyczyną wszystkiego«.

Rozdział IV. *Siła żywotna.* Siła, istnąca w istotach życiem obdarzonych (organicznych), ma nazwisko siły *żywotnej;* treść tej siły to jeden z głównych przedmiotów sporu dzisiejszych naturalistów. Zdaniem jednych siła ta w sobie nie istnieje, a jest tylko wypływem materyi; zdaniem innych istnie i nawet indywidualnej nieśmiertelności duszy staje się źródłem. Stronnicy różnych w tym względzie mniemań dzielą się na *animistów,* t. j. uznających w ciałach byt duchowego pierwiastku oddzielonego od ciała (Hebrajczykowie, Indyanie, filozofowie greccy), na *witalistów,* którzy poczytują za duszę *materyę* nieważką (do takich oprócz Huntera i szkoły należeli, według autora, między innymi: *Newton, Cuvier, Bichât)* i wreszcie *materyalistów,* którzy ciało i duszę, czyli materyę i siłę żywotną mają za nierozłączność; wyznawcy tego przekonania datują, mówi autor, dopiero od lat kilkunastu, a między nimi rozróżnieni być muszą: materyaliści ściśli (jak np. Büchner, Haeckel, Virchow, Gavaret, Vogt, Helmholtz), którzy uznają ją za przymiot, t. j. jakoby wykwit z samej materyi, inni (jak *Claude Bernard)* uważają ją za siłę *oddzielną,* kształtującą, a łączącą się tylko z materyą. Uznawanie duszy jako pierwiastku oddzielnego od ciała, i któryby przeto mógł istnieć i w odłączeniu od ciała, mogło — uważa autor — spoczywać w *instynkcie* ludów pierwotnych, bliższych życia natury, i może z czasem stwierdzonem być i *naukowo,* lecz

dotąd nie jest. Co do witalizmu, »przypuszczenie siły żywotnej jako płynu subtelnego upadło z postępem chemii«. Na twierdzenie materyalistów, iż to tylko jest w umyśle naszym, o czem nas uczą zmysły, przystać także nie można, bo w tym razie, uważa autor, małpy, które z wielu względów mają zmysły ostrzejsze od naszych, winnyby mieć tęż samą przynajmniej umysłowość. Autor przytacza następnie szereg ciekawych doświadczeń spółczesnych w rzeczy śledzenia związku siły żywotnej z materyą, zwłaszcza Claude Bernarda, którego twórcą nowej filozofii doświadczalnej nazywa, i mówiąc o inteligencyi, która ma źródło w mózgu, a przeto zdaje się być na pozór całkiem zależną od tego pierwiastku, taką czyni uwagę między innemi: »posiadając maszynę parową, nie posiadamy jeszcze siły, ruda żelazna nie jest jeszcze magnetyzmem, a bursztyn elektrycznością, tak samo mózg nie jest inteligencyą... mając sam tylko mózg, albo krew utlenioną, nie otrzymamy inteligencyi: przyczyna jej pozostanie nazawsze dla nas ukrytą... Zdanie więc Büchnera: z materyą ginie myśl, niema podstawy loicznej« (95). Po przytoczeniu następnie szczegółowych zdań o przedmiocie (sile żywotnej) i wykazaniu, iż niedostateczne są wszystkie, autor we wniosku mówi: »siła zatem żywotna nie jest ani całostką indywidualną jako dusza, ani oddzielną substancyą żywotną, rozlaną w organizmie... lecz jest to *stan dynamiczny* (t. j. produkcya ruchu) bądź zarodkowej komórki, bądź organizmu całego, *nieoddzielny od organizacyi* (wniosek ten jest trochę w sprzeczności z własną powyższą uwagą autora o *odrębności* inteligencyi), wywołujący w niej ugrupowanie atomów biologicznych« (117).

Rozdział V. *Życie i komórka.* Jak pierwowzorem życia mineralnego jest *kryształ,* tak życia organicznego *komórka.* »Jak w naturze nieorganicznej z odmiennego ułożenia atomów powstały różne pierwiastki odmienne co do formy i treści, tak samo i w naturze organicznej z *rozmaitego przeobrażenia się komórki pierwotnej pochodzą najroz-*

liczniejsze formy roślinne i zwierzęce«. Cóż to jest ta komórka? Komórka ta, jak ją opisuje Schleiden, przedstawia się pod drobnowidzem jak woreczek albo kulisty pęcherzyk, pokryty ze wszech stron błoną cienką. Pod tą błoną znajduje się inna jeszcze subtelniejsza: pęcherzyk pierwotny; w każdej też żyjącej jest jądro, które jest źródłem jej wzrostu i reprodukcyi. Komórka roślinna mało się różni od zwierzęcej (jajko). Dziś, mówi autor, nikt już nie wątpi, że rośliny i zwierzęta pochodzą z przeobrażenia się komórki. Teoryę tę rozwinęli mianowicie: *Schleiden, Schwann, Kölliker, Virchow, Liebig.* Jeszcze *Bichât* (spółczesny Cuviera), twórca anatomii ogólnej, dowiódł, iż różne funkcye naszego życia wypływają z własności różnych tkanek i podzielił je na 21 gatunków; otóż tkanki te, jak to wskazał Krause, a dowiedli Schleiden (w roślinach) i Schwann (w zwierzętach) pochodzą z przeobrażenia się komórek. Rozjaśnienie to wywarło niezmierny wpływ tak na medycynę, jak wogóle na uprawę nauk przyrodniczych. »Każda komórka jest niezależną w organizmie, przebiega ona tę samą ewolucyę jak i organizm, t. j. rodzi się, wzrasta, dojrzewa i umiera. Zboczenia organizmu są to zboczenia jego komórek«. »Szybkość mnożenia się komórek jest nader potężną, podług obserwacyj Schleidena, dokonanych na grzybie purchawce olbrzymiej, okazało się, iż w minutę powstawało 20.000 nowych komórek«.

Rozdział VI. *Obieg siły i materyi w przyrodzie.* Autor usiłuje tu szczegółowo wykazywać i sprawdzać, że w naturze nic się nie tworzy i nie ginie, a tylko się przeobraża, tak co do treści materyi, jak też co do siły. »W naturze nieorganicznej siła zmienia ciągle swój *ruch,* w przyrodzie organicznej jej *formę,* lecz jak w jednym, tak w drugim razie ilość siły zostaje niezmienną. Z jednej wspólnej kosmicznej materyi utworzyły się wszystkie pierwiastki, z jednego spólnego ruchu powstały różne siły przyrodzone, tak też właśnie z jednej *pierwotnej formy* organicznej (jest nią *komórka monad)* rozrodziły się wszystkie istoty żyjące«.

Rozdział VII. *Początek ziemi.* Autor po zaznaczeniu, iż »nie mamy żadnej teoryi pewnej o utworzeniu się ziemi«, wykłada następnie powszechnie znaną teoryę ukształcenia się naszego systematu planetarnego przez Laplace'a, stwierdzoną dziś, zdaniem autora, niewątpliwie przez doświadczenia Bunsena i Kirchhoffa (naturaliści niemieccy teoryę tę uznają za wynalezioną przez Kanta, a stwierdzoną przez Laplace'a i Herschla), to jest: jak materya kosmiczna rozlana w przestrzeni począwszy się niegdyś zgęszczać, wydała jądro stałe (słońce z ruchem wirowym), jak w pewnym czasie, gdy siła odśrodkowa zaczęła brać przewagę nad dośrodkową, oderwały się zeń pierścienie gazowe i dały początek nowym oddzielnym planetom z podwójnym ruchem (wirowym koło swej osi i obrotowym około słońca, a między temi i ziemi. Ziemia w stanie gazowym błyszczała zrazu ogniem jak słońce, i tylko stopniami ochładzając się, przeszła w stan płynny, i zarazem utworzyło się *jądro ziemi,* złożone (wskutek stopniowego skupiania się pierwiastków chemicznych) przeważnie z metali, a mianowicie z żelaza. »Atmosfera ziemi, złożona z ciał gazowych, wody, oraz ciał stałych ulotnionych, przedstawiała czarną, gęstą, straszną masę prawie ognistego gorąca«. Ziemia sama wskutek ciągłego promieniowania i uchodzenia cieplika ochładzała się i pokrywała skorupą granitową, »wreszcie nadszedł moment, w którym mogły opaść na ziemię pierwsze wody«. Temperatura tych wód była zrazu wrzącą, lecz »gdy powierzchnia ziemi tyle już ostygła, że wody zawieszone w atmosferze mogły się skraplać, wówczas masa tych wód całkiem zalała ziemię i utworzył się jeden wielki ocean od bieguna do bieguna. Według obliczenia Bischoffa w jego teoryi ciepła, aby ziemia ostygła do tego stopnia, potrzeba było do tego 350.000.000 lat. Tu nastąpiła w dalszym żywocie ziemi walka żywiołów ognia i wody, czyli pierwiastków plutonicznych i neptunicznych, a jednym ze skutków była strata przez ziemię jej gładkiej powierzchni. Wody działając silnie na skały i fundamenta ziemi, kru-

szyły je powoli i napowrót osadzały zawarte w niej skruszone cząstki ciał; »powstała stąd nowa formacya neptuniczna, która raz zwyciężywszy plutoniczną, nigdy już jej przewagi wziąć nie dozwoliła«. Śród tej ciągłej walki i zmian jedno zostało niezmienne, to jest: »pierwotne natężenie, jakiem obdarzone zostały na początku pierwiastki ziemi«. »Wykrycie i zużytkowanie siły ich potencyjnej, jest (zdaniem autora) najwznioślejszem zadaniem umysłu ludzkiego, głównem zadaniem celowości natury i istnienia człowieka«. »Wiek nasz, dodaje autor, pojął swe zadanie; nagromadzone przed milionem wieków skarby w węglu kamiennym, znalazły olbrzymie swe zastosowanie dla rozwoju i szczęścia ludzkości«.

Rozdział VIII. *Rozwój dziejowy ziemi.* Autor mówi tu o naukach, głównie dziś będących na dobie, to jest *geologii* i *paleontologii.* Jak pierwszym twórcą naukowej teoryi o formacyi ziemi czyli geologii był *Buffon,* tak pierwszym twórcą paleontologii, czyli nauki o skamieniałościach, znajdowanych w pokładach ziemi, był *Cuvier.* Znajdowanie w różnoczesnych pokładach ziemi resztek roślin i zwierząt skamieniałych, to jest zamienionych w kamień, rudę, węgiel lub szkło (liczba znalezionych dotąd okazów wynosi kilkadziesiąt tysięcy) rzuciło nowe światło na przeszłość ziemską i na jej rozwój. Okresy jej rozwoju przez naturalistów dzisiejszych rozmaicie są oznaczane; lecz najpowszechniejszy jest podział na trzy okresy następne: od poczęcia się ziemi do ukazania się na jej powierzchni istot kręgowych; od pierwszych kręgowców do ukazania się człowieka i wreszcie od człowieka do czasów naszych. Okres 1, to jest pokładów najgłębszych a zatem najstarszych, dzielony jest zwykle (od nazwiska miejsc, gdzie były dokonane badania główne) na podepoki: *laurentyńską, kambryjską* i *sylurską;* okres 2 na podepoki, czyli formacye: dewońską, węglową, permską; okres 3 na peryody: *lodowy, dyluwialny, alluwialny.* Grubość ogólna tych pokładów wynosi 130.000 stóp, a czas uformowania się według obracho-

wania geologa Volger wymagał 648 milionów lat. Epoka laurentyńska (prócz dwuznacznego okazu, znalezionego w ostatnich czasach w Kanadzie: *Eozoon Canadense,* a który jedni poczytują za zwierzę, drudzy za minerał), nie mieści jeszcze żadnych śladów żyjących istot; w kambryjskim i sylurskim są tylko wodorosty morskie, a żadnych istot roślin lądowych. W epokach kambryjskiej i sylurskiej, wnosi nauka: Europa była archipelagiem, cała przestrzeń jej od Hiszpanii do gór Uralskich była pod wodą, ukazywały się tylko jako lądy północna część Norwegii, Szwecyi i Finlandyi; »w Polsce nie odkryto dotychczas formacyi kambryjskiej, formacya zaś sylurska podług profesora Altha, znajduje się u nas na Podolu pod Zaleszczykami, nad rzeką Zbruczą i koło Kamieńca«. W okresie drugim znaczny już postęp lądów Europy, przeważna ich część w owym czasie zupełnie oschła; wybrzeża mórz pokryły się bujną zielonością, a rozległe mszary żywiły paprocie i skrzypy, w ogromne drzewa wyrastające. Pokłady węgla kamiennego dają się dziś widzieć od Szpitzberga do środka Afryki; grubość tych pokładów bywa na 40 stóp, u nas w Olkuskiem jest na 50 stóp, ogromną więc być już musiała roślinność tego peryodu i ogromną przebyć ilość pokoleń leśnych, gdy, jak uważa autor, najgęstszy dzisiejszy las, gdyby się wszystek przemienił na węgiel, wydałby tylko cienką warstewkę pokładu. Autor zwraca uwagę, iż dziś jest płonną obawa o wyniszczenie lasów, bo istnące pokłady węgla wystarczyć mogą na bajeczną cyfrę lat; tudzież na to znaczenie, jakie ma węgiel tak dla obecnej, jak i przyszłej cywilizacyi przez swe zastosowanie do machin parowych, kolei żelaznych, statków parowych i t. p. i przenosząc się myślą w ową dawną, wyłącznie prawie jeszcze roślinną epokę, taką wyraża uwagę: »Patrząc (wtedy) na tę olbrzymią roślinność, na te dziewicze lasy ówczesnej Europy, tak gęsto porosłe na bagnach, że ludzka noga stąpaćby w tych pustych i głuchych puszczach nie mogła, zdawałoby się, że roślinność ta nie może mieć żadnego

celu; żaden kwiat nie zdobił tych puszcz jednoliściennych, śpiew ptaków nie ożywiał ich swoją melodyą, ryk zwierzęcia nie rozlegał się, jedno tylko chyba syczenie płazów, wylęgających się na rozgrzanych błotach, przerywało milczenie tych ponurych lasów. Któżby sądził wówczas, że to Opatrzność zgromadza materyał drogocenny dla przyszłego pana ziemi, który *już wówczas był przeznaczony w myśli Twórczej* jako ostatni wyraz przeobrażenia materyi i siły«. W tej formacyi węglowej zjawiły się po raz pierwszy na ziemi powietrzem oddychające zwierzęta, a mianowicie owady i płazy, po osuszeniu się ziemi powstałe, i autor wylicza po kolei wszystkie ówczesne znane. Dalej określa formacye pokładów solnych, kredowych, wapiennych, siarki, z oznaczeniem w części ich miejsc w kraju naszym (mówiąc o kopalniach Wieliczki i Bochni, zwraca uwagę na wielkość morza, z którego musiały powstać, mają bowiem grubości 50 stóp, najgłębsze zaś dzisiejsze morze wydałoby przy osuszeniu cienką tylko warstewkę soli); dalej, o trzeciorzędnych formacyach piaskowców, gliny, margli, gipsu itp. »Europa przybrała wtedy dzisiejszy kształt, z tą tylko różnicą, iż ogromne jeziora i olbrzymie rzeki przerzynały dzisiejsze lądy. W podepoce 3 tego drugiego okresu roślinność dochodzi do najwyższego swego rozwoju. »Dąb w Polsce rośnie obok palmy, brzoza obok sosny bursztynowej w ówczesnych lasach łomżyńskich, ostrołęckich i Brześcia«; zwierzęta coraz więcej się ukazują, a między niemi *dinotherium*, olbrzym ówczesnego świata i największe ze zwierząt dotąd znanych. Koniec tego okresu, to okres panowania ssących na ziemi. Znikły żarłoczne płazy, kolosy, a ukazał się *człowiek*.

Zdaniem niektórych, cała kula ziemska w tym czasie okrytą została powszechnym lodem (Agassiz), lecz zdaniem większości, miejsca to mieć nie mogło, a to tylko pewna, że »dzisiejsza Europa od Szpitzberga do Pirenejów, od Islandyi do Sycylii i od Skandynawii do Kaukazu pokrytą była jedną masą lodową w ciągu wielu wieków«. Autor

wylicza tu różne domysły i dowody naturalistów o istnieniu lodów w różnych częściach Europy, oraz różne domysły o powodach nastania epoki lodowej Lyella, Tyndalla, Arago, panny Royer (autor nazywa ją wszędzie panią Royer), nadmieniając w końcu, iż najwięcej zyskał stronników wykład Adhemara, iż była ona skutkiem »zmiany położenia ziemi do słońca i innych ciał niebieskich« i że peryod podobny przyjść musi znowu w roku 11.750 ery naszej. — Od epoki lodów przechodzi autor do epoki potopów. »Potop biblijny nastąpił prawdopodobnie wskutek wyniesienia pasma gór środkowej Azyi, Ameryki i Kaukazu«. Prądy wód potopowych były olbrzymiej potęgi, w czasie ich wiele gatunków roślin i zwierząt bezpowrotnie zginęło. Najnowsze poszukiwania odkryły ślady bytności człowieka z owemi zaginionemi zwierzętami, a przeto przed epoką potopów. Co się tyczy starożytności rodu ludzkiego, nauka, uważa autor, nic dotąd stanowczo nie wyrzekła. Jedni oceniają, iż ród ludzki istnieje od 15.000 lat, inni że od 12.000. Również nauka nie wyjaśnia, gdzie się człowiek pierwszy ukazał. Według Darwina ród nasz pochodzi z Afryki, według Haeckla z Lemuryi (wyspy, która istnieć miała na dzisiejszym oceanie Indyjskim); wszystko jednak przemawia za tem (klimat ciepły, spółistnienie w stanie dzikim ziarn zbożowych i t. p.), że ród ludzki powstał na wybrzeżach późniejszej Persyi, lub między rzekami Tygrem i Eufratem. W geologii do tego okresu (epoki dyluwialnej) należą formacye gliny i wydm piaskowych; grubość tych pokładów jest od 200—2.000 stóp, ziemia w tej epoce przybrała dzisiejszy kształt, a obszerne płaszczyzny Azyi, Europy i Ameryki zamieniły się na grunta rodzajne. Najnowsza wreszcie z formacyj, tak zwana alluwialna, odznacza się osadami napływowemi wód słodkich i stanowi grunt urodzajny dzisiejszy, »złożony przeważnie z piaskowców, wapieni, gliny i próchnicy«. Tam, gdzie potop zalał obszerne łąki, bujną trawą porosłe, powstał dzisiejszy czarnoziem, czyli próchnica południowych ziem Polski i Rosyi, z zala-

nych lasów powstały torfowiska. Jest to kapitał, który obecnie się nagromadza dla późniejszych pokoleń. »Proces powstawania osadów wód słonych i słodkich kontynuuje się za dni naszych podobnie jak dawniej«. Dno morskie składa się obecnie po większej części ze skorupek małych muszli, tak zwanych *otwornic*. Polipy koralowe dają początek całym wyspom na oceanie Spokojnym. Ciągła czynność natury, według praw jednych, pociąga i pociągnąć będzie musiała nieustanne zmiany. Autor przytacza tu różne hipotezy o przyszłości ziemi; zdania tych, którzy sądzą, iż wskutek stopniowego ochładzania się ziemi, życie istot na niej zastygnie, oraz tych, którzy wnoszą, iż wskutek stopniowo zwiększającego się środka ciężkości w słońcu, ziemia nań spadnie; zdań tych obu autor sam jednak nie dzieli, a wnosi, iż najwięcej zagraża ziemi »stopniowe zmniejszanie się atmosfery i wody«; ustaną deszcze, znikną rośliny, po nich zwierzęta i w końcu człowiek. »Nim jednak to nastąpi, dodaje autor, miliony pokoleń prowadzić będą dalej walkę o byt, niszcząc się wzajem. Do człowieka należy pojęcie wzniosłego posłannictwa, jakie mu przez Stwórcę naznaczone zostało, a które leży w pokierowaniu tą powszechną walką, żeby równowaga między istotami przyrody nie była zachwianą«.

Rozdział IX. *Człowiek kopalny*. Ze znalezionych szkieletów ludzkich, odnoszonych do epoki dyluwialnej i z zapatrywania się na życie dzisiejszych wyspiarzy, autor układa hipotezę o pozorze i sposobie życia pierwotnych ludzi, przytacza, iż najpowszechniej przyjętym dziś podziałem epok cywilizacyi jest dzielenie jej (stosownie do pomysłu Hon'a) na 4-y okresy, t. j. *kamienia ciosanego, kamieni szlifowanych, bronzu i żelaza* (mieszkania nawodne są z epoki kamieni szlifowanych) i dodaje, iż piątym peryodem cywilizacyi, do którego doszło tylko plemię kaukaskie, jest peryod *węgla kamiennego*.

Rozdział X. *Jedność gatunku człowieka i jego stosunek do natury*. Wyraziwszy autor zgóry uwagę, iż tylko zespa-

lając badania biologiczne z psychologicznemi, czyli rozum z uczuciem, naukę z religią, poznać możemy istotę swoją, iż »wiedza w tym razie usiłując połączyć w sobie te dwa kierunki, musi być jak słońce nie tylko światłem, lecz i ciepłem razem«, rozbiera różne opinie naturalistów co do jedności lub różności gatunku ludzkiego od innych gatunków zwierzęcych, mianowicie od małp i (naśladując w tem w części Huxleya) objawia zdanie, iż to, co *głównie* (?) różni człowieka od zwierząt, jest nagość skóry; »ta jedna różnica — mówi — wystarcza zdaniem mojem do oddzielenia, na podstawie klasyfikacyi dawnej, człowieka od małp i zaliczenia go do innego rzędu«. Dzieli też autor zdanie biskupa z Kanterbury, *Summera,* iż wielkiem rozróżnieniem ludzi od zwierząt jest *zdolność doskonalenia się;* mimo to wszystko jednak wnosi w końcu, iż »w przyszłości, kiedy dzisiejszą klasyfikacyę zastąpi nowy układ genealogiczny, oparty na embryologii... człowiek zaliczonym będzie do jednej spólnej gromady, do której wejdą małpy rękoskrzydłe, strzyżaki i owadożerne«. Autor następnie (zgodnie z dziełem Darwina: *Pochodzenie człowieka)* wychodzi z zaprzeczenia tym, którzy są zdania, iż ród ludzki jest zbiorem kilku oddzielnego pochodzenia pokoleń i przedstawia dowody, iż różne te pokolenia ludzkie są rozrodem z jednego pokolenia, to jednak jedno pokolenie (wnosi autor za Haecklem) rozrodziło się pierwotnie nie z jednej, ale z kilku jednocześnie zjawionych jednostek; wszystko — mówi — przemawia za tem, że w pewnej epoce, w pewnej rozległej miejscowości musiało jednocześnie istnieć wiele naszych praojców, małpoludów, pochodzących od jednego i tegoż samego nieznanego nam gatunku zwierzęcego, który w epoce trzeciej oddzielił się od znanych nam dzisiaj antropomorfów, czyli ludomałp bezogonowych i stopniowo nabierał różnych cech ludzkich (jaśniej mówiąc, autor zdaje się tu dzielić tę hipotezę Haeckla, iż między gatunkiem dziś znanych małp i gatunkiem ludzi, istniały dwa gatunki przejściowe, dziś zaginione: *małpoludy* i *ludomałpy).* Następnie

mówi o powszechnie przyjętym dziś podziale istnącego rodu ludzkiego na trzy rasy, czyli plemiona: czarne, żółte i białe, czyli *murzynów, mongołów* i *śródziemców* (pl. kaukaskie), i wynosząc to ostatnie nad inne, jako najwyższy szczebel rozwicia, mówi tu między innemi: »Jak kolor biały w tęczy słonecznej jest skupieniem wszystkich kolorów, tak w białej tylko rasie znajdujemy połączenie wszystkich wyższych władz umysłu i serca...«; »stanowczo rzec można, że ta jedna rasa zerwała tradycyę ze swą przeszłością (zwierzęcą) i wszelki związek z resztą tworów natury«. »Rozdziału tego, dodaje tu autor uwagę, dokonał mianowicie mocą nauki swej Chrystus, który pierwszy podniósł i uwiecznił obce przedtem zasady braterstwa, miłości powszechnej i poświęcania się za bliźnich«. Cała też przyszłość ludzkości do tego (t. j. białego) plemienia należy. Dziś już stosunek jego do innych jest dość znaczny: na 1.350.000.000 ludzi, 550.000.000 należy do rasy białej. Biali różnią się też od innych plemion przeważnie ilością mózgu. Autor wtrąca tu obserwacye nad mózgiem (źródłem myśli) i móżdżkiem (źródłem kombinacyj) i przytacza, iż ciężar największy mózgu jest w rasie Niemców, a móżdżku w rasie Słowian (wtrąćmy także, że i ten szczegół przemawiałby za rodowością słowiańską Kopernika). Wyniósłszy w ten sposób nad inne rasę białą, śród tej wynosi kobietę; kobieta biała, uważa, bardziej się oddaliła od czarnej, niż mężczyzna. Kobietę białą uważamy za ostatni utwór natury, »bardziej złożony i wyższy tak pod względem duchowym, jak i fizycznym od mężczyzny«.

Rozdział XI. *Znaczenie i pochodzenie gatunków w świecie organicznym.* Pierwszy *Geoffroi St. Hilaire*, 1795, wypowiedział śmiałą myśl, że gatunki obecne istot poczytuje za przemianę form pierwotnych. Rozwinął to *Lamarck* (1801—1815). »W gruncie rzeczy niema między zwierzętami gatunków, są tylko różne osobniki«. Autor poszczególnia po kolei różne dotychczasowe systemata klasyfikacyi w botanice i zoologii i dodaje, że »wszystkie one nie

odpowiadają głównej zasadzie jedności praw natury i planu twórczego«. Olbrzymi postęp, jaki uczyniły nauki przyrodnicze w ostatnich czasach przez zastosowanie metody doświadczalnej, dokonał głębokiego przewrotu w tej gałęzi wiedzy«. Okazało się z niego, iż przedział między gatunkami jest raczej sztuczny jak istotny. Jeszcze Humboldt powiedział, że rozliczne twory ziemi mimo swego pozornego rozrzucenia i odosobnienia, zostają w skrytym związku co do swego początku. »Myśl syntezy przyrody podniósł na nowo głęboki myśliciel Darwin i rozwinął ją w prawdziwie zdumiewający sposób. Wyniki jego badań długi czas będą jeszcze w podziw wprowadzać ludzkość śmiałością swoich poglądów«. System, który wychodzić będzie z zasad Darwina, zwać się będzie genealogicznym i opartym być musi na embryologii i morfologii (t. j. nauki o formacyi kształtów); »nauka embryologii, dodaje jednak autor, jest dopiero w swym pierwszym kroku, a bez niej niepodobna myśleć o systemie genealogicznym«. »Układ genealogiczny Darwina polega na tem, że wszystkie obecne gatunki powstawały jeden obok drugiego (raczej jeden z drugiego) i rozwinęły się odrębnie« i zarazem objaśnia, iż ktoby sądził, że według tej teoryi dopuszczać należy, iż osioł pochodzi od tygrysa, a człowiek od małpy, ten dowiódłby, że nie rozumie teoryi Darwina. »Darwin bowiem powstawanie gatunków tłumaczy spólnem ich pierwotnem pochodzeniem, lecz wcale z tego nie wynika, aby dzisiejsze gatunki miały wzajemnie od siebie pochodzić«. »Ścisłe i niezmordowane spostrzeżenia doprowadziły go do przekonania, że wszystkie istoty pochodzą od kilku pierwotnych zarodkowych istot roślinnych i zwierzęcych, a nawet najprawdopodobniej od jednej istoty«. »To progresyjne przeobrażenie się jednej formy organicznej odbywało się w ciągu milionów lat, bardzo powolnie, lecz ciągle i bez przerw«. »Teorya Darwina jest bardzo prosta, polega ona na powszechnie uznanem prawie, że przyroda posiłkując się stosunkowo małymi środkami, dochodzi w ciągu wieków do

olbrzymich rezultatów«. Następnie wykłada autor szczegółowiej tę teoryę, którą składają trzy główne zasady, a mianowicie: iż odmiany w kształtach istot są możliwe, iż *walka* między utworami organicznymi *o byt* i *wybór naturalny* (wybór natury) wydają te odmiany w osobnikach i że następnie te odmiany utrwalają się przez dziedziczenie. Dokończenie rozdziału obejmuje najoryginalniejszy dotąd przedmiot dla czytelnika, jest to bowiem według wzoru Herberta Spencera, stosowanie teoryi Darwina do szczegółów życia ludzkości, t. j. tak jednostek ludzkich, jak ludów. We wstępie autor między innemi tu mówi: »Dziejowe wypadki szybko jedne po drugich następują, a powikłane w różny sposób odległe skutki bywają częstokroć zakryte dla nas, zanim jakieś olbrzymie następstwo nie zwróci na siebie uwagi powszechnej. W ten to niedostrzeżony sposób zmienia się panowanie jednego kierunku na panowanie drugiego. Próżne są jednak wysiłki pojedyńczych ludzi, jak i całych narodów, dla nadania przewagi tej lub owej władzy naszego ducha. Przewaga ta rozwija się całkiem niezależnie od woli naszej«. Następnie szczegółowie objaśnia, jak prawo to rozwijało się lub rozwija w narodach myśliwych, rolniczych i przemysłowo-rolniczych, i w wykładzie tym między innemi mówi: »Narody rolnicze są z natury swej konserwatywnymi, stąd bardziej od innych opierają się przyrodniczemu prawu *dywergencyi*, czyli odmiany cech. To zachowawcze ich usposobienie stawia narody te w walce o byt w niekorzystnych warunkach w porównaniu z innemi, bardziej ruchliwemi i postępowemi plemionami. Zwolennicy konserwatyzmu za jakąbądź cenę nie chcą zrozumieć, że konserwatyzm w świecie moralno-umysłowym odpowiada prawu tarcia się ciał w świecie fizycznym. Wprawdzie mechanika fizyczna nas uczy, że w żadnej maszynie nie można całkowicie zniszczyć tarcia, również zapewne mechanika biologiczna z czasem wykaże, że w życiu tak pojedyńczych jednostek, jak i całych narodów, niepodobna będzie usunąć wpływu konserwatyzmu, lecz jak w pierw-

szym razie mechanika stara się zmniejszyć o ile możności tarcie, żeby zyskać na sile, tak w drugim razie zadaniem przyszłej nauki socyologii będzie zmniejszenie wpływu konserwatyzmu w ogólnym postępie ludzkości. Zanim jednak ta świadomość naukowa nastąpi, *naturalny wybór* z tego względu niekorzystnie dziś oddziaływa na ludy rolnicze, stawiąc je w zależności politycznej od ludów przemysłowo-rolniczych. Brak im ducha przedsiębiorczości, wszelkiej inicyatywy, praca ich nie rozwija twórczej strony umysłu, natomiast rzewne ich usposobienie i ciągła kontemplacya natury wyrodziły w nich żywszy rozwój uczucia i wyobraźni, jak to widzimy z ich wzniosłej poezyi. Uczucie powszechnego braterstwa jest wyłącznie udziałem tych ludów. -- Na najwyższym stopniu cywilizacyi stoją narody przemysłowo-rolnicze, u nich jednych walka o byt najsilniej się rozwija i podział pracy najwszechstronniej jest przeprowadzonym«. Tu (idąc zawsze za Spencerem) autor na kilkunastu stronicach rozwija uwagę, iż Francya mimo chwilową porażkę, wyżej stoi w cywilizacyi od Niemiec, które ją zwyciężyły. Co do wróżby przyszłości, autor wskazawszy tu na to prawo natury, iż postępując od tworów niższych do wyższych, rozpłód coraz się zmniejsza (zaczynając od muchy, która ma wydawać co rok pół miliona potomstwa) i przytoczywszy tę charakterystyczną uwagę Spencera, iż fakt ten wskutek stopniowego zamieniania się siły żywotnej na intellektualną sprawia, że im wyższe jest zwierzę w organizacyi, tem mniejszym jego rozpłód, taki między innemi wyraża wniosek: »Dzisiejsza siła genetyczna zamieni się (w wiekach przyszłych) w znacznej części na siłę indywidualną woli, uczucia, rozumu. Rozradzanie się plemion ludzkich powolniejszem się stanie, lecz na to miejsce skutkiem pomnażania energii nerwowej, poprawy higienicznych warunków bytu, należytego użytkowania darów przyrody, ludzie staną się długowiecznymi, mniej zależnymi od cierpień fizycznych i moralnych, walka o byt przestanie być pobudką do pracy, a moralne poczucie obo-

wiązków zajmie jej miejsce... Wówczas to nastąpi równowaga środków żywności i potrzeb materyalnych człowieka i będzie to epoka powszechnej szczęśliwości«.

Rozdział XII. i ostatni. *Pochodzenie człowieka.* Autor określa według ostatnich spostrzeżeń historyę pojedyńczej formacyi jednostek ludzkich i mówi: »pojedyńcza komórka w przeciągu 280 dni staje się człowiekiem, dlaczegożby podobnież inna pojedyńcza komórka (przechodząc stopniowe zmiany) w ciągu milionów tysiącoleci nie miała się przeobrazić w człowieka?« Objaśnia to morfologia. »Badania anatomii i fizyologii porównawczej wykazały, iż różniące się napozór od siebie pletwy wielorybie, nogi żabie, skrzydła ptaków, kopyta końskie i ręce goryla, w budowie swej podobne są do rąk człowieka i wykazują jeden ścisły plan twórczy, wstrzymany tylko w rozwoju swym u istot niższych, zaś całkowity, wykształcony i rozwinięty u człowieka«. Za prototyp zwierząt kręgowych i człowieka Darwin uznał był najprzód najniższego gatunku rybę, *lancetnika,* czyli *pomrównicę,* lecz następnie (idąc za Haecklem) odkrytą i określoną (w Pamiętnikach Akademii St. Petersburskiej) przez Kowalewskiego (»syna«) *larwę ascydyi,* która w jednej kolei wydała całe pasmo bezkręgowców, w drugiej kręgowców. Te żachwy, czyli larwy ascydyi, są to drobne zwierzątka morskie, pływające swobodnie lub przytwierdzone do skał podwodnych, bezkształtne, nie mające żadnych szczególnych przyrządów, okryte błoniastym płaszczem z dwoma otworami. »Niepodobna dziś oznaczyć tego stopniowania — mówi Darwin — przez które przechodziły w swoim rozwoju zwierzęta od ryb i ziemnowodnych do płazów, ptaków i ssących«; w szeregu przeobrażeń powstały w końcu i małpy. Za najbliższych poprzedników ludzi uważa Darwin małpy afrykańskie, »lecz nie należy sądzić — dodaje tenże — żeby dawny nasz rodzic był podobny do któregokolwiek z żyjących dziś gatunków goryla, szympansa, orangutana i t. p. Prarodzic nasz dziś całkiem nie istnieje, nie znamy go nawet z wykopalisk

dawnej epoki«. Ta też właśnie jest i konkluzya autora i tak ją wyraża: »Nie ulega wątpliwości, że najbliższy przodek człowieka należeć musiał do rodziny małp starego świata wązkonosych, lecz również niewątpliwem jest, że żaden z obecnych gatunków nie może być uważany za naszego prarodzica« (286).

Taka jest treść tych trzech pism; takie o jednym i tymże przedmiocie, t. j. o pojmowaniu darwinizmu i pozytywizmu trzy różne zdania. Zasady wnioskowania każdego z tych pism zdają się być wyrażane loicznie, usprawiedliwiane dowodnie, a jednak, o ile to jest dotąd widocznem, żadne z nich nie uwieńczyło się skutkiem żądanym. Dziełko: *Prawo postępu* wydane było w rok po traktacie: *Materyalizm wobec nauki,* oczywiście więc dowody tego ostatniego nie były dostatecznymi do odwrócenia jego autora od zasad materyalizmu. P. Pawlicki wydał w roku obecnym broszurkę p. n.: »*Człowiek i małpa,* ostatnie słowo Darwina«, która jest co do zasad dalszym ciągiem jego poprzedniej broszurki, zaś dr. Szyszło powyższy *Przegląd przyrody,* przyodziany i w studya filozoficzne; zasady więc, których był tłumaczem p. Masłowski w swem Prawie postępu, nie były dostatecznemi, widzimy, ani do odwrócenia p. Pawlickiego od zasad idealizmu, ani do zatrzymania autora *Przeglądu* przy samym materyalizmie, i wreszcie zasadom wyrażonym w Przeglądzie tym zarzucaną jest (i niezupełnie bezzasadnie, jak to ujrzymy) pewna sprzeczność założeń z dowodzeniami.

W czemże więc mianowicie może mieć źródło ta pewna bezskuteczność wywodów pism wyrażonych, jakie wypada uczynić wnioski o ich zasadach, czyli, jak powinnyby być uważane właściwie darwinizm i pozytywizm? O tem (dla usprawiedliwienia właśnie poniższych uwag o tych trzech pismach) musimy tu przedewszystkiem wyrazić zdanie swe własne.

W dziejach myśli od Talesa do Comte'a dwie śród innych dają się dostrzedz cechy, które odznaczyły i odznaczają drogę badania; jedna, iż wypadki tego badania, czyli obszar prawd poznawanych odznacza ciągły (lubo niezawsze jasny) postęp, i powtóre, że tę drogę badania przeplatają dwie kolejno a stale zmieniające się doby, t. j. doba przeważnie badań i czci materyi, oraz przeważnie badań i czci ducha. Przyczyna tego jest jasna. Przyjaciele jednego z tych dwóch pierwiastków (t. j. lub materyi, lub ducha), pielęgnując go, wznosząc i byt jego wyłącznie we wszystkiem widząc, dochodzą w końcu do zaprzeczenia nawet bytu pierwiastku drugiego; byt jednak i tego drugiego jest prawdą, następuje więc jego wskrzeszenie, wznoszenie, potępienie pierwszego, a tem samem i wywołanie znowu reakcyi nowej. Fakta takie powtórzyły się właśnie i nam spółcześnie. Koniec wieku zeszłego był tryumfem wyłącznego materyalizmu, początek wieku naszego wyłącznego idealizmu, a zjawiony w końcu pierwszej połowy tegoż wieku system, o którym tu właśnie mowa, *pozytywizmu*, wzniósł znowu materyalizm i ogłasza po dawnemu jego wyłączność. Pozytywizm uprzedzał wprawdzie zrazu, iż nie jest materyalizmem (Aug. Comte), ale uznane przezeń za wyłączne kryteryum pozytywnej prawdy, *doświadczenie* zmysłowe, szkołę tę na czysto materyalną wnet przemieniło. Świetne doświadczenia, odkrycia i stosowania w różnych gałęziach nauk przyrodniczych w okresie tym, a pod hasłem pozytywizmu właśnie dokonane, wzmogły zapał i słuszną dumę tej szkoły, a zjawiona przed 15-tu laty teorya, zwana teoryą Darwina, dozwalająca wnieść, że i sam człowiek (ten jedyny kamień obrazy dla czystych materyalistów) jest także niczem innem w swojem nastaniu, jak wypływem i wykwitem pierwiastków czysto materyalnych, przez szkołę tę została pochwyconą, wzniesioną, i za ostateczny tryumf materyalizmu, a grób idealizmu obwołaną.

Zjawienie się tej teoryi Darwina zbyt jeszcze jest świeże, a powodzenie jej było zbyt nagłe, iżby i to jej

znaczenie i jej następstwa ostatecznie już ocenione być mogły; poklasnęli jej, można uważać wogóle, wszyscy prawie materyaliści, a potępili ją wszyscy idealiści; co do nas, odróżnimy się w tym poglądzie znacznie od jednych i drugich. Zdaniem naszem poklask dawany tej teoryi przez materyalistów jest słusznym, a potępianie jej przez idealistów jest niesłusznem, ale sądzimy także, iż teorya ta przyszła nie na tryumf materyalizmu, t. j. dzisiejszego pozytywizmu, ale na zdradę, t. j. iż przyczyni się owszem do tem prędszego powrotu doby duchowej.

Kilka uwag objaśni i usprawiedliwi, sądzimy, to założenie.

Przyroda ma dwie strony: zewnętrzną, pojmowaną tylko zmysłami, i wewnętrzną, tylko pojęciem. Teorya, o której mowa, jakże ocenioną być może w odniesieniu do strony jednej i strony drugiej?

Jeżeli rzucimy okiem w świat istot ziemskich i zwrócimy uwagę na ich z sobą podobność (od kwiatka do figury ludzkiej), podobność tak wielką, iż zebrawszy je wszystkie i poszykowawszy według podobieństw, dałby się zapewne ułożyć obraz, w którym jedna istota od drugiej o mały tylko odcień okazałaby się różną, i jeżeli z drugiej strony zważymy, iż pozytywne ślady bytu człowieka na ziemi są stosunkowo nader niedawne, a zawsze czynna natura przed bytem tym przez nieobliczone lata i wieki coś działać musiała, tworzyć dzieje i postęp; tedy nie tyle może nas dziwić nawet zjawiona dziś teorya rozwinień, jak raczej to, iż dziś dopiero znalazła swoje sformułowanie. Sformułowanie to, nie tyle nawet, rzec można, uskutecznił Darwin, ile duch wieku. Za wzrostem ogólnej myśli (w figurze ludzkiej) jedną z cech w naukowych badaniach wieku naszego stało się dostrzeganie łączności tam, gdzie dotąd widziany był bezład, harmonii, gdzie przypadkowość, czyli *uogólnianie*. Ta łączność, dostrzeżona śród dziejów, wydała *historyozofię*, w rozróżnionych językach *gramatykę porównawczą*, w rozpadniętych religiach jedną z najnowszych nauk, *umie-*

jętność religii (Marx, Em. Burnouf, Seidel i in.), w zoologii i botanice wreszcie tę właśnie teoryę, o której mowa. Już przy końcu wieku zeszłego i początku obecnego, liczni różnych gałęzi pisarze: naturaliści, filozofowie, poeci, wszyscy wogóle głębiej myślący ludzie, coraz dobitniej i częściej zwracać zaczęli uwagę na ową wielką podobność śród istot ziemskich, a stąd jakąś skrytą ich łączność, gdy wydane w r. 1859 przez Karola Darwina tylekroć wzmiankowane dzieło: *O początku gatunków,* zwróciwszy ze szczególną erudycyą w gałęzi swojej uwagę na możność przemieniania się form istot, i dołączywszy domysł o odwiecznych powodach przemian ich stopniowych, stało się gruntem tej nowej i stałej teoryi, która też imię Darwina otrzymała.

Jeżeli porównamy to, co wyraził Darwin w owem, oraz innych swych pismach, oraz to, co dodali jego następcy i zwolennicy, tedy przyznać to trzeba, iż do przyjęcia za prawdę jego domysłu skłaniać muszą istotnie następne względy.

Wychowanie zwierząt domowych daje widzieć ten fakt, iż różne szczegóły wychowania, jako to: różna czynność, żywność, krzyżowanie i t. p. tworzą dalej różne odcienie kształtów w jednym gatunku. W krociach wieków istnienia natury nader różne powody mogły i musiały podobnie wpływać na różne odcienie kształtów w istnących tworach, a odcienie te i mogły i musiały ustalać się następnie przez dziedziczenie. Darwin w powyższem swem dziele objawił domysł i szczegółami swej erudycyi poparł, iż owe stopniowe odcienie w kształtach istot powstawać mogły wskutek ich wzajemnej *walki o byt* (struggle for life), t. j. już potrzeby napaści, już potrzeby obrony (stąd stopniowego np. formowania się *rogów, skrzydeł* i t. p.), a *wybór natury* (natural selection) już te, już inne odcienie kształtów przez dziedzictwo ustalał, rozwijał i potworzył w ten sposób przez odmęty wieków gatunki różne. Prócz tej walki o byt, mogły zapewne i musiały podobnie wpływać na zmiany i tysiączne inne powody. Istnące w ciele

wielu gatunków cząstki dziś nie mające celu (jak np. oczy u istot tylko w ziemi żyjących, skrzydła u ptaków, które nie latają, u mężczyzn-ludzi ślady piersi, kość ogonowa i t. p.), są to wyraźnie jakieś zabytki form przemienionych. Embryologia wreszcie, czyli nauka o formacyi płodów, wykazując dziś, iż kształcenie się płodu ludzkiego w łonie matki jest przejściem od komórki przez kształty robaków, ryb i różnych kręgowców (w tygodniu 4-tym jest widoczny i ogon) do formy ludzkiej, każe wnosić, iż proces ten jest skróceniem, czyli miniaturą tej czynności, którą odbywała niegdyś natura na inne skale.

Te więc i tym podobne względy w połączeniu z tym, iż w rozwiciu stworzonej natury tkwi we wszystkiem nie nagłość, ale powolność, nie przypadkowość, lecz rozum, każą dochodzić do wniosku i za uzasadniony uznać ten domysł, iż początkiem tych wszystkich istot ziemskich, jakie widzimy (od molusków do ludzi), było nie ukazywanie się ich w ciągu czasów odrębne i samorodne, lecz *ewolucya*.

Taki każe uczynić wniosek wzgląd na zewnętrzność, lecz czyliż nie będzie przeciwnym przypuszczeniu temu pogląd duchowy?

Najpowszechniejszym i najsilniejszym dla przyjaciół ducha i wogóle dla umysłów idealnych powodem do nieprzyjmowania i zaprzeczania prawdy teoryi Darwina jest ten, iż dopuszczanie wywinienia się formy ludzkiej z form istot niższych jest zaprzeczeniem godności ludzkiej, oraz nauce wszelkich pierwotnych podań i religij ludzkich, które uczyły wszystkie, iż człowieka stworzył Bóg lub bogowie.

Pomijając religie inne, weźmy tu tylko tę, która nas najbliżej obchodzi, chrześcijańską. Religia ta, czyliż istotnie z nową teoryą pochodzenia nie da się zgodzić?

Nie myślimy tu wcale zbaczać do rozpraw teologicznych i dogmatycznych, lecz uczynimy tu tylko w tej kwestyi kilka uwag prostych, każdemu jasnych.

Religia chrześcijańska uczy, iż »stworzył człowieka Bóg« i jest to istotnie twierdzenie kardynalne chrześcijań-

skie. Co to jest jednak w szczegółach swoich Istota Boża? i *w jaki sposób* nastąpiło owo stworzenie? to już należy do wyobrażeń własnych każdego. Na uwagę tę bliżej nastajemy, szczegół ten bowiem na pozór wagi drobnej, jest jednak w istocie gruntem, jest obrotową osią wszystkich tych kwestyj i sporów, o jakich tu wzmiankowaliśmy, może nawet jest jedynym powodem i tu i wszędzie całego sporu pomiędzy materyalizmem i idealizmem.

Co do istoty Stwórcy nauka chrześcijańska od kart Pisma do katechizmów podręcznych uczy, iż Bóg jest »duchem czystym«; praktyczne jednak pojęcia ludzkie, lubo twierdzenie to powtarzają usty, wyobraźnią widzą inaczej, a wyobrażenia te ściągają następnie zarzut i przeciw samej nauce i wiodą do odstępstw. Pojmowanie bóstwa i wogóle prawd chrześcijańskich materyalnie, jak w IV wieku chrześcijaństwa wydało *aryanizm,* w XVI *protestantyzm,* tak przy końcu wieku zeszłego i w obecnym wydaje *ateizm.* Jest to pewnem, że każdy filozof materyalista i ateista nie umiał w dzieciństwie swojem wyobrażać Boga inaczej, jak materyalnie, i zaprzeczywszy następnie sam sobie, mniema, iż się stał ateuszem. Jak niegdyś angielski Hobbes, tak spółcześnie nam A. *Comte,* L. *Feuerbach, Vogt, Büchner, Haeckel* i inni w różnych miejscach swych pism wyrażają to, iż według nich pojęcie Bóstwa nie może być inne, jak *antropomorficzne* (Haeckel np. protestując przeciw dopuszczaniu istnienia Stwórcy w przyrodzie, mówi: »*Osobowy* ten Stwórca jest poprostu wymarzonym ustrojem, przybranym w szaty *człowiecze*«. Dzieje przyrody t. I. str. 180 [1]). Bóg jest duchem, — a działanie duchowe jestże widzialne? Czyli więc utwory ziemi i świata zjawiły się kiedyś nagle, jakby przez samorodztwo, czy się ukazały kolejno, czy wreszcie kształciły się i rozwijały harmonijnie jeden z drugiego, udział Ducha Stwórcy w nastaniu tem albo działa-

[1] Cytacye z *Schöpfungsgeschichte* Haeckla, dla łatwiejszego sprawdzenia, podajemy tu wszędzie według przekładu pp. Masłowskiego i Czarneckiego.

niu, jakoż i dlaczego ma się zaprzeczać? Czyliż dlatego, iż jakaś prawda lub czynność zostaje poznaną bliżej, musi ginąć jej sprawca? — Kiedy więc np. K. Vogt poklaskując nowej teoryi pochodzenia, dodaje, iż wypadki tej teoryi »zostawiły Boga za drzwiami«, tedy właściwie powinien był raczej rzec: że przez wypadki te, jego osobiste wyobrażenia o Stwórcy i o stworzeniu pozostały za drzwiami. — Nauka chrześcijańska o stworzeniu czerpaną być może z księgi biblijnej *Genesis*. Księga ta wyraża, iż Pan Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, oczywiście więc za treść i istotę stanowiącą człowieka uważa tylko sam *duch;* o ciele mówi, iż to jest z mułu, lecz nie zaprzecza, iżby i ciała innych istot nie były z tegoż pierwiastku, nie wyraża też nic ani o *czasie,* ani o *sposobie* ukształcenia się istoty ludzkiej.

Uwag tych nie czynimy bynajmniej dla naginania nauki Genesis do nowej teoryi, ani też czyniąc je, odróżniamy się jakąś szczególną nowością w jej wykładzie. Autor, którego twierdzenia pod żadnym z tych względów nie mogą być podejrzane, pisał bowiem jeszcze w wieku IV-ym i jest uważany za mistrza nauczania katolickiego, św. Augustyn, w tymże duchu wykładał właśnie Genesis. Wykład racyonalny Genesis, którego nieraz dotykał, znajduje się między innemi wyrażony obszerniej w ostatnich księgach jego *Confessiones*. W wykładzie tym po wyjściu z zasady (którą obszernie rozwijał w dziele *De civitate Dei)*, iż *dnie* Genesis to »w stylu biblii« *epoki,* i po zwróceniu uwagi, iż utwór samej ziemi nie należy nawet do żadnego z tych dni, a że pomiędzy tym utworem, a pierwszym dniem mogły upływać wieki bez wszelkiej rachuby, dotykając następnie bliżej samego *sposobu* stworzenia, tak mówi między innemi: »Są, którzy czytając te wyrazy, »na początku stworzył Bóg« wyobrażają sobie Boga, jako wielkiego człowieka lub inną jaką wielką istotę materyalną... a słowa »niech się stanie i stało się« jako słowa, które się poczęły i skończyły, a zaledwo się ich brzmienie skończyło,

odrazu pomieniona istota swój byt zaczynała, jeszcze oni są jako małe dzieci«... i trochę niżej: »Niekształt pierwotny był *zarodem* tych wszystkich dziwów (t. j. istot), o których mowa w dniach następnych, ponieważ *wszystkie te rzeczy z natury swojej ulegają odmianom czasu wskutek urządzonej odmiany ich ruchów i postaci*[1]. Büchner czyni uwagę, iż za ojca teoryi Darwina może się uważać Empedokles dlatego, iż uczył, że szczegóły ziemi i świata stopniowo się rozwijały; dopiero przytoczone a podkreślone słowa św. Augustyna trafniej jeszcze mogłyby być położone za epigraf do tej teoryi. Według nauki tej przeto, wcale nie antychrześcijańskiej, dziecinnem byłoby mniemać, iż utwór dany, np. postać ludzka ukazała się niegdyś *nagle*. Jeżeli nie nagle, tedy jakiegoż mianowicie czasu wymagało jej ukształcenie się? Naszem zdaniem patrząc na zacność istoty, która się stała godną być przybytkiem *ducha twórczego*, a licząc chwile i wieki ze stanowiska czasu t. j. na skale boże, nieprzesadnem byłoby dopuścić, iż ukształcenie się takiej istoty nie dnia, roku lub wieku, ale wymagało raczej wieków i kroci wieków; i że procederem tego kształcenia się było stopniowe ukazywanie się tych różnych kształtów, które i dziś przeciągają się w tak wielkiej jeszcze części w swoich potomkach. O tak powstałej istocie czyliżby rzec już nie można, że Bóg ją stworzył? Zapytany dziś chrześcijanin, kto jego jest Stwórcą? daje odpowiedź, iż »Pan Bóg«, a odpowiedź ta nie zaprzecza tej prawdzie, iż materyalne ukształcenie się jego było stopniowem przejściem w przeciągu 280 dni przez rozmaite formy w łonie matki; jeśliby przeto podobnie i narodzenie się czyli ukształcenie się fizyczne człowieka 1-o miało być przejściem np. przez 280 »dni *bożych*« czyli przez 280.000 lat (»dzień u Boga jest jako 1.000 lat« *Bibl.)*, przez różne formy w łonie matki ziemi (czyli według nas na jej powierzchni), nie zaprzeczałoby to podo-

[1] Dzieła *Confessiones* literatura nasza ma dwa przekłady, z roku 1844 Michała Szyszki i z roku 1847 ks. Pękalskiego; słowa tu przytoczone, znajdują się w tem ostatniem wydaniu na str. 367 i 372.

bnie tej prawdzie i temu wyrażeniu, iż »Bóg go stworzył«. Gruntem nauki Genesis było tylko opowiedzieć krótko, praktycznie: iż rzeczy te, które są, nie są dziełem przypadku, nie są zamętem, lecz że je wydał i wiedzie *Jeden* najwyższy Duch-Stwórca oraz Duch-Rządca.

Zarzut, iż ta teorya pochodzenia ma ubliżać psychologicznie godności ludzkiej, jest tem więcej tylko pozorny. Fizyologia dziś uczy, iż każda cząstka ciała ludzkiego zmienia się rosnąc tak, iż przeradza się całkiem nawet ta materyalność, którą każdy na świat przynosi; indywidualność więc nasza w każdym razie ściśle jest odznaczoną; nauka nadto, iż postać ludzka jest szczytem ostatecznym i wykwitem rozwijania się form ziemskich, jest nie na ujmę, ale na podniesienie znaczenia takiej jednostki wobec form niższych.

Tak więc nauka chrześcijańska, jeśli nowej teoryi pochodzenia jawnie nie stwierdza, tedy jednak i jawnie jej nie zaprzecza (mówi przytem *»in dubiis libertas«)*; nauki idealne idą ręka w rękę z religijnemi; uwagi, któreśmy uczynili, dostatecznemi więc, sądzimy, być winny do pogodzenia teoryi Darwina z idealnością.

Lecz oto, spytajmy teraz, czy taż teorya Darwina, o której nauka rzec musi, iż jest nader prawdopodobną, której religia nie przeczy, jest też i *pozytywnie pewną?*

Jeżeli przez pozytywną pewność jakiego faktu mamy rozumieć tylko to, co jest wsparte na kryteryum dzisiejszej szkoły pozytywnej, to jest na doświadczeniu, tedy teorya Darwina i jego szkoły za pozytywną pewność wcale być przyjętą nie może. Przez *fantazyę* i *kombinacyę* można ukształcić przypuszczenie, że dzisiejsze oddzielne gatunki poformowały się przed krociami wieków jeden z drugiego, ale, iżby z gatunku jednego mógł powstać drugi, iżby dziś nie istniały gatunki a tylko osobniki, tego kryteryum *doświadczenia* wcale nie stwierdza. Być może, iż przed wieków miliardem gatunki, które dziś tak się różnią od siebie, były więcej z sobą zbliżone, a różne gatunki dzisiejsze z całą

pozytywną pewnością różnymi są gatunkami, świadczą o tem nie tylko ich cechy zewnętrzne, lecz i wewnętrzne. Weźmy np., jak najróżniejsze rasy gatunku psów, a wszystkie one mają tę wyjątkową i tak szczególną śród całego królestwa zwierząt cechę (cechę, która szukaną chyba być musi śród milionowych tajni przedwiecznych formacyj) wierności i przywiązania do człowieka, i świadczą przeto, iż są *oddzielnym* gatunkiem. Jednostki jaknajodmienniejszych cerą, składem, umysłem, pokoleń ludzkich, wchodzić mogą w związki małżeńskie, wydawać potomstwa, zaś jednostki gatunków zoologicznych różnych, jak to sam Darwin świadczy, nie krzyżują się z sobą, a jeśli wydadzą potomstwo, tedy albo to będzie forma dalej bezpłodna (muły), lub też w rozrodzie dalszym potomkowie wracają do formy jednego z dziadów, co zowie atawizmem. Stąd też wielki skądinąd wielbiciel Darwina, ale przeciwnik jego ostatecznych konkluzyj, francuski *Quatrefages,* znakomitą czyni uwagę, że bezpłodność gatunków gra tę rolę w świecie botanicznym i zoologisznym, jaką grają w świecie gwiazd prawa ciążkości i attrakcyi, to jest, iż utrzymuje odległości botaniczne i zoologiczne między gatunkami. Chociaż więc za teoryą Darwina przemawia prawdopodobność, prawdopodobnie jednak także dopuścićby można, iż jak na niebie jakaś pierwotność kosmologiczna, tak na ziemi jakaś pierwotność geologiczna rozprysnęła się w miliony sobie podobnych ciał. I stąd też pośród naturalistów nawet, lubo wielu gorliwych stronników, ale też niemało i przeciwników teorya Darwina znalazła. Agassiz np. (nader głośny przyrodoznawca amerykański) w dziele swem *O gatunkach i ich klasyfikacyi* w zoologii, wyraziwszy należny podziw dla wiadomości przyrodniczych Darwina i Haeckla, dodaje: »żałować tylko należy, iż nie trzymają się oni ścisłej metody scyentyticznej, która zależy na tem, aby z faktów pewnych wyprowadzać loiczne wnioski, nie zaś na tem, aby z fantastycznie nakręcanych faktów wyprowadzać dowolne teorye«. W literaturze niemieckiej, liczącej może najgorliwszych zwolenników Dar-

wina i mogącej już nawet złożyć z swych publikacyj biblioteczkę Darwińską, — zbliżenie i ocenienie tych prac mamy między innemi w niedawnem dziele profesora Huber: *Nauka Darwina krytycznie oceniona,* a wniosek, który tu autor po przytoczeniu ścisłem rozumowań za i przeciw zapisał w końcu, jest ten: »tak więc ta teorya Darwina nie tylko jest hipotezą, ale nawet żadnego naukowego usprawiedliwienia *(keine wissenschaftliche Berechtigung)* nie mającą hipotezą«.

A jednak tak zwany dziś pozytywizm teoryę tę przyjął, jako stwierdzoną jakoby doświadczeniem i za pozytywnie pewną ogłosił. Taki wniosek np. zapisał Haeckel przy końcu swych *Dziejów przyrody,* chociaż na każdej prawie karcie tych dziejów, a mianowicie przy oznaczaniu i wyliczaniu kolei rozrodu roślin i zwierząt, przypomina, iż wyraża tylko *hipotezy.* Przez duch wieku wydany, a mający bez wątpienia w sobie pierwiastki prawdy darwinizm, przyszedł w ten sposób, zdaniem naszem, nie na uwieńczenie, ale owszem na zdradę pozytywizmu. Przyszedł na zdradę, okazało się bowiem, iż szkole tej i nauce nie chodziło właściwie o pozytywną pewność, ale o materyalizm; wyszedł na zdradę, pierwotnym bowiem twierdzeniom pozytywizmu o niezmienności gatunków, o odwieczności na ziemi rodu ludzkiego, z gruntu zaprzeczył; wyszedł zaś mianowicie na zdradę przez wykazanie niedostateczności jego kryteryów, i przez następstwa, które sprawić musi. Darwinizm, jak widzieliśmy, uczy, iż ród ludzki nie jest odwiecznym, iż był czas, w którym nie było na ziemi żadnych nawet istot dzisiejszym podobnych, iż te przybywały następnie epokami o formach i przymiotach stopniowo wyższych, iż jest wewnętrzna solidarność z człowiekiem rodów zwierzęcych, iż nadto w loicznem rozwinieniu teoryi dopuszczać trzeba, że w rozwoju natury dalszym przemiana i samych ludzi w istoty doskonalszej treści kiedyś nastąpić musi i t. p., a więc naucza nas prawie dosłownie wszystkiego tego, czego nauczała niegdyś biblia hebrajska (w Ge-

nesis i Proroctwach), musi więc znowu zwrócić w nowy sposób uwagę na powagę kart tego Pisma [1], na jakieś wyższe i głębsze kryterya wiedzy i prawdy w świecie istnące niż *doświadczenie*, i możemy już widzieć, jako w ten sposób powróci wkrótce znowu na pole badań okres duchowy i wróci w nowej potędze. Niemiecki pozytywizm już dziś nawet w pierwszem swem pokoleniu zamienił się w *probabilizm* i nie trzeba być wielkim prorokiem, aby zgadnąć, iż w pokoleniu następnem (jakby przez ów »atawizm«) powróci do *spekulacyi*. Tak pełna oryginalnych myśli, a tak powszechnie poklaskiwana dziś w Niemczech: *Philosophie des Unbewussten* Hartmanna *(Filozofia nieświadomości*, — tkwiącej w ludziach, zwierzętach, kwiatach i całej naturze), która jest połączeniem z całem przejęciem się tak dawnych kierunków spekulacyjnych, jak nowych przyrodniczych,

[1] Haeckel w zaczęciu swych *Dziejów przyrody* wspomniawszy o księdze *Genesis*, wyraził: »W hipotezie Mojżeszowej spotykamy się z dwiema doniosłemi i zasadniczemi ideami przyrodniczej teoryi rozwoju, wyrażonemi przytem z zadziwiającą prostotą i jasnością: z ideą różniczkowania czyli dyferencyowania i z ideą postępującego naprzód rozwoju... Wykład ten zasługuje z naszej strony *na słuszne podziwienie*« 1. 26. Tenże przy końcu dzieła uczyniwszy uwagę, iż wobec nowej nauki wszystkie nasze instytucye, społeczna i moralna organizacya, powinny być zmienione, dodaje: iż »zupełny i szczery *powrót do przyrody* i do przyrodniczych stosunków jest tu jedynym i koniecznym środkiem»; pomijamy tu walor recepty, ale autor, który nauczał, iż do czasu ukazania się człowieka na ziemi, każdy krok nowy natury był krokiem postępu, a dodaje, iż to, co od czasów człowieka nastało na ziemi, już nie było we wszystkiem postępnem, wyraził, czego nie chciał wcale wyrazić, to jest, iż od czasu ukazania się tej istoty są i ślady *upadku*. August Comte i niektórzy z jego szkoły uczą, iż jak w rozwoju natury, tak i śród dziejów ludzkich istnieje *prawo harmonii wewnętrznej*, które się w faktach objawia; cóż innego, dodaćby można, nauczała i biblia w swoich powieściach o dziejach jednostek, rodzin, ludu i ludów? tylko, iż nazywała to prawo dobitnie i jasno *Sprawiedliwością Bożą*, i na istnienie tego prawa nie tylko teoretycznie, ale też w ten sposób i najpraktyczniej wskazywała. Filozofia pozytywna, widzimy, im więcej o swych siłach się wznosi i zdaje się na pozór oddalać od prawd religijnych, tem więcej, lubo w innej drodze, do nich powraca.

jest już dotykalnym zwiastunem tego zwrotu śród sfery teoretycznej.

Takie jest przekonanie nasze o tej teoryi, która odznaczyła swą oryginalnością epokę badań dzisiejszych i stała się duszą kwestyj naukowych; a zdania nasze o stanowisku i treści pism, których napisy przywiedliśmy, mogą być teraz krótkie i jasne.

Traktat pana Pawlickiego: *Materyalizm wobec nauki,* jakkolwiek w zasadach, postrzeżeniach i wielu wywodach jest — jak to i sam autor nie tai — naśladowaniem lub wyjściem z traktatów spółczesnych nam pisarzy Paul Janet'a, Lange'go, Emila Caro i innych (głównie, dodajmy, z pierwszego z tych: *Matérialisme Contemporain),* jest jednak w wykładzie ogólnym, kolorze i wielu szczegółach, zupełnie własnym autora. Odznaczony pięknym celem i pięknem piórem, mieści też, jak widzieliśmy, wiele uwag i wiele myśli trafnych; ale walka autora z przeciwnikami przez to, zdaniem naszem, staje się nieraz słabą i bezskuteczną, iż do zarzutów słusznych dołącza też i niesłuszne, a do uwag dodatnich i trafnych nieraz mylne i wsteczne. P. Pawl. np. w traktacie swoim powstaje nie tylko na takie lub inne wnioski, wyprowadzane z uprawy nauk przyrodzonych, ale na samą ich uprawę; nie tylko na mylne niekiedy wyobrażenia o drodze i naturze postępu, lecz na samo istnienie postępu i t. p. Wywody swe czyni jednak tymczasem jawnie w imię religii chrześcijańskiej, i w ten sposób zamiast materyalizmu (jak to było zadaniem pisma) religię tę stawi raczej ujemnie wobec nauki.

Religia chrześcijańska, jak wiadomo, wymaga *uprawy darów,* uprawy mądrości; a sama różność tych darów, różność upodobań, popędów, z jakimi się zjawiają jednostki ludzkie, świadczą o jakimś tajnym szyku, o jakichś tajnych celach Stwórcy tych darów. Grzebać je byłoby to iść na przekór i tego szyku i tych celów. Autor Materyalizmu jednak, jakkolwiek w traktacie swoim opowiada dość wiernie o szczegółach spółczesnych nam dojść i wywodów

w gałęziach nauk przyrodzonych, ale opowiada o tej treści wszędzie na nutę ironii, jawnie naciąganej ironii. Powodu tego nie rozumiemy. Miałożby to być zdaniem autora z ujmą dla Stwórcy, jeśli docieka się sposób i objaśnia stopień Jego mądrości? Gdyby sfera niebieska tak właśnie się ukształciła, jak się domyślał Herschell, ziemia jak Lyell, fauna i flora jak Oken, Darwin i t. p.; Duch Stwórca, który był źródłem tych spraw i tych dziejów, czyliżby się stawał mniej Mądrym i mniej Wszechmocnym?

Iż postęp jest gruntem rozwoju, wyrazem szyku stworzenia i dziejów ludzkich, o tem sama nawet religia chrześcijańska naucza ze swego punktu; — a najprzód, mówi, było prawo natury, dalej Mojżesza, dalej Ewangeliczne, a to ostatnie ma się stopniowo rozrastać i rozróść w ludzkości, jako szeroki krzew z ziarna gorczycznego; kiedy więc autor żartując z idei postępu, woła: »Postęp! postęp, i jeszcze raz postęp! wszyscy nadstawiają uszy! czyż to nie komedya«? tedy właściwie żart ten staje się żartem z samej idei chrześcijańskiej.

Broń ironii i połajania przydatne są nieraz w polemice, jeśli stają w asystencyi dowodów; ale użyte same, szkodzą raczej swej sprawie, każąc wnosić, iż te ostatnie nie mogły być wynalezione.

Tak np. kiedy autor zaprzeczając twierdzeniom uczonych naturalistów o wieczności materyi, odpowiada tylko: iż »żaden uczony« tego nie utrzymywał; kiedy wzmiankując o ich twierdzeniach, iż postęp rozwoju natury leży tylko w nierozłącznej z nią sile *materyalnej* (ruchu), woła: »szalbierze-szarlatani!« i t. p.; kiedy odpowiadając na twierdzenie Büchnera, iż »dla naturalisty obojętną są rzeczą religia i moralność, bo idzie mu tylko o naturę«, łaje tylko honor niemiecki i na nowo przytacza zgubne dla społeczności skutki niemoralności, którym Büchner wcale nie przeczył: — tedy to wszystko są to tylko połajania, a nie dowody.

Wyborną jest uwaga autora i koncentrującą odpo-

wiedź na wszystkie prawie odpierane w traktacie zarzuty, gdy na wzór Paul Janet'a zapytując: cóż jest materya? objaśnia, iż jej nie znamy; i że przeto nie możemy dogmatycznie niczego twierdzić o tem, czego nie znamy. Trafne są równie uwagi o odrębności zupełnej wielu pojęć duszy od wrażeń zmysłowych; — dodajmy do tego: iż w bycie rzeczy i *poprzedniem* i *wyższem* zawsze być musi *prawo* (a więc duchowość) nad te widome byty materyalne, które je wypełniają, — iż religia i moralność, te w każdym razie ostatecznie dzieci umysłu ludzkiego, a więc natury, nie mogą być uważane tem samem za jakąś odrębność od natury i t. p., — lecz rodzaje i stopień pojęć i objęć ludzkich są nader różne i niejeden materyalista w najlepszej wierze jest materyalistą. Ten kmiotek, który szydzi za oczy z mistrza, który mu twierdzi, iż to powietrze, przez które jedzie wózkiem, nie jest czczością, lub, iż ta ziemia, którą orze pługiem, obraca się, — może być tępszych pojęć, niż ludzie inni, nie przeto jednak jest szalbierzem i szarlatanem. Wprawdzie przydomków podobnych nie szczędzą i nie szczędzili i materyaliści, mówiąc o filozofach ducha (np. Schopenhauer o Heglu), lecz ustom tych, którzy z samej zasady swojej są przeciwnikami logiki, łatwiej to wybaczone.

W traktacie swym pan Pawlicki mówi też i mówi najwięcej o darwinizmie, to jest *o początku gatunków* według Darwina; mówi o tem, jak o wszystkiem z ironią, — teoryi samej nie potępił tu jednak stanowczo, dlatego zapewne, iż nie mógł jeszcze wiedzieć o ostatecznych konkluzyach jej autora. Lecz Darwin wydał następnie dodatkowe swe dzieło p. n.: *Pochodzenie człowieka,* w którem wyraźnie oświadczył, iż na wzór Haeckla teoryę swą o pochodzeniu gatunków rozciąga i do rodu ludzkiego i wyliczył tylko zarazem te fizyczne i umysłowe różnice, jakie istnieją pomiędzy rodem zwierząt i rodem ludzkim. Autor Materyalizmu napisał więc także dodatek do swojej pracy i wydał go właśnie świeżo: p. n.: *Człowiek i małpa, ostatnie słowo Darwina.* Anneks ten musi się uważać za dopełnienie i objа-

śnienie jego traktatu i wspomnimy tu o nim łącznie. W broszurce tej pan Pawlicki uprzedza najprzód, iż Darwin, »który w poprzednich swych dziełach pisał o metamorfozach, sam w końcu uległ największej metamorfozie, z człowieka bowiem, który wierzył w Boga, stał się ateuszem«, następnie zaś rozumując i powołując się między innemi i na świadectwa fizyologów, objaśnia: iż między gatunkiem ludzi i gatunkiem małp stanowcze istną różnice. Co do tego ostatniego twierdzenia, którego rozwinienie jest właśnie główną treścią broszurki, dodajmy tylko: iż wyszukiwanie i zbieranie dowodów różnic między gatunkiem małp i gatunkiem ludzi (celowi temu poświęcona np. u nas i inna świeżo wydana broszurka p. n: *Czy ludzie od małp pochodzą?* pana Romualda Świerzbińskiego) zdaniem naszem jest pracą zbyteczną i próżną, oddzielny bowiem gatunek nie byłby oddzielnym gatunkiem, gdyby nie mieścił kilku stanowczych różnic; — lecz co się tyczy zdania p. Pawlickiego o religijnem stanowisku Darwina, zdanie to jest raczej objaśnieniem zdania autora o charakterze systematu Darwina, jak dotkniętego przedmiotu. Religijne stanowisko Darwina jakież istotnie jest? W dziele *O pochodzeniu człowieka*, równie jak w innych swoich, autor ten zaczepia nieraz o przedmiot religijny, i wskazać tu można na parę w tej rzeczy miejsc wcale jasnych. W rozdziale drugim np. tej ostatniej książki, mówiąc o różnicy władz umysłowych ludzi i istot niższych, a z kolei o pojęciach religijnych w umysłach ludzkich, Darwin wyraża: iż jakkolwiek pojęcie istności Boga nie może się uważać za wrodzone umysłom ludzkim, są bowiem pokolenia, które nawet nazwiska na oznaczenie Boga nie mają, to jednak zarazem jest to faktem: »iż na pytanie, czyli istnie Stwórca i Rządca świata? wszystkie *najwięcej rozwinięte* inteligencye ludzkie odpowiadają *twierdząco*«. W rozdziale piątym znajdujemy znowu takie wyrażenie: »Krzywda, jaką kościół katolicki sprawił ludzkości przez inkwizycyę, *jakkolwiek zrównoważona przez inne względy*, jest nieobrachowaną«. Czyż więc dlatego, iż Darwin wobec

spółziomków swych anglikanów, nawet przy wzmiance o inkwizycyi nie lękał się wtrącić i słowa pochwały dla kościoła katolickiego, i że nie zważając na ateizm swoich niemieckich przyjaciół, grzecznie im rzekł, że ich inteligencye nie należą do »najwięcej rozwiniętych«, — wniosek uczynić trzeba, iż sam został ateuszem? Pan Pawlicki dla wsparcia swego twierdzenia objaśnia wprawdzie, iż »treść tej książki (O pochodzeniu człowieka) zamyka się tu w tej charakterystyce pierwszych ludzi, jaką wyraził w niej Darwin, a która tak brzmi: »Pierwsi ludzie byli okryci grubą siercią, mieli uszy śpiczaste, ruchome, nogi chwytkie, ciało zakończone muskularnym ogonem; bronili się straszliwymi kłami, a mieszkali na drzewach w jakimś kraju ciepłym i lesistym« i po przytoczeniu tych słów dodaje: »dziwić się trzeba, iż lice tego starca (Darwina) nie zapłonęło żarem wstydu, gdy w złej godzinie przyszła mu pokusa coś podobnego napisać«. Objaśnić tu jednak wypada, iż Darwin charakterystykę powyższą, która rzeczywiście prawie dosłownie na kartach jego książki istnieje, stosował, nie, jak mówi pan Pawlicki, do »pierwszych ludzi«, ale do »przodków ludzi«, te jest jednostek tego przypuszczalnego gatunku, z którego przypuszczalnie ród ludzki miał się rozwinąć; lecz gdyby nawet taka lub zbliżona charakterystyka istotnie odniesioną przez kogo została do pierwszych ludzi, przypuszczenie to możeby się więcej sprzeciwiało tradycyi zoologicznej, niż religijnej. Według tradycyi religijnej chrześcijańskiej, pierwsze pokolenia ludzkie potop wytracił; a chociaż na obrazkach XIX wieku Adam czyli pierwszy człowiek przedstawiany jest zawsze jako wysoki, biały i piękny mężczyzna, właściwie jednak Genesis nic nie wzmiankuje ani o barwie, ani o wzroście, ani nawet wogóle o piękności ciała i szerokości władz umysłowych pierwszego człowieka; mówi tylko: iż ten był szczęśliwy, jakby szczęściem rośliny w niewiadomości rosnącej, a szczęściu temu wszystkie nawet wyrażone powyżej cechy, gdyby istniały, czyliżby na zawadzie być mogły? Istoty, które są przy-

odziane w kły, ogon, pilść i t. p., czyliż nadto istną na zawstydzenie i hańbę swojego Stwórcy? głowa ludzka, czyliż się winna uważać za najmniej szlachetną część ciała dlatego, że jest okryta obfitym włosem? Nie rozumiemy więc, dlaczego Darwin miałby się płonić swego przypuszczenia? wszelki człowiek czyliż się winien rumienić wyznając: iż przed czasem nader niedawnym z pewnością był prawie niczem w łonie matki?

Dziwimy się istotnie, iż umysł tak wzniośle myślący i pióro tak loicznie piszące, jak pana Pawlickiego, które oddały tyle usług (a między innemi i nie jedną kartę tej książki, o której tu mówimy) sprawie *duchowej,* działają zarazem w części i na jej szkodę, nie chcąc spoglądać szerzej w istotną jej treść. Ścieśniać wyobrażenie Boga do wyobrażenia tylko Stwórcy kilku wieków i kilku faktów, nie jest to, wobec materyalistów, których skala pojęcia (dzięki teoryi Darwina) tak dziś rozszerzoną została, wychodzić zwycięsko.

Metoda, której się trzyma w walce z przeciwnikami pan Masłowski, autor *Prawa postępu,* jest wprost przeciwną. Pan Masłowski nie łaje i nie wyszydza swych przeciwników metafizyków, i owszem oświadcza jawnie, iż mają oni rozum i wielki, tylko, iż rozum ten może się nazwać niczem wobec rozumu pozytywistów, to jest ludzi, którzy go nie na fantazyi i mrzonkach, ale na *doświadczeniu* zasadzają. Jak szczupłe jednak i zarazem błędne prawdy może dawać takie kryteryum w swem oderwaniu, dowodem właśnie sama ta książeczka autora, o której nawet nie mówilibyśmy tu obszerniej, gdyby nie to, iż zasady jej wyrażone tu krótko, jasno i z pewnym jakby zapałem (a przytem po raz pierwszy prawie w naszym języku) wydać się mogą dla nie jednej u nas myśli i młodszej i starszej nowemi i gruntownemi, i gdyby powtóre nie to: iż będąc odbiciem i powtórzeniem zasad pozytywizmu, właściwie są one wyrażeniem zasad nader nieszczupłej dziś szkoły.

Powiedzmyż najprzód o części teoretycznej tej broszurki, a następnie o tem, co nam daje jej część stosowana.

Uwagi te musimy jednak poprzedzić jedną ogólną.

Zasady broszurki pana Masłowskiego są to w zarysie zasady filozofii pozytywnej Augusta Comte'a. August Comte, jak wiadomo, *Kurs* tej swej Filozofii (t. VI) wydawał niegdyś od roku 1830—1842, przez lat dwanaście, bez wszelkiego rozgłosu w swym kraju; ale rozgłos i poklask objawiły się następnie w Anglii, — a fakt ten zdarzył się nie dlatego (a przynajmniej nie tylko dlatego), »iż, jak się wyraził złośliwie któryś niemiecki krytyk, Anglicy tyle się znają na filozofii, ile na muzyce«, lecz, że zasady tego systemu były to właśnie zasady własnych ich filozofów (Bakona, Locke'a i t. p.), które oddawna pokształciły już były praktyczne charaktery angielskie. Filozofia doświadczalna Augusta Comte'a nie była to więc wcale, jak to powtarza i uczy pan Masłowski, filozofia nowa, i owszem była ona już od czasu Talesa (a zwłaszcza z całą ścisłością od Demokryta) wcale nie nowa, tylko iż ilekroć w biegu dziejów filozofii była wskrzeszana, nie trwała długo, jako pochwytywana i poklaskiwana zwykle przeważnie przez umysły jedynie młode, to jest nie znające jeszcze istotnie innych kryteryów sądu nad zmysły swoje. Iż to kryteryum szkoły Augusta Comte'a: »doświadczenie zmysłowe«, jest istotnie i wiernem i nader obszernem źródłem poznań człowieka, jest to faktem; iż byt materyi, o której kryteryum to mówi, jest rzetelnym bytem, fakt to jest także; prawdy te są to wprawdzie prawdy względne, jedynie *ludzkie*, lecz zawsze *prawdy;* tymczasem wyznawana powszechnie w pierwszej połowie naszego stulecia filozofia ducha, pragnąc dotrzeć do prawd bezwzględnych, a potępiając względne, obwołała i *doświadczenie* (jako dziecko *ułudnych* zmysłów) i *materyę* (jako dziecko takich doświadczeń) za fałsze i za niebyty [1]. Obwołanie to było w gruncie mylnem

[1] Prawdy, które poznaje człowiek, nie mogą być, ściśle mówiąc, inne, jak *względne*, każdą bowiem znamy tylko tyle, o ile nas o niej uczą

i wymagało protestu; to też właśnie było powodem, iż za pierwszym posłyszanym poklaskiem systematu Comte'a, który i owo doświadczenie i materyę tak wysoko podnosił, i który przytem miał tak ponętne dla przyjaciół prawdy nazwisko *pozytywnego,* poklask ten powtórzony został powszechnie rozgłośnem echem, i trwa dotąd, w całej nawet swojej przesadzie. Trwanie to być nie może jednak przeciągłem, zasady bowiem systemu, jakkolwiek mają sobie przez szkołę nadaną nazwę pozytywnych, w gruncie jednak są jak najmniej pozytywnemi.

Zasady te, które właśnie, jak to widzieliśmy, rozwija i pan Masłowski w broszurce swojej, są najkrócej mówiąc następne:

Stopniami rozwoju pojęć w jednostkach ludzkich są: *fantazya, rozum* i *doświadczenie,* stąd też i w historyi pojęć ludzkości wyraziły się kolejno trzy różne stany: najprzód był okres pojęć fantastycznych czyli religijnych, następnie rozumowych czyli metafizycznych i wreszcie okres dzisiejszej filozofii doświadczalnej czyli pozytywizm. Badanie pozytywne przebijało się wprawdzie od początków, a cechą jego najogólniejszą jest, iż zaczynając od pojęć i poznań jak najbardziej ogółowych, przechodzi stopniami do coraz więcej szczegółowych; cecha więc ta sprawiała, iż rozwinęły się śród pozytywnego badania następne nauki i w następnej były kolei rozwijane: matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia i socyologia (te dwie ostatnie nauki w Kursie filozofii pozytywnej Augusta Comte'a miały zrazu nazwiska *fizyologii* i *fizyki socyalnej*, I. 11). Nauki, mó-

---

nasz rozum i nasze zmysły. Gdy zaś przytem ten rozum, te nasze zmysły jawnie ułomne są, każdą prawdę znamy więc tylko ułomnie; lub jaśniej: nie znamy żadnej. A jednak te wszystkie prawdy, które poznaje człowiek, z samej natury swej dostatecznemi być muszą dla potrzeb i losów człowieka, jakkolwiek więc mogą to nie być prawdy w *sobie*, lecz są to prawdy *ludzkie*. Nazwanie to (użyliśmy go w naszem oddzielnem piśmie: *Pierwsze zasady krytyki*) samo tylko pogodzić loicznie może krańcowe poglądy w tej rzeczy idealne i materyalne.

wiące o duchu i wychodzące z niego jak: *religia, estetyka, etyka, logika* i tym podobne, »nie mogą mieć wcale miejsca w rzędzie nauk istotnych, to jest pozytywnych«.

W tem wszystkiem czyliż jest co istotnie pozytywnego? Wiemy wszyscy, iż najpierwszem źródłem pojęć dla niemowlęcia są tylko jego *zmysły* (wzrok, smak i t. p.); że później dopiero za lat młodych buja *fantazya*, a z wiekiem dopiero przybywa możliwość kombinacyi przyczyn i skutków — *rozumu* — rzetelna historya rozwoju pojęć w jednostkach jest przeto wprost przeciwną owej pozytywnej. Klasyfikacya i hierarchia nauk Augusta Comte'a ma wprawdzie swoją wyrozumowaną przyczynę, ale któraż z tych niezliczonych klasyfikacyj nauk, które podają każda filozofia, każda pedagogika, nie ma swojej wyrozumowanej przyczyny? Śród licznych opozycyj, które się zjawiły przeciw klasyfikacyi Comte'a, wspomnimy tu tylko o tej, która wyszła z samego obozu pozytywistów. Herbert *Spencer* (o którym wspominając Darwin, zowie go zawsze »nasz wielki filozof«) w pismach swych: *Geneza nauki* a następnie *Klasyfikacya nauk (Classification of the sciences)* powstał przeciw samej zasadzie klasyfikacyi Comte'a; wszystkie te pojęcia i nauki, wyraża tu, które August Comte nazwał ogólnemi, *poprzedzane* były zawsze przez badania faktów *szczególnych*, a jakkolwiek istotnie badanie naukowe doszło dziś do poznawania coraz większej liczby szczegółów w naukach, to jednak z samego poznawania tych szczegółów przychodzi do odkrywania tem większych ogólności; — powstał przytem (w *Genezie*) na owe wykazywane przez Comte'a przechodzenie jakoby kolejne ludzkości przez trzy stany: *teologiczny, metafizyczny* i *doświadczalny*, i twierdzi, iż te nigdzie nie objawiały się kolejno, ale że owszem wszędzie i w każdej epoce, jak były, tak i są dotąd »spółbytne i wspierające się wzajem«. Jak zaś chronologia i hierarchia, tak i samo oznaczenie liczby nauk pozytywnych przez Comte'a nie przetrwa oczywiście, jak przepowiada pan Masłowski, »bez zmiany przez długie wieki«. Już sam

Comte do powyższej liczby nauk dodał był *psychologię*, Stuart Mill *psychologię* (różną od biologii) i *logikę;* Littré, odpowiadając na krytykę Spencera w *Genezie*, wyznał: iż istotnie *astronomia* nie poprzedzała fizyki i nie jest różną od niej; inni żądali dodania do pozytywnych nauk *etyki*, inni *prawa;* a Herbert Spencer, w nowem wydaniu dawnych swych *Pierwszych zasad* (The first Principles, 1871), zwróciwszy uwagę, iż pojęcia religijne w poznaniach ludzkich (czyli się one znalazły w umysłach wskutek bezpośredniego natchnienia, czy wskutek ewolucyj rozumowych doświadczeń) są faktem, dodał i *religią* [1].

A jako w oznaczeniu owych ogólnych zasad, tak i w dotykaniu bliższem ich szczegółów, tenże tu wszędzie kontrast z pozytywnością. Pierwiastek religijny — objaśnia pan Masłowski — zjawiwszy się w ludzkich umysłach, odznaczył następnie epoki kolejne: *fetyszyzm, politeizm, monoteizm*. Nader wszakże wiadomem jest historycznie, iż pierwej był monoteizm hebrajski, niż politeizm Greków i Rzymian; pierwej w Indyi cześć *Duszy najwyższej* (Prawa Manu), niźli trwająca dotąd cześć bogów w Benares; monoteizm wieków średnich nie był to wypływ greckiego politeizmu, ale był dalszym ciągiem hebrajskiego, monoteizmu który przemógł i zwalczył zjawiony po nim, a pragnący go wyprzeć politeizm. Określając następnie bliżej cechy tego monoteizmu i znajdując je ujemnemi, autor między innemi mówi: »Monoteizm idei o *społeczeństwie* (narodzie) nie mógł utworzyć, ani *przypuszczał nawet* możebności takiego ciała; w miejsce tego podaje on ideę ludzkości« 48. Lud, który był głównym dziedzicem idei monoteizmu, hebrajski, nazywał się ludem wybranym, więc *ludem* (jedno-

[1] Wydawca naszego *Wędrowca*, pozytywista-krytyk pan Sulimierski, który w wydanej w roku zeszłym broszurce p. n. *Przegląd najnowszych płodów piśmiennictwa polskiego* na str. 36 wyraził lament: iż nie prędko się jeszcze doczekamy, aby publiczność nasza doszła do zupełnego oddzielania religii od naukowości, nie omieszka zapewne zapłakać i nad tym upadkiem umysłu Herberta Spencera.

stką społeczną), wyznawał on i opiewał i swoje znaczenie *łączne* i swoją (ludową) misyę; gdzież więc, jeżeli nie śród monoteizmu powstała była najdobitniej idea o *społeczeństwie*, i rozwijaniu się dziejów, i życiu dziejów, przez społeczeństwa?

Jak jednak, według pana Masłowskiego, nie umiał monoteizm oznaczyć idei społeczeństwa, tak też i *moralności*. »Dwa są, uczy autor Prawa postępu, czynniki moralności w naturze: *egoizm* i *altruizm*, to jest miłość siebie i miłość rasy, ale filozofia monoteizmu (dodaje) znała jeden tylko z tych czynników: *egoizm* (str. 123) i w tym duchu kreśliła tylko przepisy«. To tak przeważnie monoteiczne: »kochaj bliźniego«, gdzież się podziało? i w czem różne jest od owego tak zwanego altruizmu? Egoizm jednak, jak świadczą i doświadczenie codzienne i dzieje, jest to owszem praktycznie jedyne kryteryum moralności materyalistów (każące nawet poświęcać dla tej zasady, to jest dla siebie: obce mienie, obcą dobrą sławę i obce życie), mimo przeciwne deklamacye. »My dzieci XIX wieku, mówi pan Masłowski, stojąc na wyżynach umiejętności dzisiejszej, z pewną ironią spoglądamy na te usiłowania starożytnych (to jest monoteistów) do zbudowania *racyonalnej etyki*« (str. 123) i dodać był powinien — »nie piszemy żadnej«, a jeśli ją materyalny dzisiejszy pozytywizm zechce kiedy napisać, wielką zagadką jest: w jakich mianowicie, takich lub innych *szczegółach* byłyby skreślone jej prawa? a większą jeszcze: kto? lub co? zmuszałoby innych do jej wykonywania?

Jak istotę monoteizmu, tak jednak zna i wykłada autor broszurki i filozofię spekulacyjną. Pomijamy tu, iż na str. 73 znane zdanie empiryków »*nihil est in intellectu*« etc. podane jest za zdanie *Leibniza* (!), poczytujemy to za omyłkę druku, ale na str. 55 takie między innemi znajdujemy o filozofii spekulacyjnej wogóle zdanie: »Filozofia spekulacyjna, zbudowana na czysto podmiotowych postulatach i szukająca wszędzie absolutu, zrozumiała postęp w kształcie nie-

ograniczonym, nie odkrywszy praw, jakie rządzą rozwojem ludzkości i *nie przypuszczając bynajmniej,* aby istniały *jakiekolwiek podobne* prawa«. Że pominiemy innych, Hegel, który wyrozumował ów spekulacyjny ruch, czyliż nie oznaczył tych »praw rządzących« w swej Loice, i czyliż nawet nie przeprowadził ich bliżej w oddzielnych traktatach: o filozofii *dziejów, prawa, sztuki, religii?* i t. p. Według autora: monoteizm »nie przypuszczał nawet« istnienia oddzielnych społeczeństw, a spekulacya »nie przypuszczała nawet«, aby mogły istnieć *jakiekolwiek* prawa rozwoju. Takie *prawdy* opowiada uczniom swym *pozytywizm.*

Ale jeśli tak mniej szczęśliwym jest pozytywizm, a z nim i autor Prawa postępu w swoich teoryach, wynagradzają to może lekcyami praktyki? W broszurce pana Masłowskiego istotnie nader wiele się mówi o praktyce, a mianowicie: o *dobrobycie,* o objawach *socyalnych,* o powiązaniu przyczyn i skutków, czyli *harmonii* i t. p.; lecz w tem wszystkiem znajdujemy tu raczej wzmianki o wyrazach praktycznych, a wcale nie lekcye praktyki. Autor owszem mówi tu np.: »Założyciel szkoły pozytywnej doszedł tylko, że człowiek dąży do coraz większego dobrobytu (dojście, jak wiadomo, wcale nie nowe), lecz w jaki sposób? *zagadki tej rozwiązać nie mógł«* (137). »Jak się ma ta teorya zastosować do objawów socyalnych? *wiedzieć nie mógł«* (138). »Szczegóły te, mówi autor, objaśnił dopiero Darwin, przypuszczając, iż zadaniem przyszłości będzie uregulowanie walki o byt, lecz w jaki sposób, dodaje pan Masłowski, to uregulowanie nastąpi? *nie myślimy rozstrzygać«.* Co do bytu przyczyn i skutków, harmonii w dziejach, byt ten, ten łańcuch przyczyn i skutków, w którym każde ogniwo równie jest koniecznem, uznawali oddawna i idealiści, z różnicą, iż mimo swój idealizm, uznawali go daleko praktyczniej, do każdego śród dziejów faktu, kroku, najdrobniejszego szczegółu, równą praktycznie przywiązując wagę. Sam pan Masłowski wspominając np. o przekonaniach w tym rodzaju Pascala, przytacza tę jego trafną

uwagę, iż »gdyby nos Kleopatry był o ćwierć cala krótszy lub dłuższy, dzieje świata przybrałyby inną postać«, ale w szczególny sposób sam ją za nieloiczną uważa i dodaje: »łatwem byłoby dowieść, iż gdyby Kleopatra wcale nawet nosa nie miała, ludzkość jednak temi samemi szłaby tory i do tych samych doszłaby rezultatów«. Cóż więc autor rozumie przez harmonię faktów? związek przyczyn i skutków? szyk szczegółów? A jak nie umie go rozróżniać w faktach drobnych, tak też i w większych. »Podczas, mówi, gdy już z trudnością moglibyśmy odszukać dziś fizyologa, któryby w objawach życiowych widział przejawy ducha bożego, śród socyologów jakże często jeszcze spotykamy się z ideą posłannictwa, z pojęciem o jakimś celu w życiu narodów, o poświęceniu za ludzkość?« i t. p. (96, 115). Według autora, postęp pojęć zależy więc nie na podnoszeniu ich do oglądania jedności pośród różności, harmonii pośród zamętu, ale na zniżaniu ich do oglądania we wszystkiem odrębności, czyli do stanowiska pojęć istot niższych. Jeżeli się nie mylimy, autor w jednym tylko razie zgadza się na istnienie harmonii i na wielkie znaczenie każdego szczegółu, to jest kiedy jest mowa o fizyologii i biologii według Darwina, i to tylko oczywiście ma znaczenie; oto jego np. ostateczna konkluzya: »Filozofia naukowa, czyli pozytywna — mówi przy końcu broszurki — będzie ostatnią z tych form, przez jakie przechodzić musiał umysł ludzki; każe ona wyżej cenić *wszelki najprostszy fakt*, aniżeli cały kodeks dogmatów teologicznych i mrzonek metafizycznych« (201). Autor ceni wysoko każde najmniejsze zgięcie organu w małym robaczku, każdy odcień zjawionego instynktu w nim, i słusznie — ale i dogmata teologiczne i mrzonki metafizyczne czyliż to nie są fakta także i czyliż dlatego tylko chyba nie mają być cenione wysoko, iż nie są *najprostsze?*

W ogólności jak tej broszurce pana Masłowskiego, tak i całej tej szkole, z której wychodzi, musi być uczynionym ten stanowczy zarzut, iż przez naturę rozumie tylko

połowę natury, a nie jej całość. Natura ma nie tylko stronę zewnętrzną, o której wyłącznie mówi pozytywizm, lecz i wewnętrzną; wszakże np. i biblia sama jest cząstką natury.

Haeckel, którego zasad i rozumowań dziełko obecne pana Masłowskiego właśnie jest ścisłem powtórzeniem, uczy, jak to już wspominaliśmy, iż obowiązkiem człowieka na polu praktyki dzisiaj jest: »powrót do przyrody«; — w tem, co pan Masłowski naucza o religii, o dziejach, o moralności i t. p., pełni ściśle istotnie poradę swojego mistrza, ale *powrót* jest to literalnie *cofanie się*, a wcale nie postęp; dziełku, o którem mówimy, winien więc był dać raczej pan Masłowski napis: *Prawo cofania się*, nie zaś *Prawo postępu*.

Książka dra Szyszłły: *Przegląd dziejów przyrody*, nie tylko co do granic i szczegółów treści, lecz też co do zasad i skali poglądu na obszar wiedzy jest książką nader odmiennego znaczenia od dwóch poprzednich. Autor Przeglądu, równie wprawdzie jak autor Prawa postępu, wychodzi otwarcie z zasad pozytywizmu i literalnie nieraz je powtarza; dzieląc jednak zasady szkoły, nie dzieli jej wniosków; jest wyznawcą i duchowych poglądów jak autor Materyalizmu, ale uprawy nauk przyrodniczych, jak o tem dobitnie świadczy treść książki, wcale się nie wyrzeka.

Jeżeli się nie mylimy, praca obecna dra Szyszłły, jakkolwiek jest odbiciem wogóle najnowszych badań i prac naturalistów niemieckich, angielskich, francuskich i włoskich, wypłynęła głównie z natchnienia (tylekroć tu pomienionej) *Natürliche Schöpfungsgeschichte* Ernesta Haeckla, którego autor za stojącego dziś (z Huxleyem) na czele naturalistów uznaje. Z dzieła tego naśladowany jest napis, przeniesione ryciny, powtórzone w skróceniu rozdziały główne. Myliłby się jednak, ktoby sądził, iż książka ta jest tylko przerobieniem *Schöpfungsgeschichte;* prócz rozdziałów o filogenii i ontogenii (rozrodzie tworów i formacyi płodów), które oryginalnością są Haeckla, treść jej jest też wyciągiem i zestawieniem prac i innych naturalistów; uwzglę-

dniane są wszędzie pomysły i od Haeckla nowsze, a nadto dodany nie w jednym psychologiczny pogląd *Claude-Bernarda* i stosowany (jak to widzieliśmy) Herberta Spencera. O naukowej stronie tej książki nic tu mówić nie mamy; wspomnijmy tylko, iż mimo spotykane w niej nieraz niejakie sprzeczności w zdaniach (w zdaniach zwłaszcza przejściowych) wykład wogóle jest wszędzie loiczny, możliwie jasny, i na naukowem przetrawieniu podejmowanej kwestyi zwykle wsparty. »Liczba poznań, jak wyraził Karol Vogt (w mowie na posiedzeniu Instytutu narodowego w Genewie w roku 1869), tak dzisiaj jest rozszerzoną, iż i najbogatsza inteligencya ludzka niezdolną jest znać z wyczerpaniem jednej nawet gałęzi«; autorowi więc, który w swej publikacyi dał nam treść tak bogatą, z lekkich albo dwuznacznych w niej zwichnień (gdyby nawet te miejsce miały) nie uczynimy zbrodni; dodajmy tylko jeszcze dla objaśnienia, iż śród treści rozdziałów, stanowiącej głównie przedstawienie i wyciąg z pola wiedzy naukowej spółczesnej, spotykają się tu nieraz od czasu do czasu i pomysły autora własne, jak np. o znaczeniu istotnem siły żywotnej, o przyszłym lodowym peryodzie i liczne przejściowe; zarazem zaś, iż w naturze tych przebija się właśnie owa naukowa właściwość naszego wieku (o której mówiliśmy wyżej), *uogólnianie*, np. gdy autor natrąca, iż w miejsce liczonych już dzisiaj siedmdziesięciu pierwiastków w naturze, możnaby przyjąć *jeden* wspólny: *eter*, w miejsce pięciu zmysłów, jeden wszystkim im wspólny: *dotykanie* i t. p. Ale powtórzmy raz jeszcze, przedmiot ten nie jest naszym przedmiotem, a na treść i bogactwo treści obecnej książki wskazaliśmy wyżej jedynie dlatego, iżby zarazem wskazać i na istnienie nie jednej dodatniej strony w obecnym pozytywizmie, gdyż, jak objaśnia autor, jedynie przez uwielbienie zasad i dla wykonania reguł tej szkoły podjął się swej pracy.

To zaś, na co tu głównie wskazać i o czem kilka uwag wyrazić chcemy, są to zasady i wnioski, które autor do pozytywnych dołączył.

Pomimo objaśnienia we wstępie, iż ma się trzymać ściśle zasad pozytywizmu, a dalej, iż podziela we wszystkiem naukowe zasady Haeckla, autor *Przeglądu natury* dodaje jednak zarazem, iż się odróżnia od Haeckla w poglądzie na początek wszechbytu, iż mianowicie wychodzi z uznania »przyczyn celowych, jednej głównej przyczyny wszechbytu, jednego spólnego źródła wszechwiedzy« (I, 48). W ciągu dzieła zdaje się nieraz jakby powtarzać te słowa Huxley'a: »dlaczegoby materyalizm, jak idealizm nie mógł się zgodzić z uznaniem bytu Boga, nieśmiertelności duszy i wolnej woli, nie pojmuję wcale«. Zaś nadto na str. 27 tomu II. czyni wyznanie, którem nawet odróżnia się jawnie od kardynalnych zasad pozytywizmu, tak bowiem mówi: »poznać siebie możemy tylko zespalając badania psychologiczne z biologicznemi, czyli naukę z religią. Tylko zespolenie tych dwóch dróg dać nam może całkowite pojęcie prawdy«. — Z wnioskiem tym, z tem założeniem, nie myślimy naturalnie bynajmniej walczyć, lecz oto mamy to właśnie do zarzucenia książce autora, iż mimo te założenia i cele, w ciągu treści albo je gubi z pamięci, albo gorliwie nawet na osłabienie tych własnych celów działać się stara. Autor *Przeglądu dziejów przyrody* uznaje np. istnienie *Stwórcy* oraz iż świat ten z Jego woli się począł; wszakże szydzi zarazem z wyobrażeń pierwotnych ludzi, którzy dopuszczali cudowność, wierzyli w nadprzyrodzony początek ziemi, iż »Bóg to jest, który ciska gromy, sprowadza burze« i t. p., i potwierdza zdanie Büchnera, iż nigdzie nie znaleziono dotąd w naturze śladów interwencyi wyższej« (I, 181). Sprzeczność ta, stosownie do pomysłu autora, nie ma być wprawdzie sprzecznością. Według autora Przeglądu, Stwórca raz stworzył naturę i prawa jej nadał, a odtąd dopełniają się tylko te prawa bez wszelkiego już udziału woli Stwórcy; lub jaśniej: Bóg autora jest tylko Duchem-Stwórcą, ale nie Duchem-Rządcą w przyrodzie.

Wyobrażenie takie może być istotnie loiczne teoretycznie, lecz właściwie nie może się uważać za zgodne

z rzeczywistością. Duch-Stwórca jeśli był raz *Duchem-Stwórcą,* musi się też nieodbicie uważać zarazem i Duchem-Rządcą, bo chociażby i te wszystkie rozwicia fizyczne i te dzieje moralne, na które patrzymy, rozwijaniem się tylko były raz im nadanych praw, to jednak naturalnie Stwórca tych praw musi się zarazem uważać i za Stwórcę i tych ich następstw. Jeżeli pierwotna wola wydała pewne przyczyny, iżby z tych wypłynęły takie, nie inne skutki. dlaczegóż wtedy właśnie, kiedy się te skutki ziszczają, wola owa za niebyłą ma się uważać? I owszem, z tego właśnie, iż ludzkie pojęcie widzi ziszczanie się faktów (zwłaszcza śród dziejów ludzkich), które leżały wyraźnie w pomyśle ogólnej harmonii, i widzi razem. że na wydanie tych faktów złożył się szereg poprzednich, które sprawiane były przez ludzi w celach zupełnie innych, *bez wiedzy* wypadku, dochodzi i musi uznać istnienie i działanie bez przerwy i Woli wyższej, Woli jakiejś i Siły wszechmądrej, wszechwiedzącej, wszechszykującej, lub jednem słowem *bożej* [1]. Byt tej woli, przy zwrocie uwagi do dziejów, widzi dobitnie każdy historyozof, a przy zwrocie uwagi na siebie, nieraz nawet filozof naturalista, chociażby i pozytywista w godzinę dobrą. »Badacz natury, mówi np. *Tyndall,* kiedy przeminie chwila jego naukowej podniety, a jej miejsce zajmie zimna rozwaga, trwoży się tej Istoty, która i dała mu byt i *prowadzi go,* a której niezdolny jest ani analizo-

[1] Z tej to właśnie wyszliśmy prawdy w oddzielnie wydanem, a tu dopiero wspomnianem piśmie naszem: *Zasady krytyki,* objaśniając w drodze *praktycznej,* jak ludzkość w rozwiciu swojem kreśliła *bezwiednie* epoki *harmonijne,* a stąd wskazując, iż jedynie rzetelnem kryteryum sądu być może »kryteryum *następstw*«, t. j. wychodzące w zdaniu o faktach ze stanowiska *następstw,* które są dziełem już nie ludzkiej nieświadomości, ale jakiejś *znającej się w sobie Świadomości.* Nie wiedzieliśmy wtedy, iż jednocześnie ta sama prawda w drodze teoretycznej, ale w odniesieniu do całej natury i wsparta całą pomocą loicznej spekulacyi niemieckiej (podniesionej tu przytem o wielki stopień do jasności i praktyczności), przeprowadzoną także została w oddzielnem piśmie, o którem tu wyżej wspominaliśmy. *(Philosophie des Unbewussten* Edwarda Hartmanna).

wać, ani pojąć«. Powód, dla którego autor Przeglądu usuwa od wyobrażenia Istoty Najwyższej wyobrażenie przymiotu *rządu* jest zapewne (jak to było powodem i dla wielu innych) trudność złączenia swobody woli z wypełnianiem się jednoczesnem i wyższej wszakże; i byt jednej i drugiej jest jawnym i fakt ten nie może być zaprzeczanym jedynie przez to, iż być nie może objętem takie złączenie. Nasze pojęcie ludzkie jawnie ułomnem jest i wszystko to, co jest bliżej boże, jako np. bezpoczęcie się czasu, przestrzeń, same pierwiastki natury i t. p. równie być nie mogą pojęte albo objęte, nie dlatego jednak nie istną, lub nie są prawdą. Autor powstaje też, rzekliśmy, na ten wyraz *nadprzyrodzoność*. »Umysł ludzki, mówi np., doszedł do obalenia wszelkich dotychczasowych podań o nadprzyrodzonym początku naszej planety« (I., 181). Cóż jest jednak właściwie nadprzyrodzoność? Nadprzyrodzonem, nadnaturalnem zowiemy to, co przechodzi granice znanej nam natury. Autor uznaje stworzenie, uznaje początek ziemi. »Siłę i materyę, mówi, uważamy jako *stworzone* i obdarzone pewnemi własnościami na *początku*« (I., 181). Jeżeli więc był kiedyś (chociażby dajmy przed miliardem lat) ten początek, cóż było przed tym początkiem? Było coś, takie lub inne, co poprzedzało, a więc *przechodziło* granice znanej nam natury, więc było *nadnaturalnem*. Haeckel w swych *Dziejach przyrody* wspominając »o chwili tej *niepojętej dla nas*, w której, jak mówi, z samozapłodem moner rozpoczęło się życie na naszej planecie« (I., 186), uważa w innem miejscu, iż »to, co było przedtem, nie może uczonego obchodzić, bo jest już za granicami ludzkiego pojęcia«. To, co nie obchodzi uczonego, czyż musi znikać z bytu i czyż dlatego ta, tak nazywana przez nas nadprzyrodzoność, ma być niebytem, iż jest, lub była nadzmysłową lub nadpojętną?

Stojąc jednak teoretycznie śród szkoły, autor potępia z kolei »kryteryum powagi«, a to tylko za pozytywną prawdę uznaje, co przez pozytywne doświadczenie jest stwierdzonem. Pomijamy tu względy, iż podstawą doświad-

czeń są nasze ułomne zmysły, iż się znalazła w uznaniach ludzkich nie jedna prawda, którą dopiero *następne* doświadczenia sprawdziły, ale postawimy tu tylko pytanie takie: jeżeli doświadczenie dało nam poznać jaką pozytywną prawdę, prawda taka czyliż przestaje prawdą być dla następców? Jeśli nie, tedy snać i kryteryum gotowej powagi nie zawsze jest fałszem.

W dowód prawdy zasady swej, autor wskazuje, jak nieraz pozytywnie zdobywane prawdy jawnie okazują się sprzeczne z naukami powagi; powaga np., mówi, uczyła nas o *jednym* naszym *praojcu*, lecz nauka dochodzi, iż lubo ród ludzki jest ściśle jeden, ale zaczęło go wiele pierwotnych praojców; powaga uczyła nas o *upadku*, »a ta teorya upadku uczyniła była na długi czas niemożliwem bezstronne badanie prawdy« (II., 27). — Co do pierwotnego praojca, zwróćmy uwagę, iż jak byt jednego pierwotnego praojca, tak i byt *kilku pierwotnych* w równym stopniu wychodzą za sferę natury nam znanej i naszych pojęć, i że wreszcie sama nauka ewolucyjna żadnego pewnego wniosku w rzeczy tej nie wyrzekła; jeżeli np. Haeckel tak się wyraża właśnie jak autor, Darwin zdaje się być bliższym uznawania *jednego* spólnego przodka ludzkiego rozrodu, Huxley twierdzi wyraźnie o jednej pierwotnej parze i t. p. Co do kwestyi upadku, jest to kwestya szczególnie dziś zaniedbana. Istnienie w naturze *zła*, cierpień, kalectwa, śmierci, a nadto w rodzie ludzkim i dzisiejszym i dawniejszym (jak są świadectwa w dziejach) *braku*, jakby koniecznego, *szczęścia* w losie jednostek (zjawiane szczęście wnet krzyżuje kontrast), są to fakta; ta ujemność jest wyraźnie przybytkiem śród majestatu bytu, a więc *upadkiem;* naturaliści dzisiejsi, zajęci jedynie badaniem dodatnich stron bytu, nie zważają nawet na ten byt ujemności. Naszem zdaniem już samo *dostrzeżenie* i *kuszenie się o wykład* takiego faktu (t. j. tego bytu) za zaletę uznać się musi. Jeżeli więc w księdze dawnej, której nauka była dotąd powagą, znajdujemy i to dostrzeżenie i ten wykład, przymiot

taki czyliż ma być na ujmę jej powagi? W każdym zaś razie ta teorya *upadku* nie rozumiemy, w czemby szkodzić mogła badaniom geologicznym.

Do tych i tym podobnych twierdzeń nie znalazł więc, zdaniem naszem, autora żaden mus naukowy, a następstwo ich nader jawnie musi być sprzeczne z tym głównym celem, który sobie założył i który tak jawnie wyraził, t. j. godzenia nauk biologicznych z religijnemi.

Tej też barwy są wszystkie zboczenia autora do rozumowań, a których w ciągu dzieła jest tyle. Wszędzie widne cześć dla ducha, dla psychologii i wszędzie także cześć dla zasad pozytywizmu materyalnego. Tę dwuznaczność zdaje się w końcu objaśniać autor, t. j. pozwala się nam domyślać powodu tej dwuznaczności.

P. Szyszło uważa oczywiście, iż do poznania prawdy może nas tylko doprowadzić droga prawdy, że zaś tę drogę prawdy te tylko dają nauki, które dobitnie są prawdą, a temi, według autora, są tylko przyrodnicze, tych więc tylko i tych wyłącznie kształcenie za jedynie skuteczną drogę poczytuje. Wnosimy to przynajmniej z tych słów, które autor z powodu wzmianki o naukach metafizycznych przy końcu swej pracy wyraził.

»Wówczas — mówi tu autor — kiedy filozof przyrodnik postępując zwolna krok za krokiem, zdobywa coraz nowe prawdy, coraz bardziej rozszerza widnokrąg swej wiedzy, trzymając się ściśle prawdy przedmiotowej, faktów określonych; metafizyk pomijając mozolną drogę obserwacyi i doświadczenia, chce odrazu przeniknąć i poznać tajemnice przyrody na drodze wyłącznie spekulacyjnego myślenia. Przyrodnik dzisiaj jakkolwiek nie zaprzecza nauki innym w ich specyalnej pracy, z pewnem jednak ubolewaniem spogląda na psychologa, usiłującego poznać prawa rządzące duchem, nie zbadawszy wprzód praw rządzących materyą«.

Jesteśmy jak najdalsi od zaprzeczania zalet i licznych pod nader licznymi względami korzyści dla życia ludzi,

wypływających z uprawy nauk przyrodniczych; ale jest to szczególne złudzenie szkoły pozytywnej, gdy sądzi, iż się opiera na faktach i drogą tylko ścisłej prawdy we wszystkiem wiedzę rozwija. Świat zewnętrzny, jak świat wewnętrzny, w *równym* stopniu są zagadką dla naszych pojęć, a zdobywana stopniami znajomość faktów śród obu tych światów, w równej mierze jest daleką od wyczerpania. Weźmy książkę samego autora; któraż z kwestyj, które tu po kolei dotykał, otrzymała tu pozytywny swój wniosek? Odpowiedź zapiszemy tu własnemi wyznaniami autora. W rozdziale *O materyi i sile* autor mówi: »Nigdy nie poznamy materyi i siły« (I., 60). W rozdziale *O sile żywotnej:* »siły żywotnej niepodobna dowieść, nie wiemy, czy ona istnieje« (I., 68). W rozdziale *O początku ziemi:* »nie mamy żadnej teoryi pewnej o utworzeniu się ziemi« (I., 181). W rozdziałach *O pochodzeniu ludzi:* »co się tyczy starożytności rodu ludzkiego, nauka nic jeszcze w tym względzie stanowczo nie wyrzekła« (I., 265). »Spór ten (czy należy odnieść człowieka do rzędu małp) nie jest dotąd stanowczo rozstrzygniętym« (II., 30). »Teorya stopniowego rozwoju nie tylko jest pożyteczną, ale jest dziś konieczną hipotezą« (II., 94), zawsze zatem *hipotezą*. System planetarny Laplace'a autor uważa wprawdzie za dostatecznie sprawdzony, ale Haeckel (którego wszakże sam autor uznaje za czoło dzisiejszych naturalistów) po przytoczeniu go w *Dziejach przyrody* dodaje: »Wszystko to wprawdzie *mogło być inaczej*, ale dopóki ktoś« etc. A jak się ma rzecz z wnioskami w kwestyach ogólnych, tak równie i w szczegółowych. Epoki geologiczne, lata formacyi pokładów, sama pewność powstania ich z takich lub takich pierwiastków, oznaczane przymioty i formy istot kopalnych itp., czemże właściwie są, jeżeli nie zbiorem hipotez? Pozytywista geolog śmieje się dzisiaj wprawdzie z ograniczenia historyka, kiedy ten bytowi rodu ludzkiego nie więcej jak kilka tysięcy przyznaje lat i zowie go zwolennikiem mrzonek; co do nas, wyznajemy istotnie, że za *pozytywne* świadectwa

bytu człowieka poczytujemy raczej doszłe do nas dzieła rąk jego: pisma i sztuki, zaś przeciwnie domysły naturalistów poczytujemy za mrzonki. Weźmy np. jeden z domysłów takich pierwszy lepszy. Oto w jaskini jakiejś na lądzie Europy (przepraszamy, jeśli nam nie we wszystkiem służy tu pamięć) znaleziony został szkielet zwierzęcia, który uznano za szkielet słonia południowego, a na nim nacięcia nożem. Słoń południowy zaginął w epoce jakichś pokładów, które istniały najmniej od kilkunastu tysięcy lat, nacięcia nożem świadectwem są, iż były to nacięcia narzędziem i ręką *człowieka,* wniosek więc pozytywny (według pozytywistów) tu jest, iż ród ludzki istniał od kilkunastu tysięcy lat. Na wniosek ten ileż się to jednak właściwie składa hipotez! Że.ów szkielet był to szkielet słonia południowego, jest to hipoteza (wiadomo, że ów tak długo sławny w nauce *sobie spółczesnej* szkielet »człowieka — świadka potopu«, *homo diluvii testis,* według nauki nam spółczesnej okazał się szkieletem salamandry, a któż zaręczy za zasady nauki przyszłej?)[1]; że owe starożytne pokłady, w których zaginął słoń południowy, były starożytności takiej a takiej, jest to hipoteza (jak oznaczenie *przyczyn,* tak i *czasów* formacyj nader jest przypuszczalne; naturalista *Geppert* w *Geschichte der Urwelt* przytacza, iż widział ciała roślinne w ciągu lat dwóch, a sukno przy działaniu gorącej pary w lat sześć na węgiel przemienione); że słoń południowy zaginął w owych pokładach, jest to hipoteza, ziemia bowiem zaledwo w $^1/_{10000}$ części paleontologicznie dotąd zbadana i właśnie nader świeżo czytaliśmy wiadomość, iż Agassiz w którymś kącie Ameryki odkrył żyjące *trylobity,* gatunek skorupiaków, który uważał się dotąd za zaginiony w epoce dewońskiej; — iż owe wreszcie nacięcia były to nacięcia jakiegoś przedwiecznego noża, to także hipoteza, i niektórzy z samych naturalistów dzisiejszych uznali, że

[1] Śród wszystkich dzisiejszych okazów *człowieka kopalnego,* niema ani jednego, którego starożytność byłaby bez wszelkiego protestu.

mogły to być ślady zębów zwierzęcych wysysających szpik, a inni (Schmidt), iż były to nacięcia spółczesnego nam noża oczyszczającego kość starą.

Na takich jednak tylko, lub tym podobnych faktach wspiera się obrachunek dzisiejszy o istnieniu przedwiecznych ludzi. Miłość własna lubi mieć dawnych przodków i nie twierdzimy wcale, iżby takie lub inne domysły i dowody o tej dawności nie pozyskały kiedyś pewniejszych podstaw, lecz, jak dotąd, nie są one wcale pozytywnymi.

Budować na takich faktach nie jest to więc wcale, jak się wyraził we wstępie autor, budować »na fundamentach«. Psycholog, któryby dla rozpoczęcia badania praw rządzących duchem czekał pierwej zbadania praw rządzących materyą, za długo musiałby czekać, bo, jak to napomyka nieraz i sam autor i jak się wyraża przytoczony przezeń we wstępie psycholog naturalista Claude Bernard, nie nastąpi podobno to *nigdy*.

Wogóle więc, błąd w oznaczaniu stosunku Stwórcy do stworzeń, walka z powagą bez uzasadnienia, poniżanie i odpieranie nauk duchowych, sprzeczność między założeniami a wykonaniem, te są, zdaniem naszem, strony ujemne obecnych studyów filozoficznych d-ra Szyszły, o ile filozoficznych.

Autor, który literaturze naszej dał książkę tak odznaczoną bogactwem poznań w swojej gałęzi, który wydaniem jej mimo wszelkie mogące być w niej ujemności, stanął odrazu na czele krajowych pozytywistów, i który zwłaszcza w tej książce założył był cel tak dodatni — tem więcej za obowiązek miał czuwać i nad harmonią psychologicznych swych twierdzeń, chociażby treść ta była i najdrobniejszą cząstką kart jego pracy.

W taki sposób w trzech tych pismach, reprezentujących trzy różne umiejętnościowe dzisiejsze kierunki u nas, odbiły się darwinizm i pozytywizm. Górująca wewnętrzna

wartość książki d-ra Szyszły zdaje się być zarazem wskazówką, iż ten cel i kierunek, którego się trzyma, t. j. kierunek zalecający nie jednostronność, ale wszechstronność, największą też ma przed sobą przyszłość. Gdy zaś autor tej książki gorliwie wyznaje darwinizm, a wyznając i pozytywizm, odróżnił się stanowczo we wnioskach, skłoniwszy je ku duchowym, tedy książka ta d-ra Szyszły może też służyć za nowy dowód twierdzenia, które wyraziliśmy wyżej, iż darwinizm wyszedł na zdradę pozytywizmu.

10 listopada 1872 r.

VI.

DOŚWIADCZENIE JAKO KRYTERYUM PRAWDY.

Badania zagadek bytu, istnącej prawdy, wielkim krokiem zdają się dzisiaj zbliżać do swych rozwiązań. Nie dlatego, iżby jakie empiryczne odkrycie okazało i objaśniło stanowczo cel i początek pierwiastków życia śród świata; nie dlatego, iżby się już zjawiła i stała powszechną jakaś racyonalna metoda wieść do celu mogąca najprościej, ale dlatego, że jest to faktem, iż raz niegdyś wzruszony i puszczony w obieg ów pierwiastek ducha ludzkiego, który ma na celu poznanie istoty rzeczy, goniąc po harmonijnej swej drodze i rozwijając się, coraz szybciej i szerzej swe obrotowe koło nakreśla.

Istotnie, wiek nasz nie jest to wcale ów wiek ludzkości pierwotnej, kiedy zjawiana śród jej jednostek umysłowość wyższa, szczególny rozum, zdawały się jakby wyjątkiem, zboczeniem od praw natury (Wschód); nie jest to nawet wcale ów okres późniejszy, kiedy umysłowość podobna (rozum) nie bywała już wprawdzie wyjątkiem, lecz przywilej ten zdawał się służyć jednemu zakątkowi na ziemi, jednemu wyjątkowemu ludowi (Grecya, a po niej Rzym): dziś takim wyjątkowym zakątkiem, takiem wyjątkowem plemieniem jest ledwo nie cała ludzkość i ledwo nie wszystkie jej ludy. Że wspomnimy tu tylko o tej części

ziemi, śród której mieszkamy, i o tej gałęzi myśli, o której tu głównie rzec mamy (filozofii), wszystkie prawie dzisiejsze kraje Europy, tak ludy cywilizacyi dawnej, jak nowszej, nie są próżne już krótszych, już obszerniejszych na tem polu prac i utworów, a utwory te tu i tam nie są próżne cech żywotności. Pisarze i myśliciele pierwszych (to jest piśmiennictw dawnych) ukazują w swych pracownikach i dziełach ich: oswojenie się z lat dziecinnych z treścią myśli głębszych, właściwych im metod, i razem naturalny, dalszy ich rozwój; pisarze i myśliciele drugich (to jest piśmiennictw na kolej dopiero przychodzących, jak np.: skandynawskich, flamandzkich, słowiańskich i t. p.), mieszczą znowu z samej natury swojej pierwiastki gruntu świeżego, produkcyą nie wyssanego, i dozwalają tem samem szukać i oczekiwać śród siebie nowych, szczególnych zjawisk. Nie na brak więc, szczupłość produkcyi, ale raczej na ich różnorodność, mnogość i pewien w mnogości tej chaos użalaćby się chyba dziś można. Z jednej strony widne tu żądze, wysiłki do grzebania starych wiar, starych przekonań; z drugiej rozwijania postępne dróg dawnych; w tych i owych krocie nowych lub niby nowych systemów, podsystemów i odcieni systemów; tak, że jeśliby prawdą być miały te twierdzenia fizyologów, że »wszelkie niszczenie jest zarazem tworzeniem«, oraz iż »rozpadanie się w różność zwiastuje jedność«; tedy patrząc na ten obecny nam stan tej nauki, która ma za zadanie zdobycie prawdy, rzecby można, iż już obchodzimy wigilię tego zdobycia.

I co do nas, iż tak jest, nie wątpimy.

Nie wiemy wprawdzie, co to są miary i czasy, co to są dnie i wigilie w życiu ludzkości, ale wiemy, że jej bieg to harmonia, i że śród świata harmonii wnioski są jasne. Biorąc więc przypuszczenie powyższe za fakt (a przypuszczenie to w żadnym razie nie może się stać ze szkodą istotnej drogi), chcemy tu i ze swej strony, według swej siły, możności, postawić niejaki krok, albo chociaż kroczek, a mianowicie spojrzeć, czyli w tym dzisiejszym odmęcie

dociekających kroków, różnorodnych w swej treści, ale mających cel *jeden*, nie da się upatrzyć pewna jedność i śród samej tej treści, i czyliby ta podjęta, a w kierunku jednej z dróg podniesiona i rozszerzona, nie mogłaby do spólnego celu powieść najprościej, i tem samem (mówiąc porównaniem powyższem) skrócić nasz dzień wigilii, a zbliżyć święto?

Chcielibyśmy w tej krótkiej pracy być zrozumiali i jaśni tak dla umysłów wszelkiej partyi, jak żadnej partyi; położymy tu więc przedewszystkiem maleńki prolog, to jest przypomnimy w dwóch słowach, a w sposób możliwie praktyczny, co właściwie istotą jest filozofii, jaki był dotąd wyraz jej dziejów i jaki jest stan nam spółczesnej? Jasne oznaczenie przedmiotu ułatwić może i musi i podzielenie wniosków. Musimy tylko uprzedzić, iż jak w tym krótkim prologu, tak też i w treści dalszej nie będziemy wychodzić z metody i zasad żadnej ze znanych szkół (choćby dlatego, że żadna nie przyniosła tych skutków, jakie mieć chcemy), ale iść tylko z zasad własnych i drogą własną.

Filozofia, mówiąc najkrócej, jest to nauka, która ma na celu poznanie istoty świata i wyprowadzenie stąd reguły życia dla człowieka. Część pierwsza tego określenia, jako pierwsza, jest zadaniem jej głównem.

W myśli ludzkiej jakie się mianowicie kształci poznanie świata? Człowieka łączą ze światem i przed poznaniem jego stawią mu jego obraz dwie władze: *zmysły* i *umysł*. Połączenie to, jak objaśnia fizyologia, dzieje się tak: iż *wrażenia* zmysłów danej jednostki, pochwycone przez nerwy jej ciała, uderzają następnie o jej mózg, a czynność duchowa tej tkanki (umysł) zatrzymuje je, łączy, szykuje i w ten sposób przed poznaniem człowieka świat drugi, zewnętrznemu podobny, odtwarza. Ten drugi świat z jednej strony jest więc odbiciem dotykalnej rzeczywistości, z drugiej zaś jest już i sam dotykalną prawie rzeczywistością. Śród komnaty, śród nocy, w każdym czasie i miejscu,

z okiem nawet zamkniętem, umysł nasz widzi wszystko przed sobą, w tychże kolorach, rozmiarach, szczegółach, jak jest na jawie: słyszy, prawie dotyka. Sądząc naturalnością, czyli prostotą sądu, dwa te światy, jeden, który dotykamy zmysłami, i ten, który oglądamy umysłem, są równą rzeczywistością, jeden materyalną zewnętrzną, drugi duchową; ale poznanie ludzkie chcąc bliżej ten świat ocenić i rzeczywistość tę zgłębić, stosownie do przeważających w różnych jednostkach dążeń, pociągów, cech, w zadaniu tem do dwóch wręcz sobie przeciwnych dochodzi wniosków. Zdaniem jednych (którzy całą wagę przywiązują do *wrażeń)* rzeczywistością jedyną są zmysły i świat *zewnętrzny,* świat zaś myśli (tak ten, który odtwarza wrażenia, jak i ten, który rozwija się bez nich, jak np. u niewidomych) jest to tylko zwierciadło, mara, właściwie niebyt; zdaniem drugich, przeciwnie: wszystkie te nasze wrażenia zmysłów, czyli z nich ukształcone pojęcia, to ostatecznie skutek tylko takich, nie innych cech naszego umysłu, więc ducha, a przeto jedyną rzeczywistością i prawdą jest tylko *duch.* Dwa te różne poglądy, sposoby poglądów, od czasu pierwszego niegdyś podrostu myślenia, jako myślenia (Grecya), przyjmując i wyrażając różne zgięcia, odcienie, rozrosty, wyraziły w swym przebiegu do czasów naszych dwie linie dwóch różnych systematów, które mimo różność swych odcieni i przezwisk (jak np. realizm, materyalizm, sensualizm, idealizm, spirytualizm, sentymentalizm, spirytyzm, mistycyzm i t. p.), ze względu na przemagający pierwiastek, wogóle na *materyalne* (albo *realne*[1]) i *idealne* podzielić się mogą. Wyznawcy tych ostatnich (począwszy od niegdyś Platona do Hegla) gardząc świadectwem zmysłów, jedyną możność przedzierania się do stopniowego po-

[1] W tem przynajmniej znaczeniu, nader zbliżonem do wyłącznej materyalności, bierze się ten przymiotnik najczęściej dzisiaj; właściwie oznaczać on winien *rzeczywistość*, a zatem i realność i idealność *łącznie*, i w tem też właśnie znaczeniu branym był w wiekach XIII. i XIV. przez Realistów w czasie ich sporu z Nominalistami.

znania prawdy widzą w badaniu i kształceniu pojęcia w sobie, w *rozumowaniach;* stronnicy drugich (od Arystotelesa do Comte'a) w badaniu i gromadzeniu poznań z pola natury zewnętrznej; dla pierwszych (idealistów) główną metodą w badaniu bywa więc tak zwana *dedukcya,* czyli wyprowadzanie wniosków z kształconych pojęć, dla drugich tak zwana *indukcya,* czyli wyprowadzanie wniosków z faktów zewnętrznych; głównym środkiem, czyli narzędziem badania pierwszych jest *dyalektyka,* drugich obserwacya, oraz obserwacya złożona: *doświadczenie.*

Co do dziejów tego badania, czyli myślenia ludzkości, te były i są odbiciem dziejów myślenia ludzkiej jednostki. Jak bowiem w historyi myśli rzetelnie roztropnego człowieka (jakby *zupełnego* człowieka) myśl ta jego, pragnąc poznania prawdy, zwraca się już ku takim, już innym przedmiotom poznania i środkom poznania, już takiem już innem kolejno przejmuje się przekonaniem, i w ten sposób w ogóle swoim postępnie wzrasta, tak toż samo wyrazić się też musiało i w dziejach myślenia ludzkości, tylko na skale insze i miary insze; chwile tych zwrotów myśli wyraziły się tu jako systemata i szkoły systematów, dnie i lata, nie dniami i latami, lecz okresami. Stało się więc, iż w historyi myślenia czyli filozofii, jakkolwiek w *każdej* epoce jej, w ogóle poznań ludzkich tkwiła zawsze i tkwi pełność myślenia, *wszechstronne* poglądy, i jakkolwiek ogólnym wyrazem tej razem wziętej drogi był zawsze postęp, to jest postępny rozwój, to jednak śród innych szczegółów można zauważyć, iż jednym z faktów tego rozwoju była kolejna zmiana przedmiotu poglądów, to jest, iż w drodze tej okres przeważnie materyalny po idealnym i znowu przeważnie idealny po materyalnym naprzemian następowały.

Krótki rzut oka, chociaż na najbliższe tylko nam wieki, łatwo to sprawdzi.

Kiedy po wieku tak zwanym »odrodzenia«, rozwinął się był w stuleciu XVII. szereg swobodnych poglądów, ukazał się był najprzód za sprawą Bakona, a za nim Hob-

bes'a, okres przeważnie materyalizmu; następnie zaś za sprawą Descarta, a za nim Leibniza, przeważnie idealizmu. Wiek zeszły w drugiej połowie swojej (z natchnienia Locke'a) wskrzesił znowu był materyalizm i owszem podniósł i rozwinął go był prawie do szczytu. Bakon prócz *obserwacyi* zmysłowej wymagał *indukcyi*, a Locke *refleksyi*, a jedną i drugą uważali ci myśliciele sami za pierwiastki duchowe: — ale filozofia XVIII. wieku zwróciła uwagę, że i owa indukcya i refleksya to dzieci *wrażeń*, więc ostatecznie zmysłów (Condillac), a objaśnienie to powiodło do bezpośrednich wniosków, iż śród świata jeden tylko jest ostatecznie pierwiastek: materya, zaś duch i nauczania o duchu, to próżne mrzonki. Wnioski te powtórzyła ludzkość, wszakże nie potrwały zbyt długo. Już przy końcu wieku zeszłego rozpoczął się był ów zwrot kolejny, zwrot do idealizmu, a sprawcą tego nowego zwrotu, a następnie całego nowego okresu był Kant.

Kant, przychodzący po Hume (który po rozwadze dowodów dwóch prawd przeciwnych doszedł był do wniosku, iż nie istnieje żadna), tem był, rzec można, w tym nowym okresie, czem niegdyś Sokrates po sofistach [1]; jak Sokrates wyszedł on z tego uznania, iż *prawda* (taka lub inna) *istnieje*, a tylko iż jej nie znamy dla błędnych środków poznania. Dodał więc, iż należy środki te kształcić, a ukształcenie to, to jest ukształcenie pojęć nie może inaczej nastąpić, jak przedewszystkiem przez rozbiór tych pojęć. Stąd też właśnie wszystkie główne traktaty Kanta nosiły nazwisko *krytyk*, a jego system nazwany został krytycznym. Wypadkiem tych krytyk było, iż ogół poznania naszego składa się częścią z pojęć nam wrodzonych (tak zwanych w systemie *a priori*), częścią z nabytych, to jest z *doświadczenia* idących, a czerpanych ze *zjawisk*, czyli strony zewnętrznej

[1] Różnica między stanowiskiem sofistów i Hume'a ta tylko była, iż zdaniem pierwszych nie było prawdy, którąby dowiedzioną być nie mogła; zaś zdaniem Hume'a, iż niema prawdy, którejby nie można zaprzeczyć.

przedmiotów. Dodawał jednak zarazem Kant i na dodatku tym co chwila się wspierał, iż zaręczyć nie można, iżby tak jedne jak drugie (pojęcia) były zgodne z rzeczywistością, czyli istotą rzeczy w sobie, a przeto iż właściwie mówiąc nie znamy, czem jest rzecz w sobie. Powszechność, do której przemówił Kant, była to powszechność, jak właśnie rzekliśmy, przesycona materyalizmem, jego przesadą; jakkolwiek więc system Kanta powoływał zarówno do czynienia doświadczeń, jak do rozbioru pojęć, to jest do badania zarówno świata zewnętrznego, jak duchowego; to jednak to, co w tej jego nauce głównie przyklaśniętem zostało, co naśladowców stworzyło i zwrot nowym charakterem nacechowało, była to właśnie owa myśl przewodnia, iż rzeczy świata nie znamy, jakiemi są, a tylko takiemi, jak nam się wydają. Tem też pochopniej był pochwycony pomysł następcy i naśladowcy Kanta, Fichtego, który dodał, iż zjawisko rzeczy nie należy właściwie do rzeczy, lecz jest to tylko nasze wyobrażenie o rzeczy, więc nasze *ja:* tę zaś naukę, ten pogląd (mimo protestu w słowach) stwierdzili też w gruncie następnie systematami swymi Schelling, a zwłaszcza Hegel, którego systemu wyrazem było, iż jedyną rzeczywistością i prawdą w naturze jest wypływający z ogólnego podmiotu i ogólnego przedmiotu Absolut, czyli Idea bezwzględna, *Duch.*

Cała pierwsza połowa naszego stulecia była rzetelnym tryumfem tych idealnych poglądów i tego ostatniego systemu; poniżył on był, wyszydził i zgładził do szczętu materyalizm poprzedniej epoki, tam nawet, gdzie był najwięcej zakwitnął; o *doświadczeniu, zmysłach,* naturze *zewnętrznej* jako niebycie, prawie przestano mówić w filozofii właściwej. Lecz natura ma nader jawne dwie strony, i oto powtórzyć się znowu musiały fakta poprzednie. Przesada i jednostronność wydały przesyt nowy, zwątpienie nowe. Nauka o idealności w pierwiastku, idealności w przebiegu, idealności w wypadkach, graniczyć musiała i graniczyła z nauką o nihilizmie, i przy zwrocie teoryi do praktyki

powiodła do nihilizmów. Pożądanym i wyglądanym więc począł być system, któryby się wsparł na zasadach i wiódł do wniosków więcej związanych z życiem, któryby nie podawał za niebyt, co jawnym jest bytem, i któryby słowem podźwignął i podniósł zbyt potępioną materyę.

I taki system, po upływie mniej więcej pół wieku, znowu z kolei zjawił się, a pociągnął ku sobie tem snadniej i rozpowszechnił się tem rychlej, iż nie przyjmując zgóry nazwiska tak świeżo jeszcze wyszydzonego materyalizmu, ukazał się owszem pod nazwiskiem dla przyjaciół rzetelnej prawdy nader ponętnem — *pozytywizmu.*

Twórcą tego nowego, a ostatniego przed nami większych skutków systemu - był August Comte.

August Comte z powołania matematyk, był uczniem, a następnie od roku 1832 docentem w Szkole politechnicznej w Paryżu, system zaś swój wyłożył w dziele od roku 1830 do 1842 w VI. tomach, wydanych pod napisem: *Kurs filozofii pozytywnej.* Dzieło to rozpoczęte w czasie, kiedy jeszcze spekulacya niemiecka miała powszechne wzięcie nawet we Francyi, ukazywało się zrazu bez wielkiego rozgłosu, sympatyi i, jak się zdaje, bez ufności w filozoficzne siły autora. I nieufność ta nie była bez racyi. Comte, dziecko i zwolennik filozofii swojego kraju z końca ostatniego stulecia, nie znał prawie dróg innych rozwoju myśli, nie znał ani filozofii niemieckiej, ani nawet nowej angielskiej [1], a z ujemności tej tem się tylko w ciągu pisma usprawiedliwiał, iż »nie czytywał autorów obcych, by nie stracić oryginalności«. Wierny więc mistrzom swoim, autor ten po dawnemu nauczał, iż wiedzy naszej pewnej, pozytywnej,

[1] Z niedawno ogłoszonego dzieła profesora wiedeńskiego uniwersytetu, Zimmermanna, p. n.: *Kant und Positivismus*, dowiadujemy się, iż dopiero po ogłoszeniu już *Kursu filozofii pozytywnej*, jeden z uczniów Comte'a, Eichthal, zakomunikował mu był kilka traktatów Kanta i Hegla i że je Comte admirował. Zimmermann wykazuje tu także, iż z filozofii angielskiej Comte znał tylko Bacona i Hobbes'a, z których też głównie wychodził.

to tylko być może podstawą, o czem nam świadczą zmysły; że przeto celem badań naszych może być tylko *jak?* nigdy *dlaczego?* że przedmiotem naszych rzetelnych (pozytywnych) poznań może być tylko obecność, a nigdy przeszłość i przyszłość, więc żadne przyczyny pierwotne, żadne cele ostatnie; iż nauki, których przedmioty wychodzą za sferę zmysłów, jak to np. logika, psychologia, etyka, wszelkie religie, nie mogą mieć nawet nazwiska rzetelnych nauk, i że wreszcie jedynem kryteryum poznań naszych pozytywnych może być tylko obserwacya, czyli *doświadczenie zmysłowe.*

Myśl Comte'a była przeważnie dzieckiem XVIII. wieku, lecz myśl wszelka nie może się wyzuć i z wieku, który przebywa, nie może nie być, już w taki, już w inny sposób, ogniwem rozwoju. Jakoż spółcześnie z Comte'm ogłaszał we Francyi dzieła drugi matematyk-filozof, Hoene-Wroński, a pisma jego jako miejscowe, a dotyczące wykładów szkolnych Comte'a, nie mogły mu być nieznane. Wroński był w części zwolennikiem Kanta i Schellinga i pisma jego stawały się mostem między naukowością niemiecką i francuską, stworzył on też i system swój własny, rodzaj złączenia dziejów i matematyki, a którego wynikiem i hasłem było, iż »historya rozwija się według praw stałych«. Hasło to pochwycił właśnie i Comte i zapomniawszy na chwilę, iż nie powinien był dotykać przeszłości, w dwóch ostatnich tomach pomienionej swej publikacyi rozwinął naukę, iż jest prawo, które jest ojcem dziejów i że prawa tego wyrazem, między innemi jest fakt, że społeczność ludzka w postępnem rozwiciu swojem przechodzi kolejno trzy stany: teologiczny, metafizyczny i pozytywny [1]. Z tego

[1] Dodać można, iż ten pomysł o trzech kolejnych stanach nie był także własnym Comte'a, ale wziętym wprost z dzieła Turgot'a: *Idées*, z różnicą tylko, iż użyta tam nomenklatura kolejnych stanów: »théologique, métaphysique, *scientifique*«, przezwaną została: »théologique, métaphysique, *positive*«.

też stanowiska wskazywał i na przebieg filozofii i zasady własnej usprawiedliwiał.

Iż Comte czerpał z traktatów Wrońskiego, iż im był winien, że jego filozofia pozytywna okazywała się nieoderwaną od ogólnej historyi ludzkiego myślenia, możemy nie wątpić; jeżeli jednak obu tych matematyków-filozofów były podobne drogi i w części założenia, zbyt różne były ich pierwotne przygotowania, zasady [1], i stąd też nader odmienne ostatnie wnioski. Wroński skończył na mesyanizmie, zaś August Comte na ateizmie. System Hoene-Wrońskiego (starszego wiekiem), poczęty i zrodzony śród przeżywającej się epoki idealizmu, mógł się stać (jako idealny także) ziarnem chyba jakiego okresu przyszłości; myśl Comte'a przypadła przeciwnie do spółczesnych mu umysłowych potrzeb i system jego stał się wyrazem powszechnego nowego zwrotu.

Oznaczenie w systemacie Comte'a owych ogólnych filozoficznych zasad, owych momentów rozwoju, wykład wreszcie klasyfikacyi nauk (wychodzący z zasady, iż historyą ich było przechodzenie stopniowe w badaniach od ogółowości do szczegółowości) były zdradą stopnia rzetelnej naukowości autora, jego znajomości dziejów i filozofii; lecz z drugiej strony system Comte'a wnosił do filozofii element nieznany poprzednim w niej pracownikom, t. j.

[1] Hoene był rodem z Polski, niegdyś uczeń Szkoły kadetów, następnie pułkownik wojsk cesarsko-rosyjskich, wcześnie odpasał oręż i oddał się wyłącznie nauce i rozmyślaniu; przebawiwszy w Niemczech lat dwa, przeniósł się do Paryża i tu przybrawszy przezwisko *Wroński*, pod tem imieniem ogłosił szereg pism matematycznych, odznaczonych oryginalnością pomysłów i polemiką z głównemi powagami ówczesnemi w tej gałęzi. Od r. 1830 traktaty jego przybrały kolor mistyczny i polityczny. Iż pisma tego autora były dla pisarzy francuskich mostem od naukowości niemieckiej, znajdujemy tego dowód i w piśmie z roku zeszłego *Philosophie de l'Histoire* (1874, Paris, t. 2) Fryderyka de Rougemont, który używszy tu po raz pierwszy na str. VIII. wyrazu *historiosophie*, dodaje w przypisku: »*Mot un peu lourd mais indispensable que j'emprunte* après Wroński *à l'Allemagne*«. Co do Comte'a, oddawna zauważono, że wdzięczność nie była wcale udziałem tego autora, i że tych, którym najwięcej był winien, pomijał albo wyszydzał.

zbyt wyższą znajomość nauk matematycznych, fizycznych i wogóle dotyczących natury zewnętrznej; socyologia zarywała wreszcie o najnowszą w umysłowości ludzkiej naukę, historyozofię, system przychodził powtórzony na pole już zmęczone, już zgorszone rezultatami ostatnich systematów idealnych i przychodził z nazwą ponętną; gdy więc najprzód ojczyzna Bakona, dla której niezrozumiałe były i wstrętne spekulacye germańskie, wdzięcznie i chciwie pochwyciła za ten nowy system i to nazwisko, wnet i ojczyzna Comte'a poklasnęła pracy krajowca, powstała szkoła; szczęśliwe spółczesne dojścia śród sfery nauk przyrodzonych, które w zastosowaniach (elektryka, para) przemieniły w części warunki bytu ludzkości, wsparły powodzenie tej szkoły i pozytywizm stał się wkrótce w naukowości filozofią ogólną, modą, największą nawet w tym kraju, który najwięcej przesycony był idealizmem, w Niemczech, gdzie to nazwisko pozytywizmu jawnie nawet na nazwisko materyalizmu zostało zamienione.

To jednak, co stało się było źródłem upadku poprzedniego systematu, staje się z kolei źródłem chwiania się i coraz jawniej odznaczającego się upadku i obecnego, t. j. jednostronność. Natura, raz to jeszcze powtórzmy, ma swą stronę zewnętrzną, ale też, jak zaraz poznamy bliżej, i wewnętrzną, zaś system pozytywizmu Comte'a był z tej strony nader niepozytywnym, iż uznawał tylko byt pierwszej. Wytrącenie z zakresu nauk ludzkości połowy jej nauk, niepodanie rozwiązań w tych zagadnieniach, które są najgłówniejszemi dla ludzi (jak np. o ich stosunku do Stwórcy, do czasu, ich obowiązkach codziennych i t. p.), usuwanie nawet tych kwestyj z przedmiotów nauk, a nadto obok przyjęcia za hasło występowania przeciwko mrzonkom, hołdowanie zasadom, uznaniom, faktom, które w gruncie ani o stopień nie są więcej pozytywnymi jak idealne [1],

[1] Pisma pozytywistów dzisiejszych, dotykając np. kwestyj astronomicznych, geologicznych, zoologicznych, wychodzą jawnie z systematów

i wreszcie naturalny bieg czasu, sprawiający, wskutek wewnętrznego prawa, zwroty w okresach, wszystko to wydało ten skutek, iż okres ten materyalno-pozytywny, nie potrwawszy zbyt długo, lubo wcale jeszcze nie zniknął, patrzy jednak już na całej linii myślenia na czas swego schyłku. Rzut oka na główniejsze fakta spółczesnej nam filozofii, w krajach przodkujących uprawą myślenia, ukaże to jasno.

Laplace'a, Herschla, Lyella, Darwina i t. p. Trafności tych systematów nie myślimy tu przeczyć; czyli jednak te i im podobne, spółczesne nam, są już istotnie pozytywnemi, o tem każą nam wątpić wzmianki samych pozytywistów. Tak np. jeden z głównych przywódców niemieckiego pozytywizmu, Ern. Haeckel, przytoczywszy w swej *Historyi stworzenia* wykład formacyi planet i gwiazd według Herschla, dodaje: być może, iż rozwój ten *zupełnie był odmiennym*, być może, iż planety i nasza ziemia uformowały się ze zjednoczeń licznych drobnych pierwiastków, ale dopóki ktoś nie przedstawi nowego, *dokładniej sprawdzonego* domysłu etc. (Schöpfungsgeschichte, Prelekcya XIII). Huxley w traktacie o *Przyczynach zjawisk*, mówiąc o historyi pokładów geologicznych, pisze: »musimy wyznać, iż nasze dokumenta w tym względzie są jeszcze w najwyższym stopniu niedokładne, nie mamy najmniejszego dowodu, iżby warstwy, nazywane najstarszemi, takiemi istotnie być miały. Geologowie zbudowali historyę kuli ziemskiej *pełną bajek*« (przekład Wrześniowskiego, str. 28, 29, 55). Herb. Spencer mówiąc w swych *The first principles* o najnowszych wnioskach w paleontologii, wyraził między innemi: »Nie możemy dziś jeszcze rzec z pewnością, jakie dawniej utwory istniały, a jakie nie istniały w danym czasie. Wiemy z jednej strony, że znajdywano nieraz szczątki kręgowców w pokładach, w których nie przypuszczano, iżby być mogły, szczątki płazów, w których mieścić się miały tylko ryby, *ze wszystkich faktów*, które zebraliśmy, *możemy tylko wyprowadzić wnioski nader niepewne*« (wyd. r. 1871, § 19). Tenże w przedmowie do swej Biologii, w której z taką umiejętnościową ścisłością i taką drobiazgowością objaśnia proces chemiczny szczegółów wzrostu i rozwijania się ciał i ich części od zarodków do kwiatu życia, kończąc ją mówi: »uprzedzamy jednak zgóry, iż to wszystko, co tu podamy, jest to tylko prawdopodobieństwo i przypuszczenie«. Hipoteza Darwina przez samych pozytywistów nazywaną jest dotąd stale tylko hipotezą. Czyliż zatem, powtórzmy, stronnicy idealności nie mają, jeżeli nie więcej, tedy przynajmniej tyleż prawa, ile i stronnicy materyalizmu, do zarzucenia swym przeciwnikom, iż w budowie swej pozytywnej wiedzy właściwie opierają się tylko na mrzonkach?

We Francyi, ojczyźnie Comte'a, większość wpływowych dzisiaj a odznaczonych na polu myślenia pisarzy (jak Paul Janet, Emil Caro, Jules Simon, Th. H. Martin de Rougemont i w. i.) należą jawnie do przeciwników, nie zaś zwolenników pozytywizmu. Wielu nawet naturalistów, z zasady pozytywistów (jak Claude Bernard i i.), należy jednak gorliwie do antymateryalistów. Sam przywódca pozytywistów czystych, *Littré,* wyparł się jawnie wszelkiego antagonizmu z religią, objaśniając, iż ją tylko do innego szeregu poznań odnosi. Uważać wreszcie można, iż wydawany od niedawna obok czasopisma Littré'go: *La philosophie positive,* dziennik poświęcony filozofii, polityce i umiejętnościom, przez Renouvier, autora dzieła: *La critique générale,* i mogący się uważać za wyraz najpowszechniejszego dziś zwrotu poważnej francuskiej krytyki, lubo nie stroni także od pozytywizmu, ale go jawnie inaczej uważa, niż August Comte. Jakoż w artykule z początku r. b., pod napisem *Różne kierunki pozytywizmu,* o systemacie tego autora tak się między innemi wyraża: »wyszedł on (August Comte) z najkrytyczniejszej zasady, usuwając z granic poznania przedmioty przechodzące pojęcie ludzkie, ale zaliczywszy do tych przedmiotów metafizykę, loikę, estetykę, t. j. nauki mówiące o przedmiotach, które ludziom doskonale są znane i do których przez indukcye moralne doszli, system ten, z nazwiska pozytywny, okazał się nader niepozytywnym« (*La critique philosophique scientifique* 1875 Nr. 3).

W Anglii, w której system A. Comte'a najprzód znalazł był i poklask i rozwinienie, materyalizm, w tym systemacie zawarty, nie był nigdy bezwzględnie przyjętym. Pozytywizm angielski do przedmiotów nauki pozytywnej dodał wnet psychologią i loikę *(Bain,* St. *Mill)* i woła stale o etykę, a przodujący pozytywistom-naturalistom w tym kraju Huxley i Herbert Spencer, wyraźnie zakładali protesta przeciw ciasnym, pozytywnymi zwanym poglądom Augusta Comte'a. Prace Herb. Spencera mogą się właśnie uważać za wyrozumowanie przeważającego dzisiaj kie-

runku w filozofii angielskiej, a sam H. Spencer, dopatrujący we wszystkiem praw rozwoju i mogący mieć nazwę *filozofa rozwoju*, za jednego z pierwszych filozofów nam spółczesnych. Otóż autor ten, który w wydanym przed lat dziesiątkiem pierwszym tomie swego systemu filozofii p. n. *The first principles* (Pierwsze Zasady), jako prawy pozytywista, nie dotykał przedmiotu religii, w ponowionem w r. 1871 wydaniu tego tomu, cały pierwszy rozdział p. n. »O tajemniczem« czyli nieznanem (Unknowable) przedmiotowi temu poświęcił. Zwrot to śród szkoły stanowczy, jakkolwiek bowiem, jak to widzimy z odpowiedzi autora na krytyki, rozumowania jego w tym rozdziale doznały licznych napaści, ale, rzec można, wcale nie od pozytywistów. Zdania zaś w tym rozdziale, które się mogą uważać za wyrozumowanie jego treści, są tu mianowicie następne: zmuszeni jesteśmy uznać, że jeżeli religie nie mają początku nadnaturalnego, musiały powstać wskutek pierwotnego wzrostu i *systematyzowania się doświadczenia* ludzkiego; którykolwiek z tych powodów przyjmiemy, skutkiem każdego być musi, szacunek dla uczucia religijnego.

W Niemczech wreszcie t. j. w tym kraju, w którym rozwój i uwielbienie dla systematów idealnych wybujały były najsilniej, tem namiętniej, jak właśnie wzmiankowaliśmy, wyrażać się zrazu musiała i opozycya. Naturaliści pozytywiści, jak Moleschott, Büchner, Karol Vogt, Haeckel (z których trzej pierwsi rozszerzyli i rozjaśnili propozycye materyalne znane skądinąd już przy końcu zeszłego wieku, między innemi takie, iż niema sił bez materyi, ducha bez ciała, iż bezlocznem jest uznawać byt Opatrzności i t. p., ostatni zaś teoryę Darwina o pochodzeniu zwierząt przez transformacye, pierwszy odniósł i do rodu ludzkiego) wyraźnie oświadczyli, iż są wyznawcami nie tylko pozytywizmu, ale też czystego materyalizmu, a jeden z nich (Büchner) czyniąc przegląd historyi materyalizmu, z przechwałką wyraził się, iż jeżeli materyalizm w wieku XVI panował we Włoszech, w XVII w Anglii, w XVIII we Francyi, tedy

w wieku XIX w Niemczech doszedł do swego *kwiatu*. Jeżeli jednak ten materyalizm czysty we Francyi nawet (gdzie właśnie doszedł był właściwie do swego kwiatu, albowiem do swych nawet rezultatów praktycznych) nie mógł utrzymać się długo, tem więcej nie mógł utrzymać się długo na polu myśli tak bogatej już w antymateryalne pierwiastki, w duchowy i umysłowy rozrost, jak była i jest niemiecka. System *idealno-realny* (Krystyana Krause), który najwięcej, być może, liczy dziś zwolenników, jak był systemem przejścia dla wyłącznych idealistów do uznania istoty bytu natury zewnętrznej, jak nawzajem dla wyłącznych materyalistów staje się hasłem ich zwrotu do duchowości. Wyjątkowe powodzenie dzieła jednego z pisarzy tej barwy, mianowicie Edwarda Hartmanna p. n. *Filozofia Bezświadomości* czyli *Bezwiedzy* jest nam właśnie wskazówką, że i ogólny kierunek ducha niemieckiego jest raczej za duchem zwrotu.

Tej filozofii bezwiedzy, jakież właściwie było faktycznie źródło i jaka praktycznie jest treść?[1]. Wspominaliśmy już, iż główny sprawca ostatniego okresu idealnego w filozofii niemieckiej, Kant, nauczał, iż w ocenianiu przedmiotu czyli danej rzeczy mamy do rozróżnienia *istotę* tej rzeczy, której nie znamy, i jej *zjawisko*. Jeden z następców i wyznawców Kanta, *Art. Schopenhauer* (który równie, jak *Herbart, Krause* i inni Kanciści, nie należał do linii Fichte-Hegel) przedsięwziął był dopełnić w swym czasie i na swój sposób rozjaśnić naukę swojego mistrza, a mianowicie dowieść, iż ową *istotą rzeczy* (Ding an sich) jest zawarta w niej Wola, zaś zjawiskiem rzeczy jest nasze wyobrażenie (Vorstellung); i naukę tę wyłożył w oddzielnie wydanem dziełku p. n.: *Świat, jako Wola i jako Wyobrażenie* (Die Welt als Wille und Vorstellung. 1819). Z tego napisu dziełka wnieść było można, iż treść jego była czystym idealizmem; lecz szczegóły i sposób wykładu doprowadzały

[1] Szczegółową wiadomość o stronie formalnej tej filozofii widzieć można w artykule dra Goldberga w Bibliotece Warszawskiej z r. 1873 za marzec i kwiecień.

przeciwnie do wniosków wprost idealizmowi przeciwnych. Wola, objaśniał tu autor, ukryta w rzeczach, jest to wola bezwiedna, więc jakieś materyalne fatum; wyobrażenia zaś, uczył, »ten wypływ i produkcya ludzkiego mózgu«, dzieci to *woli* uwiązanej u Woli wszechświata; świat ten (zdać się więc mogło wnioskiem tej nauki) jest to ostatecznie, treść tylko i wypływ czystej materyi. Ta nauka Schopenhauera pominiętą była przez spółczesnych, jako dyletantyzm, ale pozytywiści dzisiejsi t. j. ci z nich, którzy się nie wyrzekli całkiem filozofii, uznali ją za najgłębszą śród całej filozofii niemieckiej i autora jej za swego spekulacyjnego przywódcę. Do liczby ich należał właśnie i Hartmann i stawszy się wyznawcą nauki o woli bezwiednej, naukę tę rozjaśnił, rozszerzył i ująwszy w oddzielny system, wydał pod ową nazwą Filozofii bezwiedzy *(Philosophie des Unbewussten)*. Żywy wszakże i istotnie bogaty umysł tego autora nie mógł podzielić jednostronności swojego mistrza, odrzucił on najprzód z systemu nazwanie *woli* (bezwiednej), bo też właściwie pierwszym właśnie warunkiem woli jest wiedza; nie podzielił też ani dyalektyki jego, ani ogólnego na naturę poglądu, ale te przejął od Hegla, a podzieliwszy nadto spółczesne nam doświadczalne poglądy na rozwój natury, mianowicie teoryę Darwina, wykładał w swym systemacie, jak tkwiący w istocie rzeczy pierwiastek *bezwiedzy* stopniowo w coraz doskonalszych organicznie utworach podnosi się do wiedzy, aż dochodzi wreszcie w człowieku do *samowiedzy*. System ten, potępiony wnet ostro przez niemieckich materyalistów (mianowicie przez Haeckla), uważany być może za system zwrotu, bo, jak to trafnie zauważył między innymi Herman Fichte, iż odłożywszy na bok szczególny wykład Hartmanna »pokoju wiecznego«, pogląd jego w systemie mimo pozorne pretensye *ateistyczne*, właściwie jest *teistycznym*, »a jego filozofia bezwiedzy powinnaby mieć raczej nazwisko filozofii *wszechwiedzy* t. j. jasnowidzenia, które w kształcie instynktu żywotem i krokami utworów do jednego oznaczonego celu

kieruje« *(Die theistische Weltansicht* etc. r. 1873 str. 35, 37)[1]. System pozytywizmu wywarł wprawdzie dobitny i trwały zapewne skutek na ogół filozofii niemieckiej; z treści szczególnych jej publikacyj (górujących zawsze i liczbą i bogactwem szczegółów spekulacyjnych nad filozofią innych krajów) zniknął już prawie wyłączny idealizm, śród autorów ich przeważają idealno-*realni* i Herbartyści, a i ci nawet, którzy jak niegdyś Hegliści umieją widzieć we wszystkiem, co jest, ducha i twierdzą jak np. Stendel »es giebt keine Materie und kann keine geben, die nicht Geist wäre, *Alles ist Geist*«, dodają zwykle także (jak tenże Stendel), że jednak, jeżeli niema materyi bez ducha, tedy niema też

[1] Jakoż i sam Hartmann swoją *nieświadomość* zowie nieraz »*wszechwiedzącą* nieświadomością« (*Allwissende* Unbewusste) i przypisuje jej mądrość. Mówiąc np. przy końcu książki o swych poprzednikach i szydząc mniej wdzięcznie z pomysłu swego mistrza Schopenhauera, iżby świat miał być tylko naszem wyobrażeniem, czyli »iżby, jak mówi, tyle rozumu śród świata miało być dzieckiem głupiego ludzkiego mózgu», dodaje: »nie możemy dosyć podziwiać *mądrości* bezwiedzy (die *Weisheit* des Unbewussten), iż umiała natchnąć tak ograniczony geniusz jak Schopenhauera do ustalenia dobitnie swojej istoty« (wyd. z r. 1872, str. 761). Hartmann prócz innych publikacyj ogłosił niedawno traktacik (natchnięty ostatniem dziełem Straussa *Stara i nowa wiara)* p. n.: *Rozpadnienie się chrystyanizmu i religia przyszłości* (Die Selbstzersetzung des Christenthums und die Religion der Zukunft, r. 1874, str. 122) i w traktacie tym uczyniwszy między innemi zarzut protestantyzmowi, iż ten nie zrozumiawszy nauki ewangelijnej (»Ewangelia bowiem patrzy na świat pessymistycznie, a protestantyzm patrzeć chciał optymistycznie«) zamiast zreformowania chrześcijaństwa zabił je, prorokuje zarazem, że udziałem ludzkości będzie dalej nowa religia, a wyrazem tej »połączenie hebrajskiego Jehowy z panteizmem indyjskim«. Zdaniem naszem nazwanie w Ewangelii hebrajskiego Jehowy »Ojcem, który w nas mieszka« i który jest wszędzie, dokonało już tego połączenia i nie rozumiemy, jakie być może inne. Hartmann jest już w obecnem dziełku (jak mu to prorokowano od pierwszych kroków) jawnym teistą, i wątpić nie można, że po zapoznaniu się bliższem z rzeczywistem chrześcijaństwem stanie się teistą chrześcijańskim, albowiem, jak to trafnie zauważył niemiecki recenzent jego powyższego dziełka, Huber: »skreślił on w niem osobę Jezusa Chrystusa i Jego naukę jako prawdziwy filozof nieświadomości«.

i ducha bez materyi; stąd też konieczność empirycznej pomocy za nieodbitą w rozwoju poznań przez myślicieli wszelkich kierunków jest uznaną, a autorowie Historyi Filozofii kreśląc w nich nieraz nie tylko historyę czystego myślenia, ale zarazem i badań umiejętnościowych (widzieć np. *Kritische Geschichte der Philosophie* dra Dühring, 1873 Berlin). Że jednak tak niedawno dumna i mniemająca się stanowczo zwycięską szkoła materyalistów czystych, nie tylko się nie rozszerza, ale się kryć, cofać i stopniami znikać zaczyna, na to możemy tu nawet przytoczyć parę miejscowych świadectw. W dzienniku *Zeitschrift für Philosophie und philosophische Kritik,* wychodzącym w Halli, z roku zeszłego, w rozbiorze filozoficznego dzieła d-ra Tiberghien Krauzisty, znajdujemy między innemi powtórzone (bez zaprzeczenia) te słowa z tegoż dzieła: »filozofia, nie sięgająca za spostrzeżenia zmysłowe, *nie jest wcale panującą dziś w Niemczech,* a jakkolwiek pośród naturalistów niemieckich materyalizm miał powodzenie, to jednak i pośród tych niemałą liczbę ma przeciwników, a śród katedr nauczających z urzędu, znalazłaby się dziś chyba zaledwie jedna, któraby była przedstawicielką francusko-angielskiego pozytywizmu, sensualizmu i materyalizmu« (LXIV, 38). Świeższe zaś jeszcze świadectwo znajdujemy w tegorocznych (berlińskich) *Philosophische Monatshefte.* W jednym z artykułów redaktora tego pisma czytamy tu między innemi taką uwagę: »Bez loiki i ustaw poznania nie może mieć miejsca żadna ścisła umiejętność. Pozytywizm, który w Niemczech przez jakiś czas uważanym był za postęp, będzie wkrótce nawet przez wszystkich naturalistów za reakcyjny system uważany (Positivismus wird bald auch bei allen Naturforschern *als reactionär* angesehen werden« XI. 64).

Taki jest w kilku słowach a głównych rysach zwrot spółczesnej nam filozofii. Z tych głównych rysów widzimy, iż system materyalnego pozytywizmu jest dziś na schyłku, twierdzić wszakże wcale nie można, iżby już zniknął, i owszem wnieść łatwo można, iż bez silnych śladów nie

zejdzie. Bo też każdy zwrot, każdy okres, nie jest bez swej przyczyny, bez swojej prawdy, i bez tych cząstek, przez które sam się staje źródłem dalszych okresów.

Zdaniem naszem nazwanie filozofii rzetelnej pozytywizmem a poszukiwanych prawd pozytywnemi, nie jest wcale przeciwnem zadaniom i celom nauki tej i mogłoby pozostać. Przymiotnik ten »pozytywny« nader wprawdzie skompromitowanym w tym czasie został przez jednostronność i jest dziś dwuznacznym; ma też on jednak i swoje znaczenie istotne, powszechnie znane i z tem trwać będzie. Pragniemy wszyscy prawd pewnych, prawd pozytywnych i ostatecznie kwestya główna jest tylko w tem: co mianowicie jest pozytywnością? t. j. jakie są warunki, wskazówki, kryteryum, po którembyśmy poznali, iż uznanie takie, a takie, prawdą jest pozytywną.

System Comte'a a za nim wszyscy zwolennicy tego systemu objaśniają: iż tem kryteryum jest i może być tylko *doświadczenie,* a doświadczenie jedynie na świadectwie zmysłów oparte. To tylko, co jest zmysłowe i zmysłowie pojęte, jest rzeczywistością i prawdą (dass nur das Sinnliche sinnlich gefasst, Realität und Wahrheit habe), jak mówi słynne zdanie w tej szkole.

Obaczmyż, co można rzec o tem kryteryum i w ogólności o kryteryach poznania ze stanowiska rzetelnej pozytywności?

Iż doświadczenie zmysłowe, świadectwo zmysłów jest obszernym i rzetelnej wagi pierwiastkiem w kształceniu poznań, jest to pewnik, któremu nie myślimy wcale zaprzeczać; ponieważ tu jednak mowa o oznaczaniu prawd pewnych, prawd pozytywnych, przeto zwróćmy owszem uwagę, że nawet i to kryteryum nie może się nazwać ścisłem i nieomylnem.

Świadectwo zmysłów nieraz ukazuje nam to, co nie istnie, jest więc *złudnem,* i świadectwo to nie jest zdolnem dosięgnąć do wszystkich szczegółów świata, jest więc *ułomnem.*

Nie będziemy tu zbliżać dowodów i podawać przykładów, których tyle przytaczają idealiści psychologowie a nawet niekiedy i pozytywni naturaliści na dowód, iż zmysły niekiedy nas łudzą, zwrócimy tu owszem uwagę, iż prawda ta tak jest jasna i codziennem doświadczeniem stwierdzana, iż nie zważamy nawet na jej istotę. W zwierciedle widzimy wyraźnie siebie i te przedmioty, które nas otaczają, a to jest szkło czyste; słońce codzień przed nami jawnie się wznosi i zniża, a ono stoi w miejscu; prawa optyczne wykładają nam powód podobnych złudzeń, stąd jednak ten tylko wypływa wniosek, że jest to nawet naukową pewnością, że zmysły nas łudzą i że »to nawet, co jest zmysłowe i zmysłowie pojęte, nie zawsze jest rzeczywistością i prawdą«.

Że zmysły nasze nie dosięgają tych wszystkich szczegółów, które są w świecie, w tym nawet, który nas dotyka, fakt to jest jasny także. Czytając traktaty materyalistów, nie mogliśmy, wyznajemy, zrozumieć nigdy, jakim sposobem mogą oni co chwila mówić o faktach takich jak sfera *uczuć* (radość, gniew, wiara, otucha i t. p.) i takich, jak sfera *myśli* (pamięć, sąd, rozum, fantazya i t. p) i twierdzić zarazem, iż istnie tylko materya, świat materyalny. »Uczucia, mówią, to produkcya nerwów, a myśli mózgu« — przypuśćmy, iż tak jest istotnie, lecz mowa tu nie o przyczynach rzeczy, lecz samych rzeczach. »Pierwszym warunkiem materyi każdej jest odporność, rozciągłość« tak nas uczą sami pozytywiści (np. Spencer: *Pierwsze Zas. § 46),* a jakąż rozciągłość, jaką treść materyalną możemy dostrzedz w uczuciach i myślach, chociażby przez najdoskonalszy drobnowidz? Szczegóły uczuć, myśli, materyą nie są; to, co nie jest materyą, zowiemy *duchem,* istnie więc *duch,* istnie świat duchowy, chociażby tylko w człowieku, prawda to pozytywna, a zmysły nasze nie są zdolne dosięgać tej części bytu.

Przedmiot ten jest to oś obrotowa poglądów materyalistów, dodać więc tu jeszcze musimy uwag parę.

Duch, tak jak go poznajemy w istocie ludzkiej, jest

pierwiastkiem szczególnej siły i treści, on jeden ma poznanie, ma wolę, ma twórczość, zdolny władać jak wszelkim tworem, tak i wszelkim pierwiastkiem materyi, kieruje nią, bieg jej zmienia, tworzy w niej nowość. Pierwiastek takiej wagi i takiej siły, z cechą najwyższości w naturze, czyliby tkwił tylko w człowieku? Ziemia jest proszkiem śród świata, człowiek jest proszkiem śród ziemi i w nim miałażby tkwić najwyższość? Dość jest spojrzeć na Harmonię, która tkwi w świecie (o czem wnet niżej), by uznać, iż ta jest wyrazem jakiegoś prawa, a prawo jest *duchem*. Duch rozlanym jest wszędzie, ma byt swój wszędzie, a jako byt, musi też mieć gdzieś swą koncentracyą [1]. Wzgląd na konieczność tej prawdy każe też nam patrzeć inaczej na duch w człowieku. We wszechświecie wszystko jest w związku i duch ludzki nie może być bez związku z duchem wszechświata. Iż uczucia i myśli ludzkie są to produkcye nerwów i mózgów ludzkich, to nader prawdopodobne, te nerwy, mózgowe tkanki, mogą to być narzędzia przewodnie owego związku; lecz oto jak atomy *fizyczne*, z których się składa człowiek i proces jego żywota, są częścią wyrobem i wykwitem organów ludzkich, a częścią przybytków z zewnątrz (ciepło, światło, powietrze, i t. p.), tak też co do nas, nie możemy wątpić, iż takież podwójne źródło jest i *duchowych*. Powód jest prosty. Z jednych przyczyn tworzą się jedne skutki, z podobnych ziaren wypływają podobne kwiaty, z nerwów i mózgów zwierząt wypływają uczucia i myśli jedne odwiecznie, z dwóch zaś ludzi, z jednych nawet poczętych rodziców, i w temże otoczeniu żyjących, nieraz

[1] Wyraz *duch* jest to, mówią, abstrakcya, tak jak wyraz *materya*, który oddzielnie wzięty nic nie oznacza. Do wyobrażenia jednak abstrakcyi prowadzą nas wyobrażenia konkretne. Dochodzimy do wyobrażenia materyi przez uznawanie bytów materyalnych i dochodzimy do wyobrażenia ducha przez uznawanie bytów duchowych. Istną jestestwa czysto materyalne, istnąć też mogą i muszą czysto duchowe. Ze względu tylko na treść przechodzącą wszelką zmysłową, nie zdolniśmy wyobrazić sobie zmysłowie, co to jest *treść* ducha, *odrębność* duchów i t. p.

oba ukazują nader odmienne owoce ducha. *Natchnienia, popędy, pomysły, rodzaje pomysłów,* takie i tym podobne objawy to w ludziach, zdaniem naszem, przybytki zzewnątrz tj. przybytki od Ducha, który istnieje wszędzie i który kieruje wszystkiem [1]. Pozytywista, materyalista może temu zdaniu zaprzeczyć, może uznać, iż nie poparte jest ono dowodem pewnym, t. j. ze świadectwa zmysłów czerpanym; wszakże i zaprzeczyć twierdzeniu nie może dowodem pewnym, więc w każdym razie musi przynajmniej uznać, iż jest sfera, i sfera nader nas blizka, do której sięgać nie może jego kryteryum. Kończąc zaś o tem kryteryum (zmysłów), dodajmy tu jeszcze uwagę, iż zmysły te wtedy nawet, kiedy nas nie łudzą i kiedy zwrócone są do materyi, nie jest bynajmniej pewnem, czyli przedstawiają nam rzeczywistość? Są istoty, które nie mają więcej jak zmysłów dwa lub trzy, a część ta świata, którą przez nie znają, jest dla nich już całym światem; człowiek ma zmysłów pięć, lecz mając przed sobą ów przykład, nie ma prawa już twierdzić stanowczo, więc pozytywnie, iż znaną mu jest *rzeczywistość*. To, o czem nas naucza zmysł każdy, jest to treść tak rozległa i nowa, iż istota, któraby go nie miała, wznieśćby się nawet do jej wyobrażenia nie mogła. Gdyby człowiek nie otrzymał w podziale zmysłu słuchu, mógłżeby dojść do wyobrażenia tych wszystkich wrażeń, jakie dziś sprawia głos i jego odcienie (od *szumu* i *szmeru* przez *śpiewy* i *głosy* ptaków, owadów, ssących, do wszystkich języków ludzkich i dźwięków muzyki); gdybyśmy nie mieli zmysłu powonienia, mogliżbyśmy sobie wyobrazić treść taką, jaką jest woń i jej najrozmaitsze odcienie (np. w kwiatach); nic więc nie wzbrania dopuszczać, a wszystko każe wnosić, iż zmysły ludzkie nie wyczerpują jeszcze wszystkich szcze-

[1] Jaki zaś jest powód, iż to natchnienie ducha raz daje dobro, drugi raz zło? Czy tym powodem jest różność duchów? czy tylko pewne prawa kollizyi między duchem jednostki a Duchem, Powszechnym Ojcem? Nie tu jest miejsce mówić, i kwestye te będą chyba, jak to tuszymy, rozdziałami jakiejś Psychologii przyszłości, Psychologii *rzeczywistości*.

gółów świata, i że jeśliby stanęła z czasem śród ludzi istota nowa, wyższa nad ludzi chociażby o zmysł jeden, lub gdyby człowiek mógł z czasem na istotę taką wyrobić się sam (»wiemy, już czem jesteśmy, a jeszcze się nie okazało, czem będziemy« *I. Jan III, 2),* tedy jeszcze o cały kraj wrażeń podnieśćby się mogła treść ziemskiej wiedzy.

To o kryteryum zmysłów. Cóż rzec o kryteryum drugiem naszego poznania, kryteryum *myśli?*

Pozytywista-materyalista twierdząc, iż to tylko jest prawdą, o czem świadczą zmysły, i że przedmiotem prawd pozytywnych może być tylko obecność, nie zaś przeszłość lub przyszłość, twierdzi zarazem, iż to drugie kryteryum (myśli) nie jest to właściwie kryteryum, ale tylko gra mrzonek. Sądzimy jednak, że twierdzenia takie są to tylko *twierdzenia dla twierdzeń* t. j. dla systemu, nie z przekonania. Któryż pozytywista wątpi np. że Kolumb odkrył Amerykę, że żyli Juliusz Cezar i Sokrates, że istniały Ateny i Babilon, chociaż to fakta przeszłości? A któryż z 5-ciu zmysłów przekonał ich o tych faktach? Nie odpowiedzą zapewne, że zmysł oka (pismo), bo w tym razie i wszelkiemu innemu pismu powinniby wierzyć. Wyznać więc raczej muszą, iż powodem ich przekonania jest pewna krytyka świadectw, więc pewne *kombinacye loiczne,* czyli, iż oprócz kryteryum zmysłów istnieje też, i jest równej przynajmniej wagi, kryteryum *myśli.*

Cóż jednak i o tem kryteryum myśli czyli umysłowego pojecia, ze stanowiska rzetelnej pozytywności, powiedzieć trzeba?

O tem kryteryum myśli, mówiąc bezstronnie, toż prawie nam rzec wypada, co powiedzieliśmy o kryteryum zmysłów, t. j. iż jest i ono częścią ułudne, częścią ułomne.

Pojęcia nasze częściej nawet mogą być ułudne niż zmysły. Działanie zmysłów zawsze jest prawie jednakie i proste, czynność zaś myśli, jako mogącej się kształcić i zmieniać bez granic i jako pozostającej nadto pod wpływem jednego ze swych najbogatszych, ale najzmienniej-

szych czynników, wyobraźni, nader jest zdolną istotnie tworzyć sferę ułudy.

Że siły naszych pojęć są ułomne, dowód tego mamy praktyczny. Są przedmioty, których byt musimy uznać koniecznie, i zarazem niezdolni jesteśmy objąć jego możliwości. Dosyć jest zwrócić np. myśl naszą do najpierwszych i najprostszych ram bytu, do Przestrzeni i Czasu. Możemyż mimo największy wysiłek myślenia naszego objąć początek Trwania (Czasu) bez dopuszczenia poprzedniego jakiego trwania? lub objąć wyobrażenie Przestrzeni bez umieszczania jej w poprzedniej jakiejś Przestrzeni? Czas bez początku, Przestrzeń bez granic są faktem, lecz skala pojęć naszych nie jest zdolną do objęcia jego istoty. Umysł ludzki wobec umysłu (Prawdy), który tkwi we Wszechświecie, musi się wyznać niższym, ułomnym.

Z uwag tych kilku widzimy, iż ułudnym i ułomnym środkiem poznania naszego są nasze zmysły, iż ułudnym i ułomnym jest umysł. Jakiż stąd wniosek? Wniosek jest ten, iż gdy każde poznanie nasze musi zostawać w warunkach, czyli granicach naszych środków poznania, a środki te są ułomne, przeto i każde poznanie nasze takiem t. j. w części ułomnem być musi, lub inaczej, iż nasze pojęcie ludzkie nie jest zdolne do poznawania prawd bezwarunkowych, bezwzględnych, a tylko *względnych*.

Znać możemy prawdy jedynie *względne* t. j. takie tylko, jakie pojąć są zdolne nasze 5 zmysłów (nie więcej), i nasz (z natury ograniczony) umysł. Lecz cel każdego istnienia zawarty jest w powodzie tego istnienia, tkwi w jego treści; prawdy ludzkie dostatecznemi przeto być muszą dla potrzeb, dla losów ludzkich — i prawdy te względne za nasze istotne prawdy uważać musimy. Być może np. iż wobec prawdy bezwzględnej wszystko, co jest, jest tylko duchem, lub też, iż jest tylko materyą; lecz sąd ludzki w oznaczaniu prawd ludzkich musi się wspierać na środkach poznań ludzkich i wyznać, iż według *prawdy ludzkiej*, istnieje i świat zmysłowy i świat duchowy. Taż konieczność musi

być charakterem i warunkiem wszelkich innych naszych uznań. Z uwag tych wszystkich jakież więc dla kryteryów naszych *pozytywnych* poznań wynikać muszą prawa?

Oto: 1) iż podstawą sądów czyli poglądów naszych musi być naturalność czyli prostota uznań jako na istotnej naturze sił naszych poznających wsparta; 2) iż Świat, który ma być przedmiotem tych naszych poznań, t. j. ten, który nas otacza, którego jesteśmy i cząstką, jest częścią zmysłowy, częścią duchowy; 3) iż przewodnikiem w sądzie i uznaniach naszych być muszą zarówno i *zmysły* nasze i *umysł;* wreszcie 4) iż skoro podstawą czyli kryteryum poznań naszych pozytywnych mają być złożone świadectwa tych władz, czyli *doświadczenie;* tak tem doświadczeniem być musi nie tylko doświadczenie *zmysłowe*, jak tego wymagał system pozytywizmu Comte'a, ale też i *duchowe*. Doświadczenie duchowe czyli wewnętrzne nie jest to wcale żadna wielka nowość w naukowości. Od *Rogera* Bacona do Stuarta Mill, Lotze, Taine'a i w. i., w ogólnem filozoficznem badaniu, a od Beneke do Brentano (autora świeżo wydanej psychologii) w specyalnem psychologicznem, doświadczenie czerpane z umysłowego świata jest dopuszczanem. Pozytywiści-materyaliści zowią je towarem fabrykowanym, lecz jak widzimy, nie podzielają tego zdania wszyscy pozytywiści. Lecz oto zdaniem naszem, kryteryum to doświadczenia i w tym tak słusznie rozszerzonym kształcie za ciasno jeszcze i trochę za bojaźliwie jest uważanem. Podnoszenie to obok całego bogactwa sądów, spostrzeżeń i wskazywanych faktów do tego tylko dotąd, rzec można, doszło wypadku, iż prawdy czyli fakta świata umysłowego są tejże pozytywnej pewności jak materyalne, iż np. gniew, radość, są to fakta równie rzeczywiste jak krew i kamień, że występek i cnota są produkcye jak cukier i witryol i t. p. Wszakże kryteryum to wtedy dopiero, sądzimy, wywrze należny skutek, kiedy podniesionem zostanie jeszcze o krok,, kiedy zwracanem być zacznie nie tylko do Natury zewnętrznej i do Natury wewnętrznej, lecz do ich drogi

łącznej, do Dziejów, do stosunków człowieka z Czasem i z całym majestatem tych Sił, w których jest ręku; wtedy bowiem i do ostatecznego rozwiązania nie jednej z tych zagadek, które są najgłówniejszemi dla trosk ludzkich, przyczynić się może.

Iż w tej drodze może już nawet i dzisiaj być otrzymanym pewien owoc, chcemy tu właśnie wskazać.

Kształcone od dawnych wieków badania dwóch stron Natury t. j. Natury zewnętrznej i Natury wewnętrznej, jakkolwiek dochodziły i doszły do ustalenia, każdy w swoim zakresie, bytu nader różnych faktów i do oznaczenia nader różnych wniosków, zbiegły się jednak zgodnie w uznaniu tego spólnego faktu i tego spólnego wniosku, iż w składzie i rozwinieniu tak jednej jak drugiej strony Stworzenia istnie:

Harmonia. Iż w składzie i układzie szczegółów Natury zewnętrznej, mimo pozorny ich chaos, istnieje harmonia, wykazuje to coraz dobitniej i jaśniej stopniowe kształcenie nauk przyrodzonych, wszakże i sam mechaniczny pogląd na treść jej łatwo ją daje uznać. Jeśli zaczniemy od góry i rzucimy okiem nad siebie, kiedy nas nie razi blask słońca, ujrzymy tam wprawdzie miliony ciał świetnych (liczba planet i gwiazd widzianych przez teleskop obrachowaną jest do 30.000.000), brył większych niż nasza ziemia, a przedzielonych od siebie bimilionami mil (jak np. planeta Syryusz od ziemi); ciała te jednak mimo swą olbrzymiość, zsiadłość i ciężkość, i mimo to, iż są otoczone jakby próżnią, nie spadają na siebie i nie mieszają się, postępują zaś każde swą drogą, i krążą tak harmonijnie, iż obliczyć się daje ściśle czas ukazania się każdego w danym punkcie, czas zaćmień jednych przez drugie i t. p. Jeśli znowu rzucimy okiem w dół siebie, w kroplę wody lub pyłek, tedy możemy ujrzeć (tak nas przynajmniej uręcza fizyologia pozytywistów), iż w każdym sześcianie materyi organicznej wielkości główki od szpilki jest 8 seksty-

lionów atomów, które *tak się przyciągają i odpychają jak gwiazdy.*

Jeśli teraz odrywając nasz wzrok od majestatu stworzenia i jego dostępnych nam krańców, spojrzymy bliżej na tę część przyrody, na którą zdolni jesteśmy spoglądać bliżej (Ziemię i jej Powierzchnię) a mianowicie na ciała, które się odróżnić dają w ich składzie, w ich rozwinieniu; tedy ujrzymy, iż wnętrze tej ziemi pełne jest dotykalnych śladów stopniowych i harmonijnych formacyj (pokłady jej), oraz iż harmonijna gradacya widna jest w samym składzie ciał z nią związanych. Od gazów, których pierwiastkiem jest eter, od powietrza, które jest składem dwóch gazów, do wód, do ziemnych pokładów i najprostszej o jednej torebce roślinki (która być może stała się była pierwszą organiczną istotką), od tej roślinki do skrzydlatej rybki mającej zarodki kości pacierzowej, od tej rybki przez wszystkie rodzaje kręgowców do człowieka, tak jest stopniowy i harmonijny rozkwit form i przymiotów tych istot, iż nader usprawiedliwionem być może to przypuszczenie nauki nam spółczesnej, iż *sposobem stworzenia,* którego Stwórca ziemi użył był do zapełnienia jej zczasem jestestwami, było to nie (dopuszczane najczęściej ograniczonem pojęciem ludzkiem) ukazywanie się ich pierwotne bezładnie jednych obok drugich, ale raczej stopniowe ich wywijanie się z siebie czyli transformacya. Jeśli teraz nadto spojrzymy oddzielnie na skład każdej z tych istotek lub istot, dajmy istoty ludzkiej, tedy to, co się okaże wyrazem składu jej cząstek i odcieni tych cząstek, będzie to z pewnością wcale nie *brak harmonii.* Pięknym zapewne i podziwienia godnym jest widok postaci ludzkiej wyrażonej przez genialne dłuto lub pędzel, lecz jakże cudowniejszą jest stokroć ta postać uważana w swym składzie żywym. Czyli jest ona zbiorem milionowych tkanek, komórek, lub nawet drobniejszych jeszcze żywych a odrębnych w sobie pierwiastków, czyli insza jest jaka ożywiająca ją łącznie nić, już to, co jest i co być może widzialnem dobitnie dla oczu ludzkich, to

dziw harmonii. Z dwóch oddzielnych przyrządów, z których ogniskiem jednego jest serce, drugiego mózg, złożony jest człowiek. Przyrządy te w innych utworach natury, w odcieniach swych form widziane oddzielnie, w człowieku przez plączące się z sobą włókna, nitki nerwów, łączą się w jedną funkcyę i w jedną całość. Z całości tej dosyć jest wybrać losem jedną z cząstek, jeden np. pierwszy lepszy organ, iżby w treści jego utkwić ów podziw. Spójrzmy np. na organ słuchu (ucho); jest to wprawdzie na pozór prosty tylko otwór dla przepuszczania głosu (jak np. w głowie snycerskiej); lecz nim dźwięk ten zdoła się dostać do nerwu, który go poda wyżej, przez jakiż musi się przedrzeć oddzielny przyrządzik złożony z masy chrząstek, kostek, włókien, skrętów, otworków i płynów; spojrzmy na organ wzroku (oko), to oko to tylko napozór szklista soczewka (jak w obrazie malarskim); lecz spojrzmy przez drobnowidz, a da się widzieć, iż ta soczewka jest to zbiór kroci cienkich, przezroczystych blaszek, które znowu składają się z małych ruchliwych cząstek, a gra tych cząstek sprawia ruchliwość soczewki.

Tak więc w części Natury zewnętrznej widzimy harmonię w ramach, harmonię w biegu, harmonię w składach; takąż jest i natura wewnętrzna.

Iż Natury wewnętrznej wyrazem i treścią jest także harmonia, o tem już nam mówi sam widok zewnętrznej, ta bowiem, to jest tak ogół jak i jej szczegóły, są następstwem i wypływem pewnych *praw* niewidzialnych, przeto duchowych (wewnętrznych), treść i szczegóły ich gdzież jednak najdobitniej i najjaśniej uznawać i oceniać możemy?

Ostatnim szczeblem rozwoju Natury zewnętrznej (tak twierdziły księgi ludów pierwotnych; tak wychodząc z doświadczeń doszedł dziś racyonalizm) był *człowiek*. Utwór ten odróżnionym został od istot, które go poprzedziły, nie tylko organizacyą *fizyczną*, ustrojem jej doskonalszym, nie tylko wyższością władz *umysłowych* (które w stopniu swym niższym były już i w zwierzętach), ale nadto pierwiastkiem

nieznanym dotąd żadnemu z utworów poprzednich, pierwiastkiem *ducha twórczego*[1]. Duch ten twórczy w człowieku, to część natury wewnętrznej najbliżej nam znana. Dzieła ludzkie to bowiem bezpośrednie i dotykalne objawy tego pierwiastku, te dzieła są to następstwa *natchnień, pomysłów i woli* ludzkiej, przez nie powstał na ziemi świat nowy (świat życiu zwierząt nieznany) stosunków społecznych, sztuki, wynalazków i jednem słowem świat dziejów, a jeśli przyjrzymy się bliżej ich drodze, tedy ujrzymy, iż wyrazem jej był powolny i zblizka prawie nieznaczny, ale skądinąd nieprzerwany, postępny i od ściśle z sobą związanych kroków zależny rozwój, a więc *Harmonia*.

Spojrzmy na przedmiot ten trochę szczegółowiej.

Wszelkie zwierzę, chociażby zdolne nawet do odróżniania szczegółów świata, nie jest jednak zapewne zdolne poglądać na nie inaczej, jak na zupełny zamęt; nie sądzi ono np. iżby między tym kłosem, który widziało w polu, tem drzewem, które widziało w lesie, a człowiekiem mógł istnieć choćby najmniejszy związek. Pojęcie jednostki ludzkiej, chociażby wyznającej tylko materyalizm, zdolne już jest jednak ocenić, iż ów kłos to wypływ czynności czło-

[1] Pierwiastek *myśli* w człowieku może się uważać istotnie za bezpośredni produkt jego mózgowych tkanek, zaś *duch* (źródło *pomysłów*, *natchnień*, *woli* i t. p.), powtórzmy to znowu, jest raczej wyraźnie pierwiastkiem czerpiącym swą treść i przychodzącym z zewnątrz, jest bowiem już świadomym, już bezświadomym twórcą ogólnej *łączności* drogi. Rozróżnianie tych dwóch pierwiastków koniecznem jest, zdaniem naszem, w wykładach *rzeczywistości*. Rozróżnianie to coraz też częściej pod piórem myślicieli spostrzegać się daje, przystaje nawet na nie i fizyologia. Wzmiankowany powyżej autor Fryd. de *Rougemont* w dziele swem przytoczonem, jednem z najświeższych i z najwięcej wypracowanych historyozoficznych, rozróżnienie tych pierwiastków kładzie za pierwszy warunek jasnego poglądu na treść człowieka. Sam też w swej *Filozofii Historyi* mówi między innemi: »Zycie człowieka jest potrójne: *materyalne*, *umysłowe i duchowe*, czyli religijne« *I. 23* i dalej: »Pierwszy ze wszystkich pisarzy świętych i świeckich, św. Paweł rozróżnił jasno *ciało*, *duszę* (*umysł*) i *ducha: sarx*, *nus*, *pneuma*«) I. Tessal. V. 23. Przytacza też autor słowa *Baadera:* »Śmierć odłącza *duszę* od *ciała* i duszę od *umysłu*«.

wieka i że jak źródłem tak i celem bytu jego jest człowiek; iż drzewo w lesie to w swej istocie odcienienie owego kłosa i t. p., lecz prócz tych związków jawnych i do ujęcia łatwych, istną jeszcze między istotami, faktami i wszelkimi szczegółami świata i bytu pewne głębsze zależności, stosunki, pewien wszechzwiązek; a jeśli do ujrzenia, uznania tego wszechzwiązku, za wieków dawnych umiały się tylko podnieść niekiedy fantazya, idealizm, obecnie po rozwinieniu się wieków i dziejów zdolne jest je uznać pojęcie, z doświadczeń tylko czerpiące. Jakoż widzieliśmy właśnie, że sam twórca szkoły pozytywnej, Aug. Comte, umiał dostrzedz i usiłował oznaczyć pewne prawo matematyczne, tkwiące w rozwoju społecznym, rozwoju nauk i jednem słowem w dziejach. *Szczegóły* tego prawa, tego wszechzwiązku, tej słowem *Harmonii,* są dziś wprawdzie na stopniu dopiero domysłów, ale nie jest już tylko domysłem, ale wnioskiem pewnym, na pozytywnych faktach opartym, jej *byt.*

Byt ten w każdej gałęzi rozwoju ludzkiego tak jest dobitnym i jawnym, iż dosyć jest spojrzeć bliżej na jedną z nich, aby go sprawdzić. Spróbujemy tu wskazać na niektóre.

Ludzkość — to rozrodzony człowiek, ta przeto *jedność;* ukazuje się jednak jako zbiór nieprzyjaznych sobie ludów i ludzi. Ludzkość — to zbiór jednostek o jednych cechach głównych, *równym* początku; okazuje się jednak jako obraz wzajemnych ich zależności. Ludzkość, uważmy wreszcie, to istność, którą odznaczył *rozum,* czyli światło; okazuje jednak po największej części ciemność w umysłach jednostek. Trzy te cechy — to (śród innych) przyrodzone jej cechy, i jeżeli dla jakichś przyczyn zamiast ich blasku widzimy ich raczej kontrasta, to jednak widzimy zarazem, iż w życiu tej ludzkości istnie ruch, czyli rozwój, i wnieść jest łatwo, iż, jak to widzimy w historyi rozwić, to, co było jej treści ziarnem źródłowem, będzie i wypadkowem, i że tego jej ruchu i życia (wyrazem którego jest *urzeczywi-*

stnianie się) ostatecznym wypadkiem będzie: *urzeczywistnienie się* owych trzech cech.

Co do faktu *jedności*. Spojrzmy na najogólniejsze ramy dziejów ludzkości, a postrzeżemy łatwo, iż mimo owo pozorne chaos i zupełną odrębność wzajemną w życiu jej rozrzuconych cząstek, są też jednak niemniej jawne wskazówki stopniowego jej z sobą zbliżania się i stawiania kroku za krokiem ku owej jedności. Rzecby można, iż pod tym względem dzieje jej otrzymały zakres wyrażenia trzech epok. Wyrazem pierwszej był bieg, który połączył był jej ludy w jedność zewnętrzną (Rzym): wyrazem drugiej bieg, który ukazywał wewnętrzną (Rzym nowy); zaś po latach i wiekach, wnosimy, przyjdzie, w taki lub inny sposób, trzecia, która przyniesie i ukaże jedną i drugą. Co do epoki pierwszej, wskażmy tu krótko, iż już niegdyś pisarze dawni (jak np. Polibiusz, Strabon, Pliniusz i in.), patrzący na dzieje sobie współczesne, wyrażali, iż było to skutkiem nie szczególnego męstwa Rzymian, ani rozumu senatu, ale iż *Fortuna tak urządziła wypadki* we wszystkich krajach, iż te się w końcu znalazły pod jedną władzą. Co do drugiej, wskażmy tu tylko, iż gdy cel (kiedyś nastać mający) nowy potrzebował czynników nowych, tedy epoka musiała między innemi objąć i nowych krajów formacyę. Gdy zaś idzie nam tylko o tak nazywany fatalizm, a lepiej o byt spełniający się jakiejś *harmonii*, tedy zwróćmy uwagę na znajomsze ogólne fakta, czyli to wieków trochę przed nami dalszych, czy nam współczesnych, a ujrzymy już *jednoczesność* jednej natury zdarzeń, już w każdym razie postępny, zgodny z ostatnim celem ich bieg. Spojrzmy np. na kartę Europy w wiekach XIII. i XIV., wszystkie główne następnie jej kraje jak Francya, Włochy, Hiszpania, Niemcy, Anglia, Ruś, Polska, podzielone były na drobne społeczności, oddzielne *rzeczypospolite, elektorstwa, hrabstwa, małe królestwa, księstwa* itp.; zaś w wiekach XV. i XVI. wszystkie te prawie ciała także jednocześnie pokształciły się już były w ciała wielkie, wcielając niejednokrotnie w siebie

i plemiona różnych pierwiastków (jak np. Francya złożona z Gallów, Franków, Burgundów, Bretonów itp.). W epoce owego bytu kraików lub owych podziałów wszystkie w nich fakta wewnętrzne, zwady, boje, związki rodowe, małżeństwa, skłonności, charaktery, spory, narodziny szczególnych jednostek tak się musiały składać, iżby się ostatecznie owa następna jedność wywinąć mogła; spółcześnie nam w części już dokonane zostały jedności dalsze (jak *Niemcy, Włochy, Rumuni*); w części są w biegu (jak ruchy Wszech-Serbów), a w dokonaniach tych widać było naocznie (jak np. przy dokonaniu jedności włoskich w latach 1866 i 1870, prawie bez udziału samych Włochów, znanych tylko z pokuszeń niegdyś daremnych), iż lubo sprawdzało się w biegu zdarzeń owo przysłowie, wzmiankowane i w Ewangelii, iż kto inny sieje, kto inny żnie, ale też objawiło się jawnie, iż kierownikiem biegu i szczegółów dziejów jest nie *mętna* działalność jednostek, nie, jak mawiał niegdyś Fryderyk II., »Jego Królewska Mość *Przypadek*«, ale *Harmonia*.

Co do praw pojedyńczych jednostek, drogą jawną porównania ich postępnego jest fakt naszym zwłaszcza czasom właściwy, a dziejom dawnym nieznany, fakt społeczności krajowych rządzący się kartą spisaną i przez nią równający prawa klas wyższych, oraz fakt stopniowego i stanowczego usamowalniania się z pod jednostkowych zwierzchności — klas najwyższych. Urzeczywistnienie się jednoczesne tego ostatniego faktu w ostatnich czasach w miejscowościach tak odległych i różnych od siebie, jak południe Stanów-Zjednoczonych Ameryki i kraje wschodniej Europy, urzeczywistnienie się, które było następstwem działań i bezpośrednich przyczyn, nie mających nawet wcale na celu tych skutków, jest też z swej strony sprawdzeniem, iż je wydała nie czynność świadoma ludzi, ale *Harmonia*.

Co do *wiedzy* wreszcie, iż stan jej w epoce nam spółczesnej tak co do ukształcenia jednostek w ludzkości ogólnej, jak w uprawie i rozwinieniu nauk szczególnych, nie da się nawet porównać z tym, jaki był udziałem ludzkości

pierwotnej i dawnej, to nie wymaga dowodzeń; lecz stosownie do celu, o którym mówimy, zwróćmy tu tylko uwagę na szczegół następny. Faktem jest (mimo wszelkie twierdzenia i wywody materyalistów), iż jak przychodząca na świat jednostka przynosi z sobą taki nie inny kolor oczu, tak też taki nie inny, właściwy sobie charakter, upodobania, skłonności i t. p.; ten się rodzi np. przeważnie miłośnikiem broni, ten wędrówek, ten sztuki, ten takiej lub innej gałęzi nauk, a nawet w jednej i tejże nauce, ten ma szczególne, namiętne upodobanie do jednej z jej gałęzi i tę rozwija; tak np. w gałęzi nauk przyrodzonych: ten jest szczególnie i wyjątkowo zamiłowany w gatunku *koni*, ten *ryb*, ten *ptaków*, inny nawet (jest to faktem trudnym do uwierzenia, ale jest faktem) *owadów*, a fakta tych upodobań wrodzonych i popędów wrodzonych [1], jak z jednej strony są dowodem, iż losem drogi umysłowej ludzkości jest posunienie i rozwinienie ogólnej wiedzy, przez posunienie i rozwinienie nauk szczególniej we wszelkich odcieniach ich, tak z drugiej iż w tej czynności i we wszystkich szczegółach drogi tej czynności, istnie i działa Harmonia.

Istnienie harmonii w ramach musi pociągać za sobą

[1] Jednym z dowodów jawnych istnienia idei wrodzonych w ludziach jest fakt istnienia instynktów wrodzonych w utworach niższych. Wprawdzie materyaliści ściśli, którzy dopuszczają wszelką materyalność wrodzoną, ale nie dopuszczają żadnej duchowości wrodzonej, są zdania: że i czynności przemyślniejszych zwierząt nie są to skutki instynktu, ale naśladowania czynności matek; wszakże tak nie jest. Cuvier, a za nim i współcześni nam naturaliści wzmiankują, iż bobry w oddzieleniu chowane, doszedłszy do wzrostu, zajmują się budowaniem jak inne bobry, i fakt podobny może wreszcie każdy wątpiący sprawdzić w gatunku najpowszedniejszym. Szczenięta, wychowane bez matek i w zagrodzie odosobnionej, zamkniętej, po pierwszem wypuszczeniu biedz będą za człowiekiem, który je wypuścił, a idącym w las lub na pole, i razem z nim wracać: nie uczyni tego kot, owca, cielę, żadne inne zwierzę domowe; dlaczegóż to? w żadnym z nich bowiem nie tkwi ten *wrodzony* (a ze wszystkich instynktów najcudowniejszy może) instynkt: miłowania i stróżowania człowieka.

istnienie harmonii w szczegółach wszelkiego rozwoju ludzkiego, a istnienie harmonii w szczegółach — ścisłe spojenie ogniw w łańcuchu rozwoju. Każdy najdrobniejszy wypadek, krok, słowo danej jednostki, tyle mają wywijających się z siebie i wywijających bez końca szczegółów, tak są związane (i następnie łącznie w tym związku idące) z najdrobniejszymi wypadkami, krokami, słowami jednostek innych, że nic nawet nie może się nazwać próżnem i drobnem, nic też odosobnionem, przygodnem w obrazie stawania się. Wyjdźmy rano na miasto, a ujrzymy tłum ludzi idących na prawo i lewo, tam i napowrót; każdy z nich mniema, iż idzie tylko w swej sprawie, i rzeczywiście idzie w swej sprawie, ale ogół tych spraw i kroków ukształci pewien, taki nie inny charakter dnia, te dnie charakter roku, te lata — wieku, wieki — okresu. Drobnostka wszelka ma tu związek z wszelką całością. Czytaliśmy niegdyś w któremś dziele francuskiem uwagę, iż gdyby we Francyi w wieku XVIII. *ktoś* (nie przypominamy nazwiska) *nie spadł z konia,* co miało spowodować śmierć Delfina, syna Ludwika XV-go, *rewolucya francuska nie miałaby miejsca.* Bonaparte (Napoleon I.) gdy raz w wieku swym młodym przechodził ulicą paryską i spotkawszy znajomego zatrzymał się, tejże chwili lecąca z dachu cegła położyła na miejscu człowieka, który go był wyminął; ileż było powodów, iż ów spotkany człowiek, który go powstrzymał od ciosu, szedł tą a nie inną ulicą, tą a nie inną jej stroną, i że znalazł się na tem miejscu ani o chwilę pierwej, ani o chwilę później? Może przewlokło wyjście jego z domu przybycie jakiegoś gościa, taka z nim nie inna rozmowa, lub może wywołało go z domu jakie wezwanie? dajmy, iż to wezwanie było od przyjaciela, który miał rzucić już miasto wczoraj, lecz zmuszonym był zostać jeszcze z powodu niedokończonej roboty krawca, a to niedokończenie na termin przez czeladnika było wskutek jakiegoś burknienia nań majstra i zwady; to burknienie... i tak wstecz bez końca. Powody te są to przypuszczenia, lecz co jest pewne,

że były takie nie inne, a śród nich i jak najpowszedniejsze (przejście na drugą stronę ulicy może był spowodował widok jakiej trzeciej osoby) i że każdy z tych najpowszedniejszych powodów, np. owo burknienie majstra, miał jednak w swym skutku tylko zmianę karty Europy. Ile jest ludzi przytem i takich i innych powołań i misyj większych i mniejszych, każdy w swem życiu i nieraz unika owej cegły lecącej, śmierci z przygody. Każdy z nas, każdy z ludzi mniema coś poczynać i działać we własnym celu, a jednocześnie w czynach tych spełnia się coś, czego nie pomyślał, a co się układa do jednej wspólnej całości z czynami innych działających w swych celach. Każdy z nas, każdy z ludzi, który według rzeczywistości fizycznej jest tylko chwilowem wezbraniem, przejściem od pyłu do pyłu, proszkiem w sobie odrębnym, czyliż przeto nie jest wplecionym w ogólne koło wypadków, które się stają? czyliż nie ma spełnić zadania, czyli to wagi większej, czy mniejszej lub chociażby najmniejszej? I każdy, słowem, czyliż przeto nie jest bezsprzecznie wyrazem jakiejś prawdy przedwiecznej, i tem samem jednem z koniecznych ogniw wielkiej *Harmonii?*

Doświadczenie, które jest mianem (i jak to właśnie uważaliśmy) słusznie za kryteryum prawd pozytywnych, dostrzega więc i za pozytywną prawdę uznaje, że w składzie, rozwinięciu i biegu tak natury zewnętrznej, jak natury wewnętrznej istnie harmonia; prawdę tę jednak, dodać tu zarazem musimy, nieraz zarówno materyaliści, jak i wyznawcy ducha usuwają, albo usunąć usiłują z liczby prawd: pierwsi dlatego, iż pogrążeni w faktach chwilowych, nie są zdolni wznieść się pojęciem do jej ujęcia; drudzy, iż wiara w harmonię kazałaby uznawać byt konieczności, związania, więc przeznaczenia, a tem samem znosić uznanie swobody woli, zasługi rządu Opatrzności i t. p.

Zarzuty te, napozór loiczne, są jednak przedewszystkiem dowodem niejasnego pojmowania kwestyi harmonii i wymagają objaśnień.

»Jeśli harmonia istnie, mówi przeciwnik bytu przeznaczenia, tedy nie pozostaje każdemu z nas nic innego, jak nic nie czynić, i założywszy ręce, czekać spełnienia swego przeznaczenia«. Lecz jest to właśnie, mówimy, nierozumienie faktu harmonii. Jeśli bowiem harmonia istnie i wskutek niej każdy jest pewnem ogniwem w łańcuchu zdarzeń, każdy ma coś pełnić, coś sprawić, tedy jakoż może *nie następować* owo spełnienie? Jakoż ktoś może założyć ręce i czekać spełnienia swego przeznaczenia, skoro tem przeznaczeniem jest właśnie, iżby ręce jego były czynne, nie założone?

Jeśli harmonia istnieje, istnieć musi Konieczność, a jeśli istnieje Konieczność, nie może istnieć Wola, mówią zarówno i pozytywny fizyk i metafizyk, i mówią loicznie, napozór nader loicznie. Rzecz tu jednak właściwie jest taka:

Chcę wziąć do ręki tę książkę i biorę ją, mam dziś jechać tam i tam w drogę i jadę; mam więc wyraźnie wolę, wolę swobodną: jest to fakt pozytywny i który doświadczeniem w każdej chwili stwierdzonym być może.

W biegu dziejów istnieje Harmonia, istnieje ona jak w ramach, tak i w każdym tych dziejów szczególe, o tem także nauczyło nas doświadczenie; i byt przeto Harmonii tej pozytywnym jest faktem.

I *Wola* i Harmonia, czyli *Konieczność,* są więc faktami pewnymi i byt ich możemy pojąć, to zaś tylko, co przekracza istotnie nasze objęcie, jest to *fakt ich złączenia.*

Lecz oto uważaliśmy wyżej, że nasze pojęcie ludzkie, to tylko pojęcie *ludzkie,* ułomne, nie zaś najwyższe; iż zdolne jest tylko do objęcia prawd względnych, nie zaś bezwzględnych, iż są (i być muszą) prawdy, które chociaż podchodzą pod nasze pojęcie, przechodzić muszą objęcie; iż do takich mianowicie muszą należeć te wszystkie, które dotykają ram ostatecznych stworzenia, *najwyższości* pośród stworzenia, a do takich prawd właśnie należy połączenie Woli i Konieczności.

To jednak, co przechodzi nasze objęcie, czyliż przeto przestaje istnieć?

Czyliż dlatego, iż nie możemy objąć początku czasu, czas miał początek?

Istnienie jednocześnie woli i konieczności nie może więc istotnie być przez nas pojętem loicznie; wszakże objaśnić i dodać tu trzeba, że możemy je sobie wyobrazić faktycznie, a mianowicie, iż rzecz ta może i musi mieć się następnie: Harmonia jest to *Układ,* który wyszedłszy z jednej danej przyczyny, przechodzi przez szereg oznaczonych przyczyn i skutków i dochodzi do jednego oznaczonego celu, czyli wypadku.

Taki układ, jak to poznaliśmy, właśnie w przebiegu Wszechświata istnieje. Czy bowiem źródłem tego Układu jest, jak wyraża loik materyalista, *Prawo Natury,* czy jak wyznawca Ducha, *Wprzódwiedzenie boże,* faktem jest zawsze, że *istnie.* Otóż w treść, czyli ramy tego Układu, pośród miliona faktów weszły między innymi i takie, jak swobodna wola jednostek ludzkich, i taki, nie inny *szyk,* który miał odznaczyć dzieje tej woli; szyk, dajmy, taki, iż po dobrych uczynkach ludzkich musi następować *koniecznie* nagroda ich, po złych ukaranie, po ofiarach, po modłach zadośćuczynienie im i t. p.; iż, słowem, to połączenie woli i konieczności jest to nic innego, jak połączenie i objaw w każdym czynie ludzkim zarazem woli ludzkiej i woli bożej, o jakiem mówią wszystkie prawie religie ludzkości.

Kwestya ta, kwestya *woli,* zbyt jest ściśle związana z kwestyą tej wagi dla ludzkości, jak jest etyka, a etyka zbyt jest ściśle związana z takim obszarem pojęć jak jest religia, iż nie uważamy za zbytnie wtrącić tu jeszcze kilka następnych uwag, czyli wyjaśnień.

Nauka tej z religij, która jest nas najbliższą i najbliżej nas obchodzącą, religii chrześcijańskiej, która zdaniem pisarzy materyalistów jest zbiorem mrzonek, lecz w prawdach której, po przyjrzeniu się bliższem, znajdujemy owszem najbliższą zgodność z odkryciami prawd pozytywnych, nauka

ta, mówimy, jest właśnie potwierdzeniem istnienia w układzie świata owej, o której dopiero rzekliśmy, doniosłości. Jeśli bowiem w nauce ewangelijnej znajdujemy naukę jawną o istnieniu woli swobodnej (lubo bez użycia tego wyrazu), znajdujemy też razem naukę i o Harmonii, Układzie poprzednim (lubo bez użycia także tych wyrazów), a mianowicie o *Zgotowaniu przedwiecznem* i o tej prawdzie, iż Bóg zna przyszłość, a przeto jest, iż *dziś* Mu już jest wiadomym cały szereg wypadków, który się ma spełnić we wszystkich odcieniach ich. Dlatego też i jeden z głównych doktorów tej nauki w wieku IV., św. Augustyn, w dziele swem o *Mieście,* czyli *Państwie bożem,* odpowiadając na zdanie Cycerona w traktacie jego o *Naturze bogów,* iż »wprzódwiedzenie *(praescientia)* w Bogu istnieć nie może, skoro w ludziach istnie *liberum arbitrium,* pisał: »wyznawać Boga, a nie przyznawać Mu wprzódwiedzenia byłoby szaleństwem« i przytem wyraził: »a z tymi, którzy pod tym wyrazem *Przeznaczenie* chcą rozumieć nie wolę gwiazd, ale łańcuch i porządek tego wszystkiego, co staje się, niewiele będziemy się sprzeczać o wyraz«; dodaje nawet, że sam ten wyraz *Fatum* mógłby być przyjętym, gdybyśmy go wyprowadzili od wyrazu *fari,* to jest, iż Bóg raz wyrzekł coś przed wiekami *(De civitate Dei,* lib. III, cap. 18, 19). Dodajemy tu nawet, iż przedmiot ten w nauce chrześcijańskiej oznaczonym jest jaśniej i zgodniej z rzeczywistością, niż np. w nauce tych racyonalistów niemieckich, którzy usiłowali godzić racyonalnie istnienie tych dwóch nie mogących zaprzeczyć się faktów woli i konieczności. Leibniz np. iżby pogodzić tę sprzeczność, nauczał o uczynkach materyi i uczynkach duszy, dodając, iż do ciała stosuje się Fatum, do duszy Opatrzność *(quod est in corpore Fatum, in anima est Providentia),* zaś Hegel i szkoła rozdzielali wypadki i czyny na wypadki wagi większej i wagi mniejszej i uczyli, iż pierwszymi rządzi Konieczność, drugimi Przygoda; takie jednak i tym podobne wykłady oddawały najprzód bezwzględny hołd względnym wyobrażeniom ludz-

kim, a następnie znosiły i związek rzeczy i całą harmonię; nie znają zaś tych sprzeczności nauki chrześcijańskie, gdy twierdzą, iż bez woli boskiej *nic* się nie staje, iż i »włosy na głowie ludzkiej są policzone«, iż »ani *kreska,* ani jota nie zmieni się w tem, *co się ma* spełnić« i t. p.

Tak więc czyli będziemy słuchać nauk idących wprost z *ducha,* czy *idealnych,* czy nawet niejednokrotnie samych *materyalistów,* musimy, powtórzmy to raz jeszcze, uznać za fakt pozytywnej prawdy, iż *Harmonia istnie.*

Obaczmyż teraz, jakie z tego uznania, z tej prawdy wypływać mogą i muszą loiczne wnioski?

Wniosków tych, z których jedne odnosić się muszą do następstw w naturze zewnętrznej, inne do natury wewnętrznej, inne do faktów łącznych, liczba być musi wielka; nam tu dostatecznie będzie dla celu powiedzieć chociażby o prawdach kilku; wybieramy więc te, które poczytujemy za najgłówniejsze śród faktów łącznych, i powiemy tu mianowicie po kolei o prawdach i uznaniach takich, jak *Bóg, Sprawiedliwość, Dola Ludzkości, Przyszłość* i w końcu o kryteryum ogólnem tego rodzaju wniosków, które nazwać się może »kryteryum dostrzeganego szyku«, lub krócej: *kryteryum następstw.*

Bóg. Najpierwszym i najgłówniejszym dla istoty poznania naszego wnioskiem z uznania faktu Harmonii jest ten, iż *istnie Bóg.*

Harmonia w rozwiciu istnie. Sprawcami rozwić są siły, rozwić w naturze jest krocie i sił, które je tworzą, są krocie; jeśli jednak te krocie rozwić, które cząstkami są Bytu, łączą się w jednem rozwiciu, jeśli w nich tkwi ten przymiot, iż łączą się w jednym biegu, iż dążą do jednego spólnego celu; jeśli słowem harmonia istnie, tedy jasnem też jest, iż źródłem i kierownikiem tych sił jest *Jedna Najwyższa.* Gdyby bowiem było kilka najwyższych, dwie nawet tylko, tedy wyrazem, istotą Biegu byłaby tylko kolizya, a nie Harmonia.

Siły, ruchy, procesa chemiczne, te wszystkie pier-

wiastki, ta treść biegu natury zewnętrznej działają bezwiednie, działają ślepo; myśli, słowa, pomysły, natchnienia jednostek ludzkich, te pierwiastki i objawy natury wewnętrznej, zjawiać się zdają przygodnie, wydają krocie spraw, krocie utworów, które się wzajem plączą, sprzeciwiają, krzyżują, i z których jedne również stawią się na oślep, bez celu, inne w celach, lecz osobistych, bez wiedzy o prawach współjednostek, o celach łącznych; a jednak ten cały zamęt, tę całą bezwiedność, przygodność, lub jednostkową celowość owa Siła Najwyższa zlewa w jedność, harmonię, bieg spólny, który ma wydać jeden spólny skutek. Owa siła spólna, najwyższa, musi więc stale być skrytą we wszystkiem, działać we wszystkiem, być zarazem *wszech-mocną, wszech-mądrą* i *wszech-obecną.*

Siły tej nie da nam widzieć żaden mikroskop, jest przeto *duchem.*

Istnie ona, jest więc istnieniem, *Istotą.*

Będąc przyczyną wszystkiego, przyczyną skutku, nie może być sama tym skutkiem, ma przeto byt *poprzedni, oddzielny, zwierzchni,* i lubo kieruje tym światem, lubo jest w nim zawartą, nie jest sama tym światem.

Istotę, która jest *Jedną Najwyższą,* która jest i Duchem *Wszech-twórcą* i Duchem *Wszech-rządcą* i która będąc w Wszechświecie, jest istotą od świata różną, zowiemy *Bogiem.* Bóg przeto istnie.

Dowód istnienia Boga, który tu sam się kształci, jest, sądzimy, jaśniejszy i dobitniejszy nad wszelkie teorye; jest dowodem, na który, zdaniem naszem, nie przystać nie może i żaden pozytywista, jest bowiem płynącym prosto z dostrzeżenia, uznania bytu Harmonii, a więc z *doświadczenia.*

Wniosek taki, wniosek i jasny i prosty, dlaczegóż jednak nie bywał i nie jest dotąd wnioskiem pozytywistów, dlaczego nie jest tych nawet, którzy i dopuszczają i wykładają fakt harmonii? Dlaczego najczęstszym ich wnioskiem nie tylko nie bywa teizm, ale owszem niejednokrotnie ateizm? Zdaniem naszem, przyczyną takiego skutku

był i jest tylko brak *porozumienia się* i o tem kilka bliższych uwag dodać musimy.

Bóg istnie. Każdy z ludzi, z ludzi najmniej nawet myślących, czuje to i uznaje, iż jest w ręku jakiejś siły, która nim rządzi; a uznanie to tak jest proste i naturalne, iż udziałem uznań ludzkości od jej nastania, lubo bywało nieraz i bałwochwalstwo i wielobóstwo, ale nie było nigdy *bezbóstwo*[1]. Jeżeli jednak łatwem i koniecznem jest dla człowieka wyobrażenie bytu jakiejś Istoty i Siły rządzącej i nim i ziemią, mniej łatwem i nawet niemożliwem właściwie jest dotąd objęcie treści, to jest mogących się przez nas wyobrazić szczegółów takiej Istoty; i w tem też właśnie tkwi głównie istota nieporozumień.

Jakaż jest najogólniejsza, przypomnijmy tu sobie, historya wyobrażania przez ludzi istoty Bóstwa?

Najpierwszym, najpowszechniejszym skutkiem materyalnych pojęć, przeważnie materyalnej, to jest pierwotnej ludzkości, było zrazu pojmowanie tej Najwyższej Istoty materyalnie (mówimy tu naturalnie o pojmowaniu racyonalnem, nie tradycyjnem). Uznawano więc za nią już *słońce* (i dosyć loicznie, jako widome źródło życia i światła), już inne *światła*, już wzniosłe *drzewa*, już rzeźbione *bałwany* (jakoby z nieba spadłe), już (co najtrudniej jest zrozumiałem) śmiertelne *zwierzęta*, już wreszcie istoty materyalne nad gwiazdami istnieć mające w postaciach ludzkich. Kilka tylko w owych pierwotnych wiekach wyjątkowych umysłów, umysłów, które i skądinąd dowiodły, iż były najwyżej rozwiniętymi pośród umysłów ludzkich, jak: Sokrates, Platon, Arystoteles, Cycero i inni, dochodziło i nauczało, iż ta Siła Najwyższa, ten Stwórca i Rządca świata był *jeden* i że był *duchem*. Z podziwem jednak widzimy, iż istniał zarazem i cały jeden lud starożytny, który naukę tę dzielił, a był nim lud *Hebreów*. Był on tak silnie prze-

[1] Wyjątek, jeśliby i istniał jaki, nie znosi *reguły;* odnosi się też tylko do dzikich, t. j. ludzi najniższej umysłowej organizacyi.

konanym i o istnieniu tej wszystkiem rządzącej Siły, tego groźnego Pana, i o niemożności objęcia zmysłami ludzkimi jego treści, iż nazwisko, które Mu dawał, było tylko tem ogólnem nazwiskiem: *Który jest* (Jehovah); że ustawy jego co chwila przypominały i ponawiały wzbronienie czynienia mu *podobieństw.* Z religii Hebrajczyków wypłynęło chrześcijaństwo; dlatego też i nauką dogmatyczną w religii tej było zawsze i jest iż: »Bóg jest *duchem*«. Jeżeli jednak nauka dogmatyczna chrześcijańska, zacząwszy od Ewangelii do spółczesnych nam katechizmów podręcznych, była i jest pod tym względem zawsze niezmienna, twierdzić nie można, iżby też była zawsze taką w pojęciach i wyobrażeniach jednostek, w pojęciach ludu. Bóg jest Istotą Najwyższą, prawdą w swej treści bezwzględną; już zaś wiemy, iż pojęcie ludzkie, ułomne, nie jest zdolne do objęcia prawdy bezwzględnej. »Całe nasze poznanie Boga może być tylko symboliczne i analogiczne«, jak wyrażają teologie katolickie (np. *Wiest:* Praelect. Theolog., II, § 2 i 15) [1]. Tymczasem o Bogu, Jego sprawach, przymiotach, co chwila musi mówić chrześcijanin, a konieczność wyrażeń przenośnych łatwo wieść może następnie do wyobrażeń niejasnych. Już samo to brzmienie »Bóg«, oznaczające w języku naszym rodzaj męski, każe wyobrażeniom potocznym tworzyć wyobrażenie istoty podobnej ludzkim, tem więcej, kiedy dla oznaczenia czyli to cech zmysłowych, czy moralnych bożych, wypada nam mówić o zmysłach i cechach ludzkich i wyrażać np.: Bóg widzi, Bóg słyszy, więc mówić o *oku, uchu,* o *ręku* Boga, przypisywać Mu *gniew, dobroć, zemstę, nienawiść, miłość, samowiedzę, mądrość* i t. p. Że przeto wyobrażenia jednostek skłonne są do wyobrażeń zmysłowych, to naturalne. W dziejach kościelnych czytamy, że już biskup antyocheński z wieku IV., Teofil, przestrzegał

[1] »Bóg, któryby był pojętym, nie byłby Bogiem«. »Mówić o Bogu iż go znamy, jest to bluźnić«. Zdania myślicieli angielskich, które nieraz powtarza Herb. Spencer.

wiernych, iżby nie zapominali, iż Bóg chrześcijański jest duchem. Wyobrażenia przeciwne tem zaś więcej następnie w pojęciach powszechnych krzewić się mogły, gdy religijne pojęcia zaczęła utwierdzać sztuka i gdy ta w wieku odrodzenia czerpać zaczęła ze sztuki dawnej; kościół zaś, od czasu nauk ewangelijnych, nauki przez symbole tolerował. Jak np. w poemacie Danta, szczegóły pojedyńczych obrazów nieba i piekła były to literalne trawestacye obrazów pogańskiego Tartaru i Pól Elizejskich, kreślonych w VI. księdze Enejdy Wergiliuszowej; tak podobnie i w sztuce malarskiej, w obrazach np. Michała Anioła: *Stworzenie człowieka* i *Stworzenie kobiety*, Bóg chrześcijański przedstawiony jest jako podstarzały Jowisz lub Saturn. Wyobrażenia popularne w chrześcijaństwie mogły więc być i mogą, powtarzamy, nie być zawsze w tym względzie czysto duchowe, a filozofowie pozytywiści, nie odróżniając pojęć teologicznych od dyletanckich, i widząc w tych ostatnich jawny fałsz, odtrącają i całość nauki, i odtrącając Boga, jakiego sami zapewne czcili w dzieciństwie, ogłaszają się jawnie za ateistów [1]. Jakoż w pismach niejednego materya-

[1] Że mowa tu o porozumieniu się, więc mówiąc o *Duchu Stwórcy*, powiedzmy tu zarazem i o podobieństwach jego na ziemi, *duszach* ludzkich. Racyonaliści protestanccy czynią niejednokrotnie ten zarzut katolickim wyznawcom, iż lubo wyznają jako dogmat »ciał *zmartwychwstanie*«, wierzą jednak i w możność ich męki przed owym czasem. Jest to jednak także mieszanie dogmatów teologicznych i wyobrażeń jednostek. Dogmatem katolickim jasnym i przez wieki najbardziej materyalne nigdy nie zmienianym, było zawsze i jest, iż tylko »*dusza* ludzka jest nieśmiertelną«. Że zaś przez tę duszę nauka katolicka *rzetelna* nie pojmowała nigdy nic cielesnego, dosyć tu będzie przytoczyć wyrażenia własne najwyższych powag w katolicyzmie. Tak np. św. Tomasz z Akwinu, w swej *Summie Teologii*, poświęcił cały artykuł V-ty kwestyi VI-ej wykazywaniu, iż »dusza może być szczęśliwą *bez ciała*«. Zaś doktor z wieku IV., św. Augustyn, dotykając w jednym ze swych traktatów znanej paraboli ewangelijnej »o Bogaczu i Łazarzu«, tak ją między innemi objaśniał: »że ów bogacz był pośród upału mąk, a ów biedak w ochłodzie pociech, o tem nie wątpię, ale *jak ma być rozumianym* ów płomień piekła, owo łono Abrahamowe (sed quomodo intelligenda sit illa flamma inferi, ille sinus

listy, jak np. Hobbes'a, a ze współczesnych nam u Feuerbacha, Büchnera, Vogta, Haeckla i innych, znajdujemy to wzmiankowanem prawie wyraźnie, iż dlatego zmuszeni są nie uznawać Boga chrześcijan, iż Bóg chrześcijan jest to Bóg materyalny, Bóg *osobowy* [1]. Ograniczymy się na przytoczeniach z tego ostatniego, jako *uważanego* za jednego z najotwartszych spółczesnych nam ateistów. Autor ten

---

Abrahae), ów palec biedaka, owo męczące pragnienie, owa kropla ochłody, próżno się o to spierać« *(De Gen. lib. 8)*. Zaś w owem dziele *De civitate Dei*, mówiąc o zmartwychwstaniu ciał po sądzie ostatnim i wyrażając, iż ów ogień wieczny, który ma stać się karą złych, może to nie być ogień materyalny; za dowód możności istnienia takiego niematerialnego ognia położył właśnie ową parabolę, jako mówiącą o losie *dusz*, a przeto, dodaje tu, i ów płomień, w którym gorzał ów bogacz, był bezcielesnym (allegorycznym), i owa kropla wody, o którą błagał, była bezcielesną *(De Civit. D. XXXI, 10)*. Dla jednorodności przedmiotu, a dla kształcenia stopniowie porozumienia się, wspomnijmy tu także, jak ciż doktorowie chrześcijańscy (najgłębiej, być może, łączący religię z racyą), wyrażali się o przedmiocie »nieba empirejskiego«. Św. Tomasz w pomienionej swej *Summie* dotknąwszy tej kwestyi, po wyrażeniu opinii swej osobistej, iż *właściwem* jest utrzymywać, że jednocześnie z ziemią stworzone było i niebo empirejskie; odpowiada na *przeciwne* w tej rzeczy zdanie św. Augustyna. Zaś kończąc ten przedmiot, dodaje: »Wszakże wyznać należy, że istnienie tego nieba empirejskiego dopuszczają tylko: *Strabus*, autor Glozy, *Beda* i *św. Bazyli« (Summ. Theol. Pars I. Quaestio LXVI, art. 3)*. W związku z temże, przytoczmy tu jeszcze w końcu uwagę z jednej ze spółczesnych nam teologij katolickich: *Institutiones Theologicae* biskupa Bouvier. W ciągu wykładu Składu Apostolskiego, czytamy tu między innemi: »Bóg, jako duch, nie ma właściwie ani lewicy, ani prawicy (materyalnej), Chrystus usiadł po prawicy bożej *non situ corporis, sed potentia*« (w edycyi 9-tej, z r. 1856, przejrzanej w Rzymie. T. V., str. 88). W przytaczaniu zdań o przedmiotach ściśle religijnych, tu, jak zawsze, ograniczamy się na przytaczaniu tylko opinij lub nauk powag właściwych.

[1] Widzieliśmy właśnie, jaka to jest w nauce chrześcijańskiej osobowość Boga; jest to właściwie tylko *oddzielność* Istoty, nie *postaciowość*. Stąd też wyznajemy, nie byliśmy nigdy stronnikami tych z naszych filozoficznych pisarzy, którzy się dopominali gorliwie o osobowość Boga. Teologie katolickie, o ile je znamy, nie używają nigdy tego terminu *personalitas Dei;* mówią one o trzech Osobach w jednej Istocie, a i tu wyrażenia tego *Osoba* (Persona, Hypostasis), jak uważał św. Augustyn, dlatego tylko używamy, iż nie mamy właściwszego w językach ludzkich.

w swej *Schöpfungsgeschichte* mówi między innemi: »*Osobowy* ten Stwórca jest poprostu wymarzonym ustrojem, przybranym w szaty *człowiecze*« (w przekł. Masł. i Czarn., t. I., str. 180), zaś w przedmowie do tego dzieła tak się między innemi wyraża: »Cała przyroda jest dla nas ożywioną *duchem* bożym...« »Zatwierdzając jedność całej przyrody i wszędzie w niej działającego ducha bożego, tracimy wprawdzie hipotezę o osobowym Stwórcy, lecz zyskujemy natomiast wzniosłe i doskonalsze pojęcie o duchu bożym«. Autor ten w któremś miejscu swojego dzieła, w którem jest tyle wyjść przeciw Bogu chrześcijan, wyraża: »Mamy i my swego Boga«. Otóż być może, iż po porozumieniu się bliższem, i Bóg chrześcijan, i ten Bóg pozytywistów-naturalistów są bardzo blizko siebie, a może jedną i tą samą istotą.

Dosyć jest pojąć jasno, czem jest Bóg w swojej istocie, co to jest właściwie czynność boża, a antagonizm, nieprzyjaźń i wzajemne pociski przeciw sobie przyjaciół ducha i przeciwników ducha nie w jednem znikną.

Że pierwszych, przyjaciół ducha religii, cechuje bojaźliwość ostrożna, to naturalne. I nauka wprawdzie chrześcijańska, jak każda inna, jest rozwojem i życiem (używa dziś ona np. wyrazów: *Trójca, czyściec, nieśmiertelność duszy* i t. p., których nie znali pierwsi założyciele chrześcijaństwa, i mimo to jest chrześcijańską), lecz w nauce, która ma i wyjście tajemne i cel tajemny, każde zboczenie w drodze na prawo i lewo, budzi nieufność. Ta nieufność jest faktem, lecz że ma nieraz za podstawę jedynie bojaźń, faktem jest także. Dosyć tu będzie dla przykładu wspomnieć na los niegdyś traktatów Arystotelesa, które, przy pierwszem ukazaniu się ich w wiekach średnich, były przedmiotem zakazu; usuwanie zaś ich powagi w w. XVI. uważało się za rodzaj kacerstwa. Wszelkie nowe zasady, nowe wyrazy nowego systemu, nowe odkrycia w naukach, budzą zrazu niejednokrotnie podobną bojaźń i przed ocenieniem ich bliższem, przez gorliwość jednostek są potę-

piane. Jakoż widzieliśmy to niedawno, jak używane przez głównych przedstawców spekulacyi niemieckiej wyrażenia: *idea bezwzględna, postęp, duch czasu* i t. p., obwoływane były za panteistyczne, jakkolwiek okazało się, że (lubo nie wyrazy, ale wyobrażenia i t. d.) przeniesionemi były wprost z Ewangelii [1]. Podobnie też widzimy i nam spółcześnie, że dostrzegane lub dopuszczane przez badaczy fakta istnące w przyrodzie, jak np. walka o byt, wybór naturalny, iż ludzkość znała niegdyś epoki kamienia, żelaza, że miała mieszkania nadwodne i t. p. — poczytywane są przez wiele jednostek za bezbożne.

Ze strony drugich, czyli wyznawców samej materyi, bywa zwykle znowu gorzej niż bojaźń, gdyż niewiadomość. Bóg jest duchem, a *ręką* jego widzialną są te *prawa natury,* ten *szyk,* które pomyślił i które spełniać się muszą; ale wyznawcy materyi przez wyrażenie to: »czynność boża« snać rozumieją czynność jakiejś cielesnej dłoni o pięciu palcach i skoro tej nie ujrzą, nie uznają w danym fakcie czynności bożej. Tak np. (dla objaśnienia bierzemy tu kilka pierwszych lepszych w tej chwili przypomnień), kiedy jeden z filozofów francuskich z końca zeszłego wieku, reda-

[1] Przypominamy, iż właśnie w tem piśmie niegdyś, a mianowicie w zakończeniu artykułu: *Rys oświecenia Słowian*, zwróciliśmy byli może pierwsi uwagę, iż wyraz ten *postęp*, użyty po raz pierwszy przez filozofów wieku zeszłego we Francyi (Turgot), jest w gruncie wyrażeniem i wyobrażeniem chrześcijańskiem *(Bibl. Warsz.* z r. 1841, wrzesień). Uwagi te snać nie były niesłuszne, autor bowiem z powołania teolog, ks. Chołoniewski, którego pióra artykuły umieszczała wtedy także Biblioteka, w publikacyi swej z r. 1847 p. t. *Odpowiedzi*, w oddziale p. n.: *Odpowiedź na pytanie: co znaczy postęp ludzkości w duchu nauki Chrystusowej?* też uwagi rozwinął, rozszerzył i teologicznie uzasadnił. Zaś przed kilku laty słynny kaznodzieja kościoła N. P. w Paryżu, ojciec Feliks (jezuita), jakkolwiek jezuita, w *Konferencyach* swych, miewanych w tymże kościele od r. 1856 do 1870 (wydanych następnie p. t.: *Le Progrès)*, nader szczegółowie rozwijał i wykazywał, iż *postęp* istnie w najrozmaitszych gałęziach rozwicia ludzkiego, iż źródło tego skutku jest w duchu ludzkim, i że założyciel nowego królestwa duchowego na ziemi, *Jezus Chrystus*, mógł był wyrzec o sobie: »Postęp to ja«.

ktor *Encyklopedyi,* Diderot, zwróciwszy uwagę, iż z jaja samo ciepło wyprowadza istotę żywą, dodał był: »ta jedna prawda znosi wszystkie teologie i wszystkie kościoły«, tedy właściwie oznaczało to, iż filozof ten nie miał wyobrażenia, ani co jest teologią, ani co jest kościołem; kiedy spółczesny nam August Comte dostrzegłszy, iż istnie *Prawo,* które tworzy dzieje, dodał z tryumfem: »tak więc nie pozostaje nam jak pożegnać Boga i podziękować mu za oddane usługi«, przypominało to tylko, iż zdanie to wyrażał filozof, który z liczby nauk usunął logikę. Wyznawca bowiem logiki po dojściu powyższego prawa dodałby był przeciwnie: »tak więc jesteśmy wszyscy w ręku jakiejś siły Wszechmocnej«. *Moleschott* (w dziele swem, mianowicie *Kreislauf des Lebens)* nieraz powtarzał, iż »gdyby istniał Bóg, nie mogłyby istnieć prawa natury, gdyż wszystko zależałoby od jego samowoli«. Materyalista ten (i tylu jego naśladowców) nie umieją przypuścić, iż samowola ta chcieć właśnie mogła, iżby objawem jej były takie, nie inne prawa natury, taki, nie inny szyk zdarzeń pośród stawania się. Draper w dziele swem *Historya rozwoju umysłowego Europy* przechodząc do epoki odrodzenia, mówi tu między innemi: »Po wzięciu Konstantynopola przez Turków, Zachodowi pozostało szukać ratunku *nie w pomocy bożej,* ale w skarbie poznań fizycznych i źródeł pieniężnych«. Trudno zgadnąć, co rozumiał w tem miejscu Draper przez pomoc bożą i jak się ta może udzielać inaczej jak przez skuteczność takich lub innych naocznych środków. Pamiętanie na prawdę tę, iż »ręką bożą są prawa natury« zmuszać też winno, dodajmy, i nas wyznawców ducha, przyjaciół religii, patrzeć bezstronniej na twierdzenia naturalistów. Kiedy więc śród ich twierdzeń znajdujemy np. takie, że myśl, to sekrecya mózgu, że nie ma jej bez fosforu, iż uczucie to elektryczność, że tak, nie inaczej, przez wieki kształciły się warstwy ziemi, że pierwszy zjawiony na ziemi organizm powstał był ze zbiegu ciepła, światła, elektryczności, a dalsze przez trans-

formacyę[1], że dusza ludzka to wypływ ogółu czynności organów ludzkich[2] i t. p., tedy, dodać to wprawdzie należy, że wszystkie te domysły i przypuszczenia są dopiero w stopniu przypuszczeń; gdyby się jednak następnie potwierdzić i sprawdzić pozytywnie miały, tedy wyznaćby tylko przyszło, iż danem zostało człowiekowi poznać o sto-

---

[1] Hipoteza Darwina o transformacyi jest dotąd dopiero hipotezą, lecz gdyby ją ktoś w końcu zamienił w syntezę, tedy (że powtórzymy tu uwagę czynioną już kilka razy w tem piśmie) nie pojmujemy zupełnie, dlaczego obrany przez Stwórcę taki, nie inny *sposób* stworzenia człowieka, miałby być uważany za *niestworzenie*. Dodajmy tą razą przykład dla objaśnienia. Przypuśćmy, że na jakąś odludną wyspę, wskutek przygody morskiej, wylądowało grono małych dzieci, których nauką całą był katechizm. Przypuśćmy, że następnie po dojściu do lat, jeden z tych wzrosłych mężów, lub wskutek racyonalnych wniosków z widoku natury, lub niezależnego od tych natchnienia, lub jakiejś mętnej tradycyi, począł nauczać i głosić, iż wszyscy oni ukazali się niegdyś na ziemi nie nagle i oderwanie, ale że każdy z nich rozwijał się zrazu z nicości przez różne formy zwolna i harmonijnie w łonie matki. Taki pomysł czyżby nie był zgodnie odparty, jako hańbiący ich treść materyalną i jako bluźnierczy, albowiem zaprzeczający tej religijnej prawdzie, że »Bóg go stworzył«. Ukształcenie się niegdyś w podobny sposób śród łona matki ziemi, na inną tylko skalę i form i czasów, pierwszego człowieka, czyliżby także miało się stawać zaprzeczeniem tej prawdzie, że Bóg go stworzył? Psycholog niemiecki Beneke w Psychologii swej wyraził niegdyś uwagę, iż dusza w człowieku wyrasta z ciała, jak roślina z ziemi, ale roślina ta może z kolei sama zamienić się w ziemię, aby wydać z siebie nową duszę. Mistyk francuski, St. Martin, pierwej jeszcze użalał się, iż czuje w sobie jakby ciężarność duszy i wzdychał do czasu, iżby ją mógł porodzić rychlej na innym świecie. Teorya o poprzednich transformacyach nie tylko nie zaprzeczałaby, ale owszem sprzyjałaby tym pomysłom, nadziejom o transformacyach dalszych.

[2] Jest to zdanie, które między innemi starał się uzasadnić Büchner w odczycie, mianym przed kilku laty w Wiedniu, o *duszy*. Materyalista ten z zasady, nie wiedział zapewne, że tym wywodem dopomagał jednemu z dogmatów katolickich. Zdaniem niektórych teologów chrześcijańskich (do ich liczby należał Origenes jako półplatonik) było, iż Bóg utworzył przed wieki pewną liczbę dusz, które następnie wstępują w rodzące się ciała; nauką zaś katolicką jest, iż duszę dopiero *po* przyjściu na świat człowieka, Bóg tworzy w człowieku.

pień bliżej drogi boże, to jest posunąć o stopień bliżej poznanie Boga [1].

Tak więc, jeżeli w tej wielkiej a głównej dla ludzkości kwestyi: czy Bóg istnie? dla pozytywnej odpowiedzi potrzebnym jest tylko wzgląd na *doświadczenie*, a doświadczenie zwrócone do treści dwóch stron natury, czyli całości natur, tedy jeszcze dla wyznawców przeciwnych zasad potrzebnem jest tylko zarazem i pewne *porozumienie się*. To niech nastąpi, a wtedy w miejsce tego najczęściej dziś słyszanego zdania, iż w filozofii ścisłej, pozytywnej, jest niemożliwym teizm, wypadnie raczej postawić to drugie: iż w filozofii ścisłej, pozytywnej, jest niemożliwym ateizm [2].

Sprawiedliwość. Harmonia w rozwiciu istnie. Źródłem i podstawą harmonii jest pewne prawo. Zgodność z prawem zowiemy sprawiedliwością. Jeśli więc przyglądając się logiczności układu wśród cząstek bytu, zasadnie i trafnie wyraził niegdyś Hegel, iż »wszystko, co jest, jest rozumnem«, równie zasadnie i trafnie można i należy wyrazić, iż wszystko, co jest, jest sprawiedliwem. Czyli jednak tak jest istotnie? Doświadczenie, to kryteryum prawd pozytywnych, czyliż istotnie ukazuje nam byt tego pierwiastku wśród świata zawsze i wszędzie?

Pierwej nim będziemy mogli odrzec stanowczo, czyli pierwiastek sprawiedliwości istnie śród świata, wypadałoby umieć oznaczyć, co właściwie może mieć nazwanie spra-

---

[1] Myśl tę objaśnijmy tu jeszcze następną uwagą. Być może, iż badaczom natury danem kiedyś zostanie poznać siłę żywotną, czyli naturę pierwiastka życia na ziemi; gdyby zaś także obok innych nowych zjawisk śród świata w drogach różnych, danem też nadto zostało sztuce lekarskiej dociec środek przeciągania owego życia na zawsze; tedy powiedzielibyśmy, iż nie przychodziło nam nigdy na myśl, iżby proroctwo życia wiecznego w taki sposób ziścić się miało (i nie sądzimy istotnie, iżby przyszłość w ten sposób miała się rozwinąć). Wszakże nie moglibyśmy i w owym razie dodać, iż nie staje się ono za sprawą *bożą* i że zaprzeczeniem jest proroctw.

[2] »Ateizm będzie to ostatnia sekta w chrześcijaństwie i wogóle ludzkości«. *Leibniz.*

wiedliwości, ta zaś kwestya wymagałaby znowu rozjaśnienia kilku poprzednich. Jeżeli sprawiedliwość ma miejsce, t. j. ma miejsce istnienie w pewnem harmonijnem poszykowaniu: dobra i zła, fałszów i prawd, występków i cnót i t. p., tedy najprzód trzebaby dać odpowiedź, czyli jest to pozytywnym pewnikiem, że istną jakieś prawdy i fałsze, dobro i zło, występki i cnoty i t. p. Czyli *zło, fałsz, występki* i t. p. nie są to tylko urojenia nasze? gdy zwłaszcza już z samego założenia wypada, iż wszystko, co w świecie jest, jest rozumnem, jest sprawiedliwem.

Iżbyśmy na te kwestye i wogóle na pierwiastek sprawiedliwości umieli należnie spojrzeć, powinniśmy przedewszystkiem wspomnieć tu znowu na te granice, śród jakich poznanie nasze rozwijać się tylko może. Sprawiedliwość a sprawiedliwość w *sobie* to pewna ostateczność; to jak owa Harmonia, jak wszelki przymiot boży, o których mówiliśmy, prawda *bezwzględna*. Już zaś pojęcie nasze, pojęcie ludzkie (raz jeszcze to powtórzymy) znać jest zdolne prawdy jedynie ludzkie, prawdy zatem jedynie względne, a nie bezwzględne. Raz jednak zstąpiwszy na to stanowisko, to jest, przywiódłszy w pamięć, iż nie możemy wychodzić z innego jak tego stanowiska, na kwestye powyższe możemy tu odrzec krótko, i jak nam się zdaje, stanowczo.

Prawdy *takie lub inne* istną (coś bowiem, takie lub inne, istnie); gdy zaś pojęciom naszym, pojęciom ludzkim, udzieloną została możność obejmowania kontrastów, z całą więc pozytywną pewnością dodać wypada, iż istną dla nas i *fałsze*. »Pierwiastek sprawiedliwości śród świata istnie« i »pierwiastek sprawiedliwości śród świata nie istnie«; z dwóch tych twierdzeń jedno lub drugie musi być prawdą; przeciwne więc będzie *fałszem*.

Są fakta, które budzą w nas zadowolenie, dają nam radość, szczęśliwość; są inne, które w nas tworzą boleść, cierpienie, zgryzoty. Stąd prostej a pozytywnej pewności wypada wniosek, iż istnie dla nas dobro i istnie *zło*.

Uczynki, których treścią jest dobro, zowiemy cnotą, a których zło, występkami. Byt więc występku i cnoty równie jest rzeczą pewną i rzeczą jasną.

Mniej jest jasnem, jakie mianowicie uczynki należą do cnót, a jakie do występków. Dla odpowiedzi jednak na tę kwestyę praktyczną, wtrąćmy tu kwestyę praktyczną: dlaczego rysy twarzy np. złośliwca, opilcy, zwodnicy rozpusty i t. p., mają sobie właściwe piętna, a te piętna budzą powszechnie, bezwyjątkowo uczucia *wstrętne?* czemu znowu dobroć, szlachetność, rozum i t. p. odbijają się również w naturze zewnętrznej i budzą *powszechny* pociąg?

Nie idzie tu nam tą razą o określenie szczegółowe takich lub innych praw psychiki lub etyki, lecz tylko o wskazanie ogólne, iż istnienie uczynków dobrych, oraz uczynków złych, czyli cnót i występków, *przyrodzona* to prawda, więc pozytywna; i dodać zarazem to można, iż jest to powszechną zgodą, zgodą wszystkich pokoleń i wszystkich wieków, serc i umysłów, wszelkich zasad i wszelkich *partyj*, iż uczynki, których źródłem jest miłość, uznawane są powszechnie za dobre, te zaś, których wyrazem jest przeciwność tej miłości, są miane *za złe*.

Tych kilka, dla dokładności wszelkiej, wtrąciwszy uwag poprzednich, powróćmy do pierwszego pytania: czyli istotnie w układzie świata, a mianowicie (co nas głównie obchodzi) w układzie świata ludzkiego tkwi sprawiedliwość, to jest, ten szyk harmonijny, iż z uczynków człowieka dobrych tworzy się dla człowieka dobro, a ze złych zło? czyli: iż cnota otrzymuje nagrodę, występek karę?

Jeżeli spojrzymy na dzieje świata, to jest dzieje ludzkości, ludów i ludzi, tedy wyznać trzeba, iż taki szyk, taka harmonia faktów, jaką tu dopuściliśmy, wcale nie widna. To, co widzimy, jest owszem najróżniejszych poszykowań obrazem. Tu np. (że weźmiemy pierwsze lepsze przykłady) młoda i piękna cnota kona w poranku, tam szalbierstwo, oszczerstwo, bluźnierstwo żyje lat sto; tu przyjaciel myślenia, żelaznej pracy pędzi żywot w niedoli i nieraz w nę-

dzy; tam szyderca pracy, szyderca myśli, wygrywa wielki los na loteryi. Tam znowu przykłady naodwrót. A widok takich faktów, faktów na różne skale, w różnych odcieniach, to widok z wszelkich krain i wszelkich czasów, z życia jednostek prostych, jednostek zbiorowych i t. p.

Z faktów tych wniosek więc jasny: iż owszem, sprawiedliwość nie istnie. Lecz oto uważaliśmy wyżej, iż sprawiedliwość to zgodność z prawem, że prawo jest to harmonia, i że to prawo i ta harmonia w rozwiciach, to fakta. Cóż więc ostatecznie wnieść trzeba? Oto, iż nie konieczność uznawania bytu sprawiedliwości jest fałszem; ale, iż sąd nasz ludzki o tem, co rzetelnie jest sprawiedliwem, mylnym być musi.

Droga sądu cóż więc ma czynić?

Sprawiedliwość, ten jeden z ostatecznych pierwiastków natury wewnętrznej, jest tak jak *ciepło, światło* i inne ostateczne pierwiastki natury zewnętrznej. Nie znamy ich istoty, byt ich jednak jest skądinąd pozytywnej pewności. A jako do postępnego, coraz bliższego poznania treści tych ostatnich, możemy się zbliżać stopniowie przez obserwacye i ocenianie ich skutków, czyli przez doświadczenie, tak podobnie i do poznania owego duchowego pierwiastku.

Do poznania treści i dróg absolutnej sprawiedliwości zbliżać nas może i musi droga doświadczeń, a doświadczenia te będą i muszą się *kształcić* w podwójnym kierunku; *pośrednio* przez kształcenie nauk psychicznych, to jest poznawanie stopniowe praw ogólnych natury wewnętrznej i *bezpośrednio* przez gromadzenie, zbliżanie i ocenianie danych, czyli faktów ze sfery życia i stosunków ludzkich. *Kroniki, dzieje,* traktaty o *obyczajach* i *charakterach* ludów i ludzi, zbiory *historycznych anegdot, żywoty* osób, zwłaszcza wybitniejszą misyę mających, ich *pisma,* ich *pamiętniki,* a nadewszystko *dzienniki* (w których piszący kreśli wypadki pod wrażeniem chwili, bez wiedzy o jutrze, bez żadnych ubocznych celów i t. p.), pochwycanie i ujmowanie dziejów prywatnych, zdarzeń w ich pewnym szyku i t. p.,

wszystko to są pomoce i kroki do owych obserwacyj i wniosków [1].

Jak wprawdzie czynienie podobnych obserwacyj, a zwłaszcza wniosków z nich, jest niełatwem, to wskazuje przyglądanie się bliższe szczegółom *stawania się*, chociażby najlepiej każdemu znanym, bo własnym. Każdy z ludzi, jeśliby rzucił okiem w wigilią śmierci na swoją przeszłość, tedy naturalnie ujrzałby, iż ta przebyta przezeń żywota całość, ta harmonijna całość, nie mogła być inną, jak była, jak w swej całości, tak i w każdym szczególe swoim; widziałby, jak w niej np. każdy jego krok, każde słowo wydawały cały szereg płynących z siebie wypadków; jak i słowa i kroki osób drugich i trzecich, z któremi szedł razem, z któremi niby przygodnie się łączył, były to jednak także najkonieczniejsze ogniwa owej całości; widziałby mianowicie, iż ten szczegół, wypadek, który się stawał źródłem głównych zwrotów śród jego życia, był zawsze nie z jego woli, wyrachowania, ale jakby przypadku, lub raczej z woli jakiejś wszechwiednej, wszechmocnej a wszechkierującej Siły zjawianym; a jednak i wtedy jeszcze nie mogłyby mu być wcale znane przyczyny i znaczenie tysiąca faktów przejściowych. Przypuśćmy, dla przykładu, że tą jednostką pragnącą zdać przed sobą sprawę z harmonii i znaczenia wszystkich szczegółów upłynionego życia, jest jakiś artysta słowa, poeta. Dajmy także, iż był on

[1] Iż wykształcenie w ten sposób z czasem pojęć i poznań leży w planie Stwórcy ludzkości, dowodem, zdaniem naszem, są i natchnienia niegdyś rzadkie, a dziś coraz częstsze, które pochwytując z biegących dziejów ludzkich potocznych, prywatnych, pewne całości, kreślą je ze stanowiska owej sprawiedliwości, lub też chociażby stawią je tylko w całej ich prawdzie. Mówimy tu o tych obyczajowych, artystycznie kreślonych obrazach, znanych w literaturze pod nazwą dramatów i powieści, a których z coraz większą szczegółowością, mnogością i rozmaitością, kreślone we wszystkich krajach utwory, przypominają nam, iż kształcą swą gałąź w wieku kolei żelaznych i telegrafów. Utwory te, jeżeli z jednej strony mieszczą w swym celu misyę kierowania postępków ludzkich, tedy z drugiej i kształcenia sądu ludzkiego o ich istocie, ich szyku.

sprawcą utworu, który miał wywrzeć i długo następnie wywierać wpływ stały, estetyczny i t. p. Poemat ten, który miał być tej wagi, tej konieczności, czyli się jednak wylał odrazu z myśli i ręki autora? Poemat ten (przypuszczenia te czerpane są z faktów), odczytany przezeń po ukończeniu, wydał mu się bezładem, nie utworem, lecz dziwolągiem. Autor go przekreślał, przerabiał i wreszcie (ze łzą nad nieudolnością swoją) uznawszy za płód poroniony, zarzucił; po pewnym jednak czasie wrócił doń i odczytał: jakaś część dodała mu otuchy, inne jednak zraziły go znowu i znowu go rzucił; i znowu, już ostatecznie podniósł, poemat stanął, kilka tylko ustępów i kilka wierszy nie dały się w równą wartość przyodziać; a nie jeden właściwy wiersz, nie jeden właściwy wyraz zjawił mu się przed myślą dopiero w wigilią druku. Wiemy, iż w życiu ludzkiem nic nie jest ostatecznie przygodnem, nic nie jest bez swoich przyczyn, bez swoich następstw; cóż więc znaczył i w jakim się celu odbył ten cały wstęp przed wydaniem utworu? dlaczego tyle wierszy i kart *danem było* autorowi nakreślić na to tylko, aby je przemazać i zniszczyć [1]? To zaś, uważmy, co się tu mówi o historyi danego poematu, jest najczęściej historyą i każdej innej książki, każdego utworu, każdej większej sprawy, prywatnej, dziejowej; jestto historya każdego wynalazku, każdego odkrycia; jestto np. historya wypłynięcia pierwszej floty Kolumba i t. p., a fakta te objaśniają, iż owe wstępy i męki, które poprzedziły i poprzedzają utwór, to nie jakowaś »przypadkowość przypadkowości«, jak większość mniema, ale objawiania się, na różne stopnie i skale, jakiegoś wewnętrznego prawa, dla którego

[1] Mówimy tu naturalnie o faktach i szykach przemagających, powszechnych, lubo i w tem, jak we wszystkiem, są wyjątki i rozmaitość szczególna. Jeżeli np. Russo wzmiankuje w swych pamiętnikach, iż każde jego pismo dopiero po czwartem przepisaniu mogło iść do druku; Byron wspomina w swoich, iż *Dziewicę z Abydos* pisał tylko dwie czy trzy noce. Nieraz jeden i tenże autor jeden swój utwór kreśli z męką, drugi improwizując.

i »ziarno musi obumrzeć, nim wyda owoc«, prawa, które może rozkaże nam w końcu uznać, iż między człowiekiem i Stwórcą nie bezpośredni tylko istnie związek, ale że może na czyny i los człowieka wpływają jeszcze jakieś przyczyny drugie i trzecie, jakaś zależność od sił pośrednich wszechświata, zewnętrznych albo wewnętrznych, jakichś może istot duchowych; a stąd też, wtrąćmy, może doprowadzi i do uznania konieczności bytu tych sił i tych istot, takich i innych do nich stosunków człowieka z powodu swych spraw, swych losów i t. p.

Jeżeli zaś oznaczenie i ocenienie tylu szczegółów z życia jednostki jest rzeczą nader przechodzącą dziś jeszcze naszą umiejętność, jakoż tem bardziej z życia jednostek złożonych, ludów, ludzkości, gdzie musi następować tem większa komplikacya faktów i związków, obok działania zwłaszcza i owych przyczyn drugich, trzecich, czwartych i t. p. Jest to szyk, którego ogniw i treści, być może, iż nie poznamy nigdy w naszych obecnych warunkach bytu i być też może, iż klucz do tego poznania jest tak nas blizki, jak np. ten ogień podręczny, którego ludzkość przez tyle wieków istnienia swego nie znała, i nagle tak łatwo doń przyszła.

Jakkolwiek z tem jest i będzie, fakt tymczasem istnienia Sprawiedliwości, dodajmy tu, równie jak wszelka inna ogólna prawda, w każdym czasie i miejscu przez uznanie powszechne ludzkie był i jest przyznawanym. Starożytni tak bytu tego pierwiastku byli pewni, iż nieraz sam bieg natury za zależny od postępków ludzkich poczytywali (»kiedy cnota panuje, deszcz pada w porę«, znana uwaga ksiąg chińskich). Historycy greccy i rzymscy źródło powodzenia Rzymian w starożytności oglądali głównie w ich cnotach domowych, któremi inne ludy przewyższali (obszernie o tem Polibiusz), a historycy ludu, który miał ów przywilej wyjątkowych poglądów duchowych (hebrajscy) przy określaniu tak dziejów życia swojego ludu jak innych ludów, historyi szczególnych rodzin, szczególnych jednostek,

każdego wypadku: fakta te wykładali zawsze ze stanowiska owej Harmonii, czyli Sprawiedliwości Jehowy. Charakter ten w kreśleniu szczegółów dziejów usiłowali zachować i niektórzy historycy nowi (np. u nas Długosz), i owszem uczucie to bytu Sprawiedliwości tak i dziś jest powszechne i jednostkom ludzkim wrodzone, iż nie staje się żaden fakt publiczny, żaden prywatny, iżby mu głos powszechny natychmiast takich nie innych przyczyn, takich nie innych następstw, źródło mających w szczegółach owej Sprawiedliwości, nie naznaczał. Do stopniowego jednak rozwikływania i oznaczenia wreszcie pozytywnie jak bytu tak i szczegółów pierwiastku tego, możemy się dopiero, powtórzmy, zbliżać przez przyglądanie się ściślejsze, zbliżanie, porównywanie przejść i składów częściowych, w odmęcie zdarzeń. Świat ten szczegółów jest to kopalnia prawie dotąd nie tknięta, a rydlem w niej t. j. narzędziem głównem do kopania, zbierania, grupowania i w końcu oceniania tych faktów, jest i może być właśnie głównie wszechstronnie stosowane i wszechstronnie pojęte *doświadczenie*.

Dla wskazówki tej drogi, t. j. drogi wyprowadzania harmonijnych wniosków z faktów zamętu, powiemy tu też właśnie szczegółowiej o jednym z tych faktów, a mianowicie o tym, którego jest objawem:

Dola Ludzkości. Jest cecha, która, jakby się zdało, winnaby być zupełnie obcą bytowi ludzkości, t. j. bytowi rodzaju, który się widzi uprzywilejowanym i tym samym umiłowanym nad inne, od swego Stwórcy, t. j. cecha niedoli, cecha cierpień i nieszczęść. Fakt jednak jest zupełnie odmiennym; cecha cierpień i nieszczęść nie tylko nie jest bynajmniej obcą, ale jest owszem jednym, jawnie, z warunków bytu tak ogółu, jak i każdej jednostki w szczególe we wszystkich miejscach i czasach istnienia tego rodzaju. Każdy z ludzi przychodzi już na świat z płaczem, iść musi przez szereg bólów i nieszczęść i kończy śmiercią; śmierć ta jest to wprawdzie udział i wszystkich innych istot organicznych na ziemi, ale w istocie ludzkiej złączona jest

z *wiedzą;* każdy z ludzi jest to więc, można rzec, zbrodniarz, któremu odczytany zostaje zapadły nań wyrok śmierci, bez oznaczenia tylko dnia wykonania. Bogactwa, godności, sława, stają się wprawdzie jakby dla zaprzeczenia ogólnego prawa niedoli, udziałem niektórych jednostek; lecz udział ten nie pozbawia jednak tychże jednostek cech np. takich, jak pragnienia bez granic, pychy, zawiści i wszelkich pasyj, a te upadki i bóle obok cech owych tem są dotkliwsze, zarazem zaś tem sroższem jest dla nich widmem śmierć owa. Ta tkwiąca w udziale ludzi konieczność cierpień tak jest dobitna, że wszelka zdarzana szczęśliwość w jakimś szczególe życia danej jednostki równoważoną jest zwykle zjawieniem się jednoczesnem kontrastu w innym szczególe, tak, iż odznaczeni niegdyś wyobraźnią, rozumem śród starożytnych ludów Grecy, ten fakt i tę konieczność podnieśli nawet byli do apoteozy, i wyznawali boginię, której własnością było przestrzegać, iżby jednostka ludzka nie przekraczała tej miary szczęścia, jaka dozwoloną została doli człowieka, i karać każde za to przekroczenie (Nemezys).

Filozofowie-materyaliści, którzy znajdują, iż wszystko to jest najdoskonalszem, co wychodzi z ręki Natury, a którzy nie mogą nie widzieć tego losu ludzkości, sądzą, iż źródłem takiej nieszczęśliwości ludzkiej jest człowiek sam. Autor książki, która się uważa za wykwit filozofii materyalnej wieku zeszłego (Système de la Nature) takie w niej podał był łatwe lekarstwo od wszelkich nieszczęść: »Aby się stać szczęśliwym, mówi, dosyć jest człowiekowi uwolnić się od przesądów i błędów, które go uciskają od dzieciństwa«, t. j. jak objaśnia zarazem: od religii i więzów sumienia. Lekarstwo to czyliżby jednak istotnie stało się lekarstwem? czyliżby uwolniło ludzi np. od cierpień fizycznych, od ucisku potrzeb codziennych, od zawiści, podstępów i w różnych rodzajach pocisków osób drugich? Oswobodzenie się jednoczesne wszystkich od owych więzów (sumienia), czyliżby owszem nie postawiło wszystkich śród otoczenia, któ-

rego hasłem byłoby tylko działanie dla dobra swego, choćby z odjęciem dobrej sławy, mienia a nawet życia sąsiada? Recepta owa wydała była społeczność, która istnieć nie mogła i materyaliści dzisiejsi mniej są ufni, uważać można, w podobne. Byt pierwiastków cierpień i nieszczęść w udziale ludzkości przez filozofów niezawisłych dzisiejszych bynajmniej nie jest zaprzeczanym, ale owszem dobitnie wskazywanym i podnoszonym. Skutek ten wydał nawet tak zwaną w Niemczech szkołę filozoficzną *Pessymistów* [1], a ojciec niegdyś tej szkoły, *Schopenhauer*, doszedł był nawet do wniosków i twierdzeń np. takich, iż »świat nasz jest najgorszym ze światów«, iż »życie ludzi nie ma nawet radości i wesel, a tylko *ulgi* w cierpieniach«, iż »szczęśliwym może się nazwać tylko pijany« i t. p. Wniosek zaś, jaki niektórzy z myślicieli z dostrzeżeń tych wyciągają, jest ten, iż świat nasz nie jest dziełem Boga, lecz raczej czarta; zaś filozofowie materyaliści ten: iż nie istnie bynajmniej Bóg Sprawiedliwy, lub jaśniej, iż nie istnie Bóg.

Co do nas poznaliśmy właśnie, iż prawdy to pozytywne są, że istnie Bóg, że istnie Sprawiedliwość. Widok więc cierpień i nieszczęść rodu ludzkiego, konieczność tych cech, do jakiegoż może i musi wieść loicznego wniosku? Oto nie do innego, jak tylko, iż taki los musi to być los *zasłużony*, czyli iż widok ten musi to być widok jakiejś kary, a ta kara musi być następstwem jakowejś *winy*. Uznanie to wieść też musi między innemi do wniosków takich, iż cała ludzkość to jedność, iż między losem jednostki i losem drugiej jednostki tkwi solidarność, iż jest jakiś stosunek wewnętrzny stworzeń do Stwórcy i t. p.

Prawda ta t. j. uznawanie ciążenia jakowejś odpowiedzialności i zarazem kary nad rodem ludzkim, dla powszechnych uczuć i uznań ludzkich tak się zawsze widziała jasną i prostą, iż za pierwszego wieku ludzkości, gdy mniej-

---

[1] Do szkoły tej zaliczani są mianowicie: Hartmann, Volkelt, Venetianer, Frauenstädt i i.

szy podrost rozwagi więcej miejsca zostawiał uczuciom wrodzonym, instynktom, mimo wielką różność religii nie było prawie żadnej, któraby nie uznawała już jasno, już pośrednio tej jakiejś i ogólnej winy pierwotnej i kary koniecznej, i nie przepisywała zarazem za obowiązek: *oczyszczania się, ofiar, ekspiacyi* już jednostkowych, już łącznych. Tradycye też historyczne uczą, iż te z jednostek ludzkich, którym danem było wyższą spełnić misyą, poprzedzali ją zawsze przeciąglejszem od innych oczyszczaniem się dniami odludnej pokuty, postów i t. p. Przebywali je między innemi Zoroaster, Budda, nawet założyciele chrześcijaństwa: Jan Chrzciciel, i (»czyniąc zadość wszelkiej sprawiedliwości« według wyrażenia Ewangelii) sam Jezus Chrystus. Odznaczona poglądem duchowym nauka Hebrajczyków, wyrażeniem swem krótkiem, ale dobitnem i jasnem o winie i o ściągniętej przez tę winę karze, czyli o *upadku* ludzkości, nauczała wyraźnie. Materyaliści dzisiejsi, kontentując się dostrzeżonym pierwiastkiem postępu, szydzą głośno z owych teoryj hebrajskich, a fakt ujemności i cierpień, tak jawnych w istotach Natury, a zwłaszcza w Ludzkości, całkiem pomijają. Lecz wtrąćmy tu uwagę, iż jest loiczniej i głębiej umieć dostrzedz fakt jakiś ogólny i usiłować naznaczyć mu chociażby nawet mylną przyczznę, niż wcale nie widzieć faktu lub nie naznaczać mu żadnej przyczyny. Co zaś do szczegółów owej nauki hebrajskiej, to owszem wyznać wypada, iż jakkolwiek treść jej mówiąca o rosnących w pierwotnym raju drzewie Żywota i drzewie Wiedzy (wiedzy dobra i *zła)* i o utracie raju z powodu skosztowania owocu z tego ostatniego, już z samego swego literalnego brzmienia jest allegoryą podającą się do różności wykładów (które niegdyś stanowiły tak obfity przedmiot kart w teologiach), to jednak w treści tej zastanawia obecność tej loiki głębszej, iż za powód upadku w Naturze (»przeklęcia ziemi«) postawiona jest wina utworu, który jeden, z powodu posiadania rozumu i woli, *mógł* się stać winowajcą, i że ten utwór uważany jest jakby za wykwit,

albowiem za jakąś wewnętrzną łączność z Naturą całą. Nauka ta, wychodząc więc nawet ze stanowiska dzisiejszych dojść racyonalnych w różnych gałęziach, zasługuje jak na szczególny podziw, tak też i na wzięcie za temat do dalszych w rozjaśnieniu tego przedmiotu postrzeżeń, *doświadczeń* i wniosków.

Co do faktu *postępu,* ten być może nie tylko faktem rozwoju z nicości, lecz też i *podźwigania się;* roślina, która wyrasta z ziarna i dąży do kwiatu, wyrasta i rozwija się z ziarna, które samo poprzednio było już kwiatem, z ziarna *upadłego.* W naturze jest zbyt wiele życia i majestatu, w duchu ludzkim zbyt wiele wysokich pierwiastków, iżby nie było zbyt racyonalniej mniemać, że fakta takie jak śmierć, cierpienia, konieczność nieszczęść nie miały być raczej następnym przybytkiem niż od razu losem bezwinnych.

Przyszłość. Znać tylko z pozytywną pewnością możemy obecność, nie zaś przeszłość i przyszłość: jest to, jak już wzmiankowaliśmy, jeden z głównych pewników pozytywizmu. Pewnik ten uważa się jednak za pewnik tylko teoretycznie. Uważaliśmy już, iż w praktyce i najściślejszy pozytywista-materyalista nie jeden z faktów przeszłości i bliższej i dalszej za niewątpliwe ma prawdy (Cezar, Aleks. W. Babilon i t. p.). Za takie też niewątpliwie ma i nie jeden z tych, które dopiero przyjść mają. Któryż z materyalistów powątpiewa np. w dzień, iż nadejdzie noc? śród nocy, iż za tyle a tyle godzin ukaże się słońce? że przyjdzie po lecie zima, po zimie lato? iż za tyle a tyle lat ukaże się na niebie taki a taki kometa, że w takim dniu, godzinie, minucie, zaćmi się słońce? i t. p. Możemy więc z całą pozytywną pewnością znać naprzód szczegóły, które mają nadejść w przyszłości śród natury zewnętrznej; dodać zaś trzeba, iż z równie pozytywną pewnością znać *moglibyśmy* i znać *powinnibyśmy* i fakta z dziejów wewnętrznej. Szyk harmonijny tkwi w obu, w obu już dziś określony, w obu więc równa być musi możność przejrzenia

następstw. Wiedza przeszłości w tej drodze mniej jest zapewne łatwą do osiągnienia, bo zbyt szczupły przygotowanym był dotąd i jest zbiór obserwacyj; wszakże za pozytywną pewność przyznaną być winna *możność* tej wiedzy. Bliższa zjednoczenia z naturą ludzkość pierwotna, szerzej kierowana instynktem, prawdę tę uznawała prawie powszechnie. Śród nawet czysto-racyonalnych Chin była *Księga losów* (dotąd podobno istnąca), gdzie spisane być miały wszystkie wypadki przyszłe, a cesarzowie przed zaczęciem każdej wyprawy radzili się jej. Cała rozumna Grecya miała *wyrocznie,* Rzym *wieszczków* i *Sybille,* lud hebrajski *Widzących* czyli Proroków. Lud ten uznawał owszem, iż nie tylko Jehowah wie wszystko, co ma nastąpić, że wiedzy tej udzielał niekiedy jednostkom ludzkim, lecz nawet, iż udzielanie to jest jednym z warunków Szyku, Harmonii czyli *Stawania się* [1].

Co do wniosków, jakie w tej rzeczy może nam dać *doświadczenie,* to najprzód poświadczyć ono zmuszone, że dotąd owa możność widzenia czyli przejrzenia rzeczy przyjść mających osiąganą była prawie wyłącznie w drodze tylko poczucia czyli bezpośredniego natchnienia, i stawała się udziałem proroków, wieszczów, poetów, jasnowidzących i t p. Następnie zaś, że dostrzeżenie *podobieństw* i analogii w rozwiciach rzeczy, podobieństw rozwić zewnętrznych i do innych zewnętrznych, oraz rozwić zewnętrznych do rozwić wewnętrznych (ewangelijne), zapowiadają możność bliższych w tej rzeczy, i w drodze pozytywnej, wniosków. Gdyż oto np. jak przebywa swe doby wzrostu kwiat, tak je przebywa i jednostka ludzka; jak jednostka pojedyńcza, tak i zbiorowa (lud, ludzkość); z rozwojów skończonych, znanych, możemy się uczyć nieznanych, wiedzieć o przyjściu ich i t. p. Jakoż dziś, kiedy (wskutek samego postę-

[1] «Bo nie czyni Pan Bóg słowa, jeśliby nie objawił tajemnicy swej sługom swoim, Prorokom«: *Joel III.* 8. Prawdzie tej odpowiada, w dojściu czysto-racyonalnem, znane historyozoficzne twierdzenie Fichtego (ojca): »Wszelką epokę *poprzedza* idea tej epoki«.

pnego rozwicia równie natury zewnętrznej jak i wewnętrznej) z jednej strony rozwinęła się na szerszą i głębszą skalę nauka poglądów, a z drugiej sam przedmiot poglądów, dzieje ludzkości; utworzyła się też nam spółcześnie i *nauka nowa*, nauka będąca jeszcze w kolebce, ale rosnąca nagle, rosnąca różnostronnie, rosnąca pod różnemi nazwami i dająca przewidzieć, iż z czasem zagarnie w siebie wszystkie t. j. *historyozofia;* jest zaś to mianowicie nauka badająca i wykładająca prawa rozwoju dziejów, dotykająca więc nie tylko obecnej epoki, ale też przeszłej i *przyszłej*. Pozytywnie już prawie ustalił się *ideał* tej epoki przyszłej, a szczegóły tego ideału kształcić stopniowo może i kształcić winno, owo przyglądanie się faktom, podobieństwom i prawom związków, czyli *doświadczenie*. To doświadczenie, dodajmy, wtedy mianowicie uwieńczyćby się mogło zbiorem pewniejszych wniosków, czerpanych z porównań, im wzięte do porównania przedmioty byłyby podobniejsze ze szczegółów składu. Oznaczenie np. epok i szczegółów życia Ludzkości czyli tej zbiorowej jednostki najprędzej wyprowadzić i rozjaśnić się może z porównania i ocenienia bliższego szczegółów rozwoju i życia pojedyńczej ludzkiej jednostki, czyli człowieka. Pamięć wprawdzie na wielką naturalną różność dwóch tych porównywanych przedmiotów (człowiek i ludzkość), na inne miary i skale ich organów, biegów, rozwojów, nader zapowiada jeszcze długą i trudną drogę; wszakże rozległość mety, dalekość celu, nigdyby i przebyte i doścignięte nie były, gdyby nie były stawiane i pierwsze kroki [1].

[1] Wykład dziejów powszechnych czyli życia ludzkości przez przyrównanie ich do życia ludzkiej jednostki, od czasów Lessinga i Adelunga (że nie powiemy od czasów Ś-go Augustyna i Listów Ś-go Pawła) nieraz już był czyniony, poczynany i zarzucany i znowu podejmowany. Zarzucanym bywał już to z powodu spotykanych trudności w rozwiciu założeń, już w części podobno z powodu swej pozornej łatwości i prostoty, a stąd chęci wyszukiwania dróg bardziej sztucznych. Ale te podejmowania wracają i można nie wątpić, wracać coraz częściej będą, z powodu właśnie największej jednorodności w szczegółach przedmiotów porówny-

Kryteryum Następstw. Do ustalenia więc takich i tym podobnych (o jakich dopiero rzekliśmy) prawd łącznych prowadzi nas *doświadczenie.* Liczyć wszystkie, do jakich prowadzić jest zdolne, nie jest tu naszym zamiarem; dodamy więc tylko w końcu uwagę krótką tak o wadze, jak i o sposobie użycia tego kryteryum.

Mówiąc o stosunku ludzkich pojęć do świata, uważaliśmy, iż dwa są rodzaje prawd, tak jak dwa są światy, które nas otaczają i z którymi w związku jesteśmy. Jeden z nich jest ten byt, który poznajemy naszymi zmysłami i naszym umysłem; drugim jest ten, który istniał od wieków, kiedy jeszcze nie było ludzkich zmysłów i ludzkich umysłów i którego treść przekracza i dzisiaj to objęcie, czyli te warunki, jakie otrzymały ludzkie zmysły i ludzkie umysły. Pierwszy z tych światów jest dla nas prawdą, lecz (ile ograniczoną warunkami poznania naszego) prawdą warunkową, więc *względną;* drugi (którego byt poznanie nasze

---

wanych, a więc z powodu *prawdy* w swem założeniu i stąd *żywotności* dla wniosków. Próbowaliśmy właśnie i sami tego podjęcia w oddzielnem piśmie *(Pierwsze Zasady Kryt. Powsz.)*, przyrównywając tu doby życia Ludzkości do epok życia człowieka, jak to czynili i inni, lecz zarazem odróżniwszy się od innych tem, żeśmy porównywali i dzieje *Umysłowości* Ludzkości do dziejów umysłowości jednostki (t. j. kolejnych epok *Pamięci, Fantazyi, Rozwagi* i t. p.) oraz dołączyli domysł o epoce przyjść mającej, czerpany z faktów porównań, więc z *doświadczenia.* Wychodzenie z podobnych zadań, a z jednych zawsze zasad, stało się właśnie powodem, iż i w obecnem piśmie, nie jedna z wyrażonych tam myśli i uwag powtórzoną tu być mogła i być musiała. Z okoliczności dodajmy, iż: kreśląc niegdyś na pierwszych kartach owych »Pierwszych Zasad« obraz stopniowych podobieństw istot stworzonych i wykwit z nich w końcu istoty ludzkiej, nie znaliśmy jeszcze wcale teoryi Darwina; mówiąc o bezwiednem rozwijaniu się epok, — teoryi Hartmanna, nie znaliśmy też wskrzeszanego z takiem przekonaniem i nowym zasobem wniosków, wykładu podobieństw Dziejów do Życia ludzkiego, w dziele Drapera. Że zaś te szczegóły poglądów, które gdzieindziej powiodły do ateizmu, utwierdzały nas owszem w teizmie, stało się to właśnie jedną z przyczyn tych uwag o połączeniu dróg różnych, które tu czynimy.

zdolne jest tylko przypuszczać) jest prawdą w sobie, prawdą bezwarunkową, *bezwzględną*.

Prawda więc w sobie bezwzględna, prawda *taka lub inna*, istnie. Nie znamy jej, ale skoro raz *istnie*, istnie koło nas, i istnie w nas; musimy być chociaż bezwiednie w taki lub inny sposób związani z nią, a tem samem i w taki lub inny sposób dotykać jej naszem poznaniem, chociażby tylko w jej cząstce.

Jestżeż teraz, a jeśli jest, jaki mianowicie środek? jakie kryteryum, któreby nam dozwoliło rozróżnić i poznać, iż taka a taka treść, którą dotykamy, jest właśnie ową prawdą w sobie, prawdą bezwzględną, chociaż w jej cząstce?

Świat ten, świat, śród którego żyjemy, na który patrzymy, jest częścią dziełem woli bezwzględnej, a częścią ludzkiej. W pierwszym (a jest nim cała natura zewnętrzna) wszystko jest bezpośrednio dziełem woli bezwzględnej i im bliżej go poznajemy, im obszerniej i głębiej myśl ludzka w jego tajemnicę się wdziera, tem więcej zbliża się do poznania z tej strony, prawdy bezwzględnej. Poznawanie to jest rozszerzaniem naszego poznania i stopniowem zgłębianiem prawdy bezwzględnej, lecz zarazem pod względem całości celu, jaki ma poznawanie, jest jednostronnem. Poznajemy tu np. i wszechmocność i mądrość Woli Najwyższej, ale nie poznajemy zarazem tego, co jest rzeczą największej wagi w odniesieniu do ludzi, dla wiedzy ludzkiej: *stosunku* woli stworzeń do woli Stwórcy. Inaczej jest w świecie ludzkim, t. j. w świecie wolą ludzką stwarzanym (a jaki składają np. dzieła sztuki, nauki, przeróbki w naturze zewnętrznej i wogóle *dzieje*); świat ten jest wprawdzie bezpośrednio dziełem woli człowieka, lecz wola ta ostatecznie, jak to widzieliśmy, narzędziem jest woli wyższej. W świecie tym jest więc kolizya dwóch wól. I rozróżnionem być może, co jest dziełem jednej, co drugiej. Wszystko, wogóle mówiąc, co człowiek sprawia, sprawia to własną wolą, z chęci własnej i w celu własnym, lecz oto to, co sprawia, wchodzi w jedność z czynami osób drugich i trzecich w je-

dność z naturą zewnętrzną i biegiem jej, a skutek ostateczny tych złączeń okazuje się nieraz skutkiem odmiennym od tego, jaki był celem chęci i woli jednostki: ten skutek jest to więc okazanie się jawne woli bezwzględnej, a więc zarazem i cząstki prawdy bezwzględnej w całości znaczenia jej.

Do ujmowania, zbliżania, gromadzenia i oceniania takich cząstek prawdy bezwzględnej, coż nas uzdolnić może? co może być przewodnikiem? Oto naturalnie ów rydel, o którym wyżej mówiliśmy: *doświadczenie* czyli obserwacya złożona, a lepiej jeszcze: *doświadczenie złożone*, t. j. obserwujące i gromadzące zbiór pewnych następstw, a zatem jednem słowem *Kryteryum następstw.*

Wprawdzie i to kryteryum, jako kryteryum ludzkie, prowadzone przez środki ludzkie, musi być ostatecznie także kryteryum względnem (ujmując np. następstwa, musi zawsze wychodzić z takiej tylko, nie innej ilości następstw), zawsze jednak jest najdalszym i najżywotniejszym możliwie krokiem do gromadzenia i poznawania prawd, w takich i innych kierunkach.

Dla objaśnienia drogi, dołączamy tu kilka prób tego kryteryum, biorąc je z różnych odnóg rozwicia ludzkiego, *z dziejów, estetyki, filozofii,* dziejów *religii.*

Z dziejów. Jest to uwaga, którą już przed kilkunastu wiekami wyraził ojciec historyozofii: iż »nie rozumiemy częstokroć tych zdarzeń dziejowych, na które patrzymy, bo są to dopiero pojedyńcze *głoski* wyrazów, które Bóg pisze«. Uwaga to nader jasna, i dlatego też z pola tego, które jest najobszerniejsze (dzieje), dosyć tu będzie ograniczyć się chociaż najkrótszym przykładem. Oto np. żyjemy jeszcze w roku 1796 i patrzymy z ciekawością przed sobą na bój dziejowy. Pogańska Francya wydała go katolickiej Austryi. Reprezentant tej Francyi, młody wódz (Bonaparte), objawił wyjątkowość w swych czynach i zapewnił jej tryumf. Jakiż stąd prosty był wniosek? oto, jak się zdało, ten: że duch dziejów sprzyja pogaństwu. Lecz ów bój była to dopiero

głoska dziejowa. Owo wzniesienie powagi i sławy młodego wodza stało się owszem hasłem przywrócenia katolicyzmu śród samej Francyi. Takie było dokończenie wyrazu, ale okazało to dopiero kryteryum *następstw*.

Z estetyki. Leżą, dajmy, przed nami poetyczne utwory dla ocenienia. W sądzie naszym do jakichże uciekniemy się zasad?

»Warunki arcydzieł znanych są to konieczne i jedyne warunki arcydzieł nowych« tak nauczała krytyka materyalna, t. j. z doświadczenia materyalnego głównie czerpiąca (tak zwana klasyczna).

»Warunki powyższe to więzy; celem sztuki ma być ideał, ideał bez wszelkich granic, ideał w dziedzinie dobra, ideał w dziedzinie prawdy, ideał w dziedzinie piękna« tak wyraziła krytyka idealna, miała słuszność, — i wychodzimy z niej.

Pierwszy utwór, o którym mamy sąd wydać, jest, dajmy, poświęcony *miłości*. Pierwiastku tego (który jest właściwie odcieniem dobra) jakiż będzie ideał? Dobro to będzie tym szczytniejsze, im rozleglejsze, a więc, gdy poświęceniem będzie np. miłości własnej, miłości bliźnich, kraju, ludzkości, rzeczy wiecznych i t. p. Tymczasem ów poemat lub lub wierszyk, o którym mamy sąd wydać, śpiewa tylko o miłostce swej własnej. Utwór ten usunąć więc nam wypada ze sfery wyższych.

Utwór drugi jest to kompozycya dziejowa, epopeja lub dramat. Podstawą dziejów jest prawda, i stosownie do ideału prawdy, szukać nam w tym utworze wypada kolorytu prawdy, więc osób, obyczajów, uczuć, pojęć i t. p. danego wieku; nie znajdując tych, usuwamy poemat jako anachroniczny, chybiony.

Trzecim wreszcie utworem jest, dajmy, jakoweś epos t. j. poemat opowiadający, ale wzięty z dziejów potocznych; aby mieć prawo odnieść go do działu poezyi, szukalibyśmy w nim myśli, obrazów, fantazyj podniesionych do sfery możliwie mniej ziemskiej, lub sztuki szczególnej słowa.

Tymczasem spotyka nas w nim, dajmy, czysty tylko realizm i dykcya prozy, wypada go więc usunąć z gałęzi sztuki.

Dajmy jednak, iż owe trzy utwory, t. j. poemat z osobistą miłostką, anachroniczny i ów prozaiczno-realny mają nazwiska *Dziady (część IV-ta)*, *Konrad Wallenrod* i *Pan Tadeusz*. Sąd nasz, na powyższych zasadach oparty, okazałby się omylnym. Sympatye, przyjęcie, skutki, liczba zwłaszcza i rozwój naśladownictwa, wyrzekły o wartości utworów zupełnie inaczej. Owe krytyki: materyalna i idealna niedostatecznemi okazały się. Punkt sądu musiał tu być zbyt rozleglejszym i wszechstronniejszym, z doświadczenia złożonego czerpnięty, lecz objaśniło to dopiero *kryteryum następstw*. Stało się ono było lekcyą tak dla wielu sędziów klasycznych, jak romantycznych.

Z filozofii. Oto, dajmy, jesteśmy w r. 1637 i wzięliśmy w rękę świeżo ogłoszony traktat filozoficzny fizyka Descarta *De la méthode*. Traktat ten był to traktat stosunkowo krótki, bez treści szykownej, nie mieszczący nawet właściwie nic pod względem filozoficznej teoryi nader nowego, jako odbicie niektórych myśli nowoplatoników i dawnych idealistów. Traktacik ten, ogłoszony dziś, nie zwróciłby zapewne na siebie niczyjej uwagi, może nawet żadna redakcya nie przyjęłaby go do umieszczenia. Rozprawki tej jakiż jednak był los? Rozprawka ta, ogłoszona w języku krajowym w przedmiocie, który był traktowany przedtem tylko w łacińskim, dla wszystkich prawie swych czytelników przyniosła była nowość; z liczby wyrażonych w niej myśli, jedne dla spółczesnych (królujących wtedy w filozofii) empiryków wydały się idealnym przesądem, inne znowu dla mistyków występną wolnomyślnością. W kierunek i natchnienia spółczesnych myśli (i to właśnie było najgłówniejszem) *wstąpiły* były w dość znacznej liczbie: *chęć* odczytania tej rozprawki, zarazem zaś *chęć, gorliwość* i *zdolność* zbijania jej zdań, stąd polemika, stąd poparcie autora do dalszych w gałęzi tej prac, szerszych rozwijań swych zdań, swego systemu, stąd pokształcenie się dalej na-

śladowców. W liczbie ich znaleźli się tacy, jak w kraju autora, Mallebranche, za krajem Leibniz, Spinoza (obaj oni wzmiankują, iż do myśli i pióra poparci byli pismami Dekarta); z tych dwóch ostatnich rozwinął się następnie cały kwitnący okres filozofii niemieckiej. Taki był los i takie istotne znaczenie owej rozprawki Dekarta *De la méthode*, ale okazało i nauczyło o tem dopiero *kryteryum następstw*.

I wreszcie weźmy przykład rozleglejszego jeszcze, bo ogólno światowego znaczenia.

Z dziejów *religii*. W drobnej i nie głośnej spółcześnie prowincyi wielkiego państwa rzymskiego, w Królestwie Judzkiem, na wieków kilka i więcej przed erą naszą powstały były i były pielęgnowane proroctwa: iż misyą tego ludu było udzielenie kiedyś swej wiary światu całemu, iż Bóg jego stać się miał Bogiem ziemi, królestwo tego świata jego królestwem. I oto w nadeszłym czasie i w danym roku śród stolicy owego królestwa, Jerozolimy, stanął młody mistrz JEZUS z NAZARETH i objawił, że jego to nauka i życie były przedmiotem owych proroctw, że one to sprawią ów skutek, i że dosyć jest weń uwierzyć i jego naukę przyjąć, aby ten skutek nastąpił. Badania dzisiejsze zdają się chcieć objaśniać i wykazywać, że fakt taki dosyć był naturalnym, że w Aleksandryi egipskiej, miejscu zejścia się nauk Zachodu i Wschodu, po przełożeniu pism, a w ich liczbie i proroctw hebrajskich, na język grecki, przy końcu ery dawnej (przedchrześcijańskiej) powstało było wiele pism łącznych greko-hebrajskich, a między innemi *Sybilla Hebrajska* z charakterem mistycznym i wieszczym (»Testis David et *Sybilla*), które coraz wyraźniej uczyły o zbliżaniu się ery nowej, zniszczeniu starej, sądzie powszechnym, przerodzeniu powszechnem, oraz Synu Człowieczym, który to wszystko miał sprawić; wyobrażenia te pielęgnowały i rozwijały głównie kolonie hebrajskie osiedlone wkoło Aleksandryi i krzewiły je napowrót w Jeruzalem (np. w sekcie Eseńskiej), jakkolwiek zostając tu w pewnej sprzeczności z nauką synagogi, tłumaczącą proroctwa literalnie; że przeto

pozostawało już tylko jakiejś jednostce wziąć na się rolę owego Syna Człowieczego, co było łatwem. Wzięcie roli było istotnie łatwem, ale wcale nie było takiem uznanie jej i przeciąganie dalej uznania. Podanie się przez jednostkę daną i jeszcze przez jednostkę biedną, za nic mniej jak przedmiot proroctw, za Syna Bożego, Zbawcę, ściągnąć mogło tylko, takby się zdało, lub osadzenie w domu obłąkanych, lub (ile w narodzie silnie religijnym) śmierć za bluźnierstwo. I to ostatnie spotkało też istotnie Jezusa z Nazareth, lecz przekonania uczniów ukaranego były tak silne, iż po tym końcu mistrza zamiast uczucia trwogi, utraty wiary, uczuli owszem w sobie odwagę nową, a zarazem wyjątkową zdolność i pociąg do przeciągania i przepowiadania nauki wziętej, a to nie tylko w kraju, lecz i za krajem, nie tylko śród ludzi słabych i ciemnych, lecz też śród odznaczonych najwyżej mądrością i mocą. Wyzujmy się myślą z tych, które się rozwinęły, następstw, a przenieśmy się bezstronnie w ów dawny czas. Opowiadanie przed wyznawcami religii dawnej, a tak świetnej i dumnej, jak była w Rzymie, o mistrzu nowej, który się mienił Synem Bożym i który *zmartwychwstał,* mogło tylko wywołać (takby się zawsze zdało) dla głosicieli słów takich: wyproszenie za drzwi, albo w najlepszym razie wesoły pośmiech (jak to właśnie spotkało apostoła Pawła w areopagu). Powieść ich przyjętą wreszcie być mogła przez jedną lub drugą łatwiejszej wiary słuchaczkę, lecz z nią i umrzeć. W owym czasie kuszenie się o opowiadanie i szerzenie nauk i nawet religijnych nie było wprawdzie nowością; mistrz jednej z tych (Apoloniusz z Tyany) słynął w samym Rzymie z swych cudów, a pozostali po nim uczniowie spisali jego żywot i jego naukę i przeciągali jej opowiadanie. Los jednak wszystkich tych przepowiadań i nauk jakiż był? oto ten naturalny: iż je wkrótce zacierał bieg czasu, iż się przeciągały najdłużej gdzieś wyjątkowie przez parę pokoleń. Los zaś nauki Jezusa jakiż się stał? Nauka ta, nie szerzona przez żadną szkołę, nie popierana przez żaden kraj, żadną

władzę, po trzech wiekach nie tylko ukazała jeszcze żywych w całem państwie wyznawców, ale owszem na tron wstąpiła. To wstąpienie jej na tron wielkiego państwa stało się wkrótce hasłem upadku tronu i upadku państwa; wszakże ani ten skutek, ani przemiany pokoleń, przemiany ludów, bieg czasu i burze wieków, nie zniszczyły jej, nie zatarły. Miała ona nadto tę wyjątkowość w swym losie, iż począwszy od losu jej założyciela i pierwszych opowiadaczy, przez wszystkie następne wieki do czasów naszych, w każdym z nich była napastowaną, wzruszaną i zagrażaną, już w taki, już w inny sposób. Zjawiały się też jednak zawsze zarazem (płynące z nieznanych koryt) *natchnienia, dary, popędy* w jednostkach, jakoweś dziejowe fakta, dające odpór. Każdy nieledwie wiek mógłby być mienionym ostatnim jej bytu i z końcem każdego ukazywała się w coraz obszerniejszych granicach, z coraz silniejszym gruntem. I dziś w XIX wieków od swego nastania, w XV od wybicia medalu na cześć jej pogrzebu *(Nomine Christianorum delcto,* medal za Dyoklecyana) widzimy, iż jedynym przykładem w dziejach religii przeszła ona do ludów wszystkich części świata, *wszelkich pokoleń,* i objąwszy świat wkoło, liczbą wyznawców swych prześcignęła liczbę wyznawców wszelkich innych religij pośród ludzkości [1].

Taki fakt, taki los tej nauki powstałej i rozszerzonej, rzec można, nie z woli ludzkiej, ale owszem i jawnie i dobitnie *wbrew woli ludzkiej,* cóż stwierdza? Oto nic innego jak właśnie to: iż stało się to wszystko i staje wskutek

[1] W dziele z roku zeszłego doktora Horste: *Outline history of the church* wyszczególniona liczba wyznawców główniejszych religij następny daje obraz: wyznawców *Judaizmu* 7.000.000, *Konfucyusza* 80.000,000, *Brahmy* 175.000.000, *Mahometan* 200.000.000, *Buddystów* 340,000.000, chrześcijan 407,000.000. Niezbytniem tu wreszcie jest wtrącić, iż jesteśmy dzisiaj świadkami wyciąganej do wyznawców chrześcijańskich ręki, z krajów głównych niegdyś ich prześladowców (przez władców Turcyi, Persyi, Japonii, Egiptu i t. p.) i że nic nie wzbrania dopuścić, iżby na tronie tych krajów, jak niegdyś na tronie Neronów nie zjawił się z czasem, za wieków kilka, i nowy Konstantyn.

jakiejś woli wyższej niż ludzka, że zatem owa nauka i objawienie pierwszego jej mistrza, była to nauka i objawienie idące z prawdy bezwzględnej, były prawdą bezwzględną. Lecz w drodze racyonalnej okazało to dopiero *kryterium następstw.*

Takiej więc wagi istotnej być może i być powinno, użyte do rozszerzania poznania, kryteryum następstw czyli *doświadczenie złożone;* taką rolę może mieć doświadczenie, jeśli podniesionem będzie o stopień wyżej niż dotąd, to jest do poznawania, badania szczegółów nie tylko natury zewnętrznej, lecz też wewnętrznej, nie tylko oddzielnie zewnętrznej lub oddzielnie wewnętrznej, lecz łącznych.

Mówiąc to, nie twierdzimy bynajmniej, iżby kryteryum to miało być środkiem *jedynym* a nawet *najwyższym* w badaniu i uznawaniu prawd. Doświadczenie z samej istoty swojej jest *uczniem,* nie może więc być mistrzem najwyższym. I owszem samo ono to widzi, a przeto uczy, iż śród faktów, o które dotykać się musi, które ma badać, są takie, których treść oraz źródło przekraczają najjawniej jego zakres. Doświadczenie, uważane dziś tak, jak je uważa szkoła pozytywna, jest połączeniem rozwagi i *świadectwa zmysłów;* za jedną z podstaw swych musi więc zawsze mieć świadectwo zmysłów. Są zaś fakta, w ocenianiu których (jak to właśnie widzieliśmy) rozwaga żadnego zmysłowego oporu uznać nie może. Jakże bowiem materyalnie może być oznaczone źródło faktom takim, jak np.: przebywanie *takich, nie innych pomysłów, natchnień, przekonań, kierunków* i t. p., które się układają do jednej harmonii, z pomysłami, kierunkami, czynami drugich i trzecich jednostek i tworzą skutek ogólny, który nie leżał nawet w celu, uznaniu jednostek samych? Owe fakta nie mogą iść z ciała, lecz iść mogą tylko od ducha, który mieszka we wszystkiem, urządza wszystko. Doświadczenie widzi to wreszcie, iż historya poznań człowieka zyskiwała nieraz w swej drodze znajo-

mość prawd, podstawą krórych nie zawsze było doświadczenie, a którym jednak nie mogło i samo następnie nie przyznać istoty prawd. Dosyć tu wspomnieć na naukę taką, jaką podawała Genesis hebrajska o różniczkowaniu istot w kolejnym ich pierwotnym utworze, albo na owe historyczne słowa Chrystusowe: »i inne owce mam«. Słów tych i tamtych żaden pozytywny badacz nie mógłby był uznać za pozytywne prawdy, jako mówiące o przeszłości i o przyszłości i doświadczeniem nie wsparte, a jednak rozwój nauk przyrodzonych i rozwój dziejowych faktów każe dziś racyonalnie uznać, iż i jedne i drugie nie były fałszem. Ci, którzy się czuli odrazu ich wyznawcami, w uznaniach swych oparli się więc na jakiemś wyższem kryteryum, niż doświadczenie.

Kryteryum *doświadczenia* nie jest przeto kryteryum *jedynem* i kryteryum *najwyższem* w badaniu prawd, ale powtórzmy raz jeszcze, raz dźwignione z ograniczenia tego, w jakiem je stawią szkoły materyalne, odniesione do badań szczegółów nie tylko natury zewnętrznej, lecz i wewnętrznej i łącznych, podnieść musi i obszar prawd pozytywnych, w drodze tej rozwinąć i zbliżyć systemata różnostronne, pogodzić kontrasta i dojść w końcu w ten sposób, t. j. przyśpieszyć dojście, do owego pożądanego najwyżej przez troskę ludzką celu: *pokoju poznania.*

1876.

VII.

O PISMACH TREŚCI FILOZOFICZNEJ.

1.

Levittoux i Niemirycz.

Myślenie spekulacyjne, które w ostatnich czasach naszej literatury tak pięknie rozwinęło się było, na lat kilka zamilkłe, znowu dawać zaczęło znaki swego wzruszania się. Z pism, do gałęzi tej odnoszących się, wyszły tu w roku zeszłym między innemi: »Zarys filozofii natury« dra *Levittoux* i »Badania filozoficzne tajemnicy życia« *J. Niemirycza.*

Zarys filozofii natury dra Levittoux przy końcu r. 1869 wyszedł w nowem wydaniu, obejmującem obszerną odpowiedź na zarzuty i niejakie rozszerzenie niektórych oddziałów pod napisem: »Filozofia natury«. Powiemy tu tylko słów parę o ogólnej charakterystyce tego pisma (niezmienionej i w nowem wydaniu) i jego stosunku u nas do swojej gałęzi.

Filozofia natury jest to przedmiot, który dziś wiele zajmuje piór w Niemczech i Francyi, u nas i w innych krajach. Oryginalność, która w tej rzeczy odznacza wykład p. Levittoux, zależy, jak to sam wyraża w swem piśmie, najgłówniej na tem, iż w fizyologicznych swoich badaniach treść wszechświata uznaje za żywą jedność, za jedność, istniejącą nie tylko w jego ramach zewnętrznych,

ale też i w szczegółach jego wewnętrznych, czyli duchowych. Jedność tę sprawia według autora *Siła,* a sprawia przez dwie główne swoje czynności: przyciągania i odpychania. Ze szczegółów, odnoszących się do tego ogólnego pomysłu, przytoczymy tu kilka własnych wyrażeń autora:

»Na początku — mówi między innemi p. Levittoux — była siła, która w tym samym czasie była i materyą«. »Nikt jeszcze na pytanie: co jest siła? nie odpowiedział. Uczeni szukali jej w retortach, organach, machinach, lub poza granicami świata; myśmy ją we własnym duchu znaleźli; jest nią: miłość w mądrości, a mądrość w miłości«. W instynktach roślin i zwierząt, w błyśnieniu iskry przy uderzaniu kamienia o stal, elektryczności i t. p. autor widzi materyalne gradacye i waryanty tych faktów, które w świecie wewnętrznym zowiemy: władze ducha i serca, mądrości i miłości. O wszechcałości mówi: »Jaki jest kształt, jakie granice tego żyjącego ciała, złożonego z wielkich systematów słonecznych, nie wiemy; to tylko wiemy, iż olbrzym żyje, że są w nim cząstki poruszające, że wielkie drogi po liniach krzywych zakreślają, że jest w warunkach żyjącego ciała; ma on swoje, że tak powiemy, krążenie soków, swój puls, swoje choroby i jak wszystko swój początek i koniec«.

Niżej (str. 170 Zarysu) autor mówi: »Wszechświat jest Bogiem wcielonym, jest słońcem boskiem, jest mądrością wyrażoną, jest stworzeniem, jest *Bogiem*«. Twierdzić, że wszechświat ma początek i koniec i że jest Bogiem, jest to, zwróćmy uwagę, mieszać to znaczenie wyrazów, jakie do nich przywiązuje w języku czytelnik, jest to paralogizm, nie logizm. A jednak sprzeczności takich, a sprzeczności własnemi słowami autora wyrażanych (jako np. w twierdzeniach o początku świata, początku ludzkości, końcu świata i t. d.) w książce p. Levittoux jest wiele. W osobie tego autora, widzimy, nasza spekulacyjna gałąź zyskała pisarza, który i myśli, i myśli niezależnie, którego główne praktyczne zasady spekulacyjne (jako np. co do uznawania

jedności w różności biegów, co do łączenia w pomysłach przestrzeni i czasów i t. p.) odpowiadają właśnie zasadom innych naszych w tej gałęzi pisarzy; tem więcej więc żałować możemy, iż autor jeszcze pomysłów swych nie przetrawił, a mianowicie iż nie wyszedł w nich organicznie, a stąd i rzetelnie postępnie z dróg swych poprzedników. Jest to prostem i naturalnem, iż p. Levittoux z Akademii paryskiej (w której się kształcił) wyniósł uwielbienie szczególne dla swych mistrzów paryskich, ale jeżeli twierdzenie autora o łącznem rozwijaniu się świata, lub chociażby samej ludzkości jest prawdą (a jest prawdą i nie od dzisiaj), tedy sam musi przyznać, iż to rozwinienie dopełnia się i objawia nie przez jeden francuski naród, lecz łączne działanie wszystkich, że zatem aby postawić w gałęzi jakiej krok rzeczywiście postępny, należy poprzednio poznać wszechstronnie owo działanie. Jakoż gdyby np. przedmiotem poprzednich studyów autora byli zarówno tyleż i naturaliści niemieccy, ile Cuvier i Flourens, autor wiedziałby, iż ci już od czasu Identyczności Schellinga i Przedmiotu Hegla uważali naturę jako całość rozwijającą się harmonijnie zewnątrz i wewnątrz, oraz jako odbicie ducha lub siły, iż np. szef naturalistów nowych, Schopenhauer, oddawna już w swem dziele: *Die Welt als Wille und Vorstellung,* uważał ją jako jedność mającą wolę, której objawami są między innemi elektryczność, magnetyzm i t. p. Pismo autora śród naszej nawet krajowej uprawy jego przedmiotu słabem już widzi się przez to, iż niema śladu, aby przybywało po pracach takich jak np.: »Filozofia natury« (w dziele »System umnictwa«) Libelta, »Fizyologia« Supińskiego i innych. Supiński w »Fizyologii«, Chałupczyński w »Pomysłach«, podobnie jak autor, wszystkie zjawiska wszechświata poczytywali za wypływ dwóch sił: jeden parcia i ruchu, drugi rzutu i rozkładu, i szczegółowiej to sprawdzali. Gdyby p. Levittoux znał przynajmniej pierwsze z tych pism (Libelta), w którem autor w swym szczegółowym wykładzie »tworzenia się form« śród wszechświata przyćmił nawet

w części, rzec można, *Naturwissenschaft* Schellinga, tedy przynajmniej sam możeby loiczniej i dokładniej rozwijał poglądy swe i pomysły, rozłożone w rozdziałach wiele wprawdzie z napisu obiecujących, ale które najczęściej lekko tylko dotyka i miesza; inna jest bowiem rzucać pomysły do systemu, a inna budować system.

Tak jak jest, książka p. Levittoux przypomniała nam mocno te czasy, kiedy pisarze nasi podczas gdy w literaturze sąsiedniej oddawna już był rozwinął się nowy proces spekulacyjnego myślenia i poglądów krytycznych, za szczyt takiego myślenia uznawali jedynie frazesa z Condillaca, a estetycznej krytyki — zdania z Laharpa.

Kontrastem pod pewnym względem z tą książką p. Levittoux jest książka, którąśmy prawie jednocześnie otrzymali, a która ma napis:

Badania filozoficzne tajemnicy życia przez Juliusza Niemirycza. Treść tego pisma z tej strony ma podobieństwo do poprzedniego (jak wogóle do większej części dzisiejszych spekulacyjnych), iż wychodzi z uznania harmonij istnących w całości rozwicia ludzkiego, lecz z tej strony znacznie się różni, iż kiedy p. L. głównie rozważał to życie pod względem fizyologicznym, p. N. rozumie przez nie wyłącznie życie duchowe i tę stronę życia ludzkiego tylko rozważa.

Treść książki pana N., jak zapowiada autor, ma się rozwinąć w 3 częściach: »Historya ducha«, »Filozofia ducha«, »Credo ducha«; tomik wydany obejmuje dopiero część pierwszą, t. j. historyę ducha. Przez to brzmienie duch autor, z wielką liczbą filozofów spekulacyjnych, rozumie tylko rozumną myśl; jego historya ducha jest więc raczej historyą tylko tej myśli, lub jaśniej: filozofii. Autor jest gorliwym stronnikiem Hegla, i ile z wykładu widać, należy do tego odcienia Heglistów, który nazywany był lewym środkiem, t. j. że za duch żywy uważa nie duch ludzkich jednostek, ale duch w ogóle ludzkości przebywający. Historya ducha opowiedziana więc jest według hi-

storyi filozofii Hegla, lubo naturalnie w głównych tylko dotknięciach, i własnemi słowami autora.

Z piórem p. J. Niemirycza po pierwszy raz spotykamy się; jest to pióro zdolne i, jak się zdaje, należnie usposobione; przytoczymy tu więc kilka jego własnych wyrażeń i dodamy parę bliższych uwag o treści pisma.

Pierwszym momentem myślenia ludzkiego (wyraża tu między innemi autor) był tylko podziw dla natury i jakby wołanie admiracyi. »Duch jeszcze bezsilny, by wzleciał ponad przeszłość pojęć, błąka się po przestworzu, a nie widząc wyjścia, utkwił w absolucie, byt którego w sobie uczuł, lecz pojąć go nie mogąc, uzasadnia całą mądrość na wpatrywaniu się w niego, jako jedynej drodze wiodącej do poznania«. Od czasu pierwszego samodzielnego objawu, czyli od Sokratesa do Hegla i naszych czasów, duch jedną i tą samą ciągle dąży drogą, t. j. że walcząc z materyą, wyswobadza się, a cierpiąc sam się poznaje, doskonali, do pierwobytu zmierza. »Sfinks (na Wschodzie) w letargu przykryty, jak z letargu się ocknął i motylem uleciał do Grecyi: odtąd Wschód umiera. Myśl na Zachód wzbiegła, dalej, znowu dalej biedz zmuszona, w Germanii osiadła: wówczas to z kolei umarła Grecya«. O chrystyanizmie, czyli połączeniu drogi filozoficznej z religijną tak autor mówi: »Od Sokratesa myśl w idealnych formach piękna, dobra i prawdy, po raz pierwszy ukazywać się zaczyna; kiedy jednak tyrańskwa i rozpusty Rzymu przemogły, wówczas tryumfująca materya spaliwszy rozpustą poczucie piękna, dobra i prawdy, wypiera ducha z pośród siebie, który z całą potęgą skupia się i streszcza w geniuszu Jezusa... Chrystus jeden w historyi świata łączy w sobie genialność uczucia, woli i myśli, czyli piękna, dobra i prawdy ówczesnej upadłej ludzkości. Odtąd duch, odrodzony przez swego Zbawiciela, wskazaną postępuje drogą i dąży naprzód, drogę swą znacząc apostołami swymi, niby Pawłami, Schellingami, Heglami«. Wychodząc z uznawania systematu Hegla za najlepszy z dotychczasowych, autor

nie uznaje go jednak za już najlepszy bezwzględnie, a na krok i system postępny zdaje się oczekiwać, jeżeli się nie mylimy, śród kraju, pośród którego pisze, tak bowiem między innemi mówi: »Od śmierci Hegla, a od czasu Schopenhauerów, Büchnerów, Moleschottów, Vogtów, myśl spostrzegając w tym niegdyś dziewiczym kraju (Niemczech) jałowe już tylko grunta, wzlata dalej na północ, tam prąd swój kierując... Oczekujemy innego polotu ducha, to jest takiego, któryby zabłysnął gwiazdą polarną dla błąkającej się łodzi myślenia«.

Już z samych tych kilku rysów i ich wyrażeń czytelnik wnieść może, iż przybył nam zdatny pisarz spekulacyjny; czy jednak następne części książki: *Filozofia ducha* i *Credo ducha* rozwiążą nam tajemnicę życia, albo przynajmniej posuną o krok badanie jej, o tem naturalnie rzec dziś jeszcze z pewnością nie mamy prawa; i owszem mamy prędzej powody do wątpliwości.

Autor zgodnie z systematem Hegla całość i rzeczywistość istnienia pojmuje tylko w duchu, czyli jako ducha, a przez ten duch rozumie tylko myślenie; duch jednak, dodajmy tu pobieżnie uwagę, nie tylko myśli, ale też tworzy; jego np. dziełem i jego okazem są też: wynalazki, przemysł, sztuka, dzieje społeczne i t. p., aby więc poznać i należycie ocenić historyę ducha ludzkiego, nie dosyć było wspomnieć o kilku rysach historyi spekulacyjnego myślenia, lecz poznać dzieje ludzkie w tych wszystkich gałęziach.

W wykładzie dziejów autor przyznaje, iż pośród ludzkości i w życiu ziemskiej natury widny jest upadek; lecz gdy odrzucając powieść biblijną o upadku, objaśnia, iż powodem tego był grzech człowieka jeszcze w pozaświecie, a nie na ziemi: jest to to samo, co objaśniać *X* przez *Z*.

Tłumacząc istotę chrystyanizmu autor, widzieliśmy, uczy, iż Chrystus pierwszy dał należną naukę piękna, dobra i prawdy; podobny, że tak powiemy, komplement dla założyciela chrześcijaństwa znajdujemy i w poprzedniem piśmie. P. Levittoux na str. 132 mówi: »Miłość bez mądro-

ści nie jest miłością. Nikt nie obliczy dwóch tych własności ducha zlanych w duchu. Chrystus jeden od stworzenia świata był najdoskonalszą, najczystszą, najwyższą harmonią mądrości i miłości«. Myśl ta w dziele p. L. tak jednak jest oderwaną i tak nie wiążącą się skądinąd z wykładem fizyologicznym (w którym autor co do człowieka na str. 111 wyraził między innemi, iż niema wątpliwości, że ten do potopu był małpą), iż można rzec, że nie wiemy, co oznacza w systemacie. W dziele pana Niem., jako mówiącem o historyi ducha, jest już przynajmniej na swojem miejscu, objaśnia zaś ją autor bliżej przez te słowa: »Wyższość nauki Jezusa Chrystusa nad nauką Platona zasadza się tylko na tem, iż nauczył, że człowiek ma wolną wolę i że jednostka jest cząstką ludzkości«. Pomijamy tu trafność albo nietrafność tej uwagi filozoficznie, ale zwracamy uwagę, iż nowi racyonalni pisarze nasi zdają się uważać chrześcijaństwo, na wzór współczesnych nam racyonalistów tubingeńskich, jako tylko niejaki odcień stoicyzmu w swoim pierwiastku. Wtrąćmy tu uwagę, że jak nauk religijnych, tak i filozoficznych było tysiące pośród ludzkości, a zwłaszcza tych ostatnich w Grecyi; nie rozumiemy więc, dlaczegoby pośród tysiąca tych nauk udało się tylko nauce stoickiej biednego żydka sprawić fakt taki, iżby ta wydała religię, a ta religia, jedynym śród historyi przykładem, pokonała systemata i religie najwięcej ucywilizowanych narodów śród pełni ich rozwicia, i przeszła następnie do wszelkich pokoleń i wszelkich krajów w krąg kuli ziemskiej. Powodem tego nie mogły być dowcip i głębokość systematu, były bowiem i dowcipniejsze i głębsze racyonalnie; nie mogła być powieść o cudach, każda religia bowiem nauczała o cudach; powodem tego mogły tylko być towarzyszenie i wola jakiejś Ręki skrytej: im więcej przeto krytycy dziejów uszczuplają rzeczywistą wartość pierwiastku takiej religii, tem mniej objaśnionym czynią fakt rozwiniętych następstw. Dlatego też mówimy, iż nie możemy zaręczać, czyli zapowiedziane *Credo ducha* p. Niemirycza

objaśni nam co więcej z tajemnicy życia, jak filozofia natury p. Levittoux. Jeżeli mylimy się wątpiąc, pierwsi pośpieszymy najchętniej donieść o tej omyłce.

P. N. (musimy tu jeszcze dodać) dołączył przy końcu zarys najnowszej filozofii dziś w Niemczech, Francyi i Anglii, zowiąc pierwszą naturalizmem, drugą eklektyzmem, trzecią pozytywizmem; wiadomość ta istotnie ma kilka rysów wiernych z najnowszej filozofii tych krajów, ostrzedz winniśmy jednak, że te rysy wcale nie przedstawiają obrazu swoich całości, że bowiem ograniczymy się tylko wzmianką o filozofii w Anglii: przemagający w niej dziś charakter nie jest wcale, jak utrzymuje autor, pozytywizmem, lecz owszem *Berkeleizmem*[1] (ultra-idealnością); sam główny pozytywista angielski, Mill, wyznaje, iż jest przez pół Berkeleistą, a przez pół Comtecistą. (Widzieć np. artykuł »O spółczesnej metafizyce w Anglii« w *Zeitschrift für Philosophie* etc. Fichtego z r. 1868, t. I.). — —

Mamy teraz przed sobą dokończenie pracy p. Niemirycza, to jest tomiki 2-gi i 3-ci. Z zajęciem i przyjemnością odczytaliśmy i te dwa drugie tomy jak 1-szy. Bo też już przedmiot książki (badanie tajemnicy życia) sam z siebie nie jest wcale próżnym zajęcia. Cóż jest to życie nasze, któreśmy tak niedawno posiedli?... gdzie byliśmy lat kilkadziesiąt temu?... gdzie i czem będziemy za kilkadziesiąt?... jaki jest nasz stosunek do siły stwórczej?... do czasów wiecznych?... takie i tym podobne pytania nie tylko próżnemi zajęcia nie są, ale owszem śród zajmujących i ważnych do najbardziej zajmujących i ważnych dla każdego człowieka należeć muszą.

Książka p. Niemirycza, która obrała właśnie za zadanie: badanie i rozwiązywanie powyższych pytań, jakąż mianowicie ma treść?

[1] [Jerzy Berkeley, † 1753, zaprzeczał istnienia materyi; wszędzie widział jeno pierwiastek duchowy. Główne jego dzieło: »Rzecz o zasadach poznania« wyszło w Warszawie 1890 r. w przekładzie Feliksa Jezierskiego].

Z dwóch tomów, wydanych obecnie, tom pierwszy (t. j. 2-gi), mający napis: *Filozofia ducha,* ma właśnie na celu skreślenie nowego filozoficznego systematu, a systematu, mającego objąć sprostowanie systemu Hegla.

System Hegla, uważa autor, tę wadę ma organiczną, iż według niego *przedmiot* (ten świat) jest *jednością,* ideą bezwzględną (absolutem), stąd bowiem wypływa panteizm; tymczasem, dodaje, świat nie jest szatą Bóstwa, lecz tylko Ducha, który już był wypływem z Bóstwa, system przeto rzetelnie filozoficzny winien świat ten uważać nie jako Wszechbóstwo, ale tylko jako Wszechducha. System więc, który kreśli, zowie autor *pananemizmem,* to jest wykładem wszechduchowości (od *pan,* wszystko, i *anemos,* niby łacińskie *anima):* główny zaś zarys, czyli wnioski tego systemu, są mianowicie następne:

Na początku istniał absolut, a jako źródło i idea doskonałości był doskonałym, ale poczęty w nim duch jako odmienność i zaprzeczenie pierwobytu nie był już doskonałością, ale czemś innem; ta przeciwność objawiła się w ten sposób, iż zapragnął oddzielnego bytu, a *pycha* ta *(idea superba)* stała się właśnie źródłem jego *upadku.* Upadek spowodował tem większy kontrast z duchem; duch upadły oblókł się *materyą* (która, według autora, jest złem i grzechem) i tak powstał nasz świat. Pycha stała się źródłem upadku ducha i pycha stała się źródłem różności *okazów,* czyli różnych utworów świata. Stopniowy ubytek pychy coraz nowe tworzył okazy, aż wreszcie w ostatnim utworze człowieka duch zajaśniał przeważnie. W człowieku duch ujrzał się tem, czem był w swym pierwobycie, był zaś w tym pierwobycie trójcą, to jest zbiorem trzech głównych pierwiastków duchowych, którymi są: Mądrość, Miłość i Wolność. Drogą życia człowieka, to jest ludzkości, jest właśnie odbijanie się w treści jej tych trzech pierwiastków, i stopniowe kształcenie się ich, a celem: stanowcze zatryumfowanie ich w końcu a zniszczenie materyi, czyli dojście do pierwobytu.

Tom trzeci mający napis: *Credo rozumu* (według zapowiedzenia w tomie 1-szym, część ta miała nosić nazwisko: »credo ducha«) wykłada bliżej, co są owe pierwiastki: Mądrość, Miłość i Wolność, a mianowicie, iż wyrażają się one jako *prawda, piękno* i *dobro,* czyli *filozofia, religia* i *polityka,* oraz jak człowiek ma je stosować i rozwijać w swem życiu, czyli jakim być powinien *pananemista.*

Takie są najogólniejsze ramy systematu i książki p. J. Niemirycza. Wykład w książce nie jest scholastyczny, ale praktyczny, z czego wcale nie czynimy zarzutu. Jak w ogólnem swem założeniu, którem jest poprawienie systematu Hegla, tak i w wielu swoich poglądach szczególnych nie jest autor bez poprzedników (tak np. w filozofii niemieckiej między innymi *Krause* poprawiając panteizm Hegla, tworzył *panenteizm,* czyli system, który dopuszczał pośród wszechbóstwa byt absolutnych jednostek; z pomysłem upadku w naturze od czasów przedludzkich, spotykamy się już od lat kilku w pismach racyonalistów francuskich, wykłady racyonalne chrześcijaństwa w różnych odcieniach znane są od czasów Schleiermachera i t. p.); wogóle jednak wykład autora prowadzony jest samodzielnie, myśl jest wszędzie poważna, loiczna, jasna, styl takiż. W dziele p. J. Niemirycza otrzymaliśmy słowem książkę i piękną książkę. Czyli jednak w tej książce otrzymaliśmy i system rzetelnie filozoficzny, postępny, i czyli ten system rozwiązał nam, jak utrzymuje autor, całą zagadkę i cele, czyli tajemnicę życia? na to, co do nas, nie możemy odpowiedzieć twierdząco.

Główną wadą systematu autora i głównym powodem, iż jego wywody i założenia nie obudzają w nas ostatecznie przekonań, jest: rodzaj jego kryteryów i rodzaj jego metody. Wiemy, iż pojęcia nasze zamieniają się w *przekonania* w dwojaki sposób: raz, kiedy je nabywamy od nauki, którą mamy racyonalne powody uważać zgóry za bezbłędną, co się nazywa wskutek *powagi;* drugi raz, kiedy je w nas obudzają rozumowania, czyli wywody *czysto loiczne.*

Otóż wywody autora w treści jego wykładu opierają się raz *wyłącznie* na źródle pierwszem, drugi raz wyłącznie na drugiem, gdy zaś oba te źródła krzyżują się nieraz, przeto ostatecznie na żadnem.

Jakoż z samego powyższego zarysu czytelnik widzieć to może, iż autor dopuszcza pewną ilość uznań, czyli prawd a priori, o których dowodzenie nie troszczy się, a idzie mu tylko o ich wykład. Tak np. kiedy uważa zgóry, iż na początku był duch, iż ten był trójcą, iż świat nasz miał początek, iż odrębnością jest od owego pierwszego ducha, iż tkwi w tym świecie upadek i t. p., są to oczywiście twierdzenia wzięte z chrześcijaństwa. Gdy znowu utrzymuje podobnie zgóry, iż duchem był absolut, iż w rozwijaniu się ludzkiem istnie bez przerwy postęp, iż celem tego rozwijania się jest powrót do pierwobytu, do przewagi wyłącznie ducha, są to znowu uznania wzięte z systematu Hegla. Na pierwsze z tych prawd zgodzi się zapewne każdy chrześcijanin, na drugie Heglista; chrześcijanin, iż go o nich naucza Pismo, Heglista, iż loika Hegla; lecz autor w rozumowaniach dalszych, jak to zaraz ujrzymy, nieraz wcale nie zgadza się z Pismem, dla poprawienia loiki Hegla pisze książkę; nie przyjmując więc połowy uznań tych źródeł, z których wyszedł, podkopuje powagę i tych, które przyjął, i ostatecznie ramy i zasady systemu zostają bez podstaw.

Co do metody, której użył, autor wyraża jasno, na czem ta ma zależeć i czem się nią chciał odróżnić od poprzedników. Nasi filozoficzni pisarze, uważa, mówiąc o pisarzach krajowych, są pełni zalet, ale dodaje: »zdradzają zbyt idealne odskoki myśli od praktycznego celu filozofii«, zaś »filozofia dzisiejsza opierać się powinna na *historycznym rozwoju* i postępie ludzkości« (II, 9). Nie zgadzając się z tem, iż cechą pism naszych filozoficznych pisarzy są odskoki od praktyczności (charakterystyką ich bowiem właśnie to jest, iż wychodzą wszyscy bliżej niż inni ze względów praktycznych), zgadzamy się najzupełniej, iż najży-

wotniejsza być może i najwięcej zaręczać skutków w badaniach *metoda historyczna*. Z zamiaru więc autora użycia tej metody za przewodniczkę, bynajmniej nie czynimy zarzutu, mamy wszakże do zarzucenia sposób, w jaki używał jej.

Dlaczegóż metoda historyczna najwięcej zaręczać nam może skutków w badaniu prawdy, i dlaczego nie dał nam tych wykład autora? objaśnimy to krótko. Wiemy, iż każda myśl, słowo, krok ludzki, pociąga zą sobą szereg już większych, już najmniejszych następstw, rozwijających się po sobie bez końca; wiemy, iż te następstwa idące od tłumu różnych myśli, od tłumu kroków, krzyżują się i mieszają co chwila; i wiemy także, iż z tej mieszaniny, z tego zamętu, kształci się jednak jedna harmonia, która dostrzeganą jest dzisiaj w biegu ogólnym dziejów przez teoretyków i badaczy wszelkich odcieni; człowiek więc mówi słowa i stawia kroki dla celów, o których sam nie wie; nie wie, a jednak je stawia; jasnem więc jest, że źródłem tych naszych kroków, naszych słów, naszych myśli, musi być jakaś siła skryta, wszechtwórcza i wszechrządząca, jedna Najwyższa. Im przeto drobiazgowiej, wszechstronniej, dokładniej wglądać będziemy w szczegóły faktów dziejowych, im więcej poznawać prawa ogólne, szczególne i ich stosunek wzajemny, tem więcej nasz stosunek do owej siły, nasza istota, i wogóle wszystko to, co jest prawdą, a prawdą w sobie, bezwzględną, stopniowo nam rozjaśniać się musi. Jakoż te tylko, uważać możemy, nauki ludzkie większa spotkała trwałość, które na podstawie historyczności się wsparły. Tak niegdyś pisarze hebrajscy, zacząwszy od autora Genesis, w uznaniach swych wychodzili zawsze z przypatrywania się stosunkowi ducha (czyli tej Siły, *która jest*) do dziejów *pokolenia* swojego, dziejów *rodzin*, dziejów *jednostek* i doszli w ten sposób pierwsi do wielu z tych prawd, do których następnie reszta ludzkości dopiero za podrostem ogólnej rozwagi doszła. Metoda historyczna, mówimy, dlatego nam zaręcza najwięcej skutków, iż dozwala

i każe przedzierać się do poznawania jakiegoś istnącego śród świata szyku, mądrości, pojęcia wyższego i z niego się uczyć; lecz ta metoda historyczna niczego nas nie nauczy, jeżeli nie pojęcie nasze do loiki faktów istnących, lecz zamęt faktów do loiki a priori naginać będziemy. Majestat dziejów jest zapewne zbyt wielki, zbyt rozmaity, i do poznania i ocenienia go z czasem tylko i to stopniami możemy się zbliżać; idzie więc tylko, iżby te stopnie rzeczywiście były stopniami, to jest, iżbyśmy to poznanie kształcili zbliżaniem faktów istotnych, nie urojonych.

W wykładzie i metodzie p. J. Niemirycza, jakkolwiek z założenia historycznej, nie widzimy jednak tych stopni i tego zbliżenia. Nie widzimy, chcemy rzec, ani w objęciu ogólnych ram bytu loicznych pojęć, ani w szczególnych wywodach, oporu na poprzedniem zbadaniu historyczności. Najpierwszym skutkiem praktycznego objęcia ram rzeczywistości jest np. uznawanie właśnie bytu jednej najwyższej siły, harmonii i t. p. Jakoż nie kwiatek, nie zwierzę, a śród ludzi nie człowiek idyota, ale wszędzie mąż mędrzec doszedł lub wskazał na to, iż istnie śród świata i dziejów jeden Duch Stwórca i jeden Duch Rządca, czyli Bóg. P. Niemirycz wiele także mówi o Bogu i Bogu Duchu, ale w szczególny sposób ten Bóg Duch nie jest to u autora ani *Duch Stwórca,* ani *Duch Rządca.* W ciągu wykładu autor mówi np. wyraźnie: »Bóg świata *nie stworzył,* świat sam z siebie powstał« (II. 62); albo: »Paweł Apostoł pomylił się utrzymując, iż bez Boga jednej myśli mieć nie możemy« (III, 132); albo: »Ojcowie kościoła głosili *łaskę nieba* i w tem pomylili się« i t. p. Bóg autora zdaje się być jak owe bogi Lucyana, o których mówił, że: »istną wprawdzie gdzieś w Olimpie, ale się nie mieszają do spraw ludzkich«. Autor używa też nieraz wyrazu mającego związek z ramami harmonii: *przeznaczenie,* lecz pojmuje go równie w sposób jakiś szczególny. W któremś np. miejscu swej książki (zdaje się nam, iż jeszcze w tomie I-ym), zbaczając śród uwag ogólnych do faktów historycznych nam

blizkich, tak się wyraził: »Napoleon I. nie może się nazwać wielkim, albowiem nie spełnił swego przeznaczenia«. Przeznaczeniem każdego zowiemy to, co danem mu było spełnić, jakoż więc można *nie spełnić swego przeznaczenia?*

Tak niepraktycznie pojmowane są już przez autora ramy ogólne, tembardziej są niepraktyczne, albowiem nieusprawiedliwiane historycznie, i szczególne jego wywody. Nie będziemy tu naturalnie wchodzić w rozbiór wszystkich szczegółowych wywodów i twierdzeń rozsianych w książce, nawet z główniejszych, ale mając na względzie główny (wyrażony w napisie) cel książki: badanie tajemnicy życia, obaczmy przynajmniej bliżej, czyli i co odkrył nam autor z tej tajemnicy, to jest, co nam założył i dowiódł nowego o *początku,* o *drodze* i *celu* życia i świata?

Z trzech rozdziałów, które składają wykład systemu autora, to jest *Filozofię ducha,* pierwszy i drugi (mające napisy: *Ontologia* i *Kosmologia)* mówią o owym początku, ostatni *(Antropologia)* o drodze i celu.

W *Ontologii* autor wyszedłszy z założenia (jak to już wzmiankowaliśmy), iż na początku istniał absolut i że ten »nie był materyą«, naucza, iż z absolutu tego wypłynął naprzód odmienny *duch* i że ten zgrzeszył pychą, bo zapragnął oddzielnego istnienia. Pomijając podstawę historyczności, na której autor w wywodach swych miał się wspierać, a której naturalnie w wywodzie tym (jako odnoszącym się do czasów przedhistorycznych) widzieć nie możemy, wyznajemy, iż tego domysłu, czyli tego wykładu i teoretycznie nawet zrozumieć nie możemy. Duch z absolutu poczęty dopiero z czasem zgrzeszył, zrazu więc jego istnienie oddzielne nie było grzechem; jeżeli zaś to istnienie grzechem nie było, dlaczegóż więc poczucie, albo pojęcie tego istnienia miało nim stać się? Jako następstwo tego grzechu, czyli tej pychy, było, według autora, ukazanie się treści pierwobytowi przeciwnej: *materyi,* to jest świata i jego utworów, a skutek ten temi mianowicie słowy określa: »Duch odpadając od nieskończoności, wskróś przejęty

jakby iskrą elektryczną, esencyą tej woli, czyli pychy, uzyskał wnet granice... Myśl, która zmysłowo ujawniła się w *ślinie i tą śliną wokoło się obwiodła,* utworzyła kulę ziemską... Taka jest historya stworzenia« (II, 54). Daruje nam autor, ale jesteśmy pewni, że wykład ten jego mniej jeszcze zadowolni każdego racyonalistę, niż szczegóły Mojżeszowej Genesis, o których wyraził się w tomie I-ym, iż są »nader pocieszne«. Z brzmieniem Genesis nie tylko się prędzej zgodzi chrześcijanin, ale każdy empiryk, gdy ta za każdą wzmianką o nowo przybyłych utworach *materyalnych* na świat, wyraża: »I widział Bóg, iż to było *dobre*«. Wykład następny autora, iż źródłem ukazywania się coraz nowych utworów śród świata i coraz odmiennej ich treści, było stopniowe ubywanie pychy i tem samem materyi, jest zapewne dowcipnym i z ogólnym pomysłem zgodnym; wątpimy jednak, iżby który fizyolog, albo psycholog chciał przystać na to, iż np. postać człowieka mniej ma materyi niż kwiatek i że moralnie najmniej ma pychy istota, która się nazwała tylko »Królem stworzenia«. Ontologia autora właściwie więc nie objaśniła nam nic z tajemnicy początku stworzenia.

Rozdział następny, nazwany *Kosmologia,* opowiada o istnieniu ducha w upadku, czyli w swej pysze. W wykładzie tym, który właściwie mówi tylko nazbyt ogólnie i krótko o pierwszych czasach świata i ludzi, głównie charakterystycznem jest twierdzenie następne: »Kiedy duch poczuł się, że upadł, że miał stan rajski, i że dla odzyskania go ma wolę, to wstrząśnienie podzieliła natura cała, a historya zowie to potopem« (II, 78). Twierdzenia tego, jakkolwiek brzmiącego tak pięknie, nie rozumiemy również. Dlaczego człowiek poczucie się swe na siłach miałby nazywać potopem? i od jakich to idealistów historyk tego faktu, Mojżesz, mógł się nauczyć takiej figury i tego wyrazu, którego znaczenie skądinąd tak dobitnie i szczegółowie materyalnie tylko określał?

Rozdział trzeci filozofii ducha: *Antropologia,* objaśnia

nam tajemnicę rozwijania się życia, to jest ducha ludzkiego, zbiorowie uważanego. Autor objaśnia tu właśnie i wykazuje, iż drogą tego życia jest rozwijanie się postępne mądrości, miłości i wolności, t. j. trzech głównych przymiotów absolutu, z którego był powstał duch, powód ziemi. Że absolut pierwotny był trójcą, na to jakkolwiek nie zgodzi się zapewne żaden empiryk, zgodzić się jednak może Heglista i zgodzić może chrześcijanin; według bowiem teologii chrześcijańskiej Bóg (Pierwotny, Najwyższy Duch) jest we trzech Osobach, a według systematu Hegla w skład absolutu wchodzą: Duch podmiotowy, Duch przedmiotowy i Duch bezwzględny; dlaczego jednak tą trójcą ma być koniecznie, albo być wyłącznie: mądrość, miłość i wolność, tego jak nie zrozumie wyznawca loiki Hegla, tak i chrześcijanin; chrześcijanin np. powie, iż takimże przymiotem jak Miłość, jest i wiele innych przymiotów bożych, jako: Wszechmocność, Sprawiedliwość, Twórczość i t. p. Że objawami życia i objawami postępu tak drogi życia ludzkiego, jak życia dziejów jest stopniowe rozwijanie się i wybijanie *prawdy, piękna* i *dobra,* temu, co do nas, wcale nie przeczymy; lecz iżby autor te założenia swe rozjaśniał i sprawdzał, tak jak zamierzył, wywodem historycznym, tego nie widzimy w wykładzie. Jak w części pierwszej cały zamierzony wykład historyi filozofii uskutecznionym został wymienieniem tylko kilku uwag o różnoczesnych zwrotach myślenia, tak w części obecnej wywód i cała historyczność wywodu ogranicza się na tem, iż autor mówi tu wprawdzie o sposobie przebiegu religii, sztuki, ustaw i t. p. w życiu ludzkości, ale w wykładzie tym bierze tylko po kilka nazwisk i po kilka wyobrażeń z każdej z tych gałęzi, z temi, że tak rzec można, bawi się, rozumuje o nich, łączy je i rozdziela podług swej woli, zaś nie przedstawia nigdzie rzetelnego historycznego obrazu żadnej gałęzi. Wnioski, o których mówi i które zapisuje, nie mogą się więc wcale uważać jako na historyi oparte. Dla objaśnienia wskażmy

tu np. na gałąź, na której autor najwięcej w wykładzie się wspiera: gałąź *religii.*

P. Niemirycz wyraża we wnioskach, iż element religii jest wyrażeniem pierwiastku *piękna,* a ten wypływem miłości; w wywodzie dopuszczać się jednak zdaje, że religie są wyrażeniem zarazem i innych pierwiastków, a mianowicie, iż każda dążyła do urzeczywistnienia nie tylko piękna, ale też *dobra* i *prawdy;* różne religie uosabiały, według autora, pierwiastki te w różnym ich stopniu, uosobiła je wreszcie i wyraziła je w ich szczycie chrześcijańska. Wszystko, co autor wyraża tu o chrześcijaństwie, jest pięknem i na wszystko może mógłby się zgodzić filozof chrześcijanin; czy zgodziłby się jednak równie i niechrześcijanin, należy wątpić. Czytelnik w rozumowaniach autora o różnych religiach widzi wprawdzie przesuwające się przed sobą wyrazy z tych różnych religij brane, jako z parsyzmu, brahmanizmu, greckiej i t. p., nie poznaje jednak ani treści, ani głównych nauk żadnej z nich, nie poznaje nawet właściwie mówiąc ani chrześcijańskiej i nie zyskuje w ten sposób żadnej podstawy do przystania na wnioski rozdziału. Autor dla wykazania wprawdzie wyższości religii chrześcijańskiej przytacza kilka zdań z Ewangelii i wskazuje na czyn Założyciela chrześcijaństwa, iż poniósł śmierć za prawdę, ale filozof niechrześcijanin mógłby przytoczyć zdania nader podobnej treści z pism Platona, stoików i t. p. i wskazać na czyn Sokratesa. Co do pierwiastków historycznych chrześcijaństwa, autor mówi, iż o te mniejsza, pierwiastki bowiem wszystkich religij są podobne. Podobność nie jest to jednak jedność; rozjaśnienie podobieństw najdalej właśnie posunąć i stąd najskuteczniejszemi może uczynić badania ludzkie. Autor uprzedził, iż się odróżni od poprzedników historycznością w wywodach, i w miejscu, które, rzec można, jest osią obrotu jego rozumowań, które najwięcej może wymagało oporu na historyczności, mówi, iż o nią mniejsza.

To o początku i biegu, czegóż nas wreszcie naucza

system autora o najważniejszym przedmiocie ludzkiej troski, o najważniejszej stronie zagadki życia: o jego przyszłości? Co do ogólnej przyszłości ludzkiej, czyli przyszłości ludzkości autor twierdzi, iż celem tej jest: powrót do pierwobytu, czyli zamienienie państwa materyi i grzechu na państwo ducha. Twierdzenie to nie jest jednak właściwie wnioskiem z dowodzeń, lecz jak mówiliśmy, założeniem zgóry. Twierdzenie to brzmi zapewne dosyć podobnie z twierdzeniami systematu Hegla i brzmieniem proroctw chrześcijańskich, ale powtórzmy raz jeszcze, Heglista za dowód twierdzenia kładzie prawa loiki Hegla, chrześcijanin kładzie Pismo, ale autor dowodził, iż jedno i drugie z tych źródeł nie są bezbłędne, założenie więc jego i co do tej ogólnej przyszłości jest bez podstawy. Co zaś do przyszłości osobistej jednostek, czyli nauki o losie ludzkim pośmiertnym, nauka ta przez to jest ciemną i nie daje nam rozjaśnienia w systemie autora, iż daje rozjaśnień kilka.

Autor naucza w książce i naucza najczęściej, iż jak bieg, tak i przyszłość ludzka pojmować się winny zbiorowo, że przeto jednostkowość człowieka ginie ze śmiercią ciała, a stąd iż istnąć nie mogą żadne indywidualne nagrody i kary po śmierci. »Różne religie, mówi np., straszyły dawniej ludzi piekłem, jak dzieci rózgą« (II, 160); albo: »wiara nasza w nieśmiertelność jest różną od wiary samolubnej w indywidualne rozkosze nasze w niebie. Śmierć jest zerwaniem więzów indywidualności, powrotem do *ogólnej duchowości*« (III, 202). W innych miejscach przeciwnie uczy wyraźnie o przeciąganiu się bytu indywidualnego i po śmierci, o nagrodach lub nowych próbach, jak to np.: »Śmierć jest dobrem wielkiem... szczęśliwy, kto spełniwszy posłannictwo, *wraca* zdać sprawę z pracy swej indywidualnej« (III, 202); albo: »są ludzie, którzy wegetują jak rośliny. W ludziach tych idee miłości, wolności i prawdy drzemią jeszcze; okoliczność, wypadki, mogą je tu lub *na innym świecie* powołać do życia« (III, 66). Inną wreszcie razą zdaje się literalnie wierzyć w metempsychozę, tak bowiem

mówi: »Śmierć jest zmianą draperyi« (II, 62). »Duch (na ziemi) ubrany w szatę dotykalną dla ujawnienia swej woli i wydoskonalenia takowej cierpieniem, zdarłszy suknię (przez śmierć), z niej wybiega, *innej szuka,* ażeby *walczyć na nowo*« (III, 108).

Trzy więc rodzaje rozwiązań, czyli swych uznań, przytacza w tej rzeczy autor, i dodajmy, że żadnego nie sprawdza.

W tomie III.: *Credo rozumu,* autor opuszcza główny cel książki: badanie tajemnicy życia, uczy zaś tylko, jakiem to być powinno, to jest, jakim być winien człowiek, który już zbadał te tajemnice i został *pananemistą.*

Powiedzieliśmy, iż autor system swój nazwał pananemizmem dla odróżnienia od systematu Hegla, który ma za panteizm; Hegel jednak bronił się od przyznawania systematowi swemu tego przymiotu i uważał go także raczej za pananemizm. Absolut (idea bezwzględna) i według p. Niemirycza jest *duchem,* dlaczegóż więc pananemizm miałby oznaczać wytrącanie z całości swej absolutu? Jak jest mętną teorya, tak też mętnem się stało i jej stosowanie. Reguły życia, które autor poleca i kreśli w swem *Credo,* są po największej części nie próżne zalet (np. kiedy mówi: »Pananemista nie żyje dla siebie, lecz zawsze i wszędzie dobro ogółu ma na celu. Pananemista ślepe porywy miłości umie hamować, idąc jednocześnie za popędem serca i rozumu. Pananemista w pożyciu małżeńskiem stanowi wzór cnót domowych« i t. p.); nie rozumiemy jednak, dlaczego dla pełnienia tych reguł nie dosyć byłoby być moralistą heglicznym, lub chrześcijaninem, a trzeba być koniecznie pananemistą. Niektóre znowu przymioty, mające, według autora, być udziałem pananemisty, są wprawdzie wyjątkowe i wyższe, wątpimy jednak, iżby kto ich nie przyjął trochę sceptycznie. Autor mówi np.: »Pananemista pod względem nauki i umiejętności jest człowiekiem skończonym« (II, 102). Sfera umiejętności i nauk zbyt jest dziś

rozszerzona i rozgałęziona, iżby się zgodzić, że dosyć jest wiedzieć, że świat jest wszechduchem i że celem dróg naszych jest piękno, dobro i prawda, aby już mieć przywilej skończoności w całej tej sferze. »Pananemista *nie zna boleści*, ta go dosięgnąć nie zdolna, skoro wie, że cierpienie jest jego przeznaczeniem, bo stanem normalnym życia na ziemi« (III, 104). Czyliż dosyć jest uznać, iż boleść np. jakiejś części ciała naszego jest koniecznością, iżby już przez to *nie czuć boleści?*

Na zakończenie położony jest epilog, który obejmuje listy pisane jakoby w r. 3870 ery chrześc., gdy na czele cywilizacyi stoją Ameryka i Australia, a o cywilizacyi Europy przechowują się już tylko tradycye. Epilog ten daje ramy, w których istotnie nader praktycznie mogłyby być przedstawiane pomysły o losach ludzkości; obraz tu jednak postępnego rozwicia się trzech założonych pierwiastków tak mało w szczegółach rozwinięty i bez oznaczenia wskazówek nadal, iż poczytujemy go raczej za igraszkę wesołej myśli, jak rozdział nauki.

Książka p. Juliusza Niemirycza, powiedzmy więc i powtórzmy, pisana jest piórem zdatnem, myślą poważną i ukształconą, jest książką, i musimy wyrazić żal, iż autor zdatności tej użył na ułożenie pisma, które objęło system o ramach chybionych i ma cel chybiony. Z niejednej zapewne myśli wyrażonej w niem o tem, co piękno, co dobro, co prawda, może nawet gdzieniegdzie z pomysłów o ramach dziejów, czytelnik mógłby korzystać, lecz iżby ten system *pananemizmu* był systematem o ramach prawdziwych, systematem postępnym, a zwłaszcza iżby, jak zapowiedział autor we wstępie: »rozwiązać miał wszystkie tajemnice, dręczące umysł człowieka«, tego wcale nie możemy mu przyznać.

1870.

2.

Henryk Struve.

Wykład systematyczny Logiki, czyli nauka dochodzenia i poznawania prawdy, przez Henryka Struve Dr. i profesora w Uniwersytecie Cesarsko-Warszawskim. 1871 T. I-szy.

Loika jest to *nauka myślenia,* na to jest zgoda powszechna; niema jednak zgody powszechnej na to, co jest myślenie? a stąd mamy różne pojęcia znaczenia loiki. Zacząwszy od Arystotelesa (którego zjednoczone traktaty o sztuce myślenia Arystotelicy nazwali *logiką)* do Kanta i jego szkoły, wszystkie logiki zajmowały się tylko rozbiorem i nauczaniem form myśli, jako myśli, bez względu na przedmiot myślenia; mogły one zarówno służyć do dowiedzenia i prawd stoickich i prawd epikurejskich, prawdy Olimpu i dogmatów chrześcijańskich i t. p.; ale przy podniesieniu, śród filozofii nowej, kwestyi o stosunku ludzkich pojęć do świata i przy zwróceniu uwagi na to, iż myśl istnąć nie może bez swego przedmiotu, zmieniły swą treść i logiki. Hegel mianowicie wspomniawszy na to, iż kiedyś Parmenides jeszcze rzekł, iż »*myśl* i *to,* o czem myślimy, jest *to samo*«, i że wychodząc z tego uznania, Platon cały swój system założył na tem, iż najwyższych i ostatecznych prawd szukał w myśli ludzkiej (idei), napisał odróżnioną od wszelkich poprzednich *logikę,* a która ucząc myślenia, uczyła nie form myślenia w sobie (jako np. syllogizmów), ale raczej tych form świata, które odbija myślenie, tj. uczyła tej *drogi,* jaką złożona w umyśle ludzkim idea przebyć musi, nim odbita o przedmiot swój (świat) wróci do uznania się w sobie; — i loika taka licznych naśladowników znalazła. Loikom pierwszego rodzaju nadano dziś nazwisko *formalnych* (t. j. uczących o formach myśli), drugiego zaś *metafizycznych,* z tego względu, iż niby łączyły w sobie i te przedmioty, które poprzednio były treścią metafizyki. U nas np. wszystkie loiki, od Loiki z XVII wieku Marka Korony do Loiki ks. Anioła Dowgirda, były formalne; najnowsze zaś Kremera i Trentowskiego metafizyczne. Lecz oprócz

tych dwóch rodzajów ukazały się w ostatnich latach w Niemczech loiki nowego rodzaju, które w zawarciu swojem są odbiciem najnowszego zwrotu filozoficznego w swym kraju, a do tego rodzaju właśnie, jak zapowiada pan Struve, należeć ma i loika jego.

Charakter ostatniego zwrotu filozoficznego w Niemczech jakiż jest mianowicie? Powiedzmy o tem słów parę.

Idealizm i to zamiłowanie w teoryi, które w początku wieku obecnego odznaczyły były tak silnie i wzniosły tak wysoko filozofię niemiecką, zaczęły się były od lat pewnych zwracać i w końcu stanowczo zwróciły w kierunek z gruntu przeciwny. Zrazu wołanie o praktyczność, a następnie sama praktyczność odznaczać tu zaczęły uprawę wszelkich gałęzi nauk, a z kolei i filozofii. W gałęzi tej zwrot ten powiódł był zrazu głównie do uprawy materyalizmu czyli do tak zwanego (w tak słynnej podówczas *z praktyczności* Francyi) pozytywizmu, zwrot taki nie mógł jednak zaspakajać powszechnie przyjaciół myślenia — w uprawie z podniesioną ścisłością materyalizmu, widziano wprawdzie uprawę myśli postępną, ale tylko w materyalnym kierunku, a trzeba się było oprzeć na całości myślenia. System Hegla w tym zwrocie do praktyczności był skompromitowanym stanowczo, od czasu mianowicie jak jeden z jego najgorliwszych stronników (Ludwik Feuerbach) wyrzekł był: »moja religia żadna religia, moja filozofia żadna filozofia«. Dla podstawy i oporu swych nowych dążeń szukano więc innego pisarza z owej złotej epoki swego myślenia i znaleziono. Pisarz ten stał się w ostatnich latach, że tak rzec można, lwem w nowych zwrotach filozofii niemieckiej, pism jego powtarzają się nowe wydania, pismom jego poświęcają się główne studya, na jego cześć zwoływane są zjazdy filozoficzne i t. p. Pisarzem tym jest Karol, Fryderyk Krause (ur. 1781, zm. 1832). Kar. Fryd. Krause przez ciąg swego życia słynął więcej jako zapalony zwolennik wolno-mularstwa (którego jednak w końcu w części się zaparł), jako propagator i w części sprawca różnych stowarzyszeń (Vereinów) po-

litycznych, artystycznych, literackich, dobroczynnych i t. p., praktyka bowiem taka t. j. sprawianie postępu przez zjednoczenia się, wypływała z jego filozoficznych teoryj; ale te jego filozoficzne teorye zacząwszy od jego *Loiki historycznej* (1803) do wykładu *Systematu Filozofii* w *Odczytach* mianych w Berlinie (1828), a które uważane dziś są za jego arcydzieło, jakkolwiek otrzymywały zwykle poklask od krytyki i wróżby znaczenia w przyszłości, z powodu jednak już to swych historycznych, już eklektycznych podstaw nie miały nigdy ogólnej i wyższej wziętości, wobec królującego wtedy idealnego dogmatyzmu.

Ogólne zasady systematu Krausego jakież są? Krause rozpoczął był umysłową swą czynność w czasie głównej wziętości Schellinga, był więc szczerym wyznawcą jego *identyczności* i tę praktycznie rozwijał. *Wszechcałość* czyli Absolut, to (według jego ogólnych pojęć) *Wszechistność*, która rozwija się z uznaniem się w sobie [1]. Dwa *Byty:* ten podsłoneczny, na który patrzymy, a który jest zbiorem i królestwem istot *materyalnych*, i drugi nadsłoneczny, nam niewidzialny, który jest zbiorem i królestwem *Duchów*, to dwie strony i dwie różne drogi tej Wszechistności. Punktem związku tych dwóch bytów, dwóch światów, jest człowiek i wogóle *ludzkość*, tak ziemska, jak też rozsiana po innych ciałach i miejscach świata podsłonecznego. Duch ludzki, odbicie i jakby obraz tej wszechistności, dąży do połączenia się właśnie ze wszechcałością już przez drogi rozwinień duchowych, już przez swe czyny. Pociąg, który jest źródłem takich dążeń i który oznaczać winien te czyny, zowie się miłość. Czyny, które za treść mają miłość (jak np. stowarzyszenia), to kroki i przyśpieszenia do połączenia się coraz bliższego ludzi z sobą i z Wszechistnością (Bogiem), która odwiecznie trwając ma też i mieć *żywot wieczny:* wszyscy ludzie to równe sobie, swobodne i nie-

[1] Mówimy tu o punktach praktycznych systemu; o stronie teoretycznej można czytać w Loice, o której tu mowa, na str. 127.

śmiertelne w Bogu jednostki *(Alle Menschen mithin sind gleichwürdige, freie, ewige in der unendlichen Zeit bestehende unsterbliche Personen in Gott. Lebenlehre,* str. 163). Równolegle z działaniem czynów rozwijają się i drogi ludzkie duchowe, *pojęcia* duchowe; drogi te i pojęcia rozbiły się na różnostronne kierunki empiryczne, idealne, mistyczne i t. p., a ze zjednoczenia się ich ułoży się dopiero kiedyś należna całość, rzetelne poznanie.

Przez podzielanie właśnie tych zasad i na ich cześć, przedsięwzięte i rozpoczęte niedawno zostały w Niemczech zjazdy czyli kongresy filozoficzne t. j. zjazdy filozofów wszelkich odcieni, dla wzajemnego porozumienia się i stopniowego jednoczenia się w swoich zasadach [1]. Jest to napozór wyznawanie w Niemczech tak okrzyczanego w nich niegdyś eklektyzmu, ale system Cousina był tylko uznaniem i wskazywaniem na eklektyzm jako na fakt, tu zaś jest to ocenianie i uprawianie go pod względem skutków. W takim to właśnie kierunku pojęć, pod wpływem takich uznań pisane więc były i ostatnie logiki w Niemczech (jak *Ueberwega, Ulrici, Hermanna* i t. d.), to jest, iż treścią zasad ich nie jest ani wyłącznie realizm, ani też wyłącznie idealizm, ale idealizm i realizm łącznie, z uwzględnieniem nawet zwykle i mistycyzmu. Do takiego rodzaju loik należeć ma i loika p. *Struve*. Prof. Struve zawód swój piśmienny rozpoczął, ile wiemy, od racyonalno-religijnych polemik w czasopismach niemieckich. W piśmie »Deutsche Zeitschrift für christliche Wissenschaft« z r. 1861 za luty czytaliśmy pióra jego uwagi krytyczne z powodu nowego

[1] Pierwszy taki zjazd czyli kongres filozofów miał miejsce w Pradze w r. 1868. Z wydanej przez prezesa tego kongresu Dr. *Leonhardi* broszurki: *Der Philosophen-Congress als Versöhnungsrath* (1869. Praga) wnieść można, iż owocem narad musiały być przemagające kierunki psychologiczne; mówi tu bowiem autor między innemi o nadziei i potrzebie ukształcenia, chociażby niezależnie nawet od dogmatyzmu, ogólnego sumienia religijnego, któreby wzbierającemu i usiłującemu »ogłupić i ujarzmić ludzkość materyalizmowi« *(der für Verdummung und Knechtung der Menschheit thätig ist)* tamę położyć mogło«.

wydania pisma Baura: »Chrześcijaństwo w trzech pierwszych wiekach«. Następnie od czasu objęcia katedry filozofii w b. Szkole Głównej ogłosił szereg prac, po większej części ram krótkich, lecz które wszystkie — przetrawione myślenie, wsparte na gruntownem ukształceniu naukowem, cechuje. Należą tu mianowicie następne pisma: »Wywód pojęcia filozofii« 1863; »O temperamentach« 1864; »O psychologicznej zasadzie teoryi poznania« 1864; »O pięknie i jego objawach« 1866, — oraz obszerniejszych ram traktat »O istnieniu duszy«, który był przerobieniem własnego traktatu autora, wydanego przedtem w języku niemieckim w Tubindze: »Zur Entstehung der Seele« etc. 1862.

»Wykładu logiki« jego otrzymaliśmy dopiero tom pierwszy [1]. Tom ten obejmuje różne definicye loik, rozkład treści czyli zawarcie przyszłych rozdziałów, oraz historyę loik.

Jakiego określenia loiki stronnikiem jest autor, wskazuje to już sam jej napis. Przez loikę nie rozumie on nauki jedynie o formach *myśli*, ani też nauki o *świecie* w myśli odbitym, ale »naukę dochodzenia i poznawania prawdy«; takie pojmowanie znaczenia loiki wpłynęło też i na rodzaj wykładu jej historyi. Ponieważ autor przez loikę rozumie badanie prawdy, to jest to, przez co większa część filozofów rozumie całość filozofii, przeto w przejrzeniu swem wylicza i ocenia nie tylko autorów loik właściwych, ale wogóle wszystkich filozofów główniejszych i prace ich.

Zarys ten historyi loik czyli filozofii stanowi prawie wyłączną treść wydanego tomu, a rozpada się na dwie części, to jest na rys historyi filozofii wogóle i rys historyi filozofii w kraju, a część ta ma nawet oddzielny napis: *Loika w Polsce.*

W pierwszej części autor po wykazaniu różnych stanowisk filozofów dawnych, w zarysie filozofii nowej rozróżnia trzy głównie kierunki, a mianowicie: *empiryczny*, który rozpoczął Bakon, *racyonalny*, który rozpoczął Decar-

[1] [I do tej pory jeszcze dalsze tomy nie ukazały się].

tes, oraz *mistyczny*, który rozpoczął Böhme; i wskazuje tu między innemi, jak wpływ tego ostatniego kierunku odbił się następnie w pismach najgłówniejszych racyonalistów niemieckich. W części tej autor mianowicie dla literatury naszej jest nowym w wyliczeniu szczegółowem prac spółczesnych nam loików i filozofów zwłaszcza w Niemczech, a w zakończeniu tego obrazu takie między innemi wyraża wnioski: »Ogólny charakter obecnej nam filozofii a tem samem i loiki polega na dążności ustalenia *nowej zasady* dla dalszego rozwoju myśli filozoficznej, na podstawie historyczno-krytycznego rozbioru przeszłości« (117). »Większość najnowszych pracowników na polu filozofii pracuje nad reformą samej zasady filozofii, nad położeniem dla niej fundamentów«. Owa nowa zasada, mająca uczynić zadość wskazanym wymaganiom, przybiera charakter i nazwę *idealno-realnej*. Do szkoły zaś tej (realno-idealnych) zaliczeni tu są przez autora: *Krause, Beneke,* Kar. *Ritter,* Imman. *Fichte, Trendelenburg, Chalybaeus, Ulrici, Ueberweg* itp.

W oddziale *Loika w Polsce,* który obejmuje największą część tomu (str. 132—282) po raz pierwszy znajdujemy wymienionych w takim komplecie wszystkich naszych pisarzy filozoficznych, zaczynając od XV-go wieku; — przy wzmiankach tych autor dołącza treść i charakterystykę główniejszych traktatów dawnych i ocenienie krytyczne pisarzy ostatniego okresu. Ile w rzeczy tak mało powszechnie znanej, i w niejednym szczególe nowej, powtórzymy tu pokrótce te główne rysy.

Całość przebiegu dotychczasowej filozofii polskiej autor dzieli na pięć okresów: pierwszy z czasów kwitnienia Akademii krakowskiej, drugi wyłącznie scholastyczny, trzeci sensualistyczny, czwarty przewagi Kantowskiej i piąty Heglowskiej

O pierwszej epoce (1400—1600) autor mówi: »jest to okres stawiający filozofię w Polsce zupełnie na równi z jej ówczesnym stanem za granicą« (139), — okres, który wskrzeszają studya klasyczne, zdał się rokować upadek schola-

styki. Ocenieni tu są mianowicie, z wymienieniem treści ich traktatów: *Jan* z Głogowy, *Grzegorz* z Sanoka, *Michał* z Wrocławia, *Michał* z Bystrzykowa, *Jan* ze Stobnicy, Jakób *Górski*, Jakób *Burski* i Adam *Burski*. Autor zwraca uwagę, iż wszyscy ci prawie pisarze co do charakteru ich filozofii należeli do nominalistów, z odcieniem Skotystów i że ostatni (Adam Burski) w dziele swem *Dialectica Ciceronis* przeczuł Bakona.

Okres drugi (od początku wieku XVII do połowy XVIII-go), który autor nazywa jezuickim, zamiast podzielenia tego postępu filozoficznego, który w tym czasie wyrażał się już w Europie, był owszem odpadnieniem w scholastycyzm z całą jego przesadą. Reprezentantami tego okresu byli właśnie w traktatach swych głównie jezuici, a mianowicie: w wieku XVII Marcin *Śmiglecki*, Wojciech *Tylkowski*, Tom. *Młodzianowski*, J. *Morawski*, Stef. *Szczaniecki*; w wieku XVIII Adr. *Miaskowski*, Aleks. *Podlesiecki*, Andrz. *Rudzki*, Bened. *Dobszewicz*, Ad. *Krasnodębski*, Kaź. *Ostrowski*, Ant. *Skorulski*, J. *Iwanicki*; z członków innych zakonów: *Samuel* z Lublina, Marek *Korona* (autor pierwszej loiki w języku polskim, r. 1644 lub raczej stosownie do mody czasu w połowie polskim), Szym. *Makowski*, Fer. *Januszowski*, Kaź. *Stęplowski*, Jak. *Radliński*, i inni. W ogólnej charakterystyce traktatów tych wszystkich pisarzy autor mówi: »łatwo wyobrazić, jak mało treści istotnie logicznej znajduje się w owych grubych księgach noszących tytuły *Logik* i Dyalektyk«; obszernie jednak mówi o treści traktatów Śmigleckiego a mianowicie jego loiki (1613) i dodaje: »Ogrom tego dzieła nie dozwala nam rozbierać szczególnych jego kwestyj i dysputacyj, wszakże pomimo formę scholastyczną dzieło to zdradza jeszcze tu i ówdzie tradycye poprzedniego okresu, opiera się on przeważnie na Arystotelesie i daje dowody, iż go lepiej zrozumiał, niż scholastycy i późniejsi pisarze okresu« (162). Mówiąc o »*Philosophia aristotelica*« (1750) Rudzkiego uważa, iż pierwszy on u nas dotknął rozbioru Kartezyusza, zaś o *Praelectiones*

logicae Dobszewicza (1761), iż autor ten już się nie trzyma wyłącznie filozofii scholastycznej, lecz też uwzględnia prace Bakona, Kartezyusza, Gassendego i Locka i lubo nie zgadza się (autor) z Jankowskim, iż pismo to może się ubiegać o pierwszeństwo z każdem z pism wydanych przez uczniów Dekarta, Lokka i Wolfa, przeczyć jednak, mówi, nie można, że »zajmuje stanowisko godne uznania, bardziej odpowiadające wymaganiom czasu i nauki«.

Okres trzeci, sensualistyczny, przeciągający się od reformy szkół do drugiego dziesiątka wieku XIX-go, był odbiciem królującego w tym czasie w Europie materyalizmu, a o kierunek ten autor głównie obwinia ówczesną Komisyę edukacyjną. Kazimierz *Narbutt*, autor Loiki wydanej w roku 1766 w Wilnie (»odznaczonej równie jasnym i treściwym wykładem jak bogactwem przedmiotów«), oraz *Mitzler de Koloff* przez wystaranie się i wydawanie przekładów dzieł filozoficznych Gotszeda starali się zaszczepić w kraju filozofię Wolfa, ale »Komisya Edukacyjna przechyliła się stanowczo na stronę kwitnącego wówczas we Francyi sensualizmu«. Komisya ta, dodaje autor, pomimo wielkich usług dla oświaty, nie przyczyniła się w niczem do podniesienia studyów filozoficznych w Polsce, owszem przeciwnie usuwała je i ograniczała«; »z wyższych zakładów to jest akademij wyrugowano zupełnie wszelkie wykłady filozoficzne«, zaś »w szkołach wydziałowych uczono według najpłytszej Loiki Condillaca«. Kierunek też ten jak na Zachodzie tak i tu wydał tylko bardzo szczupłą liczbę prac samodzielnych. Do prac tych należą tylko wyjątki z Lokka przez *Cyankiewicza*, przekład Loiki Condillaca przez Jana Znoskę, Loika *Przeczytańskiego* i pisma filozoficzne Jana *Śniadeckiego*. Stanowisko tego ostatniego p. Struve rozbiera krytycznie i między innemi tak mówi: »Śniadecki pod względem metody poznania jest empirykiem, a pod względem poglądu na początek naszej wiedzy sensualistą, — ale ten empiryzm i sensualizm Śniadeckiego zawierają w sobie wielkie sprzeczności. Empiryzm Śnia-

deckiego opiera się na sofizmatycznem pojęciu fenomenu ogólnego. *Fenomena ogólne,* o których mówi (i przy pomocy których wypowiada zdanie, że jedyną nauką człowieka są fenomena), nie są w gruncie niczem innem, jak tylko *pojęciami ogólnemi,* wydanemi przez rozum, a jeżeli takie pojęcia ogólne pod nazwą fenomenów ogólnych wprowadzimy w zakres fenomenów, to naturalnie łatwo być empirykiem i całą wiedzę ludzką opierać niby na samem zmysłowem doświadczeniu. Śniadecki dowodzi empirycznego i zmysłowego początku prawd ogólnych na podstawie treści samych tych prawd, co się nazywa w loice sofizmatycznem kołem dowodzenia«. We wniosku zaś wyraża: »dzieło Śniadeckiego jest jednak odznaczone bogactwem rozebranych kwestyj logicznych, i gdyby nie wyrażone wady, dla wielu uwag praktycznych oraz dla jasności i wyrazistości języka, należałoby do najlepszych prac filozoficznych polskich« (192).

Okres czwarty odznacza »dążność« do zaszczepienia w Polsce filozofii krytycznej Kanta. P. Struve zwraca tu ciekawą uwagę, iż pierwszym u nas propagatorem nauki Kanta był właśnie brat najgorliwszego jej przeciwnika, albowiem Jędrzej Śniadecki. Autor ten bowiem w mowie mianej przy otwarciu nauk w Uniwersytecie Wileńskim w roku 1799 *o niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych,* po przytoczeniu dowodów niedostateczności doświadczeń fizycznych wyraził między innemi: »w wieku naszym, szybkim wzrostem nauk i kunsztów na zawsze pamiętnym, jeden z najgłębszych filozofów głęboką *krytyką czystego rozumu* na nieśmiertelną u uczonych zasłużył sławę« i zachęcał, aby na wzór tego pisma pisać *krytykę doświadczenia,* a nie przestawać na romansach doświadczenia. Pierwszymi następnie przedstawicielami Kantowskiego kierunku byli u nas: Józ. Kalas. *Szaniawski* w traktatach: *Co to jest filozofia* (1802) i *Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk i filozofii* (1805), oraz *Jaroński,* którego dzieła o *Filozofii* (części trzy, 1811, Kraków) przytoczywszy autor

obszernie treść, wyraża: »wykład jest wogóle jasny i dokładny«. Odbiciem podobnie loik Kanta albo Kancistów są loiki wydane w tym czasie: *Chojnackiego, Sierocińskiego.* oraz (lubo samodzielniejsza w sobie) *Jankowskiego.* Najobszerniej w tym okresie mówi p. Struve o Loice ks. Anioła Dowgirda (*Wykład przyrodzonych myślenia prawideł czyli loika teoretyczna i praktyczna,* 1828, Połock), i zowie ją jednem z najważniejszych i najbardziej zajmujących dzieł literatury logicznej w Polsce (209). Loice tej poczytuje autor za wadę, iż sposób jej traktowania polega na pomieszaniu logiki z psychologią, uważa ją jednak za logikę kantowskiego kierunku, »jakkolwiek bowiem, mówi, autor jej był teoretycznie przeciwnikiem loiki formalnej Kanta, ale właściwie zasady swe własne opierał na Krytyce czystego rozumu Kanta«.

Przeszedłszy wreszcie do okresu piątego, lubo autor po większej części krótko, ale krytycznie i charakterystycznie ocenia główne pisma głównych naszych pisarzy tego okresu, jako: *Kremera, Trentowskiego, Libelta* i *Cieszkowskiego.* Pisarze ci zaczynali wszyscy od wyjścia z Hegla, ale się odznaczyli następnie kierunkiem samodzielnym. Kremer i Trentowski dali też oryginalne obszerne Loiki. W rozbiorze Loiki Kremera autor zastanawia się nad punktami, którymi ta różną jest od swojego wzoru (Loiki Hegla) i zwraca mianowicie uwagę, iż owa »jedność myśli i bytu«, która jest podstawą loiki Hegla i jest wyznawaną teoretycznie przez Kremera, w wykładzie jego tę wielką znajduje różność, iż uważa się tu nie »jako pierwotnie dana« (jak u Hegla), ale jako dopiero skutek rozwoju myśli, i kończy wnioskiem, iż »zasadnicza myśl systematu Kremera zawiera w sobie nader ważne zarodki dla rozwiązania najgłówniejszych zadań ścisłej i umiejętnej teoryi poznania« (239). Rozbiorowi *Loiki* Trentowskiego (*Myślini, czyli całokształt loiki narodowej,* T. 2, 1844) poświęconem jest stronic 30. — P. Struve zwraca uwagę na obietnice i wypadki tej Loiki i kończy na niezupełnie przychylnych

dla dzieła wnioskach. »Kremer, uważa autor, wyznawał skromnie, że się trzymał Hegla, ale w rozwoju swoich samodzielnych poglądów doszedł do rezultatów, które w swych konsekwencyach przeistaczają nawet samą zasadę Hegelianizmu«. Trentowski przeciwnie, lubo w istocie wyszedł z zasad Hegla i te rozwijał, podaje swoją filozofię za coś nowego, dotąd nieznanego, przewyższającego wszelkie dotychczasowe pomysły tak romańskiego, jak germańskiego ducha, ma to być »przedstawienie świata nowego, bożego, rzeczywistego, opartego na różnojedni świata empirycznego z metafizycznym«. »O ile nam wiadomo, mówi autor, dotąd żaden jeszcze filozof od Sokratesa do Hegla nie wyprowadzał swoich poglądów na świat z takiemi nadzwyczajnemi nadziejami, z takiem wysokiem o sobie przekonaniem«. Trentowski wypowiada zdanie, że jego »nowej filozofii polskiej Bóg przeznaczył zupełną umiejętności reformę, a przez nią odrodzenie człowieczeństwa«. — »Loika Hegla, według słów Trentowskiego, postawiona obok *Myślini,* pokaże się rzeczywistem ubóstwem«. — »W Myślini mumie odwieczne przeistaczają się w żywe umiejętności boginie, a dawna Loika obchodzi święto swego odrodzenia«. Główny tytuł do wyższości swej Loiki ogląda Trentowski w tej dysekcyi pojęć, jaką w niej czyni. Do rozlanej w naturze *Prawdy,* jako twierdzenie, człowiek stosuje swą *Wiedzę,* jako przeczenie, a przejęcie się wzajem prawdy i wiedzy daje w końcu *Poznanie* jako kojarzenie. Loika Trentowskiego rozpada się więc na trzy części: Prawdy, Wiedzy, Poznania — te znowu na *błamy, błamki, prawdniki, umiejętniki,* a tych ilość, wznosząc się w stopniowej progresyi, daje w końcu według obrachunku autora 219.024 umiejętników. P. Struwe czyni szczegółowy rozbiór wywodów i głównych twierdzeń *Myślini* i nie podaje się za admiratora takiej dysekcyi pojęć. »Ani zmysły, ani pamięć, ani wyobraźnia, mówi między innemi, nie są zdolne przedstawić sobie owych ukazywanych subtelnych pojęć i są one tylko illuzyą loiczną«. »Według nas, dodaje, loika nie

uczy mieszania pojęć i ich dowolnego używania, lecz uczy, jak nasze pojęcia ściśle i jasno określać i jak ich bez pomieszania używać i rozwijać należy«. Co do ogólnych Trentowskiego pomysłów, p. Struve jest zdania, iż te są naśladowaniem Krausego. »Kto zna i studyował, mówi, filozofię Krausego i porówna ją z filozofią Trentowskiego, ten w tej ostatniej przy całej jej osobliwości nie znajdzie co do głównej treści nic bezwzględnie nowego« (245); »jest to tylko zmieszanie *panenteizmu* Krausego z dyalektyką Hegla — *jaźń* i *mysł* Trentowskiego mają swój prototyp w Krausego *Selbstschauung* i *Wesenschauung*«. Myślini Trentowskiego, mówi p. Struve w ogólnym wniosku, daje dowód nadzwyczajnego dyalektycznego uzdolnienia autora; — dzieła innego, przeprowadzonego tak systematycznie i drobiazgowo według zasady dyalektycznej trychotomii nie znamy wcale, ale ta zaleta staje się właśnie źródłem i strony ujemnej dzieła, to jest daje nam próżny formalizm, który zadaje fałsz wszelkim zasadom starej loiki, a nie daje należnie uzasadnionych nowych«. — Następnie przechodzi autor do *Systemu Umnictwa,* czyli filozofii wyobraźni *Libelta* (1850, T. 2). Libelt, bezwarunkowy zrazu wielbiciel Hegla, wyszedł następnie z uznania, że wprawdzie filozofia *rozumu* doszła już swego szczytu, ale że ma ją jeszcze podnieść o stopień wyżej filozofia *wyobraźni* (nim je zakończy i ukoronuje kiedyś filozofia *woli).* »Wyobraźnia ta, przeniesiona od człowieka do absolutu, do pierwotnej zasady wszechbytu pod nazwą *obraźni* boskiej, daje Libeltowi podstawę do rozwinięcia wspaniałej filozofii kształtów« (jest to treść jego dwóch tomów »Systemu umnictwa«), to jest szczegółów tego wszechświata, który się przedstawia jako wynik boskiej imaginacyi, objawiającej swoją potęgę nie jako człowiek w formie oderwanego idealizmu, lecz w formie rzeczywistych dotykalnych kształtów świata. P. Struve potwierdzać się zdaje ogólne założenie autora co do jego zasady i mówi: »nie ulega żadnej kwestyi, że dążność, której poświęca Lib. swoją filozofię, a która ma na celu ogra-

niczenie samowładztwa abstrakcyjnego rozumu, jest nie tylko uprawnioną, ale przejawia się, jak widzieliśmy, w całej historyi naszej nauki od pierwszych początków aż do naszych czasów; niema zatem wątpliwości, że dążność ta powinna znaleźć właściwe uwzględnienie w prawdziwej teoryi poznania«, — »ale, dodaje autor, pytanie: czy i o ile filozofia wyobraźni Libelta przyczyniła się do wykazania znaczenia i doniosłości tej władzy ducha ludzkiego (wyobraźni) w procesie poznania«, i odpowiada: »wyznać musimy, iż to znaczenie filozofii wyobraźni Libelta odnosi się więcej do rozszerzania *estetyki* i do ugruntowania jej na metafizycznych podstawach niż do teoryi poznania«. »Prócz uwagi, iż wyobraźnia jest niezbędnym środkiem uzewnętrznienia się myśli, nie napotykamy w Libelcie żadnego głębszego ani psychologicznego, ani loicznego rozbioru, dotyczącego udziału wyobraźni w poznaniu rzeczy« (272). »Cóż na tem wygrywa logika? teorya poznania? zgoła nic — po cóż więc, dodaje autor, mówić w takim razie o ograniczoności myśli i rozumu, o usunięciu ich samowładztwa, o jakimś bezpośrednim wewnętrznym poglądzie ducha? Jeżeli filozofia wyobraźni, wogóle filozofia intuicyi, chce mieć jakiekolwiek znaczenie naukowe obok filozofii rozumu i myślenia, to musi udowodnić drogą krytycznego i psychologicznego rozbioru, że intuicya doprowadza do poznania i rozwinięcia prawd, które nie są przystępne do dyskursywnych procesów oderwanego myślenia. A tego właśnie Libelt nie uczynił, cała jego filozofia wyobraźni jest niczem innem, jak zastosowaniem logicznego formalizmu do formalizmu estetycznego, czyli imaginacyjnego« (str. 273). W rozbiorze przypomina też autor między innemi następne zdanie Libelta, wyrażone w pierwszym tomie jego *Filozofii i Krytyki*, iż »religia katolicka zniżająca *samowładztwo rozumu*, a przypuszczająca obok niego *wewnętrzny bezpośredni pogląd* ducha, musi być filozofią przyszłości, słowiańską« i taką z tego powodu czyni uwagę: »nie tylko religia katolicka, ale każda przyznaje bezpośredniemu poglądowi

ducha wyższość nad rozum« i nie rozumiemy tem więcej, »dlaczego religia katolicka, najbardziej rozwinięta w szczepie *romańskim,* licząca miliony wyznawców w szczepie *germańskim,* ma być *par excellence* religią słowiańską« (269). — Z kolei mówi autor o filozofii Aug. Cieszkowskiego, to jest o jego traktacie nazwanym *Ojcze nasz* (1848, Paryż); książka ta bowiem miała wyraźnie służyć za prolegomena do filozofii *woli,* czyli czynu. »Cieszkowski, uważa autor, równie jak Libelt, przedstawiają dziwne zespojenie religijnego dogmatyzmu z heglowską dyalektyką«. Cieszkowski mówi: »Świadczymy, że w Chrystusowej Ewangelii znajduje się wszystko, cokolwiek ludzkości było i jest potrzebnem w najprzedziwniejszej harmonii«, wszystko, co w niej jest, jest i musi być prawdą — i podejmuje się przedstawić prawdę najwyższą, myśl samego Boga, nieznaną dotąd ludzkości, a utajoną w Piśmie, a to przez rozwinienie i rozbiór tych wszystkich szczegółów, o które Chrystus polecił prosić w podyktowanej modlitwie. »Dotąd, mówi Cieszkowski, nie postrzeżono w tej modlitwie Pańskiej najważniejszego, bo ostatecznego objawienia i nadzwyczajnego proroctwa«. P. Struve mówi: »Szanujemy bezwątpienia jak najszczerzej wiarę w nieomylność tak wzniosłej i pocieszającej dla ludzkości nauki, jaką jest nauka Chrystusa, ale od filozofii wymagamy filozoficznego rozumowego uzasadnienia tej wiary. Cieszkowski zapewnia nas wprawdzie, że Ewangelia, jak on ją pojmuje według heglowskiej dyalektyki, jest i musi być prawdą«, ale »na jakiej zasadzie sądzi, że Ten, który serca bada, tylko jemu jednemu objawił proroctwa, zawarte w modlitwie P., tego się nie dowiadujemy, to mamy przyjąć na wiarę«. »Świat stary umiera, mówi Cieszkowski, a nowy się rodzi, świat trzeci nastaje. Ustał czas łaski, nastał czas zasługi. Dokonało się miłosierdzie, powstaje zadośćuczynienie. Minęła chwila daremnych darów, nastała chwila obliczenia się«, nastaje słowem epoka czynu, syntezy wszelkich sprzeczności. Proroctwo to trzeciej epoki (to jest królestwo *Ducha* po króle-

stwie *Ojca* i *Syna)* znane jest, uważa p. Struve, od czasów Swedenborga, ale »cóż wygrywa na takich proroctwach filozofia i dążność do poznania prawdy? czy ludzkość nie będzie już potrzebowała dalej pracować nad swoim postępem? nad udoskonaleniem swych stosunków, nad rozszerzeniem swej wiedzy i poznania? a jeżeli tak jest, to przyznajmy, że zachęta do sumiennej i wytrwałej pracy, ukazywanie, jak należy naukowo pracować, szukać i badać prawdę, przyniosą zapewne większe korzyści dla pojedyńczych narodów i całej ludzkości, niż prorokowanie i obietnice świetnej przyszłości«. — W zakończeniu mówi autor obszernie o dwutomowem pośmiertnem dziele Gołuchowskiego: *Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka* (Wilno, 1861). Według zasady autora *Dumań*, wszystkie teorye, na abstrakcyjnej myśli oparte, nie rozwiązują najwyższych zagadnień poznania, trzeba się tedy oprzeć na innym pierwiastku duchowym i przy jego pomocy próbować szczęścia: tym pierwiastkiem jest *wola*, pierwiastek jednoczący *myśl* i *byt*. Na podstawie tej woli ducha osobowego, uważa autor, Gołuchowski dochodzi do pojęcia Boga jako ostatecznej zasady wszelkiej wolności, jako najwyższego *Ducha osobowego*. Pozostaje zatem teraz tylko jeszcze pogodzenie i zjednanie tych dwóch objawów ducha, ducha ludzkiego i ducha absolutnego, żeby rozwiązać wszelkie sprzeczności, będące bodźcem poznania. To pogodzenie i zjednanie widzi Gołuchowski w *miłości*, będącej jedyną absolutną prawdą. »Myśl, mówi Gołuchowski, uznaje, że gdy po długiem błąkaniu się po oceanie *rozumowań* dostała się szczęśliwie do portu *miłości*, łączącej człowieka z bliźnim i Bogiem, dotarła tem samem do absolutnego celu, który pod wszelkim względem przedstawia zaspokojenie«. Widzimy z tego wszystkiego, wnosi autor, że miłość Gołuchowskiego jest dalszem rozwinięciem *intelektualnego oglądania* Schellinga... różnica tutaj polega tylko na tem, że Gołuchowski z czysto filozoficznem i teoretycznem pojęciem intelektualnego oglądania Schellinga łączy znamiona

moralne i uczuciowe, przez co ono staje się właśnie miłością; »byłby to postęp ważny, ale nie możemy dodać, uważa autor, iżby Gołuchowski uzupełnił poglądy Schellinga drogą naukowego i filozoficznego badania; Gołuchowski rzucił w Dumaniach swych nader ważne myśli, ale bez ścisłego obrobienia«.

W tych rysach skreśloną jest przez autora historya Loiki (czyli filozofii) w ogólności, a w szczególności u nas. Na pierwszej stronie pisma obecnego p. Struve mówi: »Jeżeli gdzieindziej wydanie nowego opracowania nauki, posiadającej tak bogatą literaturę, jak loika, wymaga pewnego usprawiedliwienia, to przeciwnie u nas *ubóstwo literatury naukowej,* a mianowicie filozoficznej, nadaje każdemu przedsięwzięciu tego rodzaju racyę bytu«. Twierdzenie takie, które każdemu cudzoziemcowi kazałoby wnieść, że literatura filozoficzna polska nie jest bogatszą od kroackiej albo łużyckiej, zostaje jednak w kontraście z tym jej wywodem, który sam aut. następnie czyni, a z którego właśnie widzieliśmy, iż uprawa tej gałęzi w kraju jest dawna, w publikacye szczególne obfita, a nawet, według słów własnych tego zarysu, nie próżna już loik i świetnie opracowanych i samodzielnych; wnieść więc chyba wypada, iż autor przez ten wyraz »u nas«, rozumiał tylko Warszawę, lub też, iż oswojony z literaturą tak bogatą w loiki jak niemiecka, literaturę ustępującą jej liczbą dzieł uważa za ubogą, lub też wreszcie, iż wyrażając te słowa, miał tylko na myśli treść tomu wydawanego, t. j. *historyę logiki,* treści tej bowiem rzeczywiście brak był dotąd naszej literaturze. — Zarys ten historyczny skreślony jest, jak to widzieliśmy, lubo treściwie, ale krytycznie, a krytyka tu nie jest jednostronną, lecz wychodzącą z możliwie obszernego stanowiska; nie tylko więc z historyi filozofii nie wykreśla pewnych kierunków (jako to: już czysto empirycznych, już mistycznych), jak to czyniły niektóre filozofie w Niemczech, ale mówi o filozoficznych produkcyach wszelkich kierun-

ków, realnych, idealnych i nawet mistycznych, o ile te istotnie są racyonalne.

Wdzięczni mianowicie jesteśmy za przypomnienie i łączne zbliżenie ogółu naszych pisarzy w gałęzi filozoficznej; jak historya przebiegu naszej umysłowości wogóle, tak w szczególe, pomijana zwykle w historyach naszej literatury gałąź filozoficzna, znajdują tu rozjaśnienie. Moglibyśmy się nieraz zapewne różnić ze sposobem zapatrywania się autora już na ten, już na ów szczegół myślenia, lub historyczny, żądać innych granic lub miary treści we wzmiankach, wogóle jednak skreślony obraz może się nazwać wiernym.

Kreśląc obraz epoki 1-szej, autor słusznie uważa, iż oprócz scholastyki cieniują w tym czasie badającą umysłowość krajową i zamiłowania w studyach klasycznych; lecz zdaniem naszem więcejby tu zgodnem było z przedmiotem głównym zwrócenie np. bliższej uwagi na praktyczne zwroty w traktatach Jana z Głogowy (np. w jego Psychologii), na odróżnianie ówczesne znaczeń Loiki starej i Loiki nowej, niż sławienie po kilkakroć jako przedstawcy i sprawcy kierunku w filozofii krajowej, Grzegorza z Sanoka. Grzegorzowi z Sanoka niektórzy z historyków naszej literatury wydźwignęli zupełnie niewłaściwie kolos filozoficzny, Wiszniewski poświęcił mu nawet osobny rozdział p. n.: Filozofia rodzima i zowie go »geniuszem nadzwyczajnym i który prześcignął wiek«. Prześcignienie to miało zależeć na tem, iż szydził ze spółczesnej mu filozofii scholastycznej (której jednak nie znał) i nazywał ją »marzeniem na jawie« *(somnia vigilantium);* ale z filozofii tej szydzili podobnie wtedy i niejeden historyk i niejeden poeta (u nas np. u biografa Długosza z XV. wieku nazwaną była *studia depravata, Janicki* mówiąc o niej w *Eleg. XI. w. 13,* nazwał ją ślepą nocą »cum *coecis* nobis *noctibus*« i t. p.). Kilka zdań dowcipniejszych, które obowiązany i wymowny Kalimach w życiu *Grzegorza z Sanoka* przypisał mu, a które całą są jego spuścizną filozoficzną, nie oka-

zują wcale żadnej nad wiek wyższości. Belletrysta zrazu z zawodu, Epikurejczyk (mimo urząd arcybiskupi) z życia, Grzegorz z Sanoka nie był wprawdzie wyrazem martwości umysłowej, miał być nawet historykiem, lecz niewłaściwie do liczby filozofów jest zaliczany.

Okres 2-gi autor nazywa odpadnieniem do scholastycyzmu z całą jego przesadą; o kierunek ten obwinia głównie zakon jezuitów, i wyraża się silnie o ujemnych stronach tego zakonu. »Ciemnota i demoralizacya narodów, mówi tu między innemi, była głównem hasłem jezuitów« etc. (255). Obwinienie to brzmi mniej właściwie, choćby już dlatego, iż, jak widać z samych szczegółów zarysu autora, autorami najliczniejszych traktatów w tej epoce umysłowej martwości byli właśnie jezuici, a w traktatach tych, według własnych słów jego, oni najdłużej przechowywali smak dobry (Śmiglecki), i najpierwsi uczynili następnie zwrot od scholastyki (Dobszewicz).

W charakterystyce dwóch następnych okresów uprawy filozoficznej w kraju, autor słusznie pierwszy z nich nazywa sensualistycznym, drugi kantowskim, jakkolwiek bowiem w biegu pierwszego odznaczył się głównie Narbutt Wolfianin, a w biegu drugiego Śniadecki Jan, stronnik Locka, lecz śród całości tych epok kierunek zrazu sensualny a następnie kantowski były znacznie przemagające.

Co do ostatniego okresu aut. słusznie także uważa, iż ten się zaczął i rozwijał pod wpływem Hegla, nie wiemy jednak, dlaczego z szeregu pisarzy filozoficznych polskich usunięty został *Hoene-Wroński?* Zapewne wpłynęły na powód lub cudzoziemskie z rodu nazwisko autora (Hoene), lub też używanie przezeń obcego języka w swych pismach; z cudzoziemskiej jednak podobnież rodziny był Leibnitz (Lubieniecki), cudzoziemskim pisał językiem, mimo to jednak i mianym był zawsze za Niemca i był nim. Samo przybranie przez *Hoenego* we Francyi nazwiska *Wroński* objaśnia, do jakiej siebie odnosił narodowości, a główna cecha rozwijanego przezeń systematu (działanie mesyaniczne,

wiek Parakleta), jest właśnie cechą, która też odróżniła następnie dobitnie i łącznie główne filozoficzne pisma pisarzy polskich. Nie zgodzilibyśmy się z autorem, iżby filozofia Trentowskiego mimo wszelkie podobieństwa, które wskazuje, i mimo odbijanie może rzeczywiste niejednego pomysłu Krausego, w ogóle swoim uważać się mogła za naśladowanie Krausego. Odbijanie się i krzyżowanie *pomysłów* w pismach filozoficznych (jak *obrazów* w poetycznych) jest naturalne, konieczne, lubo nawet nieraz bezwiedne. Ileż takich brał żywcem Hegel z Platona i Nowo-platonistów, ile wziął od spółczesnych, a mimo to system jego uważać inaczej nie można, jak samodzielnym. Nie powtórzylibyśmy też z autorem, iżby *System Umnictwa* Libelta był bezowocnym pod względem oznaczenia udziału wyobraźni w procesie poznania; ani tem więcej, iżby to dopuszczenie przybliżenia się duchowego wieku nowego, z jakiego wychodzi autor *Ojcze nasz,* miało być wadą przez to, iż pomysł to nie jest nowy, oraz iż musi usuwać dalszą potrzebę zasług i pracy. Autor słusznie wprawdzie zaprzecza twierdzeniu tego pisarza, iż nowy wiek przybliżony wpłynąć winien na zmianę stosunku woli ludzkiej do bożej, lecz przyznawanie tego zbliżenia za rzeczywistość stać się tylko może nową zachętą, otuchą w badaniach i pracy, nie zaś zmuszać do zaprzestania ich. Nie zgadzamy się także z przytoczonem powyżej (w mowie o »Ojcze nasz«) zdaniem autora, iżby danym jednostkom nie mógł służyć przywilej do rozróżniania wyraźniej i skuteczniej od innych, istnących prawd.

Nie dopuszczając wiary w wiek nowy, protestuje też między innemi autor przeciw nazywaniu nowego filozoficznego okresu (jak to czynili Libelt, Cieszkowski i inni) nazwiskiem filozofii słowiańskiej i tak mówi między innemi: »Nie rozumiemy, dlaczego postęp historyi wogóle a w szczególności i historyi filozofii wymaga poniżenia tych szczepów, które dotąd były podporą oświaty, na korzyść szczepów młodszych, dochodzących dopiero w nowszych czasach do świadomości swej historycznej misyi,

jak gdyby wszystkie szczepy, zaludniające Europę, razem połączonemi siłami nie mogły pracować nad postępem oświaty i jak gdyby taka połączona praca wszystkich szczepów nie zawierała większej rękojmi prawdziwego postępu, niż skazanie na śmierć jednego i fantazyjne wywyższenie drugiego«. Są to uwagi w znacznej części słuszne, a odparcie powyższego nazwiska, nadawanego nowokształcącej się filozofii słuszne zupełnie, bo jakkolwiek przybywanie kolejne plemion po plemionach dla odegrania roli, tak w historyi zewnętrznej, jak wewnętrznej ludzkiej, jest faktem, i jakkolwiek postawienie nowej zasługi, chociażby bez znoszenia zalet poprzedniej zasługi, ma zwykle cechy postępne, to jednak istotnie zajmująca się jakąś pracą cząstka danego plemienia nie może robić solidarnym i w złem i w dobrem reszty plemienia i przybierać jego nazwiska; nikt np. filozofii francuskiej z XVIII. wieku nie nazywał filozofią latyńską, angielskiej lub niemieckiej celtycką itp.

Co się tyczy wreszcie tych zasad ogólnych, z których wychodzi oraz ma wyjść rozpoczęta obecnym tomem Logika p. Struve, o tych naturalnie sądzić nie mamy prawa i nie możemy, nie widząc jeszcze książki. Autor mówi, iż wychodzić ma ze stanowiska eklektycznego, *realno-idealnego,* ale mamy powody wątpić, czyli to będzie szczerem. Któryż bowiem autor systemu zapewniał kiedy inaczej? I Locke np. za pierwiastek integralny swego systemu uważał idealizm (refleksyę), i Hegel za pierwiastek integralny swego: realizm (przedmiot); lecz w szczegółach rozwinienia systematów zawsze jeden z pierwiastków tych okazywał się wkońcu illuzyą. Rzetelny *idealno-realny* system mógłby tylko być wtedy, gdyby autor dwa byty: *realny* i *idealny* w *prostocie sądu* uważał za rzeczywistość, lecz uznawanie takie musiałoby też pociągnąć przyznawanie za prawdę uznań leżących w *zgodzie powszechnej,* t. j. w tem, co np. szkoła szkocka Reida nazywała *common sense,* a tymczasem według autora: »Teorya ta szkoły szkockiej

(common sense) wyłącza możność wszelkiej gruntownej i krytycznej filozofii« (91).

Nie zaprzeczamy jednak, iż wszelki kierunek w badaniach, taki lub inny, skoro tylko uprawiany jest w prawdzie, posuwa poznanie prawdy. Z loik naszych najnowszych, Loika Józefa Kremera, zatrzymująca formalizm Hegla, a dochodząca do innych wniosków niż te, które były źródłem jego budowy, jest świetną wprawdzie, lecz próżną zabawką metafizyczną. Loika narodowa Trentowskiego jest przez to nader nienarodowa, iż polega na pomieszaniu i skrzywieniu znaczeń wyrazów krajowych i opiera się głównie na nieistniejących wcale (jak *mysł* itp.); otrzymanie więc Loiki nowej, Loiki zwłaszcza, która mogłaby służyć za drogę nie tylko kształcenia form myśli, ale poznania prawdy, którąby się oparła na duchu eklektyzmu nowego, i która zwłaszcza wyszłaby z tak ukształconej racyonalnie myśli, jak jest autora obecnego Wstępu, za nader pożądany dla literatury krajowej uważalibyśmy przybytek.

1871.

Synteza dwóch światów, szkic filozoficzny, napisał Henryk Struve. Z dodaniem dwóch urywków. I. Poezya, Religia i Filozofia. II. Przeszłość, Przyszłość i Teraźniejszość. Warszawa, Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1876.

Miła to niespodzianka śród tak powszechnego, jak jest dzisiaj, zajmowania się światem zewnętrznym, praktyką życia, spotkać się z pismem, które się zwraca zarazem i do tajemnych stron bytu, do stron duchowych; milsze to jest tem więcej, jeżeli charakterem tego zwrotu jest nie ironia, przeczenie, ale twierdzenie; a jakoż tem bardziej, jeżeli myśl, która kierowała tem pismem, jest to myśl nie poczynająca lub błędna, ale znana już i z zasług i z krytycznej znajomości swego przedmiotu.

Przypadek ten jest właśnie z pismem powyższem. Pióro dra Struve znanem jest czytelnikom, i owszem, znane

jest dzisiaj ono ze swej czynności a czynności dodatniej, na polu nie tylko naszej literatury.

Nim o piśmie tem z punktu naszego widzenia wyrazimy kilka uwag bliższych, mamy za obowiązek przytoczyć tu naprzód treść dziełka: bez tego szczegółu, uwagi o danem piśmie, zdaniem naszem, nie mogą nigdy być jasne, a zapoznanie się nadto, jak w obecnym przypadku, z treścią myśli przeważnie dodatnich nie może też być bez korzyści dla czytelnika.

Najogólniejszą treścią pisma dra Struve jest, jak to objaśnia sam napis: *Synteza dwóch światów*. Jakież to jednak są te dwa światy, o których tu mowa, objaśnić wypada. Wnieśćby można najprędzej, iż mowa tu jest o świecie *Ducha* i świecie *Materyi*, i że autor jeden z tych pierwiastków bytu uważając za tezę, drugi za antytezę, mówi o skojarzeniu ich. Tak jednak nie jest. Dwa światy, o których mówi dziełko, są to tylko, jak to sam autor zgóry objaśnia, świat *uczuć* i świat *myśli* człowieka; właściwie więc nie tyle to są dwa światy, jak raczej dwie krainy jednego świata (ducha ludzkiego). Świat *Przyrody*, świat *Dziejów*, świat *Ducha-Przyczyny*, uważane w sobie, pozostają tu zewnątrz; gdy jednak to, co wypełnia świat uczuć i myśli ludzkich, są to właśnie te różne szczegóły Bytu, przeto i cała powyższa treść weszła w zawarcie dziełka, z różnicą, iż jest oceniana nie tyle w sobie, ile głównie pod względem swego stosunku już do uczuć, już do myśli człowieka. Treść dziełka, dla zaznajomienia czytelnika nie tylko z myślą, ale i sposobem wykładu, będziemy się tu starali przytaczać najwięcej własnemi słowy autora.

W krótkiem *słówku wstępnem* do czytelnika, autor objaśnia treść i charakter swego utworu. Wspomniawszy tu o łączności niegdyś poezyi i filozofii (Platon) i o rozdzieleniu się tych dwóch pierwiastków na dwie oddzielne i nieprzyjazne sobie drogi *uczucia* i *myślenia;* zwraca uwagę, iż w obu tych drogach jednak jest cel jeden, t. j. »utworzenie spólnego domu piękna, dobra i prawdy« — i dodaje:

»Szkic niniejszy pragnie być właśnie bezpośrednim wyrazem tej łączności.« »Autor (szkicu) kreśląc go, nie był ani *abstrakcyjnym* myślicielem, ani *fantastycznym* poetą, ale *człowieckiem*«. Pierwiastek jeden uosobił się tu w treści, drugi w formie. «Refleksya filozoficzna w szacie świątecznej (poetycznej) oto treść i forma tego szkicu«.

Sama treść rozwiniętą następnie została w 3-ch oddziałach, z których pierwszy określa główny przedmiot, drugi mówi o głównych kwestyach w piśmie dotkniętych, trzeci wreszcie schodzi do wniosków, czyli na pole praktyki. Oddział I ma napis: *Ludzkość na rozdrożu dwóch światów*. Niegdyś, w pierwiastkach wszechistnienia, zjawiona na ziemi Ludzkość, ujrzawszy, co ją otacza, olśniona, wymówiła wyraz: Bóg, Przyroda, Duch wiekuisty, Świat nieskończony, a głosy sfer stworzenia wtórowały w tem jej słowom zachwytu. »Śród tych westchnień głębokich i tej harmonii sfer, mówi autor, ujrzały światło dzienne pierworodne dzieci ducha Ludzkości, dnia jednego zrodzone i zaledwo o kilka godzin wiekiem od siebie różne«; starszem była córka: Uczucie, które się wyrażało dalej jako Wiara, Poezya; młodszem syn, Umysł, który wydał Wiedzę, Badania. Matka z wielką miłością spojrzała na dwoje swych dzieci. »Córeczkę, mówi autor, ubrałaś (Ludzkość!) w promienie słońca, a za siedzibę dałaś jej niebo; dla synka zbudowałaś kolebkę skromną, i marzyłaś o szczęściu rodzinnem, wzajemnej miłości tych dzieci«. »Siostra, myślałaś, weźmie nieraz do siebie braciszka, pokaże mu złotą światłość niebiańskiej ojczyzny i obudzi w nim tęsknotę do sprowadzenia nieba na ziemię. A brat znowu, sądziłaś, weźmie nieraz pod rękę siostrę i poprowadzi po polach i ogrodach ziemi... Jakże się pięknie dopełniają te moje dzieci! wołałaś, jakaż doskonałość przeniknie całe istnienie, gdy dorosną, dojrzeją. Niebo i ziemia zbratają się wtedy i spłyną w jedno objęcie. — Pod opieką tych marzeń maki, dorosły dzieci, lecz cóż się stało, że marzenia jej tak zawiedzione zostały? że zamiast nieśmiertelnej miłości, nie

śmiertelna nienawiść wzajemna stała się ich udziałem? Córka niebios, zakochana w widoku ich nazbyt, wzgardziła ziemią. Brat własny wzgardzony przez siostrę, szedł ku niej, lecz pożałował ziemi: »z drabiny, po której piął się do niebios, spadł, a chociaż głowa i członki mu pozostały, chociaż podrosły, zmężniały, ujrzał się panem świata, ale mu pękło *serce*«. I na taki to los tych dzieci i walki ich dzisiaj patrzymy. Filozofia pękła dziś od nadmiaru treści. »Poezyi zdjęto z głowy koronę złotą, a na jej miejscu błyszczy korona papierowa«. »I w życiu społecznem wszystko się chwiać zaczyna: Giełda, świątynia Plutusą, staje się najwyższym wyrazem życia, skupia w sobie system nerwowy narodów... Gorączka zaczyna trawić cały ustrój... Żołądek napchany... papierami wszelkiego rodzaju... nic już więcej przyjąć nie chce: wyrzuca wszystko«. »Religia i moralność, to dźwięki przebrzmiałe... Prorocy nowych światów wołają, że to fantazye: Świat oto Bóg, to Bóg prawdziwy i żywy«. I wyglądają nowej ery i nowej wiary, a każdy ją inaczej pojmuje! — »Cóż teraz, matko! po którejże stronie staniesz? czyliż możesz uwierzyć, iż nowa era świata, era jej szczęścia zawisła od gwałtownej śmierci jednego z twych dzieci«? »Jeśli syn twój, pan ziemi, zwycięży siostrę, królowę niebios, ach, wtedy słońce i gwiazdy zgasną na niebie, a syn twój na zmarzłej ziemi samobójstwem zakończy. Jeżeli córka, tedy nałoży kajdany na nogi syna i ziemia cała zamieni się w jeden stos gorejący«. »Ludzkości biedna! ty rzeczywiście stoisz dziś na ponurem rozdrożu dwóch światów« — ale »ja znam twe serce: ty nie chcesz rozstroju, niezgody; nie wydrzesz ze serca swego, ani córki; posłanki niebios, ani syna, pana ziemi«.

Oddział II-gi ma napis: *Niebo i Ziemia, Duch i Materya, Bóg i Świat.* »Co jest ziemia, co niebo, w ogólnym przestworze wszechbytu? czy jest jaka między niemi różnica«? — Żadnej. — »Tam, gdzie te gwiazdy dziś się znajdują, tam, dokąd dziś wzdychamy, tam, na tem samem miejscu będziemy jutro, będziemy rzeczywiście, w dosło-

wnem znaczeniu, bez żadnej poetycznej przenośni. Te gwiazdy niby dalekie, niedoścignione, to nasi towarzysze we wspólnej podróży, po wspólnem niebie... sam Bóg nie dał nam nieba bez ziemi, lecz ziemię śród nieba«... »Wy, którzy nie wierzycie w żadne niebo a tylko w ziemię, podobni jesteście do owych tchórzów na okręcie, którzy lękając się oceanu, kryją się w głąb kajuty... Wystąpcie tylko na pokład, a tchnienie nieba na nowo was ożywi; zobaczycie wszystko, w co teraz wierzyć nie chcecie» str. 29. (Wtrąćmy tu uwagę, iż nieodróżnienie w tem miejscu przez autora znaczeń *nieba* i *firmamentu*, czyni nie jasną myśl syntezy i tej lekcyi do materyalistów zwróconej). Czemże jest teraz właściwie *duch*, czem *materya?* »Duchem jest wszystko, co czuje, myśli, działa«. »Miłość, radość, nadzieje, to nie abstrakcye. Gdzie niema czucia, myśli, działania, tam mów o wszystkiem, tylko nie o duchu«. »Wymysłów abstrakcyjnych, cieniów fantazyi, które w tobie tylko żyją, a same w sobie nie czują, nie myślą, nie myślą, nie działają, nie nazywaj duchem« str. 32. (Niejasne także: między *cieniami* fantazyi i blaskiem fantazyi, między *wymysłami* a myślą, jakaż jest pod względem duchowości różnica?) Cóż jest materyą? »Czy materyą jest to wszystko, co nie czuje, nie myśli, nie działa«? »Lecz takie określenie musiałoby pozostać bez odpowiedzi. Czyż w stanie jesteś wyskoczyć ze siebie i przenieść się w serce innej, obcej istoty, aby wyrokować o jej stanach wewnętrznych«? »Spójrz na kryształ... czyż w jego symetrycznym układzie, w jego pięknych formach nie przejawiają się ślady myśli, porządku, poczucia poetycznego?... i czyż dlatego mamy ich zaprzeczyć, iż utwór ten nie ma mowy nam znanej?... Palec u twej ręki czy posiada sam w sobie czucie, myśl a tem więcej duszę?... a jednak w łączności z ręką i całem twem ciałem czyż palec nie żyje?... Dlaczegoż więc nie miałbym równie powiedzieć, że wszystkie kryształy ziemi wraz z niebotycznymi wierzchołkami jej gór, są palcami jednej olbrzymiej prawicy, w której się

przejawiają czucie, myśl i wola«?... »Rozbiór kilku atomów istnienia, oderwanych sztucznie od związku z całością, nie daje ci żadnego prawa zaprzeczać istnienia życia wewnętrznego, ducha, odmawiać mu czucia, myśli i woli« str. 37. Czemże więc jest materya? »Materyą nie to jest, co nie czuje, nie myśli, nie działa, co jest pozbawionem życia wewnętrznego; lecz tylko co nam opór stawia«. »Wszystko, co obce, co nie ja, przedstawia mi się w formie materyi... nawet sam Duch najczystszy, Bóg«. »Między twoim duchem a bożym, między twoją myślą a myślą bożą, niema próżni wypełnionej jakąś grubą materyąt nazwaną światem; nie! gdzie twoje istnienie, twój duch się kończy, tam zaczyna się istnienie, duch samego Boga«, str. 42. »Niech ci tedy prorocy materyi co chcą powiedzą o początku i rozwoju świata, niech ci wykażą, że świat cały powstał z jednej chmurki eteru, życie na nim z jednej komórki, będzie to tylko zawsze wykład powierzchowny szaty świata, nie jego treści wewnętrznej, ducha«. »Powiesz może, że to panteizm, ale tak nie jest; wszakże myśląc o Bogu, odróżniasz Go od siebie... świat nie jest Bogiem, lecz tylko objawem Jego ducha, Jego życia wewnętrznego... Wszechobecność ducha bożego... nie narusza bynajmniej ani istnienia Jego odwiecznej świadomości, ani też bytu istot samodzielnych i wolnych. Lecz w ten sposób, mówią materyaliści, istnie *Konieczność*, a wobec konieczności jakoż może istnieć Bóg wolny, i ludzie wolni?« — Dla objaśnienia tego przedmiotu, autor rozdziela Konieczność na realną i abstrakcyjną, i w duchu obu wyraża między innemi następne uwagi: »Skądże tobie przyszła myśl o Konieczności? Oto wyłącznie tylko z doświadczenia, że doznajesz bezpośrednio swej zależności od wyższych sił, *od pewnego porządku* wewnętrznego i zewnętrznego«. »Lecz ta potęga, która mnie ogranicza, czy ulega także jakiej trzeciej potędze«? »Poza istnieniem i nad istnieniem, jest nic, a nicość nie jest żadną potęgą«. »Konieczność w prawach natury (właściwie więc) to niekonieczność, to tylko

stałość, niezmienność, porządek, które wcale nie wyłączają wolności, swobody, samodzielności; czyż bowiem istota wolna nie może być stałą w swych postanowieniach, i przejawiać swą wolę niezmiennie w porządku«? str. 51. Im więcej się przyglądamy potędze istnienia, tem więcej rozróżniamy w niem: Rozum, Porządek, Myśl. »Czyż więc można się dziwić, że Istota wszechbytu jako Rozum Najwyższy nie odstępuje od porządku raz w życiu wprowadzonego«. »Konieczność przeto istnie, lecz nie koniecznie ślepa, ale wynik jasnej, rozumnej myśli«. — W oddziale tym, widzimy, brak jest wzmianki o *nieporządku*, stronach ujemnych w stworzeniu. Przedmiotu tego dotyka jednak właśnie autor przy zwrocie myśli do praktyki, t. j. w rozdziale 3-m, który ma napis:

(III.) *Rozwój Ludzkości.* — W całym świecie, który jest zewnątrz człowieka, widna jest dziwna harmonia: rozstroju niema. Dlaczegóż jednak człowiek jest dziś w kolizyi z naturą, ze światem zwierząt, z sobą? »Istotną przyczyną tego jest rozstrój wewnętrzny, który duchem ludzkim owładnął podczas procesu jego dojrzewania«. (str. 58.) Skądże pochodzi ten rozstrój? Dziecko rośnie szczęśliwe, o samobójstwie nie myśli... ale duch w swym procesie dojrzewania, skupił się i wydał samowiedzę; ta wzrosła dumnie, i stawszy się królową, podbiła i potrąciła wszystkie inne pierwiastki ducha ludzkiego... Zaprzeczyła istnienia wszelkiego nad siebie wyższego... i korzyła się tylko (czas jakiś) z musu przed światem zewnętrznym«. Cóż stąd wynikło? oto rozstrój w samym jej duchu. Uznawszy siebie za cel ostateczny istnienia, wzgardziła resztą bytów i tym kierunkiem odznaczały się jej uczucia, jej myśl, jej dążności. Gdy z uczuć zniknęła *miłość*, rozdzieliła się na narody, a w sercach zapanowały zazdrość, nienawiść. *Myśl* rozwija tylko abstrakcye »bez znaczenia i treści rzeczywistej«. *Wyobraźnia* zmalała, a umysł lituje się nad nią. *Wola* powstała i uzbroiła się przeciw wszystkiemu, nawet prawu. *Samowiedza* (egoizm) pobiwszy wszystko, straciwszy do wszystkiego szacunek,

nawet do wszystkich sobie podobnych, więc z kolei dla samej siebie, wpada w szał i prowadzi walkę z ziemią i niebem«. s. 64. Dzieje Ludzkości, to obraz strasznej tragedyi. «Spójrz na to wszystko, co w nich największe; na mędrców i na bohaterów, samych religijnych wyznawców: wszędzie jęki boleści, krwi, śmierci«. str. 86. Dobitnie kreślą to pessymiści i przynajmniej (uważa autor) »nazywają zło złem, nie uginając kolan przed prawem walki o byt«. Wadą ich tylko, że stracili wiarę w Ducha kierującego dziejami, a przerażeni widokiem dwóch pierwszych aktów, nie czekają ani na kulminacyę, ani na rozwiązanie tragedyi... zaprzeczają, iżby ostatni akt mógł się skończyć oczyszczeniem bohatera, apoteozą«. str. 68. Widzą oni we wszystkiem wyraz tylko *nierozumu,* złej woli, zapominając, że sama ta rozpacz z powodu rozstroju ludzkości, jest »bezpośrednim objawem wyższego sądu, wyższego rozumu, działającego w ich duchu«. Wadą ich »branie momentów przejściowych za całość«. Poprawcie własny swój rozstrój, a stopniowo zmniejszać się będzie rozstrój ogólny, a urzeczywistniać na ziemi prawo porządku«. (str. 70). Ale owo prawo porządku, owa apoteoza, to utopia! wołają realiści; odpowiadając odwołuje się autor »do uniwersalnego prawa Harmonii«. »Czyż chcecie, mówi, abym zadał kłam niebu nieskończonemu, w odwiecznej harmonii nad ziemią królującemu, dlatego tylko, że na najmniejszym zakątku tego nieba zdarza się szereg zboczeń, które, w porównaniu z nieskończonością tego świata, w rachubę wchodzić nie mogą«. (str. 77). »Prawo realnego rozwoju i ciągłego postępu faktami jest dowiedzione«. »Znamy dopiero kilka tysięcy lat ludzkiego rozwoju, a mogą ich być jeszcze miliony... Jeżeli więc zestawienie rozwoju ludzkości z rozwojem pojedyńczego człowieka jest dozwolonem... to ze wszystkich cech psychicznych, jakie dotąd przejawiła ludzkość, wnieść potrzeba, że się dopiero znajduje w swym wieku *chłopięcym* (t. młodzieńczym)«. Świat dawny był to świat dzieciństwa, zabaw i fantazyi. Chrześcijaństwo (jak Rodzice) na-

uczyło ludzkość (dziecinną) moralności, a dzisiaj oddaną została do szkoły. Trudno jeszcze (zdaniem autora) dopatrzyć się w niej cech wieku dojrzalszego; jestże w niej to poczucie, iż razem z ziemią swoją jest cząstką wielkiego nieskończonego społeczeństwa światów niebieskich?... Jest ona jak młodzieniec, który uległość dla wyższej potęgi ma za ubliżenie swej osobistej godności... Nie zna jeszcze swego zadania w przyszłości, a myśli tylko o tem, aby wyrwawszy się z czasem z pod władzy rodziców i nauczycieli, nikomu nie ulegać i nic nie robić«. »Lecz z tego, co poznaliśmy dotąd z dziejów, wnieść już możemy, iż rozwój ludzki zmierza jak najwyraźniej do coraz większego usunięcia wewnętrznego rozstroju ducha ludzkiego, a tem samem do pojednania człowieka z światem zewnętrznym, z powszechną Istotą wszechbytu. *Taki jest cel ostateczny dziejowego rozwoju* uczucia, myśli i woli całego ducha Ludzkości; taki cel zasadniczych przejawów tego ducha: Religii i Sztuki, Filozofii i Nauk, Prawa i Społeczności«. (str. 84). (Tu następuje krótkie objaśnienie każdego z tych twierdzeń). »*Religia* zawsze była najgłębszym pośrednikiem między niebem a ziemią... W najwyższym swoim przejawie, *chrześcijaństwie*, wystawiła przed duchowe oko ludzkości najwyższy ideał powszechnej harmonii i porządku, pojednania człowieka z Bogiem, światem i samym sobą. Syn Boży staje się człowiekiem, wszyscy braćmi i siostrami, dziećmi jednego Ojca. Jego Duch (pokoju i miłości), Duch Święty zstępuje na Ludzkość, i pracując w głębi jej ducha, sprowadza spełnienie czasów, niebo na ziemię«. (str. 85). Jest to rozwój wprawdzie powolny bardzo, ale niemniej przeto wyraźny i stanowczy... i nie mamy powodu powątpiewać, że z czasem powstaną we wszystkiem pośród ludzkości formy odpowiadające ideałom chrześcijaństwa«. (str. 86). — *Poezya* i *sztuka* mają toż samo zadanie: pojednanie nieba i ziemi, ducha i materyi. »Religia sprowadza niebo na ziemię, Sztuka podnosi ziemię ku niebu. Daleki to jeszcze czas, w którym sztuka tem stanie się

dla ludzkości, czem jest teraz dla niektórych jednostek; lecz gdy nadejdzie, połączą się świat nadziemski i ziemski, boski i ludzki, realny i idealny. Miłość Boga, świata, ludzkości, pojedna je na wieki«. (str. 88). — Czego dokonywa Religia i Sztuka w obrębie uczucia, tego *Filozofia* z siostrami swemi (Nauki) w obrębie myśli Filozofie były zbiorem dotąd samych antytez, ale duch czasu i naturalny rozwój myśli ludzkich domagają się podania im syntezy. Filozofia zacząwszy od idei, rozumu, przez sam ten rozum doszła w końcu do realizmu; nauki specyalne (przeciwnie) od tego ostatniego (realizmu) zaczęły, ale pod badawczem okiem genialnych przyrodników, tak zwana gruba materya ulatniała się coraz, aż przyjęła formę teoretycznej abstrakcyi, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością (realnością) (str. 91).

I wreszcie (na zakończenie tego oddziału i książki), autor rzuca spojrzenie na fakta objawu *woli*, czyli dziejowy los społeczności ludzkiej, uważany w stosunku syntez, i powtórzymy tu myśli główne. »Czem jest sumienie dla jednostkowego człowieka, tem jest prawo dla narodów i Ludzkości«. »Jak dziewica nigdy nie zapomni serdecznych marzeń pierwszej, czystej miłości, tak Ludzkość nie porzuci nigdy wiary w Chrystusa«. »Lecz między ideałem i jego urzeczywistnieniem, między pierwszą miłością i ołtarzem, leży długi czas wyczekiwania, i powolnych przygotowań. Serce nieraz powątpiewa, nieraz swe ideały porzuca, nieraz zawiązuje nowe, mniej idealne stosunki... Oto stan dzisiejszego społeczeństwa Ludzkości. Ideały zjednoczenia, braterstwa pracują w głębi serca, znajdują nawet pewien wyraz w dążnościach ku uniwersalnemu zespoleniu Ludzkości... ale wszystkie te dążenia, nacechowane są jeszcze wielką niedojrzałością«. »Kierownicy tych dziejów zbyt często podobni są jeszcze do swawolnych chłopiąt, co siedząc na przedzie wózka, poganiają rumaki do śpiesznego biegu wykrzykami szaleństwa lub nawet wyraźnymi razami bicza. Niema pod tym względem, uważa

autor, żadnej różnicy między *czarnymi* (inkwizycya) i *czerwonymi* (gilotyna) i dodaje: »Biedna ludzkości! jeszcześ daleka, bardzo daleka, od spełnienia swych najwznioślejszych ideałów, ale nie trać nadziei... przypatrz się tylko owemu stopniowemu udoskonaleniu prawa i form społecznych, które ci dzieje wykazują. »Idea słuszności, szacunku, wzajemnej pomocy, zaczyna kiełkować w rozdrobnionem ciele ludzkości i znajduje coraz dobitniejszy wyraz w prawie międzynarodowem, w idei kongresów; pierwszy to krok, ale przewidzieć łatwo, że Ludzkość dojdzie z czasem do tego, że patrzeć będzie na wewnętrzne krwotoki, nazwane wojnami, jako na objawy patologiczne, i więcej ich nie dopuści«. — Jak prawo, tak też od niedawna upowszechnione formy społeczne dążą do coraz szerszego zjednoczenia Ludzkości. Na polu dążności *religijnych*, uczuciowych, taż sama syntetyczna, uniwersalna tendencya przejawia się w idei *jednego powszechnego kościoła.* (str. 103). Na polu życia praktycznego, ta syntetyczna dążność przejawia się coraz dobitniej w stowarzyszeniach dobroczynnych, wzajemnej pomocy, w asocyacych różnego rodzaju... w rozwijającej się coraz wybitniej opinii publicznej i jej organie: prasie«. »Wszystkie te formy wprawdzie są jeszcze w kolebce, ale idea istnie. Idea to życie Ludzkości, to twórcza potęga, która w historyi wyradza coraz doskonalsze, zupełniejsze organizmy, aż w końcu całą Ludzkość obejmie jedną formą społeczną, ożywioną jednym spólnym duchem«. (str. 88).

W takich ramach i szczegółach rozwiniętą jest »Synteza dwóch światów« — dra Struve. Czytelnik nie może zaprzeczyć, iż w swym charakterze przeważnym treść ta jest istotnie syntezą. Stojąc na stanowisku umysłów, do których głos dziełka głównie jest zwróconym, t. j. materyalistów i pessymistów, sądzimy, iż ci (jeżeli tylko pierwsi zechcą rozumieć i przyjąć wykład przez allegorye) nie będą mogli nie uznać trafności wielu spostrzeżeń, jak to np. że dwa światy *uczuć* i *myśli*, to dzieci jednej matki (du-

cha ludzkości), a stąd równe prawo mają do bytu, równe do jej miłości, równie są prawdą; że zwrócenie myśli do wszech przestrzeni, wszech związków, zmusza do uznania praw pewnych wewnętrznych, tkwiących w materyi, a więc powszechnej spójni materyi i ducha, do bytu ducha, że wadą pessymistów dzisiejszych jest, iż momenta bytu przejściowe uważają za wypadkowe, za stałe: iż wychodząc z uznania widnych śród świata nieporządku i nierozumu, tem samem uznają sami tkwiące w umyśle swoim (a więc w treści wszechbytu) pierwiastki porządku i rozumu; i że wreszcie samo przypatrzenie się faktom bytu ludzkiego wskazuje na stopniowe urzeczywistnianie się w nich, pewnych praw dodatnich.

Jeżeli jednak materyaliści i pessymiści, którzy uznają z zasady byt *materyi* i *zła*, mogą podzielić wnioski autora i zgodzić się z nim na możność bytu wiecznego dobra, wiecznego ducha, i tym sposobem przyznać, iż doszli do pewnej syntezy; to znowu wątpić można, czy zaniedbani trochę przez autora skrajni przeciwnicy ich zasad, t. j. idealiści, dla których materya jest tylko marą, i optymiści, zdaniem których »wszystko jest tu najlepsze na najlepszym ze światów, po śmierć i po śmierci« — po odczytaniu książki, dojdą równie do uznań swoim przeciwnych, a więc do syntezy; przyczyną zaś tego nie to jest, iżby traktat obecny nie miał ostatecznie na celu i tej syntezy, lecz że autor tego traktatu, mimo nieraz twierdzenia brzmiące przeciwnie, sam jest z gruntu i czystym idealistą i optymistą.

Iż dr. Struve mimo czynione w dawnych swych pismach wyznanie jawne, iż jest stronnikiem i wyznawcą szkoły filozoficznej, zwanej w Niemczech *idealno-realną*, w istocie jest czystym idealistą, dowodem tego jest już napis książki, według którego obie strony wszechbytu: zewnętrzna i wewnętrzna, to tylko świat naszych *uczuć* i *myśli*, a więc *duch* tylko; bliżej zaś jeszcze objaśniają to określenia, które według autora mają odznaczać istotę du-

cha, istotę materyi. Autor np., jak to widzieliśmy, mówi tu literalnie: »Między twoim duchem a bożym, między twoją myślą a bożą, *niema* próżni wypełnionej *realną materyą*, nazwaną światem. Nie, gdzie twoje istnienie, twój duch się kończy, tam zaczyna się istnienie, *duch* samego Boga«, i dalej: »ten świat materyalny to tylko linia *matematyczna* (więc nie fizyczna nawet), oddzielająca ciebie od Boga« (str. 42). W zasadach więc autora, w gruncie, jest jednostronność, a następstwa ujemne tych jednostronnych uznań znane już są w rozwoju filozofii i powtórzyćby się musiały na nowo. Lecz oto obok tych zasad jawnych, wyrażają się też równie jawnie w dziełku i zasady przeciwne, a stąd znaleźć się też musiał w wykładzie szereg nauk i twierdzeń sprzecznych, niejasnych, dwuznacznych, które tem samem za syntetyczne wnioski uznać się nie mogą. Możemyż np. z określeń przez autora istoty ducha i istoty materyi rozróżnić, co jest duchem, a co materyą? kiedy autor, jak to widzieliśmy, twierdzi, że i myśl, jeśli się wdaje w *wymysły*, i fantazya, jeśli daje *ciemne* obrazy, stają się materyą (str. 32), albo też, iż materyą jest wszystko to, co nam sprawia opór (str. 38), a więc np. i nienawiść, gniew, złość przeciwnika mojego, czyli *uczucia* [1]). Albo też kiedy raz twierdzi, że »*Wszystko* śród wszechbytu jest *spójnią* materyi i ducha« (str. 31), a w innem miejscu, iż Bóg jest »duchem *najczystszym*« (str. 41). Możemyż z wykładu Syntezy ukształcić sobie wyobrażenie jasne, co jest właściwie niebem, kiedy raz autor zarzuca mistykom, iż »szukają nieba *bez ziemi*« (str. 27) i znowu zarzuca materyalistom, iż odrzucają niebo, »*nad ziemią*« królujące (str. 77). — Możemyż zrozumieć jasno, jaki jest według autora stosu-

[1]) Autor może zapewne wskazać wspólników podobnych zdań, wszakże i Libelt w jednym z swych traktatów czynił obszerny wywód, że *materya* to *myśl*, lecz zdaniem naszem nadawać, według upodobania jednostkowego, nazwiska przedmiotem, o które idzie, nie jest to wcale przyśpieszać syntezę czyli wykład *rzeczywistości*.

nek człowieka do Boga i do spółtworów? kiedy na str. 41 znajdujemy naukę taką: »gdzie twoje istnienie, twój *duch* się kończy, tam się zaczyna istnienie, duch samego Boga«. Czy to ma znaczyć, że w jednej tylko istocie ludzkiej śród świata nie spoczywa duch boży? czy nawet, że Bóg istnie dopiero tam, gdzie się kończy świat *uczuć* i *myśli* ludzkich czyli ducha ludzkiego? Jedno i drugie nie przypada do wykładów rozwijanych w innych częściach Syntezy. Za skutek nierozróżnienia jasnego zasad realno-idealnych i czysto idealnych, poczytujemy także i to, że autor w teoryi ducha okazawszy się tak czystym idealistą, w ostatnim oddziale mówi tak dobitnie i szczegółowo już o wyraźnie realnej apoteozie.

Nie my zapewne zaprzeczać będziemy twierdzeniom autora książki o istnieniu Harmonii, o podobieństwie rozwoju Ludzkości do rozwoju jednostki, o nadziei i konieczności nadejścia ery dla świata nowej, wyrazem dobra będącej, a także i temu twierdzeniu, że »z tego, co poznaliśmy dotąd z dziejów, *wnieść już możemy*, że rozwój ludzkości« etc. (str. 84). Jakże jednak z tem zgodzić ten w innem miejscu protest autora, iż »dotychczasowego rozwoju ludzkości, dotychczasowych objawów jej życia, nie można żadną miarą wziąć za podstawę dla wyprowadzenia ogólnych praw rozwoju człowieka i jedo dziejów«, (str. 79), lub też ironię z tych, którzy »wierzą głęboko, że po czczych marzeniach musi nastać era działania, czynu i urzeczywistnienia się Królestwa Niebieskiego na ziemi« (str. 6).

Że zaś autor jest optymistą, o tem świadczy każda nieledwie karta jego książki. Istotnie, gdyby skądinąd na każdej z tych kart nie było widać wyrazu pewnej powagi, pewnej wytrawnej myśli, wnieśćby można, iż słowa ich kreślił jakiś szczęśliwy chłopiec, któremu się uśmiechają — (i tylko uśmiechają) niebo i ziemia, i przyroda wewnętrzna. Autor mówi poezyą, nie wierzy w istnienie zła, o nędzy, cierpieniach, śmierci nie chce i słyszeć; — cała społeczność ludzka według autora to *niebo* (»ludzkość jest człon-

kiem wielkiego, nieskończonego społeczeństwa, które niebem nazywamy«) (str. 81); — wielki dramat Ludzkości zowie się wprawdzie tragedyą, wszakże według autora i tragedya nie kończy się śmiercią bohatera, ale apoteozą. Optymizm ten wpłynąć też musiał głównie a wpłynąć ujemnie na wykład rozwoju dziejów, a mianowicie na wykład głównego z praw tego rozwoju, t. j. stosunku *Woli* do *Konieczności*. Kwestyę tę *Konieczności* rozwinął dr. Struve, przypominamy, przed parą laty w oddzielnym traktacie w języku niemieckim napisanym p. n.: *Analiza pojęcia konieczności*. W traktacie tym, który był znamieszczonym na czele 1-go Nru z r. 1874 czasopisma *Philosophische Monatshefte*, autor z całem tem bogactwem dysekcyi myśli, jaka jest właściwością metod niemieckich, rozbierając owo pojęcie ze stanowiska psychologii i metafizyki, i oceniając Konieczność, już jako loiczną, już jako empiryczną, już jako metafizyczną; doszedł do tego wniosku: iż gdy z wyłożonych zasad wynikło, że wszechświatem rządzą prawa rozumu; przeto »rozum w świecie jest *koniecznością*« (dosłownie: »dass im Sein an sich nur Vernunftgesetze wirken, und dass alle Nothwendigkeit, ihrem metaphysischen Wesen nach, von uns als *Vernuft-Nothwendigkeit* erkannt werden muss«). Ten piękny wniosek, dla traktatu, którego zadaniem było tylko wykazać *byt* konieczności, naturalnie był dostatecznym, ale byt konieczności to *teza*, zaś byt śród wszechświata i swobody woli to *anty-teza*. W piśmie więc, którego zadaniem była Synteza, musiała być mowa i o tym drugim pierwiastku i o pogodzeniu ich z sobą. Pogodzenie to nie jest zapewne rzecz łatwa, ale dla optymizmu autora była najlżejszą. Konieczność, mówi autor (jak to widzieliśmy), to *stałość*, »a czyż istota wolna nie może być stałą w swych postanowieniach i przejawiać swą wolę niezmiennie *w porządku*«? (str. 51). Autor ominął tu tylko, widzimy, rzecz małą, t. j. jeżeli ta wola przejawiać się zechce (jak to jednak bywa najczęściej) i w *nieporządku*? Kwestya ta dotkniętą wprawdzie

następnie została bliżej w oddziale III-im, lecz i tu rozstrzygnieniem jej jest tylko optymizm. Autor naprzód nie widzi nieporządku, rozstroju, zła, nigdzie więcej jak w świecie ludzkim (»w całem istnieniu, mówi, niezależnem od ciebie, rozstroju niema«); zaś nędze, cierpienia, jęki i t. p., które widziane są w świecie ludzkim, »są to tylko, według autora, *małe zboczenia*, które w porównaniu do nieskończoności tego świata *w rachubę wchodzić nie mogą*« (str. 77). Nie mówiąc już jednak o sferach nieznanych nam, a patrząc tylko na ziemię, czyli los wszystkich istot jej organicznych, czucie mających, nie jest-że to widok wzajemnego żarcia się, więc przeważnie boleści tylko i śmierci? A świat ludzki czyliż to równie nie szereg wzajemnych bojów, ucisków, nędzy, cierpień i śmierci? a obraz ten, którego ramami są dzieje od najpierwszych ich czasów do naszych, a przedmiotem miliony jednostek, czyliż się może nazwać tylko *zboczeniem małem*, które nie wchodziło nawet w rachuby Rozumu wszechrządzącego? Autor objaśnia wprawdzie, iż rozstrój ten w świecie ludzkim jest nie skutkiem tego Rozumu, ale *procesu rozwoju*; — Rozum jednak, który wydał Ludzkość i rozwój jej, czyliż nie był zarazem stwórcą i praw procesu? — Nie mamy zapewne prawa wymagać od książki *pisanej* siłami człowieka, wykładu praw, które wydało i urządziło pojęcie zbyt wyższe nad pojęcie człowieka; lecz też nie możemy uważać za syntezę, za rozjaśnienie tego, w czem nie znajdujemy rozjaśnienia. Każdy rodzący się człowiek przychodzi już na świat z płaczem, ale optymizm autora zamiast szukania przyczyn tego faktu, woli zaprzeczyć faktowi. »Nie obawiaj się, mówi autor, odpowiedzialności za czyny zgasłych pokoleń, sprawiedliwość odwieczna nie karze dzieci za zboczenia ojców« (str. 57). — Żadna jednak z jednostek ludzkich nie wyrasta z ziemi oddzielnie, i mając na względzie nieudolność sił naszych do ostatecznych rozjaśnień, zbyt loiczniej już jest przyjąć wykład, który nam podają religie pierwotne, iż śród pierwiastków Bytu w krai-

nie Dobra, znalazł się też z czasem w taki lub inny sposób pierwiastek Złości, iż ten stał się przyczyną winy pierwszego człowieka, a następnie śmierci człowieka, iż ta wina ściągnęła karę i na potomstwo ludzkie i na spółistność człowieka (utwory ziemskie). W wykładzie tym jest przynajmniej możliwa jasność i prosta loika. Jeżeli nad rodem ludzkim zawisła kara, tedy ta kara musi być skutkiem winy. Z dwóch rzeczy jedna: albo ten obraz cierpień, który przedstawia nam ziemia, jest cierpieniem bez winy, lub w treści tego Rozumu, który wydaje wszystko, nie istnie sprawiedliwość. Jeżeli, jak autor twierdzi, jest Konieczność Sprawiedliwości, tedy tem samem jest i Konieczność Winy. Autor w wykładzie Syntezy nie dopuszcza pierwotnej winy człowieka, upadku, dziedzictwa winy, istnienia złości, zbawienia w czynie, nic nie mówiąc o śmierci, nie dotyka też przedmiotów pośmiertnych, stosunku jednostek do czasów i t. p. Autor nie czyni tego zapewne między innemi i dlatego, iżby w swem piśmie filozoficznem jako filozoficznem nie zboczyć od filozofii do teologii. Lecz oto zdaniem naszem, jeżeli treść filozofii w rozwoju swoim ma się stawać istotnie postępną, tedy nastąpi to tylko wtedy, kiedy w osnowę swoją zamiast wciągania, jak było to dotąd, jednej tylko gałęzi myśli (dyalektyki), wciągać i wcielać będzie wszystkie po kolei gałęzie. Jeżeli filozofia nam spółczesna powiększyła swój obszar przez to, iż w całość swą wcieliła, a przynajmniej wcielać zaczyna głębsze wniknienie w obszar *natury zewnętrznej* i jej *tradycyi* od pierwszych czasów (paleontologii), tedy tem więcej wzbogaci się i do zupełności zbliży, jeżeli też z drugiej strony wciągnie w siebie i głębsze wniknienie w treść *natury wewnętrznej* i jej *tradycyi* od pierwszych czasów (religii).

Autor książki niezupełnie zdaje się być tej zasadzie przeciwnym: sam bowiem zauważywszy, iż »najwyższym przejawem w gałęzi religijnej jest chrześcijaństwo«, dodaje: »że Ludzkość nie opuści nigdy tego swego ideału z lat młodych«. A jeżeli są różne drogi w wyborze religii

Ludzkości od czystego deizmu do chrześcijaństwa, tedy są też i różne drogi przy wychodzeniu z chrześcijaństwa, a mianowicie te wielkie dwie: iż zwolennicy jednej wychodzą tylko teoretycznie z uznania, iż wszystkie nauki, w Ewangelii zawarte, są prawdą; postępujący zaś drugą, przyjmują i uznają za prawdę i wszystkie ich następstwa praktyczne (jak to np. o trzykroć zaleconem pasterstwie, charakterze tego pasterstwa i t. p.), czyli, iż jedni (t. j. ci ostatni) wychodzą z całości pierwotnych podań i nauk, drudzy zaś odrzucają to, co niejasne, wychodzą tylko z tego, co jasne, co zgodne z granicami pojęć i objęć sądzącej jednostki. Tu jednak musimy wtrącić uwagę.

Przed kilku laty głośny w literaturze niemieckiej eksteolog i eks-heglista Dawid Strauss, w swym śpiewie łabędzim, wydanym pod napisem: *Dawna i nowa wiara*, rozwinął myśl, iż stara wiara (t. j. w bóstwo Jezusa Chrystusa), już się skończyła, a jej miejsce zajmuje i winna zająć nowa wiara (w bóstwo przyrody). Jednym z głównych charakterów tej książki jest wprawdzie pierwiastek kłamstwa; autor bowiem wychodzi w niej z założenia, że chrześcijan już niema«, a jego *nowa wiara*, jak trafnie zauważył jeden z niemieckich jego krytyków (Ulrici), nie jest ani *nową*, ani wiarą; wszakże w wykładzie tym starego obserwatora nie jedna się też znajduje uwaga wytrawna i między innemi wyraził tu taką: »*Tajemniczość* zdaje się być dziwactwem, a jednak to wszystko, co jest głębszem: życie, sztuka, państwo, mają swoją stronę tajemną«. (»Jedes Mysterium erscheint absurd, und doch ist nichts Tieferes, weder Leben, noch Kunst, noch Staat, *ohne Mysterium*«. *Der neue und der alte Glaube*, wyd. 1872, str. 267). Prawda to więc, której nawet pozytywista tak skrajny, jak Strauss, nie mógł zaprzeczyć, a musiał wyznać, iż śród świata jest jego strona tajemna, i że ta strona jest warunkiem wszystkiego, co jest głębsze; — jeżeli zaś tą głębokością jest państwo, jest sztuka, tedy tem więcej przedmiot tej treści, jak mówiący o stosunku stworzenia do Stwórcy, t. j. *Re-*

ligia. Religia więc, zdaniem samego Straussa, musi mieć swoje misteryum, to zaś, co jest misteryum (przez to samo, iż jest misteryum), nie może być przedmiotem jasnego, dobitnego poznania. Filozofia jest dociekaniem prawdy, a Prawda ta dociekana, taka lub inna istnie, i *niezależnie od tego,* czy jest docieczoną lub nie, istnie, i nie przestaje rozwijać się i objaśniać w tem nawet, co jest misteryum. Ta też tylko droga jest z prawdy, ta jest żywotna, która czerpie z jej treści, a zgodność tę wykazuje i sprawdza właśnie rząd następstw. Albowiem w świecie ducha jest prawo, które w rozwiciu duchowych szczegółów przemaga i zwycięża, a które w świecie materyi nazywają materyaliści walką o byt. Hegel wysilił swój umysł, aby zgodnie z nauką chrześcijańską systematycznie dowieść, iż Bóg jest *Duchem,* i że jest *Jeden we trzech* (spółistnych i równych sobie) *Osobach* (Duch Podmiotowy, Duch Przedmiotowy, Duch Bezwzględny = Absolut) i stąd też system jego stał się powszechniejszym nad inne, ale w innych szczegółach swego systemu nie wyszedł z tejże nauki, z tejże całości i to zabiło system. I w literaturze naszej, w gałęzi, o której tu mowa, uważać można, iż umysły, które otrzymały były od Ducha odznaczenie szczególne, były to te, które też otrzymały były zarazem gorliwość w wychodzeniu z całości chrześcijańskiej drogi (Libelt, Kremer, Gołuchowski i inni).

Autor *Syntezy* należy pod tym względem do tej linii, do której autor *Myślini;* a droga ta, zdaniem naszem, jako wychodząca z ciaśniejszego pierwiastku, na ciaśniejszym też skutku zakończyć musi, — droga ta nie filozofią złączy z religią, podniesie ją do wagi religii, ale religią chrześcijańską cofnie do dróg poprzednich, co najmniej do stoicyzmu. A tymczasem w rzeczy tej nader trafną wyraził uwagę sam autor Syntezy, w jednym z dołączonych do niej *Dodatków,* mówiącym o znaczeniu i wadze pierwiastków takich jak: »*Poezya, Religia i Filozofia*«, a uwagą tą zakończymy i nasze: »Usuńmy jeden z tych trzech filarów, a cała Ludzkość runie odrazu w chaotyczny odmęt ma-

teryi i zbrata się na dobre z otaczającemi ją istotami niższego rzędu«.

20 kwietnia 1876.

3.

Maks Müller.

Religia, jako przedmiot umiejętności porównawczej. Wykłady prof. Maksa Müllera, przetłumaczył Adolf Dygasiński. 1873. Kraków.

Jeżeli z jednej strony jest to prawdą, że świat nasz ziemski (jak o tem wzmiankują i pierwotne księgi ludzkości na zasadzie nieznanych nauce źródeł i objaśnia spółczesna nam nauka przyrodnicza) ukształcił się przez zjawianie się niegdyś kolejne na jego powierzchni coraz doskonalszych utworów; tedy z drugiej, faktem to już jest jawnym i historycznym, iż dalsza nowość i postęp śród świata tego objawia się już prawie wyłącznie przez rozrost i uprawę tej cechy, którą odróżnionym został ostatni z owych utworów (człowiek) od istot niższych, to jest rozumu ludzkiego, czyli *umysłu*. Rozwój ten objawia się w jednej kolei przez *utwory* tego umysłu, w drugiej przez jego *badania*, a o jednem ze zjawisk śród tej ostatniej kolei wypada nam tu rzec właśnie. Człowiek (wspominamy tu o jednem z głównych następstw jego umysłu) pierwszy śród stworzeń zjawionych *uznał się w sobie* i zapragnął rozwijać to uznanie się; by zbadać siebie, począł badać to wszystko, co go otacza, oceniać swój stosunek do świata, do istot innych; w tej drodze potrafił on swem okiem moralnem ujrzeć harmonię tam, gdzie oko zwierząt ogląda jedynie zamęt (w składzie i biegu ciał ziemskich i ciał niebieskich) a wyjątkowe umysły umiały się wznieść i rozeznać byt tej harmonii nawet wśród świata czynów, myśli i losów ludzkich i z kolei dojść do uznania i wniosku: że musi istnieć jedna Najwyższa a Wszechrozumna Siła, która i wszystko tworzy i wszystkiem rządzi, że świat cały a stąd i człowiek zostaje też

w pewnym stosunku i zależności od niej, a nauki, mające za przedmiot określanie *istoty* tej Siły, jej praw i *stosunku* do nich człowieka, otrzymały (od słowa: łączyć, *religare*) nazwisko *Religii*.

Przedmiot tej nauki jest to zakres, w którym pojęcie ludzkie najwyżej się podnosi ponad pojęcia zwierząt i jest to zakres, który obejmuje te wszystkie kwestye, które z natury swojej wszędzie i zawsze najwięcej są związane z troskami ludzkiemi.

Wątpić nie można, iż im więcej podrasta ludzkość, im wyżej wznosić się będzie jej umysłowość ogólna, tem i należne w niej religijne pojęcia więcej rozjaśniać i stalej utwierdzać się będą; ale ta harmonijna droga, którą podąża ludzkość, jakkolwiek harmonijna z pewnością, w szczegółach tej swej harmonii nader jeszcze jest ciemną i to tylko wiedzieć możemy, iż jakkolwiek jest ona zawsze postępem (gdyż rozwinieniem), ale postępuje przez twierdzenia i przez przeczenia i przez kroki dodatnie i przez ujemne; że przeto jak w każdym wieku i czasie, tak i spółcześnie nam różne są stopnie i rodzaje pojęć ludzkości i każdym z tych dane bywa pewne koło do zakreślenia. Pojęcia materyalistów, których skala poglądu zdaje się być jakby przybita jakowąś tamą, którzy też przez wyraz religia rozumieją tylko zbiór kilku *własnych* fantazyj, szydzą ze wszelkich teologij, choć w ręku nie mieli żadnej; pojęcia te nie zezwalają nawet na wymawianie wyrazu religii w naukowości, źródeł wszelkiej szukają nie w skutkach konieczności moralnych rozwić, lecz w oszukaństwach, nie w podniesieniu rozumu, ale w ciemnocie. Ilekroć materyalne badanie uwieńczy się jakiem nowem dojściem, tylekroć zakres religii musi wchodzić w niepomyślną dla siebie fazę; razem bowiem z tryumfem nauki tryumfują i ostateczne wnioski jej uprawiaczy, a zniżać jednostkom ludzkim obszar i skalę swych pojęć tak jest i łatwem i miłem.

Jednego z takich zwrotów myślenia dziś właśnie świadkami jesteśmy. Tryumf nauk realnych i udzielenie im wy-

łącznie nazwiska pozytywnych, nie tylko wskazał był religię na ostatnie w naukowości miejsce, ale owszem nie dawał jej nieraz żadnego. Wszelki umysł wprawdzie, rzetelnie wyższy, nie może być nigdy bezreligijnym (nie człowiek to idyota lub człowiek głupi rzekł niegdyś pierwszy, iż jest Bóg, ale np. umysł tego rozwoju i siły jak umysł Platona), jakoż widzieć to można z wyrażeń i przyznań się samych psychologicznie bogatszych pozytywistów (od Comte'a do Spencera), ale tłumy ich zwolenników i naśladowców zabierają w takich razach głos główny, tak, iż sami pisarze ci muszą się kryć z swą sympatyą; dlatego też spółczesna nam naukowość nie może nie być niewdzięczną autorowi wykładów, o których rzec mamy, iż w kraju, gdzie dziś na polu naukowości Mill i Spencer musieli pisać po kilka rozdziałów, aby się usprawiedliwić, iż im coś pozostało z uczuć religijnych, odważył się na polu właśnie czystej naukowości wyrazić w głos i jasno apologię Religii i religij, śród rożności ich uznać jawnie wyższość chrześcijańskiej i zachęcać do utworzenia nawet nauki nowej tj. *umiejętności Religii.*

Autorem tych wykładów jest Maks Müller, uczony doktor niemiecki, dziś (jeżeli się nie mylimy) profesor w uniwersytecie strasburskim, ale przedtem stały mieszkaniec Anglii, i który jest już twórcą nauki nowej, dziś rozwijanej w kilku literaturach, a mianowicie *Gramatyki Porównawczej.*

W odczytach obecnych (mianych już przed kilku laty) autor zwraca właśnie uwagę na te korzyści, jakie odniosła nauka języków i wogóle naukowość ludzka z uprawy gramatyki porównawczej i wnosi, iż daleko wyższą jeszcze odniosłyby korzyść i naukowość i ludzkość z utworzenia i uprawiania Religii czyli *Teologii Porównawczej.*

Autor wychodzi właśnie z uznania, iż zjawienie się pośród ludzkości różnych religij było skutkiem nie ciemnoty umysłów ludzkich albo polityki, ale jednej spoczywającej we wszystkich natury myśli, a zarazem i istniejącej nie-

widzialnie opieki nad ludźmi; zaś dla oznaczenia i zgłębienia bliżej tego uznania, oraz dla dojścia zarazem do tak pożądanego dla ludzkości celu: jedności religijnej, za najskuteczniejszy uważa właśnie ów proponowany przez siebie środek, tj. badanie i porównywanie różnych religij.

Iż trzeba było pewnej odwagi, a to z nader różnych powodów, aby się oświadczyć dziś głośno z podobnym wnioskiem, z podobną propozycyą, wyznaje to właśnie i sam autor w zaczęciu swoich odczytów. »Niepodobieństwem jest prawie, mówi, w naszych czasach mówić o religii, nie zadrasnąwszy kogo na prawo lub na lewo«. Jedni nie zezwalają na to dlatego, iż zdaniem ich miejsce dla religii jest na tej samej liście w naukowości, na której są alchemia i astrologia; drudzy dlatego, iż mówić naukowie o religii własnej jest to naruszać świętość, a mówić o dawnych jest to jakoby bratać się z dziełami szatana«. Autor następnie daje odpowiedź jednej i drugiej stronie, a w tem, co mówi, wiele jest nader trafnego.

Odpowiadając na zdanie pierwsze, autor wyraża, iż niejedna religia pierwotna była istotnie tejże wartości, jak alchemia i astrologia, ale, iż dla czystszego i historycznego pojęcia np. chemii, potrzebną jest i znajomość alchemii. Z tego zaś, co wyraża o pojmowaniu istoty religij dawnych, przytoczymy tu kilka słów własnych autora z różnych miejsc książki. »Żaden sędzia, mówi np. w ciągu swego wykładu, nie mógłby się tak surowym okazać dla winowajcy, jak dotychczasowi historycy i teologowie dla religij ludzkości. Pozbawiając właściwej wartości wszystkie religie, umieściliśmy naszą w takiem świetle i położeniu, jakiego sobie nie życzył dla niej jej założyciel i zamiast uznać w chrystyanizmie religię spełnioną w czasie, jako uwieńczenie pragnień i nadziei całego świata, doszliśmy do uważania jej za fakt nie będący w związku z innymi, za ogniwo nie połączone żadnym związkiem z tym ciągłym prawidłowym łańcuchem, który sprawiedliwie możnaby nazwać panowaniem Boga na ziemi« (105). »Nie przeczę ja, że re-

ligie Babilończyków, Greków i Rzymian były niedoskonałe i pełne błędów; ale utrzymuję śmiało, iż fakt posiadania religii, jakąby ona nie była, podnosi te narody wyżej i zbliża je do nas bardziej, aniżeli wszystkie dzieła ich sztuki, cała ich poezya i cała filozofia« (106). »Dawna religia podobną jest do kosztownego starożytnego medalu: uwolnijmy ją od warstwy rdzy, którą wieki złożyły na jej powierzchni, a odkryjemy wizerunek Ojca niebieskiego, napis zaś, gdy się już dla nas stanie czytelnym, będzie nie tylko w Judei, ale we wszystkich językach słowem bożem« (30). »Cel religii zawsze jest święty; jakkolwiek niedoskonałą, dziecinną byłaby religia jakaś, ona wszakże stawia duszę ludzką wobec Boga; pojęcie Bóstwa, choćby było również niedoskonałe, nawet dziecinne (jak np. Jowisza z brodą), przedstawia zawsze ideał doskonałości, jaki sobie duch ludzki w takiej a takiej dobie rozwoju utworzyć jest zdolny« (118). »Gdyby w historyi całego rodu ludzkiego nie dało się wyczytać nieustannych nauk boskiego mistrza i przewodnika, jeżeliby się tam nie dało odszukać planu, następstwa, stopniowań religii świata, to przyszłoby chyba odrzucić i zatracić dziejowe karty, a ludzi uważać jako źdźbła słomy, które dziś rosną na niwie a jutro obrócone zostaną w mierzwę. Ludzie wtedy mieliby mniejszą wartość niż wróble, bo niema ptaszyny, którąby Bóg opuścił«. »Gdyby nam szło o powagi (dodaje tu autor), tobyśmy się odnieśli do papieży, ojców kościoła, do samych apostołów, bo oni wszyscy energicznie i jasno popierali tę naukę« (107). Rzeczywiście dosyć tu wspomnieć na to zdanie, które wyraził niegdyś np. św. Justyn, zrazu filozof ateński, a następnie wyznawca chrześcijański i męczennik, iż »mądre zdania, które się zjawiały u pogan, było to objawiające się *Logos*« (tj. Mądrość Boża, to najpierwsze, przedwieczne zrodzenie Wszechmocy bożej, spółistne z nią, a bez którego następnie nic się nie stało, cokolwiek się stało).

Przystępując z kolei jakby do prolegomenów proponowanej nauki, autor w odróżnieniu religij trzyma się tejże

drogi, jak w swojej lingwistyce tj. jak języki tak i religie dzieli na *semickie, aryjskie* i *turańskie* i uważa wogóle, iż lubo wszystkie one dochodziły do wyobrażenia Boga, ale u Aryów (Indye, Persya, Germanowie i t. p.) był to Bóg *Natury*, u Semitów (Assyrya, Fenicya, Arabia, Hebrajczykowie i t. p.) Bóg *ludzi*, u Turanów (Chiny, Mongoły, Tybetanie i t. p.) Bóg jako istota *bez łączności z ludźmi i ziemią*.

Nie będziemy tu jednak powtarzać dalszych wywodów i szczegółów, bo są to dopiero nader początkujące kroki nowej nauki, a charakterystyką i zaletą główną odczytów jest sam jej pomysł. Dodajmy jednak, iż pomysł ten, lubo objawiony tak świeżo, wydał już i owoce. Jakoż za bezpośrednie rozwinienie jego można np. uważać dwie obszerniejsze publikacye z roku zeszłego; w języku francuskim *La science des Religions* p. Emila Burnouf; w języku niemieckim *Die Religion und die Religionen* D-ra E. Seidel; skutkiem też może tego śmiałego dotknięcia kwestyi religijnej było to, iż najgłówniejszy dziś filozof Anglii, Herbert Spencer, czyniąc w r. 1871 nowe wydanie swych ogłoszonych przed 10-ciu laty *Pierwszych Zosad (The first Principles)* dodał do nich rozdział, który postawił na czele, a w którym czyni ten wywód, iż do gałęzi, które być winny przedmiotem pozytywnych badań, należeć winna i gałąź Religii [1].

Badania Burnoufa i Seidla pełne są właściwej sobie nauki i ciekawych spostrzeżeń, a jakkolwiek są to zawsze zaledwo pierwsze kroki na nowem polu, zbiór dowolnych przypuszczeń, naciągań, sfera teoryi i jakkolwiek różne są w swych wywodach, łączą się jednak jak z sobą tak i z głównem założeniem Maksa Müllera w tym wniosku: iż religia chrześcijańska uważać się musi jako zjawione połączenie się wszelkich kierunków, a stąd, iż przeznaczoną

[1] To, do czego w rozdziale tym doszedł Herb. Spencer, jest to wprawdzie dla nauki rzetelnej właściwie *nic*, lecz u materyalistów, u których w tej rzeczy było mniej jeszcze niż nic, samo to dojście uważanem już jest za »fakt olbrzymi«.

być się jej zdaje, stać się z czasem religią całej ludzkości. Według Burnoufa w nauce Jezusa Chrystusa stało się połączenie Boga osobowego (Biblia hebrajska), z Bogiem wszędzie ukrytym (Panteizm Indyjski), według Seidla: Semicki *ideał Boga* i aryjski *ideał człowieka* połączyły się w chrześcijaństwie w ideale *Boga-Człowieka*. (Das arische *Menschen*-ideal ergänzte sich mit dem semitischen *Gott* der heiligen Liebe zum vollkommenen Religions-ideale, dem des vollendeten *Gottmenschen* im Christenthume).

Wychodziliśmy i wychodzimy zawsze z tego zdania, iż prawda jedną jest w sobie i że wszystkie nauki przez swe stopniowe kształcenie przyprowadzone do stopnia swej prawdy, wydadzą kiedyś treść łączącą się harmonijnie. Poznawanie, ocenianie, porównywanie treści przeróżnych religij, zbliżanie się do ujęcia przyczyn nastania każdej, ujęcia nici czyli to ich stopniowego rozpadania się, czyli też harmonijnego rozwoju i jednoczenia się, bliższe poznanie i ocenianie każdej nie według jednostkowych w niej zwrotów i sądów, ale według filozoficznych ich zasad (teologicznie), istotnie więc nader żywotną naukową gałąź utworzyć może.

O każdej zapewne pracy i każdem dziele, które się przedziera o stopień do zgłębienia wewnętrza świata, czyli harmonii śród dziejów, to jest harmonii tam, gdzie napozór tkwi tylko bezład, można rzec, że jest krokiem żywotnym, przyczyniając się bowiem bliżej do poznania dzieł bożych, oraz dróg bożych, więc znajomości Boga, — przybliża i gotuje w ten sposób nową, szczęśliwszą zapewne dla ludzkości, erę ludzkości; lecz prace, które będą miały za zadanie właśnie bezpośrednie poznawanie bliższej Istoty Bożej, tem prędszym i żywotniejszym skutkiem zaświecić mogą.

Przed kilką laty użycie w ogłoszonej książce wyrazu religia i wyrazów, używanych w religiach, poczytywanem było przez naukowość czystą za wsteczność, za zabytek i echo wieków średnich; dziś widzimy, iż za hasłem od-

czytów Maksa Müllera, stan ten gdzieindziej zaczyna się zmieniać. Dobrze zrobił p. Dygasiński, że te odczyty przyswoił i naszej literaturze [1].

1873.

4.

Maryan Morawski.

(Filozofia i jej zadanie przez ks. Maryana Morawskiego T. J. Lwów 1877).

Zadaniem obecnej księgi nie jest szczegółowy wykład takiego albo innego systematu filozoficznego, ale tylko oznaczenie tych ram, jakie powinny złożyć system filozofii rzetelnej. Aby uzasadnić krytycznie to oznaczenie, autor poprzedził je wyrażeniem poglądu na dotychczasowy przebieg filozofii i ocenieniem różnych jej dróg. Powstała stąd nieuboga w szczegóły całość, i poznajomimy tu najprzód czytelnika z głównym zarysem jej.

We *wstępie* zaznacza autor, iż dzisiejszy stosunkowo upadek i zaniedbanie filozofii jest skutkiem zbytniego wygórowania spółcześnie nam nauk przyrodniczych. »Gdy dwa drzewa rosną na tem samem miejscu a jedno z nich nagle i silnie wybuja, drugie na tem cierpi. Stan taki trwać jednak nie może. Wszystkie nauki i wszystkie umiejętności ściśle z sobą są powiązane«. Są to, jak mówi autor, planety wirujące około jednego słońca prawdy; im więcej się rozprzestrzeniają i dzielą, tem więcej potrzeba im tej spól-

[1] Dodajmy z okoliczności, iż dziękujemy tłumaczowi i za to, że na tytule książki wyraził, że »przetłumaczył« nie zaś, jak wielu teraz wyraża: »spolszczył«. Wyrażenie to »spolszczył« prócz braku harmonii w brzmieniu, ma też brak loiczności wewnętrznej, — wyrażenie takie oznacza właściwie nie tylko, iż dana książka przełożoną została na dany język, ale iż i zastosowaną została do ducha innego kraju; tymczasem nie powinno to być celem tłumacza. Jakoż nikt też u nas skądinąd nie wyraża się, że np. Nabielak »zmiemczył« lub że Ostrowski »sfrancuził« Mickiewicza.

nej podstawy, którą jest filozofia. Mylnem przeto twierdzenie jest tych, którzy głoszą, iż filozofia nie ma dziś czego robić między nami, »i owszem, dziś więcej, niż kiedykolwiek potrzeba nam filozofii«.

W rozdz. I., mającym napis *ogólne pojęcie* filozofii i jej zadania, autor objaśnia, iż przez filozofią rozumie nie taką lub inną teoryą dyalektyczną, ale »naukę obejmującą całość wszystkiego, co może być przedmiotem myśli ludzkiej« (18). »Filozofia ma powiedzieć fizykom, co jest ciało, natura; fizyologom, co jest życie, matematykom, co ilość i przestrzeń, mistrzom sztuki, co piękno, prawnikom, politykom, ekonomistom, co jest prawo, moralność, w czem szczęście ludzkości«. Zadaniem słowem nauki tej jest: »rozwiązywać najwyższe zagadnienia wiedzy ludzkiej, wyłuszczać i uzasadniać pewniki, na których wszystkie inne umiejętności się opierają«.

Rozdz. II. ma napis: *Pogląd na dzieje filozofii.* Jakkolwiek podstawą rozwoju tak dziejów jak filozofii jest swoboda woli jednostek, które je kształcą, dzieje te jednak, dodaje autor, nie są chaosem i mierząc uważnem okiem ich całość, można dopatrzyć na tle nieskończonych rozmaitości niektóre stałe rysy, niby regularne prądy śród burzliwego myśli ludzkiej oceanu, a jednym z tych stałych rysów czyli praw jest kolejna zmiana prądów idealnego i materyalnego. Przyczem wskazuje autor na głównych reprezentantów obu tych prądów w przebiegu dziejów filozofii, a mianowicie na filozofów kierunku empirycznego od Talesa do Comte'a, kierunku idealistycznego od Pitagorasa do Hegla, i zarazem dodaje: iż w tym przebiegu odznaczyli się jednak głównie reprezentanci prądów *łącznych*, to jest kierunku empiryczno-idealnego, a do takich należą: z filozofów dawnych Sokrates, Platon, Arystoteles, w wiekach średnich doktorowie kościoła i scholastycy, w wieku nowym Kartezyusz i Bakon.

Rozdziały III, IV, V i VI poświęcone są bliższemu objaśnieniu i ocenieniu najobszerniejszego wykwitu prądu

idealnego to jest filozofii niemieckiej od Kanta do Hegla. Oznaczenie przez Kanta w jego *Krytyce czystego rozumu*, że podstawą sądów tego rozumu są: »syntetyczne sądy a priori«, to jest sądy niezależne od naszych wrażeń czyli naszego doświadczenia, było źródłem jak wszystkich głównych wniosków filozofii Kanta, tak i wszystkich późniejszych głównych filozofów niemieckich, którzy jakkolwiek nieraz walczyli z Kantem, ale właśnie tylko ową jego zasadę loicznie rozwijali. Fichte ów apryoryzm Kanta nazwał naszem Ja; Schelling naszem *Ja-Nicja* czyli *Absolutem*, Hegel *pojęciem dyalektycznem*. Przy takich założeniach i wnioskach nie stało w systematach filozofii niemieckiej miejsca ani dla pojęcia Boga ani nieśmiertelności duszy, jej religią stał się panteizm, i owszem skończyła ona u Hegla na większem uznaniu bluźnierstwa, niż nawet materyalistyczny ateizm, a mianowicie, iż jedynym Bogiem śród świata, Bogiem uznającym się w sobie, jest człowiek (duch człowieka). Ostatecznemi zaś następstwami i wynikiem tego systematu było: w polityce ubóstwienie Państwa (Prusy to *wirkliche Gott*, Bóg rzeczywisty: uczył z katedry Hegel), w umiejętności czysty ateizm, w religii apoteoza nicości (Hartmann).

Rozdziały VII, VIII i IX poświęcone są bliższemu określeniu spółczesnego nam materyalizmu i jego bezpośredniego dziecka, pozytywizmu. Autor lekko tylko dotyka teoretycznych zasad pozytywizmu, a zwraca głównie uwagę na jego wnioski, a mianowicie na te pięć twierdzeń głównych, do których doszedł: 1) że materya i ruch są odwieczne, 2) że z tej materyi i ruchu powstały i nasze światy, 3) ziemia kształci się przez miliardy lat, a w pewnych warunkach i chwilach życie objawia się na niej samorodztwem, 4) stąd powstały wszelkie rośliny i zwierzęta, i wreszcie 5) przez utwierdzenie się *rozumu* człowiek i dzisiejszy świat, który utworzył, i po rozbiorze tych kwestyj wnosi, iż tak filozofii pozytywnej jak i materyalizmu jedynym tylko ostatecznym wnioskiem jest i być może sceptycyzm oraz ateizm.

Rozdziały X, XI i XII poświęca autor owemu wzmiankowanemu wyżej kierunkowi łącznemu empiryczno-idealnemu, czyli scholastyce dawnej i nowej. W przedstawieniu treści i dziejów dawnej scholastyki, autor zastanawia się głównie nad traktatami Alberta W. i znajduje, iż naukowość i uniwersalność tego doktora prześcigała nawet uniwersalność Arystotelesa, łączył bowiem do tej i wiedzę chrześcijańską, najobszerniej zaś nad dwoma traktatami ucznia Alberta W., św. Tomasza z Akwinu; a mianowicie nad jego *Summą* nazwaną *ad Gentes* to jest pisaną dla niewiernych i *Summą Teologiczną,* przeznaczoną dla chrześcijan. W tej ostatniej dogmata chrześcijańskie uważane są jako twierdzenia, w pierwszej wykładane są tylko jako nie sprzeciwiające się rozumowi naturalnemu. O Summie teologicznej autor po przytoczeniu jej głównego zawarcia i sposobu wykładu wyraża, iż ma (ona) uderzające podobieństwo do tych wspaniałych katedr gotyckich, które w tymże XIII wieku wzniosły się po Francyi i w Niemczech nadreńskich. Nader ciekawem i dla wielu nowem jest to, co autor tu mówi w końcu (w Rozdz. XII) o scholastyce nowej czyli o wskrzeszeniu dawnej scholastyki. Jest to kierunek, założycielami którego według autora byli: Balmes Hiszpan i Dmowski ziomek nasz (b. prof. w *Collegium Romanum* i autor dzieła *Institutiones philosophicae).* Kierunek ten, który reprezentanci jego podjęli wskutek wyraźnego bankructwa wszystkich dotychczasowych systemów filozoficznych, jest to kierunek co do ram swych najszerszy, łączący bowiem w swej treści, tak jak scholastycyzm dawny, wszelką empiryą z idealizmem i zarazem prawdy wiary chrześcijańskiej, co do metody zaś jego loiczność ścisłą; różni się zaś od scholastycyzmu dawnego, iż odrzuca bezwzględną powagę Arystotelesa, system komentarzy, i kwestyj do komentarzy wciskanych, a na to miejsce stara się o ujęcie filozofii w systematyczny całokształt. Autor wylicza te czasopisma, które w kilku językach i literaturach kierunek ten dziś protegują i propagują, a także celniejszych pisa-

rzy tego kierunku we Włoszech, Hiszpanii, Francyi i w Niemczech (z pisarzy niemieckich wymienieni tu: Klentgen, Stöckell, Klaussmann, Margott) i dodaje: »kierunek ten, uważany w swych zasadach, jest nie tylko względnie czyli w porównaniu do innych dzisiejszych filozofij najlepszym, ale też bezwzględnie prawdziwym«.

Doszedłszy autor w ten sposób w drodze historyczno-krytycznej, na jakim mianowicie kierunku filozofia rzetelna wesprzeć się winna, przystępuje w rozdziałach XIII i XIV do głównego zadania swego, to jest do określenia tych ram, które powinny złożyć treść filozofii rzetelnej. Z dwu dróg, jakiemi możemy dociekać istoty rzeczy, *analitycznej* i *syntetycznej*, autor obiera tę ostatnią, a to z tej zasady, że »wychodząc ze stanowiska *a posteriori* (t. j. samego doświadczenia), nie mamy żadnej rękojmi, że umiejętności, któremi się faktycznie ludzkość zajmuje (a które w tym razie musielibyśmy uważać za całość źródła), ogarniają istotnie wszystkość«. Za przedmiot więc całkowitej filozofii oznacza *ogół* a mianowicie *byt*, i uważa, iż ten byt wypada uważać pod trojakim względem, jako byt w *sobie*, jako byt w *wiedzy* i jako byt w *woli*; pierwsze zaś z tych badań daje nam *metafizykę*, drugie *logikę*, trzecie *etykę*: trzy te działy kładzie więc autor za kolejne części swej filozofii. Co do *logiki* (o części tej mówi najprzód), nie należą do nauki, według autora, akty rozumu: pojęcia, sądy, rozumowania, bo to są przedmioty psychologii, »logika zaś studyuje aktów tych przedmiotowość«. Ponieważ zaś przedmiotem rozumu jest wszystko, wypada więc, że przedmiotem logiki jest *wszechbyt*, nie jakim jest w sobie, ale jak się odnosi do rozumu i w rozumie się iści. Człowiek z daru natury posiada logikę naturalną. »Nie znając jeszcze prawideł logiki, z przyrodzenia logicznie myśli, tak samo jak nie znając prawideł równowagi, z przyrodzenia prosto chodzi«. Stąd jednak nie wynika, by logika umiejętna niepotrzebną była. »Prawda, że człowiek i bez świadomości prawideł syllogizmu snuje w rozumowaniu syllogizmy prawi-

dłowe, złe w zagadnieniach zawilszych; w wycieczkach rozumu dalszych, często nie odróżni on paralogizmu od syllogizmu«. Zadaniem logiki jest: dochodzić praw poznawania wszelkiej prawdy. W badaniach prawdy zastanawiać nas muszą treść i forma, logika więc rozpaść się musi na logikę materyalną czyli *krytykę* mogącą się zwać i filozofią *fundamentalną*, oraz *dyalektykę*. Punkt wyjścia filozofii rzetelnej musi łączyć fakt empiryczny Kartezyusza: *myślę, więc jestem*, idealny Fichtego (AA.), oraz ten pewnik, że prawdą jest oczywistość. Pierwszy z tych warunków osadza podmiot wiedzy, drugi jej przedmiot, trzeci stanowi łącznicę. »Na tym trójnogu stoi filozofia«. Ale, zapytuje autor, »jakże stoi sam ten trójnog? Skąd upewniamy się o tych trzech pewnikach?« i odpowiada, iż jedynem możliwem wyjściem jest okazać, że te trzy pewniki są przedmiotem intuicyi umysłowej. Następnie krytyka ma się zająć sposobami dochodzenia prawdy i oznaczyć kryteryum prawdy. Tem kryteryum według autora jest *oczywistość (clarté* Kartezyusza?). Co do logiki dyalektycznej autor objaśnia, iż ta główną jest w filozofii, od niej wszystko zależy. »Gdyby Hegel, mówi, był lepszym dyalektykiem, nie mielibyśmy Hegla«.

Metafizyka nie jest to, według autora, *philosophia prima* Arystotelesa, ale jest umiejętnością ogólną o bycie samym w sobie i możnaby nawet ją nazwać filozofią *przedmiotową, realną* (261). Bada ona równie materyą jak ducha, równie stworzenie jak Stwórcę, »pola umiejętności przedmiotowych: fizyki, chemii, fizyologii, nie są odrębne od pola metafizyki. Metafizyka jest podstawą i uwieńczeniem wszelkich umiejętności przedmiotowych« (262). Dzieli się ona na *ogólną* t. j. mającą za przedmiot pewną ogólną spólność wszystkich rzeczy i odpowiada wtedy filozofii pierwszej Arystotelesa czyli według filozofii nowej *ontologii*, — i *szczególną*, mającą za przedmiot osobne studyum najwyższych rodzajów bytu, a mianowicie Boga i Jego ogólnych utworów, Ducha i Materyi. Poddziałami tej Metafizyki są: *Teody-*

cea. Pneumatologia, Kosmologia. Z uwag o tych oddziałach przytoczymy tu następne: »Teodycea, z której filozofowie transcendentalni zrobili tak nieprzystępne zbiorowisko mglistych i powikłanych pojęć, jest w istocie pod względem metody i pewności najwięcej zbliżoną do umiejętności *matematycznych*« (270). Dotykając przedmiotu pneumatologii, wyraża między innemi autor, iż za *duch* uważane być muszą nie tylko istoty *myślące*, ale też wszystkie wyższe od materyi, »jakiemi są niezawodnie tak zwane *dusze zwierzęce*, a nawet, według mniemania animistów, pierwiastki życia w roślinach«. O psychologii mówi: »Pod wpływem materyalizmu i pozytywizmu spadła ona z jasnych wyżyn filozofii w jakieś pokątne *czysto-empiryczne* badania, zamieniła się w gałąź medycyny«. Dodaje jednak także: »Psychologia musi wychodzić z doświadczenia, trzeba wykazać, że dusza jest rzeczowo różną od ciała, substancyą niemateryalną, posiadającą życie jakby w sobie«. Kosmologia (filozofia natury) musi objąć liczne oddziały nauk przyrodniczych, ale zwrócić nadto należy uwagę na naukę łączącą te działy, na świat jako świat«.

Etyka. Człowiek jak ma w sobie *naturalne* prawa loiczne, tak i etyczne; wszakże jak dla badań wyższych potrzebna logika, tak dla prawodawstwa etyka, »zwłaszcza gdy formy konstytucyjne powołują dziś wszystkich do wyrzekania o tem«. Nie ma ona wychodzić ani ze stanowiska *a priori*, ani *a posteriori*, ale pośrednio. Dzielić się winna na ogólną i specyalną. »Uczynki są dobre, gdy prowadzą do celu, w którym jest istotna przyrodzona szczęśliwość człowieka« (280).

Po wyliczeniu w rozdziale XIV. głównych metod, używanych w filozofii, jako to: *dyalogowej, wykładowej* i *dyalektycznej* i oświadczeniu się za »*wykładową* z przymieszką dyalektycznej«, w rozdziale XV. i ostatnim mówi autor *o stosunku filozofii do wiary*. Wiara tem się różni od filozofii (uważa), iż gdy twierdzenia dane uznajemy w filozofii za prawdę z powodów *wewnętrznych*, t. j. wywodów

rozumowych, w wierze z powodów *zewnętrznych*, tj. wiarogodności świadków. Wiara jest źródłem poznań i w naukach przyrodniczych, np. w fizyce, kiedy przestajemy na wierze w doświadczenia obce. W każdej nauce na uznanie jej prawd wpływają nietylko dowody, ale i *powaga*, t. j. wiara w powagę. Autor nie jest za uznawaniem bezwarunkowem powagi, za poleganiem na słowie mistrza. »Takie uznawanie powagi jest szkodliwem dla filozofii, albowiem hamuje postęp«. Powaga ludzka nie ma mieć głosu stanowczego dla filozofii, a tylko głos doradczy. W końcu zaś objaśniając ostatecznie swe stanowisko, dodaje: »Taki jest stosunek filozofii do wiary w powagę *ludzką*, lecz całkiem inaczej rzecz się ma względem wiary w powagę *boską*, ta stanowczo i ostatecznie kwestye rozstrzyga«. Zastanawia się jeszcze autor, jak była i jest uważaną ta kwestya stosunku wiary do rozumu w samem chrześcijaństwie, i rzecz tę kończy uwagą następującą: »Spór o tem zagadnieniu toczy się śród chrześcijaństwa od tak dawna, jak dawno istnieje chrystyanizm. Jak za dni naszych Lamennais wszelką prawdę wyprowadzał z objawienia, rozum zaś osobisty potępiał, Strauss zaś ze wszelkiego objawienia, jako niedorzeczności, szydził, a Pius IX. rozstrzygał, że wiara i filozofia są w zgodzie, a prawda prawdzie się nie sprzeciwia; tak już w II. wieku Kościoła, z jednej strony Tertulian, w imieniu wiary, wyklinał filozofię, z drugiej Celsyusz, Porfiryusz, Krescencyusz wiarę chrześcijan mienili wiarą idyotów, a z trzeciej Justyn, Klemens Aleksandryjski i Orygenes nauczali, że wiara i filozofia to dwie strony tego samego słowa«.

W takich ramach i głównych wnioskach rozwinięty jest traktat ks. Maryana Morawskiego. Jest to wykład, w stosunku do skromnego napisu, obszernie wypracowany i roztoczony. W pracy autora, stosunkowo mówiąc, widać należne przygotowanie i różnostronne oczytanie. Wykład jest wszędzie logiczny, poważny, jasny, styl prawie ozdobny, od czasu do czasu i myśl więcej uderzająca. Treść książki

ma też z wielu względów i cechy postępowe. Wychodząc autor w swych celach, poglądach, rozbiorze, ze świeżo wyrażonego orzeczenia na Soborze Watykańskim, iż »ktoby mówił, że poznanie Boga nie może być osiągnięte samym rozumem prostym z widoku rzeczy stworzonych, niech będzie wyklętym«[1], nie tylko nie nastaje na rozum i inne ziemskie pierwiastki, ale wychodzi wszędzie ze szczególnego szacunku tak dla rozumu, jak dla wszystkiego, co jest, tak dla materyi, jak i wszelkich nauk, uznaje istnienie postępu, a za cel jego dążenie do jedności oznacza. W metodzie swej nie jest, jak to widzieliśmy, ani jednostronnym mistykiem, ani tem więcej wyłącznym empirykiem, lecz oba te stanowiska łączy. Filozofia autora jest to, rzec można, szkoła idealno-realna dzisiejszej filozofii niemieckiej, tylko, że uznając za obowiązek łączyć zarazem i wyznawanie prawd chrześcijańskich — nie Krystyana Krausego i jego wyznawców, ale głównych doktorów katolickich z wieku scholastyki za mistrzów swych bierze.

Uważana, jako podarunek dla chrześcijan, książka ks. Morawskiego, jest więc przybytkiem pożądanym i pożytecznym; uwagi w niej wyrażone o fałszywości stanowisk niemieckiego transcendentalizmu i różnych odnóg dzisiejszego materyalizmu mają liczne swe strony słuszne i podać mogą pole do dalszych uwag. Czy jednak książka ta może się uważać za przybytek tegoż znaczenia, zarówno i na skalę szerszą? czy może w czem wpłynąć na zmianę przekonań tak materyalistów, jak też (jeżeli jeszcze gdzie istną) transcendentalistów? czy mimo jasno określone cele, mieści jakie pierwiastki, któreby mogły wpłynąć na pojednanie różnych dróg filozofii? Na to wszystko, co do nas, nie moglibyśmy odpowiedzieć twierdząco.

W rozdziale I., jak to widzieliśmy, autor wyraźnie

---

[1] Si quis dixerit Deum unum et verum, Creatorem et Dominum nostrum, per ea quae facta sunt, naturali rationis lumine, certo cognosci non posse, anathema sit. *Sess. III, Can. II, 1.*

oznaczył, iż przez filozofię rozumie »całość wszystkiego, co może być przedmiotem myśli ludzkiej« (18); tym razem już sam napis ostatniego rozdziału: *O stosunku filozofii do wiary* (religii) objaśnia, iż te dwie tak wielkie krainy wiedzy: filozofii i religii, za zupełną oddzielność uważa i że przeto, rzec można, cały przedmiot tej ostatniej oddziela od filozofii rzetelnej. Za ostateczne kryteryum prawdy jest tu oznaczona powaga boska, słowo boże; kryteryum to jest istotnie stanowcze i rozstrzygające dla chrześcijan, lecz czyliż będzie takiem dla wszystkich? Czytelnik materyalista i niejeden racyonalista wszakże dopiero zapytuje, czyliż jest Bóg? a wyznawcy islamu, talmudu i t. p. przyjmą zasadę, lecz każdy, jako na słowo boże, na inną księgę wskaże. Oznaczone przez autora w wykładzie kryteryum prawdy, oczywistość, nie znajduje tu więc wcale zastosowania. Czy jednak to założenie zgóry autora, że religia i filozofia są to dwa działy niepojednane, jest słusznem? Czy zbliżenie i pojednanie tych działów i zamienienie ich w treść jednej filozofii nie jest możliwe? Czy owszem nie jest to właśnie obowiązkiem filozofii rzetelnej, tej zwłaszcza, która z zasady swojej jest katolicką (i której hasłem przeto być winny: uniwersalność, miłość), pojednanie to mieć głównie na względzie? Co do nas, sądzimy, że tak jest, sądzimy owszem, że w gruncie tegoż przekonania był i sam autor, wzmiankuje bowiem po kilkakroć, że celem filozofii powinna być jedność (»zadaniem filozofii jest: sprowadzić wszystko do jedności«, 23). Lecz między tym celem w zasadzie, a celem w wykonaniu, w książce jego zaszła wielka różnica i na tę różność chcemy tu właśnie głównie zwrócić uwagę.

Autor, jak to widzieliśmy, wykład ram swego systematu poprzedził ocenieniem, czyli krytyką transcendentalizmu i pozytywizmu, a w ocenieniu tem miał właśnie głównie na względzie stosunek tych szkół do religii (»Nie będziemy, mówił we wstępie, bezwarunkowo zaprzeczać i zbijać jak tylko to, co się sprzeciwia prawdzie katolickiej«, 16).

Otóż z tego właśnie stanowiska wychodząc, jakże mamy oceniać jego rozbiór, a najprzód, jakże mamy spoglądać sami na transcendentalizm?

Twórcą tak nazwanego transcendentalizmu był, przypomnijmy, przy końcu wieku zeszłego, Kant. Filozof ten, któremu z jednej strony konkluzye spółczesnego mu materyalizmu, a z drugiej przekonania własne o bytności Boga i nieśmiertelności duszy ludzkiej, spać nie dawały, przekonania te we wszystkich swych rozumowaniach, traktatach, wyraźnie objawił i do tychże ogólną myśl ludzką, przez podniesienie jej najprzód na czysto racyonalnem polu, od empiryi do transcendencyi podnieść się starał. Następcy i naśladowcy główni tego kierunku Kanta: Fichte, Schelling i Hegel byli to nie tylko pisarze chrześcijanie, ale gorliwi chrześcijanie, którzy całe swe życie, całe wytężenie swej myśli, wszystkie swe prace poświęcali na racyonalne sprawdzenie i rozwijanie głównych twierdzeń swego wyznania. Wprawdzie chrystyanizm naówczas tak był jawnie i uniwersalnie pobity, tak wyszydzony, iż hasła swe podnosili oni niejasno, w teoryach swych wyrażali się tylko przez omówienia; wszakże istotne ich stanowisko przebijało się w ubocznych ich pismach i w dalszem prac rozwinieniu, stąd też ich właśni uczniowie (filozofowie naśladowcy a drugorzędni) obwiniali swych mistrzów o te zboczenia, a w zdaniach o nich »Fichte drugiego okresu« i »Schelling drugiego okresu« od Fichtego i Schellinga »pierwszego okresu« byli rozróżniani. Dla krótkiego a praktycznego dowodu tego, co twierdzimy, wskażemy tu np. co do Fichtego na jego pismo: *Anweisung zu einem seligen Leben oder Religionslehre*, 1806 r., w którem za jedyną drogę do życia błogosławionego wskazywał na zgodność życia z poradami i przepisami Ewangelii; tenże cel miały wyraźnie rozumowania i nauczania jego i we wszystkich innych traktatach, jak o prawie natury, prawie społecznem, świecie moralnym, a ideałem, na który wskazywał i do którego kierował był, to wiek przyszły ziemi, królestwo

(wyłącznie) boże, wyrazem którego, jak uczył, będzie jedno powszechne państwo, królem którego będzie Chrystus, t. j. prawo Chrystusowe, a spółrządcami jego przez tysiąc lat święci, t. j. regnanci - mędrcy. Natura pokonana, dodawał, zmieni oblicze, a zapanuje powszechnie życie wyższe i nowe. Było to, jak widzimy, wychodzenie nie tylko z nauk ewangelicznych, ale z ogólnych proroctw chrześcijańskich. Wyznawcą głównych teoryj filozoficznych Fichtego *(Wissenschaftslehre)* był między innymi i jawny katolicki filozof Baader. O Schellingu dosyć jest rzec, iż jest podanie, że przyjął przed śmiercią katolicyzm i ograniczymy się tu na przytoczeniu jego następnych słów własnych o kościele rzymskim z ostatniego jego traktatu *Filozofia pozytywna*, czyli *Objawienia: Ist die Römische Kirche für alle Zeiten Grund und reeller Halt; ohne ihr, wäre unter den politischen Widersprüchen und den Widersprüchen des Denkens die Kirche vorloren gegangen. Phil. der Offenb.*, 1843, str. 720. Hegel wreszcie, który we wstępie do swej *Historyi filozofii* ośmielił się nawet wyrazić, iż chrystyanizm uważa za prawdę *(Der Inhalt des Christenthums... der die Wahrheit ist. Gesch. d. Philos.*, 1833, t. I., str. 21) stał się twórcą ze szczególnym wysiłkiem myśli zbudowanego systematu, którego główne wnioski, przełożone na język religijny, brzmią: iż Bóg jest Duchem, iż jest Jeden we trzech Osobach (Duch Podmiotowy, Przedmiotowy, Bezwzględny = Absolut), iż człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo boże (t. j. iż we wszystkich jego utworach, gałęziach rozwoju, odbija się taż troistość, jaka jest w Duchu-Pierwiastku. *(Encyklopedya Hegla)* [1] i t. p.

Takim był właściwie w odniesieniu do religii chrześcijańskiej transcendentalizm, a w każdym razie zwrot ten (co już jest faktem powszechnie znanym) miał tę siłę i to

[1] Poznając niegdyś systemata filozofii niemieckiej nie z podręczników, ale z własnych pism twórców systematów, musieliśmy się z gruntu odróżnić w ocenianiu ich pomysłów, od zwykłego ich ocenianiа szkolnego.

następstwo, iż nie tylko myśl w Niemczech, ale ogólną myśl ludzką na całe pół wieku od sfer materyalnych, sceptycznych, do duchowych i religijnych był podniósł. Autor jednak »Filozofii i jej zadania« nie tylko zwrotowi temu nie udzielił dobrego słowa, ale owszem głównie go ściga, uważa go za zgubniejszy niż sam materyalizm, a głównych reprezentantów jego, tych właśnie, o których dopiero rzekliśmy, ma nie tylko za ateistów, lecz gorzej niż ateistów. Dowody na to autor stawi w części teoretyczne, w części praktyczne. Wspomnijmy tu tak o pierwszych, jak i o drugich. »Wszyscy ci filozofowie transcendentalni (mówi autor, dotykając teoryj ich), chociaż na pozór walczyli z Kantem, właściwie wychodzili z jego systemu; system Kanta zawarty był głównie w jego traktacie *Krytyki czystego rozumu*, zasady tego traktatu były więc zasadami głównemi i całej szkoły. Według tego traktatu rozum nasz nie ma innych niemylnych poznań, tylko te, które ma *a priori* (t. j. nie ze świadectwa naszych ułudnych zmysłów idące), że zaś ten *apryoryzm* nie mówi nic rozumowi o Bogu, nieśmiertelności duszy, więc prawd tych nie może uważać za prawdy transcendentalizm. Ocenienie tych zasad transcendentalizmu i jego następstw jest to najobszerniejsza część książki autora i najwięcej opracowana (od str. 70—120); z uwag dotyczących Krytyki czystego rozumu, przytoczymy tu następne, jako główniejsze: »Kant zaczyna od założenia, że nasze sądy są syntetyczne *a priori*, t. j. niemające powodu ani w doświadczeniu, ani w analizie; sądzimy nie z powodu, że się rzecz tak nie inaczej ma w sobie, ale że tak sądzić musimy z powodu ślepego prawa naszego rozumu, że zatem i wszystkie nauki ścisłe i przyrodnicze, które z takowych sądów się składają, nie pochodzą z poznania przedmiotów, ale snują się tylko z podmiotu naszego myślenia. Jeżeli Kant nie ufa od razu swym władzom poznawczym, jakąż wartość przypisywać może swej krytyce i swoim wywodom przez te same władze poznawcze wykonywanym? Jeśli sądy są *a priori*, tedy idące z nich orzeczenia muszą

być takież, t. j. bez przedmiotowości. Cała baśń o owych sądach syntetycznych *a priori*, ów fundament krytyki Kantowskiej, stoi tylko na fałszywych pojęciach i niedostatkach logiki, a jaka moc w podwalinach, taka i w całej budowie« (str. 71—73). Zdania te powtórzyliśmy tu dla okazania stanowiská autora, co do nas jednak nie wyrażamy się o ich wadze ani twierdząco, ani przecząco, wszelkie bowiem filozoficzne *teoretyczne* sprzeczki mamy przeważnie za próżne. Wyprowadzenie z oderwanych zdań i wyrażeń dowolnych wniosków, chwytanie za sprzeczności w słowach i sądach są nader łatwe, łatwa także następnie odpowiedź na nie i polemiki teoretyczne zwykle są nieskończone: zarzuty powyższe systematowi Kanta były czynione nieraz, czynione oddawna i jeszcze za życia Kanta wywoływały one odpowiedź nawet i jego własną (np. w drugiem wydaniu *Krytyki czystego rozumu* co do uważania mianowicie przezeń *Ding an sich*); rozwoju transcendentalizmu jednak nie powstrzymały. Jak właściwie teoretyczne zasady Kanta były niejasne, dosyć jest wspomnieć, iż np. spór o to, czyli według tego filozofa czas i przestrzeń były to tylko *pojęcia*, czy też *przedmioty (Anschauungen)*, co rozumiał przez swe sądy syntetyczne i sądy analityczne? (t. j. gdzie im naznaczał granice), przeciąga się dotąd. Dodajmy nadto, że dziś (za danem mianowicie hasłem przez odczyty Kuno Fischera w Jenie), nawet ogólny pogląd na zasady Kanta z gruntu się zmienia. Niektórzy dziś np. z jego sędziów twierdzą, że jego krytyka rozumu była to właściwie nie filozofia twierdząca, ale tylko *Reflexionsphilosophie* i mówiła nie o twierdzeniach bezpośrednich, a tylko pośrednich, że wystąpienie Kanta nie było, jak to sądzono dotąd, przeciw dogmatyzmowi Leibnitza, a tylko przeciw dogmatyzmowi Wolfa (który systematyzował Leibnitza), że owszem krytyka Kanta była to w gruncie metafizyka Leibnitza itp. O tych zarzutach teoretycznych autora książki nic nadto nie powiemy tu i dlatego, że zdają się one nieszczere, z chwilowego uprzedzenia tylko płynące; autor np. w kry-

tyce Kanta powstaje na apryoryzm, a dalej w krytyce Schellinga na *intuicyą* i zowie ją mrzonką (»wszyscy się śmieją z intuicyi, bo ta jest czczą mrzonką«, str. 78), a jednak następnie, jak to widzieliśmy, cały swój system oparł także na apryoryzmie (Byt w sobie), a za podstawę pewników swego systemu uznał konieczność intuicyi (»jedynem możliwem wyjściem, jest okazać, że owe pewniki są przedmiotem intuicyi umysłowej«, str. 257). Zwróćmy się tu więc raczej wprost do przedmiotu, t. j. do tych dowodów, któremi autor praktycznie zarzuty swe sprawdzał. Autor twierdzi, iż wszyscy główni transcendentaliści byli to ateiści i po kolei to objaśnia. »Kant, mówi najprzód autor, w *Krytyce czystego rozumu* twierdzi wyraźnie, że rozum ten nie jest zdolny uznać bytności Boga i sadzi się na wszelkie możliwe argumenta przeciwko rzeczywistości Boga, duszy i świata«. W pismach Kanta nie tylko nie spotkaliśmy nigdzie, iżby gdzie sadził się na argumenta przeciw bytności Boga, ale owszem nieraz przytacza to z żalem, iż dotychczasowe dowody były niedostateczne i wraca zawsze do własnych. Jest nawet oddzielne pismo Kanta, mające napis: *Dowód bytności Boga.* W dziełku tem przytoczywszy autor różne rodzaje dowodów tej bytności i wskazując na ich niedostateczność, kończy traktat w duchu swojego systematu uwagą, iż ponieważ poznanie istoty rzeczy przechodzi skalę naszego pojęcia, tedy temwięcej poznanie Istoty, która jest nad wszelkie istoty i że przeto jeżeli nie jest koniecznem o bytności Istoty tej rezonować, *konieczna jednak jest* o bytności tej *być przekonanym (Es ist durchaus nöthig, dass man sich vom Dasein Gottes überzeuge, es ist aber nicht eben so nöthig, dass man es demonstrire;* por. *Das einzige mögliche Beweis vom Dasein Gottes von Immanuel Kant,* 1770, Königsberg). Co do traktatu *Krytyki czystego rozumu,* Kant tu twierdzi istotnie, iż o bytności Boga nic nie może nam rzec rozum *czysty* (t. j. z uznań *a priori* złożony), wszakże jakby nie wytrzymując tego, co miał dopiero rzec w swych pismach dalszych, a mianowi-

cie w *Krytyce praktycznego rozumu*, powtarza nieraz i tu, iż o bytności tej przekonywa się dopiero rozum z innego szeregu uznań, a w oddziale tego traktatu, mającym napis: *Kanon czystego rozumu*, wyraźnie mówi: »Wzgląd na porządek obyczajowy w świecie prowadzi wprost do uznania pierwszej Istoty, najwyższej, doskonałej, rozumnej«. Przypomnijmy tu także, że tenże Kant w dziele: *Die Religion innerhalb der Gränzen der reinen Vernuft* wyraził nawet owo sławne, a tak obfite w następstwa śród szkoły swej zdanie, że zamienianie wiary kościelnej w wiarę czystorozumową (t. j. wykładaną nietylko przez Kościół, ale i przez sam czysty rozum) jest stopniowem zbliżaniem się Królestwa Bożego.

W dowód ateizmu Fichtego autor przytacza następne jego słowa, wyjęte z artykułu, za który autor ten w Berlinie o ateizm był oskarżony: »Bóg nie jest ani *osobowym*, ani *świadomym siebie*, bo temsamem byłby ograniczonym, skończonym«. Nie wiemy naturalnie, jak teologowie berlińscy pojmowali te wyrażenia, co do nas jednak, gdy z jednej strony wiemy, iż według teologii katolicko-chrześcijańskiej Bóg jest *duchem najczystszym* i tem samem nie może mieć żadnej materyalnej postaci, a z drugiej, iż według tejże nauki jest Istotą tak dalece od ludzi wyższą i różną, iż jak cech ludzkich fizycznych, tak i umysłowych przypisywać Mu nie możemy, iż może mieć np. jakąś niemogącą się przez nas wyobrazić wszechwiedzę, aniżeli jakąś wiedzę na skalę ludzką, i kiedy nadto trudno jest twierdzić o kimś, iż nie uznaje Boga, kiedy ten właśnie chce Istotę Jego określić, nie uczynilibyśmy nigdy z przytoczonego wyrażenia wniosku o ateizmie. Fichte w wykładzie swoim *Prawa natury* wyraził między innemi następne zdanie: »winieneś wolność swoją ograniczać tak, abyś ty z innymi, a inni z tobą mogli utworzyć spólną wspomagającą się wzajem społeczność«; reguła ta, wychodząca z uznania i swobody woli i wzajemnych obowiązków w jednostkach, czemże jest innem w swej treści jak parafrazą nauk ewan-

gelicznych? Autor jednak i w tem wyrażeniu chce widzieć chrześcijaństwo i anty-chrześcijaństwo i przytoczywszy je mówi: »jak zasada Chrystusowa była zasadą zjednoczenia, tak ta Fichtowska zasadą *odgraniczania się*« (?) (95).

W dowód ateizmu Schellinga i Hegla autor wskazuje, iż oznaczony przez nich jako bóstwo *Absolut* jest to Istność, która się składa zarazem i z materyi i z ducha, która jest wszechświatem i wyznawanie której przeto jest *panteizmem;* zaznacza przytem, iż jest to bluźnierstwem Hegla, gdy twierdzi, iż Bóg do uznania się w sobie dochodzi dopiero w człowieku i utrzymuje w ten sposób, iż bogami są ludzie. W dowód bluźnierstwa przytacza też między innemi określenie Trójcy przez Schellinga i nazwanie przez Hegla państwa »Bogiem istotnym«. Iż tak Hegel jak Schelling w literalnem swem określaniu *Absolutu* stawali się winnymi panteizmu, jest to rzecz pewna, było to rzeczywistą wadą ich systematów i stało się też następnie jedną z głównych przyczyn upadku ich. Inna jest jednak obwiniać system danego autora, a inna samego autora. Możemyż obwiniać Hegla, że był panteistą, kiedy niejednokrotnie oświadczał sam, że nim nie był i kiedy nadto dodawał, że nikt go nie zrozumiał należycie. Wiemy przytem, jaką ograniczonością jest litera i jak z literalnego brzmienia danego zdania nie zawsze jest łatwo sądzić o duchu zdania. Kiedy np. teologia katolicka uczy, iż »Bóg jest wszędzie substancyą swoją«, kiedy Pismo św. wyraża, iż »w Nim żyjemy, w Nim oddychamy«, albo iż »Bóg w nas mieszka, a my w Nim«, kiedy *Stary Testament* pisał: »*Bogowie jesteście* i synowie Najwyższego wszyscy«, a sam Chrystus zwrócił uwagę uczniów na te słowa i dodał: »A nie może być Pismo skażone« *(Jan X, 35);* — czyliż należy stąd wnieść, że i nauka chrześcijańska jest panteizmem? Określenie Schellinga Trójcy jest nam dowodem, że Schelling wyznawał Trójcę; nie rozumiemy wprawdzie jego określenia, ale wyobrażenie materyalne Trójcy, które kościół katolicki toleruje jako parabolę, a przeciw któremu protestują nauczyciele

chrześcijańscy od św. Tomasza z Akwinu do spółczesnych nam katechizmów podręcznych, jestże podobniejszem do określonej teologicznie Trójcy? a jednak twórcy tego wizerunku nie uważają się za ateistów. Zarzut czyniony Heglowi, iż w swej *Filozofii prawa* nazwał państwo *Wirkliche Gott*, nie jest ścisłym; w miejscu bowiem przez autora wskazanem wyrażenie to *Wirkliche Gott* odnosi się właściwie nie do państwa, lecz do *Idei* (twórczej), która jest źródłem państwa [1]. Zakochanie się w słowach Pisma, przejmowanie się wszystkiemi częściami jego nauki, było według nas, jak podstawą systematu Hegla, tak i nauk całej szkoły transcendentalnej. Ewangelia mówiła np.: »jest światłość, która oświeca każdego przychodzącego na świat«, iż należy zważać na »znaki czasów«, iż »Królestwo« rozwijać się ma na ziemi jako krzew z ziarna, iż zbawienie otrzymają ci tylko, którym to »zgotowano« i t. p.; stąd też stałe nauki w szkole o ideach wrodzonych, o postępie, o duchu czasów, o konieczności itp. Wszystkie te jednak wyobrażenia, jakkolwiek idące z Pisma, ponieważ postrzeżone były pod piórem »panteistów i ateistów«, obwoływane były zrazu za panteizm, a w części, jak widzimy, trwa to i dotąd.

Pamiętamy, jak nader jeszcze niedawno użycie wyrazu *postęp* poczytywanem było za panteizm, wyraz ten jednak następnie tak się okazał chrześcijańskim, że spotkaliśmy niedawno uwagę w któremś piśmie katolickiem (i jest to właśnie spostrzeżeniem trafnem), że nauka wyobrażenie postępu winna chrześcijaństwu. Z zadziwieniem widzimy wprawdzie, że autor obecnej książki zaprzecza ideom wro-

[1] Autor oznaczył stronicę, na której ma się znajdować owo wyrażenie w wydaniu *Filozofii prawa* Hegla z r. 1840; nie mamy pod ręką tego wydania, a tylko z r. 1833, ze względu jednak na oznaczenie zarazem paragrafów wnieść można, że jest to mowa o następnych słowach traktatu: *Bei der Idee des Staats muss man nicht besondere Staaten vor Augen haben, nicht besondere Institutionen, man muss vielmehr die Idee, diesen wirklichen Gott für sich betrachten. Philos. d. Rechts, § 258.*

dzonym, w tem bowiem staje raczej po stronie materyalistów, a nie większości katolickiej, lecz mniej dziwimy się, bo już w tem jest z większością katolicką, gdy nie dowierza także apryoryzmowi śród dziejów, ma za ideę zgubną *konieczność* i t. p. Sądzimy wszakże, że i te zarzuty większości równie niesłuszne są. Autor mówi: »Hegel et consortes w swych filozofiach historyi naginają fakta jak mogą (by zastosować je do swych ram zgóry pomyślanych), ale historya protestuje i śmieje się z pretensyi Hegla wyprowadzania jej z *a priori*«. Nie twierdzimy bynajmniej, aby Hegel albo ktobądź z jego następców zdołał już dostrzedz i oznaczyć należycie prawa dziejowe, wszakże zdaniem naszem daleko więcej chrześcijańskiem było stanowisko Hegla, skoro uznał, iż bieg dziejów jest następstwem mądrości i *wprzódwiedzenia* bożego, niż owo materyalistów, iż ten bieg jest to tylko »przypadkowość przypadkowości«. Protestuje też autor mocno przeciw wyrazowi *konieczność* i twierdzi, iż dopuściwszy konieczność, »zaprzeczyć wypada wolnej woli w Bogu i ludziach, sprawiedliwości nagród i kar« i t. p. Lecz czyliż konieczność nie istnie? Sam autor czyż nie wyraził np. w obecnej książce: »Stąd wyprowadza się z metafizyczną *koniecznością* istnienie istoty bezwzględnej i *koniecznej*« (269). »Świat, mówi autor, wypłynął nie z konieczności, lecz był stworzony wolną wolą bożą«. Jeśli tak jest, czyliż więc nie była właśnie koniecznością ta wolna wola? lub jaśniej, czyliż nie było koniecznem, iżby ten świat był stworzonym, i stał się nie innym, a tylko takim, jakim go Bóg mieć żądał? Możeż równie konieczność zaprzeczać (jak to twierdzi autor) istnieniu wolnej woli w człowieku, jeżeli właśnie było to koniecznością, iżby ten przymiot istniał w jednostce ludzkiej? »To, co nazywamy wolnością woli (przytacza to ze zgorszeniem autor), jest to, według Spinozy, *złudzenie*, wynikające stąd, iż jesteśmy świadomymi swego czynu, a nieświadomymi *wpływów*, które ten czyn wywołują« (157). Lecz zdaniem naszem zdanie to Spinozy jest właśnie jednobrzmiącem z tem zna-

nem zdaniem chrześcijańskiem, iż »człowiek nie czyni niczego bez woli bożej«. Wolna wola, przepisy, nagrody i kary właśnie dlatego istną, że w stawaniu się szczegółów bytu pewien Szyk Harmonijny, czyli *Sprawiedliwość* boża, są koniecznością. Pewna konieczność istnie i wolna wola istnie: są to fakta. Wypada tylko uznać, iż nasze pojęcie ludzkie nie jest zdolnem objąć takiego kontrastu, wypada stąd dalej uznać, iż istnieją właśnie śród świata i pojęcie i rozum wyższe niż ludzkie. Transcendentalizm niemiecki lubo sam zniknął, zostawił w dziejach myśli ludzkości ślady dodatnie niestarte, które i przyczyniły się były i nadal przyczyniać będą do głębszego wnikania w istotę rzeczy, do szerszych na byt poglądów [1].

Jako na ostateczny dowód zgubności transcendentalizmu, wskazuje jeszcze autor na jego skutki, to jest na zamienienie się tego systemu w rozwiciu swojem częścią w materyalizm, częścią w nihilizm. Że ten system nie był bez ujemności i te ujemności nie mogły pozostać bez odpowiednich skutków, to naturalne, ale i to jest pewne, że pojmowanie systemu tak lub inaczej jest winą niejednokrotnie nie systemu, lecz pojmujących; możnaż np. obwiniać chrześcijaństwo o zbrodnie wieków średnich? lub odrzucać Ewangelię dlatego, że była np. źródłem sekty biczowników, stosu Serwetów, nadużyć inkwizycyi hiszpańskiej? i t. p. Zamienienie się transcendentalistów w materyalistów należało też do wielkich wyjątków, zamienili się oni najwięcej w idealno-realnych. Autor Filozofii i jej zadania występując więc przeciw transcendentalizmowi wyłącznie przecząco i wrogo, nie ocenił go należycie.

Przystępując z kolei do ocenienia materyalizmu oraz

[1] Sam autor w dziele swem mówi: »Św. Tomasz nauczał, iż lubo *faktycznie* świat nasz został stworzony i miał początek, jednak bezwzględnie *możebnem* było, aby *odwiecznie* byt od Boga otrzymywał« (273); to jest, iż odwieczność materyi nie usuwałaby odwiecznego bytu jej *praw*, a zatem i górującego nad nią i kierującego nią pierwiastku, czyli Boga. Podobne zdanie wyraził i św. Augustyn.

pozytywizmu (ten ostatni skreślony tu według Littré'go), autor mało dotyka treści, lecz dla okazania fałszu tych systemów przytacza ich główne wnioski i wykazuje, iż te jak są z jednej strony przeciwne rzetelnej naukowości, tak zarazem i nauce chrześcijańskiej. Wnioski zaś te, jak to widzieliśmy wyżej, są mianowicie następne: iż materya jest odwieczną i że te rzeczy świata, jakie istną od słońc do pokładów ziemi, a od pokładów ziemi do ludzi i ich dzieł, są następstwem postępowego rozwoju sił przyrodniczych.

Autor te wszystkie wnioski poczytuje za wprost przeciwne nauce chrześcijańskiej, za takie je właśnie mają i sami ich twórcy, a że o prawdzie swych wniosków są przekonani, wnoszą więc, że nie jest prawdą nauka chrześcijańska. Autor z większością naszych pisarzy katolickich potakując z tej strony materyalistom, zamiast ich nawracania, wzmacnia ich opozycyą; lecz według nas całą przyczyną tej kłótni jest niejasne pojmowanie prawd wzajem wyznawanych. Dosyć więc jest sprostować to pojmowanie, a walki znikną.

Istotnie, jeżeli odłożymy na bok pierwsze z powyższych twierdzeń, to jest o odwieczności materyi (twierdzenie, które skądinąd nie jest związane z istotą następnych i którego możliwość dopuszczoną nawet była przez najpierwszych doktorów chrześcijańskich)[1], wszystkie inne nie rozumiemy zupełnie dlaczegoby się miały sprzeciwiać chrześcijańskim prawdom? Być może, iż sprzeciwiają się one powierzchownym i popularnym pojęciom znacznej ilości chrześcijan, lecz nie pojęciom chrześcijańskim rzetelnym, teologicznym. Jakoż sądzimy, że i sam autor nie zaprzeczy nam, że całe nieporozumienie dwu nauk zniknie, jeżeli przypomnimy, jakie jest rzetelne i czyste pojęcie chrześci-

[1] Nasi wszyscy najznakomitsi uczniowie i wielbiciele transcendentalizmu, jak Szaniawski, Gołuchowski, Kremer, Libelt i in., byli wszyscy zarazem i gorliwymi katolikami chrześcijanami. Cousin, który przeszczepił transcendentalizm do Francyi, umarł katolikiem.

jańskie Istoty Boga, Jego czynności i stosunku nas ludzi do tej czynności.

Bóg według nauki chrześcijańskiej jest Duchem najczystszym. »W jakiż więc sposób pojmować tylko powinniśmy Jego działalność«, a przedewszystkiem Jego akt stworzenia? Autor mówi: »wyobrazić sobie aktu stworzenia nie możemy, ale zrozumieć, co znaczy *tworzyć*, wszyscy możemy« (136). Otóż może mylimy się, ale zdaje się nam, że nawet sam autor, pisząc te słowa, nie zdawał sobie jasno sprawy z wyrazu tworzyć. Dodaje bowiem: »jeżeli usuniemy akcyę stworzenia, tedy należy uznać, iż istoty powstały przez *samorodztwo*«. Ktoby pojmował należnie, to jest po chrześcijańsku ten wyraz tworzyć, ten według nas, nie mógłby nawet mówić o samorodztwie. Bóg jest *Duchem*, czynność Jego przeto jest niewidzialna, w jakimbykolwiek więc czasie i w jakibykolwiek sposób ukazał się byt jakiej istoty, czyliż możemy twierdzić, iż ukazanie się to nastąpiło bez Jego skrytej sprawy, bez Jego woli? »Aktu stworzenia nie możemy sobie wyobrazić«, mówi autor, jest to pewna. Każdy wprawdzie z nas chrześcijan, kiedy w pierwszych latach swoich dziecinnych dowiaduje się z ust rodziców, iż jest Bóg i że ten Bóg świat stworzył a z kolei i ludzi, w wyobrażeniu swojem dziecinnem i materyalnem ukształca sobie natychmiast jakieś, takie nie inne pojęcie i tego Stwórcy i tych Jego czynności, lecz te wyobrażenia dziecinne czyliż są zawsze zgodne z prawdą rzetelną? I owszem mając wzgląd na tę wielką różność, jaka być musi Najwyższej Istoty od nas Jej treści i Jej przymiotów, wnieść tylko z koniecznością musimy, iż jak sama ta Istota, tak i Jej akcye przekraczać muszą wszelkie objęcie ludzkie, iż w akcyach tych nasze np. wieki muszą oznaczać chwile, a chwile wieki, że przeto ów akt stworzenia, kreacya np. ziemi, istot na niej roślinnych, zwierzęcych itp., nie były to jakieś sprawy nagłe, nie była to żadna czynność jakby naszych sztukarzy ziemskich, którzy ukazują nam maryonetki, lecz przeciwnie musiało to być jakieś ma-

jestatyczne a harmonijne objawianie się faktów, przekraczające wszelkie wyobrażenia nasze o czasach i środkach [1].

A te i tym podobne uwagi, stosowane do pierwotnych utworów, odnosić się też muszą i do wszelkich dalszych formacyj do dni naszych. Dlaczegóż więc te wszystkie domysły i docieczenia naturalistów, o których wspomnieliśmy i o których w ocenieniu materyalizmu mówi autor, miałyby się sprzeciwiać nauce chrześcijańskiej? dlaczego formacya ziemi nie mogła mieć miejsca przez miliardy lat? dlaczego w taki lub inny sposób nie mogłyby na niej powstawać i stopniowo rozwijać się coraz wyższe utwory? dlaczego w tych utworach, np. w ludziach, ich umysłowe objawy, a nawet duchowe, jako *myśl, dusza,* nie mogłyby być zwią-

---

[1] Stronnicy czystego racyonalizmu rzec mogą, że powyższe i zaraz idące twierdzenia są skutkiem raczej naszego ugodliwego wobec nauki XIX. wieku optymizmu, a nie rzetelnie chrześcijańskie. Odwołamy się tu więc znowu (jak to już raz w tem piśmie czyniliśmy w podobnej okoliczności) do powagi właściwej. Doktor z wieku IV. (więc nie mogący wiedzieć o badaniach i dociekaniach naszego), św. Augustyn, czyniąc wykład księgi Genesis (mianowicie w swych *Confessiones)* po zwróceniu tu uwagi, iż Mojżesz chciał w niej głównie przypomnieć tylko ludziom, iż te rzeczy, na które patrzą, miały początek, o samym akcie stworzenia tak mówi między innemi: »Niektórzy czytając te słowa: »Bóg stworzył« wyobrażają sobie przez Boga wielkiego człowieka lub inną jaką istność materyalną i że kiedy Pismo mówi, iż Bóg rzekł: *stań się i stało się*, tedy były to jakieś słowa zaczęte i skończone, śród czasów brzmiące i przechodzące, po przejściu których ukazywało się *nagle* to, czemu rozkazanem było ukazać się (post quorum transitum *statim* existeret, quod iussum est, ut existeret), ale wyobrażenia takie są to wyobrażenia dziecinne«. Mówiąc o *dniach* stworzenia, zwraca uwagę (którą obszerniej jeszcze rozwijał w dziele *O mieście bożem*, mówiąc o *dniu* ostatecznym), iż dosyć jest być lekko nawet obeznanym z duchem biblii, aby wiedzieć, iż pismo to przez wyraz *dzień* wyraża najczęściej *okres nieoznaczony*, a nie nasz dzień astronomiczny. I wreszcie dotykając domysłu o sposobie ukazania się, czyli stworzenia różnych istot, wyraża zdanie, które stronnicy Darwina, szydzący z biblii i jej katolickich wykładów, z zastanowieniem winniby przeczytać. »Nie kształt pierwotny był *zarodem* tych wszystkich dziwów, o których w dniach następnych, ponieważ wszystkie te rzeczy z natury swojej ulegają *odmianom czasów wskutek urządzonej odmiany ich ruchów*

zane z treścią materyi, być jej wypływem? jeżeliby ta kolej, ten związek, ten słowem sposób tworzenia się ich, były upatrzone i obrane przez Boga dla Jego dzieł? RĘKĄ BOŻĄ SĄ PRAWA NATURY, równie prawa fizyczne, jak prawa moralne. Niechby tylko ta prosta a naturalna prawda była w pamięci wszystkich, a zginąłby z ust materyalistów pośmiech z wierzenia w Boga, a z ust wyznawców religii zarzut ateizmu naturalistom.

A jeżeli śród tych i tym podobnych wniosków, uznań i twierdzeń materyalistów i racyonalistów, dosyć jest tylko ocenić je jasno, iżby w nich nie oglądać nieprzepartych zawad do skierowania się ku drodze jedności; ileż równie potrzebne są sprostowania ze strony tychże racyonalistów dla ocenienia istoty katolicyzmu. Zdaniem ich, dosyć jest

---

i postaci« (w przekładzie polskim *Wyznań* przez ks. Pękalskiego, str. 366 i 372). Że zaś potrąciliśmy tu o Darwina, na którego teoryę pochodzenia autor Filozofii głównie nastaje i za bluźnierczą ją uważa, wspomnijmy tu na oryginalne w tej rzeczy zdanie profesora katolickiego uniwersytetu w Londynie, dra Mivart. Naturalista ten (nagrodzony stopniem dra przez Piusa IX.), w dziele swem: *O początku gatunków* (»On the genesis of species«) zbija wprawdzie wywody Darwina o *powodach* pierwotnej transformacyi, dodaje jednak, że zdaniem jego, według słów biblii, stworzenie ciała człowieka istotnie nastąpiło przez transformacyę. Mówi bowiem biblia, iż Bóg pierwszego człowieka uczynił z mułu, a zatem »metaforycznie, z materyi już istniejącej« i w to ciało dopiero »tchnął ducha« na obraz i podobieństwo swoje. Przytoczymy tu jeszcze umiarkowane i trafne zdanie w tej rzeczy naszego *Przeglądu katolickiego*, wyrażone w artykule p. n.: *Dawid Strauss*. Wspomniawszy ten artykuł o ostatniem dziele tego doktora pod napisem: *Dawna i nowa wiara*, którego celem było dowieść, iż dawną naszą wiarę chrześcijańską powinna dziś zastąpić nowa wiara w Darwina, dodaje: »Strauss i wszyscy inni czciciele Darwina przeliczyli się w swoich rachubach. Hipotezy Darwina nie zmniejszyły, ale powiększyły zakres cudu i *gdyby nawet z czasem zostały badaniami stwierdzone*, przeniosłyby tylko cud ze środka rozwoju świata w jego początek. Hipoteza Darwina w niczem nie zmieniła dogmatyki i egzegetyki katolickiej o stworzeniu świata«. (*Przegląd katolicki* z r. 1876, nr. 10). Przypomina to słowa kardynała Bellarmini, zwrócone niegdyś do Galileusza (który miał szydzić z tekstu Jozuego): »Pismo święte naucza, jak się idzie do nieba, a nie jak idzie niebo«.

dojrzeć z jednego słowa danego pisma, iż ma ono grunt katolicki, iżby je bez czytania odrzucić, jako wyraz przesądu i ciasnych pojęć. Lecz oto jak o filozoficznych teoryach danych autorów nie możemy należnie sądzić z ich skróceń i podręczników, ale tylko z własnych ich pism, podobnie i katolicyzm nie ma być sądzony i oceniany z popularnych mniemań i twierdzeń, lecz z pism doktorów tego kierunku i teologii. »Wam jest dane, mówił Chrystus do uczniów, znać tajemnice Królestwa, a innym przez podobieństwa« (t. j. ludowi przez *parabole)*. Nauka przez podobieństwa, przez allegorye, tolerowaną więc była zawsze w Kościele katolickim w samym nawet wykładzie dogmatów, przedmiotów wiary, w szczegółach obrzędów i t. p., a szczegóły te brane nieraz bywają za ścisłą dogmatykę. Niegdyś lud rzymski i grecki, który wyznawał Olimp *materyalny, takież* Pola Elizejskie i Tartar, mógł zapewne i musiał, przyjmując wiarę chrześcijańską, łączyć jej nauki i prawdy z tłem dawnem, a następnie sztuka chrześcijańska stając się także naśladowniczką dawnej (Michał Anioł, Dante i t. p.), kierunek ten mogła tem więcej swymi utworami utwierdzać i szerzyć. Lecz oto mimo to wszystko, pomimo cały materyalizm i wierzących i dawnych wieków, dogmatyczna nauka chrześcijańska (w czem można nawet zauważyć odbicie nieomylności w jej kierunku) nie wyraziła nigdy nauki innej, jak tylko że Bóg jest *duchem;* że dobre i złe duchy to *duchy;* że tylko *dusza* ludzka jest nieśmiertelną i t. p. Owe liczne obrzędy, modły w katolicyzmie, brane także w rachunek pojęciem wyznawców, uważać trzeba, iż są to po największej części obchody pamiątek historycznych, a w części kształcenia mistyki (która jest także jednym z rzeczywistych pierwiastków natury ludzkiej) i że przeto po największej części nie należą do szczegółów wiary, do obowiązków, a przyjmowanie udziału w nich bywa tylko skutkiem zachęty, porad, a nieraz i *tolerancyi*[1].

[1] Wskażemy na świadectwa właściwe. Wychodzący w Warszawie przed kilkunastu laty *Pamiętnik religijny* zamieścił był wiadomość, iż bi-

Owóż znoszenie uprzedzeń i rozjaśnianie drogi, skuteczniejszym, zdaniem naszem, być musi środkiem wzajemnego zbliżenia i wydania filozofii *rzetelnej*, niż powtarzanie wzajemnych zaprzeczeń i tych wywodów, o których już tylekroć słyszały strony przeciwne, a które chociażby i zwiększone były o jakie kwieciste słowo lub wyraz nowej ironii, mogą raczej powiększyć rozbrat niż pojednanie. Na str. 310 autor Filozofii powiada: »Ten u nas w filozofii jest Heglistą, a dzieci do spowiedzi posyła, ów na katedrze Darwinistą, a po pacierzu powtarza Wierzę w Boga, Stworzyciela nieba i ziemi«. Jeśliż tak jest, czyliż nie właściwszemby było wejrzeć raczej bliżej w przyczynę tych faktów i zbliżeniem tem pokierować, niżeli łączących się nawet odtrącać, wyszydzać i zrażać?

Zajęliśmy się tu wyłącznie kwestyą zgody, a więc stroną krytyczną pisma, a zaledwo nie zapomnieliśmy o jego części głównej twierdzącej, to jest o rozdziałach XIII i XIV, które objaśniają podziały i ramy własnego systematu autora i tem samem są rozjaśnieniem napisu dzieła, t. j. są odpowiedzią na zapytanie, jak autor pojmuje filozofię i jej zadanie. Lecz oto jest to część, o której nateraz najmniej powiedzieć się może. Tych coraz odmiennych podziałów i różnych odcieni w podziałach mamy tyle w wykładach filozofii, ile jej było systematów w różnych krajach i wiekach. Znaczenie i wartość obecnych wykazaćby tylko mo-

---

skupi niemieccy, mimo ponawiane przedstawienia, nie mogli otrzymać z Rzymu zatwierdzenia upowszechnionej w Niemczech *Litanii o Imieniu Jezus* i innych do różnych świętych i na różne uroczystości; a na zapytanie czytelników, dlaczegóż jednak te litanie są używane? odpowiedział: iż Kościół w tej rzeczy postępuje jak w wielu innych, t. j. »toleruje zwyczaj«. W wychodzącej obecnie *Encyklopedyi kościelnej*, pod artykułem *Godzinki*, znajdujemy, iż śpiewanie Godzinek o Niepokalanem Poczęciu N. P. M. w językach ludowych przez papieża Piusa V. zostało wzbronionem, co więc oczywiście także toleruje się tylko. Wiele zapewne obrzędów i modłów kościelnych jest nie tylko tolerowanych, lecz i polecanych, wszakże w teologiach katolickich spotyka się i to zdanie, iż »można przez życie nie zmówić i jednego *Ave* i być zbawionym«.

gło ich wykonanie, lecz dotąd mamy tylko ramy i zapowiedzi. Wprawdzie rozkład i wywód treści, wyrażone w tych ramach, wydają się nam niejasne i zagmatwane; nie rozumiemy np., jaka to będzie w wykładzie systemu *logika,* która nie będzie mówić o sądach i argumentach, a ma być *krytyką* i zarazem *filozofią fundamentalną,* a tem więcej jaką będzie ta *metafizyka,* której przedmiotem mają być wszystkie nauki przyrodnicze i która zarazem będzie filozofią pierwszą, a więc także filozofią fundamentalną; nie wiemy, czyli i jak sprawdzi filozofia autora te liczne założenia, których w programacie sprawdzenie zastrzegł, jako np. o intuicyi, o duszy; co rozumieć będzie przez »szczęśliwość przyrodzoną« jego etyka? i t. p. Czyniąc wnioski ze skreślonego rozkładu, zauważyć też można, iż oznaczone tu ramy nie odpowiadają temu pojęciu filozofii, jakie autor zgóry był wyraził, gdy mówił, że zadaniem tej umiejętności ma być to wszystko, co może być przedmiotem myśli ludzkiej; jakoż oprócz religii, o czem właśnie mówiliśmy, nie znajdujemy też w oznaczonych ramach całej sfery sztuk pięknych, dziejów społecznych, dziejów różnych wyznań i t. p. Być może, iż te wszystkie gałęzie i szczegóły znajdą się w wykonaniu, i wykonania tego, dodajmy, piórem autora, to jest piórem tak pełnem z tylu względów zalet, życzylibyśmy, co do nas, jak najrychlej; lecz dopóki to nie nastąpi, nie możemy już dzisiaj systematowi jego przyznać tej uniwersalności i tej jedności, które tak pożądane są w filozofii, do których teoretycznie sam skłaniał.

Miassota, czerwiec 1878.

VIII.

Z DZIEDZINY POEZYI.

I.

Dante Alighieri. Boska Komedya, przekład Ant. Stanisławskiego. Poznań. Nakładem księgarni Żupańskiego, drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie, 1870.

Boska Komedya Danta, ten poemat jeden z najobszerniejszych i najbogatszych w fantazyą śród utworów poezyi ludzkiej, długo był nieoceniony i prawie nieznany w ogólnej literaturze. Napisany w samym początku XIV-go wieku, dopiero przy końcu XVIII-go zaczął zwracać bliższą uwagę piśmiennictw Europy. Pierwszy przekład tego poematu na język niemiecki i to prozą, nastąpił zaledwo w r. 1767 *(Bachenschwantz);* pierwszy całkowity francuski dopiero w r. 1811 *(Artaud).* W samej ojczyźnie poety, sława jego lubo wysoka zrazu, dalej zatartą zostata powodzeniem i sławą poematów Ariosta i Tassa i pierwsze jego krytyczne wydanie ukazało się dopiero w r. 1791.

Ale ta długa stanność w rozgłosie była właściwie wstępem, przygotowaniem do tem większego następnie zatryumfowania sławy poety. Owo pierwotne powodzenie poematu we Włoszech było tylko cieniem wobec tego, jakie go miało spotkać nam współcześnie. Dante sławionym jest dzisiaj nie tylko jako wielki poeta, ale też jako wielki polityk, wielki filozof, wielki teolog w swoim utworze. *Boska*

Komedya stawiona jest nad wszystkie poetyczne gwiazdy poezyi ludzkiej.

Od tego powszechnego hołdu i zajmowania się tym utworem nie oddzieliła się i nasza literatura. W ostatnich czasach zyskaliśmy nie tylko licznych tłumaczów szczególnych ustępów Boskiej Komedyi, ale też miłośników, którzy poświęcili zaledwo nie cały swój żywot dla wykonania przekładu jej całości. Właśnie przed laty 10 otrzymaliśmy całkowity przekład tej epopei przez Juliana Korsaka, i oto otrzymujemy dziś drugi całkowity nowego pióra.

Krótko tylko wskażemy tu na cechy i na różnice obu tych przekładów. Lecz aby wskazać chociażby najkrócej na cechy przekładu, wypada nam chociaż kilku słowy przypomnieć i wskazać na właściwe zalety i cechy samego poematu, a więc i samego poety.

Autor Boskiej Komedyi *Dante* (syn Alighiera) urodził się w r. 1265, umarł w 1321. Był on dzieckiem Florencyi a przyszedł był na świat, kiedy dzieje tego miasta i wogóle Włoch odznaczone były bojami *Gwelfów* (rodzin włoskich, które miały opiekę Stolicy Apostolskiej) i *Gibellinów* (stronników cesarzy). Dante doszedłszy do lat, był zrazu gorliwym i bitnym stronnikiem pierwszych i wyniesionym był na jeden z pierwszych urzędów swojego miasta, ale śród samych Gwelfów zrodziły się były stronnictwa i namiętne walki *Białych* i *Czarnych;* ci ostatni wygrali i Dante, który należał do Białych, skazanym został na wygnanie, na stratę mienia i wreszcie na spalenie. Przeszedłszy do obozu Gibellinów, razem z nimi czynić miał napad na Florencyą. Napad odparty był i Dante do rodzinnego miasta nigdy już nie powrócił. Przez resztę życia t. j. przez lat 19 tułał się on kolejno po różnych dworach książąt i umarł w Rawennie. Czas ten swego wygnania poświęcił był wygnaniec wyłącznie pióru, t. j. myśleniu i pieśni. Napisał był językiem powszechnym piszących t. j. łacińskim, dzieło poświęcone retoryce: *De vulgari eloquentia* (wnet przełożone i na włoskie) i dzieło poświęcone polityce: *Tractatus de Monar-*

chia, — zarazem zaś pragnąc się zespolić bliżej myślą i sercem z myślami i sercami spółczesnych wszelkiego stopnia, nauki, wieku i płci, ułożył i wyśpiewał w języku ludu czyli powszechnym krajowym, utwór szczególnej treści, w którym połączył i obrazy wypadków i dziejów sobie spółczesnych i wykład swych teoryj i pojęć politycznych, filozoficznych i teologicznych, i któremu nadał niemniej szczególny tytuł: *La Commedia* (Komedya).

Już formą tego pisma, t. j. muzyką słów krajowych, poetyczne serce autora zaśpiewało było i za szczęśliwszych dla siebie czasów, w ojczyźnie, gdzie ze zbiorku p. n. *La vita nuova* (złożonym z krótkich wierszyków) opowiedział był szczegóły swej porannej miłości, miłości idealnej, którą był powziął dla towarzyszki lat swych dziecinnych, *Beatrice*. Ta Beatrice z domu Portinari poślubiła była następnie kawalera *Simona di Bardi*. ale młodo umarła. Dante po śmierci jej poślubił *Gemmę Donati* i był z nią ojcem kilkorga dzieci; lecz ani te nowe związki, ani polityczne zajęcia i burze życia nie wygasiły w nim owej pierwszej miłości i żywioł ten był także jednym z głównych żywiołów i owego jego utworu.

Treść szczegółowsza tego utworu jakaż była?

Odtrącony od swych przyjaciół, spółziomków, rodzeństwa (*Gemma* porzuciła była męża w lat kilka), odtrącony jakby przez ziemię, poeta porzuca tę ziemię, i przenosi się myślą i ciałem w krainy zmarłych. Połowa jego towarzyszów lat dawnych, bohaterów spółczesnych wypadków, już nie żyła; ich więc właśnie idzie szukać poeta, a spotykając po kolei to tych to innych, ich dzieje dawne i obecne ich losy opowiada. Poznanie tych krain zaziemskich, t. j. Piekła, Czysca i Raju, któż mu ułatwiał? Do piekieł zstępował niegdyś Wirgiliusz i wędrówkę tę opisał w Ks. VI swej Enejdy. Wieszcz ten aby okazać wdzięczność uczniowi, sam się mu podał za przewodnika po piekle i czyscu; lecz któż mu przewodnikiem był w niebie? Przewodniczką po niebie była mu właśnie owa tu znaleziona przyjaciółka da-

wna, a dzisiaj mieszkanka niebios — *Beatrice.* W podziemiach piekieł poeta spotyka zbrodniarzy i potępieńców w dziewięciu oddzielnych kręgach, według rodzaju zbrodni rozmieszczonych (główną rolę grają tu naturalnie Gwelfowie); na górze czysca (według poety wierzchołek nad obłokami) przedstawiają się znowu potępieńcy, w ich liczbie i Gibellini, rozdzieleni na 7 sfer według rodzaju tych siedmiu grzechów głównych, którymi przewiniali, w sferach niebieskich ukazuje mu Beatrice przybytki dusz błogosławionych pośród planet i gwiazd, miejsce, które jest zbiorem pierwotnych i wspólnych sił świata *(Primum mobile)* i wreszcie główny przybytek boży *(Empireum).* W powieściach o potępieńcach w piekle i czyscu, autor miał pole rozwijania swych teoryj i pojęć historycznych, politycznych i obyczajowych; w opisach zaś i rozumowaniach z powodu sfer niebieskich, do rozwijania teoryj i pojęć fizycznych, filozoficznych i teologicznych. Akcya poematu przeciąga się dni siedm: dwa w piekle, cztery w czyscu, a jeden w niebie. Zewnętrznie poemat dzieli się na trzy części, części na pieśni, a pieśni są opiewane wierszem rymowym. (Liczba wierszy jest około 20.000). Takie były ramy tego wielkiego poematu, a całości jej dał autor tytuł *Komedyi.* Czemu? Najprędzej dlatego: że jak uczył w dziele swem o retoryce, utworom, które zaczynają się spokojnie a kończą groźnie, nadaje się nazwisko tragedyi; utworom zaś, które chociażby miały groźny początek, ale się kończą pogodnie, nazwisko *komedyi.* Potomność do tego nazwiska *Commedia* dodała następnie przymiotnik *la divina* (boska), czyli to dlatego, iż chciała oznaczyć, iż piękność tego poematu jest boska, czyli też, iż rzecz jego dzieje się nie na ziemi, to bowiem odróżnienie jakimś przymiotnikiem nazwiska poematu tem więcej stawało się konieczne, iż w nowej literaturze, jak wiadomo, nazwanie komedyi stanowczo tylko do dramatów, a dramatów treści wesołej i żartobliwej zostało odniesione.

Już z samych tych ram i szczegółów widzieć można, dlaczego poemat ten Danta tak długo niedoskonałe tylko miał powodzenie, a dlaczego następnie tak szczególnem cieszyć się zaczął. Komedya Danta nie była podobną ze składu do żadnego z utworów poezyi dawnej, nie miała też ani jedności akcyi, ani bohaterów głównych, ani zawiązania i rozwiązania jakiejś całości; wymykała się ona po za wszelkie określenia traktatu o *Sztuce poetycznej* Arystotelesa i *Listu o poezyi* Horacyusza, nie dziw więc, że przez cały czas kwitnienia krytyki tak nazywanej klasycznej, w cieniu tylko była zostawiona lub pomijana.

Ale też właśnie powody, które były źródłem jej odtrącania, następnie stały się źródłem szczególnego jej wywyższania. Była ona żywym dowodem, że utwór może być pięknym niezawiśle od reguł piękna, uznawanych w poetykach klasycznych za nieodbite. Po upadku więc powagi tych reguł i tych poetyk, tak nazwani romantycy zwrócili się ze szczególną żywością do rozważania i podnoszenia jej zalet. Cel ten ułatwiła nadto i wsparła następna okoliczność: Dante jako poeta w wyrażeniach swych nieraz był figurycznym, jako historyk w opowiadaniach swoich robił co chwila alluzye do wypadków i osób, które lubo spółcześnie były powszechnie znane, ale bez znajomości których, szczegóły, wyrażenia, myśli poematu, pozostawały zagadką, wcześnie zatem zajęto się komentowaniem poematu i ustanowiono nawet ku temu celowi oddzielne katedry. Wykładanie jestto powinność rozjaśniania i podnoszenia każdego szczegółu, każdej myśli, każdego słowa w danym utworze, tych nawet, które może przelotnie tylko z pod pióra autora wypadły; a taka utorowana droga w połączeniu z owym zwrotem opinii co do reguł piękna podniosły do kolosalnych rozmiarów sławę utworu. Stanęło prawie na tem, iż epopeja Danta nie tylko nie była niższą od którejkolwiek z klasycznych, ale nad wszystkie wyższą; ona jedna, mówiono np. śród wszystkich była najdoskonalszem odbiciem danego kraju w danym czasie, jego wiar, jego pojęć, jego oby-

czajów, jego wypadków publicznych, wypadków prywatnych, a odbicie to w szczyt fantastycznego piękna było tu przyodziane.

Wiele z tych cech i tych zalet są istotnie własnością Boskiej Komedyi, wszakże nie można nie dodać, iż jeżeli zapominanie kiedyś i prawie pogardzanie poematem było niesprawiedliwe, tedy i wyliczane obecnie superlatywy zasług nieraz bywają przesadne.

Dante jest podawanym np. za ideał patryoty włoskiego swojego czasu i za pierwszego wieszcza włoskiej jedności, ale mniej trafnie. Dante pisał poemat swój będąc wygnańcem, a na wygnaniu tem dusza pokrzywdzonego Florentczyka zamieniła się była owszem na duszę kosmopolity; w rozumowaniach swoich krajowych wychodził on ze stanowiska bezwzględnej sprawiedliwości, jedności i szczęśliwości wszystkich ludzi, i tem uniewinniał właśnie i działania swe przeciw Florencyi. W traktacie swym o Monarchii mówił on rzeczywiście o połączonych Włochach, lecz było to skutkiem nauki, iż szczęście ogólne ludzkości dać może dopiero monarchia uniwersalna pod władzą i rządem jednego cesarza zostająca, to też było powodem, że działający ówcześnie przeciw tej władzy *Bonifacy VIII, Klemens V* (papieże) ścigani są śród pieśni poematu od początku do końca, zaś Henryk VII miał sobie przeciwnie zaręczoną z góry koronę niebieską. W pieśni 30 Raju Beatrice wskazując przyjacielowi na jedno niezajęte miejsce, mówi wyraźnie:

W tem wielkiem krześle, co się w nie wpatrujesz,
Usiędzie dusza Wielkiego Henryka,
Który w Italli ład sprawować będzie.

Dante w poemacie swoim nie był więc typem współczesnych mu ultra-Włochów; nie był podobnie i mniemanym typem dogmatyków wieków średnich. Jak dogmatyzm chrześcijański Danta w poemacie jego jest niejasnym, dowodem najlepszym jest to, iż kiedy poemat ten przez je-

dnych podawanym jest za ideał katolicyzmu, przez innych uważany jest za dzieło protestantyzmu, i przed parą laty ukazała się nawet broszurka niemiecka pod napisem: *Dante jako protestant.* Właściwie Dante nie był protestantem. Powagę stolicy Apostolskiej uznawał on jawnie w zasadzie, kiedy wyraził:

> Macie *pasterza*, który was prowadzi,
> To wam powinno starczyć do zbawienia. (*Raj*, *Pieśń V.*)

Występował więc tylko przeciw niektórym papieżom jako indywiduom, podobnie jak i przeciw niektórym kaznodziejom spółczesnym. Iżby jednak rysy poematu Danta były odbiciem ścisłem spółczesnego nauczania katolickiego, i to się rzec nie da. Wiek, w którym Dante pisał, był to wiek, który był czasem kwiatu filozofii teologicznej czyli teologii scholastycznej, ów wiek, w którym wiedli spory nominaliści i realiści, a śród tych tomiści i skotyści, i w którym słynęli z licznych subtelnych traktatów owi Doctor *subtilis*. Doctor *mirabilis*, Doctor *angelicus*, Doctor *seraphicus*, i t. p. Rozumowania teologiczne Dantego były rzeczywiście w znacznej części odbiciem rozumowań tych teologów a zwłaszcza *Doctoris angelici* (Ś. Tomasza z Akwinu), ale w swej stronie głównej, w praktycznych obrazach i szczegółach swej poetycznej powieści, utwór autora nie był odbiciem tej duchowości. Już najprzód samo przywłaszczenie sobie przywileju bezwzględnej sprawiedliwości, sprawiedliwości bożej dowolne i jawnie stronne wyrokowanie o losach wiecznych tylu znanych jednostek, odejmuje obrazom koloryt teologiczny. Tem więcej jest bez teologicznej podstawy kreślenie miejsc i widoków zaziemskich stron, a zwłaszcza szczegółów w nich bytu i losów dusz ludzkich; wzorem w tem dla autora był raczej *Wirgiliusz*, *Tartar* i *Pola Elizejskie* (materyalne u Greków jak i ich *Olimp*), nie teologia chrześcijańska. Rozczytywanie się i zamiłowanie w utworach greckich i rzymskich tak ówcześnie wpływało na pomieszanie wyobrażeń pogańskich i chrześcijańskich, iż zdaje się, że sami pisarze nie dostrzegali swoich sprzeczności. Dante np. w zaczęciu swej

części 3-ej przystępując z całą pobożnością chrześcijańską do opisywania przybytku dusz błogosławionych, oraz stolicy bożej, wzywa Feba, aby mu w tem dopomógł; Beatrice objaśniając szczegóły nieba, odwołuje się do Platona. W pieśni 27-mej Raju, ś. Jan karci poetę, iż chciał go ujrzeć w *ciele*, gdyż ciało to jego (dodaje zgodnie z teologią) pozostało na ziemi, do dnia sądu; wnet jednak zapomina autor na własną lekcyę, i w tejże pieśni przy wzmiance o Beatrice mówi:

. . . . wszystkie rozkosze zmalały
Wobec rozkoszy, która mię olśniła,
Kiedym w jej *lica* spojrzał *uśmiechnięte*,
A *wzrok* jej taką obdarzył mię siłą etc.

Z opisów materyalnych Dantego korzystali następnie we Włoszech w dziełach swych *Michał Anioł*, *Rafael* i inni; obrazy więc i imaginacye chrześcijańskie z wieków późniejszych były raczej odbiciem poematu Danta, nie zaś ten pod tym względem swych czasów.

Co do innych filozoficznych szczegółów dodajmy, iż nauki i wykłady fizyologiczne poety o źródle i układzie fizycznych sił świata, o *primum mobile* i t. p. co do naukowej wartości swej, tak się mają do wykładów podobnej treści dzisiejszych, jak i nauki jego o składzie i obrotach sfery niebieskiej *(O ośmiu planetach* i t. p.) według ówczesnego systemu Ptolomeusza.

Boska Komedya Danta jest-to zapewne szczególnej świetności i szczególnego znaczenia kompozycya. Poemat, w którym miejscem działania jest wszechświat, przedmiotem opisowości kraje nieziemskie, którego treścią jest taka masa szczegółów publicznych, prywatnych danego czasu, w którym połączonych jest tyle w szacie fantazyi subtelnych uczuć, subtelnych pojęć, poemat ten wymagał szczególnego bogactwa wyobraźni i słowa; wszakże w ten sposób nie filozofia, nie teologia, nie morał, ani nawet sama krajowość są główną cechą i główną zaletą tej kompozy-

cyi, ale tylko *fantazya*. Komedya Danta wielką jest tylko jako dzieło piękna; z tej strony, z tego stanowiska sądzony tylko być może poemat ten, z tego tylko następnie (i to chcieliśmy rzec w tych uwagach) i jego przekład.

Dzieło sztuki, jako dzieło *myśli w obrazie piękna*, musi mieć stronę wewnętrzną i stronę zewnętrzną. Boska Komedya Danta prócz wewnętrznej miała też istotnie piękność zewnętrzą, a strona ta może nawet była głównym powodem w kraju, jej powodzenia. Tę piękność dla współkrajowców autora, miłośników melodyi, stanowiła mianowicie melodya rymów. Dante, pierwszy twórca form poetycznych w swym kraju, użył nie tylko rymów pojedyńczych czyli jednego rymowego dystychu (jak to nastąpiło w innych poezyach nowych), ale używał rymów potrójnych i poczwórnych (jego *La vita nuova* składały przeważnie *sonety*). Rymy potrójne, zakończone dystychem i stanowiące strofę, była to forma, która następnie najpopularniejszą się stała w poeyi włoskiej (oktawy Ariosta, Tassa i innych).

W Komedyi Danta potrójne rymy nie są przedzielone żadnym dystychem, ale się dają rozdzielić (i w wielu wydaniach są rozdzielone) na trzywierszowe strofy (terceta).[1] W strofach tych, w których każdy wiersz pierwszy odpowiada rymem ostatniemu, odpowiada też środkowemu strofy poprzedniej, co tworzy jakby niekończącą się nigdy harmonią, i daje uczucie piękna, nie zaspokojone nigdy zupełnie, więc ciągle trwałe. Harmonia ta w tym układzie jestto jakby jakowyś szczególnej żywości strumień, który trafiwszy na zaporę mostu, pryska jednak nad nią i goni dalej, i znowu mimo spotykane co chwila zapory nowe, przerzuca się dalej i dalej.[2]

---

[1] [Zwykle używaną nazwą tej formy wiersza jest: *tercyna*].

[2] W języku naszym piękny przykład takich tercetów mamy jedynie w fantazyi nieznanego nam z nazwiska autora (El...-y) pod napisem: »Sen grobów«. [El...y jestto Adam Asnyk; tercyny pisał już J. Kochanowski].

Taką jest Komedya Dantego w rysach swych głównych wewnętrznie i zewnętrznie. Jakież jej mieliśmy i obecnie mamy przekłady w naszej literaturze?

Pod wizerunkiem Mikołaja Reja z r. 1560, umieszczonym przy jego poemacie *Wizerunk własny żywota człowieka poczciwego*, znajdujemy podpis: *Hic est Dante noster;* nazwanie to (powtórzmy z okoliczności) zastosowanem było słusznie do Reja, już dlatego, iż pierwszy on u nas jak Dante zaczął pisać językiem krajowym, już dlatego, iż poemat ów Wizerunek tak jak Komedya Danta był poematem opisowo-dydaktycznym, obszernym, i w którym: miejscem akcyi były kraje nieziemskie, bohaterami zmarli i t. p. lecz podpis ten jest też zarazem dowodem, iż Dante w wieku XVI nie był u nas nieznany i że był ceniony; mimo to jednak i mimo zajmowanie się u nas już wówczas przekładami poetów włoskich (Ariosta, Tassa, Vidy i t. p.) nie znajdujemy żadnej próby zajęcia się przekładem z Danta. Krytycy i estetycy nasi z końca wieku XVIII i początku XIX, jako ówcześni klasycy, nie wspominali nawet o Dantem i dopiero około r. 1820 ukazały się pierwsze próby przekładu niektórych ustępów. Najpierwszym, jeżeli nie mylimy się, był przekład ustępu o *Ugolinie* przez Józefa Sękowskiego, umieszczony w Dzienniku Wileńskim z r. 1818; od tego czasu, przekłady już krótszych już dłuższych ustępów z tego poematu, dali nam między innymi: *Mickiewicz, Lud. Kamiński, Kraszewski, Lenartowicz, Kulczycki* i inni, a dwaj tłumacze poświęcili się nawet na przełożenie całości. W r. 1860 (jak to już wzmiankowano wyżej) otrzymaliśmy przekład Boskiej Komedyi pióra Juliana *Korsaka* (tłumacz ten z ukończeniem przekładu zakończył i życie, rękopism pośmiertny wydał tu w Warszawie S. Orgelbrand); obecnie zaś otrzymaliśmy nowy pióra p. Ant. Stanisławskiego, z okoliczności którego piszemy właśnie te słowa.

Oba te tłumaczenia (Jul. Korsaka i Ant. Stanisławskiego) są wierne, mają jednak i niemałą różnicę. Przekład

Jul. Korsaka ma ozdobę rymów, ma więc więcej sztuki zewnętrznej i rymy te nie są to, dodajmy, rymy trywialne (jak np. w przekładzie Józ. Sękowskiego), lecz połączone wszędzie z pewną nowością słowa, z uczuciem piękna; przekład znowu p. Stanisławskiego, nie krępowany koniecznością rymów, wierniej oddaje szereg wyrażeń i myśli zawartych w tekście, jest-to przekład dokonany wiersz w wiersz i ledwo nie słowo w słowo. Z tłumaczeń ustępów na szczególną też zasługuje wzmiankę próba przekładu Ludwika Kamińskiego dokonywana tercetami tekstu; przekład ten byłby najpodobniejszym oryginałowi, gdyby obrane więzy nie zmuszały nieraz tłumacza do niejakich kaleczeń myśli i wyrażeń. Dla bliższego objaśnienia i porównania przytoczymy tu jeden i tenże ustęp w szacie tych trzech tłumaczeń.

Wybieramy na ten cel ustęp krótki, lecz jeden z najsłynniejszych poematu, to jest o *Franciszce z Rimini*. Wypadek głośny w swoim czasie we Włoszech, który dał powód temu ustępowi, był mianowicie następny:

Franczeska, córka Gwidona, i *Paolo di Rimini*, syn Malatesty, połączeni byli miłością wzajemną, ale Franczeskę stosownie do układu rodziców powinien był poślubić starszy brat Paola, *Lancioto*, w przebraniu więc jako syn Malatesty bierze z nią ślub, i Franczeska dopiero nazajutrz poznaje, iż jest żoną nienawistnego sobie Lancioto. Jej miłosny stosunek z Paolo trwał jednak zawsze, a to do czasu, gdy Lancioto zszedłszy ich raz na uściskach, przebił oboje. Dante w wędrówce swej z Wirgiliuszem po kręgach piekielnych trafił na Franczeskę, losem jej było znosić tu wieczne męki razem z Paolo; zapytana przez przechodniów o swoje dzieje, objaśnia, iż pierwszym powodem ich upadku było czytanie *Przygód Lancelota* (słynnej powieści spółczesnej); ustęp ten, który jest zakończeniem pieśni V-tej Piekła brzmi w przekładach naszych następnie:

Przekład *Lud. Kamińskiego* (tercetami tekstu).

Potem znów do nich zwróciwszy *badania*,
Rzekłem: Fraczesko! twój los nieszczęśliwy
Ściska mi serce i do płaczu *skłania* (1).

Lecz powiedz: kiedy i jakimi wpływy
Miłość duszami tak zawładła dwiema,
Żeście żądz urok poznali *wątpliwy* (2).

A ona: »słusznie ów mędrzec twój (t. j. Boecyusz) mniema,
Że nad zgasłego szczęścia przypomnienie,
Sroższej boleści dla nędzarza niema.

Lecz skoro poznać szczere masz życzenie
Miłości naszej najpierwsze pojawy,
Opowiem lejąc jak ten(?) łez strumienie.

Raz czytaliśmy dla wspólnej zabawy
O schnącym w marnej żądzy Lancelocie,
Byliśmy sami bez złego obawy.

Podczas czytania często się w przelocie
Wzrok nasz spotykał i lica bledniały;
Jeden zaś okres zgubił nas *w istocie*.

Czytając bowiem, jak ów rycerz *śmiały*
Całował uśmiech wszczęty *niespodzianie* (3),
Ten, z którym losy wiecznie mnie związały,

Drżąc ustom moim dał pocałowanie.
Pokusą książka z pisarzem swym była!
W tym dniu już dłużej nie trwało czytanie«.

Gdy jedna dusza w ten sposób mówiła,
Tak łkała druga, że się w niej zawarły
Me oczy, wszelka odbiegła mnie siła,
I padłem w końcu jak człowiek umarły.

---

(1) Wyraz za lekki; co *skłania*, może nie skłonić, tekst mówi: »łzy mi wyciska«.

(2) Urok był niewątpliwy, chyba istota żądz była zrazu wątpliwa, *dubbiosi desiri*, jak mówi tekst.

(3) Wyrazy, które podkreślamy, wszystkie położone są tylko dla rymu i niewłaściwe.

Przekład p. *Stanisławskiego:*

A potem do nich obracając mowę,
Rzekłem: Franczesko! twa okrutna męka
Do łez mię wzrusza smutkiem i żałością.
Powiedz mi jednak: w czas westchnień uroczych,
Jak pod miłości upadliście władzę?
Kiedy niejasne żądze swe poznali?
A ona: »Niemasz straszniejszej boleści
Jak o dniach szczęścia wspominać w niedoli!
Wie o tem dobrze mędrzec twój uroczy.
Ale jeżeli pragniesz tak gorąco
Miłości naszej poznać zaród pierwszy,
Płakać i razem będę opowiadać.
Raz dla zabawy czytaliśmy razem,
Jako Lancelot wpadł w więzy miłości.
Byliśmy sami i próżni obawy.
W ciągu czytania, nieraz oczy nasze
Zbiegły się z sobą i twarze pobladły.
Zgubił nas w końcu jeden ustęp mały.
Gdyśmy czytali, jak uśmiech rozkoszy
Stłumił całunkiem kochanek namiętny;
Ten, co bogdajby nigdy mię nie rzucił,
Usta me cały ucałował drżący.
Księga i pisarz *Galeotem* [1]) były.
Jużeśmy w dniu tym dalej nie czytali«.
Gdy mi to jeden z duchów opowiadał,
Drugi tak szlochał, że litością zdięty
Traciłem zmysły, jak gdybym umierał!
I padłem jako martwe ciało pada.

Przekład *Korsaka:*

Franczesko! widzisz, że mi słowa twoje
Łzy wyciskają; ale pozwól spytać:
Jak was snać miłość przywiodła oboje
Tajoną wzajem głąb' serc waszych czytać?

A ona na to: »Ach! nic tak nie boli
Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli!
Lecz gdy ty, gościu, chcesz wiedzieć początek
Miłości naszej, na mój ból nie baczę;

[1]) Który urządzał schadzki Lancelota z kochanką.

Powiem, jak pierwszy zawiązał się wątek,
Podobna temu, co mówi i płacze.

Raz dla zabawy wzięła nas ochota
Czytać w głos dzieje przygód Lancelota,
Jako go miłość przemogła swą siłą.
Byliśmy sami bez żadnej złej myśli,
Oko się nasze nieraz łzą zaćmiło,
Nieraz twarz bladła, aż w końcuśmy przyśli
Do tego miejsca, co nas zwyciężyło.
Gdyśmy czytali, ile jest uroku,
Ile rozkoszy w pocałunku lubéj,
Oczy się nasze nawzajem spotkały.
Ten, co już odtąd wiecznie przy mym boku,
Powstał, niepomny na me cudze śluby,
Pisarz tej księgi był nam Galeotą,
Jużeśmy więcej w tym dniu nie czytali«.

Gdy jeden mówił, duch drugi zgryzotą
Zdjęty, tak płakał, żem zwątpił, azali
Zniosę tę boleść i czułem, że bladłem,
Straciłem siły i jak martwy padłem.

Z przykładu tego, co do jego treści, widzieć może bliżej czytelnik, o czem wyżej wzmiankowaliśmy, t. j. jak wyrażenia i ustępy Danta wymagały objaśnień; z treści bowiem mowy Franczeski czytelnik późniejszy nie mógłby wcale wiedzieć dziejów jej rzeczywistych, nawet tego, że z ręki męża poległa (objaśnienia te dodał pierwszy Bokacyusz), może widzieć, jak autor dowolnie i mniej nawet może co do celu logicznie zarządzał wiecznymi losami jednostek. Dwie dusze oddane sobie skazać na pozostawanie wieczne przy sobie, nie zdaje się być męką piekielną, zwłaszcza gdy jedna z nich wyznaje to nawet, iż lęka się tego rozdziału:

«Ten, co bogdajby nigdy mię nie rzucił«,

mówi *Francesca*: *(Questi, che mai da me non sia diviso)*

Lecz przykład ten przytoczyliśmy głównie dla poznania rodzaju przekładów. W pieśniach, przełożonych przez Kamińskiego, są może miejsca gładsze od tu przytoczonego,

w ogólnym przekładzie Korsaka są ozdobniejsze; lecz wogóle obecne tu różnice przekładów są wszędzie jednej natury.

Różnice te wypłynęły, rzec można, z różnych zawodów tłumaczy.

Tłumacz-żołnierz (Kamiński) miał głównie, uważać można, na względzie: ścisłość *zewnętrzną*, tłumacz-uczony (Stanisławski) ścisłość *wewnętrzną*, poeta-rolnik (Korsak) najwięcej czuć umiał poezyą. Lub jaśniej: Kamiński zdawał się najwięcej oglądać poezyę w sztuce, Stanisławski w uczuciu (myśli) bez względu na sztukę słowa, Korsak i w uczuciu i w sztuce, tak właśnie pojmował poezyę i Dante, i przekład Jul. Korsaka, dodać wypada, jest najbliższym tekstu i duchem i szatą; lecz ktoby chciał oglądać najjaśniej szereg myśli Dantego w jego Boskiej Komedyi, myśli wyrażonych skądinąd i jasno i słowem zwięzłem i czystem, dla tego najlepszym przewodnikiem będzie przekład obecny.

1870.

2.

Odgłosy z gór, poezye Felicyana, 1871, Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa. — Mirosława Dobrzańskiego Wstępne akordy, 1872, Warszawa. — Maryana Korwina Kochanowskiego Ostatnie poezye (wydanie pośmiertne), 1870, Kraków.

To, cośmy tu uważali rok temu [1]), iż lubo już oddawna nie przybywają do poezyi naszej utwory większe, życie jednak u nas fantazyi, i nawet twórczej, daje zawsze swe znaki, powtórzyć się może i teraz. W tych kilku czy kilkunastu czasopismach, które się ukazują koło nas, spotykają się nieraz i nawet nierzadko utworki poetyczne wartości istotnej, i otrzymujemy nawet jeżeli nie zbiory, to zbiorki i oddzielnych poezyj. Do takich należą właśnie i te, których napisy przywiedliśmy i powiemy o każdym słów kilka.

Zbiór pod napisem: *Odgłosy z gór* jest pięknym lubo

[1] [W artykule »Nowsze książki« w Bibl. Warsz. 1870, t. I.]

nieobszernym podarunkiem naszej poezyi. Zbiorek ten już samym napisem uprzedza o poetyczności swej treści. Jest to opis tych wrażeń (wrażeń zewnętrznych i wrażeń wewnętrznych), które uczuwał autor, zwiedzając góry Karpackie[1]. Przyroda gór jest, jak wiadomo, malowną, zbiór to i wyjątkowych widoków i zbiór kontrastów: tam słońce człowieka bliższe, wody bystrzejsze, wiatry silniejsze, obok wyniosłości przepaście, obok zieleni śniegi, i t. p., tu więc żywiej zadawalnia się oko, żywiej uderza serce, myśl głębiej myśli. Z takich też właśnie pierwiastków powstała i złożyła się treść obecnych *Odgłosów*. Odgłosy te są to fantazye krótkie, przez różne miejscowoście gór, lub różne pory czasu przy zwiedzaniu gór natchnięte. Fantazyj tych jest 30, a każda nosi napis od tej miejscowości lub czasu, które były źródłem natchnienia jej. Są tu więc między innemi fantazye: *Z rana, Na łące, W lesie, W Zakopanem, W Jaszczurówce, Na Gubałówce, Małołąka, Kalatówka, Jaworzynka* i t. p. Każda zaś z takich fantazyj ma za przedmiot naprzód pewien obrazek, a następnie pewną myśl, która była natchniętą tym obrazkiem; myśl ta bywa tu raz *spekulacyą*, jak np. w fantazyi *Kościelisko*, gdy autor po okazaniu oryginalnaj i uroczystej natury tego miejsca kładzie w końcu to zapytanie tak stare, ale zarazem i tak zawsze nowe: jaka jest przyczyna bytu natury? jaka jej trwałość? – już znowu *moralem*, np. gdy w fantazyi mającej napis *W niepogodę* po określeniu, jak w czasie burzy sierota straciła owieczkę, biedna wdowa rozesłane płótna, a matka zamożna syna, autor zwraca w końcu uwagę: iż z woli niebios w ten sposób najzamożniejsza najwięcej ucierpiała. — Odgłosy słowem są to obrazki, już opisowo-spekulacyjne, już opisowo-moralne.

Taka treść jest też odzianą w szatę, która wcale nie jest próżną poetyczności. Od początku do końca zbiorku, nie spotka tu nas nigdzie jak myśl trywialna, tak i tok

[1] [Ściślej mówiąc: Tatry].

trywialny. I owszem, rzec można, że te Odgłosy z gór jest-to muzyka z gór, taka tu rozmaitość nuty i bogactwo harmonii w rytmach fantazyi.

Czy jednak wpływ i wrażenie tych kartek będą tegoż znaczenia jak te ich pierwiastki? czy te Odgłosy z gór znajdą odgłos silny i stały w sercach słuchaczy? Nie wiemy. I w sztuce jak we wszystkiem wyrokuje dopiero czas (»kryteryum *następstw*«.) Co do nas, pozwolimy sobie zrobić uwagę, iż mamy niejaką wątpliwość co do tej trwałości.

Jest przymiot, którym zwykli nieraz gardzić poeci, zwłaszcza młodzi, mając go za podrzędny, a który jednak, uważać można, był i jest zawsze przymiotem poetów 1-go rzędu we wszystkich czasach i krajach, a tym jest *ścisłość loiczna*. Otóż na przymiot ten, zdaje się nam, iż nieraz za nazbyt zgóry spogląda autor Odgłosów. W szczegółach drobnych produkcyj, w wyrażeniach i porównaniach nieraz nas spotykają tu takie, iż w nich cechy jednej klasy utworów przypisywane są cechom drugiej klasy utworów, jak to np. »niebo szumi jak *liść*« (str. 33), »wicher *bladolicy*« (str. 67), »*struchlałe rzesze* gór« (str. 41) i t. p., a porównania takie muszą nas razić loicznie. W fantazyi znowu np. *Małołąka*, autor określiwszy, jak potok z czarnych przerażających jarów wychodzi na łąkę rozkoszną i tu odbija tak pięknie białe obłoki i złote słońce:

Iż się tobie zdaje, że anieli,
Srebrne puchy pławią w tej kąpieli
Płynącego złota, —

obraz ten kończy porównaniem, iż właśnie jak ten potok, tak i kruszec złoty zostaje naprzód brudny w czarnych górach:

. . . lecz gdy będzie
Wzięty stamtąd w świat — *straszliwe* wszędzie
Szerzy *spustoszenie*.

Jakież jest podobieństwo między obrazami: *srebne puchy* oraz *straszliwe spustoszenie?* wnioski loiczne wyraźnie

tu skrzyżowane zostały. — Takich wprawdzie nieloiczności jawnych jest nader mało w Odgłosach, należą do wyjątków; lecz do podobnej kategoryi należy i to, iż w większej części fantazyj znajdujemy albo tylko wnioski dwuznaczne, albo brak wniosków, że słowem słabą stroną fantazyj tych, uważanych jako oddzielne całostki, jest *wnioskowanie.*

Weźmy tu dla przykładu parę z tych, które skądinąd należą do najpoetyczniejszych, jak np. fantazye: *U Zawratu,* oraz *Na Łące.*

Przedmiotem fantazyi *U Zawratu* jest kreślenie przez poetę obrazu gór z tego miejsca, oraz milczenia w górach. Tu nad nim czyli przed nim góry, na czołach których śnieg; — pod nim cedry i dołem płynący strumień, który odbija szafir i słońce, — śród tej natury kontrastów wzniosłych, malowniczych, grobowa cisza; — poeta zwraca mowę do cedru, do orłów: te go zbywają sucho, i wszędzie cisza. — Piękności i malowniczości jak obrazom tak słowom, i tej fantazyi jak innych nie można zaprzeczyć; — oto jest w swej całości:

W krąg granitowe stojąc olbrzymy
Milczącą zgrają,
Na barkach nagich śród wiecznej zimy
Niebo dźwigają.
Po wodociągach z brył lodowiska,
Dętych w arkady,
W martwe się sople krusząc przełyska
Wodospad blady.
Aż się w kotlinie szklanemi szyby
W śpiący staw zmieni,
Mchy tam zakrzepłe udają niby
Życie zieleni.
W tem dreszczu państwie, śnieg mi na czoło
Płonące prószy;
Dumam, prócz mnie tu nigdzie wokoło
Żyjącej duszy!
Orzeł się tylko na wichrach waży
W przestrzeni sinéj,

I cedr gdzieś w dole, król pośród straży
Kosodrzewiny.
Patrzę — u stóp mych w głębokiej dali,
Między parowy,
Gra sobie w słońca promiennej fali
Płat szafirowy.

— Cedrze! czy nieba strop się tam chyli
Z gór zawieruchą?
A on mi na to: — Nie wiem. W tej chwili
Dumałem głucho. —
— Orle! czy wiosna zbiegła tam, czyli
Snów rajskich gońce? —
A on mi na to: — Nie wiem. W tej chwili
Patrzałem w słońce. —
I dłużej, głos w te *czczości grobowe(?)*
Słać, *próżna praca!*
Echo mi tylko własną mą mowę
Grzmiąc, nazad wraca.

Celem wewnętrznym fantazyi tej, powtórzmy, było opisanie milczenia natury, zewnętrznym — oryginalnej jej malowniczości. Treść podobna przypomina nam niektóre z *Sonetów Krymskich* Mickiewicza (których przedmiotem była także podobna opisowość i które były może i bezwiednie prototypem niektórych kreśleń autora). Obraz milczenia jest właśnie treścią 1-go sonetu p. n. *Stepy Akermańskie*. Autor Sonetów określiwszy tu z właściwą sobie poetycznością tę wielką ciszę, śród której słychać było, »jak się kołysze motyl«, »jak się prześlizga wąż«, mówi kończąc, iż cisza była taka: iż mógłby usłyszeć głos o mil kilkaset ze stron, które opuścił, ale dodaje: jedźmy, *nikt mnie nie przywołuje*. Tu ten opis cichości łączy się niespodzianie z człowiekiem, z historyą serca, uczucia, i całemu sonetowi nadaje tak zwaną ostrość: — ostrości fantazyi, którą widzieliśmy, nie nadają owe wnioskowe jej słowa: *próżna praca;* czytelnik bowiem nie rozumie, dlaczego autor *pracował* nad zniesieniem cichości i dlaczego użala się na tę cichość, której sam szukał. Kreślenie w tej fan-

tazyi wysokości i głębokości wznosi tu autor pierwiastkiem dramatycznym, t. j. przez zapytania; kreślenia takie dzieją się też w podobny sposób w Sonetach przez rozmowę poety (*Pielgrzyma*) z *Mirzą* miejscowym (w Sonecie np. XV Mirza ostrzega Pielgrzyma, aby nie patrzył w przepaść »bo oko i pojęcie lecąc bez dna mogą go i samego pociągnąć«, na co Pielgrzym »Mirzo! a ja spojrzałem« etc.). W fantazyi obecnej w braku ludzi poeta zapytuje orła i cedru; odpowiedzi ich niczego z obrazu nie objaśniają, gdy zaś przytem orły i cedry, jak wiadomo, nie rozmawiają, skutek więc tej figuryczności jest tylko ten, iż czytelnik wątpić musi w prawdę i reszty opisu.

Fantazya położona obok *Na Łące* jest pewnym kontrastem z poprzednią; i tu jest sam poeta wobec natury, ale tu już nie on, ale natura go zaczepia. Widzi on tu lecący obłok, a ten woła do niego: »powiesz mi loty swej myśli, skąpię je w niebie i znowu ci je wrócę«. Zawiał wicher i woła: »powiesz mi swoje wspomnienia, a jak powracająca wiosna ożywi mój oddech, tak ci je ożywione wrócę«. Spotyka go wreszcie potok: ten nie wraca jak obłok, jak wichry, woła więc do poety, iżby weń wrzucił swe boleści, tęsknoty, smutki a uniesie je z sobą na wieczne czasy. Na te propozycye natury, a propozycye tak przychylne (z równem prawem bowiem mógł proponować obłok wziąć z sobą smutki autora, aby je *podnieść*, a potok wziąć radośnie, aby je *unieść*), autor nie daje jednak wcale odpowiedzi. W fantazyi poprzedniej orzeł i cedr dali wprawdzie odpowiedź suchą, ale przynajmniej jakąś, tu zaś nie mamy żadnej i fantazya zostaje *bez wniosku*. W najlepszym razie fantazya ta mogłaby tylko stawać za dowód szczególnie szczęśliwego usposobienia duszy autora, które kazało mu losy wszelkich zjawisk natury na swoją korzyść tłumaczyć; lecz w tym razie jest-to w sprzeczności z ogólnem założeniem Odgłosów, iż miały być one tylko odbiciem tęsknoty duszy. Autor bowiem w fantazyi *Jaworzynka* tak mówi wyraźnie:

W tobiem ja jednej ani *tęsknił*, ani
Wspomniał, że kiedyś...

W taki sposób już silniej, już słabiej przebija się od czasu do czasu pewna ujemność w stronie wewnętrznej Odgłosów, — lecz mówiąc to, być może, iż przesadzamy w wymaganiach. Utwór każdy być winien głównie sądzony ze stanowiska celu, jaki sobie sam autor zakłada; a celem tym, jak wyraża autor w zaczęciu, było tylko zbliżenie i określenie drobnych faktów natury otaczającej. Poezye te są przypisane »Smutnemu Autorowi Lirenki« [1], a przypisanie to od takich się mianowicie słów i strofek zaczyna:

Co ma kwiatu woń, łzy rosy,
Co grzmi burzą, śniegiem prószy,
Co mi szeptał w lasów głuszy
Anioł pieśni złotowłosy,
Pod obcemi gdzieś niebiosy;
Niech ci bracie, mojej duszy,
Zlane *w jeden śpiew pastuszy*
Brzmi w rodzinnych gór odgłosy.

Celem autora właściwym była więc tylko skromna przedmiotowa sielanka. W uwagach naszych wyszliśmy jednak z zasady: »iż im więcej komu jest dane, tem więcej od niego wymagać jest powinnością«, i dlatego więc obok przyczyn i cech *wrażenia* danych poezyj, szukaliśmy też przyczyn i cech możliwej *jego* trwałości.

Poezye p. Mirosława Dobrzańskiego *Wstępne Akkordy* są nader odmiennej istoty. Jeżeli celem autora *Odgłosów z gór*, według własnego jego zapowiedzenia, było tylko pochwytywanie i kreślenie wrażeń natury zewnętrznej, p. Dobrzański opowiada przeciwnie jasno o wyższych i określonych celach założonych swoim poezyom, do których te obecnie wydane liryki są to dopiero *Wstępne Akkordy*. Cele te jakież są? Autor wychodzi tu jawnie w swych założe-

[1] [T. j. Teofilowi Lenartowiczowi].

niach z tych zasad i celów, których podstawą są trzy główne chrześcijańskie cnoty: wiara, nadzieja i miłość, a mianowicie: z *nadziei*, iż kiedyś pośród ludzkości całej zamieszka *miłość*, i z *wiary*, iż najlepszą ku temu drogą jest droga chrześcijańska. Są to zapewne piękne i wypróbowanej już żywotności cele. Celom takim czyliż odpowiedziało tu jednak i wykonanie?

Zdaniem naszem jeżeli określony cel w obecnych poezyach jest w odniesieniu do poprzednich o stopień wyższy, wykonanie, czyli poetyczność w utworach tych jest o stopień niższą.

Przez poezyą w jej znaczeniu najprostszem rozumiemy utwór czegoś nowego (grec. *pojesis*, utwór), więc czyli to w stronie zewnętrznej, czy wewnętrznej danej kompozycyi pewną *nowość*. Pod względem *wewnętrznym* ów cel, z którego wychodzi autor Akordów jest jednym z tych właśnie, który odznaczył nowością i dał wybitny charakter ostatniej epoce naszej poezyi; lecz już sama ta okoliczność, ten fakt, że go uprawiało u nas i tyle i takiej świetności piór, sprawia, iż niełatwo jest być nowym, więc poetycznym w takim zawodzie; pod względem *zewnętrznym*, rytmy autora są wprawdzie gładkie i wdzięczne, ale z wyjątkiem tych miejsc, które są prawie literalnem przeniesieniem ze wzorów (jako z poematu *Przedświt* Krasińskiego, dramatu *Ksiądz Marek* Słowackiego) i kilku własnych, w toku i wyrażeniach nie widzimy tu wogóle nigdzie szczególnej nowości.

Poezye p. Dobrzańskiego, co do swego rodzaju, są wszystkie barwy lirycznej. Zbiorek obecny obejmuje Liryk 18, wszystkie treści niedługiej i po największej części zwracające się do jakichś pobieżnych uczuć lub zdarzeń, które spotykają każdego. Najobszerniejsze stosunkowie są: *Świat i Życie*, fragment, w którym autor opiewa to piękne zdanie, iż wsparcie drugiego »to nie jałmużna, ni cień jałmużny«, lecz cząstka obowiązku człowieka dla społeczności — oraz *Z księgi pamiątek*, powieść o młodo zmarłej kochance. Do obszerniejszych następnie i poważniejszych

treścią należą: *Prorocy, Dziewiczy przybytek, Ideał* i *Do muzyki.*

We wszystkich tych lirykach w różnych stopniach, różnych odcieniach jest pamięć na ów spólny cel, o którym mówiliśmy, i to jest ich stroną dodatnią. W dobrym celu lepiej jest zapewne czynić chociażby coś, aniżeli nic, na obranej raz dobrze drodze lepiej jest dawać krok, a chociażby i kroczek, aniżeli stać. Tu te kroki tem mniej są próżne, iż, jak rzekliśmy, przyozdabia je wszędzie gładki i wdzięczny rytm.

Ale oprócz owego braku nowości, który im odejmuje znaczenie poezyi wyższej, dodajmy, że zdaniem naszem jest tu niejednokrotnie skazą i sposób, którym autor stara się podnieść do tej poezyi. Autor *Akordów* czuje oczywiście dobrze, co jest poezya, i usiłuje ją tworzyć, stawać się nowym, lecz w tych razach mniej się nieraz troszczy o ścisłość prawdy i tworzy raczej *przesadę,* niż piękność wyższą. Dzieje się to równie w stronie zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Jakoż kiedy np. czytamy pośród wyrażeń: »Wiatr dął jak *trąba* skonu *tajemna*«, »Przyjaciel *wybiegł jak burza*«, wyrażeń takich nie możemy uznać za piękność, jakoż bowiem *trąba* może być tajemną? Burzą zowiemy to, co na nas nachodzi, nie co od nas ucieka. Przesady w stronie wewnętrznej najpiękniejszym też miejscom jego poezyi psują efekt. Tak np. w Liryce *Przybytek dziewiczy,* autor określa komnatę dziewicy, w której na ścianie obraz N. Panny z lampką, na oknie kwiaty, na stoliku poezye, w jej duszy myśl idealna, i ten obraz tak kończy:

O! jeśliby na tym progu
Zbrodzień stanął, wrazby czysty,
Święty wyszedł — wiekuisty
Ślub poprawy czyniąc Bogu.
Tuby nawet *simne bryły,*
Popod ciepłem uczuć tchnienia,
Wnet się w ciche rozrzewnienia
Łzy zmieniły.

Czytelnik zaczyna już wierzyć, iż zbrodniarz, stanąwszy na tym progu, stałby się świętym — lecz widząc, iż kwiaty i ciepłe ściany próżne są łez, wątpić musi, dlaczegoby je miały ukazać *zimne bryły,* i efekt musi się kończyć sceptycznie.

W wierszu *Z księgi pamiątek,* poświęconym pamięci młodo zmarłej kochanki, którą autor poczytuje za wieczne źródło swych natchnień, przy końcu między innemi mówi:

Ja po jej grobie stąpam tak trwożnie,
Z taką miłością, tak pełen cześci,
Że bywa, skoro z tamtego świata
W poselstwie czasem anioł przelata,
To mi *zazdrości* takiej boleści.

Jest to pięknie, ale tylko napozór — cóż to bowiem za anioł, który zazdrości? i co za chwała kochance, iż boleść po niej ma taką wysoką słodycz?

Takie wprawdzie zapominania się i zboczenia są może małe, lecz te małe prowadzą stopniowo do zapomnień się, zboczeń wyższych i wreszcie do najwyższych. Autor np., który tak jest wszędzie chrześcijańskim, w jednej z swych liryk końcowych p. n. *Ideał* dochodzi do wniosku, czyli do wykładu: iż jak Bóg stworzył człowieka, tak człowiek nawzajem może tworzyć Boga, t. j. *Ideał:*

»Oto (mówi) człowiek twórcą Boga,
Człowiek twórcą Ideału«.

Taka allegoryczność (jeżeli to jest allegoryczność) zmienia w końcu znaczenie znanych wyrazów, cały szyk pojęć, i w liryce obecnej w najpiękniejszym może ustępie śród zbiorku, którym jest zakończenie tej liryki, kazi dźwiękiem fałszywym. Zakończenie to tak bowiem brzmi:

O wy wszyscy! którzy po to
Zstępujecie na tę ziemię,
By pobratać świat ten z cnotą,
By uświęcić ludzkie plemię;

Wy świetlani! wy przeczyści!
Twórcy Bogów(?) wy *Anieli!*

(więc i anioł twórcą Boga? czyimże będzie aniołem?)

Niech myśl wasza wciąż się iści,
Zanim ludzkość w Bóstwo *wcieli.*

(Chyba bóstwo w ludzkość?)

Chcemy wierzyć, iż te *Akordy wstępne* zamieni z czasem autor na *Postępne,* życzylibyśmy jednak, aby wtedy i w tych fałszywych zadźwiękach nie zjawił się postęp.

Zbiorek wreszcie p. n.: *Maryana Korwina Kochanowskiego Poezye ostatnie* jest znowu właściwego sobie znaczenia. Miał lat dopiero 20 młody autor tych pieśni, kiedy mu żywe ich pasmo przerwała śmierć. Pieśni te były to rzetelne poezye, i cały ten śpiew mógł się nazwać istotnie śpiewem łabędzia. Krwi autora nie była też obcą poezya, przodek jego *(Jan* z Czarnolesia) nazywanym był, jak wiadomo, lat więcej 200 księciem krajowej poezyi, i przodek ten nie mógłby się wcale powstydzić swego potomka. Poezye młodego Maryana były to naturalnie pierwsze dopiero kroki na drodze autorstwa, a jednak widne już w nich były odrazu nie tylko wewnętrznie, ale i zewnętrznie podloty na większą skalę. W zbiorku obecnym prócz fantazyj i liryk krótkich mamy też trzy dramata wierszem i powieść historyczną; — to, na czem zwykli dopiero kończyć poeci, młody Maryan od tego zaczynał.

Liryk tu mamy 14-cie już krótszych, już dłuższych, pisanych już w kraju, już na południu Europy; dramata są następne: *Władysław Korwin* (Huniad) w 5-ciu aktach z dziejów węgierskich; *Disław* w 3-ech aktach z dziejów polskich pogańskich i *Adryan Broor* w kilku ustępach. Powieść jest z czasu wojen szwedzkich, jest prozą i bez napisu, a tylko z godłem: »Ludzkości! przynoszę tobie koronę i nic; nic ze złota, korona z niczego: bierz, co chcesz«.

O charakterze ogólnym tych wszystkich utworów to naprzód powiedzieć t. j. powtórzyć musimy, iż wszystkie

one były dziełem lubo młodego poety, ale poety. W treści ich można widzieć nieraz młodzieństwo, niedoświadczenie, zapominanie się, ale od początku od końca nie znajdujemy tu nigdzie myśli powszedniej, wyrażeń powszednich i owszem, to co niegdyś Feliński rzekł o Trembeckim, iż nie on rymu, ale rym jego szukał, możnaby lekko zmieniając rzec: iż nie młodzieńczy ten autor poezyi, ale jego szukała poezya, pisał on zwykle najprościej, najnaturalniej, bez wysilania się wcale na sztukę i myśl, a mimo to, w każdym jego obrazku, pomyśle, wierszu, widzimy poezyę.

Co do szczegółów, dodać można, iż wszystkie te poezye mają kilka cech stale sobie właściwych, więc swoją oryginalność. Pierwsza z tych cech jest ogólna barwa smutku, żałoby. Poeci nazywani są wieszczami i słusznie, bo natchnienie, ten dobrowolny dar jakiegoś wszechrządzącego ducha, musi, a przynajmniej może mieścić już w większym, już w mniejszym stopniu przymiot wprzódwiedzy. Młody Maryan nie z powolnej i świadomej już sobie w czasie śpiewania choroby (jak niegdyś młody śpiewak nasz *Roksolanek*) zakończył życie, ale niespodzianie i nagle (z choroby *tyfus*), a jednak te wszystkie liryki i poezye, które zostawił, są jakby w wigilię śmierci pisane; myśl o porannym zgonie, grobach, żałobach, to jest przedmiot, to są co chwila prawie natrącające się pod jego pióro obrazy i myśli. Cecha ta nie tylko jest barwą liryk jego dłuższych w obecnym zbiorze, z samego przedmiotu swego smutnych, jak np. *Pogrzeb poety*, *Wspomnienia grobów* i tp., ale też wciska się wszędzie i do jego liryk weselszych, do dramatów i powieści. Drugą i stałą cechą jest to: iż lubo młodemu śpiewakowi temu natchnienie dawały pierwsze najżywsze uczucia, i lubo ma w nich niemałą rolę cześć dla płci pięknej, wszakże uczuciem przemagającem tę cześć, równie w lirykach, jak i w treści dramatów, jest cześć dla *przyjaźni*, uczucia pojmowanego tu już ściślej, już szerzej, ale zawsze przyjaźni. Trzecią wreszcie (lubo może należało rzec najpierwszą), wszędzie obecną tu cechą jest silne uczu-

cie pierwiastków składających żywioł poezyi, uczucie powodów natchnień, śpiewania, i uważania tego śpiewania za rodzaj męki koniecznej. Tę przyczynę i tę istotę poezyi wyraził np. dobrze autor w swej liryce *Ideały*, której pozostał fragment. Przedmiot swój wykłada tu autor na swój sposób nie przez ideały spekulacyjae, ale praktyczne, i zaczęcie tego fragmentu brzmi, jak następuje:

W dzień biały ze świecą szło dziecię maleńkie,
Wiatr rozwiał włos bujny na skronie,
I kroplę dżdżu rzucił na białą sukienkę,
Krwi krople *zostawiał* na łonie.

»Gdzie bieżysz, dziecino, ze światłem w dzień biały,
I czegoto szukasz po świecie?
Wróć lepiej do chaty, chłopczyno mój mały«.

»Nie mogę, mój ojciec już mieszka na niebie,
A matka umarła, choć żywa,
Bóg wszystko, co kocham, powołał do siebie«.

A miłość wlał wielką, co piersi *rozłarza*,
I *świeci* jak próchno skieleta,
I dziwne pragnienie *żąds roje* mi stwarza:
Mój Panie! *ja jestem poeta!*

Wyśpiewaniu tego uczucia męki, którą tworzy konieczność śpiewu, konieczność tworzenia i razem trudność tworzenia, autor poświęcił nawet cały dramat, który ma napis *Adryan Brour* (szkic historyczny).

Jak powieść tak i dramata, znajdujące się tu w zbiorku, wcale nie są bez zalet, i nawet licznych. W układzie ich spotka się nieraz zapewne nieprawdopodobność, jakieś zapomnienie się historyczne (np. gdy w powieści z początku XVIII-go wieku jenerał Karola Gustawa, Wittemberg, postawiony jest w wojsku Karola XII-go, gdy w dramacie *Korzeń*. między godziną poranną i godziną wieczorną tegoż dnia — powrót Władysława do uśpionej przez wróżkę Zofii — upływa wypadków na kilka tygodni i t. p.), a jednak z drugiej strony pojedyńcze sceny tak w dramatach, jak

w powieści tak tu są wyrobione i rozwinięte, tak pełne nawet poezyi, iż rzecby można, iż raczej były kreślone ręką starego artysty, i nawet w samym układzie, i dramata tu umieszczone i powieść mają przymiot, o który najczęściej potykają się u nas i dramata i powieści, t. j. lekkość i naturalność mechanizmu; — akcya we wszystkich tych utworach zaraz od pierwszych słów rozwija się tu tak jasno, żywo i z interesem, a zarazem tak prosto i naturalnie, iż czytelnik nie postrzega się nawet, że jednak są to ramy sztucznych węzłów. Zdaje się nam, iż w kompozycyach tych przebija się tu wpływ dramatów autora Króla Ducha, Mazepy i Balladyny, śmiało jednak zarazam rzec można, że ani Mazepa, ani Balladyna nie powstydziłyby się żadnej ze scen *Korwina* albo *Disława*.

Dramat *Adryan Broor*, chociaż ma kilka ustępów, kilku interlokutorów, i nawet przeciąga się kilka lat, jest raczej liryką jak dramatem, t. j. rozwinieniem samego charakteru *Adryan Broora*. Ten Adryan Broor (uczeń Rubensa) był to artysta, który nie mogąc doścignąć swych ideałów takich i innych, wpadł w rozpacz i rozpił się; autor charakterystycznie odkreśla tu przejścia tej duszy i pięknej i razem upadłej, kiedy np. w końcu zostając już pod wrażeniem sztucznego humoru i sądząc, że się stał twórcą arcydzieł, woła zrazu ohydnie pijano:

. . . gorzałki jeszcze!
A nowy obraz myślą wypieszczę!

po chwili zaś, gdy wróciła przytomność, z uczuciem i rozżaleniem:

Już się nie wyrwiesz, ty myśli złota,
W anielskiej szacie cudu spowita,
Pokrytaś warstwą ziemskiego błota,
A z błota żaden kwiat nie wykwita!

Opowiedziana tu w zaczęciu dramatu historya uczuć Adryana staje się mianowicie dla nas zajmującą przez to, iż jest jakby objaśnieniem tego własnego uczucia albo prze-

czucia autora, iż mu nie będzie dano w żadnym utworze zrównać z tą skalą doskonałości, o jakiej marzył; artysta pocieszał tu siebie tem, iż to jest niepodobna, iż natchnienie jest to duch boży, a gdyby utwór dorównał swemu źródłu, podbiłby ziemię, ale człowiek przestałby być tylko narzędziem, a więc człowiekiem.

»Jam prosił (Ducha Stwórcę, woła tu Adryan) o natchnie-
[nie, czyż mi brak natchnienia?
Ono piersi rozrywa, mózg przewraca w głowie;
Serce dziwnym urokiem chwały opromienia,
A oddać go nie mogę w czynie ani słowie!
Ono śpi w głębi piersi!... stąd, stąd się wyrywa,
A gdy chwytam za pędzel, chcę wylać na płótno,
Te postacie, co tu śpią (pokazuje na serce), myśl, co tu
[spoczywa,
Jakaś spaczona, dziwna, wygląda tak smutno
Jak nagi, suchy skielet...
(Kładzie rękę na jeden obraz)
O! gdzież twoje ciało?
Gdzie wy duchy pieszczone wyobraźni mojej?
W drodze z piersi na płótno wszystko z was zleciało...

A! gdybym mógł was tak czasem zatrzymać na płótnie...
Tobym pokruszył pędzel, jak śpiewak swą lutnię
I umarł... bo już więcej nie umiałbym zgrzeszyć!

Pocoś mię stworzył, Panie, kiedy duch mój cały
Obdarzony wielkością, chryzmem namaszczony,
Zamknąłeś w piersi tylko...
Gdyby z piersi progu
Ten duch wylał się na świat, światyby zadrżały,
I człowiek, proch, nicestwo, byłby równy Bogu...
Czemu wlałeś go w piersi?... gdzie jak serce w dzwonie
Uderza wielkim głosem — pierś mu odpowiada,
Bo pusta; echo tętni,
A tej dzwonu skorupy przebić nie jest w stanie.

Ta rozpacz niemożności doścignięcia ideałów, wewnętrznie, — przyjaźń nad miłość, przedmiotowie czyli zewnętrznie, — z przeczucia blizkiej śmierci kolor żałoby —

a wszędzie poezya pióra, — to więc są cechy stałe wszystkich utworów młodo zmarłego Maryana Kochanowskiego.

Powiedzieliśmy, iż jedną z cech tych poezyj jest przyjaźń nad miłość; na cechę tę, tak oryginalną w młodym śpiewaku, jeszcze raz w zakończeniu zwrócimy bliższą uwagę; przenoszenie to jest nie tylko w teoryi, ale dobitne i stałe w treści każdego prawie i mniejszego i większego utworu. W dramatach np. *Korwin* i *Disław* pierwiastek erotyczny ma swoją zwykłą rolę i znaczenie, ale pierwiastek przyjaźni przenosi go i staje się następnie źródłem wszystkich głównych katastrof. W dramacie *Korwin*, przyjaciel *Franko* przebiera się w suknie Korwina, aby na miejscu jego być straconym w skutek wyroku; w dramacie *Disław* podobnie wstępuje na stos za Disława jego przyjaciel *Marsz*; w liryce *Wspomnienia grobów* jest powieść o młodzieńcu, który skonał dowiedziawszy się, iż mu się okazał niewdzięcznym jego przyjaciel[1] i t. p. Nie mamy tu miejsca, dla bliższego zapoznania czytelnika z rodzajem talentu autora, na przytaczanie scen z jego dramatów, albo ustępów z powieści; przytoczymy więc chociaż jeszcze małą piosnkę. W piosenkach wiejskich autor tak umiał być wiejskim, jak w dramatach, mówiąc o sprawach rycerskich, rycerskim. Piosnka poniższa jest zakończeniem fantazyi *Pogrzeb poety:*

Wita pola kochane
Słowik piosenką,
Wita chaty drewniane
Dziadek lirenką.

Wędrowali zdaleka
Starzy oboje;
Słowik liczy półwieka,
Dziadek tyle dwoje.

[1] Wydawca S. K. (jeżeli się nie mylimy, matka autora) nadmienia, iż powodem napisania tej liryki był rzeczywisty wypadek z życia poety.

Na zielonym jaworze
Słowiczek śpiewa,
Dobrześ trafił nieboże:
To twoja dziewa.

Ona ciebie czekała
W gaiku,
Bo ci serce oddała,
Słowiku.

A dziad? szuka kochanki,
Ale znaleźć nie może;
Na progu swej lepianki
Z lutnią skonał nieboże.

W duchu poezyj autora, przez tę kochankę rozumieć tu rzeczywiście należy przyjaciela albo przyjaciół.

Czy te młode poezye Maryana zyskają i zyskiwać będą stale spółczucia? upodobania? czy ich wydania, lub w całości lub w części powtarzać się będą? nie wiemy, lecz w razie nawet gdyby uznane być miały tylko jako ćwiczenia, ćwiczenia te musiałyby przybrać nazwisko ćwiczeń genialnych. Rok jeszcze, a młody ich autor byłby to rzeczywisty (że się wyrazimy przez jasne porównanie) *Teodor Körner*[1] naszej poezyi.

1871.

---

[1] [W «Bibl. Warsz.» 1871, IV, 155 wydrukowano: *Justyn* Körner; ale zgoła niewłaściwie, bo najprzód w poezyi niemieckiej znany jest tylko: Justyn *Kerner*, a powtóre podobieństwa między nim a Maryanem Kochanowskim dopatrzyć trudno. Natomiast Teodor Körner zmarł młodo (*1791 †1813), miał przeczucie śmierci i wypowiadał je w swoich utworach, pisał liryki smutne i dramata bohaterskie, podobnie jak M. K. Ażeby podobieństwo z Körnerem lepiej się uwydatniło, trzeba dodać, że prócz poezyj, przez Tyszyńskiego roztrząśniętych, są jeszcze inne zarówno w wydaniu z r. 1869 jak i w wyd. 1870, które w sprawozdaniu musiał pominąć].

IX.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

I JEGO »POWIEŚCI HISTORYCZNE«.

I.

»Niema cudów śród świata — prócz świata«. — Zdanie to jednego z głośnych pisarzy francuskich z wieku zeszłego, które miało na celu dowieść, iż niema na świecie cudów, a wyraziło, że wszystko jest cudem, jest nam jedną z licznych wskazówek, że dwa wrogie z sobą poglądy na świat: duchowy i materyalny, złączą się kiedyś. Bój jednak trwa tymczasem w najlepsze. Jeżeli czysty mistyk dziś twierdzi, że wszelkie wglądanie bliższe w proces natury jest grzechem, a przynajmniej próżnością; tedy znowu czysty materyalista nawzajem: że wszelkie badanie tego, co mianowicie jest duchem, jest głupstwem. Gorszymy się zdaniem pierwszych, nie możemy się dosyć wydziwić ciasności drugich. Ten rozum, który rozpoznaje, rozbiera i bada przedmioty świata, z samej istoty swojej widzi się niższym od tego, który tkwi w tych przedmiotach. Przewaga tego skrytego pierwiastku to nie materya. Jest sfera przyczyn i celów, tkwiąca w każdym przedmiocie, sfera, której nie uznaje wprawdzie czysty materyalista, ale która niezależnie od tego nieuznawania istnie i działa[1], jest w istotach od-

[1] »*Nieznajome* łączy się z materyą w kształcie *przyczyny*« Herb. Spenc. The first principles. § 48. Naturaliści najnowszego zwrotu, od

różnionych od innych bogactwem władz (ludziach) sfera *uczuć* i *myśli*.

Jest więc słowem w świecie sfera wewnętrzna, jak jest zewnętrzna, a przeto jest i strona duchowa jak materyalna. Różnice śród ich treści dobitne, dla przykładu wspomnimy chociaż o jednej. Treść natury zewnętrznej wielka jest i wspaniała, ale jest zawsze jedna, niezmienna; — to słońce np. które dziś świeci dajmy 1-go lipca, w dniu tym świeciło podobnie i za Juliusza Cezara, — te cechy, przymioty zwierząt, które naturalista dziś bada, są to literalnie te same, jakie określał niegdyś Arystoteles, gdy pisał o rozrodzie, składzie, dowcipie, instynktach i obyczajach zwierząt w swojej »Historyi zwierząt«. Ale przed Szekspirem i Dantem czy istniał inny Szekspir i Dante? lub inny po nich? Każda przychodząca na świat jednostka ludzka to w swoim odcieniu nowość i sprawy jej — nowość. Te sprawy za każdem ich ukazaniem się, dopełnieniem, jest to przybytek i zjawisko jakieś na ziemi, nieznane jej od dni jej nastania. Dowód to, iż nie tylko istniał przed wieki, lecz że też istnie zawsze śród świata pierwiastek twórczy, i że tego, do pewnego stopnia, na pewną skalę, dziedzicem jest i sam rodzaj ludzki. Istoty tego rodzaju, tak podobne do wszystkich innych na ziemi swoim zewnętrznym składem, pierwiastkiem tym różnią się od nich o całe niebo. Badać treść takich istot, tych ich pierwiastków, jest to więc badać stronę tajemną świata, stronę duchową, zwierzchnią. Badanie natury zewnętrznej jest bezwątpienia czynnością wzniosłą, żywotną i stawiającą za każdym swym zwrotem krok nowy do rozwiązania kiedyś zagadek bytu, — ale badanie wewnętrznej samo przynieść może to rozwiązanie.

---

znanego dzieła Darwina z roku 1859, mówiącego o walce o byt na ziemi, do dziełka z roku zeszłego Dra Karola Prel, które ma napis: »Walka o byt na niebie« (Der Kampf ums Dasein am Himmel) to jest śród sfery gwiazd, a mówi w swej treści o zweckmässiges Weltsystem, zmuszeni są wszyscy mówić o celowości

Tych kilka myśli nastręczyło nam położone na czele tego artykułu nazwisko, które nie mogło nie przypomnieć dobitnie terminów takich, jak wyjątkowość, nowość, duchowość, a tem samem i bieżących kwestyj o tych przedmiotach. Celem tu naszym jednak nie jest bynajmniej ani rozjaśnienie bliższe tych kwestyj, ani nawet stałe oznaczenie stosunku autora, o którym mówić mamy, do swych przedmiotów, to jest określenie już dziś całości jego znaczenia. Kraszewski pisze i tworzy już blizko od pół wieku, lecz jednostce, której danem było okazać się fenomenalną w stronie duchowej, może też danem będzie okazać się takąż i w materyalnej; być może, iż dzisiejsze objawy jej działalności są to objawy nie zejścia, ale dopiero kwiatu jej istnienia, nie możemy więc naturalnie mówić o czemś jakby skończonem, co jeszcze nie jest skończonem. Celem naszym jest tu właściwie wyrazić tylko kilka pobieżnych uwag o treści i charakterze tych jego ostatnich produkcyj, którym dał nazwę Powieści historycznych; by zaś te jaśniejszemi się stały, stosownem, sądzimy, będzie, powiedzieć najprzód słów kilka tak o ogólnym charakterze, jako też o ogólnych zasługach tego autora.

I.

Faktem to jest, iż każda jednostka ludzka jest dziedziczką ducha żywego i że taka lub inna miara, taka lub inna barwa tego pierwiastku odznacza właściwość każdej. Mamy tu mówić głównie o barwie i barwach, gdy jednak przedmiotem naszym staje się umysłowość, duch taki, jak jest autora »powieści historycznych«, tedy nie możemy tu przedewszystkiem nie zwrócić uwagi na pierwszą z tych cech, t. j. na miarę. To, czem Józef Kraszewski dziś najpowszechniej i głównie zwrócił na siebie uwagę, co najdobitniej odkreśla jego wyjątkowość, jest to ta miara ducha, jaką otrzymał.

Kraszewski (że objaśnimy praktycznie) jest dziś, wi-

dzimy, autorem stałych tygodniowych korespondencyj do kilku, czy kilkunastu pism czasowych w samej Warszawie, — każda z tych właściwością jego pióra i myśli jest odznaczona, w każdej jest sprawozdawcą z najświeższych faktów ze sfery nauki, sztuki i zjawisk społecznych. Sam warunek uczynienia zadość takiemu skutkowi, obowiązek odczytania, rzec można, w ciągu dni kilku, kilkudziesięciu dzieł i zapisania kilkunastu sprawozdań, dla zwykłej jednostki ludzkiej byłby już nad jej siły; dla Kraszewskiego jednak jest to czas tylko rozrywki, czas odetchnienia, główne chwile bowiem w tymże przeciągu poświęca on na tworzenie i ogłaszanie dzieł własnych, a dzieł, które, powiedzmy to zgóry, coraz dobitniej i świetniej odrębność i wszechstronne wykończenie odznacza. Autor, który wzbogacać tak zdolny każdy tydzień literatury, jakże, wnieść to jest łatwo, wzbogacić ją musiał w ciągu pół wieku! Zasługi takiej nie będziemy też nawet zdolni przedstawić w jej pełni, i uwagę obecną wtrąciliśmy też i na to, aby ostrzedz, iż powiedzieć tu nam tylko wypadnie o rysach jej głównych.

Kraszewski jest autorem; cechą i głównem źródłem jego zasługi jest przeto *twórczość*. Ta twórczość, główny i wyjątkowy przymiot ducha ludzkiego, jakoż się w swoich skutkach objawia? Drogi i sposoby jej objawiania się w różnych jednostkach ludzkich są różne, ale śród licznych tych dróg, stosownie do przedmiotu, który wypada nam dotknąć, zwrócimy tu mianowicie uwagę na dwie następne. Twórczość w utworach dzieł ludzkich, w jednej gałęzi tych dzieł objawia się jako tworzenie właściwe, t. j. jakby dalszy rozwój natury, przynoszący w jej treść z gruntu nowość; a taką jest np. cała sfera myślenia jako myślenia (filozofia), pośród sztuk pięknych muzyka, poezya wewnętrzna, wynalazki i t. p.; — w drugich jest odtwarzaniem t. j. pochwytywaniem przez umysł przedmiotów świata i jakby ich powtarzaniem przez dzieła rąk ludzkich; a tu należą: historya, śród sztuk pięknych sztuki plastyczne: rzeźba, malarstwo, poezya przedmiotowa i t. p.

Któraż z tych dwóch twórczości t. j. z tych dwóch jej dróg jest własnością autora, o którym mówimy? Całość ducha ludzkiego, właściwie mówiąc, jest jedną we wszystkich ludziach, kształci ją bowiem jeden duch rodzajowy, duch ludzki; ale ta całość ogólna składa się z cząstek, których treść jest już w większem, już w mniejszem uśpieniu, i objawia się już przez większe, już mniejsze obudzanie się ich. Bogactwo tych ocuceń to miara ducha, rodzaje tych ocuceń to rodzaje twórczości i różnych dróg jej. Każdy umysł zdolny jest i do tworzenia i do odtwarzania, każdy poeta może być i podmiotowym i przedmiotowym; to jednak, co charakteryzuje i co odkreśla głównie jednostkowość daną, są to te cechy i barwy, które przeważają w utworach jej. Otóż głównym przymiotem i główną cechą, które odznaczają największą liczbę utworów Kraszewskiego, a w tych utworach najdobitniej i najbogaciej jego właściwość, jest to dar odtwarzania.

Przymiot ten jakże się mianowicie w nim wyraził, w swoim rozwiciu?

Czas, w którym Kraszewski spojrzał był po raz pierwszy na świat, był to czwarty dziesiątek naszego stulecia. Spojrzał był on z jednej strony na moralne objawy ówczesnej czynności kraju, z drugiej na to towarzyskie życie, śród którego się znalazł; a pióro jego w obu tych kierunkach rozpoczęło proces swój odtwarzania. Kolej pierwsza stała się była źródłem jego korespondencyj do pism czasowych o tych objawach umysłowości, które był poznał, zaś kolej druga odbiciem tych uczuć i wrażeń towarzyskich, których był doznał, t. j. źródłem pierwszych kroków w gałęzi, która następnie stać się miała reprezentantką główną jego twórczości, w gałęzi Powieści.

Tak rozpoczął autor swój zawód, ale owo bogactwo ducha, które był posiadł, jego warunki, nie dozwoliły mu pozostawać długo w tych tylko granicach. Przedmiot ów, odtwarzanie jedynie swej społeczności, wnet mu się wydał za ciasnym, i zapragnął rozszerzyć go wstecz. Pragnienie

to wymagało więc najprzód poznawania przeszłości, dziejów, a droga ta poznawania kazała spotykać się z czasem, z którego idące świadectwa wymagały ocenień, porównań, więc kształcić sąd, dalej zaś dochodziła do czasów, śród których nie napotykał już żadnych świadectw, i aby w nich mieć przedmiot do odtwarzania, musiał go pierwej tworzyć fantazyą, kształcić fantazyą. Stało się więc, iż (czyli to było następstwem owych przebytych dróg, czyli, iż żywsza czynność pierwiastków tych była przyczyną tych dróg), lecz w każdym razie stało się, iż fantazya, dzieje i sąd czyli uosobienie ich: Poezya, Historya i Krytyka miały to być trzy działy czyli trzy formy, w których się wnet rozwinęła i objawiła i przez cały bieg dalszy życia głównie objawiać miała czynność Kraszewskiego.

Przypomnijmy i zbliżmy objawy te, i o każdym z tych działów, lubo możliwie najkrócej, powiedzmy tu po kolei. A najprzód o dziale poezyi.

Kraszewski czyż jest poetą? Kiedyśmy, przypominamy, lat temu dziesięć zapytali jednego z nieżyjących już dziś uczonych ekonomistów naszych, a wielbiciela wielkiego zasług Kraszewskiego, czy zna jeden z nowszych jego utworów: »Hymny boleści«, odpowiedział nam, iż »tego utworu nie zna i ciekawym go nie jest«. Kraszewski bowiem, dodał, »nie jest poetą«. Zdanie to, było to zapewne zdanie lepszego znawcy ekonomii niż poezyi, jest to jednak, ile nam wiadomo, zdanie u nas czytającej większości, a nawet i śród samych zwolenników poezyi; przyczyna zaś ta jest: iż za istotę poezyi najpowszechniej dziś jest uważaną jej forma, wiersz, a rytmiczny wiersz Kraszewskiego nie ma wyższej precyzyi i sztuki słowa. Jeżeli jednak przez poezyą, stosownie do pierwotnego znaczenia tego wyrazu, mamy rozumieć utwór t. j. widok czegoś nowego, lub nawet (jak to jest uznawanem powszechnie) dzieło lotu Fantazyi, tedy autor tysiąca obrazów z dziejów nam spółczesnych, jakkolwiek nie w szacie rytmów tworzonych, i takichże obrazów z czasów nawet przedhistorycznych, siłą tej fantazyi

wskrzeszanych, jakąż inną może mieć nazwę jeśli nie poety? Kraszewski jest dziś jednym z naszych pierwszorzędnych poetów, lubo nie w szacie rytmu; lecz oto i poezya rytmiczna miała i ma w nim niepowszedniego, i zdaniem naszem nie średniej tylko wielkości swego przedstawcę.

Jak zaraz po pierwszych zwrotach do pióra, uczuł był niegdyś w sobie młody autor obfitość poetycznych uczuć, poetycznej fantazyi, dowód jest w fakcie, iż wkrótce po owych najpierwszych krokach, o których wspomnieliśmy, napisał był i ogłosił już nie wierszyk jeden lub drugi, ale dwa tomy poezyj (»Poezye Józ. Kraszewskiego« T. 2. 1838 z wizerunkiem autora) i że prawie najpierwsze kroki swe na tej drodze rozpoczął od rodzaju utworów, które się uważają dopiero za uwieńczenie i szczyt produkcyi poetycznej, t. j. od dramatów 5-o aktowych i epopei. O dramatach wspomnimy niżej, co do epopei była to »Anafielas«.

Anafielas (Góra niepamięci, Styks grecki), poemat, mający na celu wskrzesić znikłą przeszłość starolitewską w głównych jej rysach, złożył autor z trzech części czyli trzech oddzielnych poematów, w pewnym przeciągu jeden po drugim ogłaszanych, a temi były: »Witolorauda« (1840), »Mindows« (1843) i »Witoldowe boje« (1845). Pierwszy był śpiewem *(raudą)* o dziejach olbrzyma Witola z czasów mitycznych; drugi historyą księcia-założyciela granic Litwy starej; trzeci historyą dzieł głównego jej bohatera. Już w samych tych ramach trylogii widać było i całe bogactwo i wrzenie pierwszego lotu fantazyi. Młody a czujący zapas swych umysłowych bogactw poeta w pierwszym z poematów tych miał, jak się zdaje, zamiar samego ojca poetów już nie tylko doścignąć, ale prześcignąć. Jeżeli bowiem bohaterem Iliady był bohater zwycięzca ludzi, bohaterem »Witoloraudy» był bohater zwycięzca bogów (woli bogów); jeżeli Homer opisaniu nieba greckiego poświęcił w poemacie swoim kilka ustępów drobnych, autor opisaniu swojego cały prawie tenże poemat. A jeśli tak zdał się obchodzić z ojcem poetów, jakoż dopiero spoglądał na spółczesnych

i sobie blizkich! Począwszy pisać za głównego rozkwitu i ogólnego pociągu w kraju do romantyzmu, Kraszewski uważać można, nie tylko nie naśladował głównie wtedy upodobanych w poezyi form (jak np. sonetów, legend, ballad i t. p.) i nawet mówił wyraźnie: »Nie chciałbym piosnki gminnej wydymać jak balon, iżby się nie rozpękła jak balon« *(Nowe Studya)*; lecz też nie było w nim widać nigdy i w niczem uwielbienia dla ówczesnego mistrza poezyi w kraju. I owszem w krokach tych pierwszych widne było raczej współzawodnictwo. Kraszewski z Mickiewiczem nie walczył wprawdzie jawnie, jak Słowacki, i nie usiłował jak ten na własnem pokonać go polu t. j. śród sfery poezyi serca i sztuki słowa, lecz chciał go, rzec można, milczkiem, faktami, o głowę przeróść. Mickiewicz ogłosił był dwa poemata z dziejów litewskich: »Grażynę« i »Wallenroda«, ale koloryt pierwszego mógł się równie uważać za koloryt starej Burgundyi jak starej Litwy, koloryt drugiego był raczej kolorytem wieku XIX jak XIV. Kraszewski oddał się był najprzód studyom tej starolitewskiej przeszłości (owocem ich było ogłoszone następnie dzieło »Litwa« etc. o którem niżej) i wydał swe »Anafielas«. Nicią tych trzech poematów, które składają »Anafielas«, jest, jak rzekliśmy, przeszłość starolitewska. Prócz tej nici nie ma ono innej całości. Każdy z poematów tych pewną przytem oddzielną cechą jest odznaczony. Witolorauda, opiewająca czas, w którym na ziemi litewskiej prawie jeszcze nie było ludzi, jest też wizerunkiem i zbiorem raczej tylko malownych pejzaży, nie ludzkich serc. Poemat trzeci »Witoldowe boje«, który począwszy od poetycznej kolebki Witolda, do również poetycznego opisu chwil jego zgonu, miał za zadanie skreślić główne momenta życia tego bohatera, zdaniem naszem nie wykonał tego zadania, mówił bowiem tylko o jego bojach i uskutecznił to w kolei ustępów, które ani artystycznie z sobą są powiązane, ani odpowiednią wartości przedmiotu sztuką są odznaczone. Ale klejnotem istotnym, brylantem w tej poetycznej kopalni przeszłości starolitewskiej jest

poemat środkowy »Mindows«; jest to historya życia jednego jej króla, od dni młodych do śmierci, we wszystkich kolejnych przejściach, z całem jej otoczeniem, z prostotą słowa, poważnie, ale wiernie, szczegółowie i barwnie opowiedziana. Stawiąc Kraszewski ten utwór swój przeciw utworom śpiewaka »Grażyny«, liczył oczywiście na rodzaj swych sił, i rzec można, obrachował dobrze swój grunt. Jeśli w jakiej gałęzi utworów, tedy właśnie w gałęzi poezyi, najdobitniej dają się widzieć owe dwie różne cechy w umysłach twórczych: tworzenia i odtwarzania. Poeci z cechą pierwszą, tak zwani podmiotowi, wewnętrzni, są to poeci, którzy całą przedmiotowość, zewnętrzność, której dotykają, stapiają w sobie, a takim właśnie był Mickiewicz; twórcy zaś z cechą drugą, poeci przedmiotowi są to poeci, którzy całą osobistość swoją grzebią w przedmiocie, a takim był właśnie Kraszewski przez ów swój dar odtwarzania [1]. Prawdą wieku, kolorytem historyczności prześcignął więc był istotnie w poemacie swoim poemata rywala. Stara Litwa w poemacie »Mindows« przedstawiła się jakby wskrzeszona z widokiem jej ówczesnych jednostek z klas wszelkich, jej bogów, jej obrzędów, zwyczajów, obyczajów, piosnek i t. p.

Męskie i żeńskie typy poematu tego chociaż są z tychże czasów, z których Grażyna i Wallenrod, lecz są różne jakby o wieki. Ów Mindows śpiący na ziemi, przykryty niedźwie-

[1] Mickiewicz był przeważnie i silnie podmiotowym tylko poetą. Dowodem główni bohaterowie jego: Gustaw, Wallenrod, Halban, Konrad, Jacek Soplica (familia Ankwicz) i sam Tadeusz Soplica (typ reminiscencyi poety z r. 1812, z pierwszych młodzieńczych wrażeń); gdzie silniej był przedmiotowym, tam stawał się prozaicznym, więc nie był sobą (wskażemy na *Sąd* w Konradzie). Zdaje się, iż jest to potrzebą jakąś i warunkiem natury, iżby przy obudzeniu się natchnień poetycznych i ich reprezentantów na większą skalę, uosobiały się zaraz na skalę równie dobitną oba kierunki, a takimi np. okazali się byli w ostatnich czasach, spółcześni sobie w literaturze niemieckiej Göthe (realista) i Schiller, w angiels. Walterscott, Byron, we francus. Dumas (ojciec) i Wikt. Hugo, u nas jako dwa najdobitniejsze pod tym względem a spółczesne sobie kontrasty wskazani właśnie być mogą: Mickiewicz i Kraszewski.

dzią skórą, mówiący słowem prostem o bojach, to nie ów wymuskany i tak poetyczny w dykcyi Litawor, ani tem więcej tak wyidealizowany Wallenrod. Tem więcej niewiasty. Ta, tak skądinąd cudna, kochanka Konrada, dzieckiem jeszcze chcąca pożyczać piórek od skowronków, aby pod niebo ulecieć, a dziś z lochu westchnień i łez wołająca »teraz skowronki o nic was nie proszę« (bom poznała wielkiego Boga i ukochała wielkiego męża), to raczej entuzyastka z wieku XIX, niż Litwinka z XIV. Nie takie też widzimy kochanki Mindowsa w »Mindowsie«; pierwsza była mu wierną żoną, chociaż zabił jej ojca, druga wierną kochanką, choć miała męża, a gdy ujrzała z okna posłańca po siebie: »Gońca widziała, jakby nie widziała, perły nizała i piosnki śpiewała«. Ale nieszczęściem to było starej litewskiej narodowości (jako narodowości), iż miała dziejowo się złączyć z narodowością jednego z plemion słowiańskich, które (jak o tem wspomnimy wnet niżej) miało się stawać źródłem bez wiedzy prawie i chęci szczególnej asymilacyi plemion, dziś więc dla potomków owych Litwinów, o których »Anafielas« opiewa, te opiewane dzieje taki tylko mogą obudzać pociąg, ile go ma każda jednostka ludzka dla czasu niemowlęctwa swojego, którego nie zasięga pamięcią, lub nawet właściwiej do czasu, który poprzedzał jeszcze przyjście jej na świat. Zródłem wrażeń, a więc źródłem znaczenia kompozycyi wszelkiej, jest miara pociągu ku niej. Im więcej te obrazy, które kreśliło »Anafielas« były dziejowo wierne, im dobitniej się odnosiły do całkiem odmiennych ludzi, innego wieku i czasu, tem mniej mieć mogły pociągu dla serc dzisiejszych. Który z poematów owych, spółzawodniczących, miał wyjść zwycięzcą: okazał to czas, a źródłem tego skutku, sądzimy, był nie tylko wysoki rytmiczny artyzm poety zwycięzcy, ale też właśnie ten szczegół, że te serca i charaktery, które opiewał, były to charaktery i serca nie tyle starolitewskie, ile ogólno-ludzkie, i należeć mogące do wszystkich wieków.

do wszystkich czasów (wszakże i sam ów Mindows, na chwilę chrześcijanin i król, miał coś »ze zdrajcy i mistrza« i sama Aldona była to bohaterka z wieków i rzetelnych pustelnic i Heloizy), lecz kładąc na bok sympatye, wyższość historycznego kolorytu czasu i miejsc w poemacie »Mindows« jest faktem, i utwór ten jest bez zaprzeczenia dziełem, jakkolwiek nie uwieńczonego za poezyą przez kraj poety, ale poety.

Prócz »Anafielas« jest też Kraszewski autorem więcej niż 20 sztuk dramatycznych, różnych miar, koloru i dykcyi. Dwóch tomików poezyj z r. 1838, o których wspomnieliśmy, wydał w r. 1843 nowe pomnożone wydanie; a nadto w r. 1857 »Hymny boleści« i 1859 sielankę »Wioska«. Te drobne poezye autora wszystkie prawie mają za przedmiot kreślenie uczuć własnych, przeto poezyą wewnętrzną podmiotową, a ta nie jest stroną silną autora. Wiersz autora nieraz cechuje rzewność, zawsze uczucie, niekiedy dowcip; ale uczucia te są to najczęściej uczucia powszechnie znane, przeto nie nowość (poezya). Za słabą też zwykle jest mianą budowa tego wiersza. Wiersz Kraszewskiego w swym składzie ma jakąś żeńskość, rozwlekłość, jest on, rzeklibyśmy, pod tym względem podobny do rytmów autora »Przedświtu« (z wyjątkiem rytmów w «Przedświcie«), gdyby skądinąd mistyka oraz ton zawsze wieszczy tego ostatniego nie wzbraniały czynić porównań tych dwóch autorów.

Poeci przedmiotowi przeważnie, coraz ściślej stopniowie łącząc się z realnością, kończą zwykle na prozie (tak był np. skończył Walterscott), i autor »Anafielas« wszystkie dalej poemata swoje ogłaszał nie w szacie rytmów, lecz prozy (Powieści). Powieść to gałąź poezyi, lecz o utworach autora w gałęzi tej, jako związanych bliżej z naszym przedmiotem głównym, powiemy niżej oddzielnie.

Co do dramatów, pierwsze z nich (jak *Halszka, Mołnia* i t. p.), w których treść wciskał autor poezyą wewnętrzną, słabsze były; w ostatnich rozmiarem i charakterem różnych, i treścią których przeważnie jest przedmiotowość,

jest zwykle mistrzem (za przykład dajemy *Portret*). — To o poezyi.

O historyi pół słowa tylko powiemy. Badaniami i szperaniami swemi, które poświęcał dla poznania przeszłości kraju, Kraszewski dzielił się zawsze z czytelnikami. Stąd inny szereg prac jego, prac historycznych, które oddzielnie wzięte już dałyby autorowi swemu nazwisko zasłużonego pisarza i pracownika. A tu mianowicie należą następne jego dwa dzieła: »Wilno od jego początków do r. 1750«. Tomów IV. (1838—1840.) Tom 1-y tego dzieła był jednocześnie pisany i prawie jednocześnie wydany z »Historyą m. Wilna Michała Balińskiego, a poprzedzał o lat kilka Obraz Litwy Jaroszewicza. »Litwa od jej początków do r. 1386«. T. 2. (1847—1850). W pracach tych historycznych Kraszewski jeśli nie był kopaczem źródeł, tedy jednak był pracowitym i wiernym architektem. Dzieło »Litwa« jest, ile wiemy, najpóźniejszym dotąd wyrazem badań tego przedmiotu, śród których pierwszym kolosem był Narbutt, wykazaniu też rzeczywistych zasług tego pracownika poświęcił tu autor trafny ustęp. Dzieło to, w którem Kraszewski zbliżył wiadomości o dziejach, wierze, obyczajach, pieśniach, podaniach i ustawach Litwy dawnej, wskazuje właśnie na źródła, na których się oparł, gdy kreślił swe »Anafielas«. Jako na publikacye z tymże głównym przedmiotem (dziejów i ich badania) związek mające, wskażemy na różne Wspomnieuia, Podróże po prowincyach miejscowych samego autora, oraz na prace jego, które miały za przedmiot sztukę i przyszłość jej w kraju, a do tych ostatnich należą między innemi: dziełko: »Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej« (1860); »Ikonoteka polska« (1859); po francuzku: »Collection iconographique polonaise« 1865 Drezno i t. p. Napomkniemy zaś tylko, iż autor jest też wydawcą nieskończonej liczby rękopismów, jako materyałów do dziejów, wypadków i obyczajów kraju, które noszą napisy Podróży, Poselstw, Dyaryuszów, Pamiętników i t. p., a które jakby dla sprawdze-

nia misyi jego do odtwarzania przeszłości, wpadały mu jako pomoce w rękę.

Równolegle z temi dziełami i utworami w gałęzi poezyi i dziejów, ogłaszał i rozwijał też autor sąd swój czyli *krytykę;* zrazu o dziełach naukowych, o dziełach sztuki, a następnie i o rozwojach społecznych czyli polityce. Głównym polem i formą tych jego sądów były i są dotąd korespondencye do pism czasowych, wydawanych w Petersburgu, Wilnie, Warszawie, a także ogłaszane od czasu do czasu, już zbiorowo, już peryodycznie organa własne, jakiemi były: »Athenaeum« od r. 1841—1851, »Gazeta Polska« 1860—1862, »Przegląd Europejski« 1862, »Tydzień« 1870, »Rachunki« (jakby rachunki sumienia krajowego, w różnych gałęziach w ciągu roku objawianego) 1866—1870 i t. p. prócz zaś tej krytyki bieżącej, a przez pół wieku nigdy nieprzerwanej, wydawał też autor, lubo zrzadka, i odzielne krytyce poświęcone prace, a takiemi między innemi były: »Studya literackie« T. 2. 1842; »Nowe studya literackie«. T. 2. 1843; »Rozbiór systemu Trentowskiego« 1847 (wyd. 2-e 1862); »Gawędy o literaturze i sztuce« 1857 i 1866; »Dante, studya nad Boską Komedyą« 1869 i t. p. Ten pierwiastek sądu czyli ta krytyka, rozlana śród pism i utworów Kraszewskiego, jakąż ma barwę? Dwie owe cechy główne umysłowości jego: bogactwo oraz dar odtwarzania i w tym oddziale prac jego wyraziły się także. Bogactwo stało się źródłem tego skutku, iż autor sąd ten swój czyli krytykę zwrócił i zwraca nie do jednej lub drugiej gałęzi, ale prawie wszechstronnie, więc np. do oceniania zjawisk literatury właściwej, sztuk pięknych, filozofii, historyi, polityki i t. p. a także, iż jakkolwiek tym zwrotom zdaje się tylko poświęcać czas odetchnienia, nie było w nich jednak widać nigdy skąpienia czasu; — dla krótkiego, lecz jasnego przykładu wspomnimy tu np., iż drukując niegdyś rozbiór przekładu jednego z dramatów Szekspira (jeżeli się nie mylimy Hołowińskiego, w Tygodniku Petersb.) przekład ten porównywał już nie tylko wiersz w wiersz, ale wyraz

w wyraz (co było naturalnie nawet zbytecznem) z tekstem angielskim przez kilka scen, — iż zamierzywszy w owymże czasie pierwszy dać w Studyach swych próbki rozbioru naszych poetów dawnych, obrał między innemi za przedmiot i ów olbrzymi poemat Klonowicza (dotąd nawet przez żadnego z krytyków i tłómaczy prawie nie tknięty) »Victoria Deorum« i wszystkich jego więcej 40 u rozdziałów razem z praktycznym rozbiorem treść podał; iż czyniąc studya nad główną epopeją włoską (Danta) pracy tej (ogłoszonej niedawno najprzód w Pamiętniku Poznańskiego Towarzystwa naukowego) poświęcał oddzielne chwile przez lat kilkanaście i t. p. Jak zaś na sądy autora wpływ wywarł jego dar odtwarzania, to objaśnia jego kryteryum. Kraszewski wyraził to był niegdyś od pierwszych kroków, i zasady tej raz objawionej dotąd trzyma się zawsze, iż to, co uważa za prawo, zasadę zdań trafnych, jest to opieranie się w tych zdaniach na sądzie powszechnym, a więc jakby odtwarzanie w nich tego sądu [1]. Sąd powszechny jest to kryteryum, kodeks, który bez zaprzeczenia ma byt istotny, jest to bowiem naturalnem i prostem, że na dnie wszystkich serc ludzkich, jako ludzkich, musi tkwić pewna spólność, która odznacza treść ludzką i jest odbiciem warunków, które źródło swe mają i w ostatecznych przyczynach i w ostatecznych celach: — lecz oto właśnie jednym z warunków tej treści, w obecnym jej stanie, jest: iż śród szczegółów jej istnie pewny zamęt, że przeto w owym powszechnym sądzie tkwi nie zupełna jedność, zupełna jasność, lecz raczej, kołatanie się, pewne wahanie, i różność w łączeniach się jego pierwiastków. A nadto, owa pierwotna jedność, jak to widzimy, rozpadła się w różność i stała się źródłem różnych gałęzi wiedzy, badań, dociekań, z których każda odbywa swój roślinny rozwój, i w sobie, i łącznie

[1] »Krytyka, pisał autor w swych Studyach z r. 1843, winna dziś uznać za swe jedyne prawidło sąd i smak ogółu... Krytykiem najsprawiedliwszym i jedynie namaszczonym nazwą dziś tylko tego, który instynktownie będzie umiał trafić w sądy mas«, Now. Stud. 1. 25.

z innemi, te więc drogi specyalne należą do uprawy specyalnej i nie mogą już być przedmiotem i treścią sądu spólnego. Gdyby np. system Kopernika (jak to ktoś kiedyś zauważył trafnie, lubo z okazyi innej) był oddany pod głosowanie powszechne, wypadek sądu czyliżby się okazał zgodnym z istotną prawdą? Sąd powszechny nie jest to więc bezwzględnie kryteryum wierne, a opieranie się na nim, jest to czerpanie, rzec można, nie z przekonań własnych, nie z zasad uznanych już przez siebie za pewne, nie z poprzedniego rozbioru i ocenienia znaczeń gałęzi rozwoju, ich wszechzwiązku, celów i t. p., ale jest to dopiero jakby podsłuchiwanie sądu większości. Z tem wszystkiem skoro zarazem faktem to jest, iż istnie na dnie serc ludzkich ów pewien sąd spólny, sumienie spólne; tedy też przeczyć nie można, iżby kryteryum to nie było kryteryum istotnem, a nawet żywotnem dla ogólnych przynajmniej zasad, warunek tylko, iżby przewodnikiem w jego użytku była *umiejętność*, — umiejętność mienia na względzie, aby to, co się ściąga do ogółu, nie było odnoszonem i do szczegółów, i nawzajem, iżby to, co tylko jest szczegółem, nie branem było za ogół; pierwszy z przypadków tych mógłby sprawiać *stanność* w kształceniu gałęzi, przypadek drugi mógłby dać *jednostronność*. Otóż zdaniem naszem Kraszewski posiadł właśnie tę umiejętność, i stąd też krytyka jego jest zwykle i jest prawie zawsze żywotną. Objaśnijmy to bliżej. Patrząc na różność odcieni w umysłach ludzkich jednostek, rzec można, iż tych odcieni jest tyle, ile jednostek, ale uogólniając możliwie, da się ta różność podzielić na trzy wybitne grupy, na grupę, w wyobrażeniach, w uczuciach której przemaga zawsze dobitnie pogląd duchowy, a przeto *mistyka*, na inną, w której bujania umysłowe, więc *idealizm* i grupę wreszcie, której sąd kształcą i odznaczają przeważnie wrażenia zmysłów, przeto *realizm*. Jednostki odznaczone cechą pierwszą i drugą, stosunkowie mówiąc, należą do wyjątków śród mas ludzkości, grupa trzecia stanowi przeważną większość, ledwo nie wszystkość; autor

więc usiłując sąd własny oprzeć o sąd powszechny, oparł go właśnie był zrazu o sąd tej ostatniej grupy, więc o realizm; — lecz umiejętność owa, o której wspominaliśmy, wnet mu kazała uznać: iż grupa, o której sąd był się oparł, to tylko grupa, iż do istotnych cząstek sądu powszechnego, zarówno jak realizm należą i idealizm i nawet mistycyzm, nie odtrącił przeto i tych pierwiastków, i owszem stopniowie je łączył. Stało się więc, iż realizm autora (jakkolwiek nie ręczymy, czyli nie pozostał dlań zawsze godłem głównem) nie zamienił się w materyalizm, lecz coś nakształt jakby w *idealno-realizm*. Mistycyzmu zwolennikiem się nie stał i nikomu nigdy go nie narzucał, ale też i nie walczył z nim nigdy. Zwłaszcza dla tego oddziału mistyki, który się zowie religią, z uszanowaniem był zawsze. Autor wyrachował, rzec można, z sądem powszechnym, jak odmienną i niemożliwą nawet byłaby społeczność bez etyki religijnej, a jak różną i pożądaną z etyką religijną, popiera więc tę ostatnią. Nie wielbiciel idealnych wybujań, autor nie dzielił i nie rozwijał nigdy zasad takiej lub innej z estetyk znanych; w ocenianiu tego, co piękne, mógł mieć nawet własne jednostkowe uczucie różne od ogółu, uszanował jednak ten popęd ogółu, i zdaniem naszem, nie zbłądził. Opór o sąd powszechny odział więc sąd jednostkowy autora w barwy dodatnie. Krótko wreszcie kończąc, powiedzmy: iż lubo krytyka Kraszewskiego w ocenianiu gałęzi szczególnych nie posuwa się do ostatecznych krańców ich wyczerpania; jakkolwiek nie zdaje się ręczyć sama za dogmatyzm swych zasad; nigdy jednak w szczegółach swoich nie jest ujemną, jest przeciwnie zwykle dodatnią, żywotną, i przez czas tak przeciągłej uprawy, odznaczyła nawet własny charakter. Ta krytyka Kraszewskiego jest to zawsze szereg poglądów trafnych, różnostronnych, praktycznych, w szacie swojej nie najeża się ona w masy cytacyj, które nieraz mają więcej na celu popis samego krytyka jak dzieło oceniane, nie odziewa się w mgły poetyczne (jakiej krytyki dał nam próbki Krasiński w zdaniach o Słowackim, a które zamiast

stawać się objaśnieniem ocenianych utworów, same potrzebowałyby komentarzy), ale wyraża się zawsze słowem umiarkowanem, spokojnem, jasnem i przez to samo loicznem (»co jasno powiedziane, to jasno pomyślane«, jak to niedawno trafnie rzekł któryś krytyk, — *was ist klar gesagt, ist klar gedacht),* okrasza tylko niekiedy te słowa wyższy dowcip, niekiedy lekki sarkazm, lekka poezya, a zawsze sąd stosowny. Jest to krytyka, słowem, która i najszersze koło czytelników może pozyskać i najtrafniej do przekonań przemawiać, i która przeto w rozwoju naszej umysłowości bieżącej nader pożądanym jest faktem.

W takich szczegółach rozwinęły się główne czynniki daru odtwarzania autora: jego Fantazya i Sąd. Przejdźmy teraz do bezpośrednich i najgłówniejszych tego daru objawień, to jest do odtwarzanych przezeń obrazów życia towarzyskiego — gałęzi Powieści.

II.

Powieść była to, jeżeli się nie mylimy, najpierwsza forma, najpierwszy utwór, od którego zaczęło pióro Kraszewskiego, i od dnia tego przez szereg lat nieprzerwanych, nieprzerwanych być może miesięcy, do dni obecnych, strumień tych jego utworów nie przestaje przepływać i skrapiać ziemi literatury krajowej — mimo czas i zapory nie zwężając się w biegu swoim i nie niknąc, lecz owszem coraz bystrzejszym i szerszym ukazując się w swojem korycie. Nie umielibyśmy ani wymienić nazwisk, ani nawet oznaczyć liczby wszystkich w gałęzi tej utworów Kraszewskiego, oprócz bowiem wydawanych oddzielnie, umieszczane one były bez przerwy przez te lat więcej 40-tu w najrozmaitszych, a w różnych stronach kraju wychodzących pismach: czasowych, zbiorowych, jednorocznych itp., a z tych niektóre do następnych wydań dotąd nie weszły. Wszakże i to, co nam jest znane, jest więcej niż dostateczne do oznaczenia ich charakteru, jakości, oraz cech głównych.

Cóż jest powieść? jakie są naturalne warunki tej kompozycyi? jaki jest powód takiego jej rozkwitu i rozpowszechnienia się, na jakie patrzymy dzisiaj? Od czasu, jak musieliśmy uznać, iż wszystko, co jest, jest koniecznem, jest bowiem następstwem i objawem jednej wielkiej Harmonii, która tkwi w świecie; że nic przeto nie jest bez przyczyn, nie jest bez celu — taka też lub inna odpowiedź i na powyższe pytania miejsce mieć musi. Powieść jest to jedna z form odtwarzania; ale cóż jest w tej ogólnej Harmonii ta forma? cóż jest i sam ten dar odtwarzania, zjawiony w jednostkach ludzkich? Powiedzmy coś w tym przedmiocie bliżej z dobrej okoliczności.

Nikt z nas zapewne nie zasiadał w radzie Ducha-Stwórcy, kiedy się rozpoczynał świat bytów, ani był powiernikiem jego zamiarów; lecz naturalnem jest mniemać, że byty te rozpoczęte zostały nie na przelotność, igraszkę, lecz na pewną trwałość. Wiele wprawdzie z tych istot, na które patrzymy (zwłaszcza ze świata roślin, zwierząt i t. p.) trwa zaledwo po dni kilka, chwil kilka, trwałość ich jednak przeciąga rozród i odnawianie się, i są one dziś takież, jakiemi były za dni pierwszych swego zjawiska. Fakt ten czyliż jednak daje się widzieć i śród jednostek ludzkich? Żaden z ludzi, jak to już uważaliśmy wyżej, w swojej odrębnej całostce nie odradza się i nie ponawiają się nawet żadne odrębniejsze sprawy człowieka. Stąd też ten wniosek powszechny, że stanowiący właściwość jednostki ludzkiej duch ludzki ma oddzielne prawa trwałości swojej. Ale oto i trwałość samych owych odrębniejszych spraw ludzkich i całego zewnętrza ludzkiego nie zdaje się być także zewnątrz planu stworzenia, a dowodem jest właśnie ten zjawiający się w ludziach dar odtwarzania. W tem wprawdzie, jak we wszystkiem na świecie, stosownie do skali pojęć naszych ludzkich, coś tylko poznawać, rozróżniać jesteśmy zdolni, ale fakta faktami są, a te dostrzegać się, łączyć i zbliżać mogą i muszą. Pozór ludzki pochwyciły i odtworzyły sztuki plastyczne, sprawy ludzkie — hi-

storya. To stało się już w samym poranku życia ludzkości, ale oto im wiek tej ludzkości staje się dojrzalszym, rozwicie jej obszerniejsze, tem i sam proces rozrostu staje się szybszym i szczegóły tego procesu są wydatniejsze. Zrazu rzeźba odtwarzała tylko rysy ogólne i tylko bohaterów i bogów — i historya kreśliła i zatrzymywała tylko dzieje królów i wodzów — lecz malarstwo, poezya, rozciągnęły następnie do jednostek mnogich i szczegółów mnogich tę sferę odtwarzania. Dzieje wzrosły, a ze wzrostem tym i ta sfera coraz się stawała i obszerniejszą i wszechstronniejszą. I dziś... cóż dzisiaj widzimy? Oto iż z jednej strony nie kilku, nie kilkudziesięciu, ale rzec można, milionów ludzkich jednostek rysy są codziennie pochwytywane i odtwarzane, a czynnik, czyli sztuka, która to sprawia, zowie się fotografią, a z drugiej strony, miliony serc ludzkich i przygód ludzkich ze wszelkiemi odcieniami przejść swoich i rysów, są kreślone, rozwijane i odtwarzane, a czynnik, czyli gałąź poezyi, która to sprawia, zowie się powieść. Istotą i zadaniem powieści jest przeto, jak to widzimy, pochwytywanie i odtwarzanie przygód codziennych jednostek ludzkich, ich charakterów, uczuć, związków i t. p., najpierwszym zatem i głównym warunkiem tej kompozycyi musi być *wierność*.

To pierwszy, czyliż i jaki wymaganym być może zarazem warunek drugi? Świat nasz to świat harmonii, każdy szczegół, zarówno szczegół bytu, jak odtworzenia, jeżeli z jednej strony następstwem jest takich lub innych przyczyn, tedy z drugiej i sam też przyczyną staje się takich lub innych następstw. Powieść jest to, widzimy, utwór, mający szczególny magnes w swej treści, żadna gałąź piśmienna nie jest tyle poszukiwaną, tyle rozchwytywaną w handlach księgarskich, jak powieść. Gałąź takiej czynności, takiego wpływu, czyliżby więc nie miała mieć innego znaczenia, a stąd i innego warunku jak portret, jak podobieństwo? Powieść jest to na drobną skalę historya ludzka, lub raczej jest to rozszerzenie drobnych spraw ludzkich na wielką skalę. W dziejach drobnych jak wielkich jest z pe-

wnością pewien ład, pewne prawo, lecz gdy źródłem i kierownikiem tych dziejów jest jakiś rozum wyższy niż ludzki, a stąd i skale rozwoju ich są nader szersze niż ludzkie, przeto i szczegóły tych dziejów równie wielkie jak drobne, przed okiem chwili jako bezład i zamęt wydawać się muszą. Otóż powieściotwórca tworząc obraz na skalę własną, to co drobne w naturze, może rozszerzać, co szersze, zwężać i ścieśniać, a jeśli w talencie swoim mieści dar odtwarzania nie tylko pozorów, lecz i owego *prawa wewnętrznego*, utwór jego staje się natenczas nie tylko wizerunkiem, ale lekcyą. Ta lekcya jest to więc warunek drugi powieści. Właściwie nie jest to warunek, lecz przymiot, kolor, gdy jednak ten taki lub inny kolor to warunek rzetelny żywotności danej powieści, musi być przeto mianym na względzie głównym przy zwrotach sądu.

Cóż teraz o powieściowych utworach Kraszewskiego rzec można i rzec należy pod względem obu tych cech? A najprzód, czy może im być przyznany przymiot wierności?

Wierność to wyraz krótki, lecz aby dany utwór zyskał sobie przyznanie tego przymiotu, trzeba niemało. Cóż sprawia w umyśle czytelnika przyznanie, iż obrazy tej a tej powieści są wierne? Oto ich ekspozycya. Jeżeli ten obraz z życia, który spotykamy w powieści, jest podobnym do tego, któryśmy widzieli w naturze; tedy to naturalne, że przyznajemy mu wierność. Ale żaden czytelnik nie zna całości natury, każdy z ludzi może znać jakieś cząstki, nieznane innym, cóż wtedy może w nas wpłynąć na owo przyznanie? Jeżeli ekspozycya w powieści jest tylko opowiadaniem lub wzmianką, jak to np. ma miejsce w powieściach mających napis Tysiąc nocy i jedna, tedy umysł czytającego nie może uznać, iżby to, o czem czyta, było istotną prawdą, może wprawdzie uznawać tę treść za prawdę, jeżeli autorowi jej wierzy, ale nie może poprzeć tej wiary i *przekonaniem;* lecz jeśli kreślony obraz osób i dziejów ich daje nam poznać nie tylko same nazwiska tych osób i dziejów, lecz też ich myśl, i odcienie ich my-

śli, jeżeli dzieje te kreśli przez sytuacye i odcienie tych sytuacyj, jeśli zwłaszcza i te myśli i dzieje rozwija przez słowa osób, przez dyalogi; to taka ekspozycya, jako złożona z pierwiastków skądinąd nam znanych i zdolnych w nas obudzić przyznanie ich prawdy, może zrodzić i przekonanie.

Powieści Kraszewskiego, których treść jak najmniej jest podobną do powieści z Tysiąca nocy, braną jest bowiem zwykle z prawdy podręcznej, jak najmniej zapewne potrzebowałyby, dla zrodzenia przyznania wierności ich, pomocy tej ekspozycyi, ta jednak jako właśnie złożona z pierwiastków, o jakich dopiero rzekliśmy, tem więcej wpływać musi na toż przyznanie. Już sama ilość skreślonych przez autora obrazów powieściowych daje wnosić, jak bogatą i rozmaitą być musi treść ich przedmiotów, jaka masa przedstawionych w nich osób i dziejów ich. Jeżeli w obrazach innych znakomitych naszych twórców powieści (jakimi byli np. lub są: Rzewuski, Kaczkowski, Korzeniowski, Chodźko i in.) przedmiot ich stanowił zawsze wyłącznie świat naszej szlachty wiejskiej, tedy w powieściach Kraszewskiego jakkolwiek świat ten bywał i jest także najobszerniejszą ich cząstką, ale jest tylko cząstką. Począwszy od owego niegdyś utworku, którym był zaczął szereg swych powieści, a który miał napis: »Wielki świat małego miasteczka« (1832, t. 2) i tegoż zaraz drugiego, który nazwał: »Cztery wesela«, a który mógł był mieć napis: wielki świat małych dworków wiejskich, t. j. obrazka, w którym po raz pierwszy uchwycił był i tak trafnie odbił pierwsze ciepło dusz młodych i tak nieporównanie codzienny potoczny dyalog w mowie krajowej, do tych jego utworów z lat ostatnich, w których kreślił już dwory monarchów, ministrów i dyplomatów, nie było prawie klasy, stanu, zawodu śród kraju, a śród tych stanów, zawodów — oddzielnych typów, którychby Kraszewski nie kreślił; a wierność każdego z nich podnosiła i wznosi zawsze ich ekspozycya. Od chwili, w której autor raz obrał taką lub inną do przedstawienia postać, czyli jest nią wieśniak czy król, dama świata lub finan-

sista, traci, rzec można, z pamięci osobistość własną, przedzierzga się w tę inną, z całą naturalnością, spokojem rozwija szereg właściwych każdej sytuacyj, przygód i dziejów jednym jakimś charakterystycznym rysem uczynku, wypadku, słowa, przenosi i czytelnika w ten świat, — tak, iż ten w końcu nie tylko nie wątpi na chwilę, iż to, co widzi przed sobą, jest prawdą, ale zapomina nawet, że czyta powieść. Każdej, od pierwszej do ostatniej powieści Kraszewskiego, najogólniejszym przymiotem jest wierność, mistrzowska wierność.

Cóż zaś wypada rzec o owym warunku drugim, o kolorze tych jego powieści? Jak źródłem cechy wierności w powieściach Kraszewskiego być musiał ów dar szczególny, o którym już wspominaliśmy tylekroć: odtwarzania przedmiotowości, tak źródłem takiego, nie innego koloru ich być musiał ów jego sąd. Cechą główną koloru sądu Kraszewskiego jest, jak to uważaliśmy wyżej, realizm, lecz zarazem i z idealnością i z mistycyzmem niejaka zgoda. Cechy te odbiły się i wyraziły też właśnie i w tle jego powieści. Czci autor przedewszystkiem realizm; powieść jego jest więc, jak krytyka jego, przedewszystkiem praktyczna, jasna, rozlaną i postrzeganą wokoło siebie prawdę ściśle odbijająca; do treści powieści jego niktby zwrócić nie mógł tego zarzutu, który niegdyś francuska krytyka zmuszoną była czynić najpopularniejszemu ze swych powieściotwórców (Eugeniuszowi Sue), iż z każdej karty jego obrazów »tryska niepodobieństwo i naciąganie«. Autor nie tylko za przedmiot swych opowiadań nie obiera psychologicznych wyjątków, scen fantastycznych, lecz w układ jego powieści nie wchodzą nawet nigdy żadne sztuczne węzły, zagadki lub zawikłania; czytelnik ogląda tylko zawsze przed sobą rozwijającą się prawdę, sceny jakby z własnego życia lub osób znanych; prawda i sama prawda staje się nawet w ten sposób jedynem źródłem interesu w powieści, t. j. oczekiwania jej rozwiązania. Jeżeli jednak w ten sposób autor w obrazy swe wnosi tę rzeczywistość,

na jaką spogląda każdy, tedy — dodać to trzeba — przenosi też ją i powtarza z tymże zamętem, jaki w niej każdy widzi. Autor nie zdaje się wierzyć w żadne harmonie wewnętrzne i nie usiłuje też ich wcale przedstawiać w żadnych skróceniach. Żadnym wprawdzie obrazem, ani słowem nawet nie potępia on bynajmniej w utworach swych nigdy dążeń duchowych, nie kreśli apologii ułomności, nie kusi do występków i t. p.; autor, że objaśnimy to praktycznie, nie przedstawia np. nigdy w obrazach swych w ironii albo na pośmiech, jak to jest u nas dzisiaj (a przynajmniej było niedawno) modą, sukienki duchownej, lub z postępową ułudą — scen erotycznych; ale także nie kreśli wcale morałów, nie daje lekcyi. Rzecby można, iż autor uznaje nawet śród świata pewien porządek moralny, stworzony i kierowany rozumem bożym, i że dlatego właśnie nie chce lub nie śmie objaśniać go rozumem ludzkim. Jeśli wszakże, wtrąćmy to, drogi i sądy boże są istotnie dla nas niejasne, tedy jasnem przynajmniej jest to, iż są one różne, a wtedy wybór takich lub innych zależy już od woli autora, od stopnia takiej lub innej wiary, takiej lub innej miłości dla ich istoty. Kraszewski jest realistą, lub więc w biegach wewnętrznych nie widzi prawa żadnego, lub też jeżeli dojrzy jakie, w dojrzeniu tem (jak to najczęściej zdarza się realistom) jest pessymistą. Dajemy przykład. Takie np. pierwiastki, jak artyzm, poezya, nauka, zjawione śród świata ludzkiego, w jakimże zostają rzeczywistym stosunku do tego świata? Na świecie zwykłym losem poetów bywał szpital, artystów — nędza i t. p. Autor te prawdy dostrzegł i te odtwarzał. Śród powieści jego jest jedna, która miała napis »Poeta i świat«, druga mieć mogła napis artysta i świat (»Sfinks«), w trzeciej (jednej z najświeższych) jest w obrazie uczony i świat: pierwszy z nich skończył na kieliszku, drugi na klasztorze, trzeci na śmierci porannej (każdy przeto na kłótni ze światem); i fakta te były, być może, wzięte istotnie ze świata, lecz być mogły wzięte i inne. Rzućmy bowiem na chwilę świat odtwarzania,

spojrzmy na rzeczywisty, spółczesny nam, a widzieć da się, że owe dawniej wyjątki, szczególne dary, prace, które niedawno jeszcze były jakby nieuznawane przez świat, a przynajmniej poniżane lub pomijane, dziś owszem weszły z nim w jedność i występują jawnie na jego czoło. Poeci, nawet genialni poeci, taki np. weimarski Goethe, taki angielski lord Beaconsfield, taki paryski Lamartine, czyliż nie byli lub nie są rządcami swych krajów? W tak rozwiniętej społeczności, jak dziś we Francyi, każdy prawie wysoko uczony pisarz kończy dzisiaj co najmniej na tece ministeryalnej. Jakoż i jeden z twórców naszych powieści, który wychodził w utworach swych zawsze z przekonania w byt pewnej prawdy, harmonii, kreśląc w utworach swoich żywioły podobne, jako: artyzmu, pracy, przedstawiał je w tych utworach w obłoku dodatnich ich szczegółów, nawet w harmonii ze światem, ze szczęściem jednostek i utwory jego z tą cechą (»Garbaty«, »Krewni«) pozostaną, sądzimy, utworami wartości stałej. Otóż tego ciepła wiary nie spotykamy w powieściach Kraszewskiego; jeśli w którym utworze jego daje się spotykać celowość, jawne morały (jak to np. w jednym z jego utworów dawnych, fantazyi: »Szatan i kobieta«), tedy celowość ta zdaje się tu iść jawnie z namysłu, nie przekonania, jak to objaśnia nawet w części samo nazwisko utworu: fantazya. Jednej z powieści swoich, złożonej z postaci i scen, których wątku nie łączy z sobą żadna nić wewnętrzna, dał autor napis: »Jasełka«. Napis ten (pod względem koloru jego powieści) mógłby służyć niejednemu z jego utworów. Talent jego jest to szkło fotografa, które i chwyta i odbija najwierniej rysy swoich przedmiotów, ale nie troszczy się wcale o ich źródło, cele i związki. Taką jest powieść Kraszewskiego pod względem swego koloru. Mówimy to, nie naganiając, lecz objaśniając. Każda z nich odbija jakiś typ prawdy, choćby zewnętrznej tylko, lecz prawdy, a nie może być dziełem fałszu, co ma typ prawdy. Wszakże nie mogłaby nie być tem żywotniejszą, gdyby do blasku zewnętrznej

łączyła i blask wewnętrznej[1]. Ale oto ten kolor, a raczej ten bezkolor wewnętrzny powieści Kraszewskiego znika, kiedy przedmiotem jego utworu staje się jakiś fakt z dziejów wzięty, czyli gdy powieść jego staje się historyczną, wtedy bowiem już sam ten fakt węzłem jest i kolorem.

Wspominaliśmy już, iż Kraszewski dar ten swój odtwarzania wcześnie zapragnął rozszerzyć w przeszłość i tę studyował; stąd też nie od wczoraj dopiero zaczęły się ukazywać z pod pióra jego powieści i treści historycznej. I owszem zaczynając od utworów »Kościół św. Michalski« (t. 2, 1833) i »Czasy Zygmuntowskie« (t. 4, 1846) do powieści z lat ostatnich (1873—74) »Hrabina Cosel«, »Brühl« i »Wojna siedmioletnia«, w których autor z równym, a w części i wyższym (jako już pełniej rozwiniętym) talentem, odtwarzał nam obrazy i dzieje nawet zakrajowe, otrzymywała literatura z ręki autora mnogą liczbę powieści z czasów dawnej historyczności naszej, z różnych wieków, z czasów różnych panowań. Ale oto obecnie, według objawionego głośno programatu, powziął zamiar cały przebieg history-

[1] Na przedmiot ten zwróciliśmy tu uwagę bliższą dlatego, iż im większą posiadł autor tajemnicę i siłę efektu, tem więcej owa jego zupełna beztroska o los swych postaci może sprawiać nawet ujemny skutek. W owym obrazie np., o którym dopiero wspomnieliśmy, iż w nim skreślony został uczony i świat, uczony ten nie jest głównym bohaterem powieści; bohaterem tej powieści (ma ona napis: »Kawał literata«) był młody człowiek (Tomko), który umiał czytać i pisać i był tem samem kawałkiem literata. Był to biedak, lecz jego pewność siebie, a zarazem i dobra gwiazda sprawiły, iż po przybyciu do stolicy porwały go jej salony, nawet królewski, i że w niej znalazł towarzysza niegdyś szkolnego, a dziś cichego i zdatnego pracownika (Dobka), który mu potajemnie dopomagał owocem swych prac. Rezultat: Tomka pochwyciła na małżonka jakaś przekwitła, ale bogata piękność, i skończył jako zamożny obywatel wołyński, zaś Dobka w poranku życia zabiła praca oraz to uczucie, iż się ujrzał igraszką niewiasty, którą był ukochał. Sceny wszystkie są tu prawdy nieporównanej, jak zwykle u Kraszewskiego, i powieść ta będzie zapewne w ręku całego pokolenia młodego; ale oto na dziesięciu młodych czytelników, dziewięciu będzie oczywiście wolało podzielić los, a przeto i wybrać drogę Tomka, nie Dobka.

czności naszej przedstawić w szeregu powieści. W tym celu wydał już dotąd (ile piszącemu wiadomo) trzy, a mianowicie noszące napisy: »Stara baśń«, »Lubonie« i »Bracia Zmartwychwstańcy« pod ogólnym głównym napisem: Powieści historyczne. O treści i wykonaniu tych trzech utworów chcemy tu rzec szczegółowiej.

III.

Powieści z przymiotu historyczne, a z zadania sięgające epoki tak dawnej, jak są te, które nam dał obecnie Kraszewski, nie mogły, jak się zdaje, od pierwszego kroku zyskać tego powodzenia i tej wziętości, jakie pozyskiwały dotąd utwory tego autora, kreślące obrazy spółczesne lub mniej odległe. Poklasnąć im silniej nie mogli ani przyjaciele przeważnie wątków powieściowych, ani przeważnie historyczności. W epoce, do której się odnoszą dotąd wydane, umysłowość ogólna jednostek, które musiały być w obraz wprowadzone, była skali zbyt niższej, niższego rozwinienia, szczuplejszych granic niż nam spółczesna — stosunki towarzyskie w niczem niepodobne do naszych, a w komplikacyach swych nader proste. Im bliżej przeto, im ściślej obrazy takie miały być obrazami z prawdy, im trafniej odbijać tę rzeczywistość, którą odbijać im wypadło; tem więcej dla umysłów dzisiejszych, wymagających dla wzruszeń swych żywiołów postępnych, musiały się wydać chłodne, mniej zajmujące; zaś dla przyjaciół historyczności, z powodu przydatków fantazyi, wydać kalectwem. Lecz dzieło sztuki musi być sądzonem nie ze stanowiska sympatyi lub niesympatyi, czy to cudzej, czy nawet własnej, lecz sztuki. Zapoznajmy więc czytelnika najprzód z samą treścią utworów, a zdania o ich wykonaniu nastręczą się same. Zaznajomienie czytelnika z przedmiotem czyli treścią książki, o której nastąpić ma zdanie, jest zapewne pierwszym obowiązkiem piszącego; ten szczegół tylko bowiem daje rękojmię, że sądzący przedmiot swój

poznał, i wtedy tylko czynione o przedmiocie uwagi mogą być jasne; tym razem jednak wywiązanie się z tego obowiązku nie jest podobnem. Przedmiot dany obejmuje już tomów ośm, ramy treści zbytby przeto przekroczyć musiały ramy zamierzonego zdania. Treść szczegółowszą, dla poznania bliżej maniery, przedstawimy więc tylko jednej powieści (wybieramy ostatnią, jako najwięcej wchodzącą już w epokę historyczności), o treści zaś dwóch pierwszych powiemy możliwie najkrócej.

Z trzech powieści, których napisy przywiedliśmy, »Stara baśń« opowiada o dziejach pierwotnych kraju do czasu wprowadzenia chrześcijaństwa, »Lubonie« — czas wprowadzenia chrześcijaństwa, czyli rządy Mieszka I., »Bracia Zmartwychwstańcy« — epokę Chrobrego.

Przedmiot powieści pierwszej był zapewne najtrudniejszym do wykonania. Autor zamierzył w niej skreślić obraz Polski przedhistorycznej, a czas ten, jako przedhistoryczny, nie przekazał nam żadnych bliższych spółczesnych świadectw. Mamy więc tylko o nim mętne z dawnych wieków tradycye i spółczesne nam badania krytyczne. Z tych tylko źródeł mógł czerpać i czerpał też autor. Badania historyków naszych o dziejach pierwotnych kraju, jakkolwiek nader się różnią i procesem swego badania i treścią wniosków, w tem jednem zgadzają się jednak, iż ludność późniejszej Polski złożyła się z dwóch pierwiastków, czyli z dwóch plemienności, miejscowej i napływowej. Zdaniem jednych to napływowe plemię przyszło z południa (Bielowski), zdaniem drugich z zachodu (Maciejowski), zaś trzecich z północy (Szajnocha), lecz zawsze jest mowa o niem. Z ducha tego domysłu wychodzili i nasi poeci, kreślący z owych czasów obrazy (najdobitniej np. Słowacki w dramacie »Lilla Weneda«), z tego punktu widzenia wyszedł więc i Kraszewski w »Starej baśni«. Rzecz powieści odbywa się za rządów Popiela II. Rozsiany nad Wisłą i Wartą lud Polan rządzony jest przez pokolenie Leszków, z tego pokolenia właśnie jest i rządzący obecnie kneź, Pepełek.

Kneź ten pojął za małżonkę Niemkę Brunhildę i rozpoczął też wkrótce rządy na wzór Niemców. Dawne pierwotne Polan wiece czyli zgromadzenia radne, składane z kmieci (zamożniejszych ziemian), wyszły z użytku; celem głównym Pepełka było znieść te zwyczaje, zubożyć ziemian, uporniejszych i bogatszych tracić i zabierać im skarby. Gdy już kmieci nie stało, przystąpił z porady małżonki do samych Leszków, do własnych stryjów: zaproszonych na ucztę potrul i mienie ich zagrabił. Rozpacz kazała Polanom szukać ucieczki w ostatnim wysiłku. Zbierają się potajemnie na wiec i układają krok na Kruszwicę. Reprezentantem głównym w powieści starego pokolenia Polan jest kmieć Wisz, młodego - Doman; lecz Doman był nie tylko kochankiem swobód, ale i córki Wisza, uroczej Dziwy; nielubiany porywa ją gwałtem, przebity przez porwaną, upada z konia, zaś Dziwa udaje się do świątyni na Lednicy (gdzie potem nowy kneź założył Kneźno, czyli Gniezno) i tu zostaje jedną z kapłanek Nii (boga piekieł). Dowództwo nad wyprawą do Kruszwicy bierze za zgodą ogólną rodzina Mieszków v. Myszków. Kmiecie się łączą, a śród nich odznacza się zdrową radą spokojny i nader skromny, ale zarazem rządny i gospodarny Piastun. Wyprawa uwieńczona skutkiem, Pepełek i jego małżonka giną. Wiec potrzykroć zbierany, nie mogąc pogodzić możnych pretendentów, a zagrożony wieścią o zbliżaniu się Niemców pod wodzą wychowanych w Niemczech synów Pepełka, obiera w końcu kneziem opierającego się Piastuna. Obrany, roztropny i rządny, zwołuje i szykuje szeregi i odpiera Pomorców i Niemców. Schwytani synowie Pepełka i wszyscy miejscowi Leszkowie poprzysięgają Polanom, ciskając kamień w wodę, wieczną domową przyjaźń i zgodę, a syn Piasta, Ziemowit (postrzyżony niegdyś przez tajemniczych gości) utwierdza granice państwa i dynastyę nową nad spólnym krajem. Dodać trzeba, iż ów przebity, ale nie zabity Doman, poniósłszy przed wyprawą ofiarę bogu piekieł, spotkał tam Dziwę, i po szczęśliwej wyprawie porwał ją

(już zmienioną w uczuciach) powtórnie, i odwiezioną do domu braci poślubił, oraz iż autor opowiada też czytelnikom w kształcie pieśni wędrownego barda (Sliwana) o szczegółach tradycyi dawnej, więc o Krakusie i smoku, o Wandzie i Rytygierze i t. p.

Powieść 2-ga »Lubonie« ma już w części ściślej historyczny charakter. Przybliżał się i dla Polski czas faktu, który miał ją moralnie przemienić z gruntu, jak ludy sąsiednie, t. j. wprowadzenie chrześcijaństwa; i tu też, jak to było gdzieindziej, dwa przeciwne prądy wewnętrzne zwarły się i odbiły. Reprezentantami właśnie w powieści dwóch tych przeciwnych prądów są: ojciec i syn Lubonie. Stary Luboń był jednym z najgorliwszych wyznawców bogów domowych, a przeciwnikiem Niemców i wiary Niemców; syn jego, wzięty dzieckiem w niewolę i wychowany w Rzymie, został nie tylko wyznawcą chrześcijańskim, ale też przejął się duchem misyi chrześcijańskiej i przywdział szatę zakonną. Jak współcześni mu św. Wojciech i Bruno, uczuł i młody Luboń (Wlast) natchnienie i odwagę nieść potajemnie misyę do kraju własnego, i zrzuciwszy dla niepoznaki sukienkę, wrócił do domu ojca. Niewysłowioną była radość starego Lubonia, gdy ujrzał opłakanego od lat tylu syna, ale niewysłowioną stała się boleść, gdy się przekonał z czasem, kim był i dlaczego wrócił. Męczeństwo syna (trzymanie go w ciemnym lochu), zakończone jednak śmiercią nie syna, ale ojca (nawróconego przed śmiercią), takie były losy Luboniów. Treść powieści odznaczają jednak i wybitniej i ciągłej kneź Mieszko i jego żona Dąbrówka. I Mieszko, jak stary Luboń, jak większa część jego ziomków, i nienawidził Niemców i lękał się ich, ale inaczej pojął środki odporu. Zamiast trwania w pogaństwie, umyślił on przeciwnie przyjąć chrześcijaństwo, odjąć w ten sposób Niemcom pretekst do nieprzyjaźni, i przeciw związkowi Niemców postawić równie silny związek plemion słowiańskich chrześcijańskich; poślubił więc w tym celu Dąbrówkę, córkę Bolka Czeskiego (już chrześcijanina), gromadził na

dwór swój tajemnych chrześcijan (między innymi i Własta), szerzył śród młodzieży stronników, sprowadzał z cicha księży i z Czech i z Niemiec, a kiedy owoc dojrzał, przyjął publicznie w Poznaniu chrzest ze starszyzną, a następnie wykonano w dniu jednym w kraju zniszczenie bożków.

Jak w powieści »Lubonie« Mieszko, tak w powieści trzeciej »Bracia Zmartwychwstańcy« (której treść szczegółowiej tu przytoczymy) główną postacią w akcyi i głównem źródłem interesu jest syn Mieszka i Dąbrówki, mający imię dziada po matce, Bolesław, zwany przez pierwszych kronikarzy naszych i ruskich (Nestor) Wielkim, a przez następnych i tradycyjnie Chrobrym. Autor jednak nie obrał tego Chrobrego za głównego bohatera swojej powieści i słusznie; dzieje bowiem poezyi nas uczą, iż kogo podanie i ludzkość przezwały wielkim, dla sławy tego i największego poety śpiewy byłyby słabe. Stąd też główni bohaterowie w dziejach istotnych, tacy np. Aleksander W., Juliusz Cezar, Napoleon I. i t. p. nie stali się dotąd i prawdopodobnie nie staną się nigdy bohaterami godnych siebie poematów; poezya umiała tylko do idealnej wysokości podnieść jednostki, o których nic prawie nie wiedziały dzieje, takiego np. Achillesa, takiego Orlanda (Rolanda) i t. p. Nie kreśli też autor Chrobrego w jego życiu obozowem, śród zwycięstw, bo i to bezwątpienia wyszłoby blado [1], lecz kreśli (co do wykonania także nie było zbyt łatwem, a powieściowego obrazu niemniej było godnem) obraz bohatera tego w jego

[1] Zdatnie umie Kraszewski kreślić i sprawy rycerskie np. w powieściach: »Krzyżacy« z wieku XV., »Historyi o Jonaszu Korczaku« itp.; wszakże z pisarzy naszych nikt zapewne nie był tyle zdolny do kreślenia przedmiotowego spraw rycerskich, jak sam za młodu żołnierz, Henryk Rzewuski. Autor ten w swojej powieści p. n. »Zamek krakowski«, obyczaje, charakter, przekonania, słowa, a wszelkie sprawy naszych rycerzy dawnych, z całą prawdą historyczności i z całą ułudą artystyczności umiał kreślić; jeżeli jednak w tej powieści jego i król Batory czyni wysoki i godny siebie efekt, to jest właśnie dlatego, że jest tu postawiony na drugim planie; Achillesem autora w powieści tej jest Samuel Zborowski.

życiu prywatnem, życiu powszedniem i w sprawach rządu pokojowego. Za przedmiot główny powieści wzięty tu został wypadek, o którym wspominają wszyscy kronikarze nasi od Galla do Bielskiego. Rozszerzenie tego wypadku do ram powieści dało też autorowi zręczność do wprowadzenia w obraz i różnostronnych rysów spółczesnych kraju; a te rysy i obraz nie mogły być naturalnie i dobitne i wierne bez głównej swej gwiazdy. W poniższej treści głównie też powtórzymy te rysy, które bliżej nam poznać dają i artystyczniej rozwijają charakter króla.

Nad Odrą, czy nad Wartą, w miejscowości mającej nazwę Gródek Zielony, mieszkało dwóch braci, należących do dzielnego a szeroko śród kraju rozgałęzionego rodu Jaksów. Jeden miał imię Andrzej, drugi Jerzy [1]. Ojciec ich przyjął był chrzest z Mieczysławem w Poznaniu i oni byli chrześcijanami, lecz byli chrześcijanami obyczajem wieku, t. j. przez pół chrześcijanami, przez pół poganami. Wzbogaceni w bojach, wiedli oni życie trochę rozpustne, zbytkowe, stratne i wkrótce wyczerpali swoje dostatki, a te były im tem potrzebniejsze, że jeden przywiózł był z sobą z wyprawy kijowskiej Greczynkę, którą miłował, drugi zaś będąc w Poznaniu na dworze króla Bolesława, w orszaku królowej Emnildy ujrzał piękność, w której się rozkochał, córkę ochmistrza Sieciecha, Teodorę, a pokochany nawzajem, »miał słać jej drużby«. Mieli kłopot, ale z kłopotu tego wyprowadził ich bawiący na ich dworze przybłęda Szwab; doradził on im, iżby zrobili tak, »jak robią u nich«, t. j. napaść na drodze jakiego bogatego kupca i złupić go. Obaj bracia wzdrygnęli się na taką poradę, ale oto bogaty

[1] Andruszka i Jurga. Dziwimy się, iż autor tak zawsze bogaty w doborze malownych i charakterystycznych imion dla swych bohaterów z lat dawnych, w przezwaniu tych tak rozminął się w części z czasem i miejscowością; ilekroć w tej powieści spotykamy się z temi imiony, a zwłaszcza z Andruszką, zdaje się nam, iż widzimy raczej przed sobą dzisiejszego pastuszka nierogacizny z nad Dźwiny lub Połoty, a nie rycerza z nad Wisły.

kupiec ukazał się na ich własnym moście, Szwab namówił, iżby zażądali od niego — i to się im zdało słusznem — opłaty myta mostowego, kupiec odmówił myta i chciał się bronić; ale na widok broni zagrała w rycerzach krew, zapomnieli morałów, dobyli mieczów, i wkrótce orszak kupiecki pierzchnął, a na placu została tylko głowa kupca, oraz bogaty łup, który z tryumfem i radością zawieźli rycerze na dom swój.

Radość jednak była niedługa, wiadomość o tym czynie doszła wkrótce do króla i obaj bracia otrzymali rozkaz stawić się przed nim. »Król Bolesław, mówi autor, pobłażającym był dla rycerstwa, sam podczas wiodąc życie wojacze, przebaczał sobie i drugim wiele, byle na zawołanie stał poczet cały i dobrze zbrojny«; ale jeżeli przebaczał obyczajom, zbytkom, nie umiał ścierpieć niesprawiedliwości. Zamordowanie kupca, przybywającego z zagranicy, groziło zabiciem handlu, niesławą kraju. Złapany Szwab poszedł na szubienicę, kara śmierci zapowiedziana była i Jaksom. Na tę wieść, wieść o karze, mającej ściągnąć niesławę na całą rodzinę, poruszyła się cała ta rodzina. Stary stryj Jan, nie sprzyjający nawet dwom braciom, podźwignął się z łoża boleści, wsiadł na koń i razem z synem pojechał do Poznania; skonał on w drodze, lecz zobowiązał syna, iżby trupa jego wsadzono na koń i oznajmiono królowi, że trup przyjechał błagać go o ocalenie sławy rodziny mu wiernej. Starania jednak były daremne; napróżno błagała o zlitowanie się nad obłąkanymi na chwilę królowa Emnilda, małżonka Bolesława, którą ten król niegdyś tak kochał, a dziś tak poważał, napróżno wstawiał się za złagodzeniem kary i opat tyniecki (opat Aron, rządca sumienia króla i główny jego doradca), napróżno wreszcie żywa i umarła rodzina przestępców: po przybyciu ich do Poznania, objawił im król wyrok śmierci, a nazajutrz o świcie głowy ich spadły. Spadły w mniemaniu króla, tak mu złożono raport, lecz nie w istocie. Łzy rozpaczy córki Siecieha, ulubienicy królowej, wycisnęły łzy królowej; uczyniła

ona ofiarę z siebie i ośmieliła się ochronić skazanych. Wykonał to opat Aron i dwaj bracia przewiezieni zostali potajemnie do lochów jego opactwa. Nie wiedział nic o tem król, a z królem nie wiedział i kraj; odgłos niesławnej śmierci wzruszył rodzinę Jaksów, a ta rodzina, jak powiedzieliśmy, rozsianą była i przy stopniach tronu i po prowincyach. Jedni więc dwór opuścili, drudzy nie mogąc przenieść zhańbionego śród kraju życia, wynieśli się za kraj.

Był raz dzień posłuchania u dworu, w który pozostający jeszcze przy dworze Pobóg Jaksa przyszedł pożegnać króla. Tu też po raz pierwszy czytelnik poznaje postać królewską. Postać to bohaterska i prosta, szlachetna i zapalna. Z otoczenia widać było wielkiego króla, króla zwycięzcę. Z opisu tego właściwego wiekowi otoczenia i posłuchania przytoczymy urywki. »Nadchodziła posłuchania i obiadu, naówczas bardzo rannego, godzina. Wielki gmach, w którym stoły zastawiono dla mnogich gości, izby boczne, pełne były ludzi, widocznie przybyłych z różnych stron i krajów. Poznać to było po stroju. (Tu następuje opis rozmaitości tych strojów według krajów i czasu). Osobno w pierwszej izbie stała rada królewska. Tę składali mężowie w wojnach i życiu wypróbowani, a bywało ich zwykle 12-tu, którzy nad 12 krajami, podległymi Bolesławowi, zwierzchnictwo mieli w czasie wojny i pokoju. Oni mieli ucho pańskie, zaufanie jego, wiedzieli tajemnice drugim zakryte. Gdy u 40 stołów codziennie zasiadali goście, których nigdy nie brakowało, u stołu pańskiego w osobnej izbie ci tylko 12 zasiadać mieli prawo. Byli to najmożniejsi władcy, najdzielniejsi żołnierze, najrozumniejsi ze starców w bitwach ogorzałych. Gdy z nich jeden padł na wojnie, albo zmarł wiekiem złamany, długo puste stało po nim siedzenie. Teraz właśnie zmarł był niedawno stary Jakób Lis, a król zwlekał mianowanie mu spadkobiercy«.

»Tłum stoi i wiedzie rozmowy; wtem stał się ruch wielki, gwary umilkły, zdala słychać było stąpanie ciężkie, powolne i szelest jakiś jakby szat jedwabnych. W oddale-

niu ukazał się król okryty sobolą szubą podpasaną, z kołpakiem na głowie. Pod tem zwierzchniem okryciem miał długą suknię bramowaną złotem, a u pasa mały ów miecz z rękojeścią z kości, pochwą złoconą, miecz, który go nie opuszczał nigdy, był to *szczerbiec*. Laskę trzymał w ręku, szedł zwolna, spoglądając w prawo i w lewo po twarzach, niekiedy głową skinął, nie zatrzymując się, i oczyma dał znak jakiś. Pacholę strojne niosło za królem miecz jego wielki. Dalej szło sześciu komorników i cały dwór służebny. Bystrem okiem obejrzał król wszystkich, zdało się, że żadna twarz, w zakątku nawet stojąca, nie uszła jego wejrzenia. Nizkimi pokłonami, rękami zwieszonemi do ziemi, witali przytomni nadchodzącego pana. Doszedł tak wielkim krokiem aż do wielkiej izby stołów 40-tu, gdzie między innymi stał Pobóg. Doszedłszy, położył starcowi na ramieniu rękę, i lice, spojrzawszy nań, rozchmurzyło mu się nieco. Pobóg! rzekł król, czeka na cię opróżnione 12-te siedzenie po Lisie, tobie je przeznaczam, tyś jeden godny. Oczy otaczających króla zaczęły biegać po sobie, nie spodziewano się snać tego. Stary nieporuszony, nie dziękując, stał posępny. Wnet czoło pańskie marszczyć się zaczęło i rękę mu z ramienia zdjął król. — Nie, miłościwy panie! odparł chłodno i śmiało starzec, nie! Ja nie jestem godzien siedzieć u stołu twojego. Krew Jaksów płynie we mnie. Miejsce moje nie u stołu i rady pańskiej, ale na wygnaniu lub w grobie. — Śmiałej tej mowy słuchając, przytomni pobledli z przerażenia. Bolesławowskie brwi zeszły się nad oczyma i zwinęły w jeden wał czarny, ręka mimowolnie padła na mieczyk, i drżąca leżała na nim. Drugą ujął się w bok król i długo patrzał na wyzywającego śmiałka.

»— Stary jesteś — rzekł w końcu — biłeś się mężnie ze mną nad Bugiem i Wełtawą, głowy ci nie zdejmę, idź, idź z Bogiem.

»I ręką gniewnie wskazał po za siebie, a dokończywszy słów, gdy jeszcze brwi trzęsły mu się gniewnie, ustami uśmiechać się począł dziko i strasznie! Rząd białych zębów

jak lwia paszczęka ukazał się z pod warg wybladłych. Kilka razy powtórzył coraz głośniej, coraz silniej: idź, idź — poczem prosto ku Węgrom się zwrócił i jakby zapomniał tego, co zaszło przed chwilą«.

Jak w tych rysach krótko, ale dobitnie odkreślił autor charakterystykę króla, tak w innych miejscach krótkiemi, ale charakterystycznemi słowy politykę jego i stan ówczesny kraju. »Od śmierci Mieszka, mówi, który z pokorą niemal stawił się nieraz u progu cesarskiego pałacu w Quedlinburgu i Dziewinie — do tej chwili, w której Bolesław stanął prawie na równi z cesarzem Niemiec, zawojowawszy szerokie ziemie słowiańskie, marząc o podziale z nim świata na dwoje, upłynęły nie lat dziesiątki dla Polan, ale jakby całe wieki. Jedna myśl od pierwszej chwili do ostatniej zajmowała Bolesława, stworzenie państwa Słowian tak potężnego, iżby murem mogło stanąć przeciw niemieckiej nawale, cisnącej się ku wschodowi. Cel ten stał mu na myśli ciągle. Małe kraiki, nie trzymające się z sobą, stały otworem silnej dłoni, coby je zagarnąć zapragnęła. Bolesław zabierał je jak swoje. Odepchnięty na chwilę, wracał nazad i umiał czekać. Wiązał się ślubami, przymierzem, przyciągał łaską i postrachem, usuwał przeszkody mieczem i siłą, a szedł dalej coraz i dalej. Myśl tę wziął on w spadku po Mieszku, rodzicu swoim, w którym ona cichą, bojaźliwą się wykluła — jasną i głośną stać się miała w synu dopiero. Od zachodu światła pożyczyć, stanąć z nim na równi wszystkiem, co dawało siłę, obronić się zarazem najazdowi jego i zaborom, tego chciał i *dopiął* Bolesław. Imię jego groźnem już było, strasznem i znienawidzonem u Niemców. Zwano go wężem zdradliwym, lwem ryczącym, miotano nań obelgi. Posłańcy jego i sługi skryte były wszędzie, na cesarskim dworze, we wszystkich stolicach, u plemion najdalszych; wiedział, gdzie się co ruszyło, drgnęło, zabolało, gdzie na ratunek mógł śpieszyć i ze słabości korzystać. Włos mu się posrebrzył w tych myślach i trudzie, państwo stało już jak budowla, której słupy ręka

cieśli wbiła już w ziemię, — ano dachu i ścian brakło jeszcze«.

Do celów tych potrzebował głównie król posłuszeństwa u siebie, zgody wewnętrznej; ów krok więc, którym wzburzył przeciwko sobie połowę swoich umiłowanych, jątrzył go i niepokoił, szukał rozrywek i pomiędzy innemi naznaczył był w tym czasie wielkie łowy, na które z orszakiem swym ruszył. I ten krok nie przysporzył mu jednak pokoju. Przejeżdżał on przez to miejsce, na którem, według złożonych mu doniesień, stracono Jaksów, i wydało mu się, iż tu ujrzał jeszcze na śniegu ślady krwi. By odpocząć, zjechał na chwilę do domku, który w oddaleniu ujrzał (może nawet nie wiedział, gdzie zbacza); w domku tym znalazł uprzedzające przyjęcie, usługę pilną, ale — nie było właściciela. Któż tu jest gospodarzem? — zapytał. Pan mój, stary Tomko Jaksa — rzekł podniesionym głosem sługa. Niema go doma? — odparł król, któremu się brwi ściągnęły. Na odpowiedź dłużej teraz zbierał się zapytany. Był tu, miłościwy panie, ale się do lasu wynieść kazał — kazał mi rzec, gdybym był pytany, że należy do tego rodu, który krwi swej płacze, przeto radować się nie może. Lice króla zmieniło się, pobladło, dłoń, w której kubek trzymał, drżała — ale usta słowo wstrzymały. Nie nocował tu jednak i bez podziękowania odjechał. Sługa Tomka okazał się odważnym, ale w połowie tylko i nie wykonał drugiej części danego polecenia, miał bowiem rozkaz postawić na wety talerz z krwią i powiedzieć podając: co komu miłe. Król jechał niespokojny, marzący, o zmroku zboczył w las sam jeden i zabłądził; głos trąbki wnetby postawił przy nim cały orszak, ale nie ruszał jej; w oddaleniu ujrzał w głębi lasu światełko i ku temu się zwrócił. Miejsce, z którego to światełko wychodziło, była to raczej nora niż pomieszkanie ludzkie, a zamieszkiwał je pustelnik (ojciec Antoni). Bolesław, pół poganin a pół chrześcijanin, jak jego wiek, uważał za cnotę, a przynajmniej za uczynki chwalebne: boje, słuszne morderstwa, ucztowania, zbytki, może nawet

rozpustę, ale czcił i szanował duchownych; ujrzenie przed sobą tak dobitnego kontrastu osobistości własnej, człowieka, który z dobrowolnego wyboru uwielbił był oddalenie od świata, nędzę, pokutę, wzbudziło w nim zdumienie i skruchę; pozostał tu, przeciągnął nawet z pustelnikiem nie krótką rozmowę i dawszy mu się poznać (pustelnik przyznał mu, iż jest istotnie wielkim królem ziemskim, ale że on służy większemu jeszcze — niebieskiemu), odbył przed nim spowiedź.

Spowiedź ta Bolesława przed pustelnikiem, tak na pozór prosta i naturalna (jak wszystko pod piórem autora), jest też zręcznym ustępem w powieści, bo zaznajamia czytelnika, w krótkich a tak charakterystycznych rysach, z historyczną przeszłością jej bohatera. Opowiedziawszy w niej król, jak po śmierci ojca, stosownie do rozporządzenia tegoż, prócz niego (Bolesława) rządzili też wyznaczonemi sobie dzielnicami obaj bratanki zmarłego króla Odylon i Prybuwoj, oraz trzej małoletni bracia jego z macochy Ody: Świętopełk, Władywój i Lambert, a raczej w ich imieniu sama macocha i Niemcy, tak dalej mówił: »Miałemże ja dać rozpaść się temu, co ojciec własnemi, krwawemi zlepił rękami?... Rozprzęgała się jedność państwa, pogaństwo wracało... cierpiałem trzy lata, mój ojcze, patrząc, jak się w gruzy waliło Mieszkowe budowanie, a serce się krwawiło. Nadeszła godzina, gdy się cierpienia przebrało. Nocą naszedłem na zamek Ody, jej i dzieciom jej kazałem iść precz z mej ziemi, gdzie chcieli... do klasztoru, do swoich, do Niemców. Szli precz ze złością i zemsty pragnieniem. Odylon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem, pokonałem ich obu. Nieposłusznych mogłem dać pościnać, miałem litość, oślepić ich tylko kazałem, aby szkodliwymi być nie mogli. Mnich słuchając westchnął, król w piersi się uderzył. — Mój ojcze, winienem li? byłem li okrutnym? Ojciec Antoni milczał długo. — Mów dalej, odezwał się po przestanku, mów dalej. — Sam zostałem panem tego kraju całego, sam z myślą ojcowską; chrobackie ziemie,

potrzeba było wydrzeć Czechom; stanąłem z Czechami do wojny, z Bolkiem pobożnym, ze krwią własną (wujem), ale, ale kraj stał mi bliżej krwi. Od Rusi trzeba było odebrać zawojowane kraje, ciągnęli mię na Ruś. Węgry trzymały Słowaków, musiałem się bić z Węgrami. Serbów trzeba było odbić od Niemców. Nie było spoczynku. Miecza ani otrzeć, ani do pochew schować. Prusy podbijać słowem świętem poszedł apostoł Wojciech i zginął. Stał on najbliżej serca mojego, czcił go też cesarz Oton III i każdy. — Wyście go znali? zawołał pustelnik, składając ręce, o! to ście byli szczęśliwi. — Prawdęście rzekli, odrzekł król, Chrystus Pan żywym obrazem swoim uczynił go na ziemi i dlatego chciał, aby męczeńską śmiercią umierał; i (dodał) po śmierci jeszcze dobroczyńcą był moim! Przeprowadziłem święte zwłoki jego do Trzemeszna, a wkrótce potem do Gniezna. Rozpromieniała od nich świątynia nasza i rzuciła promienie na świat cały. Duch św. Wojciecha przywiódł mi tu Ottona i uczyniłem go druhem moim. Koronę swoją włożył on na skroń moją i rzekł: Panuj u siebie tak, jak ja w mojem władam cesarstwie. Byłem już Czech i Morawy panem... ojcowska myśl spełniła się przezemnie, widziałem ją już oczyma mojemi... A teraz znowu niknie, gdy ciało słabnie, gdy duch gaśnie we mnie a mroki zwątpienia opasują; Mieszko, syn mój, dzielny jest, ale dłoń ma silniejszą od woli, i rozkazywać nie umie. Ojcze mój! powiedz mi, co mam czynić, aby dzieło utrwalić? Widzisz ty przyszłość? - Synu mój, odparł mnich z pokorą, o przeszłości mów, o teraźniejszości, a nie tykaj zasłony, którą tylko dłoń boża podnieść może. — Mnie koniec blizki, odezwał się król, co będzie po mnie?... I teraz... (król przystąpił wreszcie do tego, co było zapewne w tej chwili głównem źródłem jego niepokoju, spowiedzi) mam-li ja na sumieniu krew tych ludzi, winnych zabójstwa? Dwaj rycerze znacznego rodu zamordowali na drodze wiozącego kupię bogatego człowieka niewinnego: skazałem ich na śmierć! Ród ich i powinowaci zwracają się przeciwko

mnie. Surowym byłem, ubłagać się nie dałem, ale nie mówiż zakon nasz: oko za oko, ząb za ząb? — Tak, na to mu pustelnik, mówił zakon stary, dopóki nie przyszedł Pan światłości i nie rzekł natomiast: przebaczaj nieprzyjaciołom, jako pragniesz, abym ja też twe winy przebaczył. — Nie byli to nieprzyjaciele moi, odparł król, kochałem ich, druhami byli mi i towarzyszami... lecz cóżem czynić miał, sędzią będąc, miałem-że szczędzić tych, co się nie litowali niewinnemu dla chciwości bogactw? — Pustelnik po chwili rzekł: nie jesteś winnym, nie ty sądziłeś i karałeś, ale zakon. Jako najwyższy sędzia czystym jesteś, jako chrześcijanin i ojciec ludu swojego, mogłeś-li uczynić miłosierdzie? niech ci odpowie serce twoje. Król się zamyślił i na ognisko patrzał, potem jakby ocucony nagle zawołał: — Miłosierdzie uczynić mogłem, ojcze mój... żałuję uczynku mojego. Pustelnik jakby słowa rozgrzeszenia wyszeptał i rzekł: — Niechże ci Bóg wszechmocny odpuści winy twoje!«

Spowiedź ta ulżyła królowi, pomagał czas, dopomagały i zajęcia się same. Król był przyjacielem swego sumienia, swego pokoju, równie jednak i zaledwo nie więcej jeszcze myślał zarazem o swojem państwie: jakiem je uczynił, jakiem je zostawi. Usunął on od następstwa syna swego pierworodnego Bespryma, urodzonego z narzuconej mu niegdyś przez ojca i niemiłej mu małżonki, Judyty, królewny węgierskiej, i za następcę wyznaczył Mieszka, syna Emnildy, dzielnego dłonią i ożenionego z synowicą cesarską, którego też wprawiał wcześnie i skutecznie do wypraw wojskowych, ale którego moralna strona niepokoiła go. Teraz zaś objęła go silnie jedna myśl (doradcą jej był, jak się zdaje, ojciec Aron), i nie dawała mu snu i pokoju, póki jej nie spełni, a mianowicie myśl starania się u Stolicy świętej o koronę, przez nią poświęconą, tę bowiem przywdziawszy, syn jego mógłby już być pewnym uznania i czci u świata. Tem się zajmował Bolesław — i zajmował się wreszcie sądami i dworem swoim.

Bolesław, który utrzymywał swych szpiegów wszę-

dzie, miał też ich i na cesarskim dworze; nie próżnował jednak nawzajem i dwór cesarski. Dwór ten, a zwłaszcza metropolita magdeburski (który wszystkich nawróconych Słowian uważał za swą własność duchowną i nienawidził króla, który, aby go pozbawić tej własności, stworzył był arcybiskupstwo w Gnieźnie) utrzymywali podobnie szpiegów oraz skrytych działaczy na dworze króla. Najczynniejszym pomiędzy tymi był zakonnik benedyktyński, na pozór podwładny opata protonotaryusz, ks. Petrek, spełniający też różne funkcye duchowne przy dworze króla. Z jego też to i jego kierowników magdeburskich natchnień, krzewiła się i wzrastała przy tym dworze partya niemiecka; do tej partyi wciągnął on i Bespryma, podburzając go przeciw bratu, i doradziwszy skarbić sobie wcześnie łaski i przyszłą pomoc cesarską; Niemcami otaczała się Ryksa, a w orszaku królowej, w nadziei zastąpienia jej kiedyś, znalazła się między innemi córka margrabiego Ekkarda, piękna Oda. Król Bolesław poważał zawsze i wielbił swoją małżonkę Emnildę, ale gdy ta królowa, żegnając wieczorami zebranie, odchodziła do swoich komnat, a król się bawił widokiem pląsów orszaku jej, margrabianka umiała ściągnąć i coraz częściej i ogniściej zwracać ku sobie oczy i serce królewskie. »Duchowieństwo, szczególnie opat Aron, mówi autor, nieraz z tem sumieniem, szukającem wybiegów różnych, niemało trudności mieli. Każdy grzech jawniejszy sowitymi dary opłacał król do kościołów lub pokutą jakąś, a nazajutrz znowu weń wpadał. Chrześcijaństwo z duchem nowym całym, ze znaczeniem głębszem, nie tylko jemu, lecz większej części europejskich władców i najprzedniejszego rycerstwa, obcem było. Zwolna usiłowano krzewić wiarę, wiele przebaczając zrazu tym, co ją przyjmowali, i przykładem swym lud wiedli«. (Uwaga to nader słuszna, i do niekrótkiego nawet dająca się odnieść czasu, wielożeństwo np. na tronie Klodoweusza i Merowingów niekoniecznie nawet skończyło się z tą dynastyą, tolerowanem ono, rzec można, było do Ludwika XV. włącznie). — A kiedy

tak król już się troskał i martwił, już rozrywał, cóż czynili dwaj bracia, bohaterowie główni powieści, w lochach tynieckich? Loch klasztorny, to dla rycerzy młodych, przywykłych do boju i świata, było coś gorszego, niżeli śmierć sama; ulitował się też losu ich opat, dozwalał im krótkiego a ostrożnego od czasu do czasu myśliwstwa; lecz oto w jednej z tych wycieczek znaleźli się oni przygodnie w domku jednego z władyków dawnych (dziś z powodu opozycyi przeciw królowi i nowej wierze mieszkającego w głębi puszczy) Domosula, a tu w czasie ich bytności odwiedził go jeden z jego synowców, pogodzony z porządkiem nowym, i bracia napół z radością, napół z przestrachem poznali w nim jednego z towarzyszy swych wypraw, Jaśka z Tęczyna. Zadziwił się też niezmiernie i uradował Jaśko, a żegnając się, zaręczył braciom solennie dochowanie ich tajemnicy. Katastrofa jednak zbliżała się. Głuche wieści o życiu straconych braci, już stąd, już zowąd, już od więzień dworskich, już od klasztoru, oddawna się już przebijały, a ks. Petryk gorączkowo je chwytał, śledził i zamki na nich budował. Teraz przypadek sprawił, iż w jednej z swych wędrówek spotkał się na popasie z Jaśkiem z Tęczyna, a ten ujęty zaszczytem rozmowy z powiernikiem opata Arona, gdy posłyszał z ust jego, iż wieleby dał za to, iż dwaj bracia, których starali się ocalić, żyją dotąd, zaręczył uroczyście, że ich niedawno sam widział żywych i zdrowych. Tegoż wieczoru wiedziała już o tem Oda, powinien był wiedzieć sam król, a w jaki sposób to się uskuteczniło, powtórzymy. »Na zamku królewskim tego wieczora, jak i innych, były zabawy dziewic. Król przypatrywał się im jak zwykle, a gdy, jak zwykle także, najczęściej, najpoufalej począł się zwracać do Ody, ta skorzystała z chwili, z poufałości w słowach, a ośmieliwszy się i przybrawszy wyraz spółczucia, rzekła:

»— Mnie bo was żal, was tu nikt może tak jak ja nie miłuje, tak jak ja nie żałuje, a zdradzają was wszyscy.

»— Wszyscy?

»— Tak — powtórzyła margrafówna — wszyscy... co mi tam! ja kłamać nie umiem, pogniewacie się, jutro do ojca wrócę. Królowa nawet was zdradza. Skazaliście Jaksów na śmierć; ona sprawiła, że żyją.

»Sądziła Oda, że twarz króla, która łatwo gniewem się purpurowym okrywała, zmieni się i nasroży, gotową była do wybuchu i pytań. Lecz Bolesław wyciągnął rękę do próżnego kubka, uderzył nim o stół, co znaczyło, iżby go podczaszy napełnił; twarz mu się nie zasępiła, owszem uśmiech po niej się przesunął.

»— A ty, niemiecka dzierlatko — rzekł — szpaczku ty, co tak szczebioczesz ładnie i żwawo, kto ci to takie baśnie przynosi?

»— Królowa! ja nie wiem... a drudzy Sieciecha winią... córkę miał zaswataną.

»Białymi zębami rozśmiał się król i ramionami ruszył.

»— Co więcej? praw, sroczko różowa, choćbyś nie do rzeczy paplała, zawsze cię słuchać miło... praw, praw, a no to wiedz, że komu ja rzekłem, że umrzeć ma, ten umarły i pogrzebiony«.

Tak odpowiedział król Odzie i tem ją odprawił; śmierć jednak młodych Jaksów tak mu była oddawna ciężarem, dotkliwe skutki tej śmierci tak często się odnawiały, tak mu coraz nieznośniej ciężyły, iż sama myśl o możliwości ich życia napastowała go, jak ułuda słodka, i dnia jednego w rozmowie z królową rzekł: »świętą jesteś, sprawże mi to, aby Jaksowie zmartwychwstali«. Ucieszyła się uszczęśliwiona Emnilda, wezwała do porady opata, i po naradzie ośmielono się wyznać winę. Król zmiękczył się teraz łatwo i opat posłał po braci.

Scena ukazania się zmartwychwstałych na dworze króla, jako obejmująca rozwiązanie tylu, tak długo i z tylu różnych powodów tajonych uczuć, należy z samej swej treści do najwięcej efektownych, i powtórzymy tu jeszcze ten ustęp. — »W jadalni królewskiej pusto było, królowa jeszcze nie przyszła, stał jeden opat Aron w milczeniu.

Z dwunastu panów rady dwóch zaledwo król znalazł oczekujących, reszty mu brakło oddawna. Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie; oczy króla często się na drzwi, któremi Emnilda wchodzić była zwykła, obracały. A gdy zdala szelest szat posłyszał Bolesław, twarz mu nieco pobladła. Gdy posłyszano szelest, zarazem ci, co stali w jadalni, poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwu jakiegoś dał się słyszeć. Wnet poszanowanie dla króla usta zamknęło. Twarz Sieciecha okryta była bladością trupią. Szła królowa, na ten dzień uroczyście strojna, na włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowej ze złotem. Blada twarz jej jakby jasnością jakąś była otoczona. Szła nie sama — z prawej i lewej strony, trzymając ich za ręce, wiodła Jaksów dwóch, odzianych czarno i jakby pokutniczo.

»Król, ujrzawszy ich, drgnął cały, po twarzy jego przebiegły z kolei jakby gniewu płomienie, łaskawości blaski, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią radość wielka. W milczeniu szła Emnilda przed pana i uklękła. Obaj Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochylili ku nogom królewskim i ziemi. Chwilę trwało milczenie, królowej w piersi zabrakło tchu... podniosła oczy w górę.

»— Panie mój i królu — zawołała — przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla winowajców, których przed gniewem twym uchowałam. Przeszedł gniew, stawię ich przed tobą, błagając cię: bądź miłosiernym, wzorem Chrystusa, ulituj się im.

»Król widocznie stał wzruszony, nagle ręce mu się rozpostarły i wyciągnął je ku królowej. — Bogu niech będą dzięki, zawołał, za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć ja sam opłakałem... i tobie, Emnildo, nie przebaczyć, ale winienem wdzięcznym być. Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi moi wierni wracają do boku. Podnieście się, niech idzie w zapomnienie przeszłość, spodziewam się, że ją zmażecie?

»— Krwią naszą! — zawołali Jaksowie, całując ręce wyciągnione.

»Śmiała się twarz pańska weselem, jakie dawno nie gościło na niej. Spojrzał król na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Sieciecha. — Nie przystały im te szaty, zawołał, idźcie i przebierzcie ich w odświętną odzież ze skarbca. Zawieś im na szyi łańcuchy, na pasach przypasz im miecze... idźcie i wracajcie tu, abyśmy się weselili spólnie! — Wtem nagle zatętniało na dworze. Zwołana na ten dzień przez królowę rodzina Jaksów, rycerze, starce, dziewice i dzieci, wszystko się zjechało, wszyscy zebrani padli do nóg królowi«.

Po takiem rozwiązaniu nie pozostało nic margrabiance Odzie, jak opuścić dwór, i uczyniła to. Król ją pożegnał grzecznie, przesłał jej nawet dary, ale nie zatrzymywał. Dla Jaksów, którzy dla zgładzenia swej winy krew swą ofiarowali, opat obmyślił środek. Przewiezienie do Rzymu darów od króla, a z Rzymu korony poświęconej, narażało posłańców na uwięzienie i śmierć, cesarz Henryk bowiem czuwał nad tem poselstwem i we Włoszech i w Niemczech; misyę tę przyjęli więc na siebie najchętniej obaj bracia. Dwóch posłów oddzielną drogą miało jechać do Rzymu, dwóch także wieźć z Rzymu koronę, jeden poświęconą, drugi naśladowaną, a ten ostatni powinien się był dać schwytać.

Jakoż i tak się stało po pewnym czasie, t. j. po powtórnej wyprawie. Do Poznania nadeszła wiadomość z Niemiec, że przejęto i zabrano koronę. Ks. Petrek tryumfował i szerzył ją, ale niebawem nadeszła też i istotna, z cechami autentyczności. Z dumą i uroczyście w dzień naznaczony przywdział ją król Bolesław. Towarzyszyła mu i królowa — królową tą nie była już jednak Emnilda, która nie pożyła długo po katastrofie, ale była, łatwo przez króla przypomniana, a przez Niemców wyswatana Oda.

Jaksowie, z których jeden przecierpiał więzienie w drodze do Rzymu, drugi w powrocie, zamieszkali napowrót w Gródku Zielonym. Jeden poślubił Teodorę, drugi wierną mu zawsze, mimo wszelkie przejścia, Greczynkę. A kiedy

król Bolesław sławnego dokonał życia, a przytłumione przezeń nieprzyjazne żywioły dawne, pod kłótliwymi i słabymi synami jego nanowo wezbrały, Jaksowie obronili siedzibę przeciw powstałym tłumom, doczekali przybycia Restauratora, a rodzina ich rozkwitła i zakwitła następnie na długie czasy.

IV.

W takich rysach pomysłu i wykonania skreślone zostały trzy pierwsze utwory zamierzonych przez Kraszewskiego *powieści historycznych.*

Powieści te czyliż są historycznemi istotnie? i czyli tym sposobem jest w nich ów najpierwszy i główny warunek w tej gałęzi: wierność odtworzenia? Powieść pierwsza »Stara baśń« jest z czasów przedhistorycznych, t. j. sięgających poza czas świadectw spółczesnych, niełatwo więc jest ocenić, czyli i co jest w niej historycznem. Kreśli ona i wypadki dziejowe i wypadki domowe – z pierwszych doszło nas w szacie tradycyi przynajmniej kilka nazwisk i kilka zdarzeń, lecz z drugich nic. Najdawniejsze o obyczajach domowych wzmianki mamy dopiero u Galla, lecz i te odnoszą się już tylko do wieku Chrobrego. Cóż więc uczynić mógł autor, iżby w kreśleniach swoich był historycznym? Oto mógł uciec się tylko do źródeł ogólno-słowiańskich, oraz do domysłów i wniosków rozumowanych. Źródło pierwsze niebogate jest jednak z siebie także. Do wieku XI. i XII. są już przynajmniej np. Dytmar i Helmold, Saxo Gramatyk i innych dosyć szczegółów; ale do wieku Popielów i Piasta cóż odnieść się może? oto chyba, co wzmiankowali pisarze greccy z wieku VII., VIII. i IX., zmuszeni wspominać o Słowianch, boje z nimi toczących, t. j. takie ich tylko np. krótkie ogólne wzmianki: »Słowianie mieszkają w lichych porozrzucanych chatach«... »bój wiodą niosąc tarcze i włócznie« (u *Prokopa).* »Najpowszechniejszem ich uzbrojeniem ciężkie tarcze, kopie i łuki« (Ces.

Mauritius); »wolą swobodny żywot niż doborne jadło i bogactwo« (Ces. *Lew mądry)* i t. p. Lecz owo źródło drugie: własne autora domysły i wnioski, obok owego bogactwa umysłowego wogóle i daru odtwarzania, które posiadł, wystarczyło mu za wszystkie pomoce. Jak owi naturaliści z ostatnich czasów, którzy ze znajdywanych kawałków szczęki lub kostek umieli odgadnąć, odtworzyć i przed oczy nasze postawić całe postaci i kształty znikłych oddawna istot, świat cały przedpotopowy; tak autor z kilku słów dawnych kronik umiał wyobraźnią swą stworzyć a sztuką odtworzyć całą ową wziętą do przedstawienia epokę kraju.

Wzmianka w Historyi Długosza, iż żoną Popiela II. była Niemka, była, jak nam się zdaje, tą iskrą, która mu rozwidniła cały stosunek tego rządcy do kraju i całą charakterystykę epoki. Wzmianki u Galla i Kadłubka o Popielu i myszach, o aniołach u Piasta i Piaście, to przedmiot ram zewnętrznych powieści. Autor tylko zamiast ubierania w fantazye tych wzmianek, sam uważał je za fantazye, aniołowie w powieści jego to naturalni goście (z Moraw), Myszy, które zjadły Popiela, to rodzina Myszków na czele ludu, źródłem nazwiska Popiela, według autora, było nie Pompilius, ale popiół, Piasta — piastun i t. p. Jak zaś te ramy zewnętrzne, tak też możliwie dziejowe są i wewnętrzne w powieści.

Arystokraci wiejscy mieszkają tu jeszcze, widzimy, w chałupach, których kominami są okna, a całem umeblowaniem stoły i ławy; arystokracyę oznaczała tylko ilość szop i ich zasoby. Chusty, pasy, koszule były to prawie jedyne stroje letnie płci obu, o jakich wspomina powieść. Kiedy półszpieg a półhandlarz niemiecki (Hengo) wstąpiwszy do domostwa Wisza, pokazywał na podziw wszystkim wyrobki z kruszcu, stary Wisz rzekł: »alboż to kości, rogu i kamienia nie dosyć?« Mówiąc zaś w końcu powieści o walce Pomorzan i Niemców z Polakami, tak opisuje autor uzbrojenie tych ostatnich: »stała czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekiwane, łuki, proce

i pociski. Kawał łuku lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarcz, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema pociągnął«. Przypomina to (oprócz powyższych świadectw) i ową znaną powieść trzech Słowian w obozie greckim (u *Teofilakta)* z wieku VII., iż oni są z kraju, »który *nie zna żelaza,* a tylko gęśle«.

Stan religijny mieszkańców przedstawiony jest w powieści więcej biernym niż czynnym i tym sposobem (trafnie) podobniejszym do tego, o jakim wzmiankuje Prokop, gdy mówi: »Słowianie czczą Boga jednego, piorun ciskającego«, niż do owego wielobóstwa z czasów Helmolda, które było zapewne następnie skutkiem zetknięcia się ze Skandynawią. Tylko owa świątynia na Lednicy, w której stał bożek piekieł »z przerażającemi oczami z kamieni czerwonych« i śród cieniów której palił się znicz i »rozchodził zapach ze smoły, bursztynu i spalonych ziół«, i ofiary temu bóstwu składane (o świątyni *Nii* w Gnieźnie wspomina Długosz) przypominają tu pogaństwo.

Co do stosunków społecznych, o których tylekroć są wzmianki śród akcyi, wyobrażenia o nich odpowiadają tu wszędzie tym faktom, jakie znane były z tradycyi i jakie kraj przez długie lata potem przeciągał, t. j. iż głównie wprawdzie czczono *wiece,* ale też uznawano konieczność i jednego rządcy. Dlatego też kiedy na zwołanym u Myszków wiecu naradzano się nad przyszłym losem kraju, gromada się odzywała: »bez knezia nie obejdziemy się«, a przywołany bard Słowian, aby coś zaśpiewał, w śpiewach swych czynił wprawdzie alluzyą do konieczności obrania nowego knezia, ale zawsze knezia i zaśpiewał między innemi taką pieśń o czasach wojewodów: »Gdy już Lecha plemienia nie stało, nie stało, — swobody się ziemianom zachciało, zachciało, — zachciało się swobody *bezpańskiej,* wojewodów obrano dwunastu... Cieszyli się, cieszyli niedługo, — brat rodzony wnet bratu był sługą. Co jednego nad sobą nie chcieli, dwunastu ich wybrali i mieli dwunastu... o Ładо, o Ładо!«... Dla braku bożków nie było jeszcze

prawie klasy kapłańskiej, nie było wojskowej, mieszkańcy chaty dla chat, dworscy dla dworu byli wojskiem, nie widać jeszcze starostów, ani wojewodów i t. p. Widzimy tylko knezia i jego partyę — Leszków, kmieci i obok rolników. Do partyi knezia Pepełka (przez lud zwanego *Chwostkiem*) należeli też Niemcy, półniemcy, szpiegi, wykonawcy i rzędy dworzan; świat kmieci oznaczony przez różne ich typy (tacy Wisz, Doman, Dobek, Bojmir, Myszki i t. p.), śród których jeden był stronnikiem związków, czyli opozycyi z zasady, inny dla krzywd osobistych, inny przez miłość bojów dla bojów, inny przez pół sprzyjał Leszkom i t. p. Płeć piękna była wogóle bierna, w roli sług, czy to w kontynie, czy w chacie, tylko owa urocza Dziwa, »o której wiedzieli wszyscy, że ją duchy obrały za oblubienicę«, ratowała typ ludzki. Była ona wyższą nad nich, ale też jak ten wiek, cofnęła się niedługo od duchowości.

Takiej barwy obrazy są w »Starej baśni«; lecz co głównie wznosi w niej barwę prawdy, to *ekspozycya*. Postaci działające tak tu są rozmaite i liczne, drobne stosunki osób tak wprowadzają nas w życie ich rzeczywiste, akcya ogólna rozwija się tak zwolna i szczegółowo, charaktery i sytuacye tak dobitnie przez dyalogi są odkreślone, poziom myśli i uczuć wieku tak ściśle w nich zachowany, a zarazem opowiadaniu całemu tak towarzyszą wszędzie i pokój i naturalność, iż czytelnik czytając tę powieść, wątpić na chwilę nie może, iżby nie rozwijała się przed nim raczej stara prawda, jak stara baśń; i że prędzej sądzićby można, iż nie autor jej czerpał z naszych dawnych kronik, ale że raczej kroniki te skreślony w tej powieści przedmiot w skróceniu i z dodatkiem fantazyi opowiadały. Autor nietrafnie uczynił, napisem tym »Baśń« odbierając zgóry ułudę czytelnikowi, chyba że wyraził go tylko przez kokieteryą.

Dwie powieści następne »Lubonie« i »Bracia Zmartwychwstańcy« zachodzą już na grunt ścisłej kronikarskiej historyczności. Treść ich to z pewnej strony przedmiot,

który miał się stać podwaliną i gruntem treści wszystkich następnych, mowa tu bowiem nie tylko o dziejowych wypadkach, ale o samem założeniu państwa oraz o początku i wejściu doń pierwiastku, który miał wywrzeć wpływ główny na jego charakter. Nim przeto wyrazimy tu zdanie: jak? i czyli trafnie? autor oba te względy pojął i skreślił, powiedzmy naprzód, jak na nie patrzymy sami t. j. jak zdaniem naszem patrzeć należy. Krótki ten nowy ustęp uczyńmy znowu (że powtórzymy słowa powyższe) z dobrej okoliczności.

Jakichże był właściwie granic i jakiego właściwie charakteru był i miał zostać kraj Mieszka i Bolesława?

Najdawniejszą historyczną wiadomość o plemionach zachodnich słowiańskich mamy u Eginharda, historyka z końca VII i początku VIII wieku. Sekretarz ten Karola, który w czasie wypraw tego monarchy do Saksonii był z nim nad Elbą, zarówno w swych Rocznikach, jak w życiu Karola W. wspomina, iż od Wisły po Elbę i po za Elbę zamieszkują plemiona słowiańskie, mówiące prawie jednym językiem, a które lubo mają wielu drobnych rządców, ulegają jednemu w Wilcy mieszkającemu. Nie było wtedy imienia Polski, imię to ukazało się dopiero z przyjęciem chrześcijaństwa, jakoby imię chrzestne tego kraju [1], ale że owe plemiona od Wisły do Elby i wzdłuż morza były jednem i temże plemieniem, które mieszkało nad Wisłą; historycznym tego dowodem jest wzmianka u pisarza z wieku XI, Adama Bremeńskiego, który w swej *Kronice Kościelnej* (XI. 10) mówi, iż »*Winulowie* są tegoż języka i obyczaju

[1] Jeszcze Mieczysław (Mesico) nazywanym był »książęciem tych Słowian, którzy się zowią Licikawiki (według Lelew. Łęczycanie) i nawet Dytmar, uważać można, iż w pierwszych swych wzmiankach o nim zowie go tylko *Mesco*, a dopiero przy wzmiance o przyjęciu przezeń chrztu, nazwał go po raz pierwszy *Dux Polenorum*«. Nomenklatury *Polonia*, *Poloni* spotykają się po raz pierwszy w tej właśnie kronice Dytmara, w *Passio Sancti Adalberti* i przywileju Henryka cesarza z r. 1086 dla biskupstwa w Pradze.

co Polacy za Odrą«; Winulami zaś, jak objaśnia *Helmold* w swej *Kronice Słow.* (§. 2), zwali się »Słowianie pomorscy, rugijscy i nadelbiańscy« [1] — i świadectwo domowe Nestora, który wyraża, iż od *tych Lachów* (którzy osiedli nad Wisłą, jedni się nazwali Lachowie *Lutycy*, drudzy *Pomorzanie*, inni *Mazowszanie*« (§. 3). Ale od owego wieku Karola W. zaczęło się też i stałe działanie, po części zewnętrzne, a po części wewnętrzne, które stopniowo rozdzielało tę jedność. Założone przez tego monarchę cesarstwo nowe z razu franko germańskie, a pod następcami zamienione na czysto germańskie, pod pozorem gorliwości chrześcijańskiej nawracało a zarazem podbijało i przez osadników germanizowało te ludy. Ulegli tej przemianie stopniowie Starogrodzianie, Obotryci, Redary, Luzacy, Miśnianie [2] i t. p. i kolej przychodziła na Polan, ale tu śród normalnego rozwoju i biegu dziejów miał nastąpić zwrot inny. Chrześcijaństwo, ten religijny pierwiastek, którego zadaniem było przemieniać stopniowo ludzkość, była to wprawdzie we wszystkich miejscach i czasach jedna nauka i jedno *ziarno*, ale przyjęcie się tego ziarna i rozrost (jego objawy zewnętrzne) zależeć jeszcze miały i od natury *roli*, na którą padał. Kraj Ottonów należał do liczby tych, które przyjąwszy je u siebie, uosobić miał głównie płynące zeń siłę wiary i siłę władzy, ale pomijał zupełnie prawie wzgląd na etykę, — ten wzgląd t. j. wzgląd na stosunki jednostek do jednostek śród kraju i stosunki kraju do krajów, uosobić dobitniej miały inne *role* t. j. inne kraje, a do liczby ich miał należeć właśnie i kraj Mieszka. Stało się zatem, iż ów kraj,

[1] Jakoż istotnie nomenklatury u Helmolda miejscowości słowiańskich nad Elbą i bóstwo rugijskie *Zwantewith* mają dźwięki nosowe, które pośród narzeczy słowiańskich ma tylko polskie.

[2] Krótko, ale najjaśniej historyę tych przemian w tamtych miejscowościach określił Naruszewicz, mówiąc w swojej Historyi: »XII wieku odmieniła się postać kraju między Elbą i Odrą. Zjawiły się księstwa i hrabstwa: *szląskie, holzackie, brandeburskie, meklenburskie, miśnińskie, luzackie, pomerańskie* na ruinach pognębionych dawniej osad słowiańskich« (I. 43).

którym władał i który zakładał Mieszko, nie miał wcale uledz władzy Ottonów, germanizacyi (i owszem do głównych faktów w jego przyszłych dziejach miały należeć: *Psie pole, Grunwald, Byczyna),* a ów główny przepis chrześcijański »miłuj bliźniego« miał go powściągać dalej, za utwierdzeniem się swojem, od walk dla podbojów i od pozbawienia różnorodnych połączonych z nim plemion, cech im właściwych. Ten też ewangelijny przepis: »a który jest między wami większy, niech będzie jako sługa« stosować też miał wewnętrznie, w swych ustawach społecznych, ten kraj słowiański.

Wtrącając tę uwagę, nie utrzymujemy tu wcale, iżby kraj Mieszka stać się miał ideałem i mistrzem w tych nowych kierunkach. Wprawdzie bieg jego dziejów objawił niespodzianie następstwa, których wcale na celu nie miał, t. j. szczupłe jego pierwotnie granice rozciągnęły się od morza do morza, a utrata ziem obcych po Elbę była tylko igraszką w miarę tych przestrzeni i granic, które miał zyskać od południa i wschodu, i że owe różnorodne plemiona (snać wskutek samej przyjaźni) połączyły się po pewnym przeciągu z sobą jednym duchem i mową [1], ale wiadomo

[1] Z dziejów naszej literatury widzimy, iż ci, którzy najprzód u nas pisać zaczęli językiem polskim, byli to nawet nie mieszkańcy z nad Warty i Wisły, gdzie wszystko odbywało się po łacinie, ale mieszkańce *Rusi* (Falimirz, Chwalczewski, Leopolita, Rej, Orzechowski, »gente Ruthenus«, jak sam siebie nazywał, i t. p.). Mieszkańcy pochodzenia *niemieckiego* po miastach, którzy dla sądów udawali się do Magdeburga, nie rozumieli dalej wyroków, a odpisy tych *Urtheile* (Ortyle magdeburskie) w przekładzie na język polski z wieku XV i może XIV należą do najdawniejszych zabytków języka polskiego. *Tatarowie* zapomniawszy przodków, głoskami arabskiemi zmuszeni zostali wyrażać w swych modłach obrzędowych dźwięki polskie. *Ormianie* już w wieku XVI przełożyli swe prawa na język polski, w tymże wieku i *Litwini* z inicyatywy własnej swój statut. U wielu rodzin *inflanckich* i *pruskich* pozostały tylko nazwiska niemieckie. Jak dalece kraj Mieczysława nie dążył do tych następstw przez przymus, dość będzie wspomnieć, iż ludy od Niemna i Dźwiny zastrzeżone miały prawami między innemi: iż urzędy w nich, zaczynając od urzędników wiejskich do wojewodów, pełnić mogli *miejscowi*, nabywać i po-

także, iż stosowania owe miały jeszcze wiele i cech ujemnych (zwłaszcza w stosunku do klas najniższych) i że ogólny wpływ dziejowy nie skończył się dla samego kraju dodatnio. Mówimy zaś tu tylko o faktach, o ogólnym obrazie kraju w przebiegu jego dziejów i zarazem o stanowisku, z jakiego sądzoną być winna sztuka, która go kreśli.

Taki pogląd na granice pierwotne państwa i na ten fakt, iż wprowadzenie chrześcijaństwa miało się stać jednem ze źródeł nowej potęgi, formującej się w odwrót germańskiej, jest też właśnie mianym na względzie i jest trafnie odbitym w »Powieściach historycznych«. Jakoż autor, jak to widzieliśmy, nawet podboje Chrobrego usprawiedliwiał, objaśniając, iż celem było nie zagarnianie cudzego, ale oswobadzanie własnego.

Różnosć dwóch sąsiednich pierwiastków pod względem etyki dobitnie też wskazana w powieści pierwszej i w znacznej części dwóch drugich. Postać Mieszka, założyciela tego nowego i z nowym charakterem państwa, mistrzowsko też, zwróćmy uwagę, skreślona w powieści »Lubonie«. Mieszko tu przedstawiony nie jako nagły tylko i machinalny sprawca chrześcijaństwa, jak go kreślą kroniki, lecz jak rzetelny wielki człowiek dziejowy. Jest on tu w swych ruchach i krokach i nagły i cierpliwy, ostry i popularny, nie cofający się i od niewygodnych wypraw incognito (do Pragi, do Quedlinburga) dla poznania dróg nowych, dla torowania ich i t. p. Nie tajne mu były zmowy

siadać własności ziemskie mogli tylko miejscowi, — prawa, przewód sądowy, nauki szkolne były w języku miejscowym (przywileje te lubo w rozrzuceniu można np. widzieć nawet w dziele z r. 1867. A. Ratcza p. n. Swiedienia o polskom miat. T. I. str. 178—231). Ustawy Władysława Jagiełły nieprzychylne dla wyznawców kościoła wschodniego, jako nie sejmowe, nie miały nigdy zastosowania, a na głośnym sejmie lubelskim z r. 1569 głównymi stronnikami mocyi królewskiej byli właśnie Ostrogski i Czartoryski, wyznawcy kościoła wschodniego. Od czasu jak przy końcu wieku XVII i początku XVIII poformowane na prowincyach większoście poczęły uciskać mniejszoście i zaprzeczyły dawnemu charakterowi, zmieniły się też, uważać można, i następstwa.

kapłanów, wieszczków i stronników pogaństwa, wiedział, iż śród samych swych dworzan miał czyhających na życie jego, ale tu nagłym czynem, tu nagłem ukazaniem się, tu postrachem, tam jasną perswazyą umiał poskramiać, usuwać lub jednać swych wrogów. A kreśląc w taki sposób wielkiego człowieka, nie zapomniał też autor, iż kreśli człowieka. Mieszko życzył w kraju chrześcijaństwa, wszystko czynił, na wszystko się narażał, iżby ujrzał je wprowadzonem i utwierdzonem, wszakże i sam nie był odrodzonym od reszty ludzi, i chociaż nie szanował i nie lękał się robionych bożków, wahał się jednak sam nieraz i lękał ostrości i obowiązku religii nowej. Umiał on powstrzymać gorliwość swej małżonki Dąbrówki, gdy ta (co było charakterystycznem) w dzień przybycia z Pragi zaraz po pierwszym obiedzie, z gorliwością i niecierpliwością niewiasty wołała: że »już czas zacząć chrzcić«, i powściągał następnie długo, nim starania dojrzały, raz zaś nawet na ponawiane nalegania tak do niej rzekł: »Miłościwa moja! ja sam poganinem jeszcze jestem, — nawróćcie wprzódy mnie i nauczcie... słucham was często i nie rozumiem — co u nas cnotą było, u was jest występkiem... Mięsa mnie zakazują jeść, a skądże ja wezmę siłę? zemsta wzbronioną, a któż mnie będzie się lękał?« Że zaś chrześcijaństwo rzeczywiście za Mieszka nie mogło być wprowadzonem nagle, to oprócz naturalnego wniosku z biegu zwykłego rzeczy, dowodem jest i owa silna reakcya, która wybuchła była następnie w kraju za jego wnuka. Jak zaś Mieszko, tak równie znakomicie odtworzoną została w powieści i małżonka jego Dąbrówka, zwana przez autora *Dubrawką*. I kreślenie tej postaci historycznie nie było łatwem: jeżeli bowiem kronikarze nasi i niemieccy (Dytmar) kreślą ją jako niewiastę wzorową, kiedy np. Długosz wzmiankując o niej wyraża: »Mieszko pojął za żonę zacną i pełną najpiękniejszych przymiotów dziewicę«, spółziomek jej Kosmas praski pisze: »iż nie była to pani szczególnej cnoty *(nimis, mówi, improba fuit)* i już była nie młodą, kiedy poślubioną

została księciu polańskiemu«. Trudność tę umiał jednak autor szczęśliwie pokonać, nie zaprzeczając stronom ujemnym, ale kreśląc zarazem tę postać, jako pełną sobie właściwych zalet i godną być bohaterką. Musimy tu przytoczyć tę napozór tak naturalną, ale w gruncie wysoko sztuczną charakterystykę. Kiedy Mieszko przybywszy incognito pod Pragę i tu z towarzyszami swymi tajemnymi (chrześcijanami, Dobrosławem i Włastem) układłszy się w lasku, ujrzał przez gałęzie drzew grono dziewic zabawiających się na murawie, — śród nich była właśnie i Dąbrówka, i autor tak ją określa: »Śród tego wieńca dziewczątek od lat 15-u do 18, dobranych jakby do wieku i miary, stała urodziwa dziewica, którą po stroju i twarzy można było poznać za panią. Głową całą, wzrostem bujnym przechodziła towarzyszki swe, a postawą poważną i dumną wszystkie je gasiła. Z wianka i kos znać w niej było dziewicę nie dopiero rozkwitłą, ale w pełnym młodości kwiecie. Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo jakiejś Libuszy, czuć było w pięknej pani. Silna jej dłoń biała nie ulękłaby się snać miecza, ani cugli szalonego konia, na twarzy nieco smagłej, w czarnych oczach ognistych pałało nieustraszone męstwo. Taką niewiastę, panią, ujrzawszy Mieszek, wlepił oczy ciekawe, oderwać się nie mogąc od tego zjawiska, wydającego mu się czemś czarodziejskiem«.

I niżej. »W jej pięknych rysach na pół męskich widać było bujną krew tego rodu Przemysławów, której i w *złem i dobrem* nie miał miary, córkę Drahomiry lutyckiej, co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania, córkę Bolka Lutego, co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Wacława, co pobożnością stał się niemal kapłanem, cnotą doszedł świętości, pogardą życia — męczeństwa«. W powieści słusznie też ją autor przedstawił taką tylko, jaką się okazała w nowym kraju i jaką pozostała w tradycyi tego kraju, to jest gorliwą krzewicielką chrześcijaństwa, dobrą żoną i dobrą matką.

A trudność ta, jaką miał autor w kreśleniu history-

cznie Dąbrówki, przedstawiła nam się tem więcej w kreśleniu historycznie postaci Chrobrego, dla którego kronikarze nasi mieli tylko słowa uwielbienia pod każdym względem, a dla którego niemieccy i czescy (zwłaszcza Dytmar i Kozmas) same tylko przydomki potępiające. Jak zaś ją umiał pokonać, widzieliśmy właśnie. Do rysów jego, przytoczonych w treści, dodamy tu tylko, iż wszystkie one, tak świetne, jak w części ujemne albo dwuznaczne, są ściśle odgłosem historyczności. Kraszewski wiek ten Chrobrego już nie od dzisiaj nawet studyował, jak to widzieć możemy z jego rozbioru »Bolesława Chrobrego« — Szajnochy (*Okruszyny* 1850), a owoc ich i w obecnym obrazie właśnie odbił. Wskażemy tu np., iż o owej wzmiankowanej w powieści obfitości stołów (40 codziennie), o zbytkach w ubiorach niewiast, bogactwach niezliczonych, sposobie zarządu państwa, wymiarze sprawiedliwości, zabawach domowych itp. czytać można w Gallu, o otyłości króla, nie dozwalającej mu prawie utrzymać się na koniu, w Nestorze, o wspaniałomyślności dla zwyciężonych w tak skądinąd nieprzyjaznym mu Dytmarze, o przebiegłości dyplomatycznej, trzymaniu szpiegów po dworach, nawet o domowym doradcy, opacie tynieckim (»Abbas nomine Tutti«) w tymże Dytmarze [1]. Dodał tu tylko autor od siebie imię temu opatowi Aron, tak jak bohaterom powieści nazwisko Jaksów. Co do rodziny Chrobrego poszedł tu Kraszewski i słusznie za wzmiankami kronikarzy niemieckich. Nasi kronikarze wzmiankują o jednej tylko żonie Bolesława, Judycie, i jedynym synu z tejże Judyty urodzonym, Mieczysławie; autor zgo-

[1] Wtrąćmy tu uwagę nawiasem, że piszemy po dawnemu *Dytmar*, nie zaś, jak wielu dziś u nas, idąc za Bielowskim, *Thietmar*. Bielowski lubił nowości, Dzierzwę pisał *Mierzwa*, *Galla* — *Gaweł*, Lechitów — *Lęchici* itp. Pisarze niemieccy wzmiankują istotnie, że *Dytmara* nazwisko właściwe było Thietmar, dlaczegóż więc przezwali go Dytmar? Powodem najprędzej były względy fizyologiczne wymowy. Lecz w każdym razie najwłaściwiej pisarza tego nazywać tak, jak go nazwał rękopism, jak nazywa nagrobek i jak go nazywali wszyscy wydawcy, nawet w Niemczech do ostatnich czasów.

dnie z Dytmarem Mieczysława mieni synem Emnildy, a syna Judyty Bespryma uważa jako usuniętego, zgodnie też ze wzmiankami u innych, za czwartą i ostatnią żonę Bolesława uważa *Odę*. Co do koronacyi, kronikarze przestając na wzmiance, iż Bolesław ukoronowanym był przez Ottona III, nie wspominają o innej koronacyi; kronikarze niemieccy wzmiankują, iż Bolesław starał się usilnie o poświęconą koronę w Rzymie, gdy jednak cesarz Henryk nie dopuścił skutku, koronował się solennie w r. 1025 w Gnieźnie, koroną przez arcybiskupa tylko poświęconą. Z wiadomością tą autor złączył oczywiście wzmiankę, znajdującą się w życiu ś-go Romualda przez Piotra Damiani, iż cesarz mniemał schwytać posłańca królewskiego, a schwytał w istocie tylko posłańca kamedułów, piszącego w ich interesie do Rzymu, i w duchu tych dwóch podań przedstawił szczegół, jak wzmiankowaliśmy. Od autora powieści historycznej nie możemy wymagać, iżby przedstawiał fakta z całą ścisłością historyczną, pisze bowiem powieść, a nie historyę; wymaganie zaś to tem więcej ograniczone być musi, gdy się ściąga do czasów, w których ścisła prawda jest dopiero poszukiwaną. Mamy np. krytyczne badania z tych czasów o imionach i liczbie synów Bolesława Chrobrego w artykułach takiej pracy i takiej wartości, jak Bielowskiego *Synowie Chrobrego*, Szajnochy *Bolesław Chrobry* i Dra Anatola Lewickiego *Mieszko II.* (w Rozpr. i Sprawozd. Akad. umiejętności z r. 1876); jednak ostatecznie nie jest jeszcze rozjaśnionym ten przedmiot; dla autora powieści historycznej nawet jest dosyć, jeżeli ma na względzie ostatnie badania i trzyma się ducha dziejów, a warunkowi temu uczyniły zadość powieści Kraszewskiego.

Co do postaci w obu tych ostatnich powieściach tworzonych z fantazyi, jak równie co do ogólnej w nich ekspozycyi, toż tylko powtórzyć wypada, cośmy powiedzieli wyżej, mówiąc o pierwszej t. j., że przejęcie się przez autora przedmiotowością, różnostronność szczegółów, pełność i wykończenie w obrazach, a zarazem (że jeszcze raz powtó-

rzymy o obu tych cechach) ten pokój i ta naturalność, które tu towarzyszą wszędzie opowiadaniu, są to pierwiastki, które w umyśle czytelnika zdolne są wzbudzić to przekonanie, że przedmiot, o którym czyta, to przedmiot prawdy. Dodamy tylko, iż gdy historyczność wypadków w powieściach tych o krok jest posunięta, o krok też rozszerzone (a tem samem i o krok więcej widne się stały) i owe pierwiastki.

Tak np. jeżeli w powieści pierwszej mieliśmy tylko przed sobą stronników knezia i kmieci, w powieściach tych dalszych oprócz partyj wewnętrznych, mamy i stronnictwa zewnętrzne, mamy stronników pogaństwa i stronników chrześcijaństwa; talent przedmiotowości autora jaśniej tu więc jeszcze się odbił, autor w kreśleniu tych partyj nie tylko być umiał bezstronnym, ale rzec nawet można, był równie stronnym dla każdej. Z równym np. efektem i mocą kreśli słowa i przekonania stronników królewskich, a przeciwników cesarskich w Poznaniu, jak stronników cesarskich, a przeciwników królewskich w Quedlinburgu i Magdeburgu, z równym zaciekłość i przekonania pagańskie: Wargi, Wojsława, Domosula, jak pobożność i gorliwość chrześcijańską: Dobrosława, Własta, opata Arona i t. p. Historyczność w tych dwóch powieściach pełniejszą jest jeszcze i przez to, iż czytelnik widzi już w nich nie tylko kraj własny, lecz i sąsiednie; w powieści »Lubonie«: Pragę, Quedlinburg, w »Zmartwychwstańcach«: Magdeburg, Rzym, ziemie niemieckie, a każdy z tych obcych obrazów z właściwą mu przedmiotowością miejsc, obyczajów i ówczesnych postaci równie wiernie skreślony. O całość historycznie możliwą w powieści ostatniej autor był tak troskliwym, iż oprócz tych różnorodnych postaci, o jakich wzmiankowaliśmy w treści, widzimy tu nawet ukazujących się, lubo chwilowie, i jednego z wygnańców i jednego ze ślepców przez króla niegdyś sprawionych. Nie można też nie wspomnieć trafnej charakterystyki braciszków benedyktyńskich, a zwła-

szcza opisu z całą techniczną drobiazgowością ich zajęć przy sporządzaniu zwojów pergaminowych i t. p.

Dodajmy jeszcze, iż w tych, jak we wszystkich innych obrazach Kraszewskiego (jak bywa to wspólne zwykle doskonałym charakterom), widną jest zawsze pamięć na różnostronność pierwiastków natury ludzkiej, że przeto prócz potoczności, w powieści każdej widać zawsze i trochę mistyczności i trochę ironii (śmiechu) i t. p. pierwiastek mistyczny reprezentują np. między innemi wtrącane tu postacie kabalarek, guślarek; ironicznych — przydwornych śmieszków, w powieści »Zmartwychwstańcy« — Karzeł Zug; w »Luboniach« pogańskiego jeszcze dworu Mieczysława — błazen Psiajucha, przy tym dworze wyborny, lubo krótki obraz seraju Mieszka i t. p.

Co do koloru wreszcie, czyli znaczenia duchowego powieści tych historycznych, ten zawartym już jest w tym przymiocie, iż są historyczne. Lekcya, którą czytelnikowi dają, jest to lekcya historyi. Wielka przewaga tej barwy w barwie powieści jakkolwiek nie szkodzi wcale artystyczności ich, nie wiemy jednak, czyli nie szkodzi trochę popularności. Powieść, iżby popularną być mogła, musi budzić w swej ekspozycyi zajęcie. To zajęcie w czytaniu powieści jest wtedy, kiedy się budzi *oczekiwanie* rozwiązania jakiegoś węzła, wypadku jakiegoś; nić interesu zrywa się, jeśli oczekiwanie to słabnie, lub wcale znika. Otóż kto w powieściach obecnych szukać będzie źródła tego zajęcia w najczęstszych powieściowych węzłach, jako romansach, jakiejś intrydze i t. p. ten się zawiedzie. W każdej wprawdzie z powieści tych jest i romans, są i pewne intrygi, ale w każdej są wyraźnie na drugim i trzecim planie i nie budzą głównego zajęcia. W powieści pierwszej romans, ukazawszy się, zaraz po pierwszych kartach znika i z przed oczu i pamięci czytelnika, iżby się ukazać dopiero na ostatniej, — w drugiej i trzeciej, i romanse i losy bohaterów rozwiązują się w pół powieści i nie pozostaje następnie pod tym względem żadne oczekiwanie, — przyczyna jest, iż autor

za głównego bohatera swego uważał w każdej powieści nie tę lub ową jednostkę, ale kraj, t. j. Polskę w danym okresie. Czy połączenie bliższe w ekspozycyi obu tych barw, obu środków zajęcia zupełnie jest niemożliwe, i czy w następnych obrazach i tej nie pokona trudności, to da się widzieć; lecz i w tej barwie, jak jest, powieść jego powieścią być nie przestaje, i ma owszem tę cechę, iż dziejowość pozostaje w niej zawsze przedmiotem głównym.

Kraszewski w tych powieściach swych historycznych zamierzył, jak to już wyżej wspomnieliśmy, przedstawić cały cykl dziejów krajowych, jest zaś dopiero w wieku XI-ym. Cel drogi jest więc jeszcze daleki, nader daleki. Czy danem będzie autorowi, zwłaszcza śród tylu przerw, jakie dobrowolnie sam sobie czyni, doścignąć go prędko, a nawet kiedykolwiek, nikt tego, zacząwszy od samego autora, wiedzieć nie może [1]. Lecz jeśliby go doścignął a doścignął w obrazach tejże treści i barwy i tejże wartości, jakie dał dotąd, ujrzelibyśmy pierwszy podobno przykład w literaturze i pierwszy w naturze podobnego odtworzenia się kraju.

Zapisaliśmy właśnie już byli kika powyższych uwag o trzech pierwszych powieściach historycznych Kraszewskiego, kiedy się ukazały w prędkim po sobie następstwie dwie nowe: »Masław« i »Boleszczyce« [2]. Być może, iż nim pośpieszymy je odczytać i coś o zawarciu ich dodać, ukażą się z kolei i dwie jeszcze nowsze, ograniczymy się więc możliwie tylko krótkim dodatkiem o tem zawarciu.

Powiemy to naprzód zgóry: iż te cechy i te zalety, które się okazały własnością trzech pierwszych historycznych powieści, odnoszą się z całą ścisłością i do dwóch nowych. Taż historyczna wierność w szczegółach głównych,

[1] [Wiadomo, że Kr. cały ten cykl powieści doprowadził aż do połowy wieku XVIII].

[2] *Masław* powieść z XI wieku. T. II, 1877. *Boleszczyce* powieść z czasów Bolesława Szczodrego. T. II. 1877.

takież bogactwo, taż pełność w obrazach szczegółowych, tenże spokój w ich przedstawieniu, taż naturalność.

Co do treści, ta w najogólniejszych swych rysach jest w nich następna.

Po śmierci Mieszka II-o, którego państwo rozdarli najprzód brat *(Besprym,* krótko tylko rządzący), potem sąsiedzi, rozruch dworski wygnał za kraj bezsilną jego małżonkę *(Ryksę)* a następnie i małoletniego syna jej Kazimierza, a na czele tego rozruchu stał *Masław.* Syn kmiecy, nie przestał on na usunieniu z kraju rządów szlachty, lecz chciał się pozbyć, by mu nie była rywalem, całej szlachty i głównego podarunku tej szlachty: *chrześcijaństwa.* W popiół poszły dwory, kościoły, klasztory; kraj cały zamienił się w cmentarz i zgliszcza, gdzieniegdzie tylko utrzymywały się jeszcze jakaś szlachecka partya, jakiś szlachecki dworek. Do jednego z tych dworków wprowadza właśnie autor czytelnika w początku powieści. Był to gródek władyki Beliny, zwany Horodyszcze Olszowe. Do gródka tego schroniła się cała niedobita szlachta, z okolic bliższych i dalszych, młodzież zdrowa i ranna, starcy, niewiasty i dzieci; ochraniał ich, dzielił się z niemi ostatkiem chleba władyka Belina i liczył na ich pomoc. Ludzie są zawsze ludźmi; śród nieszczęść, mordów, pożogi, serca ludzkie są sercami ludzkiemi; w zamkniętym i uzbrojonym dworku Beliny, zawiązała się i nić powieściowa. Śród rycerzy, którzy się schronili byli do Horodyszcza, było między innymi dwóch dzielnych braci Doliwów, *Wszebór* i *Mszczuj,* śród niewiast, była między innemi żona poległego w obronie swojego gródka władyki *Spytka* i córka ich *Kasia.* Dla załogi było koniecznem wiedzieć, jakie właściwie ma siły i jakie ma zamiary Masław, dziś kneź na Płocku; Wszebor był niegdyś towarzyszem jego na dworze Mieszka i ochotnie wziął na siebie tę misyę. Był w Płocku, widział wszystko i wrócił, ale powrócił smutny i zrozpaczony. Był smutny, bo ujrzał czerń niezliczoną, którą rozporządzał Masław, i cel jego, aby iść przedewszystkiem na Horodyszcze

Olszowe; smutnym, bo napotkany przezeń oddział szlachecki pod wodzą Trepki odmówił pomocy Horodyszczu, tłumacząc się, iż zajęty być winien raczej wybawieniem całego kraju, jak gródka jednego; lecz nadewszystko był smutny i zrozpaczony z tego, co ujrzał w tym gródku tj. iż stracił wprawdzie rywala w bracie, który się zajął wabiącą go ku sobie córką Beliny (Hanną), ale znalazł sroższego, bo przez samą Kasię odznaczonego, w młodym synie Beliny (Tomku). Czerń z Masławem na czele, w asystencyi Pomorców, Prusaków i innych pogan, zbliżyła się tymczasem pod Horodyszcze; załoga gródka była tylko garstką wobec tych tłumów, chciała się jednak bronić, wolała zginąć; jakoż połowa już legła, legnąć miała i reszta, gdy niespodzianie na kark napastników napadł oddział Trepki, a śród niego ukazał się przybyły wreszcie, a sprowadzony przezeń do kraju młody król Kazimierz z pomocą od dziadka. Bici z dwóch stron napastnicy, zmuszeni ustąpić; partye Beliny i Trepki witają z zapałem króla, święcą zwycięstwo. — W stosunkach osób zaszły były w tym czasie następne zmiany. By zyskać Kasię, starał się był zrazu młody Wszebór przypodobać jej matce; matka Kasi była sama rzeźwa i piękna i zaloty jego odniosła do siebie, a kiedy wierny i pełen radości sługa doniósł jej, że mąż jej Spytko, lubo mocno ranny, lecz żyje, płakała ze wzruszenia trzy dni i trzy nocy, i na wstawienie się króla do męża, a zgodnie z wolą męża, zgodziła się na zaręczenie Wszebora ze smutną Kasią. Lecz oto stary Spytek z ran skonał, nadzieje wdowy odżyły, sama ułatwia zakochanemu Tomkowi porwanie córki, a sprawy domowe, równie jak sprawy krajowe, kończy powieść obrazem restauracyi, albowiem widokiem trzech wesel: Tomka z Kasią, Mszczuja z Hanną i Wszebora z bogatą matką kochanki; Masława obwiesił w lesie na drzewie snać własny hufiec.

Powieść obecna, zarówno jak i poprzednie, słusznie nazwisko ma historycznej, i ramy w duchu wiernej historyczności są rozszerzone. Noc i zamęt wypadków z owego

czasu, o których najogólniej i w najkrótszych tylko wyrazach wzmiankują kroniki, szczegółami ludzkiemi powieści, jakby światłem latarni, tu rozjaśnione. Długosz wzmiankując o Masławie, wyraża, iż »celował on nad innych *rodem* i zdolnościami«, dając do zrozumienia w ten sposób, iż jedynie egoizm i pycha popierały go do zdradnych uczynków; wszakże bliżsi Masława, Kadłubek i Boguchwał (Baszko) mówią, że »de infimo genere« pochodził, każąc wnosić w ten sposób, iż był uosobieniem ukrywających się w najniższych warstwach ludności zasad, a przeto reakcyi. Kraszewski z właściwą sobie trafnością oraz naturalnością połączył te oba twierdzenia. Z jednej strony, dzieląc podanie bliższe, ma go za syna kmiecego (»Masław? woła w początku powieści rycerz Lassota, a któż tego chłopiego syna nie znał na Mieszkowym dworze? liżąc nogi pochlebstwem, dobił się do podczaszostwa«), uważa go też jakoby za uosobienie żywiołów niwelacyi i nihilizmu, czyli mówiąc językiem dzisiejszym, »socyalizmu«. Z drugiej jednak strony, skreślony on tu zarazem jako samolubny panek, który socyalizm ten za narzędzie tylko swoje uważa. Ujrzawszy w Płocku Wszebora, swego niegdyś kolegę, przechwalając się przed nim i objaśniając obecne swe położenie, tak między innemi mówił Masław: »Prusaki naród dzielny, ci to sami, co Wojtaszka (ś. Woj.) zabili, co go Bolko wykupił, a ja z nimi brat, swat, co ty na to? hę? Masław nie głupi. Na zamku w Płocku siedzieli benedyktyny, niema ich i nogi. Z kościoła zrobiłem chram, tak, jak oni z chramów robili kościoły. Stare stanice popodnosili ludzie, wołając Ładо! Ot siła moja!« A gdy Doliwa nadmienił, iż winien się dobrze liczyć z siłami, gdyż i chrześcijan sporo, Masław rzekł: »Nie rozumiesz ty nic! Który Bóg mocniejszy będzie, temu się i ja pokłonię. A mnie co?«

Co do drugiego historycznego bohatera powieści, Kazimierza, autor spór o jego mnichostwo godzi w ten sposób, iż uważa go jako wychowanego w klasztorze, gdzie jednak nie był jeszcze zakonnikiem; skreślony zaś równie

w rodzaju swoim charakterystycznie, jak i Masława, obraz jego powtórzymy tu: »Milczący, zamknięty w sobie był król młody. O przeszłości mówić nie lubił, chciał o niej zapomnieć. Dla wszystkich równie przystępny, nikomu serca nie otwierał. Obyczaj niemal zachowywał zakonny, obchodził się małem. Przed bitwą Topór i co mu towarzyszyli z Leodium, wątpili zrazu, azali się w nim wojenny duch obudzi. Zawiedli się na tem. W pierwszej chwili rozpoczęcia walki, Kazimierz stał jakby nierozbudzony, zdumiony, niepewny, co pocznie. Gdy się rycerstwo puściło, zachrzęszczały zbroje, miecze zabłysły, zwarły pierwsze szeregi, rumieniec wystąpił mu na twarz bladą, zapłonęło oko, — dobył z pochew Bolesławowski miecz i już powstrzymać go nie było można«.

O restauracyi jednak niewiele jest mowy w powieści, główny obraz składają: reakcya, Masław; — i bohater ten możliwie różnostronnie jest przedstawiony. Skreślony on jest w stosunku do swych kolegów dawnych, do zwolenników nowych, do kraju, do krewnych, do matki, a koniec jego zgodnym jest z tym powtarzanym przez wszystkich prawie kronikarzy frazesem, a który miał wyjść z ust tych, którzy go ostatecznie ukarali: »Wysokoś piął się, bądźże wysoko«. Co do niewiast w powieści: młode Hanna i Kasia nakreślone są biernie i przez to samo (ile młode) trafnie. Doskonałą zaś jest Spytkowa, zwłaszcza, gdy sama Rusinka swatała już wcześnie młodego króla z Rusinką (żoną Kazimierza była, jak wiadomo, istotnie następnie: kniaziowa Dobrogniewa).

Do głównie efektownych i oryginalnych obrazów w powieści należą: widok natłoczonego Horodyszcza oraz dworu i hufców płockich przy właścicielu kneziu. Mniej znajdujemy efektownem, ile w powieści *historycznej*, ukazywanie się matki Masława półwaryatki, gdy pierwszy raz w czasie uczty truje mu chwile swojem ukazaniem się, a przy końcu zdjąwszy trupa jego z drzewa, na którem wisiał, i wydzierając go z paszcz wilków, grzebie go, kładzie się

na mogile i sama rozszarpaną zostaje przez wilki; wszakże zaprzeczyć nie można, iżby i te obrazy nie były oryginalne i bezpoetyczne.

Jeżeli w powieści »Masław« karty jej zajmuje przeważnie nić powieściowa, romans, w powieści »Boleszczycach« przedmiotem kreślonych obrazów jest przeciwnie prawie wyłącznie treść historyczna, t. j. rozszerzone tylko i rozjaśnione ramy właściwej historyi.

Długosz w swej Historyi wzmiankuje, iż po ujściu z kraju Bolesława, brat jego Władysław, zająwszy opuszczony tron, wezwał do powrotu z wygnania żonę jego i kilkunastu wiernych rycerzy, którzy towarzyszyli mu, a których imiona poszczególnia. Z tej krótkiej wzmianki autor umiał odbudować całą przeszłość epoki danej. Jeżeli był zastęp tych, którzy królowi pozostali wierni, tedy i w kraju musiał mieć król stronników i przeciwników; jeśli ten zastęp był mały, tedy zbyt większe i silne musiało być stronnictwo przeciwne, tak silne, iż zmusiło nawet do wyjścia dumnego króla. A był to król z jednej strony wielki, bo rycerz, i miał prawo być dumnym, był litościwy i hojny i nazywany był szczodrym, ale był też ten król mordercą, a mordercą nie zbrodniarza, nie łotra, ale męża bezbronnego, cichego, słynnego z cnót. Taki obraz wymagał wprawnej i silnej ręki malarskiej, i autor z właściwą sobie siłą i talentem nakreślił go.

Poeta, któregośmy podali wyżej za skrytego rywala autora (w dziale poezyi), w dziełku swem pod napisem: »Pierwsze wieki historyi polskiej«, mówiąc o Bolesławie II i o tym fakcie, iż biskup krakowski Stanisław był pierwszym w kraju, który się był odważył stanąć w śmiałej opozycyi przeciw despotycznym czynom króla Piasta, uważał ten fakt za historyczną epokę krajową i dodał: »*Czyść ś-go* Stanisława stała się pierwszym artykułem konstytucyi tego kraju, od dnia jego umęczenia zaczyna się nowy okres historyi polskiej, Polski nowej«. Zdanie to historyka-poety, zdaje się nam, iż autor wziął za motto szczegółów swojej

powieści, swego historycznego obrazu. Wnuk, czy prawnuk Chrobrego, dziedzic jego imienia (Bolesław) był dziedzicem i jego męstwa, lecz nie dziedzicem całości jego ducha; — natchnienia matki i żony, przykład Kijowa, odznaczyły politykę jego. Sądząc, nie wzywał on na wzór dziada rady 12-u, nie całował w rękę opatów; rozjątrzony przeciw rycerstwu, które go w Kijowie w części odbiegło, wrócił do kraju, aby się nad niem znęcać; prześladował rycerzy, głowy im ścinał, żony ich powoływał na dwór swój rozpustny, nie znał innego prawa nad samowolę, a gdy pasterz duchowny karci (biskup Stanisław), chcąc jako »pasterz dobry« powściągnąć króla, ściągnął tyko jego gniew i nienawiść, i zmuszony był rzucić klątwę; zaciekły król nie zawahał się własną ręką odciąć od ciała głowę bezbronnego.

Cztery partye, czyli cztery głównie obrazy nakreślone zostały dobitnie w ramach powieści. Król Bolesław i jego dwór; zastęp młodzi, która bezwzględnie i w złem i dobrem była mu wierną, a którą przezwał autor *Boleszczyce;* szlachta dawna, której reprezentantem w powieści jest głównie Odolaj herbu *Jastrząb,* jakkolwiek najwięcej było Jastrzębców śród Boleszczyców, oraz *Mścisław* z Bużenina (którego żonę Krystynę porwał był król do swego seraju) i wreszcie biskup Stanisław.

Powiedzieliśmy, iż te wszystkie obrazy nakreślone są silnie, nie przez to jednak, iżby były kreślone namiętnie, jaskrawie, ale przez to właśnie, iż są kreślone z pokojem i naturalnie. Czytelnik to przyzna, sądzimy, gdy przytoczymy kilka literalnych wyjątków z obrazów głównych; przytoczenia te będą też same najlepszą charakterystyką powieści.

Bolesław i *Krysta* (obraz z zabawy dworskiej). ...»Twarz jego (Bolesława), choć zmęczona, piękną jeszcze była, nadewszystko dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełna. Z królewską dumą na twarzy tej łączyła się królewska ludzi pogarda i pycha niezmierzona. Młode i zdrowe lice, życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciska-

jąc na niem ślady burz, przez które przeszły zwycięsko. I ta twarz była, jak kwietniowych dni niebo, zmienna, błękitem na przemiany, obłokami czarnemi, chmurkami białemi, oponami szaremi, słońcem wesołem i złocistem bramowana, której poranek nie ręczył za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody. Piorun mógł z niej uderzyć niespodziany, w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity«. Kontrasty te zjednały też dwa różne temu królowi przydomki: surowy (śmiały) i szczodry«:

Mistrzowskim jest i obraz sułtanki:

»Niewiasta siedząca przy nim, piękna i młoda na twarzyczce niemal dziecinnej, miała wyraz zalotności wyzywającej, śmiałej, niewstydzącej się wcale, naiwnej. Białej płci, z małym rumieńcem, nieco blada, czarnemi, wielkiemi wesołemi oczyma patrzyła w króla, jak w tęczę. Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu, na co patrzała, mężczyznom, co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnej, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani *uczucia innego,* nad to roztrzpiotane wesele nie widać w niej było. Tuż za królewską parą stało kilka niewiast młodych, pięknych, strojnych, wesołych także, szepczących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po mężczyznach, którzy króla otaczali. Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani i jej wdzięczną twarzyczkę jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niej wydawały się tak gminne i pospolite, jakby z innego pochodziły świata. Ich srom nawet był od jej zalotności bezwstydniejszym«.

Święty Stanisław. Jadący Boleszczyce spostrzegłszy zbliżający się naprzeciw siebie orszak, śród którego był biskup krakowski, wesoło zeń urągali, odgrażając się, iż mu nie myślą ustąpić, za zbliżeniem się jednak ustąpili mu mimowolnie z uszanowaniem. Męża, który przewodniczył orszakowi, tak opisuje autor. »W pośrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego spokojny

nie świecił żadnymi ozdobnymi rzędami, ani wisiadły; na sukni też czarnej, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na piersi, nic więcej widać nie było. Twarz nie potrzebując oznak innych dostojności, znamionowała męża, co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesiony wysoko. Wejrzenie miał, które raz zwrócone na człowieka zmuszało do poszanowania i trwogi, nie żeby gniewne było, albo surowością zaprawne, ale majestat z niego promieniał i siła jakaś niezwyciężona. Piękne rysy osłaniał pokój niewzruszony«.

Idąc zawsze za historyą, autor nie pominął i owej »zdrady czeskiej«, o którą oskarżał go Gallus. »Rzucę nań klątwę (wołał biskup wzruszony), ogłoszę go wywołańcem. Na ten czas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmuje Wratysław (mąż siostry Bolesława, Świątawy), aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni. Ziemianie przyjmą go, rycerstwo rade będzie. Dwa potężne królestwa się zjednoczą«.

Opinię kraju o głównych bohaterach powieści, Boleszczycach, najlepiej kreślą następne słowa *Odolaja*, głowy Jastrzębców, których najwięcej było śród Boleszczyców, a od których w deputacyi przybył był doń Dobrogost. Kiedy ten na uwagi Odolaja o Bolesławie rzekł: »Nie nam go sądzić«, Odolaj zawołał: »Ale ja stary sądzić go mam prawo. Ja i Mieszka I-go i Bolka wielkiego, co jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę, żadnego takiego nie było jak ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przyjdzie słać, jako smokowi na Wawelu, a wy mu do tego służycie. Wróciwszy na dwór, powiecie swoim wszystkim jastrzębiom, ile ich tam jest, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, póki w tem kole zostaną. Na wojnę idźcie, niech was i pozabijają, jest dzieci dosyć, narodzi się ich jeszcze więcej, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich wylęgać się wara! Postroili was na pośmiewisko, jak królewską kobyłę, która słyszę też w złotogłowiu chodzi«.

Do głównie efektownych w powieści obrazów należą: opisy rozpusty dworskiej, kłótnia w Jakuszewicach reprezentantów opinii kraju z Boleszczycami, opis klątwy, — i wreszcie opis ostatniej, a głównej zbrodni królewskiej. Autor postąpił trafnie, iż nie przedstawił na scenie samej tej zbrodni; krwawy obraz musiałby być albo za słabym, albo za wstrętnym. Autor przedstawił tylko obraz dworu w godzinę zbrodni, i powtórzymy go tu, wątpimy, czyli czytelnik uzna, iż jest za słaby. Jest to opis poranku po nocy na rozpustnej uczcie spędzonej. »Po wczorajszej uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców królewskich dziwnie wyglądało. Noc długa kryła biesiadne śmiecisko; gdy rozwidniało, odkryło się ono w całej szkaradzie swojej. W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i ławach, leżała rozpierzchła, uśpiona jeszcze, pijana gawiedź ze psy razem. Dalej na wałach widać było precz wyrzucone dwa trupy tych, co się na śmierć zapili, nawpół odarte. Czekały one, aż je gdzieś wywloką. Gdzieniegdzie stały brudne jakieś kałuże, jedne jakby krwawe, drugie od samej krwi ohydniejsze. Bili się i tłukli skłóceni, na śmiech drugim, a wielu z ranami i potłuczonemi wyszło głowami, nie czując kalectwa nawet. Zmęczona wczorajszą wrzawą, od której nie rychło uciec mogła, Krysta spała długo — obudził ją *dzwonek na Skałce* u św. Michała, a potem zaraz tętent koni. Zadrżała, zerwała się, pobiegła w koszuli wyjrzeć przez okno, odsunęła okiennicę i zobaczyła, jak król jechał otoczony Boleszczycami... Dokąd? nie wiedziała, ale serce jej biło strachem. Ona, co tak dobrze dawniej umiała śmiać się, o wszystkiem zapomnieć, wesołością swą dziecinną drugich rozśmieszać, czasem aż do szału się rozpasać, rozgzić — wczoraj nie mogła być nawet wesołą. Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzyły jakoś tak dziko, szał tej uczty półchłopskiej wył tak straszno... Mimowoli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie podwórko ciche, matki uścisk pieszczony i usypiający tak słodko, mężowski dwór taki spokojny... ciepłe

ognisko domowe, co się śmiało gospodyni... Trwoga i dreszcze przebiegały po niej. Zrywała się krzycząc: Jutro! co będzie jutro!... Jak ten dzwonek na Skałce brzmiał jakoś i jęczał strasznie pogrzebowo! Był to ten sam, co w dniu klątwy lud zwoływał i dzwonił świecom zgaszonym. Krysta siedziała w oknie, o krawędź oparta, patrzała i słuchała, myślała coś i rwały się jej myśli. Chciała odgadnąć, dokąd znów król mógł pojechać tak rano? Nie na łowy? — psów ni sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów — miecze tylko. Wśród tej głuchej ciszy — nagle — czy się jej wydało? — usłyszała zdala krzyk okropny... dzwonek na Skałce począł się poruszać żywo, bijąc jak na trwogę, raz po raz, nieustannie. Serce jej zaczęło bić strasznie — wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze. Zatętniało nagle szalonym biegiem. W bramie ukazał się król, Krysta go nigdy jeszcze takim nie widziała strasznym; zakryła oczy. Blady był jak trup, a oczy mu wyskakiwały z powiek — usta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzał i nie widział, na jednym policzku miał jakby plamę krwi, krew zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce krwią miał oblane, mieczyk, który mu wisiał u pięści, ściekał krwią i bryzgał kroplami. Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią, jak on, pijani morderstwem Boleszczyce... Stali, odchodzili, siadali, ocierając ręce krwawe o murawę, o ścianę, o poły, i otrzeć ich nie mogąc«.

Krysta nie mogła dotrwać długo na zamku i opuściła go. »Nie wiedziała, ani dokąd szła, ani co się z nią stać miało, uciekała od krwi, która goniła za nią. Ku miastu szedłszy, obaczyła kościołek na Skałce, widok jego przeraził ją nanowo, uchodzić zaczęła, pędząc co sił, bez drogi, na oślep — a krzycząc: »krew, krew!«

Jak Krysta, tak opuścił króla kraj cały; żelazne rycerstwo od Krakowa upraszało go, aby się wyniósł z kraju; odjechał z Boleszczycami najprzód do Węgier na dwór króla, a skończył na pokucie w Ossyaku.

Kończąc tę krótką wzmiankę o dwóch ostatnich powieściach historycznych Kraszewskiego, zwracamy uwagę raz jeszcze, iż obok ukazania się ich autor równocześnie drukuje i inne nie historyczne i tysiące jednocześnie prac innych; nie zadziwiałby jeszcze nas tyle sam ten fakt, ile szczegóły faktu, tj. rzadka pełność i wykończenie każdej z tych prac. Przypominamy, iż pisząc kiedyś (w r. 1846) o *Witoldowych bojach*[1] i zwracając uwagę na wady tego poematu z pośpiechu płynące, uczyniliśmy byli uwagę, iż duch ludzki musi być wprawdzie sam w sobie duchem prawdy, ale snać ciąży nad nim jakowaś fatalność i musi odbyć *pokutę* (pracę), nim się zdoła okazać w szacie swej prawdy; patrząc dziś na zaletę i pełność utworów autora, zaledwiebyśmy tu nie dodali, iż tę pokutę snać duch autora już przebył, jeżeli nie przez ilość trudu wyłożonego na jedną z tych prac, tedy przez sam trud wyłożony na ogół ich.

1877.

2.

Powieści historyczne, które w r. 1875 rozpoczął Kraszewski, mają żal do swego autora. Rok już trzeci, jakeśmy tu pisali o ukazaniu się pierwszych pięciu. Od tego czasu autor ich wydał ze 30 powieści odrębnej treści, kilka dzieł w innych przedmiotach, napisał ze 300 artykułów do pism czasowych, powieści zaś historycznych, które rozpoczął tak świetnie i które takiej wagi zapowiedziały całość, ogłosił zaledwo trzy. Naszem zdaniem nie tyle nawet może powieści, ile autor winienby stąd mieć żal sam do siebie. Być może, iż czynność jego piśmienna, w ten sposób jak ją w przeciągu tym użył, jako różnostronniejsza, była więcej wpływową, użyteczniejszą, dawała mu popularność szerszą, lecz gdy użytek i pamięć największej części tych prac kończyły się z końcem dnia *(Korespondencya)*, gdy war-

[1] [Zob. »Rozbiory i Krytyki« t. III. 97].

tość innych głuszoną, a przynajmniej równoważoną była przez pióra spółzawodnicze; wyłożenie tejże ilości pracy, tych sił na jedność swego utworu, uczyniłoby go może już dotąd twórcą olbrzymiej epopei krajowej, a więc pomnika, który czas mógłby tylko wznosić, nie skruszyć. A nadto: wykonanie tego wyjątkowego zadania, które sobie założył, wyjątkowego też uzdolnienia wymaga. Wszelka powieść wymaga daru fantazyi i daru słowa, ale utwór powieści, mających przedstawiać wieki, oprócz daru fantazyi i daru słowa, wymaga i znajomości tych wieków, — znajomości obyczajów, zwyczajów, poziomu umysłowego, stanu społecznego i słowem wszelkich szczegółów bytu w tych danych czasach, danego kraju, — a nie tylko danego kraju, ale tych sąsiednich bliższych i dalszych, które się znajdowały w bliższych stosunkach z tym krajem, w każdym z tych wieków. Postawione już pierwsze kroki na drodze tego zadania dowiodły, iż owe dary, owo uzdolnienie posiadł autor, a mimo to u piór zasłużonych nie mamy jeszcze dowodu, czy posiadamy i inne z cechą tych zalet. Ów więc żal danej gałęzi do autora i autora do siebie dzielić ma prawo słusznie i cała powszechność.

Nikt jednak nie ma naturalnie prawa przesądzać ostatecznie obcych zasług i kroków. Pisanie historycznych powieści wymaga kolejnych studyów, i w danym czasie nie mogłoby równie obfitym plonem wzbogacać literatury, — być więc może, powtórzymy to znowu, iż owe różnostronne czynności pióra były konieczniejszemi na daną chwilę, niż czynność inna; być może, iż te spacery duchowe potrzebnymi były umysłowi autora, równie jak materyalne, dla możności przebywania następnie i drogi głównej, a nadewszystko, być może, iż te zboczenia śród drogi nie staną się ostatecznie przeszkodą dla ukończenia jej z czasem. Odkładając więc na bok życzenia i łatwe żale, spojrzmy raczej na to, co już dał autor, i w dalszym ciągu uwag, które wyraziliśmy o jego pierwszych pięciu powieściach historycznych, zapiszmy kilka z kolei i o trzech nowych.

Zadanie, które założył sobie Kraszewski w obecnej pracy, poczytujemy za równoległe z tym popędem i tą czynnością, jakie się wyraziły w spółczesnej nam literaturze krajowej ku odgrzebywaniu, ogłaszaniu i rozważaniu źródeł i wszelkich szczegółów naszej przeszłości. Ogłaszanie pomników dziejowych, dawnych dyplomatów, akt z archiwów krajowych jak obcych, przyczynia się wielkim krokiem do bliższego poznania chwil minionych. Lecz obok tej przeszłości, która pozostawiła ślady, była przeszłość, po której nie pozostało żadnych piśmiennych. Przeszłość taka wskrzeszoną już tylko być może chyba siłą fantazyi. Kroniki wymieniają nazwiska, głośne dziejowe wypadki, ale każde z tych nazwisk obok swych czynów głośnych miało i swój żywot domowy, każdemu z tych wypadków towarzyszyły w tysiącznych swoich odcieniach wypadki drobne; otóż tę całość wskrzesić, tę łączność przedstawić, do ciała zniklej przeszłości dołączyć i obraz duszy, i słowem, do kreślonych dziejów zewnętrznych dopisać wewnętrzne, to jest zadanie powieści, o których mowa.

Jaki dla osiągnięcia takiego skutku użyty został przez autora proceder, wzmiankowaliśmy już i powtórzymy tu jeszcze. Autor szereg powieści kreśli chronologicznie koleją panowań, lecz zostawiając jakby na boku to, co powszechniej jest znane, co bardziej zewnętrzne, staje swoje oznacza nie nazwiskami królów, wodzów lub głośnych wypadków, lecz szuka w danym okresie tradycyi, lub wzmianki o jakim fakcie wewnętrznym, z tego wysnuwa ramy dla całej współczesności krajowej, i w tych ramach nakreśla obraz danego czasu.

Te pierwsze pięć powieści, o których donosiliśmy tu szczegółowiej rok temu trzeci, były, przypomnijmy, treści następnej.

Pierwsza prawie wyłącznie fantastyczna i mająca też nazwisko »Starej Baśni«, miała za przedmiot domowe zajścia i w końcu przyjazne zlanie dwóch różnych, na jednej ziemi mieszkających rodów, Leszków i Polan, — obiór

pierwszej historycznej dynastyi, — pierwsze walki z germanizacyą, — i przedświt chrześcijaństwa. Druga »Lubonie« opowiadała dzieje czasów Mieczysława I. a mianowicie tę walkę, jaką przebyła w tym czasie większość narodu pogańska, której reprezentantem był stary Luboń, ze zwycięską w końcu mniejszością, reprezentantem której był młody Luboń, tajny misyonarz. Trzecia, mająca napis: »Bracia Zmartwychwstańcy«, wziąwszy za temat tradycyą o dwóch ukrytych od gniewu królewskiego braciach, skreśliła głównie w tych ramach obraz czynności, potęgi, charakteru oraz domowego pożycia Bolesława Chrobrego. Czwarta *Masław* była obrazem reakcyi pogańskiej i zniszczenia kraju po Mieczysławie II-im, oraz odbudowania go przez Kazimierza I-go. Piąta wreszcie, mająca napis *Boleszczyce*, skreśliła czas pierwszej walki chrześcijaństwa z władzą królewską, zwycięstwo króla, lecz wnet i ustąpienie z kraju w towarzystwie kilku tylko, którzy mu pozostali wiernymi.

Trzy powieści, któreśmy z kolei otrzymali, są już odbiciem czasów, w których z pewnej strony już postępne a nowe wyraziły się rysy, a mianowicie stale utwierdzone chrześcijaństwo, oraz obok książęcej czyli królewskiej rosnące w potęgę władze duchownych i możnych. Co do ram historycznych, pierwsza z nich, *Królewscy Synowie*, opowiada o dziejach dwóch synów Władysława Hermana, Zbigniewa i Bolesława; druga: *Historya o Petrku Właście* o ostatnich latach życia tak zwanego w kronikach naszych Piotrka Duńczyka i zarazem o pierwszych wzajemnych walkach synów Krzywoustego; trzecia wreszcie: *Stach z Konar* o rządach najznamienitszego z tych synów, Kazimierza.

Co w tych nowych powieściach wziętem jest z tradycyi i kronik, a co z fantazyi? jak stoją te utwory w odniesieniu do swej gałęzi? jakie właściwie role grają w nich historyczność i artystyczność? chcemy właśnie rzec tu słów kilka, lecz iżby te jaśniejszemi się stały, wspomnieć wypada przedewszystkiem o szczegółowem zawarciu każdej.

Powieść *Królewscy Synowie* równie jak *Bolesz*[illegible] treść ma prawie wyłącznie historyczną. Stosunek wzajemny dwóch braci, Zbigniewa i Bolesława, tak z siebie jest dramatycznym i daje sam przez się akcyę tak zajmującą, iż autor dla przedstawienia obrazu dziejów wewnętrznych z końca XI-go i początku XII-go wieku i zainteresowania niemi czytelnika nie potrzebował wynajdywania innych ram, ani węzłów.

Treść powieściową otwiera klasztor w Saksonii. Dwaj klerycy, Łukasz i Aleksy, wiodą braterski spór. Pierwszy marzy jedynie o królestwie niebieskiem, drugi o ziemskiem. Do klasztoru kołaczą pielgrzymi. Wpuszczeni zamieniają się w zbrojnych rycerzy i objawiwszy, że brat Aleksy to syn królewski Zbigniew, uprowadzają go z sobą do Polski, do Wrocławia. Tron Polski zajmował natenczas brat zmuszonego do ustąpienia z kraju Bolesława, *Władysław* (Herman). Słaby i niedołężny, rządy kraju zdał na ulubieńca swego *Sieciecha,* a mąż ten rycerski i piękny widząc, iż ulubieńcem jest nie tylko króla, lecz i królowej, marzył o zastąpieniu wkrótce swojego pana i na tronie i w domu. Królową była *Judyta,* siostra Henryka IV, druga ślubna żona Władysława; wstąpiwszy ona na tron, starszego mężowskiego syna (z żony nieślubnej) Zbigniewa odesłała do klasztoru, o młodszym (Bolesławie) nie wątpiła razem z Sieciechem, że żwawy ten i ognisty chłopiec lada dzień zginie z ręki Pomorców, lub od kła dzika. Sieciech, by usunąć rywali a wzróść w powagę, jednych z ziemian więził, innych wyganiał i wszelkimi sposoby uciskał kraj. Opierał się wojewodzie jeszcze starosta wrocławski Magnus i uprzedzając cios, związał się potajemnie z Czechami i wygnańcami, by na ratunek kraju sprowadzić Zbigniewa. Magnus i Zbigniew nie przystali jednak do siebie. Sieciech z królem nadciągnęli pod Wrocław i Magnus kapitulował. Zbigniew cofnął się do Kruszwicy; niemężny i nierycerski, mimo pomoc Pomorców i Czechów rozbity i ujęty, osadzonym został w więzieniu w Gnieźnie. Na uroczystość do

Gniezna przybył król i na prośby arcybiskupa, ujętego widokiem leżącego co dnia krzyżem w kościele Zbigniewa, przebaczył mu i uznał za syna. Bolesław i Zbigniew zamieszkiwali przy ojcu czas jakiś zgodnie, lecz gdy wysłani przeciw Pomorcom pokłócili się o dowództwo, ojciec osadził jednego w Sandomierzu, drugiego w Gnieźnie. Ścigani przez Sieciecha, dwaj bracia przyrzekli sobie pomoc wzajemną, a gdy jeden ze świeżych ulubieńców Bolesława (Strzegoń), skruszony dobrocią pana, ostrzegł go, iż jako członek spisku nasadzonym został przez Sieciecha, aby go wprowadzić w zasadzkę Czechów, połączyli swe wojska, aby wyjednać u ojca usunięcie wojewody. Król z wojskiem oczekiwał zbliżenia się synów w Żarnowcu, lecz Sieciech uczuwszy się winnym, umknął do Sieciechowa; pod Sieciechów przyciągnął już król wraz z synami, ale nocą umknął łódką do ulubieńca i z nim razem następnie zamknął się w Płocku. Przyciągnięte pod to miasto wojska synowskie miały już rozpocząć wojnę domową, gdy przybyły jako pośrednik arcybiskup wyjednał wydalenie Sieciecha. Synowie po nastąpionej wkrótce śmierci ojca zostali przy osobnych dzielnicach, ale pierwotna przyjaźń zamieniła się wkrótce we współzawodnictwo. Zbigniew, nieprzyjaciel oręża, siedział i bawił się tylko w Gnieźnie; Bolesław, miłośnik bojów, bił po kolei Czechów, Pomorców, Prusaków, bronił i swojej dzielnicy i Zbigniewowej, a nie mogąc w końcu wydołać, wysłał do brata posłów, domagając się, aby lub mu ustąpił ziemię, lub dopomagał w wyprawach. Zbigniew uwięził posłów, rozpoczął wojnę, pobity ustąpił z Gniezna, a mając dozwolonym pobyt w Mazowszu, podburzył przeciw bratu Pomorców i sam złączył się z nimi. Pobity znowu i na wygnanie skazany, udał się na dwór cesarza Henryka V-go i, zaręczywszy mu łatwy podbój Polski, razem z nim wtargnął do kraju. Henryk wchodząc z potężnem wojskiem, zażądał od Bolesława hołdu, daniny i oddania połowy państwa Zbigniewowi. Opór Bytomia, obrona Głogowa, Psie pole, przymusiły Niemców do ustą-

pienia. Zbigniew jednak raz jeszcze otrzymał przebaczenie od brata i zamek na mieszkanie. Przekonany wkrótce o nowy zamach, osadzony został w więzieniu i skazany na oślepienie, lecz oprawca w ręcznej walce z broniącym się pozbawił go życia.

Historya o Petrku Właście ma początek jak w dawnych powieściach romantycznych. Oberża pod Wrocławiem. Do oberży wchodzą po kolei podróżni, młody rycerz, stary rycerz, stary dziad, wieśniak, ojciec benedyktyn, każdy prawie opowiada powieść o swych przygodach. Najwięcej jednak powieścią swą zajął stary dziad, który na prośbę niektórych z gości opowiedział o właścicielu oberży, możnym palatynie Petrku Właście, a mianowicie jako on był niegdyś pierwszym ulubieńcem zmarłego króla, jak wtedy zręcznym podstępem ujął był księcia ruskiego Wołodara i uwiózł jego skarby i córkę Maryę, tę samą, która dziś jest poważną palatynową i matką anielskiej córki Błogosławy — jak następnie dla odpokutowania za winy pobudował 77 kościołów i jak wreszcie obecnie, jako wykonawca woli zmarłego króla, czuwa nad bezpieczeństwem jego dzieci. Słuchał tej powieści z zajęciem młody rycerz Jaksa z Miechowa; był on jedynym synem starej dziedziczki Komorowa, a wróciwszy świeżo z podróży po zachodzie, zamyślał i o pojęciu towarzyszki życia i o zawodzie w kraju. Z powieści dziada o Petrku uderzyła go mianowicie wzmianka o jego anielskiej córce. Zabłąkany do oberży śród łowów, wracał nazajutrz w towarzystwie jedynie dwóch psów szczególnej rasy, lecz oto spotkał go w drodze biskup wrocławski Janik, również miłośnik łowów. Uderzony widokiem psów, zatrzymał ich właściciela, a poznawszy w nim swego bratanka, zawrócił go i zmusił do przebawienia u siebie dni kilku. Jednego z tych dni ukazał się na dworze biskupa gość niepoczesny, w starej wytartej sukni, ale przez gospodarza z odróżnieniem przyjęty; był to palatyn Petrek. Zapoznał się on i z bratankiem, a dowiedziawszy się, iż ma zamiar udać się na dwór księcia,

obiecał mu poradę i pomoc, jeśliby go odwiedził. Na dworze Petrka Jaksa ujrzał też jego żonę, córkę i syna Świętosława, z Świętosławem zawiązał braterską przyjaźń, a widok córki miał się wyryć w jego pamięci do końca życia. Rodzice, a zwłaszcza matka, przeznaczali ją dla udzielnych książąt, nie dla rycerzy; ale dla Jaksy dostatecznem było oglądać ją przynajmniej kiedyniekiedy; wdzięczny więc za instrukcye i polecenia, podążył do Krakowa do dworu. Panem nad Krakowem i Szlązkiem był książę Władysław, najstarszy syn Krzywoustego (ze Zbisławy), miał jednak pewną zwierzchność i nad młodszymi braćmi (z matki Salomei), którzy otrzymali osobne dzielnice, a mianowicie: Mieczysław Wielkopolskę, Bolesław Mazowsze, Henryk Sandomierskie. Wojewoda objaśnił Jaksie, iż nader się lękał, aby książę ulegając poszeptom żony (siostry ces. Konrada, Agnieszki) i spólnego ich ulubieńca Dobka, nie starał się wyzuć braci z ich dzielnic, zwłaszcza iż głośnem było, że jako syn księżnej ruskiej mógł liczyć na pomoc Rusinów i Połowców, którzy obyczajem ówczesnym zamieniliby kraj w perzynę. Książę Władysław uprzejmie przyjął Jaksę, lecz co do przyjęcia na dwór, odesłał go po decyzyę do Dobka. Dobek rad był rycerzowi możnemu i z łatwością go przyjął. To jednak, co ujrzał Jaksa na dworze, więcej niż potwierdziło domysły Petrka. Władysław nie poprzestając na pobieraniu opłat z dzielnic braci, zamyślał o wygnaniu ich z kraju i oczekiwał tylko na sprzymierzeńców. Zawiadomiony o tem Petrek, wraz z wojewodą Wszeborem przybył na czele ziemian na dwór księcia z przełożeniami, lecz ściągnął tylko na siebie nienawiść księżnej; przybyło w tymże celu poważniejsze jeszcze poselstwo biskupów na czele z arcypasterzem (Jakóbem ze Żnina) i również nie miało skutku. Młody Jaksa spoglądał na to wszystko, żałował książąt, lecz jako młody, zajęty był głównie sobą, uczuciem własnem, wyjednawszy więc uwolnienie na czas jakiś, udał się na dwór przyjaznego niegdy sobie księcia Henryka do Sandomierza, a to już dla uprzedzenia go o gro-

żących jemu i braciom niebezpieczeństwach, już z prośbą o wstawienie się za nim i wyswatanie mu córki Petrka. Wszakże zaledwie tu przybył, doszły go głuche a dziwne wieści o losie palatyna. I były słuszne. Wkrótce po poselstwie ziemian ks. Władysław, by ująć Petrka, udał się w towarzystwie jego na łowy. W czasie tych zostali odosobnieni i zabłądzili; a gdy książę pocieszając Petrka, który się troszczył o żonę, rzekł: »bądź spokojny, pociesza ją teraz opat strzelnieński«, Petrek zapominając się, odrzekł: »A twoją, miłościwy książę, Dobek — wiedzą to wszyscy«. Książę zmilczał, ale nie zmilczała zawiadomiona o tych słowach Agnieszka. Ujęty i osadzony w więzieniu, Petrek jako potwarca pozbawiony był oczu i języka. Dobra i skarby jego zabrał Dobek. Kobiety staraniem opata odesłane gdzieś zostały w głąb puszczy pod dozór niewiast. Na wieści te Jaksa pośpieszył do Krakowa, widział się z księciem i pogonił na wyszukanie kobiet, ale daremnie — przed powrotem zboczył jeszcze odwiedzić matkę i tu właśnie znalazł swą zgubę. Nie bawił jednak długo. Pobity nad Pilicą, książę Władysław wraz ze sprzymierzeńcami pociągnął pod Gniezno, tu byli zamknięci wszyscy bracia, tu się udał i Jaksa. Przed rozpoczęciem ostatecznych kroków, duchowni (a w ich liczbie i sprowadzony tajemnie przez Jaksę biskup krakowski) usiłowali je powstrzymać, lecz nadaremnie. Jan ze Żnina rzucił klątwę na księcia. Bój się zaczął, lecz skutek boju był pomyślny dla braci. Władysław z żoną umknęli do Krakowa, następnie z kraju i nie wrócili tu nigdy. Rząd w Krakowie objął Bolesław mazowiecki jako najstarszy z braci. Jaksa pomimo opór matki poślubił Błogosławę; był na weselu i ojciec, patrzący jednak i mówiący; wyznaczony bowiem oprawca był wielbicielem Petrka i pozornie tylko wykonał był operacyę. Szczęście Jaksy nie było wszakże długie; Błogosławę, którą był poślubił jesienią, utracił na wiosnę. Zrozpaczony poszedł wkrótce w orszaku księcia Henryka na wyprawę krzyżową

do ziemi św. Po powrocie założył w swym dziedzicznym Miechowie klasztor bożogrobców.

Powieść ostatnia: *Stach z Konar* mówi o rządach w Krakowie następców Kędzierzawego, Mieczysława i Kazimierza. Stuletni Ścibor, towarzysz jeszcze Krzywoustego w jego wyprawach pomorskich, mieszka w swym wiejskim dworku w Sandomierskiem z jedną córką Jagną i wzdycha, iż nie ma zięcia; ale piękna rycerka, dziedziczka dóbr rozległych, raz wyrzekła, iż nie poślubi nikogo, gdyż ten jej jedyny kochanek, o jakim marzy, nie mógłby jej poślubić. Jednego dnia (i dzień ten zaczyna właśnie powieść) nadmienił jej ojciec wzruszony, iż miał sen, że odwiedził go syn dawnego towarzysza bojów, Stach z Konar, lecz że to niemożliwe, i z okoliczności tej opowiedział, jak Stach ten będąc jeszcze chłopięciem, był towarzyszem zabaw obecnego ich władcy, księcia Kazimierza, jak raz zgrawszy się w kostki, uderzył go w policzek, osądzony był na śmierć, lecz książę mu przebaczył — dodał przytem, iż jakkolwiek oswobodzony, zrozpaczony jednak i nienawiścią ku sobie powszechną i skruchą, iż tak dobrego pana obraził, sam sobie naznaczył karę i zmieniony, z przybranem innem nazwiskiem (Zabora z Przegaju) służy tajemnie, pomaga i czuwa z wiernością i ofiarnością bez granic pokrzywdzonemu księciu. Ojciec kończył swą powieść, gdy oznajmiono przybycie gościa, a gościem tym właśnie był Stach. Jagna nienawidziła go niegdyś, lecz dziś ujrzawszy go zmienionego, a zwłaszcza zasłuchana w jego opowiadanie, wdzięcznem nawet spojrzała nań nieraz okiem. Opowiadał zaś Stach o dziejach swej skrytej służby, jak razem z księciem odbył podróże dalekie, jak z nim razem był przy Rudobrodym na dworze i w wyprawach, jak wpłynął niepostrzeżenie, przez pośrednictwo biskupa, że ks. Henryk sandomierski (który powróciwszy z krucyaty, poszedł na pogan pomorskich i z ręki ich zginął) w testamencie swym następcą naznaczył Kazimierza, jak nadto i szlachcie ziemi krakowskiej, którą teraz włada Mieczysław, napomyka, iżby

raczej tego księcia na rządcę wezwała. Tak opowiadał Stach, kiedy stukanie w bramę nowych gości zapowiedziało; był to Kietlicz z towarzyszami, prawa ręka księcia Mieczysława, który nie poprzestając na ucisku własnych, wpadł i w pograniczne ziemie, by je odzierać, i kiedy tu Stach na prośbę Jagny (której spojrzenia podbiły go na zawsze) chciał od osobistych przynajmniej zniewag zasłonić jej ojca, ujęty i zaprowadzony został do Krakowa jako buntownik. W Krakowie zasiadł sąd, którego obowiązkiem było zasilać skarb, t. j. skazywać wszystkich winnych i niewinnych na karę siedmnadziestą; za tę karę był uwolnionym i Stach. Mieczysław, z wydziału ojca książę wielkopolski, a dziś po śmierci brata Bolesława, jako najstarszy z kolei, książę krakowski (małoletni syn Bolesława, Leszek, został tylko przy pierwotnej dzielnicy ojca, Mazowszu), w imię dzielności i sprężystości władzy odbierał i uciskał swe ziemie, wszystkie ich stany, duchownych, ziemian, lud wiejski; napomniany przez biskupa krakowskiego Giedkę (Gedeona), skazał go na wygnanie, innych skazywał na śmierć, okaleczenie. Ziemia cała powstała i wezwała Kazimierza na rządcę. Kazimierz kochał brata i nie zgadzał się za nic stać się zdrajcą jego, przywłaszczycielem, zgodził się tylko przybyć do Krakowa jako pośrednik, lecz za zbliżeniem jego Mieszko, opuszczony od swoich, ustąpił do Wielkopolski. Objąwszy rządy, Kazimierz usprawiedliwił ogólną dla siebie miłość i ufność, poznosił uciskające prawa, zwołał zjazd do Łęczycy (ustawy którego rozciągnęły opiekę nad własnością ludu wiejskiego i duchowieństwa); ożeniony z księżniczką ruską, i wplątany w zajścia książąt ruskich, pod zarząd swój przyłączył ziemie: brzeską, drohicką, przemyską, z woli synów Mieczysława część Wielkopolski, a po śmierci małoletniego Leszka: Mazowsze. Rycerski jak przodkowie, pobożny, a nadto miłujący nad wszystko nauki i przy ucztach rozmowy uczone, Kazimierz łączył jednak i jedną wadę Piastowską, słabość dla płci pięknej. Poślubiwszy z polecenia duchownych i panów księżniczkę, którą sza-

cował, nie porzucił jednak i nie porzucał długo, bawiąc w Sandomierzu, jakiejś miłośnicy tajemnej, z którą się zjeżdżał w gaju, a teraz zamieszkawszy w Krakowie, nie mógł się oprzeć ułudom głośnej piękności nowej. Stach, który wszędzie i zawsze służąc księciu, nie przestawał marzyć o Jagnie, ani się domyślał, że ową miłośnicą w gajach sandomierskich była właśnie Jagna; krakowską była młoda wdowa, Dorota Tęczyńska; obie podobne do siebie z tego, iż uwielbianym ich ideałem był Kazimierz, różniły się nader tem, iż gdy Jagna myśleć nawet o nikim drugim nie chciała i kochanką była tylko dla Kazimierza, Dorota była zarazem jawną dla wszystkich. Postrzegł to wkrótce Kazimierz i zbrzydziwszy swój przedmiot nowy, wrócił do dawnego, odtrąconego, z czułością dawną. Jagna po śmierci ojca obrała swym opiekunem Stacha i zamieszkała w Krakowie nad Wisłą; Dorota zrozpaczona umyśliła się uciec do środków sztucznych. W czasie jednej z wypraw Kazimierza na Ruś, Mieczysław z pomocą Kietlicza i malkontentów, rozpuściwszy wieść o śmierci Kazimierza, zagarnął Kraków. Za zbliżeniem się jednak nagłem Kazimierza, milczkiem się wyniósł; załoga zamku, który był sobie zbudował, poddała się, a ukryty między trumnami Kietlicz, znaleziony i odesłany został na Ruś na wygnanie. Człowiek ten wrócił jednak do Krakowa tajemnie i nie przestawał knuć zdrady. Dorota na wiadomość, że jest to czarodziej z Rusi (za takiego się podał), uprosiła go o napój miłosny, który przy wymówieniu imienia miał podać królowi faworyt jego i jej, Wichfried. Ale Kietlicz do żądanego napoju wmieszał truciznę. Wychyliwszy ją Kazimierz w czasie uczty, upadł i życie wyzionął. Jagna, która już przedtem przyjęła była powolny jad, by uwolnić księcia od siebie, a siebie od ciężaru życia, na tę wiadomość zgasła. Dorotę, którą strzegła tylko opieka króla, bracia za marnotrawstwo i nierząd zamknęli do wieży. Stach, który dowiedziawszy się tajemnicy Jagny, przestał był marzyć o związku małżeńskim, pokutne i po śmierci księcia prowadził życie.

W takich ramach rozwinięte są trzy ostatnie powieści historyczne J. Kraszewskiego. O stronie ich tak historycznej, jak artystycznej toż prawie powtórzyć wypada, co powiedzieliśmy mówiąc o pierwszych pięciu; to jest, iż jakkolwiek nić powieściową każdej oprócz historyi stanowi i różność intryg, z życia prywatnego czerpanych, właściwym jednak każdej z nich bohaterem, t. j. przedmiotem najwięcej wzbudzającym zajęcia i najwięcej łączącym ową różność w jedności jest nie bohater intrygi, nie ta nawet, lub inna osobistość dziejowa, ale *kraj* w danym okresie; iż wykład powieściowy cechuje wszędzie: pokój, powaga i umiejętność przejęcia się duchem i charakterem danego czasu, i wreszcie, iż przymiotem głównym w ekspozycyi, tak tu, jak i we wszystkich innych powieściowych utworach Kraszewskiego jest: charakterystyka osób. Charakterystykę tę kreśli autor już opisem, już przez akcyę, już przez dyalog. Dyalog to najsilniejsza strona jego powieściowego talentu. Formą tą kreśli autor wszystkie swoich postaci odcienie psychiczne, i formą tą rozwija najrozmaitsze z położeń płynące kwestye, społeczne, religijne, obyczajowe i t. p. i w każdej z tych czyni nawet nieraz mistrzowskie dotknięcia. Słowa tego dyalogu, lubo bez archaizmów, nie wydają się oderwanemi od swoich wieków; pamięć na umysłowy poziom danego czasu, unikanie wyrazów nowszych, wtrącenie od czasu do czasu jakiego starosłowiańskiego, kończenie niekiedy frazesów jednosylabnie i t. p., dostateczne są do utrzymania barwy innego wieku.

Dodajmy jednak, iż gdy trzy obecne powieści krokiem bliżej weszły w czas kronik i tem samem więcej się mogły przejąć sobie właściwą barwą — historycznością, tedy bliższy też i na ten ostatni przymiot wzgląd mieć musimy. Dwa pierwiastki: artystyczny i historyczny jakże się łączyć mogą? w powieści z zadania *historycznej* ile dopuszczają się wzajem? Powieść historyczna przez to samo, iż jest *powieścią*, czerpać musi zapewne nie tylko z kronik, lecz i z fantazyi, lecz przez to samo, iż jest *historyą*, strzedz

musi i pewnych granic w bujaniu fantazyi. Granice te są zdaniem naszem następne: Jeżeli wynalazki fantazyi są tylko dopełnieniem i rozjaśnieniem znanych z historyi faktów, jeżeli nawet dają nam wypadki, postaci całkiem historyi nieznane, lecz czynność ich nie sprzeciwia się w niczem dziejowym faktom i jest w duchu i ramach znanej historyczności, tedy pomysłów takich nie tylko nie mamy prawa uważać za wykroczenie, lecz stosownie do barwy powieści raczej za jej zaletę, przyrost dziejowy. Lecz za ujemność przeciwnie liczyć wypada, jeżeli w kreśleniu osób i faktów podaje szczegóły, które są jawnym kontrastem z podaniem kronik.

Te zalety lub ta ujemność, jakże się wyraziły w trzech powieściach, o których mowa? wspomnijmy tu po kolei.

W powieści *Królewscy synowie* mimo czterotomową jej rozciągłość, wszystko prawie, jak już wspomnieliśmy, jest historycznem. Synów księcia autor słusznie nazwał synami króla, bo nawet synowie Krzywoustego nieraz w aktach krajowych i nawet w obcych królami byli nazywani, zapewne w stosunkach domowych. Stosunki wzajemne dwóch braci, Zbigniewa i Bolesława, opisał szczegółowie spółczesny im kronikarz Gallus; Kadłubek, który w kronice swej pisał raczej filozoficzno-poetyczny komentarz do dziejów jak dzieje, niektóre z rysów tego stosunku podniósł wymową, Długosz poszykował fakta chronologicznie. Według Galla i według tych historycznych tradycyj skreślił też właśnie Kraszewski powieść obecną. Jej pierwszo- i drugorzędni bohaterowie, jak król Władysław, jego żona Judyta, Bolesław i Zbigniew, Sieciech, Magnus, Wojsław, arcybiskup Marcin, Skarbimir, są to postaci ściśle historyczne; wszystkie też jej główne ustępy, o których wzmiankowaliśmy, jak oto: bytność Zbigniewa w klasztorze, szczegóły pobytu we Wrocławiu, w Kruszwicy, Gnieźnie, protekcya arcybiskupa Marcina, poróżnienie się braci o dowództwo, prześladowanie Sieciecha, związek braci przeciwko Sieciechowi i ojcu, pojednanie w Żarnowcu, słabość

księcia dla ulubieńca, nawet ucieczka jego na łódce z obozu synów, kapitulacya Płocka, wygnanie Sieciecha, wojna braci, szczegóły zdrad Zbigniewa, wojny z cesarzem i t. p. również historycznemi są ściśle. Stosunki Judyty i Sieciecha jakkolwiek wyraźnie historycznemi nie są, są jednak nader prawdopodobne; i owszem, uważać można, iż Gallus ustęp swój, poświęcony w kronice Sieciechowi, kończy słowami: »lecz dosyć już o królowej i o Sieciechu« (II., 17), chociaż nie czytamy w nim nic o królowej; wniosek więc, iż było coś w ustępie i o królowej, co jednak uważał następnie za właściwe kopista opuścić, albo i sam autor przemazać. Trzeciorzędne osoby w powieści: nasadzeni od Sieciecha i od królowej do boku Zbigniewa do podburzania go przeciw bratu: rycerz *Sobiejucha* i faworyta *Greta*, jakkolwiek niehistoryczne, prawdopodobne również, bo jeśli były działania, nie mogły być bez swych następstw.

Pomysłem również fantazyi jest szczegółowy opis spisku, urządzonego przez Sieciecha na życie Bolesława, nasłanie do jego boku jednego ze spiskowych, *Strzegonia*, skrucha następnie tegoż i spowiedź z winy; gdy jednak kronika Galla mówi wyraźnie, iż była wieść o tym zamiarze Sieciecha, tedy prosta jest rzecz, że być musiała i podstawa tej wieści, były szczegóły wykonania zamiaru, był ktoś, kto je zdradził i t. p.; ustęp ten może się więc tylko uważać za trafne dopełnienie do dziejów, nie za zaprzeczenie im.

Jest wszakże w tej powieści i kilka szczegółów, które już są jawnym kontrastem ze szczegółami kroniki, a do takich należą np. następne: Magnus figuruje w powieści do końca jako starosta wrocławski, według kroniki był on po kapitulacyi usuniętym z Wrocławia, a następnie wspominanym jest już za Bolesława jako starosta mazowiecki; w powieści w obozie kruszwickim grają rolę szczegółową Czechowie, według kroniki w Kruszwicy byli tylko Pomorcy i Prusacy, Czechowie zaś korzystając właśnie z odciągnięcia wojsk pod Kruszwicę, wpadli do Szlązka; w po-

wieści czytamy szczegółowy opis zwoływania i odbywania się sejmu w Płocku w celu wyznaczenia dzielnic dwom braciom po kłótni ich o dowództwo; spółczesny Gallus mówi przeciwnie, że ojciec po owej kłótni »*natychmiast* im osobne dzielnice wyznaczył« (»*confestim* inter eos regnum decernit« II., 7). Pierwszy zjazd panów, o jakim wspominają nasze kroniki, był za Władysława, syna Krzywoustego, dla oznaczenia stosunków jego do braci (1140), a i sam autor w powieści »Stach z Konar« wyraża, iż pierwszym sejmem polskim był zjazd w Łęczycy; przypisany w powieści Skarbimirowi czyn, iż do złota, którem go chciał przekupić cesarz Henryk, dorzucił swój pierścień, kroniki przypisują Skarbkowi i t. p.

Takie kontrasty w powieści historycznej z historyą, to według nas ujemności, dodać jednak wypada, iż charakter ogólny tej, o której mówimy, i szczegóły jej zbyt przeważają barwą ścisłej historyczności, iżby skazy te za skazy większej wagi miane być mogły. Kończąc zaś o tle dziejowości, dodajmy, że i w obecnej powieści, jak w innych, spotykają się też i te rysy, które za szczęśliwe godzenie pomysłów z historycznością uważać się mogą; jak to np. kronika Galla wspomina, iż w czasie pasowania Bolesława na rycerza dały się słyszeć słowa prorocze, powieść mówi, iż wyraził je sam Gallus; mówiąc o owej piosnce, którą według kroniki miano śpiewać w obozie niemieckim na cześć Bolesława, autor wyraża, iż ją śpiewali Czechowie, którzy przeciw woli powołani byli przez cesarza na sojuszników; a podwójnie podawaną tradycyę w kronikach o końcu Zbigniewa, który według jednych miał być w więzieniu życia pozbawionym, a według drugich tylko oślepionym, godzi w ten sposób, iż oprawca, który go miał oślepić, będąc pchnięty nożem przez swą ofiarę, w obronie swej pozbawił go życia. Słusznie też czyni autor, iż o szczegółach bitwy na *Psiem polu* opowiedział według późniejszych tradycyj, że bowiem bitwa, wydana przez Bolesława zastępom niemieckim po odstąpieniu ich od Głogowa, była

stanowczą, potwierdzają to i kroniki niemieckie i sam ten fakt, iż owa »innumerosa multitudo« i »giganteae legiones« były zmuszone wyjść z kraju, aby więcej nie wrócić. Iż kronika Galla nie wspomina Psiego pola, jak to czynią bliskie następne, mogło być powodem, iż okoliczna ta nazwa nie stała się jeszcze była głośną w kraju, a przez kronikarza, najprędzej cudzoziemca, rozumianą nawet nie była.

Wszakże główną cechą powieści, jako powieści, jest dramatyczność jej, a w tej charakterystyka osób, na tę więc bliższą zwrócić musimy uwagę. Charakterystyki osób szczególnych już rozwinięte, już krótkie, wszystkie są w powieści mistrzowskie, a zachowaną też wszędzie jest ściśle i charakterystyka wieku. Główną barwą wieku, z którego jest powieść, była rycerskość, i trafnie też ją właśnie przedstawił główny bohater powieści, t. j. główny bohater i spółczesnej kroniki Galla: *Bolesław.* Bolesław (autor zowie go wszędzie zdrobniale *Bolko,* jak kronikarze ówcześni Mieczysława zwali *Mesco,* Gedeona *Gedko* i t. p.), ten jedyny prawy syn Władysława, a jeden z najdzielniejszych królów polskich, dobitnie a zgodnie wszędzie ze szczegółami kroniki tu skreślony. Zaraz na pierwszych kartach powieści, wzmiankując o wieku jego dziecinnym, tak go autor określa: »Śliczniejszego pana nad to chłopię, nad to dziecię wymodlone od Boga, widzieć było trudno. Chociaż jedenaście ledwo lat miał skończonych, rycerzem już mógł się nazwać, szanowano go jako dorosłego męża. Bił ci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał nie drgnąwszy. Mówili nań niektórzy: Bolesława to owego wielkiego potomek prawy, odżyje w nim tamten, wdał się w niego. Miał odwagę niezłomną Chrobrego, a Szczodrego szał wojenny i wspaniałość«. Opowiada autor dalej za kronikarzem, jak będąc jeszcze dzieckiem (Bolesław), walczył z dzikiem, przebił niedźwiedzia, wracał zwycięzcą z wypraw na Morawę i przeciw Pomorcom. Religijny, waleczny, szlachetny, z jakiem zawsze uwielbieniem był dla ojca i z jaką rozpaczą był w sercu, kiedy zmu-

szony ciągnąć przeciw Sieciechowi, działał razem i przeciw ojcu, jak wobec jawnych zdrad brata nie zapominał, iż ten jest bratem. W czasie wypraw istotny rycerz chrześcijański z wieku wojen krzyżowych, spowiadał się i mszy słuchał w obozie przed każdą walką, z równą żądzą wzdychając i do nawrócenia pogan i do ich krwi. Wszystkie też główne walki, zwycięskie czyny, które autor w innych powieściach zwykle kreślił przez omówienia, tu wszędzie z całą szczegółowością i z całą historyczną przedmiotowością są określane. Tę piękną i świetną postać raz tylko (i sądzimy niesłusznie) przyćmił autor w powieści, gdy tak zawsze powściągliwy, szlachetny nawet w zajściach swych z bratem, w kłótni przy ciele ojca o pozostałe skarby, zowie go »nieprawym«, »przybłędą«; o kłótni tej wspomina wprawdzie i kronika, lecz słów skromniejszych wymagała sama jedność rysunku. Winnym śmierci Zbigniewa autor nie czyni brata, i za przesadną uważa tę pokutę, jaką czynił po jego śmierci.

Postać arcybiskupa Marcina, jego wpływ na króla i królową, jak w ogólności cały kolor religijny kraju w owej epoce, trafnie równie w powieści skreślony. Autor nie zapomina wprawdzie, iż ten czas, który kreślił, był to dopiero wiek pierwszy wprowadzonego do kraju chrześcijaństwa; stąd też mowa tu nieraz o małżeństwach uważanych jeszcze za ważne, lubo bez pobłogosławienia w kościele, o małżeństwach samych duchownych i o mieszaniu się jeszcze wyobrażeń. Wzmiankując np. o posłuszeństwie na wezwanie *dzwonów,* autor mówi: »Pogańskich jeszcze na pół obyczajów ludzie, słysząc to powietrzne wołanie, szli posłusznie do kościoła, czując się jakby ciągnieni czarodziejską siłą; w głosie tym było zarazem błogosławieństwo i groźba« (II. 31). W innem miejscu, wzmiankując o skrusze nasadzonego przez Sieciecha na Bolesława *Strzegonia,* mówi znowu: »Człek był prosty, sobie samemu nie ufał, nie wiedział, czy się miał księdzu spowiadać, czy wróżki poradzić. Poganina jeszcze w nim było dużo, bo od młodu na woj-

nach, o religii myśleć, ani się jej uczyć nie miał czasu. Z innymi razem na pół pogany obawiał się księży jak czarowników«. Mimo to jednak nie był to już stan kraju z czasu Mieczysławów, ani nawet Bolesława Smiałego; ani o wskrzeszeniu pogaństwa, ani o naruszeniu chrześcijaństwa nikt już wcale nie myślał; i owszem ta walka władzy świeckiej z kościelną, której kraj za Śmiałego był świadkiem, była to jakby miniatura tej, którą niegdyś przebyło całe chrześcijaństwo w swojem nastaniu; siła ziemska przemagała zawsze na oko dobitnie, ale rzetelnym zwycięzcą okazywała się w końcu nowa nauka. Biskup poległ na Skałce, ale duch zabitego przeszedł w duch kraju, i sami następcy królewscy o dalszej walce z kościołem myśleć nie mogli. Król Władysław nie mógł zapomnieć, iż brat jego wskutek tej walki musiał ustąpić z kraju, a królowa Judyta, iż brat jej boso szedł do Kanossy; mimo całą zawziętość przeciw synom, z ojcem walczącym, i mimo całą słabość dla ulubieńca, Władysław jak w Żarnowcu na wdanie się biskupów, tak w Płocku na przemówienie arcybiskupa i obu synom przebaczył i przystał na wygnanie Sieciecha.

Krótko, ale dobitnie odkreślone są charaktery Sieciecha i Judyty. O pierwszym w którejś wzmiance mówi np. autor: »Sieciech (dnia tego) był podobniejszym sam do króla niż do wodza, stojącego pod rozkazaniem pańskiem. On tu rozrządzał, on władał. Jemu w oczy patrzano i skinienia słuchano. Wpośród wszystkich górował i postacią i twarzą i ubiorem wspaniałym. W pięknej męskiej jego twarzy widać było zarazem rycerza, silnej woli dostojnika i zalotnego człeka, który sobie serca chciał zjednać«. — O królowej Judycie: »Lubiła królowa to, co świeciło i co wonnem było i co się uśmiechało, niosąc z sobą wesele, śpiewy, gędźbę, twarze młode i mowy swobodne, przedłużała swoją młodość, okłamując się sama«. — Charakter drugiego bohatera powieści, Zbigniewa, trudniejszym był do ujęcia, szczegółowo jednak w rozwinieniu, i zdaniem naszem, z wiernością historyczną jest wszędzie skreślony. Na ten

rysunek, jako i główny w powieści i oryginalniejszy, wskażemy tu bliżej. Niektórzy z historyków naszych w ostatnich czasach próbowali rehabilitować sławę tego księcia, zwracając uwagę, iż mamy tylko o nim świadectwo jednostronne (Gallus); wszakże nienaruszony żadnem innem świadectwem fakt, iż naprowadzał on nieraz na kraj swój nieprzyjaciół i z nimi walczył, nie dozwala inaczej pojmować i kreślić postaci tej jak nader ujemnie. Autor przypuszcza nawet, iż w odwrót obyczajom wieku, nie był on wcale rycerzem, a raczej tchórzem, a przypuszczenie to ma opór swój na tem, iż się wychowywał w klasztorze, iż główne czyny, którymi się odznaczył, były to tylko podstępy i wreszcie, iż z rysem tym zgodną jest nawet ta wzmianka w kronice Galla, że książę ten, dowiedziawszy się w Gnieźnie, iż listy jego do Czechów pisane zostały przejęte: »Mimo swe zamki, miasta, nie próbowawszy nawet boju. jako jeleń uciekł za Wisłę« (II. 47). Jego przeto, obok dumy, tchórzostwo, obok niejakiej nauki klasztornej, przewrotność, chciwość władzy i chciwość bezczynności, to są rysy, które mu autor trafnie w powieści nadał. Tak kiedy wrocławianie, do których najprzód był przybył, nie radzi z krążących wieści, dopytywali się bliżej o jego przymioty, *Dobek z Morawicy*, który go był uprowadził z klasztoru, rzekł: »Co najgorsze, żem dobrego w nim znaleźć nie mógł. Jak na suchej płonce, com zaszczepił, zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, usłuchać, ukorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielka, ale przewrotność w nim jeszcze większa«. Rysów jego fizycznych nie określił też autor pochlebnie. Kiedy w czasie przybycia króla do Gniezna, młody Bolesław przechadzając się po mieście z Doliwą, ujrzał siedzącego w więzieniu Zbigniewa, Doliwa rzekł: »Ohydna twarz, z za kraty wydał mi się jak zwierz dziki, stworzony, aby siedzieć za kratą«. Owego rozumu swego umiał używać tylko na podstępy, a także i na usprawiedliwienie tchórzostwa. Kiedy go napędzano do koni, do zbroi i sprawę rycerską wystawiano jako naukę, mówił: »Wy sobie z tego

wielką mądrość czynicie, co żadną nie jest. Bić się uczyć nie trzeba, bydlę nawet to umie. Każdy się z tem rodzi, że tłuc potrafi«. Mimo to jednak nader zazdrościł młodszemu bratu jego dzielności i ustępować mu nie chciał. Kiedy ojciec wysłał obu synów przeciw Pomorcom, kronika krótko tylko wyraża, iż »poróżnili się o dowództwo«. Chwilę tę, to pierwsze poróżnienie się zgodnych dotąd braci, autor dramatycznie rozwinął. Bolko szczęśliwy z wyprawy, a nawykły już rozkazywać, zwyciężać, nie wątpił, że razem z wielbiącem go wojskiem, posłusznym mu będzie i brat, gdy więc wszedłszy w nieprzyjacielską ziemię, dał rozkaz do pochodu, i wszyscy już się ruszyli, naglił o to i brata, ale ten stał.

— Ja spocząć muszę — rzekł Zbigniew — a no, potem zobaczymy.

— Jakto zobaczymy? — odparł Bolko — a cóż to masz patrzeć, gdy wszystko opatrzone?

Zbigniew spojrzał bystro, z pod brwi zmarszczonych.

— Juścić ja opatrzeć muszę, *gdyś przy mnie dowództwo.*

— Dowództwo przy tobie? — wykrzyknął Bolko ze śmiechem. — Naucz-że się wprzódy na koniu siedzieć, oszczepem władać. Tyś jeszcze nie wojak, pierwsze pole twoje, a już ci się dowództwa zachciewa? Chyba, żeby nas w puch rozbito! Nie znasz ani Pomorców, ani ich kraju!

— Ja *starszy*, pod niczyje rozkazy iść nie myślę.

— No, to siedź w Santoku i zostań... ja też pod twoje rozkazy nie idę, tyś nie żołnierz.

— Ale syn królewski, jak i ty, i starszy. Czyń, co chcesz, inaczej nie będzie.

— No, to nie będzie nic — krzyknął porywczo Bolko — na zgubę ludzi prowadzić nie dam.

— Jeżeli sam wojny nie znam, znajdę takiego, co za mnie będzie znać i powiedzie, ale z mej ręki.

Bolko się z ławy zerwał.

— Na prawdęś to rzekł?

— Nie na żart.

— No, to ja też ci powiem na prawdę, że pod tobą, ani wodzem z twojej ręki, nie idę. Wezmę z sobą połowę ludzi, bierz ty drugą i próbujmy szczęścia.

Chciał wychodzić w podwórze, gdyż go już piekło i pilno mu było, gdy Zbigniew zatrzymał:

— Ja cię stąd nie puszczę, nie pozwolę, jam tu dowódcą, nie ty.

Bolkowi krew zawrzała.

— Hej! — zakrzyknął — ze mną dobrem słowem wiele można dokazać, ale rozkazywać mnie i siłą brać, nie twoja rzecz. Wierz mi, nie próbuj się ze mną, nie zadzieraj z bratem! Gdyśmy cię z więzów uwolnili, pokornym byłeś, takim zostań, lepiej ci z tem będzie. Równym cię chcę znać, wyższym nie.

Zbigniew pobladł i trząsł się.

— Com rzekł, to strzymam — odezwał się zniżonym głosem.

— A ja com powiedział, od tego nie odstąpię — odparł Bolko śmiało.

— Ni ja.

— Ani ja (I. 82).

Ramy artykułu nie pozwalają nam przytaczania równie drobnych odcieni charakteru Zbigniewa we wszystkich jego następnych przejściach; dla dotknienia jednak obrazu kreślonego wieku pod względem obyczajowym, przytoczymy tu jeszcze ustęp z zalecanek tego głównego bohatera na dworze królowej.

Pierwiastku erotyczności, tego głównego źródła ożywienia każdej powieści, nie znajdujemy prawie w obecnej. Uczucie Judyty dla Sieciecha było raczej spekulacyą, jak erotyzmem i razem z usunięciem go znikło. Z zawodu Bolesława dowiaduje się tylko czytelnik nawiasem, że poślubił *Zbisławę;* miłostki zaś Zbigniewa skreślone odpowiednio charakterowi jego i wieku. Wiekom średnim idealna miłość nie była zapewne obcą, dowodem Heloiza, dowodem znane wota rycerzy dla swych idealnych kochanek. Dzieje nasze nie przechowały jednak tradycyi podobnych uczuć, i autor wzmiankując w obecnej powieści o obyczajach romantycznych w kraju z owego czusu, słusznie, sądzimy, mówi:

»W owych (u nas) czasach pierwotnych, cale inny był stosunek z niewiastami, swobodniejszy daleko i śmielszy. Mówiono sobie w żartach takie piękne rzeczy, jak w dramatach Szekspira, jak dziś nasi parobcy folwarczni dziewczętom prawią. Choć we Francyi *Cours d'amours* się poczynały i słodkie słowa a dowcipne igraszki w użyciu były i w modzie, igrano tak grubo, że dziś zagadek, które książęta królewnom zadawali, trudnoby w przedpokoju powtórzyć. Królowa Judyta lubiła, gdy około niej o takich wesołych rzeczach mówiono«.

Dwór Władysława Hermana pod względem obyczajowym był kontrastem z dworem Bolesława Śmiałego, jak ten był skreślony w Boleszczycach; tam skromnym i pobożnym był dwór królowej Wisławy, a odbywały się co dnia swobodne pląsy w komnatach króla; tu przeciwnie pokój i pobożność panowały w pokojach króla, a swobodne zabawy co dnia w komnatach królowej.

Gdy Zbigniew przybył na dwór, a był przedstawiony królowej, Judyta przyjęła go wdzięcznie, a powziąwszy wnet zamiar dodania mu towarzyszki, któraby stać się mogła narzędziem jej celów, zaprosiła go na swe wesołe wieczory. Na towarzyszkę tę wyznaczyła dawną i wypróbowaną swą faworytkę, *Gretę,* i zamiar ten najskuteczniej się udał. Zbigniew, znający dotąd tylko obozowe piękności, zachwycony był wdziękiem, chociaż już w istocie mniej młodej, ale układnej damy; i zaraz też rozpoczął zaloty, które autor (może trochę à la Zola) tak kreśli:

»Rozmowa rozpoczęła się dziwnie, od usuwania się na ławie i napastliwego zbliżania. Zbigniew zwyciężył, dano mu przysunąć się blizko. Był pewnym, że zdobył siłą to miejsce.

Nim przyszło do słów, śmiech się rozsiadł na ustach Grety, która aż zakrywała usta i oczy, tak się jej niepomiernie śmiać chciało. Zbigniew śmiał się także, ryhocząc szerokiemi usty, nie kryjąc się, chwaląc przed wszystkimi z zaczepki i walki. Greta się nie wstydziła, choć na nią zewsząd patrzano.

— Jak to wasza miłość napastliwy jesteś i dla niewiast niebezpieczny. Prawdziwie!

— Byłoby obrażającem — rzekł Zbigniew — ażebym siedząc około tak ślicznej panny, nie starał się jej sobie pozyskać.

— O! ja wcale nie jestem piękna.

— Jesteś najpiękniejsza! klnę się, żem takiej nie widział jeszcze nigdy!

— Boś miłościwy pan w klasztorze nie widział żadnej — śmiejąc się rzekła Greta.

— Piękna, najpiękniejsza Greto! Gdybyś mię przyjęła za miłośnika, kochałbym cię jak należy.

Greta zdawała się namyślać. Nie wypadało jej przyjmować tak łatwo, co tak bardzo zdobyć pragnęła. Podrożyć się trochę musiała.

U stołu inni się zajmowali tak dobrze wszelaką swawolą. Błazen

królowej, Spatz, takie wygadywał słone rzeczy, iż się izba śmiechem rozlegała, a Zbigniew mógł tymczasem bez przeszkody z Gretą się zabawiać.

— No, powiedzcież mi — odezwał się w końcu — jakżeż to będzie z nami? — i mówiąc to, już Gretę obejmował, a Niemka choć się niby wpół wymykała, nie broniła się nad miarę.

— Ohydne zwierzę — mówiła sobie w duchu — w twarz mu patrząc zbliska, ale i do takiego przyzwyczaić się można. — I zapalała go coraz mocniej niebieskiemi oczyma« (II. 119).

Powieść druga, *Historya o Petrku Właście*, jest o stopień mniej historyczną. Prócz bowiem panującego księcia (Władysława), który działaczem jest głównym i jest historycznym, prócz bohatera, który daje napis, *Petrka*, i który równie jest historycznym, jest jeszcze, jak widzieliśmy, bohater trzeci, bohater, który rozpoczyna i który kończy powieść, a którego rola w rozwiciu całej powieści nie jest historyczną. Wprawdzie Jaksa z Miechowa, towarzysz księcia Henryka w wyprawie na wschód, a następnie założyciel bożogrobców w Miechowie, jest historycznym; tem więcej razić więc musi, iż autor czyni go następnie zięciem również historycznego Petrka, kiedy według wszystkich kronik ujęcie i uwięzienie Petrka nastąpiło w czasie godów małżeńskich jedynej jego córki, którą wydawał za księcia serbskiego. Romans Jaksy jest więc w jawnej sprzeczności z dziejami, i romans ten, dodać trzeba, nie jest żadnym koniecznym czynnikiem w akcyi powieści, wszystkie bowiem jej główne wypadki zawiązują się i rozwijają bez spółudziału i prawie bez wiadomości Jaksy. Jaksa jest owszem we wszystkich tych wypadkach postacią zbytnią. Świadek na dworze księcia intryg przeciwko braciom, śpieszy on, jak widzieliśmy, do jednego z tych braci, nie ze skuteczną poradą, lecz z prośbą o dziewosłęby, — wraca do Krakowa po katastrofie, a jego przemawianie do księcia za Petrkiem było i próżne i mniej wymowne od tych, które już były czynione; istny »rycerz smutnej postaci«, gdy inni ciągną nad Pilicę, on szuka straconej piękności, — znajduje ją wprawdzie i nawet

wkrótce poślubia, lecz na to tylko, aby ją wnet i utracić. Szczegóły tego romansu o tyle chyba nie sprzeciwiają się skreśleniu w poprzedniej powieści krajowej erotyczności, iż bohater jego był przybyszem z Zachodu, i że miłość jego od początku do końca była to miłość niema, a stronę dodatnią w pomyśle można upatrzyć w tem chyba, iż nicią swą przyczynia się w części do ożywienia i akcyi głównej, i że skądinąd będąc na drugim planie, nie odbiera głównego zajęcia tej treści głównej.

Treścią główną jest stosunek króla Władysława do braci, oraz los Petrka, który był jednym z głównych działaczy w tym stosunku — główną zaś w obu tych kierunkach sprężyną, t. j. i katastrofy z braćmi i katastrofy Petrka była żona księcia *Agnieszka*, i ona właściwie staje się główną bohaterką powieści.

Charakter też księżnej tej od początku do końca wiernie utrzymany. Jaką wprawdzie była istotnie Agnieszka, osądzić dziś niełatwo. Spółczesny jej prawie Kadłubek wyraża w swej kronice, iż smok, tygrysica, lwica »były to jeszcze słabe przezwiska dla określenia charakteru tej księżnej«, a za świadkiem tym idą i wszyscy nasi kronikarze. Ma jednak i swoich stronników. Prócz dawnych kronikarzy szląskich, którzy mieli za obowiązek trzymać stronę prababki swych książąt, i pisarzy dzisiejszych niemieckich, protegujących Niemkę, niektórzy i z poważnych pisarzy *naszych* (np. w ostatnich czasach Ossoliński, Hofman Karol i in.) sławią ją jako czynną i gorliwą stronniczkę jedności krajowej. Kraszewski zdaniem naszem słusznie uczynił, iż w swej krajowej powieści poszedł za tradycyą krajową, a uwzględniwszy i motywa przeciwne, postać tę przeważnie ujemnie przedstawił. Książęta bracia, według autora, uznawali zwierzchność starszego brata, gotowi mu byli nieść pomoc, płacili daninę, ale księżna chciała ich jeszcze wyzuć z dzielnic. Książę Władysław, Agnieszka i Dobek, to powtórzenie podobnej trójki w powieści poprzedniej: Herman, Judyta, Sieciech. Są jednak i naturalne odcienie w sto-

sunkach. Żona księcia, który miał wkrótce skonać, Judyta, myślała tylko o losach pośmiertnych i oszczędzała mężowi ostatnich dni; — żona księcia młodego, a pragnąca panować dzisiaj, Agnieszka, nie przestawała go co dnia podbudzać i jątrzyć. Książę Władysław, jakkolwiek przedewszystkiem miłośnik łowów, słuchał chętnie namowy żony, lecz gdy wysłuchał także przełożeń i błagań innych, aby był wiernym pamięci ojca, aby nie pozbawiał braci ich mienia, aby oszczędził krajowi najazdu obcych, poczynał się wahać, wtedy księżna już ostrem, już ironicznem słowem podżegnąć go na nowo musiała. »Kądziel ci prząść, wołała, nie berło trzymać! gdyby nie ja, siedziałbyś bezczynny w kożuchu, lub krył się po lasach, ażeby cię bracia wygnali. Co za braterstwo? Po ojcu bracia, nie po matce. Takich braci dziadowie twoi sadzali do ciemnic lub wyganiali precz... nie chcę cię znać, nie chcę się zwać twoją żoną. Poszłam za ciebie sądząc, że królować będę, nie słuchać. Wstyd mi, srom mi!« Kiedy przybyło na dwór księcia poważne poselstwo ziemian na czele z historycznymi Petrkiem i wojewodą Wszeborem, a następnie poważniejsze jeszcze duchownych z arcybiskupem Jakóbem ze Żnina na czele, tylko wytrwałość księżnej umiała sprawić, iż zostały bezskutecznemi, a nie tylko wtedy, ale i wtedy, gdy już po przegranej nad Pilicą Jakób ze Żnina na zgromadzonych pod Poznaniem rzucił klątwę, wytrwała księżna ani na chwilę strwożyć się nie dała, a zawołała tylko: »Słać natychmiast do Rzymu, do papieża, do cesarza! ze skargami, z żałobą. Nie pierwsza to niesprawiedliwa klątwa, której P. Bóg nie wysłucha... zważać na nią byłoby tchórzostwem — podłością. Nie mieli już innego ratunku. To *ostatnia ich strzała.* Poddać się muszą«. Jakoż stanowczą bitwę wnet rozpoczęto.

Bohater napisowy powieści, Petrek Wlast, postać to była nader historyczna, t. j. jedna z najgłośniejszych w dziejach naszych z końca XI-go i początku XII-go wieku; pisali o nim i wszyscy kronikarze nasi i obcy (ruscy, nie-

mieccy). Według jednych, ujął on zdradą na Rusi księcia Jaropełka, według innych — księcia Wołodara i córkę jego poślubił, według innych, był rycerzem z Danii przybyłym na dwór księcia Bolesława i któremu książę ten poślubił kuzynkę żony swej (Zbisławy), ci go zwali hrabią na Książu, drudzy hrabią na Skrzynnie, założycielem 70-u kościołów i t. p. Kronika Wielkopolski z XII. wieku, pisząc o nim, dodała: »czytaj resztę w kronice przez niego samego napisanej«. Egzemplarz tej kroniki Piotra (w przeróbce z XVI wieku) odszukał przed kilkunastu laty w Wenecyi Aleksander Przeździecki, a z pracowitym komentarzem wydał August *Mosbach* (p. n.: *Piotr, syn Włodzimierza* i kronika opowiadająca dzieje Piotrowe, 1865, Ostrów) i według niej właśnie opisane w tej powieści szczegóły ujęcia Petrka, czynności i mowy Agnieszki, rozmowa leśna z księciem i t. p., stąd też zapewne i napis powieści: »*Historya prawdziwa* o Petrku Właście«. Nie poszedł autor za zdaniem Mosbacha, iż Petrko był synem Włodzimierza, i zdaniem naszem słusznie. Piotr ten przez spółczesnych mu kronikarzy niemieckich nazywany był tylko *Petrus,* wzmiankujący o nim pierwszy z historyków krajowych, Kadłubek, nazwał go *Petrus Vlastides.* Mosbach twierdzi, iż ojcem tego Piotra był Włodzimierz, nazywany zdrobniale *Vlosko,* stąd Kadłubkowa Vlastides, a stwierdzeniem tego ma być nazywanie go w niektórych aktach wrocławskich Petrus Vladimiri; rozumowanie to podzielił i Sobieszczański (Encyklop. większa). Ale Petrus ten w aktach i kronikach szląskich nazywanym jest najczęściej *Wlast,* a waryant *Vladimiri* jako tylko *waryant* nie przesądza na żadną stronę. Gdyby ojciec Piotra był Włodzimierz, byłby zwany zdrobniale *Vlodco* (a syn *Vlodconides, Wlotcides,* albo podobnie), tymczasem zwali go kronikarze *Wlostides,* a kronika jego własna zowie *Vlascides* (kronika ta umieszczoną obecnie została i w 3-cim tomie *Monumentów,* a pracowici jej komentatorowie uznali, iż *co najmniej* musi być pismem z XIV-go wieku). W kronice czeskiej Kozmasa jest rycerka *Wlasta,* musiało więc być

w słowiaństwie i imię *Wlast,* mieliśmy i historyczne pochodne: *Wlastimir, Wlastibój* i t. p. Autor więc słowem, wnosimy, słusznie uczynił, iż zatrzymał bohaterowi swemu obyczajem tradycyjnym szląskim przezwisko *Wlast,* nie wiemy jednak dlaczego imię tego bohatera *Piotr,* zamienił na *Petrek.* Nasze najdawniejsze kroniki po polsku pisane zowią go *Piotrek, Pietrek, Piotr* Dunczyk itp.; tak go nawet zowie i kronika wielkopolska, chociaż po łacinie pisana *(De Pyothrcone ex Danis). Petrek* jest z łacińskiego lub niemieckiego *(Petrus, Peter),* tymczasem nie był on ani Włochem, ani Niemcem.

Jak ostatnie lata tego Piotrka i czynność Agnieszki, tak też i wszystkie inne szczegóły czasu wiernie, t. j. według historycznych podań w powieści odtworzone. Wzrosły wpływ panów i duchowieństwa na sprawy kraju, stale utwierdzone chrześcijaństwo, skądinąd rozwolnienie w tym czasie w klasztorach benedyktynów (zastąpionych u nas przez norbertanów), poselstwa ziemian, duchownych do księcia, historya z Petrkiem, klątwa, bitwy, postaci drugorzędne jak Dobek, Wszebór, starosta Rogier i jego stosunki do Petrka, a potem do księcia, wszystko to w szczegółach swoich ściśle jest historycznem. Żałujemy, iż (dla ram) nie możemy przytoczyć tu obrazu poselstwa duchownych do księcia; obraz ten cały, do którego wchodzą figury główne powieści i w którym zebrane są wszystkie główne motywa dwóch partyj, z wykończeniem rysunku jest przedstawiony. W rozwiązaniu katastrofy Petrka jest godzenie na sposób autora; — kroniki nasze mówiąc o oślepieniu tego wojewody, dodają wszystkie, iż stał się następnie cud i odzyskał napowrót oczy i mowę; według powieści wykonawcą wyroku był jeden z wielbicieli Petrka i poleconą mu czynność pozornie tylko wykonał.

Powieść trzecia, *Stach z Konar* jest historycznie koroną dotąd wydanych. W powieści tej czytelnik przechodzi jakby do drzwi wieku nowego w dziejach krajowych. Reprezentantem tego postępu był król Kazimierz, główny bo-

hater powieści. Był to nie tylko król *rycerz*, jak jego przodkowie, nie tylko rycerz-*chrześcijanin*, jak jego ojciec, ale był to nadto i król *miłośnik nauki, miłośnik prawa*. Z jego to natchnienia powstał i pierwszy znakomity pisarz krajowy, historyk, filozof-poeta (Mistrz *Wincenty*), co chwila widziany w powieści w towarzystwie króla; z jego rozporządzenia pierwszy *ustawodawczy sejm* (zjazd w Łęczycy). Autor słusznie dla odznaczenia takiego króla oddzielną poświęcił powieść, i na uwydatnienie postaci tej wszystkie jej części złożył. Oprócz osoby samego księcia wchodzą tu jako główne, jak to widzieliśmy, Stach, Jagna i książę Mieszko — pierwszy z tych jest podniesion do ideału miłości dla tego księcia męskiej, Jagna miłości żeńskiej, a rządy tyrańskie Mieszka odznaczają tem dobitniej rządy Sprawiedliwego.

Co do pierwiastku historyczności, ten w obecnej powieści w tymże jest stopniu, jak w innych. Stach i Jagna nie są to wprawdzie postaci wzięte z historyi, ale możność ich bytu nie można też i historycznie zaprzeczyć. Kontrastem jest tylko z historyą nazwanie chłopca, który obraził księcia, *Stachem* z Konar, kiedy wszystkie kroniki zowią go *Janem* z Konar. Czy słabość Kazimierza dla płci pięknej, uosobiona w powieści w jego stosunkach do Jagny i Doroty była historyczną? Według nas jest to jeszcze pytanie. Długosz, piszący swą kronikę w lat blizko 300 po śmierci Kazimierza, przy opisaniu tej jego nagłej przy biesiadzie śmierci, dodał: »mimo napominania biskupa krakowskiego Pełki, nie ustawał on w nałogu cudzołóstwa, za to zmarł nagłą śmiercią od zadanej sobie trucizny«. Czy Długosz, pisząc te słowa, opierał się na jakiem piśmiennem świadectwie? czy był to tylko może domyślny dodatek historyka-moralisty, wiedzieć nie można, Kromer bowiem powtórzywszy te słowa, dodaje *traditur*, a historycy spółcześni Kazimierzowi: kronika małopolska (mistrza Wincentego), wielkopolska, a nawet Rocznik kapitulny krakowski, podający szczegółową charakterystykę tego księcia (*Monumenta*, II, 810), o tej ułomności jego nic nie wzmiankują.

Zdaniem naszem autor powieści słuszniejby uczynił, gdyby ideał jego wolnym był od tych ujemności; w każdym jednak razie słabość tu wprowadzona nader była zgodną z duchem czasów, a jako idąca także i za tradycyą poważnych kronikarzy, nie może się za uchybienie historyczne poczytywać. Wszystkie inne główne obrazy w powieści, jak to np. sądy i sposoby ucisku Mieszka, spiski ziemian, zaproszenie Kazimierza i jego opór, jego następne rządy, jego uczone rozmowy (które tu autor, wtrącimy, ze szczegółami rzetelnego erudyta z XIII-go wieku po kilkakroć opowiada), jego wojenne wyprawy, czynność prawodawcza, powtórne wtargnienie do Krakowa i ucieczka Mieszka, nawet wyciągnienie z pod trumien Kietlicza i jego wygnanie na Ruś, nagła wreszcie wskutek przyrządzonego napoju śmierć Kazimierza i t. p., wszystko to są z opisów, albo wzmianek kronikarskich wzięte szczegóły. Biskup Gedeon, Pełka, wojewodowie Szczepan, Mikołaj, Goworek, Kietlicz, wszyscy historyczni; dodajmy, że i tajemny powrót Kietlicza z Rusi jest prawdopodobny, był on bowiem przybyszem z Łużyc, a członkowie rodziny tej wzmiankowani są i następnie w dziejach krajowych *(Paprocki)*.

Dla zapoznania bliższego czytelnika z rysami powieści tej, tak odznaczonej, przytoczymy tu parę ustępów, tych mianowicie, które uwydatniają kontrast dwóch braci i dwóch zarazem głównych bohaterów powieści, Mieczysława i Kazimierza.

Czy Mieczysław był istotnie książęciem okrutnym, czy tylko dzielnym i energicznym? zdania są podzielone, wszakże bliższem prawdy jest pierwsze. Spółczesny mu Wincenty i, jak się zdaje, za ostatnich rządów jego swą 4-tą księgę kroniki piszący, zowie go księciem wielkim i zawsze, »oprócz z Kazimierzem«, zwycięskim, ale nie mogąc zamilczeć o jego uciskach, dodaje: iż winnym tych był nie książę, lecz jego urzędnicy. Czyż jednak przy energicznym księciu urzędnicy przeciw woli tego księcia mogliby działać? a owe uciskające ustawy, o zniesieniu któ-

rych przez Kazimierza wszystkie kroniki mówią, mogłyż od kogo innego wychodzić, jak wprost od księcia? Dowodem wreszcie ucisków jest sam fakt napomnienia publicznego przez Giedkę i opuszczenie go przez ziemian, miasto i samych dworzan. Przytoczymy tu i kilka z czynów tego księcia i jego teorye, tak jak je powieść wiernie odtworzyła. Wincenty mówiąc o księciu Mieszku, narzeka mianowicie na sądy i sędziów ówczesnych i zdzierstwa ich. Obraz tych sądów autor szczegółowie przedstawił. Do istoty sądu krakowskiego trzy głównie należały postaci: Kietlicz i jego podwładni, dostarczający z całego kraju podsądnych; sędzia Mierzwa, obowiązany skazywać każdego na karę siedemnadziestą, i skarbny Juchin, wykonawca z zarobkiem i na brakowaniu monety. Oryginalnie a charakterystycznie przedstawiony mianowicie ten sędzia Mierzwa, prawnik wychowany we Włoszech, wierny wykonawca woli, a zarazem wierny naśladowca swojego pana. Mieczysław chciał i zdzierać i uchodzić osobiście za niewinnego, sędzia Mierzwa chciał więc i ostro sądzić i uchodzić przed podsądnymi za baranka. Oto np. stawionym jest przed sąd wieśniak za zabicie niedźwiedzia, który wybierał miód z jego barci. Powstał Kietlicz i obwiniając oświadczył, iż ów zabity niedźwiedź wyszedł był z lasów królewskich. Sędzia, który uprzejmie i przychylnie spoglądał zrazu na kmiotka, schwytał się za głowę. Kmiotek się zdumiał. »Miły człecze, dziecko ty moje! — rzecze do niego sędzia — a toż jest zbrodnia stanu! ty stałeś się winien śmierci, kochanie moje!« i przez litość skazuje go tylko na zapłatę 70 ciu grzywien, co dla kmiotka sroższem może było od śmierci. Na tęż karę skazanym został następny podsądny za przyjęcie człowieka na usługi, z zasady, że mógł to być sługa cudzy. Obie te sprawy przytacza i kronika Wincentego, a dodać trzeba, że jeżeli sąd o niedźwiedzia przez wprowadzenie sędziego Mierzwy upoetyczniony w powieści, wyrok drugi nie wiemy dlaczego został obcięty. W kronice wyrok jest wyrażony z większą precyzyą, albo, mówi, ten sługa, któregoś przy-

jął, był obcym sługą, albo też nie, w pierwszym razie stałeś się winnym przywłaszczenia obcego sługi, a w drugim stałeś się winnym zaciągnięnia wolnego w poddaństwo. Historyczna też wzmiankowana po kilkakroć w powieści powinność podwodna. I wreszcie owa sprawa wdowy sieroty, skarżącej się, iż trzodę jej poszarpały psy, a którą rozsądzał sam król wobec biskupa Giedki. Król skazał na karę właściciela psów, a biskup pochwyciwszy za wyrok ten, rzekł: »Sprawiedliwieś rozsądził, królu, ale wyrokiem tym potępiłeś sam siebie, albowiem ta sierota wdowa, to ziemia krakowska, a te psy to urzędnicy twoi, własność twoja«.

Swoje teorye rządowe rozwinął w powieści Mieszko w rozmowie z bratem. Kazimierz powziąwszy wiadomość, że poselstwo dąży do Sandomierza, aby go wezwać na tron, pod pretekstem łowów ukrył się w lasy, ale w tych zabłąkany z towarzyszem swoim, Wichfriedem, spotkał się z Mieczysławem. Ten spojrzał ostro na brata, i zdało się, iż w tej chwili uderzy w róg, aby go ująć; Kazimierz ujrzawszy brata, przeciwnie powitał go radośnie i uszczęśliwiony z okazyi, począł go błagać, iżby zmienił system swych rządów. Ludzie (wtrąćmy uwagę) mają naturalnie wszyscy *serca* i *dusze*, ale u jednych ludzi przemagającym jest, rzec można, pierwiastek *serca* i zbioru uczuć jednostki jako jednostki, a w drugich *duszy* (punkt związku jednostki ze światem ducha). Znamieniem pierwszych energia i ufność w swą własną wolę, znamieniem drugich oddawanie się raczej na wolę bożą — cechą pierwszych miłość przeważnie siebie, drugich przeważnie ludzi. W tym kierunku kształcą się i ich wyobrażenia pochodne, jeżeli to są władcy, o stosunku ich do podwładnych, o stosunkach w kraju władz do władz i t. p. Takim mężem przeważnie serca był właśnie według powieści Mieszko, a przeważnie duszy — Kazimierz, gdy więc ten błagać począł, iżby brat łagodniejszym stał się dla swych ziemian wielkopolskich, krakowskich, Mieszko odrzekł mu na to:

»Mocnej ręki nie znoszą nad sobą, a im potrzeba żelaznej. Tę żelazną ja mam i nie dam się ojcowiźnie Chrobrego roztrząść i przepadać. Na Kietlicza krzyczą. Kietlicz sługą jest u mnie, ja nim obracam. Drę ich ze skóry, aby mi siedzieli cicho. Za małom zrobił jeszcze, nie posiadam dość trwogi, kiedy się ruszać śmieją. Biskupa przecherę dawno potrzeba było uwięzić.

— Mieszku! bracie! — przerwał gwałtownie Kazimierz — biskupa pasterza, abyś wszystkich duchownych i Rzym obruszył na siebie! Duchownego tknąć!

Mieszko szydersko, gorzko się uśmiechnął.

— Chcesz, abym ja im dał u siebie, obok siebie, nad sobą panować? Ani ja, ani ty, ani nikt panem nie będzie, póki biskupi z nami na równi siadać nie przestaną. Dumę ich trzeba ukrócić! Pierwszymi sługami być muszą, nic więcej!

Pobladły ze wzruszenia i trwogi Kazimierz, z błaganiem zbliżył się powtórnie do brata.

— Bracie! pomstę bożą ściągniesz na siebie! — wykrzyknął.

— Ja się do ołtarza nie mieszam, ani Giedkowi księży święcić, ni mszy odprawiać nie bronię, ale wara mi mieszać się do spraw moich i chcieć stawać sędziami nade mną.

— Bracie — rzekł Kazimierz — więcej zapewne nade mnie masz rozumu, ale dlaczego wojnę z Bogiem mieć chcesz, bo ze sługami Jego? Oni ci pomocnikami będą, nie wrogami, ale ty im bądź bratem.

— Panem ich, a nie bratem muszę być — zawołał stary dumnie.

Taka była teorya Mieczysławowa. Obaczmy teraz, jak w odcieniach kreśli autor braterską, a mianowicie jak opisuje obraz przyjęcia przez Kazimierza pochlebnego, ale niepożądanego dla niego poselstwa krakowskiego.

Poselstwo to przybliżało się do Sandomierza, księżna Helena (tu jeszcze, od dworaków nie opuszczona) zdołała wreszcie wyszukać i skłonić do powrotu zbiegłego księcia. Kiedy mu dano znać, że liczny zastęp ziemian, z biskupem krakowskim Gedeonem i wojewodą krakowskim Szczepanem na czele wszedł do pokojów królewskich, Kazimierz strwożył się, skrył się do swych dalszych komnat i uciekł się do modlitwy.

»W izbie tymczasem, mówi aut., to gwar zbytni, to niespokojne panowało milczenie. Patrzano na drzwi, szeptano między sobą. Książę się nie pokazywał. Klęczał ciągle i modlił się. Dwa razy zajrzała doń księżna i cofnąć się musiała, zaglądał Gaworek, dowiadywał się Jaksa (bohater ten poprzedniej powieści był jednym z najgorliwszych stronników Kazimierza, jakkolwiek zawsze w drugo- i trzeciorzędnej roli), widzą go zatopionym w modlitwie, nie śmieli wejść.

Wreszcie najśmielszy wojewoda sandomierski (Goworek) stanął w progu i czekał, oznajmując tem, że mówić potrzebuje.

Wstał książę i zbliżył się ku niemu, objął go z miłością wielką, błagając trwożnie oczyma.

— Czy i ty z nimi będziesz przeciw mnie? — zawołał.

— Miłościwy panie mój! ja zawsze z tobą jestem i będę, ale i oni nie są nieprzyjaciółmi twymi.

— Są! są! choć się druhami być mienią... nieprzyjaciółmi są pokoju mego, szczęścia, swobody. Panem mnie zwą, a niewolnikiem chcą czynić. Tak, miły mój!

Goworek głową potrząsł.

— Znasz książę moje przywiązanie do siebie — rzekł — nie pragnę dla ciebie wielkości i potęgi, ino szczęścia, ale inna rzecz dola człowieka małego, inna tych, których Bóg wysadził na to, aby nami rządzili. Ty nie należysz do siebie.

— Przyjacielu mój! — odparł książę — błogosławionej pamięci ojciec mój, którego ja nie pomnę, bom w kolebce był, gdy mi go Bóg odebrał, jednego mnie chciał wolnym mieć, nie dając mi nic. Jednemu z potomstwa swego szczęścia niezmąconego chciał dać skosztować. Matka ocaliła siostrę, dając ją do klasztoru na służbę bożą i mnie się tam schronić pono było potrzeba.

— I stamtądby cię wzięła miłość ludzi i szacunek twej cnoty — rzekł Goworek i dodał: — biskup Gedko z panami czekają cię, książę.

W izbie oczekiwano nań ciągle. Biskup się niepokoił coraz więcej, szemrali inni, gdy Kazimierz, który ani z sobą, ani (nikomu) za sobą iść nie kazał, wyszedł w ubiorze prostym, ciemnej barwy, jakby i tem okazać chciał, że mu wielki blask był przykry. Twarz miał bladą, ale wypogodzoną, zmuszał się do uśmiechu. Przyszedł biskupa powitać, całując go w rękę, obrócił się ku innym, a postrzegłszy, że sami prawie krakowianie go otaczali, oczy spuścił.

Goście nie odważyli się nawet zagaić wręcz o celu poselstwa, a wezwani wkrótce na ucztę, sprawę zmuszeni byli odłożyć do dnia następnego.

Nazajutrz, gdy znowu razem zebrani zostali, a biskup Gedeon wyłożył cel poselstwa i ogólnym poklaskiem był poparty, książę wzruszony, zrazu odpowiedzieć nie mógł, łzy mu z oczu płynęły, wreszcie począł słabym głosem:

— Nie pierwszy to raz miłości waszej dowody mi dajecie — rzekł — wiodąc mię na pokuszenie władzy, której nie pragnąłem i nie pragnę. Przypomnijcie sobie, że niektórzy z was, Świętosław, Jaksa i inni, ciągnęliście już, abym to sławne państwo objął za żywota brata mojego Bolesława (Kędzierzawego). Odrzuciłem wówczas nagabanie to, przenosząc miłość i wierność brata nad urok potęgi znikomej. Albowiem kto na brata godzi, jakby sam na siebie uderzał. Jeżelim wówczas młodszym będąc, nie chciał się zmazać niewiarą, cóż dzisiaj? Godziłożby się tą drogą iść

do władzy? Nastawać na wygnanie starszego brata, który mnie kocha i pozornej wielkości poświęcić poczciwość? Sami bądźcie sędziami!

Biskup nie dał mu mówić dłużej.

— Miłościwy książę! — przerwał — cale inaczej stały naówczas sprawy a dzisiaj. Kilku ludzi przyjaznych chcieli cię prowadzić na stolicę, dziś wszystek lud woła na ciebie. Ginie państwo to, jeżeli ty go ratować nie będziesz. Nie mówię o sobie, bom na męczeństwo gotowy, ale wszyscy przedniejsi skazani są już na wygnanie lub kalectwo i więzienie. Padną głowy, to nic jeszcze, ale z niemi prawa i swobody nasze ziemiańskie, niewola trupem uczyni ciało żyjące ziem naszych. Zlituj się nad nami, a nad tą ziemią swą, której winieneś życie.

Kazimierz poruszony był.

— Ojcze! — zawołał — Mieszek nie może i nie zechce być niesprawiedliwym i okrutnym...

Nie słuchając go, zaczęto wołać: Panuj nam, panuj!

— Nie czyńcie mię zdrajcą, nie czyńcie bratobójcą — przerwał Kazimierz.

— Nie chcemy zguby Mieszka — odparł biskup — zda-li się wam, niech wraca na dzielnicę swą (Wielkopolskę), ale gdy starszym być nie umiał, niech będzie posłusznym młodszemu.

Kazimierz z opuszczonemi rękami milczał, gdy ziemianie zbliżyli się doń i przyklękując, za kolana go i za ręce chwytać poczęli.

— Idź z nami! panuj nam! — powtarzali.

— Mieszka *wybawisz* — dodał wojewoda Szczepan — inaczej on życia niepewny.

— Przejednamy go — odezwał się książę. — Wymożemy odpędzenie sług niedobrych. Zamiast czynić mię wywłaszczycielem, dajcie mi być pośrednikiem.

W tym też charakterze tylko zgodził się Kazimierz udać się i udał do Krakowa.

Lecz co do obrazu poselstwa, o którym mowa, dodajemy jeszcze, że autor dla wyczerpującego obrazu chwili, oprócz skreślenia dwóch opinij przeciwnych głównych, nie omieszkał wtrącić i pośrednich z owego czasu. Wyborny jest np. jeden z ciągnących z tem poselstwem ziemian, *Greszek*. Ulegając on ogólnemu prądowi, ciągnął z innymi, lecz zarazem żartobliwy, rozważny, nie podzielał zbytecznie zapału innych, i oto jedna z jego rozmów z towarzyszami:

— Cóż mówicie o Mieszku? — pytano go.

— Co wy chcecie, tęgi pan. Gdybym takiego włodarza miał na majętności, tobym go na rękach nosił.

— Inna włodarz, inna książę!

— A jużci — rzekł Greszek — i to jednak widzę, iż gdy co u nas przydługo na miejscu siedzi, łatwo się nam zbrzydza. Więc już innego chcecie?

— Ten nas do jarzma wprzęga! — wołano.

— Hę? a wy-byście chcieli takiego dobrego, któregobyście sami mogli zaprządz? A to, baczcie, trudno; który się tam na górę dostanie, zaraz wierzga!

— Kazimierza my znamy, — poczęto z tłumu — bo pan jak stworzony dla nas, ten nam da Salomonowe czasy.

— Hm! — mruknął Greszek — a wszystko to pono z tego, że biskupa (Mieszek) w rękę nie całował? Nieprawdaż?

— Albo nie powinien?

— *Czyż ja mówię inaczej?* Trzeba całować, na to rady niema, to u nas tylko gadanie, że my książąt mamy, my mamy ino biskupa nad sobą, a książąt, aby go słuchali.

— I tak być winno!

— *Albo ja mówię, że nie?* A już gdy tak jest, widno, że być musi. A prawda to, że go biskup Gedko na sądach tęgo połajał?

— Bo zasłużył.

— *Ja nie przeczę*, pytam, czy łajał?

— A jużci! a jużci!

— Patrzajże Lutek — mówił Greszek do jednego z bliżej stojących — jak cię proboszcz twój zeżga od ostatnich, abyś go w rękę pocałował, bo z tobą będzie jak z Mieszkiem.

— Niedoczekanie klechy!

— A to cię wyklnie.

Zamilkli trochę, żarty Greszkowe nie w smak szły. Chołewa zniecierpliwiony przybliżył się do Greszka.

— E! stary — począł — co bo *wy*[1] się spieracie? mącicie przeciwko wszystkim, buntujecie?

— Ja? a daj ty mi pokój. Ja pytam i słucham. Więc na Kazimie-

[1] Autor w powieściach swych historycznych używa wszędzie w dyalogach zaimka *wy* za *ty*, i nader słusznie; że bowiem forma ta była niegdyś powszechną w języku polskim, dowodem jest dotąd pozostały ten zwyczaj w rozmowach ludu wiejskiego i w wyrażeniach: *wasza* królewska mość, *wasza* książęca mość i wreszcie *wasza* mość, czyli *waszmość*, której to formy jednostki szlacheckie dopiero ze wzrostem swych przywilejów zamiast prostego wy zaczęły wymagać. [Zob. Dodatek 1 w tym tomie].

rza kolej? a to mi żal, choć płacz, bo go w jarzmo wprzęgacie. Nuże się wam jego Jaksa, Goworek albo Wichfried nie podoba, przepędzicie go jako tamtych.

Greszek nie był naturalnie wielkim prorokiem. Ziemianie krakowscy mimo niekrótkie rządy Kazimierza nie przepędzili go, i następnie nie doznał tego losu żaden z królów, jego następców, do czasów ostatnich; był wszakże prorokiem o tyle, że krytyka rządów swych władców i pochopność do opozycyi, nieraz burzliwej, były następnie istotnie jedną z cech dziejów polityki.

— — — —

Tak mistrzowsko kreślone są rysy w powieściach historycznych. I taka jest treść i charakter trzech ostatnich. Czy mają jednak powieści te tęż wziętość, jak inne Kraszewskiego? Nie wiemy. »Chcemy zawsze pisarzy oryginalnych, ale nie lubimy oryginalności«, wiadome to zdanie zastosować się może podobno i do obecnego przypadku. Sztuka, z jaką się umie autor tych obrazów z dziejów dawnych ukryć w przedmiotowości swojej, nie może być dla wielu powabną. Postaci powieściowe, żywcem z dawnych wieków wyjęte, nie mogą tak żywo wzruszać i tyle ku sobie pociągać, jak postaci z psychicznem i moralnem rozwiciem z czasów dzisiejszych, żyjące i działające wśród szczegółów spółczesnego nam bytu postępnego. Fakt jednak nie przestaje być faktem. Rysunki innych czasów nader tu wierne. I jeśli nad charakterem powieści Kraszewskiego będą kiedyś czynione studya, jak nad charakterami dramatów Szekspira, »Powieści historyczne« może najwięcej żywiołu do studyów tych dostarczą. Dwa pierwsze wieki dziejów krajowych, skreślone dotąd w tych powieściach, i ich postaci daleko zapewne silniej wyrzeźbiły się w pamięci tych, którzy je odczytali, niż intrygi i dzieje spółczesnych figur z fantazyi, których pamięć zaciera się z końcem roku. Poznanie tych historycznych powieści może się stawać trwalszą lekcyą dziejów krajowych, niż najpilniejsze uczenie się ich z podręcznika historycznego.

Długa jeszcze przez autora powieści przebytą być musi droga, nimby mógł uskutecznić to, co założył. Jeżeli kreślenie obrazów z dziejów pierwotnych utrudniał brak źródeł, w kreśleniu bliższych utrudnieniem będzie obfitość ich. Czas jednak, który poświęcił już autor na poznawanie tych źródeł, nie jest zbyt krótkim (pierwsza jego historyczna powieść: *Kościół ś-to Michalski,* wydaną już była w r. 1833), a znany przymiot autora: różnostronność czyli raczej bezstronność w kreśleniu szczegółów historycznych, nader jest pożądanym przymiotem śród zwrotów i śród odcieni dzisiejszej u nas krytyki dziejowej. Wiadomo, iż śród tych zwrotów ukazał się dzisiaj odcień, który nie wiemy, czy to z chęci istotnie jakiejś krańcowej bezstronności, czyli prędzej dla zabłyśnienia oryginalnością, wziął za hasło: ze szczególnym cynizmem traktować naszą przeszłość krajową. Zwolennicy tego kierunku nie poprzestają na malowaniu z przesadą rzetelnie ciemnych jej stron, ale pozazdrościwszy, rzec można, laurów głośnej z przed lat dziesięciu komuny, usiłują to nawet, co w niej było rzetelnie wielkiem i świetnem, obalać i niszczyć. Ten pessymizm krytyczny dostał się nawet pod pióra względnie uczone i jest, rzec można, szkodliwszym niż ów, który dzisiejszej filozofii niemieckiej zarzucają. Pessymizm ów teoretyczny niemiecki, w razie nawet gdyby wychodził istotnie z tych zasad i celów, jakie przypisuje mu krytyka, zwraca się tylko właściwie do głów uczonych, a uczeni zbyt silnie już o zasady są wsparci, iżby dbali o obce, lecz nasz pessymizm praktyczny, jako zbyt łatwiej pojęty, zbyt też łatwiej zostaje przyjęty, i oto widzieć już można, jak u nas pokolenie młode, a w części i niemłode, zaufawszy w *verba magistri,* wstydzą się przeszłego nieuctwa i spowiadają się nieraz publicznie ze swych dawnych uwielbień dla ojców [1]. Autor Powieści historycznych w kreśle-

[1] Jeden z poważnych pisarzy naszych, dr. Popiel, we wstępie do artykułu swego z roku zeszłego: »O artystycznym ruchu na dworze Zygmunta I.«, uczyniwszy alluzyę do twierdzeń tych, którzy wiek nasz

niu obrazów swych wspiera się, jak obecnie i jak to nieraz widzieliśmy, na kronikach, pamiętnikach i innych wiernych źródłach, nie zaś na żadnych systematach *a priori*. Od autora takich powieści możemy więc otrzymać obrazy krytyczne, nie zaś pseudo-krytyczne.

Kraj ten, czyli ten naród, którego dzieje w obrazach powieściowych Kraszewski zamierzył skreślić, był, rzec można, jednym z najoryginalniejszych śród krajów. Był on różnym od innych w dziejach swej formacyi, odrębnym w szczegółach bytu, odrębnym w szczegółach śmierci, w życiu pośmiertnem. Kraszewski, kolosalnej miary pisarz, był w roku ubiegłym przedmiotem uczczenia, jakiego dzieje literatury nie tylko naszej, ale powszechnej dotąd jeszcze nie znały. I przystało więc, skończmy tą uwagą, iżby tak wyjątkowych losów pisarz tak wyjątkowego w swych przeznaczeniach narodu został właśnie malarzem.

1880.

Zygmuntów podają za wiek ruiny, słusznie wyraził, iż »gdybyśmy nawet chcieli się zgodzić na ten pogląd, *kamienie wołać będą*« (wydanie *Akademii Umiejętności*, str. 67).

DODATEK.

I.

TY, WY, PAN

czyli

o oznaczaniu osobistości w języku polskim. (Uwaga do psycho-lingwistyki).

Od czasu, jak zjawiona niegdyś na ziemi jednostka ludzka rozpadła się i rozrodziła następnie w jednostek miliony, ukazał się też i równolegle rozwijał objaw, który wskazuje, że celem lub raczej warunkiem tej rozpadłej fizycznie jedności jest też łączenie się w nową jedność, jedność duchową. Tym objawem jest wzajemne przemawianie do siebie jednostek czyli ich *język*. Milionowe są fakta, które ten język stworzył i milionowe są drogi, przez które na stopniowe łączenie się rozpierzchłych i zbyt rozróżnionych jednostek postępnie wpływa; tu mamy uczynić krótką uwagę o jednej tylko z najpierwotniejszych i najprostszych form tego łączenia się, choć zarazem i ów cel najbezpośredniej osiągającej t. j. o formie językowej przemawiania jednostki jednej do drugiej, czyli oznaczenia jej osobistości.

Naturalną i prostą formą zwrotu naszego do osoby drugiej jest używanie zaimka osobistego *(ty)* i drugiej osoby pojedyńczej w czasownikach przez wszystkie czasy (ty masz, ty miałeś). Jest to forma najlogiczniejsza i przez cały ciąg wieków starożytnych była wyłącznie przy zwrotach do pojedyńczych osób używaną. Z początkiem epoki nowej,

a nawet już wieków średnich, widzimy jednak, iż forma ta zaczęła się przyoblekać w odcienie różne, a ta jedna, na pozór drobna wskazówka za dowód staje, iż społeczeństwo nowe objawiło już w sobie i niejaką psychiczną różność w porównaniu z dawnem, iż pragnęło oznaczać pewne odcienie pojęć i uczuć, przy samym zwrocie prostym jednostki do jednostki.

Jest to przedmiot, który nie zwracał prawie dotąd na siebie uwagi lingwistyków i trzebaby chyba czynić studya nad szczegółami literatury każdego ludu, iżby ujrzeć, jaka w nim była historya rozwicia tej formy; dosyć tu będzie wspomnieć, iż jest to faktem, że we wszystkich dziś prawie znanych nam językach, forma zwrotu w mówieniu do osoby drugiej nie jest naturalną i prostą, iż w jednych, w miejscu osoby drugiej pojedyńczej, używa się osoba trzecia, jak np. w języku włoskim, w miejsce: »jak ty się masz?« — »jak się ma *on*«. *(come sta ella?)*, w innych osoba trzecia liczby mnogiej jak np. w języku niemieckim, w miejsce »co to masz« — »co to oni mają« *(was haben sie?)*, lub wreszcie, co jest najpowszechniejszą formą w językach i zachodnich i wschodnich, w miejsce zaimka pojedyńczego *ty*, używa się tenże zaimek w liczbie mnogiej *wy* i odpowiedni czasownik, jak np. w języku francuskim: »kto ty jesteś?« *qui est-ce qui vous êtes?* « w angielskim: »chcesz ty tego posłuchać?« — *will you hear it?* Toż (ile wiemy od oryentalistów) w języku tureckim, arabskim, perskim, gdy np. zamiast, jak się *ty* masz, mówi się: »jak się *wy* macie« *(turec: »nasyłsiz* Sultanym«; »zamiast: *nasyłsen:* arabski: »kiejf *kiejfakum*« zamiast kiej*fak*; perski: »kiejfi *szuma* choszest«, zamiast: tu choszest): toż we wszystkich prawie słowiańskich. W języku japońskim nie tylko w osobie drugiej pojedyńczej, lecz też przez wszystkie trzy osoby rodzajem danego zaimka, stopnie stosunku osoby mówiącej do osoby 2-ej oznaczone bywają *(Sylvestre de Sacy*: w Grammaire universelle l. IV).

Kiedy mianowicie w różnych językach te różne formy

użyte zostały? nie wiemy i tyle tylko wiemy, iż równocześnie w języku rosyjskim np. zwyczaj mówienia *wy* za *ty*, począł się dopiero od czasów Piotra Wielkiego: w języku włoskim już w wieku XIII był starym. W »Boskiej Komedyi« Danta, poemacie z wieku XIII, a mianowicie w pieśni XVI *nieba*, czytamy, iż Dante spostrzegłszy tam swego prapradziada, przemówił do niego przez *wy (voi)*, lecz Beatrice ostrzegła z uśmiechem, iż tak się w niebie nie mówi, a z okoliczności tej komentatorowie włoscy Danta wzmiankują, iż forma mówienia przez *wy* zamiast *ty* użytą była najprzód do papieży i cesarzów, że potem przeszła i do niższych stanów, lecz że za czasów Danta zaczęto ją już zmieniać na osobę trzecią.

Jakaż, obaczmy, teraz jest? i jaka była historycznie forma zwrotu do osoby drugiej w języku naszym?

Iż w języku polskim zwyczaj mówienia do osoby pojedyńczej *wy* zamiast *ty* był znanym i używanym, tego jawnym dowodem jest najprzód, zwyczaj istniejący i dzisiaj powszechnie w klasie wiejskiej, powtóre, świadectwo leksykografów, np. Knapskiego, gdy pod wyrazem *wy* mówi: »Polacy używają tego zaimka *wy*, gdy mówią: do osoby pojedyńczej *honoris causa* i podobnie mówią dajcie, słuchajcie zamiast daj, słuchaj«; dodaje jednak, iż dziś mówimy tak tylko do włościan, »sed hodie nisi rusticanos sic compellamus »(*Thesaurus* 1634. str. 103); po trzecie używanie tego zaimka *przymiotne* przez wszystkie klasy w mówieniu do siebie, do ostatnich czasów, jak np. *Wasza* Królewska Mość, *Wasza* Książęca Mość, *Wasza* Mość, *wasz* mość; i wreszcie świadectwa przechowane w dawnych listach, pamiętnikach, poezyach i innych piśmiennych źródłach. Że jednak obok tej formy zrodziły się też, przemogły i istną dotąd inne oryginalne, tego nas uczy i obecność i dawna przeszłość i o tem kilka tu właśnie uwag uczynić chcemy.

Jak mówiono i pisano u nas do siebie za Piastów, a nawet za Jagiellonów do wieku XV, nie wiemy; w agendach kościelnych z XIV wieku, gdzie znajdujemy formy

zapytań przy ślubach w języku polskim; formy te są proste i naturalne. Źródła zaczynają się mnożyć dopiero z wiekiem XVI-ym. Mamy odtąd w języku krajowym: kroniki, pamiętniki, powieści, listy i t. p., a ze źródeł tych najobfitszem do przedmiotu, o którym mowa, są właśnie listy, a mianowicie listy królów po polsku pisane, tych bowiem mamy kilka zbiorów. W listach tych znajdujemy wprawdzie formy tylko przemawiania monarchów do swych podwładnych, zawsze jednak były one odbiciem i panujących ogólnie form.

Najdawniejsze ze znanych nam polskich listów są listy Zygmunta Augusta. Przytoczył ich kilka Niemcewicz w »Pamiętnikach o dawnej Polsce«, Baliński w »Pamiętnikach o Królowej Barbarze«, a najliczniejszy i chronologiczny zbiór wydał Lachowicz z autentyków, znajdujących się w Ces. Publ. Bibliotece, a pochodzących z Biblioteki Radziwiłłowskiej nieświeskiej. Znajdujemy tu listy pisywane do trzech Radziwiłłów i księżnej Beaty Ostrogskiej od roku 1549 do 1571. Formy, używane w tych listach, chronologicznie są różne, ale spółcześnie sobie do wszystkich równe. W listach wszystkich od roku 1549 do 1551, jest stale forma przez *wy*. Tak np. w liście najpierwszym z dnia 14 maja 1549 r. (pisanym do Mikołaja Radziwiłła Czarnego) czytamy: »Są nam teraz prawie pod jednym czasem dwa listy *wasze* oddane, gdzie w jednym swym liście do nas jesteście pisali około województwa wileńskiego, tedy *wam* tak na to odpisujemy«, zaś w końcu: »a zatem *was* dobrze być zdrowym żądamy«. Od roku 1551 do 1561, okazuje się stale T. M. (Twoja Miłość); zaś od roku 1561 do 1571: W. M. (Wasza Miłość), tylko w liście do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (syna Czarnego) w miejsce W. M. znajdujemy W. T. (zapewne Wierność Twoja). W listach polskich Wazów (Zygmunta, Władysława i Jana Kazimierza), znajdujemy stale W. U. i T. W. (Wasza Uprzejmość i Twoja Wierność); w bogatym zbiorze listów Władysława IV, wydanym przez Ambrożego Grabowskiego, ta ostatnia

forma jest prawie wyłączną; Sobieski pisał już W. U. już W. M. Ć., już wreszcie używał formy przez Wy na wzór Zygmunta Augusta, jak np. w liście z pod Wiednia do wojewody wileńskiego (10 octob. 1683): »przychodzi nam ubolewać na to, *żeście się* Uprzejmość Wasza dotąd przebrać do nas *nie mogli* z wojskiem, które Uprzejmość Wasza przy sobie *macie*«. (Bibl. Staroż. II, 289). W listach wreszcie króla Stanisława Augusta, stale znajdujemy tę jedną formę *wacpan, wacpani.*

Takie były formy piśmienne, używane przez królów; jakież były ustne? Formy ustne mogły być tylko odbiciem piśmiennych lub raczej te drugie pierwszych. W jednym z poufałych listów Zygmunta Augusta do Radziwiłła Czarnego (1552, stycznia 20), wspomniawszy ten król o rozmowie, jaką miał z matką, co do postanowienia sióstr, a mianowicie, iż nie życzyła pretendenta do Katarzyny księcia pruskiego, jako nie bogatego, a wolała liczyć na świeże owdowienie króla szwedzkiego, dodaje, iż musiał jej wyrzucić usuwanie pretendentów i robiąc alluzyą do starań elektora bawarskiego, rzekł: »Teraz *Wasza Miłość* nalegasz, abyśmy się o to starali, a *Wasza Miłość* na on czas *nie chciała*, gdy czas po temu dobrze pogodniejszy był«. Ta forma *Wasza Miłość*, jak widzieliśmy, używaną następnie była przez króla w listach do Radziwiłła; a że w skróceniu swem (waszmość) weszła już była w tym czasie w powszechny użytek w zwracaniu się równych do równych, to widzimy z dyalogów w *Dworzaninie* Górnickiego, z listów ówczesnych (np. Jana Kochanowskiego) i t. p. Modrzewski w ówczesnem dziele swojem: *De reformanda republica* mówi, iż dziś wszyscy, mówiąc do osoby jednej, mówimy jakby do wielu, mówiąc *Waszmość*. Kraj nasz mianował siebie rzeczpospolitą i w istocie w mieszkańcach jego tkwiło zawsze uczucie republikańskie, uczucie ogólne równości, lecz to uczucie równości przez naturalne następstwo pociągało za sobą uczucie inne, t. j. konieczność wysokiego cenienia i przeceniania wartości każdej jednostki:

samo *wy*, gdzieindziej uważane za dostateczne do oznaki szacunku, tu za mało znaczącem się zdało, każdy pragnął przyznawania sobie nie tylko pewnego szacunku, ale też pewnej potęgi i pewnej cnoty: oznaczanie osobistości w zwrotach wzajemnych do siebie stopniowie się więc rozrastało i rozszerzało; gdy bowiem wasza miłość zamieniła się na zdawkowe *waszmość*, dla przypomnienia pierwotnego znaczenia, dodawano powtórnie »waszmość, mój miłościwy pan«; tym sposobem znalazł się w tytule *pan;* gdy i to przez skrócenie zamieniło się w waszmośćpan, musiano znowu przypominać wymagane oznaki, stąd powstały: wielmożny pan, wielmożny waćpan i wreszcie wielmożny *waszmośćpan* i dobrodziej (dobroczyńca). Formy te oznaczania osobistości spotykamy najczęściej do końca XVIII-go wieku w korespondencyach (przetrwały one w części i do czasów naszych), i *w dyalogach;* w dyalogach jednak (jak widzimy to z pamiętników, powieści, dramatów), używały się one krócej i mówiono najpowszechniej do siebie *waszmość, wacpan dobrodziej, wacpan,* a przez skrócenie: *waść, aść* i t. p. Co do formy przez *wy*, ta stanowczo nie była używaną do osób godności wyższej i równej, a tylko do niższej, w tym kształcie jednak spotykamy jej używanie i w wieku XVIII; tak w listach, ogłaszanych z archiwum Radziwiłłowskiego, widzimy, iż listy do swoich dworzan pisali przez *wy (Życie Janusza Radziwiłła* przez G. Kotłubaja w *Dodatkach);* tak pisywać musieli i inni; przez *wy*, jak to dopiero widzieliśmy, pisywał Jan III-ci; w tak pełnych ożywienia dramatycznego Pamiętnikach Paska, z których wyłącznie prawie poznajemy ówczesne formy dyalogowe, jakkolwiek znajdujemy w nich najczęściej *waść, waćpan*, widzimy tu jednak, iż królowie i wojewodowie mawiali wtedy przez *wy*. Tak np. czytamy tu pod rokiem 1660: »Skorośmy go (Drozdowskiego) wynieśli, aż mówi wojewoda: *Macie* szczęście, panie bracie, bo są tu wielkie ryby i połknęłyby *was*«. Pod rokiem 1662: »Powiadam mu tedy (wojewodzie) dobra noc, a on rzecze: *nie jedliście*, panie bracie, bo po *wieczerzy*

ście przyszli; odpowiadam: będę jadł u siebie«. Pod rokiem 1663: »I nie miałem natenczas szczęścia do *upatrzonego* (wakansu), lubo król mówił mi kilka razy: *Upatrzcie* sobie«. Pod rokiem 1664 po opisie burzy sejmowej, w której przewodził Lubomirski, król ekspostulował z nim mówiąc: »Panie marszałku, dochodzi nas wieść, *jakobyście* sobie życzyli korony«, ten odpowiedział«... etc. Pod rokiem 1665: »Król ukontentowawszy ją (panią Sułkowską) jakimś tam datkiem, mówi do niej: »*Przebaczcie* pani, tak to wojna umie«, »a otóż ja *wam* dam, moja pani, przywilej taki« etc.

Przy końcu wieku zeszłego, a początku naszego, kiedy odległości jednostek znacznie się porównały, a życie towarzyskie już nie w nominalnej, ale w rzeczywistej równości coraz dobitniej rozwijać się zaczęło; kiedy nadto z jednej strony wznoszona racyonalność, w brzmieniach *waszmość i waćpan,* kazała tylko widzieć karykatury ich pierwotnych znaczeń, a z drugiej strony, chęć cieniowań w mówieniu i oznaczaniu osobistości tworzyła nowe, dziwaczne z tych wyrazów waryanty i mówić zaczęto np. do siebie: asindziej, waspandziej, asandziej, asan, acan, asindźka, acani, aśćka i t. p.; zaczęto żałować zatraconej formy przez *wy* i myśleć o jej powrocie. Tak Ad. Czartoryski G. Z. P. w liście pisanym do autora Słownika, Lindego, pod d. 27 marca 1809 r. między innemi wyraził: »Pomyślcie-no o tem, mój rektorze kochany, jakby to można u nas wyprowadzić *omni meliori modo* ze zwyczaju ów przesąd i *zawadę okrutną w różnych gatunkach pisania* tego ustawicznego powtarzania owej formuły *W'pan,* Wpana, Wpanu, i czy nie możnaby, zmówiwszy się i porywając się na zniesienie przesądu, upowszechnić wygodne *wam* i *wy,* we wszystkich dyalektach słowiańskich używanych, krom naszego, mówiąc *do* i mówiąc *o,* tak najpierwszego rzędu osobach, jak i o niższych« (Słow. VI, XXXIII). Z tegoż zapewne natchnienia przemawiał następnie gorliwie za tą formą Niemcewicz, a przemawiał nie tylko teoretycznie, ale praktycznie, używając jej do dyalogów w swych powieściach, dramatach itp.

Użycie nowych form w dyalogu zależało jednak naturalnie nie od leksykografa, którego zadaniem jest zapisywać tylko szczegóły danego języka, nie zaś je tworzyć, zależało to w owym czasie najwięcej podobno od samego autora listu i jego salonu: być może czynione były w tym celu próby, lecz nie powiodły się. Kraj nasz (wtrąćmy tu uwagę nawiasem), którego losem była we wszystkiem oryginalność, oryginalność w *formacyi*, oryginalność w *życiu*, oryginalność w *śmierci*, oryginalność *po śmierci*, — i w tym gramatycznym czyli lingwistycznym szczególe, o którym mówimy, odrębność wyraził; odrzucił on wprawdzie w ostatnich czasach *waszmość* i *waćpan*, lecz w miejscu *oni* lub *wy*, ukazało się nagle we wszystkich ustach krajowych krótkie znaczące *pan* i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju i przez wszystkie klasy, w zwrocie słowa do wyższych, do równych i nawet do niższych.

To jest forma najświeższa; — jako świeża, nie wiemy, czyli ma być trwałą? czy też i na jaką się zmieni? wszakże, gdy jest dziś stałą, obaczmy, jak się uważać może pod względem psychicznym? czyli i jakie tkwią w niej strony dodatnie? oraz czyli i jakie ujemne?

Wyraz *pan* krótki i grzeczny, jakkolwiek w codziennem użyciu używanym jest dziś przez wielu za rodzaj liczmana, właściwie, jak wiadomo, oznacza zwierzchnika, rządcę (stąd *panować*), a jak wnosił nasz kronikarz z wieku XIII Baszko, pochodzi od wyrazu greckiego πᾶν (wszystko), stąd oznacza jakby *wszechmożnego* (*Pan* enim juxta graecam et sclavorum interpretationem dicitur: *totum habens*): używany więc dziś zarówno do wszystkich nie tylko jest jakby wyznawaniem powszechnej jednostkowej równości, ale też razem i czczeniem ludzkiej jednostkowości; jest to jakby przypominanie co chwila metafizycznej prawdy, iż każdy z ludzi jest panem, chociażby tylko swej duszy i swoich kroków. Forma ta zatem jest nadto i jakby rodzajem ekspiacyi śród społeczności, pośród której istniała tak długo, a tak niesłusznie pogarda przez klasy klas (wiejskiej, prze-

mysłowej i t. p.), a które dziś wszystkie nawzajem tym jednym wyrazem *pan* przemawiać do siebie muszą.

Dodajmy nadto, iż jakkolwiek przez tę dziś powszechnie przyjętą formę oznaczanie osoby drugiej czynimy przez uosobianie jej w osobę trzecią, a tę osobowość zowiemy *panem*[1], to jednak zwyczaj krajowy unikając monotonności i lubując się zawsze w odcieniach zwrotów, w miejsce pan używa też nader często uosobienia tytułu, urzędu, charakteru i t. p. np., gdy się mówi: czy ma pan sędzia? pan generał, senator, i t. p. albo wuj? stryj? kuzyn? kuzynka? i t. p. lub też uosabiając imię albo nazwisko, czy ma pan Stanisław? pan Karol? pan Karpiński[2]), panna Helena? Staś? Jaś? Salcia? Emcia? i t. p. Forma ta daje więc nadto szczególną rozmaitość i w zwrocie do osób wyższych; jestże taką przy zwrocie do równych i niższych? Jakkolwiek bezwzględnie sądząc, każdy jest panem siebie i mówiąc do każdego »pan«, przypominamy tę prawdę; rozmowa jednak jest raczej załatwieniem potrzeb towarzyskich jak nauką moralną, a jeżeli ostatecznie żądanym i spodziewanym celem jest kiedyś towarzyska równość jednostek, to zarazem

---

[1] Mówimy naturalną formą: »czy masz panie?« »nadeślij mi panie« lub też przez uosobianie w osobę trzecią: »czy ma pan?« »zechce pan nadesłać« i t. p., kiedy się jednak pisze »czy masz pan? nadeślij pan« i t. p. jest to gramatyczny barbaryzm; a jednak wyznać trzeba, iż to jest barbaryzm, który się stał już powszechnym; traktują nim np. wszystkie dzienniki swych abonentów i abonentki w odpowiedziach publicznych.

[2] Korzeniowski w powieści *Tadeusz Bezimienny* uczynił uwagę, iż zwrot ten (uosobianie nazwiska) wynalezionym jest u nas przez arystokratki, chcące przypominać swym interlokutorom, iż nie są świetnego herbu; uwaga zupełnie mylna; używanie to jest tylko jednym z wynalazków dowcipu i potrzeby towarzyskiej, wyszukującej form dogodniejszych; uosobianie nazwiska jest owszem z jednej strony formą loiczną, a przy właściwej każdemu miłości własnej t. j. miłości swego rodu, nie mogące być dla nikogo niemiłem. Inny autor powieści uważa za ubliżającą formę »czy jadł?« »czy pił?« zamiast »czy jadłeś?« »czy piłeś?« (*Pamiętniki włóczęgi* Piotra Jaksy Bykowskiego); jest to forma, która się jednak nie uważa wcale za obelżywą we Włoszech. Ci, którzy lubią ścigać formy ogólne, jakież stawią na to miejsce formy ogólne?

prawdą też jest, iż nie jesteśmy jeszcze u celu, ale dopiero w *drodze* do celu; stąd płynie, że jeżeli w zwrotach naszych do osoby drugiej musimy z jednej strony stosować się do warunków tej drogi, tedy z drugiej te środki pośród tej drogi są psychicznie więcej zaletne, które są więcej w harmonii z ostatnim celem. Z obu tych względów zwracanie się do osób równych i towarzysko niższych z wyrazem pan nie może być pochwalanem.

Mianowanie przez daną jednostkę drugiej tegoż położenia towarzyskiego jednostki wyrazem *pan* jest pewnem jej przyznawaniem nad sobą wyższości, a tem samem zamiast stopniowego zbliżania się i równania sprawia oddalenie. Osoby jednego zawodu, jednego wieku, członkowie jednego urzędu, jednych wspólnych zajęć, powinowate itp., wyrażają się niewłaściwie, mówiąc do siebie *pan, pani.* a mianowanie siebie wzajemne samym zaimkiem *(wy* lub *oni)* musi się uznać w tych razach za formę więcej dodatnią, jako mającą właśnie na celu raczej porównanie jak oddalanie.

Zwracanie się zaś do osób towarzysko niższych z tym mianownikiem *pan* jest już wprost bezloiką; kiedy więc dziś słyszymy, jak np. urzędnik w biurze do swych podwładnych, nauczyciel do uczniów, majster do czeladników mówi co chwila pan, jest to karykaturą loiczną. A jednak używanie podobne wyrazu *pan* we wszystkich klasach i stanach tak się dziś stało powszechne, tak jest nieraz mechaniczne, bezmyślne, iż znaczenie tego wyrazu twierdzące zmienia się na przeczące i frazesy z jego użytkiem dają nam galimatyas wrażenia. Komuż się nie zdarzyło np. w przechadzkach miejskich, na targach lub na ulicy stać się świadkiem wzajemnego lżenia się czy to zaperzonych przekupek, czy też zażartych młodych uliczników, a nawzajem mówiących jednak do siebie *pan, pani,* (»jesteś pani indyczka«, »a pani małpa«, »jesteś pan łgarz i oszust», »a pan złodziej«).

Konieczność mówienia lub pisania do równych i niż-

szych przez *pan* i *pani* sprawia nadto ten skutek, iż dogodność krajowa musi się uciekać do używania języków, mających dogodniejsze formy; zauważyła to już kiedyś trafnie pani Hofmanowa, że potrzeba ta upowszechniła w wielu familiach lub salonach język francuski.

W zwrocie słowa do pojedyńczej osoby nie użyjemy zapewne nigdy na wzór Niemców zaimka *oni (sie)*, ale używanie w zwrocie do równych i towarzysko niższych na wzór np. Francuzów zaimka *wy* byłoby to tylko rozszerzeniem istnącego dawniej i istnącego dzisiaj zwyczaju narodowego, a stąd pożądanem. Prócz wyżej przytoczonych przykładów dawnych nie mieliśmy i nie mamy prawie znakomitego pisarza, któryby nawet formy tej kiedykolwiek nie użył; używali jej np. z poetów dawnych: Kochanowski, Rej, Wacław Potocki (w Figlikach, Fraszkach i t. p.), z nowych: Malczewski (w dedykacyi Maryi), Mickiewicz (w Wallenrodzie) i t. p.

Jeżeli jednak używanie takiej lub innej formy, w mówieniu lub pisaniu językiem własnym, w każdym razie jest zależnem od dobrej woli pisarza lub interlokutora i w każdym razie jest prawdą; tedy znowu w przekładach z języków, które mają owe ogólne zaimkowe formy, skoro je przekładamy formą odmienną, przekład jest mylnym jawnie; mniej jeszcze to być może rażącem w przekładach dramatów lub powieści, ale się staje fałszem historycznym, w przekładaniu kart historycznych. Jakże np. jest to dziejowie potwornem, kiedy w kreśleniu dziejów Napoleona I, tego umysłu tak despotycznego i jego stosunku do swych podwładnych, czytamy, jak mówi lub pisze do ministrów, posłów, prefektów: »donieś pan, przybądź pan«, albo do biskupów, arcybiskupów: »rozważ pan, nakaż pan« i t. p. A dodajmy nawiasem, że z potwornością podobną w przekładzie pism lub rozmów monarchów, parlamentarnych itp. spotykamy się dzisiaj ledwo nie co dnia w części politycznej wszystkich pism naszych.

Z uwag tych i tego wywodu całego jakiż jest wniosek?

Oto najprzód, iż forma oznaczania osobistości przy zwrocie do osoby drugiej w języku naszym jest różną od wszystkich innych, iż w zwrocie do osób wyższych jest rozmaitszą i dogodniejszą niż w innych; lecz że w zwrocie do osób równych i niższych jest przeceniającą osobistość, nieloiczną, a stąd niedogodną i że pożądanem być musi, iżby zwyczaj krajowy na piśmie i ustnie rozszerzał pogardzoną formę przez *wy*.

Mamy właśnie przed sobą wydaną w roku zeszłym korespondencyę dwóch naszych powag naukowych, Lelewela z Karolem Sienkiewiczem. W korespondencyi tej Sienkiewicz do męża szczególnej powagi i niegdyś być może swego szkolnego mistrza używa wszędzie tylko krótkiego *pan*, Lelewel do Sienkiewicza, którego poważał także, pisze wszędzie przez *wy*. Te dwie formy równo więc, powtórzmy raz jeszcze, zasługują i na przechowywanie i na popieranie [1].

1874.

2.

ANTONI MUCHLIŃSKI

(wspomnienie).

»Mają swe losy książki«, — mają i ludzie. Rok już blizko, jak zakończył życie w Warszawie jeden z najwytrawniej ukształconych i wyjątkowo dla literatury krajowej

[1] [Przesyłając artykuł ten do »Bibl. Warsz.« pisał Tyszyński: »Przypominam, iż w r. 1846 podałem rozprawkę podobnej treści, proponując zarazem, aby redakcya przyjęła i w użytku codziennym formę przez *wy*, — co do tej propozycyi przy podwójnem wotowaniu była *paritas;* co zaś do umieszczenia rozprawki nie było opozycyi. Rozprawki tej jednak po odrzuceniu projektu nie drukowałem, i po odczytaniu jej teraz, tego nie żałuję, bo była trochę przesadna. — Ten artykulik, który teraz przesyłam, jest od początku do końca zupełnie nowy; jeżeliby drukowanym być nie miał, upraszałbym o zawiadomienie; zdaje się jednak, że dotykanie i rozważanie lingwistycznych kwestyj nie może być nigdy zbytecznem. *Et haec fácienda et illa non omittenda*«. Z listu 4 lut. 1874].

zasłużonych pisarzy, były profesor i dziekan uniwersytetu petersburskiego, członek uczonych Towarzystw azyatyckich w Londynie i Paryżu i niemieckiego wschodniego w Lipsku, stały mieszkaniec Warszawy od lat dwunastu. Kiedy pisma nasze codzienne nie omieszkują donosić starannie o przyjazdach lub wyjazdach każdego z miejscowych pracowników, autorów, artystów chociażby dramatycznych i t. p., a historye naszej literatury nie zapominają nawet niekiedy chwilowych korespondentów do gazet, — o przebywaniu w mieście i corocznych wycieczkach do Europy i na Wschód pisarza, którego nazwisko wyraziliśmy, nie wzmiankowało nigdy żadne warszawskie pismo, o śmierci jego doniosły zaledwo niektóre, a w niektórych naszych Historyach Literatury napróżnobyśmy szukali nawet jego nazwiska. Tylko Encyklopedya Powszechna Orgelbranda (większa) w kilkunastu artykułach swoich powoływała się na prace zmarłego i o nim samym umieściła wzmiankę biograficzną, a Bibliografia K. Estreichera wyliczyła dokładnie jego wydania.

Taki los, to jest powód praktyczny takiego losu, nie jest jednak tym razem zbyt trudny do oznaczenia. Zmarły Muchliński, wypada to wyznać zgóry, był obdarzony cechą, która jego umysłowość i uczuciowość wybitnie odznaczała od lat młodzieńczych do ostatnich życia, a cechą tą nie było bynajmniej zakochanie się w świecie. Od czasu do czasu wprawdzie pisał on i ogłaszał swe prace, ale o szczególnem rozpowszechnieniu ich, o reklamie nigdy nie myślał. Wróg wszelkich zebrań liczniejszych, tak publicznych jak i prywatnych, chociażby nawet wyłącznie naukowych, — uczestnik tylko niekiedy kółek złożonych z blizkich znajomych, a i w tych kółkach zwykle ostry, dziwaczny, — za jedynego przyjaciela, za świat swój, obrał był tylko wyłącznie swój gabinet. Świat żywy odpłacał mu też nawzajem »pięknem za nadobne«. A jednak zasługa istotna i wartość stała pozyskiwać też muszą i stałą pamięć. Świat nasz nie jest biegiem bezładnym, i musi, chcący nie chcący, od-

dawać »każdemu, co jego«, — *suum cuique*, jak mawiali prawnicy rzymscy. Zmarłego autora znaliśmy bliżej od lat jego najmłodszych, dzieląc z nim niegdyś w części i wspólne nauki. Nim więc ktoś może bliżej pisma jego oceni, chcemy tu w przybliżoną rocznicę zgonu, podać chociaż obecne wspomnienie, t. j. kilka znanych nam dat jego życia i razem zarys treści jego publikacyj.

Antoni Muchliński urodził się w Nowogrodzkiem w r. 1808[1]. Od dziecka zostawszy sierotą po niezamożnych rodzicach, wychowanie swe otrzymywał z łaski i kosztem bezżennego a zamożnego stryja. Po ukończeniu szkół w miasteczku Mołodecznie (miejscu wówczas nauki Zanów i Chodźków), oddany był na uniwersytet w Wilnie. Tu otrzymał był najprzód stopień kandydata z wydziału nauk moralno-politycznych, w rok zaś potem, przez zdanie egzaminów, takiż stopień na wydziele historyczno-filologicznym, zwanym literackim, i zarazem premium za rozprawę. Było to, jeżeli się nie mylimy, w r. 1828. Muchliński skończył był zaledwo lat 20, gdy dolę jego spotkały w tymże czasie dwa przewroty. Jego opiekun i stryj, który nań łożył tyle, ile uważał za potrzebne na utrzymanie, widząc chłopca nadto wychudłym i okrytym tylko zbyt skromnym płaszczykiem zimą i latem, powziął był podejrzenie o jego rzetelnej konduicie i przybył osobiście do Wilna, aby to sprawdzić. Pierwsze wejście do mieszkania synowca było rozwiązaniem zagadki: na oknach, stołach, komodzie i szafie, ukazały mu się stosy książek. Młody pracownik co mógł tylko oszczędzić od jadła i ubrania, niósł do antykwaryuszów wileńskich, zakładając w ten sposób fundamenta swego przyszłego zbioru. Zgorszony stryj (był to pilny i skrzętny gospodarz, ale tylko gospodarz) nie uczynił synowcowi ostrej wymówki, oświad-

[1] W artykule o Muchlińskim w Encykl. Powszech. wyrażona jest data urodzenia 1803, oczywiście przez omyłkę zecera, o kilka wierszy bowiem przy dacie jednego z pism wydrukowano także 3 za 8, w tymże artykule przy wyliczaniu pism, zamiast Zdanie sprawy, wydrukowano Ważne sprawy.

czył jednak, iż nie powinien wcale liczyć na spadek po nim, i że cofa mu odtąd udzielaną pomoc. Nawykły uczyć się tylko, nie uczyć, młody M. ujrzał się nagle bez wszelkich środków dalszego utrzymania się na bruku miejskim. Skłonny zawsze do popędów mistycznych, chciał szukać schronienia i opieki w stanie duchownym, i miał nadzieję z końcem roku przywdziać sukienkę seminarzysty, — ale ów przewrót drugi pochwycił go pierwej i rzucił w nader odmienną kolej. W roku tym uniwersytet wileński otrzymał był w liczbie innych wezwanie o nadesłanie do Petersburga trzech zdolnych uczniów do dalszego ich kształcenia kosztem rządu i uzdolnienia do zajęcia następnie katedr w uniwersytetach krajowych. W liczbie tych trzech wysłanych znalazł się Muchliński. Istniał wtedy w Petersburgu przy departamencie azyatyckim ministeryum spraw zagranicznych instytut języków wschodnich, przeznaczony do kształcenia młodzieży na drogomanów, konsulów i t. p. w krajach wschodnich. Okazana przy egzaminach zdatność filologiczna była powodem, że M. otrzymał przeznaczenie kształcenia się w tymże instytucie, który też natenczas składał się prawie wyłącznie z młodzieży, z uniwersytetu wileńskiego przybywającej [1]. Po ukończeniu kursu w instytucie w r. 1832, wysłany był na trzy lata na Wschód, i kształcąc się praktycznie w językach, zamieszkiwał z kolei w Egipcie, Grecyi i różnych miejscowościach Turcyi europejskiej i azyatyckiej. W r. 1835, po powrocie do kraju, wszedł był najprzód w posiadanie spadku po owym stryju (który mu dawne winy z łatwością był wkrótce przebaczył), złożonego z własności ziemskiej, zapasów i kapitałów (a na który uradowany spadkobierca, zdaje się, iż tylko jako na symbol przyszłego swego księgozbioru spoglądał), — i zarazem objął w uniwersytecie petersburskim

[1] Liczba uczniów w tym instytucie była nie większa nad 10 lub 11-tu. Współuczniami Muchlińskiego w r. 1829 (jak to sam wspomina w biografii Pietraszewskiego) byli, oprócz tegoż Pietraszewskiego: Chodźko Aleks., Szpicnagel Aleks., Żaba Aug., Gutt Edward, Szemiot Antoni.

katedrę języków wschodnich: tureckiego, perskiego i arabskiego, z razu w stopniu adjunkta, a następnie profesora nadzwyczajnego, przyczem bezpłatnie i dobrowolnie wykładał język nowo-grecki. W roku 1845, ukończywszy obowiązkowe lata służby, wziął uwolnienie i na mieszkanie przeniósł się do Warszawy, tu przewożąc i swój obfity już księgozbiór; lecz w roku 1849 na wezwanie wrócił do Petersburga, dla objęcia katedry języka i literatury tureckiej, i tę odtąd stale zajmował do r. 1866, w którym wrócił powtórnie do Warszawy, i tu, jak to już wspomnieliśmy wyżej, zamieszkiwał do śmierci. W ciągu zajmowania katedry podwakroć przez wydział wschodni był obierany na dziekana wydziału i potrzykroć naznaczany wizytatorem szkół żydowskich w cesarstwie. Był też w r. 1860 członkiem komisyi do rozpoznawania kwestyj odnoszących się do Karaitów. Czyli to folgując swej mizantropii, czy w celach naukowych, mnożenia księgozbioru i t. p. zwykł był Muchliński od r. 1853 (roku utraty żony) stale przepędzać miesiące letnie za granicą, poznając wzdłuż i wszerz kraje Europy, opierając się w jednym roku o Sztokholm, w następnym o Madryt i t. p. Z Warszawy czynił nadto podwakroć wycieczki na Wschód, raz ostatni na otwarcie kanału Sueskiego, biorąc udział w tamecznych uroczystościach tak pod otwartem niebem jak i przydwornych [1]. W r. 1873 otrzymał był jeszcze wezwanie z Paryża na kongres oryentalistów; zaproszeniu temu nie mógł już jednak zadośćuczynić, dla niezdrowia. Odwiedzał tylko odtąd corocznie Marienbad. W miesiącu październiku roku zeszłego zakończył życie, mając lat 70.

Patrząc na ten przeciągły zawód naukowy i lata życia, a zarazem na tak niewielką stosunkowo liczbę prac, które ogłosił, rzecby można, iż zmarły M. z powołania auto-

[1] Khediw egipski rozesłał był wtedy na te uroczystości pewną liczbę zaproszeń do wszystkich krajów, których konsulowie przebywali w Kairze, na ręce tychże konsulów. Konsul rosyjski był jednym z uczniów Muchlińskiego, i nie zapomniał o swoim mistrzu.

rem nie był, iż tylko jako przyjaciel książek, sam też od czasu do czasu poczytywał za obowiązek napisać książkę i pisywał tylko z przypadku. Jakiebykolwiek jednak były bodźce praktyczne, faktem jest, że pisywał, i owszem pozostawił nam prace wartości stałej. Przypomnijmy tu więc, jakie one były? a zarazem; jaki? oraz, dlaczego taki nie inny bywał przedmiot tych prac i ich charakter? Rzecz prosta, iż wszelki utwór człowieka jest odbiciem jego umysłowości, a wiadomo także, iż te umysłowości jednostek ludzkich tak są różne w sobie moralnie, jak są różne te jednostki fizycznie. Każda jest wyrazem i zbiorem odrębnych a właściwych sobie skłonności, usposobień, pociągów, takich lub innych ich odcieni i kombinacyj, i każda daje nam słowem różną całość w swojej organizacyi. W czemże podobna lub niepodobna była do innych, i jaką mianowicie przedstawiała psychologiczną całość, umysłowość zmarłego? Autor »Teoryi jestestw organicznych« (Jędrzej Śniadecki) wyraził zdanie, iż władzą wybitną, która rodzaj ludzki odróżnia od innych istot organicznych, jest władza imaginacyi. I istotnie widzimy ją zwykle wyraźnie w takich nawet umysłach, które z upodobaniem zajmują się czemś, co jest jakby kontrastem z imaginacyą: przyrodą zewnętrzną, logiką itp. Kopernik pisał poezye, Hegel prawdę swego systematu popierał przytoczeniami z »Fausta«, ojciec naszej bibliografii Załuski wydał dwa tomy poezyj, a nawet katalog biblioteki swojej pisał wierszem białym. Otóż umysłowość autora, o którym mówimy, a który przeważnie i przedewszystkiem, jak Załuski, był bibliofilem, tę miała oryginalność, iż w niej władza imaginacyi tak była nieczynna, przybita, iż zaledwoby rzec nie można, iż nie istniała w nim wcale. Właściciel za młodu wioski, do której brzegów dotykały poetyczne wody Świtezi (Wołkowicze), gość długi poetycznych stron Wschodu, nie czuł jednak nigdy w sobie kropli popędu poetycznego. Przepędziwszy ledwo nie połowę życia w podróżach, wśród otoczeń odmiennych klimatów, różnej natury, różnej cywilizacyi, pośród szeregu przygód i przejść

wyjątkowych, nigdy ani jednem słowem nie zdradził wyniesionych wrażeń, a towarzysze wspólnego życia, świadkowie codziennych rozmów, zaręczyćby mogli, iż przez całe swe życie nie wyjrzał za granice parafii. Cała sfera sztuk pięknych, od poezyi do tańca, była to dla zmarłego oryentalisty jakaś *terra incognita*. Sam wyznawał, iż z liczby nauk żadnej nie znał tyle dla umysłu swojego wstrętnej, co teorya estetyki. Galerye obrazów, teatr, koncerty, bale, jeśli zmuszony był kiedy być ich świadkiem, uważał tylko za dobre przewodniki do spania. Spotykając człowieka nucącego dla siebie piosnkę, wnosił, iż ten dotknięty być musi cierpieniem umysłowem. Takie były cechy, właściwości umysłu zmarłego, i takie musiały się wyrazić w treści i charakterze jego utworów. Nie jakaś bujająca fantazya, nie rozumująca rozwaga, nie ożywienie słowem takiej lub innej władzy psychicznej stawało się źródłem i zadaniem piśmiennych prac jego, ale tylko taka lub inna przedmiotowość, sucha i oderwana. Wprawdzie owo wyłączne a ciągłe obcowanie z księgozbiorem, który wokoło siebie zgromadził, przeciągły zawód naukowy, obiór za pole pracy przedmiotowości prawie dla nas nieznanej, były powodem, iż każda z tych prac stawać się musiała zajmującą już przez to samo, iż była odbiciem przygotowania tak bogatego i treści tak wyjątkowej; — ale ów znowu wstręt do estetyki sprawiał: że żadne estetyczne ramy, żadna, by najmniejsza obrazowość, żaden spekulacyjny pierwiastek, nie znajdowały miejsca w tych utworach. Główne prace, które ogłosił M. (a których wszystkich prawie czas ogłoszenia przypada na rok 1858) były mianowicie z treści następne: »Badania o pochodzeniu i bycie Tatarów litewskich« (traktat przeznaczony do czytania na posiedzeniu uniwersytetu, w jęz. ros.); — »Źródłosłownik wyrazów, które przeszły do języka polskiego z języków wschodnich i z Polski do tureckiego«; — »Zarys dziejów krainy Tanejskiej«; — »Sprawozdanie z r. 1568 o Tatarach polskich«; — »Chrestomatya osmańska«; — »Wiadomość o Karaitach krymskich« (w jęz. ros.); — »Biografia Ign. Pietra-

szewskiego«. O głównej treści tych pism, zwłaszcza polskich, powiemy tu po kolei. Najpierwszem, a zarazem najwięcej wypracowanem z tych pism był »Źródłosłownik«. Była też to jedyna praca, którą autor nie z jakiejś okolicznościowej pobudki, ale z dobrowolnego pomysłu i natchnienia wykonał, i przez którą jedyną w swoim rodzaju i stałą uczynił dla literatury przysługę. W układzie i wypracowaniu tego Źródłosłownika, Muchliński był samodzielny. Miał on wprawdzie przykłady podobnych prac w innych literaturach, ale nie miał poprzedników we własnej, — i dodajmy — dotąd rywalów. Linde w swoim Słowniku języka polskiego nader niewielu tylko wyrazom polskim naznaczał pochodzenie wschodnie, a nadto, oprócz hebrajskiego, nie wyrażał pierwotnych wyrazów ich alfabetem własnym. Dykcyonarz Amszejewicza, zawierający wyrazy i wyrażenia z obcych języków polskiemu przyswojone (1859, Warszawa), podobnież ma tylko małą cząstkę tych, które znajdują się w Źródłosłowniku Muchlińskiego, i nie przytacza pierwiastków obcych nawet według ich brzmienia. Praca zaś Muchlińskiego ma przedewszystkiem tę umiejętnościową cechę, iż wszystkie wyrazy wschodnie, uznawane za pierwiastki krajowych, wyraża tu własnym ich alfabetem. Muchliński dla uczynienia pracy swej dokładniejszą i w ramach jej obszerniejszą, poświęcił dobrowolnie czas znaczny dla wyuczenia się języków sanskryckiego i hebrajskiego. W treść zaś swego słownika wciągnął nie tylko wyrazy takie, które do języka naszego przeniesione zostały żywcem ze Wschodu (jak np. basza, minaret, mumia), nie tylko takie, które samem swem brzmieniem wydają pierwiastek obcy (jak np. balsam, balkon, baldachim, karabela, imbryk, filiżanka, karafka itp.), ale nawet i takie, które ze swego znaczenia i brzmienia są ściśle polskie, a które okazują się pochodnymi. Wyrazów do swego słownika autor szukał nie tylko w słownikach i mowie ustnej, ale nadto w dawnych naszych pisarzach wiersza i prozy (jak np. w Reju, Orzechowskim, Twardowskim, Opalińskim, Białobockim i innych), i stąd

znajdujemy w tym zbiorze wyrazy, których nie mieszczą nie tylko inne słowniki słowiańskie, ale też uszły były nawet uwagi Lindego. Czyniąc w słowniku wywód danego wyrazu, autor nie tylko przytacza ten wyraz wschodni, który mu był pierwiastkiem, ale też sam ten wyraz obcy rozbiera na własne jego pierwiastki, tłumacząc ich znaczenie i objaśniając w ten sposób nieraz nie tylko pierwiastek mechaniczny brzmienia, lecz też i przewód myślenia. Poznając pierwiastek przejęty, a zarazem sposób i drogę tego przejęcia, czytelnik znajduje tu materyał do badań, skąd dane wyobrażenie takiego a takiego wyrazu naszego pierwotnie wyszło, w jaki sposób organa mówne wyrażały swym mechanizmem takie a takie pojęcia, takie a takie uczucia, i zarazem jakie były odcienie i drogi w sposobie przenoszenia tych środków z mowy do mowy. Fizyolog, gramatyk, etnograf, historyk, a pośrednio psycholog i filozof (jak zaś dopiero widzieliśmy, i komentator naszych pism dawnych), znaleźć mogą w Źródłosłowniku materyał i pomoc dla swoich badań. Jak zaś żywotny jest ten materyał, wskażemy tu dla przykładu jeden z tych względów, historyczny lub raczej przedhistoryczny. Wie to każdy, iż język polski nader różny jest od łacińskiego, że znawca jednego z tych języków nie zrozumie wcale drugiego, ale po przyjrzeniu się bliższem ze zdziwieniem da się spostrzegać, iż między wyrazami tych języków, które mają podobne znaczenie, spotyka się nieraz zupełna podobność w brzmieniu, a to nie tylko w wyrazach naukowych lub w wyższej cywilizacyi, ale owszem wśród wyrazów codziennych, potocznych i takich, bez których żaden najprostszy język obywać się nie może. Tak np. nasze czasowniki: dać, stać, paść, widzieć, siedzieć i t. p., różnią się tylko zakończeniem cechowem od łacińskich, które brzmią: dare, stare, pascere, videre, sedere. Toż samo okazują codzienne rzeczowniki z różnych przedmiotów: matka, siostra, brat, oczy, nos, — mater, soror, frater, oculi, nasus; — dom, woda, ogień, pasterz, owca, jagnię, miesiąc, słońce, — domus, unda, ignis,

pastor, ovis, agnus, mensis, sol; — zaimki i przymiotniki: swój, swoja, sobie, ty, mnie, nowy, nowa, nowe, suus, sua, sibi, tu, me, novus, nova, novum; toż samo nawet odmiany czasowników przez osoby: jestem, jesteś, jest, jesteśmy, jesteście, są, — sum, es, est, sumus, estis, sunt itp.; — a te podobieństwa literalne istnieją nie tylko w języku polskim, który miał bliższe związki z Rzymem i z Rzymianami, ale i we wszystkich innych słowiańskich. Jakiż stąd historyczny wniosek? Czyliżby należało stąd wnosić, że pierwotni nasi przodkowie słowiańscy poszli od Rzymian, albo od bezpośrednich przodków ich, Greków? Takby się zdało; — spojrzmy jednak, co nam powie w rzeczy tej Źródłosłownik? W Źródłosłowniku obecnym spotykamy się właśnie z tymi wszystkimi wyrazami, które mają tak podobne sobie łacińskie, a które przytoczyliśmy; lecz oto znajdujemy, że mają one wszystkie podobnie brzmiący pierwiastek w języku sanskryckim. Wypadałoby tedy wnieść, iż wspólnym pierwiastkiem języków słowiańskich oraz romańskich jest mowa sanskrycka; — lecz oto rozpatrujemy się dalej i znajdujemy, iż wiele jest nadto innych naszych potocznych wyrazów, które nie mają podobnie brzmiących łacińskich, a mają podobnie brzmiące w sanskryckim (jak to się dzieje z wyrazami być, bić, szyć, dąć, śmiać się i in.). Dalej znów znajdujemy wiele wyrazów potocznych, które nie mają sobie podobnych w sanskrycie, a jednak znajdują swe pierwiastki w językach wschodnich (takimi np. są: czas, doba, góra, gaj, i t. p.). Jakiż więc ostatecznie Źródłosłownik nastręcza nam pod tym względem wniosek? Oto nastręcza nam, lub raczej staje się nowem poparciem tego objawionego już przez wielu najnowszych lingwistów zdania, iż ową mową pierwotną, mową rodzicielką języków tak grecko łacińskich jak i słowiańskich, jest nie język starożytnych Indów (czemu i samo położenie geograficzne tych ludów musi zaprzeczać), ale inna jakaś mowa azyatycka, Europy bliższa, a którą mówiące pokolenia w jednej kolei wyemigrowały były na południe Azyi i założyły kraj

Indów, a w drugiej wychodziły równocześnie na zachód, do Europy, lub też wyszedłszy tu jednocześnie, rozsiedliły się częścią na jej południu (Grecy), a częścią na jej północy (Słowianie). Taką pomocą staje się więc w badaniach Źródłosłownik. Praca ta czyliż nie ma jednak zarazem stron jakich ujemnych? — Być może... Być może, iż Źródłosłownik ten, jakkolwiek mieści znakomitą liczbę blizko 1,500 wyrazów, mógłby ich jeszcze objąć daleko więcej; być może, iż ma jakie niedokładności w rozdziale zgłosek, w wykładzie ich znaczeń; być może, iż w tych uwagach, które wybiegają za zakres językowej przedmiotowości, gdzieniegdzie mógłby być sprostowany [1]; być może, iż w ocenieniu, które wyrazy weszły do polskiego ze wschodnich, a które z prowincyj polskich do tureckiego, byłoby niekiedy właściwiej wnioskować na odwrót i t. p. Wszystko to (mając wzgląd na ułomność dzieł ludzkich, i na to, że próba obecna jest pierwszym krokiem), powiadamy, być może; ale nie twierdzimy bynajmniej, iż tak jest. O żadnej podobnej omyłce lub niedostatku nie moglibyśmy, co do nas, wyrazić się twierdząco. Lecz w każdym razie krok ten, dlatego właśnie, że jest krokiem pierwszym i że jest postawiony tak umiejętnie, bezstronnie i pracowicie, pozostać musi na zawsze w literaturze naszej okresową zasługą [2].

[1] Tak np. na str. 45 objaśniwszy etymologicznie wyraz Jehovah przez rozbiór tego brzmienia na hebrajskie pierwiastki, autor między innemi dodaje, iż: »wyrazy te oznaczają wieczność i nieodmienność Boga«. W wykładach innych znawców języka hebrajskiego czytaliśmy, iż oznaczają one bytność w sobie, u innych znowu inaczej. Na str. 29 przy objaśnieniu wyrazu Farys, Muchliński mówi: »Sławny poeta arabski Szanfary napisał kassydę, czyli poemat powieściowy Farys, znany u nas z pięknego przekładu Mickiewicza«. Być może, iż objaśnienie to jest wierne; o ile jednak znane nam jest małe przywiązanie przez autora wagi do szczegółów poetycznych, wymagałoby jeszcze sprawdzenia przez właściwych znawców: czyli i o ile? Farys Mickiewicza jest tylko prostym przekładem z Szanfarego.

[1] Literalne brzmienie napisu tej książki jest następne: »Źródłosłownik wyrazów, które przeszły wprost czy bezpośrednio do naszej mowy z języków wschodnich, tudzież mających zobopólną analogię co do brzmie-

»Zdanie sprawy o Tatarach litewskich z r. 1568«. — Historya tej publikacyi, jak objaśnia sam autor we wstępie, była następna: W liczbie rękopismów tureckich, które księgarz stambulski, Emin effendi nadesłał mu był w roku 1853, znalazł się jeden, noszący napis: Risalei Tatari Leh, t. j. Rzecz o Tatarach polskich. Z treści tego rękopismu okazało się, iż pisał go w r. 1568 jeden właśnie z ówczesnych Tatarów polskich, który wracając z pobożnej pielgrzymki do Mekki, zatrzymał się był w Stambule, i tu na żądanie swych współwyznawców napisał był tę wiadomość o swoich współziomkach w Polsce, dla przedstawienia jej za pośrednictwem wezyra ówczesnemu sułtanowi Ottomanów, Solimanowi II. Rękopism ten przełożył Muchliński na język polski i opatrzywszy w objaśnienia i przypisy, wydrukował pospołu z tekstem pod powyższym napisem, tj.: »Zdanie sprawy o Tatarach litewskich sułtanowi Sulejmanowi w r. 1568, przez jednego z tychże Tatarów«. Sprawozdanie to, jakkolwiek ma początek i epilog w napuszystym stylu (co zdaniem tłumacza przeniesione było z pism innych współczesnych), w głównej swej treści jest opowiadaniem prostem i naturalnem, a stąd ile wyrażone przez naocznego świadka, jest źródłowem świadectwem o zwyczajach, obyczajach, ogólnym bycie i losie ówczesnych Tatarów w Polsce. Autor sprawozdania objaśnia tu najprzód według siebie historyę pochodzenia Tatarów polskich, następnie wylicza główne miejscowości, w których zamieszkują. Wzmiankuje, iż liczba ich jest 200.000 — iż mają ze sto meczetów, jakkolwiek te ani się równać mogą z tymi, które są w Turcyi, — iż Tatarowie na Litwie jedni mieszkają w miastach i trudnią się tam wyprawą skór, ogrodnictwem, furmaństwem, i ci są wogóle biedni i podlegli licznym opłatom,

nia lub znaczenia, z dołączeniem zbiorku wyrazów, przeniesionych z Polski do języka tureckiego zebrał i objaśnił Antoni Muchliński, profesor zwyczajny literatury i języków wschodnich w cesarskim S. Petersburskim uniwersytecie, 1858, Petersburg«, str. VIII, 158. (Wyrazów pierwszej kategoryi 1.200, drugiej 70).

inni zaś mieszkający na wsi i posiadający własność ziemską, cieszą się tymiż przywilejami, co inni właściciele ziemi, i nie płacą żadnych podatków, będąc tylko obowiązani do służby orężnej, — że wprawdzie ridżali (magnaci) dopuszczają się względem nich gwałtów, lecz teraz (dodaje sprawozdawca) mniej tego, niż było kiedykolwiek. Wzmiankuje także, iż Tatarowie, dla małej liczby Tatarek, zmuszeni byli oddawna żenić się z miejscowemi kobietami, a w nowem pokoleniu, jakkolwiek nie zapominają swej wiary, lecz wielu już zapomniało języka. Potrąca też sprawozdawca w swoim raporcie nieraz o kraj, w którym zamieszkuje, a jakkolwiek naturalnie ceni go niżej od kraju, którym rządzi wielki padyszach, nie wyraża się jednak nigdzie zbyt nieprzychylnie. Mówi np. między innemi: »Państwo Lehskie jest wielkie i bogate, a osobliwie w płody ziemne«. Poświadcza ówczesną tolerancyę, gdyż mówi: »Niema podobno kraju, gdzieby istniało tyle rozmaitych sposobów chwalenia Allaha, niema także żadnej wiary, któraby tu miała wyłączną przewagę nad innemi«. Użala się wprawdzie na łakomstwo, a stąd ucisk »królowej matki« (Bony), ale o synu jej, Zygmuncie Auguście, pisze: »Zna go mocarstwo Ottomańskie z jego życzliwości, i u nas lubią go duszą i sercem«. Jest też tu i komplement dla współrodaczek Polek, jakkolwiek naturalnie w guście tatarskim, t. j. w tych wyrazach: »Jeśliby wielki padyszach od progu swej szczęśliwości zechciał przysłać do tych krajów gorliwych waizów (kaznodziei), niemasz wątpliwości, że większa część ich mieszkańców zostałaby uzacniona światłem islamu. Miałby padyszach piękne odalyki (odaliski), i ty wielki wezyrze, cudne dziewice«. Lecz mówiąc o wydawcy, t. j. tłumaczu sprawozdania, trzeba tu dodać, iż oprócz objaśnień bieżących i tekstu, dodane zostały do przekładu obszerne przypisy, pięćkroć przewyższające objętością swoją samo sprawozdanie. Przypisy te czerpał autor z kronik krajowych, wschodnich, z Metryki Litewskiej i innych akt urzędowych; równej wagi i obszerności rzeczy dodał też

autor do swego traktatu o Tatarach, drukowanego w języku rosyjskim. Stąd Bartoszewicz w Encyklopedyi Powszechnej w artykule o Tatarach litewskich, obok przytoczeń o tym przedmiocie z Czackiego i Bandtkiego, wyraził: »W ogólności dla historyi Tatarów naszych największe zasługi położył Muchliński« (XXV, 29).

»Zarys dziejów krainy Tanejskiej«. Dziełko to nieobszerne, ale ze względu na przedmiot i wykonanie zajmujące i użyteczne, napisał był i ogłosił autor z okoliczności wyświęcenia w r. 1858 sufragana archidyecezyi mohylewskiej, ks. Antoniego Fiałkowskiego (dziś metropolity) na biskupa tanejskiego *in partibus infidelium*. Gród Tanis, objaśnia broszurka, był stolicą dawnego Egiptu z czasu Faraonów. Z wód to odnogi tanejskiej wyratowane było przez córkę Faraona dziecko Mojżesz, i tenże następnie, jak śpiewał Dawid w Psalmie, »przed oczyma ich (Izraelitów) czynił dziwy w ziemi egipskiej, w dolinie Tanejskiej« (Ps. 70). Stolica egipska przeniesioną została następnie do Memfis, miasta w górnym Egipcie, ale stolicą dolnego pozostał zawsze Tanis. Stąd też po wprowadzeniu i rozszerzeniu się tu w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, powstało i biskupstwo tanejskie. Biskupstwo to po najeździe na Egipt Persów i Arabów znikło de facto, ale pamięć o niem w środkowym zarządzie Kościoła (w Rzymie) przeciąga się, jak widzimy, dotąd. Autor przytacza liczne wzmianki o krainie Tanejskiej, tak z ksiąg biblijnych, jak i późniejszych, a w końcu stan jej współczesny określa ze wspomnień własnych. Biskupstwo tanejskie, które w pierwszych wiekach liczyło 100.000 chrześcijan koptyjskich, dziś nie ma ani jednego katolika. Dodajmy jednak, iż jak to w innem miejscu wzmiankuje broszurka, był przed niejakim czasem jeden, a był nim współziomek nasz, krawiec Kręczkowski, który tam pozostawał od czasu wyprawy Napoleona. I ten jednak w czasie pobytu autora w Egipcie (1834) przeniósł się był do Kairu.

Broszurka pod napisem: »Ignacy Pietraszewski« wy-

dana była w r. 1861 w Wilnie[1], napisana z powodu rozpowszechnionej podówczas przez dzienniki niemieckie wieści o śmierci tego oryentalisty. Pietraszewski, pochodzący z dawnych Prus królewskich (Warmii), był współuczniem autora w Wilnie i Instytucie — następnie w wielu miejscach na Wschodzie konsulem i dragomanem przy konsulatach rosyjskich, od r. 1844 wykładał języki wschodnie w uniwersytecie berlińskim, a ostatecznie był dragomanem przy konsulacie pruskim w Teheranie. Był to także jeden z naszych pracowitych oryentalistów. Wydał on między innemi w r. 1842 »Nowy przekład dziejopisów tureckich, dotyczących historyi polskiej«, w którym między innemi poprawiał omyłki i błędy, których miał się dopuścić Sękowski w swych »Collectaneach«. Muchliński wzmiankując o tej pracy, objaśnia, iż w niej autor przeciw omyłkom Sękowskiego wystąpił za ostro, wszakże i ze swej strony poprawia zarazem niektóre błędy tego ostatniego. Główną wszakże właściwością Pietraszewskiego była znajomość języka zendzkiego (staroperskiego), którym pisana Zendawesta; wydał jego gramatykę i usiłował dowieść, iż był to właśnie ów język, od którego bezpośrednio poszły słowiańskie, a zwłaszcza jednobrzmiący z nim prawie język polski. W r. 1831 Słowak Dankowski wydał był w Wiedniu 300 wierszy I-ej księgi Iliady po grecku, z przekładem dosłownym na język starosłowiański i wykazywał, iż jednoznaczne wyrazy w języku starosłowiańskim i starogreckim (według wymowy doryckiej), są też i jednobrzmiące. Po-

[1] W drukarni A. H. Kirkora, i to było zapewne powodem, iż Encyklopedya Powsz., XX., 680 i Bibliografia Estreichera, III., 398, podały ją za broszurkę pióra Kirkora. Już jednak sama jej treść, a choćby tylko znajdujący się na ostatniej karcie wyjątek z listu Pietraszewskiego do autora broszurki, kończący się temi słowy: »Z radością czytałem twej pracy Chrestomatyę w bibliotece Szacha«, nie pozwalały czynić tego przypuszczenia; Bibliografia poszła tu oczywiście za omyłką Encyklopedyi, sama bowiem broszurka (jak tego dowodzi brak gwiazdek pod artykułem) nie znajduje się w bibliotekach krakowskich.

dobnie I. Pietraszewski w r. 1857 ogłosił w Berlinie ustęp z Zendawesty, z dosłownym przekładem polskim, i tu jednobrzmienność wyrazów toż samo znaczących w obu językach starał się wykazać. Gwiazda szczęścia, jak objaśnia biograf, nie świeciła jednak temu pracownikowi. W Paryżu jego wierzyciel bankier sprzedał za długi jego kollekcyę medalów starożytnych w liczbie 3.000 (uznawaną przez oryentalistów za jedną z najciekawszych w Europie) na wartość metalu, a za ogłoszenie swego przekładu Zendawesty stracił katedrę w Berlinie. Bopp, jak pisał o tym wypadku w liście do M. sam Pietraszewski, — wezwany o udzielenie opinii co do jego broszurki (przekład był wykonany po polsku, niemiecku, francusku i nowo-persku), wyraził na piśmie: »Nie znam języka zendzkiego«, ale ustnie dodał: »jest to praca nic warta« [1]. Muchliński w broszurce, spostrzeżenia etymologiczne Pietraszewskiego uważał za uzasadnione i przytaczał takież zdanie innych oryentalistów słowiańskich, znawców przedmiotu.

Chrestomacyi tureckiej wydał Muchliński trzy części. Nie znając bliżej przedmiotu, nic nie umiemy powiedzieć o wartości tego wyboru. Objaśnimy tu tylko, iż pierwsza część obejmuje najwięcej artykułów historycznych, odnoszących się do dziejów tureckich, traktatów i wojen z Rosyą. Część druga przeważnie zaznajamia czytelnika z utwo-

[1] Pracy tej Pietraszewskiego zaszkodziła zapewne sama napuszystość i dziwaczność (miał je do pewnego stopnia w swojej powierzchowności i sam autor, ile znaliśmy go w wieku młodym) jej napisu, ten bowiem tak brzmi: »Miano słowiańskie (t. j. własność, mienie) w ręku jednej familii od 3.000 lat zostające, czyli nie Zendawesta a Zendaszta, t. j. życiodawcza książęczka Zoroastra« (zamiast życiodawcza, prędzej już można było oglądać w brzmieniu Zenda-westa brzmienie Święta Wieść). Teoryi jednak swej i przekonań mimo utratę katedry autor nie zmienił. Wiadomość o jego śmierci w r. 1861 okazała się mylną, umarł bowiem dopiero w r. 1869, a w tym przeciągu wydał na nowo pracę swą pod napisem: »Zendavesta ou plutôt Zendaschta expliqué d'après un principe tout-à-fait nouveau«, i w związku z tem: »Wie der gelehrte Fachmann mit unzünftigen Entdeckungen verfährt«. 1864. Berlin.

rami poetów tureckich. W części III-ej (wydanej p. n. Artykuły) znajdują się między innemi autentyki jarłyków i firmanów, odnoszących się do historyi polskiej. (Za publikacyę tę otrzymał autor w darze pierścień dyamentowy z rubinem).

Te były główne prace i publikacye piśmienne zmarłego Muchlińskiego [1]. Dodamy zaś w końcu wzmiankę o duchowej stronie autora. Chociaż zmarły był przyjacielem Wschodu i ludów wschodnich, a stąd i w kraju zajmował się zawsze ich losem (pisząc o Karaitach, Tatarach itp.), był jednak mimo to przedewszystkiem gorliwym zawsze wyznawcą prawd i ścisłym wykonawcą przepisów chrześcijańskich. Przed laty, w czasie zamieszkiwania w Petersburgu, przesyłał nieraz korespondencye w religijnych przedmiotach do wychodzącego w Warszawie »Pamiętnika religijnego«; należał też pośrednio do ułożenia »Wyboru modlitw« dla współmieszkańców miasta, wydanego w r. 1858 nakładem B. Wolffa (p. n. Wieniec etc.). Młodzieży katolickiej rodem z Królestwa Polskiego, znajdującej się licznie w owym czasie na flocie w Kronsztadzie, nie omieszkiwał zwykle zaopatrywać w przywożone z Wilna albo Warszawy modlitewniki. Celem jego podróży na Wschód z Warszawy

[1] Znane nam oddzielne wydania Muchlińskiego chronologicznie są następne: 1857 Badania o pochodzeniu i bycie Tatarów litewskich (w jęz. ros.). — 1858 Źródłosłownik etc. — 1858 Zarys dziejów krainy Tanejskiej. — 1858 Sprawozdanie o Tatarach litewskich z r. 1568. — 1858 Chrestomatya Osmańska, Cz. I. — 1859 Chrestomatya Osmańska, Cz. II. — Artykuły. — 1861 Ignacy Pietraszewski. — 1862 Wiadomość o Karaitach (w jęz. ros.). — 1864 Przewodnik dla zwiedzających Marienbad i jego okolice, przekład z niemieckiego dra Krazmanna (dochód z tego pożądanego dla gości dziełka przeznaczony był przez tłumacza na założenie jednego łóżka w szpitalu marienbadzkim dla współziomka). — 1867 Listy Władysława IV. do Krzysztofa Radziwiłła od r. 1613—1632, zebrane z autografów, przechowujących się w bibliotece petersburskiej, ze wstępem pióra J. I. Kraszewskiego, Lwów. — 1868 (z okazyi jubileuszu wód marienbadzkich) Wspomnienie o doktorze Nerim, pierwszym twórcy zakładu (w jęz. ros.). — Zarys życia dra Krazmanna (świeżo podówczas zmarłego, a znanego u tych wód lekarza, w języku polskim).

w r. 1867 było zwiedzenie po raz drugi miejsc świętych. A obok wołań, nie zapominał też wcale i o uczynkach. Jedną ze stałych cech jego charakteru było chętne i łatwe udzielanie wsparcia każdemu z potrzebujących. Ta usłużna i stała dla wszystkich i wszędzie dobroczynność wpłynęła nawet w ostatnich czasach na nader utrudniony byt jego własny. Zaufane pożyczki, nieoględne poręki, obok równie mniej oględnego szafowania na podróże, zbiegły się razem na wywołanie w końcu tej katastrofy. Muchliński zdołał zgromadzić przez życie zajmujący i cenny księgozbiór; samych rękopismów i druków, zebranych na Wschodzie, przywiózł był w r. 1835 kilka pak. Część tę księgozbioru, jeszcze przed r. 1870, zmuszony był przesłać do Lipska i tam znalazł nabywcę. Część druga znajduje się w Warszawie, i o ile wiemy, oczekuje nabywcy dla spłaty pozostałych długów po właścicielu.

Kwiecień, 1878 roku. Miassota.

KONIEC.

SPIS RZECZY TOMU II-GO.

Str.

I. Z WYKŁADÓW W SZKOLE GŁÓWNEJ.

I. Prelekcya wstępna historyi literatury polskiej z r. 1866 . . 3
II. O pisarzach historyi literatury polskiej 31
III. Kronika Galla 80
IV. Kronika Wincentego Kadłubka 106

II. Z CZASOPISM OD ROKU 1866.

I. Dwie Świtezianki, czyli rzut oka na ostatni okres poezyi polskiej 147
II. Przegląd monografij historyczno-literackich.
1. S. Orzechowski przez L. Kubalę 181
2. W. Kochowski przez A. Rzążewskiego 199
3. W. Kadłubek przez H. Zeissberga 213
4. Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza przez Lucyana Siemieńskiego 215
5. S. Damalewicz przez A. Chodyńskiego 223
6. La poésie latine en Pologne p. Lavollée 228
III. Przegląd podręczników do historyi literatury.
1. Historya lit. pols. przez L. Rogalskiego 242
2. Zarys dziejów lit. pols. przez A. Kuliczkowskiego 261
3. Rys dziejów lit. pols. p. Zdanowicza-Sowińskiego 270
IV. Przegląd prac historycznych.
1. Reformacya w Polsce przez W. Zakrzewskiego 308
2. Medekszy Księga pamiętnicza i M. Matuszewicza Pamiętniki 314
3. M. Bobrzyńskiego Dzieje Polski w zarysie 346
4. J. Bartoszewicza Historya pierwotna Polski 378
5. Francuskie archiwum spraw zagranicznych do dziejów Jana III przez K. Waliszewskiego 411

II

Str.

V. Darwinizm i pozytywizm w treści pism naszych 438
VI. Doświadczenie jako kryteryum prawdy 501
VII. O pismach treści filozoficznej.
1. Levittoux i Niemirycz 573
2. Henryk Struve 593
3. Maks Müller 632
4. Maryan Morawski 639
VIII. Z dziedziny poezyi.
1. Boska Komedya Dantego 666
2. Felicyana Odgłosy z gór. — M. Dobrzańskiego Wstępne akordy. — M. Kochanowskiego Ostatnie poezye 680
IX. Józef Ignacy Kraszewski i jego »Powieści historyczne« . . 697

DODATEK.

1. Ty, wy, pan, czyli o oznaczaniu osobistości w języku polsk. 805
2. Antoni Muchliński (wspomnienie) 816

BOOKBINDING CO.
53 A 2V

Stanford University Libraries
3 6105 012 349 408

TG 70
T7
V.2

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

APR 08 1996
APR 1996